

TOM III.

Encyklopedyja Humoru

zawierająca

NAJCELNIEJSZE

utwory

HUMORU LUDZKIEGO.

Redakcyja i Nakład

M. Wołowskiego

ДОЗВОЛЕНО ЦЕНЗУРОЮ.

Варшава, Мая 24-го дня 1891 года

Druk ZAWISZEWSKIEGO — Warszawa, Chmielna 31.

ENCYKLOPEDYJA HUMORU.

Tom III-ci.

N—S

Tak w szkole jak i w domu, stół był nakryty regularnie trzy razy dziennie. Co sześć miesięcy stróż kamieniczny przynosił pokwitowanie z opłaconego komornego. Cztery razy do roku krawiec przynosił nowe ubranie, a jeżeli się jednak ukazała zmarszczka, zabierał je napowrót i przysyłał inne. Wszystko to szło regularnie, jak bieg gwiazd i ziemi. W taki sposób doszedł do lat dwudziestu, przekonany, że świat i towarzystwo winno mu dawać dobre obiady, wino burgundzkie codziennie, szampańskie dość często, mieszkanie stosowne, umeblowanie świeże, ubranie dobrze zrobione, cztery pary rękawiczek tygodniowo i 500 franków miesięcznie do kieszeni na wyrzucenie. Z temi ideami kazał sobie zrobić piękne bilety wizytowe i zapisał się na prawo, wyborny sposób do próżnowania. Przyszedł nadto do mnie pytać się o radę, Dałem mu kilka pudełek cygar i sprawdziłem stan jego butów i krawata. Na cóż me frazesy? Życie go samo nauczy.

Mojem zdaniem, zbytecznem jest go wprowadzić w okoliczności pouczające. Niech poczuje na własnej skórze oparzeliznę, wtenczas dopiero zrozumie jej naturę. Jeżeli spisuję moje zdania o życiu, to nie dla niego, ale dla siebie. Mogę sobie pozwolić, nieodczytywania tego aż za jakie lat dziesięć.

— Moje dziecko, masz rumiane policzki i wchodzisz w świat jak do jadalnej sali, gdzie mam siąść przy stole. Zastajesz jednak wszystkie miejsca zajęte. I bardzo naturalnie; bo na tym świecie, częściej się zostaje głodnym niż nasyconym. Nie nieszczęście, ale szczęście jest przeciwnem naturze. Przeznaczeniem naturalnem człowieka tak jak i zwierzęcia każdego, jest być zabitym, lub umrzeć z głodu. Jeżeli ci się to dziwnem wydaje, toś nie żył zapewne tak, jak ja w kraju, gdzie prawda i hypokryzyja objawiają się szczerze na pierwszy rzut oka. Przypomnij sobie naszą przechadzkę wczorajszą do lasu. Deptaliśmy nogami dżdżowniki pełzające po drodze. Ptaszyny fruwały w koło nas łowiąc muchy i połykając je. Większe robaczki pożerają mniejsze. Widzieliśmy w rowie małego zajączka z rozpłatanym brzuchem. Jastrząb go schwycił i wyjadłszy wnętrzności, rzucił tam na pastwę robactwa, które gromadami obsiadło nieboszczyka. Z dziesięciu młodych nowonarodzonych, zaledwie jeden dorasta, a za nim się zestarzeje, dwadzieścia razy może zginąć od zimna, deszczu, myśliwych i innych wypadków. Rano łamie sobie łapkę, wieczorem już nie żyje, pożarty przez tysiące żołądków zgłodniałych, czychających na niego, jeżeli jakim cudem ucieka do nory, umiera tam z głodu. Nie oburza się, cierpliwie znosi przeznaczenie. Spójrz na lwa lub kota chorego. Kładą się najspokojniej i czekają końca. Trzeba ciercpieć takie przeznaczenie, czyż chcesz żądać od wielkich sił natury, by ci przerobiły serce i nerwy i żebyś nie cierpiał. Zabijają cię i zjadają, to takie proste; na tyle żołądków, to i strawy za mało. Jeżeli chcesz zrozumieć życie, spamiętaj sobie ten początek i koniec wszelkich żyjątek. Nie masz prawa do niczego i nikt ci nie winien, ani społeczeństwo ani natura. Jeżelibyś od nich żądał szczęścia, jesteś głupcem. Jeżeli się czujesz niesłusznie pokrzywdzonym, jesteś jeszcze większym głupcem. Chciałbyś być poważnym, to jeszcze nie racyja, by ci zaraz ciepłe ubranie zarzucono na ramiona. Kochasz, to nie racyja, by i ciebie kochano. Są prawa niewzruszone, które rządzą światem i którym poddać się trzeba. Otaczają cię i gnębią jak powietrze, którem jesteś oblany, jak pory roku, które, niebaczne na twe narzekania, parzą cię lub mrożą. Wyglądasz wśród nich, jak oślątko wśród stada słoni. Uważaj więc, nie stój im na drodze, jeżeli ci się uda, pożyw się szczątkami ich objadu, a przedewszystkiem nie miej dzikiej pretensyi, by te stada olbrzymów były na twoje usługi i nie dziw się że się tobą nie zajmują. Wszystko, co znajdziesz dobrego w życiu, przyjm jako dar niezasłużony, tysiące ludzi, którzy więcej byli warci od ciebie, zduszeni zostali przy wejściu prawie. Jeżeli znaj-

dziesz w swej norze kilka ziarnek naprzód uzbieranych, podziękuj twemu ojcu, który pewnie z narażeniem życia je zdobywał. Jeżeli będziesz miał chwilkę rozkoszy, bądź wdzięczny za nią, jest to prosty wypadek. Niepokój, nuda i niedostatek towarzyszyć ci będą zawsze wraz z cierpieniem i niebezpieczeństwem, wejdą pod twój dach i mieszkać z tobą będą, jak w norze każdego szczura. Podoba ci się ta nora, uważasz ją za silną i wytrzymałą, pierwsza ulewa burzy ją, wywraca. Jeżeli nie dziś, to jutro, to za dwudziestem i pięćdziesiątem uderzeniem. Pewnego dnia wyjdziesz z twej nory i jednem uderzeniem kopyta monstrualna siła, niewidzialna, zgruchocze ci który z członków. Zanadto byłbyś szczęśliwym, gdyby cię zabiła odrazu; powracasz skrwawiony i chory. Nazajutrz nowe uderzenie przygniata ci piersi i głowę, a dni następnych przyjdzie kolej na nogi i tułów. Przeciwko tym klęskom cała rzesza szczurów na świecie nic nie wymyśli. Po wielu wiekach doszły one do przekonania, że tym lub owym sposobem uniknąć mogą niektórych uderzeń ciężkich kopyt słonia. To też mniej ich gniotą teraz, niż przed pięćdziesięciu laty, ale gniotą wciąż jeszcze, gnieść będą do skończenia świata. Im zręczniejszym będziesz, tem ci łatwiej będzie na świecie, biedny szczurze, ale nie rachuj na szczęście, staraj się owszem utrwalić twą cierpliwość i zahartować skórę. Przyzwyczaj się do znoszenia tego, co jest nieuniknionem. Unikaj skarg i wykrzywiań twarzy. Po co dawać powód do śmiechu sąsiadom. Najlepszym owocem naszej wiedzy jest zimna rezygnacyja, która przygotowując duszę, skupia cierpienia wyłącznie na ciało. Gdyby przynajmniej maluczcy byli w zgodzie, jedni z drugimi. Wprawdzie powiedziano ci, że tak jest; nauczono cię, że w każdej gromadzie jednostki żyją w zgodzie i pracują dla dobra ogółu. To fałsz i trzeba, byś wiedział naprzód, że to fałsz, inaczej byłbyś oszukanym od pierwszego wejścia w świat. Nie bądź ani hipokrytą, ani się buntuj, patrz prosto w twarz prawdzie takiej, jaką jest rzeczywiście. Człowiek jest zwierzęciem z natury swej i tego piętna nigdy natura nie zatrze. Ma zęby ostre jak pies i lis i tak jak oni zagłębia te zęby w ciało bliźniego od stworzenia świata. Następnie, wynalazł kawałki ostre żelaza i bił się na noże z braćmi o kawał surowej ryby. Obecnie jest on wprawdzie ułagodzonym, ale nie przemienionym. Walka trwa ciągle tak, jak dawniej, tylko jest obecnie ograniczoną i pojedynczą. Każdy walczy o swój kawał surowej ryby ale już nie na noże i pod okiem żandarma. Liczba dobrych rzeczy jest ograniczoną i ze wszech stron żądze wznoszą się do ich zdobycia. Spojrzyj na wielkie miasto i na mrowisko ludzi popychających się w niem na okół. Każdy z tych ludzi od rana wychodzi na polowanie z rodziną, domownikami i przyjaciołmi. Skoro tylko spostrzegą jaką zwierzynę korzystną, robią nań wszyscy obławę, siatki, żelaza, bronie pozwolone i nie pozwolone w życiu. Każdy usiłuje rękę przyłożyć do dzieła, trzeba im bowiem obiadu. Myśl więc i ty o obiedzie i pamiętaj, że go jeść nie będziesz, jeżeli czego nie upolujesz. Zwierzyna jest rzadka, a myśliwych wielu. Wstań raniej od innych, kładź się później, idź prędzej, wietrz dobrze, zbierz więcej psów, broni i przyjaciół, wracając do domu, zamknij dobrze swą torbę myśliwską z obawy, by jaki zgłodniały myśliwy nie odebrał ci zdobyczy. Niechaj wiedzą, że się bronić umiesz i potrafisz, a broń się dobrze, niech się nauczą szanować ciebie; tylko tym sposobem zjeść będziesz mógł obiad. Jest to moja rada dla wszystkich, daję jeszcze inne, ale nie wiele. Nie proś nigdy nikogo o nic. Każdy żebrak jest nieśmiałym złodziejem. Przyjmuj rzadko co od kogo. Wdzięczność jest rodzajem niewoli. Czyś taki niedołęga na ciele i duszy, że ci potrzeba żyć z pracy drugich. Nie bądź skąpym, nie żałuj ubogim, gdy sam masz dosyć i wracasz z obładowaną, torbą, nie przeszkadzaj drugim polować. Po cóż ci więcej zdobyć niż zjeść możesz? Czyż

ci potrzeba brać bez pożytku dobro innych biedaków. Nie potrzebnie pocisz się przez dzień cały na słońcu; gdy już o dziesiątej rano zdobyłeś sobie dosyć na obiad. Spojrzyj na około siebie, zachwyt jest zajęciem mniej zwierzęcem od innych. Ta wielka dolina błyszczy i paruje od słońca oblewającego ją promieniami. Zieleniejący las odbija cudnie od błękitu nieba. Sosny wonne wzbijają się ku niebu wysoko, jak świece. Godzinę tak przetrwasz patrząc na nie i przez tę godzinę nie będziesz bydlęciem. Winszuję ci, możesz prawie powiedzieć, żeś żył.

H. Tain.

Nawias.

Nawias pono ma znaczenie
Dla pisarzów niepoślednie,
Chociaż nieraz biedak musi
W swem objęciu tulić brednie,
Bo — wie każdy dobrze o tem —
Że najczęściej to lub owo,
Co za śliną nam napłynie
Wygłaszamy — *nawiasowo.*

—o—

Ztąd jest on kielichem także,
W który wlewa żółć swe jady!..
Ot, np. Jan wyborny
I do czynu i do rady!
Tylko (mówiąc tak nawiasem)
„Strasznym jest cymbałem sobie" —
O nawiasie! ileż razy
Kopiesz dołki w tym sposobie.

—o—

Ale przecie, jeśli spojrzę
Na te giętkie klamry twoje,
Zaraz mi przychodzi na myśl
Śnieżnych, pulchnych ramion dwoje.
Ach mój Boże, jak to miło,
Po światowych burz hałasie,
Cicho, bez trosk, z całą duszą,
W takim zamknąć się *nawiasie.*

—o—

Bądź ostrożny jednak bratku,
Jeśli szałem uniesiony,
Wpadłeś może w nawias cudzej
Narzeczonej, albo żony...
Pomnij, że dziś w tej epoce
Ulepszonych drzwi i zawias,
Mógłbyś nader prozaicznie
Wyrzuconym być *za nawias.*

„Szczutek."

Nawrócenie.

Gdy miała szesnaście latek,
Była — ach bardzo sceptyczną,
Nie chciała wierzyć, gdym mówił,
Że jest prześliczną.
Wątpiła o swej urodzie,
W uczucie wierzyć nie chciała,
Kiedym jej miłość wyznawał,
Tylko się śmiała!
Lecz dzisiaj po latach wielu,
Wiara w jej serce wstąpiła,
I nawrócona zupełnie,
Żałuje, że wprzód wątpiła.
Ufna w potęgę miłości,
Wspomnienia pragnie odświeżyć,
Wierzy, że jeszcze ją kocham;
Lecz ja — przestałem już wierzyć...

El...y

Natchnienie.

Noc ponura osiadła skał olbrzymie grzbiety,
Na ziemi i na niebie smutno i ponuro;
Tak ponuro i smutno, jak w duszy poety,
Co siedząc przy stoliku temperował pióro.
On szukał nowych myśli w swej duszy odmęcie,
Myśli, by je uwiecznić nieśmiertelnem pieniem!
Ale myśli przeczuwszy kąpiel w atramencie,
W ciasnej głowie poety osiadły kamieniem.
On, po sklepieniu nieba wieszcze oko toczył,
I pół wieszczego pióra w wieszcze usta włożył,
I w wieszczym kałamarzu wieszczy nos umoczył,
I dumał, dumał, dumał, aż... spać się położył.

Syrokomla (p. t. I, str. 128).

* *Na wszelki wypadek.*

Właściciel domu przy Rue Apollon, opuszczając Paryż w dniu zajścia pod Montmartre d. 18-go marca 1871 r., następną odezwę wystosował do żony swego odźwiernego:

„Kochana p. Dupont!

„Po dojrzałym namyśle uznałem za właściwe prócz ustnych informacyi na wypadek mej nieobecności, zostawić jeszcze piśmienną treść takowych.

„Najprzód zechciej dobra pani, klucza od piwnicy, w której jest wino i drzewo na opał, jak również klucza od mego mieszkania ani na chwilę z rąk nie wypuszczać.

„W jadalnym pokoju na stole znajdziesz trzy zwoje papierów z numerami: 1, 2 i 3. Otóż na wypadek, gdyby rewolucyjoności wznieśli barykadę w pobliżu mego domu, idź pani natychmiast do mego mieszkania, otwórz zwój z numerem 1, weź zwiniętą w nim czerwoną chorągiew i przywiąż ją do kija, który na balkonie przymocowałem. U chorągwi są uszy, za które trzeba ją tylko powiesić.

„Jeżeli buntownicy będą grozić memu mieszkaniu, powiedz im, że jestem znany jako przyjaciel ludu, poczęstuj ich wódką i daj im drzewa, żeby mieli się przyczem ogrzać, siedząc nocą na barykadach.

„W razie gdyby barykada została wziętą przez żołnierzy, zdejm co prędzej czerwoną chorągiew, a wywieś trójkolorową nr. 2.

„Jeśliby żołnierze biwakowali w naszym cyrkule, zanieś im wina i drzewa.

„Jeżeli zaś pruscy tu się rozlokują, schowaj chorągwie Nr 1 i 2, a wywieś Nr 3 pruską, poczęstuj ich również szampańskiem i daj drzewa na opał.

„Sądzę, że już wszystko wypowiedziałem, kończę więc, polecając was opiece Boskiej...”

Nawyknienie i upodobanie.

Wszelkie upodobania, którym się poddajemy z nieśmiałością dla przyjemności lub przepędzenia czasu, wszelkie nawyknienia, objawiające się w obyczajach, manjerach, ruchach, gestach, wyrażeniach, w ubraniu i t. p., a to nawet całkiem mimowolnie i bezwiednie, przeszły w nałóg, często powtarzamy, w dają naturalnie w śmieszność. Niderlandc nazywa człowieka ograniczonego i mało v żliwego, *człowiekiem bez upodobań* i slusz byłoby to nawet zabawne, gdyby nie b najczęściej szkodliwe dla obecnego zaw i powołania. Te drobnostki nie dające zliczyć, są tem, czem fałda na sukni; rozci się ją, gładzi, prasuje bez końca, a zaw ślad zostawi widoczny. Jedynie w młod wieku można jeszcze odwyknąć od tak śmiesznych nałogów przy usilnej na to u dze i staraniu; u starszych nazywa się to: m swój nałóg, jak francuzi mówią: „j'ai m pli.” Salomon zaś mówi: „Kto uprawia s rolę, ten w czasie żniwa chleb zbierać będ ale kto się ubiega za nieużytecznemi rzecza ten jest prawdziwie głupcem.”

Mam u siebie sztych z podpisem: „Upo bania”, wyobraża zaś następującą scenę:

Stary człowiek z córką pod rękę, zachv ca się jakimś antykiem, podczas gdy miłoś żywego obrazu, kradnie całusa córce, przek dując naturę nad sztukę; młodzieńcowi te w tejże chwili wykrada z kieszeni chustkę kiś chłopak, któremu znów pies wyciąga z k szyka kawał mięsa, wszystko to przedstaw różne upodobania.

W Neuburgu pod Wiedniem żył za mo czasów pewien mnich, który urządził sobie g binet naturalny z samych odchodów ptasi i doszedł do doskonałości i w tej gałęzi, że rz ciwszy okiem na podobny okaz, wymienił na jego sprawcę. To upodobanie było przec czemś lepszem niż Thumsula zbiór zapisany szyb z okien.

Jakże często słyszeć nam się zdarza n wet z ust uczonych pewne przyjęte wyrażen czyli przysłowia, które nieraz stojąc w spr czności z rzeczą samą, komicznie wygląda, a często dają wyobrażenie o charakterze n wiącego. Skryci, tajemniczego usposobien ludzie zwykli mówić „mówiąc szczerze”, al „mówię zwykle otwarcie”, pochlebcy lubią p wtarzać „bez pochlebstwa”.

Kupcy, hotelnicy, żydzi i t. p. powołują się zwykle na swą uczciwość, jak włosi na swoje: „galantermo”. Kłamcy powtarzają często: „niech mnie porwą kaci”, albo „niech mnie Bóg skarze jeśli kłamię”; proste, tępe głowy, głoszą często słowo: „niewysłowione” albo pytanie. „Jak sądzisz?” jakby w niepewności czy kto ich zdanie podziela.

Pewien znajomy mi doktór, ma zwyczaj nikogo nie wołać po imieniu, tylko: „á propos”, a gdy kto nie słyszy, czy nie rozumie, będzie powtarzał całe pół tuzina swoich „á propos”. Zowią go też doktorem *á propos*, chociaż jego recepty są najczęściej wcale nie à propos.

Nudni paplacze stają się jeszcze nieznośniej nudni przez zwracanie ciągłe swego „powiadam ci,” albo „zwykłem mówić”, a ludziska, którym o byle co chodzi, mówią zwykle: „Cóż to znaczy!” W ustach płytkiego opowiadacza powtarzane: „krótko a węzłowato”, brzmi równie komicznie jak powiedzenie, „mogę sobie przyznać bez próżności...” gdy potem następuje frazes nacechowany największą próżnością.

Uczeni kończą często słowami: „*Sapienti sat*”, ponieważ wypowiedzieli wszystko, co wiedzieli. Wielu zaś próżnych przechwałków, gdy sobie obficie nakadzili, dodają: „nie chwaląc się”.

Przywykła była pani Renali
Co słowo mówi: „I tam dalej”.
Więc prezentując pana Renali,
Rzecze: „To mój mąż i tam dalej.”

Używa się takich przysłów zupełnie bezmyślnie tak samo jak zaklęć, ale nie są one wszystkie jednakowo bez znaczenia.

I tak:

Pewien pruski oficer, który zwykł mówić: „nikt mi nie poradzi”, otrzymał od Fryderyka więcej niż żądał, gdy przeciwnie pewien urzędnik, który nabrał przyzwyczajenia mówić: „milcz”, pobity został przez stojącego u niego na kwaterze jenerała, który w tem widział brak uszanowania. Lepiej już używać „za pozwoleniem”, chociażby nic było nic do powiedzenia.

Włoch uważa bystrość za największy przymiot, dla tego często odpowiada „capisco” (rozumiem),a austryacy, którzy wcale z przebiegłości nie słyną, mówią tak samo jak ich najbliżsi sąsiedzi: „verstanden” (zrozumiane), poseł hiszpański Araudo, który także przywykł używać tej formułki, odzwyczaił się od niej, wyśmiany w Paryżu przez pewną damę w słowach, których tu przytoczyć nie mogę.

Słyszałem także od naocznego świadka o pewnym angliku, który znajomych częstował ciągle takiemi różnemi upodobanemi słówkami, że wyśmiewany za to kolejno przez wszystkich, potrafił się ich w końcu pozbyć, co jest zawsze oznaką siły charakteru.

O sobie nie mogę powiedzieć, czy się poprawiłem od czasu, jak moja siostrzeniczka zwróciła mi uwagę, iż kiedy muchy zanadto mi dokuczają, podczas pisania, zrywam się, porywam łapkę na muchy i wydaje im wojnę, krzycząc:

— Poczekajcie! nauczę ja was Mojżesza i proroków.

Częste wykrzykniki „Jezus Marya”! „Do dyjabła!” albo „Ach Boże!” są również naganne i nie przystoją wykształconym ludziom, tak samo jak: „przeklęty”, „dyabelski!” „piekielny” i t. p. Szczególniej bluźnierskie syrczenie „bosko!” w którym sobie ludzie upodobali wielce: „O jak bosko pachnie ta róża”. Bogowie pachną tedy jak róże.

Wielu podróżnych uskarżało się już na spotykane w różnych krajach niemieckich takie nudne przysłowia; tak samo i w Szwajcaryi jedni wykształceni turyści wolą z niemcami dla tego rozmawiać po francuzku. Także w Alzacyi w Strasburgu, ubawiłem się rozmową z ładną kawiarką; umyślnie powiedziałem, że nie umiem po francuzku, żeby się nasłuchać jej alzackiego dyjalektu; każda jej odpowiedź zaczynała się od słów: „ma”, (znaczy wcale z włoska) „nie jestem taka głupia”.

Pewien dozorca w akademii Karola, przyzwyczaił się mówić: „jeden albo drugi i nic innego".

Pewnego wieczoru, gdy podwładni mu studenci nie przestawali śmiać się i szczebiotać w łóżkach, krzyknął z gniewem:

— Cóż to znowu za sprawowanie? czy myślicie, że jestem głupiec i osioł? jeden albo drugi i nic innego.

Naturalnie wybuch śmiechu jeszcze większy nastąpił po tych słowach.

Albo pewien właściciel gospody, który ustawicznie powtarzał:

— Jeśli chcesz — uniesiony gniewem powiedział jednemu z gości — jesteś głupiec, jeśli chcesz.

— Dobrze — odpowiedział tamten — ale ty, także choćbyś nie chciał.

Wiele znów osób jest tak żywego usposobienia, że nie potrafią być panami swych myśli, i w roztargnieniu często głośno wyrażają je, jak karzeł w pewnem kółku dam zawołał raz: „O jakże się nudzę!" Niektórzy gdy nie mogą odrazu przypomnieć sobie rzeczy miejsc lub osób, uderzają się w czoło dla obudzenia pamięci, ztąd też może wzięła się metoda policzkowania przy nauczaniu. Żywość poruszeń przystoi więcej mężczyznom niż kobietom, bywa wszakże często powodem przykrych wypadków.

Pewien wieśniak jadąc konno, zobaczył drzewo wiśniowe okryte owocem, podjechawszy stanął na koniu i zaczął rwać i zajadać, ale zarazem myśli sobie: „gdyby tak kto teraz zawołał na moją szkapę hop! hop!" i w tejże chwili sam głośno zawołał „hop! hop" i upadł na płot okryty cierniem.

Pierwszą zasadą gimnastyki jest umieć opanować ruchy ciała, pamiętając o tem, nigdy nie okażemy się niezgrabnymi, nawet będąc najbardziej zaambarasowani. Ludzie nie śmiali z natury im więcej pragną się podobać, tem śmieszniej się przedstawiają nieraz; szczególniej dziewczęta i kobiety w ogóle, uczeni i odludki wobec ludzi światowych, wieśniacy wobec panów, a nawet niektórzy wielcy panowie wobec bystrych i kostycznych ludzi. Najbardziej nagannem nawyknieniem w ruchach jest używanie chętniej prawej ręki niż lewej. Nóg także nie jednakowo używamy, stawiamy zwykle najprzód lewą, a gdybyśmy stanąwszy nad rowem, chcieli go przeskoczyć lewą nogą, niezawodnie znaleźlibyśmy się w rowie. O rękach powiedzieć można, że prawa jest zręczniejsza, bo wprawna i wyrobiona, ale w nogach nie ma tej różnicy, są one tylko odmienne co do siły ruchów, niby mąż i żona.

Komiczne postawy i ruchy widzieć można często na kazalnicy lub na katedrze. Mówcy przybierają najrozmaitsze pozy i gesta. Jeden kręci się w koło jak szatan lub jak wiewiórka w klatce, drugi stoi jak posąg; ten zamyka całkiem oczy, ów ma wzrok utkwiony w jedno miejsce, jeden krzyczy aż zsinieje cały, inny znów tak cicho, że go zrozumieć niepodobna; ten zażywa jeden niuch tabaki po drugim, zwłaszcza w ważniejszych ustępach swej mowy; ów drapie się po bokach; tamten uderza pięścią w pulpit i t. p. Samler skakał po swej katedrze jak pudel; Eberhart skubał brwi ustawicznie; Seiler przewracał oczami jak wizyjonista.

Ludwik XV obrywał mankiety tym, z którymi rozmawiał; inny książe obrywał wszystkim guziki u sukien. Karol IV nie mógł nigdy trzymać rąk nieruchomie i nawet na audyencyi krajał pręciki wierzbowe, co wszystko było znośniejsze niż zwyczaj Napoleona brania ludzi za uszy; nie ma chyba człowieka, któryby nie miał szczególnych, właściwych sobie ruchów.

Ja zaraz poznam, gdy który z moich znajomych znajduje się w kłopocie; jeden ciągle kicha, drugi pokaszluje, trzeci, poczciwy księżyna miejski, zdradza swój ambaras nogami, poruszając je niespokojnie jak młoda dziewczyna na odgłos muzyki.

Zkąd zaś to wszystko pochodzi?

Oto ludzie nie umieją zapanować nad stanem swej duszy, jak i nad swem ciałem i te bezwiedne zewnętrzne odruchy powstałe z zakłopotania, roztargnienia lub znudzenia, służą też do utrzymania wewnętrznego stanu, przy nich bowiem duch wpada niejako w drzemkę, tak jak dzieci usypiają przy kołysaniu, każda bowiem jednostajność ma coś usypiającego.

Można śmiać się i żartować z tych ludzkich nawyknień, ale trudno je wykorzenić, bo któż potrafi sprostować skrzywione drzewo? Wszystko wreszcie ma swe źródło w różnych upodobaniach i gustach; a któżby się sprzeczał o gusta w tym humanitarno-cywilizowanym wieku.

— *De gustibus non est disputandum* — mawiał Fryderyk.

Demokritos-Weber.

* *Nawyknienie.*

Niedawno ożeniony * dostaje codzień na kolacyją jajecznicę; sprzykrzywszy sobie wreszcie tę potrawę, mówi pewnego dnia do żony:

— Proszę cię żonusiu, każ mi zrobić co innego na kolacyją.

Następnego wieczoru zapytuje żony:

— A co tam dziś będzie do jedzenia?

— Jajecznica — odpowiada młoda gosposia.

— Znowu? nie, to nie do wytrzymania, w restauracyi przecież dostarczą co innego — i wstawszy gwałtownie, idzie wprost do najbliższej jadłodajni.

— Co pan sobie każe podać — zapytuje go kelner.

— Wierz co, podaj mi porcyję... jajecznicy.

Nauczyciel.

U stołu bogatego właściciela ziemskiego, jeden z gości, nadęty pyszałek, pozwolił sobie żartować z nauczyciela, będącego przy dzieciach pana domu.

— Nie rozumiem, jak można zajmować się nauczycielstwem — mówił pogardliwie, uśmiechając się. — Cóż to za nędzny zawód! Wolałbym sto razy ziemię nożem orać.

— O wtedy, znalazłbyś pan z pewnością trufle — odpowiedział nauczyciel.

* *Nauczyciel przewidujący.*

Nauczyciel. Dla czego smarkaczu przychodzisz tak późno na moją lekcyę?

Uczeń. Panie profesorze, ja się tylko 10 minut spóźniłem.

Nauczyciel. A tak, ty się spóźnisz 10 minut, drugi się spóźni 10 minut, trzeci także 10 minut, ot i będzie całe pół godziny!

Nazbyt lubił.

Nazbyt lubił lazaronów życie,
Czarną kawę, bilard, Ogród saski;
Latem chłodnej altany nakrycie,
Zimą teatr i zapustne maski.

Nazbyt lubił, w dni swoich rozkwicie,
Drzemać, gryząc srebrną główkę łaski,
Gonić chmurki białe po błękicie,
Po asfaltach zaś — żywe obrazki.

Nazbyt lubił! — i dla tej przyczyny,
Choć mu sława z Minerwy obliczem
Powtarzała: „kocham cię jedyny...”

Choć mógł, światłem wzgardziwszy zwo-
[dniczem,
Śladem wielkich wstąpić na wyżyny,
I wybrańcem zostać — został... niczem.

Wiktor Gomulicki. (p. t. I, str. 178).

Nehemi.

* *Ramotka z prawdziwego zdarzenia.*

Liceat concedere veris.

Wszyscy gazeciarze dowodzą, że obecnie żyjemy w epoce przejściowej.

Może to i prawda.

Tylko niewiadomo dokąd owo przejście prowadzi; to jednak pewno, że jest wcale ciasne i niewygodne. Że wszelako czasy są niezwyczajne, najlepszym dowodem na to jest niedawno upłyniony rok 1875-ty. Przyniósł on wiele wypadków dziwnych i niespodziewanych. Oto, poruszoną została sprawa

wschodnia, a jednocześnie p. Milicer miał odczyt o materyałach wybuchowych; Don Carlos i Don Alonso do pieczenia swoich kartofli kazali żar grzebać Hiszpanom, a nie zważając na to, p. Lewandowski mówił o łagodnem obchodzeniu się ze zwierzętami. W konserwatywnych Chinach, konserwatywny, 19-letni cesarz Tung-Chih, nie umiejąc się sam zakonserwować, poszedł *ad patres*, stronnictwo zaś postępowe powołało na tron, nie mającego żadnych przestarzałych przesądów, a pełnego zapału młodzieńca, pięcioletniego Tse-Tdin, czem niektóre pisma nasze niezmiernie się uradowały, widząc od wschodu świtającą jutrzenkę prawdziwego postępu. Ale to wszystko ledwie setna część nadzwyczajności; któż je wyliczyć potrafi?

O zawaleniu się kilku kościołów tu i owdzie w kraju, nie ma co i wspominać. Ale jakże kościoły i zawalić się nie miały, kiedy nas w tym pamiętnym roku nie minęło nawet — *trzęsienie ziemi!* I to u nas, jak mi Bóg miły, nad Bugiem! „Trzęsła się panie dobrodzieju, ziemia jak we febrze" licho wie zkąd jej to przyszło!? Różnie różni o tem mówią; bo też i w naszym zakątku, choć tego nie pisały gazety, działy się rzeczy nadzwyczajne, a któż odgadnie — może i związek jaki z owem trzęsieniem ziemi mające! Że zaś wypadki te wielu osobom mogą być nieznane, podajemy je ze wszelkiemi szczegółami.

W Wólce mieszkał pan Jan, człek „poczciwości z kościami", nikomu w drogę nie właził, gospodarzył jak się patrzy, abonował jakieś pismo rolnicze w tem sumiennem przekonaniu, że wypełnia obowiązek obywatelski, wspomagając owego redaktora — szlachcica, co gospodarząc z przepisów, do szczętu się zrujnował. O dziewiątej wieczorem już chrapał, o czwartej rano był na nogach. W czystym zysku miał to, że długi na majątku rosły nieco powolniej, aniżeli u sąsiadów. Zdaje się, że dziś u nas gospodarz więcej i wymagać nie może.

W Brzozowej, o mil dwie prawie, gospodarował Jmci pan Antoni; sypiał trochę dłużej wstawał nie tak rano, trzymał się rusińskiego przysłowia, że: *ne rodzi rola, ale Boża wola* i szło też jak Bóg dał; łatał się więc różnemi sposoby, nie bardzo w nich nawet przebierając; — za to jak gadał! — choć na ambonę!!

Tandem — od dawna jest dowiedzionem, że szlachcic bez żyda obejść się nie może — i proszę się ze szlachty nie śmiać z tego powodu, boć przecie i prawie wszyscy magnaci (którzy są po większej części szlachtą), również temu podpadają prawidłu — każdy ma także swego żydka, tylko bogatszego nieco.

Czyby się jednak żydzi bez szlachty obeszli? Nikt się nad tem do tej pory nie zastanawiał, ale to do rzeczy nie należy. Było tedy dla dwóch szlachty i dwóch także żydków; obaj byli niby pachciarzami; czy propinacyję trzymali, powiedzieć nie mogę, bo to zakazane — prawo jest jak mur, chociaż — różne są na świecie mury, a przez jakież ludzie przeleźć nie potrafią! Co do samego słowa *pakt* vel *pacht*, zwracam uwagę, że według najnowszych badań nie pochodzi ono bynajmniej od łacińskiego *pactum*, ani od niemieckiego *pacht*, lecz od nazwy *Pactolus*. Ptolomeusz i Strabon zapewniają, iż to była rzeka w Lidyi, której wody, że się w nich opłukiwał Midas, król frygijski, nabrały własności złotodajnych; dla tego też Paktol zwano nawet *Chrysorrhoas*. Z niego pochodziły owe sławne bogactwa ostatniego lidyjskiego króla Krezusa, od którego tę rzekę trzymali arendą żydkowie i od tego czasu datuje się słowo: pakt, pakciarz — zkąd tyle znakomitych fortun i w naszych czasach wyrasta.

I nasi tedy żydkowie mieli się nieźle; Aron siedział w Wólce u pana Jana, Mendel w Brzozowej; szło wszystko jak należy, aż do owego fatalnego 1875 r.

Nic jednak, jak wiadomo, nie jest trwałego na świecie. Stare przysłowie mówi:

Kiedy marzec
Przeżył starzec,
Będzie zdrów;
Kiedy baba
W maju słaba,
Pacierz mów.

Wypadki, o których właśnie opowiadać mamy, choć w części to przysłowie potwierdzają.

Przy Mendlu w Brzozowej mieszkał stary ojciec jego, Ajzik, z żoną Ryfką; przyszedł marzec i Ajzik przeniósł się na łono Abrahama, że zaś nie mógł za życia do Jerozolimy wędrować, wzdychał przed zgonem, myśląc tak mu niewygodnie będzie (jak to powszechnie wiadomo) toczyć się pod ziemią aż tam — tak daleko, po śmierci. Niewiadomo nam wskutek jakich nieporozumień domowych, z synem czy synową, podeszła w leciech matka, bo przeszło sześćdziesięcioletnia Ryfka wyniosła się, z niejakim żalem nawet, do zięcia swego Arona; mieszkającego w Wólce.

Taki był prolog nadzwyczajnych wypadków, które wkrótce w całej okolicy głośnemi się stały.

Przy końcu maja owego tego osobliwego roku JMPan Jan wróciwszy z pola, zmęczony, rzucił laskę i słomiany kapelusz w kąt, a nad niepewnym urodzajem zadumany, stanął w oknie kancelaryi, chcąc zapewne raz jeszcze rzucić okiem na gospodarski dziedziniec. Z okna widać było w oddaleniu trakt mimo dworu idący i karczmę — rezydencyę Arona.

— Co u licha — mruknął pan Jan — już czwarta fura żydów dzisiaj zajechała do pachciarza — i wczoraj jechali...

— To, proszę jaśnie pana, niezawodny deszcz — rzekł w formie niezbitego aksyjomatu i komentarza, stojący w progu stary ekonom, Jeziorański.

— Hm — a może być — odparł gospodarz, kiwnąwszy głową.

Czy deszcz według przepowiedni padał, nie wiemy dokładnie; daje to jednak do myślenia o tajemnych siłach przyrody, objaśniając poniekąd wielką kraju naszego wilgotność.

Tymczasem, gdy gospodarz zajęty już był obliczeniem najmu i rozporządzeniem robót na dzień następny, otworzyły się drzwi i z nizkim ukłonem, posuwając w tył i naprzód jarmułkę, ukazał się pan Aron.

— Cóż powiesz? — spytał pan Jan.

— Z przeproszeniem wielmożnego pana — rzekł przybyły — trzeba dla szynkarża wódki, jabym też wziął trochę tej pejsasznej okowity.

— Na co?

— Nu, mnie potrzeba i możebim gęszów kupił albo indyków.

— Cóż to, bal dajesz, czy wesele? bo widzę, do ciebie już od wczoraj jadą, a jadą...

— Nu tak — odparł nieco zakłopotany Aron — to jest... tego... niby goszcze.

— Jużci nie bez przyczyny, coś w tem musi być... nigdy do ciebie tyle nie jechało.

— Proszę jaśnie pana — wtrącił Jeziorański—jest czterech rabinów, a żydów koło nich ćma... licho ich wie!...

— Cóż to jest? sanhedryn jaki? — spytał gospodarz.

— Nu, co ma bicz? — mówił żywo pachciarz — ot przyjechali po znajomoszczy, wiadomo. To jakże wielmożny panie z okiwitem?

Aron objaśnień wszelkich widocznie unikał, ale, że owi goście przyczyniali się znacznie do miejscowej konsumcyi, a pieniądz przypływał, gospodarz indagacyi na ten raz zaprzestał, ciesząc się cale niezwykłym dochodem.

Szła więc pejsaszna okowita; wódka, drób, jaja, ogrodowizny; przed karczmą dzień i noc ruch nie ustawał.

Nazajutrz przybył rabin z Sosnowicy, sławny z umiejętności wybłagania u Jehowy błogosławieństwa dla tęskniących za potomstwem małżonków; w dni parę, niemniej reputowany rabbi Eli z Kocka, brodzką bryką w cztery

konie, z asystencyją liczną; nareszcie i uwielbiany patryjarcha z Białej.

W karczmie i domku przyległym, na dziedzińcach i ulicy, roiło się jak w mrowisku, konie przy podróżnych żłobach urządzonych na prędce, lub przy furach i brykach chrupały obrok na podwórzu — słowem, istny jarmark, niewidziane w spokojnej Wólce dziwowisko.

Gwar słychać już było z daleka, na podwórzu zbierały się grupy prawowiernych, giestykulując i rozprawiając żywo: z mieszkań dolatywały odgłosy albo pojedyńczej jakiejś przemowy, lub dysput gorących, to znów chóralne, niby w synagodze, śpiewy.

Niektórzy, pojedyńczo spacerując po drodze, zdawali się być zamyśleni głęboko; inni, ręce za pas włożywszy, z wyrazem jakiejś pewności siebie czy zadowolenia nucili pod nosem owo sakramentalne — bim, bim, bim — jak to często w szabas uważać można.

Naprożno się ludzie dopytywali: żydki uśmiechali się, niby tajemniczo, niby tryumfująco, ale słowa z nich wydobyć nie było podobna.

Tymczasem i propinacyja i sprzedaż drobniejszych nawet gospodarskich produktów rozwijała się w Wólce na szeroką skalę po cenach nigdy tu niesłychanych: nastarczyć wszystkiego nie było podobna.

Dla pana Jana było to prawdziwe boskie błogosławieństwo; gospodarzowi, jak wiadomo, w maju grosz najtrudniej przychodzi i nie dziw — bo to miesiąc czysto romansowy wśród cudnej natury godziż się myśleć o marnościach tego świata?

Tak nietylko dnie, ale i tygodnie upływały, przeszedł czerwiec i lipiec, ruch był u Arona nieustanny, a nikt z goimów, mimo najdowcipniejszych badań, o przyczynie tego zbiegowiska dowiedzieć się nie mógł.

Pan Jan, wszelako, po paru już tygodniach trwania owego zjazdu, lubo zapytywany Aron, wykręcał się zawsze różnemi sposoby, zniecierpliwiony w końcu, oświadczył, że jeżeli mu owa tajemnica wyjawioną nie będzie, wyrzeknie się nawet dochodów, a wszystkie mu koniec położyć potrafi; uwiadomiony zaś, w każdym razie, jeżeli o to chodzi, zaręcza, że sekretu dochowa.

Aron, tyle dawniej respektu dla pana Jana mający, niezwykłej dumy jakiejś nabrał w ostatnich czasach.

— Nu, co pan zrobi? — odparł prawie pogardliwie — pan mnie z gewałtem wypędzić nie może! kontrakt stoi.

Ale pan Jan nie w ciemię był bity.

— Mój kochany — odrzekł — tak być nie może, ja tu gospodarz, muszę wiedzieć co to jest; sekretu dotrzymać potrafię; mniejsza o to, gwałtu robić nie będę, ale jak zechcę, wykurzyć was potrafię; nie raz mię tego uczył pan Antoni z Brzozowej.

— Pan Antoni! — przerwał pogardliwie pachciarz — nu, że on trochę o Talmudzie wie, on miszli, że wszistkiego umie — niech pan jemu nie wierży, at! — i splunął pogardliwie.

— Jak sobie chcesz, a ja sposób znajdę.

— Nu, jaki sposób?

— Sprowadzę dzwon z parafii, postawię wam naprzeciwko mieszkania i będę cały szabas dzwonił.

— Iiii! at! na co tego — zawołał Aron, — ja wszistko powiem, ale wielmożny pan muszi sobie zakląć na wszistkiego, żeby nikiemu a nikiemu nie gadać.

Zamknięto więc drzwi od kancelarji, konferencya cicha odbyła się w kilku minutach; wyszedł z niej pachciarz trochę niespokojny, po kilkakroć jeszcze na progu o dochowanie tajemnicy prosząc. Pan Jan z dziwnym uśmiechem machnął tylko ręką, a na zapytania późniejsze sąsiadów i domowników nawet, ruszał ramionami, dowodząc, że o niczem nie wie.

Zbiegowisko tak niezwyczajne nie mogło naturalnie ujść uwagi miejscowej policyi; ale, jak się okazuje, nic ona w tem nie znalazła zdrożnego; zostawiła bowiem żydków w spokoju, lubo ich z oka nie spuszczała. Co jednak dziwnem było, że i od nich nic nikt wybadać

nie potrafił: ciekawych zbywano żartami, lub przyczyną izraelskich jakichś obrzędów.

Pan Antoni z Brzozowej, jak tośmy wyżej powiedzieli, człek był wcale nie głupi, a nie mniej też i ciekawy; czytać lubił, jako zaś szlachcic, z narodem Izraelskim w nieuchronnej a ciągłej będąc styczności, i ztąd i zowąd umiał, bądź wyczytać, bądź wybadać wiadomości tyczące się obyczajów, a nawet często Talmudycznych podań, praw i komentarzy żydowskich — był to nawet przedmiot jego ulubiony. Nie miał on jednak zamiaru naśladowania księcia Marcina Radziwiła, Krajczego W. X. L. z Czarnawczyc; przeciwnie, badał żydów z ciekawości, dla tego jedynie, że w nich wiele tajemniczych stron widział. To więc co się w Wólce działo więcej go jak innych zaciekawiać mogło, ile że od niejakiego czasu i jego pachciarz z Brzozowej przedstawiał dziwne jakieś symptomata. To oszołomiony był, jak nieswój i ogłupiały chodził, to rozdrażniony latał, biegał i jeździł gdzieś światami jak opętany, a dogadać się z nim nie było podobna. Studjował go pan Antoni z amatorstwem prawdziwem, zaczepiał w kwestjach, o których Mendel najbardziej mówić lubił, a na które zwykle wyciągając go, prawie za każdą razą czegoś się nowego nauczyć potrafił. Powtarzając zaś ową nabytą wiadomość temu samemu Mendlowi w kilka tygodni później, zdumiewał go erudycją swoją i tem łatwiej zwykle na dalsze dysputy i zwierzenia wyciągał. Ale od czasu wypadków zaszłych w Wólce, napróżno najciekawsze wznawiał kwestyje, jak naprzykład: o owem winie zrobionem przez Adama w Raju, które w piwnicach urządzonych przez aniołów w środku ziemi przechowywa się, aż do czasu, gdy je żydkowie pić będą na wielkiej uczcie w ziemi Chananejskiej; lub o olbrzymim wole Behemoth, i o pekeflejszu, który z niego Pan Bóg przyprawił; o marynowanym Lewiatanie, o ptaku Bar-juhn, którego nadpsute jaje gdy na ziemię upadło, złamało sto największych cedrów Libanu, potopem z żółtka i białka sześćdziesiąt wsi zalewając. Nic to wszystko nie pomogło; gdy zaś napomknął coś o Armiliusie i mesjaszu Nehemi, synu Hazjela, Mendel wpadł w furyą, pejsy sobie rwać zaczął i jak waryjat wyleciawszy gdzieś między kapuśniska, chodził godzin kilka i lamentował, a ledwie wieczorem do domu powrócił. Było w istocie coś dziwnego w zachowaniu się Mendla.

Tak rzeczy stały do 10-go sierpnia. Dnia tego rano, jak zwykle, pan Antoni w szlafroku leżąc na swej ulubionej, starej, pod oknem stojącej kanapie, popijał dawno wystygłą herbatę, paląc besarabski tytuń z odwiecznej, krzywej, bez bursztynu antypki i czytając najświeższe telegramy przeszłotygodniowej gazety. Drzwi się otworzyły raptownie, wpadł zadyszany, sapiący i zaperzony Mendel.

— Proszę pana—zcicha a pospiesznie wybełgotał, podchodząc żywo—ja mam cosz, bardzo ważne rzeczy pogadacz z wielmożnym panem.

Pan Antoni ziewnął szeroko, przeciągnął się, postawił antypkę i siadł na kanapie.

— No? cóż za ważne rzeczy? — spytał.

Żyd, stojąc w środku pokoju, podniósł obie ręce do góry i oglądał się na wszystkie strony trwożliwie, wreszcie rzekł głosem zniżonym:

— Ale żeby nikt nie słyszał—to jest wielki sekret! I jakby sam do siebie dodał płaczącym głosem: aj! waj! mir! mnie nawet tego wielmożnemu panu nie godzi się mówić — nu, ale co robić?! to jest taka rzecz!!! uf! wielki sekret!... żeby wielmożny pan pod największym cherymem tego nawet... z gęby nie wipuszczał.

— Cóż u miljona... — zawołał pan Antoni.

— Cicho! cicho! wielmożny panie, coby kto nie sliszał.

I to mówiąc rzucił się żyd z gorączkowym pośpiechem na klucz zamykając drzwi od sieni, a posłuchawszy jeszcze czy kto nie nadchodzi, zwrócił się do gospodarza nieco już uspokojony.

— Nu, co robić? —rzekł ręką rzucając i ruszając ramionami, ja do wielmożnego pana przyszedłem w takim interesie, co i dla mnie i dla wielmożnego pana to jest czyste złoto — ale pod cherymem żeby sekret... Wielmożny pan zrobi sekret? — spytał.

— Zrobię sekret—odparł pan Antoni, kiwnąwszy głową z uśmiechem.

— Herste? a wielmożny pan sze szmieje — to się nie godzi szmiać.

— Śmieję się z ciebie, bo wyglądasz jak pół warjata, pleciesz trzy po trzy... ja nic nie rozumiem.

— Wielmożny panie, ja wszystko powiem, ale pod cherymem...

— A cóż u miljona, przecież nie jestem baba... cóż to, rewolucja czy co? No, to gadajże a nie nudź; jak sekret to sekret.

Mendel blady i drżący postąpił parę kroków oglądając się w koło.

– Wielmożny pan wie, co się dzieje w Wólce?

— A cóż? wiem; nazjeżdżało się żydów i siedzą.

— Nu, siedzą — siedzą.. jest szedm rabinów!!! jest sto — jest dwasta — więcej jak dwasta żydów, tam propinacyja jeszcze lepiej idzie, niż w samej Włodawie, a co kurów, indyków, gęszów, jajów, jarżynów — gewałt! Tam i Aron i dziedzic wielkich pieniądzów robią — a żeby wielmożny pan dopomógł, toby my to samo tutaj mieli!

— Czemu nie? — odparł śmiejąc się pan Antoni — byłaby to rzecz doskonała.

— Nu! herste? a czemu nie ma bić? to może bić, tylko niech wielmożny pan dopomoże— bo ja sam nie mogę.

— Ale o co chodzi?

— Ccc! -- cmoknął Mendel skrobiąc się pod jarmułką — aj! waj! mir! mnie tego nie godzi się wielmożnemu panu mówić.

Żyd widocznie toczył walkę z samym sobą: pan Antoni zaczynał się niecierpliwić.

— Nie godzi ci się mówić — zawołał — to po cóż przychodzisz, u stu kaduków. Daj mi święty pokój.

— Nu — nu—ja będę gadał, począł Mendel — wielmożny pan wie, po co oni tam przyjechali?

— Kto? gdzie?

— Nu, rabiny, do Wólki — szedm rabinów!!

— Po co?

Mendel jeszcze bliżej podszedł i szepnął cicho:

— Do mojej matki...

— Do matki? czego?

— Hm, bo ona ma sześdżesząt dwa lata, a ona... ona sze spodziewa... a ojciec co umarł, bił Ajzik!

— Ha! ha! ha!—zaśmiał się pan Antoni — to po cóż rabiny?

— Wielmożny panie — przerwał Mendel z miną bardzo serjo, nie można sze szmiać — to jest wielka rżecz!!

— No, rzecz może dziwna, ale cóż wielkiego?

– Wielmożny pan tego nic rozumie, co to jest?

— Nic a nic.

— O!! a wielmożny pan mówi co Talmud umie, a tego niezna co to jest?

-- To mi wytłómacz.

— To jest, to jest — mówił Mendel zapalając się i machając rękoma — to jest... cały szwiat!!!

A po chwili uspakajając się, dodał:

— Pan wie co w Talmudzie stoi napisano o Nehemi synu Hazjela?

— No — wiem.

— Nu — to będzie Nehemi! Nu—zawołał Mendel w uniesieniu—to będzie... mesjasz!!

I stał jak posąg, śledząc wrażenia, jakie to ostatnie słowo uczynić mogło na słuchaczu.

Ale pan Antoni nie uląkł się jakoś mesjasza i spokojnie wytrząsając popiół z wypalo-

nej fajki, którą miał na nowo nałożyć, spytał tonem nieco żartobliwym:

— Powiedzże mi mój Mendlu, zkądże wie cie, że to będzie mesjasz?

— Bo tak stoi napisano — wszistkie rabiny tak powiedzieli.

— Ale Nehemi ma być synem Hazjela, a stary nazywał się Ajzik.

— Nu, Ajzik — to Hazjel — to wszistko jedno!

— Tak?! — może być, ale ty jednej rzeczy zapomniałeś.

— Co ja zapomniałem?

— W Gemarze napisano, że *nie wolno teraz mówić, kiedy mesjasz ma przyjść.*

— Abo ja gadam kiedy on ma przyjść? abo ja wiem — zkąd ja mogę wiedzieć?!

— Jużcić mówisz.

— Ale ja nie mówię kiedy — może za miesząc, może broń Boże dziś — ale pan wie — dodał Mendel wskazując z pewną dumą na samego siebie — ja będę bratem mesjasza!!

— Wielki to dla mnie honor — odparł pan Antoni — że mój pachciarz będzie bratem pana mesjasza, dla ciebie honor jeszcze większy, a dla mnie największa rzecz, to ten dochód o którym mówiłeś.

— Ten dochód?! — żywo przerwał Mendel — nu, on dla mnie jeszcze największa rzecz, aj! waj! wielmożny panie to ten Aron szwarc jur! co mnie matkę odebrał, za co ona tam jest? przecze ja jestem syn a un jest żęcz!

— A na cóż matkę wypędziłeś?

— Kto? ja wipędziłem? ona sze sama wipędziła! ale tak nie może być, niech mnie wielmożny pan dopomoże, mi muszymy ją odebrać, będzie tisząc rubli dochodu na miesząc!

— Ale jak ja ci dopomogę? Aron matki nie odda, rabiny nie puszczą, tam ją pewno pilnują...

— Nu, pewno Aron nie wyda — mówi Mendel, a zniżając głos ciągnął żywo: — ale jak będzie szabas, żidkom jechać nie wolno ja wieczorem z matką będę wichodzić troche z piechotem na gadanie, a wielmożny pan niech ma nie daleko powóz, można matkę z gwałtem pochwicić, tu przywieziemy, i wsistkie rabiny i wsistkie zidki za matką tu przybiegną.

— Porwać? — spytał śmiejąc się pan Antoni.

— Nu, chowaj Boże, na co rwać, prziwieszcz tu!

W tej chwili turkot dał się słyszeć na dziedzińcu, przed gankiem stanęła bryczka, z której wyskoczył mężczyzna lat średnich, wcale pięknej statury. Był to pan Piotr, nie krezus prawda, ale człek dzielny, do wypitej i do wybitej, który różne koleje w życiu przechodził; był, jak to powiadają, na wozie i pod wozem, włóczył się po świecie niemało, a wróciwszy wreszcie na rodzinny zagon, jako do coraz nowych wrażeń przywykły, nudził się nieraz solennie, to też i w domu miejsca zagrzać nie lubił.

Mendel spostrzegłszy gościa strapił się niezmiernie; drugiego wyjścia z pokoju nie było a do drzwi już przybyły kołatał.

Pan Antoni otworzył pośpiesznie.

— Cóż to za konferencja sekretna? — mówił śmiejąc się przybyły.

Mendel duch w sobie zatamował i mrugał tylko na gospodarza znacząco; ale pan Antoni był człek determinowany, drzwi więc na klucz zamknął na nowo i rzekł zwracając się do Mendla:

— No, cóż mrugasz, to nic nie pomoże, i tak niedługo wszystko się rozgłosi—owszem, sąsiad przybył w sam czas... nic nikomu nie mówiąc możemy się naradzić, a pan Piotr nam pewnie doskonale pomoże.

— Uf! — westchnął Mendel.

— O cóż to chodzi? — spytał przybyły.

Gospodarz opowiedział rzecz całą- Mendel pocił się tylko i obcierał, ale nic już nie mówił, chociaż śmiechu i żartów było niemało. Szlachcic koncept wykradzenia wybornie przypadł do smaku; nie ryzykowano nic, bo cała

rzecz spadła na żyda, z jednej zaś strony przedstawiał się romantyczno-komiczny epizod, a z drugiej, gdyby się sprawa udała, były widoki niemałego dla Brzozowej dochodu. Po krótkiej więc naradzie plan Mendla utrzymany został w całości, z dodaniem niektórych akcesorjów romantycznych, i postanowiono starą Ryfkę wykraść, na podobieństwo uciemiężonej piękności. Mendel wieczną zaprzysięgając wdzięczność, nadzwyczaj był uradowany; po chwili jednak zafrasował się mocno.

— Proszę pana — rzekł zwracając się do gospodarza — ale jedna rzecz jest źle.

— Co?

— Jak panowie moją matkę będą kraść— to *jak* ona będzie jechać?

— Jak to *jak*? będzie jechać pysznie — karetą.

— Nu, ja wiem, że ona będzie jechać z korytem, ale ona będzie *sama* jechać?

— Więc cóż?

— A ja będę musiał się zostać w Wólce, bo w szabas mnie jechać niewolno, matka z gewałtem, nu to musi — a mnie by trzeba było być z matką razem w Brzozowej — koniecznie...

— Będziesz dyrdał piechotą--zaśmiał się pan Piotr.

— Aj! waj! a kiedy ja zajadę z piechotem? — a jeszcze jak mnie dogonią, może być jaka — nieprzyjemnoszcz.

— Cóż my na to poradzimy, kiedy tobie jechać nie wolno.

— Nu, toż to że nie wolno — ale jakby mnie panowie także ukradli z gewałtem, to ja bim muszał jechać.

— O! jak tak, to bardzo łatwo—przerwał gospodarz — siądziesz razem z matką i pojedziesz.

— Herste?! ja sam nie sządę, mnie sze tego robić nie godzi — protestował Mendel — tylko niech panowie każą mnie ukraść. Ale z przeproszeniem, kto będzie kradł?

— My będziemy jechać konno przy powozie — mówił pan Antoni — a Zboiński ekonom z Jaśkiem pochwycą Ryfkę i ciebie.

— Zboiński z Jaszem?! — zawołał Mendel — ale oni są obidwa głupie, jak oni mnie będą kraść a ja będę krzyczał, gewałt! to oni mnie gotowi porżucić.

— To nie krzycz—mówił śmiejąc się pan Piotr.

— Jak ja nie mam krzyczeć, kiedy oni mnie będą pochwycić z gewałtem?

Pan Antoni trzymał się za boki ze śmiechu.

— At! głupiś — rzekł wreszcie — mniejsza o to, ja Zboińskiemu powiem, to cię nie puści, bądź spokojny.

— Nu, nie, to gut—odparł pachciarz — ja w piątek do Wólki pojadę, tam będę szabasował i czekał, a w sobotę wieczorem będzie robota.

I to mówiąc kłaniał się nizko, zabierając się do wyjścia, ale na progu zatrzymał się jeszcze i na palcach podchodząc do gospodarza, rzekł z cicho:

— Proszę pana, ale ten Zboiński, on jest dureń, żeby on czasem nie uważał na tego, co ja będę gwałtować, żeby mnie nie zostawił.

— Bądź spokojny—odparł pan Antoni — idź już, idź i nie nudź.

— Nu, gut, gut, ale proszę pana, jak ja będę krzyczał... a on mnie zechce bić?...

— A niechże cię... — zawołał zniecierpliwiony gospodarz — a to nudna szkatuła, już ci mówiliśmy, że będzie wszystko jak trzeba.

— Nu, nu, przepraszam wielmożnego pana, niech już tak będzie—mówił Mendel, a zapominając, że miał być bratem samego mesjasza i kłaniając się po raz setny, wyszedł z pokoju.

W Sobotę dnia 14 sierpnia, Imć-pan Jan wrócił właśnie wieczorem od żniwa, niedość że zmęczony, ale i kwaśny, bo zbiory jak to bywa najczęściej, nie odpowiadały wcale nadziejom, jakie się na wiosnę przedstawiały. Stary Jeziorański, stojąc w progu, czekał na obliczoną właśnie przez pana gotowiznę i kwit-

ki dla robotników. Tymczasem, że wieczór był piękny, nakryto do herbaty na ganku. Pani Janowa z dwiema córeczkami, podlotkami od lat 10 do 12, czekała na męża krzątając się koło stołu; bo choć z bogatego domu, za niemajętnego szlachcica wyszedłszy, nauczyła się być wyborną gospodynią, jak wzorową była żoną i matką. Dla uzupełnienia wiadomości o tej zacnej matronie dodać musimy, że jedyną jej wadą, jeśli to za wadę poczytywać można, było zbyteczne niespokojenie się przyszłym losem młodziuchnych jeszcze córeczek, w któreby rada była wlać wszelką mądrość i wychowanie dać najświetniejsze. Ta myśl zatruwała jej życie, a często i humor, dając nierzadko powód, jeśli nie do sprzeczki, to przynajmniej do gorących dość rozmów z panem Janem; żona bowiem pragnęła edukacyję córek prowadzić w Warszawie, czemu mąż stanowczo się sprzeciwiał.

Bona francuzka, mademoiselle Flondre, oparta o ganek z założonemi na piersiach rękoma, poetyczno-melancholiczny wzrok rzucała na wybujałą za płotem szparagarnię, kędy wijącą się ubitą ścieżką często się przesuwał pan pisarz prowentowy, wcale nieszpetny młodzieniec.

Oczekiwania trwały niedługo: niebawem nadszedł gospodarz; w milczeniu zabrano się do podwieczorku.

Pan Jan miał bowiem ten zwyczaj, że dopóki nie pochłonął swej zwykłej porcyi kwaśnego mleka z razowym chlebem, żadna siła ludzka słowa z niego wydobyć nie zdołała; później dopiero przy szklance herbaty zapalał fajeczkę i już był gotów do gawędy, którą sam chętnie zaczynał.

Tak właśnie i teraz się stało.

Gospodarz skosztowawszy herbaty, którą nawiasem mówiąc, za *malum necesarium* uważał, zwróciwszy się na krześle, aby przed oczami mieć cały dziedziniec, a pierwszy kłęb dymu z ulubionej fajeczki wypuściwszy, westchnął głęboko i rzekł półgłosem:

— Źle.

— Co się stało? — spytała pani.

— Mało kop staje na polu — odparł mąż — a taka piękna wydawała się ozimina!

— Nie masz co się martwić, moje serce,— mówiła żona — przecie co roku to samo; zawsze z wiosny rachujecie wielkie plony, a jak przyjdzie żniwo, stękacie, można się już było do tego przyzwyczaić.

— No, to prawda — odrzekł mąż niechętnie — i przyznam ci się, że mi już to gospodarstwo kością w gardle stoi.

Uśmiechnęła się pani.

— Zawsze na gospodarstwo narzekasz, a i trzech dni bez niego wytrzymać byś nie mógł.

— At! przyzwyczajenie, nie ma to, panie dobrodzieju, jak być kapitalistą, kuponiki sobie dwa razy na rok spokojnie obcinam — ot żniwo, ani mokradła, ani posuchy, ani gradu się nie boję.

— To sprzedaj Wólkę, ja ci to dawno mówię; można będzie Julci i Zosi dać edukacyę porządną...

— O przedaj — odparł pan Jan — łatwo to powiedzieć, najprzód ojcowizna z dziada pradziada.

— A kiedy ci źle.

— Hm, źle — mruknął pan Jan — a jabym w Warszawie z tęsknoty zdechł... co to panie szlachcicowi na bruku! to nędza!

— Z kapitałem, mój kochany, nigdzie nędzy nie ma, sam przecie chwalisz to spokojne obcinanie kuponów.

— Ba... o.. tego... z kapitałem, z grubym kapitałem to rozumiem, ale kto da? ot...

— Ja ci dam kupców — rzekła pani rezolutnie.

— Hę? kupców? a to ciekawość, jakich kupców?

— Właśnie ci to chciałam opowiedzieć; wczoraj jakem jeździła, nasłuchałam się ciekawych rzeczy.

— A! od pana Alojzego - przerwał mąż — zachciałaś...

— Ale czekaj, to ważne rzeczy — mówiła żona — opowiadał mi pan Alojzy, że będąc w Londynie, porobił wiele znajomości i anglicy chcą u nas kupować majątki, mają płacić ogromnie, bo u nich kapitały daleko mniejszy dają procent, niż u nas majątki, dał mu słowo lord Kundelbury, że tu przyśle swego agenta. Chce kupić wielkie obszary, zaręczył mi pan Alojzy, że razem z ich majątkiem i my Wólkę przedać możemy.

— At! — machnął ręką pan Jan — wierzysz temu — pięknie by tu anglik na Podlasiu wyglądał, jakby mu naprzykład wójt Iwan zaproponował pójść do kozy.,. chciałbym go widzieć... lub gdyby mu się tylko w łapciach wpakował do gabinetu. Ale ja ci się przyznam moje serce, że chociaż tego roku, prawda, ozimina nie bardzo dopisała, za to Bóg łaskaw dał nam wcale nieprzewidziany i nie mały dochód z tych żydów, co się tak do Arona zjeżdżają.

Na zapytanie żony, nie raz już powtarzane, o przyczynę zjazdu, pan Jan, jak zwykle, wymijające jakieś dawał odpowiedzi. Spostrzegł się bowiem, że z przechwałką o tej pomyślności wyrwał się nie potrzebnie, mając to sumienne przekonanie, że czasem można coś w złą godzinę wymówić. Że zaś powiedziano jest w Piśmie: „jak wierzycie, tak się wam stanie”, nie kontent był z tej nieoględności. Jakoż wypadki okazały niebawem, że wiara pana Jana w tym względzie na gruntownych opierała się podstawach.

Podwieczorek był skończony, uprzątniono ze stołu; pani Janowa, mademoiselle Flondre i panienki poszły do ogrodu, gospodarz w myślach pogrążony; pykając fajeczkę, został jeszcze na ganku.

Mrok już zapadać poczynał, gasły powoli różowe blaski wieczornej zorzy na zachodzie, po znojnym dniu uroczysty nadchodził spoczynek. Cisza zaległa w koło, zaledwie kiedy niekiedy przerwana gdzieś w gęstwinach bzów, zatrzepotaniem ptasich skrzydełek, lub od wsi, zdala, słaby powiew wiatru niósł przytłumione, pojedyncze, spóźnionych pracowników głosy.

Któżby w letni wieczór podobny nie zamrzył błogo i nie zapomniał o świecie?

Czyjeż serce nie ma życzeń, wspomnień i nadziei? Nie dziwmy się więc poczciwemu panu Janowi, że się zadumał głęboko; fajka już zgasła i wystygła oddawna, on siedział nieruchomy i zamyślony.

Nagle, wśród tak uroczystego a poważnego milczenia, dał się słyszeć okrzyk, ale okrzyk dziwny, przeraźliwy a potężny; głos jak jeden, z dziesiątków wszelako czy setek złożony głosów: grubych, cienkich, chrapliwych, czystych, piskliwych, nosowych, gardlanych i piersiowych; jednym chórem i w jednem mgnieniu oka wybuchnął gdzieś w okolicy karczmy, w ciszy tej, jak płomień wśród ciemnej nocy; podniósł się i urwał na chwilę, a powstając gwałtownie po raz drugi, przeszedł w gwar jakiś nieokreślony, głośny, groźny, osobliwy a niezrozumiały.

Pan Jan, na ten wybuch, pierwszy zerwał się na równe nogi.

— Co to jest?! — wykrzyknął mimowolnie, a przychodząc niejako do przytomności dodał: — Te bestyje żydy, dyjabli wiedzą co wyrabiają, powaryowali!

Ruszywszy wreszcie ramionami, uśmiechnął się i zabierając fajkę, wszedł do pokoju.

Zaledwie przeszło minut kilkanaście, wpadł zadyszany Jeziorański.

— A to! proszę jaśnie pana — ozwał się już w progu, drzwi przymykając — jak Boga kocham, kommedyja się zrobiła.

— Co? — słyszałem jakiś krzyk okropny u żydów.

— Otóż to... aha... u żydów — prawił ekonom, powstrzymując się od śmiechu. — Proszę jaśnie pana, już świeczki do szabasu zaczęli zapalać — a to wiadomo, wieczór ciepły — wyroiło się tego przed karczmą aż czarno, spacerowali a kiwali się, chodząc i wyglądając *miesiąca* — aż tu, proszę jaśnie pana, kiedy gdzieś z za krzaków koło gościńca wypad

kilku ludzi, porwali starą Ryfkę, wpakowali do karety, co gdzieś-ci za krzakami stała — i hajda *bez* pole, na gościniec — w konie — i pojechali!!

— I powieźli?

— Poooowieźli, proszę jaśnie pana co koń wyrypnie... ja sam widział, karetą, jak *Boa* kocham, karetą i było coś z kilku ludzi konno przy karecie.

— Czy to może być? —zawołał pan Jan.

— Ale kiedy, proszę jaśnie pana, wszyscy widzieli, ja sam patrzyłem, bo *ono* dopiero jak z za krzaków kareta się *wykazała*, to się wszyscy spostrzegli i żydzi krzyk podnieśli

— I gdzież pojechali?

— Het, gdzieś gościńcem, kto ich wie?!

— A cóż żydy?

— Sądny dzień, proszę jaśnie pana, lament taki! a najgorzej co szabas, bo gonić zaraz nie mogą — co tam się teraz dzieje, — mówił Jeziorański kiwając głową, niech ręka Boska broni!

— A to ciekawa rzecz — i kto to mógł zrobić?

— A kto ich wie — powtórzył ekonom, rzucając rękoma.

Wieść przyniesiona przez Jeziorańskiego okazała się prawdziwą, a w parę godzin po owym wypadku, karczma, domek pachciarza, dziedzińce i ulica tak przedtem ożywione, opustoszały zupełnie. Ani jeden żyd w Wólce nie został. Całe zgromadzenie rabinów, ich swity, oraz liczni goście, odszabasowawszy na prędce i kugla nawet ani łokszynu nic dokończywszy, ruszyli się niebawem w pogoń, pod przewodnictwem kilku ekspertów handlujących końmi, którzy i uciekać i gonić umieją, znając się na tropach jak najlepsze ogary.

Tymczasem, kareta uwożąca heroinę i eskorta co jej towarzyszyła, szybko umykały gościńcem; ale droga była nieco piaszczystą, fornalskie chabety do ciężkiej, staroświeckiej wprzężone landary, w połowie podróży folgować trochę zaczęły; jechano już kłusem. Pan Piotr z panem Antonim na niezłych wcale szkapach harcowali za karetą, śmiejąc się serdecznie i rozmawiając wesoło; wstrzymali wreszcie konie, chcąc zapalić cygara. Pan Piotr miał słuch wyborny.

— Cicho! — ozwał się do towarzysza, zdaje mi się, że nas gonią.

— Nie nas, ale nadobną Ryfkę.

— Wszystko jedno.

— To ci się zdaje — na gościńcu nic nie widać.

— Nie widać, ale ja słyszę doskonale.

— A no, to zmykajmy.

— Także! — zachciałeś... żebym ja przed żydami uciekał!

— Ale Ryfka?

— Napędzim landarę, każemy prędzej jechać, a sami zaczekamy trochę — zobaczymy tę kawalkatę.

Kazano parobkowi poganiać, wychudzone szkapy ostatnich sił dobywały, odwieczna landara skakała po kraglakach, któremi fornirowana była wązka grobelka, o parę wiorst już tylko od Brzozowej odległa.

Ale też i turkot pogoni, z okrzykami, piskiem i wiskiem, a hukaniem na konie, dolatywał coraz wyraźniej.

Z karety również dobywały się głuche jęki i stękania, wśród których dosłyszeć było można jakby ryk jakiś od czasu do czasu dziwny, przytłumiony i głos lamentujący.

— Aj! gewałt! Wasse — uf! Wasser!

Nie zważając jednak na to wszystko, pędzono dalej, już się kareta do wsi zbliżała, gdy nagle, usłyszano trzask — powóz przechylił się na bok, koło rozsypało się w kawałki — konie stanęły, a tuż i ćma żydów wywróconą landarę opadła.

Zapalczywi a roznamiętnieni pogonią rzucili się do wyciągania starej Ryfki z powozu, żydowica w niebogłosy jęczała, bo ją tarmoszono; szturchano i rwano niemiłosiernie. Mendel, w pomroku nocy, oberwawszy coś po skórze, salwował się ucieczką. Wrzawa nie ustawała; Ryfka jęczała wystraszona i ledwie

żywa leżąc na piasku. Któryś dopiero z roztropniejszych rabinów nadjechawszy, zajął się zrobieniem porządku.

Należało chorej dać jaknajprędszy ratunek i spokój — świeciły okna Brzozowieckiej karczmy niedaleko... nie było innej rady, Ryfkę porwano na ręce i stękającą wpakowawszy na brykę ruszono, ale i tu znowu wystraszone hałasem konie splątały się i porwały postronki.

— Halt! halt! halt! — słychać było wśród nocy, nastąpiły reperacyje, zawiązywania i szwargot między furmanami.

— Czepe-zu, czepe-zu, möchte nicht herum ruchen!!

Ruszono nakoniec.

Cały gwarny i hałaśliwy tabor pociągnął do Brzozowej i niebawem tak się rozgoszczono tutaj, jak przedtem w Wólce.

Mendel, chociaż poszturchany i wystraszony, dopiął swego celu.

Ryfka stękała w alkierzu, a rabiny ponakładawszy lisie czapki i śmiertelne koszule, kiwali się w pierwszej izbie nad staremi foljałami.

Przez niedzielę nic się nie zmieniło.

Mendel tylko wpadł rano do pana Antoniego wielce uradowany, za kupnem zapasów do utrzymania licznych gości nieodzownych.

W poniedziałek około południa rozeszła się wiadomość, że Ryfka jest bardzo słaba i że po doktora posłano; nazajutrz zaś, w pamiętnym dniu 17-go sierpnia, kiedy nasz gospodarz w Brzozowej leżał jak zwykle rano na kanapie, zajęty czytaniem, popijając wystygłą herbatę, zjawił się doktór powiatowy.

— Upadam do nóg!

— Szanowny konsyljarzu dobrodziejn, zkądże pan Bóg prowadzi?

— A no, przyjechałem do tej starej żydówki.

— Aha, no i cóż? zmiłuj się dobrodziejn, gadaj

— Dyjabli ich wiedzą, z temi rabinami...

— No, czy istotnie tego?...

— Otóż właśnie — odparł doktór, ruszając ramionami i rozstawiając ręce — licho wie co to jest... nie mogę zrozumieć... no, jażci bywają wypadki... ale tu...

— I cóż będzie?

— A no, ja się tam bawić nie będę, w mesyjasza mi uwierzyć trudno, palnąłem babie rumbarbarum i jalapy... co będzie, to będzie.

Doktór począł rozpowiadać różne podobnego rodzaju wypadki, gawędzono długo. Po obiedzie, około godziny pół do drugiej, wpadł Mendel, prosząc pana Antoniego, żeby kazał wydać z magazynu okowity; że to zaś towar jest, który się ulatnia łatwo, a cenę ma w ostatnich czasach bajeczną, gospodarz nie chcąc się wyręczać nikim, ruszył sam z kluczami; doktór tymczasem pospieszył do karczmy, chcąc się o stanie chorej dowiedzieć.

Pan Antoni, po wydaniu okowity, zamykał właśnie magazyn, Mendel odtoczywszy beczkę na brzeg ganku, szedł na dół po schodach, — gdy na raz... drgnęła silnie i zakołysała się ziemia, ściany i dach na starym magazynie skrzypnęły złowrogo... Mendel zbladł, zachwiał się i — runął jak długi, ale w tejże chwili zerwał się na nogi.

— Nehemi!! — wykrzyknął gwałtownie — gewałt, Nehemi!!

I zapominając o wszystkiem, popędził do karczmy jak szalony.

Było to sławne w dziejach okolicy nadbużnej, uważane dnia 17 sierpnia 1875 roku, za trzęsienie ziemi.

Ludzie powystraszali się na on czas mocno; stracono bowiem dotychczasową nieograniczoną ufność w ziemię — jedyną podstawę — nie wiedziano na co już w ostatku rachować.

Pan Antoni jeszcze sobie dobrze z całego wypadku sprawy zdać nie umiał, kiedy i doktór nadbiegł już do dwora, ale się tak śmiał, że przez dziesięć minut przynajmniej nic się od niego dopytać nie było podobna.

— No i cóż?, gadajże szanowny konsyljarzu — mówił gospodarz — bo usycham z ciekawości.

Oj! czekaj pan, czekaj — odrzekł doktór — niech się trochę uspokoję, bo mię w boku kole od śmiechu.

— Cóż to było?

— Szkoda żeś pan tego nie widział — mówił doktór — wszedłem właśnie do pierwszej izby w karczmie, a drzwi od alkierza, gdzie stara leży, były zamknięte, kiedy nastąpiło wstrząśnienie ziemi. Oto był widok! — żydzi niektórzy z ławek pospadali, inni zerwali się na nogi, najprzód zaniemieli i pogłupieli kompletnie, potem podnieśli krzyk, hałas i tartas tak okropny, iż myślałem, że się karczma rozwali, najpewniejsi byli, że się już messyjasz urodził, wpadli do alkierza...

— I cóż? — pytał pan Antoni.

— A no — ciągnął doktór — okazało się, że w tej właśnie chwili... moje lekarstwo poskutkowało; stara Ryfka ma się daleko lepiej, będzie zdrowa i mogę zaręczyć, że się już messyjasz nie narodzi.

. . . .

Taka jest wiarogodna historyja o owym Nehemi i trzęsieniu ziemi na Podlasiu, do której jako epilog, dodać musimy, że dekretem przez uczonych rabinów wydanym, skazano Mendla na bosiny za pokutę i karę, iż z jego przyczyny Nehemi przyjścia swego na świat w obecnym czasie odmówił — ponieważ Mendel był powodem pogwałcenia szabasu. Wiadomo zaś, że w Talmudzie „stoi napisano", iż messyjasz wtedy na świat przyjdzie, kiedy choć jeden szabas na całej kuli ziemskiej będzie tak obchodzony, jak należy.

Kajetan Kraszewski.

Nerwowe niewiasty.

Ks. Radziwiłłowa tak się bała żab, że wieczorem letnim, kiedy najprzyjemniej przechadzać się na świeżem powietrzu, ona z pokoju nie wychodziła, lub chcąc dotrzymać kompanji drugim, kazała się na ręku nieść i patrzyłem nieraz, jak hajduczysko silny dźwigał tę babę. Zaś Woroniczowa kasztelanowa, podobny wstręt miała do kota: a to aż do affektacji; bo nawet wzdrygała się wspomnieć *kot*, a zwała go *paskudnik*. Gdy tedy raz zjechały się w Januszpolu, wydarzyło się, iż Radziwiłłowa siedziała na kanapie pod oknem, a naprzeciw niej, koło stolika przy kanapie będącego, Woroniczowa twarzą do okna obróconą była. A że dzień był gorący, okna do ogrodu były otwarte, a dom stary jeszcze i okna dość nizkie miał: w tem kot z podwórza wsuwa głowę w okno, nie śmiejąc jeszcze wskoczyć, dla siedzących osób. Gdy to zoczyła Woroniczowa, krzyknęła z przestrachem: „ach! lizie!" Radziwiłłowa, wyobrażając sobie, że to może żaba, gdy tamta drugi raz zawołała: ach! lizie! zrywa się bez przytomności z kanapy, i rzuca się na Woroniczową; ta znowu, głowę nabitą mając kotem, wyobrażała sobie, że on już przelazł przez okno i na nią się czepia. Zaczynają baby nieludzkim głosem wrzeszczeć i szarpią na sobie, jedna drugiej, ubiory — a właśnie wydarzyło się, że prócz ich dwóch, nikogo więcej w pokoju nie było, moja matka nawet, na ten moment nie znajdowała się. Na ten okrzyk i tartas, dopiero wybiegły panny służące, nadeszła i moja matka i rozerwawszy te dwie zapaśnice, zreflektowały je i do przytomności doprowadziły. Głośna to była awantura w całem województwie; bo i one same, i domowe osoby, rozgadały tak szczególne wydarzenie.

(*Józef Ignacy Kraszewski*: „Pamiętniki Seweryna Bukara.")

Nędza.

Naczelnik znanej fabryki szampańskiego wina, Röderer, odebrał pewnego dnia list następującej treści:

„Panie! nie mam grosza przy duszy, a jestem amatorem zapalonym szampańskiego wina. Bądź łaskaw przysłać mi kosz tego boskiego nektaru. Otrzymawszy go zapomnę choć na chwilę o dręczącej mnie nędzy."

„Mój panie!—odpowiedział przebiegle Röderer. — Pańskie lekarstwo na nędzę nic nie warte. Nieustanne bez żadnej względności przysyłanie panu rachunku do zapłacenia, co chwila by panu jego nędzę przypominało."

* *Nędza królewska.*

Henryk IV ty pisał do Sully'ego z pod Amiens:

„Jestem bardzo blizko nieprzyjaciół, a nie mam ani konia zdatnego pod siodło, ani siodła, ani co włożyć na siebie. Koszule rozleciały mi się w kawałki, wszystkie kaftany mam dziurawe, łokcie z nich wyłażą. Kociołek mój często przewrócony do góry dnem i już od dwóch dni żywię się czem mogę i u kogo mogę, gdyż dostawcy moi powiadają, że nic dla mnie dostać nie mogą... Co prawda, to i oni od sześciu miesięcy nie dostali ani grosza."

(Anegdotes des reines et regentes de France.)

Niania.

— Płosę mamy ja chcę być żołnierzem.

— Dobrze, zostaniesz żołnierzem, ale będziesz musiał rozłączyć się ze swoją nianią.

— A po co, kiedy żołnierze chodzą z nianią.

„Nic."

Nic jest to:

Kassa po ucieczce kasjera.

Treść artykułów wstępnych wielu pism.

Raty dłużników, pożyczających na „słowo honoru."

Posag niewypłacony z góry, nazajutrz po ślubie.

Coś, co zastępuje miejsce mózgu u niektórych ludzi.

Niebezpieczeństwo.

— Umykajmy co tchu na drugą stronę!

— Dlaczego?

— Bo patrz, tam wali prosto na nas konsul hiszpański.

— No więc cóż?

— Jakto cóż? A cholera w Hiszpanji to pies? Dalej w nogi!

* *Niebezpieczne poselstwo.*

Henryk IV-ty lubił niezmiernie jednego ze swoich rumaków tak dalece, że wyraził się pewnego razu, iż każe powiesić tego, który mu przyniesie wiadomość o śmierci konia. Koń ten zakończył jednak życie; nikt nie chciał naturalnie uwiadomić króla o tem. Wreszcie pewien Gaskończyk podjął się tej missyi.

— Ach! najjaśniejszy panie — zawołał wchodząc do królewskiej komnaty — koń! ten piękny koń!... koń Waszej królewskiej mości!... O nieba! ten arcy cenny koń!...

— Co? mój koń? — zawołał król gwałtownie — cóż mu się stało? — założę się że nie żyje!

— Najjaśniejszy panie! musisz się kazać powiesić—odpowiedział Gaskończyk.

* *Niebezpieczne sąsiedztwo.*

W omnibusie przepełnionym pasażerami, siedział jegomość, który bezustanku palił.

Obok niego znalazł się wieśniak, który co chwilę poprawiał kapelusz, to drapał się w głowę; kiedy zaś palący strząsał popiół z cygara, wieśniak nagłym ruchem usuwał się na bok. .

Tego szczególnego zachowania się, nie umieli sobie towarzysze podróży wytłómaczyć; niektórzy przypuszczali, że wieśniak nie znosi dymu z cygara.

Nakoniec niespokojny pasażer przemówił do palącego pana.

— Łaskawy panie, byłbym bardzo rad, gdybyś pan przestał palić.

— A to czemu? — spytał jegomość uśmiechając się drwiąco. — Czy może nie znosicie dymu? To jest przedział dla palących i dla tego palę.

— Wiem, wiem, że tu wolno palić, zresztą dym nie szkodzi mi wcale, ale, ja tu z sobą mam worek z prochem.

Jegomość zbladł jak trup i natychmiast wyrzucił cygaro przez okno powozu.

Wkrótce potem wieśniak wysiadł, wyjął z pod siedzenia worek z... kartoflami, ukłonił się uprzejmie i poszedł w swoją drogę.

Niebo.

— No, jestem najpewniejszy, że mnie niebo nie ominie — mówił posłaniec miejski, stojąc na rogu ulicy ze swymi towarzyszami.

— Jakim sposobem? — zapytali zaciekawieni.

— Tylko słuchajcie! jeśli umrę przed moją żoną, będę w niebie — jeśli moja żona umrze przedemną, też będę w niebie!

Nieboszczyk Kociełł.

Pan pisarz, wielki *gadativus*, prawił mi w drodze rozmaite historyje; ale między innemi rozpowiedział ciekawą rzecz o samejże Bienicy, do której dążyłem; co wedle mego zwyczaju, zapisuję tutaj.

— Czy już mieszkałeś kiedy w tej rezydencyi? — zapytał on mnie.

— Nie. Pierwszy raz tam będę.

— To nie wiesz zapewne, z jakiej pamiątki założony tam wasz kościół?

— Nie wiem, dobrodzieju!

— To ja ci powiem.

— Proszę najuniżeniej i słucham.

— Oto tak było. Dobra te należą oddawna do możnej i bogatej w Litwie familji *Kociełłów*. Jeden tedy z ich *antenatów* powracał z jakiejś podróży do domu, a mieszkał pono w *Mołodecznie*, bo i *Mołodeczno quondam* do Kociełłów należało i niedawno jeszcze *per donationem* przeszło do imienia *Ogińskich*.

Przelęknione czegoś tam na drodze, konie jego uniosły, wzięły na kieł i leciały jak szalone, cugle pękły, stangret spadł z kozieł, a pan *Kociełł* bez żadnej *salwy*, widząc widoczną swą zgubę, polecał się tylko Bogu.

Nagle przyszła jemu myśl, od Boga widać natchnięta, uczynić jakie pobożne *votum*. Postanawia więc wymurować kościół i uczynić fundusz na tem miejscu, gdzieby konie stanęły.

Ledwo myśl ta jak błyskawica mknęła mu po głowie, gdy konie, jakby najsilniejszą ręką w tył targnięte, zaryły się i stanęły.

Pan Kociełł wysiadł z karocy, ukląkł na ziemi, zmówił pacierz, czy jakąś tam *pitumanną* modlitewkę swoję, ponowił *votum*, i we dwa lata na tem samem miejscu słuchał mszy świętej, gdzie mu Bóg życie zachował.

Mało na tem, mości dobrodzieju! — pod kościołem zmurował on dla siebie w ziemi sklepik osobny i przeżywszy matuzalowe lata, tam się i położył.

Lecz gdy czuł się słabym, kazał odmalować swój portret w całej postaci, przy nim stolik, pod stolikiem szkatułę otworzoną, a w szkatule kilka worków z pieniędzmi jakoby; nawet na każdym worku ponaznaczał malarz z rozkazu jego liczbami summę, którą on podyktował, i portret ten obok swego łóżka na ścianie powiesił.

Dziwili się wszyscy i odgadywali, coby to miało znaczyć? aż gdy wkrótce pan Kociełł oddał duszę Bogu, znaleziono rozporządzenie jego własnoręczne pod głowami, że obraz ten przenieść on rozkazuje do kościoła i umieścić na ścianie nad jego sklepikiem, że summy na workach oznaczone, są zakopane w jego grobie i przeznaczone na podźwignienie kościoła Bienickiego, jeżeliby kiedy uległ zupełnej *konflagracii;* lecz aby bez takiej tylko ostatecznej potrzeby dobytemi nie były, sam zatem ich strzedz postanowił i dla tego w grobie własnym one zakopał i świętokradzkim lub chciwym rękom nie da.

Otóż tedy przed laty kilkadziesiąt spalił się dach na klasztorze Bienickim; a był natenczas gwardyjanem świątobliwy i przykładny kapłan, którego sam dobrze pamiętam, bom był potem na jego powtórnej *prymicyi*, ks. *Czapkowski* i umarł on w Bienicy, przeżywszy lat sto z górą. On był tedy osądził, że właśnie stał się *casus* naznaczony przez fundatora, i że może poruszyć strzeżonych przez niego worków.

A więc po solennych egzekwiach za duszę jego, przystąpiono do odwalenia wielkiej i ciężkiej plity marmurowej, pokrywającej grób pana Kociełła.

Że nie chciano publikacyi tej roboty, więc wzięto się do niej w nocy, przy lampach i w zamkniętym kościele, a kilku tylko *patrów* i przy nich kilku zaprzysięgłych braciszków pracować zaczęło.

Mrowie wszystkim po skórze przechodziło i robota szła niesporo. Ks. Czapkowski modlił się bez przestanku i kropił pracujących, ośmielając ich i tłomacząc, że pieniądze te pójdą właśnie podług woli pana Kociełła i że tyle tylko z nich weźmie, ile konieczna potrzeba wymaga. Nakoniec podważono kamień i podjęto na drągi...

Grób otwarty...

Pokropił go i schylił się doń ks. gwardyjan chcąc zajrzeć w głąb...

Wtem lampa, jakby z rąk mu wyrwana, wpadła do sklepu i rozprysła się tam z brzękiem i dźwiękiem, a razem kamień runął z łoskotem na swoje dawne miejsce i rozrysował się na kilka części... i na dobitkę, w tym samym momencie, ogromny a okropny trzask, jakby łamiącego się muru, ogłuszył wszystkich i wszystkie lampy pogasły...

Ojcowie i bracia padli na ziemię, jak nieżywi, a każdy posłyszał, jakby ponuro szepnięte sobie nad uchem: *Requiescat in pace!*

— Więc pan Kociełł nie dał pieniędzy?

— A oczywiście nie dał i miał racyę: bo klasztor, to nie kościół, mospanie! a nawet zawarował sobie pokój przez to *requiescat in pace!*

Otóż jak przyjdziesz do Bienicy, możesz i obaczyć ten portret, który i teraz znajduje się na swojem miejscu; kamień nad grobem porysowany na kilka części i szczelinę wielką na ścianie kościelnej, którą nazajutrz ujrzysz i którą chociaż zaprawiają, znaczną jest jednak i do dziś dnia.

Leonard Chodźko (p. t. I, str. 188).

Nic — *czy tak?*

„Tak" — mi mówią twe *oczęta*,
Oh, „nie"!.. — *usta* twoje,
Więc choć wabi mnie ponęta,
Omylić się boję...

Wiem, co zrobię!.. Znaków owych
Wątpliwość rozsnuję:
Nie tknię *ustek* koralowych
Oczki... ucałuję!..

H. Ćwik.

Niedogodność.

— Cóż! fraca pan s Berlina, jakże się panu podobala nasza flelka stolica?

— Miasto wcale ładne, tylko niemców trochę za wiele.

Niedomyślny.

— Panie L., mój panie, nie widziałeś pan dzisiaj przypadkiem Krysztofa Kolumba?

— Krysztofa Kolumba? Pan sze może pyta o Kirszrota, tego. co to jest adwokat przysięgłe?

Niedowiarek.

Ojciec Lacordaire, będąc w podróży, siedział przy *table d'hôte*, obok jakiegoś agenta kupieckiego, który się popisywał ze swojem niedowiarstwem.

Nagadawszy się, zwraca się do rozgłośnej sławy dominikanina z następującem zapytaniem:

— To ty, ojcze, powinieneś nas objaśnić w tej ważnej kwestyi... Czyliż nie jest absurdem wierzyć w to, czego nasz rozum nie może pojąć?

— Bynajmniej — odpowiada duchowny — ja jestem przeciwnego zdania... Alboż pan rozumiesz dla czego masło rozpuszcza się na ogniu; a jaja tężeją? — dwa skutki całkiem przeciwne, pochodzące z tej samej przyczyny?

— Nie rozumiem — odpowiada ateusz — ale jakiż wniosek wyprowadzasz pan z tego?

— Takie—rzecze Lacordaire, — że to panu wcale nie przeszkadza wierzyć w jajecznicę.

(*P. Larousse*, Grand Dict. du XIX siècle).

Niedźwiedź.

W jednym z teatrów w Europie, potrzebowano do jakiejś sztuki niedźwiedzia. Młody chłopak przyjął tę rolę na siebie i zaraz go też obszyto w skórę niedźwiedzią. Gdy wy-

szedł na scenę, w kilka minut dały się widzieć błyskawice, a następnie grzmoty i pioruny słyszeć. Chłopak, nieprzygotowany do takiej kanonady, do tego stopnia stracił przytomność, że wspiąwszy się na tylne łapy, przednią się przeżegnał i drapnął za kulisy...

* *Niedźwiedź śpiewający.*

W jednym z londyńskich teatrów, wystawiono znaną francuską operetkę p. t. „Mleczarka", w której kulminacyjną sceną jest walka myśliwego z niedźwiedziem.

Myśliwy strzela, nie trafia, rzuca się na niedźwiedzia, mocuje się z nim, powala na ziemię, dusi, siada na nim i zaczyna śpiewać aryę tryumfalną. Operetka ta, a zwłaszcza scena z niedźwiedziem, cieszyły się nadzwyczajnem powodzeniem.

Pewnego dnia, zgłosił się do dyrekcyi pewien gentelman z prośbą, aby mu pozwolono wystąpić w roli niedźwiedzia. Dyrektor zgodził się chętnie. Wieczorem wszystko idzie w porządku.

Nadchodzi scena z niedźwiedziem

Myśliwy strzela, nie trafia, rzuca się na niedźwiedzia, mocuje się z nim, lecz gentelman, a właściwie niedźwiedź, będąc silniejszym powala na ziemię myśliwego, dusi go, siada na nim i śpiewa aryę tryumfalną.

Efekt... olbrzymi.

* *Nie głupia.*

Kiedy się lepiej zalecać, doktora
 Pytała panna, z rana, czy z wieczora?
Doktór powiada: lepiej to osłodzi
 Wieczór, lecz rano nie tak zdrowiu szko- [dzi.
Uczynię, mówi, według twego zdania:
 Wieczór dla smaku, dla zdrowia z zara- [nia.

Morsztyn (p. str. 6).

* *Nie kradnij*

Nasz Walek iście dzielny... chłop.
Nie od proporcyi głowa,
Żyje jak król, nie robi nic
A przykazania chowa.

Dawniej za długie palce miał
(Błąd familijny w rodzie).
Więc z przykazaniem siódmem on
Żyć w dobrej nie mógł zgodzie.

Jednak go święty jakiś mąż
Tak przy spowiedzi skruszył,
Że przykazania odtąd już
Siódmego nie naruszył.

Kiedy więc czasem bieda go
Przyciśnie mocno sroga,
Z sąsiada mieniem dzieli się,
Lecz bez obrazy Boga.

Gdy go sąsiedzki nęci drób
Na połów do kurnika,
Do siedmiu tylko liczy sztuk
A ósmej już nie tyka.

„Nie kradnij, siódme" mówi on
„Kraść, jakżeż to nie ładnie!"
Odkłada ósmą sztukę więc
I — wnet dziewiątą kradnie.

Hugo Pfisterer

Niektóre.

Ach! niektóre panie
 Mają zwyczaj brzydki,
Podnosi ubranie
 Aż powyżej... kostek.

Nie dziwcie się damy,
 Że gdy kto was spotka,
Powie: znamy! znamy!
 To jakaś... tancerka.

N.

* *Nielitościwy wujaszek.*

Pani D. nie lubi rozmowy o wieku, z obawy, iżby jej o liczbę przeżytych wiosen nie spytano,

Pewnego razu w licznem zgromadzeniu mówiono o jakiemś słowie, którego znaczenie nie znane było p. D.

Wuj jej, który był temu obecny, zawołał:

— Jakto! nie rozumiesz tego? ależ od trzydziestu lat powinnaś już o tem wiedzieć.

— Oh! — powiedziała rumieniąc się zapytana — trudno być uczoną, gdy się ssie mamkę.

— Co mi tam gadasz — przerywa wujaszek — czy chcesz mi wmówić, że ssałaś mamkę, mając pietnaście lat?...

Niemcy.

Wiele jeszcze miejsc w historyi Niemiec jest ciemnych.

Niewiadomo dotąd, kto nakreślił plan katedry Kolońskiej i kto wynalazł *der*, *die*, *das*, gdyby który z uczonych rozjaśniał te dwa punkta, biust jego po śmierci umieszczony zostanie w Walhalii na miejsce Kopernika, którego autorament niemiecki już i niemcy podejrzywają.

Niemcy, są to ludzie mali. obciążeni ogromem idei — chodzą po ulicy z otwartemi ustami, na znak wolności słowa.

Niemiec.

— Czego ty Wojtek nie mówisz dziedzicowi, jaśnie panie?

— A kiej on niemiec.

— Ale zawsze dziedzic, więc mu się należy...

— A juścić prawda, niemcowi zawdyk się coś należy.

Niemuzykalny.

— Czy pan jesteś muzykalny?

— Nie pani. *Raz* tylko jeden grałem na fortepianie.

— Jakto *raz* jedyny?

— A tak;— w braku stolika do kart, graliśmy preferansa na fortepianie.

* *Nieokreślony termin.*

Poeta Foix winien był pewnemu lichwiarzowi 200 dukatów, a nie mogąc ich oddać z powodu złych interesów, unikał jak mógł wierzyciela.

Ale pewnego poranku, gdy Foix siedział w golarni z namydloną brodą, wszedł lichwiarz i zaczął napastował go o zwrot pożyczonej sumy.

Zirytowany taką natarczywością nie w porę, Foix zawołał:

— Czy możesz zaczekać, dopóki mię ten pan nie ogoli.

— Dobrze – odpowiedział lichwiarz — tyle jeszcze mogę zaczekać.

— To czekajże sobie do sądnego dnia, bo ja się tu już golić nie myślę, a pana cyrulika biorę na świadka słów twoich.

Powiedziawszy to, umył się i wyszedł, zostawiwszy żyda z osłupiałą miną!

Niepewność.

Widziałem wczoraj w teatrze, w loży,
Tłuściutką jejmość w jasnej peruce,
Jejmość ta, zamiast jak ludek boży,
Szukać rozrywki w dowcipnej sztuce,
Chcąc sobie skrócić czas bardzo długi,
Jakby to było w jej interesie,
Takie zrobiła dziwaczne cugi,
Zem stanął słupka — jak zając w lesie,
Bo wzrok płonący sztucznem zarzewiem,
Jeszcze mnie dotąd mani i mani,
I jak was kocham, nic a nic nie wiem:
Czy to kokota — czy wielka pani?

Znam także pewną damę z widzenia,
Świat o niej mówi: że w zbytkach tonie,
Pięć razy na dzień swój ubiór zmienia,
Ma piękny powóz i dzielne konie.
Ja jednak patrząc na damę ową,
I na jej minki mówiące wiele,
Z niedowierzaniem wciąż kiwam głową,
I czy też w piątki — czy też w niedziele,
Strapiony szykiem znanym w pół świecie,
Choć gotów jestem nieść jej hołd w dani,
Niepewność jednak myśl moją gniecie:
Czy to kokotka — czy wielka pani?

A taż blondynka? wszyscy ją znamy,
Bo wszędzie pełno tej babuleńki,
Wszelkie pretensye ma wielkiej damy,
A jednak pewien odcień maleńki

W jej zachowaniu o każdej porze,
Pomimo zmarszczków na zwiędłem czole.
Wielką wątpliwość wyrodzić może;
Więc chociaż prawda w oczy dziś kole,
A ten kto wstąpił na prawdy drogę,
Ludzką drażliwość zazwyczaj rani,
Ja w żaden sposób poznać nie mogę,
Czy to kokotka -- czy wielka pani?

I cóż ja winien, żem dziwak wielki,
Że dawne panie mam wciąż w pamięci,
I że gdy górą Mańki, Anielki,
Szyk półświatówek, salony nęci.
Wszak wielką panię z ubiegłej chwili
Poznałbym zaraz — z jej zachowania,
Dzisiaj niestety! — pozór mnie myli
I pozór sądu wydać zabrania, —
Wybaczcie zatem światowe panie,
Że gdy niejedna sama się gani,
Ja także poznać nie jestem w stanie:
Czy to kokotka — czy wielka pani?

* *Nieprzyjemna niespodzianka.*

Pan Steinwais, znany lichwiarz i skąpiec, czekając w jakiejś cukierni, na jednego ze swoich licznych wierzycieli, kazał sobie podać na jego koszt szklankę kawy białej. Nagle ktoś ze znajomych przechodząc ulicą, zoczył go i kiwnął, by wyszedł na chwilkę. Steinweis przeląkł się o swą kawę, szybko więc napisał na karteczce słowa: „Naplułem tutaj" i położył ją na wierzchu szklanki. Niebawem wrócił i znalazł kawę na dawnem miejscu, lecz za to na kartce widniały trzy wyrazy, dopisane obcą ręką: „I ja także".

* *Niepotrzebny wyraz.*

— Dziwna rzecz — mówi anglik do niemca — że język wasz zkądinąd tak bogaty, nie posiada wcale wyrazu oznaczającego wrażenie przeciwne pragnieniu!

— To nic dziwnego — odpowiada niemiec — my wcale niepotrzebujemy takiego wyrazu, bo każdy niemiec ma zawsze pragnienie.

Nieprzyjaciele.

— Nieprzyjaciele wojskowości — mówił egzaminujący oficer do nowozaciężnego, — utrzymują, że wojsko stojące jest nieszczęściem dla kraju. Czy możesz mi powiedzieć, co jest gorszem nieszczęściem?...

— Uciekające wojsko — odrzekł rekrut śmiało i dobitnie.

* *Nieprzyjemności małe życia ludzkiego.*

Gdy jadąc odkrytym pojazdem w czasie południa podczas upału lipcowego, napotykamy na drodze parę tysięcy idących przeciw nam owiec, kurz kłębami nas otacza, a uniknąć go niepodobna.

Gdy oddawna zapłacony rachunek na nowo odbieramy od sukcesora, a kwit wydany nam w właściwym czasie z opłaconego rachunku, wczoraj wrzuciliśmy do pieca.

Gdy po kichnięciu odebrawszy pozdrowienie, chcemy wypowiedzieć podziękowanie, a dalsze kichanie jeszcze kilka razy powtarzające się, nie daje nam przyjść do słowa.

Gdy w czasie dwudziestu stopni zimna, powróciwszy po północy do domu, sięgamy co żywo do kieszeni i przekonawszy się, że klucze od stancyi, skutkiem dziurawej kieszeni, zgubiliśmy.

Gdy na długo oczekiwane przedstawienie nowej opery, kupiliśmy wczoraj bilet do pierwszych rzędów krzeseł po trzykroć wyższej cenie, przy wejściu do teatru sięgamy do kieszeni — a biletu nie ma — bo został w domu. Mieszkamy zaś o dwie mile od Warszawy.

Gdy w licznem towarzystwie pragniemy przez grzeczność podnieść z ziemi upuszczoną chusteczkę, po jaką właśnie sięga dama, która ją upuściła — i nagle głowy nasze karambulują się tak silnie, że aż w karku trzaśnie.

Gdy idąc przez most, kończymy palić cygaro — wydobywamy nowe (ostatnie) z kieszeni, zapalamy go u pierwszego i przez pomyłkę w miejscu kończącego się, rzucamy w wodę świeże cygaro.

Gdy na chwilę przed odejściem poczty wypada nam oddać bardzo pilny list i idziemy ku poczcie w poprzek ulicy, — w tejże chwili ciągnie ulicą zwolna 15 wagonów z meblami i 8 z różnemi innemi towarami — i nie ma wolnego przejścia.

Gdy w tabeli wygranych na loteryi czytamy nasz numer wygrywający dużą sumę, a za chwilę przekonywamy się, że to była omyłka w druku!

Nieprzyzwoitość.

Na pewnym balu, dwie mocno dekoltowane damy, traktują nowo wchodzącą panienkę.

— Jak można być tak nieprzyzwoitą — odzywa się jedna z nich — aby na bal przychodzić w sukni pod szyję!

Niesłowna.

Miałem nadzieję, że mi ziścić miano
Tak, jako było z chucią obiecano;
Ale, co komu rzecze białogłowa,
Pisz jej na wiatr i na wodzie słowa.

Jan Kochanowski.

Niesłowny.

Wszystko dać obiecuje, przecie nic nie daje:
Ręka ust nie chce słuchać, złe to obyczaje.

Daniel Bratkowski.

Niespodzianka.

Działo się to w czasie, gdy w Paryżu istniało jeszcze Clichy, więzienie za długi.

Właśnie, odsiadywał tam za niezapłacony rachunek tapicera, niedawno ożeniony hr. de Brunol.

Po odsiedzeniu dziesięć miesięcy w zamknięciu, napisał hrabia do tapicera list następującej treści:

„Kochany Louis! Od dziesięciu miesięcy trzymasz mnie w tem głupiem więzieniu. Jest to bezużyteczna surowość. Wiesz pan bowiem równie dobrze jak ja, że dopiero w Grudniu wejdę w posiadanie majątku i wtedy będę się mógł uiścić z mojej należności. Pomyśl pan, czy jest w tem sens, że opłacasz pan tu za mnie czterdzieści pięć franków na miesiąc, jedynie dla zrobienia sobie barbarzyńskiej przyjemności trzymania mnie pod kluczem i rozłączenia mnie z młodą i piękną żoneczką, którą to przymusowe wdowieństwo do rozpaczy doprowadza.”

Tapicer odpisał co następuje:

„Panie hrabio! Jeszcze dziewięć miesięcy temu, przyszedłem do tego, co pan obecnie przekonania. To też jeszcze w początkach drugiego miesiąca, nie opłaciłem nakazanych prawem za pańskie utrzymanie, czterdziestu pięciu franków. Byłem więc pewien, że pan jesteś oddawna na wolności. Widocznie jakiś inny wierzyciel pański, dowodzi panu w tak niemiły sposób swej pamięci, zapominając o względach winnych pańskiej osobie.”

— Cóż to za tajemnica? — pytał siebie więzień.

Był pewien, że nie ma żadnego więcej wierzyciela, a jednak nakazane prawem tak zwane „alimenta” najakuratniej nie chybiając godziny ani minuty nadchodziły.

Chcąc sprawę wyjaśnić, posłał hrabia list tapicera do intendenta Clichy.

Ten przy następnym terminie wypłaty kazał przytrzymać oddawcę pieniędzy.

Zaczęło się badanie i hrabia dowiedział się nakoniec, kto był sprawcą jego nieszczęścia...

Osobą, która mu tę nieustanną czułą troskliwość okazywała, była jego własna żona.

* *Niespodzianka. (Szkic do dramatu).*

Kończono właśnie herbatę, kiedy otwarły się raptownie drzwi od kuchni i stanęła w nich rozczochrana Marysia.

Oczy obecnych mimowoli zwróciły się w jej stronę, co jeszcze bardziej zmieszało i tak już przerażoną dziewczynę.

— Proszę pani... — wyjąkała przelękła.

— Tysiąc razy już mówiłam Marysi, żeby nie pokazywała się przy gościach nieubrana, a Marysia nigdy o tem nie pamięta...—mówi-

ła pani Honorata rozgniewana zjawieniem się niezbyt czystej, choć ładnej kucharki. — Później przyjdziesz ze swymi interesami!... Te służące wszystkie jednakie, dodała, zwracając się do pani radczyni, siedzącej obok, która uważała za stosowne w tem miejscu wzruszyć ramionami. — Czegóż stoisz?... słyszałaś?...

— Proszę pani... — bełkotała służąca — proszę pani...

— Mówże, czego chcesz?... Państwo wybaczą...

Ale nie tak łatwo było się coś od Marysi dowiedzieć: stała blada, mnąc fartuch w ręku i trwożnie spoglądając na obecnych. Gdyby mogła, uciekłaby z pewnością, lub skryła się pod ziemię.

Pan Antoni przypomniał sobie, że jest gospodarzem w domu i postanowił użyć swej powagi.

— Dla czego Marysia nie mówi? Cóż tam jest? Prędzej!...

Głos pana zelektryzował ją. Zawahała się jeszcze krótką chwilę i rzuciła odpowiedź, która jak piorun spadła niespodzianie. Był nią jeden tylko wyraz: *podrzutek*.

— Podrzutek! — jęknął pan Antoni.

— Podrzutek?!!! — wrzasnęła pani Honorata, wybuchając płaczem.

— Podrzutek! powtórzyło dwóch młodych ludzi z uśmiechem na ustach.

— Podrzutek... — szepnęły dwie panny, nie wiedząc, czy należy im się zarumienić, czy tylko spuścić oczy.

— Podrzutek! — zawołała jeszcze raz Marysia i uciekła.

Jedna tylko pani radczyni zadowoliła się pobożnem wzniesieniem oczu do góry. Trzy razy poruszyły się jej usta, poczem trwożnie spojrzała się w stronę dwóch swoich córek, które teraz już zdecydowały się i siedziały zarumienione ze spuszczonemi oczyma wstydliwie.

Pani Honorata pierwsza ochłonęła z wrażenia.

— Pokażcie mi tego podrzutka! — wołała strasznym głosem... Boże, czegom ja dożyła!...

— Ależ duszko — chciał mąż przekładać.

— Idź, potworze, nie dotykaj mnie!... Pokażcie mi tego podrzutka, tego podrzutka!... I znów zaniosła się od płaczu.

— Niech się pani uspokoi — tłómaczyła radczyni, zadowolona ze znalezienia się córek — takie nieszczęścia w najporządniejszych familjach się zdarzają... Pan Bóg ma więcej, niż rozdał...

— Nie pocieszajcie mnie, ja nie chcę, żeby mnie pocieszano!... Zdrajca niegodny!... potwór!!... Idź precz z moich oczu! precz! precz!...

Pan Antoni nie wiedział co począć. Czuł, że mu cała krew zbiegła do twarzy, choć zdawało mu się, że sumienie może mieć zupełnie czyste; czuł, że wszyscy na niego patrzą, widział rozpaczającą żonę, słyszał jej krzyki, nic więc dziwnego, że mu przyszło do głowy, iż będzie bardzo dobrze, jeżeli się jego żona trochę wody napije, to ją bowiem uspokoi, i skierował się w stronę drugiego pokoju; zaledwie jednak krok uczynił, p. Honorata wybuchnęła na nowo.

— Patrzcie — woła — patrzcie! On zamiast błagać na kolanach o przebaczenie—leci do niego... O ja nieszczęśliwa...

Pan Antoni stanął.

Scena ta ciągnęłaby się niewiedzieć jak długo, gdyby nie pan Karol, który postanowił położyć jej koniec.

— Potrzeba, proszę państwa — mówił — przedewszystkiem sprawdzić tego.. podrzutka, zabrać do pokoju, teraz zimno, może zmarznąć.

— Tak, tak, sprawdzić — mówił jego towarzysz...

Panienki poruszyły się niecierpliwie.

— Marysiu! — zawołała radczyni, ale Marysi w kuchni nie było; musiano się zatrzymać.

— Wyszła widocznie, poczekamy...

W pokoju zaległa cisza, przerywana łkaniami pani Honoraty i westchnieniami radczy-

ni, która nie przestawała pocieszać przyjaciółki. Pan Antoni oparł głowę na obu rękach i dumał głęboko; młodzi ludzie na stronie prowadzili półgłosem rozmowę.

Trwało to niezbyt długo; drzwi od kuchni znów się otworzyły i wbiegła przez nie Marysia, a za nią ukazała się szeroka twarz stróża Wincentego.

— Proszę państwa przyszedłem wedle tego podrzutka.

Pan Antoni powstał.

— Gdzie on jest? — spytał grobowym głosem.

— A w sionce leży...

— Chodźmy...

— Chodźmy!... powtórzyło naraz kilka głosów.

Wszyscy, z wyjątkiem pani Honoraty, porwali się z miejsc; pani radczyni rzuciła zabójcze wejrzenie na córki.

— Maniu! Bisiu! proszę zostać: panienki w waszym wieku nie powinny wiedzieć, co to podrzutek!

— Mamo!

— Zostaniecie z panią Honoratą, ja z panami pójdę!

— Mama zawsze nas za dzieci uważa, nic nam nie chce pokazać; myśmy tak chciały zobaczyć podrzutka...

Reklamacya panny Maryi pozostała jednak bez skutku: panienki, a właściwie pełnoletnie panny, zostały z panią Honoratą.

Zaledwie drzwi się zamknęły, pani Honorata ryknęła znów płaczem. Mania i Bisia, nie wiedząc co robić, podbiegły ku niej i zaczęły prosić, żeby nie płakała.

Niech się pani uspokoi... Może wody?

— O dzieci, dzieci! — wołała zrozpaczona... — Pamiętajcie nigdy nie wychodzić za mąż za młodszych od siebie... Ja go tak kochałam, a on... Nie, ja wam tego mówić nie mogę...

— Moja pani! Niech nam pani powie...

— Nie, nie, nie mogę!...

Tymczasem pan Antoni otoczony resztą towarzystwa w milczeniu wchodził do sionki, którą słabo oświetlała kopcąca lampka naftowa. Wzrok wszystkich skierował się w jeden punkt, gdzie na podłodze pod ścianą leżało spore zawiniątko.

Pan Karol chciał go podnieść.

— Nie dotykaj pan—zawołał gospodarz— jeszcze chwilę...

— Ruszyło się, ruszyło!...--krzyknęła Marysia. — Jezu Nazareński! biedactwo jak się rusza!...

— Ruszyło się — powtórzyła radczyni.

— Mnie się widzi proszę łaski pana—mówił Wincenty — co zawdy lepiej poczekać na pana rewirowego; moja już poleciała, tylko patrzeć jak przyjdą.

Wincenty miał rację: w tej samej chwili rozległy się na schodach głosy kilku osób i ukazał się pan rewirowy, Wincentowa i kilku gapiów, którzy przyszli zobaczyć „hecę.”

— A tu co, ha? podrzutek... Nu, to protokół... To pański?... — spytał, zwracając się do pana Aatoniego.

— Panie naczelniku, ja nie wiem... nieszczęście.

— Ja pytam, czy to pański lokal?

— Mój.

— Nu, zobaczym... Czego się tu zebrali? Panowie, proszę wychodzić!...

Stróż zabrał się do wypraszania kilku nieproszonych gości; rewirowy stanął nad zawiniątkiem.

— Duże, duże—mówił, kręcąc głową... — to chyba dwoje.

Nieszczęście chciało, iż w tej samej chwili otwarły się drzwi na oścież i ukazała się w nich pani Honorata powstrzymywana przez dwie panienki. Do uszu jej doszedł jeden wyraz „dwoje.” Tego było zawiele: jedno możeby była przebaczyła, dwoje — nigdy!

„Dwoje!” — krzyknęła i padła zemdlona.

Zamęt powstał nie do opisania: panowie podbiegli z pomocą, pani radczyni zasłaniała

zawiniątko przed oczyma córek, Marysia z Wincentową wykrzykiwały: wody, ścisnąć jej rękę i t. d. jeden tylko rewirowy nie tracił powagi.

— To pańska żona, ha? — pytał pana Antoniego — zemdlała? Nic, nic jej nie będzie!...

Nakoniec zabrano nieszczęśliwą do pokoju i ułożono na kanapie. Mężczyzni wyszli, gdyż miano pani Honoracie coś rozpiąć, panienki płakały.

W sieni tymczasem przystąpiono do sprawdzenia płci i liczby podrzutka. Wincenty ukląkł na ziemi.

— Rozwiąż, tylko delikatnie! — przestrzegał rewirowy.

Stosownie do rozkazu Wincenty zlekka uchylał płótna i wsunął wewnątrz rękę. Wszyscy pochylili się nad nim. Słyszałeś bicie serca.

— Ola Boga!... a dyć to... — zawołał i wyciągnął dużego zająca.

— Zając!!! — krzyknęło parę głosów.

— Nazywa się Zając! — zabrzmiał z pokoju głos pani Honoraty.

W sieni zapanowała odrazu radość.

— Proszę pana, tu jest jeszcze drugi.

— A to ci komedja. Zabawna awantura!

Ze śmiechem zaniesiono dwa piękne zające pani Honoracie. W sionce pozostał tylko pan Antoni, aby ochłonąć po tylu wrażeniach, stróż i rewirowy.

— Proszę pana, tu jest jakaś kartka... — mówił Wincenty.

— Dawaj!

Był to bilet wizytowy, na nim kilka wyrazów:

„Drogi Antosiu! Wróciłem dziś z polowania i chcąc zrobić ci niespodziankę, podrzuciłem ci w sionce dwa zające, na które jutro się zapraszam. Pani całuję rączki. Twój Wacław K.”

— Ładna niespodzianka! Nie ma co mówić!...

Gdy pan Antoni wrócił do salonu, pani Honorata siedziała na kanapie uśmiechnięta i zadowolona. Zaczerwienienie twarzy zdradzało tylko łzy niedawno wylane. Na widok męża rozwarła szeroko ramiona:

— Chodź, Antosiu, niech cię uściskam!...

Pan Antoni wycałowany przez magnifikę, opowiedział następnie jakim sposobem dostały się zające do jego sionki.

Śmiano się do rozpuku, panienki tylko były niezadowolone, straciwszy nadzieję zobaczenia prawdziwego podrzutka.

Leżur.

Niestałość kobiet.

Nie każdy człowiek uczciwy, gdy wróci,
Będzie nagrodzon losem Ulisesa,
Nie każda żona po mężu się smuci
I zalotników odsyła do biesa.
Gorzej, gdy go już w niepamięć zarzuci,
Dzieciąt kilkoro u kolan się wiesza,
Które „przyjaciel” wywiódł dla pokoleń;
Gdy go pies własny pochwyci za goleń...

Gdy zaręczony, to mu ukochaną,
Zabierze bogacz, skąpiec pełen chuci,
I wtedy lepiej, bo prędko ustaną
Czułości, pan się z małżonką pokłóci.
A on znów miłość podejmie przerwaną,
Jako „przyjaciel domu”—lub porzuci.
A jeśli uprze się w nim czucia trwałość,
Napisze odę „Na kobiet niestałość.”

Panowie! jeśli który w waszem gronie,
Ma „stosuneczek” — (rozumiem uczciwy
Popęd przyjaźni ku nieswojej żonie,
Jedyny węzeł łatwo rozpletliwy,
Choć zda się ścisły; rzetelny w zakonie
Miłosnym hymnem—inny jest fałszywy);
Nie bawcież w drodze długo, bo te panie
Zmieniają gachów codzień, jak ubranie.

Byron.

Nieszczęście.

— Czy pan wiesz — pytał pan Z. przyjaciela — o nieszczęściu, które spotkało naszego znajomego. — Włosy mu w ciągu jednej nocy posiwiały!

— Ba! — rzekł przyjaciel — jeszcze większe nieszczęście spotkało jego żonę — ona bowiem w ciągu jednego tańca wszystkie włosy straciła...

* *Nieszczęście będzie, nieszczęście!*

Czytelniku, bądź tak dobry, i pójdź ze mną do jednej ze środkowych kamienic Starego Miasta. Wejdźmy po krętych wschodach na pierwsze piętro; otóż i drzwi uchylone, przedpokoik wąziutki, ciemny, lecz z oszklonych drzwi salonika masz tyle światła, że dojrzysz słomianą plecionkę na ziemi, i listwę z kółkami do wieszania sukien. Tylko na miłość Bozką, ostrożnie zdejmuj palto, ostrożniej bierz za klamkę, a dla czego? — zaraz zobaczysz.

Przestąpiwszy próg, rzuć okiem w uchylone drzwi na prawo: na wysoko poduszkami zasłanem łóżku, spoczywa sobie, tak w ubraniu, jakiś starowina. Odsłonięty szlafrok i rozrzucony ubiór, pozwala ci zobaczyć rumianą choć pomarszczoną twarz jego, po której przebiega rozkosznie dreszcz uśmiechu, uśmiechu niewinnego dziecięcia. Widać, że śnią mu się szczęśliwe lata; starzec przemienił się w młodzieńca, a rusza się, a chichocze, a potrząsa siwowłosą głową... daj mu więc pokój święty, nie szeleść — to całe jego szczęście!

Ot, lepiej rozpatrz się dokoła: w saloniku choć ubogo, lecz schludnie, czyściuchno, miło. Meble i sprzęty nie dzisiejsze, jak ich właściciel, wypłowiałe, pokurczone, pogięte, a między niemi szczególniej odznacza się przy oknie stojący kantorek. Niegdyś zapewne arcydzieło stolararskiej roboty, dziś rozsypujący się gmach tego rodzaju mebli, żelaznemi klamerkami pospajany, wązki, pękaty, z różnego drzewa nabijany figlasami, stoi sobie przy oknie, a rozstworzywszy ogromną klapę, wabi pokazując cały szereg szuflad, szufladek, jakieś to niby przedsionki z rzędem kolumnady, lustra, figurki i dziwacznego kształtu wyrzynania. Na wierzchu stoi zegar z obracającem się nieustannie kołem młyńskiem i lejacą się nań wodą, a na owej klapie w symetrycznym porządku prócz okularów i kałamarza, uderzy twój wzrok kolekcya talii kart różnego koloru, różnej wielkości i różnego zużycia.

Godzina poobiednia, początek lata, więc też i okna otwarte; a prawda, że piękny z nich widok na Wisłę, Pragę, Grochów i ciemno zachmurzone niebo. Ale cóż to znaczą, tuż za oknem wystające wierzchołki rozlicznych kwiatów? Nic nieszkodzi, że zbliżysz się do okna i zobaczysz przez całą ścianę ciągnący się balkon, a na nim niby ogródek nadpowietrzny, kwitnący, balsamiczny, a wśród krzewin i roślin powciskane klatki ze śpiewającą rzeszą. Przyznasz, że tu pięknie, że staruszek wcale gustownie potrafił sobie ubrać mieszkanko i pracy nie szczędził?... Ale... cyt... w lewym kącie galeryjki coś się tam bieli... ostrożnie przechyl się za okno. Tak, to młoda jakaś panienka siedzi na niskim stołeczku, a śliczna jak aniołek: blondynka, z błękitnem śmiejącem się oczkiem, twarzyczka ściągła, pulchniutka, delikatna; a jak figlarne loczki dokoła, a jak zgrabną rączką trzyma na kolanach otwartą książkę! Tak, prawda, tylko z niej nie czyta, bo twarzą zwrócona ku ścianie; jej spojrzenie błyszczy, rozkoszuje się, jej dusza zda się wybiegła do oczu i na karminowe usteczka. Jużciż trudno przypuścić, żeby panienka śmiała się do muru, prawda? no, do zwierciadła, jeszcze pozwalam. To też przechylmy się lepiej, ot, i rozwiązanie zagadki: przy niej klęczy ściskając rączkę młody kawaler, brunet, przystojny wprawdzie, ale zawsze to nieprzyzwoicie dla panienki siedzieć tak sam na sam z mężczyzną, kiedy stary dziad zasypia w trzecim pokoju. Ale cóż robić, i ładne panienki miewają swoje upodobania, i młodzi kawalerowie nie bardzo na to zważają, a ten nawet gorszy od innych, bo patrzno jaki śmiały, jaki figlarz: koniecznie mu się zachciało pierścionka z palca dziewczyny.

Oho! nie uda ci się ptaszku, nie; panienka chociaż się uśmiecha, ale nie pozwala, rączkę wyrywa; on prosi, ona potrząsa główką, on

nalega, ona najbardziej się usuwa... Ot i masz, zrzucili wazonik z kwiatem: buk, puk, panna się zrywa szybko, a przestraszony kawaler łap za kapelusz.

W minutkę, przebiegając leciuchno salonik, zarumienione dziewczę z wstrzymanym oddechem zagląda do sypialni starca, a panicz z błagalnem spojrzeniem staje w uchylonych drzwiczkach na lewo.

— No i cóż, spi?

Panna skinęła główką, a pogroziła paluszkiem.

— Ja odchodzę...

— Dobrze, żegnam pana...

— Więc prawda, że dziś o szóstej, tak moja Zosieczko, pozwalasz, każesz...

— Brzydki jesteś, nie kocham! — szepcze niby-to zadąsana, trzymając złośliwie drzwi od salonu.—Tyle razy już mówiłam...

— A dziadek?

— A mój Boże, idź-że sobie już raz ty nudziarzu! odpowiada, uderzywszy go trzymaną książką — za dwie godziny, do widzenia, panie Walery... przez kuchnię, przez kuchnię...

Kawaler odszedł, panienka czas niejaki zatrzymuje się na środku pokoju z zamyśloną twarzą, stąpa ku kantorkowi i cofa się naraz. Oj źle, panienka coś złego uczynić zamyśla; bo ogląda się na drzwi sypialni dziadka, spuszcza oczy ku ziemi, a paluszkami przesuwa po wstążce od sukni... Stary widać już nie śpi, a tylko ziewa przeciągle...

— Co tam, niech się dzieje co chce, wezmę! — szepnęła panna Zofia, robiąc znak krzyża na piersiach.

I zbliżywszy się do kantorka, z pierwszej najbardziej zabrudzonej talji kart, ściąga jedną...

W tem dziadunio krzyknął, dziewczę jak spłoszona gazella, chowa czemprędzej ową kartę za gors bieluchnej sukienki, a rozkwitłszy świeżutkim rumieńcem, biegnie ku niemu.

— Jakże się dziaduniowi spało? — pyta całując go z roztargnieniem w pusty rękaw szlafroka.

— Cha, cha, cha!—roześmiał się stary, siląc się podnieść, a Zosia podłożywszy swą rączkę pod jego plecy, pomaga mu jak może. — A dobrze, a wybornie, mój kanareczku — mówi wchodząc do saloniku — spałem jak lew, proszę uniżenie, a takim czegoś lekki, proszę cię, takim szczęśliwy... i wiesz co jeszcze?

— No, co?

— Głodny jak nie człowiek.

Zosia więc jak się zawinęła, to w minutkę już niesie małą pordzewiałą tackę z imbryczkiem z dużą przewróconą na spodku filiżanką, stawia to przed starcem na kantorku, biegnie po cukier, śmietankę i bułki, a porwawszy imbryk, leje kawę na przewróconą filiżankę...

— Ot, proszę uniżenie, nie wiedzie nam się, Zosiu! Ho, ho, pewno on był...

— Był, proszę dziadka — odpowiada, spuszczając oczy.

— I główkę zakręcił... co? hę? — mruczał uśmiechnięty star wina, połykając prawie swój podwieczorek.

A skończywszy, zawsze jeszcze ziewając, podniósł się, przeciągnął, ręce włożył w kieszenie.

— Ale źle, Zosiuniu... no i cóż ty na to?

— Nic, proszę dziadzi.

— Chodzi, proszę uniżenie, chodzi tego i chodzi, a nic nie myśli.

— Ależ on myśli, dziaduniu — przerwała szybko panienka, lecz poprawiła się zaraz: — to jest sądzę...

— Pe, pe, pe, acanna, proszę uniżenie, już konferowała na seryjo.

— Nie, nie, mój dziadziu; ale możeby doniczki powystawiać za balkon? ziemia taka sucha, a deszczu tylko patrzeć.

Stary spojrzał na wnuczkę, potem na niebo, pokiwał głową figlarnie, zawiązał szlafrok i siadając napowrót przed kantorkiem, rzekł:

— A to powystawiaj!

Niebo zachmurzyło się bardziej, jasno-purpurowe zygzaki pruły powietrze, deszczyk już kropić zaczynał, stary wziąwszy więc ową najbardziej zszarzaną talję kart do ręki, podumał trochę i szeroko rozłożył ją przed sobą.

Panienka tymczasem uwija się żywo na balkonie, ustawia, przenosi ciężkie wazoniki z miejsca na miejsce, a ile razy spojrzy przez okno na dziadka, tyle razy rumieniec niepokoju odbija się na twarzy.

— Co to jest, proszę uniżenie! — krzyknął dziadek nachylony nad biurkiem, trzymając w podniesionej ręce ostatnią kartę. A oczy nieruchomie tam utkwił, a czoło mu się zachmurzyło, usta skrzywiły przerażeniem, tak, że zatrwożona panienka stanęła w oknie, pytając:

— Mój Boże! co się dziadkowi stało?

Lecz starzec jakby nie słysząc, w jednej i tej samej postawie siedzi przed kantorkiem, błędnem okiem wodząc po rozłożonych kartach.

— Nie wyszedł. No, proszę uniżenie; tak, nie wyszedł — szepcze sobie kiwając głową.

Potem zakłopotany wielce, zbiera z całą skwapliwością i drżeniem owe karty, miesza je, przewraca i znowu w tym samym porządku rozkłada.

Dziewczynka już ustawiła wazoniki, weszła na paluszkach do pokoju, wzięła jakąś robótkę i przysunąwszy się do drugiego okna, zaczęła niby to szyć, choć z pod oka spogląda coraz niespokojniej na dziadka.

Dla zadośćuczynienia twej ciekawości, czytelniku, muszę cię tu objaśnić, że stary dziadek od lat już kilkunastu ma ten naiwny zwyczaj kładzenia pasyansów.

Starzejąc się coraz bardziej, zwyczaj ten przeszedł w nałóg systematycznie co do porządku układania i przywiązanych doń prognostyków wykonywany. Przedsięweźmie co, choćby przechadzkę do Krasińskiego ogrodu, choćby sprawienie sukienki pannie Zofii, już siada przed biurkiem i radzi się ulubionego pasyjansa. A ma ich kilka na pogotowiu i do każdego oddzielną talję kart, ztąd tak znaczna ich liczba, któreś widział na kantorku starca. Jeden zwyczajny czyli powszedni, kładziony zawsze najprzód, bez myśli i założenia, ot tak sobie w każdej chwili, kiedy dziadunio nie mając co do roboty, siada przed biurkiem dla przepędzenia czasu.

Kombinacyja kart była tu mało wymagającą, że zawsze, przynajmniej od lat kilku wychodził, dla tego starzec powtarzał, że tego „zwyczajnego" pewnym jest jak śmierci. Dalej następowały: krzyże legji honorowej, kolumna, sympatyczny, gwiazda, latający, podkładany, odkładany i t. p. W miarę ważności nastąpić mającego postanowienia i wybór pasyjansa był inny, trudniejszy, który czasem albo do trzeciego razu wychodzić musiał, albo też zamysł, przez dwa lub więcej różnego gatunku pasyjanse przeprowadzony bywał.

Tylko nie myślcie znowu, żeby dziadunio tak stanowczo pasyjansowi powierzał zawyrokowanie o swych zamiarach.

Nie, i tu uporna chęć starca znajdowała niejakie pobłażanie, czasami posunięte do oszustwa.

Albowiem skoro tylko zmiarkował, że pasyjans krewić zaczyna i wyjść nie myśli, dziadek niby nie widząc tego, pozwalał sobie drobnych podstępów, wyciągając karty to z pod spodu, to ze środka, albo je szybko przemieniał z taką zręcznością i zapałem, jakby mu szło o oszukanie nie samego, a kogobądź z patrzących. I tak wielkim był lubownikiem tabaki, a że trzymał się zawsze pewnych reguł w wydatkach, więc kiedy nieszczęściem jakiem wysypała mu się owa tabaka przed czasem do kupienia świeżej oznaczonym, stary z pół godziny kręcił się po pokojach, wąchał z pustej tabakierki z silnem postanowieniem kupienia jej dopiero nazajutrz.

Lecz jakby na przekorę, wyobraźnia czarodziejskie nasuwała mu myśli o rozkoszy jakąby miał w tej chwili, zażywszy ot tak potężną dozę ukochanego proszku. „Niemożna, niemożna, proszę uniżenie,” powtarzał sobie wzdychając. A z drugiej strony odzywał się znowu głos słabości: „kup, panie Wincenty, kup; cóż-to masz sobie w tych latach żałować, co?” Nie, nie — odpowiadał głos pierwszy, a dziadunio wtórował mu poruszeniem głowy, powtarzając: dobrze ci tak, panie Wincenty, nie wysypuj tabaki, zażywaj ostrożnie i t. p. Lecz gdy podobna walka coraz bardziej zaczynała się srożyć w umyśle starca, nie wypadało wtedy, jak oddać się pod sąd polubowny pasyjansu. Z jakąż tedy radością i pośpiechem siadał pan Wincenty do biurka, jak zręcznie układał z kart kolumnę, jak się niepokoił o jej powodzenie, i jak się skwasił, gdy w połowie pracy, zabrakło niezbłaganego waleta, lub innej z porządku wypadającej karty!

— Do trzeciego razu, panie Wincenty, do trzeciego! — powtarzał mieszając na nowo i układając w kolumnę. Czasami trafiło się, że drugi raz chybił, i trzecia kolumna wątpliwą się czyniła; wtedy więc zapalony amator, obejrzawszy się kilkakroć po pokoju, zrobił takiego lisa w kartach, że pasyans jak po maśle zbliżał się ku wygranej, a pan Wincenty, drżąc ze wzruszenia, jedną ręką już wyjmował pieniądze na kupno tabaki. I wesół był potem dzień cały, i nie dotykał kart więcej, żeby tego humoru nowem niepowodzeniem nie zepsuć.

Lecz dzisiaj rzecz była inna: zwyczajny pasyans, pojmujesz czytelniku, najzwyczajniejszy w świecie, czterokolorowy tylko, nie wyszedł raz, nie wyszedł drugi raz, o trzecim, już sam dziadunio zwątpił.

— Oczywiście nie wyszedł! — zawołał, rzucając z rozpaczą karty i porywając się za głowę. - Już nic, tylko, proszę uniżenie, nieszczęście jakieś mnie czeka, oj czeka, z pewnością czeka...

— Mój dziaduniu drogi!—krzyknie przerażona Zosia biegnąc do niego i całując w rękę. — Zkąd znowu nieszczęście? co się dziadzi stało?

— Zwyczajny nie wyszedł—odpowiedział krótko, wyrywając rękę i nie patrząc na nią.

— To inny wyjdzie, niech dziadek spróbuje.

— Co, inny? Dziecko jesteś, proszę uniżenie — odrzekł z ironią. — Zwyczajny nie wyszedł to żaden nie wyjdzie. A że będzie nieszczęście, to jak amen w pacierzu...

— Jakieżby znowu, mój dziadziu kochany, imaginacyja—perswadowała wnuczka klęcząc obok niego, choć serce jej puka jak młotkiem, a ręce drżą, a oczom na płacz się zbiera. — Pana Walerego tylko co niewidać, kazała mu przyjść za dwie godziny, spodziewając się, że dziś uzupełni się ich szczęście, i dziadek pobłogosławi to, czemu Pan Bóg w snach ich dawno już pobłogosławił.

— Imaginacyja powiadasz... Hm, imaginacyja u 80 letniego starca? Ale, zobaczysz, imaginacyja... —wołał wstawszy już od biurka, zażywając tabakę i chodząc niespokojnie po pokoju... — Albo umrę...

— Mój dziadku! — krzyknęła wnuczka, zakrywając oczy...

Albo umrę — powtarzał uporczywie starzec — albo się coś równego temu przytrafi... Dajże mi pokój, ten tego .. no, idźże sobie z Panem Bogiem!

I odsunął ją lekko od siebie, i znowu chodził przerażony, załamywał ręce a biadował i biadował, że będzie nieszczęście.

Zasmucone dziewczątko usunęło się w dawniejsze miejsce, wzięło robótkę, a połykając łzy swoje spoglądało żałośnie na starca.

— O, jak mi się też nos przedłużył!—odzywa się, stawając przed zwierciadłem i macając go ręką... Fiut, panie Wincenty, marsz na Powązki! Tak, tak z pewnością; pamiętam, Kotulskiemu, co umarł na apopleksyję, to na dzień już, choć zdrów był jak ryba, nos

się na dwa cale przeciągnął, żona mi jego powiadała.

— Ależ dziadku, na miłość Bozką!

— Tak niezawodnie, proszę uniżenie, wyciągnę nogi. I w książkach doktorskich o tem czytałem, i Virej to samo powiada... Cóż robić? Z wolą Bozką nie nam wojować, nażyłem się też...

I niby to już zdecydowany umierać, spojrzał do koła, zatrzymał wzrok na wnuczce, a łzy zaćmiły mu wybladłe źrenice, i ciężkie westchnienie wydarło się z piersi.

— Nie płacz, kanarku, nie płacz; trudna rada, proszę uniżenie, kto się od śmierci uwolnił?... Masz zapewniony byt, o tobie nie zapomniałem całe życie...

— Dziadku, nie mów! — krzyknęła rzucając się do nóg. — Jak to można... dziadek zdrów...

— No, no, no, dobrze, nie płacz; tak, tak, może to nieprawda... No, wstańże Zosiu, Zosiu! — wołał, płacząc z nią razem i podnosząc ją z ziemi. — Masz racyę, fiksat jestem, tak, proszę uniżenie, stary ot a głupi... już, już, dobrze, nie umrę, nie...

— Dziewczę się uspokoiło i stary także, ale pozornie. Ona usiadła na swojem miejscu, a on znów chodził, znów rozmyślał, i choć nie tak głośno jak wprzódy, wzdychał i mruczał.

Na dworze tymczasem zapowiedziana burza rozszalała się z całą wściekłością. Gwałtowny wicher z kroplistym deszczem bił w szyby wyświstując djabelskie trele przez wszystkie szczeliny okien. Niebo, jak jedna paląca się przestrzeń błyskało co chwila, pioruny biły nieustannie, a czarna woda Wisły podnosiła się w ogromne bałwany, jak piórkiem pomiatając płynącemi po niej statkami.

— „A Słowo stało się ciałem"—wyjąknął starzec żegnając się z pokorą. — To koniec świata... A moje kwiatki, a moje ptaki! O Matko Najświętsza, patrz, poszły na ziemię!...

Panienka wybiegła do kuchni, by posłać po zrzucone kwiatki i klatki, a dziadunio kontent, że się już uwolnił od niepotrzebnego świadka, znów przybliżył się do zwierciadła, obmacał nos swój, dostrzegł, że oczy mu wpadają, że ręka drętwieje, nogi stygną i pewny niezawodnej śmierci, wzdychał i płakał jak dziecko.

— Zamykaj drzwi, zamykaj! — krzyknie, łapiąc się za żywot. — Oh! zawiało mię, zawiało!

— Co znowu, dziaduniu? — spytała, wpadając przestraszona na nowo Zosia.

— Nic, nic, moje życie... Z babami to nawet umrzeć nie można — dokończył ciszej machnąwszy ręką.

— Może rumianku, dziadku, mięty, szałwi, herbaty?...

— Dobrze, dobrze, dawaj a prędzej, bo czuję...

Zosia nie wiedząc czy żyje, przestraszona, drżąca, wybiega do kuchni, a starzec trzyma się uporczywie za żywot i krzywi, szepcząc:

— Co to pomoże, już nic nie pomoże...

W pół godziny uspokoił się nieco, a raczej zrezygnował na smierć, bo nie chcąc trwożyć biednej wnuczki, pił szklankę za szklanką podawanych mu ziółek, sykał, a modlił się, a płakał spoglądając z trwogą na owe karty rozrzucone w nieładzie po kantorku. Kolejno w jego imainacyi przechodziły przezeń wszystkie choroby: paraliż, apopleksyja, suchoty, wycieńczenie i t. p., które znał, lub o których kiedyś czytał i słyszał.

— Sprobujno, Zosiu — rzecze omdlewającym głosem — puls bije czy nie?

— Bije, bije jak młotem — odpowiedziało zafrasowane dziewczę trzymając go za rękę.

— Widzisz, to gorączka; źle, proszę uniżenie, źle...

— Mój dziadku!...

— Ech, co tam, mój, nie mój dziadku, trudna rada, proszę uniżenie, trzeba się

przygotować, kanarku. Że ja gwiznę, to jak amen w pacierzu.

— Może posłać po doktora?

— A to na co?

— Przecież od tego są doktorzy; mój dziaduniu drogi, niech dziadunio pozwoli — Marychna pobiegnie...

— Ech, dajno pokój! — odrzekł śmiejąc się ironicznie. — Co Bóg przeznaczył, ludzie nie odrobią. Nie potrzeba. Niech się dzieje wola Boga; nażyłem się już dosyć. Patrz, oto w tej szufladce na prawo—i skierowawszy się ku kantorkowi, wskazał palcem, lecz w tej chwili ujrzawszy nieszczęśliwe karty syknął: — wyrzuć to precz!

— Co?

— Te, te, karty; tylko prędko! Na ziemię; na ziemię! O, jak mię też kraje wewnątrz! Matko Najświętsza ratuj! pewno cholera... Tak, tak, cholera; to zimno, nudzi, łechcze, kurczy.

— Dziaduniu, mój dziaduniu, niech dziadek sobie nie przypuszcza, teraz cholery nie ma!

— Ale będzie, ale będzie... ja czuję... Co to? — krzyknął zrywając się na równe nogi — co to za krzyk?

— Kominiarze wycierają kominy!

— Gdzie? teraz o zmroku?

— Ależ z pewnością, dziadku; znam ten głos...

— Nieprawda... ha! może, może się pali.

— Co znowu?

— Niezawodnie piorun gdzie uderzył... Święty Florjanie, miej nas w swojej opiece!... Tak, tak, albo złodzieje ten tego... zawsze będzie, musi być nieszczęście... Oj, jakże też boli, jakże też boli... Dla Boga porwie mi wnętrzności...

Rozpacz panny Zofii już nie miała granic. Biedaczka, sama jedna z wyrzekającym dziadkiem, zupełnie straciła głowę i przytomność. Co się jej udało zaspokoić go nieco, to znów wpadał na nowe pomysły, krzyczał, biadował, powtarzając uporczywie: będzie nieszczęście. Znała ona już na tym punkcie słabość swojego dziadka, nieraz przebywała podobne awantury zbytniej jego imaginacyi, lecz do tego stopnia co dzisiaj nigdy nie przyszło. Wiedziała również, że gdyby się zjawił który z jego przyjaciół, starzec uspokoiłby się nieco; lecz jak na złość rzęsisty deszcz padał, nikt nie przychodził, służącej więc ani sposób wydalać, raz, że nieustannie musiała się krzątać koło komina gotując ziółka, robiąc kataplazmy, a powtóre, że bała się zostać sam na sam ze starcem, którego wyobraźnia co minuta stwarzała nowe niebezpieczeństwa.

I teraz usłyszawszy krzyk kominiarza wychodzący jakoby z rury kominowej, zdało mu się, że albo się pali, albo dobijają się złodzieje. Obawa śmierci usunęła się na bok, a nowa myśl utkwiła znów w rozmarzonej głowie staruszka. Zapewniał wnuczkę, że wyraźnie czuje dym jakiś, spaleniznę, że nogi mu drżą, że uciekać nie potrafi, że tylko patrzeć jak wpadną złodzieje, zrabują go, zamordują — i wołał i wyrzekał przestraszony. Na raz nowa myśl mu przyszła: przyskoczył do biurka i z całą skwapliwością zaczął otwierać boczne szufladki...

— Zosiu, patrzaj, masz! Tu listy zastawne, schowaj, uciekaj... zaraz, zaraz, jeden, dwa, trzy... a gdzie czwarty?... Jezu Chryste, nie ma, nie ma, ukradli 20,000. Gwałt! masz nieszczęście, oh, umieram, złodzieje, złodzieje, łapaj złodzieja!... Zosia po księdza... pali się... nie wyszedł...

Starzec krzyczał na całe gardło, Zosia jak szalona biega po pokoju załamując ręce, a przerażona służąca stała we drzwiach od kuchni, nie pojmując co się tu dzieje.

— Marychna, na miłość Bozką, biegaj, leć po doktora! Złodzieje, łapaj!... Tu, kominem, moje pieniądze, moje pieniądze!...

Służąca jak stała z łyżką w ręce, zbiega po schodach, stary zaś lamentuje, a Zosia płacze, a na dworze już zmierzchać się poczyna.

Za chwilę, daje się słyszeć stuknięcie do drzwi przedpokoju. Dziadek zwraca się nagle, i przez oszklone drzwi dostrzegł urzędnika policyjnego. Jednym szusem porwawszy swoje pieniądze, wpada do sypialnego pokoju i trzask drzwi za sobą, podpierając je z całej mocy.

— Gdzie tu złodzieje? — spytał wchodzący urzędnik...

— Nie złodzieje, nie, panie komisarzu; to dziadek chory.

— Wszakże tu mieszka pan K., służąca przychodziła do cyrkułu...

-- To pomyłka, daruj pan, ja posyłałam po doktora, dziadek chory... O! mój Boże, mój Boże, co ja tu nieszczęśliwa pocznę!

Urzędnik widząc tę rozpacz panienki, ulitował się nad jej stanem, bo spytał:

-- Cóż mu takiego?

— A czy ja wiem, mój Boże... imaginacyja.

— Niechże pani pozwoli, ja go uspokoję.

I podszedł ku drzwiom, w których widział uciekającego starca.

Ledwie, że poruszył klamką, dziadunio począł znów wołać:

— Złodzieje... pali się... ja niewinny...

— Ależ, panie dobrodzieju, za pozwoleniem, niech pan otworzy...

— Nie puszczę, ja niewinny. Co wy odemnie chcecie: mam wyrok, pokażę...

Dla wyjaśnienia, co znaczą te nowe strachy, muszę tu powiedzieć, że kiedyś przed trzydziestu laty, nasz dziadunio będąc urzędnikiem kassowym, z przyczyny popełnionej w tejże kassie kradzieży, pociągany do tłomaczenia i zupełnie uniewinniony został. Teraz więc zobaczywszy urzędnika policyjnego, w przystępie rozbujałej wyobraźni, był pewnym, że dla dopełnienia miarki jego nieszczęść, przychodzą go aresztować. Ztąd ucieczka, trzymanie drzwi, i te wołania.

Komisarz widząc tylko rodzaj fiksacji starca, a nie mogąc się dostać do niego, pokiwał smutnie głową i pożegnał dziewczynkę.

Dziadunio słuchał jeszcze czas niejaki pod drzwiami, potem wysadził głowę z sypialni a zobaczywszy, że prócz Zosi nikogo więcej nie ma w saloniku, wszedł ostrożnie.

— Chwała Panu Bogu! krzyżyk na drogę! — odezwał się wzdychając—tylko co nie było nieszczęścia...

— Ech, co też dziaduniowi się przywidziało?

— Ale przywidziało, proszę uniżenie; myślisz, że on tu nie wróci? Już ja ci powiadam że będzie nieszczęście!

— Kiedy on tu przyszedł przez pomyłkę Marynka zamiast po doktora, poszła do cyrkułu, słysząc, jak dziadek wołał, złodzieje łapaj!

— At prawda! jednego listu zastawnego nie ma!

— Jest, dziadku, jest; dziadunio z prędkości nie wyjął z szufladki...

— Gdzie? — jest? to być nie może!?.. A to co?—krzyknął, wskazując ręką na drzwi od przedpokoju i sposobiąc się do ucieczki.— Otóż i wraca z policjantami, wezmą starca wsadzą do więzienia, a jak Bóg widzi niewinny: mam wyrok.

— Nie, nie, dziadku, niech dziadzio się uspokoi, to pan Walery, poznaję go po chodzie.

— Czego on chce? nie puszczać!...

— Mój dziadku...

— Nie, nie, ja nie chcę nikogo widzieć, może jakie nieszczęście przynosi.

— Zkąd znowu...

— To po co, o tej godzinie, hę? po co?

— Biedna Zosia nie wiedziała jak odpowiedzieć, choć dobrze znała powód przyjścia młodego człowieka. Wspomnieć o nim ani sposób: rozdrażniony staruszek weźmie to za nowe nieszczęście i ani będzie słuchał, ani pozwoli, może go jeszcze wyburczy, zrazi.. ofuknie... Wzięła się więc do kłamstwa:

— Wszakże dziadunio obiecał go zaprowadzić do hrabiego N.

— Kiedy? po co?

— Niebardzo dawno: miał ten hrabia dać mu robotę. Otworzę, dziadziu, otworzę mój dziadku, tak puka, wie że jesteśmy, gotów sobie Bóg wie co pomyśleć...

Stukanie w klamkę drzwi do przedpokoju ucichło, starzec rad był, że tanim kosztem pozbył się nieproszonego gościa, gdy nagle przeszedłszy kuchnię, ukazał się w progu znajomy nam pan Walery.

Dziadunio i wnuczka naraz krzyknęli, widząc wyelegantowanego młodzieńca, który znów nie mogąc pojąć co znaczy ich przestrach, stanął zdziwiony na środku pokoju, zapomniawszy języka w ustach.

— A, to pan Walery!—odezwał się pierwszy dziadek, skrzywiając twarz do uśmiechu. — W taki czas... no siadajże.

— Przepraszam państwa, widzę, że przestraszyłem obojga, ale nie mogłem się dopukać...

— W istocie tak jest — odrzekła Zosia, gdy dziadek niespokojnie zaczął chodzić po pokoju, nie zważając prawie na obecność nowo przybyłego.

— Czy i dla pani moje przyjście jest niespodzianką? — szepnął pan Walery do Zosi.

— Dziadek chory — odpowiedziała ciszej.

— Panie Walery, czy ty wierzysz w przeczucie? — wtrącił starzec zatrzymując się przed nim.

— Wierzę... to jest nie wierzę — poprawił się, czując szarpnięcie panny Zofji.

— A ja wierzę, ach wierzę, proszę uniżenie, i dla tego dzisiaj krokiem z domu nie ruszę. Czuję tu, w mojem sercu tego, że będzie, oj będzie...

— Ależ co będzie, szanowny panie?

— A cóż jakby nie nieszczęście? — Dlatego przepraszam cię, panie Walery, ale z twojej prośby...

— Panie, zlituj się!—zawoła młody człowiek, klękając przed nim i składając ręce, będąc pewny, że dziadek uprzedzony w celu dzisiejszych odwiedzin.

— Fe, panie Walery, kto to widział, a cóż to ja święty, czy co?... wstań no...

— Nie, panie; póki nie wyżebrzę od ciebi przychylnego słowa... Moje szczęście całego życia zależy od tej chwili... Ja przysięgam...

— Zwarjowałeś, proszę uniżenie! Tak, dalibóg zwarjował... A ja ci powiadam — mówił strary zapalając się coraz bardziej — że choćbyś mię tu prosił, przeprosił, bił, zabił na miejscu, krokiem nie ruszę się dzisiaj...

— Ależ, panie dobrodzieju nie rozumiem...

To ja rozumiem, proszę uniżenie... Ja bym nogę złamał schodząc ze schodów, albo kark skręcił... mam przeczucie i nie pójdę, nie pójdę!

— Będę opiekunem, ojcem twej wnuczki panie, miej litość!

— A któż waćpana prosi o opiekę, hę?...

Młody człowiek stanął osłupiały, nie pojmując co się staremu dzieje. — Co to jest? — myśli sobie: ja do sasa on do lasa... widocznie albo chory, albo udaje, że nic nie wie...

— Panno Zofjo, proszę cię, racz połączyć twe prośby z mojemi...

— Moja wnuczka, proszę waćpana, jest moją wnuczką, i zguby ani dziadka ani swej nie pragnie...

— Dziaduniu, mój dziaduniu drogi, to pomyłka — wyjąknęła całując go w rękę z przymileniem. — Pan Walery o co innego chce prosić...

— Jakto, pan nie chcesz żebym z tobą szedł do hrabiego?

— Anim myślał...

— Zosiu, a no cóżeś ty plotła?

— Z przestrachu tak powiedziałam...

— No, to co innego, chwała Bogu. No, dobrze już; ale cóż wy chcecie?

— Panie mój... dobroczyńco...

— Dobrze, dobrze, ale co?

— Kocham twoją wnuczkę, kocham nad życie, pannę Zofję...

— To i cóż? kochaj sobie... i ja ją kocham, proszę uniżenie...

— I panna Zofja mi życzliwa...

— Tak, dziaduniu drogi! — szepnęła rumieniąc się potężnie dzieweczka. — I ja go kocham...

— No, to cóż tu wielkiego? — mówi dziadek nie chcąc zrozumieć prośby. — Ty, panie Walery, ją kochasz, bo dziewczyna warta tego, i ja ją bardzo kocham. Ona ciebie kocha, no, bo ma najlepsze serce; ona wszystkich kocha...

— Dlatego ja ośmielam się błagać pana, abyś raczył...

— Co? może pozwolić na wasze połączenie — krzyknął syknąwszy, jakby go żmija ukąsiła...

— Tak — bąknął zakłopotany młodzieniec.

— Tak mówisz! Hm, źleś się wybrał: nie pozwolę...

— Panie...

— Nie pozwolę...

— Ja przysięgam, zapewnię jej szczęście, krwią moją, życiem mojem, okupię każdą chwilę jej życia...

— Nie pozwolę...

— Ależ, dziadku drogi, kochany, cóż możesz mieć przeciw niemu? Mój dziaduniu serdeczny, przez pamięć matki mojej...

— Nie pozwolę!—odpowiedział sucho. — Ot, szukałeś nieszczęścia, panie Wincenty— szeptał sobie spojrzawszy na rozrzucone karty—masz go... Dobrzebym się wybrał; dziś, w dzień tyle nieszczęśliwy zezwalać na małżeństwo wnuczki, jedynego dziecięcia mej córki, jedynej gałązki, która mię wiąże przy życiu. .

— Nie, nie — mówił odwracając się do stojącego z pochyloną głowa młodzieńca. — Daruj, panie Walery, ale ja nie mogę; kocham cię, proszę uniżenie, wiem żebyś jej szczęście zapewnił, tego... ale nie mogę... mam przeczucie... ot tak nie mogę...

Zrozpaczeni kochankowie wydawali się jak dwa posągi rozpaczy: Waleremu łzy jak grad spadały na policzki, panna zaś nie mogąc powstrzymać swej żałości, wybuchnęła głośnym płaczem...

— Jest nieszczęście! — szepnął znów staruszek, a przyskoczywszy do szlochającej wnuczki, porwał ją w swoje objęcia i tuli i całował przepraszając, uspakajając, sumitując się, choć czuł, że jego upór najmniejszej nie ma zasady, bo wiedział o ich miłości, i w sercu swem tego związku dawno już zapragnął. Kiedy więc uspakaja płaczącą Zosię i tuli ją w ramiona i pociesza, ręka jego dotknęła jakiegoś papieru za gorsetem sukienki.

— Zosiu, co to jest? — krzyknął pokazując jej wytłoczony papier na sukni.

— Nic, mój dziadku, nic, to papier...

— Matko Najświętsza, to coś złego! Proszę cię pokaż — i sięgnął ręką...

— Nie, nie, nie, mój dziadku nie pokażę!

Lecz stary w przystępie swego uprzedzenia o nieszczęście, myśląc, że wnuczka trzyma tam jaki talizman, lub też truciznę, siłą prawie wyciąga jej ów papier, i wystawcie sobie jego zadziwienie, gdy owym talizmanem jest siódemka pikowa!

— Dziaduniu, litości! — zawołała padając mu do nóg.

— To moja karta?

— Dziaduniu, przebacz!

— Moja siódemka ze zwyczajnej talji.. Zosiu, moje życie, moja panienko — zawołał nagle ściskając i całując zapłakane dziewczę! *Victoria*! nie będzie nieszczęścia! Ot, głupi stary... ot, proszę uniżenie... jakże miał wyjść gdy siódemki nie było... Ot, *Victoria, Victoria!*—krzyczał skacząc z ową kartą po pokoju... Panie Walery, zezwa... nie, nie, nie: poczekajcie...

I kopnąwszy się do kantorku, drżąc cały, usiadł czemprędzej w swojem fotelu, zmieszał karty, zażył tabaki, a śmiejąc się i niecierpliwiąc zarazem, rozkładał je przed sobą.

Młodzi tymczasem ochłonąwszy z przerażenia i nie wyjaśnionej im trwogi starca, zbliżyli się ku sobie, a jedno spojrzenie, jeden uścisk dłoni, wynagrodził wszystkie przebyte cierpienia.

— No, uklęknijcie! — krzyknie naraz poczciwy starowina zrywając się od kantorka z rozpromienioną twarzą i błyszczącem okiem. — Kochajcie się, ja was błogosławię. Niech Bóg Wszechmogący, choć w tysięcznej części, tego ten, proszę uniżenie... ot, żeńcie się i żyjcie... tego i niech wam się, proszę uniżenie, wszystko tego... ot, dobrze dzieje!...

Dopieroż jak się rzucą do nóg starcowi młodzi kochankowie, jak nie zaczną całować, ściskać i śmiać się i płakać, to stary nie wiedział co z sobą zrobić. Całował ich po rękach, obejmował, podnosił, a w końcu czując, że z tej radości już tchu mu niestaje, pobiegł do okna, otworzył lufcik, wciągnął całą piersią balsamiczną woń powietrza, i westchnął do Boga, przepraszając Go, że śmiał djabelskim kartom powierzyć losy ukochanego i jedynego dziecięcia.

— Otóż, proszę uniżenie, *haus!* Precz narzędzia mych utrapień, precz, precz, precz!— wołał wyrzucając talija za taliją, z takim zapałem, że wnuczka znając jego słabość do pasjansa, musiała prosić, żeby choć jedną zostawił.

— Ani jednego kawałka, ani śladu, proszę uniżenie! — I wyciągał ze wszystkich kryjówek kantorka nowe i stare talije, i siał niemi przez balkon, radując się, jak wiatr pomiatał i roznosił je na wszystkie strony świata.

I wszyscy przepędzili ten wieczór z takiem weselem, jakiego każdy człowiek im pozazdrościć może.

Albert Wilczyński. (pt. str. 197 tom I).

Nieśmiały *).

W szesnastej wiośnie cały drżałem,
Czując na sobie piękny wzrok,
Więc tylkom szeptał to żądanie
Lecz próżno męzkich sił szukałem,
By raz stanowczy zrobić krok,
Wznosząc strzeliste modły swe:
„Jedną kochankę daj mi Panie —
Jedną kochankę... albo dwie..."

Widząc mą duszę w tej rozterce
Ta, którąm, wielbiąc, w snach swych śnił
Rzekła mi: „Chłopcze! twoje serce
W walce ostatek traci sił.
Żal mi cię dziecię — powiedz śmiele
Czego tak pragnie dusza twa?"
„Chcę cię uścisnąć mój aniele,
Chcę cię uścisnąć — raz lub dwa..."

By ulgę przynieść nieszczęsnemu,
Piękna ujęła moją dłoń
I ja też — nie wiem jak i czemu —
Przylgnąłem nieco bliżej doń.
„Dokąd namiętnych szałów siła,
Zbliża nieskromne ręce twe?"
„Gdyś mi już jednej nie broniła,
Pozwól, o boska, pieścić dwie..."

Nieraz się później naśmiewała
Z moich zapałów aż do łez,
Lecz rzecz się wreszcie taka stała;
Kiedy i na nią przyszedł kres.
Wówczas wołała: „Wielki Boże!
Co teraz będzie — cała drżę!"
„Nic niezwykłego być nie może —
Jedna kołyska, albo... dwie..."

Przełożył *H-U-Mor.*

*) Autor tego wiersza jest ze szkoły Berangerowskiej: Hégésippe Moreau (1810—1838).

* *Nie tak to illo tempore...*

(Śpiew stroskanego rolnika).

Nie tak to illo tempore bywało,
Zewsząd grosz miły płynął do szlachcica,
Dziesięć rubelków za korzec się brało,
Dzisiaj i pięciu nie płaci pszenica!

— o —

Dawniej nie dbając o deszcz lub zadymkę,
Do wsi zjeżdżało zbożowe handlarstwo,

Dzisiaj ty do nich odprawiaj pielgrzymkę
I jeszcze kupić niechcą na lekarstwo.

—o—

Zaczepisz kupca — to pokiwa głową,
Mówiąc, że zbytu niema na pszenicę,
I udawadnia „Gazetą Handlową"
Że jest urodzaj wielki w Ameryce.

—o—

Oj ten Columbus, zalałże nam sadła,
Zaraz niemiecką widać w tem praktykę,
O zakład pójdę, by pszenica spadła
On naumyślnie odkrył Amerykę!

—o—

Nasz brat Kopernik — świeć mu za to Panie
Los go ziemiański widocznie obchodził,
Wolał niebiosa zgłębiać przez badanie,
Sławę uzyskał — szlachcie nie zaszkodził!

Nie-Jadam.

Nieuleczalny.

La Condamine „nieuleczalnym" zwany, żył trawiony nieustanną ciekawością i padł w końcu jej ofiarą.

Zaledwie ukończywszy szkołę, zaciągnął się do wojska jako ochotnik, dla tego tylko, aby się mógł przypatrzeć oblężeniu.

Z lunetą w ręku wystawał całemi godzinami pod gradem kul, obserwując najdrobniejsze szczegóły.

Po skończonej kampanii, dowiedziawszy się, że Duguay Fruin zamierza odbyć podróż na około świata, dokłada wszelkich usiłowań, aby uzyskać pozwolenie towarzyszenia mu...

Natychmiast po powrocie, zaciąga się w poczet członków przedsiębiorących wyprawy do równika, a wiadomo z jakiemi niebezpieczeństwami była ona połączoną, to też powrócił z niej głuchy i prawie sparaliżowany.

To go wszakże nie uspokoiło i w r. 1737 udał się do Włoch dla badań naukowych.

W małej jakiejś nadmorskiej mieścinie, przewodnik pokazywał mu świecę gorejącą przed jakąś Madonną, objaśniając przytem, że światełko to trzyma na wodzy fale morskie, które wnet by zalały całe wybrzeże, gdyby świeca ta zagasła...

W mgnieniu oka gasi to światło, a uciekając przed motłochem, — odwraca się i krzyczy z całego gardła:

— A co, widzicie, że fale nie pochłonęły miasta!

Ale ciekawość jego, nietylko w naukowym zakresie się objawiała, przenosił on ją i na pole codziennych życia wypadków, — a to do tego stopnia, nie cofał się on przed podpatrywaniem cudzych tajemnic, a nawet niekiedy przed otwieraniem cudzych zamków, co jednak czynił niemal bezwiednie...

Pewnego razu, pochylony nad panią de Choiseul, odczytywał list, który ona pisała.

Spostrzegłszy się, dama ta nie przerywając swej czynności, kończy temi słowy:

— Powiedziałabym ci jeszcze więcej ciekawych rzeczy, moja droga, gdyby nie to, że p. de la Condamine pochylony za mną, odczytuje każde moje słowo.

— Ależ pani! oskarżenie to jest całkiem niesłuszne; — przysięgam, że wcale nic nie czytałem! — zawołał z całą naiwnością obwiniony.

Innym razem p. de Choiseul odwołany na chwilę, pozostawił p. de la Condamine samego w gabinecie.

Jakież było jego zdumienie, gdy po powrocie zastał gościa zajętego przewracaniem papierów sekretnych nadesłanych z ministeryum.

— Panie! na Boga żywego co robisz?

— Ja? Nic. Chciałem zajrzeć, czy nie ma co ciekawego, — odpowiada filozoficznie.

Wobec tej szczerości, minister stracił powagę i roześmiał się na głos.

Na schyłku życia, gdy zdrowie biedaka było już w opłakanym stanie, dowiedział się on, że jakiś młody chirurg przedstawił akademii projekt śmiałej bardzo operacyi, będącej

radykalnem lekarstwem na tego rodzaju cierpienie, jakiemu właśnie sam podlegał.

Bez wahania posyła po wynalazcę i każe się operować.

Młody lekarz boi się decydować, ale naglony i zachęcony przez p. de la Condamine, odważa się na tę próbę.

Przez cały ciąg bolesnej operacyi, starzec śledzi każde cięcie z taką ciekawością, jak gdyby w obec niego krajano jakieś martwe ciało i przyrzeka napisać własnoręcznie sprawozdanie do akademji.

Pomimo, iż ręka nowicyjusza drżała, operacyja miała się udać świetnie, ale niecierpliwy chory zawcześnie ranę zagoiwszy, po kilku dniach życia dokonał — tym sposobem padł ofiarą swej bezmiernej i bezprzykładnej ciekawości.

Niewdzięczny.

(Rzecz dzieje się w pewnej finansowo-giełdowej prywatnej instytucyi.)

— Proszę pana dyrektora o uwolnienie.

— Co to znaczy! dla czego pan chce uwolnienia?

— Dla bardzo prostej przyczyny, że pomimo ciągłych obietnic gratyfikacyi, zamiast gratyfikacyi, dostałem suchot.

— No widzi pan, jaki pan niewdzięczny zawsze pan coś dostał i jeszcze pan narzeka.

Niewiasta.

Dwie gęsie, trzy niewieście,
Jużci jarmark w mieście.

Przysłowie.

* *Niewiasta co kota przedała.*

Sołtys w jednej wsi będąc na śmiertelnej, prosił żony swej, aby zaraz po jego śmierci, sprzedała wołu z obory, a te pieniądze wszystkie, które za wołu weźmie, aby w imię Boże za duszę jego rozdała. Z wielkim płaczem obiecała to mężowi. Gdy umarł, zaraz nie pochowawszy go, jechała do miasta, wołu onego sprzedawać, wzięła też i kota z domu, aby sprzedała na swą potrzebę. Będzie na rynku, przyjdzie rzeźnik, pyta: drogi to wół? Odpowie sołtysowa, iż za grosz. Patrzy rzeźnik na nią, rzecze jej: „Przedajes czy żartujesz miła dobra żono, powiedz oto za co dasz?" Ona mu odpowie: „Miły dobry panie, zaprawdę tego wołu daję za grosz, ale tym sposobem, mam też kota przedajnego, a jednego przez drugiego nie przedam, chceszli tego wołu kupić zaraz-że też kup i kota." Dziwno rzeźnikowi, pyta: „za coby był kot?" Niewiasta powie, że kota nie może dać taniej jedno za cztery złote, a wołu przy nim za grosz. Dziwuje się rzeźnik, że jeszcze jako żyw, na takim targu nie bywał, a widząc że on wół lepiej stał niżli za cztery złote, rzecze jej: „Niewiasto, bierz pieniądze" — odliczy naprzód pieniądze za kota cztery złote, a potym za wołu grosz. Pani sołtysowa schowała pieniądze za kota cztery złote, z onym groszem co wzięła za wołu poszła do kościoła w imie Boże rozdała za duszę męża swego, jako rozkazanie miała na testamencie wszystko dać w imię Boże coby wzięła za wołu. Prawdziwy to wierszyk:

Nie potrzeba rady,
Niewieście do zdrady.

Przypowieść z XVI wieku.

* *Niewiasta co męża żałowała.*

Niewieście jednej mąż umarł; przy ludziach tak jako ten naród zwykł, rzewnie go płakała, gdy sama była ku płaczu podobno się nie miała; prowadząc do kościoła omdlała kilka razy, i już go w grób kładąc, tak bardzo omdlała, że ledwo niewiasty, sąsiadki jej, duszę się w niej dotarły. Przyprowadziwszy ją do domu cieszą ją, aby się nie frasowała, mówiąc: „że cię Pan Bóg nie opuści." Ona im rzecze: „mam nadzieję w Stworzycielu moim, że będę miała lepszego, aniźli to był. Ale co się wam zda, jeślim była dobrze omdlała?" Niewiasty w śmiech, a ona nieboga się nie obaczyła. Aleć jej wytknęło, gdy jej drugi po zawoju kijochą macał. Nie czytała pewnie onego wierszyka:

Oddaje to Bóg snadnie,
Która żona z mężem zdradnie.

Przypowieść z XVI wieku.

* *Niewiasta, co się cierniem zakłuła.*

W mieście jednym przyszła niewiasta do balwierza, aby jej ciernie z nogi wyjął, chcąc mu dobrze zapłacić. Balwierz pyta jako się zakłuła, niewiasta powie: „wczora szłam na pole z mężem snopów wiązać; trafiłam na ciernie, zakłułam się.” Kazał jej balwierz stać na węzgłowiu, nogę balwierczykowi trzymać każe, kleszczyki i inne instrumenta do tego weźmie. Niewiasto niebőga bądź z bojaźni, bądź też z boleści, gdy jej w ranie onego ciernia macał głośno p... A balwierz jej rzecze: „Oto wylazłoć!” Niewiasta mniemając by to ciernie wyłazło, a on to przymawiał, że p..., rzecze balwierzowi: „zgrzyż zębami, a zżuj miły balwierzu i przyłóż na ranę, bo rana od tego prędko się zagoi.” Balwierz rzecze: „niechaj to dyjabeł gryzie nie ja, wylezie taki tarń drugi, tedy ja pójdę precz z izby, albo ciebie z nim na ulicę wespół wypchnę.” Może się tu ten wierszyk przypisać:

Wielka to cnota,
Szczera prostota.

Przypowieść z XVI wieku

* *Niewiasta sekretarzem być się niegodzi.*

Człowieka to mądrego doświadczyć żony, jeśli nieświegotliwa, gdybyś się jej czego statecznie zwierzył. Trafiło się pojął sobie żonę, której chcąc doświadczyć, jeśliby nie języczna była, powie jej: „miła żono, dziwna mi rzecz przydała i barzo się frasuje, by mi co złego nie znamionowała, jakoż się na to zaniosło barzo, zwierzyłcibym się tego, ale się boję, bo niewiasty świegotliwe są zawsze, żebyś tego z domu nie wyniosła, bobym do niesławy przyszedł.” Żona rzecze: „miły mężu nie wątp nic o mnie, obiecuję to tak taić, jakobyś kamień w wodę rzucił, a zwłaszcza tę przygodę twoję.” Tak długo prosiła męża aż jej powiedział: „Wczorajszej nocy zniosłem jaje, i znam o mnie coś nietrefnego, przeto się boję, by to na świat nie wyleciało bez skrzydeł, bo bym był u ludzi w wielkim obmowisku.” Żona na to powiedziała: „O mój miły mężu, położywszy na krzyż dwa palca, że tego nie rozniosę, boć się jeszcze onego boję, który Żydy wywiódł z Egyptu.” Ledwie się oblokła, alić do niej Jędraskowa przyszła po ogień, jako one zwykły z sobą dziwne rzeczy szeptać, między inszemi rzeczami ta przytoczy, że jej mąż zniósł jaje, i drugiego się spodziewa na drugą noc: „ale tego taj moja miła, tobie się zwierzam tego jako sąnsiadce, a nie uwierzyłabym była temu, alem je miała w ręku.” Jędraskowa wziąwszy na pokrywkę ognia, przyniesie kmoszcze drugiej dwie jaj, to jest że słyszala iż sąmsiadek zniósł dwie jaj i trzeciego się spodziewa jeno tego nie trzeba powiadać, bo mi się tego żona jego zwierzyła. Kumoszka trzeciej o trzech powiedziała, tak że tego było około dziewięci. Nakoniec to przyszło do samego męża, gdy go somsiad to ten, to ów pytał o one jajca, jął gromić żonę: „przysięgałaś się mercho, a wzdyś jeszcze więcej przyczyniła do mej powieści. Nie będziesz potym u mnie sekretarzem. Nie darmo Horacius czarnym takowego nazwał, który mówi to czego nie widział ano objawia to co mu zwierzono. Polak zaś mówi:

Chceszli mieć co tajemnego,
Nie zwierzaj się żonie z tego.

* *Niewiasta, co się wrzeczy wrzuciła w studnię.*

Jeden dobry towarzysz miał nadobną żonę, a pijak był i przywiódł do tego żonę, że się rozmiłowała jednego młodzika, ażeby snadniej z nim mogła się rozmówić, upominała zawsze męża swego, aby szedł gdzie na biesiadę. Gdy mąż do domu pijany przyszedł, ona dobra pani, męża położywszy, nietylko w dom onego młodzika puszczała, ale i czasem do niego chodziła. Trafiało się, że dnia jednego zbywa z domu ona pani męża swego. „Jam nie dudek,” pomyślił sobie, że to nie darmo, a nie dawnych czasów tak o pijaństwo nań utyskiwała, że w domu zbyć nie mógł. Poszedł, i udał się na to, że nic nie pił, w nocy przyjdzie do domu, i uczyni się pijanym w mowie i obyczajach. Żona nadobnie nie łając mu weźmie go mówiąc: „Pódź serce może spać,

a toś się upił bardzo." Zaprowadziwszy go, i sama się podle niego układzie, a skoro on pocznie chrapać, wstanie i znowu się ubierze, przywarszy komnaty, szła do swego galanta. Skoro wyszła z domu mąż wstał, szedł, zawarł sień, a sam w oknie stał, czekając jej ażby przyszła. Po północy prawie, pani do domu wędruje, obaczy że zawarto, do zamsu idzie, i gwałtem chce otworzyć, do której rzecze mąż: „a zła i niecnotliwa żono, zaś to tobie przystoi mnie małżonka swego zdradzać? Nie będziesz sam spała mercho wszeteczna, pokażę wszystkiemu światu twoję cnotę i twoim rodzicom pokażę i twoim powinnym. Ona nieboga imie go dla Boga prosić: „o mój miły mężu, tomci u sąmsiady była, bo żadnym sposobem spaciem nie mogła, otwórzże mój miły mężu, a do śmierci się tego nie dopuszczę." Mąż żadnym sposobem nie chciał, jedno, żeby tam na ulicy do dnia była. Ona widząc, że nie mogła uprosić, poszła nań inszym fortelem, jęła mu grozić: „a zły, a zapamiętały mężu, ponieważ mi tę zelżywość wyrządzić chcesz, oto jej nie doczekasz, wolę iść sama siebie zabić, niż zelżywość jaką podjąć, patrzże na to, że w tę studnię, co przed somsiadem jest wskoczę i utopię się: a wiedz o tym, że ty tego przypłacisz, bo każdy rzecze, że ty upiwszy się, utopiłeś mnie, bo żaden temu wierzyć nie będzie, abym ja sama miała sobie mężobójcą być. Przeto ty zły człecze dasz gardło, a jeśli ty mnie nie puścisz do domu, wiedzże o tym, że idę utopić się." Mąż nie wierząc temu, by to uczynić miała, rzecze: „byś miała i szyję złamać, ja ciebie nie puszczę, aż ta twoja niecnota wszystkiemu światu jasna będzie." Ona dobra pani szedłszy do studni jęła mówić: „Panie w ręce twoje polecam ducha mego." Wziąwszy kamień co leżał u studnie, wrzuciła w studnie i utaiła się wedle studnie. Mąż usłyszawszy, a ciemna noc była na ten czas, tak wielki rum w wodzie, mniemał, aby z desperacjej wskoczyła w studnię, chcącją ratować, otworzywszy sień przyszedł do studnie, a ona niedaleko drzwi stojąc, wbieży na górę i rzecze głosem „A zły mężu małoś się napił, jeszcze około studnie chodzisz." Mąż żonę usłyszawszy, przyjdzie do drzwi, a ono zamkniono; rzecze: „otwórzże błaznico, zląkłem się o cię." A ona głosem wielkim: „Nie kołacz, dobrze dla somsiadów, nie o tym ci czasie do domu chodzą, małoś się we dnie napił? obiecuję to, że cię nie puszczę, żeby wszyscy ludzie wiedzieli twe sprawy, że ty gdzieś od małpy idziesz." Mąż słysząc to imie jej łając: „a niecnotliwa żono swe łotrostwo na mnie wkładasz?" Owo tak się swarzyli, że somsiedzi usłyszawszy, każdy do okna wstał do onej komedyje, pytając co się dzieje?" Ona dobra pani usłyszawszy somsiady jęła z płaczem mówić: „Moi mili cnotliwi somsiedzi, patrzcie na tego zdrajcę mego pijanicę, skąd o tym czasie do domu idzie, oto kołacze, a budzi was, com mu ja długo cierpiała, upominając go, aby tego poniechał. A iż nie dbał na moje słowa, ja go też dłużej cierpieć nie mogę, i do domu puścić go nie chcę, aby dla tej sromoty mógł się pohamować." On dobry człowiek imie się z drugiej strony sprawować, że nie prawda. „Sama zła białogłowa z domu wyszła" i powiadał wszystko jako się działo. A ona na to: „Patrzcie tego pijanicę, moi mili somsiedzi jak se wymyśla, jako was uczciwe ludzie chce w pole wywieść. Co to za podobieństwo ja w domu tylko w koszuli, a on oto ubrawszy się na ulicy patrzcie jako szali, żem się do studniej miała wrzucić, daj Boże aby się sam wrzucił, z tym swoim plugawym pijaństwem, lepiej byśmy się mieli trochę niżli teraz." Somsiedzi nie wiedząc co się działo, wiedząc że się rad napijał, jęli go strofować i winić, że „to rzecz nie przystojna tobie człowiekowi statecznemu o tym czasie do domu chodzić, a jeśli pijaństwem się bawisz, wżdyć to nie przystoi tobie na żonę cnotliwą tego wymyślać co na nię powiadasz;" tymczasem już świtało, on też do swego powinnego poszedł. Nazajutrz rosławiło się to po wszystkiem mieście, przyszło do rodziców onej dobry pani, która skoro dzień zaraz do nich poszła, przyjdą z nią do domu, jęli fukać i grozić

wszyscy, że nieborak musiał ono wszystko na sobie odnieść, a jeśliby co z nią o to poczynał, wtedy go chcieli o wielki kłopot przyprawić, musiał nieborak wszystkiego zamilczeć. Tak niewiasty umieją, choć co zbroją, pięknie się ze wszystkiego wywieść. Nie bez przyczyny Juwenalis napisał:

Niewiasta z niecnotą się braci,
Która wstyd w oczach utraci.

Przypowieść z końca XVI wieku.

* *Niewierność małżeńska.*

Pewien małżonek żalący się przed p. Santeul, na niewierność swej żony, uspokojony został temi słowy:

— Jest to choroba wyobraźni, mało ludzi z niej umiera, wielu z niej żyje...

(Bibliothèque de cour.).

Niewinni.

— Słuchaj no mój Leonku, nie pozwalaj ty tak szeptać na boku twojej żonie z Edkiem, bo będą z tego plotki!...

— Co to szkodzi, oni sze tak jak gołąbki kochają!... niech oni sobie czasem gruchną.

Niewybredna.

Oficer przynosi baletniczce szkatułkę. „Pozwoli sobie pani ofiarować jeden z tych klejnotów? Jest pięć sztuk, który się pani podoba? Proszę wybrać."

Baletniczka. „O najuprzejmiej dziękuję, ale nie jestem wybredną. Podobają mi się wszystkie...

Niezdarność.

Rivarol mówiąc o niezgrabności angielskich kobiet, tak rzecz określił:

„One mają obie ręce lewe."

Niezgrabny.

— Jakże można tak spadać z konia — zawołał masztalerz do młodego człowieka, który pobierał naukę jazdy konnej.

— No! przecie w powietrzu wisieć nie mogę — odparł podnosząc się niezgrabiasz.

Niezabudka.

Niezabudki wdzięczne kwiecie
Ona dała mi,
Gdym anielskie żegnał dziecię
Ciche tłumiąc łzy:
I mówiła kryjąc twarz:
„Luby! wrócisz przecie?
„Ja cię czekam... wtedy dasz
„Niezabudki kwiecie.

„Wszak mówiłeś, że me oczy
„Jasne jak ten kwiat,
„Gdy się po nich łezka toczy
„W dziwny marzeń świat;
„Mego życia rajski sen,
„Wziąłeś sen uroczy,
„Bierz więc łzawy kwiatek ten
„Pomnij na me oczy.

Odjechałem. Dnie mijały,
Nadszedł smutku dzień;
Wszystkie moje ideały
Pierzchły jako cień,
Jeden tylko wierny mi
Został kwiatek mały,
A z nim pamięć lepszych dni;
Senne ideały.

Życie lało gorzkie męty
W kielich duszy mej,
A ja szedłem uśmiechnięty
Bo wierzyłem jej!
Dwoje oczu, gwiazdek dwie,
Jak talizman święty
Prowadziło w przyszłość mnie,
Szedłem uśmiechnięty.

Wkrótce potem—ha, co chcecie!
Kiedy za mąż szła
Prowadziłem rajskie dziecię
Do kościoła... Ha!
Tylko na pamięci znak,
W noc miesięczną w lecie,
Na weselu wpiąłem w frak
Niezabudki kwiecie.

Tak się skończył sen milutki
I ostatnia nić...
Zwiędły kwiatek niezabudki
Przestał w sercu żyć;
Powróciłem w ciemne mgły
Unosząc swe smutki,
I nie wierzę dziś już w sny,
Ani w niezabudki!

El...y.

* *Niezgody piękny przykład.*

Na sejmie jednym między pany była wielka różnica około obierania króla: ta strona na tego wotowała, druga na inszego, owo każdy w swą. Panie jedno widząc tak wielką niezgodę, i do czego się ściągało, a był wielki wymówca, to go tylko szpeciło, iże był małego wzrostu, wystąpił, aby też między nimi swą sentencją powiedział. Widząc tak małego guza jęli się wszyscy śmiać mówiąc: „Słuchajcie Zacheusza, słuchajcie.” A on to w żart obróciwszy powiedział: „A cóż gdybyście moją żonę widzieli, co mi jest jedno do pasa.” Dopiero się wszyscy jęli śmiać. Trochę się uciszywszy powiedział: „Patrzcież panowie na nas dwoje ludzi tak małych; gdy się nie zgadzamy, tedy czeladź, majętność i wszystko w domu ladajako nam ginie; a cóż rozumicie o tym Państwie nie zginie li, jeśli się wszyscy tak rozerwiecie.” Oną przypowieścią tak ich wszystkich w żywe ruszył, że się zaraz wszyscy na jedno zgodzili. Nadobna ona sentencja

Na wszystko pogoda
Rady miła zgoda.

Z „Facecyi polskich” XVII wiek.

Niezręczny.

I.

Gdy ją raz pierwszy ujrzał w kobiet gronie
Uczuł w swej duszy jakby światło nowe,
Zdawało mu się, że widmo tęczowe
Młodzieńczych marzeń podaje mu dłonie.

I zapatrzony w oczy szafirowe
Zaledwie zdołał skłonić przed nią głowę,
Przy przedstawieniu, i wiedząc, że płonie
Onieśmielony stał jak żak w salonie.

Ona spostrzegłszy to jego zmieszanie
Chciała przyjść w pomoc, i pierwsza z uśmie-
[chem,
Zadała jakieś zwyczajne pytanie.

By odpowiedzieć zwrócił się z pośpiechem
Lecz się w jej sukni zaplątał jedwabnej,
I urwał kawał falbany — niezgrabny!

II.

Trudno uwierzyć! lecz taka przygoda
Zamiast mu szkodzić u pięknej kobiety,
Pomogła raczej i nastała zgoda
Pomiędzy sercem wdówki i poety;

I widywała się ta para młoda;
On jej przynosił do domu bukiety,
I wzdychał ciągle, na co czasu szkoda
I co go wreszcie zgubiło niestety!

Siedział sam przy niej — źrenicą spragnioną
Tonął w jej oczach w niemem zachwyceniu
Na twarz jej padał srebrny blask miesięczny,

Więc ją mógł widzieć drżącą i wzruszoną,
Ale w tem samem został oddaleniu,
Gdyż bał się suknię nadeptać — niezręczny.

El...y.

Noc.

Niebo spokojne, jak dziecka źrenica,
Ciemno-niebieskie, w środku księżyc blady
Wpół zadumany, a z twarzy księżyca
Srebrnych promieni leją się kaskady;
Parę gwiazd smutnych wśród szafirów tonie,
Wietrzyk otrząsa z rosy kwiatów skronie,
A sennym lekko kielichy zamyka...
I gaje dzwonią piosenką słowika...
Och! jak to błogo pośród takiej nocy
Błądzić samotnie, wzrok utkwić w błękicie,
Zapomnieć własnych bólów i niemocy,
I wierzyć w jakieś czystsze, lepsze życie!...
Myśl wtedy ludzka nad niebieskie szlaki,

Jak gołębica Noego ulata
I gdzieś się gubi w tajnikach wszechświata.
I tam znajduje bratnich myśli ptaki,
Łączy się z nimi i w wielkiej gromadzie
U stóp Wszechstwórcy z pokorą się kładzie!
Wśród takiej nocy człek na sen nie zważa
Nie czuje nawet potrzeby spoczynku.

. . . .

Wśród takiej nocy często się też zdarza,
Że wyrzucają człowieka — ze szynku!

Bolesław Czerwieński.

* *„Nobiesse oblige."*

Od najmłodszych prawie lat
Bezustannie dźwigam krzyż,
A wszystkiemu winien świat,
I jego „noblesse oblige."

Z kraju gładko dałem nura,
(Tu nie rośnie pieprz, ni ryż),
W świat ciągnęła mię natura,
Zwiedzić go „noblesse oblige."

Wojażując rok i drugi,
Świat poznałem wzdłuż i wszerz,
A na dobrach miałem długi,
Bo tak chce: „noblesse oblige."

Wróciłem, by wyleźć z długów,
Lecz czyż to możliwe, czyż?
Oszczędzać... pozbyć się cugów?
Ani rusz! „noblesse oblige."

Nie ma rady, brnąłem dalej,
Póki Josek, Moszek, Fisz
Workiem swym mię wspomagali.
Brałem! boć „noblesse oblige."

Wreszcie dobra z inwentarzem
Stopniały, jak w hucie spiż,
Zostałem więc — pieczeniarzem,
Wiedząc, że „noblesse oblige."

Choć mię nękał los ladaco,
Choć mię ciężki gniecie krzyż,
Nie splamiłem życia pracą,
Pomnąc, że „noblesse oblige."

Korwin. (P. str. 350 tom I.)

* *Noc sylwestra.*

(Szczypta kłamstwa i dwa łuty blagi.)

Muszę najpierw państwu powiedzieć, że jestem nieszczęśliwym od urodzenia; aczkolwiek posiadam nieszpetną buzię (fotografje moje są do nabycia w moim własnym lokalu po kop. 30 za sztukę), zgrabną figurkę, tańczę jak Giuri, śpiewam jak Mierzwiński, a śmieję się jak Czaki do paradyzu, jednakże jakieś *dziwne fatum* prześladuje mnie od dzieciństwa.

Naprzykład w roku 9-ym żywota mego pies mnie ukąsił... Albo, mając lat 16, zostałem zapisany w poczet uczniów pewnego prowincyjonalnego gimnazyum i przyjęty do klasy pierwszej, a po dwóch latach, nie uzyskawszy promocyi, dostałem pozwolenie nie uczęszczania nadal do tegoż gimnazyum. Wyjechałem więc do Warszawy i tu rozpocząłem się kształcić w tejże samej klassie pierwszej, a po dwóch latach, pomimo wysiłków, znów spotkał mnie poprzedni smutny los.

Rodzice moi, obrażeni rażącą niesprawiedliwością profesorów, którzy dawali mi „pałki" za takie np. bagatele, jak ta, żem nie wiedział, kto byli nasi pierwsi rodzice, albo ile lat trwała trzydziestoletnia wojna, uradzili, ażebym czas poświęcil czemuś pożyteczniejszemu, aniżeli naukom.

Zdanie ojców moich podobało mi się bardzo; ubrałem się w cywilny tużurek, przypiąłem stojący wysoki kołnierzyk, na znak, że się nie boję profesorów i z zapalonym papierosem, nachodziwszy się po ulicach, zacząłem znajomość od szansonistki w Szatodeflerze i wówczas zauważyłem, że ile razy brząknąłem w kieszeni drobnemi, to niemka się do mnie śmieje.

Poznawszy tę słabą stronę płci nadobnej, starałem się o ile możności wyzyskiwać ją na swoją korzyść i rzec mogę śmiele, że w parę lat byłem wykwalifikowanym podbijaczem serc kobiecych z gatunku nimf bawaryjnych, i na tem polu robiłem coraz to nowe odkrycia,

które potem jednakowoż dały nie wesołe rezultaty...

Już to takie moje szczęście!

Położenie moje majątkowe nie pozwalało mi bardzo suto używać rozkoszy tego padołu płaczu i zgrzytu zębami, zmuszony byłem przeto ograniczać się i wszystkich uciech doczesnych używwać tanim kosztem.

Powiem wam, szanowni czytelnicy, że nigdy mi nie zbywało na humorze.

Czy deszcz, czy pogoda, czy śnieg, czy mróz, ja zawsze jestem wesoły, uśmiechnięty i zadowolony ze świata i siebie.

Przez pewien czas miałem ja nawet swoją Marynię...

Mówię *swoją*, ponieważ kochałem ją szalenie i ona mnie okropnie.

Marynia była nieraz pociechą w niedoli mego życia.

Raz naprzykład, zmuszony byłem wyprowadzić się ze swego mieszkania. A wiecie czytelnicy; dla czego? Mój gospodarz był do tego stopnia zwolennikiem zastarzałych przesądów, że wiedząc o tem, że ja nie mam nic prócz łóżka i dwóch krzeseł o trzech nogach razem, chciał, ażebym mu płacił komorne i mnie do tego kroku, dość energicznie nawet, namawiał.

— Coby na to potomność powiedziała?! — krzyknąłem oburzony.

— Że kto nie płaci, niech się wynosi! — wrzasnął mój gospodarz.

— Nie mieszkam i nie wdaję się z grubijanami! — rzekłem sobie, ale w duchu. i zabrawszy fotografje pięciu moich kochanek, kilka kwiatów zasuszonych, rękopisy zakwalifikowane do kosza w różnych redakcyjach, zaczęty dramat na konkurs, miłosną korespondencyją wypchałem kieszenie i wyemigrowałem z lokalu.

Wyszedłem.

Było to na trzy dni przed Nowym rokiem. Noc była ciemna i wicher wył przeraźliwie, jak *niechrzczone dziecię,* według słów jednego z naszych znanych rymorobów.

— Godzina śmierci mojej wybiła! — pomyślałem sobie i kroczyłem poważnym krokiem.

— Pójdę, pożegnam towarzyszy moich, za ostatnie grosze wypiję dwa *oczyszczonej* i potem Syrenom wiślanym powierzę ciało moje... A Marynia?

Ach Marynia! była w tej chwili moim drągiem ocalenia... Vanitas vanitatis et omnia vanitas! Co znaczy po polsku: wszystko głupstwo w porównaniu z Marynią i rozbratlem z kartoflami!..

Pobiegłem do niej.

— A, dobry wieczór panu!

— Dobry wieczór...

— A gdzież to pan dźwiga tyle papierów?

— Przeprowadzam się...

— A gdzież reszta pańskich rzeczy?

— Już na nowem mieszkaniu.

Po kilku godzinach wyznałem Maryni całą prawdę. Już to taka moja natura, że kłamać nie umiem!

Na drugi dzień już byłem na nowem mieszkaniu, wynajętem kosztem zaciągniętego długu z funduszów Maryni.

Już to, co prawda, przeznaczeniem mojem jest, być szczęśliwym z łaski płci nadobnej. Tak widać mi sądzono... Nigdy przeto nie tracę nadziei, że kiedyś zakocha się we mnie jaka nadobna Warszawianka, która powierzy mi swoją rączkę i posag (koniecznie!), za co ja wywdzięczę się, oddając jej serce, pałające ogniem miłości i głowę pełną sonetów z straszliwem zacięciem, które gdy ujrzą czcionki drukarskie, będą rozchwytywane, jako prawdziwe brylanty poezyi...

W karnawale, w którym dramat, jaki mam na celu opowiedzieć, się odgrywał, postanowiłem się ożenić, choćby ze względu na „wikt i opierunek”, choćby ze względu, że dalsza egzystencyja moja w stanie bezżennym była niemożliwością, albowiem zagrażała mi głodowa śmierć.

Wybaczcie mi, towarzysze moi, że wydaję niektórych z was tajemnic, odkrywając cele kawalerskich gonitw za posażnemi pannami,

ale lubię mówić prawdę. Już to taka moja natura!

Od roku blizko bywałem ja w domu państwa Kwasinasikowskich, głową którego był pan Chryzostom, radca od jakiejś rady prywatnej. Mówiono źle i dobrze o panu Chryzostomie. Mówiono, że był kiedyś propinatorem, a nawet zwyczajnym karczmarzem, że najpierw mierzył cudzą wódkę, a potem swoją, mówiono coś tam o dubeltowycu duach w półkwaterkach, ale ktoby tam temu wierzył?! Pan Chryzostom był człowiekiem, który przy pracy i za pomocą sześćdziesięciu dwóch procesów kryminalnych, dorobił się znacznego majątku, potem wynalazł dowody szlachectwa, a że był nie żadnym paliwodą, ale skrzętną mróweczką, zbierał tedy rubelka do rubelka i majątek jego urósł do poważnych rozmiarów, tak, że pannę Ksawerę, jedyną córkę pana Chryzostoma, liczono do najświetniejszych partyj.

Młodzież więc, choć psy na nim wieszała, ale widząc przyszłość z posażną jedynaczką lgnęła jak muchy na lep.

Jedną z tych much byłem ja, a mogę się pochwalić, że cieszyłem się szczególnemi względami panny Ksawery, która, chociaż nie miała powabu rozkwitającej róży, przeszła już bowiem trzydziestkę, ale za to miała powab brylantu ukrytego w śmieciu. Nieraz w czułem tête a tête wywracaliśmy oboje oczy, wzdychając coraz to silniej. Nieraz ujmowałem jej rękę, ozdobioną grubemi złotemi bransoletami, w swoją dłoń i wówczas nie wiem, co się ze mną działo, ale gdym spojrzał na pierścionki, upstrzone kolorami drogich kamieni, robiło mi się bardzo miło w okolicach serca...

W dzień Sylwestra, był to stary obyczaj w domu państwa Kwasinasikowskich, że wyprawiano bal i hucznie żegnano stary rok, a witano nowy.

Rozsyłał pan Chryzostom zaproszenia od siebie, pani od siebie, a panna prosiła osobiście swoje przyjaciołki.

Wiecie już, szanowni czytelnicy, w jakiem byłem położeniu materyjalnem.

Rozpacz moja nie miała granic.

Pożyczyć pieniędzy było niepodobieństwem, gdyż wszyscy bankierzy *minorum gentium* znali mnie już, jak zły szeląg, a przyjaciele i towarzysze również byli goli, jak ja.

Był to właśnie dzień Sylwestra.

Wiatr wciskał się do mego apartamentu przez nieokitowane szyby i chłodził mnie bez litości.

Prawdziwie nic mi nie pozostawało... in o śmierć!

Wieczorem zmuszony będę iść na wieczór do państwa Chryzostomów, gdyż od tego zależała cała przyszłość moja...

A nie miałem ani grosza, ani fraka, ani żadnej innej rzeczy, która moją była...

Nadomiar wszelkiego złego, otrzymałem tego dnia od panny Ksawery następującej treści bilecik:

„*Kochany* panie!"

Czytelnicy! czyż was nie przenika radością ten tytuł „kochany?" Nie? To pozwólcie, niechaj ja go sobie jeszcze raz powtórzę:

„Kochany panie!"

Jest to tytuł, jestto wspomnienie, które łzy mi wyciska!...

„Kochany panie!

„Mam nadzieję, że nie odmówisz mi przybycia do nas, do *mnie*, dziś wieczór na coroczny u nas bal Sylwestrowski. Chciałabym z Tobą porozmawiać w kwestyi... stanowczej, a lepsza sposobność nie prędko się zdarzy. Czekam przeto niecierpliwie...

Szczerze pragnąca pana widzieć

„Ksawera".

Po przeczytaniu słodkiego liściku, zerwałem się na równe nogi i bądź-co-bądź, postanowiłem użyć najgwałtowniejszych środków, aby tylko być na balu.

Pierwszą myślą moją było zdobyć frakowy garnitur.

Dwie miałem drogi do dopięcia tego celu: Napisać list do Julka mego przyjaciela, który posiadał balowy kostyjum, lub wynająć.

— Tak — pomyślałem sobie — w razie, gdy Julek mnie zawiedzie, sprzedam wszystkie rzeczy i wynajmę.

Jakby zły duch, w tej chwili na podwórzu usłyszałem izraelski głos: handele, handele!

Myśl natychmiast opromieniła moje czoło, gwałtownym ruchem otworzyłem okno i zawołałem jeden wyraz: „tutaj!" a po chwili on i ja, ja i on mierzyliśmy się oczami w mojem mieszkaniu.

— Bon jour, monsieur starozakonny!—rzekłem do gościa, bo jak mam zamiar kogo orżnąć, staram się jaknajmniej polskich wyrazów używać.

— Co pan ma do sprzedanie?

— Wszystko co widzisz.

— Jo tu prawie nic nie widzę...

— A co kupujesz?

— Wsistko — rzekł krótko.

Wyjąłem jedną koszulę z paryzkim gorsem i podałem mu do ręki.

— Gdzie pan ma więcej?

— U... praczki...

— A nocne?

— Sypiam w stanie natury.

— W taki mróz? co pan gada, niech pan jeszcze co pokazie...

Pokazałem mu letnie nankinowe inexprimable...

— Co to za łach?

— Mój kupcze! proszę być delikatnym, to jest starożytność, antyk, za którą możesz grubo wziąść... w nich chodził jeszcze Kopernik...

— Co to za gadanie jest? Kopernik szedżi przed Karaszem i patrzy siła tam pijaków hizie... to wun ma takie grube nogie, co bi sze tu niezmieściuła...

— Bo teraz utył ..

— Daj pan pokój... co pan ma wiency?..

Podałem mu starą marynarkę.

— Wusydues?

— Żakiet..

— Jaki to żakiet?

— No marynarka...

— Jakie to marynarka?

— No więc cóż to jest?!

— Z psieprosieniem łaski pański, to jest kilkie dżury na stare podszewke... niech pan jeszcze co pokaże?

— Masz kapelusz...

— Aj waj!.. fein śtuka!.. środek od Weigta, a wirzch z Nalewki gass... co jeszcze będże?

— Masz czapeczkę do szlafroka ze złotym chwaścikiem...

— To pan w dodatku da dla mojego chłopaka...

— Chwaścik kosztował 3 ruble...

— To nie dla mnie... co jeszcze?

— Książki...

— Jakie książki?..

Wyliczyłem mu następujące tytuły:

1) Kilka uwag nad trzęsieniem ziemi w Lizbonie.

2) O wpływie zapachu kantaryd na organizm ludzki, traktat z dziedziny medycyny sądowej.

3) O zieloności na świecie w ogólności i w mózgach w szczególności, rozprawa filozoficzna, napisał ślepy, co zna się na kolorach.

4) Buchalteryja włoska.

5) Domowe sposoby leczenia pewnych chorób przez dr. Rumbarskiego.

— No to sze zda do obwijania pieprzu — rzekł handlarz, ważąc arcydzieła na ręku — co więcej...

— Zegarek... z bronzową dewizką.

— Nie muszy chodżycz, kiedy nie poszedł do lombardu...

— Co pan chce za ten cały kram?..

— Dwanaście rubli...

— Co to jest dwanaście rubli... pan żartuje...

— Więc ile dajesz?

— Boje sze, cobim sze nie okpił... to warte dla mnie... pięć złotych...

— Czyś oszalał?

— Teraz nie gorąco...

— Ale bójże się... pana Kamiennego...

— Ny, na moje sumienie, dam dwa rubelki...

— Idź do dyjabła!

— Ja sobie pójdę...

Zaczął zbierać swoje manatki, spojrzał na rzeczy i rzekł:

— Ein wort!.. długo nie będę gadać... drei kerbeł.

— Idź do dyjabła!...

Wyszedł, przyszedł, targował się, przeklinał dusze i ciało, aż po dwóch godzinach zwłóczenia, zapłacił mi trzy i pół rubla...

W tej chwili ubrałem się w jedyny mój kostyum spacerowy i wybiegłem na ulicę obciążony ładunkiem trzech rubli i piędziesięciu kopiejek.

Wpadłem do pierwszej cukierni, kazałem sobie podać szklankę kawy, dwa arkusiki listowego papieru i dwie koperty i zacząłem stylizować listy: do panny Ksawery i do swego przyjaciela Julka.

Pierwszy z nich brzmiał:

„Droga sercu memu panno Ksawero!

„Na uprzejme jej zaproszenie, mam zaszczyt donieść, że będę niezawodnie. Mam nadzieję, że na koniec porozumiemy się i dosięgnę upragnionego szczęścia. Resztę osobiście...

Kochający *Paul de Coś.*

Drugi był do Julka.

„Moja bibuło!

„Jeżeli nie życzysz sobie, abym kiwnął się na tamten świat, za pomocą trucizny na szczury, ratuj mnie i przyszlij lakiery, oraz frakowy kostyjum, bo dzisiaj idę do Chryzostomów i wieczór ten ma roztrzygnąć o moim losie, czy szynkarskie dziecko, będzie moją połowicą, czy też puszczę tę starą basetlę w instrument Kuhnego. Jeżeli nie możesz przysłać fraka, to przynajmniej lakiery, bo moje kamasze mają okropną wentylacyę i obawiam się, aby podczas mazurowych podrygów z moją pigułką senesową, nie rozpołowiły się, co byłoby *bla*... Liczę na ciebie, jak na wielmożnego Zawiszę, a jak capnę posag, to ci sprawię 300 par butów, aby nogi twoje nigdy nie znajdowały się w takiem, jak obecne moje położenie. Czekam do 8-ej wieczorem!

Twój do samej szubienicy
Paul.

Zapieczętowałem listy, zawołałem posłańca i wręczając mu dwie nowe czterdziestówki, kazałem biedz co ma sił, sam zaś udałem się do domu i błogo marzyłem w oczekiwaniu pomyślnego rezultatu.

Doprawdy czas mi biegł bardzo szybko! Nie zdołałem się jeszcze zastanowić nad całą swoją przyszłością, jak spostrzegłem, że w apartamentach moich było już kompletnie ciemno, a od Julka żadnej odpowiedzi nie miałem.

Nadaremnie czekałem.

Minęła siódma, ósma, było już i wpół do dziewiątej, cierpliwość moja zaczęła się wyczerpywać, chodziłem po pokoju, o ile na to pozwalała długość jego, wielkiemi krokami.

— Spóźnię się! spóźnię się haniebnie! — mówiłem sam do siebie... co tu robić?

Wybiegłem na ulicę, wpadłem do sklepu żydowskiego — z garderobą, wynająłem frakowy garnitur i pospieszyłem nazad zebrać swoje wdzięki i co rychło pobiedz na bal.

Oczyściłem połatane kamasze, wydobywając z nich jaknajskrupulatniejszy glans, aby choć w części przypominały lakierki, przywdziałem wynajęty frak i w pół godziny wchodziłem już do salonu państwa Chryzostomów.

Pan Chryzostom stał na środku salonu otoczony młodzieżą, którą obdzielał pięciozłotowym węgrzynem, a gospodyni domu siedziała na kanapie w gronie poważnych matron.

Podskoczyłem szybko do pani domu, która z wyraźnym niezadowoleniem wyciągnęła do mnie rękę, jakby z litości, pan Chryzostom skoro tylko spostrzegł moją obecność, wąsy mu się najeżyły, oczy zapałały gniewem

podbiegając do mnie szybko, pochwycił za dłoń moją i rzekł półgłosem:

— Panie, nie chcę robić publicznego skandalu w tej chwili, proszę go jednak na minutę rozmowy później.

Skłoniłem się nizko.

— Aha — pomyślałem sobie — już wiedzą o wszystkiem co zaszło między mną a Ksawerą, ale co mi tam, skoro pannę mam za sobą... Dobra moja!

— Gdzież panna Ksawera? — zapytałem pani Chryzostomowej, podbiegając z wielkim właściwym mi szykiem.

— Basetla? — rzekła cichutko pani domu syknęła ze złości.

— Co??! — zapytałem nierozumiejąc.

Ale pani Chryzostomowa rzuciła na mnie pogardliwe spojrzenie i zwróciła się w inną stronę.

— Zwaryjowała babsztyl, czy co? — pomyślałem,

— Proszę pana na chwilę ze sobą! —rzekł groźnie pan gospodarz, wskazując mi drzwi przyległego gabinetu.

— Nareszcie rozstrzygnie się mój los! Trzymajmy się ostro!

Weszliśmy.

Gabinet był oświetlony lampą o zielonym kloszu, która rzucała blade światło.

W rogu pokoju ujrzałem postać kobiecą... była to ona - Ksawera. Zapłakane oczy ocierała batystową chusteczką, a z piersi jej falującej wyrywały się ciche łkania...

— O, droga pani moja!

— Panie! — rzekł do mnie ojciec — żądaną rzecz, po którą przysłałeś do córki mojej w tej chwili ci ofiaruję, prosząc jednak, abyś dom nasz opuścił na zawsze.

Zgłupiałem, a pan Chryzostom przez ten czas oddalił się za parawan i po chwili wyszedł trzymając w ręku jakiś przedmiot.

— Wybacz pan — mówił grzecznie — że nie jestem w stanie ofiarować ci lakierków, gdyż takowych sam nie posiadam, ale za to daruje panu w dobrym stanie... kalosze, abyś mógł przejść przez błoto życia...

— Panie — jęknąłem, rozumiejąc wszystko.

— Milcz pan! — wrzasnął, wyciągając z kieszeni mój nieszczęsny list, zaczynający się od słów. „Moja bibuło!" który mylnie włożyłem w kopertę do Ksawery.

— Precz! — krzyknął, wskazując mi drzwi.

Nie wiem co się wówczas ze mną działo, głowa mi ogniem pałała i bezwiednie, pchany jakąś siłą wytoczyłem się do przedpokoju, a ztamtąd na ulicę.

Była to noc Sylwestra!

Tony muzyki wybiegały z okien domów i huczne hołupce mazura dolatywały uszów moich.

Biegłem ku Wiśle.

Chmury na niebie przybierały fantastyczne kształty... latarnie migotały, jakby gasnąć miały, blado, śmiertelnie..

Wicher wył, przesuwając się pomiędzy żelaznemi sztabami mostu, a brudna woda rzek naszych matki pluskała obijając się o kamienne fundamenta mostu... Widmo śmierci przesunęło mi się koło ócz...

— Za zimno! — wyrzekłem cicho i powędrowałem... na piwo do żelaznego domku

* *Noc weselna.*

Już przebrzmiały orkiestry mazurowe tony,
Już zagasły jarzące rzęsiście kinkiety,
Już cisza i ciemności zaległy salony,
Już weselnych mych gości rozwiozły karety...
I cisza była błoga!.. Jedna tylko świeca
Rozjaśniała ciemnością, owianą alkowę,
A na puchach poduszki piękna twarz kobieca,
Spoczywała anielsko... Lśniące włosy płowe,
Kryły białych jej ramion marmur di Carrara
I na pierś falującą rzucały półcienie,
Na pierś, z której niejedno wybiegło westchnienie,
Tak silnie, tak namiętnie, że drżała kotara...
Cisza... i myśmy sami... ach, tylko we dwoje...
Ja zatapiam swe oczy, w jej ocząt lazury,

Ja muskam jej kędziorów jasnych, gęstych [zwoje...
Ja dotykam ustami, jej ustek purpury ..
Cisza... i myśmy sami! A wzrok jej płomien- [ny,
Rzuca na mnie spojrzenia ogniste, ponętne,
I oddech jej już czuję taki ciepły, senny,
Co rozbudza w mej duszy uczucia namiętne...
Ja drżę... ja płonę cały, miłość mnie kołysze,
— Paolo!.. chodź... mój drogi!.. — szept jej [głosu słyszę
I na szyi swej czuję, jej rącząt powoje.
Dźwięki głosu w kotary fałdach, milkną, gi- [ną,..
Świeca zgasła... i nocy zaległy pomroki!
Jam całował i pieścił płowych włosów loki,
I szeptał jej do uszka czule: — „Michalino!
— „Ja cię kocham, ach, kocham!” Ona cała [drżąca,
Pozwala z ust kielicha pić nektar rozkoszy...
Wtem... we drzwiach coś zadrżało...
— Do dyjabła służąca!
— Co? -
— „Pan radca powrócił, zapomniał... kalo- szy...

Guido.

Nogi.

O wy krótkie, długie, cienkie, grube, proste [albo krzywe,
Męzkie, damskie, mocne, słabe, watowane lub [prawdziwe,
Z odciskami, lub bez owych, małe, duże, sta- [re, młode,
Na cześć waszą chcę wyśpiewać najpiękniejszą [moją odę!

—o—

Czem są oczy, te zwierciadła duszy, jak mówią [pocci,
Czem jest głowa, zkąd myśl wszelką jak hu- ragan szybko leci,
Czem są uszy, czemż nos nawet, ten szlache- [tny wyskok czoła,
Przy was nogi? Czemż są one? One wszyst- [kie? Niczem zgoła!

—o—

Bo oczami w trudnym walcu nie dasz sobie [gdy rady
Głowa ci nie dopomoże do tańczenia galopa‹
W polce uszy mogą śmiało zostać sobie gdz [na boku
I nos także nic nie znaczy w mazurowy [śmiałym skoku

— o—

Tylko nogi są czynnikiem, który w tańca [tworzy cuda
Wyrokuje, czy zabawa klapnąć musi lub [uda
Nogi rządzą, tan nadają, wesołości ciąg [strzegą,
Są na balach jednem słowem, wszystkiem [alfą i omega

— o —

Żyj więc w szczęściu o ty ciała najszczytnie [sza część u ludzi,
Blask w salonie niech cię codzień do ucie [nowej budzi,
Dźwięk taneczny niechaj w nerwach ci r [kosze cudne nieci,
Błogosławion bądź przez ludzi, aż cię rzu [w post do śmieci!

Ner. Buch.

Nokturn.

Była noc, a gaz blady patrzył na rynsztoki
I na cienie kobiece, co się zrzadka snuły;
Policyjant dla rozrywki podparł się pod bo
A z knajp się ton odzywał szansonetki czuł
Miasto do snu się kładło...
Jam dążył do dom
By mu żona nie zmyła głowy pokryjomu,
Wtem! spostrzegłem człowieka...
W słup zmieniony ca
Stał, kiwając się, bo się nogi pod nim chwia
A głos jego na sobie nosił ślady chrypki,
Gdy parę słów bez związku zamruczał pod n [sem
Człowiek ten, gdym się zbliżył wzruszon je [losem,

Krzyknął:
— Panie, ten! na bok, bo ja wracam z „Rybki.”

Non omnia vanitas.

Nie! tego nigdy nie zapomnę!
Na grubym tomie Magnusa Alberta
(Uczonych bredni wiekopomna sterta!)
Usiadło dziewczę — nie dość może skromne,
Jak na kapłankę zimnokrwistej Westy,
Lecz nimfom równe w izdebce studenta,
Co rzadko chrzęsty spódniczek pamięta,
A częściej — myszy zgłodniałych szelesty...

Nie! tego nigdy nie zapomnę!
Dziewczę kwitnęło młodością i zdrowiem,
A księga, ciężka łaciny ołowiem;
Co miała wieki wykarmiać potomne,
Sama pokarmem stała się robactwa...
I jak grzyb była przy tym świeżym kwiecie,
I przy tej róży była jako śmiecie —
Pająków pełna, kurzu i dziwactwa.

Nie! tego nigdy nie zapomnę!
Jasny perkalik z wyrudziałą skórą
Walkę kontrastów toczyły ponurą,
Niby dwóch potęg symbole niezłomne:
Życia i śmierci, młodości i grobu.
Dziewczę się śmiało, księga była głucha;
A tę krwi bujność i ten cmentarz ducha
Zespolić razem nie było sposobu!

Nie! tego nigdy nie zapomnę!
Ów Wielki Albert, w swej todze z łaciny,
Żakiem się zdawał pod suknią dziewczyny...
Jej zaś źrenice błyszczące, ogromne,
Mówiły (czemu głęboko ja wierzę):
Iż za lat trzysta i z naszej mądrości
Tylko zbutwiałe pozostaną kości —
Dziewcząt zaś lica zawsze będą świeże!

Wiktor Gomulicki. (p. t. I, str. 177.)

* *Non possumus.*

Panna Eufrozyma (trzymając w ręku dziennik). Panie Agapicie, proszę mi wytłomaczyć, co to znaczy *non possumus?*

Pan Agapit. Jest to proszę pani określenie sytuacyi, która się często najstarszym dyplomatom wydarza.

Nos.

(Dykteryjka staropolska.)

Stał za stolikiem synek Cześnika,
Gdzie kilku panów grało z sobą ćwika.
A między nimi krótki, pękaty,
Jakiś szlachetka dziwnej łacyaty.
Z krzywą bródką, rudym włosem,
I nadzwyczaj wielkim nosem.
Chłopiec ów zrazu cichy i skromny,
Patrzy i graczów obchodzi do koła;
Kiedy w tem nagle zawoła:
Co za nos ogromny!
Spojrzał się srogo Cześnik na syna;
Przeląkł się, zadrżał chłopczyna,
I woła, wznosząc głos drżący i cienki:
Jakiż to nosek maleńki!
Już też naówczas, jakby zjadła osa,
Zrywa się cześnik i za bat porywa,
A chłopiec z wielkim krzykiem się odzywa.
Ten pan nie ma nosa!
Bije więc cześnik w całym bije gniewie
Zda się że chłopca chce dobić,
A biedne dziecię w swej rozpaczy nie wie,
Co z tym nosem zrobić;
W różny więc sposób i woła i krzyczy,
A gniewny ojciec coraz gorzej ćwiczy.
Tak i my co to lubimy rozprawiać,
Kiedy się z głupstwem wyrwiemy,
Chcemy się niby ratować, poprawiać,
A wciąż gorzej brniemy.

Franciszek Morawski.

* *Nos i noga.*

— Spuściłeś się na kwintę!... że niemasz tabaki, —
Rzekła noga bez buta do smutnego nosa —
Nie widzisz przecie u mnie rozpaczy oznaki,
Chociaż łażę po ziemi uboga i bosa,
Zabierz się do roboty — i ukochaj pracę,
Możesz się przecie obejść—co ci po tabace?—
— Gadaj zdrowa! — nos na to, kłopotem stroskany, —
Tyś prosta, a ja jestem — legitymowany.

* *Nos adwokata.*

Pewien adwokat płaskonosy znajdując się w sali audyencyonalnej, odczytywał jakiś ważny artykuł jąkając się co chwila.

Prezes mający potężny nos, zniecierpliwił się i rzekł:

— Powinienbyś pan nosić okulary.

Adwokat biorąc radę za przymówkę, odpowiedział z żywością:

— Musiałbym w takim razie prosić pana o pożyczenie mi nosa.

Chamfort (p. t. I, str. 35).

* *Nos ciekawego.*

Dworzanin Ludwika XIV grał pewnego razu w pikietę.

Oparty o poręcz krzesła nachylał się nad nim jakiś młody człowiek, którego obecność była mu wstrętną.

Chcąc się go pozbyć, dworzanin wyciągnął chustkę i zamiast swego nosa utarł nos natrętowi.

— Przepraszam najmocniej — wyrzekł — ale pan tak blisko mnie jesteś, że wziąłem pański nos za mój własny.

* *Nos radykalny.*

Pewna aktorka już nie bardzo młoda miała nos czerwonawy.

Jegomość jeden patrząc na nią rzekł...

— Zawsze zachwycająca — szkoda tylko że barwa polityczna jej nosa, nie zgadza się z mojemi zachowawczemi przekonaniami.

* *Nos zadarty.*

Bardzo pięknie, zaszczytnie i chlubnie bez [miary,
Że jeden dziad zbił szwedy, a drugi tatary,
Że bezzębnych prababek poczet niezliczony,
Które wszystkie dźwigały królewskie ogony,
Ale ja tym zaszczytom bijąc kornem czołem
Kiedy mam zdrów żołądek, niedbam zkąd go [wziąłem,
Słowem moi panowie, niech to was nie gniewa,
Bo złość apetyt psuje, lecz to rzecz prawdziwa
Że tak nędznego człeka nie dały niebiosa,
Któryby w duszy nie drwił z zadartego nosa.
Istotna prawda, zmienny nos zadarty,
A cóż dopiero wtedy, gdy łokieć wytarty?

Aleksander Fredro. (p. t. I, str. 67)

Nosiwoda.

Ongi wybuchł pożar w jednym z najpiękniejszych pałaców w Dreznie. Było to zimową porą, wszystkie studnie zamarznięte, dotkliwe zaś zimno odstraszało ludzi, tak, że bardzo mało zebrało się ich do ratowania płonącego gmachu. Na przyglądających się jednak nie zbrakło. Wśród nich zaś odznaczał się jakiś gruby jegomość, który grzejąc ręce w ogromnej mufie z imponująco zimną miną przyglądał się pożarowi, jakby jakiemu widowisku.

— Mój panie — zawołał nań jeden z noszących wodę — chodź nam pomóż wodę nosić.

— Jestem radca dworu, a nie żaden nosiwoda — odpowiedział jegomość z mufą.

— A ja jestem nosiwodą i księciem Kurlandzkim zarazem — odrzekł pierwszy i z temi słowy wylał całe wiadro wody na głowę pana radcy dworu.

Notaryjusz.

Pewien notaryjusz angielski przyszedł za późno i testator już zakończył życie. Adwokat nie tracąc miny, schwytał muchę, wsadził ją w usta umarłemu, a sam zasiadł do pisania testamentu, który ułożył wedle swego widzimisię... Kiedy sukcesorowie zażądali od adwokata przysięgi, zeznał, iż testator miał życie w sobie podczas pisania testamentu, naturalnie, niewspominając iz pochodziło ono od żywej muchy. Testament został uprawomocniony.

Nowa fabryka.

— Co widzę? Założyli nową fabrykę? Cóż oni tam robią?

— Złe interesa.

Nowe prawo.

— Czy wiesz pan o najświeższem rozporządzeniu? Nikt chociażby nawet był udzielnym księciem, niema prawa trzymać laufra do wyjazdów.

— A to dla czego?

— Dla prostej przyczyny, laufer bowiem nie może biedz gdy go trzymają.

Silva rerum XVIII w.

Nowina.

Pewien dziennik amerykański zawierał anons następnej treści:

„Jeśli pan Samuel Bibo zgłosi się osobiście do Samuela Stern, ulica Paradies w Liwerpoolu, lub piśmiennie z wyżej wymienionym Samuelem Sternem się porozumie, dowie się bardzo przyjemnej nowiny: jego żona, pani Samuelowa Bibo, przeniosła się już do wieczności."

Nowonarodzony.

Przyniesiono do biura stanu cywilnego dziecię trzyletnie, które nie zostało wpisane przy urodzeniu.

Urzędnik niewolniczo trzymający się rutyny tak sporządził akt urodzenia:

„Dziś... z takiego to i takiej to... żyjących w małżeństwie prawem urodziło się dziecko mające lat trzy..."

Nowoczesne.

Pani Klara. Gdzież się dzisiejszego wieczoru spotkamy?

Pani Emma. Naturalnie w nowootworzonej restauracyi w Alkazarze.

P. Klara. A można tam męża przyprowadzić?

P. Emma. O czemu nie!

Flieg Blät.

Nowy rok.

Któreż święto może być uroczystsze? który dzień więcej nastręcza uwag i więcej rzeczy przywoływa na pamięć? Biją godziny, przechodzą dni i nocy, a my ich nie postrzegamy; nie postrzegamy; nie raczymy nigdy pomyślić, że przeszły i zginęły dla nas na zawsze. I w samej rzeczy: niema czasu myślić, jeżeli ich dobrze używamy, nadto są długie i niema się czego na nie oglądać, jeżeli je marnie tracimy. Ale rok!... rok przecie stanowi znaczną część naszego życia; część tem większą, imeśmy więcej takich przebiegli, a im nam mniej do przebieżenia zostaje. Rok przepędzony godzien, aby się nań obejrzeć, i aby się zapytać, cośmy też w nim zrobili dobrego.

Powiadają, że najlepszy z pomiędzy rzymskich cesarzów, choć był panem świata, ubolewał nad stratą jednego dnia, ile razy nic w nim nie uczynił nikomu. Jeżeli to prawda, trudno pojąć, jak miał czas myślić o takich drobiazgach. Musiał Tytus nie umieć się bawić. Bo my, choć zaledwo panowie ośmiu dymów, a czasem prości kawalerowie lub hrabiowie brukowi, bawimy się nierównie lepiej; trawimy rozkosznie miesiące i lata a nikomu takie pytanie do głowy nie przyjdzie. Ale też moi panowie, pozwólcie sobie powiedzieć, że to bardzo niedobrze. Mniejsza o dni i godziny — ktoby je tam rachował, albo chciał sprawę z nich zdawać! ale ostatni dzień roku powinien być dniem rozpamiętywania; dniem skruchy żalu za czas marnie strawiony, dniem przedsięwzięcia w roku następującym poprawy.

Takem się poważnie zamyślił, w wiliją nowego roku, siedząc przy stoliku na łokciach oparty, i zabierając się do pisania, czytelniku kochany. Rozpamiętywałem moje ciężkie próżniactwo, moją niepotrzebną włóczęgę. Myślałem się szczerze poprawić: przedsięwziąłem żyć odtąd inaczej i z tobą inaczej mówić. Poco te drwinki? myślałem sam sobie. Jużto nie jednego poważnego czytelnika w niecierpliwość wprawić musiało. W poważnem piśmie to nie przystoi. Czas się poprawić. Więc zgoda. Porzućmy żarty, a piszmy odtąd jak należy. Wreszcie, co za potrzeba powstawać dalej na występki, przywary i śmieszności? gdzież one są? Poco je na pośmiewisko wystawiać? kiedy w tym roku całkiem lub po większej części ustały. Wszystko, jak uważam, lepiej poszło lub idzie lepiej. Widziałem z niemałą pociechą, jako w tym roku nie było żadnych zabiegów i kręcielstw sejmikowych; więc sobie jest czego winszować. Zobaczymy, co Bóg da na rok przyszły. Ale widać, że się bracia szlachta

paprawia. Żyje skromnie, nie rozrzuca, ani rozpożycza pieniędzy; owszem, nie tylko je ściąga zkąd może, ale przez oszczędność nawet procentów nie płaci. Majątki przez exdywizyą przedaje drogo, i tym sposobem się czasem zbogaca. Jakże więc szlachty nie chwalić? I chłopi mają chleb wszędzie, bo żyta przedać nie można, więc się i im i panom należy pochwała.

Uważam dalej, że pijaństwo musi ustawać, bo najznakomitsi praktykanci, albo mało piją, albo tylko na kredyt. Niektórzy z nich, mając wzgląd na niedostatek pieniędzy w kraju, wzięli się do oszczędności; porzucili wino i piją tylko prostą wódkę krajową. Czyż tak piękny patryjotyzm nie wart pochwały?

Damy też zaczynają być bardzo oszczędne Na ostatnich balach mało było takich, którychby suknia kosztowała więcej jak pięćdziesiąt czerwonych złotych. Nie sadzą się nawet na uprząż i pojazdy. Jeżdżą sobie zwyczajnie czterma końmi i warszawską lub petersburską karetą. W dorożkach i sankach wielka zaszła odmiana. Nie często można spotkać trzy konie obrócone na trzy części świata: teraz zaprzęgają się tylko dwa, które się polaryzują. Nawet się już sankami jak dawniej nie lata; ludzi się po ulicach nie roztrąca. Pamiętam, jak mię przeszłego roku fatalnie obwalono i jak mi szubę ze wszystkiem podarto. Tego roku tylko mi rękaw urwano, i to niezewszystkiem.

I żebraków wyraźnie ubyło. Nie widać, żeby teraz nocowali pod murem, wszyscy siedzą w przedpokojach, zkąd, jeżeli się opatrzą idą prosto do szynkowni. Słuszni zaś i uczciwi ludzie, choć kiedy przychodzą po pożyczenie pieniędzy lub przyjacielskie wsparcie, to z największą grzecznością.

Nawet pieniactwo, owo ulubione zatrudnienie nasze, coraz bardziej się zmniejsza. Wiele stron rozgraniczyło się ostatecznie w sądach guberskich i zupełnie są spokojne A że się udały po rozwiązanie niektórych wątpliwości do stolicy, to nic dziwnego. Jakże w wątpliwości pozostać? Ludzie słuszni lubią jasność i oczywistość we wszystkiem. Od początk listopada żadnego kopca nic rozrzucono i żadne miedzy nie przeorano. Owszem do tego stopni uprzykrzyło się wszystkim pieniactwo, że prze stano pozywać za obligami. Przekonano si przecie nakoniec, że szkoda wydatków i pa pieru.

I w sztuce lekarskiej zachodzą pomyślne odmiany. Doktorowie wyglądają nieźle i żaden więcej pieszo nie chodzi. Ucichli cokolwiek magnetyści, antoniowie i antoskowie. Jedna tylko dama leczeniem się trudni i to dość szczęśliwie. Nie słychać żeby kto z umarłych podał skargę.

Sędziowie też i inni panowie, którym się zdarzało brać kubany, pieniędzy nie biorą; ale jako miłośnicy pięknych sztuk, przyjmują do gabinetów bardzo ładne sztychowane obrazki, które na małych papierkach niedawno z druku wyszły.

Nasze damy i ładni panicze zaczynają mówić po polsku; ale że się w tak krótkim czasie wyuczyć nie mogli, więc z potrzeby rozmowy swoje tu i owdzie przeplatają.

Autorowie i redaktorowie pism peryjodycznych obiecują na przyszłość lepsze roboty. Jedni po odpoczynku, wpadają w nowy paroksyzm, inni poodmieniali to plany, to tytuły i spodziewać się należy, iż odtąd pisowni, gramatyki i stylu pilnować będą; że przysiedzą fałdów nad Kopczyńskim i pismami Dmochowskiego, a oczom i uszom naszym cokolwiek pofolgują.

Szulerstwo znikło zupełnie, można przejść miasto wzdłuż i wszerz, a nigdzie się szulera nie dopytasz. Zato uczciwych graczów jest wiele. Wprowadzono powszechnie gry towarzyskie po dobrych domach; a choć się czasem kto i zgra, to zawsze przystojnie; w dobranej kompanii, i niema czego żałować. Jestto szkoła dla młodzieży. Dobrze, że wychodząc z uniwersytetu cokolwiek się przetrze. Właściciele zupełnie przyszli do rozumu i grać przestali; albo grają tylko w maryjasza po groszu. Słowem wszystko u nas lepiej jak było i coraz

lepiej. Wszędzie pełno ludzi uczciwych i słusznych, a nadewszystko zasłużonych, z którymi się i rozminąć trudno. Wszyscy wystawiają swoją zasługę na publiczny widok, dla napomnienia i zachęcenia współbraci. A co się tyczy rozumnych, nigdzie ich niema więcej. Przecież u nas stolica mądrości, ta jeneralna kontrola na rozum, i głupiego nigdzie nie spotkasz. Prawdę mówiąc, mamy ludzi w każdym rodzaju. Szkoda, że Diogenes nie żyje pomiędzy nami, pewnoby zgasił latarnię.

W takich zatopiwszy się myślach, rozważałem czy nie przestać pisać. Naco te *Wiadomości brukowe?* poco pisma krytyczne? Czego to żartować z bliźniego? kiedy niema co poprawiać; kiedyśmy wszyscy dobrzy. Więc Bogu dzięki, teraz wszystkich chwalić wypada. Bodajto pisać pochwały! To rzecz łatwa, a pożyteczna. Za to się nikt nie gniewa. Zrób głupca Newtonem, to ci się ukłoni; powiedz złodziejowi że poczciwy, to cię na obiad zaprosi. A więc chwalmy; wybierajmy wzory do naśladowania; wynośmy te wzory pod niebiosa; pokazujmy je w całej oryginalnej świetności, a to dla zbudowania i nauki, dla narodowej chluby, że tak drogie posiadamy skarby. Tak się pokazawszy światu, powiemy — My to Litwini — my! — my to wyprzedzić się nikomu i w niczem nie damy — wy, mieszkańcy innych części ziemi, przychodźcie tu i uczcie się od nas — uczcie się. A czego? — Ja sam jeszcze nie wiem... ale dowiecie się może jak się namyślę.

Wtem wszedł Marcin i przyniósł garść życzliwych przyjaciół! wszyscy mi winszują nowego roku. Możnaby się wprawdzie zastanowić, czy mi mają czego winszować. Czyby raczej życzyć czego nie należało? Ale mniejsza o to, warta jest wdzięczności przyjacielska przychylność. Zobaczmy te bilety.

P. Hilary. Poczciwy człowiek! Dał mi wprawdzie tego roku pięć pozwów; zyskał na mnie trzy kondemnaty i sześć niedziel wieży; zajechał mi ośm dymów, ale to oczywiście przez przychylność. Zapewne mi winszuje, żem nie przegrał więcej i życzy, żeby to mogło po nowym roku nastąpić. Marcinie! — zanieś P. Hilaremu bilet.

Sędzia Pafnucy. Musi mi winszować, żem w jego sądzie nie miał sprawy, albo na exdywizyą nie poszedł. Kocham go za to, i gdybym się kiedy oddał na exdywizyą, nie chciałbym mieć lepszego sędziego. To jest nieoszacowany człowiek! z nim się można o wszystko ułożyć.

P. Starościna. Kochana osoba! Nigdzie o mnie nie zapomina, ma wielkie staranie o moją dobrą sławę i dobre przymioty; bo mię za najmniejszą rzecz strofuje, każdą moją pomyłkę wytyka. Nie przede mną wprawdzie żeby mię nie zmartwić, ale wszędzie po mieście. Czy może być czystsza i delikatniejsza przychylność! Warto podziękować Marcinie! Dla pani starościny bilet pozłacany.

P. Ambroży. To człowiek bardzo światły! zawsze myśli głęboko i milczy, a jeżeli mówi, wszystko gani. Prawda, że uczy jak być powinno, ale cóż kiedy się u nas na zasłudze nie znają. P. Ambroży by dawno był pokazał co umie, ale mu nigdy nie pozwolono.

P. Sędzina. Czegóż ona mi winszuje? Jej raczej powinszować, że nowych nabyła wdzięków. Spadła na nią znaczna sukcessyja. Od tego czasu wyładniała; znaleźli się nowi wielbiciele, zginęły marszczki, oczy nabrały nowego ognia, wdzięki nowej ponęty. P. Sędzina dziś pierwsza! zgasiła wszystkie nasze piękności.

Gdzieindziej dają sobie na nowy rok podarunki. U nas posyłają karteczki z oświadczeniem życzeń i powolnych chęci. Widzę pomiędzy niemi imiona osób, których nie znam, lub o których wiem, że mi źle życzą. Przysyłając wszakże dobre życzenia, czynią zadosyć przyjętemu zwyczajowi i karteczką wszystko spełnili. Bo taki jest duch wieku, takie nasze wychowanie, żeby się oświadczać, żeby zachować wszystkie pozory uprzejmości, nawet względem tych, którychbyśmy w łyżce wody utopić radzi. Jestto wiek oświecony. Należy

dobrze życzyć nawet nieprzyjaciołom. Nam też na życzeniach nie zbywa; zato powinni nam być wdzięczni, chociaż postępujemy inaczej; powinni nam dziękować za zdrady, krzywdy, podstępy i obelgi. Jestto istotna część naszej filozofii; jestto piąta treść naszego poloru i cywilizacyi. Człowiek ograniczony i nikczemny ma prawo do względów, uszanowania i szacunku, aby się tylko odział suknią ozdobną i aby zachował wszystkie grzeczności. Więc chwała Bogu, grubiaństwo ustało. Na przyszły rok będziemy wszyscy miluchni i grzeczni; przez ostrożność tylko trzymajcie się za kieszenie sąsiedzi.

Ale odłóżmy te bilety. To są powinszowania; jutro następują odwiedziny i opłata. Dziś kończy się rzecz cała na świsteczku papieru; jutro trzeba będzie trzymać rękę w worku. Powlecze się winszująca czereda to pojedyńczo, to kupami, to ze skrzypkami i basetlą, to z trąbami i z kotły; za takie powinszowania trzeba płacić. Przyjdzie nie jeden dobrze życzący z wierszami drukowanemi na kawałku papieru, kitajki lub atłasu rozmaitego koloru. Są to umizgi do worka, ale i w tych umizgach zachowane względy na stan i dostojność, a ofiarujący parnasowe śmieci na papierze lub na jedwabiu, daje nieznacznie poznać, iż powinien być nagrodzony w stosunku okazanych względów. Wieluż to sobie cale ani tych oświadczeń, ani tych zaszczytów nie życzy; ale darmo... trzeba chcąc nie chcąc przyjąć lub wysłuchać, a potem trzeba zapłacić. Jeszcze dobrze jeżeli się zapłacony przyjaciel nie rozgniewa, że mało dostał, i jeżeli odejdzie nie łając. Marcinie! Nie jest mój los tak świetny, żeby mi było czego winszować, ani tak nieszczęśliwy, żebym potrzebował pocieszeń od życzliwej hołoty. Pamiętaj jutro dobrze drzwi zamknąć i powiadaj wszystkim, że mię w domu niema. Na to wszedł Strukczaszy.

— Mospanie — rzekł starzec — przyjaciele nie robią z sobą ceremonii. Przyszedłem rok z WPanem zakończyć.

— Wyśmienicie! — rzekłem — trzeba go zakończyć wesoło. Marcinie! P. Strukczaszy będzie u nas na wieczerzy; a tymczasem daj porteru.

— Wstydź się WPan — zawołał starzec— ja takiego trunku nie piję. Nie żartemeś WPan widzę zmodniał. Oto napijemy się kawy.

— Dobrze i tak. Ale za cóż panie Strukczaszy, nie lubisz porteru? Wszak to bardzo używany trunek.

— Mniejsza o to, ale niesmaczny a drogi. Mospanie! ma człowiek i tak dosyć goryczy, po co ją jeszcze z Anglii sprowadzać i tak drogo płacić?

— Jednakże to trunek powszechnie lubiany a do tego bardzo zdrowy.

— Prawda! Doktorowie go tak zachwalili, i nie darmo. Niechże go więc piją chorzy, a my napijmy się kawy.

— Wszak i kawa nie u nas się rodzi.

— Tak!.. ale przyznam się WPanu, że smaczna a nie droga. A potem człowiek już do niej przywykł; trudno się odzwyczajać na starość.

— Kawa już wychodzi z mody, a porter jest właśnie modnym napojem.

— Otóż ja właśnie dlatego oń niedbam. Ledwobym nie rozumiał, iż połowa tych co go piją, robią to dla tego, że modny i drogi, a choć im gębę wykrzywia, to utrzymują, że smaczny. Bo na nieszczęście, i drogość jest u nas niepospolitą rzeczy zaletą. Mnie to czasem chodzi po głowie, iż aby tylko kto dokazał, żeby prosta sieć była tak droga, jak brabancka koronka, albo jeszcze droższa, ujrzelibyśmy na najpierwszym balu wszystkie nasze damy w niewodach.

— Może to być, panie Strukczaszy, ale czy nie odmienią się do nowego roku.

— Dałby to Bóg! ale ja się nie spodziewam. Wszelako czas, żeby miały więcej względów na smutny stan mężów i starały się o większą oszczędność. Mamy i tak ciężkie i nieprzewidziane wydatki, któreby wszakże jakkolwiek opędzić można, gdybyśmy nie płacili

dani modzie, próżności, zazdrości, a nadewszystko niepotrzebnej ciekawości. Ale kiedyż, co bądź to bądź, potrzeba postawić na swojem i mieć co tylko jest modne i drogie. Potrzeba wystąpić i zawsze drożej się ubrać od innych, choćby mąż miał zaraz pójść na exdywizyą. Trzeba przyjaciółki i nieprzyjaciółki zatrzeć, poniżyć; trzeba żeby pękały z zazdrości. A ciekawość że to, mospanie, czy mało nas kosztuje?

— Ciekawość nie tylko nie jest naganną, ale owszem bardzo potrzebna. Bez niej nic byśmy nie umieli, niczego byśmy nia odkryli. Ona prowadzi do wszystkich wynalazków; zbogaca nauki, kunszta i handel, Bez niej nie wiedzieli byśmy dotąd ani o Ameryce, ani o nowej Hollandyi.

— Mniejsza o nową Hollandyą. Wszelako to pewna, że ciekawość, tak jak każde inne poruszenie umysłu, jest tak zła lub dobra, dwojako się uważać może. Jest ona zbawienna w uczonych i rzemieślnikach, a bardzo szkodliwa w próżniakach, którzy nie wiedzą, co począć z czasem. Jestto i przynęta i sidło, na które wszelkiego rodzaju oszusty nieostrożnych łowią. Pomyśl WPan, jaki to podatek na każdą familją, chodzić na wszystkie widowiska publiczne; słuchać przejeżdżających śpiewaków i śpiewaczek, skrzypków, basetlistów, dudzistów, patrzyć na wszystkich tancerzy, skoczków na linach, jeźdźców na koniach i tyle innych podobnych bałamuctw. Lada urwisz, czy gdzie małpę złapie, czy psa tańcować nauczy, zaraz z tą osobliwością do nas spieszy, a my płacimy. Jeszczeż małpy—przynajmniej ich po naszych lasach nie mamy, ale już nam zaczynają za osobliwość pokazywać i niedźwiadki, jak gdyby to było zamorskie zwierzątko. Przecież, żeby zaspokoić ciekawość, nasza młodzież i kobiety wszystko łożyć gotowe. Oto dziś rok się kończy—chciałbym, Mospanie, żeby kto tylko z nas ma damy i familiją zasiadł i z kredką w ręku wyrachował; wiele nam w ciągu roku kosztowała ciekawość, wiele próżność i silenie się na okazałość i wystawę i wiele moda; a potem żeby to porównał z wydatkami nieuchronnemi na życie, utrzymanie czeladzi i przystojne wychowanie dzieci. Pewien jestem, że niepotrzebny wydatek w każdym niemal domu jest większy.

— Takbym i ja rozumiał. Daruję, jeszcze owszem chwalę, gdy to, co nas bawi, ma jakikolwiek pożytek, gdyż wspiera i zachęca znakomity talent. Takim np. jest teatr, gdzie nas zachwycają dzieła dowcipu i nauki.

— Zgoda, lecz takie rzeczy nie tylko u nas nie popłacają, ale nas nawet odstraszają. U nas talent leży odłogiem, a piękne sztuki nikogo nie grzeją. Pisarze mają czasem cokolwiek chwały, ale nic więcej; dlatego też kto zkądinąd niema chleba, nie porwie się pisać, albo umrze z głodu. Jeżeli się WPan chcesz o tem przekonać, spisz tylko prenumeratorów na nasze peryodyczne pisma i porównaj ten rejestr z liczbą osób, które idą z uniesieniem patrzeć na tańcujących na linie; na Pinettego kuglarstwa, albo na wielką rybę, co gra na gitarze i mówi papa! Zobaczysz WPan, że ryba, czy tam ciele morskie, więcej popłaca.

Jędrzej Śniadecki.



Obawa.

O rękę nadobnej Marysi oświadczył się bardzo porządny stójkowy.

— O la Boga! — odrzekła Marysia — ja pana stójkowego bardzo kocham, ale jego żoną za żadne skarby świata nie zostanę.

— Dle czego?

— A bo widzi pan stójkowy, jakby mnie pan stójkowy w święto prowadził pod rękę na spacer, toby wszyscy myśleli, że mnie prowadzą do cyrkułu.

— o —

Majster. Cóż tak siedzisz nad tym talerzem, czemuż nie jesz tego mięsa?

Terminator. Kiedy jeszcze za gorące!

Majster. No to dmuchaj.

Terminator. Kiedy się boję, żebym go nie zdmuchnął!

* *Obawa uzasadniona..*

Czeladnik ślusarski. No, Abram, ileż dacie za to żelazo?

Abram. Z taki mały kawałek co ja będzie zrobiuł; na co one się zda?

Czeladnik ślusarski. Oj oj, można z tego zrobić klucz, można zrobić pistolet...

Abram. Pistolit? (do dzieciaków). Kinder weg!

Obelgi.

— A gdzie to spieszycie, panie Macieju?

— Idę do sądu zaskarżyć tego łotra Wietrzykiewicza, wyobraź pan sobie, śmiał mnie nazwać *baranią głową.*

— Ej, na miejscu pańskiem, to jabym tam skargi nie podawał.

— A to dla czego?

— Bo to taki przewrotny człowiek! może jeszcze dowieść, że miał racyę i wtedy będziesz pan dopiero zblamowany!

— o —

Pewien wieśniak przyszedł do adwokata z prośbą, aby się podjął procesu o obelgę.

Adwokat wzdragał się, mówiąc:

— Nie cierpię tych procesów o obelgi; to wszystko torby sieczki nie warte, próżna strata czasu, gdybym ja tak chciał zapozywać wszystkich tych, którzy mię nazwali łajdakiem...

— No, między panami to co innego — przerwał chłop — ale u nas to tak nie uchodzi.

Oberek drukarski.

Hejże, hulaj! hej w hołupce,
Trzęście się, jak *czcionki* w *krupce*,
Niechaj chłopcy panny biorą,
Rżnij mazura na *cicero!*

Hejże, hulaj! hejże w hopki!
Dotańcz bracie aż do *kropki*,
Hejże w górę czoło dumne,
Dalej mazur, *tam kolumnę!*

Niechaj kielich będzie pusty,
Pij jak *farbę garmont tłusty*,
Jeszcze jedno panien zdrowie,
Wypij bracie w *cudzysłowie!*...

Życie rajem jest niebieskim,
Hej, mazura a *groteskiem*,
Na bok smutki, na bok troski
W koło mazur *petit włoski.*

Hejże! mazur starej daty,
Rób *winkiele* i *kwadraty*,
Póki ton muzyki płynie,
Ty przekładaj *interlinje!*

Hej wspominaj dawne czasy,
Dobądź wszystkich sił *zapasy*,
Hejże w górę czoło dumne,
Dalej!... mazur!... *tam kolumnę!*

Oberża królewska.

Kiedy cesarz austryacki Józef II zwiedzał Francyę, książe Lotaryngii wpadł na udatny pomysł urządzenia zabawnej farsy, malującej doskonale jego delikatny charakter i bystry dowcip.

Wydał on rozkaz, aby zdjęto szyldy ze wszystkich hotelów, poczem wywiesił na swoim pałacu ozdobiony godłami austryjackiemi następujący nadpis: „Hotel Cesarski."

Całe umeblowanie wewnętrzne urządzono na sposób hotelowy, gospodarz w stroju oberżysty przywitał na progu dostojnego gościa i z komizmem nieporównanym odegrał zaimprowizowaną rolę; — wszystkie wielkie damy, naturalnie najpiękniejsze, zaproszono na tę uroczystość, poprzebierane za subretki, krzątały się z wdziękiem na posługach, a najwięksi dygnitarze, przywdziawszy liberyę garsonów i kelnerów, uwijali się ochoczo, dopełniając harmonijnej całości.

Przy takim współudziale, żartobliwy koncert udał się znakomicie i niesłychanie ubawił Józefa II-go, który ujęty serdeczną uprzejmością księcia Karola, zabawił u niego dni kilka.

Rozumie się, że cała ta wytworna służba hotelowa brała udział w zabawach wieczorowych, którym dodawała wiele wdzięku i blasku.

(*M-me Obenkirch*, *Mémoires*).

Oberżysta.

Oberżysta.

Trzy złote owies, a dwa złote siano,
Za piwko złoty, obwarzanki złoty,
Piętnaście groszy za chleb zapisano —
No, gospodarzu! kredka do roboty.
Pietnaście groszy — to piszę na boku,
Teraz trzy złote za siana dwie kity,
Teraz trzy złote za miarkę obroku,
Ot i rachunek będzie wyśmienity.
Piętnaście z boku... więc trzy a piętnaście,
To osiemnaście... dwa a dwa to cztery,
A więc dwadzieścia i dwa.

Wieśniak.

To napaście...

Oberżysta (*niby nie uważając*).

Nic ci nie liczę za opał kwatery.

Wieśniak.

Lecz, gospodarzu, odemnie wypada
Sześć złotych i pół, to rachunek krótki.

Oberżysta.

Ach! z tymi ludźmi to prawdziwa biada!
Weź kredkę, przelicz, a napij się wódki.
(Nalewa mu z flaszy — Wieśniak bierze).
Licz tylko prędko... (do żołnierza:)
Ty miałeś kamracie,
Fajkę tytuniu i kwartę gorzały.
Wy na tych rzeczach, jak widzę się znacie;
A cóż? czy tytuń mój nie doskonały?
Ja sam mospanie służyłem wojskowo,
To wiem, co lubi żołnierstwo junacze.
(do wieśniaka, który liczy)
Cóż gospodarzu tak kręcicie głową?

Wieśniak (*podchmielony*).

Kiedy mi liczba jakoś w oczach skacze,
Dwa a piętnaście...

Oberżysta.

To będzie dwadzieście,
Cztery a cztery .. to dwadzieścia osim.
No, weźcie kredkę, porachujcie, zmieście...
Teraz o pieniądz najpokorniej prosim.

Wieśniak (*dobywa pieniądze i płaci.*)

To coś za drogo...

Oberżysta (*odbiera pieniądze i przedrzeźnia Wieśniaka.*)

Za drogo... za drogo!
Och! jaki skąpiec! trzech mu groszy szkoda.
U mnie oberża jak tu u nikogo,
I bezpieczeństwo i wszelka wygoda...
No, jedźcie z Bogiem!

Syrokomla (p. t. I, str. 128).

* *Oberżysta genialny.*

Właściciel jakiejś wiejskiej oberży, podał raz królowi Jerzemu III-mu, przejeżdżającemu przypadkiem tamtędy, jedno jajko, za które zażądał gwineę.

— Widocznie jajka są u was rzadkością, — rzekł uśmiechając się monarcha.

— Bynajmniej, Najjaśniejszy Panie, wcale nie jajka, tylko królowie są u nas rzadkością...

Obiad.

Podano do stołu.

Pani domu powstaje zwolna i bierze pod rękę najznakomitszego z gości. On się uśmiecha słodko, nachyla zgrabnie i zaokrągla ramię, szukając okolicznościowej grzeczności w swoim repertoarze. Ruch się zrobił w salonie; mężczyźni powstają wszyscy, szukają oczami miejsca, gdzieby mogli bezpiecznie postawić kapelusz; w głowach układają sobie, czy też podać ramię komu? Czy moja krawatka dobrze leży? W którą parę pójść, w drugą czy w trzecią? W końcu rzucają się we trzech, czterech do jednej damy. Dama wybiera na chybił trafił i stają w szeregu. Przy końcu, kilku z panów z rezerwy pozostałych bez pary, posuwa się razem, wśród szpaleru wygalonowanych i wyprostowanych lokai. Jacy oni strojni i wypudrowani, co to za mina i pretensya; rzekłbyś, ambasadorowie lub ministrowie. Powaga ich nie opuszcza na chwilę, ale co ich mianowicie cechuje, to arystokratyczne prawdziwie łydki. Lokaj z kompletnemi łydkami, bierze sto franków więcej na miesiąc. Ta biała łydka nad trzewikiem ze sprzączką, przypomina dawne, piękne czasy Marly i Wersalu. Mój Boże! gdyby nam tak kazano skrócić dziś nasze pantalony, ilużby z nas się okazało mniej wartymi od lokajów?

Panie siadają, układając i prostując suknie. Panowie ze szkiełkiem w oku, starają się nieznacznie odczytywać nazwiska swoje na białych kartkach leżących przy nakryciach. Znalazłszy, uśmiechają się niby z wielkiego ukontentowania do swoich dwóch sąsiadek i zatapiają się zręcznie pomiędzy dwoma bufiastemi sukniami. Przed każdym talerzem cały batalion szklanek, kieliszków, karafek, karafinek. Kandelabry rzucają tysiączne blaski na cały ten arsenał błyszczący. Jedwabne staniki, wstążki, brylanty połyskują. W samym środku stołu ogromny wazon azalji, rozpościerającej swe atłasowe liście i puszyste kwiaty na okół. Brzęk dyskretny srebrnych

sztućców o talerze, przypomina gradobicie o szyby okien. Cóż ja też powiem mojej sąsiadce?

Siostrzeniec mój, Anatol Dower, który tu obiaduje po raz pierwszy w życiu, ma strasznie niemądry wyraz twarzy. Już widzę, że będzie jadł zanadto. Za kwadrans oczy mu będą na wierzch wychodzić, a policzki zarumienią się jak raki. Będzie się sadził na dowcipy, a powie same głupstwa. Wczoraj na balu po sześciu minutach milczenia, rzekł nareszcie do swojej danserki, prześlicznej panienki, którą mu w myśli na żonę przeznaczałem:

— Wszak pani mieszka w Chatou?

— Tak, panie.

— Jakaż to nieznośna miejscowość!

I na tem się skończyła rozmowa.

— Mój kochany siostrzeńcze, jeśli się tak mało mówi, to się powinno znaleźć coś lepszego do powiedzenia.

Co do mnie, to łatwiej mi o wiele poprowadzić rozmowę, gdyż w potrzebie mam soloną wieprzowinę i oliwę. A propos potrawy lub lampy, mogę przejść na rozmowę o mięsach i nafcie, opowiadam jedną lub dwie anegdotki; najtrudniejszy początek, reszta już idzie sama. Przy szampanie dochodzę już do opisu amerykanki chudej i purytanki zaczytanej w Biblii, anatomii i ekonomii politycznej. Robię porównanie z moją nadobną sąsiadką, odbieram w podzięce uśmiech czarujący i zadowolenie zupełne, powstajemy oboje, ja idę do fumoaru, a sąsiadka moja powracając do salonu, mówi półgłosem do przyjaciółki:

— Ten pan Graindorge, to kawał dziwaka, ale bardzo przyjemny w rozmowie.

* *
*

W samym środku za stołem siedzi dawny ambasador, dzisiaj jest senatorem, najgłówniejsza osoba obecnego towarzystwa. Twarz jakby z drzewa wystrugana, ani jeden muskuł nie drgnie. Często uważałem podobny wyraz u ludzi politycznych, szczególniej u dyplomatów; tyle razy go przybierali z początku, że w końcu przystał do ich rysów na wieki. Senator ani się bawi ani nudzi, siedzi nieruchomy, bierny, bezwrażliwy jak żołnierz na warcie. Co więcej, myśl jego nie odbiega bynajmniej daleko. Półuśmiech wieczny błądzi na jego ustach majestatycznych, dwie grube zmarszczki schodzą koło nosa; twarz długa jakby w skale wykuta. Pyszne zjawisko! Z czerwonym sznurem na szyi, mam prawdziwą przyjemność patrzenia na niego przy stole i przy wiście, a więcej jeszcze, gdy się kłania. Prawie, że przychodzi ochota prosić go, by się ciągle kłaniał. Kość pacierzowa i kark posiadają u niego elastyczność zdumiewającą. Dzisiaj rozmawia dużo; frazesy płyną mu z ust wyszukane i dźwięczne, rozmawia z sąsiadem swym bankierem o ogonach baranich, potrawie nadzwyczaj lubianej i poszukiwanej w Austrji i Anglji, niezrozumianej dotąd we Francji, a której nareszcie sekret przyrządzania przyswoił sobie kucharz pana Rotszylda.

* *
*

Jego sąsiadka po lewej stronie prawdziwa paryżanka, znudzona sąsiedztwem tej kłody dyplomatycznej, odwróciła się do drugiego swego sąsiada.

Lat dwadzieścia cztery, trzy sznury pereł we włosach, małe loczki na skroniach nadające jej wyraz fantastyczny i wyzywający; figurę ma prześliczną, ramiona w ciągłym ruchu, suknię atłasową przerabianą ze srebrem, wyskok gustu i smaku. Nos troszkę za długi, ale zęby przepyszne, oczy czarne, rzucają ognie i ożywiają każdy jej ruch, każde słowo. Wyższość jej polega na prawdziwej szczerości. Pragnie się bawić, błyszczeć wszędzie, przyznaje to sama. Życie dla niej rozpoczyna się dopiero przy światłach o 11-tej wieczór, śród rozmów, strojów, przepychu sukien haftowanych złocistych, srebrnych perłami wyszytych.

Co wieczór dwa lub trzy zaproszenia, pięć do sześciu obiadów tygodniowo, Opera Włoska, Wielka Opera, a w dodatku spacery w lasku

codziennie, miljony wizyt odbieranych i składanych. Nigdy na niej nie widać zmęczenia, żyje w tym świecie, jak okręt na pełnem morzu z rozpostartemi żaglami. Myśl zabawy pochłania ją zupełnie. Inne kobiety są hypokrytkami, co do muzyki przynajmniej, ona grywa na fortepianie, ale pierwsza się śmieje z gry swojej, nie zachwyca jej Beethowen i Mozart, Verdi'ego i Rossini'ego słucha z przyjemnością; ale nie więcej jak dziesięć minut. Jeżeli się jej jaka sztuka podoba, to tak jak sorbet zamrożony, którym się delektuje przez kwadrans. Nic niemieckiego do niej nie przylgnie, jest prawdziwą francuzką — francuzką XVIII st., podobna do tej margrabiny, która przed przyjęciem generała pyta się, czy jest przyjemny. Nie umie się skłonić poważnie wobec przedmiotów, ogólne wzbudzających poszanowanie, dotyka się ich lekko końcem parasolki, spojrzy jednym rzutem oka, skrzywi usteczka i... idzie dalej.

W polityce wyróżnia tylko dwie partye: tych, co noszą rękawiczki i tych, co mają brudne ręce. Religja byłaby bardzo dobrą rzeczą, gdyby ksiądz proboszcz miał lepsze maniery.

Nic piękniejszego nad cnoty domowe, ale cóż warta kobieta, rachująca każdy grosz swej kucharce.

Malarstwo jest wielką sztuką, ale ci malarze zawsze mają czerwone oczy i noszą okulary.

Pan X. jest pierwszym politykiem w kraju, ale ma głowę podobną do tłuczka od orzechów, a szyję utuczonego wołu.

Nie ma nawet czasu być próżną i porównywać się ze swemi sąsiadkami. Jeśli mają piękne toalety tem lepiej, rozkoszuje się ich widokiem, niezna zazdrości, nadto jest żywa i wesoła, podobna do sali balowej pełnej ruchu i rozmaitości. Trzeba ją słyszeć, jak opowiada jakąś historyę, najprostszy wypadek z życia. Tyle porywów w całej jej osobie, tyle życia i precyzji w każdem słowie, że się jej słucha z uśmiechem pomimo woli i uczuwa się rozkosz życia.

Od czterech lat jest mężatką. Mąż ją z początku woził nad Ren, do Włoch i kąpieli morskich. Następnie, musieli otworzyć dom w mieście i na wsi, wszędzie stajnię i służbę. Dwa lata zeszło na tem. Dzisiaj bawi się nim jak piłką, bez złośliwości, tak jak się bawi wszystkiem, co jej pod rękę podpada, jest gruby i męczy się prędko, wyśmiewa się z niego, gdy usypia po obiedzie i wynajduje tysiąc komisów by go zmusić do biegania po mieście.

Biedny człowiek, od roku jest w niej prawdziwie zakochany, patrzy na nią troskliwie niespokojnie, gdy się bawi z drugimi. Kup sobie ładny nożyk z damasceńskiej cienkiej stali, im cieńszy będzie i lepiej oprawny, tem łatwiej zagłębi ci się w piersi.

Dziś właśnie męczy wielkiego człowieka nowej daty, kompozytora, nieszczęśliwy ten muzyk wydał trzy nocturny. Od tego czasu nie sypia, umęczony swojem dziełem, nie czuje nawet smaku sarniny, ni trufli, pije po trochu wyborowe wina, zdaje mu się, że to woda, chciałby koniecznie, by mu mówiono o jego nocturnach.

Od początku obiadu rozmawia ona z nim o muzyce, ale ani wspomni o nocturnach. Zatrzymuje się nad samym brzegiem przepaści i widząc jego słuch wyczekujący z upragnieniem jej słowa, przerzuca się jednym rzutem w potoczne frazesy. Co chwila staje się weselszą a on bardziej ponurym.

Przy szampanie rozpacz go ogarnia. Moje biedne nocturny.

Ona w tej chwili zaczyna rozmowę o Gounodzie. On ociera sobie pot z czoła i na pocieszenie wychyla kielich szampana.

* *
*

Pierwsze danie skończyło się. Następuje mała pauza, lekka oznaka ukontentowania rozpościera się po twarzach. Nikt już nie głodny, a każdy może jeść jeszcze. Żołądek nasz jest sumieniem dla całego ciała, gdy się czuje

ıbrze, całe ciało jest szczęśliwe, ze spokojnem ıdowoleniem oczekujemy drugiego dania. Nikt e robi uwag, ale każdy czuje przyjemność, ıtrząc na piękną porcelanę, stroje otaczające cały ten zbytek wykwintny i rzadki. Zapaują się na błyszczący brylant u kolczyka mojej ısiadki. Wszyscy rozmawiają wesoło, uśmieıają się, czuć życie i radość w całem zgromazeniu, a zapach przyjemny wykwintnych po-raw unosi się nad nami, jak dymy ofiar składanych bogom.

Czwartym gościem na lewo, jest właściciel óbr, finansista, deputowany z prowincji; znaızł się w izbie jak foka na piasku, namiętnie ıbi pasztet z ryb, posiada pyszne oranżerye opycha wszystkich swych przyjaciół ananaami. Sąsiadem jego jest młody referendarz, .tóry stara się go bawić gwłtownie rozmową polityce i literaturze, ale deputowany odpoviada mu zaledwie i marszcząc brwi, mówi do iebie:

„To bydle przeszkadza mi w odnajdywaiu dobroci tego sauternu."

Za nimi siedzi kobieta czterdziestoletnia : czerwonym nosem i melancholicznym wyra:em twarzy.

* *
*

Któż to jest tam na rogu stołu z tym wy-golonym podbródkiem i czarnymi faworytami? ıch! to pan D., naczelnik banku! Wszędzie go spotkać można. Długi, chudy, o giętkim grzbiecie, kłania się wszystkim i nieustannie prezentuje się każdemu, wciska się wszędzie jest typem prawdziwego intryganta. Nie ma odrobiny rozumu, ani talentu, ani do rozmowy, ıni do pióra, jak mówi się ni z pierza, ni : mięsa, a jednak przyjmują go w najpierwszych domach, wchodzi regularnie raz na tylzień, rozkłada się przed kominkiem, kłania się wszystkim paniom, zamienia parę banalıych frazesów ze wszystkimi mężczyznami, wszyscy go znają i umieją na pamięć, a jego warz bez wyrazu i długa postać wryła się każdemu w pamięć przy ciągłem spotykaniu. Nie podobna o nim zapomnieć, zbyt często go się widuje. Stoi każdemu na myśli, jak La Revaleciere Dubarry, albo pigułki Guyot'a. Napróżno go wszyscy zowią idyotą. Każda pani domu znajduje go pod piórem, pisząc listę zaproszonych, gdy jej potrzeba zapełnić jaką lukę. Nie kompromituje się, zawsze porządnie ubrany, stoi cierpliwie oparty o ścianę z bezmyślnym uśmiechem na ustach. Bierz z niego przykład, kochany siostrzeńcze Anatolu, jest w nim zarodek na przyszłego członka akademji.

* *
*

Jedna z najładniejszzch kobiet Paryża. Twarzyczka o regularnych rysach, codzień nowa toaleta, ale to czysta lalka, mąż jej jest elegantem pierwszego rzędu. Nie mają żadnej troski, oboje zdają się być stworzeni jedno dla drugiego, by spędzać życie na spacerze, na balach, na wizytach. Ona tyle narozdawała uśmiechów w życiu, że w dwudziestym ósmym roku miała zmarszczki przy ustach i oczach.

Gdy się do niej zbliżam, przewiduję najprzód, jakim mi odpowie giestem, słowem, skinieniem głowy, pociągnij sznurek starego zegara, wiesz już naprzód, jaki ci kurant wydzwoni.

* *
*

Przy drugim końcu stołu śmieje się trochę, ale po cichu jakiś attaché ambasady, siedzący obok autorki angielki, osoby wysoce moralnej, usiłuje bronić przed nią powieściopisarstwo francuzkie, któremu ona zarzuca, iż jest powodem upadku moralności. Po wielu zamienionych dosyć żywo zdaniach, powiada do niej w końcu:

„Zanadto surowo nas sądzisz, miss Mathevs, to może dla tego, żeś nas pani za mało czytała. Pozwól, że ci jutro przyślę nowy romans francuzki, sławny, najgłębszy i najpożyteczniejszy ze wszystkich pism naszego wieku.

„Został napisany przez pewnego rodzaju mnicha, prawdziwego benedyktyna, który był

w Ziemi Świętej i którego tam nawet o mało nie zabili niewierni.

„Mnich ten żyje jak pustelnik koło Ronken; zamknięty dzień i noc, nie widuje nikogo, pracuje bezustannie. Bardzo jest uczony, wydał dzieło o archeologji w Kartaginie, powinienby już nawet należeć do akademji, zapewne go też przyjmą po Monsiniorze Dupanloup. Nietylko posiada on geniusz, ale i sumienie. Za życia ojca, który był doktorem, zajmował się medycyną, krajał trupy i zna również dobrze fizyczny, jak i moralny ustrój człowieka. Ma może jedną wadę—jest zanadto drobiazgowy, zanadto pracowity i nie stara się nikomu podobać. Celem jego jest, chronienie młodych kobiet od próżniactwa, próżnej ciekawości i niebezpieczeństw czytania złych książek. Nazywa się... Gustaw Flaubert, a książka jego nosi tytuł: „Pani Bowary, czyli matki złych obyczajów.”

Miss Mathevs rozpromieniła się:

„Proszę, powiedz mi pan nazwisko wydawcy, przetłumaczę tę książkę i zawiozę ją do Londynu, gdzie ją rozdamy za pośrednictwem towarzystwa Vesleyenne, które się zajmuje propagandą dobrych doktryn.

* *
*

Podają powtórnie szampana. Maleńki nieporządek wkrada się do towarzystwa. Niektórzy z biesiadników opierają się na stole. Rozmowa idzie ożywiona, poufała w małych grupach po dwie, trzy osoby. Lokaje pomęczeni stoją z serwetą na ramieniu, czekając, by goście powstali, a wśród szmeru głosów krzyżujących się nieustannie, można wyróżnić słowa:

„Co to za talent tego Gounoda, jest to niemiec rozpuszczony w winie francuzkiem. Kupujcie akcye Greszama, idą w górę. Prawdziwy ogon barani przyrządza się z pieprzem. Prawdziwym poetą współczesnym jest jedynie Lecompte de Lisle. Wiecie, że odmówiono występu Henryecie B. w „Komedji francuzkiej”, gdyż miała nadto klakierów w orkiestrze. Nie mów mi pan o Mejerberze, nie mogę go strawić.”

H. Taine.

* *Obiad literacki.*

PIEŚŃ PIERWSZA.

Wódka gdańska i koniaczek
I przekąsek wielka kupa,
A po chwili daną będzie
Literacka *Julienne*-zupa.

PIEŚŃ DRUGA.

Jako symbol zaś łączności
Literacko-artystycznej
Paszteciki przyjdą, wolne
Wszelkiej cechy politycznej.

PIEŚŃ TRZECIA.

Pieśnią trzecią — z góry czuję,
Jak się ogół nią zachwyca —
Będzie arcywyśmienita
Jak ananas polędwica.

PIEŚŃ CZWARTA.

Muzo! użycz mi natchnienia!
Tu sposobność będzie rzadka
Poznać czem jest w swej istocie
Kura à la literatka.

Czem jest kaczka dziennikarska,
Jak smakują sarnie nogi,
I czem kozioł byłby w świecie,
Gdyby nie przeklęte... rogi.

PIEŚŃ PIĄTA.

Potok mówek niewstrzymany
Powyrywa sensu brzegi,
Gdyż zasilą go szampany
I węgierskich win szeregi.

EPILOG.

Dla ochłody będą lody,
Poczem pełni miny chwackiej
Pójdą wszyscy uczestnicy
W frakach na bal literacki.

* *Obiadek u p. Jones.*

Przed dwoma laty, gdy jako świeżo dyplomowany lekarz, przybyłem do Londynu w celu rozpoczęcia praktyki, ciocia moja, panna Ap-Rees, z Rees-Castle, w księztwie Walii, była tak łaskawą dać mi list polecający do swojego kuzyna, o którym zapewniała, że jest człowiekiem bardzo wpływowym i że mi w wielu rzeczach dopomódz może. Nazywał się Mr. Pwllhyll *) Jones i mieszkał na przedmieściu Kensington. Był bogaty, i miał jedynaczkę córkę, o której zapewniła mię panna Ap-Rees, że jest nader piękną i miłą — dodając do tego tajemniczą uwagę, że taka sposobność nie zdarzy mi się dwa razy w życiu.

Nająłem wygodne pomieszkanie przy ulicy Straud, w pierwszej połowie grudnia. Ponieważ zaś mam pamięć, która mię często zawodzi, wyprawiłem odrazu list mojej ciotki do p. Jones. Był on już kompletnie zaadresowany jej dużem, staroświeckiem pismem, włożyłem więc tylko mój bilet wizytowy w kopertę, zapieczętowałem ją i oddałem na pocztę. Na bilecie stało, że p. John Rees Ap-Rees, M. R. C. S.**) z Biggwsberris, będzie miał zaszczyt złożyć p. Pwllhyll Jones w środę wieczorem swoje uszanowanie.

Byłem rad, gdy się pozbyłem tego kłopotu z głowy. Nazajutrz otrzymałem nader grzeczne pismo od p. Jones, który mię prosił, abym z pominięciem wszelkiej ceremonji przybył do niego wprost na obiadek, *en famille*, a ponieważ — dodawał—„miałeś pan i bez tego być u mnie w środę wieczór, nie potrzebujesz pan trudzić się odpowiedzią na ten mój bilet. Obiad będzie na stole o siódmej, ale przyjdź pan chociażby najwcześniej, jeżeli łaska.” Było to wielką uprzejmością ze strony p. Jones, i postanowiłem przyjąć jego zaproszenie.

Pamiętny prawidła, że pierwsze wrażenie bywa decydującem, ubrałem się w środę bardzo starannie i o szóstej ruszyłem podziemną miejską koleją żelazną na przedmieście South-Kensington. Gdym przybył na stację, przypomniałem sobie dopiero, że nie zanotowałem adresu p. Jones. Znajdował on się na kopercie listu mojej ciotki, ale z mojej pamięci uleciał zupełnie -- wiedziałem tylko, że przedmieście nazywa się Kensington, o nazwie zaś ulicy i numerze domu nie miałem najmniejszego wyobrażenia...

Ba, prawda! Wszak miałem jego pismo w kieszeni! Wydobyłem je czemprędzej i obejrzałem — niestety, pokazało się, że i pan Jones zapomniał umieścić swój adres na bilecie!

Mniejsza o to, pomyślałem, jest zaledwie kwadrans na siódmą, a chociaż przedmieście Kensington jest niepospolicie długie i szerokie mam dosyć czasu do odszukania człowieka, który musi być powszechnie znanym w swojej dzielnicy. Udałem się do policmana, który stał opodal: ten wszakże, na nieszczęście, znał w całem Kensington tylko jednego p. Jones, właściciela zakładu zastawniczego. Nie mógł być to ten, którego szukałem; policman radził mi się tedy udać do dorożkarzy. Zwołałem mityng zacnych tych obywateli, oni zaś, po dłuższej ankiecie, uchwalili, że p. Jones, którego potrzebuję, jest panem Jones z Redclyffe Square. Kilku ofiarowało się zawieść mię tam, a jeden w istocie dopiął tego celu. U bramy, przed którą stanął, znajdowała się mosiężna tablica z napisem: „Mr. P. Jones” dużemi literami i jakimś drobnym dodatkiem, którego przy niedostatecznem oświetleniu odczytać nie mogłem, odprawiłem dorożkarza i zapukałem. Otworzył mi lokaj, wyglądający raczej na karawaniarza.

— Czy pan Jones jest w domu? — zapytałem.

— Jest, panie — odparł, przypatrując mi się takim wzrokiem, jak gdyby mi chciał brać

*) Przestraszonego tym zbiegiem spółgłosek czytelnika niechaj uspokoi wiadomość, że w języku walijskim *w* pisze się zamiast *u*, a podwójne *l*, zamiast miękkiego naszego *ł*. To pomoże znacznie do wymówienia powyższej łamigłówki. *Przyp. tłum.*

**) Medikal Royal College Surgeon. *Przyp. tłum.*

miarę na trumnę. — Zapewne ten pan, który miał być o siódmej? — dodał.

— Ten sam — rzekłem uradowany.

— Mój pan oczekuje pana — wypłakał więcej, niż wypowiedział grobowym głosem, poczem z wyrazem niewysłowionej boleści otworzył jakieś boczne drzwi i wprowadził mię do gabinetu, który zakrawał na księgarnię, albo na salon lekarza. Tam wręczył mi najnowsze wydanie dziennika *Times* i wyszedł.

Fotel, na którym się usadowiłem, był niezmiernie wygodny. Zdaje mi się, że nigdy w życiu nie widziałem nic równie wygodnego i postanowiłem w duchu kupić sobie kiedyś mebel równie przyjemny. Poręczy było można za pomocą zgrabnej korby nadać pochylenie, jakiego pragnąłeś, a u góry znajdował się przyrząd, na kształt wklęsłej poduszki, na którym można było rozkosznie oprzeć głowę. Tymczasem wyszedł pan Jones. Był to tęgi i dobrze odżywiony mężczyzna, którego rumiana twarz wszakże na mój widok przybrała wyraz serdecznego współczucia. Zastanowiło mię także, że był w porannem ubraniu,*) podczas gdy ja wystroiłem się był na ostatni guzik. Powstałem, a pan Jones podał mi rękę i uścisnął moją serdecznie, nie zmieniając bynajmniej owej miny, wyrażającej jakoby sympatję i uszanowanie dla niezasłużonego cierpienia.

— Jak się mamy dzisiaj? — zapytał — przekrzywiając głowę na jedną stronę.

Forma zapytania była dość naturalną między lekarzami, odpowiedziałem tedy, że nigdy nie miałem się lepiej, jeno, że mię cokolwiek jeden ząb boli.

— A tak, tak — zauważył, jakby mu to właśnie sprawiło niewymowną ulgę i wskazami ręką fotel, przysuwając go prosto pod płomień gazowy.

— Jakiś ekscentryk — pomyślałem sobie, siadając, podczas, gdy p. Jones położył mi lewą rękę na głowie, a prawą trzymał po za sobą.

— Bądź pan łaskaw otworzyć nieco usta— rzekł.

Uśmiechnąłem się i wykonałem, czego sobie życzył. Widocznie pan Jones był miłośnikiem koni i zapewne chciał z moich zębów poznać mój wiek i ogólne uzdolnienie.

— Nieco szerzej, jeśli łaska—mówił dalej.

Tego mi już było nieco za wiele, ale ponieważ ciocia nakazała mi była jaknajwiększą uprzejmość dla swego kuzyna, nie chciałem mu się sprzeciwić w takiej bagatelce i otworzyłem usta jak mogłem najszerzej.

Gospodarz mój wpatrzył się w ich głąb przez parę sekund, i nagle nim mogłem krzyknąć, szybkim ruchem ukrytej prawej ręki założył jakiś okropny instrument na jeden z najmilszych mi moich zębów trzonowych, szarpiąc go nielitościwie.

Teraz już mi brakło cierpliwości. Zerwałem się z fotelu i odepchnąłem go o kilka kroków, ciskając jego instrument o ziemię. Staliśmy naprzeciw siebie i mocno zaperzeni, wpatrywaliśmy się ostro w oczy jeden drugiemu. Zębowi memu nic się wprawdzie nie stało, ale byłem mimo to niezmiernie oburzony na ten szczególny sposób przyjmowania gości.

Po kilku ostrych słówkach nastąpiło wyjaśnienie — p. Jones wręczył mi bowiem swój bilet, na którym stało: „Mr. Penrhyn Jones lekarz-dentysta!" A więc, nie Pwllhyll! Nieszczęsny zbieg okoliczności chciał, że *ten* Jones zamówił był właśnie na siódmą godzinę jakiegoś pacjenta. Nie pozostało nam jak przeprosić się nawzajem.

Lokaj o grobowej minie uśmiechnął się nieznacznie, gdy mię wypuszczał na ulicę. Jestem pewny, że nędznik domyślił się wszystkiego.

Odetchnąłem swobodnie na świeżem powietrzu.

*) W Anglji, nawet w średnich stanach i w kółku rodzinnem siada się zazwyczaj do obiadu we fraku. Człowiek nie żyje wprawdzie na to, aby jadł, ale je, aby żył— jedzenie tedy jest ważną uroczystością wymagającą świątecznego stroju. *Przyp. tłum.*

Cóż począć dalej? Przypadkiem zoczyłem na drugim końcu placu listonosza. Dopędziłem go i zapytałem wyraźnie, czy nie zna pana Pwllhyll Jones?

— Jones, Jones, hm—odparł—znam jednego p. Jones, nie wiem czy Pwllhyll, ale to pewna, że ma pierwsze imię zaczynające się na P. Mieszka pod Nr. 40, Queens-Gate.

Ulica *comme-il-faut*, widocznie więc musi to być mój Jones. Wziąłem świeżą dorożkę i udałem się pod numer wskazany. Wszystkie okna w domu były mocno oświetlone; widocznie przygotowano jakąś fetę, i mój Jones nie żałował pieniędzy. Zapukałem skromnie wobec takiej okazałości — otworzył mi lokaj w niezmiernie sutej liberji. Przypatrzył mi się dość pogardliwie przez ramię i rzekł:

— Spóźniliście się trochę panie bracie!

— Czy obiad już się zaczął? — odparłem machinalnie.

— Zaczął? Jakże się może zacząć bez was, hę? — była odpowiedź.

Zapewnienie to było pochlebnem, ale zbytek poufałości ze strony fagasa oburzał mię mocno. Zdjąłem wierzchnie odzienie i kapelusz, a ugalowany grubijanin rzucił te rekwizyta moje w kąt przedpokoju.

W tej chwili niezmiernie piękna panienka zbiegła na dół po schodach pierwszego piętra. Miała na sobie bardzo powabną demi-toilette, czy coś podobnego, nie wiem dotychczas, jak się to nazywa.

— O, jesteś pan, chwała Bogu! — zawołała.

To było czarującem i ukłoniłem się wskutek tego jak najzgrabniej, rumieniąc się po same uszy.

— Jeszcze nic a nic nie ma na stole—mówiła dalej z powabnym uśmiechem.—O, chodź pan, zobacz!

W istocie zachwycająća osóbka; widocznie córka p. Jones, nie lubiąca ceremonij, równie jak jej ojciec.

Ale co to miało znaczyć? Panna Jones wprowadziła mię do nader eleganckiego salonu jadalnego, w którym stał duży stół nakryty białym obrusem najprzedniejszego gatunku i niczem więcej. Urocza panienka wskazała mi paluszkiem stojący opodal bufet, zawalony stosami sreber, a jednocześnie grubijanin w złotych galonach i drugi podobniuteńki do niego, weszli do pokoju i stanęli w służbistej postawie.

Okropne podejrzenia zaczęły mi się snuć po głowie.

— Proszę spieszyć się — wyszczebiotały dalej czarowne usteczka.

— Pro... proszę pani — wyjąknąłem—czy to nie jest dom p. Pwllhyl Jones?

Czarodziejka odpowiedziała mi głośnym wybuchem śmiechu. Pokazało się, że panem domu był Sir Paul Jones, baronet, prezydent zarządu dróg i mostów, że dawał wielki obiad tego wieczora i że — do djaska! wzięto mię za kredencarza, którego miał przysłać na tę uroczystość Gunter, właściciel zakładu gastronomicznego, w celu przybrania stołu z większym, niż zwykle przepychem!!!

Wśród rumieńców i przeprosin ze strony pięknej panienki, sam nie wiem jakim sposobem dopadłem mojego paletotu i kapelusza, i jak oparzony wyleciałem z pod N-ru 40 Queens-Gate, z zamiarem lecenia na drugi koniec świata.

Ochłonąwszy nieco, spojrzałem na zegarek, i przekonałem się, że nie minęły jeszcze były trzy kwandranse na siódmą. Jeszcze nie wszystko stracone, pomyślałem. Pobiegłem w górę ulicy, i skręciłem na Kensington-High-Street, gdzie zobaczyłem biuro ajenta pomieszkań. To wydało mi się kotwicą zbawienia. Wstąpiłem dla zasięgnięcia informacji.

— Pwllhyll Jones — powtórzył ajent — czy pan jesteś pewny, że Pwllhyll?

— Nie mam najmniejszej wątpliwości — odparłem.

— Hm, hm — mówił, przewracając kartki w ogromnej księdze. — Jakiś p. Jones zajmuje Nr. 15, Holland-road; może to będzie ten, którego panu potrzeba.

Na wszelki wypadek należało spróbować, po raz trzeci wziąłem dorożkę i odszukałem dom, wskazany przez ajenta. Wyglądał on dość przyzwoicie i znajdował się na końcu niezmiernie długiej a wązkiej ulicy. Zaledwie dotknąłem ręką dzwonka, gdy ktoś ostrożnie otworzył drzwi wchodowe, a przez otwór pokazała się głowa jakiejś wystraszonej, starszej kobieciny.

— Czy pan doktór? — zagadnęła mię nieśmiało.

— Tak jest, doktór Rees.

Staruszka dała mi znak ręką, a gdy wszedłem, zamknęła drzwi od ulicy. Mimo dość ciemnej sieni spostrzegłem, że była bardzo bladą i drżała na całem ciele.

— Niech pan doktór chyba sam idzie na górę — szepnęła, Jednocześnie dał się słyszeć „na górze"—okropny łoskot, i duża kruszcowa taca zleciała ze schodów. Kobiecina z krzykiem wskoczyła nabok do jakiegoś pokoiku i zamknęła mię samego w sieni. Wszystko to razem wyglądało nie zbyt zachęcająco, i chciałem już zabrać się do odwrotu, ale ciekawość we mnie przemogła. Dość śmiało wyszedłem na schody. Na górze było kilka drzwi, jedne z tych były odchylone i przepuszczały nieco światła, po za niemi zaś w pokoju, jakiś jegomość klął w sposób nigdy i nigdzie niepraktykowany. Bałem się, czy nie natrafiłem na jaką sprzeczkę rodzinną, odchrząknąłem tedy głośno, ażeby dać do poznania, że nadchodzi ktoś obcy. Harmider ustał na chwilę, a jegomość niewidzialny zawołał tonem złego humoru:

— Kto tam? Niech wejdzie!

Jakkolwiek wezwanie to nie było zachęcającem, wszedłem i ku wielkiemu mojemu zakłopotaniu znalazłem się w czyjejś sypialni. Mężczyzna średniego wieku, o mocno czerwonej twarzy, wpół ubrany leżał na łóżku, wszystkie sprzęty w pokoju były poprzewracane, a poduszki leżały na podłodze. Jegomość spojrzał na mnie dziko, i krzyknąwszy nagle:

— A ba! Coraz was więcej! — rzucił mi jeden ze swoich materaców na głowę.

Domyśliłem się natychmiast, że znowu zaszła jakaś pomyłka.

— Czego chcesz odemnie, ty czarcie przebrzydły? — zawołał raz jeszcze szanowny gospodarz, i nim jeszcze zdołałem wymówić słowo, albo ruszyć palcem, rzucił się na mnie, chwycił mię za szyję i począł mię dusić. Poznałem, że mam do czynienia z człowiekiem cierpiącym na *delirium tremens*, i że zastałem go w chwili najgwałtowniejszego paroksyzmu. Z wielką biedą wyswobodziłem się z jego szponów, a spostrzegłszy w pobliżu drzwi otwarte, wybiegłem niemi i znalazłem się w alkierzyku, który nie miał drugiego wyjścia, jak chyba przez okno. Nie było czas namyślać się, bo warjat szturmował już d drzwi, które zaledwie zatrzasnąłem — otworzyłem więc okno i namacawszy w ciemnośc rynnę, począłem spuszczać się po niej na dół Piętro nie było wysokie, rynna miała ujści swoje w beczce na deszczówkę, która na moje szczęście nie zawierała zbyt wiele wody — ledwie po kolana. Tymczasem mój pacjen dotarł do otwartego okna, zaczął bombardować mię — mniemanego czarta, czy smoka — szczotkami, miednicami, chłopcami od butów stołkami, poduszkami na szpilki i innemi pociskami tego rodzaju. Gdy kanonada ta nieco ustała, podniosłem nieśmiało głowę, którą dotychczas chowałem jak mogłem, i rozejrzałem się w koło.

Pokazało się, że jestem na jakiemś maleńkiem podwórku, oddzielonem od ulicy wązkim murem, którego szczytu dosięgnąć mogłem stając na przewróconej beczce. Wykonałem to ćwiczenie gimnastyczne z łatwością, i wnet znalazłem się nietylko na chodniku, ale nadto — w objęciach policmana.

— No, no, ptaszku, nic ci to nie pomoże, szarpać się i kopać—przemówił do mnie, trzymając mnie jedną pięścią za kołnierz, a drugą w pasie — chodź ze mną spokojnie, albo cię tak poczęstuję, że ci tchu nie stanie.

Oczywista, że zacząłem tłumaczyć się i próbowałem opowiedzieć mu całą moją historję.

— Oświadczam ci w myśl prawa — była odpowiedź—że cokolwiek teraz powiesz, może być użytem jako dowód przeciw tobie, najlepiej więc milcz! — Poczem, pomimo mojego szamotania się, doprowadził mię do rogu uliczki, gdzie dał sygnał gwizdawką. Na ten znak pojawił się drugi konstabl, jakby z pod ziemi i obaj wzięli mię między siebie i odprowadzili na stację policyjną, wśród gwarnych komentarzy licznego tłumu włóczęgów, bab i uliczników.

Przedstawiono mię inspektorowi. Byłem bez kapelusza, postradałem w walce z furjatem krawatkę i kołnierz od koszuli, przy ucieczce po rynnie część paletotu i fraka, w trzewikach miałem pełno wody i byłem cały obmoruzany jak niebozkie stworzenie. Wszystko to razem świadczyło, że muszę być nader niebezpiecznym zbrodniarzem. Usiłowałem zestawić inspektorowi zwięzły obraz moich przygód, ale mnie nawet nie słuchał. Konstabl, który mnie schwytał, zaprzysiągł, że od dłuższego czasu włóczę się w tej okolicy i że miał baczne oko na mnie, jako na znanego rzezimieszka.

Towarzysz jego ze swej strony utrzymywał, że czuć odemnie w haniebny sposób gorzałkę i że byłem do nieprzytomności pijanym. Jedno i drugie brzmiało bardzo pochlebnie dla mnie, ale z dwojga złego oskarżenie o pijaństwo gniewało mnie mocniej. Nie było nic łatwiejszego, jak wykazać się, że nie jestem złoczyńcą — co innego atoli byłoby przekonać uprzedzonego a upartego konstabla, że nie byłem w karygodny sposób pijanym — ponieważ to się i porządnym zresztą ludziom zdarza.

Żądałem tedy kategorycznie, ażeby wezwano lekarza okręgowego, któryby trzeźwość moją poświadczył, a inspektor ku niejakiemu zdziwieniu mojemu, zgodził się na to. W oczekiwaniu lekarza, zaprowadzono mię do izby nad wszelki wyraz pustej i ponurej, w której nie było innych sprzętów, jak tylko dwie drewniane ławki.

Po kwadransie pojawił się doktór, mały, gruby, rumiany człowieczek, z ogromną na głowie łysiną. Temu zdałem relację z moich cierpień.

W miarę jak opowiadanie moje rozwijało się, twarz jego, z początku aż do surowości poważna, przybierała wyraz coraz bardziej jowialny, a w końcu, jak gdyby nie mógł dłużej wytrzymać, rzucił się na jedną z ławek i trzymając się za boki, począł zanosić się od śmiechu, ale to aż do łez.

Oburzyło mię to poniekąd, bo przyznam się, że nie widziałem nic humorystycznego w tej okoliczności, iż byłem dotychczas bez obiadu, a do tego i w kozie — ale uwagi moje w tym duchu czynione wywołały tylko nowe spazmy śmiechu u szanownego Eskulapa. Po dłuższym dopiero czasie, przyszedłszy chwilowo do siebie, zdołał wykrztusić:

— Jak to, do kroćset, czy pan jeszcze nie pojmujesz? Ach człowiecze, ja, ja jestem Pwllhyll Jones i od kwadransa czekaliśmy na pana z obiadem, gdy konstabl przyszedł zawezwać mię do skonstatowania stanu jakiegoś przytrzymanego pijaka. Cha, cha, cha!

Nowe spazmy śmiechu.

Ma się rozumieć, że po tem poznaniu policja puściła mię natychmiast i że towarzyszyłem memu przyjacielowi do jego miłego i z komfortem urządzonego domu na Camden-Hill, gdzie przy jego pomocy poprawiłem moją toaletę, o ile to się uczynić dało, zważywszy różnicę wzrostu i tuszy zachodzącą między nami.

Następnie wprowadził mię sam do salonu i przedstawił swojej córce, której przymiotów duszy i ciała ciocia moja wcale w zbyt dobrem świetle nie przedstawiała — owszem, znajduję i to jeszcze dziś, po dwóch latach, że ciocia nie opisała ani jej piękności, ani wdzięku, ani dobroci tak jak należało. Co do mnie, owo „pierwsze wrażenie,” na które tak liczyłem, strojąc się z wszelką starannością,

nie dopisało niestety, dzięki zbyt kusemu i zbyt obszernemu kostjumowi d-ra Jones — ale panna, dowiedziawszy się o moich przygodach, anielską swoją słodyczą wynagrodziła mi wszystkie sarkazmy i przytyki swego ojca.

I ten, jak się wkrótce pokazało, pomimo swojej jowialności, był z gruntu poczciwym człowiekiem — i wkrótce jak przepowiadała ciocia, wyświadczył mi niezmierne przysługi. Właściwie bowiem jemu mam do zawdzięczenia ciepłe gniazdko i rozległą praktykę, jaką mam obecnie w rodzinnem mojem mieście Riggwsberris. Co się tyczy obiadu, nie ucierpiał on bynajmniej na krótkiej zwłoce i smakował mi tak wybornie, że dotychczas z przyjemnością o nim wspominam.

P. S. Pani doktorowa Rees z domu Jones, przeczytawszy powyższe opowiadanie, twierdzi, że gdybym ją był widział owego wieczora po mojem odejściu, spazmującą od śmiechu na jednej kanapie, podczas, gdy jej ojciec czynił to samo na drugiej, to nie wiele miałbym był do powiedzenia o jej „anielskiej słodyczy.” Ale ja temu nie wierzę.

Jan Lam. (patrz str. 80 T. I.)

* *Przy obiedzie.*

— Jak pan znajdujesz tę butelczynę? — zapytał gospodarz dowcipnego gościa.

— Bardzo małą na swój wiek.

Obicie.

Chce być obitym.

Niedawno temu pewien młody człowiek odwiedzając przyjaciela, zastał go zanoszącego się od śmiechu.

Laska połamana leżała na ziemi, a służący sprzątał stół z wielką gorliwością.

— Dawaj prędzej śniadanie — zawołał pan, ujrzawszy przyjaciela.

— W tej chwili — odpowiedział pokornie służący, pozbierał szczątki laski i wyniósł się po cichu.

Zobaczmy teraz, co to zaszło.

Pan jest młodym żywego temperamentu człowiekiem, w którego żyłach południowa krew płynie.

Dnia pewnego w napadzie gniewu, całą służbę rozpędził. Nowy służący, którego przyjął, posłyszał następującą przemowę:

— Jak się nazywasz?

— Paweł.

— To dobrze, biorę cię do służby na podstawie świadectw, jakie posiadasz. Muszę cię jednak uprzedzić, że mam jedną wielką wadę. Najmniejsza rzecz wprawia mnie w wściekłość, a wtedy biję. Czasem chwytam za kij, czasem kopię nogami, czasem ręką biorę się do dzieła.

— Ach — wybąknął Paweł z przerażoną miną.

— Wszakże — mówi dalej pan — medal ten ma swoją odwrotną stronę. Gdy biję, płacę za to.

— A, pan płaci — zawołał Paweł, podnosząc głowę i nastawiając uszy.

— Tak, mój chłopcze, płacę; dwa guldeny za policzek, dwa za kopnięcie nogą, pięć za uderzenie laską, a gdy uderzenie za silne, płacę dukata. W ciągu miesiąca prócz pensyi, można u mnie sto guldenów zarobić.

— Sto guldenów, prócz pensyi?

— Tak jest; niedawno gdy chorowałem na nerwy, mój służący zarobił dwieście pięćdziesiąt guldenów.

— Jeśli tak, jaśnie panie, przyjmuję służbę w tak dogodnych warunkach.

Tak miała się rzecz przez czas pewien, południowiec bił i płacił.

Paweł smarował plecy, ale nie narzekał i odnosił pieniądze do kasy oszczędności.

Po miesiącu podał rachunek, za tyle i tyle policzków, tyle i tyle kopnięć nogą, tyle i tyle kijów. Ilość razów i daty były w rachunku wyszczególnione. Pan sprawdzał rachunek i płacił, jeżeli zaś był w złym humorze, odprawiał służącego w sposób obelżywy. Ten kłaniał się pokornie i obelgę wpisywał na rachunek.

Po upływie kilku miesięcy zaszło jednak coś nadzwyczajnego.

Gniew pana raptem się umitygował.

Jedno uniesienie wywoławszy fatalne skutki, wyleczyło go ze zgubnego nałogu. Poprzysiągł przed samym sobą, że się poprawi, a że był człowiekiem honorowym, dotrzymał słowa.

W początkach Paweł zadowolniony był z tego zwrotu, po niejakim jednak czasie wpadł w czarną melancholię.

Pewnego dnia, gdy stłukłszy jakiś kosztowny przedmiot, nie został obitym, ośmielił się spytać:

— Jaśnie panie, jaśnie pan pewnie chory?

— Co znowu – rzekł pan. — Zkąd ci przyszła myśl, że chory jestem?

— Ztąd, że jaśnie pan nie bije mnie od jakiegoś czasu.

— Powodów mi brakło – powiedział pan — ale trzeba było już raz się opamiętać.

— E, czy to panu co szkodzi? Pan bije, to prawda, ale i płaci; jesteśmy więc w porządku.

— Zapewne, ależ to cię boli.

— Cóż robić, mam mocne plecy. Niech pan nie robi sobie przymusu.

Znowu tydzień upłynął.

Pan nie brał się ani do kija, ani do kopania nogami.

Sługa mizerniał w oczach.

W końcu nie wytrzymał i odważył się powiedzieć.

— Jaśnie panie, w zeszłym miesiącu dla braku kijów straciłem trzysta guldenów, dłużej tak być nie może, ja chcę być bitym. Porozumiejmy się. Półtora guldena za policzek, tyleż za kopnięcie nogą, za uderzenie laską, bez względu na to, czy będzie mocniejsze czy słabsze, zapłaci mi pan tylko trzy guldeny.

— Dobrze, zobaczymy.

Jednak Paweł nie zobaczył i nie poczuł nic.

Co raz więcej popełniał niezręczności, na nic się to jednak nie zdało, nie dostał ani jednego kija. Jeżeli przebrał miarę, pan chwytał za kapelusz i uciekał z domu.

W dniu, w którym nasze opowiadanie się zaczyna, pan czytał spokojnie gazetę, gdy sługa stanąwszy przed nim, rzekł gburowato.

— Panie, pan to robisz przez skąpstwo.

Pan podniósł głowę.

— Tak, przez skąpstwo — ciągnął dalej sługa — pan nie dotrzymuje zawartej między nami umowy. Pan musi mnie bić, z tym warunkiem mnie pan przyjął.

— Ruszaj do dyjabła!

— Nie, nie ustąpię, pan mi winien sto kijów; oto rachunek.

Pan zaczął się śmiać.

Paweł uchwycił ulubioną filiżankę i cisnął ją na ziemię.

— Niezdaro! — krzyknął pan.

Uczuł, że mu ręce drżą, szukając kija.

— Idź precz, bo ci kości połamię.

— Nie, tego pan nie zrobi, pan na to za skąpy.

Na te słowa schwycił pan laskę, której szczątki widzieliśmy na ziemi i obił sługę.

Ten uszczęśliwiony nie drgnął nawet, a gdy już laska rozleciała się w kawałki, wyszeptał:

— Nakoniec, nakoniec, doczekałem się kijów.

Pan parsknął śmiechem, który przyjaciel wchodząc, słyszał.

Obtarł oczy od śmiechu wilgotne i rzekł, zwracając się do przyjaciela:

— No, muszę mu pensyę podwyższyć, gdyż inaczej chciwością swą doprowadzi mnie do tego, że go na śmierć zabiję.

Lokaj tymczasem wysunął się z pokoju, chytrze się uśmiechając i wpisał w księgę rachunkową: Dwanaście kijów po trzy guldeny czyni trzydzieści sześć guldenów; za nazwę „niezdara" pięćdziesiąt krajcarów, czyni razem 36 guld. 50 krajcarów.

— Dzięki Bogu, że pan mój wszedł nakoniec na dobrą drogę.

Objaśnienie.

Fanfaron, chcąc zażartować z poważnego człowieka, rzekł:

— Proszę pana, racz mi wytłómaczyć, co to są: *Obole, Faribole, Parabole*, czyli inaczej: *Szelążek, Bajka* i *Przypowieść?*

Zapytany, nie zmieszany bynajmniej tak osobliwszem zagadnieniem, odpowiedział:

— *Przypowieść* jest to, czego WPan nie rozumiesz; *Bajka* to, co WPan mówisz, a *Szelążek* to, coś WPan wart za taki koncept.

* *Objaśnienie dokładne.*

Pewien stary wiedeńczyk pytał przyjaciela, czy był w Wiedniu podczas najścia francuzów w 1809 rokn?

— Ja sam wprawdzie nie byłem— odrzekł zapytany — ale mój ojciec powiada, że zna człowieka, który mu mówił, że jego dziadek po matce służył w jednej juryzdykcyi razem ze swoim kolegą, który znowu opowiadał, że jego ojciec rozmawiał pewnego dnia z człowiekiem, który cesarza Napoleona widział w onym czasie na rewji wojska.

—o—

Właściciel menażeryi, przybywszy do małego miasteczka, ogłosił sto talarów nagrody temu, kto w klatkę lwa wejść się odważy.

Naturalnie to ogłoszenie było reklamą, bo nikt w podobny sposób nie narażałby życia.

Przedstawienie miało się ku końcowi i już budę chciano zamykać, gdy w tem wystąpił jakiś chłop.

— Miły panie — rzekł do pogromcy —chcę zarobić owe sto talarów.

— Czy tak? — rzekł właściciel menażeryi drwiąco. — Chcecie wejść do klatki?

— Tak, panie — rzecze chłopek dobrodusznie, patrząc w ziemię.

— A więc chodźcie.

Wszyscy widzowie pożerają oczami kmiotka. Ten podchodzi do klatki, w której rozzłoszczony lew ryczy, jakby obrażony zuchwalstwem tych odwiedzin.

— A więc—mówi pogromca—zaraz otworzę klapę, a wy chciejcie wejść.

— Wejdę zaraz — mówi chłopek, spoglądając z uśmiechem na publiczność — ale niech wprzód pan bestyję wyprowadzi. W ogłoszeniu nie było powiedziane, że ono ma się znajdować w klatce.

Pogromca stał zdziwiony, a śmiech głośny zawtórował dowcipnemu argumentowi.

Obmowa.

Patrzaj, proszę, na tę babę,
Jakie u niej zęby słabe.
Słabości przyczyna cała:
Często ludzi na nie brała.

Ant. Pełka.

Obowiązek

Kobieta z głową
Winna pokusie spojrzeć prosto w oczy;
Ucieczka rzeczą jest niehonorową,
Więc wytrwać trzeba; wtedy się nie wtłoczy
Już nikt do serca spojrzeniem, rozmową;
A jeśli nim jest młodzieniec uroczy,
Przystojny, miły, grzeczny?... no, dość na tem,
Nigdy nie będzie czemś więcej, jak bratem.

—o—

A gdyby kiedy... któż zaręczy za się?...
Gdyby spostrzegła w kilka lat po ślubie,
Że jej serduszko w jakimś ambarasie
Szepce: „ja tego chłopca bardzo lubię!"
O! to cnotliwa kobieta nie da się
Skusić, i lepsza będzie po tej próbie.
A gdyby prosił... odmówić, i kwita.
Tak czynić każda powinna kobieta.

—o—

Zresztą jest miłość, co świętością poi:
Czysta, powietrzna, jak kwiat nienaganna,
O której w niebie boski anioł roi,
(— Na ziemi roi czasem stara panna —
W której platońska woń... właśnie jak w mojej)
Taka myśl była w Julii nieustanna.
I jabym myślał tak, gdybym to ja był
Tym, co komórkę w sercu Julii nabył.

Byron.

Obrachunek.

Pewien niemiec handlujący jajami, skłonił swoją wymową gospodynię domu, do której zaszedł, do kupienia dwóch kop jaj. Umówiwszy się o ich cenę, zaczął liczyć:

— Jeden, dwa, trzy, cztery, pięć -- (tu przerwał.) — Wielmożna pani ma zapewne dziatki?

— Tak jest, mam ich trzynaścioro.

-— Ej, co też wielmożna pani mówi? Wierzyć trudno. Więc doprawdy trzynaście! (Liczy dalej). Czternaście, piętnaście, szesnaście, siedmnaście, ośmnaście, dziewiętnaście (znowu przerywając), czy wszystkie dziateczki wielmożnej pani są przy życiu?

— Troje mi umarło, a między temi najstarsza córka. Ta gdyby żyła, miałoby już dwadzieścia ośm lat.

— Wielmożna pani żartuje chyba. Pani, kobieta w kwiecie wieku i pani mogłaby mieć córkę mającą dwadzieścia ośm lat? (Liczy dalej). Dwadzieścia dziewięć, trzydzieści, trzydzieści jeden, trzydzieści dwa — (znowu przerywa). Wielmożna pani może najwyżej mieć trzydzieści lat.

— Dobrzeby to było, ale, niestety, przeżyłam ich czterdzieści pięć.

— Czterdzieści pięć! O rety! Gdy wielmożną panią porównam z moją starą — nie, doprawdy, czterdzieści pięć (liczy dalej) czterdzieści sześć, czterdzieści siedm, czterdzieści ośm, czterdzieści dziewięć, pięćdziesiąt — (znowu przerywa). Wielmożna pani nie wygląda na te lata, ręczę uczciwem słowem. Gdyby żyła mama, wielmożnej pani, to dopiero miałaby pociechę!

— O, moja matka żyje jeszcze i ma sześćdziesiąt pięć lat.

— To dopiero piękny wiek! Sześćdziesiąt pięć — (liczy dalej) sześćdziesiąt sześć, sześćdziesiąt siedm, sześćdziesiąt ośm, sześćdziesiąt dziewięć, siedmdziesiąt, siedmdziesiąt dwa — (znowu przerywa liczenie). Gdyby matka matki wielmożnej pani była jeszcze przy życiu, miałaby też pociechę.

-— Biedna babunia umarła dopiero w roku zeszłym; miała lat dziewięćdziesiąt dziewięć.

— To rzadki wiek. Hm, dziewięćdziesiąt dziewięć — (liczy dalej) — sto, sto jeden, sto dwa — (znów przerywa). Wielmożna pani będzie z mego towaru zadowoloną. Jeżeli wielmożna pani pozwoli, przyjdę znowu w ciągu tygodnia. Czy mogę zapytać o numer domu?

— Sto szesnaście.

— To już będę pamiętał, więc sto szesnaście — (liczy dalej). Sto siedmnaście, sto ośmnaście, sto dziewiętnaście, sto dwadzieścia. Tak, sto dwadzieścia, a to jeszcze jedno jajko na dodatek.

Pani zadowolona z rozmowy, zapłaciła uprzejmemu handlarzowi dwa ruble i czterdzieści groszy za dwie kopy jaj i zaniosła je z koszem do spiżarni.

Gdyby je była policzyła, dowiedziałaby się, że zamiast stu dwudziestu, ma trzydzieści pięć jaj w koszyku, licząc już w to i dodatek.

Obraz.

Obraz czasu.

— I jakże ci tam idzie w tych złych czasach? — pyta przyjaciel pewnego malarza szyldów.

— Wcale nie źle, powiadam ci — mówi zapytany — bo co się jaki sklep otworzy, to po kilkunastu dniach zamykają go, a ja tym sposobem na ciągłej zmianie szyldów zarabiam.

* *Był to obraz... ale obłazł..*

Epizod z dziejów dwojga serc.

W eleganckim buduarze, przy pysznej rzeźbionej toalecie siedziała kobieta...

Długi pegnoir okrywał ją zupełnie i w malowniczych draperjach zwieszał się z jej ramion, załamując się z lekka na aksamitnym fotelu i spadając na dywan bardziej angielski niż faworyty warszawskiego lewka.

Ukośny promień wschodzącego słońca, wśligał się dyskretnie przez blade rolety i igrał po aksamitach, zwierciadłach, porcelanowych amorkach, aż wreszcie zatrzymał się na czole

Venus wyrzeźbionej z białego jak śnieg marmuru.

Wszystko tu tchnęło spokojem i ciszą, atmosfera przepełniona wonią róż rozkwitłych usposabiała do marzeń, a świergot ptasząt dochodzący z ogrodu mieszał się z jednostajnem gdakaniem zegara, co zawsze jednakowo zimny i obojętny wydzwania ludziom zmartwienia, kłopoty... siwe włosy i zmarszczki na twarzy.

Zegar w buduarze przez nas opisywanym, stanowił rażący kontrast z całem otoczeniem, bo gdy tu wszystko było świeże, piękne, harmonijne, on tylko jeden wsparty na ramieniu potwornie starego saturna, odzywał się głosem ponurym, głuchym, jakby rzucał w woniejącą atmosferę wyrazy: mane... tekel... fares.

Pani Marya, właścicielka i mieszkanka owego pięknego przybytku, nie cierpiała starego czasomierza i byłaby oddawna kazała na strych wyrzucić, gdyby nie pewna okoliczność, a mianowicie ta, że zegar był ulubionym sprzętem nieboszczyka jej męża, a familija mężowska odwiedzała panią Maryę.

Trzeba więc było znosić niemiłą pamiątkę dla familji, tak jak się znosi niemiłą familję dla pamiątek.

Skrzypiąc, piszcząc i jęcząc zegar wydzwonił szóstą...

Na ten dźwięk, pani Marya drgnęła, szarpnęła silnie za taśmę od dzwonka, a przy pomocy nadbiegłej na ten głos służącej, zaczęła się szybko... bardzo szybko ubierać...

Nie zdaje mi się szanowny czytelniku, czy pani Maryja byłaby bardzo kontenta, gdybyśmy byli świadkami tego pośpiechu... zresztą jakkolwiek sceny tego rodzaju bywają niekiedy bardzo zajmujące nawet, w tym razie jednak dośpiewajmy je sobie w duszy i przenieśmy się wprost do małego ogródka znujdującego się w Saskim ogrodzie.

Któż go nie zna?

Kto nie widział owej kobiety żelaznej w koszu zielonym na głowie, prowadzącej również żelaznego chłopaka przez ostre kamienie... biedna mama! i biedne bobo, pełnią obowiązki wodotrysku i aby uprzyjemnić publiczności picie wód, niezbyt smacznych niekiedy, używają prysznica przez cały ranek i wieczór...

Kto nie widział tej budki, w której rozmaite orkiestry przygrywały, przygrywają i przygrywać będą przyszłym pokoleniom jeszcze, któż wreszcie nie zna owego stołu długiego jak omnibus, owych kraników srebrnych, z których się ożywcza podobno, a różno-gatunkowa woda toczy, oraz uśmiechniętych karlsbadzko panienek, które Bóg raczył stworzyć na to, aby przez całe lato odkręcały i zakręcały kurki...

Wiecie zapewne, że te panienki mają uśmiech stosowny do gatunku sprzedawanej wody, i tak np. Ems podaje się z mlekiem i uśmiechem słodkim pełnym melancholji, Sprudel z płomienistem wejrzeniem, Vichy z uśmiechem wesołym, a Akwizgran z subtelnie sarkastycznym i niezwykle złośliwym...

Tam to, gdzie są najrozmaitsze wody, piękne panny i do wód stosowne uśmiechy, gdzie żelazna kobieta z lanem dzieckiem prysznicuje się przez pięć godzin z rzędu z prawdziwie turecką apatyą, gdzie są ławki nie tyle piękne ile twarde... siedział młodzieniec...

Mieliście już Hero, macie teraz Leandra.

Temu Leandrowi było na imię Józef... miał on jasne blond włosy jak len, oczy niebieskie jak niebo, oblicze pełne, ogorzałe i zdrowiem kwitnące.

Mógł mieć lat dwadzieścia kilka, a cała powierzchowność jego świadczyła, że to nie wypieszczony mieszczuch zawiędły w murach, ale silne i zdrowe dziecię wsi, zahartowane na koniu i w lesie (powiadają, że i w szkołach potrosze) z prostotą w duszy, z sercem na ustach... ot zwyczajnie wieśniak.

Zobaczył kiedyś piękną wdowę na balu, na wsi jeszcze, zachwyciły go jej wdzięki, jej twarz jak marmur kararyjski biała, rączka drobna i wypieszczona, oraz oczy czarne, co umiały błyskawice rzucać, nieopisanym urokiem poić, lub przybierać wyraz takiego smut-

u i melancholji, że omal serce nie pękało z żaı, patrząc na nie.

Ojciec Józia nic nie miał przeciwko syno ·skim afektom, wdówka była zamożna i z dorego gniazda (a ojcu o to gniazdo bardzo chodziło), — wdowa nie miała nic przeciwko teıu, żeby wyjść za młodego a przystojnego hłopca, chłopiec nie miał nic przeciwko ożeieniu się z wdową...

Ani jednego przeciwko... wszystko za.

Owszem, pan Piotr, ojciec Józia, człowiek tarej daty, a niesłychanie uprzejmy, zawsze ıawiał:

— To obraz! ta pani Marya! to obraz mój óziu... Rubensowski obraz...

— Albo? to proszę tatki, ś. p. mąż pan laryi nazywał się Rubensowski? przecież tatɔ sam mówił, że...

— Osioł jesteś, mój Józiu, przez trzy *O*..., ıąż pani Maryi był Dygasiński, porządny zlachcic co się nazywa.. ale ona, to panie)obrodzieju Madonna, Madonna przez trzy *M*, ıanie Dobrodzieju ..

Józio wysłuchał ojcowskiego objaśnienia, ı potem, gdy pisał do Warszawy, adresował: laśnie Wielmożna Maryja MMMadonna Dygaińska, JWna pani etc.

Serce młodzieńca gorzało... serce pani tliło ię, ale w tem zarzewiu drgały jeszcze iskry, :dolne wzniecić pożar straszliwy...

Kochali się, a oboje razem mieli lat blizko iedmdziesiąt podobno. Gdyby podzielić równo, wypadłoby po trzydzieści i pięć lat na ısobę, wszelako równy podział był niemożliwy...

Spotkali się na wodach, i rozpoczęła się ielanka rozkoszna...

On siłą młodości kochał, ona siłą wspomnień, ona uśmiechała się do niego, on śmiał się na całe gardło do niej, aż wróble przestraszone uciekały z grodu; orkiestra przygrywając jakąś polkę skoczną, była akompanjamentem do harmonji dwojga zgodnie bijących serc, a szmer prysznica, oblewającego żelazną kobietę z dzieckiem, usposabiał do marzeń...

W ten sposób pan Józef z panią Maryją spędzali rozkoszne poranki, a kiedy słońce złocistą głowę do spoczynku już kładło, on przychodził do niej i pili najrozkoszniejszą herbatę w świecie, herbatę wzajemnych upojeń i najmilszych nadziei.

Do takiej herbaty nie potrzeba cukru, z natury swojej ona słodka jest jak karmelek, o czem wiedzą nawet i wróble na dachu.

Miesiąc czasu potrzebnego na kuracyję pani Maryi, przeszedł jak jedno mgnienie oka, i nadszedł czas, w którym miała wyjechać na wieś do rodziców Józia.

Pociągiem towarowym wyprawiono sto kilkadziesiąt pudełek, pudeł i pudełeczek, a sama pani w wagonie pierwszej klasy powierzyła wdzięczną i eteryczną swą postać potężnej parze, która dźwignęła ją z równym spokojem i obojętnością, jakby beczkę łoju... lub worek zboża.

Z otwartemi rękami przyjmował pan Piotr kuzynkę i przyszłą swoją synowę, a Józio...

Józio sam nie wiedział, jak i czem może jej czas uprzyjemnić, przychodziło mu nawet do głowy, żeby ją zaprowadzić na jeziorka gdzie kaczek! kaczek aż się roi, chciał ją przewieźć na własnym ulubionym ogierku bułanym, ale ze smutkiem spostrzegł, że to jej nie przypada do gustu.

Mówiono często o blizkiem szczęściu i przyszłości, a pan Piotr patrząc na tę twarz białą jak alabaster, na pyszne zwoje kruczych włosów, na karminowe usta niezbyt poetyczne wprawdzie, z istotnym zachwytem mówił do siebie:

— Nieśmiertelna baba! niech ją kaczki zdepczą...

Pani Maryja mieszkała w oddzielnym domeczku stojącym na skraju ogrodu, była to altanka mieszkalna, istne pieścidełko, wśród starych kasztanów, klonów i lip na stoku góry po nad rzeczką, co srebrnem pasmem stopy tej góry plątała; wydawała się niby szalet szwajcarski, niby gniazdko ptasie, niby wreszcie świątynia letnia postawiona dla bogini miłości...

Pani Maryja żyła w tej altance jak w raju, a nigdy przez okno nawet, nie widziano jej ani w negliżyku, ani w czepeczku, lecz o godzinie 8-mej rano już się ukazywała ubrana zupełnie, jaśniejąca całą potęgą wdzięków i toalety...

Nieraz Józio rankami wzdychał pod oknem, mógłby był temi westchnieniami koła młyńskie obracać, ale wszystko napróżno... głowa ukochanej nie ukazywała się w oknie, a zielonej żaluzyi nawet sokolim wzrokiem przebić nie było podobna.

Tymczasem ostatni akt, a raczej ostatni wiersz sielanki dobiegał już ku końcowi. Małżeństwo miało położyć koniec westchnieniom Józia, a inny szereg westchnień nierównie cięższych miał się rozpocząć... na całe życie.

Pewien uczony powiedział, że szaleństwo zakochanych, jest najmilszem, najrozkoszniejszem szaleństwem.

Poczciwemu Józiowi w prostocie ducha chciało się być prawdziwym bohaterem romansu.

To też z całej duszy, życzył swojej narzeczonej, aby wpadła w rzekę, lub chociażby w studnię tylko.

Nie dlatego, żeby się utopiła, lecz, aby on mógł ją wyratować... żeby on mógł jej życie ocalić!

Takie to są potęgi miłości.

Los chciał, że Józio niebawem miał zostać bohaterem i ani się spodziewał, że sposobność ku temu tak prędko nastąpi.

Był cichy wieczór, albo raczej noc cicha, słowiki śpiewały, bzy roznosiły woń piękną dokoła, tulipany otwierały kielichy szeroko chwytając w nie rosę majową, księżyc w górze świecił, przeglądając się w strugach, a po nad strugą żaba rozsiadłszy się szeroko, otworzyła głupowate oczy, patrząc na drugą żabę, która w taki sam spoglądała sposób...

Wszystko spało, młyn turkotał, od czasu do czasu pies szczeknął, nad okolicą królowała spokojna cicha... letnia noc.

W tem dało się słyszeć jakieś trzeszczenie, nad domkiem szwajcarskim pokazał się słup dymu, potem płomień, jak pies piekielny zaczął lizać czerwonym językiem, potem ogień wzmógł się, objął dach cały, rzucił się w górę ku niebu jak bluźnierstwo zbrodniarza, oblał obłoki łuną krwawą, a wystraszone ptaki latając w falach czerwonego światła, zdawały się jakby ozłocone blaskiem...

— Gore! ogień! nieszczęście! — wołali wystraszeni ludzie.

— Wody! drabiny! siekier!!

Zgiełk nie do opisania, rzucono się do ratunku, do pilnowania budynków sąsiednich.

W oknie, które już płomienie ogarniać poczynały, zarysowała się sylwetka wystraszonej, wybladłej pani Maryi...

Józio rzucił się w ogień jak lew, jak salamandra zwijał się w płomieniach, a po chwili, opalony, okopcony dymem, wybiegł z domku, niosąc na ręku przedmiot swych marzeń i myśli...

Była w bieli... wyglądała jak duch...

Józio tuląc ją do swej piersi, biegł jak szalony, nie wiedząc gdzie i po co.

Przebiegał aleje ogrodu, upojony szczęściem, chciał ją zanieść na koniec świata może... może i byłby ją tam zaniósł, ale drogi nie wiedział...

Głos ojca wrócił mu przytomność.

Zaniósł drogi ciężar do pałacu (tak zwykle zowią rezydencyję p. Piotra) złożył go na sofie i dopiero teraz spojrzał na twarz ukochaną...

Spojrzał, zadrżał i cofnął się...

Gdzież się podziała owa piękna Maryja!? czy jej to twarz? czy do niej należą te lica zwiędłe, pomarszczone, żółte, te króciutkie i cienkie warkoczyki, raczej do trzaskawek od bicza aniżeli do włosów kobiety podobne?

Niestety, tak to ona... ale Józio nie znał tajemnic sztuki toaletowej... nie przypuszczał do jakiego stopnia kobieta odmienić się może przez brak dodatków i farb.

Wybiegł na dziedziniec i pochwyciwszy rękę ojca zawołał z rozpaczą:

— Ojcze! ojcze! jaka ona brzydka!...
— Kto?
— Maryja!
— Jesteś panie dobrodzieju osioł, przez trzy *o*, to obraz!
— Niechże ją tatko sam zobaczy.

Ojciec wszedł do salonu, spojrzał i rzekł do siebie:

— Prawda, jeszcze wczoraj był obraz, ale dziś oblazł już całkiem, panie dobrodzieju, całkiem panie, przez trzy *c*.

W parę dni potem, pani Maryja opuściła gościnny dom państwa Piotrów... do którego nie powróciła już nigdy.

Klemens Junosza (p. t. I, str. 57).

—o—

Lord D. zbieracz obrazów, mający się za doskonałego znawcę, posiadał obraz nadzwyczajnej wartości według jego zdania.

Razu jednego pokazał to arcydzieło sławnemu malarzowi, prosząc, aby wydał o nim swój sąd, przedtem jednak powiedział:

— Niektórzy utrzymują, że to nie jest oryginał, lecz kopija, ale jeśli mi kto ośmieli się jeszcze raz powtórzyć ukręcę mu głowę, jak mi Bóg miły. A teraz kochany przyjacielu, wyjaw mi otwarcie swoje zdanie w tym względzie!...

—o—

Pod obrazem Tassoniego,

który się kazał odmalować z figą w ręku.

Pytasz, po co ten figę w ręku swoim ściskał?
Całe życie pracując, to u dworu zyskał.

Ignacy Krasicki. (p. t. I, str. 5.)

Obrazek.

— No, jak się macie Panowie!
— A, pan Goldensack, witamy.
I cóż tam słychać w Krakowie?
Jak tam idą pańskie kramy?
— No, dobrze, przez pięć miesięcy,
Za romans „Pantofle krwawe"
Zebrałem ze sześć tysięcy
Ja proszę panów na kawę!
— Nie, nie, dziękujemy pięknie.
— Co, dziękujemy! Dla czego?
Człowiek od kawy nie pęknie.
— To chodźmy do Kosteckiego..

. . . .

— Dać tu cztery kawy białe!
I różnych ciastek na tacę!
— Dla nas trzech, małe! — Co? małe!
Duże dać kawy! Ja płacę!

Rodoć.

Obserwacyja.

Każdy wiek maluje swój charakter nie tylko przez dzieła uczonych i artystów, ale i przez zwykłe wyroby fabryczne.

W epoce giętkich karków i sumień, przemysł nasz wyrabia gięte meble.

Oburzenie.

Rzecz dzieje się przy stole.

Mąż wściekły, że gęś twarda, rzuca ją o ziemię.

Obrażona żona w płacz.

— Ach, tego już za wiele, jak się rozgniewasz, nie ma u ciebie nic świętego!

Obyczajów czystość.

Ludwik XII utrzymywał, że nie ma dość wysokiej ceny za cnotę kobiet, lecz gdy mu się następnie dobrze we znaki dały kaprysy i wyniosłość charakteru cnotliwej jego małżonki Anny Bretańskiej, mawiał często z westchnieniem:

— Oh! jakże drogo kosztuje czystość obyczajów w kobiecie.

(*M-me de Lambert, Oeuvres*),

—o—

Henryk IV, król Francyi, nie tail się ze swą skłonnością dla Katarzyny de Rohan, późniejszej księżny de Deux-Ponts; odpierała go ona zwykle następnemi słowy:

— Za ubogą jestem, Najjaśniejszy Panie, na twoją małżonkę, a za dobrze urodzoną na twoją kochankę.

(*Dictionnaire d'anecd.*)

Ocena literacka.

Pani marszałkowa de Duras, uchodziła po wszechnie za wielką protektorkę sztuki i literatury.

Pytana raz, co najbardziej ocenia w pewnym poecie, który jej wszędzie towarzyszył, odpowiedziała:

— Ach! on tak świetnie umie podawać rękę.

Ocena sumienia.

Poeta Hamédi-Kermani grał z Tamerlanem w jakąś grę, która polegała na tem, że się powinni byli nawzajem oszacować według wartości pieniężnej.

— Ja cię szacuję na trzydzieści *asprów*, — odezwał się pierwszy poeta.

— Ho, ho, moja serweta do obcierania ust warta tyle... — odpowiada Tamerlan.

— To też włącznie z serwetą — dodaje niezdekoncertowany Hamédi.

(*Chaumette, Mémóires.*)

Ochotnik.

Uśmiech twój wciąż serca rani,
Wzrok twój serca wciąż popieli,
Więc posiadasz, piękna pani,
Całą armję... wielbicieli!

Ja też wielbię twoją postać
Równą zorzom podobłocznym,
I w twem wojsku chciałbym zostać
Ochotnikiem... jednorocznym!

H. Ćwiek.

Oda.

. . . .

Człowieku!
Ty co się w dziewiętnastym urodziłeś wieku,
Który parę jak osła zaprzęgasz do woza,
I dynamitem strzelasz, aż przejmuje zgroza,
Ty co potrafisz wagę obliczyć planety...
Drżysz jednak pod pantoflem wszechwładnej [kobiety...

. . . .

Kobieto!
Dla ciebie świat wymyślił handel okowitą,
Dla ciebie rolnik pługiem czarną ziemię grz[bie,
Przemysł jedwabne szaty tka w krosnach d[ciebie,
A ty jak zefir lekka i jak trzcina słaba...
Wodzisz jednakże za nos największego dr[ba!!!
O! ty słaba!!!

* *Oda do... chałata.*

I.

Wstęp, w którym autor, malując rozkosznie zalety bohatera, stroi swą lirę złotostrunną.

O, ty dziurawy i wytarty kałem
Z zapachem śledzia — ulika,
Co ladajaki człek z wielkim zapałem
Ciebie w potrzebie dotyka.
Dziś na cześć twoją, powiewny chałacie,
Wieszcz lekką odę układa,
A czyniąc respekt nie jak zwykłej szmacie
Śmieje się, jęczy i biada.

II.

Tu czytelnik dowiaduje się o uczuciach własnych, w chwil zasięgania tak zwanej za pozwoleniem pożyczki.

Tam, kędy szlaki rozkoszy się kończą,
Na tym mizernym padole,
Tyś mile wtedy widzianą opończą,
Rozpędzasz chmury na czole;
Albowiem z wnętrza twojego syn Judy,
Dobywa skarby swe po to,
By się pocieszył wszelaki człek chudy,
Patrząc na srebro i złoto.

III

Opis, jako wszystko jest doczesnem i bohater staje się niewdzięcznym opiekunem, zakłócającym spokój ogólno-domowy.

Lecz, kiedy potem, mimo świetne czasy,
Człek wszystko straci do nitki,
I syn ów Judy wyprawia hałasy,
Chałacie, wtedy tyś brzydki.

Po co się zjawiasz i marne rewersa
Przed ludzkiem kładziesz obliczem,
I przypominasz owo vice versa,
Że ten, kto czemś był -jest niczem!

IV.

Jako człek przeciętny może być poetą lirycznym; słówko o niewdzięczności tłumów i o wesołej trójcy okolicznościowej.

Haniebny smutek wnosisz znów do domu,
Słychać zgrzytanie i jęki,
Komuż ma wtedy człek się żalić, komu
Nutą lirycznej piosenki?
Jeden, jedyny, ty chałacie wtedy,
Znając podobne przypadki,
Wchodzisz tych pieśni posłuchać niekiedy
Ty, pan komornik i świadki.

V.

Przedmiot górno-poetyczny, jakoteż refleksyje autora nad tem, jako bohater staje się rzeczą wyższą.

Nieraz, gdy myśli topię swe w zadumie,
Kroplistych lejąc łez wiele,
Myślę, dla czego ty chałacie w tłumie
Zawsze i wszędzie na czele?
Czy na salonach, czy pod strzechą niżej
Wśród życia sztucznych świecideł,
Ty się wciąż wznosisz po nad wszystko wy-
[żej,
Choć niemasz serca i skrzydeł.

J. Waśniewski. (p. t. I, str. 30).

Odciski.

Być niezgrabnym śród ludzi,
To nie miła rzecz wcale:
Próżno człowiek w zapale,
Bawić innych się trudzi;
Bo gdy patrząc najtkliwiej,
Gdy do kogo się zbliża,
Ten boleśnie się krzywi,
Jakby zdjęty był z krzyża,
I — fatalność to droga —
Wrzeszczy gardłem swem całem:
— Aj, odciski, dla Boga.
— Przepraszam, nie widziałem.

—o—

— Jakże pan się dziś czuje,
Po wczorajszej aferze?
Niech pan za złe nie bierze,
Czy to kpiny, czy żarty,
Lecz ktoś mówił mi zrana,
Że przy jakiejś grze w karty,
Złapano na czemś pana;
Że powstała ztąd trwoga,
Że grożą kryminałem...
— Aj, odciski, dla Boga!
— Przepraszam, nie widziałem.

—o—

— Mało mamy dziś ludzi,
Z taką, jak pan naturą,
Biednym tysiąc dać z górą!
To dla pana cześć budzi,
Czegóż ludzie nie plotą!
Gadał jeden i drugi,
Że pan wdowę z sierotą
Zlicytował za długi;
Że dziś z głodu nieboga,
Mrze z dziecięciem swem małem...
— Aj, odciski, dla Boga!
Przepraszam, nie widziałem.

—o—

— Kto do pani się zbliża,
Tego w oczy wdzięk kłuje;
Pewnie krocie kosztuje,
Pani suknia z Paryża?
Lecz małżonek dobrodziej,
Chudy, zgięty we dwoje;
On podobno się głodzi,
By starczyło na stroje.
Wierzę — kuchnia tak droga —
Trzeba przestać na małem...
— Aj, odciski, dla Boga!
Przepraszam, nie widziałem.

—o—

Dałbym życia połowę,
No i wdzięczność do grobu,
Za wykrycie sposobu,
Jak prowadzić rozmowę!
Bo choć głoszę zalety,
Pochwał wcale nie skąpię,

Zawsze komuś, niestety,
Na odciski nastąpię —
I patrząc jak na wroga,
Ten drze się gardłem całem:
— Aj, odciski, dla Boga!
— Przepraszam, nie widziałem.

Odczyty.

I.

* *O miłości czyli natężeniu.*

(Wrażenie krzesła Nr. 187.)

Co tu panien, wdów, mężatek i rozwódek co tu nierozwiniętych jeszcze zupełnie pączków...

Doprawdy, aż zazdrościć warto można sąsiadom, których ugniatają swym ciężarem te osóbki, podczas gdy na mnie usadowił się jakiś gruby jegomość, ważący prawie tyle, co półtorej mamy, albo dwie ciocie w karnawale...

Jużbym wolało nieść (krzesło jest rodzaju nijakiego) na swym grzbiecie samego prelegenta.. Niewielkie to bowiem, choć może silne chłopię, o jasnym utrefionym wąsiku i bodaj czy nie upudrowane...

Co ono też powie?..

Słuchajmy!..

— Panie i panowie!..

Jak dotąd wcale nie źle, prelegent jest grzeczny i to mu się chwali, piękne twarzyczki zwracają się ku niemu z uśmiechem...

Odczyt rozpoczyna bajka, wcale ładna, bajka, którą napisał pan Józef Korzeniowski, a której prelegent nauczył się na pamięć.

Co to za pojętne chłopię...

Powiada, że w owej bajce, piękna królewna choć miała trzech pięknych królewiczów, nie wybrała żadnego...

Panienki zaczynają się marszczyć, nie mogąc pojąć, dla czego panna królewna, nie chciała, kiedy mogła, zrobić tak dobrej partyi...

Z krzesła po za mną odzywa się głos widocznie jakiejś mamy.

— Nie słuchaj, Ziuniu...

Ba, ale jakże tu nie słuchać, kiedy pan prelegent gada jak najęty.

Powiada on, że królewna nie wybrała żadnego, bo żadnego nie kochała (w tem miejscu pewna rozmarzona szatynka z oczami o barwie fal morskich, telegrafem składa podziękowania prelegentowi)...

„Gdyby królewna kochała, toby wybrała, a ztąd wynika, że do miłości potrzebnym jest wybór!!"

Głos z prawej strony protestuje w słowach:

— A nie prawda, bo chłopiec!..

Prelegent nie zrażony tem poprawia włosów (bodaj czy nie ufryzowanych) i wygłasza wielką prawdę:

„Do miłości potrzeba koniecznie mężczyzny i kobiety, dwóch zasad, z których jedna jest silna, a druga słaba i miękka...

Miłość polega na natężeniu wrażenia, gdy nie ma natężenia, to nie ma i miłości!"

Parę rozwódek wzdycha, nie wiadomo dla czego, jedna wdowa przykłada chustkę do oczu, co znowu z kolei mocno dziwi podlotków...

„Natężenie wrażenia — grzmi dalej prelegent — bywa rozmaite, i w chwili gdy słuchamy głosu pieszczonego, i gdy dotykamy rączki małej, i we śnie... Natężenie to daje sny miłe."

Gruby jegomość, siedzący na mnie, zaczyna śmiać się półgłosem, aż się cały trzęsie, co do mnie jestem zdania, że natężenie wrażenia, jakiego w tej chwili doświadczam, wcale dla mnie miłe nie jest.

Co do kobiet, prelegent nic nie powiedział, jakie im skutki sprawia natężenie wrażenia w dzień, jakie wieczorem, widocznie, iż o tem zapomniał, bo niepodobna przecież, żeby o tem nie wiedział.

Takie przystojne chłopię!

W każdym razie musi to być wrażenie inne niż u mężczyzn, bo wszakże kobieta:

„jestto istota o formach i konturach zaokrąglonych, miękkich, organizmie słabym,

długich włosach i cienkim głosie, podczas gdy mężczyzna ma włosy krótsze i głos gruby!..

„Dla płci żeńskiej miłość jest ostatecznym celem, a dla mężczyzn nie jest ostatecznym, bo nim jest bohaterstwo."

Tak powiedział prelegent, a słuchali go i to wcale chętnie i owe lalki o głosie cienkim i indywidua o głosie grubym... Tylko mój gruby jegomość śmiał się...

Czegóż on się śmiał!..

Jam odetchnęło!.. (NB. krzesło...)

O dzięki ci prelegencie, za to żeś skończył... i za to, że dałeś mi sposobność zobaczenia tyle ładnych panienek, odtąd, gdy będę chciało zobaczyć również tyle i równie ładnych panienek, to poproszę, żeby kto znowu coś powiedział o... miłości. .

Na nic albowiem tak łatwo wziąć nie można, jak na miłość...

Zwłaszcza, jeżeli z prelegenta przystojne chłopię.

Z uszanowaniem

Krzesło Nr. 187.

* *Odczyt popularno-naukowy doktora Sulfuryjusza o mineralogii:*

„W obecnych czasach, ludzie dzielą się na takich, którzy miewają odczyty, i takich, którzy je słuchają; ponieważ liczba ostatnich jest mniejsza, wolemy zatem należeć do pierwszych.

Mineralogija, o której traktować będzie nasz odczyt, jest nauką o kamieniach i metalach; naturalnie przedmiot to dosyć suchy, gdyż w ogóle kamienie mają mniej wilgoci, aniżeli zwierzęta i rośliny. Minerały dzielą się na szlachetne i nieszlachetne, stosownie do celów jakim służą, i na ciężkie lub lekkie, stosownie do swej wagi. Do szlachetnych metali należą: Złoto, srebro, żelazo i kamienne dzbany miarowe służące do trunków; do nieszlachetnych zaś: nikel, miedź, naczynia nocne i kamienie brukowe. Jeden z najlżejszych kamieni jest kamień kropla, który przy obfitych deszczach, a braku dostatecznych parasoli, całkiem niknie i dla tego jak sama nazwa jego wskazuje ma najmniejszą moralną wartość; najcięższym zaś jest ten kamień, który spada ludziom z serca, ilekroć uwolnią się od wielkiej troski. Całe życie ludzkie obraca się pomiędzy kamieniem do chrztu, zwanym chrzcielnicą, a kamieniem grobowym. Przy chrzcielnicy w najnowszych czasach nazwanej także księgą stanu cywilnego, człowiek dostaje imię; potem często dodają mu przydomek, kto sobie zaś nie zrobił żadnego imienia w historyi, tego imię figuruje przynajmniej na nagrobku. Do familji kamieni zaliczyć też można „Kamiennego gościa," czyli marmurowego rycerza, któren za szczególne umiłowanie płci niewieściej nazwany także bywa: „Don Żuanem." Kamienie młyńskie są te, które najlepiej byłoby zawieszać u szyi niewdzięcznym dzieciom. Najbliżej spokrewniony z młyńskim kamieniem jest „Kamień - Domino," którego łatwo poznać można po licznych oczach. Do najważniejszych kamieni należą kamienie graniczne, które się często przenoszą, tak, że prawa ustanowić musiały osobne kasy za te zmiany miejsca. Do najrzadszych kamieni zaliczają się kamienie milowe, ze względu na odległość jednego od drugiego. Bardzo chudy i suchy jest kamień piaskowy, używają go najwięcej do kościołów i ratuszy, gdyż przez zetknięcie z dłutem przybiera łatwo gotyckie kształty. Kamienie narożne, bywają najczęściej wilgotne, co ma związek z obyczajem naśladownictwa panującym tak samo u psów, jak i u ludzi. Nader użyteczny i lubiany dla miłego i długotrwającego ciepła jakie nam daje, jest kamień do wygrzewania, inaczej zwany także kamionką do łóżek, zaleca się szczególniej w zimie tym, którzy w zimnie sypiają; kontrastuje z nim bursztyn przyjemny dla palących, nazwany inaczej morską pianą. Szczególniej uzdrawiający jest kamień piekielny; do wydobycia takowego powinni być używani murzyni. Bardzo pożywny jest kamień szlifierski, bo wiele familji z niego żyje, szli-

fując ostre narzędzia. Od początku świata napróżno dotąd poszukiwany był i jest, kamień mądrości; za to najłatwiej spotkać można kamień ogłupienia.

Rzućmy jeszcze przelotne spojrzenie na metale; spotkamy się najprzód, (niestety, rzadziej, niż by tego pragnęła większa część ludzi), ze złotem. Złoto, jest metalem szlachetnym, jakkolwiek zapewnia nas Robert Djabeł, Mejerbera, że właściwie jest ono tylko chimerą! I „nie wszystko jest złotem co się świeci.” W dzisiejszych czasach przy ogólnej niwelacyi, każdy dojść może do *korony*, za kilka rubli mieć można nawet podwójną czyli *dubeltową koronę*. Ponieważ *milczenie jest złotem*, członkowie sejmu mogliby sobie najlepiej, poradzić w kwestji djet, gdyby mówili mało, albo wcale nic. Srebro nie jest tak rzadkie jak złoto, dla tego też ma mniejszą wartość; najczęściej widzimy go w łyżkach różnego rodzaju, t. j. dużych, małych, wazowych i t d. Srebro, które jest niespokojne, nazywa się żywem srebrem; gdy w niem jest mało srebra nazywa się *chrystofl*, gdy go nie ma wcale: nazywają go mosiądzem. Ołów jest metal brzydki i podły; jednakże dla swej ciężkości uważany bywa za jeden z pierwszych metali, ponieważ „każden *początek* jest ciężki.” Żelazo jest tym metalem, który zmieszany z krwią, tworzy bardzo dobrą politykę; zahartowane żelazo nazywa się stalą, z której wyrabiają armaty i stalki do pisania.

Resztę zostawia się do następnego odczytu.

* *Odezwa od Szekspira do jego komentatorów warszawskich.*

Zacni panowie, bardzo mi jest miło, że moje dzieła analizujecie, jednakże o tem co z was każdy plecie, mnie przy pisaniu ani się nie śniło.

Ja miałem twórczość, a więc jak najprościej głosiłem prawdy z myślą nieukrytą, a wy zaś chcecie nie mając twórczości, ciągnąć mą skórę na swoje kopyto.

To całe szczęście, że w obecnej chwili, j już nie żyję, i nie mogę ożyć, bo byście pew nie wszyscy mnie uczyli, zkąd brać ma wzory, co pisać, co tworzyć?

Jaka jest moja wada lub zaleta mnie sza! — to zdanie tylko mnie dotyka, że grze aktora, który gra Makbeta, winna by duma, nie zbrodniczość dzika.

Zgadzam się na to jedynie w połowie, przy puśćmy bowiem na czysto, że gdyby Makbe kochani panowie, był kreaturą w świecie rze czywistą, to w tej epoce, w której ja go miesz czę, gdzie się ambicyja środkami nie zraża gdzie i król nie był wykształconym jeszcz nie miałby Makbet dzikości zbrodniarza.

Podobną dzikość w grze pochwalić można bo prawda na niej zupełnie korzysta, a jeś aktor gra sztucznie z ostrożna, nie jest t Makbet, lecz tylko... artysta.

Sądząc z dzisiejszych waszych wyobrażeń wyrosłych często na gruncie jałowym, świa by Kaina nazwał chciwym wrażeń, albo czło wiekiem bardzo salonowym.

Jezeli Makbet nie był zbrodniarz dzik w takim wypadku (choć to rozum gani), dzi cy Atyle albo Alaryki, byliby ludzie dobrz wychowani.

Więc z was panowie każdy się załapał chcąc Makbetowi dać dzisiejszą minę, b w grze Makbeta więcej cenię zapał, niż dy ktowaną przez panów rutynę.

...Podpisano Szekspir.

P. R. Na dowód zupełnej naszej bezstronności, zamieszczamy ten list najznakomitszego dramaturga, przysłany nam z tamtego świata.

Odjazd nieprzewidziany.

Karl Van Garten z Amsterdamu, malował w swojej pracowni. Wchodzi jego przyjaciel, powiada mu, że odjeżdża i że przyszedł się z nim pożegnać. Malarz jak stał w szlafroku odprowadza gościa do drzwi, wprost których oczekuje łódź.

— A gdybyś mi towarzyszył do statku — nalega przyjaciel.

— Jakto w szlafroku?

— Co tam, będzie ci cieplej..

Odbijają od brzegu, rozmowa ożywia się coraz bardziej, Pan Garten wchodzi na pokład i odpływa, licząc na to, że go pierwsza lepsza łódka z drogi zabierze.

Tymczasem nie napotykają żadnej, zresztą kapitan nie chcąc się wcale zatrzymać, przybywają do Livorno.

Pan Garten zachwycony widokiem Włoch zostaje.

I żona malarza oczekująca męża swego z obiadem, nie doczekała się go już nigdy, ponieważ zmarł w Wenecji w 1678 r.

A. M.

Odmiana.

Nowo uszlachcony N. kazał sobie zgolić brodę, a zapuścił faworyty, i tak się przez to odmienił, że sam swoich najbliższych krewnych nie poznaje!

Flieg. Bl.

* *Odpowiedź spóźniona.*

Miałem raz jedną szczęścia chwilę,
Chwilę rozkoszną, lecz zbyt krótką,
Patrzałaś na mnie dziwnie a mile,
Siedząc cichutko.

Ja byłem wtenczas tak wymowny!
Tyś mię słuchała pieszcząc pieska,
Na ustach uśmiech wykwitł czarowny,
A w oku łezka.

Mówiłem wiele w upojeniu,
Miłością brzmiało każde słówko,
A tyś tonęła w słodkiem marzeniu,
Z schyloną główką.

Widziałem serca twego bicie,
Widziałem w wzroku wzruszeń tyle...
Ach jeszcze dzisiaj oddałbym życie
Za taką chwilę!

Wyznałem moją miłość całą,
Czekając, co mi powiesz sama,
Nie wiem, co wtenczas ze mną się działo...
W tem weszła mama!

Ja się zmięszałem, tyś się zlękła,
I odtrąciłaś rączką pieska,
Pierzchła odpowiedź — i w locie pękła
Bańka niebieska.

Potem ubiegło czasu wiele,
Czekałem długo na odpowiedź,
Aż usłyszałem w jedną niedzielę
Twoją zapowiedź.

El...y

—o—

Panna. Co też pan masz *dochodu?*

Kawaler. Nogi, dwie pary butów i pięć skarpetek.

—o—

— Co to jest prawo? — spytano raz Solona.

— Prawo — odpowiedział — jest to przędza pajęcza, w której giną małe muchy, gdy tymczasem duże przebijają ją i uciekają.

—o—

W pewnym dzienniku znajdowało się jednego dnia następujące ogłoszenie:

„Ten pan, który znalazł woreczek z pieniędzmi na Długiej ulicy, proszony jest o odesłanie takowego pod wskazany adres, gdyż był widziany i poznany, gdy podnosił tę zgubę.”

W parę dni potem tenże dziennik umieścił ogłoszenie z następującą odpowiedzią:

„Ów poznany pan, który znalazł na Długiej ulicy woreczek z pieniędzmi, prosi tego, który go poznał, o odebranie owej zguby z mieszkania znalazcy.”

Flieg. Bl.

—o—

Fontenel uśmiechał się niekiedy, ale nigdy nie śmiał się głośno; gdy raz zapytano go o przyczynę tego, odpowiedział:

„Nie czułem nigdy potrzeby robienia jak inni tego: Ha, ha, ha!"

Inaczej nie rozumiał śmiechu.

(*Enc. Anegd.*)

—o—

Pewnego poranku chłopcy, zamiast się ubierać, biegali w koszulach goniąc się i dokazując. Ojciec rozgniewany wbiegł do pokoju.

— Ach łotry — zawołał — dokąd będziecie chodzić w koszulach?

— Do końca życia proszę ojca — odrzekł najśmielszy.

—o—

Żebrak. Ach! Litościwy panie zmiłuj się nad moją nędzą; głodny jestem; aby na kawałek chleba!"

Pan ze złością. „Znowu! Cóż to u licha za natręctwo! Czy nie wiesz, że niewolno żebrać."

Żebrak. Tak, wielmożny panie! Ale głód nie może uważać na zakaz! Żebractwo wprawdzie jest zabronione, ale dawać nikt nie zakazał!"

—o—

Nauczyciel. Kto stworzył świat?

(*Uczeń pytany, nie uważał na pytanie, gdyż w tejże chwili trąciwszy w kałamarz zrzucił go i atrament wylał się na podłogę*).

Nauczyciel. No dalejże — odpowiadaj — kto?

Uczeń. (zaambarasowany) Ja panie profesorze, ale już nigdy tego nie zrobię.

—o—

— Proszę taty co to jest zawracanie głowy — mówiła siedmioletnia dziewczynka.

— Zaraz ci wytłómaczę — powiedział, śmiejąc się ojciec. — Jeśli naprzykład mama mówi że mię kocha, a zapomni przyszyć guzików do koszul, to to jest zawracanie głowy.

—o—

Profesor do uczennicy, która nie odpowiada.

— Czy pytanie wprawia panią w taki kłopot?

— O, nie pytanie, panie profesorze, tylko odpowiedź.

—o—

Pewien hrabia dumny ze swych antenatów znalazł się razu pewnego na obiedzie w towarzystwie bankiera żyda.

Obrażony tem w jego przekonaniu nieodpowiedniem towarzystwem, zwrócił się z rozmową do jakiegoś innego panka i nie opuścił sposobności by o żydach nie powiedzieć coś lekceważącego. Rozmowa zaczęła się o Turcji.

— Czytałem o tym kraju bardzo wiele — mówił hrabia — i sympatyzuję z Turkami z powodu, że oni na równi ze mną dwóch gatunków stworzeń nie cierpią.

— Jakich to stworzeń — spytał sąsiad hrabiego.

— Osłów i żydów — odrzekł hrabia, rzucając drwiące spojrzenie na bankiera.

Całe zgromadzenie milczało zakłopotane, żyd zaś podniósł się z krzesła i klepiąc poufale po ramieniu hrabiego rzekł:

— Co za szczęście, że tak pan jak ja w Turcyji nie mieszkamy.

—o—

Sławny artysta dramatyczny *Odry* został razu jednego na ulicy Richelieu, napadnięty przez hultaja, który grożąc zawołał:

— Pieniądze, lub życie! (La bourse ou la vie).

Nie tracąc przytomności umysłu Odry odpowiedział:

— Bursa jest w trzeciej ulicy na prawo Co zaś do życia, to radzę ci zmień je.

—o—

— Panie Karolu — rzekł niby dowcipny pan X. — nie wiesz pan ile jest dwa razy trzy?

— Dwa razy trzy? 60, dodawszy pana na końcu.

—o—

Mąż kłócąc się z żoną oświadcza jej, że „nie warta nawet, żeby ją djabli wzięli."

— No!—woła żona—chyba więcej jestem tego warta, „niż ty!"

Odwaga.

24-go lutego sypią się kule w okna ratuszowe, oraz na ochotników, broniących rządu tymczasowego. Pan de Lamartine wychodzi; kilku gwardzistów narodowych, kilku uczniów szkoły politechnicznej, kilku dzielnych obywateli walczy zażarcie z napastnikami: — Lamartine jest zdrajca! — Nie słuchajcie Lamartina! — Precz ze zwodzicielem!—Na latarnią ze zdrajcami!—Głowy! Głowy Lamartina! — Krzyczy ta hałastra, której broń widząc ku sobie skierowaną, odtrąca ten dzielny człowiek, wołając:

— Głowy mojej chcecie!—obywatele! oh! czemuż nie macie jej wszyscy w tej chwili na swoich karkach!—bylibyście spokojniejsi i rozważniejsi!"

Na te słowa przekleństwa zamieniają się w wybuchy śmiechu, a pogróżki śmierci na uściski rąk.

(Docteur Péron, *Mémoires d'un bourgeois de Paris.*).

Odwiedziny.

W pewnej kawiarni pokłóciło się w południe dwóch młodych ludzi, wieczorem jeden z nich napisał na drzwiach mieszkania drugiego „Łajdak." Przeczytawszy to, oburzony młodzik pobiegł do mieszkania swego przeciwnika. Służąca mu powiedziała, że pana nie ma w domu i podała mu papier i pióro, prosząc żeby napisał, jaki ma interes. — Eh! nie potrzeba — odrzekł młodzieniec — powiedz tylko swemu panu, że zobaczywszy na moich drzwiach jego nazwisko, przyszedłem mu oddać rewizytę!"

Oficer.

Po weselu.

(Wspomnienia oficera.)

Dzięki patryjarchalnym zwyczajom, jakie dozwolone są na wsi, bardzo wcześnie rozeszło się towarzystwo.

Niemal każdy przystąpił do mnie i do mej słodkiej żonki, by uścisnąć dłoń naszą; jedni z szelmowskim, inni z głupkowatym uśmiechem; ci z powagą urzędową, która wyglądała jak dowód obrazy, a owi z niesmaczną poufałością, która była nawet niedyskretną.

Jenerał S. i prefekt, obaj starzy przyjaciele domowi, zatrzymali się przy zielonym stoliku nieco dłużej niż reszta; a mówiąc szczerze, mimo wielkiej sympatyi dla obu tych panów, złorzeczyłem im w duchu. Tak drażliwym byłem tego wieczoru.

Działo się to — wnet byłbym zapomniał powiedzieć — w sam dzień mojego wesela. Byłem w rzeczy samej nieco zmęczony. Od południa uśmiechałem się bez przerwy. Nadto dzielny proboszcz wiejski, który dopełniał aktu ślubnego, porównał mię, w swej zresztą pięknej mowie, ze świętym Józefem; a porównania takie mają w sobie coś niesmacznego, zwłaszcza dla rotmistrza.

Ze swej strony zaś mer, który był tak grzeczny, że przyniósł swe olbrzymie księgi do zamku, na widok prefekta, nie mógł się oprzec pokusie wzniesienia toastu na cześć cesarza.

Przy wyjściu z kościoła wystrzelono mi tuż nad uchem z kilku strzelb i wręczono olbrzymi bukiet.

Wreszcie, mówiąc w sekrecie, od ósmej godziny rano miałem na sobie kamasze, które były nieco za szczupłe; a w chwili, gdy się zaczyna moje opowiadanie, mogło już być po północy.

Rozmawiałem z każdym, tylko nie z moją uroczą żonką, od której jak się zdawało, umyślnie mię odsuwano.

Raz tylko, gdyśmy szli przez przedpokój, ukradkiem uścisnąłem jej rękę. A i ta drobnostka wywołała u teściowej octem i solą zaprawione spojrzenie, które mi przypomniało żelazną rzeczywistość.

Jeśliś ty, szanowny czytelniku, przebył już przypadkowo ten dzień pełen znaczenia, to zgodzisz się ze mną, że nigdy w życiu nie

jest się tak czułym i drażliwym. Cóż odpowiesz stryjom, którzy cię ściskają; ciociom, które czepiają się twego krawatu i płaczą przy tobie; wszystkim rozpromienionym obliczom, które się gromadzą w około ciebie, wszystkim tym oczom, które cię biorą na cel przez godzin dwanaście; wszystkim tym objawom czułości, których sobie wcale nie życzyłeś, a które przecież wymagają serdecznego wywzajemnienia się?

Na schyłku takiego dnia poczyna serce zaprawdę słabnąć.

Mówi się wtedy do siebie: czy się to raz skończy? czy jest jeszcze łza do osuszenia, kompliment do przyjęcia, szczera dłoń do uścisku?

Czy wszyscy zadowoleni?

Czy dość się napatrzono młodemu panu?

Czy widziano się i słyszano poddostatkiem? Może kto chce jeszcze czego? Czy mogę już myśleć o swem szczęściu, o kochanej, czułej żonce, która... czeka na mnie z twarzą ukrytą w poduszce?.. Która czeka na mnie! — To jak błysk przeleci przez głowę, nie myślano wcale o tem: przez cały dzień pozostała w ukryciu ta świetna strona uroczystości...

Ale godzina się zbliża.

W tej chwili rozwiązują się może z lekkim szelestem jedwabne tasiemki jej sukni weselnej; rumieni się; jest wzruszona; nie śmie spojrzeć w zwierciadło z obawy, by nie ujrzeć swego zmieszania.

Ciotka i matka, kuzynka i serdeczna przyjaciółka otaczają ją z wesołym uśmiechem, prześcigają się w rozpięciu taśm, zdjęciu gałązek mirtowych z włosów i w odebraniu ostatniego całusa.

Dobrze!

Wtem znajdują znowu uszczęśliwienie w płaczu; osuszają sobie łzy, ściskają się, matka szepce córce do ucha słów kilka, mówi o przyszłości, o jakiejś ofierze, o świętych obowiązkach, o potrzebie, o posłuszeństwie, i w te proste, ale dobrze obmyślane słowa, poddaje coś, co jak nadzieja liczy na pomoc nieba, na pomyślne zjawienie się gołąbka, który mógł przecie być ukryty w wazonkach.

Biedne dziecko z tego wszystkiego rozumie nie wiele.

Czuje tylko, że się stanie coś niezwykłego, że jej narzeczony, gdyż nawet w myśli nie śmie go nazwać inaczej, przybędzie jako zwycięzca, by zwrócić do niej cudowne słowa, których wyczekiwanie wystarczy już, by zadrżała z niecierpliwości, a także ze strachu. Słowa!.. Czy tylko słowa? Biedne dziecko nie mówi nic; drży, płacze, trzęsie się jak kura na grzędzie. Ostatnie napomnienia matki, ostatnie pocałunki rodziny huczą jej w uszach, ale naprożno się trudzi, by zrozumieć je. Jej rozum, gdzie jej biedny rozum? Nie wie tego, wie tylko tyle, że go już niema. Jak młody żołnierz, który z początkiem pierwszej walki otrzymał rozkaz, by nie zbił szkła od zegarka, nie jest w stanie takich rad słuchać, a tem mniej rozumieć.

Położenie obecne odbiera jej wszelkie myśli.

Może myśli w tej krytycznej chwili o spokojnej ciszy wiejskiej, o kurku na kościele; może nieoznaczona woń prochu wnika do jej drżącego noska i każe pod białą koszulką bić sercu raczej z odwagi aniżeli z obawy. Kto wie: w skórze młodego rekruta był już nieraz bohater wojenny.

— Kapitanie — rzekłem sobie — ileż rozkoszy jest w tem zamieszaniu, bo ona cię kocha! Pamiętasz ty jeszcze ów pocałunek, który pozwoliła sobie ukraść, gdy przybyliście z kazania opata, który kazał tak po mistrzowsku? A te uściski rąk, te tajemne spojrzenia... Szczęśliwy kapitanie! Ocean miłości cię zaleje; oczekuje cię, zwodzicielu, Don Juanie, bożyszcze!

I gryzłem ze złości swe wąsy, jak szalony zdjąłem rękawiczki, by je zaraz wdziać na nowo, chodziłem zamaszyście po małym saloniku i ustawiłem odpowiednio zegar, zdobiący kominek...

Krótko mówiąc, nie miałem nigdzie spokoju.

Ach, znałem już to uczucie zdawna, z owych dni, gdy zapowiedziany był szturm na Malakowa!

Nagle zwrócił się ku mnie jenerał, który się jeszcze nie załatwił z przeklętym stolikiem i rzekł:

— Co ci brakuje, panie Edwardzie?.. Panie prefekcie, pan dajesz...

— No, panie jenerale — odrzekłem nieco dotknięty — nie chcę kłamać... Jestem nieco nerwowy i..

— Król, dama i cztery atuty. Kochany przyjacielu, nie masz dzisiaj szczęścia — rzekł jenerał do prefekta.

Następnie nie bez trudu wygładził białą kamizelkę na okrąglutkim tułowiu i schował do niej kilka luidorów, które leżały na stole. Potem, mnie sobie przypominając:

— W rzeczy samej, mój biedny Edwardzie, myślisz może dotrzymać nam towarzystwa? Zresztą już późno, a mamy dobre dwie godziny drogi do C. Zaiste, to my ostatni!..

Później chwycił mię za ramię i szepnął do ucha:

— Wiesz co, kochany panie rotmistrzu, teraz już wielki czas, abyś dowiódł, że należysz do dwudziestego pułku? Do krocset fur beczek!

I wybuchnął głośnym śmiechem.

— Ha, ha, panie jenerale!.. Dobranoc, panie jenerale! W tak ważnych dniach jest się nader głupim.

Mój przełożony oddalił się.

Widzę jeszcze przed sobą jego tłustą szyję, która ponad wojskowym kołnierzem tworzyła gruby wałek mięsa! Słyszałem, jak siadł do powozu. Śmiał się jeszcze ciągle. Mogłem go był wypoliczkować.

— Nareszcie! — rzekłem do siebie — nareszcie!

Mechanicznie spojrzałem w lustro; byłem zerwony jak róża, a moje kamaszki, wstydzę się do tego przyznać, żenowały mię nadzwyczaj. Byłem wściekły, że ta głupia rzecz w takiej chwili musiała zwrócić mą uwagę. Ale cóż miałem robić? Postanowiłem sobie być szczerym i dla tego opowiem wam całą prawdę.

W tej chwili wybiła pierwsza i weszła moja teściowa. Jej oczy były zaczerwienione, zdjęła rękawiczki i palcami targała chustkę, która jak się zdało, była nadzwyczaj mokrą.

Pierwszy mój ruch na jej widok był ruchem niecierpliwości. Rzekłem sobie:

— Ta mi zabierze znowu najmniej dwadzieścia minut.

W samej rzeczy pani C. padła na kozetkę, chwyciła moją rękę i wybuchła płaczem.

I tak pośród łkania mówiła:

— Edwardzie, mój przyjacielu... Edwardzie... mój synu!

Czułem, że się znajdę na wysokości swego stanowiska.

— Kapitanie — mówiłem sobie — jedną łzę! Staraj się znaleźć jedną łzę! Możesz tylko wtedy z godnością wyjść z tego położenia, gdy dobędziesz jednej łzy, albo, to znaczy: zgoda panie zięciu! Te głupie słowa, nie wiem, zkąd pochodzą, sądzę, że z teatru Palais-Royal, nie chciały mi już wyjść z głowy i czułem, że grozi wybuch bardzo niestosownej wesołości i że mi już igra na ustach.

— Uspokój się łaskawa pani — rzekłem — uspokój się!

— Ach, Edwardzie, czy mogę? Edwardzie, mój przyjacielu, wybacz mi...

— Jakżebym nie miał, łaskawa pani...

Czułem, że to „łaskawa pani” brzmiało nieco za chłodno, ale obawiałem się, by nie wydało się pani C. za staro, gdybym jej mówił „moja matko”, wiedziałem, że była nieco próżną na tym punkcie.

— O, nie wątpię o twojej miłości! Idź, kochany przyjacielu, idź! Zapomnij o moich łzach, a uszczęśliw dobre dziecko! Nieprawda? O pewnie, ty ją uszczęśliwisz! Co do mnie, to się nie obawiaj niczego: jestem silną, wyrozumiałą.

Nic nie ma tak nieznośnego, jak wzruszenie umysłu, którego się nie podziela.

— Moja matko, kochana matko — wybąkałem wreszcie, gdyż wmówiłem w siebie, że to sprawi efekt.

Potem zbliżyłem się do niej, pocałowałem ją i skrzywiłem twarz mimowoli, gdyż wskutek łez, zbyt były słone policzki mej teściowej.

* * *

Postanowiono, że pierwszy tydzień po ślubie przepędzić mamy w zamku pani C.

Urządzono nam tam małe mieszkanko, obite jasno-niebieskim jedwabiem i nader świeże. Słowo świeże mogłoby tu uchodzić za niesmaczny dowcip, gdyż w rzeczy samej w tym malutkim raju było nieco świeżo, bo ściany restaurowano przed niedawnym czasem.

Jeden pokój był tu specyjalnie dla mnie, i tu też udałem się, ucałowawszy serdecznie moją teściowę.

Olbrzymiemi krokami biegłem po schodach na górę.

Na fotelu przed kominkiem leżał mój ciemny szlafrok jedwabny, a obok pantofle...

Nie mogłem się oprzeć tej pokusie i jak szalony zdjąłem kamaszki. Jakkolwiek jednak było, to serce moje było przepełnione miłością i tysiączne myśli w strasznem zamieszaniu przelatywały mi przez głowę.

Zadawałem sobie kłam i starałem się ile możności zapatrywać przedmiotowo na swe stanowisko.

— Kapitanie — mówiłem sobie — chwila, która dla ciebie się zbliża, jest uroczystą! Od sposobu, w jaki przekroczysz próg swego małżeństwa, zależy twoje przyszłe szczęście. Założenie fundamentów pod budynek, zaprawdę to nie drobnostka. Pierwszy pocałunek męża — i poczułem wtedy, jak dreszcz mię przeszedł po plecach — jest niejako głównym aksyjomatem, który służy za podstawę całej książce. Kapitanie bądź rozsądny. Tam obok za ścianą jest twoja jasnowłosa żona! Czuwa aż do twojego przybycia, jej ucho słucha uważnie, trwożnie podnosi głowę, słucha każdy twój ruch! ile razy zatrzeszczy posadzka, drży kochane serce.

Podczas tych słów zdjąłem frak i rozwiązałem krawatkę.

— Twoje obejście przedstawia się jasno — mówiłem dalej — bądź namiętny, ale z umiarkowaniem, spokojny, ale gorący, dobry, łagodny i delikatny!

Nagle wdziałem frak znowu.

Wstydziłem się wejść do pokoju żony w szlafroku i nocnej toalecie.

Czy nie znaczyłoby to: moje serce, jestem w domu, widzisz, jak wygodnie się urządzam? Czyż to nie wyglądałoby, że chcę sobie rościć prawa, których jeszcze nie miałem?

Wdziałem więc znowu frak, uzupełniłem starannie swą toaletę, zbliżyłem się do drzwi i skromnie zapukałem trzy razy.

Och! przysięgam wam, drżałem cały, a serce biło mi tak gwałtownie, że cisnąłem rękę do piersi, by stłumić to bicie. W tem pukaniu było wszystko, uległość i skromna prośba i delikatność.

Sam święty Piotr, który wie, co to znaczy kazać ludziom stać podedrzwiami, byłby się tem wzruszył i jestem o tem mocno przekonany, odpowiedziałby: proszę, kochany kapitanie. Ale ona, ona nie odpowiedziała nic, i po chwili trwożliwego wyczekiwania, zdecydowałem się zapukać powtórnie. Miałem ochotę powiedzieć wzruszonym głosem: to ja, kochane dziecko, czy mogę wejść? Ale czułem, że frazes ten wymagał pewnego sztucznego wykończenia, a obawiałem się zawodu.

Z uśmiechem na ustach stałem, jak gdyby mię ona mogła widzieć i podkręcałem wąsy, które nieco uperfumowałem.

Niebawem usłyszałem cichy, zaledwie dosłyszalny kaszel, który zrobił na mnie wrażenie jakby odpowiedzi dozwalającej mi wejścia. Czyż to znowu nie dowodzi, ile posiadają kobiety owego delikatnego taktu, którego nam zupełnie brakuje?

Czyż można było powabniej i dowcipniej odpowiedzieć: „chodź, czekam cię, mój przyjacielu!.. mój mężu!..”

Ten cichy kaszel oznaczał niebo, które się przedemną otwierało.

Przycisnąłem klamkę, drzwi cicho przesuwały się po miękim dywanie.

Znalazłem się u mojej żony.

Miłe ciepło otoczyło mię zewsząd.

Czułem nieoznaczoną woń róż, czy fijołków, lub Bóg wie czego, która przenikała pokój. Naokoło panował uroczy nieład, toaleta balowa była na szeslongu, dwie świece paliły się pod różowemi umbrelkami na kominku, pomiędzy niezliczonemi drobiazgami. Obok niezupełnie świeżego bukietu kamelji, widoczną była flaszeczka z wodą melisową, radykalnym środkiem przeciw mdłościom i t. d.

W tej drobnostce poznałem matczyną troskliwość mojej teściowej i czułem coś jakby wzruszenie.

Zbliżyłem się do łóżka, gdzie się ułożyła właśnie Ludwika. Leżała w głębi z twarzą zwróconą ku ścianie, a głową ukrytą w poduszkach. Nieruchoma, z zamkniętemi oczyma, przedstawiała się śpiącą; ale żywe rumieńce na twarzy zdradzały kłamstwo. Przyznaję, że w tej chwili czułem większe zakłopotanie, niż przedtem. Położyć się również bez ceremonii, to było mem niezaprzeczonem prawem, ale myśl ta zdawała mi się zbyt brutalną.

Postanowiłem tutaj w pokorze prosić o gościnność; to było delikatnie, taktownie.

O wy, którzy przeżyliście ową pełną znaczenia godzinę, przejrzyjcie swoje wspomnienia i przypomnijcie sobie niemiłą, a przecież cenną chwilę, gdzie bez przygotowania ma się odegrać najtrudniejszą rolę; gdzie jest naszem zadaniem, przebiegłością, delikatną namową i zresztą Bóg wie czem jeszcze dojść do rzeczywistości, nie burząc marzeń i ideałów! Ach, a wszystko to z zupełnem pominięciem śmieszności, która ze wszystkich stron ci grozi!

Mój kochany Boże!

Gdy o tem pomyślę, to jeszcze teraz występuje pot na moje czoło.

Przechyliłem się więc nieco nad łożem, i szukałem w swej skali głosowej najmiększych dźwięków, najdelikatniejszej modulacyi i szepnąłem:

— No, drogie dziecko? teraz?..

W takich chwilach postępuje się tak, jak można.

Nie znalazłem nic lepszego, chociaż starannie szukałem.

Żadnej odpowiedzi.

A przecież wiedziałem dobrze, że nie spała. Przyznaję, że podwoiło się moje zakłopotanie. Oczekiwałem pierwszego wybuchu płaczu wskutek obawy i trwogi i na tem oparłem swoje zapatrywania. Ale to milczenie przejmowało mię zgrozą.

— Mocno śpisz, kochane dziecko? A miałbym ci tyle opowiedzieć! Może pogadamy przez chwilkę?

Podczas tych słów dotknąłem jej ramion końcami palców.

Widziałem, jak się wzdrygnęła nagle.

— Pozwól mi spać — rzekła z proszącą miną dziecka — jestem tak zmęczona.

— A dopiero ja, mój klejnociku, niemal upadam ze znużenia. Patrz, jeszcze jestem w stroju balowym i... nie mam gdzie głowy ułożyć... Pozwól przynajmniej mi tę tu poduszkę...

Trzymałem jej dłonie w moich i całując je, ściskałem.

— Czy wielka byłaby to dla ciebie ofiara, użyczyć mężowi kawałek poduszki?

W tejże chwili zdawało mi się, że widzę uśmiech na jej wargach. Niecierpliwie, chcąc się wydobyć z tego przykrego położenia, powstałem.

Zbliżyłem swoją głowę do jej głowy, oddychałem wonią jej włosów i szeptałem do uszka:

— Kocham cię, drogie dziecię; kocham cię, moja nadobna żonusiu! Czy nie wierzysz?

Zwróciła na mnie zapłakane oczy i szepnęła, a przytem była tak miłą, słabą i delikatną, że pozyskała mię dla siebie aż do szpiku kości.

— Ja... ja cię także kocham... Ale pozwól mi spać... Byłoby to dobrze z twojej strony, gdybyś mi spać pozwolił.

Policzek zadany mi nie byłby mię bardziej upokorzył.

Tak jest, byłem tęgim zawadyjaką, a przecież poczułem, iż się rumienię aż po uszy. Bardzo fałszywie osądziłem to miłe, słodkie i łagodne stworzenie. Wyszedłem ze stanowiska człowieka, który ma po za sobą wszelakie doświadczenie.

Byłem tak nierozważnym używać w rozmowie z tą dziewiczą duszą takich zwrotów, jakich już używałem w innych warunkach... Uważałem się za nadto przebiegłego, skorom szukał w swojej przeszłości broni do zwalczenia tego kochanego dziecięcia, które błagająco wyciągnęło ku mnie swe dłonie.

— Śpij, kochany aniołku; śpij bez obawy me serce! Idę już, idę. Śpij przyjemnie, a ja będę czuwać nad tobą.

Daję słowo uczciwości, że czułem coś, jak gdyby łzę w oku; równocześnie jednak czułem, jak gdyby nie złym był mój ostatni frazes. Posunąłem kołdrę i owinąłem ją jak dziecko.

Jeszcze dotąd mam przed oczyma jej twarz rumianą, która ginęła niemal na wielkiej poduszce. Jej płowe włosy bujnie wypadały z miluchnego czepeczka. Lecz ręką trzymała kołdrę pod brodą, a na jej palcu zauważyłem nowy połyskujący pierścień ślubny, który jej dałem rano.

Była cudowną; urocza ptaszyna, która się ukryła w kupie wełny; pączek róży na śniegu. Gdy się ułożyła tak wygodnie, schyliłem się i ucałowałem ją w czoło.

— Tak — rzekłem z uśmiechem — teraz jestem zadowolony. Dobrze ci, kochane dziecię?

Nie odpowiedziała nic; ale jej oczy spotkały się z mojemi i wyczytałem w nich uśmiech, który zdawał się dziękować.

— Teraz, kochany rotmistrzu — rzekłem sobie—rozgość się wygodnie na krześle, a potem dobranoc!

Z temi słowy odszedłem do fotelu i usiadłem.

Ale już po kilku minutach przypomniała mi niska temperatura sypialni, że ogień wygasł już oddawna, był to jeszcze kwiecień, a okna z pokoju wychodziły na Loarę — już po kilku minutach, powiadam, przypomniała mi niska temperatura o lekkości mej salonowej toalety.

Czemuż zapomniałem swego szlafroka!

Szukałem przeto przynajmniej — jak żołnierz, który biwakuje — ile możności wygodnego ułożenia. Bez tego przeklętego zimna byłoby wszystko przeszło jako tako; ale tak marzłem kolosalnie w nogi, a nie miałem nic pod ręką do ich przykrycia.

— Kapitanie — rzekłem do siebie — twa placówka nie do wytrzymania. Do rana okulejesz kompletnie.

Wreszcie spostrzegłem na szeslongu...

Niekiedy miewa się dziecięcą wstydliwość, ale w rzeczy samej nie ufałem sobie i czekałem dosyć długo, walcząc z obawą nieośmieszenia i z zimnem, które dokuczało coraz bardziej.

Wreszcie, gdy słyszałem, że oddechy mej żonki były równiejsze, przyszła mi z pomocą myśl, że zasnęła.

Wyciągnąłem przeto rękę, chwyciłem jej suknię balową, która leżała na szeslongu — ha, ta jedwabna materyja sprawiała taki hałas, żeby zbudziła nieboszczyka w grobie — i z energją, jaką się ma wtedy, gdy jesteśmy doprowadzeni do ostateczności, owinąłem się suknią, jakby kocykiem podróżnym. Następnie w napadzie mimowolnego sybarytyzmu,

chwyciłem mały mieszek, który wisiał na kominku i starałem się znowu rozniecić ogień.

— Hm, — rzekłem do siebie, celując na spalone drewienka i ostrożnie na nie dmuchając mieszkiem — przynajmniej to jest jeszcze; moje obejście było takie, jakie przystoi uczciwemu człowiekowi.

Gdyby mój przełożony jenerał widział mnie tutaj, wybuchnąłby mi w twarz śmiechem.

Ale mimo tego mam słuszność, postąpiłem sobie szlachetnie.

W rzeczy samej jest to ciekawem, jak robi się człowiekowi głupio w obec takiej czystej, dziecięcej niewinności. I odrazu cała przeszłość stanęła mi przed oczyma, zdeptałem ją nogami i cisnąłem jej w twarz krwawą obelgą.

— Rotmistrzu—zawołałem do siebie w myśli — zaczynasz teraz nowe życie, życie niewinne, szczęśliwe i cnotliwe, życie, któregoś właściwie nie zasłużył. Rozumiesz rotmistrzu.

Gdybym nie przysiągł, kochany czytelniku, że będę szczerym, zamilknąłbym najprawdopodobniej o tej okoliczności, że w tej chwili poczułem straszne łechtanie w nosie. Chciałem się powstrzymać, ale prawa natury są nieubłagane.

Nagle zatrzymał mi się oddech, czułem, że nadludzka siła skrzywiła mi twarz, że dziurki nosowe się rozwarły, że oczy się przymknęły i nim się opamiętałem, kichnąłem z tak niesłychaną siłą, że flaszeczka z wodą melisową, niech mi Bóg to zapomni, pękła na drobne kawałeczki.

Z łóżka rozległ się cichy krzyk i wnet potem najczystszy, najserdeczniejszy śmiech, jaki tylko można sobie wyobrazić. Potem odezwał się miły, naiwny głosik:

– Czy ci co brakuje... Edwardzie?

To słowo „Edwardzie" dodała po chwilce i tak cicho, iż ledwie słyszałem.

— Nieprawda, me serce, że jestem sobie dobrze śmieszny? I masz zupełne prawo śmiać się ze mnie. Czegóż chcesz? Przepędzam noc, że tak powiem na świeżem powietrzu i dlatego muszę znosić tego skutki.

— Wcale nie jesteś śmieszny; ale ty się przeziębisz.

I na nowo śmiać się zaczęła.

— Złą jesteś!

— Okrutną, chcesz powiedzieć. I miałbyś słuszność, gdybym ci pozwoliła chorować...

I wymówiła to ze wzruszającym powabem.

W jej słowach było nieco wstydu i delikatności, nieco lekkiego żartu i wstydliwego powściągania się; a wszystko to nie da się określić, ale już wystarczyło, by mię zupełnie oburzyć.

— Ach, nie gniewaj się Edwardzie — szeptała półgłosem. — Nieprawda, że mi przebaczysz?.. Ty się pewnie nie gniewasz na mnie? Mój kochany przyjacielu, mój... mężu...

* * *

Mój Boże, ileż to razy przypominaliśmy sobie przy kominku owe chwile. Ach, one już daleko... daleko w mgle przeszłości!

G. Droz. (pt. str. 26 tom I).

Ogłoszenia.

W dniu onegdajszym ze składu Nasion przy ulicy Niewschodzącej Nr. 734 uciekł z pieniędzmi i ważnemi papierami inkasent

Michał Rzepa

(szczególniej polecamy żółtą majową, okrągłą funt 75 kop.).

Rysopis tego zbiega jest następujący:

Łeb jak głowa kapusty Szweinfurckiej, bardzo wielkiej delikatnej (35 kop. łut).

Oczy jak cebule (Żółta holenderska płaska, funt 4 rs.).

Nos jak ogórek (krótki i gruby Muromski, funt 1 rs. 50 kop).

Broda jak tykwa (wielka herkulesowa 10 kop. porcja).

Brzuch jak dynia (żółta centnarowa, olbrzymia 20 kop. porcyja).

Ubrany był w surdut barwy Kantalupy czarnej holenderskiej (20 kop. porcja), kamizelka koloru pomidorów Conqueror, olbrzymich, bardzo przyjemnych w smaku i spodnie koloru rajgrasu francuzkiego (*Avena elatior* pud rs. 15).

Kto tego zbiega pojma i odprowadzi pod adresem wyżej wskazanym, otrzyma w nagrodę całą porcyję białej Przymilatki (*Collinsia alba*).

* *Dział reklam i ogłoszeń bezpłatnych.*

200,000 rubli

które padły w kantorze naszego kolegi Neumarka, jako główna wygrana pożyczki premjowej, wyrywa nam z piersi okrzyk:

Ach, czemuż to nie nas spotkało!

niemniej jednak fakt pozostaje faktem, a więc,

Kupujcie pożyczki premjowe na raty

i asekurujcie je

a potem

czekajcie!!!

Właściciele kantorów wekslu.

—o—

Wynalazek na czasie.

Crême des bals masqués.

Jedyny skuteczny środek, zapobiegający odziębieniom różnych części ciała.

Powyższy środek zaleca się szczególniej jako prezerwatywa dla osób, udających się na maskarady, do Sal redutowych i Teatru Wielkiego. Jedno wysmarowanie wystarcza na dwie godziny.

P. S. Jeżeli osoba (bez względu na płeć) w przeciągu tego czasu na maskaradzie nie zmarznie i pragnie pozostać dłużej, zaleca się urządzić wcieranie w odkryte części ciała. Im prędzej, tem lepiej.

Nb. Od używania tego środka wyłącza się tylko maskarada trzecia i połowa czwartej.

—o—

Przed dwoma tygodniami w przejeździe z Alhambry do Eldorado zabłąkał się

Głos

podpalany, z czarnemi plamami; miał na szyi obróżkę z literą G.

Z uwagi, że jego właścicielce, osobie więcej niż lat średnich, trudno jest bez niego obywać się, uprasza się o odprowadzenie zguby na scenę Eldorado.

Łaskawemu znalazcy, oprócz nagrody, jakiej od właścicielki głosu śmiało żądać może, zapewnia się wdzięczność ogółu jeszcze uczęszczającego do Eldorado.

Ktoby przytem wiedział o bardzo już dawno i nie w Warszawie zgubionej młodości i wdziękach śpiewaczek i gimnastyczek, zechce dać wiadomość do kasy tego Café Chantant.

* *Dział ogłoszeń niepłatnych.*

Z ogłoszeń w nowych szafkach zginęła ortografia; łaskawy znalazca raczy takową zwrócić, gdzie należy.

—o—

Darmo!!!

Sińce i guzy—bliższa wiadomość w Eldorado.

—o—

Liberja

mało używana z powodu zmiany służby jest do odstąpienia za bardzo przystępną cenę.

Interesanci zgłaszać się raczą do literata X, w godzinach rannych. Stróż wskaże.

—o—

Panna do wszystkiego wyrabia posady w rozmaitych instytucyjach prywatnych.

Reflektanci mogą się zgłaszać w każdym czasie.

—o—

Wyżymaczka

najświeższej konstrukcyi do wyciskania „telegramów własnych" z głów współpracowników pism politycznych, patentem i meda-

lem zasługi na patagońskiej wystawie powszechnej nagrodzona, nadeszła do Warszawy.

* *Ogłoszenia wycięte z gazet.*

Znaleziono pugilares czerwony safjanowy, w którym znajdowała się miniatura szatynki, w różowej sukni i z kwiatami na głowie, tudzież pukiel włosów blond. Właściciel może odebrać, jeśli powie, jakiego koloru jest pugilares, jak ubrana osoba wystawiona w miniaturze i jaki kolor pukla włosów.

—o—

Donoszę szanownym osobom, które to obchodzić może, iż w sklepie moim zawsze znajduje się dostateczny zbiór rękawiczek dla mężczyzn, tudzież dla dam z skóry koziej i cielęcej.

„*Humorysta Warszawski.*"

—o—

Z powodu nagłego wyjazdu oraz ostatecznego zamknięcia interesu, jest do sprzedania jasiek mało używany w dobrym stanie.

—o—

Nie dawno zamieszczono następujące doniesienie:

„Zegarek idąc z czarną wstążeczką i stalowym kluczykiem przez Ogród Saski, zginął; ktoby go napotkał, raczy go odnieść do właściciela." (Autentyczne).

„*Humorysta Warszawski.*"

—o—

Z powodu zwinięcia interesu jest do odstąpienia łóżko machoniowe oraz trzepaczka do bicia much.

—o—

Osoba lubiąca spokój może znaleźć mieszkanie przy zacnej rodzinie. Tamże dają się lekcye na bębnie, oraz strzelania z broni palnej do celu.

—o—

Potrzebny jest stały lektor do chorej osoby. Pierwszeństwo mają umiejący chociaż cokolwiek czytać.

—o—

Dentysta amerykański, świeżo przybyły z Opatowa, poleca swoje usługi łaskawym względom szanownej publiczności.

Dającym rwać zęby w większych partjach, ustępuje się stosowny rabat.

—o—

Człowiek w sile wieku, straciwszy kilkanaście folwarków własnych, poszukuje posady rządcy lub administratora dóbr ziemskich.

—o—

Jakiś młody małżonek, nazajutrz po ślubie, rodzicom swojej żony *złożył w ogłoszeniach* publiczne podziękowanie, *za dobre i troskliwe wychowanie córki.*

A co? zdaje się, że nietylko u nas, ale nawet w Ameryce nie zdobył się jeszcze nikt na podobną reklamę.

* *Ogłoszenia na czasie.*

Dr. Zawracalski przybył z Kapuściogłowów i leczy na wierszomanję, zapalenie wyobraźni, zatkanie komórek rozsądkowych i t. d.

—o—

Były kataryniarz daje koncerty, lub bierze w nich udział. Tamże można zamawiać gardła sztuczne, wymienia się za małą dopłatą dezelowane głosy. Warunki przystępne. Gwarancja na lat 3.

—o—

Zaginął kolczyk wysiadający z dorożki. Łaskawy znalazca oprócz nagrody otrzyma przyzwoitą wdzięczność.

—o—

* *Ogłoszenia gwiazdkowe.*

Na gwiazdkę! tylko na gwiazdkę!

Znany i powszechnie szanowany i ceniony operator *Largus Klapouchowicz* wyrzyna odciski bez bólu po cenie znacznie zniżonej.

Ulica Psirynek Nr. 00.

—o—

Proszek dezynfekcyjny i klozetowy!

Sprzedaję po cenach nader nizkich z powodu nadchodzącej gwiazdki!

Adresować poste restante *Pikier*, Warszawa.

—o—

Z powodu zbliżającej się gwiazdki jest do wzięcia mamka ze świeżym pokarmem bez długu.

Wiadomość w składzie trucizny na szczury.

—o—

Piękny podarek na gwiazdkę!

Papier Vlinsi mało używany, kolekcja niedopałków cygar hawańskich i beczka od kapusty, właścicielowi której brakuje tylko jednej klepki, ale to każdy bednarz naprawi.

Dowiedzieć się można dniem i nocą.

—o—

Z powodu zbliżającej się gwiazdki potrzebna jest młoda dama, niczegowata, na wyjazd.

Oferty pod adresem: Kalasanty.

—o—

Zakład kowalski

Agapit Cynaderski, z powodu zbliżającej się gwiazdki obniżył ceny kucia koni, z czem poleca się swoim kundmanom.

—o—

Jako prezent na gwiazdkę sprzedam tanio,

Wózek dla paralityka,

oraz inne przedmioty w tym zakresie jako to: bicykl, szczudła, łyżwy, skatingring i t. p.

Hurtownie odstąpię rabat.

—o—

!Wapno, cement, nawozy!

Sztuczne i naturalne po cenie niżej kosztu sprzedajemy, jedynie na gwiazdkę!!!

Dom handlowy Kugielbub et syn.

—o—

Leczę kołtuny, spuchnięcia włosów, łysinę i tym podobne choroby włosów *na gwiazdkę* po cenie nader nizkiej.

Nowa Praga. Owczarz Naciągalski.

—o—

Ograniczoność.

Świętoszek unosił się nad rozumnem zrządzeniem Opatrzności, która rzekom obok miast płynąć kazała.

—o—

Właściciela świeżo nabytego konia pytano się, czy zwierzę niestrachliwe?

— Nie zdaje się — odparł zagadniony. — Od trzech dni sam sypia w stajni.

—o—

Tonin, zarządzający ogrodem pomologicznym, wysłał służącego, ograniczonego człowieka, do Buffon'a z pierwszemi dwoma figami, jako nowalją. W drodze służący nie mógł oprzeć się pokusie łakomstwa i zjadł jeden z owoców. Gdy Buffon upominał się o takowy, winowajca przyznał się do grzechu.

— Jak mogłeś to zrobić! — zawołał Buffon z wymówką.

— W taki oto sposób, proszę pana—odpowiedział sługa, konsumując drugą figę.

—o—

Wieśniak, poszedłszy dla umierającego ojca po księdza, parę godzin dobijał się ostrożnie do drzwi plebana.

— Czemu nie stukałeś głośniej? — pyta ksiądz przybyłego.

— Bałem się proboszcza obudzić.

— Czegóż odemnie żądasz?

— Ojciec konał, gdym odchodził.

— W takim razie musiał już skończyć
i nie mam po co do niego chodzić.

— Nie Dobrodzieju! Pietrek obiecał, że
go zabawiać będzie do naszego przybycia.

—o—

Ogrodnik.

Ogrodnik Maciek Niedojda, wzięty do stajni, zna się na botanice jak pies na pomarańczach, uprawia sparciałą rzodkiewkę, robaczywy groszek i z zamiłowaniem hoduje liszki na kapuście. Z drzewami owocowemi obchodzić się umie, co zeschłe potrafi zrąbać na opał, a co się nie urodziło, tego nie stworzy.

Ogród Saski.

Natchnieni wieszcze mnogie szpalty święcą,
By Tivolowe opisać ponęty,
Albo Alhambry wesołość dziecięcą,—
ty zostałeś dotąd pominięty,
y, strojny w sławy nieśmiertelnej blaski —
Ogrodzie Saski!

Ogrodzie Saski, ogrodów Nestorze,
Wszyscyśmy wdzięczność winni ci dozgonną.
Tutaj się dziewy przechadzają hoże,
Tutaj się młodzian spotyka z swą donną,
Miłosne słówka szepcą w drzew twych chło-
[dzie
Saski Ogrodzie!

Ogrodzie Saski, druhu miły sercu,
W twoich ramionach, wśród krzewów zieleni,
Wśród barwnych kwiatów, na łąk twych ko-
[biercu,
Skrył się pan Wróbel i pan Janowski [1]).
Obydwom dobrze wiedzie się z twej łaski,
Ogrodzie Saski!

Ogrodzie Saski, ty nas darzysz zdrowiem,
Z twoim kumysem, Karlsbadem i Vichą,

[1]) W oryginale było: „Semadeni“ — zmieniliśmy to nazwisko na właściwe, poświęcając rym na ofiarę prawdzie.

I szczerą prawdą będzie jeśli powiem,
Że piękny jesteś czy z wrzawą, czy z ciszą,
Piękny, czy służysz zdrowiu czy wygodzie,
Saski Ogrodzie!

Ogrodzie Saski, tyś się słusznie wsławił
Przez swą sodową i studzienną wodę,
Tyś nas loterją i teatrem bawił,
Tyś rozweselał latorośle młode,
Tyś koił dzieci płacze i niesnaski
Ogrodzie Saski!

Ogrodzie Saski, ogrodzie kochany,
Dziś w twych alejach chłodny wietrzyk wieje,
Bezlistne twoje lipy i kasztany,
Lecz gdy wiosenne słońce zajaśnieje
Znów nam zabłyśniesz w całej swej urodzie
Saski Ogrodzie!

* *Ogród Krasińskich.*

Wszak są klomby, jest murawa,
Jest wystawa i zabawa,
Jest muzyka, woda, kurz,
Zapach czosnku zmysły pieści,
Słychać szwargot pełen treści,
Widać sztuczny wdzięk niewieści
I... lecz lutnio zmilknij już.

* *Na wodach w Saskim Ogrodzie.*

(Z obrazków wiosennych.)

Kaskada gwarów i tonów
I sukien modnych kaskada —
Pod liśćmi topól, jesionów —
Strojna się sunie gromada —
Tkliwością niebezowocną
Serce tam płonie w lot —
Gdzieniegdzie dziewoja blada
I młodzian, namiętny mocno —
Jak kot...

Tkliwie się dziewczę uśmiecha,
On okiem pali ogniście —
A okoliczne echa,

Zioła, trawy i liście
Szepczą: „Kocha się dwoje —
I jeden chyba grób
Rozłączy ich wiekuiście...
Rośnijcie myrty, powoje
Na ślub...“

Lecz kiedy mocno i śmiało,
Pragnąc z czepeczka mieć dyjadem,
Dziewczę *w małżeństwo leciało,*
Hymenu nie chcąc iść śladem
On rzekł: „Jam serca nie skazał
Na sto miłosnych grud,
Lecz doktór wraz z Maryjenbadem
Używać... emocyi kazał.
U wód...“

Ogródkami.

Pewien artysta muzyk przyprowadzany był częsta do desperacyi brzdąkaniem ciągłem na fortepianie swojej sąsiadki.

Spotkawszy ją pewnego razu na schodach, gdy prowadziła swoją 5-cio-letnią córeczkę, rzecze:

— Ale można powinszować pani zdolności jej córeczki, na swój wiek gra wcale nieźle — słyszę ją codziennie egzercytującą się..

— Ależ, panie — przerywa dama.

Ale artysta, nie dając jej kończyć, dodaje:

— No, naturalnie, to jeszcze bardzo nieudolne próby, to też radzę pani nie pozwalać jej grać tak wiele — godzinkę lub dwie na dzień najwyżej i to przy dobrych wskazówkach.

To rzekłszy oddalił się, a odtąd mniej był trapiony niefortunną muzyką.

Ojciec i syn.

Ojciec. Jeszcześ nie dorósł tyle, żebyś miał mieć więcej rozumu od starych i powinieneś ich ślepo słuchać.

Syn. Pięknie bym nieraz wyszedł, żebym słuchał, jak starzy brednie plotą!

Ojciec. O mój Boże! co się to stało ze światem, gdybyś ty był tak mojemu ojcu powiedział, to by on ci był kości połamał.

Syn. O! to dopiero musiał być ojciec, co uchowaj Boże.

Ojciec. Dziesięć razy lepszy niż twój! ty niegodziwe plemię!!

(*Humorysta warszawski.*)

* *Ojciec jak i syn.*

N. wracając w późną noc do domu, staje u bramy, czekając na łaskawe otworzenie ich przez stróża, gdy nadszedł także właśnie syn jego i stanąwszy obok, rzekł:

— Ach, to ty mój ojcze? dobrze trafiłem, bo akurat także wracam do domu.

Ojciec. A ty łobuzie jakiś! o tak późnej godzinie dopiero do domu wracasz? Idź precz ztąd, nie puszczę cię więcej do mego mieszkania.

Syn. Ależ i ty ojcze dopiero wracasz, a ja przecie nie jestem już dzieckiem.

Ojciec. Jeżeli ja późno wracam, to tobie nic do tego, rozumiesz? ja przecie jestem ojcem.

Syn. No, kiedy mnie ojciec nie chce puścić, to cóż robić! trzeba się wrócić, dobranoc (odchodzi).

Ojciec (woła za nim). Janek! Janek! Bój się Boga, gdzież ty pójdziesz tak późno?

Syn. No, gdzież mam iść? Juścić do knajpy. Na dworze przecież nie mogę stać noc całą. Pójdę pod Bachusa i wypiję jakie parę kufli.

Ojciec (łagodniej). Słuchaj-no, chłopcze, a piwo tam dobre dzisiaj?

Syn. Wyśmienite!

Ojciec. No, no, to poczekaj że trochę Jasiu, pójdę i ja z tobą.

Ojcowskie kłopoty.

— Jak się ma synów, to idą na żołnierzy; jak się ma córki, to żołnierze do nich przychodzą!

Ojcowska duma.

Panu Feigelstock urodził się pierwszy syn. W godzinę po tem zdarzeniu, posłaniec przynosi list, mówiąc:

— Do pana Feigelstock.

— No, a do którego? Senjora czy Junjora, potrzebujesz wiedzieć, co jest teraz dwóch.

Oko.

CZŁOWIEK Z CZERWONEM OKIEM

(Opowiadanie.)

Osiem lat temu, byłem urzędnikiem na drodze żelaznej. Zajęcie moje było dość nudne: jeździłem jako konduktor przy zwyczajnych pociągach, przebiegających po linji, której zbyt długiej nazwy nie wymienię.

Byłbym może do dzisiejszego dnia spełniał też same obowiązki — gdyby nie wypadek biednego Paxtona, którego zamordowano. Paxton prowadził zazwyczaj pociągi towarowe. Oddawna złodzieje usiłowali zrabować pociąg, co im się wszakże nie udawało, aż nareszcie pewnego dnia biedny Paxton został zabity; kula rewolwera utkwiła mu w mózgu, skrzynka zawierająca w sobie papiery wartościowe i pieniądze — ocalała. Napróżno zbrodniarze pracowali nad jej otworzeniem. Misterny zamek stalowy nie poddał się ani uderzeniom siekiery, ani nie uląkł się dobieranych kluczy.

Lecz co było szczególnego w tym wypadku, to to mianowicie, że klucze zniknęły z kieszeni mego nieszczęśliwego poprzednika i że znaleziono je dopiero w sześć tygodni później obok plantu drogi.

Były one zawinięte w papier, na którym Paxton napisał, że w wagonie znajdują się złoczyńcy i że zamordują go lada moment, jeżeli nie wyda im kluczy żądanych. Jak przewidział tak się stało. Paxton zginął na swojem stanowisku z honorem, jak żołnierz na wyłomie.

Łatwo zrozumieć, że tego rodzaju posada nie przypadała mi do gustu; lecz taki był rozkaz dyrektora drogi — poddałem się konieczności i postanowiłem zarazem wytrwać na stanowisku mężnie, chociażby kosztem największej ofiary. Dodać tu jeszcze muszę, że pensyja przywiązana do mojej nowej posady była znacznie wyższą niż poprzednia — i że poznałem zachwycającą istotę, gotową dzielić ze mną dobre i złe losy. Ponieważ nowe stanowisko dawało mi możność zaspokojenia doczesnych potrzeb tej istoty, przeto posadę przyjąłem nawet z radością...

Przez kilka tygodni wszystko szło bardzo spokojnie: przyzwyczaiłem się do moich nowych obowiązków, zawiązałem kilka nowych a miłych znajomości na linji i byłem dość zadowolony z mojej posady. Zdawało mi się nawet że złodzieje, przez jakieś szczególne dla mnie względy, zwrócili działania swoje na inne pole.

Było cicho, spokojnie, dobrze.

* *
*

Pewnego dnia agent posyłek z Roxburg zawiadomił mnie, że w przyszłym tygodniu wysłana będzie koleją żelazną do Saint-Louis summa ośmdziesięciu tysięcy dolarów w złocie i że transport tej kosztownej przesyłki mnie będzie powierzony.

W tymże samym czasie uprzedzono o tem cały personel służbowy, ażeby każdy urzędnik podwoił baczność i czynność.

W dwa dni po tej rozmowie, agent wezwał mnie do swego biura i oświadczył, że posyłka wyekspedyjowaną będzie pojutrze. Oprócz tego wręczył mi zapieczętowaną kopertę i rzekł:

— Oto są instrukcyje, przesyła je panu sam dyrektor, przeczytaj je uważnie i zastosuj się do nich we wszystkiem, gdyż najmniejsze uchybienie może stać się przyczyną znacznych strat dla towarzystwa i naturalnie... może zaszkodzić i pańskiemu stanowisku.

— Bądź pan spokojny — odpowiedziałem — spełnię mój obowiązek.

— Jestem aż nadto przekonany o pańskich dobrych chęciach — odparł agent — ale chciej

mi wierzyć, że trzeba działać z najwyższą roztropnością. Bandyci, tropiący nasze okolice, są niesłychanie zręczni i sam dyjabeł nie da sobie z nimi rady. Zdaje mi się, że dobrze robię, ostrzegając pana...

W tej chwili tuż przy drzwiach dał się słyszeć lekki szmer.

Gdyby nie to, że byliśmy na stacyi sami tylko i że manewrująca lokomotywa znajdowała się zbyt daleko, byśmy mogli dosłyszeć jej sapanie — bylibyśmy na ów szmer najmniejszej nie zwrócili uwagi.

W tym razie jednak szmer zastanowił nas obu i skoro zajrzałem do wielkiej sali położonej tuż przy kantorze, spostrzegłem tuż obok drzwi jakieś indywiduum z głową wyciągniętą naprzód.

Byłem pewny, że człowiek ten chciał nas podsłuchiwać.

Dostrzegł mnie natychmiast, a oczu moich nie uszło pewne lekkie drgnienie w twarzy, w chwili, gdy wzrok mój skrzyżował się z jego wejrzeniem.

W momencie wszakże odzyskał zimną krew; z najobojętniejszą w świecie miną, powoli zbliżył się do kratki, przez którą agent rozmawiał z interesantami.

Człowiek ów miał powierzchowność dość przyzwoitą.

Wyglądał na lat czterdzieści, chociaż może był nawet starszy. Był całkiem ubrany czarno, w wysokim kapeluszu, i gdyby nie nos cokolwiek zanadto czerwony, możnaby go wziąść za duchownego protestanckiego lub też za prawnika.

Jeden szczegół fizyognomji jego zwrócił moją uwagę.

Jegomość ten miał jedno oko różowe, które nadawało mu szczególniejszy jakiś wyraz. Oko to było absolutnie stałe i nieruchome; gdy ów pan się zbliżył, poznałem, że było szklane. W wyrazie tego oka było coś tak szczególnego, że bezwątpienia, nawet za morzem chińskiem mógłbym je poznać spotkawszy powtórnie.

— Czy nie ma tu jakiej skrzyni pod adresem Izaaka von Scoter?—zapytał, jakby w odpowiedzi na badawcze spojrzenie agenta.

Agent przejrzał papiery i odpowiedział przecząco.

— To szczególne — rzekł człowiek z czerwonem okiem — skrzynia ta powinna była przyjść wczoraj. Ale, a propos, czy też czytałeś pan dzisiejszy numer „Evening Chronicle"?

I po tem zapytaniu rzuconem tak nagle, utkwił badawcze spojrzenie w agenta i przypatrywał mu się przez chwilę.

— Nie — odpowiedział agent.

Jegomość wyjął gazetę z kieszeni i położył ją przed nami, wskazując palcem następujący artykuł:

„Straszny wypadek:

„Dziś rano w lesie, niedaleko Scranton dwaj ludzie ścinający drzewa, panowie Henry Van Scotter i C. H. Criggs, przywaleni zostali przez olbrzymią sosnę, która przygniotła ich całym swoim ciężarem. Pan Scotter zabity został na miejscu, zaś Criggs skonał dopiero po cało-tygodniowych męczarniach. Obaj nieszczęśliwi byli mieszkańcami Greenborough i postanowiono zwłoki ich przesłać do rodzinnego miejsca, dla przyzwoitego pogrzebania."

— Henryk Van Scotter — rzekł jegomość tonem bardzo smutnym, był moim bratem... byliśmy bliźniętami, podobny był do mnie jak dwie krople wody, och, bardzo podobny... a zaś Criggs był mężem mojej rodzonej siostry... Straszny to dla nas cios, och, bardzo straszny! Nie wiem nawet, jak go znieść potrafi biedna moja siostra. Z powodu tego smutnego wypadku przyszedłem tutuj. Mam zamiar wyekspedyjować oba trupy koleją żelazną do Greenborough, we czwartek, pociągiem odchodzącym o godzinie 11-ej min. 40. Wiele wyniosą koszta tej przesyłki?

— Koszta wyniosą dwadzieścia pięć dolarów — odpowiedział agent.

— Ciała przywiezione tu będą we czwartek rano. Zobowiążesz mnie pan bardzo, je-

żeli wyekspedyjowane będą bez spóźnienia. Obawiam się także, że przesyłka której oczekuję, nie nadejdzie już w tym tygodniu.

Agent przyrzekł urządzić wszystko jaknajlepiej i obiecał, że szacowne zwłoki kuzynów pana Van Scotter znajdą się w Greenborough o oznaczonej godzinie.

Jegomość skłonił się grzecznie i rzekł:

— Czy nie mógłbyś pan wskazać mi, gdzie jest biuro telegraficzne? Trzeba uprzedzić o tym wypadku biedną moją siostrę. Jest to misya w wysokim stopniu nieprzyjemna, tem więcej, że cios okrutnym jest zarówno dla mnie, jak i dla niej.

Dałem żądaną wskazówkę — a człowiek z czerwonem okiem podziękował bardzo uprzejmie i wyszedł. Wkrótce odgłos jego kroków ucichł zupełnie.

— Ciekawe indywiduum — rzekłem do agenta.

— Rzeczywiście, oryginał jakiś...

— Radbym też wiedzieć, czy słyszał cośmy mówili przed jego przyjściem.

— Ma dość uczciwą minę.

— To prawda — odrzekłem — niemniej jednak nie mogę się pozbyć pewnych podejrzeń, że miał szczerą intencyę podsłuchania naszej rozmowy.

— Czy jesteś pan tego pewny?

— Nie jestem absolutnie pewny, ale miał taką minę...

— Dobrze pan uczynisz, jeżeli pójdziesz do telegrafu i przekonasz się o treści depeszy, którą miał wysłać.

Zrobiłem to natychmiast.

Wszedłem do biura telegrafu w chwili, kiedy jegomość ztamtąd wychodził.

On udawał, że mnie nie widzi — ja także — chociaż nie ulega kwestyi, że obaj widzieliśmy się doskonale...

— Czy człowiek, który tylko co wyszedł, wysyłał depeszę do Greenborough? — zapytałem urzędnika telegrafu, zamykając drzwi za sobą.

— Tak jest... lecz zkąd znowu to pytanie?

— O, tak tylko, dla prostej ciekawości — odpowiedziałem. — Zapewniano nas, że przed chwilą brat i szwagier tego jegomości stali się ofiarami straszliwego wypadku.

Urzędnik wziął oryginał depeszy i podał mi ją.

Adresowana była do pani C. H. Criggs w Greenborough, podpisana zaś: Izaac von Scotter. Zawartą była w następujących wyrazach:

„Henryk i Karol zostali przypadkowo zabici. Ciała ich wysyłam w czwartek do Greenborough.”

Wszystko to wydało mi się prawdopodobnem, ale poszedłszy do domu, nie byłem w humorze.

Cóż dziwnego! nie codzień zdarza się konduktorowi wieźć osiemdziesiąt tysięcy dolarów w złocie i podróżować w miłem towarzystwie dwóch trupów.

W czwartek rano, na godzinę przed odejściem pociągu, przesyłka była gotową.

Pieniądze były zamknięte w dwóch skrzynkach drewnianych, silnie okutych żelazem. Skrzynki te umieściłem w dużej skrzyni żelaznej, klucz schowałem do kieszeni i zdawało mi się, że jestem w porządku.

Trochę później zajechały przed stacyę dwa wozy.

Na jednym z nich znajdowały się dwie trumny, na drugim siedziało sześciu mężczyzn, przybyłych prawdopodobnie po to, aby oddać ostatnią przysługę zmarłym.

Szukałem wzrokiem, czy niema pomiędzy nimi gentelmana z czerwonem okiem.

Nie było go.

Nieobecność ta wydała mi się podejrzaną na razie, później nie myślałem już o tem.

Obie trumny umieściłem w kącie magazynu.

Jeden z pasażerów otrzymał pozwolenie dyrekcyi, że skoro przybędziemy do Redwood, będzie mu wolno zobaczyć nieboszczyków.

Panowie przybyli z trumnami zabierali się do odjazdu, pociąg zaś ruszył i popędziliśmy na skrzydłach pary.

Podczas całej godziny byłem bardzo zajęty robieniem porządków pomiędzy bezładnie narzuconym bagażem, a tak mnie to zajęcie zaabsorbowało, że ani razu nie rzuciłem okiem w stronę, w której leżeli moi umarli towarzysze. Przejechaliśmy cztery stacyje, — nareszcie praca moja została ukończoną — usiadłem.

Zdjęła mnie dziwna chęć zobaczenia, jak też wyglądają trupy ludzi zabitych w tak straszliwy sposób.

Nie była to próżna ciekawość — ale szczególne, niczem niewytłómaczone zachcenie, któremu musiałem uczynić zadość.

Zbliżywszy się do trumien, przekonałem się najprzód, że wieka nie były hermetycznie zamknięte, — owszem, znajdowały się w nich nawet jakby naumyślnie zrobione otwory. Wydało mi się to dziwnem, wszakże skoro przyjęto trumny na pociąg, musiano sprawdzać, czy były szczelnie zamknięte. Jeżeli zaś zrobiono w nich otwory później, więc musiał być w tem jakiś cel zapewne.

Cóż to być mogło?..

Zajęty taką myślą, podniosłem delikatnie wieko pierwszej trumny i przypatrzyłem się temu, co w niej leżał.

Był to młody człowiek o twarzy pełnej i rysach kątowatych; policzki jego nie były ani blade ani zapadłe i w ogóle wyglądał zbyt świeżo jak na trupa, który rozstał się z życiem czterdzieści ośm godzin temu.

Przykrywszy napowrót pierwszą trumnę wiekiem, zbliżyłem się do drugiej.

Tu oczekiwała mnie nowa niespodzianka.

Człowiek, który się w trumnie znajdował, nie był kto inny, jak tylko jegomość z czerwonem okiem w swojej własnej osobie.

Nie myliłem się.

Okropne oko szklanne utkwiło we mnie swe martwe wejrzenie.

Przez chwilę wzruszenie obezwładniło mnie zupełnie.

To co uczułem, nie da się słowami określić. Byłem między życiem a śmiercią. Nie byłem w stanie nawet krzyknąć.

Człowiek żyjący... który opowiadał o wypadku van Scottera i Criggsa, który przychodził na kolej, umawiając się o warunki ekspedycyi ich trupów — znajduje się tu w trumnie, jako trup!

Rozumiem.

Przypomniałem sobie w tej chwili, że mówił na stacyi, iż był szczególnie do swego brata podobny, ale żeby podobieństwo dochodziło aż do jednakowości szklannych oczu, to już przechodzi granice prawdopodobieństwa.

Jeszcze chwilkę przypatrywałem się trupowi, gdy w tem drugie jego oko otworzyło się cokolwiek.

Czułem jak z pod przymkniętych powiek wejrzenie jego świdrowało mi twarz.

Lada chwila mogę być zamordowany.

Przykryłem delikatnie trumnę wiekiem i w najwyższej trwodze, wysilałem mózg, aby obmyśleć środki ocalenia.

Przypomniałem sobie wówczas rozmowę moją z agentem w Roxburg, podejrzenie, że człowiek ów podsłuchiwał i przekonałem się, żem go posądzał słusznie.

Widocznie istniał plan zamordowania mnie i zagrabienia osiemdziesięciu tysięcy dolarów.

Człowiek z czerwonem okiem był żywy — towarzysz jego również, ukląkłszy słyszałem wyraźnie ich oddech przez szparę trumny.

Przypomniałem sobie, że jeden z panów, którzy przywieźli mniemane zwłoki, miał pozwolenie obejrzenia ich w Redwood.

Więc przed tą stacyją ja mam być zamordowany; umarli rozbiją skrzynię, a gentelman, który przyjdzie ich odwiedzić, przyjdzie do gotowego.

To jasne.

Za pół godziny pociąg stanie w Redwood.

Wahanie się w tym razie byłoby samobójstwem.

Szybkie i energiczne działanie mogło zapobiedz katastrofie.

Z niesłychaną szybkością porwałem kilka ciężkich pak z towarami i rzuciłem je na trumny — później jeszcze kilka.

Odetchnąłem.

Potem ściągałem na trumny wszystek bagaż, jaki miałem w wagonie.

Lokomotywa gwizdnęła.

Wjechaliśmy na stacyę.

Narobiłem alarmu.

Zwołałem wszystkich urzędników i opowiedziałem, co zaszło.

Wzięto się też do jegomości jadącego w innym wagonie.

Był niezwykle oburzony, że go śmiano posądzać o jakieś nieuczciwe zamiary.

Nie wiele mu to pomogło.

Pomimo opozycyi, związany, znalazł się wnet pod silną strażą.

Nietrudno nam było dobrać się do mnie manych trupów.

Nie usiłowali nawet się bronić, kiedy ich w tak niedelikatny sposób przywrócono do życia.

Wszyscy trzej złoczyńcy byli uzbrojeni od stóp do głów. Odprowadzono ich pod dobrą eskortą do więzienia hrabstwa Redwood...

Człowiek z czerwonem okiem uśmiechnął się do mnie i rzekł tonem protekcyjonalnym:

— Dobrze, bardzo dobrze, mój przyjacielu. Jesteś dowcipny i zajedziesz daleko. Potrzeba było wielkiej zręczności, żeby nas złapać w ten sposób.

— Dobry panie — odrzekłem — dziękuję za komplement i ubolewam nad smutkiem, w którym toniesz po śmierci zacnego brata...

I więcej nigdy w życiu nie miałem sposobności spotkać człowieka z czerwonem okiem, ponieważ interesujący ten gentleman powieszony został w Redwood, według wszelkich form procedury.

Okoliczność łagodząca.

Sędzia. Oskarżeni jesteście tedy o ważną kradzież z włamaniem; czy możecie przytoczyć coś, coby wpłynąć mogło na złagodzenie wyroku?

Oskarżony. Tak jest, panie sędzio; oto dopiero dwa tygodnie, jak wyszedłem z więzienia.

Okręt

Nad pierwszą klasą cień i lekkie chłody,
Nad drugą klasą cięży jakaś para
I komin sypie deszczem wrącej wody.
Proszę! za czworo nędznego talara
Można uniknąć piekła.. ale za to
W Paryżu nazwą cię arystokratą!

J. Słowacki (p. t. I, str. 87).

Okropność.

Szkic karnawałowy — z kropkami.

Po dachu biegał kot... kot bury z czarnem łatami na grzbiecie i z dziką namiętnością w oczach...

Śnieg padał dużemi płatami na futro jakiegoś obywatela, śpiącego przed wrotami szynkowni — a księżyc obojętnie spoglądał na innego obywatela, z którego dwaj rzezimieszkowie ściągali futro i zabierali mu kosztowności...

Kot tymczasem biegał po dachu, miaucząc przeraźliwie...

Kot był zrozpaczony...

Wolałby, żeby w tej chwili wichry miotały kurzawą, żeby kir nocy pokrył dach, po którym chodził — niestety księżyc świecił coraz jaśniej, wskazując mu na sąsiednim dachu profil wiarołomnej kotki w słuchanej w miauczenie burego rywala.

I było miauczenie rozpaczy, tryumfu i obawy, miauczenie szału, nadziei i miłości.

Szewc w suterynie kończył przybijać obcas do buta i mówił: znowu na górze śpiewają, ale już bez fortepianu.

Szwaczka na poddaszu jadła na kolacyę szklankę wody i dwa cukierki z ostatniej maskarady, dziwiąc się, zkąd do jej ucha dochodzą dźwięki walca (I szewc — i szwaczka słyszeli miauczenie kotów).

A księżyc świecił coraz jaśniej, śnieg padał coraz rzadziej — i kot ujrzał na dachu okropność, na widok której krew mu zamarzła w żyłach.

Wiarołomna kotka rzuciła się w objęcia burego lowelasa i oboje miaucząc słodko, pobiegli na coraz to inne dachy.

Kot gorzko spojrzał na świat i naprzód postanowił sobie odebrać życie.

Skoczył z dachu na ziemię, ale los przeznaczył mu wiele jeszcze do przeniesienia i ztąd samobójca upadł na nogi — jak bankier po operacyi upadłości.

Zawiedziony w miłości i w rozpaczy kot postanowił walczyć dla dobra ludzkości ze szczurami.

Jakoż wszedł do jednej kamienicy, gdzie szczury zjadały właśnie buty biednemu dryndziarzowi.

— Wzywam was — krzyknął — do walki, w której chętnie polegnę, albo was zwyciężę...

Ale szczury odrzekły mu ze śmiechem:

— Nie wyprawiaj pan po nocy awantur, bo pójdziemy po stróża, to pana wypędzi miotłą, albo pana jeszcze wezmą do cyrkułu.

Kot z oburzeniem słuchał tych obelg, tembardziej, gdy zobaczył jak mysz, wylazłszy ze sklepiku spożywczego, pokazywała mu język.

— Ha — pomyślał z goryczą kot — wszystko mię zawiodło — pójdę na służbę do starej panny.

Pobiegł pode drzwi, za któremi słyszał głos niewieści, co mu wpadał w uszy tak przyjemnie, jakby mu kto wbijał szpilki w muskuły biodrowe.

Drzwi były uchylone, wsunął się za nie.

I zobaczył...

Zobaczył istotę i suchą i cienką i brzydką, Ubrana świetnie, umalowana i upudro na, wkładała sobie sztuczne zęby w buzię.

Szła na bal marząc o... o karnawale i j następstwach.

Kot miauknął z podziwienia.

— A psik! — zapiszczała wystrojona mja.

Kot uciekł, pomyślawszy sobie, że to ch nie stara panna.

Biegł wyżej, było już późno.

Drzwi jakieś uchyliły się bez szele a w nich ukazał się kaftanik biały.

Kot wszedł po cichu.

Zobaczył pokoik mały i panienkę w ka niku, która wyglądała przezedrzwi.

Słuchał...

Panienka postawiła świecę na stole i wiła:

— Mój Boże, ciocia nie wraca do do z wieczoru, a ja się tak boję. Ciocia mi wsze mówi, żem dziecko, a pan Julijan co in go mi mówi.

Na schodach dało się słyszeć ciężkie s panie: to ciocia wracała.

Odprowadzał ją jakiś urzędnik bar młody i bardzo chudy.

Ciocia mówiła do niego pieszczotliwie:

— O dziękuję panu, dziękuję, dziś mło kobieta narażona jest na tyle nieprzyjemnoś niebezpieczeństw.

Kot spojrzał na młodą kobietę i przelą się, był to bowiem gmach, który do wytw rzenia się potrzebował najmniej lat czterdz stu z okładem.

— Ciociu — mówiła panienka w kafta ku — takem się bała.

— Nie bój się, pieszczotko — odparła ci cia — będziesz miała wujaszka, to będz w domu bezpieczniej.

Kot popatrzył na tę komedyę, jak głu i poszedł sobie dalej.

Biedny kocisko chodził ode drzwi do drzw od domu do domu, z ulicy na ulicę, wszędz widział jedno i to samo.

Widział stare jak świat rupiecie, jak się malowały, wypychały, ściskały, wzdychały, jak myślały tylko o tem, aby się wydać za mąż.

Widział takie, co im się to udawało, widział takie, co nie traciły nadziei, widział i takie, co omal nie waryjowały, doznawszy zawodu.

Tylko starej panny nie widział.

Nie znalazł też nigdzie miejsca.

Wszedł na dach, gdzie go pierwszy cios bolesny w życiu dotknął.

Na śniegu widział odciśnięte ślady stóp wiarołomnej i burego rywala.

I miauknął boleśnie... okropność!

Okulary.

Prawda to, doświadczenie uczy nas życiowe,
Że oko młodzieniaszka w wiosennem zaraniu,
Patrzy na świat przez szkiełka cudownie ró-[żowe.

Młodzieniec, gdy mu we łbie tkwi myśl o ko-[chaniu,
Gdy zacznie pieścić marzenia wyśnione,
I jest pełen nadziei — nosi szkła zielone.

Zaś stary, gdy mu wichry włosy z głowy zgar-[ną,
Gdy uzna kłopot życia za gonitwę marną,
Na marzenia, illuzye patrzy zwykle czarno.

Omnibus.

Młody jeszcze ale bardzo poważnie wyglądający mężczyzna jechał omnibusem przez górzystą część Niemiec.

Naprzeciw niego siedział Anglik z żoną i jak tylko się ściemniło wyjął z kieszeni zapałki i świecę zapalił.

— Proszę pana — powiedział podróżny Niemiec do Anglika — pan możesz stać się powodem katastrofy i powóz zapalić.

— Oh! no! — odpowiedział Anglik, zasuwając się w kąt omnibusa, przyczem świecy z rąk nie wypuszczał.

Angielka spała już, lub przynajmniej udawała, że śpi; małżonek również zamknął oczy wkrótce i po dość głośnym oddechu można było poznać, że usnął.

Palącą się świecę trzymał ciągle, a palce jego instynktownie ją ściskały.

Niemiec otworzył po cichu okno i prąd powietrza zagasił świecę.

Jednocześnie obudził się Anglik, z największym pośpiechem zapalił świecę i znowu do snu się zabierał.

— Czy pan nie możesz spać bez światła? —zapytał Niemiec.

— Oh! no!—odpowiedział Anglik; poprawił się na siedzeniu i po chwili zasnął.

Po niejakim czasie, podróżny Niemiec znowu świecę zagasił, czem zbudzony Anglik wyjął zapałki, gdy w tem na szczęście powóz stanął przed stacją i konduktor ukazał się w drzwiczkach.

Teraz wszczęła się sprzeczka o to samowolne oświetlanie pocztowego powozu, konduktor zganił postępowanie Anglika i zabronił zapalać mu świecę w dalszym ciągu.

Usłyszawszy taki wyrok syn Albjonu oświadczył, że woli wysiąść z powozu, jak zastosować się do zakazu. I w istocie kazał odwiązać swoje kufry i pomógł wysiąść żonie.

— W tem miasteczku nie znajdziesz pan porządnego noclegu—powiedział Niemiec — wróć pan lepiej na dawne miejsce i wyrzecz się tego oświetlenia.

— Oh! no! —odrzekł Anglik towarzyszowi podróży, oddalając się szybko od powozu: — Nie mogę pozwolić, abyś pan siedział w ciemności z moją żoną.

* *W omnibusie.*

Przyzwoity jakiś obywatel był właścicielem olbrzymich nóg; otyła jejmość wsiadając do omnibusu, porządnie go udeptała.

— Ach! moje nogi!—krzyknął udeptany.

— Jakto—rzekła jejmość — więc całe te nogi do pana należą?

Omyłka.

Zgubił gdzieś matkę Kupido zbłąkany;
W tym zoczył Kasię i rzekł oszukany:
„Matko! o matko!" lecz harda dziewczyna,
Nie chcąc ni gościa, ni takiego syna,
Rzekła: „Pewnie mi na łonie nie siądziesz;
Nie jestem matką." On rzekł: „Ale bę-
[dziesz."

Andrzej Morsztyn. (patrz str. 6 T. I.)

On i ona.

Było ich dwoje.....

Ona—jak głaz nieruchoma, zimna, milcząca, cicha...

On—wzrok utkwił w niej jak w bożyszczu, wzrok badawczy, głęboki, pełen zapału i zachwytu.

Ona — obojętna, zdawała się tego wcale nie odczuwać.

Duch jego gonił myślą w krainę przeszłości, szukał klucza tajemnicy zawiłej, którą pragnął usilnie odgadnąć, rozwiązać. Długo badał i pytał, lecz badał i pytał nadaremnie.

Ona — nic mu nie odpowiadała, żadnym ruchem nie zdradziła żadnej myśli.

I oboje nieporuszeni, w głębokiem pozostawali milczeniu.

On dumał, dumał długo. Szereg najśmielszych, niekiedy dziwacznych domysłów przesuwał się w jego wyobraźni. Oddałby w tej chwili swoją duszę całą życie własne i skarby świata całego za jedno jej słowo.

Ale ona milczała jak grób.

Wiosenna woń bzów i jaśminów napełniała ożywczo powietrze. Z poblizkiego gaju dolatał cichy szmer strumyka i wdzięczny świergot wesołych ptasząt, które śpiewem swoim zdawały się dziękować Stwórcy za to ożywcze słonko, jedne skruszyło lody i śniegi zimy, a świat napełniło rozkoszami wiosny.

Dla niej i dla niego wszystko to było obojętne. Nie istniała dla nich wiosna, ani urok przyrody, ani ludzie, ani świat cały.

On — wziął do ręki ołówek -- otworzył księgę, w której zwykle szkicował najdroższe pamiątki. Patrzył długo to na nią, to znów na białą kartę i wreszcie z natężoną uwagą począł kreślić konterfekt niewzruszonej.

Wzrok jego ożywiony jakimś dziwnym ogniem, biegł naprzemian co chwila do niej i do rysunku, a wmiarę ukazującej się miernej podobizny rozpromieniał się błogiem uczuciem wysokiego zadowolenia ze swej pracy.

Ona ani na chwilę szczęścia jego nie odczuwała—radości nie dzieliła.

On—był archeologiem...

Ona—popielnicą...

Zygmunt Gloger.

Opera.

— Czy byłeś pan już na operze włoskiej? —spytała dama z wielkiego świata swego sąsiada.

— Nie, gdyż nie jestem zwolennikiem nowoczesnej muzyki—odpowiedział.

-- A jednak kochany hrabio, brat pański nie opuszcza żadnego przedstawienia.

— Wiem, i sam bym to robił, gdybym był tak jak on głuchy.

Operacyja.

Książe de Grammont w bitwie pod Wörth miał zgruchotaną rękę.

Trzeba było robić operację w stawie ramieniowym i chirurg ambulansowy zabierał się księcia chloroformować.

Kapelan wojskowy obecny temu, zaczął wymyślać na wynalazcę chloroformu, utrzymując, że jest obrazą Boga znieczulać się na ból, który Bóg jako zasłużoną karę zsyła na ludzi.

— Cóż pan powiesz na to - rzekł książe wąchając podany mu narkotyk—jeżeli dowiodę panu, że Bóg pierwszy użył znieczulającego środka przy operacji. Czyś pan nie czy-

tał w Biblji, że Bóg, gdy wyjmował żebro Adamowi, pogrążył go w głębokim śnie?

Opinja.

Mój przyjaciel, Kalasanty,
Był mężem niezwykłej miary:
Jadł, pił, pożyczał na fanty
I ciułał bite talary.

Za jakąś wekslową chryję
Przesiedział rok na uboczu,
Raz dostał w twarz, a raz kije;
Potem straciłem go z oczu.

Nagle, widzę go w Tryjeście,
Z duszą cokolwiek zbolałą,
Miał on majątek nareszcie,
Ale humoru zbyt mało.

Biedak, lękał się opinji,
Stał się drażliwy i dziki,
Do brata, gdzieś tam w Wirginji
Chciał jechać, do Ameryki.

Odradzałem.—Zostań—rzekłem—
Spocznij po żywota trudzie,
Kraj nasz nie jest jeszcze piekłem,
Wierz mi i u nas są ludzie.—

Został. Podobno we Lwowie
Otwiera dom. A Wirginja?
Głupstwo, ani mu już w głowie!
Pojechała tam—opinja.

M. Rodoć.

Opowiadanie.

Kurtys. Któż to woła tak ziębniętym głosem?

Grumijo. Kawałek lodu; jeżeli nie wierzysz, to możesz się ześlizgnąć po mnie od grzbietu, aż do pięt, tak szybko, jak od głowy do karku. Zapalno na kominku, mój Kurtysie.

Kurtys. Czy nasz pan z żoną przyjeżdża?

Grumijo. Niestety! tak, mój Kurtysie: dlatego pomyśl o ogniu.

Kurtys. Jestże ona taką gorączką i przekorą jak mówią?

Grumijo. Była taką, mój Kurtysku, przed tym mrozem; ale zimno zdolne jest, jak wiesz, ugłaskać każdą kobietę, każdego mężczyznę, i każde bydlę; bo ugłaskało starego mego pana, moją nową panię i mnie samego. Ale rusz no się i rozniećogień, bo pani lada chwila nadjedzie, i za swoje uchybienie w służbie nieochybnie dostałbyś guza.

Kurtys. Powiedz mi, proszę, Grumijo, co się tam święci na świecie?

Grumijo. Oziębłość braciszku, oziębłość wszędzie, wyjąwszy przy ciepłym kominku. Dlatego rób ogień co żywo: nasze państwo zmarzło już chyba na śmierć.

Kurtys. Już się pali; a teraz powiedz mi co nowego.

Grumijo. Cud się stał; jednego razu dziad przemówił do obrazu, a obraz do niego ani razu.

Kurtys. Idź do licha, to są niesmaczne odgrzewanki.

Grumijo. Jakżebym to był odegrzał, kiedy sam siebie nie mam przy czem. Gdzie kucharz? Czy wieczerza gotowa, pokoje uprzątnięte, podłogi wysypane sitowiem, pajęczyny pomiecione, pachołki w nowych opończach i białych pończochach, a lokaje w sukniach galowych? Czy naczynia szklane pomyte, kubki wypolerowane, firanki założone; każda rzecz w porządku?

Kurtys. Wszystko w porządku należytym powiedzże mi teraz co nowego?

Grumijo. Dowiedz się najsamprzód, że mój koń się shasał i że nasz pan i nasza pani wpadli na siebie...

Kurtys. Jakto? w gniew wpadli?

Grumijo. Nie, w błoto; po spadnięciu z siodła: ciekawa to historya.

Kurtys. Kochany Grumku, niechże ją usłyszę.

Grumijo. Nadstaw ucha.

Kurtys. Oto jest.

Grumijo. Oto masz.

(Daje mu policzek).

Kurtys. Taką historyę czuje się, nie słyszy.

Grumijo. Dla tego też taka historya zowie się czułą historyą; a to uderzenie właściwe było tylko zapukanie do twego ucha z prośbą o posłuchanie. Zaczynam: Imprimis zjeżdżaliśmy z błotnistego wzgórka; nasz pan jechał z tyłu naszej pani...

Kurtys. Oboje na jednym koniu?

Grumijo. Co przez to rozumiesz?

Kurtys. Rozumiem jednego konia.

Grumijo. Opowiedzże sobie resztę sam. Gdybyś mi nie był przerwał, byłbyś był usłyszał, jak jej koń padł, a ona padła pod konia, byłbyś był usłyszał, jak się to stało, w jak nieczystem miejscu i jak się ona zabrukała; jak on ją zostawił leżącą pod koniem; jak mnie bić zaczął za to, że jej koń się potknął; jak ona brnęła przez błoto, aby go odemnie oderwać; jak on klął; jak ona błagała; jak ja krzyczałem; jak konie uciekały; jak się jej podpinka zerwała; jak ja zgubiłem podogonie i wiele innych rzeczy godnych pamięci, które teraz zginą w zapomnieniu, a ty w nieświadomości zstąpisz do grobu.

Kurtys. Z tego kalkulując, to on jest większy złośnik, niż ona.

Grumijo. Nieinaczej; przekonasz się o tem sam i inni, jak przyjedzie. Ale czego ja tu gawędzę? Przywołaj Natanela, Józefa, Mikołaja, Filipa, Waltera i innych: niech sobie gładko włosy uczeszą, wyczyszczą swoje niebieskie surduty i podwiązki przyzwoicie zawiążą; niech się kłaniają lewą nogą i niech się nie ważą w ogonie konia pańskiego tknąć i włosa, dopóki sobie wprzód nie pocałują ręki. Sąż oni wszyscy w pogotowiu.

Kurtys. Są wszyscy.

Grumijo. Zawołaj ich.

Kurtys. Słuchajcieno! hej! Macie wyjść na spotkanie pana, dla zrobienia honoru naszej pani.

Grumijo. Onać ma honor bez nich.

Kurtys. Któż o tem nie wie?

Grumijo. Czegóż wzywasz ludzi, żeby jej honor robili?

Kurtys. Chciałem powiedzieć, dla oddania jej honoru.

Grumijo. Alboż im ona honoru pożyczyła?

Szekspir. (p. t. I, str. 92.)

*

(Rzecz dzieje się w salonie, towarzystwo złożone z płci obojej podzielone na kółka, ugrupowane na krzesłach, kanapach, fotelach, kozetach i t. p.)

Opowiadający. Dziwne bo też niekiedy bywają zdarzenia. Znajoma moja, pani Z. będąc jeszcze panną, podarowała dzisiejszemu swemu mężowi zaręczynowy pierścionek. Śliczny pierścień z dużym turkusem. Trzeba nieszczęścia, że nie później jak w drugim roku małżeńskiego pożycia pan Z. gubi ów pierścionek. Pojmujecie państwo, że jak mąż, tak żona nader byli strapieni tą przygodą, już nie tyle dla wartości sygnetu, są to bowiem ludzie zamożni, ile głównie ze względu na jego pamiątkowe znaczenie. Obszukano starannie wszystkie zakątki, poprzestawiano meble, poprzetrząsano dywany, wszystko napróżno, pierścionek się nie znalazł. Więcej jak pół roku po tem zdarzeniu, kiedy już prawie o nim zapomniano, w samą wigilję Bożego Narodzenia, pani Z. jak zwykle zrobiła dość znaczny zakup ryb za Żelazną Bramą. Podczas kolacji młoda gospodyni sama zabiera się do rozbierania olbrzymiego szczupaka, rozkraiwa i... pokazuje się...

Kilka dam. A to szczególne!

Inny głos. Dziwny wypadek!

Opowiadający (w dalszym ciągu). Pokazuje się, że są same oście, bo szczupaki w tym roku były nader chude.

Kilka głosów. No, a pierścionek!?

Opowiadający. Pierścionek, wyobraźcie sobie państwo, nie znalazł się do tej pory, jak kamień w wodę.

Orędzie

do jaśnie wielmożnych, wielmożnych, a przytem przez grzeczność i do innych... panów.

Stając przed wami z bladem od wzruszenia [czołem,
Mam zaszczyt rzec, iż mimo piekielnej intry- [gi,
Służyć wam będę znowu, gdy przyjdą wyścigi,
Bo choć chciano mi odjąć życie — nie zginą- [łem.

A więc, głowy do góry!... rozjaśnijcie lica,
Które na znak żałoby po mnie we łzach mo- [kną;
Rzucać złoto możecie jak dawniej... za okno,
I używać *emocyi*, co was tak zachwyca.

I wznosząc się w nadziei nadpowietrzne kraje
Patrzeć na to, jak każdy zwykły kantorzy- [sta
Za rubla, z przyjemności tak jak wy korzysta
I śmie wasze szlachetne małpować zwyczaje.

I znów serca, panowie, żywiej wam zabiją:
Gdy w ponętnym galopie wysunie się na tor
Midas, Daniel, miss Oven, Przedświt lub Gla- [dyjator —
Śledźcie jak wielką będzie wygrana — i czyją.

I znów, co bądź nudziarze na was rzekną nie- [cni,
Odtąd zbywać szyderstwem będziecie już [w prawie,
Bo jak tylko czas przyjdzie wyścigów w War- [szawie,
Wy, dla mnie i przeze mnie będziecie — *obecni.*

Totalizator.

Ordery.

Pfrenger, podpułkownik, były zawiadowca wojskowych łaźni w Karlsbadzie, osobistość znana i szanowana przez całe tamtejsze towarzystwo kąpielowe, był przy cokolwiek despotycznym charakterze, człowiekiem nieskazitelnej uczciwości.

Był on ruchomą kolekcyją wszystkich orderów i medali, jakie w stacyjach kąpielowych są rozdawane. Tylko austryjackiego orderu żadnego nie posiadał.

Gdy cesarz austryjacki przybył do Karlsbadu, Pfrenger przyjmował go okryty wszystkiemi orderami.

Monarcha zadziwiony zapytał:

— Pan byłeś pod Lipskiem?

— Nie, najjaśniejszy panie.

— Więc pod Nawarrą?

— Nie, najjaśniejszy panie.

— Więc pod Magentą?

— Ani pod Magentą, najjaśniejszy panie.

— Więc gdzież byłeś, panie podpułkowniku? — spytał zdziwiony cesarz.

— Byłem, najjaśniejszy panie — byłem — w łaźniach wojskowych.

Można sobie wyobrazić, jak się cesarz uśmiał z tej wiadomości.

Orestes i Pylades.

Poznałem ich w restauracyi, a kilka wyrazów sprawiły to, żem od razu do nich przylgnął. Po kolacyi bowiem, gdy Orest zapytał Pyladesa: „mój drogi, gdzie są papierosy?” ten mu je podał ze swojej cygarnicy.

A w chwilę później Pylades rzekł do Oresta:

— Czy ty wziąłeś portmonetkę?

— Ja — odparł Orest.

— No to płać — zakończył Pylades — i idźmy do domu.

Ludzie, którzy posiadają wspólne papierosy i portmonetkę, zasługują na uwagę.

W pierwszej chwili sądziłem, że są to jacyś wyjątkowi bracia, lecz objaśniono mnie, że to tylko dobrzy znajomi.

— Bardzo dobrzy znajomi — dodałem w duchu i złożyłem im wizytę.

W drodze ich wspólny przyjaciel powiedział mi, że gdy pewnego razu ktoś w złośliwy sposób odezwał się o dochodach Oresta, Pylades wyzwał go na pojedynek. Szczęściem Orest, dowiedziawszy się o zajściu, za-

czepił swego oszczercę i zapowiedział, że zabije go, jeżeli Pyladesowi spadnie bodaj włos z głowy.

W obec tego oszczerca cofnął się i przeprosił obu przyjaciół.

Zapoznawszy się z tak wyjątkowymi ludźmi, odkrywałem w nich coraz nowe dowody wzajemnego przywiązania.

Oto, co się trafiło zeszłego karnawału.

Byłem u Oresta w godzinie, w której wybierał się na maskaradową schadzkę.

Już kazał przynieść bieliznę i balowy garnitur, gdy wszedł Pylades.

— Co ci jest? — zapytał go Orest, spostrzegłszy niezwykły odcień na twarzy przyjaciela...

– Mam schadzkę na maskaradzie — odparł zapytany — no, ale cóż, kiedy mi nie odnieśli fraka...

— Więc bierz mój — zawołał Orest.

— Tak, ale w dodatku praczka nie oddała mi koszuli.

— Moja jest w tej chwili kupiona, niechże ci służy — dodał Orest i trochę pobladł.

— A tobie co? — spytał zalękniony Pylades, patrząc przyjacielowi w oczy.

Orest milczał; za to ja się odezwałem:

— Ma schadzkę na maskaradzie.

— O, facecie! — zawołał Pylades, ściskając przyjaciela. — I ty myślisz, że ja w podobnych warunkach wziąłbym twój frak i koszulę?..

A widząc, że Orest nie zmienia zamiaru, dodał poważnie:

— Jeżeli nie chcesz, ażebym z tobą zerwał, ubieraj się i idź...

Orest zaczął się ubierać i śmiejąc się, rzekł:

— Pani Zofia ma szczęście, no, no!., A go tów byłem dziś nie dotrzymać jej placu.

— Pani Zofia?.. — krzyknął Pylades.

Orest stanął przed nim jak posąg i przeszywając go wzrokiem, zapytał:

— Więc to ty miałeś się z nią dziś zobaczyć?..

— No, tak! — odpowiedział Pylades tonem szlachetnej rezygnacyi.

— Więc... ja zostanę w domu — rzekł Orest z mocą.

— Nie, zostaniemy obaj — odparł Pylades.

Przez chwilę mierzyli się wzrokiem, lecz w końcu uścisnęli się za ręce i obaj zostali.

Nie mogłem pohamować wzruszenia i ucałowałem każdego po kolei.

Przyjaźń ich wytrzymała najcięższą próbę.

Dziś — siedzą obaj w więzieniu, pod zarzutem, że fałszowali stemple.

Orestes posiadał wyjątkowy talent do niepochwytnego wyskrobywania liter K. O. P., a Pylades z nieporównanem mistrzowstwem wypisywał litery: R. U B.

Bolesław Prus (p. t. I, str. 178).

Orlandini.

Orlandini, acz nieznacząca figura i dziś zapomniana, gdyby jej rylec dowcipny Norblina nie uśmiertelnił, był przecie charakterystycznym typem epoki, wśród której w Warszawie się zjawił. Rodzice jego, jak pokazuje nazwisko, z Włoch pochodzić musieli, on sam urodził się w Polsce ze wszystkiemi wadami wieku i narodu, do którego należał. Ojciec jego trzymał garkuchnię, syn także spróbował był naprzód tego rzemiosła, pomagając sobie pochlebstwy i wszelkiego rodzaju posługami, jakie tylko przyjaciół możnych jednać mogą.

Godziwe i niegodziwe w słowniku jego nie miało miejsca, a to, co inni tak zową, on zwał tylko taniem i drogiem. Z garkuchni przeniósł się do winiarni, ale i tu podupadać zaczął; bo jak w pierwszej sam jadł najwięcej, tak w drugiej spijał co najlepszego. Najął potem dom zajezdny, utrzymywał jeszcze konie i karety, ale wszystko się jakoś nieszczęściło, gdyż pomimo zarobków, Orlandini żył nie żałując sobie, szafując dla siebie i przez to nietylko nie uzbierał, ale coraz to kapitaliku nadkąsywał.

Tak mu wiek spłynął na różnych próbkach i coraz dotkliwszych stratach, ale szastając się po świecie i stykając z panami i szlachtą, włoch grzecznością, usłużnością i dobrym humorem wielu sobie zrobił przyjaciół. Wkrótce nadeszła pedogra i odjęła mu pobrzękłe nogi, tak, że się z trudnością z miejsca na miejsce mógł przenosić. Nie było już co począć z sobą, potrzeba było żebrać, pod pozorem uzbierania nowego kapitaliku na garkuchnię czy winiarnią.

Orlandini wszakże nie puścił się na pospolitego odartego żebraka, wyciągał rękę i kapelusz, jak prawdziwy włoski lazzarone, z pewną godnością i dumą, niekiedy częstując tabaką, a zawsze jakim wesołym żarcikiem tych co go częstowali pieniędzmi.

Zasiadał zwykle od strony zamku pod krakowską bramą, latem i zimą, w godzinach zwłaszcza, gdy jechali lub wracali z zamku jego znajomi, ale na wygodnem wybitem krześle i poduszkach skórzanych.

Ujrzawszy zdala karetę, powstawał bardzo zręcznie na dwóch kulach, bez których obejść się nie mógł, zdejmował trójgraniasty kapelusz ze starej pożółkłej peruki i z uśmiechem dobrej znajomości witał przybywających. Rzadki był dzień, żeby jednego lub więcej dukatów nie nazbierał, król regularnie ile razy do miasta jechał, kazał koniuszemu rzucać mu pół talarka, ale to było niechybne jak pensya. Inni panowie hojniejsi niekiedy aż do kilku dukatów pod dobry humor i za dobry koncept się posuwali.

Oprócz tego strój Orlandiniego dowodził, że nań spadały resztki z garderoby Jaśnie Wielmożnych: wychodzone ich suknie i kamizele wszystko na nim aż do futerka, pokrytego niebieskim suknem, które był darował. Brunet, kamerdyner królewski, do haftowanej westy hetmana Branickiego, fraka sutego z guzami stalowemi od kasztelana Łukowskiego i mankietów zżółkłych, wyciągnionych z garderoby marszałka koronnego—pochodziło nie z tandety, ale z darów.

I teraz mu się lepiej ze wszech miar działo pod krakowską bramą, niżeli dawniej na handlu; — stary nie żałował sobie, bo miał z czego. Znać też było po twarzy pełnej rumianej, rozweselonej i po spasłym brzuchu, który się ledwie mieścił w trochę przyciasnej kamizelce hetmańskiej, że Orlandini głodem nie marł.

Nie wyglądał on wcale na żebraka, tak dumnie w tej dnia godzinie spoglądał z wysokości swojego krzesełka na pracujący i krzątający się motłoch, nie spodziewając się karety o tej porze, gdyż dla karet inną miał minę.

J. I. Kraszewski: „Dyjabeł". (p. t. I, str. 250.)

Ornitologja porównawcza.

Bona a wrona, ptaszek to jednaki,
Jedna i druga niweczy pędraki,
I gnębi rody małoletnich ślicznie,
Pierwsza moralnie — a druga fizycznie.

W tym czterowierszu będzie rzecz króciutka,
Że złoty młodzian podobny do dudka,
Ciągle się kręci i skacze do zbytku,
A nie masz z niego dobra, ni pożytku...

Wysoki żuraw to magnat krajowy,
Co znieść nie może aury zimowej...
Wiedz mości panie, co masz krew tak skrzepłą,
Że to nie sztuka być w domu — gdy ciepło...

Orzechy.

Jak pan Jan wyszedł na orzechach.

Pan Jan, którego w początkach kawalerskiego życia nie jedna nie jeden raz zdołała naciągnąć porządnie, przyszedłszy jak mu się zdawało do rozumu, stał się nieprzyjacielem zawziętym wszystkich fałszywych dodatków, któremi kobiety podnoszą swe wdzięki.

Niech zobaczył na buzi ślad pudru, albo na rzęsach ślad czarnego ołówka, nie chciał

już spojrzeć na pannę, która tych środków używała.

Nikt go nie mógł tedy złowić do małżeńskiej sieci.

Napróżno ciągnął go ten i ów, próżno go chciała ta i owa.

— Nie głupim — odpowiadał pan Jan — ja nie chcę żadnego fałszu...

Tak było aż do zeszłego roku, gdy na jesieni poznał się z panną Klotyldą, przestarzałą już co prawda, ale za to bardzo szczwaną panną.

Ta bardzo prędko, poznała czem pachnie nasz bohater...

Od chwili prawie poznania się z nim, przestała używać kosmetyków, z wyjątkiem naturalnie takich, których użycia nikt się domyśleć nie może, wymyślała przytem co się zmieści na takie, co sztuką przychodzą w pomoc naturze.

— Gdyby mnie kto pokochał, musiałby mnie wziąć taką, jaką jestem, bez żadnych dodatków — powiedziała do Jana pewnego razu, a Jan wróciwszy do domu, powiedział sobie:

— Wezmę ją bez żadnych dodatków.

Przyjaciele mówili mu, że Klotylda jest stara.

— Niech będzie stara.

Mówili mu, że jest żółta i ma pomarszczoną skórę.

— Niech będzie i żółta i niech ma skórę jaką ma.

Któryś z nich powiedział mu nawet, że ma fałszywe zęby.

To było zanadto dla Jana, powtórzył tę kalumnję przed Klotyldą.

Panna zaśmiała się spazmatycznie, a następnie wyjąwszy z kieszeni garść orzechów tureckich, rzekła:

— Patrz pan!

I zgryzła jeden po drugim pięć orzechów i zdumionemu Janowi pokazała łupiny.

Jan w odpowiedzi na to, oświadczył się.

I dziś za to ma żonę starą, kapryśną, żółtą, a w dodatku i bez jednego zęba.

Zaraz po ślubie przyniesiono mu rachunek od dentysty...

Panna Klotylda albowiem nie chcąc się wydać z brakiem zębów, przygotowała sobie na zapas kilkanaście stłuczonych już orzechów.

Dziś pan Jan żałuje gorzko, tego co zrobił, bo za całą pociechę w utrapieniu ma to zdobyte ciężkie przeświadczenie, że kobieta jak chce to i dyjabła samego wyprowadzi w pole.

Osioł.

Na przyjęcie panującego księcia B., oczekuje burmistrz miasta, stojąc na peronie dworca kolejowego w gronie znakomitszych urzędników.

W około burmistrza tłoczy się ciekawy tłum, w którego pierwszych rzędach znajduje się jak zwyle młodzież szkolna, utrzymywana z największym trudem w należnych dostojnemu gościowi granicach.

Pociąg zatrzymuje się, jego wysokość wysiada wśród grzmiących okrzyków, a burmistrz powtarzając po cichu wyuczoną mowę, prowadzi księcia do salonu pierwszej klasy i drzwi za sobą zamyka.

Jeden z gimnazistów rozgniewany tem, że ani on ani jego towarzysze nie zobaczą najważniejszej części przyjęcia, to jest nie posłyszą przemowy burmistrza, otwiera zamknięte mu przed nosem drzwi, wołając:

— „Ośle!"

Burmistrz blednie ze strachu, zbiera się jednak na energję i przemawia, zwracając się do księcia:

— Niech wasza wysokość daruje, ten hultaj do mnie mówił, a nie do waszej wysokości.

—o—

Tak się raz osioł dąsał,
Tak się też z innych natrząsał
Taki był pyszny, zuchwały,
Że go zwierzęta nie poznały;

Pojąć nie można było,
Co mu się zrobiło.
Nakoniec wszystkim dowodził,
Że się szlachcicem urodził;
Dwie godziny o tem gadał:
Powiadał,
Co to miał przodków, a zwłaszcza jak [sławnych,
Jak niezmiernie dawnych,
Wyliczał lata za laty,
Jak się ciągnęły jego antenaty,
Jak się wznosiły do góry,
Cora w większą sławę rosły,
Jakie to były głowy: figury,
Co to były za osły!
A lis mu na to: jakżeś nierozsądny,
Zawsze twoich chwalisz przodków,
I ty nie jesteś z wyrodków
I z ciebie osioł porządny!

Franciszek Morawski.

—o—

Trzej młodzi chłopcy, wyszedłszy na spacer, spotkali żyda w podeszłym wieku, z którego umyślili zażartować:

— Dzień dobry, ojcze Abrahamie — rzekł pierwszy.

— Dzień dobry, ojcze Izaaku — rzekł drugi.

— Dzień dobry, ojcze Jakóbie — rzekł trzeci.

— Mylicie się, moi panowie — odpowie żyd — gdyż ja nie jestem ani Abrahamem, ani Izaakiem, ani Jakóbem, ale Saulem synem Kisa, który wyszedł szukać osłów ojca swojego i otóż was przecie znajduję.

* *Osioł i barany.*

(Bajka).

Gdzieś w polu, skubiąc trawę przy drodze nad [rowem,
Idące stado osioł zapytał tem słowem:
— Jak się macie barany, dokąd to waszecie,
Tak gromadnie z zapałem tu tędy idziecie;
Jaki cel was prowadzi, czy idziecie sami,
Powiedźcie, jeśli piękny, pójdę i ja z wami!
— Drogi ośle — rzekł baran idący na prze- [dzie,
A co nas to obchodzi, kto i dokąd wiedzie,
Ot, idziemy przed siebie, kiedyś ciekaw za- [tem,
Pytaj tego, co idzie tam za nami z batem.
I stado poszło dalej drożyną przez łany,
A osioł, kłapiąc uchem, wyszeptał — barany!

J. Waśniewski. (p. t. I, str. 30).

* *Osioł i cielę.*

Jaki też to osieł ze mnie!
Tak się raz cielę łajało;
Że się przelękło daremnie
I jak glupie uciekało.

Ale gdy się tak rozwodzi,
Jakieś oślątko nadchodzi;
Idzie, idzie zadumane,
Łbem się uderza o ścianę
I mówi, myśląc nie wiele:
Jakie też to ze mnie cielę!

Tak i ludzie z siebie szydzą
I w swych błędach drugich widzą.

Fr. Morawski.

* *Osioł i Jacek.*

Biedził się Jacek od dobrej godziny,
Nie mógł osłowi poradzić;
Niewiedzieć z jakiej przyczyny,
Nie dał się przez most prowadzić.
Nie pójdę, rzecze, dość tych dziwactw [znoszę,
Męczę się, niszczę i już ledwo łażę;
Ja mam iść naprzód, i d a czego proszę?
Wielka przyczyna, że tak Jacek każe!
Jacek tymczasem na nowo go zmusza,
Ciągnie za uszy, kijem, drągiem ćwiczy.
Osioł nietylko, że naprzód nie rusza,
Jeszcze się cofa i ryczy.
Niechże cię wreszcie jasny piorun trzaśnie!
Gniewny Jacek wrzaśnie —
Nic ja tu z tobą nie zrobię;

Gdy mu w tem nagle błyśnie myśl szczę-
[śliwa,
Leci w tył, osła za ogon porywa
I silnie ciągnie ku sobie.
Ho! ho! rozumiem, Jacek plan swój zmie-
[nia,
Domyślny osieł zawoła:
Widząc, że naprzód znaglić mnie nie zdo-
[ła,
Chce mnie zmusić do cofnienia.
Otóż nie zmusi: w tej chwili zobaczy,
Co to osieł znaczy.
Rzekłszy to, jakby sparzony ukropem,
Myśląc, że cudów dokona,
Zrywa się, rusza i przez most galopem
Leci z Jackiem u ogona.

Są i wśród ludzi istoty tak dziwne,
Sprzeczne, przekorne, jakby krnąbrne
[dzieci;
Lecz udaj zdanie twojemu przeciwne,
A osieł przez most poleci.

Fr. Morawski.

* *Osioł i Pies.*

„Jeżeli chcesz ośle, by pies kochał ciebie,
Kochaj że ty psa", słowa są Lokmana.
Rozumiał je nasz osioł, boć już nie był źrebię,
Ale z nich drwił. Ta lekkość jak była skara-
[na,
Opowiem dla was, bydląt potomnych nauki.
Ten osioł nosząc, jak zazwyczaj juki,
Szedł w ślad za panem, a za nim z tyłu,
Mający nad jukami i bydlęciem dozór,
Ledwie widny w kłębach pyłu,
Biegł pies, wywiesiwszy ozór.
Bogdaj takich dozorców! Przez drogi czas
[wszystek
Nie tknął się swego podwładnego łydek;
Owszem, bawiąc go, to z boku harcuje,
To się naprzód wysforuje,
Ogonem wciąż dla zachętu
Krętu — wętu.
Szli tak aż do południa.
Pan na skwar narzekał,
Siadł pod drzewem i zasnął.
Tegoć osioł czekał.
Obejrzał się, najprzód darń przy drodze sie-
[kał!
Potem podstrzygać zaczął czubek miedzy;
Nakoniec przez rów hopsa!
Widzi się w łące,
Jakoś mimo wiedzy.
Nie znalazł-ci tam przysmaków
Chwastowiska ni bodziaków,
Lecz koniczyny do pasa.
„Będziesz się miała z pyszna!
Tylko ty człowiecze
Zmiłuj się śpij!" Tak westchnął; siecze a sie-
[cze.

Psu oskoma i pokusa:
„Mój osłosiu, od rana jestem na czczo, mdli
[mię;
Ty masz wędzonkę w jukach, aż ztąd czuć po
[dymie:
Pozwól, że dam jej całusa!
Wiesz jak zrobim? Ja stanę na łapy dębkiem
A ty przyklęknij na jedno kolano."
Nasz egoista, jakby do muru gadano,
Siecze a żuje milcząc. Aż wreszcie półgęb-
[kiem
Wypchanym koniczyną: „Co się tu wałęsasz?
Poszedłbyś psie do nogi! Jak jegomość wsta-
[nie,
Da ci się śniadanie."
Odpowiedzi nie czekał
I obuszcząk znowu
Tak zarwał trawy,
Że aż wygryzł w ziemi dołek,
Klnąc psa, że mu przeszkadza.
W tem, nagle, z za rogu,
Błysnął ku niemu parą krwawych świec wil-
[kołek,
Biorąc go na cel i na tuj.
Wtedy do psa: „Bracie broń, ciu ciu na tu, ra-
[tuj!"
A pies: „Ja nie twój ratuj, ani twój pan Bro-
[niec,
Nie wrzeszcz i łąki nie tratuj;
Czekaj, aż jegomość wstanie

Na waści obronienie i poratowanie."
W tejże chwili, wilk osła dorżnął.
Ot i koniec.

A. Mickiewicz (p. t. I, str. 19).

* *Kto jest osłem?*

Do znakomitego okulisty w stolicy przyszła jakaś dama radzić się na osłabienie wzroku.

Znać było po niej, że to była osoba bogata i wyższego stanowiska.

Doktór potakiwał głową i oświadczył zbadawszy oczy, że choroba wymaga długiego i troskliwego leczenia, gdyż należy się obawiać czarnej katarakty.

Ponieważ chora oświadczyła w ciągu rozmowy, że mieszka na wsi, doktór zawyrokował, że winna przedewszystkiem przenieść się do miasta, by ją mógł codzień widywać.

Bogata pani wynajęła w mieście eleganckie pomieszkanie.

Doktór odwiedzał ją troskliwie, zapisując to i owo od czasu do czasu.

Tygodnie upływały, potem miesiące, a wyzdrowienie jakoś nie przychodziło. Doktór dodawał otuchy. Wtem pacyentce przyszedł pewien pomysł do głowy, który uskutecznić nie omieszkała.

Przebrała się za kobietę z ludu, włożyła czepek na głowę, parasol w rękę, kosz na plecy i w dżdżysty błotny dzień poszła do doktora.

Tak była zmieniona i zeszpecona tem przebraniem, że nikt na świecie nie zdołałby ją poznać.

Gdy weszła do gabinetu:

— Co ci dolega, dobra kobieto? — spytał znakomity eskulap.

— Oczy, panie doktorze.

— Poczekaj, opatrzę je — powiedział doktór, dając jej znak, by podeszła do okna.

Opatrzył oczy, nie poznając, kto była.

Wzruszył ramionami, mówiąc:

— Nie rozumiem, co ci się przywidziało. Masz oczy zupełnie zdrowe.

— Zdrowe?

— No tak; przecież się znam na tem!

— A mnie powiedziano, że ja mam dostać jakąś ka... ka... nie wiem jak to się nazywa.

— Katarakta?

— Tak, właśnie.

— Katarakta jest to zupełne zaniewidzenie.

— Właśnie tem mi zagrożono.

— Otóż ja wam mówię, nie wierzcie temu, macie oczy trochę osłabione i to wszystko.

— A jednak to doktór mnie mówił.

— Więc twój doktór jest osłem.

— Osłem?

— Tak, osłem, jeszcze raz powtarzam; możesz mu powiedzieć, żeś to ode mnie słyszała.

— Jeżeli tak — rzekła dama, przybierając dawniejszą postawę i głos — sam pan mu to powiedz. To pan jesteś owym doktorem. Czy mnie nie poznajesz?

Można sobie wyobrazić pomieszanie znakomitego oszusta.

— Łaskawa pani... — wyjąknął.

Ale pani nie chciała słuchać jego usprawiedliwiań.

Wyszła i nie wróciła więcej.

* *Osły wybawcami.*

Znaną jest rzeczą, jak gęsi wybawiły Kapitol; podobną przysługę wyświadczyły osły unjonistom podczas krwawej wojny amerykańskiej, a to w następujący sposób: Przed obozem jenerała unjonistów Hoocher'a znajdował się park artyleryjny, obok zaś ogrodzone miejsce, w którym stało 300 osłów umontowanych do pociągów. Skonfederowani południowcy ułożyli napad nocny na obóz unjonistów. Pierwsze strzały przestraszyły długouchów: w całem stadzie powstał popłoch niesłychany, pchając się jedne na drugich, połamały palisady i pędziły naprzód; przypadek zdarzył, że trafiły wprost na linję nieprzyjacielską. Wśród ciemności nocy, skonfederowani wyobrazili sobie, że ich napadła szarża ciężkiej kawaleryi i rzucili się do ucieczki, jeden przez drugiego, zostawiwszy wszystkie bagaże i sześćset nowych karabinów. I tak

osły same, nie rozumiejąc doniosłości swego czynu, zmusiły do ucieczki nieprzyjaciela i wybawiły unjonistów może od ciężkiej klęski.

—o—

Pewien pan tak się rozgniewał na swojego plenipotenta, iż w zapale rzekł:

— WPan bardzo podobny jesteś do osła!

— Czy podobny jestem, tego nie wiem, ale to wiem, że nieraz miałem honor zastępować W-go Pana.

Oszukany.

Pewien właściciel domu postanowił sobie nie wynajmować mieszkań lokatorom mającym dzieci; wiedzący o tem pewien ojciec rodziny ułożył sobie podejść nieludzkiego gospodarza, co mu się też doskonale udało.

Obejrzawszy wybrane mieszkanie, przyszedł zapytać o ostateczne warunki.

— Czy pan masz dzieci? — zapytuje najprzód gospodarz.

— Niestety, wszystkie są na cmentarzu! — odpowiada zapytany z westchnieniem bolesnem.

Gospodarz uradowany, że znalazł lokatora, jakiego sobie życzył, opuścił mu jeszcze cenę komornego i podpisał kontrakt najmu na lat kilka. Ale jakież było jego zdziwienie, gdy ów lokator, którego miał za bezdzietnego, wprowadza się z pięcioma pociechami!

— Co to jest? — woła przybiegając – cóż to za dzieci?

— Wszystkie moje — odpowiada nowy lokator.

— Przecież pan powiedziałeś najwyraźniej, że wszystkie są na cmentarzu?

— Rzeczywiście, panie gospodarzu, właśnie tego dnia, kiedy mieszkanie godziłem, był pogrzeb mojego wuja, a moja żona i dzieci odprowadziły go na miejsce wiecznego spoczynku.

Gospodarz, zrozumiawszy podejście, rwał sobie włosy ze złości, ale nie było rady, kontrakt był podpisany, a lokator ani chciał słyszeć o zerwaniu, nawet za ofiarowane znaczne odstępne.

Oszust.

Za czasów Karola II, króla Anglji, pewien oszust zdobył się na taką efronteryę, że świetnie przybrany, wkręcił się na uroczystość dworską. Król łapie na uczynku tego jegomości, jak zręcznie wyciąga z kieszeni jakiegoś lorda bogatą tabakierkę, ale wytrawny ten łotr, nie detonując się tem wcale, kładzie palec na ustach i nakazuje królowi milczenie. Król bierze to za żarcik zabawny i udaje, że nic nie widzi; rzezimieszek tymczasem zrobił swoje.

(*G. Brunet, Charliana.*)

Oszczędność.

Wychwalano przed pewną damą rozum człowieka, który naprawdę był dosyć ograniczony.

— O! — odpowiedziała dama — przypuszczam, że może mieć wiele rozumu, bo go bardzo oszczędza i nigdy się z nim nie wydaje.

—o—

Złoczyńca prowadzony na szubienicę z więzienia londyńskiego, spotkał swoją matkę, która zapytała go:

— Gdzież to idziesz, mój synu?

— Na szubienicę, moja matko!

— Tak, wiesz mój kochany, że szkoda tego twojego nowego ubrania; lepiej mi go oddaj, wierz mi, że do powieszenia, dostatecznym będzie twój codzienny stary ubiór. Oszczędność przedewszystkiem!

Oświadczyny gwałtowne.

Major. Krótko mówiąc, Lauro, kocham cię!

Laura. Ależ, panie majorze! ja nie mogę wierzyć temu. .

Major. Milcz i słuchaj! ja to przecież muszę najlepiej wiedzieć!

Flieg Blät.

Ostrożność zbyteczna.

Doktór. Co panna Emilija znów mi tak blado wygląda, pewnie pani nie bierze regularnie przepisanych przezemnie żelaznych pigułek?

Emilja. Nie, panie doktorze, boję się, gdyż od kilku dni przechodzą takie częste burze, a profesor fizyki uczył nas na pensyi, że żelazo szczególniej przyciąga pioruny.

Flieg. Blät.

Otwartość.

Liczne towarzystwo zgromadzone było w pewnym zamożnym domu.

Jeden z zaproszonych panów siedział w kącie i ziewał.

— Jak widzę, nudzisz się pan? — powiedział ktoś najbliżej siedzący.

— Do niewytrzymania — odrzekł — a pan?

— O, ja również się nudzę.

— Wiesz pan co, wynośmy się coprędzej.

— Niestety, nie mogę, jestem gospodarzem domu.

Otyłość.

Monstrualna tusza księcia Arnolda Van Ravesteyn dała powód do zabawnego żartu. Miał on zwyczaj codziennie po wyjściu z Akademji, w której prezydował, przechadzać się o zmierzchu, odziany szerokim płaszczem.

Jakiś dowcipniś zrobił doniesienie, że ten gruby jegomość, przechodzący zwykle nad wieczorem tą samą drogą, przekrada wódkę. Strażnicy zaczaili się na niego i w tryumfie zaprowadzili go do biura, ciesząc się z góry nadzieją sutego wynadgrodzenia.

Ale po dokonanej rewizyi, spostrzegłszy ogromny brzuch, zamiast oczekiwanych baryłek, pospuszczali nosy na kwintę.

Oznaka cywilizacyi.

Wyjątek z dziennika podróżującego anglika: „Trzy dni błąkałem się po tej nieznanej wyspie, nie wiedząc, czy jest zamieszkałą i przez kogo; nareszcie natrafiłem na szubienicę z wisielcem jeszcze świeżym.

— Dzięki ci Boże! — wykrzyknąłem radośnie — jestem więc w kraju cywilizowanym.”

Ożenek.

Pojechał pan Remiszewski do Olszówki pod Wodzisławę do siostry swojej, ja zaś do wuja mego, p. Wojciecha Chocnoskiego; ztamtąd wziąwszy z sobą wuja i syna jego, umyśliłem sobie: nie damy za to nic, choć tej wdowie przypatrzymy się; wszak mam inną okazję gotową, jeżeli się ta nie będzie zdała, bo panny Śladkowskiej pewnie przedemną nikt nie weźmie.

Przyjechaliśmy zaś bez muzyki, żeby się to nie znaczyło, że w zaloty; ale uznawszy szczerą inklinację, i strona gospodarna zaczęła przymawiać się o muzykę; posłałem dopiero po muzykantów do Wodzisławia, których wnet przyprowadzono. Dopieroż w taniec. Pyta mnie wuj: „Cóż, podobała ci się ta wdowa?” Odpowiedziałem: „Bardzo mi się jej serce chwyciło, gdyby można mówić dziś z nią i wyrozumieć, jakim mi jest przyjacielem.” Odpowie wuj: „Mówić z nią dziś nie jest moda, bo to pierwszy dzień; ale co o przyjaźń, już ja zrozumiałem, że ci jest przyjacielem, bo ja białogłowę zaraz zrozumiem, kogo upodoba, choćby do niego i słowa nie mówiła, możesz tu nie powątpiewać w tej okazji, jeżeli się samemu podoba, pewnie cię widzę nie minie. Jakoż i gardzić nie masz czem, białogłowa poczciwa, gospodyni dobra, w domu porządek i dostatek wszelki; te wioski, co to trzyma, prawda jest, że to arenda, ale ona ma pieniądze i na Smogorzowie dożywocie. Luboć to tam uwięzili w rękach rodzonego dziecinnego stryja, u pana Jana Łąckiego, człowieka z głową niespokojną, ale ja o ciebie się nie frasuję, będziesz umiał sobie z nim postąpić. Ponieważ ci tu Pan Bóg skłonił serce, w tem jest święta wola jego, a jutro, da sam Bóg, traktować o tem będę.” Po tych

rozmowach poszedłem do tańca z nią, a przekończywszy, usiadłem obok niej. Już mi się niż i podobała, a że to z młodu była gładka, mnie się też i wtenczas jeszcze widziała młodą, i nigdybym nie rzekł, żeby miała 46 lat, i tegom potem doszedł, gdym się z nią ożenił, a ja wnosiłem, że nie ma więcej nad 30 lat. Druga racja cieszyła mnie, żem widział córeczkę ostatnią, Marysię, we dwóch latach i miałem nadzieję, że też jeszcze i dla mnie da Pan Bóg jakie chłopaczysko, jakoż byłoby a było, gdyby nie ludzka złość. Bo była wieść, że jej coś uczyniono, aby więcej nie miała popomstwa; znaleźliśmy nawet w łóżku różne rzeczy i ja sam znalazłem kilka spróchniałych sztuk z trumny. Z mego własnego doświadczenia daję każdemu upomnienie, kto to będzie czytał, że gdy się z wdową ożeni, przedewszystkiem starać się o to powinien, aby żadnej białogłowy krewnej dziecinnej nietrzymać przy sobie i owszem zaraz to z domu wyposażyć, bo u nas tego pełno było i to nas też zdradziło. Ale temu dawszy pokój, bo się to już raz na Pana Boga spuściło, wracam do owego z wdową komplementu. Mówię do niej te słowa: „Moja Mści Pani, Damie w domu W. M. M. Pani prezentuję się komplementem, ale tylko za rekwizycją Imści Pana rodzonego W. M. M. Pani wstąpiłem na czas krótki ukłonić się W. M. M. Pani; aleć tak tu upodobała mi się pasza, żebym za jedną strawę przyjął służbę do gód, a za dobrem ukontentowaniem i na dalsze nie wymówiłbym się czasy. Jeżeliby na cokolwiek przygodziła się usługa moja W. M. M. Pani, sam się dobrowolnie z tą odzywam ochotą. Bo krwawemi Marsa nasyciwszy się zabawami, już też potrzebniejszą ku starości radbym znalazł szarżę, to jest chciałbym uczyć się ekonomiki przy dobrej jakiej gospodyni, przystawszy za parobka, albo, jak tu zowią, poganiacza. W. moja wielce Mścia Pani! Jeżeli nie masz kompletu sług sobie potrzebnych, a ja w kompucie życzliwych zmieścić się mogę i jeżeli moją do twojej usługi ochotą gardzić lub akceptować będziesz, racz się namyślić, o zasługi zaś w żadną nie wchodzę kontrawersyą, aż wprzód od W. M. M. Pani usłyszę, jaką ta moja do przysługi W. M. M. Pani opowiedziana ochota przyjęta będzie wdzięcznością."

Odpowiada mi tedy tak:

„Mój Mości Panie! Prawdać to, że tu u nas w tym kraju sług od gód tak przyjmują, a kto zaś po św. Janie służbę obejmuje, już ten zasług nie może wziąć zupełnych, tylko co dyskrecyja każe. Ale to ma się rozumieć o podlejszych tylko sługach. Poważniejszy zaś sługa kiedy przystaje, już się z nim nie jednamy do gód, ale do tego czasu, o którym przystaje. Ja jednak z W. M. M Panem w ten kontrakt niechcę się wdawać, wiedząc, że W. M. M. Pan jako człowiek rycerski wielkim nauczyłeś się żyć żołdem. Ja zaś, uboga szlachcianka, mogłabym się nie zdobyć na taką zapłatę. Ale tak, radabym ja wiedziała W. M. M. wolą, czembyś się kontentował, a ja zaś obaczywszy, jeżeli temu wystarczyć będę mogła, deklaruję W. M. M. Panu i jutra nie czekając."

Ja znowu mówię:

„Moja Mościa Pani, wielka mię tu od W. M. M. Pani spotkała przymówka, ale nietylko mnie, ale i cały stan rycerski, kiedy W. M. M. Pani mizerny żołd nasz, za który trzeba krwi i życia każdej godziny nie żałować, to jest: czterdzieści a najwięcej sześć złotych, wielkim mianować raczysz żołdem. To W. M. M. Pani racz też wiedzieć, że gdyby żołnierze z tego kontenci byli żołdu, każdy i ja sam do zgrzybiałej starości pewniebym go nie odstępował, ale ponieważ tamten rzucam dla teraźniejszej szarży i W. M. M. Pani życzliwe ofiaruję usługi, to snać, że pożądanego spodziewam się żoldu, o który z W. M. M. Panią wchodzić nie chcę w targ, ale spuszczam się na respekt i tę, o której nie powątpiewam dyskrecyją czekając łaskawej od W. M. M Pani deklaracyi."

Odpowie ona:

„Mój Mości Panie, dyć to każdy, a i sam

W. M. M. Pan podobno tak czynisz, że kiedy sługę przyjmujesz, sam z nim wręcz mówisz i opowiadasz mu przyszłej jego usługi powinności i kondycyje, żeby wiedział, jako panu służyć i jakiej się też za swoje usługi spodziewać ma wdzięczności. Podobno więc to i mnie ujdzie, gdy sama przez się rozmówię się o tem z W. M. M. Panem, oraz i deklaruję, że jeżeli W. M. M. Pan tego sobie życzysz, to i dziś jeszcze, albo też dla wielkiej powagi, to już do jutra."

Na co ja znowu mówię tak:

„Nie damską, ale kawalerską W. M. M. Pani przyznać w tem muszę uwagę i rozsądek, kiedy W. M. M. Pani tę obserwujesz rzetelność, którą i moja zawsze rada widzi fantazyja: żeby w każdym terminie dobrze umyśloną prędkiem słowem deklarować intencyją; a to druga, że wdzięczniejsza jest zawsze z ust pańskich, niżeli przez kanclerzów awizacyja, której ja, jakakolwiek mię spotka, jako pożądanego od Boga wyglądam musztułuku; jeżeli pocieszna, podziękuję, jeżeli przeciwna, za złe mieć nie będę; bo snać, że niebieska nie inaczej każe ordynacyja."

Mówi mi ona na to:

„Zdobić to nikogo nie może, kto szczerą przyjaźń jawną oddaje niewdzięcznością. I ja musiałabym mieć w tem sumienia skrupuł, gdybym widząc W. M. M. Pana afekt szczery, nie miała go podobnym oddać afektem. Jeżeli więc w tem jest dobrego sługi stateczna wola i umysł, znajdzie tu pana i miejsce; zasługi zaś, że są na dyskrecyją dane, dla tegoż osobliwego mogą spodziewać się respektu."

Dopiero ja podziękowałem.

Wypisywać, co się przy afektach mówiło, byłoby siła. A potem miałem wyrostka Dzięgielowskiego, co grał na skrzypcach i śpiewał ładnie; kazałem mu zaśpiewać:

„Niech komu nadzieja ściele,
Różnych fortun na myśl wiele,
Ja już będę tryumfował,
Kiedym szczęśliwie stargował."

Domyślili się po tej pieśni, co się dzieje. Przyszedł do nas brat jej rodzony: „Wierzę! a siostrzyczko, godziłoż się to, nie radząc się nas? ale dobrze i tak, chwała Bogu!" Ona się omawia: „że w tem nic nie masz, tylko, że pieśń śpiewają takiego tekstu," lecz oni gwałtem wmawiają, „jużeś deklarowała" i piją za zdrowie *vivat*, a gdy obaczyli jej pierścień u mnie na palcu, tem bardziej poczęli tańcować, popijać, jak to w takim razie bywać zwykło. Już tedy bez wszelkiej ceremonji poczęliśmy z sobą mówić o czasie; ona powiedziała: „choćby jutro, gdyby nie piątek." Ja jednak podziękowawszy za deklaracyją skutku prędkiego, mówię: „Moja Mościa Pani! ja mam rodziców, bez których błogosławieństwa odmieniać stanu nie mogę, bo takie mam od nich przykazanie. Z łaski W. M. M. Pani dosyć mi się stało, kiedy mam słowo, którego rozumiem, że mi W. M. M. Pani dotrzymać raczysz; ja też pewnie takim nie myślę być niestatkiem, a w ostatku niech to słowo będzie na papierze; ja za dwie niedziele drogę tę objadę, wolę rodziców uczyniwszy, krewnych też tu cokolwiek z sobą sprowadziwszy, będę kłaniał W. M. M. Pani i o efekt danego słowa prosił."

Ta rzekła:

„Żadnym sposobem to być nie może, ale zaraz niech będzie, jeżeli ma co być."

Już też i pan brat Jerzy przystąpił do tej rady i namawia, prosi, żeby nie odwłóczyć, obiecując wielkie uczynności i zapisy. Jak mi tedy poczęli oboje głowę suszyć (brat z siostrą) mówiąc:

„Jeno koniecznie, żeby to w niedzielę było, dalej nie odwłóczyć; pobłogosławią tobie rodzice i potem, a jeszcze to będzie ważniejsze, kiedy obojgu błogosławić będą."

Już mi też i żal było owej kobiety, widząc jej wielki afekt i mówię: „Życzysz więc W. M. M. Pani, żeby tak było?" Odpowiada: „Życzę, Bóg widzi, bo ani wiem, czemu mi Bóg do ciebie skłonił serce." Dopiero deklarowa-

łem: „Niechże tak będzie, jak jest wola Boska i wasza!"

W niedzielę piszę list do pana Śladkowskiego, prosząc na wesele, oraz i muzykę; a tymczasem pojechaliśmy do kościoła do Mironic. Jak tam przyjechał mój Orłowski, przyjdzie Śladkowski do żony, która jeszcze leżała, powie jej to; ta porwała się z łożka i wpadła do izby w koszuli, pytając Orłowskiego: „Cóż to tam Orłowski robisz w Olszówce? sen to pewnie jakiś powiadasz, ja temu nie wierzę." Orłowski powiada: „Nie sen. Mościa Pani, bo tam już do tego czasu, nie wiem, jeżeli do ślubu nie jechali." Ona to słysząc, woła: „Mężu! co prędzej pisz list, a ty Orłowski bież co tchu do pana i proś, żeby się zatrzymał, aż my przyjedziemy; gdyby mi szyję stracić, to z tego nic nie będzie." Pobieżał Orłowski, list wziąwszy, a tu rozruch: „Zaprzęgajcie! ubieraj się!" Przybiega Orłowski. Już nas zastał w kościele. Przeczytałem list. Sama zaś kasztelanowa na końcu listu pisała: „Przez miłość Boską proszę Cię i zaklinam, zatrzymajże się z ślubem aż do mego przyjazdu; będzie to z twojem lepszem." Oddałem się więc Panu Bogu prosząc: „Boże mój w Trójcy świętej jedyny, proszę cię Stwórcę swojego, jeżeli jest z Twoją przenajświętszą wolą to moje przyszłe postanowienie, racz łaską Ducha swego przenajświętszego natchnąć serce moje, czy czekać, czy nie czekać." Skończyła się msza: mówię tedy do przyszłej żony mojej: „Mościa Pani, cóż tu uczynić, czekać czy nie?" Rzecze: „Dla Boga, nie czekać, bo oni nam zatrudnią rzeczy."

Poszliśmy więc do ołtarza; zagrano *Veni creator*, wzięliśmy ślub. Idziemy już od ołtarza, a tu wali się we drzwi pana Śladkowskiego kapela, mówiąc: „A my do usług W. M. M. Pana?" Ja rzekę: „Jużeście się spóźnili do ołtarza, ale u stołu nam to nagrodzicie."

Pojechaliśmy z gośćmi do domu, aż też dopiero jadą państwo Śladkowscy, a stanąwszy nuż się srodze na mnie gniewać i zarzucać mi: „A tak to miało być, a takie to słowo szlacheckie; przynajmniej nas było poczekać z ślubem." Ja im się omawiam, że już list przyszedł po ślubie i pierwszy teraźniejszy; darmo. Odpowiadają: „Czemuś do nas nie wstąpił tu jadąc." I na nowo w gniew. Sam pan kasztelan jednak nie uważał już na to, a podpiwszy sobie, był wesół i żonie też swojej mówił: „Już to temu dać pokój! snać, że to wola Boska, niech mu Bóg błogosławi." Ale ona gniewała się, jeść nie chciała, a przymawiała i w taniec nie poszła, aż nazajutrz; a my po staremu byliśmy weseli i tak się musiało stać, jak się Bogu podobało, nie jako ludziom, za co niech Mu będzie wieczna cześć i chwała! A pewniebym był kontent z tego ożenienia, gdyby mi tylko Pan Bóg dał chłopca jednego z nią, ale i tego niema i kłopoty wielkie ogarnęły mię dla jej dziecinnych interesów.

Zastałem tedy w Olszówce urodzaje srogie wszelkich zbóż, ale cóż kiedy zbyteczna była taniość, arenda kończyła się, trudno było zatrzymać w gumnach korzec zboża za nic; zgoła, trwoniło się tylko zboże. W tydzień po weselu jedzie pan Komorowski, podstarości nowomiejski, po ostatnią deklaracyą do mojej pani, a prawie już i na wesele i stanął z przyjaciołmi w Wodzisławiu, aż tu go żyd faktor jego pyta: „Mości Panie, każesz Wść mięsa kupić na obiad?" Odpowiada: „Nie każę, bo ja w Olszówce będę na obiedzie." Żyd rzekł: „Jabym zaś życzył tu kazać jeść gotować, bo tam Wść nie będziesz wdzięcznym gościem." Komorowski: „Czemu?" Żyd: „Temu, że tam już teraz kto inny gospodarzem, bo już temu tydzień, jak za mąż poszła." Dopiero się Komorowski uchwycił za głowę; i tak ci tam najadłszy się i przenocowawszy, nazajutrz rozjechali się. Potem zaś sobie poodsyłali owe znaki przyjaźni, pierścienie; tylko jednej poduszki nie chciał oddać. Jakeśmy się później poznali, winszował mi: „Że ci się to dostało, co się mnie było podobało; ale też za to poduszki nie wrócę, kiedy się tobie ta głowa dostała, co na niej sypiała."

Był mi jednak zawsze dobrym przyjacielem, ożenił się prędko potem, pojął wdowę, panią Brzezińską, ale tak złą kobietę, że się nieszczęśliwym nazywał i przysiągł księdzem zostać, jeżeliby go z nią Pan Bóg rozłączył; i tak się stało, bo mu prędko umarła, a on został księdzem i umarł.

(*Pamiętniki Jana Chryzostoma Paska.*)



Pacierz mężki.

Mnie też chudemu
Chłopu twojemu,
Daj żonę grzeczną,
Mądrze bezpieczną,
Daj i nadobną
Do spraw sposobną,
Daj z nią i chleba,
Boć go potrzeba.
Chocia gniewliwą
Spornie skrętliwą,
Na co dębowy
Mam plastr gotowy,
Okładać boki
Wygnać te wskoki,
By dnia każdego
Zbawić od złego.

Z ręk. XVII w.

* *Pacierz do stołu dworskiego.*

Któryś raczył zgromadzić nas do tego stołu,
Błogosław co z korzenia i co do rosołu,
Któryś stworzył z niczego niedostępne nieba,
Racz, że nam dziś przeżegnać tę to skibę chle-
[ba.
Św. Pietrze, otwarłszy niedobyte sklepy,
Błogosław nam pieczenią i to miesą z rzepy,
Miła św. Helena, z miłą św. Anną,
Przeżegnaj nam te kiszki pospołem z brytwan-
[ną,
Miły św. Adamie z swą małżonką Ewą
Przeżegnaj to, co z cukrem i to co z podlewą,
Wszystkie nasze potrawy, ba i to co z chrza-
[nem
Błogosław nam nasz Panie, mówmy wszyscy
Amen.

Z rękopismu Karmanowskiego.

* *Pacierz panieński.*

Ojcze nasz Panie,
Twoje staranie
Jest o każdego,
Człeka grzesznego.
Ty wejrzyj na mię,

Daj mi mój Panie
Męża dobrego,
Bogobojnego,
Coby robotą,
Lubą ochotą,
W domu nie błaźnił,
Robił, nie drażnił.
Pilnował swego,
Nie chciał cudzego.
Będzieć u mnie miał,
By tylko sam chciał,
Łasztem wszystkiego.
Dozna więc tego!
Za co to memi
Słowy błahemi,
Będziesz chwalony,
Błogosławiony,
Amen do końca
Wieczny obrońca.
O co się proszę
Niechaj odniosę
Że uspokoję
Wzdychanie moje.

Z ręk. XVII w.

* *Pacierz lichwiarski.*

Dziesięć procent!. Dyjablo mało!
Gdzież żyć o takim procencie?
Dawniej sto za sto się brało,
A już pół na pół to święcie!
— No... Trzeba coś dać i z siebie...
Pono wdowa — dzieci troje!
„Ojcze nasz, któryś jest w niebie,
Święć się imię Twoje."

* * *

Wdowa... No tak! — Ależ przecie
Cóż mnie, proszę do tej biedy?
Człek też był różnie na świecie,
A czy mu kto dał co kiedy?
— No... nie miała na śniadanie
— To i cóż ztąd? Cóż to! — Co ja?
„Przyjdź Królestwo Twoje, Panie...
Bądź... bądź wola Twoja!."

* * *

Dzieci?.. Tak!.. Z dziećmi nibyto
Trudniej trochę... Jeść dać trzeba,
A tu... — Żal też nad kobietą,
Żal mnie wziął — świadkiem Bóg z nieba!
— Choć to... Co? — Ludzka swawola,
Gdybyż choć były mojemi!
Ale...
„Bądź... bądź Twoja wola
Jak w niebie tak i na ziemi!"

* * *

Swawola! dzieci! Tak! — Ale..
Coby się też stało z światem,
Gdyby ich nie było wcale?
— Sam Bóg chce, by były zatem;
A gdy tak jest, to... ten tego...
— Et!.. znów na myśl mi Marysia.
— Precz z nią!..
„Chleba powszedniego
Naszego daj, daj nam dzisiaj!"

* * *

Zdradziła!.. — Hm!.. — Wdówka owa
Lepsza od niej tysiąc razy...
To możebym... A cóż? Zdrowa,
Wzrost wysoki, płeć — bez skazy!
— Och! na myśl już tej dziewczyny
Chce mi się... chce — zemsty samej!
„I odpuść nam nasze winy,
Jako i my odpuszczamy..."

* * *

Do wdówki więc!.. No, nie szkodzi!
Zwiększyć też procent miesięczny...
Wyda mi się miłość słodziej
I przytem! — pretekst zręczny
— Do wizyty... — A sumienie!
Kościół! — Bractwo! — Regulamen!
Pst!!
„Nie wwódź nas na pokuszenie,
Lecz zbaw nas od złego." Amen.

Bogumił Aspis.

* *Pacierz właściciela zajazdu.*

(Autentyczne.)

Ojcze nasz, któryś — *„Leosiu, zapisz cztery szklanki herbaty pod 5-ym numerem"* — jest

w Niebiesiech, święć się imie Twoje „*Wikta, sześć wiązek siana, czy zaniosłaś pod 3-ci numer do tego pana*" przyjdź Królestwo Twoje „*Franek będziesz ty cicho, śpij*" bądź wola Twoja.. chleba powszedniego daj nam dzisiaj „*Małgoś, z Białogona od żydówki nie brać chleba, z Chęcin tańszy*" i odpuść nam nasze winy: (tu nastała burza, bo nasz pobożniś złapał rzemiennego paska, i małemu Frankowi, który w łóżeczku już leżał, sprawił porządne lanie); jako i my odpuszczamy naszym winowajcom „*Wikta, leć, bo furman wyjeżdża, a za stajenne i za słomę nie płacił.* Amen.

Pałac.

Na wsi.

— Jakże ci się sąsiedzie podobał mój nowy pałac?

— Owszem, bardzo, brak w nim tylko jednego gościnnego pokoju.

— Dla kogo?

— Dla sekwestratora.

Pamiętniki.

Z Warszawy do Krakowa.

Krótki romans, notowany na stacyjach w dzienniczku panny Petroneli.

Warszawa o godz. 7 min 40 po południu. Otóż i skończył się zimowy sezon i letni dawno się zaczął, a nikt się jakoś nie trafia Mama posyła mię do cioci, mieszkającej pod Bochnią. „Jeśli tam nie znajdziesz jakiego głupiego — powiada mama — to już go nigdzie nie znajdziesz." Co za gadanie! Mojem zdaniem daleko lepiej było zjechać do Ciechocinka: tam na słonych wodach każdemu przychodzi myśl o osłodzeniu życia, a przytem tam samych lekarzy do tańca i samych młodych farmaceutów można liczyć na tuziny. Koleżanka moja Zosia, trochę nawet zyzowata, a znalazła sobie męża w Ciechocinku, — albo Julka Zaprzążkiewicz, no, wprawdzie nie w Ciechocinku, ale w Busku znalazła, i koniec końcem wyszła za mąż. A w Bochni co? Pożal się Boże!

Pruszków. Jadę 3-cią klassą. Pełno żydów. Wieczornym pociągiem zawsze ich jedzie najwięcej. Naprzeciwko mnie siedzi jakiś kolonista niemiec, a obok ksiądz staruszek, ustawicznie zażywający tabakę. Nie ma nawet z kim rozmawiać, a o żadnem zaintrygowaniu ani myśleć.

Grodzisk. Kolonista i ksiądz wysiedli w Brwinowie. Vis-á vis mnie usiadł jakiś brunecik z angielskiemi bakenbardami. Ubrany podług najpierwszej mody. Zkąd on się wziął? Wchodząc, powiedział „pardon." Usiadł, wyjął cygarnicę, założył papierosa bez mundsztuka „pardon," zapalił papierosa, znowu „pardon." To musi być jakiś arystokrata wyższego tonu, — jedzie sobie 3-cią klasą dla studyjów społecznych.

Ruda Guzowska. Brunet ciągle milczy, ale patrzy na mnie tak, że aż mi się ciepło robi. To jest żenujące. Czyżby się on mną zainteresował? Boże, a ja nawet nie mam ani kawałka lusterka, żeby zobaczyć, czym się nie potargała.

Radziwiłłów. Nie ma wątpliwości, że zrobiłam na nim wrażenie. Wyjął z kieszeni francuzką gazetę, niby ją czyta, ale ciągle na mnie patrzy z pod oka. Zapomniał się do tego stopnia, że gazetę trzymał do góry nogami.

Skierniewice. Wychodził do bufetu, wyszłam i ja także i śledziłam go zdaleka. Wypił dwa kieliszki wódki, zjadł butersznit z szynką i wypił dwa kufle piwa. Wziął w bufecie dwie pomarańcze. Co to będzie? Mrok zapadł, księżyc świeci jasno. Na prawo w stronę Łowicza pokazał mi wioskę, która należy do jego ciotki, wdowy po generale. Jakie kolligacje!

Rogów. Gdyśmy przystawali w Płyćwi, nieznacznie wyjął z kieszeni pomarańcze i z niewysłowionym wdziękiem prosił mnie o przyjęcie jednej. Ścisnął mnie za rękę. Co za uścisk! Konduktor zapalił lampę. On ją przysłonił niebieską zasłonką. Niechcący

potrącił mnie nogą, natychmiast przeprosił mnie znowu za rękę.

Koluszki. Boże! W bufecie wypił dwa kieliszki wódki. Czy czasem nie zepsuł sobie żołądka pomarańczą, bo była kwaśna, — a teraz biedak się leczy. Nie stracił na humorze. Owszem, zaczął opowiadać o niedogodnościach kawalerskiego życia. Powiedział, że gdyby znalazł, czego szuka, byłby najszczęśliwszym na świecie. Ach jak się wtedy spojrzał na mnie! Kończę te słowa w Rokicinach przy bladym promyku lampy. O, ta podróż będzie ważną w mojem życiu. Coby też powiedziała mama, gdyby cała rzecz ułożyła się już w drodze.

Piotrków. Wiem już, że mu na imię Józef—*Josephe*, piękne imię. Pytał mnie o moje. Powiedziałam „Petra." Utrzymuje, że najlepiej mówić *Penia*. To rozumiem. — Był w bufecie i pił parę kufelków piwa. Żar wewnętrzny trawi go.

Radomsk. Żydzi śpią jak zarżnięci. Księżyc zaszedł za chmury. Lampa ledwie się migocze. Prawie sam na sam z takim mężczyzną! To przyjemnie, ale i strach. A on jak na złość coraz staje się śmielszym.

Kłomnice. Okropność! Wsunęłam się w róg i udawałam śpiącą. On siadł obok mnie i przysunął się bardzo blizko. Uczułam jego rękę na mej dłoni,—objął mnie wpół. Otworzyłam oczy i zawołałam półgłosem: „ah!". „Tst," wyszeptał z przyciskiem i figlarnie pogroził mi palcem. Tego prześlicznego „tst" nigdy nie zapomnę. Usta nasze się spotkały. Czułam bicie jego serca. Pyta się, czy go kocham, pyta i nie czeka na odpowiedź. Powiada, że nikt jeszcze nie zrobił na nim takiego wrażenia.

Poraj. Milczenie. Nagle podniósł rękę i nakreślił na zapoconej szybie *Penia*. Ja napisałam *Józio*. Ścisnął mnie za rękę. Mówił, ażebym się koniecznie zatrzymała w Krakowie, żebym stanęła „pod Białą Różą," że on tam przyjdzie, a ma mi do powiedzenia wiele, bardzo wiele. Boże! Wyjął z sakwojażu jakąś flaszeczkę i zaczął z niej pić okropnie. Rozumiem. On pije ze zgryzoty, boi się, że jego arystokratyczni krewni nie pozwolą mu się ze mną połączyć. Co do mnie, zdecydowaną jestem na małżeństwo tajemne.

Zawiercie. Przed samym trzecim dzwonkiem jakiś pan zajrzał do wagonu i powiedział: „Józefie, gdzie się kryjesz? Hrabia już od Częstochowy pyta się o ciebie." On widocznie chciał coś cierpko odpowiedzieć, ale nie było czasu. Wagon ruszył. Jakie ma stosunki, znajomości z hrabiami!

Łazy. Śpi snem kamiennym, chrapie głośno, nakryłam go chusteczką.

Granica. Boże! Ja skonam ze wstydu. Stanęliśmy w Ząbkowicach. On spał. Ten jegomość, którego widziałam w Zawierciu, wszedł do wagonu i zaczął go budzić. „Bydlę—wycedził przez zęby — znowu się strąbił. Józefie, czy porządny sługa robi coś podobnego w drodze? Hrabia chce wziąść pantofle, idź mu ściągnij buty!" Więcej nic już nie słyszałam. Wybiegłam z wagonu jak szalona. Od Ząbkowic jadę innym wagonem. Nie oglądam się, aby się z nim nie spotkać. Do Krakowa wezmę bilet drugiej klasy. Nieszczęście!

Plagjat.

* *Z pamiętnika kolejowego.*

Ujrzałem ją rano o godzinie *10 min. 11.*

O *12 min. 3* już była na *stacyi* w mojem sercu... Sam nie wiedziałem, jak i kiedy została *zawiadowcą* moich czynności, *naczelnikiem ruchu* mych myśli i wszystkich *wydziałów* serca...

Jechało to, panie dobrodzieju, *sznelcugiem...*

Oczy jej wyglądały jak *latarnie lokomotywy* wśród nocy czarnej; kochałem ją szalenie i włóczyłem się za nią jak *tender.*

Chciałem *zwekslować relsy* mego życia, zejść z *linji* kawalerskiej i puścić się prosto, bez względu na *spadki* i *łuki* do *stacyi* hymenu, urządzić sobie zupełnie nowy *rozkład jazdy* mego życia i zmienić *taryfę.*

Lecz czy będę miał dość *pary* i *węgla*, czy nie zabraknie mi *oleju i smarowidła?*

Boże, Boże! czuję w mem sercu *sygnał*, *pociąg* szalonej miłości nadchodzi, serce odzywa się we mnie jak *dzwonek*...

Godzina *12 m. 3* już ją kocham, jej wejrzenie gniecie mnie jak *bufor;* okropność.

Chciałbym się *wysłać* do dyjabła, nie mogę. Nie mogę żyć bez niej, nie potrafię umrzeć bez niej...

Wpadła mi do serca jak *pakunek* do *brankardu* i gdzież ją mam *wyekspedyjować?*

. . . .

Mieszka z matką na ulicy Chmielnej.

Przybiegam do nich na herbatę o *godz. 7 min. 31.* Jest cudowna, a mama jej wygląda jak *rezerwoar* z wodą gorącą...

Jest mi jak w niebie...

Czemuż mnie Bóg skarał posadą przy kolei?! Muszę być na pociągu o godz. *10 min. 10,* — obowiązki mnie wzywają.

Godz. *9 min. 16* — dają mi drugą szklankę herbaty.

Gorąca wściekle — parzę język — i tonę w *jej* oczach.

Jest mi tak pilno, jak biednemu *pasażerowi* na długiej *stacyi*.

Co powie *naczelnik?*

Godzina *9 min. 58* — biorę za kapelusz.

A ona do mnie powiada:

— Już?!..

To „już" zaszumiało mi w głowie jak *świstawka lokomotywy*.

Zostałem *zahamowany*, a *hamulcem* były jej oczy bosko piękne.

Godzina *10 min. 0.* Słyszę turkot dorożek spieszących na banhof...

— Pani — mówię — pociąg odjedzie.

— Czy pan zna tylko kolejowe *pociągi?*

Zdaje mi się, że jestem świętym Antonim, którego kuszą. Ale tamten się nie dał, a ja się dałem.

Przytem tamten nie służył na kolei.

Zostałem przygwożdżony.

Godzina *10 min. 5* — żegnam się.

— Już pana nie zatrzymujemy — mówi mama.

Sznelcugiem pocałowałem ją w rączki...

Wskoczyłem w dorożkę:

— Na kolej! co koń wyskoczy...

Wpadam na dworzec.

Godzina *10 min. 11*, pociąg tylko co odszedł.

Naczelnik mnie zwymyślał.

. . . .

Ona jest aniołem!

Nie wart jestem takiego skarbu. To ananas, który trzeba *ekspedyjować* bardzo ostrożnie.

Jestem jej narzeczonym.

Kocham ją i kupuję tuzin szklanek rżniętych.

Wszakże mam pić herbatę familijną i ambrozyją z rogalami...

Cudna perspektywa!..

Zdaje mi się, że *pociąg* mego szczęścia lada chwila *przybędzie*.

Wpadnę do *dworca* jej serca...

Zdaje mi się, że okrągła mama otwiera już dla mnie *okienko od kasy*.

U nich w salonie meble jak w *wagonie klasy pierwszej*, jak się tylko ożenię, posprawiam *wentylatory* i *popielniczki*.

Jeszcze chwila, a będę mógł swobodnie zwiedzać *przedział dla dam*, w którem siedzi mój anioł.

Od czasu do czasu całuję ją po rękach, to tak jakbym się napił wódki na *stacyi pośredniej*.

Jestem w siódmem niebie.

Telegrafujemy do siebie bez aparatu.

Ona wysyła *depeszę:*

— Kochasz?

Ja odpowiadam: kocham... a ty także?

A ona:

— A jakże.

Może powiecie, że to nudne? Nie! to największa rozkosz, a w każdym razie już to wolę niż *wydział kontroli*.

Grucham z nią...

Do dyjabła... pociąg!!

Chwytam za kapelusz, biegnę.

Niestety, spóźniłem się.

Naczelnik dał mi „*naganę na piśmie.*"

Jeszcze raz, a *wyskoczę z szyn.*

. . . .

Za dwa dni miał być nasz ślub.

Ostatnia stacyja i odpoczynek. Czuję coś dziwnego! Żebym był Święcickim, napisałbym drugie „*U wrót stacyi.*"

Mama wyszła po sprawunki.

Byliśmy sami.

Obowiązek wzywał mnie znowuż na stacyją...

W uszach szumiały mi *dzwonki elektryczne.*

Przed oczami miałem żółte wypustki konduktorów i czerwoną jak krew czapkę zawiadowcy.

Pozostawało mi *17 minut.*

Całowałem jej rączkę prawą, upłynęło *4 minuty.* Lewą całowałem tyleż czasu...

Potem *zwekslowałem* jej ręce, całowałem pierwej lewą, następnie prawą...

Upłynęło *minut 16.*

O! szczęście, czemu trwasz tak krótko?

Jedną minutę mówiłem do niej:

— Bądź zdrów, aniele mej duszy!

Pozostało mi *godz. 0 min. 00...*

Żaden zegar takiego czasu nie pokazuje.

Wpadam na kolej.

Naczelnik zły, jak szatan.

— Pan się zaniedbujesz...

— Panie naczelniku, ja się kocham.

— To idźże pan *ekspedyjjować amory,* do *bagażów* zbyteczną jest miłość!

Dostałem dymisyją.

Wyskoczyłem z relsów.

Prosiłem, błagałem, obiecywałem poprawę.

Nic nie pomogło.

Wyprawiony byłem do dyjabła za *frachtem pośpiesznym.*

Biegnę do niej.

Już wiedzą.

Dzwonię raz — drzwi zamknięte, drugi raz, to samo — trzeci... źle...

No, myślę sobie, kiedy i po *trzecim dzwonku* nic, to już nie pojadę *tym pociągiem.*

I nie pojechałem istotnie, a w pół roku potem ona była żoną jakiegoś grubego maszynisty z *drogi Nadwiślańskiej.*

Taka jest historyja mego *wykolejenia* się przez miłość.

Za zgodność z oryginałem

Alienus.

Pamięć.

* *Czy pamiętasz?*

Czy pamiętasz chwile owe
Błogich snów,
Gdyś mi cudną swoją głowę,
Muskające włosy płowe,
Drżące usta malinowe
Kładła na mem łonie.

—o—

Czy pamiętasz owe chwile
Wówczas znów,
Gdyśmy, jakby dwa motyle,
Zawsze razem, zawsze mile,
Wśród zieleni, kwiecia tyle
Przebiegali błonie?

—o—

Czy pamiętasz, gdy po znoju,
W wieczór ten,
W dziwnym duchu jam nastroju,
Siedział w barwnym twym pokoju,
Z jakiemś drżeniem w marzeń roju...
Tyś swój wzrok mną pasła...

—o—

Ja nie pomnę co to było!..
Czy to sen?
Czy na jawie, czy się śniło —
Serce młotem wciąż mi biło,
W głowie myśli sto roiło...
Czemu lampa zgasła?..

Pan.

Nowy właściciel, który właśnie przyjmowany był uroczyście przez swoich poddanych,

zapytał oratora, wierszowaną powitalną go przyjmującego mową, kim jest?

— Nauczycielem wiejskim i współdziedzicem — brzmiała odpowiedź.

— Jakto! współdziedzicem? cóż to ma znaczyć?

— Zaraz wielmożnemu panu to wyjaśnię — odpowiedział nauczyciel. — W tej wsi kobiety są panami mężczyzn, dzieci są panami matek, ja zaś jestem panem dzieci — a więc i panem całej wsi.

Właściciel zaśmiał się i darował dowcipnisiowi zaległy czynsz.

—o—

Młody oficer francuzki wszedł raz do głównej kwatery, pytając:

— Gdzie jest Villars?

Marszałek, który stał właśnie za nim, urażony zauważył:

— Przynajmniej mogłeś wasze dodać *pan*.

W mgnieniu oka oficer stanął frontem do Villarsa, mówiąc śmiało:

— Panie marszałku, przez całe moje życie nie słyszałem, żeby kto mówił o panu Scypionie, albo o panu Aleksandrze Macedońskim.

* *Pan domu.*

Pewien biedny małżonek był bardzo poniewierany przez swoją Xantypę, w końcu został raz przez nią pobity.

Przyjaciele dotąd szydzili z niego i radzili, żeby się nie poddawał, aż przyrzekł im choć raz postawić na swojem. Xantypa nie ustawała w złości i dokuczała tak dalece małżonkowi, że ten zmuszony był schować się pod stół — nagle dały się słyszeć głosy przyjaciół w przedpokoju.

— Wychodź, wychodź prędko! — wołała żona.

— Ani myślę — odrzekł mąż tryumfująco — właśnie na złość nie wyjdę. Nakoniec wszystkim pokażę, iż jestem panem domu.

* *Pan do służącego.*

Że też z ciebie gamoniu nie można mieć posła,
Jam co innego zlecił, tyś sprawił inaczej,
Gdybym wiedział w tym razie, że mam użyć [osła,
Byłbym cię nie posyłał i sam poszedł raczej.

(Humorysta Warszawski.)

* *Pan i owczarz.*

(Bajka.)

— Jak dasz radę tym owcom? — pytał pan [owczarza,
Ty sam jeden, a owiec pewno z pięćset w kupie?
— Ha, cóż nie mam dać rady — rzekł — niech [pan uważa,
Tam idą, gdzie ja zechcę...
— Dlaczego?
— Bo głupie.

J. Waśniewski. (p. t. I, str. 30.)

* *Jaki pan — taki kram.*

Niedawno, gdy do domu z Krakowa się kwapię,
Potykam na wędzonej służałego szkapie;
Suchy i sam, a łata po sukni na łacie,
Portek nie masz, bóty złe. — „Komu służysz [bracie?"
— Senatorowi — rzecze. „Czemu gołe udy?"
„Trudno, ma tłuste prosię być u świni chudej."

Potocki Wacław. (p. t. I, str. 31.)

Pani.

Pani markotna, ale pan nie gani,
Gdy sługa będzie piękniejsza od pani.

Minasowicz. (p. t. I, str. 308.)

* *O paniej co na odpust chodziła.*

Krakowska mieszczka, była łaskawa na jednego, a iż w domu u niej nie było żadnego szynku, a ktemu matka męża jej miała na nią baczne oko, nie mógl tam pan student bywać, ani się na inszym miejscu z nią widać, bo matka za nią wszędzie chodziła. Z obustron tęskno ich było, że z sobą oprócz kartek mówić nie mogli. Ona dobra pani myśliła o tym, ja-

koby przecie do tego mogło przyjść, aby się z onym panem młodym do wolej namówiła, napisała list do niego, oknem mu go zrzuciła, gdy szedł mimo kamienicę, na którym aby na Kazimierz szedł i pytał się do Janasowej w kącie niedaleko Św. Jakóba „weźmi z tamtą niewiastą znajomość, a gdy ja na odpust pójdę (a było to przed św. Jakubem) mimo dom tej to niewiasty, każ mnie z okna wodą oblać, ja to potrafię jako się z sobą namówiemy.” On to student tak uczynił, szedł wczas na odpust, naprawił onę niewiastę, „abyć tę panią którąć ukaże z okna oblała” przyrzekłszy niewieście, że ją za to żadna trudność popaść nie miała, a za onę posługę dwa talary jej obiecał. Gdy było po obiedzie, ona pani naparła się iść na odpust, której mąż dozwolił, posławszy z nią matkę swą i dziewczę niewielkie, szafarce doma zostać kazała. Mijając on domek, ona niewiasta co tego pilnowała, wodą ją tak jakoby znieobaczenia zleje, gdy pani krzyknęła, Janasowa wybieży, upadnie jej do nóg prosząc jej, aby jej odpuściła, iż to z niechcenia i z głupstwa, że pierwej nie wyjrzała jeśli kto idzie, czyniła. Rzkomo paniej nie miło, jęła niewiastę wszedłszy do jej domu dla ludzi by się nie dowiedzieli gromić z wielkim gromem, aż matka za nią jęła się przyczyniać, panią matkę ofuknie: „cóż pani matko, że tę niewiastę tak barzo omawiasz, także do kościoła i do domu mam iść z mokrym rąbkiem, i w tej koszulce pamaczanej? Kogoż ja mam posłać do domu po inszy rąbek, kiedym dziewki z sobą nie wzięła?” Matka widząc, że tego dziewczę sprawić nie mogło, szła sama co rychlej do domu, paniej mówiąc, aby jej w domu onym poczekała, dziwkę też onę posłano po wino aż na Stradom, bo się paniej pić zachciało, skoro matka uszła. A tymczasem pani się z panem młodym namówiła, nim matka przyszła.

Pani, dla ciebie...

Dla ciebie, pani, wszystkom zrobić gotów:
 Bujać pod niebem i w mórz schodzić toń,
Żyć pod biegunem lub w cieniu namiotów
 Pustyni tulić pałającą skroń...
Dla ciebie, pani, świat mam w poniewierce,
 I w cudnym wiecznie chcę pozostać śnie
Usta na ustach i przy sercu serce...
 Ale ożenić się z tobą... O, nie!

*

Pani de *Pompadour*, zanim została oficyjalnie faworytą Ludwika XV, uganiała się za nim na łowach. Król był tyle uprzejmym, że posłał panu d'Etioles, jej mężowi, w prezencie rogi jelenie. Ten umieścił je w jadalnej sali z następującym napisem:

„Dar ofiarowany przez króla panu d'Etioles.”

Chamfort. (p. t. I, str. 35).

Panna.

„Ach jakież to swobodne, wesołe dziewczę!” Oto najpierwsze wrażenie, jakie odnosimy z chwilowego choćby obcowania z promienną istotą, wrażenie odpoczynku, zadowolenia, spokoju, jakiego doznajemy, np. znalazłszy się w jasnem, pogodnem, czystem mieszkaniu. Wszystko składa się tam na harmonijną całość: sprzęty, stojące na właściwem miejscu, porządek w ich układzie, kurzu ani śladu, brak też zupełny gracików i drobiazgów, niepotrzebnie zwykle miejsce zajmujących, zdrowe powietrze i przez uchylone okno, wpadające ciepłe promienie słońca, odbijające się w gładkiej i świecącej jak lustro podłodze... Tak pewnie wygląda dusza młodego, swobodnego, niewinnego dziewczęcia! Wszystkie uczucia są tam na właściwem miejscu, nie znajdziesz tam wrażeń, wywołanych czytaniem niezdrowych tegoczesnych romansów, źdźbło pyłu nie kazi zwierciadła uczuć, na czystej polewie serca nie znajdziesz ani plamki, od samego poranku trwa ten porządek zupełny, a oczy, te okna duszy, odbijają światłość boską, przenikającą do skrytej komórki serca. A te małe różowe usteczka, niby kunsztowne drzwiczki do krainy uśmiechów, do-

brych słówek, czystej prawdy i wstydliwości dziewiczej! O! takie wesołe swobodne dziewczę jeśli spotkacie młodzieńcy, nie składajcie jej hołdów na tydzień, miesiąc lub rok, ale jak o dobre i pewne mieszkanie zawrzyjcie kontrakt komornego na całe wasze życie.

*

Dawna to jest przypowieść, a nader prawdzi-[wa:
W koniu wiosna, a w pannie ślub wady od-[krywa.

Gorzkowski.

—o—

Panna, gdy panną miewa anielską naturę,
Szedłszy za mąż, jeżową wdziewa na się skó-[rę.

—o—

* *Panna stara.*

Miłe złego początki, lecz koniec żałosny,
Chciało się pannie Zofii romansów wśród [wiosny;
Grymasiła w wyborze... za to teraz w zi-[mie,
Jako stare pannisko w samotności drzymie.

* *Panna służąca.*

Pewna panna za pannę służyła we dworze.
Nie mogąc dwojga panieństw znieść, rzecze: [„O Boże!
Być panną i za pannę — panieństwa za wiele,
Muszę się z jednem rozstać, nim będzie — we-[sele."

—o—

— Tyleśmy prawili o emancypacyi, powiedz mi pan proszę, czy nie mają racyi panny, gdy żądają takich praw swobody, jakiemi się cieszy każdy panicz młody? Boć się przecież wszystkich jedną miarką mierzy. Tak jakieśmy panny, wyście kawalerzy.

A pan odrzekł na to, (spojrzał przytem w górę):

— Panny są *de facto*, my tylko... *de jure.*

Ner. Buch.

Panorama.

Kiedy przedstawiano w Berlinie wielką *panoramę* Rademachera, zawierającą siedm cudów świata, pewna młoda Berlinianka nie mogła oderwać oczu od obrazu kolosa Rodyjskiego, powtarzając z zachwytem:

— No i pomyśleć, że taki człowiek był kiedyś żyjącym!

Papkin.

SCENA VII.

Papkin — *Śmigalski* (kilku służących z kijami) później *Rejent* — *Cześnik* (w oknach).

Papkin.

Panie majster, proszę waści
Przyzwoicie, grzecznie, ładnie.
Nie murować tu z napaści,
Bo mu na grzbiet co upadnie.

(po krótkiem milczeniu)

Wy zaś drudzy, dobrzy ludzie,
Którzy młotki, piony, kielnie
W niepotrzebnym dzisiaj trudzie
Używacie arcy dzielnie;
Idźcie wszyscy precz do czarta!

(po krótkiem milczeniu)

Będzie widzę rzecz uparta!
Ta hołota, jakby głucha,
Mego słowa ani słucha. —
No, Śmigalski! nie trać czasu
Ściągnij za kark! weź narzędzie
Grzecznie, ładnie, bez hałasu,
Niech wszystkiemu koniec będzie.
Nic się nie bój, ja za tobą.
(Śmigalski posuwa się ze służącemi ku mularzowi — Papkin cofa się za róg domu.)

Śmigalski.

Precz! precz!

Rejent (w oknie)

Stójcie! Co to znaczy?

Śmigalski.

Cześnik, pan mój, kazać raczy,
Aby muru nie kończono...

Cześnik (w oknie).

Tak jest każę, bo mam prawo!
Dalej naprzód, dalej żwawo.

(Śmigalski posuwa się naprzód — Papkin, który był wyszedł, znowu się cofa za róg domu.)

Rejent.

Jakie prawo?

Cześnik.

Jak kupiono
Mur graniczny, tak zostanie.

Rejent.

Ależ luby, miły panie
To szaleństwo z waszej strony
I mur będzie naprawiony.

Cześnik.

Wprzódy trupem go zaścielę.

Rejent (do mularzy)

Kończcie śmiało przyjaciele,
Gardźcie ze mną próżnym krzykiem.

Cześnik.

Chcesz więc bójki?

Rejent.

Mój cześniku,
Mój sąsiedzie luby, miły
Przestań też być rozbójnikiem!

Cześnik.

Co! jak! Żwawo! bij co siły?

(Śmigalski ze swoimi ludźmi wstępuje na mur — mularze cofają się tak, że bójka zostaje zakryta częścią muru całego).

Rejent.

Panie majster — ja w obronie,
Nic się nie bój - niechaj bije,
Kiedy go tam swędzą dłonie.
Dobrze! dobrze! — po czuprynie —
Ot tak — lepiej! — co się wlezie!
Nic się nie bój! tego trzeba —
Niechaj bije, świat nie zginie!
Ja cześnika za to skryję,
Gdzie nie widać ziemi, nieba!

Cześnik.

Hej! Serwacy! daj gwintówkę!
Niechaj strącę tę makówkę
Prędko!

(Rejent zamyka okno)

Ha! ha! fugas chrustas
No Śmigalski dosyć będzie,
Daj półzłotka, albo złoty;
Baserunku dla hołoty.
Ale zabierz im narzędzie,
Dosyć, dosyć na dziś będzie (zamyka okno);
(po odejściu wszystkich, Papkin obejrzawszy się, że już nie ma nikogo, mówi ku murowi.)

Papkin (sam).

Ha! hultaje, precz mi z drogi,
Bo na miazgę was rozgniotę!
Nie zostanie jednej nogi, —
A mam dyjablą dziś ochotę!
Wielu was tam? chodź tu który!
Nie wylezie żaden z dziury?
O wy łotry! O wy tchórze!
Jutro cały zamek zburzę.

„Zemsta" *hr. Alex. Fredro.* (Akt I scena 7).

Parasol

— Kiedy najlepiej i najtaniej kupić można parasol?

— Wtenczas, gdy w czarnym nowym fraku, pięknym kapeluszu i kanarkowych rękawiczkach spotka cię ulewny deszcz przed sklepem parasolnika.

(*Humorysta Warszawski.*)

Parobek.

Pewnego razu parobek wygrał ćwiartkę wielkiego losu, i wtedy przyszła mu ochota

żyć w wyższych kołach towarzyskich. Zapytał więc swego golibrody, który wydawał mu się dystyngowanym chłopcem, co robić trzeba, żeby godnie znajdować się w wykwintnem towarzystwie.

— Wciągnij czarny frak na plecy i trzymaj pysk do góry — brzmiała rada dystyngowanego golibrody.

Parodyja Horacyjusza.

Komu raz, Muzo, usiądziesz na karku,
Tego już rozum nie złapie,
Ten już nie pójdzie hasać po jarmarku,
Jak cygan na chudej szkapie.

Już go głos trąby śmiertelnie zatrwoży,
Sława go z pieca nie zwabi,
Już on w teatrze nie zasiądzie w loży
Nakształt fircyka lub hrabi.

Za to ulubi gdzieś pod drzewem suchem
Lub przy kałuży swej wioski,
Ległszy do góry wychudzonym brzuchem
Układać rymy i zgłoski.

Muzo! co umiesz i na dudce z łyka.
Dziwną i słodką pieśń stwarzać,
Ty, która lubisz nawet i indyka
Łabędzim głosem obdarzać.—

Tobie winienem mój obiad piątkowy,
Mą sławę, moje uczucie,
Oklaski, pustki kieszeni i głowy,
I łaty w moim surducie...

Syrokomla. (p. t. I, str. 128.)

Partacze teatralni.

Spodek. Czyśmy się już wszyscy zebrali?

Pigwa. Wszyscy, co do nogi. Co za dziwnie wyborne tu miejsce na naszą próbę! Ten trawnik będzie naszą sceną, ta zarośl ciernista naszą garderobą. Odegrajmy więc sztukę. jakby przed samym księciem.

Spodek. Pietrze Pigwo!

Pigwa. Co mówisz, ty junacki Spodku?

Spodek. Są rzeczy w tej komedyi Pyrama i Tyzby, które się nigdy podobać nie mogą. Najprzód, Pyram musi dobyć miecza, by się zabić, czego kobiety nie zniosą. Co mówisz na to?

Ryjek. Na uczciwość, punkt to niebezpieczny.

Głodniak. Mnie się zdaje, że będziemy musieli przełożyć to zabójstwo aż po za koniec całego przedstawienia.

Spodek. Bynajmniej. Mam sposób, który wszystkiemu zaradzi. Napisz mi prolog, a w nim daj do zrozumienia, że nasze miecze nikomu szkody nie wyrządzą, i że Pyram nie zabija się rzeczywiście; a dla większej jeszcze pewności powiedz im, że ja, Pyram, nie jestem Pyram, ale tkacz, Spodek. To ich do reszty uspokoi.

Pigwa. Dobrze, znajdzie się taki prolog, a będzie napisany w ośmio i sześciozgłoskowych wierszach.

Spodek. Co ci szkodzi, dodaj dwie jeszcze i niech będzie w ośmiu i ośmiu.

Ryjek. Czy też kobiety lwa się nie przelękną?

Głodniak. Ręczę wam, że się strasznie tego boją.

Spodek. Panowie, powinniście to dobrze wprzód rozważyć. Wprowadzać, niech Bóg broni, lwa między kobiety, to rzecz najokropniejsza, gdyż niemasz straszliwszego ptaszka jak lew, kiedy żywy. Dobrze więc baczmy na to.

Ryjek. A zatem niech inny prolog powie, że to nie lew prawdziwy.

Spodek. Nie dość na tem, trzeba wymienić jego nazwisko i niech pół jego twarzy wyziera z pod lwiej grzywy. On zaś sam niech doda, mówiąc tak, albo w podobnym nonsensie: „Panie, lub piękne Panie, jabym żądał od was, jabym was prosił, jabym was błagał, abyście się nie trwożyły i nie drżały. Stawiam moje życie za wasze. Jeślibyście osądziły, że tu jak lew przychodzę, już byłoby po mnie. Nie, ja żadną podobną poczwarą nie jestem. Jam człowiek, jak inni ludzie." I wtedy zaprawdę niech wyjawi swe nazwisko i powie im poprostu, że jest Spój, stolarz.

Pigwa. Zgoda, niech i tak będzie. Lecz są jeszcze dwie wielkie trudności. Jakże wprowadzić księżyc do pokoju, bo wiecie dobrze, że Pyram i Tyzbe mają się spotkać przy świetle księżyca.

Spój. Czy księżyc będzie świecił w nocy, na naszą sztukę przeznaczonej?

Spodek. Do kalendarza, do kalendarza! Zobaczyć w almanachu, znaleźć światło księżyca, znaleźć światło księżyca!

Pigwa. Uspokójcie się; będzie to noc księżycowa.

Spodek. Więc zostawić otworem jedną połać wielkiego okna w pokoju, w którym będziemy grali, a księżyc może świecić przez nią.

Pigwa. Dobrze, albo też który z was może przyjść z wiązką chrustu i latarką, i oświadczyć, że ma przeobrażać czy wyobrażać osobę księżyca. Ale oto druga trudność. Musimy mieć mur w wielkim pokoju, bo, jak mówi wieść, Pyram i Tyzbe przez szparę w murze rozmawiali.

Spój. O, co do muru, to nigdy go tam wprowadzić nie potraficie. Cóż na to mówisz, Spodku?

Spodek. Darmo, więc któryś z was musi mur przedstawiać. Niech się omaże wapnem, albo gliną, alko tynkiem, i będzie się zdawało, że jest murem. Niech wreszcie palce rozemknie tak, a przez taką szparę Pyram i Tyzbe będą sobie szeptali.

Pigwa. Jeśli to się uda, wtedy już wszystko dobrze pójdzie. Teraz niech usiądzie każdy syn swojej matki i wyrecytuje swą rolę. Pyramie, ty zaczynasz. Skoro skończysz swą mowę, odejdziesz w te krzaki, i tak każdy następnie wedle swej roli.

Puk.

Cóż to za ciury tu się popisują?
I przy kolebce królowej tak blizko?
Co? Grają sztukę? Będę więc słuchaczem,
Może aktorem, jeśli powód znajdę.

Pigwa. Mów, mów Pyramie. Tyzbe, wystąp naprzód.

Pyram. Jak kwiat cuchnący wonią...

Pigwa. Tchnący, jak kwiat tchnący.

Pyram.

Jako kwiat tchnący wonią, tak Tyzbe Pyrama
Owiewa swym oddechem, Tyzbe droga tyle!
Ale słuchaj, głos jakiś! Ah! zostań tu sama.
A ja się znowu tobie ukażę za chwilę.

(Wychodzi.)

Puk (na stronie).

Nigdy Pyrama większy nie grał cudak.

(Wychodzi.)

Tyzbe. Mnież teraz mówić wypada?

Pigwa. Jużci tobie. Trzeba ci bowiem zrozumieć, iż on wyszedł, żeby zobaczyć zgiełk, który usłyszał, i zaraz winien powrócić.

Tyzbe.

Promienisty Pyramie, jako lilja biały,
Kraśny jak na przepysznym cierniu pączek róży,
Najszumniejszy młokosie, żydzie okazały,
Wierny jak rumak, który nigdy się nie znuży,
Czekać cię tęsknie będę na Nygusa grobie.

Pigwa. Na Ninusa grobie, człowieku! Ale tego jeszcze nie powinieneś mówić. Tym ostatnim wierszem odpowiesz dopiero, jak Pyram znowu zagada. Recytujesz od razu całą rolę, odpowiadasz, nim cię jeszcze zapytano. Pyramie, wejdź, kolej twoja już przeszła, Stanęliśmy na wyrazach: nigdy się nie nuży.

Szekspir (patrz str. 80 T. I.)

Partyja.

Dziwiono się nieraz temu, że panna B. ma tylu konkurentów, choć nie jest ani ładna ani rozumna.

— Tak — odpowiedział ktoś — ale jest bogata i... chora.

Parva Leves capiunt animos.

(Ovid. de Art. Am. LI, 159.)

Znałem pewną pannę, mówi sławne pismo angielskie, do której się udawało dwóch natarczywych rywali. Przez kilka miesięcy usiłowali na wyścigi zjednać sobie jej serce staraniem i uprzejmością, lecz kiedy ta wahała się jeszcze w wyborze, któryś z nich umyślił zręcznie dodać tylko jeden galon do liberyi, co tak dobrze mu się powiodło, że w dni ośm pojął pannę za żonę.

Zastanawiałem się nieraz nad tą słabością kobiet do błyskotek i powierzchownych ozdób. Ileż to one przez to nie ściągnęły na siebie nieszczęść? Edmund w samej sile życia ofiarował Kloryndzie wraz z miłością, domek czysty i utrzymanie przystojne, Klorynda znała zalety i przywiązanie jego, wolała jednakże oddać rękę staremu bogaczowi i dziwi się potem, że kareta, stroje i wystawa nie zastąpią nigdy szczęścia, którego już nigdy nie dozna.

Malwina, lubo nie tyle zasługuje na naganę, niemniej się także zawiodła, bo wzięła Alfreda za najuczciwszego człowieka na świecie, dla tego tylko, że zgrabnie tańczył. Wada ta, jak wiele innych, jest dziełem edukacyi, a rozmowy zwyczajne większej części kobiet nie mało się przyczyniają do utrzymania w nich tej słabości niejako im już naturalnej. Byleby wspomnieć przed niemi o nowej mężatce, pytają zaraz, czyli ma piękny ekwipaż i czy kosztowne dostała od męża podarunki. Ile razy jest mowa o jakiej nieobecnej damie, możnaby stawić dziesięć przeciwko jednemu, że nie przepomną jej sukni, szala lub kapelusza. Jeden bal służyć im może przez rok cały za materyję do rozmowy, a zawsze całą swoją uwagę zwracają na ubiór i powierzchowność, za nic ważąc inne zalety, które podnoszą człowieka i czynią go prawdziwie użytecznym. Nie dziw więc, że dla młodej panny, słuchającej podobnych rozmów, niebezpieczny jest widok pięknej nóżki lub dobrze zrobionego fraka i że starana toaleta może się stać przyczyną jej zguby. Ekwipaż zaś, galony i inne błyskotki są niechybną ponętą dla kobiet słabego umysłu lub złej edukacyi i mogą zniewolić najbardziej dumną kobietę, kiedy młody człowiek potrafi zręcznie użyć tej wystawy.

Wirgilijusz cudnie wystawił nam w Kamilli obraz panującej w kobietach pasyi do do strojów i ozdób. Ta, która zdawała się być wolną od innych słabości płci swojej właściwych, niemniej jednakże okazała się być kobietą w tej mierze; wśród rzezi nieprzyjaciół, których wielką liczbę własną położyła ręką, postrzegła na nieszczęście jednego z Trojan haftowaną okrytego tuniką, przepysznym kirysem i purpurowym płaszczem. „Złoty łuk — mówi poeta — wisiał mu na ramionach, złota sprzączka ujmowała suknie jego i miał na głowie szyszak z tego drogiego metalu". Kamilla na nic więcej nie zważa i przejęta jedynie właściwą płci swej żądzą zdobycia tak pięknego ubioru, co żywo nań natarła:

Totumque imanta in agmen
Femineo praedae et spoliorum ardebat amore.

Tym delikatnym rysem dowcipnej moralności poeta wskazuje zręcznie, że ubieganie się za temi błyszczącemi próżnościami było przyczyną śmierci jego bohaterki.

Parysów rozsądek.

Gdy Parys był obrany za sędziego trzema
Boginiom, którąby z nich przodkowała dwie-
[ma,
Nie ważyły bogactwa Junony nic, ani
Mądra Pallas; gładka je zwyciężyła pani.
Ta, gdyby teraz przed sąd sprawa przycho-
[dziła,
Obieby te pieniężna Juno zwyciężyła.

Pasażer.

* *Pasażer śpiący.*

(Z obserwacyj podróżnych.)

Droga żelazna, łącząca Kowel z Mławą,

posiada, jak wiadomo, siedmset siedmdziesiąt siedm cnót, z których pierwszą jest szlachetna powolność i umiarkowanie w ruchu pasażerskim. Wskutek tej powolności i umiarkowania, pociągi mieszane, t. j. towarowo-osobowe, kursujące po tej drodze, nazywają się bąblami.

Nic słuszniejszego nad tę nazwę, albowiem uczciwy podróżny, przebywszy bomblem przestrzeń od Kowla do Warszawy, opuszcza wagon, mając niejeden bąbel na swojem ciele.

Lecz nie idzie nam o wyliczanie wszelkich cnót drogi nadwiślańskiej.

Uczyni to zapewne kiedyś historyja dróg żelaznych prawego brzegu Wisły, lepszem od naszego piórem skreślona — nam idzie w tej chwili o jegomościa, który z uderzeniem pierwszego dzwonka wpadł do wagonu tak gwałtownie, jakby lokomotywa miała natychmiast ruszyć.

Dzięki wszakże przepisom kolejowym, od pierwszego dzwonka do trzeciego upływa minut piętnaście, dość czasu na wysapanie się dla grubego szlachcica.

Teraz prawdopodobnie czytelnik zapyta, zkąd pewność, że dane indywiduum było szlachcicem?

Nie potrzeba do tego ani „przewodnika heraldycznego" ani „złotej księgi"— świadectwo zmysłów, jakkolwiek bardzo omylne w kwestyi układu planetarnego, w tym razie jest wystarczającą wskazówką.

Najprzód jegomość, przyzwyczajony do rozległych przestrzeni, zajął w wagonie miejsce „z przyległościami", powtóre bagaże swoje, niedźwiedzie, kożuchy, burki i tym podobne materklasy porozkładał w ten sposób, żeby inni pasażerowie nie mieli możności korzystania z serwitutu siedzenia na ławkach i układania swych tłomoczków na półkach wagonu; potrzecie zapalił grube cygaro, które w Garwolinie, Łukowie i tym podobnych miastach europejskich, śmiało uchodzić mogło za hawańskie — choćby z tej zasady, że Warszawa względem Garwolina ma prawo uchodzić za Hamburg.

Pasażer nasz był wzrostu małego, gruby, z krótką szyją, z krótkiemi nogami, krótkiemi rękami i jeżeli się nie mylę, z krótkim wzrokiem, bo przymrużał oczy w ten sposób, jak gdyby upatrywał śpiącego w przeorywce zająca.

Warga dolna gruba, mięsista, wystawała mu naprzód i nadawała twarzy ten wyraz, który przybierają ludzie, liczący dochody na tysiące, względem takich, którzy rzadko kiedy widują setki.

Tego nauczyło nas świadectwo wzroku.

Wezwany na pomoc słuch dał nam poznać wiele rzeczy ciekawych i zajmujących.

Przedewszystkiem gruby pasażer wyrzucił masę dosadnych przekleństw na kolej — dowodził, że jego kasztanowata Fatyma biegnie szybciej i jest daleko pewniejsza w nogach, powtóre zionął straszną anatemę na przyrząd do ogrzewania wagonów.

Powiedział, że gdyby był zarządem drogi, to urządziłby w każdym wagonie zwyczajny kominek, na którym pasażerowie mogliby odgrzewać bigos lub flaki i niepotrzebowali zbogacać chciwego plemienia bufeciarzy; nareszcie wszczął zaciętą polemikę z sąsiadem w kwestyi złodziejstwa i rozbójnictwa.

Gruby pasażer twierdził, że rozbójników należy ćwiczyć żyłami wołowemi i drzeć z nich pasy, sąsiad zaś dużo cieńszy i łagodniejszy twierdził, że dość byłoby zwykłych krajowych rózeg i szubienicy, jako środków poprawczych.

Tymczasem pociąg ruszył, a rozmowa od rozbojów przeszła do kwestyi pijaństwa, moralności i oświaty.

Tu zauważyłem z przyjemnością, że to, co my w Warszawie po gazetach piszemy, dochodzi jednakże do Iwangrodu, Łukowa i Garwolina i daje do myślenia ludziom, którzy dużo nagrzeszyli mową, trochę uczynkiem, a najmniej... myślą.

Mój gruby pasażer traktował kwestyje impetycznie, każdą rzecz chciał odrazu złapać za łeb; na wszystko miał środki radykalne, a że ja, jako człowiek bardzo zimny i niezapalający się, lubię krzykliwych myślicieli, więc też z przyjemnością słuchałem dowodzeń i argumentów grubasa, który poglądy swoje rozwijał z ognistym zapałem.

Dzwonek przerwał projekty grubego męża, który klnąc bufeciarzy i kolej, wytoczył się z wagonu w celu przełknięcia szklanki herbaty, a ja oczekiwałem z niecierpliwością jego powrotu, gdyż miał nam właśnie wyłożyć, co mianowicie z jego praktycznego punktu widzenia rzeczy uczynić potrzeba dla szczęścia ludu, ugruntowania moralności i podniesienia dobrobytu.

Wreszcie wtoczył się oczekiwany mówca, ale, czy ostry wiatr grudniowy ostudził jego zapał, czy herbata zalała ogień jego wymowy, dość, że odpowiadał ledwie półsłówkami, a skoro koła wagonu obracać się zaczęły, spuścił głowę na piersi, zamknął oczy i zaczął chrapać tak głośno, że w całym wagonie chrapanie to było można słyszeć...

Głowa opadła mu na piersi, tylko brzuch wielki, kołysany miarowo na poduszkach wagonu, wyprawiał dziwne ewolucyje...

Wznosił się on, opadał, rozkładał szeroko, podskakiwał, a wiszący na nim gruby, złoty łańcuch od zegarka, coraz to się w nowe linije układał.

Wówczas różne obserwacyje i myśli zaczęły mi się cisnąć gwałtem do głowy.

Czem jest ta głowa, schylona na piersi, czem ten brzuch wielki, szeroki, podskakujący na wszystkie strony?...

Odpowiedź łatwa: brzuch jest brzuchem, bo czemże być może?

Nie, po stokroć nie!

Panowie Bobrzyńscy, Szujscy, Jarochowscy, Smoleńscy etc., przebaczcie, że wtrącam się w wasze atrybucyje, ale mojem zdaniem, ten brzuch — to historyja!

Głowa czuwała, pracowała, wyrzucała najpiękniejsze, najenergiczniejsze myśli i wystarczyło jej tego zapału na jedną stacyję kolei; na drugiej już zaspała, ostygła, mózg się sforsował, powieki zaczęły opadać, nastąpiła apatyja i senność. A kiedy głowa usnęła, brzuch roztoczył się w całej glory i majestacie swoim, trząsł się i podskakiwał, a obszernością swoją świadczył, że wiele starań i trudów wypielęgnowaniu go poświęcono.

To historyja—powiadam — a kto nie wierzy prawdzie mego orzeczenia, ten niech policzy wszystkie głowy, drzemiące w apatyi i wszystkie brzuchy, rozrosłe nad miarę.

Niech sobie zada pracę obliczenia, ile w nich utonęło włók gruntu ornego, łąk, lasów i nieużytków...

Medytując nad temi i tym podobnemi kwestyjami, znaleźliśmy się na Pelcowiźnie; mój gruby pazażer wydobył z kieszeni grzebyk, uczesał włosy i brodę, przywdział rękawiczki żółte jak zazdrość, i gotów był do wylądowania na bruk zacnej Warszawy.

Miałem szczerą ochotę zapytać się go o zdanie w kwestyi, którąśmy wszczęli na początku podróży, lecz on uprzedził mnie i rzekł:

— Pan dobrodziej często bywa w Warszawie?

— Mieszkam w niej stale.

— Czy też Saski hotel istnieje jeszcze?

— A jakże, stoi w tem samem miejscu.

— A Stępkowski? panie dobrodzieju...

— Jest, jest, jak zawsze.

— Ba! jakie miewał niegdyś ostrygi! to, jak Boga kocham, palce lizać!...

Stanęliśmy.

Gruby jegomość wskoczył do dryndy i dzielny brzuch jego odbył tryumfalny wjazd do Warszawy.

A głowa?

Ta... drzemała sobie tymczasem.

* *Pasażer szósty.*

(Rozdział z „Okropności Warszawskich".)

Życzę ci, czytelniku, żebyś nigdy, siada-

jąc do omnibusa, nie był — „szóstym pasażerem”.

Nie wiem, czy cyfra „sześć” jest kabalistyczną, ale to pewna, że w sprawach omnibusowych przynosi ona zawsze, jeżeli nie nieszczęście, to przynajmniej dotkliwą przykrość.

Był czas, w którym, sposobiąc się na reportera jednego z pism codziennych, odbywałem specyjalne studyja nad omnibusami.

Owocem tych studyjów jest przygotowany do druku wolumin, p. t. „Przeszłość i przyszłość omnibusa warszawskiego”.

Wolumin ten zamierzam wydrukować własnoręcznie na *autopolygrafie,* bardzo dowcipnym przyrządzie, który wynalazł jakiś szwed czy włoch, jeżeli tylko nie hiszpan lub holender.

Dochód ze sprzedaży przeznaczam na cel dobroczynny, a mianowicie, na rozdawanie dodatkowych racyj owsa i siana omnibusowym pociągowcom.

W woluminie tym znajduje się ustęp następujący:

„Pierwsza osoba, siadająca do omnibusu, ma zawsze fizyjognomiję uradowaną. Pogwizduje, jeśli jest mężczyzną, przegląda się w kieszonkowem lusterku, jeżeli jest niewiastą. Jednocześnie stara się członki swe ulokować tak, żeby jak największą przestrzeń zajmowały.

Druga osoba jest również wesołą, ale zachowuje się powściągliwiej. Wnosi ona ze sobą trochę chłodu, który udziela się i osobie pierwszej. Gwizdanie ustaje, noga wyciągnięta na poduszkach powraca do przepisanego prawem położenia.

Osoba trzecia jest już zamyśloną. Wchodząc, przygląda się nieufnie dwom pierwszym osobom i wciska się w kąt, jak najbardziej od nich oddalony. Temperatura (moralna) omnibusowego wnętrza zniża się bardziej jeszcze.

Przy wejściu osoby czwartej, osoba pierwsza traci resztę wesołości i pomrukuje przeciągle. Przez chwilę trwa cisza, potem wszystkie osoby spoglądają na siebie badawczo i jedna z nich, obcierając spocone czoło, mówi:

— Już chyba więcej nikogo nie wpakują!

Następnie każda osoba przykłada nos do szyby i poczyna się ogólne wyglądanie.

Ale oto buda zatrzymuje się i konduktor *wprowadza* osobę piątą.

Osoby, siedzące w omnibusie, wydają ciężkie westchnienie, przyczem rząd przedni spogląda na rząd tylny, zdając się mówić oczami:

— Przyjmijcie tego intruza, bo my ani myślemy!

Osoba piąta z trudnością sadowi się pomiędzy dwoma korpulentnemi figurami, a widząc, że ją niechętnie przyjmują, przybiera minę zażenowaną i prawie lękliwą.

Z chwilą, gdy zajęła miejsce, grobowe milczenie zalega w omnibusie i tylko pełne nienawiści spojrzenia czterech pierwszych osób krzyżują się jak ostrza szpad pojedynkowych...

Wszystko to jednak jest niczem w porównaniu z wejściem osoby szóstej.

Już odgłos dzwonka konduktorskiego, zatrzymującego omnibus, wprowadza wszystkich w zaniepokojenie.

Osoba pierwsza mówi do osoby drugiej.

— Ten konduktor gotów nam *wtrynić* jeszcze jedną osobę!

— Nie puścić, mości dobrodzieju i kwita — decyduje osoba druga, obdarzona czerwonym nosem i wąsami jak miotły.

— Nadużycie, jak Boga kocham, nadużycie! — wykrzykuje osoba trzecia.

— Wartoby *osmarować* konduktora w Kuryjerku! — proponuje osoba czwarta.

Osoba piąta piszczy żałośnie:

— Ja już ledwie oddycham...

Przeczucia sprawdzają się: konduktor otwiera drzwiczki i mówi:

— Niech się państwo *posunom,* bo je nowy pasazier.

W istocie za plecami jego widać osobę

szóstą, która, domyślając się, co ją czeka, przybrała zawczasu minę zafrasowaną.

Osoba ta, ośmielona przez konduktora, wstępuje na stopień i wsuwa ucylindrowaną głowę do środka, ale w tejże chwili cofa się, jakby ją osa ukąsiła.

Zjawienie się szóstej osoby przywitane zostało pięcioma mrukami, jakby chórem głosów niedźwiedzich. Jednocześnie spostrzegła ona szeregi pasażerów tak mocno zbite, że o pomieszczeniu się wśród nich ani myśleć było można.

Zwraca się do konduktora:

— Mówiłeś, że jest jeszcze jedno miejsce.

— A bo je.

— Gdzie?

— Kole tego tłustego z czerwonym nosem.

— To powiedz mu, żeby się posunął.

Rozpoczynają się głośne, może nawet zbyt głośne pertraktacyje z czerwonym nosem.

— Jesteście wydrwigrosze, hultaje, kpiny stroicie z publiczności i kwita! — wrzeszczy nos, siniejąc ze wzruszenia.

— Co pan *wi*, co pan gada! — tłómaczy konduktor.— Kiedy je miejsce na sześć *štuk*, to ja wedle pana, osoby z kwitkiem nie odprawię. Niech no pan nie marudzi i posunie się, bo trza jechać.

Następują nowe wybuchy i nowe perswazyje, nareszcie argumenty konduktora zwyciężają i szósta osoba zostaje wepchniętą do środka.

Przeciskając się wśród szeregu kolan, nie ustępujących z drogi, osoba ta następuje mimowoli na odciski pierwszych osób, które ją, z pasją niezmierną, obrzucają gradem wymówek i złorzeczeń.

Nie mogąc w żaden sposób wprowadzić swego ciała w bezpośrednie zetknięcie z siedzeniem, pozostaje ona zawieszona, nakształt trumny Mahometa, pomiędzy lewem biodrem prawego sąsiada i prawem lewego, obawiając się poruszyć i silniej odetchnąć, żeby nie sprowadzić moralnej lub fizycznej katastrofy.

Półgłośne a nawet i wcale głośne klątwy dobiegają nieustannie do jej uszów. Choćby była najsłodszą w obejściu i zaskarbiającą sobie dotąd miłość u ludzi, od tej chwili zyska pięciu śmiertelnych wrogów, w osobach pięciu omnibusowych towarzyszów...

Myśląc o tem, zapytuje sama siebie: ażali popełniła niegodziwość jaką, iż cierpi tyle fizycznych i moralnych utrapień?

Bynajmniej!

Wszakże, zatrzymując jadący omnibus, korzystała z prawa, przysługującego wszystkim i każdemu...

Wszakże zachowanie się jej było grzeczne i uprzejme...

Wszakże dziesiątka, którą wsunęła do puszki konduktora, w niczem nie różni się od dziesiątek, zapłaconych przez tamte osoby...

Za cóż więc cierpi prześladowanie?

Fatalność, i tylko fatalność sprowadziła na jej głowę nieszczęście!"

Na tem kończy się rozdział z niewydanego dotąd woluminu.

Ilustracyją do niego niech będzie następująca, w trzech czwartych częściach autentyczna historyja.

Było sobie pewnego razu biuro prywatne, i był w tem biurze, jak zwykle w każdem biurze: zwierzchnik i podwładny.

Zwierzchnik odznaczał się charakterem spokojnym i upartym. Używał do pisania piór gęsich, nos wycierał w kraciastą chustkę i w chwilach wolnych od roboty biurowej pracował nad broszurą: „O potrzebie szanowania wieku sędziwego".

Podwładny należał do młodzieńców (wszyscy młodzieńcy są podwładnymi, choć nie wszyscy podwładni są młodzieńcami) idących prostą drogą do karyjery i znających sposoby, jakiemi się ona zdobywa.

Zwierzchnik lubił podwładnego, gdyż ten „szanował wiek sędziwy" i zjawiał się przed nim zawsze zgięty w krzyżu pod kątem ostrym.

Można było postawić guzik przeciwko sto rublówce, że otrzyma on od nowego roku podwyżkę i że zamiast trzystu rubli na rok – będzie pobierał czterysta pięćdziesiąt.

Zwierzchnik chciał w ten sposób nagrodzić „dla przykładu" tego, który wedle princípiów jego broszury postępował.

Podwładny z całem zaufaniem oddawał się słodkim marzeniom o podwyżce, i uważając ją za rzecz pewną, czynił nawet matrymonialne zabiegi w pewnym mieszczańskim domu na Nowym Świecie...

Pewnego wieczora wybrał się on tam z formalnemi oświadczynami. Obuł nowe lakierki, które go cisnęły, w drodze przeto postanowił siąść do omnibusa. Skinął na przejeżdżający wehikuł i zatrzymawszy go, otworzył drzwiczki od pierwszego przedziału.

Na nieszczęście siedziało w nim już pięć osób.

— Nie ma miejsca! – krzyknięto chórem ze środka. Proszę zamykać drzwiczki, bo zimno leci!

Trzeba dodać, że działo się to w początkach grudnia.

— Jakto? — wykrzyknął gniewnie młodzieniec.— Omnibus jest na sześć osób, a ponieważ siedzi tu pięć, przeto...

Niechętne mruki i złorzeczenia nie pozwoliły mu dokończyć.

Wiedząc, że ma za sobą prawo, wdarł się przemocą do środka, nie zważając na milczącą opozycyę jakiegoś wielkiego jegomościa, utopionego całkowicie w ogromnym płaszczu szopowym...

Jegomość ten mruczał coś w głębi swego kołnierza, młodzieniec jednak ani mógł, ani chciał słuchać jego przekładań. Odsunął go dość grubijańsko na bok i siadł, marząc o ukochanej...

Nazajutrz, gdy przyszedł do biura, pierwszą rzeczą, na którą oczy jego padły, był ogromny płaszcz szopowy, wiszący w przedpokoju.

— Czyje to futro? — spytał woźnego.

— Pana naczelnika — była odpowiedź.

Młodzieńca ogarnęło jakieś niedobre przeczucie.

— Panie — rzekł do niego zwierzchnik po przywitaniu – w broszurce mojej zapisałem wczoraj nowy fakt nieposzanowania wieku sędziwego.

— Jakiż to fakt, panie naczelniku?

— Omnibusem jechał starzec — starzec, cierpiący na scyjatykę...

— Ah!

— Do tegoż omnibusa gwałtem chciał się wedrzeć młodzieniaszek, śpieszący na miłostki...

— Oh!

— Starzec prosił go, żeby siadł do innego przedziału, ale młodzieniec potrącił go i przemocą zajął miejsce...

— O-o o-o!...

Zwierzchnik założył ręce po napoleońsku i po długiej pauzie dokończył grobowym głosem:

— Starcem tym byłem ja, a młodzieńca pan znasz najlepiej...

. . . .

Podwładny do dzisiejszego dnia pobiera trzysta rubli rocznie i ani spodziewa się awansu.

W. Gomulicki (p. t. I, p. str. 177).

Pawsza.

Pan Pawsza i pan Tryzna,
Stary szlachcic, każdy przyzna:
Ale od pana Pawszy,
To chyba Pan Bóg starszy.

Dom Pawszów początek swój wiedzie od Pawszy, posadnika Wielkiego Nowogrodu, około 1270 r. Przodek Tryznów mało co później z Grecyi zabłądził do Siewierszczyzny; z tych dalekich a niepewnych wywodów urosła przypowieść dla ich wyjaśnienia lub poparcia; jako żart dość wczesny; jako dowód, nie ma powagi.

Kiedy na sejmiku Żytomirskim, popierając jakiś wniosek, rozkrzyczał się Michał Pawsza, przytomny wojewoda kijowski, Stępkowski, powiedział mu równie donośnym głosem:

— Sza, Pawsza! bo jutro zobaczysz się z Matką Boską!

Z wojewodą niebezpiecznie było żartować: pogróżka poskutkowała i poszła w przysłowie.

Przed 8-ym Października.

Pan Bonifacy Ciumciński szedł ulicą ze swoją młodą i prześliczną żoneczką, której na imię było Ewelina.

Zwracamy uwagę światłego czytelnika, że aczkolwiek małżeństwo to żyło ze sobą już trzy lata, pani Ewelina kochała swego męża, a nawet była o niego zazdrosną, on zaś kochał swego ubóstwianego anioła.

Co się tyczy pana Bonifacego, zmuszeni jesteśmy dodać, że jego serce było jak przejezdna, nader obszerna brama, tak, że...

W tej chwili właśnie małżeństwo poszukiwało mieszkania, tam bowiem, gdzie dotychczas mieszkali, była wilgoć i aczkolwiek nie mieli wcale dzieci, jednakże bali się o zdrowie tych latorośli, które w przyszłości być mogły.

Na Lesznie piękna pani Ewelina zwróciła uwagę swojego małżonka:

— Patrz, Bońciu, jaki prześliczny domek, tu musi być i ogródek na lato, gdyby tu było mieszkanie...

— Zaraz zobaczymy, może być, że się znajdzie; wiesz przecie, Luniu moja, że dla ciebie musi się znaleźć! — rzekł z zapałem pan Bonifacy, spostrzegłszy przybitą kartę najmu lokali.

Wielmożny stróż, klnąc, przeprowadził nowych lokatorów na pierwsze piętro do mieszkania, które w tenże dzień dopiero zostało przez kogoś opuszczone.

W pustych pokojach gdzieniegdzie jeszcze leżały jakieś sprzęciki lub przedmioty.

Na środku jednego pokoju stał słój od ogórków, w rogu leżały stare różowe pantofelki, tu pudełko od pudru ze starym, zużytym puszkiem, tam tafelka fajansowa od rozcierania różu, ówdzie znów buteleczka od blanszu lub słoik od goldkremu, a koło kominka kupka podartych listów.

Pan Bonifacy ogarnął to wszystko jednym rzutem oka i zadecydował, że w lokalu tym mieszkała... kobietka, a to właśnie był jej sypialny pokój.

Pan Bonifacy bardzo lubił kobietki i zawsze mawiał do kolegów, że to „jego pasyja"; przyglądał się więc temu buduarowi, napawał swe powonienie wonią piżma, pudru i... stęchlizny i mruczał coś pod nosem.

Pani Ewelina, jak to zwykle kobieta, przez ciekawość zaglądała w każdy kąt, poruszała wszystko i dotykała wszystkiego.

Właśnie w tej chwili pani Ewelina stanęła nad podartą kupką listów i poczęła ją przeglądać, gdy pan Bonifacy nie mógł już wytrzymać i zapytał stróża:

— Mój... jak wam tam?..

— Walenty...

— Mój dobry Walenty, a kto też tu mieszkał?..

— A... wahał się stróż... dyć... no, taka...

— Jaka? jaka? — zapytał ciekawie pan Bonifacy.

— A no, nazywała się Firtalska, a nazywali ją Lolka...

— Lolka!!! — jęknął pan Bonifacy i spojrzał w stronę żony.

Krew mu uderzyła do głowy.

— Lolka Firtalska! ależ ja ją znam — myślał sobie. — Pisywałem do niej listy miłosne, które pewno leżą tam... tam.

I zdawało mu się, że między kupą papierów leżą jego autografy, które posyłał czarującej Loli, pisane w zeszłym roku, kiedy jeszcze mieszkała gdzieindziej, gdzie często ją odwiedzał.

Oto pani Bonifacowa bierze do ręki jakąś kopertę...

Tak, zdaje mu się, że to jego pismo...

Widzi, jak pani Bonifacowa zbladła nad kupką papierów i...

— Ach! ach! ach!... przeciągłe rozległo się po pustem mieszkaniu i pani Ewelina odskoczyła od kominka.

Pan Bonifacy drżał ze strachu.

Nie miał siły nic zapytać.

— Nie, nie wynajmę tego mieszkania — rzekła pani Bonifacowa, trzymając kopertę w ręku.

— Ewelinko... Luniu... — bąkał błagalnie pan Bonifacy, ja... widzisz... niby... nie tego...

— Ależ powiadam, że nie wynajmę!

— Ależ, dobrze... tylko nie tego... patrzy... stróż.

Stróż gapiowato się uśmiechał.

— A czegoj pani tak krzyknęna... — zapytał.

— Nie wynajmiemy, mój człowieku, tego mieszkania... Ja się tak boję myszy, a tu właśnie mysz z papierów wyskoczyła.

Pan Bonifacy odetchnął swobodniej.

— Ależ, rozumie się! — rzekł — obrzydliwe mieszkanie, poszukamy w innem miejscu.

I wyszli...

I żyli w jaknajlepszej harmonii, gdyż pan Bonifacy podobno już... miał mniej obszerne serce i przestał mówić, że kobietki są „jego pasyją..."

Pchła i Rabin.

Pewien rabin, w Talmudzie kąpiąc się po u- [szy,
Cierpiał, że go pchła gryzła; w końcu się obru- [szy;
Dalej czatować, złowił. Srodze przyciśnięta,
Kręcąc się, wyciągając główkę i nożęta:
„Daruj, rabinie, mądremu nie godzi się gnie- [wać;
O święty synu Lewi, nie chciej krwi przele- [wać!"
„Krew za krew! — wrzasnął Rabin — Beliala [płodzie!
Filistynko, na cudzej wytuczona szkodzie!
Mrówki mają spichlerze; pracowite roje
Znoszą miody i woski, a trucień napoje:
Ty się jedna śród ludzi z liwarem uwijasz,
Pijaczko tem szkodliwsza, że cudze wypi- [jasz..."
Zakończył; i gdy więźnia bez litości dłabi,
Pchła, konając, pisnęła: „a czem żyje Rabi?"

A. Mickiewicz. (p. t. I, str. 19.)

—o—

* *Sposób na tępienie pcheł.*

Podróżnemu, który dni kilka bawił w hotelu, przyniesiono rachunek.

Suma była przerażająca.

— Jakto! tyle? — zawołał — to za drogo, za to, że przez trzy dni byłem pożerany przez pchły.

— Ach, panie — rzekła gospodyni — nie mówmy już o tem, wszystkie środki, używane na wytępienie tej plagi, są bezskuteczne.

— Podaj im pani taki rachunek jak ten, a żadna już tu więcej nogą nie postanie.

Pedagog.

* *Listy pedagoga.*

I.

Warszawa dnia 20 Czerwca 187...

Kochany Klemensie!

Dziwne bywają zrządzenia losów, a człowiek jest jak bańka mydlana...

Jeden podmuch wiatru, jeden nad zwykłą dozę wypity kieliszek — a już leżysz obstawiony bańkami, pijawkami, kataplazmami — jęczysz jak potępieniec, przeklinasz świat i ludzi, medycynę i chirurgję, kieliszki i zimno...

Byłem chory: — bladość uczyniła mnie interesującym, bo istotnie wyglądam jak szkielet, a gdy przechodzę przez ulicę w czarnym tużurku i z zapadłemi oczyma, to dziady kościelne i ajenci służby pogrzebowej spoglądają na mnie podejrzliwie, jakby sądzili, że jestem może dezerterem z dolnego kościoła Św. Krzyża, albo emigrantem z Powązek.

Ha, trudno, zapewne dużo jeszcze wody upłynie, zanim przyjdę do siebie i zanim fizyjognomja moja pokryje się też czerstwą barwą, która zwykle odznaczała moje pulchne niegdyś policzki...

Żeby jednak mogło przyjść do tego, trzeba było wziąść się do pracy i rozpocząć na nowo przerwane przed pół rokiem zadanie rozsiewania światła i cywilizacyi w głowach młodych obywateli, przysposabiających się do szkół rządowych.

Jak teraz, wypadło mi wlewać to światło w dwie głowy czarne jak skrzydła krucze, kędzierzawe, i należące do szlachetnych synów Salzpiper, kupca pierwszej gildyi i obywatela miasta Warszawy.

Instalacyja moja na tej nowej posadzie odbyła się bez wielkich ceremonji.

Pan Szymon Salzpiper nie interesuje się bardzo swemi dziećmi, a opiekę nad niemi zdał w zupełności na matkę, piękną panią Reginę...

W dniu oznaczonym dla wzajemnego porozumienia się, wszedłem na pierwsze piętro w jednej z okazałych kamienic na Lesznie, i przycisnąłem silnie metalowy guzik od dzwonka.

Jakiś młody człowiek otworzył mi drzwi i zaraz w progu zapytał:

— Co pan rozkaże?

Ponieważ miał pióro za uchem, ołówek w ustach i wielką księgę w ręku, przeto poznałem odrazu, że mam do czynienia nie z lokajem...

— Chciałem się widzieć z panem Salzpiper.

— Proszę do kantoru — rzekł i spytał zaraz, jaki pan ma interes.

— Jestem kandydatem na nauczyciela do synów pana bankiera...

Z sąsiedniego pokoju dał się słyszeć głos:

— Zaprowadzić do salonu — do pani.

Młody człowiek w podskokach i lansadach, właściwych cechowi kupieckiemu, otworzył mi drzwi pysznego salonu, w którym na malinowej jedwabnej kozetce siedziała kobieta młoda, blondynka i blada jak śmierć.

— Siostrzana dusza — pomyślałem sobie, a złożywszy pełen uszanowania ukłon, rzekłem:

— Jestem Gzubski... kandydat na nauczyciela.

— Ach... bardzo mi przyjemnie, przepraszam, że nie wstaję...

— Oh! widzę, że pani dobrodziejka musi być cierpiąca.

— Istotnie, panie... cierpienia duszy złamały to biedne ciało... mam dwóch synków — to jedyna pociecha.

— W jakim wieku?

— O, to jeszcze dzieci — rzekła unikając odpowiedzi, która mogłaby rzucać światło na jej własny wiek — a potem, przypatrując mi się bacznie, mówiła dalej:

— Pan równie musisz być cierpiący, mam szczególną sympatyję dla cierpiących...

— Pani... zbytek łaski... zresztą moje cierpienia mają siedlisko w duszy...

— Jestem niedyskretną... może to zawiedziona miłość?

— Oh, pani, stokroć gorzej jeszcze...

— Strata ukochanej osoby...

— Jeszcze gorzej.

— Więc to coś okropnego!..

— Zdrada — odrzekłem grobowym głosem. . i spuściłem oczy ku ziemi...

— Nie chcesz pan mówić... pojmuję tę drażliwość serca... jestem z tych kobiet, które umieją czuć, chociaż bywają pojmowane tak rzadko

— Idealna baba — pomyślałem sobie — trzeba ją będzie pocieszać.

— Co do warunków, te powie panu nasz kasyjer, ja nie wchodzę w takie drobiazgi... mieszkanie wskaże panu mój intendet...

— Od kiedyż mam rozpocząć moje obowiązki?

— Odpocznij pan czas pewien, przyjdź do siebie... urządź się, przez ten czas poznamy się bliżej, mówisz pan po niemiecku?..

— Mówię pani.

— To dobrze, mama moja zwykle mówi ym językiem i podczas jej obecności towarzytwo nasze musi się do niej stosować.

— Z przyjemnością to uczynię.

— Dzięki panu, jesteś pan dobry — domyślasz się pan zapewne, że rodzina Salzpiperów pochodzi z nad brzegów...

— Eufratu — chciałem wymówić.

— Z nad brzegów Renu, pielęgnujemy też nasz język i staramy się zachowywać tradyyje wspaniałych rycerzy... przodków naszych... sądzę, że te zasady zawsze będziesz się pan starał zaszczepiać w młodocianych ercach moich dziatek...

Skłoniłem się w milczeniu — pani zadzwoniła.

— Poprosić dzieci — rzekła.

Pochwili weszło dwóch chłopczyków, ubranych z pewną elegancyją, z przesadą nawet, matka rzekła do nich:

— Moje dzieci, przywitajcie waszego nauczyciela, pana Henryka.

Na to wezwanie jeden z chłopaczków zaczął kręcić palcem w nosie, drugi zaś wziął się do łowienia much na oknie.

— Wybacz pan, to jeszcze takie młode nieśmiałe aniołki — rzekła pani Salzpiper.

II.

Kochany Klemensie!

Z przeszłego listu dowiedziałeś się, że jestem zainstalowany na posadzie guwernera prywatnego u pani Salzpiper... powiadam pani, gdyż pan Salzpiper należy do tych szczęśliwych śmiertelników, którzy wymawiają tylko dwa wyrazy, a mianowicie *wie viel?* Przesiaduje on cały dzień w kantorze, wieczorem dopiero toczy swą kulistą postać do Krasińskiego ogrodu, gdzie używa umiarkowanej przechadzki.

Życie jego płynie jednostajnie jak zegarek dobrze wyregulowany; pan Salzpiper nie unosi się nigdy, nie gniewa, nie irytuje i cały świat zdaje się go nic a nic nie obchodzić...

To flegmatyczne usposobienie tuczy go niepomiernie i szlachetnym członkom nadaje formę coraz bardziej kulistą — jeden z jego kantorzystów porównywał go zawsze do czerwonej kuli bilardowej, chociaż zapominał o tem, że sam podobny był do kija.

Kiedy po niejakim czasie doniesiono panu Salzpiper, że ów kantorzysta zrobił znaczny deficyt w kasie i drapnął, pan Salzpiper nie zmieniwszy wyrazu twarzy, zapytał obojętnie.

— *Wie viel?*

— 5,732 ruble i $18^1/_2$ kop. — odpowiedział wybladły i przestraszony kolega zbiegłego.

Pryncypał w odpowiedzi na to wskazał ręką na Kuryjer i na przechodzącego stójkowego, co miało znaczyć, żeby ogłosić o zbiegu w gazetach i dać znać do policyi...

Rozkaz ten wykonano natychmiast, a wypadek nie zachmurzył ani na chwilę wygolonej twarzy bankiera.

Przyszedł on jak zwykle na obiad, przez cały czas nie odzywał się ani do żony, ani do synków, ani do mnie, a ja prowadziłem z panią domu żywą rozmowę o epidemji emigracyjnej, która przesiąknęła całą klasę kantorowiczów i subjektów.

Kiedy obiad się skończył, pryncypał wstał od stołu, pocałował żonę w rękę i wyszedł, chłopcy wybiegli do sąsiednich pokoi i ja chciałem podążyć za nimi, ale łagodne melancholiczne wejrzenie pani przytrzymało mnie na miejscu.

Przewróciła w górę swe melancholiczne habrowe oczy, a przy jasnych w umyślnym nieładzie rozrzuconych włosach, przy bladości twarzy prawie przezroczystej, wyglądała prawdziwie jak Ofelja, tem więcej, że skubała w ręku jakiś kwiat, wyjęty melancholicznie z wazonu, zdobiącego stół jadalnej sali.

Długo trwało milczenie, przerywane tylko szelestem przelatującej muchy, lub ostrym dźwiękiem dzwonka, oznajmującego przybycie jakiegoś interesanta do kantoru...

W tem położeniu nie wiedziałem co czynić, a chcąc bądź co bądź rozpocząć jakąś rozmowę, przygotowałem sobie w myśli frazes, mający poinformować moją panią o zamiarze przebicia tunelu pod kanałem Lamanche, o zamienieniu pustyni Sahary w morze, o kolei żelaznej, mającej przerżnąć Indyje, Tybet i Chiny i o wielu innych rzeczach.

Odkaszlnąłem już nawet, chcąc nadać naszej rozmowie charakter poważny, ciężki i suchy, jak na nauczyciela przystało, gdy wtem miła blondynka odezwała się:

— Tak to zawsze... jedno i to samo... ciągle w kółko.

— Łaskawa pani — rzekłem — życie jest niczem innem... jak tylko jednostajnym szeregiem podobnych do siebie wypadków i wrażeń...

— Ja nie mam żadnych wrażeń, mój panie i to jest mojem głównem cierpieniem...

— Sądzę, że kasa pana Salzpiper pozwala pani. .

— Ach, panie, dotknąłeś najdrażliwszej struny mego serca, czemże jest mój mąż dla mnie... jak pan myślisz?

— Ja myślę... że... jako... to jest opiekunem... przyjacielem... kochankiem wreszcie.

— Ha! ha! ha!—zaśmiała się ironicznie — on jest dla mnie... tylko kasą...

— I fasą — dodałem w myśli — porządną fasą...

— Ja nie znam radości, ani szczęścia, dni moje upływają w smutnej, nudnej jednostajności — nieraz chciałabym, żeby się dom zapalił... byłaby rozmaitość.

— Jesteś pani próżniak — myślę sobie i dodaję głośno: — a może by przejażdżka za granicę mogła panią rozerwać i rozweselić...

— Wszystko to jedno, wróciłam ztamtąd przed trzema tygodniami...

— Zresztą, proszę pani, wrażeń szukać nie trzeba, przychodzą one same, zawołać ich nie można... — rzekłem, ponieważ w podejrzliwym z natury duchu moim zrodziła się nagle supozycyja, że smutek pani i szczególniejsze zwierzenia były skutkiem nagłej, a niespodziewanej ucieczki pana Maksa, któremu melancholiczna pani okazywała pewne względy i nazywała go nawet kuzynkiem...

Podejrzenia moje były aż nadto uzasadnione, jak się to później okazało, chcąc jednak przerwać drażliwą rozmowę i pójść do swoich elewów, ażeby ich raz chociaż do pierwszej lekcyi zapędzić, odezwałem się tonem poważnym i uroczystym...

— Pani, kto wie, czy owa jednostajność, na którą się pani tak bardzo użala, nie jest najlepszym stanem duszy. Obfitość wrażeń zabija częstokroć serce, lub łamie je w kwiecie dni młodości... Znałem człowieka, napozór zimnego jak marmur, unikał on wrażeń, bo przeczuwał, że pierwsze zabiłoby go na miejscu.

Pani utkwiła we mnie swe wielkie habrowe oczy...

— Straszysz mnie pan — rzekła — ale wiesz pan o tem zapewne, że w strachu i obawie jest pewien urok... jakaś trwoga i niepewność, która mnie zachwyca. .

— Co kto lubi — odrzekłem krótko...

Nigdy nie przypuszczałem, że mam kwalifikacyje na proroka, i że gdybym był przyszedł na świat trochę wcześniej, możebym rywalizował z Jeremjaszem, Habakukiem lub Danielem, możebym jak Jonasz odbywał podróż malowniczą po wnętrznościach wieloryba i wyleczył się przez ten czas prawdziwym tranem, oryginalnym i nie podrobionym w żadnej aptece...

Dziś jeszcze nie mogę sobie wytłomaczyć, jakim sposobem przeczułem burzę domową — jakim sposobem przewidziałem, iż kulisty pan Salzpiper ma krew, nerwy, serce i wszystkie właściwości gwałtownego człowieka...

Na drugi dzień wieczorem, kiedy pan Salzpiper wyszedł jak zwykle na przechadzkę, a ja skończywszy lekcyję, czytałem pani na głos jakąś balladę Hug'a, miał się stać tragiczny wypadek.

Właśnie deklamowałem z niekłamanem

uczuciem i podlaskim akcentem zwrotkę ballady:

Loin de la ville,
Loin de palais de roi,
Loin de la cour serville,
Loin de la foule vile
Amis trouvez moi...

Gdy drzwi salonu otworzyły się raptownie, a młody człowiek blady, z włosami w nieładzie, z obłąkanym wzrokiem, rzucił się na kolana i padł czołem przy aksamitnych pantofelkach mej słuchaczki...

— Maks! — krzyknęła przestraszona dama.

— Pani... Kuzynko... Regino...—szeptał młody człowiek — ratuj... jestem niewinny...

— Co pan robisz, co czynisz nieszczęśliwy... Was machst du! wahnsinniger Kopf! — krzyknęła pani, przepomniawszy widać mej obecności.

— Masz i wrażenia — pomyślałem sobie. — A młody człowiek jęczał... błagał... prosił... aksamitne pantofle całował, a tak je łzami skrapiał, że byłem w obawie, żeby piękna pani nóżek nie przemoczyła...

Cofnąłem się aż pod piec — i niestety, miałem być świadkiem jeszcze groźniejszej sceny.

Pan Salzpiper wszedł do salonu.

Spojrzał, nie rzekł ani słowa, nie spytał „wie viel?" lecz z łoskotem, całym ciężarem swego ciała padł na posadzkę...

Był to silny atak apopleksyi.

— Apopleksyja! — pomyślałem sobie — więc moja rola dotychczas zupełnie bierna, teraz stać się musi czynną...

Przedewszystkiem zacząłem obrywać wszystkie dzwonki, skutkiem czego zbiegły się niezliczone tłumy wszelkiego rodzaju sług, służących, stangretów, a nawet i stróż z czerwonym nosem wpadł do salonu, wołając:

— O rety!

Posłałem na wszystkie strony po doktorów, a sam z pomocą kilku ludzi usiłowałem windować na sofę okrągłą i kulistą postać szanownego pana Salzpiper, co nareszcie po długiej pracy uskutecznionem zostało...

Pani zalewała się łzami, których wolnego biegu tamować nie chciałem — bo i na cóż? pragnęła wrażeń, ma wrażenia, a przyzna każdy, że atak apoplektyczny jest wrażeniem dość silnem, tak dla tego, który atakowi podlega, jako też i dla tych, którym zdaleka widnieje ułudna perspektywa majątku, swobody i tym podobnych osobliwości tego doczesnego żywota.

Przyjechali lekarze i po długich certowaniach się nad metodą leczenia apopleksyi, postanowili, iż należy upuścić cokolwiek krwi szlachetnemu pacyjentowi, który już nawpół zastygły oczekiwał ostatniej swojej godziny...

Niestety, puszczenie krwi dowiodło tylko jasno jak na dłoni, że szanowny pan Salzpiper w interesach, w życiu, a nawet po ataku apoplektycznym posiadał... krew zimną i z tą zimną krwią poszedł składać pierwszą wizytę ojcu Abrahamowi i znaczniejszym patryarchom...

Jeden z lekarzy udał się do buduaru pani, i w pełnych elegancyi oraz słodyczy wyrazach oświadczył jej, iż została wdową...

Mdlejąc i padając z nieopisanym efektem na miękką, jakby umyślnie do zemdlenia zrobioną kozetkę, pani Salzpiper od niechcenia rzuciła okiem w zwierciadło, jakby chcąc się przekonać, czy do twarzy jej będzie w żałobnej szacie wdowiej.

Zwierciadło powiedziało jej, że tak i młoda wdowa zemdlała z małym, ledwie dostrzeżonym uśmieszkiem na ustach...

. . . .

Pan Salzpiper spoczął sobie i spoczywa dotychczas w grobie swoich przodków — pani w powłóczystej czarnej sukni, w gęstym woalu na twarzy pociesza się jak może zagranicą, dokąd wyjechała z chłopcami, wyobrażam ją sobie, jak piękną być musi — blondynkom jasnym szczególniej w czarnym kolorze do twarzy...

Wygląda, jak bogini smutku, wzdychająca wśród wysmukłych cyprysów...

Chłopaczków zabrała z sobą, a ja jestem znowu wolny jak ptak i znowu szukam obowiązków i... wrażeń.

Historyję serca, a raczej jeden epizod z historyi serca pani Salzpiper nazwałem listami pedagoga.

Wyda się to dość zabawnem tym, którzy pod tym tytułem chcieliby widzieć szereg niesłychanie mądrych rzeczy pedagogiczno-krytycznych.

Tego nie potrzeba.

Zresztą byłem ja jednym z najlepszych pedagogów, ponieważ przez kilko-tygodniowy mój pobyt w domu ś. p. bankiera Salzpipera, nie miałem z chłopcami ani jednej lekcyi, nie skrzywiłem ich młodych pojęć, ani nie zasiałem w nich złego ziarna, gdyż przez cały czas czytywałem głośno poezyje i romanse, patrząc w habrowe oczy pani Reginy.

Właściwie więc nie byłem pedagogiem de facto, lecz raczej lektorem i nie piszę listów pedagoga, lecz maleńki, krótki romansik mojej słuchaczki, którego byłem mimowolnym świadkiem...

Z obowiązku tedy romansopisarza, powinienbym powiedzieć jeszcze słówko o losach bohatera, szanownego Maksa, który był pośrednią przyczyną nagłej i niespodziewanej śmierci pana Salzpiper i za zbyt śmiało może spoglądał w habrowe oczy pani Reginy.

Niestety, dalsze losy bohatera mojego są mi znane tak mało, jak wnętrze sypialni cesarza chińskiego, nie powiem więc o nich ani słowa.

Biedny Maks, wsadzili go do kozy i od tej pory przepadł jak kamień w wodę.

Kl. Junosza. (p. t. I, str. 57.)

Pejzaż.

Na wystawie malarskiej Krywulta.

Młoda panienka. Patrz ciociu, jaki brzydki pejzaż!

Jeden z widzów (odwracając się z twarzą zirytowaną). — Moja panno, proszę sobie nie pozwalacz. Ja sze krótko ostrzygam i nie jestem żadnym pejsarzem!

Pensyja.

Nauczyciel, objaśniając na pensyi pannom w jednej z wyższych klas moralne zdania — rzekł między innemi:

— Przyjmijcie panie za zasadę w życiu pokorę; jeśli cię kto uderzy w prawy policzek, to mu nadstaw pokornie i lewy.

— A jeśli kto pocałuje w prawy — spytała jedna z uczennic — czy także nadstawić lewy?

—o—

— Panno Mizdrzycka, co to jest kontrabanda?

— To... proszę madame, jak się naprzykład czyta romans w czasie lekcyi pod ławką, ale ja tego, jak mamę kocham, nie robię.

—o—

— Ma panienka przykład: jeżeli matka ma lat 19-cie, a ojciec 25, to jaki w dodawaniu wyniknie z tych dwóch sum rezultat?..

Pensyjonarka.

(Autentyczny wiersz umieszczony w albumie pensyjonarki.)

Opisać Twoje wdzięki — być mistrzem trze-
[baby,
Jam do tego niezdolny — Mickiewicz chyba-
[by.

Peruka.

Pewnego dnia d'Arnaud-Baculard, poszedłszy w odwiedziny do hrabiego de Friège, człowieka wielkiego dowcipu, zastał go przy toalecie i pragnąc mu przy tej zręczności powiedzieć jakiś niezwykły kompliment, rzekł:

— Pan masz włosy znamionujące genjusz!

— Ach, d'Arnaud! — odpowiada na to hrabia — gdybym wierzył temu, co mówisz, kazałbym je sobie natychmiast ostrzydz, aby ci z nich zrobić perukę.

Piekło.

Sławny kaznodzieja opisuje miejsce wiecznych męczarni w tych mniej więcej przerażających słowach:

„W głębi ponurego sklepienia, rozjaśnionego ciemno-czerwonym ognia odblaskiem, siedzą blade, dziko wyglądające postacie, a w ich zmęczonym błędnym wzroku maluje się bezbrzeżne zwątpienie... Dokoła pusto i zimno... tylko olbrzymi zegar porusza potężnem wahadłem — buja się ono na prawo i lewo, szepcząc słowa:

— Nigdy — Zawsze! Nigdy — Zawsze! Nigdy — Zawsze!

Jeden z owych z niczem niezrównanych nędzarzy, który oddawna chodzi niespokojnie po jaskini, zatrzymuje się i pyta drżąc:

— Czy może mi kto powiedzieć, ile czasu już upłynęło?..

A inny, który od wieków cierpi już tu katusze, uśmiecha się szyderczo, a wskazując na zegar, mówi:

— Głupcze! tu nie ma czasu! jest tylko przeszłość, albo przyszłość! Zawsze były męczarnie — nigdy nie skończą się katusze!..

Wtedy tamten z nieopisaną zgrozą pada na ziemię i wijąc się w strasznym bólu, rozpacznym wyciem przerywa monotonne wołanie olbrzymiego zegara.

— Nigdy — zawsze! Nigdy — zawsze! Nigdy — zawsze!

Pieniacz zawiedziony.

W obszernej, od lat wielu niebielonej izbie, zawalonej dokoła woluminami akt, o sterczących różnokolorowych etykietach, stosami ksiąg, pandektów i przeróżnych papierów, w części przez myszy ponadgryzanych, w części zaś przez muchy zepstrzonych, przy czarnem, koszlawem biurku, którego wytarte i pobryzgane sukno o licznych świadczyło usługach, ślęczał, zatopiony w robocie, pan Artakserkses Pieniacki.

W jednej ręce trzymał on pióro gęsie, ogryzając je z gorączkowym apetytem — drugą zapuścił w kędziory konopiastej grzywy swojej, która w górę najeżona, robiła zdala wrażenie strzechy, silnym orkanem nastroszonej.

Artakserkses był tak zajęty ważną widać powierzoną sobie czynnością, że gdyby mu kto kulą świsnął był nad uchem, on zaledwie jak od muchy byłby się tylko ognał.

Pieniacki i Szczujski zatrzymali mnie we drzwiach, wskazując dumnie na pracowitego pupila.

— Patrz, delegaciusiu — szepnął mi pierwszy — jak Ksenio pracuje!.. Nieodrodna to latorośl naszego imienia... do prawa ma pociąg naturalny, a dziedziczny w naszym rodzie. Gdybyś pan wiedział, jaką on ważną sprawę obrabia!..

— Dałem mu — rzekł cichutko Szczujski — bardzo pouczającą rzecz... redakcyę motywów do skargi o obrachowanie szkód i korzyści straconych, w sprawie bardzo drażliwej; ciekawym też, jak daleko postąpił w robocie.

Po tych słowach podsunęliśmy się na palcach ku zamyślonemu Artakserksesowi, przed którym, pomiędzy foljałami akt, leżał arkusz papieru, zagryzmolonego kilku kolumnami pisma, widocznie na wiersze wyglądającemi.

— Co to jest?! — wrzasnął nagle Szczujski, chwytając za rękę albinosa, ogryzającego pióro.

— To tak Ksieniu pracujesz nad tem, co o losie naszym stanowi? — zapytał go Pieniacki, chwytając go za drugą rękę.

Artakserkses drgnął jak piorunem rażony, zerwał się z krzesła, nie probując nawet rąk swych wydrzeć, a na bladą twarz rozkrzyżowanego w ten sposób męczennika, purpurowy wystąpił rumieniec.

— Ach! — jęknął z głębi duszy — jestem zdradzony!

I znów staliśmy przez chwilę naprzeciw siebie.

— Czy pan dobrodziej zrozumiał cel mego przybycia? — zapytałem nieśmiało.

— Zrozumiem, jak pana przy pracy zobaczę.

— Do tego potrzebaby mi wejść najprzód do mieszkania, roztasować moje papiery, poprosić o mapę wsi, regestr pomiarowy, książki i regestra gospodarcze.

— Powoli... powoli — odparł pan Kalasanty. — Pan dobrodziej żonaty?

— Nie, panie. Ale cóż to ma do mojej czynności?

— Więc kawaler?—ciągnął dalej, nie bacząc na moją uwagę.

— I nie kawaler.

— Więc wdowiec?

— Rzecz prosta.

Zamyślił się pan Kalasanty i po chwili spytał mnie znowu:

— Czy pan dobrodziej byłeś szczęśliwym w pożyciu?

Sądziłem, że mam waryjata przed sobą, nie wiedziałem więc, co odpowiedzieć, gdy pan Kalasanty dziwne to zapytanie powtórzył raz drugi.

— Zdaje mi się — odrzekłem — że zapytanie pańskie, jako nie mające żadnego związku z celem mego przybycia, za żart chyba poczytać muszę.

— U mnie żartów nie ma — odparł zimno — ja wiem, kogo w progi moje wpuszczę, muszę go wprzód poznać, o ile się da...

Oryginalna ta uwaga i cały sposób wzięcia się pana Kalasantego tak mnie zaciekawiły, iż przypomniawszy sobie w dodatku obietnicę na wyjezdnem memu sąsiadowi daną, postanowiłem bądź co bądź, dostać się do wnętrza domu tego dziwaka i dla tego zdobyłem się na powolność w odpowiedziach.

— Długoby o mem pożyciu opowiadać trzeba — odrzekłem — lecz jeśli to pana dobrodzieja obchodzić może, postaram się ciekawości jego zadość uczynić.

— Na szczegóły mamy czas później; na razie jednak chcę wiedzieć, czyś pan szczęśliwym był w pożyciu?

— To zależy...

— Wreszcie, czy nie pragniesz pan powrócić do stanu małżeńskiego?

— Według mnie, człowiek raz się rodzi, raz umiera i raz się też tylko żenić powinien.

— Czy to jest szczere wyznanie wiary ze strony pańskiej?

— Jaknajszczersze.

— Słowo? — zapytał, wyciągając ku mnie rękę i patrząc mi bystro w oczy.

— Słowa nie zwykłem dawać, ale tym razem robię wyjątek — odrzekłem, podając mu rękę.

— Kiedy mam słowo pańskie, któremu chcę wierzyć... proszę za sobą.

Weszliśmy tedy z zagadkowym dla mnie gospodarzem do równie dla mnie zagadkowego jego dworu.

Chłód jakiś dziwny, wiejący ze ścian, sprzętów, a najbardziej od samego gospodarza domu, sprawił mi dreszcz mimowolny.

Spostrzegł to pan Kalasanty i raczył zapytać, czy mi nie zimno.

— W istocie — odrzekłem — choć to czerwiec, sam nie wiem, dlaczego mi chłodno.

— To może znużenie podróżą — odparł — drogi się nieco popsuły. Może pan zechcesz spocząć chwilę, nim do obiadu podadzą.

— A o której godzinie obiad u pana dobrodzieja? — spytałem niby od niechcenia.

— Punkt dwunasta, bo i chłopcy wtedy próżnują. Miewam u siebie codziennym gościem pana Witalisa, sąsiada mego z Brzuchowa; ale zna on moje zwyczaje i ani wcześniej, ani się później nie stawi. Zresztą nie zwykłem zmieniać porządku domu dla nikogo i o naznaczonej godzinie siądziemy, choćby się gość mój miał spóźnić.

— Kiedy tak, to już wypoczywać nie warto, bo to już wpół do dwunastej. Wolę skorzystać z czasu i o niektóre objaśnienia poprosić.

— Powoli, powoli... mości dobrodzieju — rzekł pan Kalasanty—najsamprzód nie wiemy jeszcze, czy w ogóle do czynności przystąpimy, bo się za mało znamy.

— Sądzę, że jedno z drugiem nie ma nic wspólnego... znajomość znajomością, a czynność czynnością.

— Mylisz się pan bardzo... jedno z drugiem ma związek.

Ruszyłem mimowoli ramionami.

— Nie trzeba ramionami ruszać — ciągnął dalej p. Kalasanty — póki się rzeczy nie wysłucha, bo ja nic na wiatr nie mówię. Otóż związek jest taki, że kiedy się komu odkrywa stan majątku we wszystkich szczegółach, kiedy się komu pozwala wątpić o prawdziwości podanych szczegółów i upoważnia go się do sprawdzenia, trzeba doń mieć pewien rodzaj zaufania, a do tego znów znać się potrzeba choć trochę.

— Przyznam się panu, że mnie ta uwaga zadziwia niepomału. Najprzód czynność moja jest przedwstępną i nie decyduje ostatecznie. Jeśliby ilość ofiarowanej przezemnie pożyczki zdawać się miała za małą...

— Ale nie o to tu chodzi — przerwał mi.— Czy ja dostanę pożyczki więcej lub mniej, to mi wszystko jedno, bo interesów... naglących nie mam. Jeśli mam panu jednak nagą prawdę odkryć, chcę sam przekonać się, czy pan będziesz robił taksę Sobkowic rzeczywiście dla użytku Towarzystwa Kredytowego, czy też masz może jaki cel inny, ukryty.

— A cóżbym mógł mieć za cel? Toć wsi od pana nie kupię, bo mam swoją; nie odziedziczę, bośmy nie krewni; nie dostanę w posagu, boś pan bezdzietny.

— A kto to panu powiedział? — zakrzyknął, zrywając się z sofy.

— Nikt mi tego wprawdzie nie mówił, alem też i o istnieniu dzieci pańskich nie słyszał.

— Nie słyszałeś pan, bo nie potrzebowałeś słyszeć... Nie na to mam córkę, aby była przedmiotem gawęd ludzkich.

— Więc pan dobrodziej ma córkę?

— A panu na co ta wiadomość? — zapytał, przeszywając mnie wzrokiem.

— Na co? Ot tak... żeby przecież mieć o czem mówić, boć grzechu nie ma spytać przez ciekawość.

— Ja ciekawości nie lubię — przerwał mi. — Mam córkę... tak... i to jedynaczkę. Majątku wielkiego bo nie ma... czasy kiepskie... tak... ale moja córka nie fyrta się jak teraźniejsze panny... ma rolę szczytną... jest *moją* córką, a zadanie jeszcze szczytniejsze... osładzać mi życie. Jej też nic innego w głowie.

— Szczytne zadanie, rzeczywiście! i pewno spełnia je z całą gorliwością?

— A niechnoby nie! — zawołał z gestem grożącym. — Zresztą jak ona dla mnie, tak i ja dla niej chcę być wszystkiem na świecie.

— A w jakim wieku córeczka? jeśli wolno spytać.

— A ta wiadomość panu na co?

— No, przecież pytam się bez celu; nie sądź pan, abym przyjechał wykradać mu córkę, której nawet nie znam. Pytam się ot tak...

— Moja córka jest pełnoletnią, a mimo to jest dziecięciem niewinniejszem od anioła. Wykradania jej się nie boję, boby się temu oprzeć zdołała, skoro ja dla niej jestem światem całym. Zresztą najszczęśliwsza to istota: ma wszelkie wygody, ma książki, jakie chce, ma gazety, ma fortepian, ma do towarzystwa rzadkich przymiotów osobę, madame Gavronne, ma dwie papugi, cztery pawie, mnóstwo kanarków, ma ogród, kwiaty, o jakich pomyśli, ma suknie, jakie zapragnie — czegoż jej więcej potrzeba?...

— A znajomych dużo?

— Znajomych ja nie przyjmuję, bo lubię systematyczne życie, a wizyty robią mi dystrakcyję... nieład, dywersyję w gospodarstwie... przewrót w zwyczajach moich i w całym trybie domowym. Jedyny bywający u mnie pan Witalis z Brzuchowa ma tę zaletę, że lubi jeść dobrze i dużo... a jedząc, milczy. Apetyt jego dodaje i mnie apetytu; kiedy go mam naprzeciw siebie, jem daleko więcej i smaczniej... i to mi idzie na zdrowie. Zresztą to mistrz w sztuce kulinarnej... uczy

mi mego kuchcika, sam dysponuje obiady, codzień odmienne... i dla tego go znoszę. Innych gości nie przyjmuję, bo ludzi nie potrzebuję... córka, fuzyja i pies gończy mi wystarczają; plotek i obmów nie lubię, a od tych, żyjąc z ludźmi, uchronić się nie można.

— Jednak — wtrąciłem nieśmiało — wiodąc życie tak odosobnione, zagradza się poniekąd młodej panience przyszłość, bo jużcić nie przyjmując w domu nikogo...

— Nie przewraca się dziewczęciu w głowie — podchwycił pan Kalasanty. — Córka moja, powtarzam panu, żyje dla mnie, we mnie i przezemnie... Sobkowice są dla niej całym światem, a tak szczęśliwą się czuje, iż, ręczę panu, myślą nawet nigdy po nic więcej nie sięga.

— Dobre to wszystko do czasu... ale natura ma swoje prawa. Przyjdzie chwila, że serce spragnione wrażeń...

— Romanse! — przerwał mi. — Wrażenia, pragnienia i tajone głosy serca, wszystko to idzie za złym przykładem i nawyknieniami z młodu. Że tam miejskie panny, trenowane jak źrebce, wyprowadzane co niedziela na oględziny po spacerach publicznych, rzucane na łup zepsutej młodzieży po balach i asamblach... mogą mieć zawczasu w głowie przewrócone, żadne w tem dziwy. Moja córka, wychowana pod okiem ojca surowych zasad i osoby ze wszech miar poważnej, jaką jest madame Gavronne, nie wie nawet, że istnieją jakieś wrażenia, prawa natury, porywy serc i t. p. brednie. Zresztą jest ona taką, jaką ją mieć chciałem, wychowałem ją dla siebie na to, aby mnie, nie kogo innego uszczęśliwiła.

— Ostatecznie jednak, cóż za koniec?

— A cóż ma być za koniec? — spytał pan Kalasanty.

— No, przecież pan dobrodziej, jak my wszyscy śmiertelni, nie jesteś wiecznym.

— No więc cóż?

— Cóż się stanie z córką, gdyby ją zgon pański osierocił nagle, bez celu życia, stanowiska i jakiegoś punktu oparcia?

— Celem jej życia po mej śmierci będzie żal za mną i nadzieja połączenia się ze mną... tam... w wieczności; stanowiskiem na świecie jej sieroctwo; punktem oparcia—ten kawał ziemi, który jej po mnie na własność przypadnie. Czyż pan zresztą przypuszczać możesz, żeby po stracie ojca takiego jak ja, mogła się ona kiedykolwiek pocieszyć i przywiązać do kogokolwiek w świecie?

Pan Kalasanty spojrzał na zegarek.

— Pięć minut do dwunastej—rzekł, wstając z krzesła. — Witalis przyjechał, za pięć minut obiad.

Przybyły pan Witalis z Brzuchowa był postacią wprost przeciwną tej, jaką sobie z krótkiego opowiadania pana Kalasantego wyobrażałem. Zamiast opasłego żarłoka, wesołego, jak zwykle ludzie żołądkiem i dla żołądka tylko żyjący, ujrzałem naraz figurkę małą, nędzną, przerażającej chudości, z ogromnemi za to ustami, a tak głupiego wyrazu twarzy, iż mimo średnich już lat p. Witalisa, o małom mu w oczy śmiechem nie parsknął.

— Okropieństwo, co za droga na grobli!— odezwał się p. Witalis, kłaniając się nam obydwom. — Drżałem, żeby się nie spóźnić na obiad... bo znam zwyczaje, a jestem fatalnie głodny, *antrrnu swadi* (co miało znaczyć entre nous soit dit i stanowiło przysłowie, a razem całą francuzczyznę pana Witalisa).

— Przyjechałeś jednak w sam czas— odparł pan Kalasanty. — Ale nim siądziemy do stołu, pozwolisz, że ci przedstawię pana Piotra, delegowanego...

— Aaa.. — rzekł, kłaniając mi się pan Witalis. — Czy na obiedzie zostaje? — szepnął gospodarzowi na ucho.

— A cóż z nim zrobić? — odparł również cicho pan domu.

— Okropieństwo!

— Czemu?

— Staśko dziś pierwszy raz robi andruty... boję się kompromitacyi.

— No, to trudno... jakoś to będzie.

— A potem — ciągnął dalej pan Witalis — *antrrnu swadi* — nie wiem, czy obiadu będzie dosyć, bom dysponował jak zwykle.

— Ha, cóż robić?... będziecie trochę głodniejsi. Ja, bo się czuję przy apetycie i z mojej porcyi się nie pożywi.

— Okropieństwo!!... więc to się na mnie ma skrupić? *Antrrnu swadi* — mogę kurczów dostać jak nie dojem, bo na noc brałem dla konkokcyi Morissona.

— Bylem ja ich nie dostał — rzekł, ruszając ramionami gospodarz.

— Idźmyż więc — rzekł p. Kalasanty, wychodząc naprzód, i nim zdołałem powstać z sofy, już p. Witalis jednym susem był w progu jadalni, obawiając się zapewne, bym mu uprzywilejowanego nie zajął miejsca. Podążyłem za oryginałami, zaciekawiony coraz więcej tem, com widział.

W sali jadalnej czekała nas wiekowa, choć wykwefiona jejmość przy stole, trzymając opasłego szpica na ręku. Była to madame Gavronne, osoba do towarzystwa panny Rozalii. Za przybyciem p. Kalasantego zapytała go z cicha, czy Rózia przyjść może do stołu. Po krótkim namyśle i ponownem rzuceniu okiem na mnie, p. Kalasanty zawyrokował: „może".

Weszła też po chwili ze spuszczonym wzrokiem panna Rozalija, prowadzona za rękę przez ową madame Gavronne, zajmując miejsce przy stole między nią a ojcem.

Zasiedliśmy wszyscy w milczeniu koło stołu, a p. Witalis zaczął robić jak u siebie honory domu w części gastronomicznej, w którą widać wlewał całą duszę, myśl i istotę swoją. Oczy jego, dotąd głupio nieruchome, zaiskrzyły się naraz ogniem tak silnym i tak wymownego nabrały wyrazu, jak oko wodza, rozpatrującego pole bitwy, na którem go... śmierć albo sława czekają.

Pan Witalis przedewszystkiem wypalił kieliszeczek starki (nie zważając na Morissona) w ręce pana Kalasantego, który znów do mnie jej się napił, poczem ów wice-gospodarz domu, z powagą starożytnego augura, rozlał na talerze rakową zupę z pływającemi po niej faszerowanemi raczkami, zachowując w tem zwykły przyjęty porządek, to jest pierwszy talerz panu Kalasantemu, drugi sobie, trzeci madame Gavronne i jej psiakowi, czwarty pannie Rozalii, a ostatni mnie, choć, Bogiem a prawdą, dla mnie napróżno już się trudził, gdyż zaledwie dno talerza płaskiego zupą zarumienić zdołał, tak matematycznie ilość jej obliczoną widać była.

— Okropieństwo! — rzekł, skończywszy zupę, p. Witalis. — Mówiłem Staśkowi, żeby do farszu muszkatołowej gałki nie żałował, ale z tem bydłem to groch o ścianę. Ten chłopak musi mieć głowę czem innem zajętą. Czy pan tego nie znajdujesz? — dodał, obracając się do mnie.

— Żeby miał głowę czem innem zajętą?

— Nie... że w farszu muszkatołowej gałki zamało.

— Nie miałem tak bardzo z czego sądzić — odrzekłem, spojrzawszy przypadkiem na pannę Rozaliję, którą lekki jakiś rumieniec oblał.

— Monsieur Witalis... czy ta zupa nie będzie szkodzić Żolce? — spytała madame Gavronne.

— *Antrrnu swadi*... nie zdaje mi się, a w najgorszym razie damy jej Morissona dla konkokcyi...

Obnoszono już tymczasem paszteciki wyż opisanym porządkiem. Panna Rozalja przez delikatność nie brała, ale reszta biesiadników tak się jakoś gracko uwinęła, że dla mnie jeden tylko i to już rozkruszony pozostał.

— Jakżeż smakowały? — spytał łaskawy na mnie pan Witalis.

— Co?

— Paszteciki.

— Zapytaj pan w liczbie pojedyńczej — odrzekłem z przekąsem, bo zaczynała mnie niedelikatność tego żarłoka niecierpliwić.

Pan Witalis udał, że mojej odpowiedzi nie

zrozumiał, lub może zrozumieć jej nie chciał i pociągnął kieliszek węgrzyna, którego całą butelkę miał przed sobą.

— Może pan piwka pozwoli? — zapytał mnie po chwili.

— Owszem, ale z tej samej co pańska butelki — rzekłem, zły coraz więcej, postanowiwszy iść na przebój.

Pan Witalis zmięszał się... oniemiał... zawahał — nareszcie rad nie rad, drżącą ręką nalał mi kieliszek swego wina.

Podano tymczasem sztufadę, której także homeopatyczna dostała mi się tylko doza.

Pan Witalis, zagniewany widać na mnie o ubytek kieliszka wina, zwrócił się tym razem do gospodarza domu.

— Jakżeż smakowała? — zapytał.

— Czy nie zasłona? — odparł pan Kalasanty.

— Okropieństwo! Staśko widocznie się psuje... *Antrrnu swadi...* posolił jak zakochany. Tfy!...

Spojrzałem na pannę Rozaliję, której, zapewne na ten wykrzyk niezbyt przyzwoity, coraz żywszy rumieniec występował.

— O, zmyję mu dziś głowę — groził pan Witalis — bo to już nie moja wina... Zostawiłem mu wyraźny przepis.

— Monsieur Witalis... czy sztufada nie będzie za słona dla Żolki? — spytała zajęta ustawicznie swym szpicem madame Gavronne.

— Dodaj jej pani do mleka trochę siarki... to wytrawi i od nosacizny uchroni; a gdyby mimo to kichała, damy jej potem Morissona.

Z kolei krążył już w koło półmisek różnych dość pięknie wyglądających jarzynek, ubranych przysmażaną bułeczką, w kogucie grzebienie wykrawaną. Jak zwykle, dostały mi się resztki... na jeden ząb. Widząc, że głodny wstanę, zacząłem pocieszać się chlebem z solą... owemi symbolami gościnności. Panu Witalisowi i to przeszkadzało, widocznie chciał mnie zamorzyć, bo zwróciwszy się do mnie, zauważył:

— Pan dobrodziej, widzę, lubi chleb z solą...

— W braku czego innego — odrzekłem nawpół z gniewem.

— To... to... bardzo zdrowe — odparł zmieszany. — Morisson zaleca to dla konkokcyi.

— Czemuż pan dobrodziej, zwolennik Morissona, z tej mądrej rady nie korzysta?...

— Ja... bo wolę mięso — odpowiedział mi naiwnie, odwróciwszy się już zupełnie do pana Kalasantego z zapytaniami.

— Jakżeż jarzynki?

— Dobreby były — rzekł mu gospodarz domu — tylko mi się wodniste wydają... Może jeszcze zamłode.

— Nie... to wina Staśka... niedosyć wysadził, niedosyć wysadził, okropieństwo!... a mówiłem, mówiłem... masła nie żałować... ognia poddać. O, trzeba mu zmyć głowę, którą widocznie traci.

Panna Rozalija zakrztusiła się nieco, silniej się przez to rumieniąc.

— Monsieur Witalis... co to znaczy, że Żolka nie chce dziś jeść jarzynek?

— Bo głupia, nie wie co dobre.

— Bardzo proszę — odparła urażona madame Gavronne — wie ona, co dobre; ale właśnie dla tego że nie je, muszą być jarzynki niedobre.

— Nie spieram się, pani dobrodziejko... Staska nie bronię; owszem, zmyję mu głowę, jak na to zasłużył.

Podano nareszcie indyka.

Pan Witalis w powietrzu go prawie rozebrał i skorzystawszy z tej operacyi, przeniósł za jednym zamachem jedną prawie połowę na swój talerz, zabierając się jednocześnie do przyrządzenia sałaty.

Mnie się, jak zwykle, kuperek indyczy dostał i to dzięki niejedzącej pannie Rozalii, ale tymczasem chleb z solą pierwszy już głód zaspokoiły.

Objadanie indyka nadziewanego kasztanami trwało najdłużej. Pan Witalis oglą-

dał mięso, obwąchiwał, lizał, patrzył pod światło, skrobał lekko nożem, rozkoszując się tym widokiem—wreszcie, zjadłszy ogromną ową porcyję, zakonkludował:

— Indyk udany, co się zowie.

— Co się zowie — powtórzył pan Kalasanty, ocierając zatłuszczone usta.

— I Żolce smakuje—dorzuciła niezmiernie uradowana madame Gavronne.

— Ciekawym bardzo andrutów — rzekł pan Witalis, unosząc się na krześle, na widok przybywającego półmiska. — Pokaż-no je, Hawryłko. — I przytrzymując jedną ręką, kosztował andruty pełnemi usty, zrzucając stos takowych na talerz, co też i pan Kalasanty uczynił. Dla panny Rozalii, dla madame Gavronne, Żolki i dla mnie zostało ich raptem dwie sztuki; a że madame jedną, przypadkiem niby, na podłogę upuściła, co było czystym zyskiem Żolki, na drugą zaś miłosiernem spoglądała okiem, podziękowaliśmy więc z panną Rozaliją oboje i madame Gavronne ostatni andrut spożyła.

— Jakżeż andruty? — zapytał, składając serwetę p. Witalis,

— Tak to... ni to, ni owo — odrzekł p. Kalasanty, czyniąc to samo—coś... nakształt macek żydowskich.

— O, panie, profanacyja! *antrrnu swadi!* to potrawa z wielkich stołów... ale powinny być kruchsze i cieńsze. O! Staś krewi.. krewi! Okropieństwo!... widocznie ma coś innego w głowie... Ale dojdę... dojdę!... choćbym go miał wziąć na tortury!

* * *

Była to noc czerwcowa... noc kończącej się polskiej wiosny, nad którą w świecie piękniejszej nie znajdziesz.

Jak długo spałem, nie wiem; tyle tylko pamiętam, że po podróży, całodziennej pracy i wrażeniach dnia ubiegłego, usnąłem tak smacznie i mocno, jak dawno nie bywało... gdy wtem zbudziły mnie stuk, huk i krzyki na podwórzu. Nie wiedząc, coby to znaczyć mogło, zacząłem się czemprędzej ubierać, chcąc się o przyczynie tego niesłychanego hałasu dowiedzieć, gdy nagle ktoś całą siłą we drzwi mej izdebki szturmować zaczął, a kilkanaście głosów jego krzykom wtórowało.

— A mówiłem, że szelma delegat! — krzyczał pan Kalasanty — przebrany uwodziciel!... złodziej na panny!... Miałem dobry instynkt!... Uciekł, zbrodniarz! Hawryłko, po ślusarza... drzwi wywalić!

Widząc, że wyraźnie o mnie chodzi, zacząłem wołać z mej strony, że bez ślusarza drzwi otworzę, tylko coś na siebie zarzucę, ale krzyk i gwar całej zgrai głos mój zupełnie zagłuszyły.

— A kanalija, delegat! jaszczurka... żmija!!—wrzeszczał ciągle, pchając się na drzwi, pan Kalasanty.—Jeszcze drzwi za sobą tak zamknął, żebym na jaki ślad nie natrafił.

W tej chwili odsunąłem rygiel, drzwi się nagle roztwarły, a pan Kalasanty z ostatniemi słowy wpadł całym ciężarem swoim jak bomba, zatrzymując się naprzeciw mnie w osłupieniu.

— Wszelki duch Pana Boga chwali! Co to? pan tu?!...

— A gdzież mam być? Tuście mi nocleg dali, tu jestem... Ale ja to winienem spytać pana, co znaczyły ten huk, szturmowanie do drzwi i przekleństwa miotane?

— Pogoń na wszystkie strony!... jak już dysponowałem... Marsz!...—krzyknął do obecnych za drzwiami i, zamknąwszy takowe, rzucił się na krzesło.

Twarz jego cechował straszliwy wyraz gniewu.

— Ach, panie! — ciągnął dalej słabym głosem — jestem okradziony... haniebnie... z tego, czegom strzegł najusilniej w życiu... jestem zdradzony... rzucony na pastwę językom!...

— Cóż to się stało?

— Porwano mi córkę... Wystaw pan so-

bie... uciekła z rodzicielskiego domu... nie wiem z kim i dokąd.

— A nie podejrzewasz pan nikogo?

— Ja?... jednego pana podejrzewałem. Zresztą pies u mnie nie bywał... z nikim nie żyłem... drogi psułem, mosty zrywałem.. tak, jakbym miał jakieś przeczucie...

— Może kiedyś dawniej kto bywał? — pytałem, udając, że się nie domyślam sprawcy.

— Nikt!... chyba jeden Witalis... ale ten nie byłby zdolnym do takiego czynu.

— Ręczyć nie można... czasem pozory mylą.

— Ale kiedy jest w domu... przysłał tu w tej chwili dyspozycyję obiadu dla Stasia...

— A jest Stasio? — zapytałem naiwnie.

— Nie można go w tym chaosie znaleźć... pewno także poleciał z drugimi szukać zbiegów.

— Ten najprędzej ją znajdzie — pomyślałem w duchu.

— Ale ja tu siedzę jak dureń... konia!... — krzyknął przez okno pan Kalasanty i wybiegł pędem na dziedziniec.

Cała wieś była w alarmie, jakby wobec pożaru, lub nadciągającej szarańczy. Chłopi rozlatywali się po polach i lasach szukać zbiegów, na których głowy cenę trzech rubli (niezbyt wielką, ale dla chłopa dość ponętną) pan Kalasanty w swej rozpaczy nałożył. Dworscy ludzie wyprzęgali z pługów i bron konie robocze, także do pogoni użyć się mające.

Wśród tego zamętu nagle uczułem się za rękę konwulsyjnie pochwyconym. Przedemną stała... blada... z rozczochranemi włosami madame Gavronne.

Patrzyła mi w oczy, nie mogąc słowa przemówić z przestrachu, a i ja, szanując to jej cierpienie i pojmując wielką odpowiedzialność, jaka na niej ciążyła, jej milczenia przerywać nie śmiałem.

Po chwili zdobyła się wreszcie na głos, dotąd w jej piersiach zamarły i rzekła cicho:

— Panie... czyś jej nie widział?

— Nie, pani... od wczorajszego obiadu nie miałem już sposobności.

— O, feralny ten dzień wczorajszy!... przeczuwałam jakieś nieszczęście... Ona była smutną... nic prawie nie jadła...

— Jej oczy dawno już zdradzały cierpienie.

— O, panie, ja to widziałam... Ale z kim tu obawy podzielić było? Czyż to ciche stworzenie mogło się komu zwierzyć?

— Wybacz pani... aleś ty ją odgadnąć była powinna.

— Powinnam była... i odgadywałam po części.

— Rolą twoją było zastąpić jej wszystko.

— O tak — rzekła, przerywając mi — ja też byłam dla niej wszystkiem, bo miałam w niej nawzajem najdroższą przyjaciółkę, nieodstępną towarzyszkę, jedyną pociechę.. Czy uwierzysz pan, że najczęściej noc całą na moich kolanach przesypiała.

— No, dzisiejszej nocy nie spędziła na kolanach pani...

— Owszem, owszem panie...

— Kiedyżby zasnęła?

— Punkt dziewiąta... bo tak ją przyzwyczaiłam.

— Jakżeż, kiedy ja sam ją znacznie później spotkałem.

— Gdzie?

— W ogrodzie.

— To być nie może!

— Ale zaręczam pani, że się nie mylę.

— W ogrodzie?... Żolkę?...

— Żolkę?... — zapytałem zdziwiony.

— A o kimżeś pan mówił?

— Ja?... ja?... A dajże mi, babo, święty pokój ze swoją Żolką! — krzyknąłem zgorszony i wpadłem, drżąc z oburzenia, do swojej izdebki pakować rzeczy czemprędzej.

Jordan (p. t. I, str. 209).

Pies.

Kwakier pewien jechał konno przez wioskę. Wtem pies jakiś szczekał na konia, który się spiął i obalił jeźdźca na ziemię.

Kwakier rzekł do psa:

— Moja religija zabrania mi krew rozlewać, ale zemszczę się na tobie, psując ci sławę.

To mówiąc, zaczął wołać co miał sił:

— Ratunku, pies wściekły!

Na krzyk zbiegli się pracujący opodal rolnicy i psa kijami zabili.

—o—

Scarron napisał udatny wierszyk na cześć suczki swej siostry i dał mu następny tytuł, „A la chienne de ma soeur" (Suczce mojej siostry.) Pokłóciwszy się z siostrą, zmienił tytuł jak następuje: „A ma chienne de soeur." (Mojej siostrze suce.)

—o—

Pewna sentymentalna młoda kobieta straciła pudla, którego bardzo kochała.

Razu pewnego, wkrótce po śmierci swego ulubieńca, poznała ta czuła istota doktora R., który nosił długą brodę i wijące się włosy.

— Droga Fryderyko — rzekła do niej ciotka — nie przypatruj się tak uporczywie temu panu, bo gotów pomyśleć, żeś się w nim zakochała.

— Nie jestem w stanie odmówić sobie tej przyjemności, droga ciociu — odrzekła młoda kobieta ze łzami w oczach — ten pan jest bowiem zupełnie podobny do mego najdroższego pieska.

* *Pies i kot.*

(Bajka.)

— A więc żyjmy w przyjaźni,
— Żyjmy — kot odrzecze —
— Ty bądź psem.
— Nie, nie mogę, ty psie zostań [kotem.
— Czemuż? w ten sposób kwestyja znowu się [odwlecze,
Będziem nieprzyjaciołmi, jak dotąd i potem.
— Więc przyjaźń między nami jest wprost [niemożliwą.
— Dla czego? — pies się pyta. – To dobre py- [tanie,
— Dla tego, że patrzymy na siebie wciąż krzy- [wo,
Gdyż pies kotem nie będzie, kot psem nie zo- [stanie.

J. Waśniewski. (p. t. I, str. 30.)

* *Pies i pszczoły.*

Jestto cnota nad cnotami
Trzymać język za zębami—
Stare powiada przysłowie.

Wszyscy jednakże smakujem w obmowie.
O cudzych grzechach rozmowa tak słodka!
Raz pewien wyżeł przebiegły i śmiały,
Wielki bajarz, wielki plotka,
Przytem lizuś doskonały,
Proszony czy nie proszony,
Latał na wszystkie strony,
Wiedział wszystkie wady, sprzeczki,
Wszelkich skrytości docieka;
Słowem u wszystkich ogryzał kosteczki,
A potem wszystkich oszczekał!
Suczki z suczkami,
Psiarnie z psiarniami
Zwaśnił, zniechęcił i skłócił;
Cały porządek przewrócił.
Wtem raz szczególna ciekawość go wzięła,
Jakaś pokusa go bodzie
Zajrzeć do ula, który stał w ogrodzie.
Najprzód ostrożnie bierze się do dzieła,
Obchodzi, wącha, skrada się, przemyka,
Ale zaledwie nos wtyka,
Cała pszczół gromada
Z straszliwym brzękiem wypada;
Wyżeł w nogi! — lecz te w złości
Tak go cięły bez litości,
To po brzuchu,
To po uchu,
To po pysku, to po grzbiecie,
Że już niewiedział o świecie.

Wtem mu jedna w nozdrze wpadła,
I tem mu dojadła;
Szarpie się, rzuca i wyje,
Nosem ziemię ryje,
Jęczy — na wszystkie strony
Wykręca się i wywija,
Wreszcie leci jak szalony
I łeb o kamień rozbija.

I dobrze mu tak było. Kto nadto ciekawy,
Kto nos swój niepotrzebnie w cudze wtyka
[sprawy,
A wszystkich czerni szkaradnie,
Prędzej czy później w taką łapkę wpadnie,
Że będzie wzgardą i pośmiechem świata.
Taka to Wścibskim zapłata.

Fr. Morawski.

* *Z pamiętników psa.* *)

Sierć mi wypełzła, oczy straciły blask, zęby — piękne zęby wypadły i połamały się na nic.

Już gnat w nich nie trzeszczy; nikomu one niestraszne, kłapouche i mrukliwe zwierzę urąga mi na podwórku.

Sic transit gloria mundi, a raczej *gloria Hundi*... wyrażając się poprawniej.

Gwiazda moja zagasła — a jednak, wyrażając się po ludzku, i ja niegdyś byłem Faryseim.

Nous autres... my psy mamy swoją historyję, bo i któż jej nie ma...

Słowa te piszę ogonem na piasku... może kto z uczonych odczyta — a może też je wiatr swawolnik rozwieje, deszcz spłucze, śnieg zasypie i nikt wiedzieć nie będzie, gdzie kości moje bieleją, gdzie ostatni ząb gryźć będzie ziemię czarną...

*) Przekładu z „psiego" dokonał jeden z lepszych filologów tutejszych, współpracownik wielu pism orientalnych, occidentalnych, septentrionalnych i meridionalnych pan A. Hm. Brrm.

P. R.

Brr! jestem bez dachu, nie mam budy, zimno mi jak psu, głodnym jak pies... o ludzie! w waszych porównaniach bywa gorzka prawda niekiedy...

Rodzice moi byli to czystej krwi cetery, piękny gatunek, dumny z długich uszu i krwi szlachetnej.. coś jakby stara szlachta u ludzi...

Moi stryjeczni dziś stają do bekasów na Cyprze.

Podobno jakiś Dizraeli (chociaż człowiek) przyaportował ten Cypr do nogi władczyni połączonych królestw Anglji, Szkocyi i Irlandyi, oraz cesarzowej indyjskiej...

W przedpokoju mego pana, mego ex-pana, leżały stosy gazet, wąchałem często bibułę i ztąd znam się na polityce...

Eljasza Jerzynę mogę poznać jak zająca po tropie, w „Gazecie Warszawskiej" czułem starego, szczwanego rogacza, „Polska Gazeta" pachniała mi zawsze trochę kozą, a trochę lisem.

Ludziom, bo wszystko inaczej pachnie podobno.

Dwa miesiące miałem zaledwie, gdy już zdradzałem wysokie zdolności i nadzwyczaj bystrą inteligencyję.

Kupiony zostałem też za znaczną sumę.

Psiarz, który mnie wychował, zrobił doskonały interes.

Zostałem własnością młodego pana Alfonsa, dzielnego chłopca... wystawiałem mu dubelty i krzyki, aportowałem słomki, przynosiłem kaczki z wody, nie zważając na głębie jeziora, pan mój kochał mnie... bardzo mnie kochał nawet.

Nazywałem się Sfinks, a byłem cudnie piękny.

Powiedziała mi o tem krępa i przysadzista kundlica z łatką nad lewem okiem, kundlica, z którą wdałem się był w romans, nie zważając na mezalians... na tradycyje rodowe...

Lecz — stało się, a przytem ona była za-

chwycającą, ta demokratyczna piękność... ta podwórzowa, łańcuchowa psia-Venus.

Raz, pod płotem, dałem jej słowo honoru, że do śmierci pozostanę jej wiernym.

Mój pan w tym samym czasie wyprawiał huczne zaręczyny, gdyż miał się żenić z piękną panną z sąsiedztwa.

Widziałem kilka razy tę przyszłą panią moją; była cudownie piękna, oczy miała jak niebo, włosy jak słońce, a wydawała mi się tak dobrą i poczciwą, że z pewnem drżeniem lizałem jej rączkę, którą mnie zazwyczaj po gładkim grzbiecie głaskała... Przywiązałem się szczerze do tej zacnej istoty, z całą przyjemnością nosiłem jej parasolkę na spacerach, aportowałem wszystko, co mi kazała, pokazywałem sztuki na wodzie, trzymałem położony przez nią na mym nosie cukierek, aż dotąd, dopóki swym słodkim, pieszczonym głosikiem nie powiedziała — pyf!

Mieliśmy jechać z panem do Warszawy.

On po jakieś sprawunki... ja dla jego przyjemności.

Smutno mi jakoś było na sercu, pożegnałem się z moją kudłatą przyjaciołką, pobiegłem za stodołę i zacząłem wyć tak żałośnie, że mi wszystkie psy we wsi wtórować zaczęły, a nawet w lesie, odwieczny antagonista, wilczysko stary, płaczliwem się wyciem odezwał.

W Warszawie pan mój bawił się, a ja zabrałem znajomość i zawiązałem stosunki z bardzo porządnemi psami.

Miłe to towarzystwo nudziło mnie jednak w gruncie rzeczy.

I czyż mogło być inaczej? ja, syn natury... a to wszystko wychuchane, wydmuchane, delikatne.

Jakem raz jednego żartami wziął za kark, to zaskowyczał, że aż na dziesiątej ulicy słychać było.

Biedny Papinek.

W Warszawie, włóczyliśmy się po całych nocach, jeździłem powozami, bywałem w pięknych ogrodach, aż nareszcie raz przyszliśmy do buduaru pięknej kobiety.

Była to czarna, jak noc, brunetka, o! nie tak jak tamta jasna na wsi! nie — chociaż i równie piękna, a może jeszcze piękniejsza...

Nie lubiłem tej kobiety.

Mój pan klękał przed nią i przysięgał jej miłość.

Ośmieliłem się pokazać raz zęby tej piękności — pan kopnął mnie nogą... położyłem się pod stołem zgryziony i zły...

Z pod stołu widziałem sceny, które się w mej psiej głowie pomieścić nie mogły.

Oczy tej czarnej pani błyszczały jak węgle rozżarzone... mój pan całował ją po rękach... po szyi... a potem schodzili się jacyś panowie, zasiadali do stołu, rzucali jakieś papierki... a twarze ich przypominały mi tych psów, co to porwawszy zdobycz, leżą przy niej i zanim krwawy bój rozpoczną, warczą głucho i zęby wyszczerzają na siebie...

Dowiedziałem się później, że oni się nie gryźli... tylko bawili się tak... w karty...

Na twarzy mego pana była rozpacz... czarna pani śmiała się głosem srebrzystym.

— Już nie mam nic — szeptał — nic... ani grosza...

Lecz potem zerwał się nagle i zawołał:

— Kareta i konie!

— Idzie — odpowiedział mu jakiś pan.

— Poszły! — roześmiała się pani...

Mój pan wyrwał sobie garść włosów z głowy...

— Postaw na Sfinksa — rzekł do niego ów, co rzucał karty...

Pan mój spojrzał na mnie, zamyślił się nieco i zawołał:

— Idzie!

A po chwili ów drugi rzekł:

— Przegrałeś, pójdź tu, Sfinks, będziesz teraz moim.

Rozpacz mnie porwała.

Zbliżyłem się powoli do tego człowieka, spojrzałem mu w oczy... a potem ukąsiłem go szkaradnie w twarz...

Zbito mnie kijami, pokrwawiony uciekłem na ulicę.

Do mego pana nie chciałem już wracać... ale poszedłem do tej ślicznej, jasnowłosej pani.

Ile czasu szedłem — nie wiem... pamiętam tylko, że gdym stanął przed nią, byłem chudy jak szkielet.

Ona pogłaskała mnie i zaczęła płakać.

— Pójdź precz! ohydne przypomnienie — zawołał jej brat. — Huzia go! huzia na psa!— i wyszczuł mnie psami.

Wróciłem na stare śmiecie...

Moja dobra kundliczka już nie żyła... wściekła się z tęsknoty i ekonom zastrzelił ją z rusznicy.

Znajomych ludzi ani śladu... wszędzie żydzi... psów porozpędzali.. trzymają tylko gęsi i kotów.

Nie było i tu co robić..

Poszedłem szukać śmierci...

Na rozstajnych drogach spotkał mnie stary gajowy, poznał mnie, pogłaskał i kazał iść za sobą...

Poszedłem chętnie...

I pędzę tu ostatki życia, tropię staremu zające...

Czasem mną świnie szczują, czasem bydła strzedz każą... dzieci mnie ciągają za uszy — sypiam na wiórzysku, jadam, co znajdę.

Sic transit gloria mundi...

Sphinx.

Piesio.

(Figura z prowincyjonalnego parawana.)

Najserdeczniejszy mój przyjaciel, którego czytelnicy znają pod imieniem Fantazego, mocno wzruszony wrażeniami trzeciej maskarady oraz zabójczym wpływem nowej *marki*... opija się w tej chwili aptecznemi dekoktami, i z głową obłożoną plasterkami cytryny studyjuje dzieła Tomasza á Kempis...

W takim stanie rzeczy, mnie, niepoświęconemu aspirantowi humorystyki, przypadło w udziale ująć porzuconą chwilowo przez kolegę stalówkę, i *coûte que coûte*, zaczernić pewną, prawem redaktorskiem oznaczoną liczbę szpalt — zwanych przez p. Ludwika Jenikego „łamami..."

Czasowa ta misja, o ile z jednej strony sowicie ma być nagrodzoną przez finansowych kierowników pisma (sześciogroszówkami nowego stępla) i przez opinję publiczną (wymyślaniem Przeglądu Tygodniowego oraz anonimami, których treści powtarzać nie można „pod karą policyjną"), o tyle z drugiej strony ciężkie duszy i ciała umartwienie ściągnie na piszącego...

Nie posiada on bowiem ani wzrostu, ani szczupłości, ani talentów (liczba mnoga) pana Wincentego Rapackiego, artysty i autora dramatycznego Teatrów warszawskich! Nie posiada on także (i to właśnie przyprawia go o czarną melancholję) zdumiewającej tegoż pana Rapackiego płodności — czyli jaśniej mówiąc, nie jest „autorem-rewolwerem," wydającym sześć strzałów dramatycznych na minutę!...

Ah! — ah!! -- ah!!!...

A jednak — o dziwna prochów ziemskich pycho! — uśmiecha się on złośliwie, myśląc: coby też się stało z płodnością wyż rzeczonego Rapackiego, gdyby tenże na pół godziny przed północą siedział w zbytecznie ogrzanym pokoju, słuchając *piekielnej* galopady, wygrywanej przez *szatańsko* piękną sąsiadkę, i wczytując się w pewien perełkami pisany bilecik, który zaczyna się od „Mon petit" a kończy na „mille baisers???"

. . . .

Pragnę tedy napisać wam coś o „Piesiu."

Jeżeli przypatrywaliście się kiedykolwiek życiu małego miasteczka — przypuszczam, że znaleźliście się w niem bądź dla odebrania sukcesyi po stryjecznej cioci, bądź dla odwiedzenai wujaszka, mieszkającego tam na dewocji — zapamiętaliście niewątpliwie pewnego buńczucznego młodzieniaszka, który nieustannie szwędał się po ulicach, pokręcając wąsa i trzaskając trzymaną w ręku szpicrutą...

Młodzieniaszka tego męzka ludność miaeczka nazywa „Pietrkiem”, a żeńska — Piesiem”, — izraelici zaś miejscowi wyrażaę o nim: „wielmożny pan Pieszo.”

Jest to przedewszystkiem junak, na podoeństwo Parysa z „Dziesięciu córˮ stworzony, równie jak tamten: od „czuba aż do pięty, ześlicznie wyrośnięty“ — do wyłącznych ıś cech jego *fizyjognomji*, zaliczyć wypada: ıty palone, kurtkę kończącą się tam, gdzie ę zaczyna kość biodrowa, przepyszną aksaitną czapkę *żokejkę*, wreszcie na dół zwieone wąsy i zdrową cerę, której kolor przyomina trochę buraki, trochę rzodkiew, a najięcej świeżo wypaloną cegłę.

O czytelniku! tak pięknej cery, ani ja ani , z pewnością nie będziemy mieli. Napróıobyśmy twarze nasze na lipcowem słońcu iekali i na marcowym wietrze wędzili; naóżnobyśmy z hrabią Branickim do wnętrza fryki wyjeżdżali i pod wianem ognistych *siumów* mdleli... nigdy, przenigdy, udziałem naym nie stanie się ta cudna karnacja, którą dynie figury Rembrandtowskiego „Jarmarku” nasi „synowie obywatelscy” szczycić się moą!

Ta cera wskazuje właśnie, że Piesio, jakılwiek nieustannie w miasteczku przebywa, dnakże w rubryce stałej jego ludności byajmniej nie figuruje...

Nieinaczej — Piesio to syn wioski, dziecko ledynowych gajów, sepjowych ugorów, ulamarynowych strumieni i tych pól zbożodajych, które w pierwszych dniach sierpnia błyczą zachwycającą barwą gumiguty!

Papa jego posiada tuż pod miasteczkiem ılwark — bardzo malowniczy, a obdłużony ie gorzej, jak wszystkie folwarki okoliczne. osiada także nieco gotówki w listach likwiacyjnych i zastawnych.

Piesio, jako jedynak, jest domniemanym padkobiercą listów i folwarku — o tyle nauralnie, o ile praw swoich Ezawowych nie dstąpił pokoleniu Jakóba za porcyję soczewicy, garnirowanej różnokolorowemi... banknotami.

Czy fakt podobny miał miejsce — wie o tem nalepiej rodzina siedmiu braci Hajczaków, posiadających w miasteczku prywatny „Bank zaliczkowo-wkładowy,” którego celem jest podniesienie krajowego rolnictwa i dobrobytu naszych obywateli.

Cokolwiekbądź, Piesio nie traci nigdy dobrej miny i pewności siebie — dwóch przymiotów, które tak wiele znaczą zarówno w dziennikarstwie warszawskiem, jak i na torze prowincyjonalnego żywota!

Być może nawet, że dla tych, nie dla innych przymiotów, wszystkie córki urzędników kochają się w Piesiu na zabój...

On jednak zamiast córek, woli ich matki... co niewątpliwie dawno już w jego życiu odegrałoby taką rolę, jak Waterloo w paśmie zwycięztw Napoleona I-go, gdyby nie pewien urok potężny a nieprzeparty, jaki jego postać i stanowisko wywierają na potulnych biuralistów...

Do powiększenia tego uroku, nie mało — mówiąc otwarcie — przyczyniają się śniadanka, fundowane w handelku, oraz korczyki żyta, kosze owoców i zające, wysyłane do miasteczka przez umyślnego...

Papa skąpi, zabiega, oszczędza — a synaczek pełną ręką czerpie z oszczędności i zapasów, rozrzucając dokoła siebie grosz, którego sam nie zarobił.

Ale trudno!

Wszak każdy przyzna, że 1° kupiec w miasteczku *musi* zrobić majątek; 2° bracia Hajczaki *powinni* dojść do okrągłego miljona; 3° ludziom wpływowym *koniecznie wypada* jeść dobre śniadania i stroić żony w jedwabie; — wreszcie 4° dla biednych kancelistów *jest rzeczą niezbędną* wygrywać od czasu do czasu dziesięciorublówki w bilard lub preferansa.

A czyżby ludzie ci doszli kiedykolwiek do swoich celów, gdyby Piesio był okrutnym

sknerą, myślącym jedynie o gospodarstwie i przyszłości?

Bądźmy wyrozumiali, panowie, i uwzględniajmy szczególne misyje, jakie swym członkom powierza społeczeństwo!

* * *

Żywot Piesia jest nader ucieszną facecyją — do czasu. Prędzej bowiem lub później z facecyi staje się komedyją seryjo, a z tej nie rzadko przemienia się w melodramat, jeżeli tylko nie w tragedyję.

Krytyczną w tym żywocie chwilą bywa zazwyczaj albo śmierć papy, albo też zahazardowanie się Piesia na szersze obroty niewyczerpanych w jego pojęciu kapitałów.

Piesio bowiem, o ile jest tęgim w plecach, o tyle grzeszy słabością, męzkiego ducha niegodną, w buchalteryi i w ogóle w matematyce.

Zdaje mu się naprzykład, że folwark papy jest co najmniej księztwem Monaco i że zatłuszczony pugilares braci Hajczaków, na podobieństwo czarodziejskiego skarbca Alibaby, nigdy nie przestanie otwierać przed nim swych rublodajnych kryjówek.

Ale rozczarowanie przybywa niespodzianie prędko...

Zaledwie bowiem dzielny nasz młodzian, białym sznurkiem obszywszy klapy surduta, wchodzi w rzekome posiadanie ojcowskiego folwarku — zjawia się przed nim straszna Nemezys w postaci jednego z siedmiu Hajczaków, trzymającego w brudnych palcach zwitek cyrografów, zwanych pospolicie wekslami...

I zaprawdę wam mówię, iż dzieją się wówczas rzeczy osobliwe...

Piesio — ów dzielny, buńczuczny i zawadyjacki Piesio — poczyna kłaniać się z pokorą cuchnącemu czosnkiem izraelicie... potem przez kilka dni z rzędu zamknąwszy się z nim w pokoju, gada, krzyczy, prosi, molestuje, zaklina, przeklina... a nareszcie (o nieprawdopodobna, a jednak prawdziwa chwały ludzkiej przemiano!) siada na jednokonną biedkę i opuszcza idylliczne swych ojców ustronie na długo — na zawsze...

* * *

Piesio, który jest podgatunkiem tak zwanego „syna obywatelskiego,” nader rzadko wydźwiguje się z biedy za pomocą dobrego ożenku. Przeszkadzają mu w tem zawiązane w miasteczku miłostki i szalona zazdrość żon cudzych, które gotowe są każdej chwili wydrapać oczy jemu i jego narzeczonej.

Nie mając tedy znikąd ratunku (bezdzietni wujowie i poświęcające się dla siostrzeńców ciotki, należą już do takich osobliwości, że ich Gasner do swego „Muzeum” nabywa) stacza się coraz głębiej po pochyłości, zwanej w języku kupców „bankructwem,” a odnośnie do szlachcica — „wypadkiem losowym.”

I nie odgadlibyście nigdy, jak głęboko się stacza!

Strasznem jest rzeknąć te słowa — ale na własne oczy widziałem jednego Piesia, ktory zaledwie do lat męzkich doszedłszy, skończył na tem, że chadzał z komornikami do niewypłacalnych dłużników, piastując mało zaszczytną godność „świadka...”

A inny zasię wystawał na placach publicznych, przybrany w czerwone kepi z numerem, i ofiarowywał swe usługi każdemu z przechodniów po stałej cenie 12½ kop. *za kurs z odpowiedzią...*

A jeszcze inny *pracował* w pewnej, wyziewami kminkówki przesiąkniętej i wcale nie pierwszorzędnej piwiarni — praca zaś jego polegała ne wytaczaniu z piwnicy antałków z bawarem, oraz wyrzucaniu za drzwi zbyt wesołych biesiadników — ku czemu posiadał odpowiednią kwalifikacyję w szerokich barkach i w rękach żylastych, jak u rzeźnika.

. . . .

O krwi piękna, karmazynowa! jakże brudny odcień przybierasz ty niekiedy!

Pieśń.

Pieśń o Antku.

Lat piętnaście mało więcej — Składa przeciąg
[wieku mego
Pilnam trzody mej bydlęcej, Z Antkiem, któ-
[ry wiekuż tego.
Gramy w różne gry wieśniacze
I choć wszystko co mam znaczę,
Antek zawsze coś mi weźmie, Zawsze — za-
[wsze coś mi weźmie.

Codzień jakby było święto, Antek bukiet mi
[przynosi,
Skoro w gorsie go utknięto, Listek z niego ur-
[wać prosi,
I choć bronię na początku
Nie obroni niemoc wziątku,
Antek zawsze coś mi weźmie. Zawsze, zawsze
[coś mi weźmie.

Raz mi nowe rosły ząbki, Skarżę mu się, by
[żałował,
Pokaż, pokaż — mówi — gąbki, Zdrajca potem
[pocałował,
Z cholerym się wzięła w boki,
Odepchnęłam na dwa kroki.
Antek zawsze coś mi weźmie. Zawsze, zawsze
[coś mi weźmie.

Grożna mówię, że już zwadnie, Pójdę paść na
[strony trzody,
Wtem trzewiczek zręcznie kradnie, Chodzić
[pierwej miej w czem przódy,
A tak bosam znowu siadła,
Bez trzewiczka bym upadła,
Antek zawsze coś mi weźmie, Zawsze, zawsze
[coś mi weźmie.

Zbiegawszy się po murawie, Kupiąc trzody
[wbliż odemnie,
Legnę sobie w chłodnej trawie, Antek trawkę
[rwie z podemnie.
I choć mówię: nierusz trawki
Będzie szkoda z tej zabawki.
Antek zawsze coś mi weźmie, Zawsze, zawsze
[coś mi weźmie.

Kazano mi strzydz owieczki, Najłaskawszą bio-
rę z trzody,
Prowadzę ją myć do rzeczki, Antek i tam robi
[szkody:
Runo porwał, jam krzyczała,
Żem niechętnie runo dała.
Antek zawsze coś mi weźmie, Zawsze, zawsze
[coś mi weźmie.

Potem gdym mu wymawiała, Zwieść Anetkę
[czy to pięknie,
Dusza kochać mu kazała, U mych kolan z pła-
[czem klęknie,
A tak odtąd runo, trawkę
Miewał zawsze na zabawkę.
Antek odtąd zawsze weźmie, Zawsze, zawsze
[odtąd weźmie.

RESPONS.

Ma Anetko, moje złoto, Próżno się masz skar-
[żyć o to,
Żeć co wezmę czy ukradnę, Bo u ciebie wszy-
[stko ładne.
Trudno wstrzymać żądze płoche,
By nie skubnąć cię choć trochę;
Ty też bronić nie masz siły, Zwłaszcza gdy ci
[Antek miły.

Z najpiękniejszych bukiet róży, Gdy ci Antek
[za gors włoży,
Mówię oczom jego zda się, Brać z twej twarzy
[farbę na się,
Więc o listek słusznie prosi
I w nagrodzie go odnosi,
Ty też bronić nie masz siły, Zwłaszcza gdy ci
[Antek miły.

Dajesz liczyć piękne ząbki, Jak się nie domy-
[ślać gąbki,
Sam trzewiczek z nóżki spadnie, Gdy go miła
[ręka kradnie.
Marna trawka milsza przecie,
Która nóżka bosa gniecie,

Ty też bronić nie masz siły, Zwłaszcza gdy ci
[Antek miły.

Cóż mówić, gdyż strzyż nastanie, Pasterek u-
[podobanie,
Ty owieczkę strzyżesz z wełny, I masz w zy-
[sku zbiór zupełny.
Ja gdy się też dorwę runa
Biorę, co daje fortuna.
Reszty bronić nie masz siły, Zwłaszcza gdy ci
[Antek miły.

Z ręk. z początku XVIII w.

— o —

Pieśń panny chcącej pójść za mąż.

— Nieszczęsna niedola, za mąż zabraniają,
Jużem zaszła w lata, nic względu nie mają,
I sama miarkuję,
Że się tem coś truję,
Że bez męża żyję,
A kiedyż utyję.

– Moja pani matko, Bóg was ciężko skarze,
Że ja jeszcze dla was z kim nie żyję w parze,
Jam już wolę miała,
Matka mi nie dała,
Trafiali się różni
Swoi i podróżni.

— Moja pani matko, co to wy czynicie,
Czy tak na wędzonkę chować mnie myślicie,
Mnie zakazujecie,
Sami tańcujecie,
Mnie męża bronicie,
A sami się gzicie.

— O moja córuniu, obyś statkowała,
Żebyś na niedolę potem nie płakała,
Ciężkie to kłopoty
Mieć z męża zgryzoty,
I urodę stracisz
I skórą przypłacisz.

— Nie wierzę ja temu, co wy powiadacie,
Wyście męża mieli, całą skórę macie,
Ja mam w zdrowiu szkodę,
I tracę urodę,
Coś natura czuje,
Twarzyczka się psuje.

— Już mi się doprawdy panieństwo sprz
[krzyło,
Już wolę pójść za mąż, gdyby się trafiło.
Pierwej na mnie warli,
Ledwie mnie nie zżarli,
Wolę Jasia mego,
Niż czekać innego.

– Oj mój Jasieneczku, daj na zapowiedzi,
U mojej matuli kaduk nie wysiedzi,
Byleś mnie wybawił,
Na słowo się stawił,
Bo mi przykre życie,
Tak się gryzę skrycie.

— O nie będę nigdy Jasieńka gniewała,
Co on będzie chciał i ja będę chciała,
Jeść mu ugotuję,
Oczka pocałuję,
Pościelę łóżeczko
Jak pieścidełeczko.

„Perły Humoru polskiego.”

— x —

Pieśń o Warszawiankach.

Jam przyjaciel strojnych lwic,
Mam w Warszawie sto kochanek,
Lubię czary pięknych lic,
Lubię urok warszawianek,
Tam gdzie naszych dziewcząt zbiór,
Lubię słodkie zalecanki,
Bo ze wszystkich ziemi cór
Najpiękniejsze Warszawianki!

— o —

Kształtna kibić, zręczny chód,
Wzrok co w serca wrzuca grotek,
Rączka mała, nózia cud —
To powaby tych istotek.
Zawsze w ich podążam tor
Jakby kotek do śmietanki,

Bo ze wszystkich ziemi cór
Najpiękniejsze Warszawianki!

—o—

Córka Francyi, lotna skra,
Także urok w koło sieje,
Lecz tę przykrą wadę ma,
Że zbyt prędko się starzeje.
Gdy jej młodość fur! fur! fur!
Nie chcę żadnej paryżanki,
Bo ze wszystkich ziemi cór
Najpiękniejsze Warszawianki!

—o—

Córa Anglji choć ma twarz
Jasną, białą, jak aniołek,
Choć jej serce łatwo masz,
Lecz jest sztywna niby kołek.
Więc z pod mglistych Anglji chmur,
Nie chcę damy ni mieszczanki,
Bo ze wszystkich ziemi cór
Najpiękniejsze Warszawianki!

—o—

Niemka wierzy tylko w trzos,
A gdy serce w niej się zbudzi,
Gdy w niej zadrga uczuć głos,
Sentymentów zbytkiem nudzi,
Jednak pcha pieniądze w wór,
Leje z gustem piwo w szklanki,
Więc ze wszystkich ziemi cór
Najpiękniejsze Warszawianki!

—o—

Południowych kobiet ród
Ma twarz piękną, wzrok strzelisty,
Lecz nie grzeszy zbytkiem cnót,
Bo jest trochę za ognisty,
Choć kto o nie toczy spór,
Nie chcę włoszki, ni hiszpanki,
Bo ze wszystkich ziemi cór
Najpiękniejsze Warszawianki!

—o—

Warszawianka! w nią mi graj!
Zawsze chwile nam osładza,
Nasze życie zmienia w raj,
Silnie kocha, silnie... zdradza.

A więc woła mężczyzn chór,
Czując w sercach rozkosz, ranki:
Ach najwięcej z ziemi cór!
Są zalotne Warszawianki!

—x—

Pieśń sielska.

Oj! żeby się pan komisarz
Do wsi kiedy zwlókł!
A dodał nam jeszcze gruntu
Choć po śtyry włók.
Toć nie pragnie człowiek wiele,
Bo dziś ciężki czas,
Niechby tylko dał do gruntu
Jesce dworski las...
Człek ci nie jest tak pazerny
Jak na trzodę zwierz,
Tylo jesce szmatek łąki
Radby dostać też...
I juz więcej nie ządamy,
Zeby nam co dać,
Jeno zeby przez sad dworski
Mozna bydło gnać...
Jeno zeby brać co tydzień
Zbieraniny garść
I na dworskich het! ugorach
Swe bydlątka paść...
Zreśtom niechby dziedzicowi
Dali pole — het!
To by człek do niego czasem
Na zarobek sedł...
Oj dałzeby — oj dałzeby
Miłosierny Bóg,
Zeby tu się do wsi kiedy,
Pan komisorz zwlókł!

—o—

* Pokłócił się Maciek z Jagną,
Poszedł topić się na bagno,
I zaklął się rozsierdzony,
Że nie wróci już do żony.
Wygłodniawszy jednak w bagnie,
Wnet spokorniał niby jagnię
I powrócił drała! drała!
By mu żona jeść co dała,

Bo gdy chłop jest z głodu słaby,
Do najgorszej wróci baby.

Z pieśni wiejskich.

Kwicy wieprzek w chlewie,
Jaz mu ślepie puchną,
Cego mu tam braknie
Idź spojzyj, Jaguchno.

Więc tyz zaro poszła
Do wieprzoka Jagna.
A ten straśnie kwicy
I tak peda z bagna:

Choć w gazetach pisą:
„Scęście być wieprzokiem,"
Niechaj ich wciórności
Razem z scęściem takiem.

Toć jak byłem mały
Piescili mię w chacie,
A dziś gdym tucony,
Niemcowi przedacie.

Mom zginąć, to wolę
Wasze ostre noże,
Niżeli ze śwabem
Wędrować za morze."

Pieśń ludowa o Szwarcówce.

Pójdę jo se z blasanecką,
Het — het —
I powrócę z gorzołecką
Wnet — wnet.

—o—

Rzeknie do mnie Szmul psiopara,
Git — git —
Do za drogę pół talara,
Zyd — zyd.

—o—

Będę hulał po junacku,
Hyc — hyc!
Nie zostanie w moim wacku,
Nic — nic.

—o—

Potem stuknę w okienecko,
Łup — łup!
Weź-ze ze mną kochanecko,
Ślub — ślub!

—o—

Przewróci się kielisecek,
Hujt — hujt!
Zostanie twój kochanecek
Wójt — wójt!

—o—

Będzie w gminie okolice
Darł — darł —
I z pisarzem jajecnice,
Zarł — zarł.

PIEŚNI POSTNE.

(Z teki świeżo wściekniętego rymoroba).

I.

Postne marzenie.

Bujać mi się zachciało gdzieś pod obłokami.
Lub w szemrzących drzew cieniu marzyć [wśród zieleni,
Lub na chmurze się wesprzeć i het nad [górami,
Szybować jako orzeł w nieznanej przestrzeni.
Gwiazdy dotknąć się ręką, z księżycem po-[gadać,
W falach morza, z rybkami zapuścić się w ta-[ny,
Chciałbym z myśli mych nocnym duchom się [spowiadać,
Lub iść w jakiś kraj dziki, samotny, nie-znany...
Lecz miłej mej podróży próżne rokowania,
Daremne... bom dał buty do podzelowania!..

II.

Duet miłosno-postny.

— Ja cię kocham wiecznie, stale
Choć tu do mnie, niech uścisnę

Twoich cudnych ust korale;
I na szyjce twej zawisnę!..
I za rączkę ją ściskałem,
Myśląc, że jej serce wzruszę,
Gdy całusa zażądałem,
Ona rzekła:
— Ja dziś suszę!

III.

Ze świata tonów.

Małżeństwo jest tylko duet,
W ślubu złożony godzinę,
Dwa tylko głosy go mogą,
Śpiewać *da capo — al fine*!
I bywa duet ów znośny,
Jeśli głos pierwszy i wtóry
Zgodnemi płyną akordy,
Przez życia *molle i dury*!
Lecz gdy się wmiesza głos trzeci,
Choćby w tym samym brzmiał tonie,
Duet się staje fałszywym,
I dyjabli biorą *harmonję*!...

IV.

Postny lament.

Już się firmament krwawo rumieni,
Czuły zefirek o nos mój trąca
I nic spokoju mi nie zamąca,
Chyba golizna w kieszeni.
Zdawało mi się, żem w stal zakuty,
Jako ów rycerz w starożytności,
Spojrzałem na dół, mróz przeszedł kości,
Rycerz dziurawe ma buty!
Zdawało mi się, żem dobył trzosa
I jako bogacz rzucam rublami,
Oczy z radości zaszły mi łzami,
A nie mam chustki do nosa!
Jam jest poetą, niedbam o jutro
Choć jutro bardzo gorzkie być może,
Lecz choć mi zimno, wyznam w pokorze
Że zastawiłem już futro!
Wróbel na drzewie nuci piskliwie,
Gwiazda się kąpie w nieba lazurze,
A mnie się zdało, żem gdzieś tam w górze,
Gdzieś... „pod Księżycem... na piwie!”
I pędzę dalej mych marzeń szlakiem,
W odludne strony pięknej krainy,
O gdybym zaszedł choć do Doliny,
Albo do knajpy „Pod rakiem!”
I dalej pędzi myśl ma junacza,
Jako ów wicher wśród groźnej burzy,
Wstrzymaj bieg myśli i nie pędź dłużej...
Nie masz na tramwaj dychacza!
Ja nie zazdroszczę szczęścia nikomu,
Jam wszystko swoje oddać gotowy,
Wtem mnie z zadumy budzi stójkowy,
— Hej panie! idź pan do domu!
Wszystkie marzenia w puch się rozwiały,
Więc wznoszę głowę mą nieudolną,
Ruszam do domu postnie zgłodniały...
Głodnym i marzyć niewolno!

Z Pieśni Łazarza.

Gdybym był królem, dałbym dziewczyno,
Za miłość koronę złotą.
Dałbym ci zamki, klejnoty, szaty
Wzorzystą tkane robotą.

Ale, niestety, jam wierszokletą
Apolla nieprawym synem.
Kilka kopiejek dostać od wiersza
Marzeniem mojem jedynem.

Więc dam ci sonet, odę, balladę,
Tragi-komiczny poemat,
I białym wierszem zaczniemy razem
Obrabiać miłości temat.

Kopę końcówek dam na śniadanie
Na obiad — rymów tysiące,
A na wieczerzę furę natchnienia,
Westchnienia tęskne, gorące...

O przyszłość także nie drżyj, kochanie,
Gdy umrę — zapiszę tobie
Pomnik z marmuru, co ludzkość wdzięczna
Postawi na moim grobie.

Cóż to? odchodzisz?.. O wieku prozy!
Takie są dzisiaj kobiety!
Każda być woli panną „od piwa,"
Niźli kochanką poety!

* *Piosnka na urząd.*

Pragniesz, bym ci piosnkę wysnuł
Niby nitkę z motka,
O, zaśpiewam ci z ochotą,
Oto pierwsza zwrotka.

Nie zwiedziesz mnie minką ładną,
Układnością kotka,
Znam cię dobrze, ty szatanku,
Oto druga zwrotka.

Wyśmiałaś mnie jeszcze wczoraj,
Mówiąc: „lala słodka
Nudzi swemi amorami" —
Oto trzecia zwrotka.

Choć kochałem ciebie dawniej,
Dziś to tylko plotka,
Nie zawracaj mi już głowy,
Oto czwarta zwrotka.

Szkoda oczu szafirowych,
Gdyś sercem kokotka,
Na innych rzucaj swe sieci —
To ostatnia zwrotka.

Wybacz jeśli przykre będą,
Dla ciebie me słowa,
Chciałaś piosnki, przyjmij taką
Jaka już gotowa.

Pijaństwo.

Mądry gdy pije, powinien się upić.
Upiciem chwile są najsłodsze — z młodu,
W miłości, sławie, złocie, winie skupić
Można nadzieje ludzi i narodu.
Bez owych soków musiałoby strupieć
Drzewo żywota i nie wydać płodu.
Upij się — radzę — a gdy się z zawrotem
Głowy obudzisz, słuchaj-że, co potem:

Zadzwoń, niech lokaj do łóżka przynie- [sie
Reńskiego wina i wody sodowej.
Tybyś nie wzgardził niemi, o Kserkse- [sie!
Bo ani sorbet mrożony w śniegowej
Wazie, ani czyste źródło w suchym lesie,
Po pracy, boju, tyle sił nie doda,
Co reńskie wino i sodowa woda.

Byron.

* Był naprzykład puhar u Stępkowskiego, wojewody kijowskiego (który dziś wziął po nim wnuk jego, Ignacy), trzymający pięć butelek; trzy właziło w nakrywę. Byłem świadkiem razy kilka, jak pan Iliński, starosta cudynowski, Józef Świejkowski, stolnik owrucki, pułkownik Komarzewski i Janikowski, pokrywę jednym tchem, a kielich dwoma łykami wypróżniali do dna. Pierwsi dwaj byli kolosalnej budowy, otyli, osobliwie Iliński, który nóg swoich nigdy nie widywał, a w brzuch jego pewnieby beczka wina węgierskiego z klepkami zmieścić się mogła. Przytem obaj ci mężowie i apetyt mieli więcej niż zwyczajny. Ale Janikowski i Komarzewski byli to ludzie średniego wzrostu, krępi tylko, pleców szerokich i mocnego hartu; nie wiem, gdzie się to w nich pomieścić mogło.

Janikowski, pod dobry humor i ochotę, pił dosyć, a miał tę własność, że natura z niego nadmiar spirytusu wypędzała przez ogoloną głowę, z której się kurzyło jak z komina; to też choćby jak najwięcej pił, nigdy nie tracił przytomności.

Nie byli to wcale pijacy, tylko weseli towarzysze; żaden z nich sam na sam po kieliszek nie sięgał.

Znałem pana Swiejkowskiego w wieku już bardzo podeszłym. Ręce mu się tak trzęsły, że do tabakierki trafić nie mógł; kielich jednak nalany po obrączkę zawsze doniósł do ust, nie uroniwszy z niego ani kropelki, i z największą gracyją potem suchy już oddawał przez serwetę temu, w czyje pił ręce.

Pan Iliński przy swoim obiedzie, zwykle podawanym o godzinie dziesiątej, co dzień *ex officio* wypijał dla konkokcyi sześć butelek francuskiego wina; przy obiedzie zaś powtórnym o drugiej godzinie, do którego żona, domowi i goście zasiadali, gdy nie było okazyi wychylenia zdrowia, spełniał tylko drugie sześć; przy wieczerzy trzecią szóstkę. Dodać należy do rachunku, że przed każdem jedzeniem, dla podbudzenia strawności, wychylało się coś zwyczajnie nakształt pół kwarty wódki, jak spirytus mocnej.

(Pamiętniki Jana Duklana Ochockiego.)

*

Rozumiem, że pijaństwo w Polszcze zasadziło
Swe gniazdo. Tu się mnoży i swoje wywodzi
Gniazdusięta; bo ledwie, że ząbki narostą
Już pilnuje co wypić, czasem i ampułki
Nie wybiegają się więc, kiedy ministruje,
Bo księdzu trochę wlawszy, ostatek wypije
Za ołtarzem, ztąd biorąc swoją pierwszą [próbę.
Owo zgoła pijana Polska zwać się może,
Piją wszyscy biskupi i senatorowie,
A piją do umoru, piją i prałaci,
Żołnierze, szlachta w miastach, we dworach [i we wsiach.
O księży naprzód powiem, na których się owo
Kwadruje, co powiedział stary Kochanowski:
Że tam kiedyś królowa swego kapelana
Czekała do mszy. Nie dziw, bo pilnował [dzbana.
Aż *tandem* ów wynijdzie w czerwonym ornacie,
A królowa: „Kszc miły! i długo sypiacie."
Tam mój miły kapelan na owe łajanie:
„Jeszczem ci się dziś nie kładł, co za długie [spanie?"
Siła takich takich duchniczków, że od dzbana [idą
Do ołtarza, od kufla do kielicha spiesząc.
Drugi już nabożniejszy, woli mszą odprawić
Jak najraniej, aby do gorzałki pośpieszył.
Jakie skandala zatym, tany i zaloty.

K. Opaliński.

*

Ziemia deszcz pije, ziemię drzewa piją,
Z rzek morze, z morza wszystkie gwiazdy [żyją. —
Na nas, nie wiem, co ludzie upatrzyli?
Dziwno im, żeśmy trochę się napili.

Jan Kochanowski (p. t. I, str. 14.).

Pius.

Pius IX dawał posluchanie arcybiskupowi Paryża, księdzu Guilbert. Przy pożegnaniu spytał papież arcybiskupa, czy zwiedził wszystkie kościoły w Rzymie.

— Prawie wszystkie.

— Czy i kościół św. Kosmy i Damijana?

— Nie, tego nie zwiedzałem.

— To szkoda; piękny kościół, a przytem jest podanie o świętym patronie, pod którego wezwaniem jest założony. Św. Kosma przybył do Rzymu, by zaślubić piękną, młodą dziewicę. Wtem łaska boża oświeciła go i został zakonnikiem tegoż samego dnia. Biorąc rzeczy po ludzku — mówił dalej Jego Świątobliwość — lepiejby był zrobił, gdyby z uskutecznieniem pobożnego zamiaru zaczekał do dnia następnego. Ale nie naszą jest rzeczą wyrokować o świętych i zapewne św. Kosma dobrze postąpił.

G. D. Larone.

Pisarz.

Medytacyje pisarza gminnego.

Pisarz i pisarz! Jednym szydła golą, drugim brzytwy nie chcą.

Kraszewski pisze powiastki i książeczki.

A ja?... Napisałem tysiące „powiastek", a ile wydałem książeczek legitymacyjnych, tegoby na wołowej skórze nie spisał.

Tamten jest idealistą, i wielbią go za to, — ja jestem spirytualistą potrosze, i za to naczelnik wymyśla mi tylko.

O sprawiedliwości święta! gdzieżeś się podziała?

Pismo.

(Z pism Johna of Dycalp.)

— Patrzcie tylko państwo, jak pilnie Azorek przypatruje się swemu cieniowi! Co też mu się zdaje?

— A co pan rozumie?— rzekł jeden z obecnych. — I psy nie są bez wyobraźni. Ja sam miałem pudla, który raz przez cały tydzień wyobrażał sobie, że jest szpicem!

— Ta sentymentalność w pudlu bynajmniej mnie nie dziwi! — odrzekł pan H. - Jest to zwierzę niezliczonych zalet. Pudel zna nawet najpiękniejszą z cnót naszych: *ludzkość*, chociażbym to w nim raczej ośmielił się nazwać *psiością*, jeślibyście mi państwo dali słowo, że nie wydacie mnie przed panem K., nim ukończy druk swojej *najpoprawniejszej gramatyki*. Ale gramatyka na stronę, a rzecz się tak miała:

Przed dwoma laty mieszkałem na jednem piętrze w ościennem sąsiedztwie ze sławnym chirurgiem, panem Z.

Wchodzę raz do niego i zastaję zwijającego się błyskawicznie, jak zwykle, nad operacyją. Chciałem wyjść natychmiast, by mu nie zawadzać, ale pan Z. dostrzegł mnie i zawołał:

— Wróć się — bo musiałeś, jak uważam, nie dojrzeć pacyjenta.

W rzeczy samej, nie miałem tym razem serca rzucić nawet okiem na smutne poręczowe krzesło, które nazywałem zawsze prokrustowem.

Jakież było moje zdziwienie, gdym ujrzał najspokojniej siedzącego na krześle białego pudla, któremu nasz doktór zawijał i zamykał w leszczotki złamaną nogę.

— Zastałeś mnie nad praktyką zupełnie miłosierną — mówił, śmiejąc się, pan Z. — biedny ten pudel bez niczyjego polecenia spotkał się ze mną i musiał zapewne upatrzyć w mojej osobie coś niepospolicie doktorskiego, bo na zawołanie przykulał za mną aż tu, na piętro. Musiałem mu oddać bolesną usługę, przez samą wdzięczność za okazaną mi ufność, a ty, zły człowieku, co tyle wygadujesz na medycynę, powinieneś mi teraz przyrzec, że przynajmniej przez cały tydzień powstrzymasz się od bluźnienia przeciw naszej archandryi.

— A jak mi to zaszkodzi? — spytałem tonem pacjentalnym.

— To gadaj zdrów sobie, nim kiedy nie dostaniesz się w moc naszą. Ale podziel się ze mną dobrym uczynkiem i weź tego psa na czas kuracyi do siebie. Dobre to też zwierzę i warto, aby się do nas przywiązało, ale gdzież znów taki jak ja włóczęga przyswoi i zobowiąże sobie choć pudla.

— Rekomendowałem panu zawsze i teraz rekomenduję tyle świetnych... poczekaj-bo doktorze!....

Ale chirurg mój już był na ulicy i poturkotał z Bogiem.

Pacyjent został przy mnie. Przeegzaminowałem go trochę.

Osobliwość! Jeśli mu czego brakło, to chyba może jednej łaciny. Gdym go jednak nazwał *Prudensem*, i to przyjął. Zresztą podać i odnieść, com tylko kazał, zawołać chłopca, zbudzić mnie, jeślim zasnął nie zgasiwszy świecy, słowem, służbę pokojową umiał na pamięć. Od pierwszych dni polubiłem go bardzo.

Z tem wszystkiem, jeżeli mi on z oczu wypatrywał myśli i potrafił wkrótce na podziałce mego humoru czytać tak, że zgadywać się zdawał, jak też mi którego wieczoru dopisał, to nawzajem mogę sobie oddać świadectwo, żem także zajrzał w głąb tej tajemniczej istoty. Widywałem go nieraz w takiem jakiemś smutnem i melancholijnem usposobieniu, jak gdyby miał wielkie zgryzoty. Zresztą, myślałem sobie, może też to jest i skutek kuracyi, która szła swoją drogą.

Po czterech tygodniach pan Z. odjął leszczotki, obejrzał chorą nogę, zdumiał się nad szybkim procesem zrośnięcia się kości i powiedziawszy coś z tego powodu na pochwałę natury zwierzęcej, oddał pacyjentowi czwartą nogę — do wiadomego użytku. Co też to było.

skoków, susów, pisku i radosnego skomlenia! Obtańcowawszy nas obu, Prudens przez w pół otwarte drzwi wybiegł na schody i w oka mgnieniu wypadł na ulicę.

— Popędził do redakcyi — rzekłem memu doktorowi — aby ci wygotować na piątek uroczyste podziękowanie. Szkoda, że nie udał się do którego z młodych *gojniczych* (jak was przepolszczył Przybylski), bo ci mają gotowe już na ten cel aryngi, drukujące się czasem bez wiedzy pacyjentów, a niekiedy nawet w imieniu takich osób, których familije od dwóch wieków w naszym kraju wygasły.

Z tem wszystkiem minął dzień jeden, drugi—pudla nie ma.

Nadszedł wreszcie uprzywilejowany piątek, za nim środa; obaj z panem Z. wertowaliśmy pilnie dodatki do Kuryjera – żeby choć słowa o podziękowaniu.

Aż dziesiątego dnia o godzinie dziewiątej z rana, kiedyśmy z panem Z, pili herbatę, słyszymy na schodach i wnet pod naszemi drzwiami taką wrzawę, jak gdyby z całej ulicy szewczyki na naszych schodach gotowali się do czubów.

Otwieram drzwi niecierpliwie — i cóż państwo powiecie?... na czele wbiega nasz niewdzięczny Prudens, a za nim *sztyki, sztyki*, ośmiu psów kulawych, ślepych, zkoszlawionych, zbolałych — i wszystko to nam do nóg!

— Ośmiu psów!! co pan dobrodziej powiadasz! — zawołał młody malarz, mimowolnie powstawszy. — A to wyborny byłby obraz!

— A zapewne! — odpowiedział pan H. z krwią najzimniejszą.

* *Wykład pisma świętego.*

O muzo! nie macochą, lecz racz mi być matką,
Abym zdołał opisać i zwięźle i gładko
Niezbitej retoryki argument nielada,
Z jakim się dzisiaj Pismo u ludzi wykłada:

Pan Piotr, co po staremu wierzył jak kazano,
Modlił się regularnie wieczorem i rano,
A lubo się spowiadał i rzetelnie pościł,
Jednak do nieba jeszcze praw sobie nie rościł,
Rzeczy zaś niezbadanych bynajmniej nie badał,
Choć wrzodu w gębie nie miał i nie mało gadał;
Owóż, pan Piotr wierzący, kiedyś niespodzianie
Zeszedł się z panem Janem, nadętą figurą,
Ateuszem, o którym chodziło to zdanie,
Że, jak to powiadają, miał dyjabła za skórą.

Bo z cnoty lub mądrości nie mogąc mieć sławy,
Szukał jej z niedowiarstwa; więc zaraz rozprawy,
Byle kogo napotkał, wszczynał nieskończone;
Sypał srogie bluźnierstwa w tę i ową stronę.

A że się ze swem czołem miedzianem nie wstydził,
Nawet z Pisma świętego nieustannie szydził.
Więc tedy, ustrojony w swą zwyczajną butę,
Zaraz też z panem Piotrem rozpoczął dysputę.

Pan Piotr bronił się długo i dowodził jasno;
Ale Jan, chcąc go pobić jego bronią własną,
— Gdy tu chodzi o Pismo — zawołał w zapale —
A więc ja cię w policzek panie Piotrze walę—
I rżnął go w tejże chwili, dodając z szykaną:
— Nadstaw-że waszmość drugi, bo tak napisano.

Pan Piotr stanął jak wryty, prawie osłupiały...
A choć w nim gniew i zemsta niepomiernie wrzały,
Powstrzymał uniesienie i odrzekł mu skromnie:
— Tak, ja Pismo szanuję, zastosuj je do mnie.

Jan rad był się urągać, rzecz więc oczywista,
Że z powolności Piotra natychmiast korzysta
I wali z drugiej strony. Tu pan Piotr mu rzecze:
— Stało się według Pisma, temu nie zaprzeczę,
Lecz również napisano i miej to na względzie,

Że, „jak mierzysz, tak tobie odmierzonem bę-
[dzie."
I wpadając w poprzednio utajony zapał,
Wnet za bujną czuprynę pana Jana złapał,
Powalił go na ziemię, a nasiadłszy żwawo,
Dalej go kuć po buzi i w lewo i w prawo.
Zaczęli się szamotać, zawrzał bój zażarty,
Bo jeden był zajadły, a drugi uparty.
Wtem ktoś z boku nadbiega: — Dla Boga, pa
[nowie!
Co robicie?—zawołał. Tu pan Piotr odpowie:
— Proszę nam nie przeszkadzać, chwile są za-
[jęte,
Bo my tu sobie Pismo wykładamy święte.

Kajetan Kraszewski.

Piquant.

(Z teki wieszcza kawalera.)

1. Straszna rana.

Znałem kamelije, a piękną była,
Sążnistą miała z tyłu tiurniurę,
I warstwa mąki buzię jej kryła,
A róż nadawał licom purpurę...
Jak skarb pieściłem jej kształty cudne,
Piałem jej pieśni na wzór minstreli,
Lecz skutki tego były paskudne,
Bo... moje kształty dyjabli mi wzięli!
I porzuciłem biedną, stroskaną.
Ognista miłość już mnie nie wzruszy,
Bo obdarzyła mnie taką raną,
Którą do dzisiaj jeszcze mam... w duszy.

2. Alimenta.

Ach! z nią schadzki romansowe
Były dla mnie rajem,
Jej usteczka karminowe
Słodkich wód ruczajem...
Jej cudowny głosek złoty,
Był słowika pieniem,
Jej kędziorów kruczych sploty
Całowałem z drżeniem...
Dzisiaj, ona już jest stara,
Znikła z ócz przynęta,
Ja wychudły, jakby mara.
Płacę... alimenta!

3. Fajerwerki.

— Ach, Paolo mój uroczy,
Ach, Paolo mój ty zuchu,
Jakim ogniem skrzą twe oczy,
Co za ogień w każdym ruchu!...
— I za oczy me ogniste,
Moja luba, moja pani,
Śle spojrzenia powłóczyste,
I całusy niesie w dani...
Lecz po chwilce tylko razem,
Już poznała me usterki,
Bo ja jestem zimnym głazem,
A mój ogień... fajerwerki!...

4. Strachy.

Nie chciej zgadnąć, czytelniku,
Bo to nadaremno,
Czemu w ciemnym pokoiku
Było w nocy ciemno?...
Ej, tam w nocy chodzą mary,
W ciemnym pokoiku,
Bo ktoś szepnął z za kotary:
— Co robisz, psotniku?...

5. Idylla.

W ogródku cisza, cisza nocy głucha.
Para słowików między liśćmi grucha,
I swoim śpiewem mile ucho pieści,
Na drzewie listek zielony szeleści!...
W ogródku cisza, cisza nocy głucha,
Lekki zefirek mile w oczy dmucha,
A tam pod drzewem coś szeleści w trawie,
Słychać szept cichy: — Ach! panie Gusta-
[wie!...

Plaster czarny.

(Z bijografii Antoniego Piernikiewicza, autora kilku madrygałów.)

Wybacz, szanowny czytelniku, apteczno-szpitalny tytuł tej opowieści — uprzedzam cię

również, abyś się naprzód nie domyślał zbyt wiele, bo to się na nic nie zda...

Są plastry nie wyrabiane w aptekach, przylegające do zdrowego ciała, wcale nie w celach leczniczych... Przylepiają się one do człowieka, jak smoła, i przez całe życie oderwać się nie dadzą...

Są to plastry inteligencyi lub głupoty, szczęścia lub niedoli, skromności lub arogancyi...

Sunt lacrimae... sunt anplastra varia— jak mówi pewien farmaceuta uczony.

Nasz przyjaciel, Antoś Piernikiewicz, nosił również plaster...

Będąc młodym chłopcem, mającym w duszy nieprzebraną studnię liryzmu, zapalającym się jak siarka na widok pyzatego księżyca, skrzeczących o zmroku żab, a najbardziej na widok błyszczących oczu... kobiety—napisał cztery madrygały i pięć sonetów, i miał odwagę wydrukować je w jakiemś, poczynającem mizerny żywot, pisemku...

Nieszczęśliwy! nie wiedział, że tym sposobem przylepia sobie fatalny plaster na czoło...

Kobiety patrzyły na niego z ciekawością, ojcowie rodzin z niedowierzaniem, a praktyczne mamy, na tańcujących herbatkach, dawały mu poznać dość wyraźnie, że w świętej konjunkturze małżeńskiej tak zwana sytuacyja i pewny sposób utrzymania rodziny pożądańszemi są od dźwięcznych sonetów i madrygałów...

Jeden z szanownych ojców miasta Bagniszek, właściciel czterech domów z oficynami i ojciec dwóch córek (bez oficyn), zamanifestował swoje przekonania dość jasno, dopuszczając się nawet ciężkich i niezgrabnych żarcików z dźwięcznego wyrazu „madrygał".

— Madrygał—rzekł tłuścioch—głupstwo!... panie dobrodzieju, kto *ma*, ten nie będzie *drygał*... jak jaki świszczypała!!..

Panna Hortensyja Sercotkliwska, córka właściciela fabryki cykoryi krajowej, nie była obojętną na madrygały autora, i trzeba przyznać, ze nie bez pewnej rozkoszy oddałaby młodemu poecie swe serce, oraz otuliła się jego ramieniem, jak laska cykoryi żółtym papierem... ale Piernikiewicz nosił już czarny plaster na czole!

Już go nazywano poetą!! Z początku, tytuł ten nie wychodził po za mury (naturalnie drewniane) miasta rodzinnego, następnie był już znany w powiecie; ba! nawet w obrębie gubernii!...

Straszna sława!!! Ona to, według orzeczenia Szekspira, rozchodzi się, podobnie, jak na powierzchni gładkiego jeziora koła coraz szersze od wrzuconego w wodę kamienia.. w coraz większe, coraz większe kręgi!...

Biedny Piernikiewicz! po stokroć biedny!

Fabrykant cykoryi zamknął przed nim dom i zabudowania fabryczne! córce zaś zapowiedział, że jej kijem wybije z głowy „poetę".

Dziki, nieokrzesany brutal!.,.

Nieszczęśliwa Hortensyja postanowiła dostać suchot i nie mogąc dopiąć celu miłości na tym padole płaczu — połączyć się z Piernikiewiczem w życiu przyszłem — pozagrobowem...

W tym celu suszyła cztery dni w tygodniu i piła ocet, i kto wie, coby się było dalej stało, gdyby nie to, że nieszczęśliwa kochanka zauważyła, iż jej od octu usta bledną... a jakżeż położyć się do trumny z pobladłemi ustami?!

Zdusiła więc ból w sercu i poszła za mąż za jakiegoś dzierżawcę..

Z ciągłej trawiącej gorączki wspomnień i z nieukojonej rozpaczy, utyła jak słoń, i byłaby zabrała do grobu madrygał Piernikiewicza, gdyby nie to, że go przez zapomnienie użyła na papilot do włosów ósmej z kolei córki, którą ją obdarzyło niebo wzamian za rozwiane marzenia.

Piernikiewicz—poeta doznawał smutnego losu...

Zosia, Józia, Bibcia, Fruzia, Sabcia i Ludzia, panny, jak anioły, mające piękne oczy i zdrowie dorodnych turnipsów, opłakały go,

wypiły po szklance octu .. ale żadna nie mogła złamać uporu rodziców...

Przepadło! fatalny plaster stał na przeszkodzie wszystkiemu..

Nie dość na tem...

Zdarzyło się razu pewnego, że ktoś z Błotniszek napisał korespondencyję do gazet, rzucającą niekorzystne światło na stan sikawki miejskiej, przeznaczonej do gaszenia ewentualnych pożarów tego grodu.

Sikawka nie była tem wcale wzruszoną— ale władze miejskie wzięły to do serca...

Piernikiewicz został posądzony o autorstwo, i jako ptak nieszanujący własnego gniazda, zmuszony został do opuszczenia skromnej posadki, na której z wielkim dla ludzkości pożytkiem, trudnił się przepisywaniem szacownych elaboratów swego bezpośredniego zwierzchnika.

Ponieważ w ogóle trudno jest płynąć pod wodę, przeto Piernikiewicz popłynął z wodą, a skutkiem tego wyrzucony został na brzeg, jak wiór, lub jak oderwany listek wierzbowy...

Papiery poety jeszcze bardziej spadły. Ojcowie chwalili przed córkami swoją bismarkowską przezorność... a czarny plaster wpijał się coraz bardziej w czoło... wrastał w nie *poprostu*, jak pisze nasz popularny ekonomista...

Dokąd pójść? Czego szukać?

Zginając się w obręcz, nieszczęsny poeta bił pokłony przed potentatem kolejowym, który dla tego zapewne był tak wielki i dumny, że miał moc rozdawania posadek małych i skromnych.

Dygnitarz był wyjątkowo uprzejmy.

— Szanowny panie - mówił do Piernikiewicza — byłoby zaszczytem dla nas liczyć pana w gronie kolegów, ale... cóż panu ofiarować mogę?! posadkę wagowego lub pomocnika ekspedytora, człowiekowi pańskich zdolności, pańskiego talentu!

— Przyjmę i to na początek...

— O, panie! nie żądaj tego odemnie! Jakto? więc ja, który kocham poezyję, który przepadam za utworami swojskiemi — ja, miałbym tak ciężko obrazić jednego z przedstawicieli naszej rodzinnej muzy? A! panie Piernikiewiczu! nie krzywdź mnie pan tak bardzo! pańskie miejsce nie tutaj, o nie! nie! stokroć nie, przepraszam, ale ubliżyłbym sobie samemu, gdybym miał przyłożyć rękę do poniżenia takiego człowieka, jak pan...

Sądzę, iż nie potrzebuję przytaczać tu całej litanii klątw, jakiemi nieszczęśliwy poeta obrzucił wszystkie ody, sonety, jamby i daktyle...

Wzywał na nie dżumę, pioruny, morowe powietrze i wszystkich dyjabłów z piekielnych czeluści.

I ci jednak synowie ciemności nie byli w stanie odjąć fatalnego plastra...

Gdzie się obrócił, gdzie się tylko udał w celu znalezienia pracy — wszędzie usłyszał, że jest poetą – a więc marzycielem, człowiekiem niepraktycznym... próżniakiem...

Z pewnem niedowierzaniem i litością wziął go nareszcie na praktykę gospodarską stary Safandulski, cioteczny brat nieboszczki pani Piernikiewiczowej, matki poety.

Chłopak gorąco wziął się do pracy; o świcie wstawał, o północy spać chodził, nauczył się być ciągle na nogach, wrzeszczeć, jak tuba marynarska. Wyrzucił ze stancyi atrament, brzydził się papierem, nie zgrzeszył ani jednym wierszem.

Był u wuja ekonomem, pisarzem, kasjerem, jednem słowem posłusznem popychadłem: maszyną do wykonywania rozkazów, komisantem do robienia sprawunków, adwokatem przed kratkami gminnej sprawiedliwości—był prawą ręką Safandulskiego...

Jeżeli jednak czasem, w święto, wziął do ręki książkę, lub gazetę, Safandulski marszczył czoło, i mówił z cicha do żony:

— Dobry, pracowity, na gospodarstwie się zna... ale na nieszczęście — poeta!!

To mówiąc, szanowny agronom wzruszał

ramionami, litując się nad tem ciężkiem kalectwem siostrzeńca...

Po pięciu latach Safandulski sprzedał majątek, i wyniósł się na mieszkanie do Warszawy, a Antoś Piernikiewicz, zaopatrzony w najchlubniejsze świadectwa — stanął do licznego szeregu „szukających pracy".

Nieszczęśliwy plaster był mu na każdym kroku przeszkodą.

Marne kilkaset rubli, których się w służbie u Safandulskiego dorobił, stopniały szybko jak wosk, więc też biedny człeczyna, widząc, że w swoich stronach nic nie poradzi, wyniósł się na Litwę i tam poszukiwania rozpoczął.

Na jarmarku w Rosieniach przedstawiony został panu Wierzgajle, właścicielowi dóbr Kurdziupliszki z awulsem Paskudnik...

Piernikiewicz podobał się Wierzgajle...

— A z jakich to pan Piernikiewiczów? — spytał stary litwin — bo to takoż familija duża... czy może z tamtych od Łomży?.

— O nie, panie dobrodzieju — odparł strwożony młody człowiek — tamci zmarnieli na szczęt... jeden nawet podobno wiersze pisze...

— Takoż nieszczęście! — mruknął stary, i dodał głośno:

— A pan nie pisze?

— Bóg strzegł! — odpowiedział Piernikiewicz i za pomocą kłamstwa zdobył upragniony kawałek chleba.

Nie wracał już wszakże do stron rodzinnych, tam bowiem czarny plaster był widoczny dla wszystkich.

Plato

O Plato! Plato! Twój szalony system
Sprawia, że wielu w grzechach ginie mar-
[nie,
Większyś ty zamęt sprawił twojem mgli-
[stem
Mamidłem w serca niestrzeżonem ziarnie,
Niż wieszcze bardy łopotem szumistym
Baśni. — Nudziarzu! piejący niezdarnie,
Ty krasomędrku! głupcze! Niech ci chórem
Pieśń zagrzmi: Jesteś ludzkości rajfurem.

*

Słuszne są słowa zacnego Platona:
Że człowiek goły, to jest ptak bez pierza!
Czemuż nie wyrzekł: bez posagu żona
Jakiego znowu weźmie postać zwierza?
Idąc za myślą mądrego Platona,
Jest to ptak rajski, ale bez ogona.

„*Noworocznik żartów.*"

Pleban

O plebanie co go kucharka rządziła.

Pleban prosił do siebie dworzanina jednego na biesiadę. Kucharka, żeby go nie częstować, skryła się z kluczami. Ksiądz biegał to tam, to sam, a pani kucharka gdzieś się w kącie frasuje. Rzecze on gość: „Co się dzieje księże plebanie, iże się frasujesz? zaśpiewajmy jej Requiem." Idąc od księdza napisał mu taki rytm:

Już tam wielka bywa nędza
Gdzie kucharka rządzi księdza.

Z „Facecyi Polskich" XVII w.

Plenipotencyja.

My niżej podpisanych i pieczęcią przylepianych, dajem niniejszem Abraham Ickiewiczowi plenipotencyją, że win może w naszego sprawa, chodzić, przychodzić, zachodzić i wchodzić a to dla czemu? a to dla temu, że jego nogi, jest nasze nogi. Że win może w naszego sprawa pisać, zapisać, dopisać, przypisać i wipisać, a co on napisze, to niech stoi, a to dla czemu? a to dla temu, że jego ręki, są naszego ręki. Że win może u naszego sprawa gadać, przegadać, zagadać i wygadać, a to dla czemu? a to dla temu, że jego gęba, jest naszego gęba. A co wun zrobi, to my się jego nie możemy zapytać: Icku, na co ty tak zrobił? Ale jak wun jemu proces zfuszeruje, to my powiemy, że my go nie znamy.

Plotka.

Stara, ale prawdziwa prawda.

Jeśli pragniesz wieść jaką rozpuścić po świecie,
Powiedz ją pod sekretem znajomej kobiecie,
(Albo reporterowi, co jest przy gazecie.)

Plątanina.

Opowiadają, że słynny biskup z Belley, Camus, podczas pobytu swego w Hiszpanji, nie mogąc zrozumieć jakiegoś sonetu Lope de Végi, prosił autora o wytłomaczenie, ale ten odczytawszy go kilkakrotnie, miał jakoby wyznać zupełnie szczerze, że i sam swego utworu zrozumieć nie może.

Płytkość umysłowa.

Diogenes rozprawiał raz poważnie, a widząc, że go nikt nie słucha, począł prawić niedorzeczności i wnet otoczył go tłum ludzi.

— Oh! poznaję was dobrze — rzekł — jesteście ogniści dla bajarzy... a lodowaci dla mądrości.

Pocieszająca obietnica.

Młody małżonek, prowadząc żonę pod rękę, spotyka przyjaciela.

— Nie spodziewałem się, mój drogi — rzecze do niego — żebyś nie był na naszym ślubie, ani nawet nie przysłał mnie, twemu najlepszemu przyjacielowi, żadnego upominku, lub życzenia.

— Daruj, mój kochany—odpowiada przyjaciel — znasz mnie przecie i uwierzysz, że to nie ze złego serca, ale jedynie przez zapomnienie, mam tyle zajęć... ale bądź pewny, że na *drugi raz* to się poprawię niezawodnie.

(*Flieg. Blät.*)

Pociej.

Hetman Pociej, przeżegnawszy się po łacinie, nigdy nie omieszkiwał dołożyć: „a dla lepszego wyrozumienia... w Imię Ojca i Syna i t. d." Co bywało zawsze dobrze przyjętem, choć udawał się nie mieć Pana Boga za dobrego łacinnika.

J. I. Kraszewski. (p. t. I, str. 250.)

*

Niechaj Pociej Macieja
A nie Maciej Pocieja
Ma za dobrodzieja.
— Pociejowska plaga.

Pociejów.

We drzwiach na balu.

— A wiesz ty stary, co ja z nimi zkuzynowany?

— Chyba... przez Pociejów.

Pocieszyciel.

Wojtek pocieszyciel.

— O la Boga, Wojtek! będzie ze mną nieczęście, bo mi zając drogę przebiegł.

— Eeee! co tam matula gada, zającowi będzie gorzej, bo mu baba bez drogę przeszła.

* *Nie wedle pocieszenia.*

(Z życia ludu.)

Huczał wicher zimowy... i mocował się z topolą, jakby ją chciał przewrócić koniecznie.

Śnieg padał płatami grubemi i pokrywał białym całunem garbate zagony, dachy słomiane i świeżo usypaną na cmentarzu mogiłę...

Od wrót cmentarnych gromadka ludzi szła. Chłopi czapki nasadzili na uszy, baby się otuliły chustkami... gawędę przerywały westchnienia.

— I zmarło się babinie!

— Oj zmarło, zmarło niebodze... znać wola Boża taka... jak jęło pod piersiami ściskać, kolka w plecach kłuć—nie wytrzymała...

— Ksiądz gadał, że musiała zapalenie jakieś mieć...

— Ale! zapalenie! może prędzej dudy w niej zamarzły .. jak poszła prać na cały ranek do rzeki i na lodzie stojała.

— I lekowali ją przecie...

— A jakże! i wódki z goździkami dawali i kurze ziele gotowali i ziołami kadzili i bańki żyd stawiał... i wszyćko na nic — trza było umierać.

— A dobra kobieta była! — poszukać takiej... jak jeno trzecie kury, ona już wstaje — a pracuje... a pracuje...

— Wiadomo, taka baba jak ona, za dwóch chłopów zrobiła.

— I kiele bydła i kiele świni i w ogrodzie i u kądzieli — przyśpiewywała ta jeno.

— Galanta kobiecina!

Do tych rozmów wmięszał się głośny płacz owdowiałego małżonka.

— Oj... oj... oj... cóż ja chudzina — przez niej pocznę? jak ja się sierota ciężki obrócę?

— Nie płaczta, nie płaczta Wojciechu... Bóg miłosierny pocieszy.

— A któż mnie sierocie kartofli oskrobie, kto mi łyżkę barszczu zgotuje? A kto mi kosiulinę upierze, a kto mi chleba upiecze?

— Ej, Wojtysiu nie zawódź, umerlaka nie dziorgniesz z grobu, kiej go już święta ziemia przysypie. Ożenią cię baby drugi raz...

— O, moje ludeńkowie najmilsze, już to nie będzie nic z tego, nie ma mojej Małgosi, nie ma mojej gosposi, kochania mojego! Oj, sierota ja ciężki; o ciężki ja sierota! ni krowy komu wydoić! ni świni komu jeść dać — ni do mnie komu przemówić. Oj, ludeńkowie najmilsze! już mnie się chyba utopić! utopić!

. . . .

Płacząca i wzdychająca gromadka wtłoczyła się do karczmy; na ławach posiadali. Jankiel się z flaszką uwijał.

On wzdychał także.

— Oj, oj, pewnie Wojczechu, mówił: takie babe jak nieboszczka buło... to rzadko... To buło babe! aj waj! a gite bałabuste! z pełnem gębem gospodynia! Tylko ja jej zawsze mówiłem: — Co wy moje Wojczechowe takie czekawe do robote jesteście? co wy sobie nigdy nie odpoczniecie? na takie paskudne wilgoszcz, i takie żymno, a kałt! to wy sobie skąpujecie na jeden półkwaterek wódki! Za co wy takie chytre na pieniądzów jesteście?

— O jużci, co nie straciła — to nie.

— Ny, mój kochany Wojczechu. Każta dać na ten frasunek... jak sobie trochę głowę zapruszyta to wam będzie kole serca lżej — zaraz tak odciągnie, jak z lekarstwem, napyta sobie do starej Zajęczychy, to bardzo porządna gospodyni jest...

Kwaterka krążyć zaczęła, gwar wzrastał — gorąco było w karczmie, a para osiadła na maleńkich okienkach.

Tylko Wojciech milczący siedział przy stole; grube narobione palce w gęste włosy wsunął, i tak na łokciach podparty dumał.

Stara Zajęczycha przysunęła się do niego.

— Kumie! kumie! mówiła, silnie go w bok trącając — a dy się ruchnijta krzynkę!!

— Bo co?

— Dyć łeb zwiesiliśta jak krówsko na żydowskiem podwórku i takieście markotne, jaż grzech.

— Ale! chceta żebym tańcował może...

— I potancujeta jeszcze! nie wieta, jaka to je przypowiastka:

> Zawdy w świecie taki skutek:
> Po wesielu bywa smutek,
> Poczekawszy mało wiele,
> Znów po smutku jest wesiele.

— Gdzie mnie do wesela...

— Głupieśta kumie... chłop z was młody — gospodarz dobry, jeno zebyśta chcieli, to kuzda dziewka za wami poleci — jak za kobyłą żrebię.

— Kiej nie chce i tylo.

— A co robić będzieta sami w chałupie?

— Co? dzieci nie mam... to i tak będę...

— O durny że ty chłopski narodzie!... a cóż ty wart będziesz przez baby? Żryć sobie sam ugotujesz?

— To co!? Oj... oj...

— I chleba upieces?

— Kupię.

— I śmaty se upierzesz? i chusty połatasz i kiele lnu zrobisz? a lato przyjdzie... kto ci ogrody zasieje? kto do pielenia pójdzie...

— Oj, moja Małgosiu! moja ty gosposiu... nie ma ciebie, już nie ma! — ryknął głośnym

płaczem chłopisko – pusta moja chałupa... sierocka.

— Cich! cich! nie zawódź Wojtusiu — pocieszała Zajęczycha — jać ja tobie życząca i swojacka i kuma.

— Dyć prawda.

— To słuchajta kumecku.. Jagnę Zagrodziankę znata?

— Toć znam.

— Nie dziewka, co?

— Dyć, dziewka, jak dziewka, wiadomo!

— Swarne dziewczysko, jak rzepa — i na gębie gładka...

— Dyć nie kostropata...

— I w sobie podufała.. zasadna...

— Niech ją tam — rzekł obojętnie Wojtek. — Małgosi mojej nie ma!

— Rychtyk! chłopskie żałowanie, to jak kotowe płakanie, a ja wam zawdy powiadam, że co Jagna to Jagna!

— Juści Jagna.

— Gruntu będzie miała swojego moc, przez krowy tyż nie jest, naucna na wszystkie sposoby...

Chłop milczał.

— Ruchnijta się kumie raz, siedliśta jak zmokła wrona nieprzymierzając. Bierzta gorzałki kwartę, idziem do zagrody...

— Tak zara?

— A co? co z głowy to z myśli. A wieta wy, dziś nam Bóg miłosierny dał czwartek, w niedzielę zapowiedź być musi, boć kusoki wnet.. a jakuratnie tylko trzy niedziele ostało!...

Chłop ciężko z ławy się podniósł.

Zajęczycha do Jankla do alkierza wpadła...

— Ny, ny, Wojczechu — mówił żyd, z flaszką gorzałki wychodząc — wy sobie słuchajta, co wam Zajęczycha gadają, uni wam dobry interes dają do ręki...

— Oj kiej strasecnie markotno...

— Oj waj, co to jest markotno? wusy dues a sołche markotność? to co buło, to już buło; a co szedzi w w żemie... to już przepadniało... Co to jest za gadanie? Weźta wy sobie tak na delikatne rozum, ja wam co powiem! A jakby napsikład kot sobie obrócił ogonem, to jak wy myślita, co by buło?

— Jaki ci ta ześ kot znowu?

— Nie rozumita? ja powiadam, że jakby, tak do psipadku, niech Pan Bóg zabroni, wy same umarli, a wasza nieboszczka kobita by sobie ostało, to cy wy myślita, że una by buła przez chłopa?

— Pewnie, że nie.

— Tak samo i wy nie będzieta przez babe, bo co to jest chłop przez babe? to nic nie jest! to kapcon jest! cały gałgan sze zrobi!!

— Prawdziwie niby...

— Ja wam co powiem, widzita wy ten bankocetel?

— Widzę.

— Ny, a co to jest?

— Co ma być? Juści rubel.

— Tak, to jest rubel, cały rubel, sześć złotych i groszów dwadzieścia, możecie za niego dostać blisko półtorej kwarty okowity, albo więcej jak pół kope szledzi, albo dwieście obwarzanków!! Prawda jest?

— Juści prawda.

— Teraz weźta wy od tego bankocetla oberwijta ten mały numer! ten maluśki numer z podpisem. To ten rubel, co buł rubel, już nie będzie rubel, już un nie będzie wart ani złotówkę, ani dziesiątkę, ani jeden grosz! Weźcie wy sobie na delikatny rozum, co chłop przez babe, przez jedne babe, takie zwiczajne babe, to jest rubel bez numeru, grosza nie wart jest... już ja wam więcej nic nie powiem...

— Chodź, chodź Wojciechu, żyd dobrze gada, sprawiedliwie choć ci żyd.

Powoli, ciężkim krokiem powlókł się Wojtek za babą i zniknął w wioskowej ulicy...

. . . .

— A co to chcesz, Wojciechu? — pytał proboszcz kłaniającego się pokornie wieśniaka.

— Na mszę świętą za nieboszczkę... ta i na zapowiedzi z Zagrodzianką Jagną...

— Tak prędko? tamtąś wczoraj dopiero pochował... jużeś się pocieszył...

— Ej, przez urazy ojca duchownego, ja nie wedle pocieszenia, ino krowinów jest trzy, a nie ma komu wydoić...

Klemens Junosza (p. t. I, str. 57).

Poczciwość (w pojęciu łotra).

Co ty poczciwym nazywasz? Bogatemu skąpcowi zdjąć z karku trzecią część trosk, co mu złoty sen z powiek spędzają, pleśniejący pieniądz w obieg puścić, równowagę mienia znowu zaprowadzić, jednem słowem złoty wiek przywołać, Panu Bogu zabrać pewną liczbę niepotrzebnych żołądków, które on karmić musi, oszczędzić mu wojny, zarazy, głodu i doktorów, to się nazywa być poczciwym człowiekiem.

Pocałunek.

Szacunek — całuje rękę, przyjaźń — lica, ojcowskie przywiązanie całuje czoło, miłość — usta, grzeczność — ramię, tęsknota — oczy, żądza — karczek, a pokora — szaty.

Podlotek.

(Z notat „Starego kawalera").

Najlepszy kąsek zostawiłem wam na ostatnie danie, bo czyż może być coś wdzięczniejszego nad takie jabłuszko rumiane z niestartym pyłkiem naiwności, pachnące młodością; tylko niestety takie specyjaliki dostają się najczęściej na stare zęby spruchniałe; nie przez własne wyrachowanie, jak to ma miejsce u panien z głową, ale z woli lub namowy rodziców.

Cóż łatwiejszego, jak taką panienkę wracającą prosto z klasztoru, namówić, aby poszła za starego przyjaciela domu. Pensyjonarki, jak wiemy, mają szczególną inklinacyję do starszych osób, cóż dopiero, jeżeli taki przyjaciel domu, kolega papy z lat najmłodszych, już umiał ją ująć sobie w dziecinnych latach jeszcze bombonierkami pełnemi cukierków i innemi prezencikami. Odtąd pannie, ile razy w klasztornych murach zachciało się cukierków, taki przyjaciel domu mimowoli na myśl przychodzić musiał, cukierki niezatartemi wspomnieniami wyryły się w jej pamięci.

Jeżeli teraz po powrocie z klasztoru, ten sam człowiek oprócz cukierków przyrzeka jej długie jedwabne suknie, służbę, która ją będzie panią nazywać, bale, teatry i inne tym podobne przyjemności, o których panny za kratą klasztorną opowiadały sobie w sekrecie przed Panną Matką, jak o dziwach z tysiąca i jednej nocy; to cóż się tu dziwić, że podlotek bez namysłu i wahania przystaje na wszystko i z radości gotowaby się jeszcze rzucić na szyję staremu konkurentowi i wyściskać go, jak ojca. Serduszko śpi jeszcze — więc nie ma kto oponować przeciw takiemu podstępnemu pakowaniu go w złotą klatkę. Czasami umyślnie przymyka oczy i udaje, że śpi, a po ślubie dopiero otwiera oczka i pazurki i małżonek, który był pewniuteńki, że bierze sobie uosobioną naiwność i niewinność, dowiaduje się potem, że podlotek był fabrykowany, że już przed nim jakiś nauczyciel muzyki na pensyi, kształcąc paluszki, potrącił po drodze i o serduszko i obudził je.

W dzisiejszych czasach, w których przemysł tak wysoko postąpił, fabrykacyja podlotków doszła także do wielkiej doskonałości tak, że nawet dwudziestoletnie panny usiłują jeszcze niekiedy uchodzić za podlotków.

Rozumie się, że takie w siedemnastym roku muszą koniecznie być jeszcze dziećmi, zwłaszcza jeżeli tego koniecznie wymaga dobro rodzinne, to jest, jeżeli jest kilka starszych sióstr, które nie mogą mieć dwudziestu kilku lat, dopóki nie powychodzą za mąż. Wtedy z najmłodszej fabrykuje się sztucznego podlotka, daje się jej krótkie sukienki, lalki, płaci się od niej połowę ceny na kolejach, na koncertach — a gdy zasłabnie, wzywa się do niej dra Jakubowskiego, który jest specyjalistą do chorób dziecinnych.

Czasami panny z własnego dowcipu bez pomocy rodziców dopuszczają się takich imitacyj naiwności dla złudzenia oczów ludzkich i dla tego imitacyj takich mamy bardzo wiele. Natomiast o prawdziwego podlotka dzisiaj bardzo trudno.

Gatunek ten powoli zatraca się i podobnie jak żubrów trzeba szukać po za krańcami cywilizacyi, gdzie na wsi, w jakim szlacheckim dworku w górach. Tam jeszcze możesz spotkać taką *dziczkę*, trochę niezgrabną z długiegiemi chudemi rączkami, trochę nieestetycznie wystającym żołądeczkiem, w opiętej sukience, zdradzającej domowy krój i domową robotę, chichotającą się serdecznie nawet z niczego w gronie rówienniczek, a piekącą raczki wobec mężczyzn, gdy który z nich zagada. Trzeba widzieć, jak takie biedactwo poci się i męczy, gdy jej przyjdzie dłużej siedzieć na jednem miejscu w towarzystwie i prowadzić rozmowę, jak skubie paluszkami chusteczkę od nosa, lub frendzelki przy sukni, trze nóżką o nóżkę i oczkami co chwila rejteruje na sufit, jakby tam chciało wyczytać, co ma mówić. Odpowiedzi jej pachną pensyją, recytuje je krótko i prędko jak lekcyje; ale jeżeli nie chcesz ją do reszty skonfundować, nie wspominaj jej o pensyi, bo gotowa to wziąść za osobistą obrazę; ona już nie chciałaby uchodzić za pensyjonarkę, szczególniej wobec mężczyzn, gdyż prawdziwy podlotek wstydzi się swojej młodości i codzień męczy matkę prośbami o dłuższą sukienkę, chcąc uchodzić już za dorosłą pannę.

Do towarzyskich przymiotów takiego podlotka należy jeszcze, że zajęta cała tańcem, nic nie słyszy prócz muzyki i nieraz przez zapomnienie zacznie ci za uchem głośno takt rachować, a na wszystko, cokolwiekbyś jej wtedy mówił, odpowiada tylko: raz, dwa, trzy, raz, dwa, trzy.

Może taki portret wiejskiego podlotka nie bardzo wam przypadł do smaku; poeci i powieściopisarze piękniej je wam przedstawili. Nie chcę ich posądzać o przesadę; co do mnie, nigdy mi się nie zdarzyło spotkać w życiu ta kich poetycznych podlotków, szczególnie w licznem towarzystwie, są one tam zwykl nieśmiałe, niezgrabne i jakby skrępowan Ale za to przy karmieniu drobiu, albo w ku chni widzieć taką panienkę, to prawdziw przyjemność: tam ona czując się we właści wym żywiole odzyskuje śmiałość, swobod ruchów i nabiera właściwego wdzięku. Kied z zakasanemi rękawkami i z omączonemi ra czkami w fartuszku, snuje się po kuchn z twarzyczką wypieczoną od ognia, albo wy biegnie do sadu po owoce do smażenia i tar zapomniawszy o swoich pretensyjach do dłu giej suklenki, spina się jak chłopak po drz wach, pomagając sadownikowi zrywać wiśni rumiane, jak jej usteczka — to nie pozna byś, że to ta sama panienka, z której wczora żartowałeś sobie w duszy. Tam ona zażar towaćby mogła sobie z twojej nieporadnoś i niezręczności, gdyby ci przyszła ochota po magać jej w robocie.

Ale przez to ośmieliłbyś ją do siebie i p kilku dniach bliższej znajomości, wyspowia dałaby się przed tobą ze swoich upodobań sekretów pensyjonarskich, a nawet widząc ci zamyślonego, ośmieliłaby się budzić cię w ja kimś kolorze. Jak kwiatek w słońcu, tak na wna ta duszka odsłoniłaby się całkiem prze tobą — z całą szczerością.

Wiedzą o tem starzy kawalerowie, znaj sekret odmykania takich duszyczek i dlateg udaje im się niekiedy zakraść tam, szczegó niej jeżeli wiejska dziczka ma trochę zakroj na gąskę, którą łatwo wziąść na taką przyne tę. Taki kawaler zaczyna najprzód chwali jej kwiatki, głaskać jej kotki, zajmować si losami kurcząt i pieska Azorka, rozmawia po ważnie, jak z dorosłą panną, czasem jakin ostrożnym komplemencikiem podrażni miłoś własną, niekiedy na spacerze, prowadzą pannę pod rękę, odważy się delikatnie j uścisnąć za paluszek, szepcząc coś w uszk i panienka ani wie, kiedy i jak zaczyna do znawać dziwnych niepokojów i smutków, za

trzymywać się dłużej na jednem miejscu najczęściej nad stawem i patrzeć niby na rybki, a nie widzieć nic i dłubać w zamyśleniu paluszkiem w okolicach noska.

Jeżeli takie symptomata spostrzeżecie u młodej panienki, to przedewszystkiem oddalcie z domu starych kawalerów, nie lekceważąc ich dla łysiny lub pedogry. Młodość ma złudzenia, ona nie patrzy oczami, ale duszą i gotowa nie widzieć łysiny. Dlatego lepiej odsunąć wcześnie łysego amorka, zanim mu się uda zatrutemi słówkami trafić w młode serduszko. Lepiej już, że bez wszelkich poetycznych złudzeń, czekać będzie podług wiejskiego obyczaju na konkurenta, który zajedzie czwórką po formie przed ganek, zaanonsowany przez sroczkę na płocie. Taka czwórka – to ideał wszystkich podlotków, i jeżeli jaki stary kawaler lub sentymentalna guwernantka nie obałamuci jej główki — to taka panna nie będzie rozumiała innej miłości, prócz tej, jaka się objawia czwórką i nowemi szorami, i gdyby który młody człowiek niewiadomy tego obyczaju, chciał jej oświadczyć się bez czwórki, nie uwierzyłaby mu zapewne, że myśli na seryjo o małżeństwie. Bo wiejski podlotek jest wierny tradycyi, przechowuje ją w obyczajach, upodobaniach, przesądach, i zabobonach nawet.

Wierzy w kabałę, którą kładzie w zimowych wieczorach, w czterolistną koniczynę, w feralne dni, w sny i w uroki — topi wosk i ołów wigiliją św. Andrzeja i podkłada na noc pod poduszkę imiona kawalerów bywających w domu, nie wyłączając nawet pana Anzelma, sześćdziesięcioletniego staruszka; — boi się strachów i grzmotów, tylko złych ludzi się nie boi, bo nie wierzy, żeby ludzie złymi być mogli. Serduszko łatwowierne — miękkie jak wosk, z którem każdy zrobi, co chce.

Oho, już widzę, że ci się mój podlotek spodobał, mój czytelniku — że się wybierasz już w drogę, by z tego wosku ulepić żonkę dla siebie. Tylko ci przypominam, że musi być czwórka i krakowiak na koźle, że będziesz musiał dotrzymywać papie przy kieliszku węgrzyna, bo inaczej gotów cię nazwać niewieściuchem i nie dać jedynaczki, a wieczorem dosiadywać we trójkę z księdzem proboszczem przy maryjaszu do puli, bo bez aprobaty księdza proboszcza także nic nie wskórasz. Powie ojcu: farmazon i przepadłeś z kretesem.

Zaś jeżeli mamę, poczciwą staruszkę chcesz chwycić za serce, to jej przywieź dużo sekretów gospodarskich na tępienie szczurów w spiżarni, na plamy, na robienie legumin i przekładańców, na solitera, migrenę, a dostaniesz za to oprócz córki codzień doskonałej nalewki do śniadania i kieliszek starego wiszniaku z apteczki kobiecej wraz z pierniczkiem lub ciastkami roboty podlotka. Tylko ci radzę, spiesz się, bo takich wiejskich jabłuszek coraz mniej, a po ślubie dopóki sobie tego wosku na własne kopyto nie przerobisz i nie zaaplikujesz do swoich potrzeb i wymagań, radzę ci strzedz go pilnie, by ci kto roboty nie popsuł. Na tej radzie przyjacielskiej, która się do i innych żon dałaby zastosować, kończę album panieńskie.

Podobno... ale nie zaręczamy.

Podobno pewien młody syn Eskulapa *opukując* i *osłuchując* guwernantkę jednego z kapłanów Merkurego, zbyt daleko zapuścił się w swych badaniach:

Więc rozgniewany ów merkurnik za to,
Strasznie tym faktem brzydkim się zasmucił,
I nie czekając aż nadejdzie lato,
Na przewietrzenie doktora wyrzucił...

Podobno jakiś wieszcz miejscowy zamierzył posiąść jedną z *wybranych* — słowem, ożenić się raz na zawsze.

Dobrze, rzekł ojciec, lecz wiedz młody wieszczu
Że temu pomódz nie mogą i mistrze,

Byś, choć natchniony nie przemógł na deszczu,
Gdyż od twych celów kieszenie twe czyste...

Podobno jeden z barczystych warszawiaków urządził przed niedawnym czasem w Paryżu napad na sypialnię znanej amerykanki.

I chociaż plan był dobrze ułożony,
Lecz widać sile przeciwnej nie sprostał,
Na wszystkie bowiem osaczony strony,
Wnet się biedaczek do *Mazas'u* dostał.

Za co jednak nie zaręczamy!

Podobieństwo.

Kobieta wbrew powszechnie przyjętej zasadzie, podobną jest jednak do wina. Im starsza, tem mocniejsza... w cnocie.

Podróż.

* *Podróż państwa Bańkowskich do Częstochowy pociągiem spacerowym.*

Panna Gliceryja. Pan Mahomet z połą urwaną!

Mahomet. Prawda! do miljona... arkuszy! Aha... to kasyjer, mój dobry znajomy, tak... serdecznie mnie zatrzymał. Mniejsza o połę, ale są bilety — są! a jutro jazda do Częstochowy! Gdzież mama? papa? kochany konsylijarz?

Panna Gliceryja. Przyjmuje chorego. Mamo, mamo! pan Mahomet przyniósł bilety!

Głos za sceną. Zaraz Gliciu — tylko się odzieję.

Panna Glicerja. Siadaj pan i powiedz — bo już tyle razy zbierałam się zapytać — dla czego pan nazywasz się „Mahomet", jakby jaki rabin, albo też ksiądz... muzułmański?

Mahomet. Przy chrzcie dano mi siedm imion — z tych sześć w porządku alfabetycznym: Agapit, Barnaba, Cyryjak, Dydak, Emeryk, Fulgenty — no i Mahomet — które dorzucił mi ojciec chrzestny, z powodu, że namiętnie palił fajkę z tureckiego tytoniu. Cóż pani powiesz? ja A-ga-pit! albo cały szereg imion? śliczności!! nieprawda? Musiałem w pełnoletności wybrać „Mahometa" — tembardziej, że przed poznaniem pani czułem pewien pociąg do mahometańskiego wyznania.

Pan Bańkowski. Gilciu, niechno Marysia da wody do rąk. A, pan Mahomet— kłaniam. Widzisz pan, wyrwać taki ząb jak dąb, to nie wasza z piórem skrobanina. Doktór albo dentysta zasapałby się, nimby poradził takiej kłodzie. Korzenie sięgały prawie do... ramienia..!

Mahomet. Milijon dyjabłów! przepraszam, chciałem mówić „arkuszy" — mogłeś mu pan obojczyk okaleczyć.

P. Bańkowski. Ba! od czego zręczność i... nauka! Nie pomieniałbym się z panami doktorami, chociaż tytułują mnie starszym felczerem.

Pani Bańkowska (wchodząc) Mój mężu, tylko hołota tak ciebie nazywa — a nie ludzie z inte... z intencyją. Witam kochanego pana Mahometa! Bilety są?

Mahomet. A jakże! Przy ucałowaniu kordyjalnem dystyngowanych rączek składam w nie cztery bilety.

Mama i córka. Co! klasy trzeciej?

Mahomet. Rozumie się, pojedziemy pierwszą... co najmniej! Mam wszędzie stosunki i znajomości. Naczelnicy, zawiadowcy, nadkonduktorzy, konduktorzy i chor... kogo państwo chcecie, będą na wasze usługi.

P. Bańkowska. To co innego. Za nic w świecie nie pojechalibyśmy klasą trzecią.

Mahomet. Słusznie. Stanowisko społeczne nie dozwala. Teraz pożegnam państwa. Mój notaryjusz dobry chłopak, żyjemy bez ceremonii — ale roboty mamy po same dziurki — rozumie się, od nosa. Więc do widzenia — jutro po 6-ej rano jestem tu z dryndą.

Wszyscy. Czekamy z herbatą.

. . . .

Mahomet. Jakto? nie ma jeszcze dryndziarza?

P. Bańkowska. Miałeś pan po nas przyjechać?

Mahomet. Kazałem mu wprost tu zajechać, dawszy... coś parę... rubli zadatku. Oho! sałaciarzowi nie ujdzie na sucho — mam stosunki i znajomości w Ratuszu!— A gdybyśmy tak spacerem... pomalutku... jeszcze godzina czasu...

P. Bańkowska. A koszyk?

Mahomet. Prawda — ten koszyk? Objętość pocieszająca! Takie archiwum w podróży dzielnie usłuży.

P. Glicerja. Poczekajmy — może nadjedzie.

Mahomet. Nie można ryzykować. Będzie mu ciepło!

P. Bańkowski. Eh, korona nie spadnie — poniesiemy z panem.

P. Glicerja. Co znów ojciec! pan Mahomet...

Mahomet. Widząc, że pani ząbki przyjmą współudział — ja bym gotów ponieść... basen z Saskiego ogrodu.

P. Bańkowski. A więc w drogę do Częstochowy!

. . . .

Mahomet. Dalej państwo, tem oknem na platformę.

P. Bańkowska. Czemu nie drzwiami?

P. Glicerja. Fe! jak to będzie wyglądało...

Mahomet. Zaręczam, nie będzie wyglądało. Mój przyjaciel naczelnik wskazał to praktyczne wejście. Raz i dwa! Oto jestem z szykiem i koszykiem.

P. Bańkowska. Ostrożnie, Gilciu, ażebyś czego nie rozdarła.

Oficyjalista D. Ż. Gdzie! gdzie? a drzwi od czego? Skaranie boskie z tą hołotą.

Mahomet. Cicho, gburze! Czy ty wiesz, z kim masz zaszczyt mówić? Słowo powiem— a wylecisz ze służby.

Oficyjalista. Oho, jaki mi pan! Niechnobym zaaresztował, a zaprowadził do naczelnika, byłby kram!

Mahomet. Z powrotem rozprawię się z nim, szkoda czasu, siadajmy—oto jest wolny przedział klasy drugiej.

(Po umieszczeniu w powozie dam i papy— Mahomet mówi coś cicho z konduktorem— następnie sam wsiada.)

Mahomet. Bodajto stosunki! jesteśmy jak w domu, nikogo nam nie wpuści.

P. Glicerja. A to ślicznie! będziemy swobodni!

P. Bańkowski. Zuch pan Mahomet! Będę mógł rozebrać się.

P. Bańkowska. Dzięki panu, zdejmę bucik... ten odcisk...

Mahomet. Sprawiedliwie! Nieodmawiajcie sobie państwo wygody.

Urzędnik D. Ż. Proszę państwa okazać bilety.

Mahomet. Z przyjemnością służymy panu naczelnikowi.

Urzędnik. Państwo macie bilety klasy 3— proszę zająć miejsce właściwe.

Mahomet. Panie naczelniku, to jest towarzystwo wyższe. Konsyljarz z rodziną — a wreszcie przyznam się panu, że nie usiedliśmy tu bez porozumienia się z właściwą władzą...

Urzędnik. Proszę wysiadać.

Mahomet. Panie! a gdzież grzeczność dla dam?

P. Bańkowska. Wysiadajmy — co pan będziesz go prosił...

Urzędnik. Za pozwoleniem, ostrzegam: żadne „go".

Maohmet. Przepraszam— pani chciała powiedzieć „jego".

P. Bańkowska. Jaki mi pan! a w liberyi.

Mahomet. Nie zważaj, panie naczelniku— albo kobiety się znają?

. . . .

P. Bańkowska. Jakto? pomimo zapewnień pana siadamy do klasy 3-ej?!

Mahomet. Tak — pomimo moich stosun-

ków i znajomości! Nieprawdopodobne, a prawdziwe! Naczelnik od pociągu ma nas przesadzić do klasy 1-ej, tylko czeka, aż jakiegoś rewizora dyjabli wezmą.

P. Glicerja. Ah, jakież tu towarzystwo!

Konduktor. Co, pan myślisz ten kosz „wtrynić” do wagonu? Proszę z nim go ekspedycyi.

Mahomet. Gdybyś pan znał zawartość jego, oblizałbyś się! Koszyk damski — słowo honoru! A wreszcie, jeżeli nie odmówisz pan, zapraszamy do towarzystwa.

Konduktor (mocno wzruszony). Przemawiasz pan do... serca, ale jestem już „zaangażowany”; za Skierniewicami, to służę...

P. Glicerja. Przyjemny chłopiec.

P. Bańkowska. Tak sobie, „konduktor”.

Pasażer. Pan tym koszem nosy nam poutrącasz.

Mahomet. Jeżeli za długie...

Pasażerka. Ten pan mierzy nosy swoim językiem.

P. Bańkowski (do wsiadającego). Robię panu anatomiczną uwagę — państwo dwoje tu nie pomieścicie się.

Pasażer. Czy pan zaprenumerowałeś cały wagon? Amator! Chodź, Ceś, jest tu miejsce (siadają).

Mahomet. Albo oś, albo koło pęknie—kto chce, trzymam z nim zakład.

Pasażer. Waszmość trzymaj język, albo swój kosz, który za dwie osoby miejsce zajmuje.

P. Bańkowski. Daj pokój, panie Mahomecie.

Pasażer. Co? Mahomet? pan Mahomet na odpust? Ha, ha, ha, Mahomet z Mekki do Częstochowy!

(Wszyscy śmieją się głośno, powtarzając: „Mahomet!”)

Mahomet. Szlachetni panowie i piękne panie. Z żalem widzę, że imię moje nie miało szczęścia podobać się wam. Uspokójcie się! Zmieniam je na pierwszej... stacyi!

P. Glicerja. Ach, panie Mahomecie — jakie tu towarzystwo!

Mahomet. Znieważacie mnie państwo do nowej interpelacyi. Żart ze mnie, żart z drogiego każdemu imienia, puściłem w trą... to jest... w żart. Ale ostrzegam, że nie dozwolę, bronić będę i karcić najmniejsze uchybienie obecnej tu rodzinie powszechnie szanowanego konsyljarza.

P. Bańkowski. Alboż oni mnie znają?! Jak kto zachoruje z przejedzenia lub przepicia,— co jest epidemiczne w czasie odpustu—wtedy do mnie...

P. Bańkowska. Co ty im perorujesz! Śliczne stosunki i znajomości pana Mahometa! wpakować nas między taką zgraję...

Jedna z dam. Asani sama „zgraja”!

Chór dam. Patrzcie ją! „taka” ma ubliżać całej kompanii.

Głos z kąta. Damy, uciszyć się! bo was konsyljarz... ogoli!

Mahomet. Panie... Kątecki — zapomniałeś, że do golenia sprawia się mydło.

P. Bańkowska. Wyrzekam się odpustu! Nie jadę z taką hałastrą! Wysiadajmy...

(Ruszenie pociągu uspokaja wzburzone umysły, jednych cieszy jazda — drudzy pocieszają się z flaszek. Wśród tak rozkosznej zabawy, pociąg przebiega szybko, mija stacyje jedna po drugiej i jest już pod Skierniewicami.)

P. Glicerja. Ah, jak kolej pędzi!

Mahomet. Prosiłem o to maszynistę—dobry mój znajomy.

P. Bańkowska. Możeby on zabrał nas na maszynę?

Mahomet. Oh, najmniejsza rzecz... ale toalety — na maszynie gorzej jak w piekle... para, ogień i... smoła!

Konduktor (pod oknem, na ławce wagonu). Skierniewice! 15 minut! (ciszej) Za Skierniewicami zabawiemy się... dalibóg...

P.Bańkowski. Czekaliśmy o suchej...

P. Bańkowska. Dajże pokój z konduktorem...

(Pociąg staje—wysypuje się pobożne mrowisko dla różnych a koniecznych potrzeb; wielu przez liniję szyn kozły wywraca.)

Mahomet. Możeby paniom służyć kawą, herbatą albo ponczykiem?

P. Bańkowska. Co też pan... poncz rano!

P. Bańkowski. Środek arcy-hygieniczny! Hipokrates już zalecał...

Mahomet. Konsyljarzu, nie traćmy czasu—paniom do wagonu każemy podać kawę i... ptycie.

P. Glicerja. Albo czas wystarczy?

Mahomet. Ja tu jestem jak... w hypotece (odchodzą).

P. Glicerja. Co ten jegomość w czerwonej czapce tak mnie kokietuje? Komu to... taki grubas...

P. Bańkowska. Patrz, patrz, jak on przytupuje, ziemia jęczy. Ale gdzie ta kawa? Oj, ten Mahomet...

(Dzwonią — trwożliwsi siadają, nasi turyści wyczekują jeszcze.)

P.Bańkowska. Zobaczysz—oni nam urządzą kawał...

P. Glicerja. Mahomet zatrzyma pociąg—niech się mama nie boi.

Pasażerka. Jeszcze czas— nie ma „pieca" przy wagonach.

(Dzwonią powtórnie—turystów z torebkami zapędzają do wagonów.)

P. Bańkowska. Spóźnią się! spóźnią! Oj, ten Mahomet!

(Maszyna zakatarzona gwiżdże—pociąg rusza, pomimo protestacyj mamy i córki.— Amatorów ponczu ani oko ani ucho.)

P. Glicerja. Mój ojciec! mój...

P. Bańkowska. Stójcie! wysiądziemy. Będziesz miał poncz!

Pasażer. Niech panie nie desperują—znajdą się oni bez ogłoszenia w Kuryjerze...

(Pociąg w pełnym biegu — konduktor zaproszony wsiada.)

P. Bańkowska. Panie, co zrobiłeś! pozostawiłeś mi męża i... jednego pana...

Konduktor. Pal ich kaci! Zastąpię jednego i drugiego. A koszyk jest?

P. Bańkowska. Zachciało mu się... popamiętasz ty poncz!

Konduktor. Dobra myśl — napijemy się ponczu...

P. Glicerja. Pan żartujesz— a przecież to mój ojciec i pan Mahomet.

Konduktor. Co mnie turek obchodzi! Dla mnie dosyć, że pani jesteś... Oczki, dalibóg; jak... jak... latarnie sygnałowe!

P. Bańkowska. Idź pan sobie. Nie obrażaj mi dziecka. Nie dla psa kiełbasa!

Konduktor. A... jest i kiełbasa! to już załatwiliśmy się zupełnie. No, ten tam mąż i ten turczyn znajdą się... słowo honoru! A i bez nich możemy się zabawić. Wiesz, mamo... córeczka wściekle mi się podobała... jak honor kocham... W pociągu mam do niej pociąg...

Pasażer. Ej, panie konduktorze, nie zaczepiaj kobiet. Siedź spokojnie, albo narobimy ci bigosu, tylko maszyna stanie!...

Chór dam. A to bezwstydny łobuz! Zaskarżyć go!

Konduktor. U nas konduktor... to wszystko... to... admirał! Wreszcie, jestem tu zaproszony — a komu się to niepodoba, wyrzucę go na stacyi... jak pana Boga...

(Pociąg zatrzymuje się—na co konduktor nie zwraca uwagi.)

Chór (unisono). Panie naczelniku, panie zawiadowco! tu wlazł jakiś konduktor i wyprawia „breweryje"!

Urzędnik (otworzywszy drzwi, do konduktora). Co pan tu robisz?

Konduktor (salutując). Wszystko w porządku, panie naczelniku.

Urzędnik. Po co pan tu wlazłeś? Natychmiast proszę wyjść!

Konduktor. Chciałem dziurkować bilety (wychodząc i salutując). Wszystko w porządku, panie naczelniku.

P. Bańkowska. Za pozwoleniem pana — w Skierniewicach pozostawili jednego męża... chciałam mówić dwóch panów.

Urzędnik. Przyjadą następnym pociągiem. Niech pani uspokoi się.

P. Glicerja. A nie mogłybyśmy tu pozostać i oczekiwać ojca?

Urzędnik. Owszem, proszę — jeżeli panie sobie życzą.

(Mama i córka wysiadają przy pomocy uprzejmego kolejnika—pociąg odchodzi.)

Urzędnik. Panie pozwolą spocząć w sali pasażerskiej.

P. Bańkowska. Z miłą chęcią—jeżeliś pan dla nas tak łaskaw. A koszyk? Gilciu, gdzie koszyk?

P. Glicerja. Prawda—a koszyk?

Urzędnik. Panie miały z sobą koszyk?

P. Bańkowska. Jeszcze jaki! pojechał! przepadł! już go dyjabli wzięli! Przeklęty ten Mahomet!

Urzędnik. Odbiorą go panie na następnej stacyi. Zaraz podam depeszę.

P.Glicerja. Panie, nie wiemy jak podziękować...

Urzędnik. Oh, pani... (odchodzi).

P. Bańkowska. Ktoby się spodziewał na kolei takiej grzeczności.

. . . .

(Pociąg spacerowy drugi wchodzi na stacyję. Nasze damy, dzięki energicznej pomocy urzędnika—galanta, znajdują amatorów ponczu, wtłoczonych do klasy czwartej.)

P. Bańkowska (furioso). Popamiętasz ty poncz!

P. Bańkowski. No, cóż się stało! Chwila separacyi — pojedziemy razem.

Mama i córka. Co, my? czwartą klasą?!!

Mahomet. Pociąg nabity! Miejsca ani dla nowonarodzonego i to pomimo moich stosunków...

Konduktor. Czy panie jadą? pociąg odchodzi...

P. Bańkowska. Co o tem mówić będą w całej Warszawie!

(Z powodu braku drabiny przy wagonie, panie za pomocą ręcznej windy i motoru tłoczącego z tyłu, wpakowano do wagonu.)

Mahomet. Przepraszam za chwilowe niepowodzenie. Wszystko to naprawi się przy moich stosunkach...

P. Bańkowska. Żebyś pan pękł z twemi stosunkami! Co my biedne wycierpiały...

P. Bańkowski. Po co było tu zostawać? Pan Mahomet prosił maszynisty — dogonilibyśmy was. Pędził jak kula.

Konduktor. Stacyja Piotrków, 10 minut.

P. Bańkowski. Poncz zrobił swoje — apetyt wilczy — gdzie koszyk?

P. Glicerja. Ach, mamo! znowu zapomnieliśmy — stacyję przejechali.

P. Bańkowska. No, teraz to już po nim! Żal mi kurczaków.

Mahomet. Znajdziemy go — biegnę do telegrafu... przy stosunkach...

P. Bańkowski. A ja po przekąskę dla was.

P. Glicerja. Ojcze nie odchodź — wolę nie jeść...

P. Bańkowska. Nie chodź, proszę cię, bo znów zostaniesz, niedołęgo!

P. Bańkowski. Dobrze wam mówić — ale ja się obawiam tyfusu głodowego.

P. Bańkowska. On tylko o sobie całe życie myśli! My umierajmy z głodu!

(Daje się słyszeć pierwsze dzwonienie).

Mahomet (odchodząc). Ja załatwię wszystko, przy stosunkach w mgnieniu oka! telegraf, przekąski, przeniesienie do klassy pierwszej.

P. Bańkowski. Za godzinę stanę się ludożercą. Żeby nie ten poncz, obrabialibyśmy nasz koszyk! Ale cóż, ja wołam: ponczu zimnego, a Mahomet gorącego! Zanim podali...

P. Bańkowska. Naturalnie, pierwszy poncz jak żona i córka! Że ci tego nie zapomnę, tak mi Panie Boże dopomóż.

(Dzwonią na odejście pociągu).

P. Glicerja. Mój Boże! nie ma pana Mahometa...

P. Bańkowski. Nie bój się, da on sobie radę, sprytna sztuka!

P. Bańkowska. Już poznaliśmy wasz spryt i jego stosunki.

P. Glicerja. Ja wolałabym nie jechać... biedny ten Mahomet.

P. Bańkowski. Zobaczysz go... tylko patrzeć...

(Pociąg rusza z miejsca.—Mahomet wybiega z bufetu obładowany bułkami i serdelkami—już dogania wagon... już widzi wyciągnięte ręce dla przyjęcia jego, czy też serdelków, kiedy nieubłagany granatowy stróż porządku chwyta w pół Mahometa. Gwałtowna akcja spowodowała rozsypanie prowiantu. Krzyk sopranowy z wagonu. Mahomet, z wyciągniętemi rękami, zamienił się w drogowskaz.)

. . . .

P. Bańkowska. Masz! przy jego stosunkach chwycili za łeb. I taki cymbał miał być naszym zięciem!

P. Glicerja (płaczliwie). Niech mama tego nie mówi...

P. Bańkowski. Gdybym chociaż zdołał złapać serdelki — oddałbym mu córkę.

(Poczciwi ludziska, nasłuchawszy się o głodowej śmierci, podzielili się swemi zapasami z arystokratyczną rodziną. Konsylijarz, zjadłszy parę funtów twarogu, rozpoczął wykład „o zbawiennym wpływie sera na choroby sercowe.” — Rzeczywiście, p. Glicerja mniej już wspominała Mahometa. Tak dojechano szczęśliwie do Radomska.)

Konduktor. Jeszcze państwo nie pokazywali biletów?

P. Bańkowski. I nie pokażemy — Mahomet zabrał.

Konduktor. Proszę bez żartów.

P. Bańkowska. Ktoby się z panem wdawał w żarty! Powiadam, że Mahomet ma 4 bilety i to wyższej klasy...

Konduktor. Nie znam żadnego Mahometa...

P. Bańkowska. No, ten co gonił pociąg z serdelkami.

Konduktor. Panie zawiadowco, ci państwo są bez biletów i jeszcze pokpiwają sobie...

(Ponieważ nikt z pasażerów nie mógł poświadczyć, że widział bilety. zawiadowca, dla sprawdzenia stanu rzeczy, zatrzymał konsylijarza z rodziną do następnego pociągu.)

P. Bańkowska. Gdybyś pan wiedział z kim masz do czynienia, nie robiłbyś nam takiego wstydu.

Zawiadowca (spoglądając na p. Glicerję.) Jestem w rozpaczy! ale trudno, tak przepisy nakazują... państwo raczą zatrzymać się w sali pasażerskiej, a za 20 minut pociąg nadejdzie.

P. Bańkowska. Tego brakowało! Jesteśmy aresztowani, dzięki stosunkom pana Mahometa! Miotłą wypędzę!

P. Bańkowski. Nie plotłabyś! Aresztowani!.. Są to małe przeciwności zwykle w dalekiej podróży. Napijmy się — albo co.

. . . .

(Wchodzi trzeci pociąg spacerowy na stacyję. Mahomet w powozie klasy drugiej, albo raczej jego nogi, tak całym korpusem wychyla się z wagonu. Zobaczywszy Bańkowskich, macha chustką.)

Mahomet. Victoria! Jesteśmy z koszykiem! teraz podróż jak po maśle — stosunki wszystko robią.

(Zawiadowca przekonawszy się, że bilety w porządku, a klasa trzecia zapełniona, poleca pomieścić interesowanych w klasie drugiej nawet sam damy podsadza, a pannę Glicerję przeprasza, ściskając rączki z pewnym gustem.)

Mahomet. A co? wygodnie w klasie drugiej? Wszystkie przygody znikły już jak... mgła poranna, bo przecież państwo teraz widzicie, że stosunków mi nie brak.

(Do samej Częstochowy nie otwierają koszyka; ale co dziwniejsza, mama nie otwiera ust, albo uproszona przez córkę, albo zagwożdżona gniewem. W Częstochowie około pociągu uwija się zgraja obdartusów, ofiarując się na usługi podróżnych. Jednemu z takich mężów zaufania, Mahomet powierza koszyk, polecając nieść do „Hotelu Portugalskiego.")

P. Bańkowski. Czy pewny jesteś, panie Mahomecie, że dostaniemy dwa numery?

Mahomet. Zamówione od tygodnia w hotelu portugalskim (do stojącego urzędnika.) Za pozwoleniem, pan tu miejscowy?

Urzędnik. Tak, panie.

Mahomet. Nie byłby pan łaskaw objaśnić, gdzie tu hotel portugalski?

Urzędnik. Takiego hotelu nie ma w całej Częstochowie.

Mahomet. Jakto, niema? Mój przyjaciel pomocnik przy najstarszym telegrafiście, podawał depeszę do tego hotelu.

P. Bańkowski. Kiepskie stosunki z Portugaliją! A gdzie chłopak z koszykiem?

Mahomet. Prawda — gdzie koszyk z chłopakiem?

P. Bańkowska. Pewnie prysnął do hotelu portugalskiego.

Mahomet. Znajdę go, chociażby pod ziemią, mam i tu stosunki, ale przedewszystkiem ulokuję państwa w hotelu.

Urzędnik. Niech państwo nie łudzą się nadzieją, nie znajdziecie w całem mieście ani jednego wolnego numeru.

P. Bańkowski. Gdzież przenocujemy?!

Urzędnik. Chyba w izbach wspólnych, bo i prywatne mieszkania, o ile wiem, wszystkie wynajęte.

Mama i Córka. Za nic w świecie! Wracajmy do domu!

Mahomet. Nie tracę nadziei! poruszę niebo i piekło! Czekajcie państwo na stacyi — stosunki wszystko robią.

(Zaledwie upłynęło pięć godzin, powraca Mahomet z faktorem.)

Mahomet. Koszyk jeszcze niewynaleziony, ale nocleg jest.

P. Bańkowska. Oddzielne pokoiki.

Mahomet. Prawie... jest to wielki salon, podzielony prześcieradłami rozwieszonemi na sznurkach. Pomysł doskonały — nieprawda?

P. Bańkowska. I pan śmiesz nam proponować taki nocleg!?

Faktor. Niech pani sama zobaczy. Pokojów aleganckie i tylko trzech panów stoi, bardzo porządne osobe.

Mahomet. Będę całą noc czuwał, jak nad własnym honorem.

P. Bańkowska. Dosyć już tego! ja pana proszę, ażebyś raz na zawsze przestał czuwać nad nami i... poszedł do dyjabła.

(Mahomet nie zastosował się do objawionego życzenia; wracał bowiem do Warszawy pociągiem nocnym, czuwając nad chrapiącą rodziną, która w ciągu doby zrobiwszy 62 mil, jak widzieliśmy *„ubawiła się dobrze."*)

* *Podróż prezentu.*

Pewien wielką wziętość posiadający adwokat dostał w darze od swego klijenta, nadzianego truflami indyka. Indyk wyglądał tak apetycznie, że niejednemu smakoszowi napędziłby ślinkę do ust.

Nasz prawnik wszelako był człowiekiem wyrachowanym, u którego głowa brała przewagę nad żołądkiem, oparł się tedy pokusie i indyka posłał doktorowi, dla którego miał pewne zobowiązania.

Doktór, nie namyślając się długo, ofiarował indyka panu radcy, swemu bardzo bogatemu pacyjentowi.

— Hm — powiedział radca, biorąc szczyptę tabaki ze złotej tabakiery — będę musiał

tego indyka posłać przełożonemu mego syna, ministrowi D. Minister, wielki smakosz, trafię więc w jego słabą stronę i na wdzięczność będę mógł liczyć z pewnością.

Jak powiedział, tak zrobił.

Indyk powędrował do ministra, który po długiej walce z sobą, rzekł:

— Chcę być wielkim, wzniosłym, bohaterskim. Ciotka moja bogata i bezdzietna, baronowa B., ma prawo do największych względów z mej strony. Muszę posłać jej tego indyka, na czem zyskam podwójnie, gdyż nietylko zaskarbię sobie jej łaski, ale i dostanę na obiad zaproszenie.

Na nieszczęście, omylił się w swej rachubie, stara baronowa bowiem miała dług wdzięczności dla swego szwagra i wskutek tego indyk do niego niezwłocznie odesłany został.

Ów szwagier baronowej prowadził właśnie proces o jakąś wielką sumę z krewnymi żony. Chcąc więc podnieść gorliwość adwokata, od którego zręczności zależał mający wkrótce zapaść wyrok, posłał mu w darze indyka.

Traf chciał, że adwokatem tym był znakomity prawnik, który pierwszy dostał w prezencie indyka.

Tak więc w przeciągu kilku godzin indyk odbył długą podróż i spełnił masę zobowiązań i misyi dyplomatycznych.

Poeta.

Ty śpiewak wielki,
Kocham cię, boś podobny także do butelki,
Rozlewasz pieśń, uczuciem, zapałem oddychasz,
Pijem, czujem, a ciebie ubywa — usychasz.

A. Mickiewicz „Dziady" (p. t. I, str. 19).

* *Dzisiejsi poeci.*

Nasi bracia w Apolinie
Dosyć dużo mają werwy,
Tylko szkoda, że w ich rymach
Zamiast uczuć widać nerwy.

* *Skarga milczącego poety.*

Łzy moje cicho płyną bez jęku,
Wola, rozpaczy krzyk zdławi,
Pierś żałosnego nie wyda dźwięku,
Chociaż się serce w niej krwawi.
Potrafię ująć w milczenie grobu
Trosk moich i smutków światy,
Los mnie nauczył tego sposobu
Albowiem jestem... żonaty.

* *Na zbiór wierszy różnych poetów.*

Jakież tu wieszczów mnóstwo niesłychane:
Laury i chwasty obok siebie wzrosły.
Wszystko jak w Arce Noego zmięszane.
Ludzie i osły!

* *Podział ziemi.*

(Bardzo wolny przekład z Szyllera.)

— Weźcie ten świat — rzekł Jowisz — na ko- [lendę
Daję go wam (nie jest to kąsek zły),
Lecz gdy będziecie robili dywidendę,
Nie kłóćcie się, nie drzyjcie się za łby.

Więc kto miał, wóz i ręce do chwytania,
Przybiega w cwał i łapie co się da:
Ten tłuste woły do swej obory zgania,
Ów rąbie las i każe spławiać drwa.

Kupczyki wraz chwycili za kantorki
Opaci wina zabrali beczek sto,
Siłacze ziemi wszystko pakują w worki
I jeszcze chcą, aby im płacić cło.

Zapóźno już choć z żądzą też nie małą
Przybiega wieszcz, co w jakiejś knajpie spał,
Lecz cóż ma zabrać, gdy nic się nie zostało;
Więc włosy rwie i w dziki wpada szał.

„O biada mi! gdy każdy już bogaty,
Jam jest jak bicz — nie dla mnie żaden łup,—
Natożem w szkołach odbierał tęgie baty
I mizdrzył się i w górę nosił czub?!!!

— Paniczu mój — rzekł Jowisz — coś nie tę- [go

Z waszecią jest. — Gdzieś był, gdym dzielił
[świat?
Co widzę teraz? — ty płaczesz niedołęgo,
Czegożeś wciąż spał tylko, pił i jadł?

— Złagodź Twój gniew, potężny Jupiterze!
Wyjąkał wieszcz — prawda, żem zdrzemnął
[się,
Lecz kto pół porcyi spożywa na wieczerzę,
Wzmocnienia sił poszukać musi w śnie.

— Ha, cóż mam rzec? lecz gdym rozdał świat
[cały,
A w głowie twej rozumu ani krzty,
Pozwalam, abyś drukując madrygały
Łupił za wiersz kopiejek srebrem trzy.

* *Z dziennika poety.*

Było zdrowie, była młodość i grosiwa trocha,
Lecz to wszystko nadszarpnęła jedna nimfa
[płocha;
Jak lew szuka, coby pożarł, ja szukałem guza,
A co Nimfa nie zabrała, wzięła znowu Muza,
Pomagały jej w tem czynnie najpiękniejsze
[Gracyje,
Gdyśmy mieli majóweczki pyszne i kolacyje.
Hej, czas leci jako woda, ale wstecz nie pły-
[nie,
A kto mieczem zwykł wojować — ten od mie-
[cza zginie,
Więc zbiedzony ja mizerak z wyłysiałą pałką,
Chcąc się jeszcze poratować, wziąłem ślub
[z Rusałką,
Ma Rusałka, wiejskie dziecię, ma wioskę bo-
[gatą,
Lecz po Nimfach, Gracyjach, Muzach, jest
[Madonną za to.

* *Bogactwo poety.*

Z pałaców stereczących dumnie
Znijdź, piękna, do mojej chatki;
Tylko zabierz swe manatki,
Bo hołotę znajdziesz u mnie.
Święte pustki wszędzie, wszędzie,
Ale nie marz nic o chlebie,
Bo kochanek wierny ciebie
Czułościami karmić będzie.
Z rana ci wianek uplotę,
Na obiad dam szmer strumyka,
Na wieczerzę śpiew słowika,
A na noc marzenia złote.
A gdy cię dumanie czyste
W niebieskie sfery uniesie,
Przez otwory w mojej strzesie
Obaczysz niebo gwiaździste!

Syrokomla. (p. t. I, str. 128.)

Poezyja przeszłości.

Szlachta uczona była na Alwarze
Przypadkowania i strachu herezyi —
Przez ludzi, którzy nie patrzyli w twarze,
Ale na nogi; a zaś dla poezyi
Pisali złote i srebrne ołtarze,
Podobne pięknym balladom Świtezi
Lub Dziadów... w których spotykał wyrostka
Nie Gustaw — lecz Jan Kapistran, lub Kost-
[ka;
Z kobiet zaś święta Tima lub Agnieszka;
Z kleszczami, które rwą zęby.—Do róży
Poezyi trudna bardzo była ścieżka;
Dla tego nikt nie przedsiębrał podróży.
Szlachcic, co w domku pod lipami miesz-
[ka
I Panu Bogu czasem szablą służy,
A czasem rąbał łeb przy trybunale —
Że poetycznym był... nie wiedział wcale.

J. Słowacki (p. t. I, str. 87).

Pogodny.

Kiedy niebo jest pogodne, wygląda niebiesko, dla tego też czeladnicy nazywają dzień, w którym wytrzeźwieją po niedzielnej hulance, Blaumontagiem, to jest niebieskim poniedziałkiem. Tłomaczy się ta nazwa dokładniej tem, że mają przez kilkanaście godzin wzrok zamroczony. Wesołe, pogodne twarze można czasem spotkać pod błękitnem niebem wiejskiej samotni, albo u... spokojnych waryjatów w domu obłąkanych...

Pogrzeb.

. . . . Gdy się tedy ruszą konie z trumną
Pocznie ryczeć nie płakać złośna białogłowa,
Lament jakiś zmyślając fałszywy i słowa.
O mdłość oraz nie trudno, zwłaszcza gdy kto
[widzi,
Bo jako z męża swego, tak i z innych szydzi.
Cebula w chustce pędzi gwałtem wyciśnione
Łzy z oczu, wtenczas gdy im każą wypusz
[czone,
Za ciałem idąc ryczy, woła: o mój drogi
Mężu! Lecz w sercu drugi. Kędy i fałsz srogi
Szepcze do panien swoich: Panny przez mą
[duszę
Miejcie wódkę gotową, bo mdleć pewnie mu-
[szę!
A panny tudzież z wódką, której gdy nachyli
Nie dziw, że oraz rozum, oraz chód pomyli.

—o—

I tobie też niemłodko młodego potrzeba?
Rachując kilku synów i córeczek kilka.
Nic to, trzeba się udać i miłość zmyśloną
Ku mężowi zmarłemu pokazać dla ludzi.
Tymciby gachów zwabić aby nawiedzali
Ciało, więc nie wiem zmarłe, czy też raczej
[żywe.
Których jejmość na łóżku czeka w zasłonionej
Nie cale jednak izbie, aby przez konopną
Kratkę mogła przypatrzyć każdemu,
Co żywo tedy jedzie nawiedzać to ciało,
Jedzą, piją i goście i księża i mniszy,
Duszyczkę polewając, która się tam kędyś
Smaży dla onych zbytków.

K. Opaliński.

Pogrzeb aktora.

Chowano go wesoło — nie dziwota!
Aktorem był, motłochu bawicielem...
Pomnę jak dziś, pogoda była złota,
Czerwiec się śmiał rozkoszą i weselem...

Aktorki szły z krochmalnych sukien szumem,
Cukierki ssąc malowanemi usty;
„Patrzcie, to ta — szeptano między tłumem —
Co role gra bohaterek rozpusty...”

Kochanek miał balowe rękawiczki,
I w stronę dam spoglądał *amoroso*;
Jak stado mew dreptały baletniczki,
A tragik szedł z majestatyczną grozą.

Musiał się śmiać, kto spojrzał na komika,
Co krzywił twarz, pragnąc wyglądać czule;
Wesoło też przygrywała muzyka
Marsza, co był żałobnym na tytule.

Szedł liczny tłum, lecz tylko... zbierać wzorki;
Każdy był rad zobaczyć rzecz niezwykłą:
Aktorów w dzień oraz umyte aktorki,
Z których lic fałsz i malowidło znikło.

Krytyki głos wznosił się nieustannie,
Histrjonów ród srogą chłoszcząc oceną;
Dziwił się ktoś pewnej scenicznej pannie,
Że babki grać mogłaby po za sceną...

„Ach, patrz-no, patrz! jaki ten amant brzydki!”
Mówiła gęś, trącając swą sąsiadkę;
Sądzono też choreografa łydki,
Czuprynę lwa, salonowca krawatkę...

Wśród śmiechu, drwin, muzyki i konceptów,
Wstrzymał się wóz przed drzwiami cmentarne-
[mi;
Niedługo trwał chór modlitewnych szeptów,
Ozwał się śpiew — ciało rzucono ziemi.

Nie płakał nikt (prócz kilku brzóz nadgro-
[bnych);
Reżyser klął, zwołując panów, damy,
I krzyczał w głos, już bez wzdychań żałobnych
Powracać czas! o siódmej zaczynamy!”

Gdym został sam, z motłochu martwym sługą,
Przyszła mi myśl, iż śmieszna to rzecz — czło-
[wiek;
I śmiałem się tak długo, ach! tak długo...
Aż gorzkie łzy pociekły mi z pod powiek.

* *Na pogrzebie.*

— Czy uważasz, jaka to przecudna melodja tego requiem. Jakie to wzruszające, rzewne, a zarazem wielkie....

— Prawda, melodja cudowna, ale libretto, nieszczególne.

Pogróżka.

Oj! patrzała, wyglądała,
Niema tego, co kochała!
Czy on pierwszy przebrał miarku,
Czy już skręcił głowę z karku,
Czy już nie chce zleść iz pieca,
Czy do drugiej się zaleca,
Czy już jaka w tem przyczyna,
Że on o mnie zapomina?

Nie daruję ci, bałwanie,
Żeś zapomniał me kochanie,
Kiedy rzuca, to niech rzuca!
Bo jak wróci, to dam kuca,
I wyłamię pałkę z płota,
I przepędzę aż za wrota;
Bo on wedle mego zdania,
Nie wart na psy do kochania!

Syrokomla. (p. t. I, str. 128.)

Pojedynek.

(Okropne a prawdziwe zdarzenie.)

Było to... eh, mniejsza o to, kiedy było... dosyć, iż w czasach woni i kwiatów, miłości i nadziei, zapału i odwagi posuniętej do zuchwalstwa, wesołości i pustoty: jednem słowem, było to w czasach najszczęśliwszych dla każdego młodziana, w przecudownych czasach życia uniwersyteckiego.

Właśnie co tylko zaszło słońce wykładów prelekcyjnych. Profesorowie, odbywszy egzamina półroczne, jeszcze podówczas będące w zwyczaju, zniknęli z horyzontu codziennego. Rector magnificus wyjechał do Krzeszowic z larami i penatami, pedele rozpoczęli na dobre wojnę ze swojemi połowicami, do czego zwykle podczas wykładów czasu nie mają, a my zebraliśmy się na walną naradę, jak przepędzić czas dwumiesięcznej swobody.

Jeśli powiadam: my, to nierozumiem wcale pod tem wyrażeniem trzystu kilkudziesięciu uczniów, zapełniających uniwersytet krakowski. Przecież na uniwersytetach są wydziały, na wydziałach lata, a więc „my" odnosi się tutaj do skromnej gromadki kilkunastu kolegów, zapełniających pierwszy rok wydziału lekarskiego.

Narada była w pełni, to jest w największym swarze i niezgodzie. Jedni chcieli udać się w Tatry, inni widzieć prześliczne okolice Krzeszowic, Czerny, Alwerni i Mnikowa, inni wreszcie zrobić uroczą wycieczkę w głębie puszczy Niepołomskiej, ten był za lasami sądeckiemi, ów za Spiżem, słowem, dwóch prawie nie znalazło się, coby się zgodzili na jedno.

W najgorętszej chwili wpada Michał, a wziąwszy mnie i Janka na bok, rzecze:

— Słuchajcie, przyszły konie z pod Chrzanowa od pani J., jadę i was zabieram z sobą.

Wiadomość ta rozpromieniła nasz humor, gdyż dom pani J. był najweselszym i najgościnniejszym na pięć mil w około. Przyjęliśmy z zapałem propozycyję, tembardziej, że kuzyneczki pani J. były prześliczne jak anioł, mądre jak Minerwo, wesołe jak Momus, a dowcipne jak Safir. Wymknąwszy się tedy cichaczem z wielkiej narady, siedliśmy na małą bryczkę i pełni najcudowniejszych marzeń, w godzinę potem opuściliśmy Kraków.

Do majętności pani J. było przeszło mil cztery. Spieszyło się nam bardzo, ale i tak podróż odbywała się po studencku. Gdzie tylko lasek lub wzgórek, stój i wysiadaj. Tam pod pozorem cienia, tu dla oszczędzenia koniom fatygi, wędrowało się pieszo pośród rozmów i chichotania i wyjechawszy z Krakowa o dziesiątej z rana, stanęliśmy dopiero o czwartej popołudniu na miejscu.

Służba wskazała nam natychmiast pokoje gościnne. Panie były w ogrodzie. Trzeba się

przebrać jak najprędzej, gdyż każdej minutki szkoda. Dopieroż rwetes; ten oczyszcza suknie, tamten myje się i pluska jak sum, ja wydobywam bieliznę, wszystko z rąk leci, krawatka nie chce się dopiąć, owdzie brakuje guziczka, a pośpiech szalony jeszcze powiększa nieład, a wszystkiego co przyczyną? Oto trzy pary oczu, ale jakich oczu!... za takiemi gotówby człowiek rzucić się w... objęcia ich właścicielek.

Zanim się ubierzemy, pozostaje maleńka chwilka czasu do określenia trzech wiejskich czarodziejek.

Panna Róża ma lat ośmnaście, wzrost średni, oko niebieskie, cerę przejrzystą, a włosy kalifornijskie, to jest przepysznie złote, bynajmniej jednak nie wpadające w odcień rudawy. Na jej wdzięcznem obliczu błąka się wyraz tęsknoty, uśmiech jej nawet ma w sobie coś tęsknego, to nasza marzycielka.

Panna Zofija, jak niebo do ziemi niepodobna do swej kuzynki. Tu płeć śniadawa, lica płoną tak cudnym szkarłatem, wybiegającym co chwila na świeżuchne jagody, że aż serce pomieścić się nie może w swojej ciasnej klateczce, gdy ten szkarłat zakwitnie. Włos kruczy, wpadający w odcień niebieskawy, bujnie bogaty, wzrost niezbyt wielki, rączka, nóżka maciupeńka, nosek — wzór zgrabności. Oto jest nasza śmieszka. Zapomniałem powiedzieć, że Zosia ma tak ogniste czarne oczy, iż od nich rozchorować się można.

Nakoniec panna Jadwiga w każdym względzie pośredniczy pomiędzy dwiema kuzynkami, tak wzrostem, jak i nastrojem ducha: nie biała, nie czarna, nie blondynka, nie brunetka, nie śmieszka, nie marzycielka. Rysy jej nie przedstawiały nic tak wybitnego, aby im cały rozdział poświęcać było można, lecz wdziękiem silnie pociągały ku sobie, a jak kto już raz w nich utonął, to trzepotał się i trzepotał jak ptaszę na lep schwycone, o uwolnieniu ani myśleć. Co zaś było najniebezpieczniejszem w tej tak łagodnej z pozoru twarzy, to dwa dołeczki około ust. O, w takich dołkach można być żywcem pogrzebanym.

Otóż rozgadałem się o dziewczkach, a tu obadwaj koledzy ubrani oddawna, sypią na mnie za to gradem wymówek:

— Służę wam, moi panowie! baczność! bo nieprzyjaciel blizko.

Szliśmy przez ogród zwolna, dla powagi, ale jeden nad drugiego kroki rozciągał, by, jaknajprędzej stanąć u celu. Każdemu grzesznikowi spieszy się do piekła. Piekłem Michasia była panna Róża, piekłem Janka panna Zofija, a mojem... wszystkie trzy razem.

W altanie, pod liściastem sklepieniem dzikiego winogradu, zdobnem w deseniki białych, rozmaicie pasowanych powoi, zastaliśmy zebrane towarzystwo, wedle wiejskiego zwyczaju, u kawy. Ponieważ dzień był powszedni, panie pracowały. Pani J. robiła nieporównaną pończoszkę; zarzucono ją, dzisiaj, nazywając zatrudnieniem dam niemieckich, lecz bardzo niesłusznie, bo piękne paluszki, a maleńka rączka najcudowniej przedstawić się może przy szybkiem poruszaniu drutów.

Panna Róża pracowała szydełkiem, panna Zofija układała bukiet, a panna Jadwiga poziewała. Słowem, żadna nie próżnowała chwilki.

I jakże panna Jadwiga nie miała poziewać, kiedy obok niej siedział brzydki jak dyjabeł, nudny jak lukrecyja, a rozumny jak Dardanelczyk, pan komisarz od finanzwachów.

Krótki, gruby, opasły, pękaty, twarz okrągła, jak księżyc w pełni, powabną barwą buraka hojnie okraszona, nos perkowaty, oczy wyłupiaste, włos twardy, jak szczecina; a wąsy: wąsy. Trzy włosy pięcioma rzędami.

Pan komisarz był znakomicie zarozumiałym o swoich wdziękach i dowcipie. Niegdyś służył wojskowo, ale w długim pokoju laury nie mogły na tej pięknej głowie zakwitnąć. Nierad był, gdy go wołano po za urzędem po nazwisku, gdyż miał sromotne, więc w miejsce jego używał herbowego przydomku: *von*

Streitaxt. Z rodziców niemieckich, urodził się w Galicyi, więc też, wedle potrzeby, na wzór nietoperza w bajce, przyznawał się do tej lub owej narodowości, a to odpowiednio do tego, która była górą. Ciemno-zielony mundur z jasno-zielonym kołnierzem, trzema gwiazdkami zdobnym, zdaleka już wieścił godność i rangę *von Streitaxta.* Ogromna szablica dyndała się u boku, a przebywając dziedziniec, widzieliśmy białego rosynanta, nieodstępną połowicę naszego bohatera.

Pan komisarz finanzwachów miał słabość do koni, a szczególną do owego siwka. Z początku nazywał go „Schimmlem", lecz gdy raz, ścigając się z jednym z obywateli sąsiedzkich, pierwszy dopadł szczytu góry, dźwigającego lipowiecki zamek, nazwał z angielska „Peak" zwycięzkiego rumaka i nie oddałby go ani za lady „New-Market", ani za „Child Herolda", ani nawet za samego „Flyjnga", wyjąwszy, gdyby na tem mógł dobry zrobić interes.

— A... witam panów — zawołała pani J., podając nam rękę. — Dobrze zrobiłeś, Michasiu, że przywiozłeś kolegów, pomogą nam się nudzić na wsi.

— Kochana cિociu — rzekł Michał — jako lekarze z powołania, zrobimy konsylijum i zapobieżemy tej epidemii.

— Pan Jan O... pan Kazimierz G...— rzekła, przedstawiając nas pękatemu Celadonowi — a to pan komisarz Schwe... to jest... von *Streitaxt* panie dobrodzieju.

— Franciszek, Ferdynand, Leopold von Streitaxt — zawołał naczelnik finanzwachów, dźwigając swój kadłubek i kłaniając się po wojskowemu.

— Bardzo wiele słyszałem o panu komisarzu — rzekł poważnie Jan.

— A gdzie, panie dobrodzieju?

— Wszędzie: w Krakowie, we Lwowie, w Wiedniu, w Pradze, w Grazu, w Linzu, Peszcie i Grosswardeinie.

— Byłem tedy z regimentem, bo służyłem przy infanteryi — panie dobrodzieju.

— Słyszałem, słyszałem, że pan dobrodziej był majorem.

— O nie, panie — odpowiedział kłamiąc exinfanterzysta — byłem tylko kapitanem.

— To pana oczernił kolega, powiadając, żeś się dosłużył tylko stopnia porucznika — zawołałem.

Von Streitaxt zaczerwienił się po uszy, lecz udając, że nie słyszy, odwrócił się do Jana i rzekł:

— Dobrze, że panowie konsyljarze przyjechali, gdyż własnie mamy tu małą kontrowersyję z panią dobrodziką o magnetisirowanie. Pani dobrodzika wierzy, że można kurować magnetisirowaniem, a ja mam śmiałość trzymać przeciwnie, gdyż sztudirowałem różne medikamentowe książki i sam byłbym został konsyljarzem, ale mnie asentirowali i dla tego musiałem się przetranzlokować do innego fachu, panie dobrodzieju.

— Więc pan dobrodziej nie wierzysz w magnetyzm zwierzęcy? — zapytałem.

— Ja za to nie mogę, że to kontruje z mojem przekonaniem, że żelazo ciągnie magnes, to jest, że magnes żelazo... to jest niby obydwa ciągną siebie do siebie, to już recht, ale żeby człowiek człowieka, to mi jakoś nie zdawało się.

— A jednakże pan dobrodziej musiałeś choć raz w życiu doznać miłości, która niczem innem nie jest, jak tego rodzaju magnetyzmem.

Von Streitaxt oblał się tak purpurą, że na nosie wystąpiły mu przecudnie kameryzowane rubiny.

— Może to być... że egzystuje, ale ja choć raz chciałbym eksperyment widzieć—odrzekł, jąkając się...

— Bardzo się cieszę, że pana dobrodzieja natychmiast przekonam o potędze magnetyzmu zwierzęcego. Mój kolega — dodałem, wskazując na Michała — oddał się wyłącznie tego rodzaju lekarnictwu i może pana przekonać.

— A czy już magnetizirował kogo? — zagadnął von Streitaxt.

— O, zapewne niejedną osobę — odezwał się Janek — niech go pan tylko poprosi, a uśpi pana w przeciągu kilku minut.

— Ja nie mam śmiałości, bo nie jestem dobrze znajomy, ale żeby panowie mieli tę dobroć.

— Natychmiast: Michale! Michasiu! Michciu! Michał! — wołałem coraz głośniej, chcąc go wyrwać z pod czaru wdzięków panny Róży.

— Cóż takiego? — odezwał się, nie oglądając.

— Pan... pan... von...

— Schimmelpik — podszepnęła Zosia.

— Bardzo reflektuję — zawołał z gniewem rozczerwieniony finans — nie nazywam się wcale Schimmelpik, ale Schweinfleisch von Streitaxt; to tylko mój Schimmel nazywa się pik, a ja, z reszpektem pani dobrodziki przecie nie koń.

— Przepraszam, nie wiedziałam o tem. zdawało mi się. A więc pan Schwein...

— Ja się mianuję poprostu von Streitaxt.

— A zatem pan von Streitaxt ma do ciebie prośbę, Michale.

Michał śmiejąc się do rozpuku z naszego sporu, zapytał o co idzie; w kilku wyrazach opowiedziałem mu rzecz całą.

— A więc pan nie wierzysz w magnetyzm zwierzęcy? — wrzasnął Michał, załamując ręce — w ten potężny motor olbrzymiej dźwigni, stanowiący przyszłość terapii transcedentalnej i uderzający zarówno obuchem przekonania tak w przeniewierczą rodoci allopatyją, jako i w problematyczną homeopatyją?! pan jeden zaprzeczasz temu, co Gon czasu zdobył na polu ducha i wysnuwszy z potęgi jaźni na barkach wsparł wszechwiedzy!

Biedny Streitaxt von Schimmelpik rozczerwienił się do reszty i bełkotał niezrozumiałe słowa, bo też ani słowa nie zrozumiał z przemowy figlarza.

— Która z pań raczy zostać medyjum magnetycznem do wywołania objawu metafizycznego? — zapytał Michał.

— Ja! ja! ja! — wołały wszystkie trzy panny.

— Panna Róża, jako nerwowo wykształcona, raczy przyjąć na siebie prądy magnetyczne, potrzeba jednakże, żeby się znalazł jaki pośrednik, którywy zmniejszył zbyt silne działanie prądu magnetycznego, mogącego zaszkodzić zdrowiu.

— Któż powinien być pośrednikiem? — zapytałem.

— Mężczyzna silny i zdrowy.

— A więc ja ci służę — odrzekłem.

— Cha! cha! cha! — rozśmiał się na całe gardło Michał — ty nie możesz wcale służyć za pośrednika, bo przyznaj, że wcale nie wyglądasz na mężczyznę.

— A więc ja — odezwał się Janek.

— Ty jesteś za szczupły.

— A ja? — zagadnął Schweinfleisch Schimmelpik von Streitaxt.

— Pan byłbyś wybornym pośrednikiem. Za pozwoleniem, a wiele lat sobie liczysz?

— Trzydzieści dwa roki — wybełkotał zaczerwieniony adonis, usiłując dziesiątek lat schować zręcznie w kieszeni.

— Cudownie — odrzekł Michał — wiek siły, woli i energii. Pozwólcie państwo, abym przyniósł potrzebne aparata.

Oczekiwaliśmy z niecierpliwością, lecz w milczeniu powrotu Michała, nakoniec ukazał się z dwoma półmiskami w ręku.

— Co to znaczy? — zapytała pani J.

— To magnesofory — odpowiedział poważnie Michał.

— Na miłość boską — szepnęła mu do ucha — nie zrób jakiej niedorzeczności, wiesz, że Schimmelpik jest mściwy, mógłby mi zaszkodzić.

— Niech się ciocia nie lęka — odmruknął, a potem zwróciwszy się do finansa, zawołał:

— Patrz pan pilnie mi w oczy i co ja robię powtarzaj literalnie, bez najmniejszej

zmiany; pani zaś — dodał, odwracając się do Jadwigi — niech będzie łaskawa pilnie patrzeć na pana Schim... Schw... von Streitaxta i nie spuszczać ani na chwilę z niego oczu, a tem bardziej nie śmiać się, gdyż to wpływ magnetyzmu psuje. A państwo zachowajcie uroczyste milczenie.

I podawszy w lewą rękę Schimmelpikowi półmisek jeden, wziął także w lewą drugi, usiadł naprzeciw niego i powiódłszy wskazującym i średnim palcem po spodzie półmiska na płask trzymanego, przytknął je sobie nad brwiami.

Pośrednik to samo uczynił, a natychmiast nad każdą brwią jego ukazała się plama czarna, jak sadze.

Następnie Michał wskazującym palcem pociągnąwszy pod dnem półmiska, pociągnął nim po nosie. I nos pana Schimmelpika zyskał w pośrodku pas czarny, nader ozdobnie dzielący go na dwie części.

Jeszcze kilka poruszeń, a twarz zacnego von Streitaxta pokryły plamy i pasy rozmaitego kształtu, gdyż półmisek, który trzymał w ręku, był pod spodem okopcony nad płomieniem smolnego drzewa. Nagle towarzystwo całe szalonym wybuchnęło śmiechem. Wszystkich oczy skierowały się w jeden punkt, w księżycowatą twarz pośrednika. Dowódca straży finansowej zerwał się z krzesła, jak oparzony i krzyknął z przerażenia, mniemając może, że szatan usiadł mu na głowie.

— Co to jest? *Um Gottes Willen, was ist den das?* — zawołał.

Nikt nie mógł odpowiedzieć, bo wszyscy śmiali się szalenie, gdy wtem pani J. obrażona na Michała za posunięcie za daleko żartu, zawołała:

— Przebacz pan, panie Schweinfleisch, ale ja wcale nie wiedziałam, że Michał będzie tak niegrzecznym. Bardzo przepraszam...

— Co takiego? *Was denn?* — wołał zrozpaczony utatuowany Schimmelpik.

Wtem panna Jadwiga z figlarną Rózią przystąpiły ku niemu, a otarłszy przecudne oczęta z łez, wyciśniętych serdecznym śmiechem, wzięły nieszczęsną ofiarę pod pachy i zaprowadziły do salonu, prosto do zwierciadła.

Schimmelpik odszedł od przytomności, taka go wściekłość porwała.

— *Himmel kreuz donnerwetter!* sakramencki szpicbub, ja jego nauczę! ja go zabiję! *Donnerwetter noch einmal.*

— Pamiętaj pan, że tu są damy — rzekł nadchodzący Michał — jeżeli pan czujesz się być pokrzywdzonym, to proszę się rozmówić z którym z moich kolegów, a tymczasem lepiej idź pan się umyć.

Schimmelpik wyleciał jak bomba, zabawił chwilę w kuchni, a potem dopadłszy Schimmelpika, pocwałował na nim do miasta, nie żegnając się wcale z damami.

Na drugi dzień przyszedł Aufseher od finanzwachów i doręczył Michałowi list następnej treści:

Mein Herr!

„Sie haben mich in Gegenwart von Damen blamirt, diese fordert Satisfaktion. Bestimmen Sie die Waffe, Ort und Zeit, und ich komme! Ihren geehrten Collegen Kasimir, erbitte ich als meinen Sekundanten; wählen Sie den Ihrigen. Bitte um Diskretion."

F. F. L. Schweinfleisch von Streitaxt.

Michał, przeczytawszy list, rzekł do Aufsehera:

— Powiedz pan, że dobrze.

— Cóż myślisz robić? — zapytałem.

— A cóż — odpowiedział Michał — przyjmuję broń, pistolety, miejsce, lasek pod Kościelcem, czas... czas...

— Dziesiąta z rana — zawołał Janek — nikt się nie domyśli, wybierzemy się na polowanie niby i cała sprawa załatwi się szybko.

— Czy myślisz naprawdę strzelać się? — zapytałem Michała.

— Rzecz prosta, że nie na żart, wyzwał,

więc nie ma o czem mówić. Janek będzie moim sekundantem.

Michał rozpalił się jak siarka, nie można mu było perswadować; opuściłem go i zabrawszy Janka pod pozorem naradzenia się nad warunkami pojedynku, wyszedłem z nim na ogród.

Skutkiem narady, nazajutrz o świcie, uprzedziwszy panią J., że mnie interes powołuje do miasta, wybrałem się z domu.

Przybywszy do miasta, udałem się do apteki, gdzie miałem znajomego prowizora. Powierzyłem mu całą sprawę.

— Słuchaj — rzekł do mnie, tu nie ma o czem naprędce mówić, ale przyprowadź Schimmelpika, a naradzimy się wspólnie, aby do pojedynku nie przyszło.

Von Streitaxt już nie spał. Z okazałej fizyjognomii znikł wczorajszy rumieniec, bladość ją okryła, a pod oczyma widać było czarną obwódkę.

— Dzień dobry! — rzekłem, wchodząc.

— *Grüss dich Gott! servus!* — odrzekł. — No i cóż, panie dobrodzieju.

Wymieniłem mu warunki pojedynku.

— Sakramencka głupość! —zawołał Schimmelpik. — Ja nie mam strachu, ale czy potrzebował robić taki szpektakel, żebym ja musiał z takowym gelbschnablem duelirować. Ja nie mam strachu, ale on musi mieć sakramencki, bo czy to takowy civil zna, jak wziąć pistol do garści.

— Michał z pistoletu o dwadzieścia kroków rozbija śliwkę kulą.

— Eh, pan dobrodziej szpasuje — rzekł von Streitaxt, pobladłszy mocniej — ja, prawda, nie był w żadnym feldzugu, ale na mustrunku i do scheiby dosyć dałem schussów, ale co to pistol, to je żadna broń.

— Czyżby nie można zakończyć pojedynku zgodą?

— To jest trudno, bardzo trudno; on nie będzie chciał mnie przy damach przeprosić; a ja się żeniruję tam pojechać, gdzie mnie tak zblamował.

— Pójdźmy na śniadanko — rzekłem — może się coś na to poradzi.

— Jabym sam wolał, żeby to jakoś nie przyszło, ale teraz to już trudno, och, taka młoda głupość.

W handlu korzennym zastaliśmy już prowizora Sylwerka; nie dał on poznać, że się poprzednio ze mną widział. Przywitał się grzecznie, a potem zaprosił na szklaneczkę porteru.

Zjedliśmy parę śledzi i wypili po lampeczce porteru, lecz nie znalazł się sposób zakończenia sprawy zgodnie.

Sylwery odprowadził nas aż na kraniec miasta. W kwadrans później stanęliśmy na oznaczonem miejscu. Ciągniono losy, czyje pistolety będą użyte, wypadło na Schimmelpika.

Janek odmierzył pole, poczem nabiliśmy pistolety.

Przeciwnicy, oddaleni od siebie o trzydzieści kroków, za uderzeniem w dłonie mieli iść ku sobie, każdy dziesięć kroków naprzód i strzelać, kiedy który zechce.

Nabiliśmy z Jankiem pistolety, a pojedynkujący znów je losem podzielili między siebie.

Po chwili stali na mecie.

Równocześnie daliśmy znak.

Pojedynkujący ruszyli naprzód. Schimmelpik, uszedłszy zaledwie pięć kroków, palnął. Michał szedł wciąż naprzód i mierzył, mierzył, a twarz Streitaxta bledniała coraz bardziej, zachwiał się, a potem z krzykiem umknął w krzaki.

— Co się to znaczy? — zawołaliśmy zdziwieni wraz z Jankiem.

— To znaczy, że stchórzył — odrzekł Michał — trzeba strzelić w powietrze.

I strzelił.

W minutę potem Schimmelpik wybiegł z gęstwiny i zawołał:

— To jest nic... proszem pokornie jeszcze raz strzelić, ja nie miałem strachu, ale... tylko tak... byłem słaby.

Perswadowaliśmy, że już dali dosyć do-

wodów swej odwagi, lecz Schimmelpik uparł się i żądał koniecznie, aby Michał do niego strzelił. Nabiliśmy pistolety powtórnie.

Obadwaj stanęli na mecie, lecz zaledwie pośpieszyłem klasnąć, a von Streitaxt znowu zniknął w gęstwinie.

I znów po chwili wrócił, prosząc o strzał powtórny.

Zamiast tego, Michał podał mu rękę i przepraszał za żart wczorajszy, bo mu się szczerze żal biedaka zrobiło.

Schimmelpik przyjął chętnie podaną rękę, lecz nie mógł odpowiedzieć, tylko krzywił się tak szkaradnie, że musiałem skoczyć do Kościelca, nająć furmana i odwieźć go do miasteczka.

Biedak przez trzy dni z miejsca się nie ruszył.

Michał był szczęśliwy z tryumfu i śmiał się z pogromionego von Streitaxta.

Obadwaj z Jankiem śmieliśmy się z wypadku Schimmelpika i przechwałek Michała, gdyż nie chcąc, aby z tak błahej przyczyny przyszło do krwi rozlewu, nabijaliśmy pistolety samym prochem, chowając zręcznie kule do kieszeni.

A z nas wszystkich czterech najbardziej śmiał się Sylwery, aptekarz, ten sam, co nas zaprosił z Schimmelpikiem na porter.

Dla czego? Domyślcie się.

Wł. L. Anczyc.

* *O dwu, co się na rękę wyzwali.*

Polak z włochem w Wenecyjej na rękę się wyzwali i dali sobie godzinę i plac, gdzie się mieli znieść. Włoch, co się zdał być mężniejszy, i co na rękę wyzwał, skoro ona godzina przyszła, stał na placu, czekając go, a Polak we dwie godzinie przyszedł. Oni, co z włochem przyszli i czekali, imą mu mówić, że nie rychło przyszedł, już ten od dwu godzin czeka, znać, że się podobno boisz? A on śmiele na to: „Jako, boję się, nie to mi mieszkało, ale żem swoje rzeczy układał i do barki nosił, abowiem skoro go zabiję, starałem się, abym już miał gotowe zaraz precz odjechać.” Oną swoją powieścią tak onego włocha zatrwożył, że się zaraz tamże pojednali. Nie darmo Ruś mówi: „Nie wsio horoszem, inszoja rozumem”, a nasi polacy:

Nie zawsze też na plac z głową,
Możesz li odprawić mową.

* *Ja nie wiem — ale być może.*

Ten temu rzekł: jesteś cielę.
A tem mu: barania głowa.
Ruszyli się przyjaciele,
Gwałtu! sprawa honorowa!
Pojedynek!.. naturalnie.
Poszli. Gdzie? jak? o to mniejsza.
Mniejsza również, kto tam palnie
Kogo w łeb i razy ile;
To jednak rzecz szczególniejsza,
Że obie strony, niestety!
Nie pomyślały na chwilę,
Czy też owe epitety
Nie są na miejscu, broń Boże!
Ja nie wiem — ale być może.

M. Rodoć. (p. t. I, str. 125.)

* *Cóż to? masz mieć pojedynek?*

— Cóż to, masz mieć pojedynek?
— A tak, z Edmundem na szpady!
Nie dam robić z siebie drwinek!
Jak wiesz, jadamy obiady
Pod „Capem”. Wczoraj on pudla,
A ja mam z sobą buldoga,
On bierze kawałek strudla,
A ja kawałek pieroga,
I kładziemy im na nosie,
A no, który dłużej strzyma?
Jego pudel nie był w sztosie,
Bo tylko błysnął oczyma,
Klap! i strudel mu już w pysku.
Mój buldog stoi z pierogiem,
Jak żołnierz na stanowisku,
Wszyscy w śmiech! On go batogiem!
Pies w nogi! Powstała sprzeczka,
Pudel wierny, buldog wyje,

Słowa sypią się jak sieczka,
On gada, że mi da kije,
Że jestem osłem, cymbałem,
Że skórę z mego psa złupi...
No, ale i ja gadałem!
— Idź — rzekłem — idź, jesteś głupi,
Niech ci kto rozum zaszczepi,
Co, czy nieprawda mój drogi?
Nie można powiedzieć lepiej?
— Można, ale w liczbie mnogiej.

M. Rodoć. (p. t. I, str. 125.)

* *Awantura pojedynkowa.*

O! rycerskie co się zowie,
Ma tradycyje nasza młodzież...
Z pojedynku zapaśnicy
Poranili srodze — odzież.

Ba, nie koniec nawet na tem,
Jeden walcząc zbyt zawzięcie,
Tak narażał swoją skórę,
Że i na niej dostał cięcie.

Omdlał tedy, w strasznej trwodze
Sądząc, że już jest zabity —
Na dorożce go do domu
Wiozły jego satelity.

Trupia bladość lic młodzieńczych
Wcale nie dziw, że przeraża...
W utrapieniu swem rodzice
Posyłają po lekarza.

— „Ach nieszczęście! Ratuj syna,
Nasz przezacny eskulapie!"
— „Gdzie jest pacjent?" — „Tu, na sofie
Patrz, jak ciężko biedak chrapie!"

— „Pewnie musiał się nie wyspać...
Może hulał państwa synek!"
— „Gdybyż tylko to! Niestety,
On miał... on miał... pojedynek!"

— „I jest rana?" — „O i jaka!"
— „Gdzie?„ — „Na ręce wyżej kostki,"
Patrzy lekarz, potem rzecze:
— „To w istocie nie drobnostki"...

I obraca się do sługi
I powiada: — „Weź pieniędzy...
Do apteki pójść potrzeba,
Przynieś maść, maść jak najprędzej!"

— „Ach" wyjęknie rozpaczliwie
Matka, (ojciec ręce łamie);
„Więc tak źle z nim, więc mu może
Trzeba będzie odjąć ramię?"

— „O to znów obawy niema,
Tak złą nie jest rzeczy postać,
Ręka — chciejcie wierzyć państwo,
Może w miejscu swem pozostać" .

„Lecz gdy maść nie dojdzie wcześnie,
Nie pomoże moja głowa,
Bo tymczasem ciężka rana
Sama zgoić się gotowa!"

* *W restauracyi.*

Pan Jerzy. Panie, pan mi ubliżyłeś, żądam satysfakcyi. Staw się pan jutro ze świadkami i z parą pistoletów na Bielanach, godzina szósta rano.

Leosz. Ist gut; ale gdybym ja nie mógł przibicz zupełnie pinkt, to niech pan tymczasem sam będzie zaczynać.

* *Pojedynek zwodniczy.*

Opowiadają, że w 1763 roku w Roye, namiestnik generalny starał się o rękę pewnej młodej osoby i o ile wnosić było można z pozorów, chętnie był od niej widzianym.

Jednocześnie asystował tej pani i jakiś oficer, który spostrzegłszy, że mu nie łatwo przyjdzie odsadzić współzawodnika, chcąc się go pozbyć, wyzywa go na pojedynek.

Namiestnik wyzwanie przyjmuje, ale oświadczywszy wręcz, iż szpady nigdy w ręku nie trzymał, wydostaje z pudełka dwa nabite pistolety, z których jeden daje do wy-

boru przeciwnikowi, pozostawiając mu nadto z całą uprzejmością pierwszy strzał.

Po dopełnionych przygotowaniach, oficer strzela, namiestnik pada martwy.

Zatrwożony wojskowy, biegnie co tchu na pocztę, prosi o konie i umyka w świat przed odpowiedzialnością, jaka go czeka.

W parę lat po tym wypadku spotyka się z jednym ze swych dawnych znajomych z Roye, który po serdecznem przywitaniu pyta go z zaciekawieniem, co oznaczało jego tak nagłe a tak tajemnicze zniknięcie?

— Jakto, więc pan nie wiesz o tem, że to ja zabiłem waszego namiestnika?

— Naszego namiestnika? przecież on żyje, ma się doskonale, niedawno właśnie poślubił pannę...

Oficer osłupiał i zgłupiał na tę wiadomość.

Dopiero to został wyprowadzonym w pole, ale z własnej winy, bo i po cóż był do tego stopnia nieoględnym!..

Otóż rzecz się tak miała:

Pistolety owe były nabite sztucznemi, całkiem nieszkodliwemi kulami, a przebiegły namiestnik, wiedzący dobrze, czem to grozi mordercy, udał chytrze zabitego.

(*Bachaumont*, *Mémoires*).

* *Pojedynek na śmiech.*

Nawet i aktor S. nie wykręcił się od pojedynku, ale to były takie czasy, że wszyscy bić się musieli.

Po dobrej kolacyjce, pewnego wieczoru, złośliwy S. tak długo drażnił kapitana L., aż ten go w końcu wyzwał na pojedynek.

S. nie uląkł się wcale i wybrał pistolety.

— Niech będą i pistolety — odrzekł kapitan.

W dzień oznaczony zajeżdżają dwa powozy.

Kapitan wsiada pierwszy i daje stangretowi rozkaz:

— *Barrière de l'Etoile.*

S. wskakuje do drugiego powozu i woła donośnym głosem:

— *Barrière du Trône...* kapitanie, ty będziesz strzelał pierwszy!

(*G. Lafargue.*)

* *Pojedynek na cholerę.*

Dziennik w Kentucky opowiada o nowego rodzaju pojedynku, który miał miejsce w mieście Owensburg.

Pewien młody człowiek, nazwiskiem Tracy, niezadowolony z pana Sprighta, starającego się o jego siostrę, a nie mając sposobu pozbyć się go inaczej — wyzwał na pojedynek.

Zakochany na seryjo młodzieniec nie miał bynajmniej pociągu do śmierci, ani też chciał życia pozbawiać brata swej ukochanej, ale że wybór broni zależał od niego, przyjął wyzwanie i udał się ze świadkami na miejsce oznaczone, gdzie zastał już przeciwnika niecierpliwie oczekującego.

Rzuciwszy pogardliwem okiem na rapiry i rewolwery, pan Spright otwiera skrzynkę, którą przywiózł i pokazuje zdumionym widzom ogromny zapas sałaty, ogórków i jabłek najbardziej niedojrzałych, jakie mógł dostać.

— Oto moja broń! — woła wyzywająco — cholera z całą siłą grasuje w okolicach i w naszem mieście, jeden z nas musi umrzeć po spożyciu takiego śniadania! rozdzieliłem wszystko na równe dwie porcyje, zasiadajmy i jedzmy... raz, dwa, trzy!

Tracy, pełen odwagi w obec szpady i pistoletu, usłyszawszy podobną propozycyję, zaczął drżeć na całem ciele.

Świadkowie, porozumiawszy się, oświadczyli, że nie dopuszczą do tak morderczego pojedynku, nie pozostawało więc stronom, jak pogodzić się, poczem nieustraszony p. Spright mógł w dalszym ciągu całkiem spokojnie składać wizyty siostrze pana Tracy.

(*Colombey*, *Hist. anecd. du duel.*)

* Dwaj oficerowie angielscy, wszedłszy do kawiarni, zajęli miejsce obok jakiegoś długiego, suchego jegomości, który bardzo poważnie palił cygaro.

Zaledwie usiedli, wszczęła się rozmowa ogólna o słynnym podówczas karle.

— Powinien przybyć lada chwila — odezwał się jeden z oficerów.

Po tych słowach suchy jegomość zaczyna konjugować z wielką flegmą i złą bardzo angielszczyzną:

— Ja przybywam, ty przybywasz, on przybywa, my przybywamy, wy przybywacie, oni przybywają.

Zdumiony anglik podchodzi do cudzoziemca i pyta go:

— Czy pan mówisz to do mnie?

— Ja mówię, ty mówisz, on mówi, my mówimy, wy mówicie, oni mówią.

— Zostaw tego człowieka — reflektuje drugi oficer — wszak widzisz, że to jest waryjat.

— Ja jestem waryjat, ty jesteś waryjat, on jest waryjat, my jesteśmy waryjaci, wy jesteście waryjaci, oni są waryjaci.

— Tego za wiele, mój panie! — woła zaperzony anglik, wychodząc z siebie — ja ci nie pozwolę wyśmiewać się z wojskowego a sądzę, że musisz równie dobrze wywijać szpadą, jak i językiem!

— Ja wywijam, ty wywijasz, on wywija, my wywijamy, wy wywijacie, oni wywijają.

— Wychodź pan!

— Ja wychodzę, ty wychodzisz, on wychodzi, my wychodzimy, wy wychodzicie, oni wychodzą — mruczał, podnosząc się zwolna.

Wyszli, stanęli, skrzyżowali szpady.

— Zasłoń się! — wrzasnął anglik, dygocący z oburzenia w obec tej niepraktykowanej zimnej krwi.

— Ja się zasłaniam, ty się zasłaniasz, on się zasłania, my się zasłaniamy, wy się zasłaniacie, oni się zasłaniają.

— A, żeby mi się tylko udało przygwoździć ci język do podniebienia — zaklął anglik.

— Ja przygwożdżam, ty przygwożdżasz, on przygwożdża, my przygwożdżamy, wy przygwożdżacie, oni przygwożdżają — co dopowiedziawszy, wytrącił przeciwnikowi z ręki szpadę, która daleko odleciała i najspokojniej zapalił świeże cygaro.

Rozbrojony anglik stanął jakby piorunem rażony, z otwartą gębą...

Widząc to jego przyjaciel, podchodzi do cudzoziemca, mówiąc:

— Jesteś pan gentleman — i...

— Ja jestem, ty jesteś, on jest, my jesteśmy, wy jesteście, oni są.

— Ależ w końcu, wytłómaczysz że się pan nareszcie?

— Ja się wytłómaczę, ty się wytłómaczysz, on się wytłómaczy, my się wytłómaczymy, wy się wytłómaczycie, oni się wytłómaczą...

I dodał po niemiecku:

— Czy panowie rozumiecie język Goethego?

— Tak jest.

— A więc oświadczam wam, że studyjuję język angielski, nauczyciel mój polecił mi, abym dla nabrania prędzej wprawy konjugował wszystkie słowa. Postanowiłem zatem przekonjugować każde, jakie tylko zasłyszę.

— I to o to?

— A tak, o to...

Wszyscy trzej parsknąwszy naraz śmiechem, podali sobie ręce i poszli zjeść razem obiad na Rgent street.

* U arcybiskupa miasta Paryża mówiono o rozmaitych sposobach zapatrywania się na kwestyę pojedynków przez sądownictwo.

— Ale ostatecznie ekscelencyjo — pyta Olivier, biskup d'Evreux, arcybiskupa d'Affre—gdybyś tak naprzykład został wypoliczkowanym, cóżbyś wtedy uczynił?

— Ekscelencyo — odparł zapytany —

wiem doskonale, cobym powinien uczynić, ale nie wiem, co bym uczynił.

(*Colombey, Hist. anecd. du duel.*)

* Pewien gaskończyk, opowiadając o pojedynku, który odbył ze swym przeciwnikiem, też gaskończykiem, zapewniał, że jeśli nie padł żaden z nich na miejscu, zawdzięczają to obaj niesłychanej zobopólnej zręczności ponieważ zmierzywszy się i wypaliwszy jednocześnie, każdy z nich wpakował kulę w lufę pistoletu swego przeciwnika.

(*Potieriana*).

Pokora.

Ś-ty Filip z Néri, dowiedziawszy się, że pewna zakonnica przypisuje sobie władzę czynienia cudów, chciał się przekonać, czy miała też i cnoty odpowiednie po temu, zwłaszcza pokorę.

Idzie tedy do niej w bardzo brudnych trzewikach, które rzuca jej na głowę, rozkazując oczyścić.

Zakonnica oburza się tem strasznie, a św. Filip ostrzega papieża, aby na podobną świętę nie rachował wcale.

Tę to historyjkę przypomniał *Spektator* z powodu pamiętnego posiedzenia 17 kwietnia 1867 roku, podczas którego Bismark rzucił na głowę Izbie Pruskiej swe brudne trzewiki.

Ale niestety Izba okazała się bardziej godną kanonizacyi, niż owa zakonnica.

(*L. Blanc, Lettres politiq.*)

* *Pokora podejrzana.*

Rozpływano się w pewnem towarzystwie w obecności Diderota nad skromnością J. J. Rousseau, który nie pozwalał się tytułować inaczej, jak *obywatelem*.

— Dobrzy sobie jesteście — zawołał Diderot zadąsany — Rousseau każe się nazywać *obywatelem*, ponieważ nie może być tytułowany *księciem*.

(*Omniana.*)

Pokusa.

Austryjacki poseł pan von B. zwiedzał pewnego dnia więzienie Ś-go Łazarza w Paryżu i w chwili gdy wchodził do oddziału kobiet uwięzionych za złodziejstwo, wyjął złotą tabakierkę z kieszeni.

Jedna ze złodziejek widząc to, zemdlała, a gdy przyszła do siebie, spytana o powód wzruszenia, odpowiedziała:

— To okropne, patrzeć na złotą tabakierkę i nie módz jej ukraść.

Pola Elizejskie. (List z.....)

Już to podobno dwa lata ubiega,
Jak tu na polach Elizejskich siedzę.
Nie piszesz do mnie — poczciwy kolega!
Czyżbyś zapomniał o dawnym koledze?

Dobrze to miejsce nazywają rajem:
U Apollina zmieniając talerze,
Samych łakoci po gardło się najem,
Bom niedyskretny bynajmniej w tej mie-
[rze.

O! tutaj wcale nie to, co tam w Wilnie,
Gdzieśmy uczniowie Eskulapa sztuki
Ledwo kęs chleba zyskali usilnie,
Śmiesząc w kawiarniach i zbijając bruki.

Tu nie potrzeba surduta i g....
Nie trzeba szopów, bo tu wieczne lato,
Wedle natury choć w całej postaci,
A rzeki płyną, czy wiesz czem? herbatą.

I gdy się nigdzie nie spotkasz z obiadem,
Niechaj ostatnia nadzieja nie znika:
Ukręć się w szopy i moim przykładem,
Rzuciwszy wszystko, marsz do mogilnika.

A gdy już ciebie przez Styks tam prze-
[wiozą,
Ja wraz swojego poznawszy po minie,
Powitam ciebie wierszami i prozą,
Kautką, herbatką, która rzeką płynie.

Syrokomla. (p. t. I, str. 128.)

Policzek w kursie.

Brutalny ojciec Fryderyka Wielkiego spędzał mile czas pewnego popołudnia w gronie ministrów i generałów, pijąc piwo i paląc, na małej wysepce dobrze znanej berlińczykom. De Seckendorf, minister cesarza Karola VI, siedział pomiędzy królem, a jego pierwszym ministrem.

Jego królewska mość, jak wiadomo, silniejszy w garści niż w gębie, urażony zbyt śmiałą odpowiedzią sąsiada, odwróciwszy się, wymierzył mu policzek.

De Seckendorf, nie namyślając się ani chwili, oddał co dostał pierwszemu ministrowi, zalecając uprzejmie:

— Puszczaj pan go dalej.

(*Le prince de Ligne.*)

Polak.

* *Mądry polak po szkodzie.*

Szumiała smutno wierzba nad wodą
Widząc jak tratwy do Gdańska wiodą,
Trącała listkiem złotym o listek,
Płacząc, że z wodą poszedł bór wszystek.
Ozwał się na to dzięcioł pstrokaty:
— Wierzbino złota! nie płacz tej straty,
Bo gdy już zbraknie tratew na wodzie,
To przyjdzie ludziom rozum... po szkodzie.

* *Cudowny polak.*

W pewnym domu na Nowym Świecie znajduje się ośmio-letni chłopak, urodzony w Warszawie z ojca polaka i matki polki. Cudowny ten polak już mówi doskonale po angielsku, po francuzku, po włosku i po niemiecku, ale jeszcze ani słowa nie umie po polsku.

Polityk.

Wie, co na wschodzie, zachodzie,
Zwiedził „gabinety” w świecie,
Ani wie o swej przygodzie,
Kto jest w żonki... gabinecie.

* *Zaściankowi politycy.*

„Wielką bowiem czułem gorzkość w sercu mojem, patrząc na te rzeczy...“

Choroba *politykomanii* dotyka niekiedy ludzi młodych — najczęściej jednakże ofiarami jej są ludzie starzy. Ex-urzędnicy, kapitaliści, ex-szlagony, podeszli właściciele kamienic, oto grunt, na którym najlepiej wschodzą nasiona, tak szczodrze przez „Gazetę Polską” i „Gazetę Warszawską” rozsypywane.

Zaściankowi politycy w młodym wieku nie odznaczają się niczem, grają w karty, wielbią płeć piękną, jedzą, piją i... próżnują, jak wszyscy śmiertelni.

Dopiero ku schyłkowi życia, gdy puls wolniej uderza, a ciało więdnieje, gdy od czasu do czasu figlarna Wenus odezwie się to tej to owej kosteczce, człowiek-gąsienica przemienia się w pasożyta-polityka; kładzie wówczas w uszy bawełnę, na nogi buty filcowe, na grzbiet watowany szlafrok, na głowę czapkę z kutasem i poczyna przeżuwać *gazety*.

— Panie sędzio! panie sędzio!—woła kancelista — niech się pan chwilkę zatrzyma, bo świadkowie przyszli...

— Niech idą do dyjabła! nie mam czasu, bo już w pół do czwartej i poczta nadejdzie...

— Ależ oni o trzy mile mieszkają...

— Daj mi acan pokój... czy nie słyszysz, że już *trąbi?*...

I *draluje* sędzia, aż błoto bryzga na ulicy, aż mu stawy w nogach skrzypią! Dokąd? Na pocztę, na pocztę!... kędy rój polityków ze wszystkich stron miasteczka podąża.

— Panie aptekarzu!... panie aptekarzu!.. niechże się pan ulituje nademną!... toż mi dziecina umrze bez lekarstwa!

— Zatrzymaj się pani godzinkę... pół godzinki... Ja za chwilę wrócę, ale teraz nie mogę...

— Mężu!... — wołają z drugiej strony na otyłego właściciela posesyi, przyszedł Mosiek kończyć interes o siano, ugodź-że się z nim, bo odjedzie, a tu grosika nie ma w domu!...

— Niech zaczeka, nic pilnego!... Ja teraz nie mam czasu...

I tak jeden za drugim biegną politycy jak wyścigowe konie, bo kto się spóźni, ten może gazety nie dostać, oni zaś, nie mając swoich gazet, czytają ją o tyle, o ile pocztmajster pozwoli...

— Panie majorze dobrodzieju! — woła ex-radca do ex-majora, weź gazetę do domu, to przeczytamy razem!..

— Chodź radca na pocztę, bo mi przecież do domu nie dadzą...

— Jakże mogę iść na pocztę, kiedym się z tym cymbałem pokłócił?...

— Ha! ja temu nie winien — odpowiada ex-major.

A na poczcie?.. Och! na poczcie, a raczej przed pocztą tłumy, jakby na odpuście...

— Panie *naczelniku* — wołają na pocztmajstra, daj *Gazetkę* rybeńko, choćby Kuryerka...

—Ależ panowie, gazet jeszcze nie ma!..

— Jakto nie ma, kiedy słyszeliśmy trąbkę?..

— A... a... a!... oh!... Bodaj cię piorun trzasł!.. A nie słyszeliście tam co nowego?...

— Owszem — mówił pasażer — że Strasburg wzięli.

— Bój się ran boskich!.. to być nie może!.. Przecież ten *Ulryk?*

— Co tam *Ulryk?* wzięli i basta!..

— No!.. a cóż *Macmachon* na to wszystko?..

— Cóż Macmahon, to sami co inni, dostał w... i interes skończony!..

-- A Bozajne?...

— To samo co i inni!..

— Kiryje elejson! o Chryste!.. No!.. a gazety prędko przyjdą?.

— Niedługo! niedługo!..

Na tem się kończy gwarliwa rozprawa z *naczelnikiem*, tłum rozbija się na pojedyńcze kupki, brodzące i radzące na błocie.

— Aj! durnie, durnie te francuzy — mówi ex-porucznik, ot mnie by tam... jaby im pokazał!...

— Co ty tam kapitanie *barłożysz!..* znasz się na polityce, jak kogut na ewangelji...

— No! prawda, ale wojna to jedna rzecz, a polityka to druga rzecz. Na wojnie, to tylko bij jego w łeb i ot co jest!..

— To też oni ich będą bili, będą... tylko cierpliwości!.. ślepy by namacał, że chcą niemców wciągnąć w głąb kraju, jak gęsi w kojec, ażeby później karki im poskręcać!..

— No!.. może to być — odpowiada ex-porucznik.

— Chodź-no sędzia do mnie — mówi ex-major do sędziego, nim gazety przyjdą, urżniemy partyjkę szachów i coś ci pokażę, tylko mi dasz wprzód słowo honoru, że zachowasz sekret.

— Cóż to takiego, kochany majorze?

— Zobaczysz sam, ale daj pierwej słowo!

— Najświętsze słowo honoru, że nikomu nie powiem! — mówi sędzia, a ex-major obejrzawszy się na wszystkie strony, wprowadza gościa do domu. Tam zamykają jedne drzwi na klucz, drugie na zasuwkę i stają naprzeciw pieca.

— No!.. a co sędzio, jakże ci się mój pomysł podoba? — pyta ex-major gościa, wskazując na piec.

— Nic nie widzę majorze, niech mnie Bóg skarze!..

— Jakto nic nie widzisz, nie widzisz tych na piecu?..

— No widzę!.. cóż to, więc taką masę zapałek pan kupiłeś? po co?

— Ależ tam nie ma zapałek, to są puściuteńkie pudełka!.. I jeszcze się pan niczego nie domyślasz?...

— Niczego, jak pragnę zbawienia duszy!

— Patrz-że się gapiu: w górnym rzędzie stoją same pudła szafirowe...

— Aha!

— Pod niemi same amarantowe...

— Aha... ha!

— Wiesz już, co to znaczy?..

— Dalibóg nic jeszcze nie wiem!..

— Bój-że się Boga!.. toż to francuzkie barwy!...

— E, hee! A gdzież kolor biały?

— Jak to gdzie? przecież piec jest biały!..

— Oho! hooo!...

Pod oknami majora przechodzi w tej chwili ex-prezydent z pocztmajstrem; obaj smutnie zwiesili głowy.

— No!.. bierz dyjabli tymczasem politykę — mówi ex-prezydent — jakże *naczelnik* stoisz z hreczką?..

— A cóż! gnije w polu.

— Fiu! fiu!

— A z kartoflami?..

— Pi! może dla świń wystarczy!..

— Tra la la!.. a po jakiemuż to prowadzicie gospodarstwo *naczelniku?*

— At, mój radco! w takich interesach to człowiek i głowę straci... Tu przegrana, tu przegrana i tu znowu przegrana, klęska po klęsce, a człowiek myśli o wszystkiem i truje się wszystkiem, więc też dyjabli biorą hreczkę i kartofle. A cóż, czy radca odebrałeś już emeryturę?..

— Dyjabla tam! miałem onegdaj kwit posłać, alem się zgryzł tym *Bazajnem* i na śmierć zapomniałem!..

. . . .

Ot, co się dzieje w małych miasteczkach podczas wojny! ludzie tak gorliwie zajmują się strategiją, że im hreczka marnieje i emerytura w kasach miejsce zawala.

A w czasie pokoju?

W czasie pokoju toż samo, tylko na inne kopyto: zamiast planów bitew, układa się programy wojen *na wiosnę* i oblicza się szanse wygranych.

O Europo! Europo! Europo! ileż to głów pracuje nad tem, aby twój pokój zakłócić!..

* *Jeden z naszych wielkich polityków.*

(Rzecz dzieje się w wagonie.)

— Pan dobrodziej zdaleka?

— Z Karlsbadu wracam, panie.

— Zapewne wiezie pan jakie nowiny ciekawe?

— O, słyszałem masę! tylko, że szelmy szwaby po niemiecku między sobą mówili, więc nie mogę tego tak dobrze powtórzyć; ale jest panie nowości masa — jest!

Polityk

„Paryż ósmego września. Król jegomość z rana
„Przyjmował uroczyste poselstwo sułtana;
„Potem telegraficzna wiadomość doniosła,
„Że prosił na śniadanie hiszpańskiego posła;
„Dalej... okręt angielski przybył z Malabaru;
„Dalej... pierwszy minister z powodu kataru
„Dziś nie był w parlamencie — a dalej: na scenie
„Nowe i nader świetne było przedstawienie,
„Dano Włoszkę w Algerze!" Tak, Włoszkę w Algerze!
Głęboka allegoryja! Włoch już Alger bierze,
Król francuzki z sułtanem przyjaźni się skoro,
I uważasz... Hiszpanów na cuhunder biorą.
Okręt od Malabaru... minister w katarze...
Tak pisać, to głęboka polityka każe.
Ale znamy się na tem... ho! znamy się trocha!
Francuz, Hiszpan i Turek pójdą przeciw Włocha;
Wtedy Ibrahim basza, co przytulił uszy,
Na Hiszpana, Francuza i Turka wyruszy.
Toż to będzie, mospanie, wojna w Europie!
Wtedy i nam wypadnie chować się w konopie;
Bo nasze wojska pójdą bronić pruskich granic,
A od Persa mospanie nie zaręczę za nic:
Ich przymierze na włosku, czysto za kontraktem,
Wszak mi żydek powiadał, że onegdaj traktem
Jechało dwóch ichmościów... wąsaci, brodaci,
I mieli czapki perskie... niech go porwą kaci!
On zgadł, że będzie wojna — to już niedaremnie,

A podkomorzy Leszczyc śmiał się wtedy ze [mnie.

Syrokomla. (p. t. I, str. 128.)

* *Z polityki.*

Pytanie. Czem się różnią konferencyje od kongresu?

Odpowiedź. Tem, że na konferencyjach mówią to, czego nie myślą, a na kongresie myślą to, czego nie mówią.

* *Galicyjscy politycy.*

(Rzecz dzieje się w restauracyi.)

Polityk I. (gestykulując rękami). Podług mnie, Francyję należy oddać Chinom; Szwecyę i Norwegję — Portugalji; Anglię z kolonijami – Danji; Stany Zjednoczone—Persyi!.

Polityk II. A nam?

Polityk I. Nam?.. Kelner! daj jeszcze dwa kufelki piwa!

Polowanie.

* Młody hrabia, który niedawno odbył podróż po Azyi, został odwiedzony przez przyjaciół i na polowanie zaproszony.

— Eh, moi panowie — rzekł ze znudzoną miną — tak przyzwyczaiłem się teraz polować na tygrysy, że polowanie, nie przedstawiające dla życia niebezpieczeństwa, nie sprawia mi przyjemności.

— Jeśli o to tylko ci chodzi -- rzekł jeden ze strzelców — to możesz nabrać ochoty, gdyż ja poza wczoraj na polowaniu mego szwagra postrzeliłem.

* Po wieczerzy, półkownik z córką i czterej jego rezydenci udają się do bawialnego pokoju, oświeconego rzęsistym ogniem, płonącym na obszernym kominie. Półkownik z fajką siada na kanapie, Rąbajło bierze się do pasyjansu, Spisa przewraca kartki kalendarza, szukając postu, Grzmotajło chodzi po pokoju, założywszy ręce za plecy, jak gdyby się mało po lesie nachodził, a Kostusia robi pończoszkę.

— Cóż, panie Grzmotajło – pyta półkownik — jak się udało polowanie?

Grzmotajło zatrzymuje się pośród pokoju, jedną ręką podpiera się w boki, a drugą wyciąga do gestykulacyi i zaczyna:

— Ba! gdyby mi drogi nie przeszła Janowa, tobym na dwa wozy zwierzyny nie zabrał; a tak skończyło się tylko na pięciu zającach, dwóch lisach i łosiu.

— Jakto? — woła Kostusia — i łosia pan porucznik zabił?!

— A naturalnie! byłoby dwa, gdyby nie Janowa! Zabiłem, ale jak zabiłem!... Wyszedłszy z domu, włóczyłem się aż do południa za temi zającami i lisami, bo nigdy łotry tak zręcznie się nie wywijały, jak dzisiaj. Co to za *kominki!* co za *susy!* to wszelkie pojęcie przechodzi! Inny pies, toby już dawno *giegnął*; ale mój Jeden to co innego! Jest tam jeden szarak, to chyba dyjabeł w nim siedział! Jak się puścił, nie *okładając*, het przez kłody, przez łomy, przepaści, to jak błyskawica; a Jeden za nim i wciąż *rwie z oka*, hau, hau, hau! hau, hau, hau! Ja tędyż! a nóg już pod sobą nie czuję; a Grześ siadł na kłodzie i tiululu! rozbeczał się nieborak! Wtem raptem mój Jeden uciął!... Co u licha!? myślę, czyżby się zbił z tropu? ale to niepodobna! tobym go na pierwszej gałęzi het precz powiesił! Rżnę więc wprost za nim, a bagno — to przez bagno, a łomy — to przez łomy, a przepaść, to precz przez przepaść!... Wtem znowu mój Jeden hau, hau, hau! hau, hau, hau! hau, hau, hau! ale na jednem miejscu. Pssyt! to coś szczególnego! wiem, że zająca goni, ale czemuż na jednem miejscu? Odwodzę więc kurek i lecę. Przybiegam — komedyja! Mój Jeden skacze pod karłowatą lipą i hau, hau, hau! hau, hau, hau! wyraźnie na zająca. Kiedy ja spojrzę, aż szelma szarak na lipę wskoczył i przyczaił się, jak nieżywy! A tuś mi! jak utnę! bęc z drzewa o ziemię! *kniaź! kniaź! kniaź!* i koniec. Jeden dostał skoki na odpra-

wę i dalej ruszył. Ledwie przeczyściłem strzelbę, ledwie proch wsypałem, aż tu mój Jeden: hau! i cicho, hau! i znowu cicho, hau cicho... łoś. Bo trzeba wiedzieć, że Jeden na każdego zwierza inaczej szczeka, tak, że odrazu poznam, na jaki trop wpadnie. Kiedy na wilka, to hau! hau! — hau! — hau, hau! hau. Kiedy na lisa, ajajajajaj! ajajajajaj! jach jach! jach! jach! jak słowiczek. A jak na niedźwiedzia, to tylko huf! huf! huf! Na rysia to aj! aj! aj! aj! aj! Na dzika hau hau! hau hau! hau hau! I tak co zwierz, to inaczej, a ja wszystko rozumiem. Otóż słyszę: hau! i cicho, hau! i znowu cicho, i tak ciągle, idąc pomaleńku. Łoś niewątpliwie, bo i miejsce potemu: nizinka wilgotna, a łoza, gęstwina aż strach! a gdzieniegdzie to lipa, to dąb; to lipa, to dąb. A cicho, a głucho! Komary tylko bzyyyy! a chruściel jak nawiedzony: dzier bier! dzier bier! Zmiarkowałem, że poczciwy Jeden pędzi łosia wprost na mnie; zapakowałem więc kulę w karabin, natarłem paznogciem skałkę i czekam. Już słyszę, jak bagno pluchoce, już widzę, jak się łozina porusza — tuż, tuż i łoś się wysunie!... Aż tu raptem jak się wysypią sroki! jak zaczną wrzeszczeć nad moją głową cze, cze, cze, cze! cze, cze, cze, cze! łoś czmychnął i skręcił na prawo, het precz w stronę Kuźmier, jak ten dąb podsmalony, pod którym w przeszłym roku pan podsędek zabił dzika. Natychmiast kazałem Grzesiowi stanąć na miejscu, porozwieszałem po drzewach lisy i zające, na zabawkę srokom, żeby miały na co *czeczehać*, a sam jednym skokiem na przełaj łosiowi, i stanąłem pod lipą na kilka staj od Hryćkowego brodu, na lewo od majdanu; stanąłem i czekam, i słyszę — jak raz na mnie Jeden godzi: hau! i cicho, hau! i znowu cicho... Czekam, odwiódłszy kurek i jeszcze raz potarłszy skałkę paznogciem. Aż wtem szust mój rogal, jak raz na sztych do mnie! Jak palnę! a kula szszwist nazad koło mego ucha!... Łoś tylko sapnął i kopnął się retro!... przyznaję się do winy; nie wysapałem się jeszcze z biegu, ręka zadrżała i zamiast łba, trafiłem w rogi! obaczycie państwo jutro ślad kuli w tem miejscu, gdzie się odbiła. Ale, nie tracąc czasu, znowu biegę na przełaj, a biegąc, nabijam strzelbę. Może w kwadrans wybiegłem na Jaśkową polankę i przyczaiłem się pod lipą. Słyszę, daleko, może o wiorstę, mój Jeden hauka i hauka, a widocznie na mnie się kieruje. Dobrze! myślę sobie — ochłonę tymczasem. Ot coraz bliżej, bliżej, bliżej! — i hec jednym susem na polankę... jak utnę pod lewą łopatkę, tak ani ziewnął! A było jak raz sto kroków liczonych. Wnetże i Jeden przyleciał; poczciwiec! zziajał się, zapienił, zabłocił, het precz pokaleczył się cały!... a jak się rzuci na łosia! jak zacznie go szarpać, by mu oddać za swoje — tom ledwie odpędził! Dałem mu całą kiełbasę za fatygę, bo warto było. Zagrałem podjezdnego, i wkrótce Grześ z zającami przydybał, a za nim i Maciej strzelec. Odpocząwszy trochę, ruszyliśmy z Grzesiem już prosto do domu, a Maciejowi kazałem jutro łosia przywieźć. Ale uważałem na Bondarowej polance ślady warchlaków; jutro zasiądę na nich, a za szynkę ręczę!

— Doskonale! — woła półkownik.

— Wybornie! — dodaje Kostusia.

— Wszystko to wyśmienite, mój mospaneńku — powiada Rąbajło — tylko ten zając na lipie, to coś jak na wierzbie gruszki, z przeproszeniem.

— Na wierzbie gruszki — odpowiada poważnie Grzmotajło — to rzecz ogrodnika; i pewno, szanowny kolego, dużo ich dzisiaj zaszczepiłeś.— I z tryumfem spogląda na Kostusię.

— Nie miałem czasu, nie miałem czasu, mój mospaneńku! — odcina się Rąbajło, spozierając takoż na Kostusię figlarnie — bo cały czas musiałem opędzać się od zajęcy, które wypłoszyłeś z lasu i które się ratowały, włażąc na jabłonie i grusze.

— Trzebaż było choć jednego złapać, tobyś miał specyjał wyśmienity, wykarmiony

fruktami! i obszedłbyś się bez mojego zdechlaka.

— A jużciż, mógłbym się obejść bez twojej zwierzyny, mój mospaneńku, gdybym tylko chciał zbroczyć ręce we krwi niewinnej. Ot i dziś mam 15 cietrzewi, 20 kuropatw, 25 jarząbków w klatce.

— I sarnę — dodaje Grzmotajło — i łosia, i dzika, i het precz całą puszczę w klateczce!

— I karpia! — odzywa się Spisa, chcąc tym sposobem zwrócić rozmowę na swoją profesję; ale nieszczęśliwie mu się wiedzie, bo Rąbajło, zdekoncertowany przez Grzmotajłę, na nim szuka odwetu:

— Cha, cha! — woła, biorąc się za boki i przymrużając oczy--karpia! karpia! a mam, choć nie w klatce, ale w sadzawce, w ogrodzie; i gdybym chciał tylko zniżyć się do nikczemnego rzemiosła rybaka...

— Nikczemne! figa! ty sam nikczemny, a święty Piotr i Andrzej byli rybakami!...

— Ale porzucili sieci, zostawszy chrześcijanami, mój mospaneńku. I ja trochę umiem historyję świętą, choć Bernardynem nie byłem. Porzucili, bo nic nikczemniejszego nad rybactwo! bo to chytrość, bo to zdradziectwo. judaszostwo, mój mospaneńku! Rybak morduje najniewinniejsze w świecie istoty, i to podstępem! a jeszcze jakim to środkiem! oto biednego robaczka lub muszkę żywcem wbija na haczek! i jednej śmierci nie syty, drugą wnet zadaje męczeńskim sposobem! Zdradą porywa niewinne stworzenie, i wyrwawszy z czystego zdroju w powietrze, rychtyk jak gdyby człowieka pod dzwon maszyny pneumatycznej wsadził, powolną, tyrańską śmiercią zabija! bo albo dozwoli zdechnąć w srogiem konaniu, albo żywcem obedrze ze skóry, rozpłata, wydrze wnętrzności! brrru! mój mospaneńku, aż zgroza bierze!... Albo te oście! czyż to nie zbójectwo? Na śpiące, bezbronne biedne istoty, wpadać z poczwórnym sztyletem! okropność!... Ale i niewód, który tysiące odrazą pochłania, czyż to nie barbarzyństwo!? Daruj, mój mospaneńku, nie zmierzam do ciebie, ale mam wstręt do rybaków, bo tranem trącą, jak surowiec, fi! i zawsze mają w sobie coś zdradliwego; to też i koty lubią zazwyczaj.

— Dobrze! dobrze! — odpowiada Spisa— a jak przyjdzie piątek, to figa!

— A jak ja tytuniu nie posadzę, mój mospaneńku, nie będziesz miał i niucha tabaki!

— Kupię, a waści taki figa!

— To ci nos, mój mospaneńku, spuchnie, bo żydzi swój tytuń moczą w najobrzydliwszych obrzydliwościach!

Spisa języka zapomina w gębie! już nawet i figi wymówić nie może; a poczciwa Kostusia, chcąc go obronić, usiada przy fortepianie i dźwięcznym głosikiem odzywa się:

Nie mam swego nic na świecie,
Wszystko cudze, co gdzie mam;
Ale gdy mnie kulka zmiecie,
Po mnie płakać będą tam!...

I w moment wszystkie ucichają gniewy, urazy idą w niepamięć! Dźwięczy urocza piosenka i serce czaruje... Półkownikowi łzy błyszczą w oczach; Spisa głęboko wzdycha; wybijając takt bez taktu w dłoń tabakierką, Rąbajło chce niby wtórować, ale na ton wpaść nie może, i tylko — to łeb marszczy i wyciąga szyję, to brodę w halsztuchu chowa i wąsy najeża; a Grzmotajło, usiadłszy przy stoliku, smutnie chwieje głową, wspartą na dłoni i melancholijnie się uśmiecha.

„Zaraza" *Adam Pług*(p. t. I, str. 172).

Pomniki.

Pomniki dawne wypada lepiej podpierać jak naprawiać, lepiej naprawiać jak odnawiać, lepiej odnawiać jak ozdabiać, a w żadnym razie nic im nie dodawać ani ujmować.

Didron.

Pope.

Król angielski spostrzegłszy na ulicy Po-

pe'go, który był garbaty i ułomny, odezwał się do jednego z towarzyszących mu dworzan:

— Chciałbym wiedzieć, do czego służyć może ten człowieczek, chodzący tak krzywo?

Pope, usłyszawszy te słowa, rzekł:

— Do tego, aby was nauczyć chodzić prosto.

* Pytano raz Pope'go, jakim sposobem zdołał sobie zrobić tylu przyjaciół.

— Dzięki tym dwóm aksyjomatom — odpowiedział—„Wszystko jest możebne i wszyscy mają zawsze racyją."

(*Encyklopedyjana.*)

Portret.

* Na zebraniu u księżnej du Maine każdy z gości w treściwych słowach portret swój winien był skreślić. Panna de Launay, późniejsza pani de Staal, wywiązała się z zadania z niezwykłym dowcipem, gdy jednak zwrócono jej uwagę, że w szkicu pominęła słabe strony serca:

— Odmalowałam się tylko w popiersiu—tłómaczyła zręcznie.

* *Portrety pięciu Elżbiet.*

bezstronnym pędzlem malowane i w dzień ich imienin darowane od przyjaznego osobom ich sługi.

P. K. H. P. Krakowska.

Przy wielkich oświadczeniach nie służy ni[komu,
Grzeczna, ale swarliwie skąpa w swoim domu,
Nic miłości, mało zna przyjaźni jej dusza,
Nikt, prócz braci, zimnego serca jej nie wzru[sza,
Lubo pozoru nie ma, ma umysł bigotki,
Nie mówi źle o ludziach, lubi jednak plotki.

X. G. P. Xiężna Generałowa Podolska.

Przyjemności w dowcipie swoim ma tak wiele,
Ile wdzięków w powabnem i kształtnem jej [ciele,
Ma dziwactwa, zawziętość i razem jest pło[cha,
Bez przyczyn nienawidzi i bez przyczyn ko[cha,
Dzieciom wielką, mężowi miłość chowa mier[ną,
Umie być Penelopą razem i niewierną.

X. M. K. Xiężna Marszałkowa Koronna.

Z grzeczności Czartoryska, znać i z jej wej[rzenia,
Ma jednak wykwintnego nadto przymilenia,
Mówią, że miłosierna, radem wierzyć temu,
Wyświadczyła nie mało *Domowi Nowemu*
Przy znacznych jej przymiotach, chytrość je[szcze wini,
Dla tych przyczyn u wielu wzgardzoną się [czyni.

P. P. L. Pani Pisarzowa Litewska.

Przyjemna, grzeczna, dobra, dowcipna i ży[wa,
Któż cię w tem Pisarzowo postrzedz nie spo[dziewa.
Dałbym życie, aby twój mąż Bakałarz srogi,
Mógł na swym łbie uczonym ciężkie dźwigać [rogi.
W swojej byś go nakoniec stawiła kolei,
Lecz cnota twa nikomu nic czyni nadziei.

X. W. Xiężna Wojewodzina Mścisławska.

Związkiem ścisłym spojone chodzą na wy[ścigi
Rozkosz dla ciała twego, dla duszy intrygi,
Rządzić czasem i sobą umiesz po staremu,
Bo jedno nie przeszkadza czasami drugiemu.
Być drugie, tak jak pierwsze, wiodło się sku[tecznie,
Polską całą mogłabyś rozrządzać bezpiecz[nie.

* *Portret tegoczesnej fortepjanistki, zrobiony przez Amerykanina.*

Młoda dama wychodzi na scenę. Na sukni

ma tyle białych falbau, że wygląda jak planeta Saturn ze swemi pierścieniami. Okręca raz czy dwa razy taboret, na którym ma usiąść i pada nań jak bańka mydlana. Odsuwa rękawy, zaciera ręce, które raptem opadają na klawisze, jak para tygrysów na stado białych i czarnych owiec, a tymczasem fortepjan wyje głosem zwierzęcia, któremu po ogonie chodzą. Raptem cisza grobowa! Możnaby posłyszeć szmer, jaki wydają włosy rosnące na głowie. Potem następuje jeszcze głośniejsze wycie, jak gdyby fortepjanowi nie na jeden, ale na dwa ogony nastąpiono, następnie trzask, wrzask, łoskot, skoki w tę i tamtą stronę, w przód i w tył, jedna ręka skacze przez drugą, naśladując popłoch myszy i szczurów ściganych przez kota i oto, czem jest tegoczesna muzyka.

Posag.

* *Definicyja ścisła.*

— Co to jest biedna panienka na wydaniu?

— Jest to skóra... nie warta wyprawy.

—o—

* *Krakowskim targiem.*

— Szanowny panie radco, jesteś pan łaskaw powierzyć mi jedyne twoje dziecko, ale jednak z całą otwartością wyznać muszę, że szczęście nasze bez 30,000 rubli obejść się nie może.

— Eh, drogi przyszły zięciu, lepiej weź krakowskim targiem 15,000.

— Dobrze, ale pan radca również krakowskim targiem da mi tylko pół córki...

Posiedzenie sądowe.

Ciarka. Czy nasza kurperacyja już w komplecie?

Kwasek. Hej tam! przynieść krzesło i materacyk dla Zakrystyjana.

Zakrystyjan. Gdzie są winowajcy?

Ciarka. Także pytanie! Ja i mój kolega.

Kwasek. Nie ma wątpliwości, mamy egzaminować indagacyją.

Zakrystyjan. Lecz gdzie są delikwenci, których mamy indykować? Niech się stawią przed panem porucznikiem.

Ciarka. Tak jest, niech się stawią przed moją osobą. Imię twoje, przyjacielu?

Borachijo. Borachijo.

Ciarka. Zapisz, proszę, Borachijo, A twoje, mopanku?

Konrad. Jestem szlachcic, panie poruczniku, a nazywam się Konrad.

Ciarka. Zapisz: pan szlachcic Konrad. Czy służycie Bogu, mopankowie?

Konrad i Borachijo. Tak jest, tak nam się zdaje przynajmniej.

Ciarka. Zapisz: że im się zdaje, że służą Bogu. Napisz Bogu w pierwszej linii, bo, uchowaj Boże, aby Bóg nie stał wyżej takich hajdamaków. Mopankowie, już jest tak dobrze jak dowiedzione, że nic z was lepszego jak wierutne łotry, a wkrótce rzecz ta prawdopodobną się okaże. Co macie do powiedzenia na wasze usprawiedliwienie?

Konrad. Co mamy do powiedzenia? Mamy do powiedzenia, że nie jesteśmy nimi wcale.

Ciarka. Nielada ćwik z tego jegomości, prawdziwie; ale przyjdzie na niego kolej. Pójdź tu sam, mości panie, mam ci coś powiedzieć do ucha; mówię ci, iż ludzie myślą, że wierutne z was łotry.

Borachijo. A ja ci powtarzam, panie poruczniku, że nie jesteśmy nimi wcale!

Ciarka. Bardzo dobrze. Odstąp na stronę. Przez Boga żywego, to zmowa wyraźna. Czy zapisałeś, że nie są nimi wcale?

Zakrystyjan. Panie poruczniku, złą wziąłeś drogę do indagacyi; należy powołać straż, która ich oskarża.

Ciarka. Na uczciwość, to najbliższa droga. Zawołać straż. Mości panowie, wzywam was w imieniu księcia, abyście ludzi tych oskarżyli.

Pierwszy strażnik. Człowiek ten powie-

dział, panie poruczniku; że Don Juan, brat książęcy, jest łotrem.

Ciarka. Zapisz: książę Don Juan, łotr. Kto zaprzeczy, że to jasne, jak dzień, krzywoprzysięztwo, nazywać łotrem brata książęcego.

Borachijo. Panie poruczniku...

Ciarka. Mopanku, milcz, jeśli łaska. Nie podoba mi się twoja mina, możesz mi wierzyć.

Zakrystyjan. Co słyszałeś więcej?

Drugi strażnik. Słyszałem, że dostał tysiąc dukatów od Don Juana, aby fałszywie oskarżyć panią Hero.

Ciarka. To wyraźny rozbój, jakiego jeszcze nigdy nie widziano.

Kwasek. To rozbój, na honor.

Zakrystyjan. Co więcej?

Pierwszy strażnik. Że hrabia Klaudyo, na jego zaręczenie, postanowił zbezcześcić Hero w przytomności całego zgromadzenia i nie pojąć jej za żonę.

Ciarka. O, łotrze, skazany będziesz za to na wieczne zbawienie.

Kwasek. Dalej, okuć ich w dyby.

Konrad. Precz ztąd, kapcany!

Ciarka. Boże nieśmiertelny! gdzie Zakrystyjan? Niech zapisze, że książęcy urzędnik jest kapcan. Żwawo, w kij ich wsadzić! A ty hultaju!

Konrad. Precz mi! co za osieł, co za osieł!

Ciarka. Czy ty nie domyślasz się mojej godności? Czy ty nie domyślasz się mojego wieku? O, czemu go tu nie ma! czemu go tu nie ma! żeby zapisał, żem osieł! Wy przynajmniej, mości panowie, nie zapomnijcie, żem osieł; choć rzecz nie zapisana, pamiętajcie, żem osieł. Ty zaś, hultaju, pobożna z ciebie sztuka, jak ci tego dobrzy świadkowie dowiodą. Dzięki Bogu, nie jestem głupi; co większa, jestem urzędnik; co większa. jestem posesyjonat; co większa, jestem sztuka mięsa, jakiej w całej Messynie nie znajdziesz, a prócz tego znam prawo, bądź spokojny; a prócz tego nie jestem bez grosza, bądź spokojny; choć poniosłem pewne straty, mam jeszcze dwa płaszcze i nie mało pięknych rzeczy mam na mojej osobie. Wyprowadzić go! O, gdyby był zapisał, żem osieł!

Szekspir (patrz str. 80 T. I.)

Pospolitość.

Pewien kawaler pytany był często, czemu się nie żeni?

— Małżeństwo jest rzeczą tak pospolitą — odrzekł młody człowiek — kłótnie w niem są tak pospolite! bójki nawet między małżonkami należą do zjawisk pospolitych, a dopieroż powiernicy i powierniczki, które się wtedy tak pospolicie znajdują! Widzicie, moi państwo, że małżeństwo jest zbiorem pospolitości, a ponieważ jej w życiu unikam, dla tego nie mogę się ożenić!

Post.

Rycerski Ausa w obiadowej chwili
Zachęcał Lachów, by Turka pobili,
Wołał: — „Żołnierze, posilać się rano,
„Wieczerzę waszą w niebie zgotowano!”
Rzekł—wnet wydano sygnały i hasło,
Zagrała surma, żelazo zatrzasło,
Zwarli się męże, — a gdy wściekłość wzrasta,
Cóż wtedy Ausa?—Ubieżał do miasta.
Gdy zaś spytano tak dzielnego człeka,
Czemu od uczty niebieskiej ucieka?
— „Wiecie co, bracia? (rzekł tający trwogę)
„Ja dzisiaj z postem—wieczerzać nie mogę.”

Sarbiewski (tłom. *Syrokomla.*)

* Erazm, który nigdy postów nie obserwował, na uczyniony mu z tego względu zarzut odpowiedział:

— A cóżem ja temu winien, że mam duszę katolicką, a żołądek luterański?

Gastronomiana.

* *Zawsze z postem.*

(SATYRA SEZONOWA.)

Dni czterdzieści ludzie poszczą,
Umartwiając ciało swoje,

I młodziany i dziewoje
I dewotek całe roje,
Głodne brzuchy swoje chłoszczą
Po obżarstwie w karnawale;
Dziś na puste swe żołądki
Kładą głodu już pieczątki,
Aby potem znów w zapale,
Obeżreć się doskonale.
Lecz nie pomnę w tej zabawie,
Że dziś z biedy naszej wzrostem,
W walce życia myśmy prawie,
Zawsze... z postem!

Każdy dziś o lud roboczy,
Ze trójnoga swego szczytu,
I swem piórem do zenitu,
O wzmocnienie dobrobytu
Biednym ludziom sprawę toczy.
A lud czeka wciąż cierpliwie,
I choć głodny i ubogi,
Wiadomości chwyta chciwie,
Co na literackiej niwie,
Piszą bożki i półbogi,
Lecz pisanie — nić pajęcza
Alzyratu tylko mostem,
Dobrobytu niknie tęcza,
A lud... z postem!

Światła! Światła! każdy krzyczy.
Wziąwszy szatę apostoła,
Kogo możesz, to dokoła.
Cywilizuj! Ale zgoła
Próżny krzyk to i zwodniczy!
Co tam światło, co nauka,
Lepiej bawmy się ochoczo,
Inne ludy naprzód kroczą,
U nasz się rozrywki szuka,
Chociaż w głowach pusta... luka.
Blaga górą! to zasada.
Powierzchownym lśni pokostem,
Lud głupieje i upada
Bo jest... z postem!

Przemysł, handel nasz upada,
Bo dziś kupcy nie targują,
Ich zarobki procent zjada,
Żydy, jakby sępów stada,
Na nasz pieniądz wyczekują,
Bo z nich każdy to rozumie,
Że zysk częsty, ale mały,
Dobrobytu sekret cały,
Choć się każdy z nich mozoli,
Ale złotym lśni porostem,
A my dumni, ale... goli,
Ale... z postem!

Szlagornerja po wsiach zrzędzi,
I na biedę wciąż narzeka,
Lecz na żyda, liczy, czeka,
Jego głos, to śpiew łabędzi!
Są pieniądze! Eureka!
Pokolenie szlachty młode!
Gdzież tradycyja o honorze,
Gdy w pieniężnym swym ferworze,
W żyda ryżą cmokcesz brodę,
Gdy sprzedajesz na pniu zboże?
Może się to kiedyś zmieni,
Że przestaniesz raz być ostem:
Po dziś w głowie i w kieszeni
Djablo... z postem!

Rzemieślnicy! dzielna młodzi,
Ty przeróżnyh cechów dziatwo,
Z poniedziałku nie rób święta,
Niech z was każdy to pamięta,
Że zarobek przepić łatwo,
Ale przepić się nie godzi,
Niech tam walczy zagranica,
I miljardy swe obraca,
Wy pomnijcie to, że praca
Czystych zysków jest krynica.
Niechaj każdy się poszczyci,
Tych rąk polskich pracy wzrostem,
A będziecie ciągle syci
Nigdy...z postem!

Dni czterdzieści ludzie poszczą,
Umartwiając ciało swoje,
I młodziany i dziewoje,
I dewotek całe roje,
Głodem brzuchy swoje chłoszczą.
Po obżarstwie w karnawale,

Dziś na postne swe żołądki,
Kładą głodu już pieczątki,
Aby potem znów w zapale,
Obeżreć się doskonale!
Lecz nie pomną w tej zabawie,
Że dziś z biedy naszej wzrostem
W walce życia myśmy prawie,
Zawsze z... postem!

P. Kośmiński.

Potop.

Ducis rzekł raz do Chamforta:

— Jeżeli Pan Bóg nie zsyła drugiego potopu, to jedynie chyba dla tego, że się przekonał o bezskuteczności pierwszego.

Encyklopediana.

Poty.

U lekarza.

Lekarz. Jakże mąż pani?

Żona. Zdrów zupełnie.

Lekarz. Więc poty pomogły?

Żona. Wprawdzie pańskie lekarstwa nie sprawiły mu potów, ale jak się wczoraj dowiedział, że p. X., który mu był dłużny 1,000 rs. zbankrutował, tak się spocił, że do dziś dnia niby w wodzie leży. Uważam zatem, że domowe środki daleko więcej działają i dziękuję już za wizyty szanownego pana.

Poufnie.

Do damy, zajmującej się urządzeniem loteryi na cel dobroczynny, przychodzi w dzień ciągnienia jedna z przyjaciołek, zaszczycona zaufaniem księżnej X. i oznajmia poufnie, że księżna pani ma zamiar wziąść udział w loteryi i osobiście próbować szczęścia.

— Spieszę wcześnie uprzedzić o tem kochaną panię — dodaje owa powierniczka — ażeby na tę chwilę zatrzymać najlepsze losy. wszak to kochana pani rozumie?..

Flieg Blät.

Powieść.

* Powieść jest romansem, w który się wierzy, a romans powieścią, której się nie wierzy.

* *Powieść wschodnia.*

W Bagdadzie pewien kalif
Namiętnie lubił nalew-
ki.

Gdy spił, się lubił burdy
I leciał aż za Kurdy-
stan.

W haremie wnet taraban
Grzmiał i tańczono draban-
ta

Stróż wierny otwarł szlaban
Wkradała się kontraban-
da.

Później mu słudzy nałżą,
Jak wierne jego małżo-
nki

Tak wyszedł wielki kalif,
Co bardzo lubił nalew-
ki.

Wszystkich taż czeka sława,
Co nadto lubią bawa-
ra.

Powrót.

Gdym się żegnał z dziewczyną,
Gdym się żegnał z jedyną,
Widziałem:
Że to dziewczę niepłoche
Zasmuciło się trochę,
Że mu łezki z ócz płyną
Nawałem.

Na łez pełne powieki
W pocałunkach są leki,
O!.. eden.
Więc perełki z kryształu
Jam zcałował pomału,
I—w świat szedłem daleki
Sam jeden...

Śliczne oczy płakały,
Aniołeczek się biały

Wciąż smucił,
I wciąż modlił się rzewno,
Bylem tylko napewno,
Jaknajprędzej, zdrów, cały
Powrócił.

Lata biegną jak fale,
Głusząc pamięć i żale,
Więc potem,
Dziewczę skrycie coś wzdycha,
Boga prosi znów zcicha,
Bym nie spieszył się wcale
Z powrotem.

Choć trąciła kozerą,
Prośbę przyjął Bóg szczerą
Dziewczyny:
Los jął szyki mi kłócić;
I — gdym na ślub chciał wrócić —
Powróciłem dopiero
Na... chrzciny!..

* *Po powrocie z zagranicy.*

— A witam, witam, drogi mój Antosiu, cóż tam w Europie?

— A cóż — w Wiedniu powiadam ci, kiełbaski i piwo, palce lizać, z Paryża mamy prawdziwe paryzkie rękawiczki, w Ostendzie fiasco panie, ostryg jeszcze nie było.

— No, a gdzie się najlepiej jada?

— Z ręką na sercu powiadam ci, że w Brühlowskim hotelu!

Powód.

* *Znakologija.*

Z powodu rozwodu pryncypała z właszczyczelką, interes jest na cias krutki zamknięty, ale jak kiemu bardzo pylno, to niech zapuka do tego tyłu.

* *Dostateczny powód.*

— Powiedz mi, dla czego się nie kłaniasz młodemu S*?

— Mój kochany, czyż nie wiesz, że jeszcze za czasów Mojżesza, Pan Bóg zabronił kłaniać się bałwanom?...

* *Powód ważny.*

— Nigdybym nie przypuszczała Tereso, że wybierzesz sobie Alojzego za męża — mówiła sąsiadka do panny młodej — czy go tak bardzo pokochałaś?

Teresa. Ej, wcale nie!

Sąsiadka. To może dla widoków majątkowych...

Teresa. O i to nie, oboje mamy tyle co i nic.

Sąsiadka. Więc na miłość boską! po cóż robicie to wesele?

Teresa. Oto chcieliśmy raz przecie zrobić sobie dzień wesoły!

Pozdrowienie.

Dla czego tyle jest różnych pozdrowień na świecie? Niemcy witają się słowami: „Jak się znajdujesz?" Hollendrzy „Jak jedziesz?" Anglicy „Co myślisz czynić?" Hiszpanie „Jak stoisz?" Francuzi „Jak się nosisz?" W Chinach ogólnie przyjętem pozdrowieniem jest zdanie: „Czy zjadłeś swój ryż?" W Egipcie pytają „Czy się pocisz?" bo sucha skóra jest w tym klimacie oznaką śmiertelnej gorączki. Najrozsądniejsze pozdrowienie wynaleźli Słowianie, którzy pytając „Jak się masz?" oznaczają temi słowy troskliwość o moralny i fizyczny stan zdrowia bliźniego.

Pozew.

Woźny już dawniej wyszedł ku domowi Hra-
[bi,
Jak lis bywalec, gdy go woń słoniny wabi,
Bieży ku niej, a strzelców zna fortele skryte,
Bieży, staje, przysiada coraz, wznosi kitę
I wiatr nią jak wachlarzem ku swym nozdrzom
[tuli,
Pyta wiatru, czy strzelcy jadła nie zatruli? —
Protazy zeszedł z drogi i wzdłuż sianożęci,
Krąży około domu; pałkę w ręku kręci—

Udaje, że obaczył kędyś bydło w szkodzie,
Tak zręcznie lawirując, stanął przy ogrodzie;
Schylił się, bieży, rzekłbyś, iż derkacze tropi:
Aż nagle skoczył przez płot i wpadł do kono
[pi.
Protazy, choć człek śmiały, uczuł nieco stra-
[chu;
Bo przypomniał z samego rośliny zapachu
Różne swoje dawniejsze woźniańskie przy-
[padki,
Jedne po drugich, biorąc konopie na świadki:
Jako raz zapozwany szlachcic z Telsz, Dziu-
[dzolet,
Rozkazał mu, oparłszy o piersi pistolet,
Wleźć pod stół i ów pozew psim głosem od-
[szczekać,
Że woźny musiał co tchu w konopie uciekać.
Jak później Wołodkowicz, pan dumny, zu-
[chwały,
Co rozpędzał sejmiki, gwałcił trybunały,
Przyjąwszy urzędowy pozew, zdarł na sztuki,
I postawiwszy przy drzwiach z kijami hajdu-
[ki,
Sam nad woźnego głową trzymał goły rapier,
Krzycząc: „Albo cię zetnę, albo zjedz twój pa-
[pier!"
Woźny niby jeść zaczął, jak człowiek roztro-
[pny,
Aż skradłszy się do okna, wpadł w ogród ko-
[nopny.
Wprawdzie, już wtenczas w Litwie nie było
[zwyczajem
Opędzać się od pozwów szablą lub nabajem,
I ledwie woźny czasem usłyszał łajanie:
Ale Protazy o tej obyczajów zmianie
Wiedzieć nie mógł, bo dawno już pozwów nie
[naszał,
Choć zawsze gotów, choć się Sędziemu sam
[wpraszał,
Sędzia dotąd, przez winny wzgląd na lata sta-
[re,
Odmawiał jego prośbom, dziś przyjął ofiarę
Dla naglącej potrzeby.
Woźny patrzy, czuwa —
Cicho wszędzie — w konopie zwolna ręce
[wsuwa,
I rozchylając gęstwę badylów, w jarzynie
Jako rybak pod wodę nurkujący płynie;
Wzniósł głowę — cicho wszędzie — do okien
[się skrada —
Cicho wszędzie—przez okna głąb pałacu bada
Pusto wszędzie — na ganek wchodzi nie bez
[strachu,
Odmyka klamkę — pusto jak w zaklętym
[gmachu.
Dobywa pozew, czyta głośno oświadczenie.

Mickiewicz. Pan Tadeusz (p. t, I, str. 19.)

Poznany.

* Bal u jenerała oddawna zaczęty, karety porozjeżdżały się do domów, jedna jeszcze spóźniona maska nadchodzi pieszo i chce przejść przez bramę.

Warta. Stać! niewolno tu wchodzić!

Maska. Co? ty chamie, głupcze, stul pysk i idź do dyjabła, ty bydlaku, ty...

Warta przerażona. Do pioruna! to pan oficer!

* *Prezydent.* Oskarżony! zdaje mi się, że cię poznaję, ty bywałeś tu często?

Oskarżony. Tak, tak, i jak często! Ja zaraz poznałem pana, panie radco... Wielmożny pan... troszeczkę utył.. Jak się powodzi Waszej łaskawości?...

Pożar.

* W jednem z pism codziennych czytamy:

„Żona wyrobnika, Balbina J., która znajdowała się w stanie ciężarnym, wskutek alarmu spowodowanego pożarem i t. d."

Nie przypuszczaliśmy dotąd, żeby alarmy pożarowe aż tak poważne miewały następstwa!

* W pewnem miasteczku wybuchnął pożar, który trwał do drugiego dnia, pomimo, iż na pomoc zebrała się wielka liczba ludzi.

Burmistrz tameczny zawezwał do siebie pomocnika swego, pytając:

— A dosyć tam ludzi jest do gaszenia?

— O! więcej niż potrzeba — odrzekł urzędnik.

— Czy gaszą jeszcze?

— Tak, proszę pana... ale...

— Cóż za ale?

— Ale gaszą... swoje pragnienie — wyjąkał onieśmielony pomocnik.

Pożyczka.

* — Pożycz mi pan 20 złotych.

— Nie mam, tylko piętnaście.

— Nic nie szkodzi, daj piętnaście, a pięć będziesz mi winien.

(*Humorysta Warszawski.*)

* Szlachcic jeden w czasie kontraktów, prosił znajomego księdza, aby mu nastręczył jaką sumę. Ksiądz, biorąc to w znaczeniu duchownem, zamówił go na dzień następny do O. O. Reformatów. Stawił się szlachcic, a w tem wyszedł i ksiądz z sumą, ale nie taką, jakiej tamten potrzebował.

* *Jakie są sfery działalności inteligentnych mieszkańców miasta Zabłotkowa.*

Doktór — na ręku.
Pocztmajster — pomaga.
Aptekarz — ma leżeć bez dwóch.
Naczelnik — tasuje.

Praktyczna Zosia.

(Autentyczne.)

— Ładnie to z pańskiej strony, panie Józefie, zapominać o swej narzeczonej... W dzień Nowego Roku nie przysłać żadnego prezentu...

— Jakto? A bukiecik fijołków pani nie powiedział o mnie?

— Eh, ja wolałabym co ze zwierzyny.

Prałat.

I to być musi do fraszek włożono,
Jako prałata jednego uczczono:
Białych głów młodych i panów niemało
Za jednym stołem pospołu siedziało;
Siedział też i ten com go już mianował,
Bo dobrej myśli nigdy nie zepsował;
Mnich wedle niego, a po drugiej ręce
Pani co starsza. Słuchajże o męce:
Na pierwszem miejscu pannę całowano,
Także do końca podawać kazano;
Więc tego nie raz ale kilka było,
A prałatowi by kąska nie miło:
Bo co raz to go baba pocałuje,
A on zaś mnicha; więc mu się styskuje,
Miał czyściec prawy jeszcze na tym świecie,
Bodaj wam taki, co go mieć nie chcecie.

W. Kochowski.

Prasa.

Głosy pism warszawskich nazajutrz po jubileuszu Kostrzewskiego.

PRZEGLĄD TYGODNIOWY.

...Opaśli panicze z Teatralnego placu w połączeniu z gromadką bankierów i lakierników (*vulgo* artystów malarzy, choć im do artyzmu nikt prawa nie dawał) urządziło sobie w resursie kupieckiej szampanewą kolacyję na wzór wyprawianych codzień hulaszczych libacyi u Stępka lub Bocqueta. Co się tam działo opowiadać nie chcemy, oko bowiem od wstrętnych tych scen odwraca się z oburzeniem; pomijając wszakże względy społeczne i ekonomiczne, skonstatować musimy, iż pretext jubileuszu najniestosowniej był wybrany. wobec tego, iż wielu prawdziwych mistrzów palety nie doczekało się głośniejszych objawów hołdu i czci współczesnych. Wymienimy tu tylko słynnego malarza Gobelina. Ale dość już, dla kuryerkowych mędrców i tego za wiele. Nie prawdaż gawrony?

PRAWDA.

...Do liczby uczczonych kotletami cielęcemi z groszkiem, na kapitolu resursy filisterskiej, należy też wesoły malarz tutejszy, Fran-

ciszek Kostrzewski. Zwiększająca się z każdym dniem liczba uroczystości jubileuszowych budzi w poważnych kołach obawy, iż wkrótce zabraknąć może cielęciny i groszku, co zdaniem wielu organów starej prasy, równałoby się klęsce narodowej. Celem więc zapobieżenia tak rozpaczliwej sytuacyi, radzimy następnie jubileusze obchodzić przy pomocy katolickiego śledzia. Liwerunek wody dla spragnionych jubileuszowiczów, możnaby przy tej sposobności powierzyć przystojnemu profesorowi Krakowskiemu, który, co rok zjeżdżając o tej porze do Warszawy, wyrzuca z siebie „zdroje... cyceronowskiej elokwencyi.“ *All right!* jakby zawołało jedno z miłych reporterzątek Kuryjera.

GAZETA WARSZAWSKA.

Jubileusz. Nie bawiąc się w powtarzanie plotek brukowych, musimy przecież zaznaczyć, iż w roku przyszłym ma być obchodzony trzydziestoletni jubileusz malarza Kostrzewskiego.

(Przy artykuliku adnotacyja, złożona przez pomyłkę zecera.)

Mój Wincenty! Gdyby, uważasz, nie było miejsca na rezultat wyborów w Paragwaju, każ trąbie zostawić to głupstwo do lata.

SŁOWO.

Franciszek Kostrzewski, jak donosi „Gazeta Warszawska“, obchodzić będzie w roku przyszłym trzydziestoletni jubileusz swej artystycznej działalności.

GAZETA POLSKA.

Znakomity nasz humorysta, Franciszek Kostrzewski, obchodził w dniu wczorajszym swój trzydziestoletni jublileusz, o czem rozpisuje się obszernie nasz korespondent z Odessy.

WIEK.

Z okoliczności wystawienia „Rodziny“ czteroaktowej komedyi Zalewskiego i pana J. I. Kraszewskiego, której akt czwarty zwłaszcza entuzyjastyczne wzbudził oklaski, podniesiono w społeczeństwie naszem wiele uwag i godnych projektów. Między innemi znajduje się też myśl uczczenia trzydziestoletnich zasług na polu artystycznem Franciszka Kostrzewskiego. Wiadomość tę podajemy *pierwsi*, a wkrótce zapewne znajdzie się ona w telegramach *Neue freie Presse.* To, że dziennik warszawski służy za źródło wiadomości politycznych z pierwszej ręki dla prasy europejskiej jest wypadkiem, który podnieść w interesie prasy warszawskiej uważaliśmy sobie za obowiązek, jak również zawiadomić czytelników, iż z powodu nadmiaru abonentów dalsza prenumerata przyjmowaną już nie będzie, natomiast zaś dawne roczniki „Wieku“ nabywane być mogą po cenie Rs. 10 za egzemplarz.

ECHO.

Sympatyczny tyle i pełen prawdziwie rodzinnego talentu, świetny nasz humorysta ołówkowy, Franciszek Kostrzewski, w kołach obywatelskich „lubym Frankiem“ zwany, doczekał się wczoraj godnego swych zasług uczczenia. Najwykwintniejsze warstwy naszego drogiego społeczeństwa wzięły w wydanej na jego cześć biesiadzie chętny współudział, a salony gościnnej po staropolsku szanownej resursy kupieckiej, otworzyły się dla jubilata i jego towarzyszy z gotowością, najwyższego uznania godną. Nie potrzebujemy zdaje się nadmieniać, iż chwila ta przeszła jak rajski sen motyla, trzepoczącego się wesoło na lasce ślicznej sztamowej róży i że uwielbianego powszechnie jubilata zasypywano, jak gradem tysiącami prosto z pod serca płynacych życzeń.

Tu jedna tylko skromna uwaga.

Oto wielu z biesiadników było prawdziwie zażenowanych, mięsną, choć w całem tego słowa znaczeniu, ciepłą zastawą wieczerzy. Jest to rzecz mała, ale... z naszego stanowiska do podniesienia konieczna. Lekceważenia tradycyi doczekaćbyśmy się nie chcieli i pewno się

nie doczekamy. Wobec tego więc rzucamy projekt spiesznego założenia gospód postnych, w którychby o każdej porze, obserwujący sę dziwe, a swojskie i ztąd najświętsze zwyczaje, mogli dostać na porcyje, naszej... utalentowanej, szanownej ryby. Ufamy całą duszą, iż myśl ta trafi w... myśl kochanego ogółu.

GAZETA HANDLOWA.

Ceny spirytusu, ulegające w ostatnich czasach ciągłym fluktuacyjom, poprawiły się. Przypisujemy to zapowiedzianemu na wczoraj jubileuszowi. Kostrzewski był przed jubileuszem tańszy; dziś niezmienny; zdaje się jednak, iż w akcyi nie poprawi się.

KURYJER CODZIENNY.

Co najmniej dziwne!

Donosiliśmy już czytelnikom naszym o mającem się odbyć w dniu 18, a raczej 19 b. m. śniadaniu, dla uczczenia zasług znanego naszego humorysty, pana Franciszka Kostrzewskiego.

Wedle pierwotnego programu, jubileusz ten miał być obchodzony przeważnie przez braci literatów i artystów, bez urzędowych mówek, ostentacyi i t. p. historyi.

Tymczasem, miast zgotowania nam takiej chwili, jakiś ktoś wpadł na pomysł urządzenia Kostrzewskiemu wielkiej owacyi, oznaczając przytem składkę od osoby po Rs. 10, której żaden szanujący się obywatel uiściłby się nie ośmielił.

Dowiedziawszy się o tem z najlepszego źródła, jako trzymający zawsze rękę na pulsie naszego społecznego życia, zaoponowaliśmy stanowczo, wierząc, iż tego rodzaju manipulacyja niepowołanych komitetowców upaść musi i że głos przestrogi naszej uwzględniony zostanie.

Niestety, omyliliśmy się srodze.

Dobosze składkowi dopięli swego i zainscenowali rzecz największego potępienia godną.

Cofając się więc z naszym „sierocym groszem" od kasy bankierskiej, oświadczamy, iż w tej chwili nie pozostaje nam nic innego, jak zaprotestować uroczyście przeciwko takiemu karygodnemu złamaniu karności obywatelskiej.

Protestujemy tedy z całych sił, a oburzenie nasze, jak sądzimy, podzielą wszyscy jednakich z nami przekonań i wierzeń.

Nie wdając się zaś w szumne zapowiedzi, zawiadamiamy łaskawego czytelnika, iż do tego przedmiotu powrócimy niejednokrotnie i przedstawimy go w całym szeregu naczelnych artykułów, o których napisanie uprosiliśmy jednego z czcigodnych radców Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego.

KURYJER PORANNY.

Dzisiaj około godziny 1-szej nad ranem, ukazała się nagle na horyzoncie jasna łuna.

Zaalarmowane wszystkie oddziały straży ogniowej pośpieszyły natychmiast na miejsce łuny (naturalnie my z niemi), gdzie jednak przekonaliśmy się, iż w tej chwili właśnie odbywa się tam uroczystość jubileuszowa Franciszka Kostrzewskiego, czemu przypisać należało objaw silniejszego światła.

Na jubileusz ten byliśmy też zaproszeni, nie zdążyliśmy jednak z uwagi, iż numer nasz wychodzi w nocy, a ekspedyjowany jest na miasto rano.

Od osób wszakże dobrze poinformowanych dowiadujemy się, iż stroje panów były wyłącznie czarne.

I tak: fraki koloru czarnego (pressé) z podszewkami przeważnie jedwabnemi, takież kamizelki z podbiciem białem—hm... hm... także czarne, kroju dowolnego, powszechnie jednak szerokie, lekko, niemal powiewnie spadające na trzewiki systemu angielskiego ze spłaszczonemi napiętkami (wprowadzamy nowy termin) z ostrymi końcami.

Czerwone krawaty okazały się pomysłem praktycznym i estetycznym, nie odbijają bowiem zbytnio od cery biesiadników...

Elegancyją kostjumu i wdziękiem postawy wyróżnił się sam jubilat, dalej młody *** i dobrze zakonserwowany pan ☐.

Przy tej sposobności donosimy, iż wczorajsza nasza wiadomość o zabiciu jakiegoś człowieka przez sz. jubilata redukuje się do prostej pomyłki — jubilat bowiem zgładził tylko domowe zwierzątko, nie objęte nawet ustawą Towarzystwa opieki nad zwierzętami, którego jesteśmy członkami.

KURYJER WARSZAWSKI.

Dla Kostrzewskiego.

Było to wczoraj...

W znanych rerursy kupieckiej salonach zebrało się spore osób grono celem uczczenia trzydziestoletnich zasług humorysty...

W zbitym, otaczającym jubilata tłumie, dostrzegliśmy reprezentantów inteligencyi, świata artretycznego *) i literackiego naszego miasteczka...

Nic dziwnego; jak Kuryjer, rozchodzący się w 20,000 egzemplarzy, znajduje się w każdym domu i pod strzechą każdą, tak i nasz Kostrzewski żarliwych wszędzie ma przyjaciół.

A przyjaźń znaczy wiele, — więcej niż się domyślać można.

. . . .

Ocena działalności naszej nie do nas należy, nie mniej zwrócić musimy uwagę czytelnika na rączość, z jaką s; ecyjalni nasi sprawozdawcy podali przebieg całego wieczoru, nie pomijając najmniejszego z szczegółów, nie zatracając ani jednego słowa z przemówień wczorajszych oratorów!

. . . .

Jeszcze jedno...

W chwili, gdy uroczystość jubileuszowa wrzała w całej pełni, gdy punkt jej za punktem iścił się z bezprzykładną akuratnością, gdy potrzeba druku coraz bardziej wzrastała, wydaliśmy dodatek nadzwyczajny!

Było to o godzinie 4-ej rano...

Teraz jest szósta.

Za kwadrans z pod pośpiesznych maszyn naszych systemu Königa i Bauera, odbijających 10,000 egzemplarzy na godzinę, wyleci na ten piękny świat nowe wydanie Kuryjera.

I tak zawsze!

Czyż nieprawda?

. . . .

Prawda.

* Najwyższą rozkoszą życia jest miłość, największym skarbem zadowolenie, najlepszem dobrem zdrowie, najskuteczniejszą pociechą sen, najtrwalszą podporą wierny przyjaciel.

* *Z księgi prawd... starych.*

Precz z Amorem — Amor kiep,
Zestarzałych bredni szmat,
Już te głupstwa wzięły w łeb,
Teraz nowy, mądry świat
Pfe! golizna szpetna rzecz,
Czcić ją mógł w posągach Grek,
Ja się przed nią cofam precz.
Bom jest... przyzwoity człek.
Młodzieży, ty nad poziomy
Nie wzlatuj i nie kręć karku,
Lepiej posagów ogromy
Badaj jak na jarmarku.
Nazwisko do nazwiska i ręka do ręki,
Niech je stuła powiąże w żelazne łańcuchy,
Szkatułę duś pod pachą, a nie patrz na wdzięki
I dalej — w małżeńskie puchy.

* *Dwie prawdy.*

Po błękitach bujał nieba
I harmonii słuchał sfer,
Zjadaczami gardził chleba,
Pionier nowych w świecie er!
— Dzisiaj się z staruszką żeni
Za tłuściutki kęs pieczeni!

*) Artystycznego — pomyłka zecera.

W walce pracy z kapitałem
Chciał w puch rozbić nędzny świat!
Przysiągł — życiem walczyć całem,
On, krzywdzonej czerni brat.
— Dziś, gdy warsztat sam prowadzi,
Skórę zdziera z swej czeladzi!

W niedostatków mrąc boleści,
Potępiała niewiast ród
I płakała na niewieści
Hołdów, strojów, zbytków głód!
— Jednak spadek niespodziany
W rok puściła na gałgany!

Zenon, znany demokrata,
To zacięty panów wróg!
Magnatami on pomiata,
Równość klas — to jego Bóg!
— Lecz przed hrabią w interesie
Jakby trzcina w dwoje gnie się!

Truć chciał wszystkich gospodarzy,
Póki dachu nie miał sam,
To wampiry, co z nędzarzy
Sączą krwi ostatni gram!
— Dziś ma domek i pomału
Czynsz podwyższa co kwartału.

Spółka w mieście się zakłada:
Piotr w tej sprawie wodzi rej,
Agituje, krzyczy biada,
Przyszłość kraju widzi w niej!
— Czemuż dziś ją klnie z ferworem?
Bo już nie jest dyrektorem!

Tak to prawd aż dwie dla siebie
W każdej sprawie bracie masz,
Tę lub tamtą też w potrzebie
Rzucasz głupim ludziom w twarz!
A gdy jeszcze źle z waszecią
— To wymyślasz prawdę trzecią!

F. Konarski (p. t. I str. 48).

* *Prawda czy żart.*

Z wściekłością spytał ktoś, co otrzymał przed chwilą policzek:

— Panie! jak mam to uważać, za żart, czy za prawdę?..

— Za prawdę — odrzekł jego przeciwnik.

— No to całe twoje szczęście, bo żartów podobnych nie znoszę!

Prawdy nieomylne.

I.

Chełpił się Kupido, że żadna mu zgoła
Kobieta stawić oporu nie zdoła;
A Plutus na to odrzekł: — Jesteś w błędzie,
Bo każda prędzej mnie powolną będzie.

II.

Nabożniś klepie pacierze
A oszuka kogo może,
Nigdy temu nie uwierzę,
Byś takiej czci pragnął, Boże.

III.

Co się stało, że dziewucha,
Wprzód z chłopcami poufała;
Dziś tak z nimi jest nieśmiała:
Sparzyła się — zatem dmucha.

IV.

Z niczego tak się dewotka nie cieszy,
Jak gdy się dowie, że ktoś drugi zgrzeszy.

V.

Chełpił się kapłon, że jego przodkowie
Były to we wsi najpierwsze koguty
— I cóż ci z tego — kura mu odpowie —
Kiedy z ich płci zostałeś wyzuty.

Prawdopodobnie.

— Cóż tam słychać w waszem mieście? panie studencie — pyta gospodyni domu przybyłego na wieś kandydata teologji.

— Ja nigdzie nie bywam, pani dobrodziejko — odpowiada nieśmiało przyszły duchowny — ale w drodze słyszałem, jak jeden z moich towarzyszów podróży mówił drugie-

mu, jak wielką nowinę, że pani prezesowa N. obdarzyła swego męża dzieciątkiem.

— Co pan mówi? naprawdę, a czy to był synek czy córka?

— Tego już nie potrafię powiedzieć, ale prawdopodobnie było to coś takiego.

Fieg. Blät.

Prawnik.

Prawnik i krytyk ciemne życia śledzą
Plamy, badają piśmiennictwa pole.
Odkryją *wszystko*, *wiele* nie powiedzą
Ci wymiatacze śmieci na podole
Płaczu. Nad czem się prości ludzie biedzą,
Prawnik to kładzie na sekcyjnym stole,
Nożem wywodu sięga aż do brzucha,
Tłomacząc proces wszystkich działań ducha.
Kominiarzem jest moralnym jurysta
I to przyczyna, czemu taki *brudny*,
Że nie pomoże już koszula czysta,
Tak brud zasiadły do wymycia trudny;
Sadza się wpija. Na prawników trzysta
Ledwie dziesiąty jest moralnie schludny.

Byron.

Prawo.

Cyceron, obawiając się następstw szykan prawnych, radził jednemu z przyjaciół:

— Jeśli słuszność po twojej stronie, szukaj pojednania z przeciwnikiem, jeśli odwrotnie, to go procesuj.

Prażmowski.

„Ale nie widziałeś podobno, ślepiu, że to ślepa fortuna więcej może niżeli ty i nie uważa kto mniejszy, ale temu służy, do czyjej niewinności Bóg ją w pomoc wysyła. Deklarowałeś króla sekundować ręką i radą, pomocą i modlitwą; sekundowałeś tedy radą: patrz że jak się nadała twoja rada: do czegoś ojczyznę i majestat przyprowadził; prezentowałeś się w batalijach: o, jak to straszne rzeczy widzieć chłopa ślepego w szyku, z ogolonymi wąsami, szeroką fijoletową sutaną, szkapę i z ogonem okrywającego. Sekundowałeś modlitwą: nie tylko ucho Boskie ale i całe niebo mierzała, kiedy taką zacną wiktoryję królowi Kazimierzowi wyjednała. Inna to jest rzecz panie jednooki, pod taszlibrowym pastorałem rozwalać się w aksamitnem krześle, pontkę*) sztafirując, insza balsamem nakładanego regimenciku wąchać, a insza z tabakiery okrutnego Gradywa siarką i saletrą perfumowanemu wytrzymać kondymentowi**). Nie umiałeś tego, kiedyś w Prażmowie po pasternisku ojca swego w konopnej koszuli za cielętami chodził. Oj astrzębiałeś sówko; nazbyt wysoko latasz, zasuszywszy te piórka bystre na chlebie Rzptej matki swojej, którą teraz swojemi machinacyjami tłumisz. Nie byłeś żołnierzem jako żyw, a rozniecileś krwawą wojnę, a już to podobno nie pierwszą; przypomnij sobie szwedzką, boś też był drugim pomocą i okazyją. Na wojnę wołasz, a nie wiesz, co to wojna. Przynajmniej stąd mógłbyś brać miarę, że to choć palcem oko wykolą, to po staremu łechciwo, jako je tobie wykłuł brat twój rodzony, powadziwszy się z tobą w szkołach o kiełbaskę, a pogotowiuż, kiedy je z polnego działka zaprószą. Ta krew braterska za twoją radą i okazyją wylana, te pracowite ubogich ziemian i wyssane substancyje uznasz, jakimić na sądzie strasznym staną się instygatorami. Wątpię, ażeby cię tam zasłoniły te francuskie talary, których na machinacyje nabrałeś, a potem damom rozdałeś. Albo rozumiesz, co to piszę, nie dowiodę kiedy będzie potrzeba? Wiem na cię sekretów nieduchownej osobie należnych wiele, a nadewszystko mam kartkę, której dostałem we Lwowie na komisyi, od ciebie do jednej mężatki ordynowaną z tak wszetecznym stylem, że i sodomskie miasta nie wiem jeżeli takie praktykowały obyczaje. Do kogoś to pisał, przypomnij sobie choć po tym terminie, który napisałeś w postskrypcie w te słowa: „Twoje śliczne i oczom moim milusieńkie pozdrawiam

*) *Pontka=bródka kończasta.*

**) *Przyprawie.*

drobiaszczki i one jaknajprędzej pocałować życzę". Co to za drobiaszczki, wytłomacz mi, czy to oczy, czy to palec; czy co inszego? Choćbym rzekł: „dzieci": to i tak rozumieć nie mogę, bo tamta dama żadnego natenczas dziecka nie miała, gdyż też niedawno bardzo poszła za mąż.

O księże kurzeju! *), gdybym ja był mężem tamtej żony, a wiedział o takich przyjaźniach, jako i tamten nieborak dowiedział się, znalazłżeby ja na cię sposobu, żebym z ciebie uczynił prawdziwego kapłona i potrafił to, żebyś był namiestnikiem mądrego Orygenesa, co się to z cudzymi delektujesz drobiaszczkami. Już ja wiem, żeby twoje własne pić prosiły, gdyby mi się w garść dostały. Są też i insi zacni prałaci, biskupi, kolegowie twoi: patrzaj na postępki krakowskiego (Trzebieckiego Jędrzeja), poznańskiego (Tolibowskiego Wojciecha), płockiego (Gębickiego Jana) i inszych; wszak to ludzie jako i ty, a słychać że na nich, aby podobieństwo postępków twoich, zacny pasterzu! Jabym tobie i kmieciej obory, gdzie krowy stoją, nie dał w komendę. Dobrze to w tobie upatrzył wielki i pierwszy tej Rzptej senator, JMść pan kasztelan krakowski (Warszycki Stanisław), kiedy to do ciebie wyrzekł słowa: „Trzebaby na WM Pana takiego drewna, któregoby sutana choć z najdłuższym ogonem nie przykryła".

Jeżeli tedy, mój wielki prałacie, tak wielkie wysoki senator w liście swoim przypisuje ci przymioty, toć i ja wiem, nie jakobym cię miał swobodniej nazwać: czy antistes **) czyli też antichristus; czy ministrem kraju, czy nauczycielem sztuki kochania; czy strażnikiem praw, czy zdrajcą panujących; czy ojcem ojczyzny czyli też sprawcą łez, rozlewu krwi i powszechnej w królestwie nędzy. Za co niezwiędłą jednak i cuchnącą zostawiasz krajowi pamiątkę; domowi swemu zacnemu zniewagę i ujmę; duszy zaś przyszłość opłakaną, wielką na sądzie Bożym turbacyję.

Transfigurowałeś dobrego pana powolność w zawziętość; zepsowałeś mu konfidencyją do poddanych, poddanym do niego; wymazałeś jego imię z księgi dobrych i sprawiedliwych monarchów; rujnujesz wiecznie dobrego pana reputacją, podając go na hańbę narodom pogranicznym. Już kiedy mu tak na tym świecie życzysz, toć go upewniać nie możesz z Cyneasem, żeby mu i na tamtym świecie twoje w czem miały dopomóc zasługi, wtenczas kiedy na owym najstraszniejszym parlamencie rzeką: „Żyj i odpowiadaj!" Odpowiadaj: czemuś wzruszał pokój, o który narody zawsze do nieba się uciekają? Odpowiadaj: czemuś dał okazyję do zniszczenia ojczyzny? Odpowiadaj: czemuś nie respektował na krew niewinną, której się tak wiele z twojej okazyi i przewrotnej rady rozlało? Spraw się i za dusze te, które z przyczyny wojny z ciała na śmierć nieprzygotowanego ustąpiwszy, nie poszły, gdzieby były odbywszy spowiedź umierając mogły się dostać.

A na ostatek i z tego spraw się, żeś przez wojnę domową uczynił dobrą nadzieję poganom Turkom; biorą jako kobus wymordowanego skowronka, tym sposobem swoje państwo rozszerzają i na nas już ostrzą zęby. Ciężko tam będzie za najmniejszą krzywdę ludzką za każdą z osobna duszę odpowiadać i za nie nieznośne ponosić męczarnie. Pamiętaj, zdrajco, przynajmniej na charakter chrześcijański, kiedy nie pamiętasz na kapłański; bo to początek dopiero tego, coś nawarzył piwa, które, że źle uwarzone, przykre jest; jak się po nim dochowasz kwasu, tobie samemu gorzką w gardle stanie żółcią; przyszedłeś do stopnia i osiągnienia tak wielkich w kraju honorów, z jednego lichego plebana, nie z żadnej godności ale przewrotności, umiałeś się kukułkom akomodować, których nocna władza promowuje kogo chce, nie patrząc na cnoty, tylko kto ma ochotę do wywrotnej roboty. Skąd tedy promocyja, dotąd wszystkie twoje zmierzają spo-

*) *Kurzej l. kurzeja = pół koguta.*

**) T. c. *biskupem.*

sobności. Nominowano cię teraz prymasem, to jest najwyższym pasterzem w królestwie naszem.

Niś przedtem owce pasał
Przecieś ich jak wilk płaszał.

O wielkaż to owczarnia na twoje jedno oko! trzebaż to obiedwie oczy wytrzeszczać, kto chce należycie owieczki upaść i obchodzić się z niemi łaskawie.

Pewnie tak wielkiego stada nie upasiesz, chyba na drugie oko musisz olsnąć, chyba żebyś się na tych psów spuszczał, których wedle siebie masz dostatkiem; ale i ci od owieczek tobie zleconych wilka nie odpędzą, i owszem bardziej je sami pokąsają, bo są takiej jako i ty fantazji. O nieszczęśliwy pasterzu! bogdajby ja był w twojej owczarni nie postał i ten kto cię na tę godność promował, choćby nic nadto nie zgrzeszył, nie wiem jak do nieba trafi. Do czego ty ojczyznę przywodzisz i tak piekielną radą swoją poburzyłeś, a ciebie po tak zdradzieckich radach większe potykają honory, kiedy i teraz zostałeś na arcybiskupstwo gnieźnieńskie nominatem. Obacz się przynajmniej teraz, bo już też nad tę w Polsce większej nie możesz mieć godności. Królem być nie możesz, na papiestwo cię też nie zawołają, bo w niczem nie naśladujesz Piotra świętego; co Piotr św. dla owieczek Chrystusowych siła biczów ucierpiał, a ty owieczki Chrystusowe drzesz ze skóry: rozpraszasz, niszczysz; przykre dla nich ponosił więzienie i prześladowanie, a ty je sam prześladujesz i w ciężkie podajesz więzienie; gardło dla nich dał i rozlał krew, a ty tej krwi pragniesz jako ryba wody, zaciągając na nich drapieżnych wilków, w pogańską podając ich niewolę, zabijając na duszy i na ciele. I w tem naostatek Boskiego namiestnika Piotra św. nie naśladujesz że on tylko jedną miał poczciwą i pobożną swoją własną żonę, a ty cudzych żon opatrujesz tysiące, owych nie wspominając, które się zowią: mere, mere; trix, trix; a tych się znajduje wielka litanija, gdziekolwiek się obrócisz. Jużże tedy ze wszystkich okoliczności nie możesz być papieżem; w Polsce też już jak mówią, większej mieć nie można godności, choćbyś i tej swojej dokazał imprezy, co usiłujesz, żebyś tego francuzkiego *kondysa* na tron królestwa polskiego wyniósł. I ten *kondysek* nie wypryciałbyć*) już większej nad tę w Polsce godności. Upamiętaj się już! niech ostatnie domu Jagiellońskiego pisklę jako z dziadów i pradziadów swoich pod tą koroną, na tym tronie, na którym jest wolnymi głosami posadzone, spokojnie dni swoje skończy. A w ostatku powiedziano tam gdzieś jednemu: „Aleksandrze! albo obyczaje albo imię odmień!“ Ja zaś rzekę: „Mikołaju! albo obyczaje albo miejsce odmień!” Albo przestań tych fakcyj ojczyźnie szkodliwych, albo jedź sobie do Anglii za predykanta, bo tak z gazet czytam, że tam powietrze takie było wielkie, aż wioski niektóre pusto bez ludzi stoją. Przydasz się ty tam przy swojej rzeźwości i króla możesz sobie zyskać łaskę, kiedy zobaczy, że możesz dobrze predykować i multyplikować jego opustoszone państwo; innego sposobu nie masz; bo cię nie minie drewno, któreć p. krakowski funduje, albo raczej grecka litera π.

Przeczytaj sobie jako się złe rady nadały podobnym tobie konsylijarzom i co ich za przewrotne potkały sztuki, jako to: u Konstantego cesarza, u Zenona Rufina, u Arkadyjusza, u Justyniana, u Tyberyjusza, Plaucyjana i Sewera cesarzów. Pamiętaj na to: „Zła rada dla doradcy najgorsza”. Jak Architofel dawał na sprawiedliwego Dawida radę, tak ją też na swoją zaciągnął szyję. Amau u Aswerusa jaką komu inszemu przygotował łaźnię, w takiej sam musiał się pocić. Jeżeli ci złą śmiercią poginęli, nie możesz się ty lepszej spodziewać, a jeżeli cię na ciele karanie minęło, patrzajże jako pościelesz duszy swojej”.

(*Pamiętniki Jana Chryzostoma Paska*).

*) *Wypryciać=wytropić.*

Pretensya.

A. Wiesz, że pani X. jest śmiertelnie chora?

B. No proszę, a tak zapraszała na czwartek; dobre są sobie te nasze panie!

Program.

Nic bez programu.

Pytał się Piotr Marcina: — jaki jest twój pro- [gram?
A Marcin odpowiada: — rzecz jak bursztyn [czysta,
Gdy z moim przyjacielem zasiadam do wista,
Czynię to w przekonaniu, że go nieźle ogram.

Prima aprilis.

Jak zwiódł Piotruś pannę Katarzynę,
Kwietnia pierwszego,
I jaką ona przez to miała minę,
Co nam do tego.
I że dziś Kasia leje łzy rzewliwe,
I w głos zawodzi,
Nam, chociaż serca wielce mamy tkliwe,
Nic to nie szkodzi...
Albowiem każdej, choć cicha jak jagnię,
Wciąż oczy płoną,
I każda z dziewcząt najgoręcej pragnie
Zostać zwiedzioną.

Próba.

* Mylord Chesterfield, znany z dowcipu i przytomności umysłu, zachował aż do ostatnich dni życia charakter wesoły i usposobienie do żartów. Na kilka dni przed śmiercią wyjechał w karecie na spacer. Ktoś ozwał się doń po powrocie:

— Mylord zażywał świeżego powietrza?

— Nie — odparł — odbyłem tylko próbę mojego pogrzebu.

* *Próba audyjencyi.*

Ks. Henryk. Wystaw sobie, że jesteś moim ojcem i badaj mię o szczegóły mego życia.

Falstaff. Chcesz tego? a więc dobrze. Przypuśćmy, że to krzesło jest moim tronem, ten puginał berłem, a ta poduszka moją koroną.

Ks. Henryk. Twoim tronem jest karczemny zydel, twoim berłem ołowiany szpikulec, a twoją kosztowną koroną nędzna łysina.

Falstaff. Niech i tak będzie! Jeżeli wszelki ogień wstydu nie wygasł jeszcze w tobie, uważ, jak cię wzruszę. Podajcie mi kubek wina, trzeba bowiem, żeby mi się oczy zaczerwieniły, jak po płaczu i trzeba mi mówić z zapałem, na wzór króla Kambyzesa.

Ks. Henryk. Dobrze: — oto mój pokłon.

Falstaff. Dobrze: — oto moja przemowa: — Odstąpcie na bok, szlachetni lordowie.

Oberżystka. A to komedyja, na moją poczciwość!

Falstaff.

Nie płacz!
Droga królowo, nie roń łez daremnie!

Oberżystka. Patrzcie-no, jak on się umie układać.

Falstaff.

Przebóg! oddalcie zbolałą królowę,
Bo łzy szpuntują one śluzy jej oczu.

Oberżystka. Dalipan, łepsko udaje, akurat jak te aktory w teatrze.

Falstaff. Cicho, luba porterówko; cicho, czuła ulęgałko; cicho, drżąca galareto.—Henryku, nietylko się zdumiewam, słysząc, w jakich miejscach czas trawisz, ale i w jakiem towarzystwie to trawienie ma miejsce: jakkolwiek bowiem rumianek tem bujniej rośnie, im bardziej jest deptany, z młodością człowieka rzecz się ma inaczej; tem prędzej ona niszczeje, im bardziej się nią poniewiera. Że jesteś moim synem, świadczy o tem po części twierdzenie matki twojej, po części moje własne mniemanie, mianowicie też zaspokaja mnie pod tym względem szelmowski wyraz twoich oczu i głupowata obwisłość twojej dolnej wargi. Jeżeli tedy jesteś moim synem, jak możesz ścierpieć, żeby cię palcem wytykano? Azaliż przystoi dobroczynnemu słońcu być

warchołem i żywić się plewami? Pytanie, bez któregoby się obyło. Azaliż przystoi synowi Anglii być złodziejem i rzezimieszkiem? Pytanie na swojem miejscu. Jest jedna rzecz, Henryku, o której nieraz słyszałeś, a która w naszym kraju znaną jest pod nazwiskiem smoły: ta tak zwana smoła ma własność walającą, jak świadczą niektórzy starzy pisarze; tę samą własność ma towarzystwo, w którem przebywasz. Zaprawdę, Henryku, nie mówię ci tego teraz po pijanemu, ale ze łzami; nie na wiatr, ale na seryjo; nietylko po angielsku, ale i po ojcowsku. Znajduje się wszakże między twymi towarzyszami jeden cnotliwy człowiek, na którego nieraz zwracałem uwagę, ale którego nazwiska nie pamiętam.

Ks. Henryk. Jakiż to człowiek, jesli łaska waszej królewskiej mości?

Falstaff. Majestatycznej postawy, korpulentny; ujmującej powierzchowności i odznaczającego się szlachetnością obejścia, mogący mieć około pięćdziesięciu, a może do sześćdziesięciu wiosen. Ha! przypominam, nazywa się Falstaff. Gdyby ten człowiek był rozwiązłym, grubobym się musiał mylić, bo w oczach jego wyczytuję cnotę. Jeżeli drzewo można poznać po owocu, tak jak owoc po drzewie, tedy z pewnością mogę twierdzić, że w tym Falstaffie cnota ma siedlisko. Trzymaj się go stale, resztę odpędź. A teraz powiedz mi, urwisie, gdzieś się obracał przez ten miesiąc?

Ks. Henryk. Toż ma być mowa królewska? Stań teraz na mojem miejscu, a ja grać będę rolę mego ojca.

Falstaff. Śmiesz mię spychać z tronu? Mniejsza z tem, abdykuję; ale jeżeli potrafisz sobie nadać choć przez pół tyle powagi i godności zarówno w słowach jak w treści, to mnie powieś za nogi jak zająca, albo królika.

Ks. Henryk. Dobrze: — oto już siedzę.

Falstaff. Dobrze, oto stoję: — sądźcie mylordowie.

Ks. Henryk. Henryku, zkąd przybywasz?

Falstaff. Z szynkowni, najjaśniejszy panie.

Ks. Henryk. Ciężkie na ciebie zażalenia doszły do naszych uszu.

Falstaff. Do wszystkich dyjabłów, najjaśniejszy panie, nie ma w nich za grosz prawdy.—Nauczę ja cię, jak to młody królewicz powinien odpowiadać.

Ks. Henryk. Od przekleństw zaczynasz, krnąbrny młokosie? Precz z moich oczu! Zszedłeś zapamiętale z drogi cnoty, dałeś się opanować dyjabłu wcielonemu w postaci starego brzuchacza, oszołomić dwunożnej beczce. Jak możesz się bratać z tą humorystyczną tykwą, z tą kadzią bezczelności, z tą śpleśniałą paką puchliny, z tym okseftem pełnym lagru, z tym worem flakami wypchanym, z tym faszerowanym schabem, z tą przeładowaną furą grzechu, głupoty i fałszu? Do czegoż on jest zdolny, jeżeli nie do odkorkowywania i wypróżniania butelek? W czem biegły, jeżeli nie w wykrętach? W czem krętacz, jeżeli nie w niecnotach? W czem niecnota, jeżeli nie we wszystkiem? W czem zacny, jeżeli nie w niczem?

Falstaff. Radbym, żeby wasza królewska mość tłumaczyła się zrozumialej; kogoż to wasza królewska mość przez to rozumie?

Ks. Henryk. Kogóż, jeżeli nie tego niegodziwego, obmierzłego uwodziciela młodzieży, tego starego, siwobrodego szatana, Falstaffa.

Falstaff. Miłościwy panie, ten człowiek jest mi znany.

Ks. Henryk. Wiem o tem.

Falstaff. Ale gdybym powiedział, że w nim znam więcej przywar niż w sobie samym, powiedziałbym więcej, jak mi jest znanem. Że on stary, a więc tembardziej pożałowania godny, o tem świadczą siwe jego włosy, ale żeby miał być wszetecznikiem, temu wręcz zaprzeczam. Jeżeli wino i cukier są zakazanym owocem, Boże, zmiłuj się nad synami Ewy! Jeżeli być starym i wesołym jest grzechem, to pewien tatuś, w którego domu rzadko bywam, powinien pójść do piekła. Je-

żeli otyłość ma być ohydną rzeczą, to chude krowy Faraona zasługują na uwielbienie. Nie, miłościwy panie, wygnaj Petona, wygnaj Bardolfa, wygnaj Poiusa, ale co się tyczy lubego Jasia Falstaffa, walecznego Jasia Falstaffa, tem waleczniejszego, że jest starym Jasiem Falstaffem, tego z towarzystwa syna twojego nie wyganiaj! Wygnać tłustego Jasia, byłoby to skazać cały świat na wygnanie.

Ks. Henryk. Tak uczynię, tak się stanie.

Szekspir. (p. t. I, str. 92.)

* *Próba przyjaźni.*

— Jakto, to ty, Adamie? żyjesz więc? — mówi pewien, spotkawszy przypadkiem dawnego przyjaciela. — Mówiono mi, żeś umarł już oddawna.

— Tak, to taki z ciebie przyjaciel — odpowiada drugi — wiedziałeś, żem umarł, a nie przyjechałeś na mój pogrzeb..- i to ma być przyjaźń! Wstydź się, jesteś fałszywy przyjaciel, dobry tylko w oczy.

Profesor.

Profesor niemiecki w Turyngji, nazwiskiem Klop, znany był jako szczególny miłośnik starożytności, a osobliwie miał pasyję rozkopywania starych nagrobków. Pewnego dnia przychodzi do niego jeden z kolegów i pokazuje mu miejsce w Tacycie, gdzie stoi, że Rzymianie w częstych pochodach przeciw Gallom, zatrzymywali się także w Turyngji, a specyjalnie w tej właśnie okolicy; wnosić można zatem, że pagórek pod Ziegenheim nie jest czem innem, jak grobowcem rzymskim.

Po dokładnem odczytaniu owego ustępu w Tacycie, układają obaj profesorowie wyprawę do wspomnionego pagórka. Przybywszy tam, rozkopują go i w głębokości około półtora metra ukazuje się wreszcie garnek. Profesor Klop chwyta gorączkowo obiecujące naczynie, zrywa z niego pokrywę i znajduje w niem... olbrzymią fajkę, z wypalonym na niej napisem: „Julijusz Cezar swemu kochanemu profesorowi Klopowi".

Łatwo sobie wyobrazić zdumienie i rozczarowanie archeologicznego manijaka, który nie mógł nigdy dojść, kto mu urządził ten figiel.

Projekty.

* *Dziewięć projektów pomników dla wielkich ludzi, według pomysłu pana Matejki i komitetu konkursowego.* (*Matejko zaprojektował pomnik w kostyjumie Adamowym.*)

Z niemałem zdziwieniem i niemniejszem oburzeniem wyczytaliśmy w pismach wiadomość, że komitet budowy pomnika postanowił wysłać fotografije projektów do „główniejszych pism w kraju" i pominął pismo nasze.

Mamy przeto niepłonną nadzieję, że teraz zostaniemy ocenieni, jak się nam to oddawna należało!

Zdobyliśmy bowiem podobizny projektów!

Ile zdrowia to nas kosztowało... wiedzą tylko czterej współpracownicy nasi i sześciu rysowników, którzy, aby obejrzeć projekty, pojechali umyślnie do Krakowa i tam przez dziurkę od klucza oraz dymnikami na dachu przedostawszy się do konkursowego lokalu, odrysowali wierne podobizny projektów, których opisanie podajemy w krótkości:

Projekt Nr 1 z dewizą: „która część się najlepiej komitetowi podoba, to niech ją uściska!" Projekt ten kosztuje 5,000 guldenów i dedykowany jest hr. Lanckorońskiemu. Rzeźbiarz pozę tę nazwał „en face".

Projekt Nr 2 z dewizą: „Tak wieszcz dumał o mrówkach, intrygujących Telimenę". Komitet, zachwycony pozą, ma zamiar nadal w tej pozycyi „posiedzenia odbywać".

Projekt kosztuje 6,000 guldenów, a kompozytor miał do komitetu następującą przemowę:

„Miejcież wzgląd na tę goliznę
I przypatrzcie się zdaleka.
Wkrótce wdzieje wieszcz bieliznę,
Bo na praczkę właśnie czeka!..."

Projekt Nr 3 z dewizą: „Goły rozboju się nie boi". Komitet, znajdujący się w temże samem co projekt położeniu, postanowił wypłacić twórcy za projekt z funduszu narodu 12,000 guldenów.

Postać jest tu przedstawiona szczytnie, zamyślona, wyraża słowa: „Czy mam kopnąć którego z komitetu, czy nie?"

Projekt Nr 4 z dewizą: „Do komitetu konkursowego".

„Jakże bym z chęcią dał ci „wcieranie",
Gdybyś był tylko w tak gołym stanie
I zdjął swe wierzchnie całe ubranie,
Jak ja, mój panie!..."

Projekt ten zyskał szerokie uznanie w kole komitetowem, które postanowiło wypłacić z pieniędzy narodu 10,000 guldenów.

Szczególniej przepysznie zrobione są... pięty.

Projekt przeto użytym zostanie w Grecyi na pomnik dla Achilesa.

Projekt Nr 5 z dewizą: (Wyjątek z „Alpuchary" krakowskiej).

Stanął na szczycie tego kamienia
I rzekł: — Przezacni panowie!
Czyliż nie macie w duszy sumienia,
Czyli oleju też w głowie?!...

Projekt ten, uznany za jeden z lepszych, obrócony będzie na pomnik topielca, rzucającego się w nurty Wisły, po włożeniu jednak na nagą postać stosownej opończy.

Kosztuje 15,000 guldenów.

Projekt Nr 6 z dewizą:

„Niechaj zdanie to malarzy
Wielkich myśli zdobi:
Że najlepiej, gdy zdun garnki,
A szewc buty robi!"

Postać, siedząca na kamieniu, duma nad „żydem", który mu kapnął z pióra i jakby chciał mówić: — „Nietylko żydzi doprowadzają porządnych ludzi do stanu. . golizny!"

Projekt ten wielce przypadł komitetowi do smaku i zapłacono za niego 14,000 guldenów.

W chęci nabycia go jest podobno jakiś „starszy kachalny".

Projekt Nr 7 z dewizą: „U nas jak... w Turcyi".

Przedstawia on Mahometa na stacyi między Mekką i Medyną.

Komitet tak był zachwycony, że w całym swym składzie zapragnął przejść na łono islamizmu, z warunkiem, że każdy z członków dostanie harem z bajaderami w takim stroju.

Zapłacono za projekt 8,000 guldenów.

Projekt Nr 8 z dewizą:

„O i ja byłem kiedyś w komitecie,
A czy wy wiecie, co komitet znaczy?
Gdy kto chce wiedzieć, co to jest komitet —
Niechaj mnie z tyłu zobaczy!"

Postać przedstawia jakiegoś pana, który napisawszy artykuł, idzie do wydawcy po zaliczkę i umyślnie taki przywdział strój, aby dać wyobrażenie nakładcy o swojem rozpaczliwem położeniu.

Projekt kosztuje 12,000 guldenów.

Projekt Nr 9 z dewizą:

„Pójdźcie o dziatki, pójdźcie z komitetu,
Coście spisali się chrobrze,
Gdy nie wystrzelam was z pistoletu.
To was sfutruję, a dobrze!"

Postać w pozycyi Robinsona Kruzoe, medytującego nad zmarłym Piętaszkiem. Wyrazista postać zda się mówić: „Niech was jasne pioruny zatrzasną! Krawca mi dajcie, nie malarza!"

Projekt kosztuje 14,000 guldenów.

Opisawszy detalicznie wszystkie projekty, czujemy się w obowiązku przypomnieć, że są one wszystkie pomysłem mistrza Jana Matejki.

Ponieważ wszystkie projekty kosztują 96,000 guldenów, a wszystkiego grosza narodowego było 100,000 guldenów, komitet postanowił podobno:

1) wyrazić wszystkim rzeźbiarzom podziękowanie i podorabiać głowy, jakie w komitecie są i jeżeli są;

2) pokłonić się elegancko narodowi;

3) projekty obrócić na pomniki... dla siebie;

4) wieszczowi pokazać figę — i

5) zbierać nowe składki, jeżeli kto głupi da takowe.

* *Mój projekt.*

Mam i ja także projekt pomnika,
Ale wyjawić się boję,
Bo nuż go weźmie krakowska klika,
We względy swoje.

I na mą głowę włoży—nie wieniec,
Ale kapturek Stańczyka,
Bym straszył ludzi jak potępieniec
Myślą pomnika.

By mną razili, jak ciężkim drągiem,
Opinię kraju magnaty,
Bym sam dla świata został posągiem
Nizkiej prywaty.

Ale sprobuję przytłumić w sobie
Może zbyteczne obawy;
Czyż mógłby spocząć na mej osobie
Wzrok ich łaskawy?

Wszakże jam jeden z tego motłochu,
Co nie uznaję ich bogiem,
I nigdym czoła nie tarzał w prochu
Przed pańskim progiem.

Więc radzę zwalić na kupę głazy
Knowań, podstępów i planów,
Przez które naród odbiera razy
Z ręki tych panów.

A kiedy duma, myśl ujarzmiona
I fałszów rozlicznych masa,
Utworzą górę — niech wznosi ona
Projekt Dykasa.

Tylko na studni tej konkursowej,
Nie postać poety wieszcza,
Lecz sędziów wszystkich w grupie zbiorowe
Niechaj umieszcza.

I dwie niewiasty u stóp olbrzyma
Inne znaczenie dostaną:
Jedna *koteryi*, druga otrzyma
Protekcyi miano.

A ponad źródła prądem świetlanym
Niech złote litery głoszą:
„Takie pomniki sługom oddanym
Panowie wznoszą!"

Prokura.

Ze świata Eldoradowego.

— Patrzaj Leoś, jaki ten Michaś ma po ważny profil.

— Głupiś jest — on wcale nie ma profil tylko ma prokurę.

Prospekta.

Zawsze, gdy świta na niebie Rok Nowy,
Na ziemi cuda dzieją się widome:
Małżonki karmią swych mężów miłością,
Służba z pokorą pełni wole panów,
Ludzie rozrzutni biorą się do kredki,
Grzesznicy w sercach uczuwają skruchę,
Siostrzeniec listy śle czułe do ciotki,
A siostrzenica do „ciepłego" wuja,
Reporterowie podwajają czujność,
Podwładni karki zginają przed *szefem*;
Traktyjernicy powiększają porcje,
A drukowanej bibuły przekupień
Na abonentów zastawia — prospekta.
Kto widział w oknach szlacheckiego dworca
Wielkie i smaczne kawały razowca,
Pokryte miodu pachnącą pozłotą,
A przeznaczone na zdradną przynętę
Dla much łakomych, tkóre śmierć w nich znaj-
[dą,

Ten bez trudności zgadnie cel ukryty
Pięknych, błyszczących, obrazkami strojnych
I elzewirem upstrzonych arkuszy,
Na których zręczna edytora ręka
Rozsmarowała słodki miód — obietnic.
Najzatwardzialsze serce się rozpływa,
Czytając krągłe, solenne frazesy,
Gdzie „miłość Boga" i „cześć dla tradycji"
Dźwięczą bez przerwy, jak w anonsach kupca
„Rzetelna miara" albo „nizkie ceny"!
Gdzie poświęcenie dla czystej idei
Jest tak bezwzględne, iż pierś edytora
Napełnia skruchą i żalem za grzechy,
I do wyznania dawnych win go zmusza...

Szlachcic, co czuły jest na gładkie słówka,
I kaznodziejską lubi retorykę,
A znajdzie zawsze w kantorku *dukata*
Na wspomożenie tych tam... skrobipiórków,
Gładzi czuprynę i podkręca wąsa
Smakując słodycz edytorskich lepów,
A potem z żoną złożywszy sesyjkę
I rozważywszy „ustne przymówienia"
Dorosłej córki, chorej na głód wrażeń,
Kilka banknotów pakuje w kopertę
I wymownemu śle — apostołowi...

Czyni toż samo i mieszczuch wybladły,
Którego życie schodzi na tropieniu
Za większą miarą, za wyższym rabatem,
Za oszczędnością kopiejki lub grosza,
Ten, wymierzywszy prospektowe dary
Łokciem i kwartą, długo debatuje,
Cyfer kolumny pisząc na tabliczce.
W końcu się jednak łapie na — *dokładki*!

I tak co roku gra się ta komedyja,
Śmieszna po wierzchu, ale smutna w głębi,
I zawsze, zwykłe kramiki z bibułą
Osłania sztandar purpurowo-złoty,
Na którym błyszczą, nakształt przynęt, słowa:
Bóg albo *postęp*, *tradycyja* lub *wiedza* —
I muchy w słodkiej topią się przyprawie,
A pan apostoł oblicza dochody
I twarz wykrzywia uśmiechem Mefista.

Prostota.

Przesadzona prostota jest delikatnem kłamstwem.

La Rochefoucauld. (p. t. I, str. 16.)

Przedmowa.

* *Przedmowa do „uwag o śmierci niechybnej" Ks. Baki.*

Szlachetnemu mnie wielce miłościwemu panu Piotrowi Dubińskiemu, burmistrzowi, promotorowi bractwa św. różańca, hetmanowi buławy wielkiej tegoż świętego bractwa, mecenasowi i protektorowi, memu łaskawemu panu i dobrodziejowi.

Słońce estymy
Dla polskiej klimy,
Z różanej strugi!
Samsonie drugi!
Centrum honorów!
Żywco autorów!
Przyjm tę przypiśnie,
Co się umyślnie
Do nóg twych ciśnie;
A djabeł ani piśnie.
O! hetmanie, na rydwanie,
Coś w ponsowym wiódł żupanie,
Do Trok latem
Z majestatem,
Procesyją,
W dzwony biją.
Za twym śladem ludzie śpieszą
Boso, w butach, wozem, pieszo,
I łysiny,
Jak patyny,
I staruszki,
Jak garnuszki.
Ale, ale, ku twej chwale,
Za tem wojskiem szły wspaniale
Twe obozy,
Pełne wozy
Miodu, wódki,
Zapach słodki,
I kiełbasy,

I frykasy,
I wędzonki,
I pieczonki,
I jędory,
I ozory,
I kurczęta,
I pulmenta.
Bóg cię bronił iść przez lochy,
Gdzie czarownic sprosnych fochy!
Gdzie tańcują
Z djabłów szują,
Świece gaszą
Wiernych straszą.
Gdzie bazyliszek leży,
A kto nań tylko nabieży,
Wnet on podobny do kury
Zerknąwszy nań z ciemnej dziury
Oślepi, ogłuszy,
Wywróci jak snopa;
I już niemczyków kopa
Tańcuje koło tej duszy,
Owo, owo,
Nie drwij głową
Duszo święta, ni bezbożna,
Bo tamtędy iść nie można.
Tyś waleczny!
Nie był sprzeczny,
Z djabły koncept niebezpieczny,
Minąwszy szatański młyniec,
Przez bity szedłeś gościniec,
Przez aury świeże,
Pod Trockie wieże,
Z mnogim twym ludem.
I sławne cudem,
Biłeś łbem progi,
Bez żadnej trwogi.
Jak chór skruszony,
Rżnie w semitony
Swe antyfony;
Dmą miechy w dudy,
Szeptają ludy,
W gęstym pokłonie,
Wznoszą się wonie.
Letnia i drobna,
Każda z osobna,
Babka, dziewica,
Trzepie się w lica.
Mołojce, jury,
Wąsy, fryzury,
Stają u kratki,
I swe niestatki
W skruszonym duchu,
Składają w uchu
U spowiednika,
Pragnąc krzyżyka.
Po mszy, spowiedzi i po kazaniu,
Każdy myśli o śniadaniu,
Każdy swe oczy
Ku tobie toczy,
A obiadowa pora,
Nowy laur dla Promotora.
Tej sławy czując pochopy,
Prowadzisz wszystkich do szopy,
Przy okrzykach wesołości,
Djabeł pęka od zazdrości.
Ty zaś z myślą czystą
Wznawiasz rzęsisto,
W cnej alternacie,
„Do ciebie bracie!"
O wesołości! szafarko nektaru,
Którego niebo z skąpego wymiaru,
Spuszcza po łucie na nasze padoły,
Mięszając w cetnar licha i mozoły,
Któż teraz z ludzi zgadnie,
Żeś jest w hetmańskim puharze na dnie.
Pielgrzymko górnego gmachu!
Jam cię poznał po zapachu,
I nikt cię nie zoczy,
Aż puhar do dna wytłoczy.
Już szmer radośny
Wprzódy słaby, potem głośny,
Ucinki, żarty,
Humor otwarty;
Niewinne śmiechy,
Gry i uciechy
Osiadły szopy strzechy.
Lecz djabeł przeklęty,
Którego męczą grzechy,
Skoroś ty podniosła pięty,
Do miodowego rozcieku

Namięszał diweldreku,
I brodą długiej wiechy,
Pozmiatał twoich ze strzechy;
A na to miejsce posadził,
Którą z piekła wyprowadził,
Zwadę z długiemi zębami,
Nafryzowaną wężami,
W garści z kijami,
Z zapuchłem okiem,
I chromym krokiem,
Toż przy niej plotkę,
Czeczotkę
Nabożną, jak kotkę.
Więc każdy co łyknie,
Zmarszczy się i syknie,
Odchodzi mrucząc, roztrąca,
Zżyma się niechęć gorąca.
Wnet majster Bartek do majstra Szy
[mona:
„Co to waścina żona
„Cierpi do mojej baby,
„I u Łukasza sąsiada
„Z przekąsem o niej gada;
„Chcesz bym ci połamał schaby."
To mówiąc Bartek,
Cisnął mu w oczy półkwartek.
W drugim kącie item,
Z szlachcicem Witem,
Przemówił się brat Antoni,
I porwali się do broni.
Szlachcic miał ślad oczywisty,
„Co ty półdjable z jurysty,
„Przejmujesz moje listy,
„Którem pisał do przyjaciół?"
I wnet go po uchu zaciął,
A ten patryarchalnie,
Jak go na odlew palnie,
Hrymnął o staje szlachcic.
I tylko nogą chyc, chyc, chyc,
„Ratuj panie liber Szyc,
„Bo ten srogi certamen
„Zrobi szlachcicowi amen."
Szyc wnet z podróżnej apteki,
Której ma pełne kieszenie,
Dobywszy mydlane leki
Wysmarował mu pół szczęki
I podniebienie;
Tyś hetmanie biegł z buławą
Mitygować wojnę krwawą.
A znając te figle dyjable,
Wziąłeś w drugą rękę szablę;
Długoś rozwodził,
Aż nim uchodził,
I wrzawę tę pogodził.
A dyjabeł zły, że nie zaszkodził,
Wypłatał tobie sztukę,
Że miałeś potem kukę.
Słońce zaszło, padły mroki,
Każdy rzuca święte Troki,
Jeden rakiem,
Drugi kula,
Łeb z siniakiem,
Nos jak dula.
O Dubiński! niech Bóg strzeże,
Ledwoś minął święte wieże,
Kiedy cię kruki,
Czarne jak żuki,
Wypadłszy z chmury,
Porwali do góry,
Jak wilcy jagnię
I posadzili w bagnie;
Lecz ty nieustraszony
Chociaż w błocie osadzony,
I za twe wielkie cnoty,
Straciwszy żółte bóty,
Patrzysz alić te kruki
Przemienili się w kaduki,
Nagie jak bizony,
Łby czarne w rogach,
Pazury na nogach,
Nos jak koma zakrzywiony,
Ac tandem z tyłu ogony.
Poznawszy więc, że to dyjabli,
Jak nie dobędziesz szabli,
Jak nie zaczniesz żwawo
Machać w lewo i prawo,
Rąbać na krzyż,
Wzdłuż, wszerz i wzwyż
Widzą czarty,
Że nie żarty,

Zatrąbili głośne larum,
Zatrzęśli totum tartarum.
— Wnet srogie larwy,
Różnych kształtów i barwy,
Wypadły e stagno.
Okrzyczały całe bagno,
Czepiąc się na twym kołnierzu,
„A tuś nam śmiały rycerzu!”
Lecz ty odważny na ciosy,
Narąbawszy dyjabłów stosy,
Skończywszy bitwę wygraną,
Wracasz aż nazajutrz rano.
Jak o tem głośno gadano,
Jak z ust twych własnych słyszano.
Ja zaś mówię, niechaj żyje.
Komum miasto dedykacyje
Napisał tę długą chryję”,
I z czyjego dzbana piję
Łask słodkich liczne dowody,
Co ma zawsze przednie miody,
I lipczyki i trojniaki
Nie żałując ich dla Baki,
Czy w sobotę czy w niedzielę,
A więc u nóg twoich ścielę
Opus to oprawne w skórę,
Cum humillimo operatore,
A twoje magna nomina
Niech próżne proles wspomina.

Leon Borowski.

Przedpiekle.

* *Na przedpieklu.*

Raz mi tak żona dopiekła,
Żem się powiesił na górze,
Ciało zostało na sznurze
A dusza poszła do piekła.
Strącona w otchłanie ciemne
Trzęsła się cała ze strachu,
Po siarki przykrym zapachu
Poznając państwo podziemne.

Zaledwie biedaczka dusza
Stanęła w przepaści na dnie,
Gdy dziki cerber wypadnie
Targać za poły kontusza;
I tak jął szarpać zdradziecko,
Że gdym się bronić sposobił,
To on tymczesem już zrobił
Z kontusza tunikę grecką.

Więc w takim klasycznym stroju
Ja szlachcic i Podolanin,
Szedłem, a duchy po kraju
Myślały, żem jest poganin,
Charon w łańcuchy mnie okuł,
I zawiódł na odwach prosto,
Gdzie przed piekielnym starostą.

Na sądzie Eok zasiadał
Przy nim Radamant z Minorem;
Spojrzeli na mnie ukosem,
Żądając był się opowiadał.
Widząc, że patrzę przed siebie,
Nie wiedząc co mówić zgoła,
Rhadamant gniewny zawoła:
— „Coś przyszedł robić w Ezebie?
Jakie do niego masz prawo,
Jakie masz w piekle zasługi,
Czy szereg twych zbrodni długi
Występną okrył cię sławą?
Czyś może jako wódz srogi
Rozpuścił na świat swe bandy,
Siałeś pożogi i mordy
Wzywając do walki bogi?
Lub może jak tyran nowy
Niebiosa pobiegłeś gwałcić.
I ziemię chciałeś przekształcić
Niszcząc fatalizm duchowy!
Możeś był zemstą Orestem,
I w krwi owych bliskich się płowił?
No powiedz, czemżeś się wsławił?
Mordami, zdradą, incestem?”

Na to ja, szlachcic struchlały
Rzekłem: — „Niech porwą mnie dyjabli,
Jeśli dotknąłem szabli
Przez życia mego wiek cały!
Jestem człek pracy, zamożny...
Moi piekielni panowie,
Co wam też świta po głowie,

Był miał być taki bezbożny?!
Żyłem przykładnie na roli
Czysty przed ludźmi i Bogiem,
Nikomu nie byłem wrogiem,
Strzegłem się wszelkiej swawoli,
Gromiłem życie namiętne,
Próżne marzenia postępu,
Doktryny były mi wstrętne,
Nie gustowałem w poezyi,
Pogańskich nie czciłem bogów,
Strzegłem się ideologów
I heroicznych herezyi,
Prowadząc życie w porządku,
Nie miałem większej ambicyi
Jak zostać... posłem w Galicyi,
Gdziem słynął z swego rozsądku
Ale czart jakiś mnie biesił,
Gdy mocniej zalałem głowę:
Różne zgryzoty domowe
Sprawiły, żem się obwiesił."

Gdym skończył, wstał Minos straszny
I rzekl: — „Co robić z tym fantem
Z Beotem i obskurantem?
Dla piekła jest za rubaszny!"
I tak po krótkich namowach,
Wszyscy trzej mrucząc pod nosem,
Rhadamant, Eok z Minosem
Zawarli wyrok w tych słowach:
„Idź jeszcze na ziemię bracie
Zająć się twojem rzemiosłem
A będziesz wybrany posłem,
Zasiądziesz nawet w rajchracie;
A kiedy już w delegacyi
Staniesz w obronie wolności
Chcąc nam dochować wdzięczności,
Pamiętaj o propinacyi
I nie trać nigdy nadziei
Walcz śmiało na każdej sesyi
Zdobędziesz dużo koncesyi...
Banków i nowych kolei.
Choćby kto za złe poczytał.
Smiej się, bo sprawa jest czysta,
Wszakże kraj na tem skorzysta,
Jeśli powiększym kapitał.
Piekła się nie bój, tembardziej,
Bądź tylko śmiałym bezczelnym!
Honorem ręczym piekielnym,
Że piekło tobą pogardzi.

Asnyk. (p. t. I, str. 4.)

Przeor.

Przed nim stała beczułka mała winogradu,
Co w bursztynowym grysie i w zimie i lecie
Leży mumią z rubinów i szmaragdów, pojąc
Usta księdza przeora, jak pierś Afrodyty.
I stolik był damaszkiem złocistym nakryty,
I stał kielich; i tęcze w kielichu się rojąc
Bawiły oczy księdza przeora, a sroczka
Wisiała w złotej klatce nad uchem — i świece
Całe w girlandy niby kręcone ze stoczka
(Jak archanielskie miecze, gdzie trzy błyska-
[wice
Idą w górę i razem skręcone się palą)
Paliły się w tej celi. — Więc gdy okoralą
Lica swe jarzębiny, to nie są tak jasne,
Jak usta tego księdza przeora; a własne
Miałem na policzkach róże pod włosem śnie-
[żystym.
Kazał przywołać Marka — i rzekł uroczystym
Głosem; — Filius dilectus! a skąd to powraca
Wasza święta cudowność? gdzieś był Reveren-
[de?
Na mnie się wali klasztor, i zarząd i praca —
Aedifica, conserva, sustenta et mende —
Wszystko przeor, a wy się braciszki włóczycie?
Trzeba rękę wyciągać i za łeb was łapać!...
Tu ksiądz — pomimo wielkie nadzwyczaj
[utycie —
Wyciągnął jedną rękę i zaczął tak sapać,
Jakby chciał gestem zaraz na Marku wyko-
[nać
Urząd ojca ptasznika. Lecz ksiądz był aż
[w progu...
Więc dłoń spadła na kielich. I znów rzekł. —
[O! słona'ć
Jest każda altitudo! Kupiłem na rogu
Kamienicę i proces z kahałem a za nic
Kupiłem kamienicę... Tu znów zasapany

Jak mocarz, który popchnie królestwa i gra- [nic
Czekał, co powie Marek, winograd rumiany
Jedząc ziarnko po ziarnku, a oczy przymru- [żył...
I znów rzekł: — Teraz byś mi, mój synu, [usłużył
Miraculo in lite z żydami; bo święte
Wojny z nimi zacząłem diavolo suadente.

J. Słowacki (p. t. I, str. 87).

Przegląd.

* *Przegląd prasy peryjodycznej.*

Niedawno jedno z pism zamieściło okrutnie ciekawy artykuł, pod ciekawym tytułem: „Na czem świat stoi."

Domyśli się nawet ryba,
Że na rublu stoi chyba.

Przepis.

Oddawna *dawała czuć się potrzeba* w literaturze naszej stałych i pewnych przepisów, jak robić naprzykład romans historyczny, powieść obyczajową, poezyję mglistą i uczuciową, fantastyczną, jak najłatwiej zsztukować dramat, zszyć historyję i t. p. Zadość czyniąc powszechnemu żądaniu, przedsięwzięliśmy w piśmie naszem podać przepisy utworów literackich wszelkiego rodzaju, za pomocą których, młodzi zwłaszcza pisarze, będą mogli tworzyć secinami romanse, powieści, poezyje najprzedniejsze, tak, jak młode gospodynie pieką z przepisów wielkanocne baby i mazurki. Potrzeba tylko i ilości i jakości mających się używać materyjałów, używać jaknajściślej, wedle naszej nauki, stopień gorącości natchnienia zachować wyznaczony, i we wszystkiem już stosować się do reguły, bez czego, uprzedzamy, pożądanego skutku nie będzie.

Materyjały do upieczenia romansu nie są kosztowne. Kartka jedna, czasem połowa (jeśli rzecz opisana treściwie) kroniki jakiej lub pamiętnika, dyjaryjusza i t. p.

Dodać potrzeba szczegółów obyczajowych nieco z Gołębiowskiego i Wójcickiego, wyrazów starych, chociażby z Lindego. W Lindem jednakże, z pomięszania z nowemi, nie łatwo ich odszukać; i przesiewać potrzeba — ale bez prace nie będą kołacze Nieco imaginacyi mieć w zapasie nie zawadzi; ktoby zaś własnej mieć nie mógł, może z książek pożyczyć, odświeżając tylko. Cierpliwości wymaga się od pisarza więcej jeszcze, niż w przyszłości od czytelników, gdyż łatwiej już z biedy przeczytać, niżeli napisać coś nudnego. Romans zaś historyczny, aby był dobry, powinien być koniecznie długi, rozwlekły i nudny. Bierze się więc osoba jakabądź historyczna (wprawdzie M. Grab... protestuje się przeciw temu, ale co tam jego słuchać; on nawet powiada, że romans historyczny może być zajmującym?? — wyobraźcie więc, jak go fałszywie pojmuje —) osoba historyczna.

Obstawia się ją dokoła osobami historycznemi także, znanemi w dziejach, tak, aby czytelnik doskonale już mógł, spojrzawszy na pierwszą kartkę, ba na sam tytuł, wiedzieć co będzie w książce. To odejmuje wprawdzie zupełnie ciekawość, ale tem lepiej—na co czytającemu ciekawość? Nic gorszego; czyta chciwie, prędko, i piękności stylu nie ma czasu ocenić; czasem gotów nieczytane nawet kartki, spiesząc do rozwiązania, przewracać.

Tak mając dane osoby historyczne, wypadek historyczny, dorzuca się jeszcze kilka figur z imaginacyi. Temi są pospolicie: stary sługa i stara klucznica, ksiądz kapelan, młody jaki roztrzepaniec, cyganka, tajemnicza postać niewiadomego pochodzenia, która w końcu olbrzymieje na coś wielkiego i t. p. Stary sługa zawsze jeszcze do tej pory, przykładem Sanszy, powinien mówić staremi przysłowiami.

Cyganka i tajemnicza postać wyrażają się stylem poetycznym, nie żałując przenośni, symbolów i fraz sentymentalnych. W ich usta

także wybornie się kładną czy nowe, czy stare odgrzewane wykrzykniki na niesprawiedliwość losu, na okrutne serca bogaczów, na zatwardziałość ich, na próżność i marność błyskotnego przepychu, szumnych zabaw wielkiego świata i t. p.

Bohaterowi daje się zwyczajnie trochę dumy, wiele męztwa, płomieniste serce, litościwą duszę, wąs czarniawy, długich włosów pukle i złocistą szablę. Zapomniałem o koniu; koń siwy lub kary, a gdyśmy o koniu wspomnieli, wspomnijmyż i o pacholiku wiernym, co się dwa razy na dzień daje zabijać za pana i spełnia jego polecenia tajemniczo, prędko, niechybnie.

Tu rozdwajają się zdania; jedni pacholika tego czynią, przy wszystkich jego dobrych przymiotach, nieco głupkowatym i trochę do pijaństwa skłonnym, drudzy poważnym, wzdychającym tylko nad losem, co go tak nizko położył, umiejącym czytać, pisać etc. Nie jest rzeczą dowiedzioną dostatecznie, który z tych pacholików lepszy; niektórzy wolą pierwszego, dla tego, że do niego czepiają sceny zabawne, wesołe, dowcipne, czasem na czarnym horyzoncie historycznego romansu bardzo potrzebne.

Bohaterka—kochanka bywa, jak to zresztą wszystkim wiadomo, albo brunetka, albo blondynka i naturalnie niezmiernie piękna, miła, pobożna, cnotliwa.

Niekiedy miewa tylko jedną wadę, że się daje uwieść; wielka szkoda, bo to ją czyni podobną do prawdziwej kobiety, co być nie powinno. Spostrzegli to pisarze baczniejsi i nie dają już heroinom sposobności upadnięcia, bronią ich nie cnotą, ale zbiegiem okoliczności, przeszkadzających zawsze zwodzicielowi.

Jak to zręcznie!

O innych osobach romansu nie będziemy się rozszerzać i przystępujemy do rzeczy.

W rozdziale pierwszym występuje, albo bohater, albo bohaterka, albo oni oboje, albo wreszcie ktoś ze strony, który o nich daje wiadomość w sposobie prologu.

Zaczyna się od opisu komnat, strojów, ubiorów, twarzy, opisu niezmiernie szczegółowego, autor przystępuje do niego jeszcze z całą cierpliwością swoją niezużytą, z całem bogactwem swojem; nie żałując więc, sypie złotogłowy, aksamity, klejnoty, koronki, dywany; ustawia misternie wyrabiane meble, zawiesza obrazy, zupełnie tak, jak stary sługa, który spodziewając się panów przyjazdu, pokoje dla nich gotuje.

Czasami nie zawadzi przez okno komnaty wskazać i na otaczający zamczysko krajobraz. Tu śpiewać mogą słowiki, złocić łąki słońce, płynąć wspaniale rzeka i w oddali sinieć góry. Ile to frazesów poetycznych, ile komplementów starej, ale zawsze jeszcze pięknej zalotnicy —naturze, z tej okoliczności powiedzieć można!

Kończy się pierwszy rozdział i już doskonale wiemy, o co chodzi, kto kogo kocha, kto komu do kochania przeszkadza, kto się chce mścić i t. p.

W drugim rozdziale autor wprowadza nas niechybnie w nowe całkiem i nieznane jeszcze miejsce; najprzód rachuje na kontrast, powtóre nie zużył się jeszcze opisami i chce opisywać znowu.

Nuż tedy do drugiego opisu.

Występuje bohater.

Dwie karty o jego pełnej charakteru fizyjognomji, dziesięć o jego młodości, rodzicach, przodkach i t. d. Tu, jak w pierwszym rozdziale, następuje rozmowa.

Bohater wylewa w niej wszystkie swoje uczucia, myśli o przyszłości, całą swą płomienistą duszę, odkrywa plany i projekta. Rozmawiający z nim zbijać go będzie ciągle, nie tak z potrzeby, jak, że inaczej nie byłoby żywej rozmowy, o którą chodziło autorowi. Tworzy się więc żywa rozmowa, ale tu nadchodzi ktoś trzeci nagle, niespodziewanie, i przerywają.

Rozdział trzeci.

Wypadek nieoczekiwany miesza szyki. Opisy krótsze, osoby podrzędne mięszać się

i przesuwać zaczynają. Heroina, jak cień, ukazuje się i znika. Jesteście w zachwyceniu jeszcze, gdyż kurtyna zapadła.

W rozdziale czwartym — opisanie albo turniejów, igrzyska, albo uczty wielkiej, albo łowów szumnych, albo uroczystości narodowej i t. p. Tu dopiero chytry, przewrotny, złośliwy, lubieżny, wysuwa się na scenę znajomy nam zdawna nieprzyjaciel bohatera, który czasem bierze na się rolę jego rywala. W opisie twarzy złośliwego przeciwnika wysadza się pióro autora, nie żałując jej czarnych głęboko osadzonych oczu, żółtej cery, ściśnionych sinych ust, nizkiego czoła i t. d. i t. d. Nikczemnik ten gra tu jeszcze rolę słusznego obywatela, przyjaciela, doradcy, co chcecie. Widzicie i przeczuwacie z całego postępowania jego, że on piwa nawarzy; daje się to palcem namacać.

Jednakże czy to tylko poczciwi czytelnicy widzicie? bo bohaterowie ściskają go serdecznie. Radzibyście go ostrzedz! Napróżno, nie uwierzą.

Mylę się jednak, mówiąc, że nikt nic nie widzi i nie przeczuwa. Serce sługi albo psa już nieprzyjaciela zwąchało. Pies bohatera warczy na utajonego nieprzyjaciela i białe mu pokazuje zęby, albo sługa poczciwy czuje ku niemu wstręt niepojęty.

W rozdziale piątym sługa może swoje podejrzenia bohaterowi objawić i silnie wzdychać (wzdychać co słowo). Bohater nie da wiary i śmiać się będzie. Nadejdzie sam osobiście niegodziwiec ów, sługa się usunie. Tu scena w rozmowie, w której chytry nieprzyjaciel stara się bohaterowi coś niedobrego doradzić. Prawie zawsze udaje mu się to wybornie. Wszyscy widzimy, że głupstwo robi, cóż kiedy, gdyby nie to, nie byłoby romansu całego? *Sic fata tulere.* Niegodziwiec tryumfuje, sługa płacze.

Opis pięknego wieczoru lub pięknej nocy kończy tom pierwszy.

Tom drugi, rozdział pierwszy.

Występuje bohaterka; opisanie jej komnaty, ogródka, ubioru. Westchnienia silne, blade lica, smutnie spuszczone oczy. Nadchodzi bohater. Scena efektowna, oświadczenia, upada na kolana, ona ucieka, zakrywając oczy rękoma, powiedziawszy mu: — kocham. Szelest daje się słyszeć w krzakach. Każdy się domyśla, że w nich ukrył się niegodziwiec.

Rozdział drugi.

Wierny sługa wpada z doniesieniem panu, że się coś fatalnego stało. Niespokojność, bieganina, ostrzenie oręża, gniew. Osoby podrzędne występują znowu, intryga się wikła. Bohater nagle porywa się, leci i znika.

Rozdział trzeci.

Jesteśmy w obcej stronie. Nowe osoby, pusta okolica, chata wieśniacza, karczma, las głuchy, dworek jaki, do wyboru. Scena przygotowawcza, ukazuje się ktoś już dobrze nam znajomy, przyjęty gościnnie. Opisanie wieczerzy ze szczegółami, (omija się tylko, czy słonina do klusek użyta była stara lub nie). Kładną się wszyscy spać.

Rozdział czwarty.

Ukazuje się tu coraz więcej osób znanych, żwawo postępuje akcyja, niegodziwiec się odkrywa, ale po czasie, bohater wplątał się w niebezpieczne położenie, bohaterkę uwieziono, zamknięto w klasztorze lub gwałtem żenią ze starym wojewodą.

Rozdział piąty.

Opisanie siwych włosów w brodzie starego wojewody, garbu na jego grzbiecie, kaszlu, który mu przerywa mowę, jego bogactw i t. p. Stary wojewoda ma być dumny, srogi i uparty bardzo. Plączą się wypadki i nagromadzają niesłychanie. W końcu drugiego tomu jesteśmy jak w partyi szachów, w której wszystkie figury rozsypane i niewiadomo, kto kogo zamatuje. Litość mamy nad wszystkiemi i radzibyśmy prędzej skończyć.

Ale cierpliwości.

Ukazuje się ojciec bohaterki lub stryj, przygotowania do wesela, niegodziwiec wychodzi znowu na scenę, nasza piękna we łzach cała, ślub jutro; koniec tomu.

Tom trzeci, rozdział pierwszy.

Nie może się obejść bez króla, królewskiego dworu i t. p. Jeśli autor był tak nieuważny, że zapomniał ukazać Króla J. M. w pierwszych dwóch tomach, niechże go pośpieszy odmalować w trzecim przynajmniej.

Opis twarzy z kroniki wzięty; opis sukni bogaty; nie szkodzi nakłaść tyle bogactw, ile ich ramiona dźwignąć mogą; dwór także ustroić; bród, wąsów i wygolonych głów (jeśli rzecz za Zygmunta III-go lub później) nie żałować.

Sprawa bohatera toczy się przed Króla J. M. Zahamowane wesele wojewody, niegodziwiec srodze podejrzany o wielkie zbrodnie. Czytelnik widzi już szczęśliwy brzeg, zieleniejący mu zdaleka.

Rozdział drugi.

Wesele bohaterki, przygotowania, stają u ołtarza. Nagła przeszkoda; goniec nadbiega, wszystko zerwane. Scena gniewu i kłótni może tu być wciśniona. Ukazać się może i bohater, co poda sposób postawienia obok gorącej miłosnej sceny, a w dodatku rozprawy z niegodziwcem na słowa i wyzwania na rękę.

Pachołek wierny ukazuje się na podwórcu.

Witamy go z radością.

Rozdział trzeci, w którym wyjaśniają się rzeczy tajemne i ukryte, odnoszące się do urodzenia bohatera lub bohaterki, do wypadków dawniejszych. W nim mogą się wynaleść stare papiery, kuferek z klejnotami, może się ukazać stara jaka mamka, odwieczny zgrzybiały sługa, może kogo ruszyć sumienie i t. p. Widzimy oczywiście, że wszystko dąży do końca, szczęśliwego końca.

Rozdział czwarty — bohater znika, zachorował, wplątał się w jaki kłopot. Drżemy o niego; pachołek wierny pośpiesza na ratunek, wszyscy się zbiegają. Tu może być wygodnie pomieszczony pojedynek z niegodziwcem i nieszkodzi, aby się obadwa zabili. Niegodziwiec bowiem powinien koniecznie umrzeć jako niegodziwiec, a bohaterowi to wcale nie zaszkodzi; autorowi zaś dobrze jest wspaniały opisać pogrzeb i skoncypować nagrobek.

Rozdział piąty—rzecz może się dziać w kilka, kilkanaście, kilkadziesiąt lat później. Ukazuje się bohaterka ksienią klasztoru, albo pachołek wierny, opowiadający w gospodzie historyję swojego pana. Wygodnie tu opis gospody ze wszelkiemi szczegółami dzbanów, mis cynowych, ław, stołów, pomieścić się może. Autor na samym końcu, widząc się u portu, może się pobawić, wycierając półmiski cynowe i ustawiając ławy karczemne. Smutne zakończenie, refleksyje o nieochybnej śmierci wzięte z księdza Baki i t. p.

Jeśli romans ma się kończyć wesoło, ostatni rozdział będzie obrazem domowego szczęścia bohatera i bohaterki. Niezawadzi otoczyć ich mnóstwem dzieci; dowiedziona bowiem rzecz, że dzieci dowodzą i przywiązania i szczęśliwego pożycia małżonków. Oboje państwo rumiano i czerstwo się prezentują, jejmość wesoła gładzi męża pod brodę, jegomość ma minę, jakby w czepku lub spódnicy chodził, i rad był temu niewymownie. Stary sługa dozwala żarcików z paniczami.

Koniec.

Ale dlaczegożby, gdyśmy już doszli do takiego stopnia doskonałości w pisaniu romansów, nie doprowadzić historycznego romansu tego rodzaju do dwóch zakończeń odmiennych do wyboru czytelników?

Mogłoby naprzykład w końcu trzeciego tomu mieścić się dwa ostatnie rozdziały — jeden kończący rzecz smutnie dla osób potrzebujących silnych wrażeń i lubiących tonąć we łzach, drugi wesoły dla zbyt czułych, z którymi niebezpiecznie żartować, żeby ich fikcyja o mdłości lub chorobę nie przyprawiła. Tym sposobem romans byłby już najdoskonalszy.

W opisach miłości autor powinien się starać o płomienisty jej obraz. Nie żałować wyrazów: niebo, piekło, ziemia, anioł, życie, śmierć, mogiła, łzy, krew i t. p. Targanie włosów, bicie piersi w rozpaczy nie wadzi. W gniewie może się sam nawet bohater zapienić. Wszędzie powinno być jak najwięcej zapału. W scenach pacholika i innych, dla kon-

trastu nieszkodzi dowcip i trefne błaznowanie.

Zresztą wprawa nauczy więcej.

Romans historyczny z danego *wypadku* historyi trochę inaczej się robi. Poprostu bierze się wypadek i rozwałkowywa na trzy tomy, podlewa rozmowami, opisami, refleksjami, wykrzyknikami, filozofją, poezyją, obrazowaniem, rozbija na rozdziały, lukruje epigrafami nad każdym rozdziałem, i podaje gorąco na stół.

Charaktery osób historycznych nie zawsze mają być historyczne. Dla czego? na co? Wielkie postacie dziejów, tu użyte jako sprężyny powieści, jako słupy naddrożne, ukazujące, w której stronie, to jest, w którym wieku jesteśmy, mogą wyglądać jak się autorowi podoba.

Już kiedy raz wolno ich wszystkich wziąść sobie i obracać na użytek powieści, toż wolno i przykroić do stanu??

A zatem, bez żadnej ceremonji. Jeśliby wypadek jaki, naprzykład bitwa jaka wielka, śmierć czyja i t. p. stały na drodze widocznie niedogodnie, a tu ominąć ich ani sposób, ukręcić łeb i kwita. Nie byłoby historycznego romansu, gdyby przyszło szanować historję i chodzić koło niej z taką ostrożnością. Nie bójcie się, jej się nic nie stanie. Wielka rzecz, że tam ktoś czytając obałamuci się i fałszywe poweźmie wyobrażenie! Co tam te suche daty, charaktery, fakta; byleby opisane zostały szczegółowo ubiory, sprzęty, wnętrza komnat, gospody i t. p., nikt nie ma prawa się upominać o resztę. Oto cała historyja.

Romans historyczny może się upięknić wielce opisami miejscowości, starych zamków, miast i t. p. Trzeba tylko uważać, żeby opisywać koniecznie to, czego się nie widziało, bo dowiedziona rzecz, że z natury malować trudno i to zbyt hamuje cugle wyobraźni. Najlepiej opisy takie robić sobie od fantazyi. Trochę jednak piaskiem posypać piaszczystą w naturze okolicę, trochę drzewami zasadzić lesistą nie zawadzi, bo ludzie gotowi zawsze uczepić się, że nieprawdziwe obrazy, a tak gębę im zamkniecie.

Drugi raz powiemy wam jeszcze daleko obszerniej o powieściach obyczajowych, romansie narodowym i t. p. Teraz tylko słówko jeszcze o stylu. Wyrazów starych nie żałować; im będą niezrozumialsze, tem ludzie pomyślą, że obraz prawdziwszy.

Przesada.

* W obecności Karola V-go opowiadano raz o pewnym kapitanie hiszpańskim, który się chełpił z tego, że nigdy nie zaznał strachu.

— Chyba ten człowiek nie objaśniał nigdy świecy palcami — rzekł na to cesarz.

(*Encyclopédiana.*)

* Pewien adwokat z Bugey, przyszedłszy odwiedzić Voltaire'a, wykrzyknął, wchodząc do jego gabinetu:

— Przychodzę oddać pokłon światłu świata!

Usłyszawszy to Voltaire zawołał niemniej głośno:

— Pani Denis! proszę przynieść szczypce!

(*Choix d'anecdotes.*)

Przestrach.

Skutki przestrachu.

Hałas, tartas, klekot w domu,
Coś pytluje jakby w młynie;
Choć się zdarzy zajrzeć komu,
Krzyżyk zrobi i ominie.
I ucieka i ucieka,
Choć go wołaj, nie zaczeka.
Tfu, do czarta! czyż nikomu
Rzec nie wolno, co w tym domu,
Przez dzień boży od poranku
Tak terkocze bez ustanku?
Może — Panie, odpuść grzechy!
Sypie z wozu bies orzechy?
Nie, panowie, mylne zdanie,
Niech pozwolą piękne panie,
Ja wykryję dziw tajony:

Jest-to — język swarnej żony.
On to, jakby blacharz w sklepie
Takim taktem zawsze klepie,
Nawet wtedy w gębie myka,
Kiedy zaśnie dobrodzika.
Przymiot rzadki i nie lada!
Domem idzie po kądzieli;
Różnie temu radzić chcieli,
Rozumiejąc, że to wada,
Ot waryjaty, poszaleli!
Jejmość sama to powiada,
Że dla tego tylko gada,
Że gadała jej mamusia
I babunia i ciotunia
I siostrzyce i kuzyny —
Gadał cały szczep rodziny!
Ależ komu niebo dało
Nie podlegać żadnej zmianie,
Los psikusów ma nie mało,
Płata figle niespodzianie.
Posłuchajcie, piękne panie,
Co się żonie później stało.
Raz gdy ciągle gada, gada
I nagadać się nie może,
Mąż zgłuszony w zapał wpada
I porywa broń ze ściany —
By ją zabić? nie, broń Boże
Dla wytrwania, w cierpliwości,
Chce wystrzelić do zająca,
Kiedy nie mógł do jejmości;
Lecz niebaczny w kurek trąca,
Huk się rozległ w całym gmachu,
Jejmość pada konająca:
Że zabita — wszyscy w strachu.
Wielkie wprawdzie z huku licho,
Lecz raz pierwszy w domu cicho.
Jejmość leży, jak nieżywa
Niechże z Bogiem odpoczywa!
Tego wszyscy życzą szczerze.
Mąż zmówiwszy trzy pacierze,
Już się do pogrzebu bierze —
Lecz... o chwilo nieszczęśliwa!
Trup się podniósł - Jejmość żywa.
I choć wątła i choć blada,
Chce nagrodzić chwilę przerwy,
Chce zagadać — ale biada!
Gębą miele, a nie gada:
Strach w języku skurczył nerwy
O zdarzenie dziwu pełne!
Słudzy ciągną z usz bawełnę,
Mąż z radości w głos wykrzyka:
Żonka droga bez języka!
Gdy co padnie, wilk wie w lesie,
Już lekarza licho niesie!
I choć nie był zaproszony,
Bieży macać puls u żony!
I wybadał: „Jak ja wróżę,
Co strach odjął, wrócić może.”
Mąż nieborak zbladł jak ściana,
Prorokowi pcha kubana,
By zamilczał swe *arcana*.
Wyszedł lekarz; jejmość w migi,
Jak telegraf kroi znaki
Idą zygzy, idą figi,
Idą pięści i kułaki;
Jejmość giestem gadać umie,
Lecz się śmieje jaki taki,
I powiada: „nie rozumię.”
Jejmość ledwie się nie zdusi,
Że choć nie chce, milczeć musi!
A mąż sługom wydał hasło:
Aby w domu nic nie trzasło,
Ani hukło, chowaj Boże!
Bo się jejmość wzdrygnąć może!
Już upływa rok i drugi,
Jak na palcach chodzą sługi,
Kiedy oto niespodzianie
Dyjabeł znowu — odpuść Panie!
Mąż pojechał raz na łowy,
I był właśnie spodziewany;
Kucharz zawsze pianej głowy
Przyspasabiał marcepany,
Smażąc biszkokt w złej godzinie,
Coraz więcej masła wali;
Buchnął płomień po kominie,
A wrzask powstał, że się pali!
Choć to była szkoda mała,
Ale jejmość zagadała!
Zagadawszy w dłonie klasła,
Podskoczyła na dwa łokcie.

O przeklęty bądź biszkokcie
Co tu licha wyszło z masła!..
Mąż wracając wesół z łowów
Ani myśli, co go czeka! —
„Ciesz się mężu, gadam znowu!"
Wrzasła jejmość w głos zdaleka.
Taki głosik, czegóż trzeba?
Był to jasny piorun z nieba
I uderzył w samą głowę:
Mąż z przestrachu stracił mowę.
J. M. Kamiński.

Przezorność.

— Czy ciocia bardzo lubi pierniki? — pyta czteroletni Józio młodej ciotki.

— O, bardzo lubię — odpowiada ciocia.

— Taak? — to ja dam moją paczkę wujowi do schowania — postanawia malec przezorny.

* *Przezorność oberżysty.*

Oberżysta spytał służącej, czy policzyła gościom, oprócz potraw i wina, piwo.

— Tak — odpowiedziała po namyśle dziewczyna.

— Jakoś nie jesteś tego pewna — rzekł oberżysta — wolę piwo jeszcze raz zapisać.

Przewaga.

Kardynał du Perron miał taką przewagę nad papieżem Pawłem V, że ten najwyższy kapłan mawiał zawsze do swoich zaufanych:

— Módlmy się, aby Bóg natchnął kardynała du Perron, ponieważ on potrafi wmówić w nas wszystko, co tylko zechce.

Przygoda.

* *Przygody delegowanego.*

Jestem młody i gładki — a chociaż powierzchowność moja wiele ustępuje wyidealizowanej piękności Endymiona, wziąłem jednak na kredyt u krawca nowy paltot, obłożony pluszem, co przy czarnej brodzie i żółtych rękawiczkach, niepozwala się odrazu domyśleć, że jestem tem więcej, że proporcyjonalna łysina czyni mi dziwnie podobnym do kontrolera, ajenta kupieckiego, lub innego człowieka, mającego na świecie pozycję.

Wszystko to, wzięte razem, zwróciło na mnie uwagę jednego z czerdziestu przewodniczących przy spisie jednodniowym, który, wręczając mi nominacyję i tekę z szematami A. B. i C., upoważnił mię do zapisywania wszystkiego, co uznam za właściwe w trzech kamienicach, położonych w pobliżu instytutu głuchoniemych i ociemniałych.

Wkrótce jednak rozczarowany spostrzegłem, że rubryki w szematach, nad któremi panowie Makowiecki i Jeleński tyle sobie i delegowanym nałamali głowy, okazały się za szczupłe do wypisania wszystkich obserwacyi, czynionych przy spisie.

I tak, napisawszy o radcy Paragrafowiczu, że jako były urzędnik zajmuje się odbieraniem emerytury, nic już nie mogłem napisać o polityce, którą tenże radca zajmuje się namiętnie.

Z tej samej mniej więcej przyczyny o pani Praksedzie Pomidorowicz, której zajęcie określiłem lakonicznym terminem „przy mężu" nie mogłem przecie napisać, że się zajmuje obmową bliźnich.

Nie mogłem napisać o pannie Jadzi, że się zajmuje wykończaniem wyprawy, z powodu mającego nastąpić w tym jeszcze karnawale ślubu — Rózi, młodszej od państwa Rosołowiczów, że jest zajęta strażakiem „z drugiej części", ani też stróżowi Michałowi, że się zajmuje odsyłaniem do wszystkich dyjabłów lokatorów, kłócących mu dzwonieniem do bramy spoczynek nocny.

Zauważyłem też, że wszystkie panny okropnie pooszukiwały mię na latach.

Pododawałem im 75% do podanej liczby, trzymając się zasady, że w każdej bajce jest ¼ część prawdy.

A jeżeli pomimo to będą tam jeszcze jakie fałsze, to już jest wina pp. Jeleńskiego i Makowieckiego, którzy nic stanowczo w tym

względzie delegowanym nie zalecili, ze względu, że nic stanowczego nie mogli wymyśleć.

Fatalną też była rubryka o stosunku osób, zostających w mieszkaniu do lokatora głównego.

Jakże tu napisać, że żona jest z nim w złych stosunkach, osoby inne, wcale do familji nie należące, w serdecznych, a najstarsi synkowie w poufałych zupełnie.

Również niewdzięczną i niepraktyczną okazała się rubryka, gdzie się kto urodził.

Kogom tylko zapytał o to, odsyłał mnie do mamy, podając jako główny powód niedostatecznie uformowaną wtedy pamięć, a te ciągłe odsyłania mię do mamy, przypomniały mi dawne lata, pierwszą miłość, pierwsze odesłanie do mamy, pierwszego odkosza, pierwszą rozpacz, pierwszy poemat napisany i pierwsze zawiązki łysiny.

Ani pan Jeleński, ani pan Makowiecki nie pomyśleli nawet, na ile niedokładności narażają spis i na ile subjekcyi delegowanych, rubryką, czy lokatorka jest stałą czy nie stałą.

Wszystkie bez wyjątku utrzymywały, że są stałemi, bez względu, czy się rodziły w Warszawie, czy w Radoryżu, czyli też w Kozienicach, z drugiej zaś strony, doświadczeńsi delegowani mieli ogromną ochotę uważać za niestałe wszystkie, nie wyłączając i tych, które się urodziły i wychowały w Warszawie.

Ale najniesprawiedliwszą z niesprawiedliwych była rubryka o trzech wykształceniach: elementarnem, średniem i wyższem.

Jakże tu napisać, że panna Klotylda ma wykształcenie średnie, dla tego, że rodzice odebrali ją z pensyi przed ukończeniem klasy drugiej, kiedy jej kształty, postępując coraz wyżej, dochodzą do klasycyzmu.

Patrząc na szyję, zdaje ci się, że widzisz alabaster, na usta—doznajesz zdziwienia, nos robi ci małe drżenie w okolicy serca, oczy zaczynają cię czarować, a kiedy obejmiesz wzrokiem całą postać, to ci się robi tak głupio, jakbyś pięćdziesiąt lat słuchał filozofji na uniwersytecie w Edymburgu.

Jabym to nazwał wykształceniem wyższem, pp. Jeleński i Makowiecki kazali to nazywać średniem; albo ja wiem, kto ma racyję?

Gorzej jeszcze, jak niesłusznie musiałem się obejść z moim przyjacielem Adasiem.

Jak on był wykształcony!

Wzrok kształcił na żywych pięknościach Paryża i Tyrolu, słuch na piosenkach prawdziwych paryzkich szansonetek, smak wyłącznie i jedynie u Bocqueta, węch na dymku płynącym w górę z bardzo wysokich kominów, dotykanie na ślizganiu się po wszystkich gałęziach wiedzy ludzkiej, objętych w jakimś francuzkim przewodniku dla młodzieży od lat 4 do 7, a mimo to musiałem mu napisać, że ma wykształcenie elementarne, bo mi popsuł dwa szematy lit. A., a na trzecim podpisując się, zrobił siedm błędów ortograficznych.

To mi dopiero przyczyna!

Uwagi te zatruły mi całą czynność spisową — zły i zniechęcony zadzwoniłem do apartamentu na dole, aby odebrać ostatni szemat, doręczony przed trzema dniami jakiejś damie, imponującej tuszą i aksamitem, który bladością dowodził, że był wyrobiony w Manchester.

Tu wszakże szemat lit. A. nie był wcale wypełniony.

Dama przepraszała mnie stokrotnie, że dla braku czasu obarcza mię robotą, że muszę zostać na herbacie, etc., etc., etc.

Po załatwieniu tych formalności weszliśmy do salonu.

Spojrzałem w lustro, zdumiałem się.

Byłem piękny.

Czarny mój żakiet przybrał barwę piór kruczych, a wychylająca się z podeń talmigoldowa dewizka błyszczała jak złota.

Na twarzy miałem rozlany wyraz godności, co przy świeżo ostrzyżonej brodzie i matowym blasku łysiny nadawało mi pozór człowieka, poświęconego usługom społecznym.

— Teciu! Meciu! — zawołała dama — oto pan delegowany. — Moje córki, dacie panu potrzebne wyjaśnienia.

Panny pokręciły się trochę po pokoju, zamieniły z sobą kilka frazesów po francuzku i usiadły do fortepianu.

— O! taktyka kobieca..

Podano herbatę.

Widząc, że ani pan Jeleński, ani pan Makowiecki nie złapią mnie na gorącym uczynku — okpiwałem ich bezczelnie.

Mama, która przywiozła córki na pokaz do Warszawy, utrzymywała się w szemacie lit. A. z własnych funduszów.

Córki, które dochodziły 18-tej rocznicy od tańczenia pierwszego walca na wieczorku rodzinnym, miały w tymże szemacie po lat szesnaście.

A ponieważ miały przez pół roku guwernantkę z Radomia, w szemacie figurowały z wykształceniem wyższem.

Łamałem przez chwilę głowę, czyby się nie dało gdzie w szemacie lit. A. nadmienić, że przy herbacie były rozmaitości ze sklepiku, ale mi się to nie udało, co się wszakże nieraz i p. Jeleńskiemu i p. Makowieckiemu zdarza.

Kiedym już ukończył zapisywać średnie wykształcenie nie umiejącej czytać, ale dosyć przystojnej *do wszystkiego* Rózi, dama zapytała mnie z godnością:

— To zajęcie musi panu zabierać wiele czasu w pracach codziennych?

— O nie, pani — odrzekłem — moje zajęcia nie krępują mnie, do pracy wystarcza mi wieczór, w lecie wonny, ciepły, czarujący blaskiem gwiazd; w zimie wyiskrzony, śnieżny, z zawiścią patrzący na moją ustroń zaciszną, na ciepły piecyk, na stolik przy którym z żoną piję herbatę, przy miłej gawędce...

Dama, którą stopniowo ogarniało zdziwienie, zawołała z przerażeniem:

— Jakto? pan jesteś żonaty!

Tu fortepian jęknął, nie dokończywszy modlitwy staruszki Normy, a panienki wybiegły do swego pokoju.

Od damy powiał chłód taki, że uczułem potrzebę włożenia paltota obłożonego pluszem.

Pożegnałem damę, która mi lekko głową kiwnęła.

W przedpokoju podała mi palto i tekę z szematami Rózia, mówiąc mi prędko i cicho:

— Panie, ale pan nie napisze, że starsza patrzy zézem?

Poczciwa Rózia!

* *Przygoda pana majora Bombogromskiego ze smutnym końcem, a wesołym początkiem.*

Pan Jan Kapistran Bombogromski był dzielnym, jak mi Bóg miły, chłopcem.

O jego bohaterstwie, strategicznych zdolnościach, dowcipie — szerokie epopeje rozpowiadały sobie wszystkie wielkości — a że przeciw zdaniu wielkości w naszej mizernej krainie — do chwili obecnej nikt nie ma ochoty, i słusznie, protestować, przeto zdecydowaną było rzeczą, iż major Bombogromski, stryjeczno-cioteczno rodzony brat pułkownika Bombogromskiego, którego zrodził Lam — był „lumen mundi" i wszelaki respekt narodów stał się jego własnością.

Z takiemi przymiotami, rzecz prosta, pan major — jeżeli do tego dodamy jeszcze ślicznie zaczesaną czuprynę — wąsy wyszwarcowane, wprawdzie jakimś podejrzanej natury fiksatuarem, ale spiczasto i w kupie się trzymające, w końcu pewien charakter w nogach, który go na wszystkich balach publicznych czynił bardzo pożądanym — był ideałem dla wszelkiego czułego, a spragnionego afektów serca, ideałem dla wszelakiej młodzieży płci obojga — i jednogłośnie na walnem zgromadzeniu dziekanem kawaleryi w *** ogłoszony został.

Ach! gdy pomyślę o sukcesach pana majora Bombogromskiego, czuję wielką pretensyję do natury, iż mi się majorem Bombogromskim urodzić nie dozwoliła.

Wprawdzie na kartach dziejów niezapisanem zostało nigdy jego nazwisko — wpraw-

dzie odwagę jego opiał tylko bez zacytowania jednak roku i miejscowości jakiś prowincyjonalny poeta—wprawdzie nikt i nigdy nie mógł mi zacytować wojny, w której czyny majora Bombogromskiego były zanotowane, to jednak w istocie major podobno trafiał w asa i trzy oczka trójki po kolei wystrzeliwał; nikt przeto w wątpliwość nie ośmielił się podawać bohaterskich czynów, które z niepospolitą opowiadał werwą.

Czas dla majora Bombogromskiego nie istniał wcale, był jeszcze bardzo młodym zawsze i stale podejrzywanym kandydatem do rąk rozmaitych nadobnych piękności, na ostateczne jednak zadeklarowanie się, jak sam mawiał, zawsze brakło mu odwagi, choć do stu bomb, kul i granatów, o tchórzostwo nikt posądzić go nie śmiał.

Ho! ho! — a gdy począł rozpowiadać — klękajcie narody, co to za duch w tym człowieku był, panie dobrodzieju, to aż miło było słuchać.

Pan major Bombogromski, lubo, jak powiedziałem, młody w owe czasy, jednak zazwyczaj opowieści swoje ściągał do czasów bardzo dawnych, nawet do Napoleona, z którym łączyła go ścisła zażyłość, tak dalece, iż mały kapral częstował go zawsze hawańskiem cygarem.

Major służył w rozmaitej broni, najczęściej jednak słyszałeś wspomnienia z ust jego o artyleryi.

— Pi! pi! raz, pamiętam, kiedy w jakiejś bitwie wycelował do pułku pruskich kirasyjerów, pędzącego encarrière na działa, i kiedy kanonier lont do panewki działa przyłożył, to po tym jednym strzale z całego pułku zaledwie siedmiu, słowo honoru, tak zapewniał major, siedmiu się ludzi zostało.

No, ale co to wszystko do naszej przygody należy? prawda? przyjdźmy wreszcie do owego smutnego końca i wesołego początku.

Otóż początek był wesoły, bo działo się to w karnawale, a major, postanowiwszy ostatecznie się ożenić, wybrał nareszcie dla serca swego panią i... na ślubny miał ją poprowadzić kobierzec.

Był bal wspaniały, major, jak zwykle, dowodził tańcami, szczęście tylko i zadowolenie jego zaciemniała jedna, jedyna okoliczność, a mianowicie ta, że niegodziwiec szewc zrobił mu nadto ciasne lakierki.

— O, bodaj wszyscy szewcy z piekła nie wyjrzeli, powtarza do dziś dnia major z niejaką goryczą. I ma racyję, lakierki były przyczyną smutnego końca jego sławy.

Polka z zadzieraniem pięty do góry, poszła wspaniale, filozoficzny walc mniej nieco, bo go już lakierki piec zaczynały — ale gdy przyszło do mazura, majorowi przypomniała się inkwizycyja hiszpańska; w czasie więc, gdy inne pary tańczyły, poszedł sobie do sąsiedniego pokoju, przeznaczonego na palenie papierosów i ściągnąwszy nieszczęśliwe lakierki, rozkoszować się począł szczęściem, jakiego w tej chwili używać był w możności.

Rozciągnięty na kanapie, palił wzdychając papierosa, gdy naraz ozwało się kilka głosów.

— Panie majorze, panie majorze! pierwsze pary!

Major zerwał się na równe nogi i dalej nadziewać lakierki, a tu ani rusz, uparły się i na nogi wleźć nie chcą. Co czynić?... Boso przecież tańczyć niepodobna; major klnie, jak Kozietulski pod Somossierra — ale to wcale nie przekonywa upartych lakierków i pozycyja staje się bez wyjścia. Genijalna myśl nagle błyska w głowie majora, zdejmuje najbliższe ciała pokrycie nożne, chowa je do tylnej kieszeni fraka i lakierki włażą na nogi. Uśmiechnięty wpada na salę, podaje rękę pannie Eulalii, swojej narzeczonej — i dziś... dziś... dziś... dziś... mazura tańczy, aż się piekło śmieje.

— Panie Jacenty—odzywa się panna Eulalija—figurę z chustką, ja tak lubię tę figurę z chustką.

— Sto figur z chustką dla pani! — woła rozentuzjazmowany major, którego lakierki

teraz już tak nie pieką i krzyczy, niby przed frontem ordynuje utworzenie karabatalijonu.

— Panowie, koło! panie do środka!

I w mig stało się zadosyć komendzie majora.

— Pani raczy rzucić w górę chustkę — z wdzięcznym uśmiechem woła major — panowie, kto zuch, ten chwyta w powietrzu!

— Ach, panie Jacenty — zapomniałam chusteczki; racz mi pan swej pożyczyć — woła panna Eulalija.

Major sięga do kieszeni z tym samym uśmiechem i podaje do rąk panny Eulalii... chustkę. Panna Eulalija, jak zwykle przy tańcu, rozgorączkowana, nie patrzy, co jej major podał, wyrzuca w górę, major podskakuje i z tryumfującą miną chwyta, ale jedną swoją... skarpetkę, gdy druga rozpostarła się majestatycznie na cudownej koafiurze panny Eulalii.

Homeryczny śmiech ozwał się w całej sali; panna Eulalija zemdlała, a major nie miał nic więcej do zrobienia, jak niepokazać się więcej na sali i zrezygnować ze swoich sukcesów. Pokazywano go palcami, stał się śmiesznym i stracił już walor u tych, którzy go takim otaczali szacunkiem.

Proszę i dla czego? — dla tego, że szewc zrobił mu ciasne lakierki.

I nie był-że to smutny koniec wesołego początku?

* *Komiczna przygoda.*

Ulubiony przez Napoleona I-go pierwszy komik, słynny Petro Barioli, otrzymał od cesarza trzymiesięczny urlop, dla urządzenia swych spraw familijnych we Włoszech. Gdy powracał do Paryża, czas był już tak zimny, że w czerwonej ciepłej czapce, wsuniętej na uszy, drogę przez górę Cenis odbywał. Tak też przybył do Lugdunu i wysiadł w Europejskim hotelu, by dni kilka wypocząć po trudach podróży.

— O której godzinie jedzą tu obiad? — zapytał.

— Łaskawy panie— powiedziała właścicielka hotelu — zastosujemy się do godziny, która dla pana dogodną będzie. Skoro pan zażąda, obiad mu do pokoju zaniosą.

— To bardzo pięknie, ale nie jestem dość bogatym, żeby tyle kosztów robić. Będę więc ze wszystkimi jadać przy ogólnym stole.

— Łaskawy panie, rozumiemy to, że człowiek, zmuszony opuścić ojczyznę, może być w kłopotach pieniężnych. Racz pan nie troszczyć się tem, jesteśmy bardzo szczęśliwi, że pan nas zaszczycasz swemi odwiedzinami. Niebo nam tu pana zesłało. Zaprowadźcie pana do apartamentu, gdzie zwykle stają najdostojniejsi goście!

Barioli dał się zaprowadzić. Podano mu wykwintną kolacyję i przepyszne wino. Barioli, przyzwyczajony do różnych „qui pro quo", które zwykle są treścią komicznych oper, rozumiał to dobrze, że tu zaszła jakaś pomyłka. Że jednak nie był człowiekiem skłonnym do korzystania z dobrodziejstw które dla kogo innego były przeznaczone, szukał wyjaśnienia.

— Nie jestem tym, za kogo mnie macie— rzekł razu jednego. — Jestem śpiewakiem z paryzkiej opery.

— O, my to wiemy. Kto jest wygnańcem, musi się uciec do podstępu, żeby ukryć swe rzeczywiste stanowisko. Zresztą, możesz pan być spokojnym, milczeć potrafimy.

— Widzę, że nie dam rady — powiedział w duchu Barioli — muszę zgodzić się na to, co mi wmawiają.

Pozostał jeszcze dni kilka w Lugdunie, żyjąc jak jaki książę.

W dzień odjazdu czuł się w obowiązku pójść podziękować uprzejmej gospodyni. Wyszedł więc z sakiewką w ręce ze swego pokoju i znalazł w przyległym właściciela hotelu, jego żonę, krewnych, przyjaciół, sługi na klęczkach, proszących go o błogosławieństwo. Nie oczekiwał tak dramatycznego wrażenia.

— Ponieważ nie chcecie przyjąć pieniędzy — wyrzekł — przyjmcie moje błogosławieństwo; byłoby niewdzięcznością odmówić go wam.

Wyciągnął rękę i wypowiedział sakramentalne słowa:

— „Pax vobiscum!"

— Amen! — odpowiedzieli wszyscy przytomni i Barioli wsiadł do powozu.

Wyjaśnienie tej przygody jest bardzo proste. Papież Pius VII był wówczas więźniem Napoleona w Sawonnie. Wielu wygnanych do południowej Francyi kardynałów jechało przez Lugdun. Bariolego, z powodu czerwonej czapki, włoskiego akcentu i t. d., wzięto za jedną z eminencyj.

Napoleon I uśmiał się serdecznie z przygody swego komika.

Przyjaciel.

* — Są trzy rodzaje przyjaciół—mawiał pewien humorysta — jedni, którzy nas kochają; drudzy, którym jesteśmy obojętni; a trzeci, którzy nas nienawidzą.

*

Kiedy marszałek de Biron powracał z pod Arras, gdzie się świetnie odznaczył, Paryż przygotował dlań iście królewskie przyjęcie, a Henryk IV, ukazując go wszystkim, rzekł:

— Panowie, takiego marszałka de Biron przedstawiam równie chętnie moim przyjaciołom jak i nieprzyjaciołom.

Hist. d'Henri IV.

* *Bodajto dobry przyjaciel.*

Pan Jan, urzędnik w prywatnem biurze, choć ma biurowe zdolności duże, lecz za swą pracę będącą w cenie, pobierał skromne uposażenie.

A jak ci, którym szczęście nie świeci, unikające ludzi zasługi, ma chorą żonę, kilkoro dzieci i na dobitkę niemałe długi.

Lecz, że los czasem pociech udziela, pan Jan zbolały i skłopotany, oprócz rodziny miał... przyjaciela, którego... choćby przyłóż do rany.

Ten pan przyjaciel w rozmowie miły, niosąc Janowi swą przyjaźń w darze, zawsze narzekał na to co siły, że obdzierają Jana lichwiarze.

Wreszcie, że sam był w zamożnym stanie i że gwarancje miał nie zwodnicze, raz rzekł:

— Tak cierpię nad tobą, Janie, że ci sto rubli zaraz pożyczę. Śmierć już widnieje z twej żony twarzy, kredytu piekarz ci nie udziela, więc zamiast wpadać w ręce lichwiarzy, pożycz pieniędzy od przyjaciela.

— Dzięki, mój zbawco! ty mnie z odmętu wybawiasz dzisiaj.

Przyjaciel szczery odparł:

— Na miesiąc dasz trzy procenta, a lichwiarz wziąłby z pewnością cztery. Masz, podpisz rewers na dwa miesiące.

Jan, co o życie żony się trwożył, chwycił pieniądze w swe drżące dłonie i na rewersie podpis położył.

. . . .

Że Jana nędzy trapiło licho, gdy dwumiesięczny czas już upłynął, wszyscy lichwiarze siedzieli cicho, chociaż ich termin oddawna minął.

Ale przyjaciel, w którego pieczy niejedno serce już troska żarła, sprzedał słodziutko Janowi rzeczy, w chwili, gdy żona Jana umarła.

Czytelnik z tego z łatwością widzi i to w pamięci sobie uwieczni, że są czasami względniejsi żydzi, niż przyjaciele nasi serdeczni.

* *Przyjaciele.*

Niemasz teraz prawdziwej przyjaźni na świe-
[cie;
Ostatni znam jej przykład w oszmiańskim po-
[wiecie.
Tam żył Mieszek, kum Leszka i kum Miesz-
[ka, Leszek,

Z tych, co to: gdzie ty, tam ja, co moje, to
[twoje.
Mówiono o nich, że gdy znaleźli orzeszek,
Ziarnko dzielili na dwoje;
Słowem, tacy przyjaciele,
Jakich i wtenczas liczono niewiele:
Rzekłbyś dwójduch w jednem ciele.
O tej swojej przyjaźni raz w cieniu dąbro-
[wy
Kiedy gadali, łącząc swoje czułe mowy
Do kukań zazul i krakań gawronich:
Alić ryknęło raptem coś koło nich.
Leszek na dąb; nuż po nim skakać jak dzię-
[ciołek.
Mieszek tej sztuki nie umie,
Tylko wyciąga z dołu ręce: — kumie!
Kum już wylazł na wierzchołek.
Ledwie Mieszkowi był czas zmrużyć oczy,
Zbladnąć, paść na twarz: a już niedźwiedź
[kroczy,
Trafia na czoło, maca: jak trup leży;
Wnosi, że to nieboszczyk i że już nie świeży,
Więc mruknąwszy, ze wzgardą odwraca się
[w knieje,
Bo niedźwiedź Litwin mięs nie świeżych nie
[je.
Dopieroż Mieszek odżył... — Było z tobą kru-
[cho!
— Woła kum — szczęście, Mieszku, że cię
[nie zadrapał!
Ale co on tak długo tam nad tobą sapał,
Jak gdyby coś miał powiadać na ucho?
— Powiedział mi — rzekł Mieszek—przysło
[wie niedźwiedzie:
Że najlepszych przyjaciół poznajemy w bie-
[dzie.

A. Mickiewicz. (p. t. I, str. 19.)

Przyjemność.

O przyjemnościach życia małżeńskiego.

Chodzi by podskubiony, opuściwszy skrzy-
[dła,
Już się nie po szwu porze, już nie golą szy-
[dła.
We łbie i na kołnierzu pierza pełno wszędy
Buty spuścił do kolan prawie we trzy rzędy.
Rzepa w dole pogniła, grochu nie dostaje,
Słucha, gdzie kokosz gdacze, aby znalazł ja
[je.
Bo co się pierwej musiał jedno o się starać,
Teraz nędznik ani wie, czem się pierwej pa
[rać,
Bo dom, dzieci a żona nie natkane piekło,
Już tam odkrój, skoro się by najmniej przy
[piekło.
Bo chocia i z siebie drąc, tam wszystko p
[daje,
Przedsię wszystkiego mało, zawżdy nied
[staje.
Kupisz jej dziś koszulkę, jutro chce rańtus
[ka,
A na święto pstrej sukniej, ze szmelcem ła
[cuszka.
Więc się Jasiek narodzi, gotujże mu mamkę
A skoro pocznie chodzić, więc piastunkę Ha
[kę.
Sprawże mu pstry kożuszek, więc czerwon
[myckę,
A mamkę też z piastunką przystrój miłośnic
[kę,
Coby sobie na *hajtuś* z panięciem chodziła,
Dajże jej jeść, gdy raczy, by go nie zgłodził
Więc gdy Jasiek dorośnie, a k'temu Hanuśk
To wełnę by z barana drą z pana tatuśka.
Tej dokładaj na bramy *), a temu do szkoł
Już tam musisz w stodole rozpuścić sokoły.
Co nad snopki bujają, już więc panie stary,
Daj czerwoną przedziałać, dobrze wam ta
[w szarej.
Już więc konik nie swojski, kiedy cudn
[chodzi,
Już pan młody zachodząc zdaleka nań god
Radząc, iż panu ojcu już ino chodniczek
Lepszyby, bo ociężał wiarę miłośniczek.
Więc kiedy się dwa zejdą, to wnet wnij
[w radę,

*) Bramo—obszewka, stąd obramowany.

Prawda, żebyś już umiał rozprawić gromadę.
I jabych się domyślał gdzie nasiać pszenicę,
Gdyby jako tej starej pozbyć szubienicę.
A ze sta jeden będzie aby temu nie rad,
Choćby i dziś pan starszy był w niebie na
[obiad.
Mają za to dworstwo dobrzy towarzysze,
Gdy pan młody po ścianach, szczęścia cze
[kam, pisze.
Więc paniej do rydwana, albo do kolebki,
Już tam razem zaprzęgał ony cztery wszytki.
Patrzajże już kobierców i węgłowia pstrego,
Niedźwiedzi na chomonta, a wnet szwardo-
[wego
Wyrzuć, bo zmienił grzywę, już się tu nie go-
dzi,
Raczże kupić inszego, ten niech w bronie
[chodzi.
Nuż też owa służbica, co będzie kosztować,
Musisz więc i karwatkę na bramy zepsować.
Ano pani narzeka, iż u drugich wida,
Zawżdy panna ubrańsza niźli u niej bywa,
A też ją więc posadzą, a moją w kąt po
[pchną,
Albo gdzie z poślednimi lada kędy wepchną.
A gdy jeszcze najmilsza przytrafi się k'temu,
Iż przystrzygą czupryny workowi każdemu,
To już tam więc niesporo byś najbardziej tło-
[czył,
Bo, jednego dosypiesz, drugi przez płot sko
[czył.
Patrzajże tu zwoleństwa, gdy się tym zaba
[wisz,
Jakie sidło na szyję sam sobie przyprawisz.
Bo, byś był najgodniejszym, już siądź jako
[kokosz,
A nie ruszaj się z gniazda, jaka miła rozkosz.
Już więc tam opuść dla pana rańtuszka,
Wierzęć z tego nie ma nic iście pani duszka.

Przykazania indyjskie.

1-sze. Nie będzie miała kobieta innego Boga, na ziemi, prócz męża.

2-gie. Choćby mąż był stary, brzydki, wstrętny i brutal, choćby tracił majątek na miłostki, przecież żona powinna całą myśl swoją i starania jemu poświęcić i uważać go za swego Pana, Mistrza i Boga!

3-cie. Przyrodzonem kobiecie jest posłuszeństwo. Jako dziewczę, winna słuchać ojca; jako żona, swego małżonka; jako wdowa, musi ulegać dzieciom.

4-te. Każda zamężna kobieta powinna unikać mężczyzn, których może wyróżnić dla względów fizycznych czy moralnych.

5-te. Kobieta niepowinna nigdy zasiadać do stołu razem z małżonkiem, tylko trzymać się w oddaleniu pełnym szacunku i jeść to, co on raczy pozostawić...

6-te. Kiedy mąż się śmieje, śmiać się żona powinna, a kiedy płacze, płakać z nim razem...

7-me. Każda kobieta, z jakiegokolwiekbądź stanu, powinna własnemi rękoma przygotowywać ulubione potrawy swemu mężowi.

8-me. Aby podobać się oczom jego, powinna kąpać się w czystej wodzie, lub wonnym zaprawionej szafranem; powinna czesać i namaszczać swoje sploty, oraz czoło czerwoną malować opaską.

9-te. Jeśli mąż daleko, powinna pościć, spać na ziemi i odrzucić wszelkie ozdoby.

10-te. Jeśli mąż wraca, niech bieży ku niemu z wesołym okrzykiem, niech zda mu sprawozdanie ze swego postępowania, ze swych słów i myśli...

11-te. Jeśli na nią patrzy z ukosa, i za to dzięki złożyć mu powinna.

12-te. Jeśli ją bije, powinna cierpliwie znieść karę, później wziąć jego rękę, ucałować ją i prosić, aby mąż wybaczył, iż doprowadziła go do gniewu.

Przykrość.

Aż przykro pomyśleć o tem...

Aż przykro pomyśleć o tem,
Jak człowiek czasem jest głupi,
Krwią by opłacił i złotem,
Co inny za szeląg kupi.

Pytałem raz przyjaciela,
Czem on kobiety porusza,
Że każda mu wnet udziela,
Co tylko zapragnie dusza?

Powiedział mi: Sekret cały
W następnem mieści się zdaniu:
„Z kobietą, bądź w czynach — śmiały
A wstrzemięźliwy — w gadaniu.

Proś ją o całus sto razy,
Zawsze cię spotka odmowa;
Pocałuj — nie ma urazy
Tylko z nią o tem ni słowa."

M. Rodoć. (p. t. I, str. 125.)

Przymowa.

Dowcipna przymówka.

Gdy cesarz Napoleon I przejeżdżał przez Luçon, zauważył, że mieszkańcy ponieśli wielkie koszty na przyjęcie go.

Burmistrzowi, który wyszedł wraz z deputacyją na spotkanie monarchy, objawił swoje zadowolenie.

Gdy burmistrz w przemowie swej polecał niewyczerpanej wspaniałomyślności cesarza mieszkańców gminy, którzy, jak mówił, są bardzo ubodzy, odezwał się cesarz:

— Jeżeli gmina jest tak ubogą, pocóż te wydatki i przygotowania? Obszedłbym się bez nich, upewniam was.

— Ach! najjaśniejszy panie—odrzekł burmistrz—robiliśmy, cośmy byli winni, ale przyznaję, że jesteśmy winni za to, cośmy zrobili.

Przypływ i odpływ w losach ludzi.

„Są w losach mężczyzn odpływy, przypływy,
Które schwycone w porę" — resztę wiecie.
Nie jeden z was ma dowód na to żywy
Lub urojony, choć rzadko kto w świecie
Zaskoczy w porę element ruchliwy.
Lecz wszystko, co jest, na dobre jest przecie,
Tylko pomroki trzeba czekać końca.
W chwili rozpacznej błyśnie promień słońca.

„Są w losach kobiet odpływy, przypływy,
Które schwycone" — wiodą na .. bezdroże.
A musiałby to być żeglarz prawdziwy,
Coby znał to ich tajemnicze morze,
Z którem się nawet umysł majaczliwy
Jakóba Boehma porównać nie może,
Mężczyzna głową czuje, myśli, sądzi,
Kobieta sercem — więc nie dziw, że zbłądzi.

Byron.

Przypadek.

* *Przypadek, który na własne oczy widziałem, w istocie mały, a wielkiego wstydu narobił.*

Wstęp smutny. — Powiastka zwyczajna. — Zakończenie wielce dramatyczne i niezaprzeczenie oryginalne.—Krótki sens moralny w dodatku.

WSTĘP.

Jedna z wielu upowszechnionych wad naszego kraju jest zbytnia ilość koni cugowych, przy szczupłej liczbie koni roboczych. Bardzo często widzimy dzierżawcę maleńkiej wioski, szumiącego czwórką lub piątką cugowych rumaków, a nie mającego więcej do gospodarstwa, jak dwie nędzne szkapy. Wprawdzie i cugowe bywają o tyle wychudzone, że im wszystkie żebra z daleka policzyć można, ale zawsze są to cugowe, to jest: zaprzężone w szuwaksowany rzemień z mosiężnemi sprzączkami na krakowskich chomontach, lub gdy jest pan dumniejszy, na angielskich szorach. Taki sam stosunek istnieje co do pojazdów; bryczki porządnej i wygodnej w wielu dworcach szlacheckich nie znajdziesz. o półtoraczny, dobrze okuty wóz fornalski nie pytaj; natomiast pudło na resorach, gdyby przyszło czwartą część konającego majątku na to odłożyć, gdyby i za pożyczone pieniądze, być musi, albowiem każda edukowana i dobrego urodzenia córka obywatelska, wybierając się za mąż, przedewszystkiem marzy o koczu, i niemającemu nowego kocza i liberyi, i koni cugowych, nie oddałaby swej ręki,

chociażby łączył w sobie wszystkie przymioty zacnego człowieka.

Wyjątek w tej mierze zdarza się tylko przy *desperacyi* miłosnej i wtenczas mówią, że panna zrobiła poświęcenie. O dziedzicach nie rzeknę nic, bo jest-że u nas przykład, aby dziedzic dóbr ziemskich, niechby te dobra ziemskie tylko 3,000 złp. czystego dochodu przyniosły, aby, mówię, dziedzic żenił się bryczką, aby dziedziczka dóbr 3,000 złp. przynoszących, bryczką jeździła?,.. A kto widział tego u nas nigdy nikt nie żądał. Jest albowiem jak wół wyraźne prawo w kodeksie obywatelskim rzeczypospolitej babińskiej: „wszystkie dziedziczki dóbr ziemskich, jako cierpiące na jeneralne spazmy i familijne hemoroidy, winny się huśtać na resorach, a to pod utratą wszelkich *fumów* dziedziczki.” W Niemczech inaczej; tam ziemianin, mający 5,000 talarów czystego dochodu, długo się namyśla, czy kupić koczobryk, czy jeździć tak jak dawniej budką, lakierowanem płótnem krytą — zwyczajnie, *co kraj, to obyczaj.*

U nas zaś jest obyczaj: kocz! prawo babińskie po temu, a więc koniecznie: kocz! i chociażby na starość przyszło piechotą podróżować, z młodu najkonieczniej porzebny jest kocz, bez żadnego względu na ilość posiadanego majątku, na niepewność dochodów, bez względu, co będzie i jak będzie: główna rzecz, aby żony i córki obywatelskie jeździły jeżeli nie oszkloną landarą, lub, co najmniejsza, karetą! to przynajmniej koczem, mówię wyraźnie, koczem.

POWIASTKA.

W dobrach jednego z wielkich niegdyś panów, służył przed 10-ciu laty ekonom; imię jego Rafał, nazywał się Kukawką. Wedle powszechnego u nas zwyczaju, pobierał zasług złp. 300, ordynaryi twardego zboża korcy 15, wierzchowca na pańskiej stajni i 2 krowy na pańskiej oborze; o nierogaciznie i o drobiu nie wzmiankowano w kontrakcie: tylko ustnie pan komisarz oświadczył: *resztę wolno waćpanu chować w proporcyi.*

Kiedy Rafał Kukawka obejmował urząd ekonoma w dobrach wielkiego pana, miał jedną kapotę, z taśmami od wielkiego święta— kożuch na zimę szaraczkiem kryty, szarawary skórką cielęcą oblamowane, jeden garnitur z surowego płótna na lato, jedną parę juchtowego obuwia, nieco bielizny w dębowej skrzynce, kamizelkę pikową z cynowymi guzikami, granatowy kaszkiecik z rydelkiem, jedną brzytwę z paskiem, chustkę cycową na szyję (chustek do nosa, skarpetek i rękawiczek wówczas nie używał), siodło za 10 złp. drogo kupione, bat krótki na jałowcu, charapnik na sarniej nóżce oprawny.

W pięć lat później miał pan Kukawka kilkanaście sztuk bydła rogatego, 2 konie do zaprzęgu, jednego do wierzchu, 3 źrebce na zgoninach, sporą trzodę nierogacizny, drobiu pod dostatkiem, sprzętów gospodarskich przyzwoity zasób, bryczkę parokonną i jednokonną, wyżła, fuzyjkę, fajkę, tabakierkę, nieco mebelków w domu, kilka obrazków książąt niemieckich, kilkoro dzieci i żonę Małgorzatkę. W 10 lat później pan Kukawka dzierżawił wioskę Skwarek, prowadził hurtowny handel okowitą i po wszystkich jarmarkach tytułowano go: „panie Kukasiński dobrodzieju!”

Kiedy się Kukawka w Kukasińskiego zamieniła i czy się to stało z pozwoleniem heroldyi, czy bez pozwolenia, tego opowiedzieć nie mogę; wiem tylko, że w r. 1840, jakoś na jesień, widziałem tłustego obywatela w biurze informacyjnem Kaczanowskiego, na Krakowskiem Przedmieściu, który się tamże pilnie dopytywał, ażali już familijne dokumenta Kukasińskich nadeszły z Podola.

—o—

Roku 1844, w powiecie N.N. w gubernii N.N., w dworskiej rezydencyi dóbr ziemskich N.N., zastawny dzierżawca W. Rafał Kukasiński, dnia 10-go grudnia, o godzinie 4-ej z południa, leżąc w merynosowym szlafroku

na kanapie, palił ze stambułki gelbvirginię z drejkoeniszkiem mieszaną i następującą prowadził rozmowę z wielce szanowną małżonką swoją.

— Mniejsza o pieniądze, ale moja duszo, nasza dawniejsza egzystencyja tak jest znana w sąsiedztwie, że ja, przyznam ci się, duszko, wstydziłbym się jeździć koczem, zwłaszcza, że i ten Kaczanowski jeszcze mnie nie wylegitymował.

— Mnie się zdaje, żeby on cię i wylegitymował, żebyś ty do niego koczem zajechał.

— Tak gadasz, jak się masz; w Warszawie koczem jeżdżą wszyscy dorożkarze i, jak zapłacisz złotówkę, możesz od rogatki do rogatki koczem paradować.

— Tem bardziej, kiedy w Warszawie za złotówkę wolno każdemu koczem jeździć, dla czego my na wsi, mając 40,000 sumy hipotecznej, koczem jeździć nie mamy, ale tobie to nie warto i rozsądnie poradzić, zawsze ci jeszcze Kukawka z parokonną bryczką w głowie. Bywało się pod wozem, można być i na wozie.

— Poczekajmy jeszcze kochanie, może ja na św. Jan skończę z panem hrabią o kupno Paździerza, wtenczas, zwłaszcza, że się w inne przeprowadzimy strony, dla czegóżbym nie miał kupić kocza; a i koni tymczasem dobiorę maścistych i pomyślałoby się o nowych chomontach, o płaszczu szaraczkowym dla Mateusza, byłoby jakoś jedno z drugiem.

— Ty zawsze, kiedy ja ciebie o co proszę, wyjeżdżasz ze swojemi obietnicami, a nigdy nic dla mnie uczynić nie chcesz. W całem sąsiedztwie wszyscy mają kocze, nawet żona tego bankruta Koziegłowskiego paraduje koczem, a ja, co przez całe życie pracowałam, będę jak głupia jeździła bryczką. Wiesz co? trzy miesiące nie byłam w kościele dla tej naszej żółtej bryczki, co ją już wszystkie dziady z całej parafii palcem wytykają, ale gdyby mi przyszło i na Boże Narodzenie nie być w kościele, żółtą bryczką nie pojadę!

— To ją każę Stefankowi pomalować n zielono.

— Dureń stary z ciebie i kwita; nie wa tało, żem wyszukała nazwisko Kukasińsk tobie było na zawsze pozostać Kukawką.

— No, no, moja jejmość, tych żartów z wiele, durniem nie byłem i nie będę, a jeże ci koniecznie tak pilno do kocza, niech c rejment djabłów weźmie, kupię ci i kocz, ty ko mi nie skrzecz nad głową, bo ja w tym r ku mam za swoje; siano zgniło, pszenica n pniu porosła, owsa i jęczmienia jak na leka stwo, kartofle przepadły, a jeszcze do teg propinację ścisnęli, ani na kredyt szynkowa ani tańcować po 10-tej nie wolno, handel ok witą ustał, wszystko idzie na opak.

— Ja sprzedałam dzisiaj okowity 30 garı cy Herszkowi.

— Po czemu?

— Po złp. 3 groszy 5.

— Żebyś ty pięć lat konała, wszyscy ju i po groszy 10 sprzedają.

— Ale ja dolałam dwa dzbanki wody.

— I cóż, żyd nie poznał?

— Miał poznać, kiedy ja statki wysmarowałam alkoranem, więc okowita, jak zawsze pokazała jedenastą próbę.

— Nie alkoranem, tylko alkoholem, na ucz-że się gadać, jak należy.

— Jak będę miała kocz, to się i gada nauczę.

Marynka, 8-letnia córeczka, w tę chwil wciągnęła za ogon miauczącego kota i rozmowa państwa Kukasińskich zamieniła si w śmiech nad dowcipem Maryni.

—o—

W pierwsze święto Bożego Narodzenia roku jak wyżej 1844, pan Kukasiński wstawszy równo ze dniem, wyłoiwszy skórę parobkowi z gorzelni, jął się do przemierzenia okowity w cztery kufy, które wieczorem zamierzył wyprawić do Grochowa pod Warszawą, i już słońce ku południowi zbliżało się, a pan Rafał jeszcze w gorzelni gospodarował, gdy trzecia dziewka nadbiegła z zapytaniem, czy

jegomość pojedzie do kościoła, czy nie pojedzie.

— Powiedz pani, że nie pojadę, bo mi rachunek zmylił i muszę mierzyć na nowo.

— Pani prosi, żeby Jegomość przyszedł powiedzieć, jak się drzwi do koca otwierają, bo karbowy Walenty ukręcił tę złotą gałkę.

— Żeby on szelma jasności boskiej nie oglądał! kto kazał temu niedźwiedziowi łapą swoją majdrować przy koczu! Cham, myślał zapewne, że to kłonica przy wozie.

Po tych słowach ze złością wyrzeczonych, napisał pan Kukasiński na belce siódmą kreskę za ósmym krzyżykiem, wygnał dwóch parobków z piwnicy, wziął do ręki świeżą dębową klepkę z niezestawionej jeszcze nowej kadki zaciernej, zamknął drzwi na klucz i spuściwszy tenże klucz po Portugalii, sążnistym krokiem ruszył do dworu.

Przede dworem stał w cztery fornalskie konie zaprzężony kocz żółty, na wysokich resorach, suknem granatowem wybity, z wązkim koziołkiem bez fartucha, na giętych prętach bardzo wysoko wyniesionym. Koła, rozmiaru tych kół, które Ewans daje do sieczkarni, dwa żółte, dwa czerwone, a wszystkie cztery pomiędzy sobą równe, trzymając u dołu kolej tak nazwaną saską, u góry odbiegały od pokładu z każdej strony na 1 i pół łokcia, obręcze wyszlufowane wzmacniało 12 nowych, już na wsi zrobionych cybantów. Był to sprawunek za złp. 470, na święta wprost z Pociejowa do Skwarków sprowadzony.

Kiedy jegomość przyszedł do kocza, karbowy Walenty właśnie próbował kowalskiemi obcęgami pochwycić sztyft w mosiężnej gałce ukręcony, a fornal Maciej małym topoczarkiem podważał drzwiczki, niby ku ulżeniu zardzewiałym zawiasom; jejmość, otoczona dziewkami, stała zafrasowana tuż przy fabrykantach.

— Jezu! Jezu! — krzyknął Walenty, gdy go jegomość ową świeżą dębową klepką przez plecy ściągnął.

— A szelmo! a złodzieju! a niegodziwcze! naści patent na ślusarza od pojazdów!

Mateusz, nie czekając kolejki, rzucił toporek na ziemię i jednym susem płot od ogrodu przesadził.

— Dam ja ci toporem drzwiczki od kocza otwierać — krzyknął za Mateuszem jegomość i popuściwszy Walentego, obrócił się do żony.

— Więc ty nie mogłaś się doczekać aż ja z gorzelni wrócę?

— Dziesiąta godzina wybiła, wszyscy ludzie idą do kościoła.

— A szelmy! taką mosiężną gałkę ukręcić i jakżeż teraz otworzyć bez gałki! ażeby was paraliż zaraził, z waszem majsterstwem, to ta bestja niedźwiedzią łapą ukręciła. I znów jegomość Walentego lunął świeżą klepką dębową raz, drugi i trzeci. Widząc więc Walenty, że mu nie wypada dłużej placu dotrzymać, z obcęgami w ręku dał drapaka i Mateusza na pastewniku dogonił.

— Tylko się mężu nie gniewaj, ja już przystawię stołek i tak wlezę bez otwierania tych drzwiczek.

— Patrzajcie, po stołku będzie wchodziła do kocza, także i przed kościołem po stołku będzie wychodziła z kocza, także mi mądra? Ale ona by już i po drabinie wlazła, byleby tylko jechać w koczu. A toć-że masz przecie drugie drzwiczki.

— A prawda.

— Jagna, bież jeno na pastewnik, tam pod stogiem stoją obadwaj majstrowie, powiedz Mateuszowi, jak nie powróci do koni, dam mu Narodzenie, aż mu skóra zsinieje.

Jagna pobiegła. Gdy Mateusz powrócił do koni i Wielmożnego Pana w kolana pocałował, Wielmożny Pan dał mu tylko kułaka w kark. Mateusz rad, że się na kułaku skończyło, wygramolił się na koziołek i podane mu przez Jewkę lejce i bicz przyjął nie bez nowej trwogi, czy potrafi z tak wysokiego kocza szczęśliwie do kościoła zajechać.

— Słuchaj jeno Mateuszu—mówił udobruchany i widokiem ekwipażu rozradowany je-

gomość—zajeżdżając przed kościół, weźmiesz się na lewo i zrobisz około dzwonnicy zakręt, abyś stanął tą stroną, gdzie gałka nieukręcona.

— Dobrze, wielmożny panie, już ja wiem, zaraz od księżej stodoły złożę na lewo.

— Tylko przy księżej stodole ostrożnie, bo tam są doły po kartoflach.

— Ale mężu! któż mnie drzwiczki otworzy, jak zajedzie przed kościół?

— Nie możesz sama otworzyć?

— Ale jakżeż ja z tak głębokiego kocza wychylić się mogę, zresztą, może nie potrafię. Czy nie mógłby Grzesio stanąć za koczem.

— W czemże pojedzie, obdarty jak złodziej, usmolony jak kominiarz.

— Ja go kazałam umyć i mógłby się ubrać w te rzeczy, które to szynkarka wzięła od tego podróżnego pijaka.

— Jak tam chcesz, tak zrób.

W pięć minut potem, Grzesio, 15 letni chłopak, który w lecie źrebce pasał, a w zimie w piecach palił, w buchciastym fraku, w dostatnich pantaleonach, z nieco zaprzestronnym kapeluszem na głowie, gdy jejmość wsiadała do kocza, stanął w tyle, uchwycił się za rzemienie i z wielkiem ukontentowaniem zawołał: ruszaj Mateuszu! Patrzył za odjeżdżającymi, wracający do gorzelni, zadowolniony jegomość, patrzyły z podziwem pozostałe dziewki, patrzył się z pastewnika karbowy Walenty, na wsi kto tylko oczy miał w głowie, patrzył się, to na Mateusza na wysokim koźle, to na żółty pukład na wysokich resorach, to na ogniście wystrojoną jejmość w pukładzie, to na przebranego Grzelę, którego mało kto poznać mógł.

Droga przez wieś i droga za wsią, aż do samego kościoła we wsi sąsiedniej, była piaszczystą; Grzesio mocno się trzymał za rzemienie, na nos spadający mu kapelusz łokciem na czoło podsuwał i jakoś było wszystko dobrze—w sercu zaś pani Kukasińskiej, odbierającej najniższe pokłony od idących do kościoła włościan, był raj, żadnym językiem nie wysłowiony, a na myśl o wrażeniu, jakie na sąsiadach uczyni, gdy koczem z lokajem przed kościół zajedzie i gdy koczem z kościoła odjeżdżać będzie, piętrzyły się w piramidę dumy, przynajmniej tak wysoką, jak szczyty galicyjskich Tatrów.

ZAKOŃCZENIE.

Każdemu ze znających obrządki kościoła rzymsko-katolickiego wiadomo, że w pierwsze święto Bożego Narodzenia jeden ksiądz trzy msze św. odprawia. Otóż w parafii NN. ksiądz proboszcz odprawiwszy mszę drugą, szedł ku plebanii, a lud wytoczył się na cmentarz i witał się ze znajomymi, którzy schodzili się na trzecią mszę św. Kilka pań z córkami i kilka pań bez córek, kilku sędziwych obywateli, młodzież dorosła, młodzież ze szkół przybyła, czyli szanowne obywatelstwo parafii, o której mowa, także przystanęło na cmentarzu i powinszowania dosiego roku krzyżowały się w najlepsze, gdy w tem przy księżej stodole palnął ktoś z bicza. Wszyscy spojrzeli się ku stodole; miałem i ja oczy ku patrzeniu, patrzę więc i widzę cztery fornalskie koniki, widzę koziołek wysoki, a na nim znanego czytelnikom Mateusza, widzę żółty pukład na wysokich resorach, widzę w pukładzie szlachciankę z ogromnemi kokardami szafranowego koloru — to wszystko widzę, zarazem słyszę na cmentarzu znagła szerzący się śmiech i równocześnie wrzaski, hałas, wołania ze wszystkich stron: „patrzaj, patrzaj kumie, wejgo, wejgo!" A gdy i panie zawrzasły: „pfi! pfi! pfe!" ledwo mi oczy na wierzch nie wylazły z ciekawości, z czego się lud poczciwy śmieje i na co panie wołają: pfi! pfe!

Istotnie jestem w kłopocie, jak to opisać co i ja w końcu spostrzegłem—alеż, należy się na chwilę cofnąć w opowiadaniu.

Gdy Grzelę ubierano do służby lokajskiej włożyli na niego frak, kamizelkę i odzienie, na które krawcy żądają łokci dwa; dano mu nawet chustkę na szyję; jak wiadomo, miał kapelusz dzieciuny, miał i obuwie przyzwoite,

jednakże o czemś zapomniano? Oto, Grzesio nie miał szelek i gdy Mateuszek, objeżdżając dzwonnicę, silnie stuknął o kamień, przestronny kapelusz wpadł Grzesiowi przez nos aż na brodę, a dwa łokcie sukna, w najnieszczęśliwszej chwili zwolnione, opadły aż na pięty Grzesiowi, że zaś Grzesio pod dwoma łokciami sukna nie miał czterech łokci płótna, więc oryginał strony odwrotnej był u Grzesia najwidoczniejszy, a całość postawy i poruszeń biednego chłopca, wiatr igrający z połami fraka, dopełniły widoku, na który człowiek w godzinę śmierci swojej jeszczeby się roześmiać musiał.

SENS MORALNY.

Powyższe opowiadanie niechaj nietylko dla Knkasińskich, ale i dla tych wszystkich, co nad możność paradować pragną, nowym będzie dowodem, że chęć równania się bogatym, prędzej czy później, smutne, częstokroć najsmutniejsze upokorzenie sprowadza—niechaj za zwierciadło ich głupstwa posłuży.

Przypowieść.

* *Przypowieść o gospodarzu Ignacu, gospodyni Ignacowej i o Wojtku parobku.*

Czego się to tak Ignacy
W łeb pięściami bije!..
Nie dziwta się, ma on chudziak
Wielką turbacyję!..
Nie wie kogo z wozem posłać
Do boru po łaty;
Nie wie, kogo ma zostawić
Do patrzenia chaty...
Pośle Wojtka!.. Co mu w drodze
Zamrze gdzie szkapina...
Pośle żonę?.. to się na nic
Zmacha kobiecina!..
I tak źle i tak niedobrze.
O mój wielki Boże!..
Żadnej sobie rady Ignac
Wymyśleć nie może!

. . . .

Wolno bo jest mieć człekowi,
A więc też i Ignacowi
Rozumienie swoje;
Aleć zawdy czy poradzić,
Czy interes poprowadzić
Jakoś lżej we dwoje...
Za stodołą, za Maćkową,
Zdybał Wojtek Ignacową
I wespół z nią biada...
Powzdychali, pogadali,
Rozeszli się, poszli dalej
Już gotowa rada!..

. . . .

A Ignac precz medytuje,
Ledwo się nie wścieknie!..
Aż-ci tu Wojtek z nienacka
Tak onemu rzeknie:
„Albo mnie i gospodyni
„Wóz do boru dajta,
„A sami dla bezpieczności
„Izby doglądajta;
„Albo wy jedźta do lasu,
„A my, przy chałupie,
„Z gospodynią z Ignacową
„Zostaniemy w kupie."
Ucieszył się na to słowo
Ignac z całej mocy...
O bodajto mieć parobka
Wojtka do pomocy!...

Przysięga.

Probierczyk. Śpiesz pani do ojca coprędzej.

Celija. Czy cię posłem zrobiono?

Probierczyk. Nie, na honor, tylko mi szukać rozkazano.

Rozalina. Gdzie się przysięgi tej nauczyłeś, błazenku?

Probierczyk. Od pewnego kawalera, który na swój honor przysięgał, że naleśniki były dobre, i na honor przysięgał, że niegodziwa była musztarda, gdy ja utrzymuję, że naleśniki były niegodziwe, a dobra musztarda, pan kawaler jednak nie krzywoprzysiągł.

Celija. Jak tego dowiedziesz z całą twoją kupą nauki?

Rozalina. Teraz pora odjąć kaganiec twojej mądrości.

Probierczyk. Przybliżcie się; położcie rękę na waszych podbródkach i przysięgnijcie na wasze brody, że hultaj ze mnie.

Celija. Na nasze brody, gdybyśmy je miały, hultaj z ciebie!

Probierczyk. Na moje hultajstwo, gdybym miał je, byłbym hultajem; ale jeśli przysięgacie na to, czego nie macie, nie krzywoprzysięgacie; a więc i kawaler nie krzywoprzysiągł przysięgając na honor, którego nigdy nie miał, lub, jeśli miał kiedy, to już go wyprzysiągł długo wprzódy, nim widział te naleśniki i tę musztardę.

Celija. O kim to chcesz mówić, proszę?

Probierczyk. O pewnym panu w wielkich łaskach u starego Fryderyka, twojego ojca.

Celija. Łaska mojego ojca daje mu dosyć honoru. Nie mów o nim więcej, bo lada dzień dostaniesz chłostę za twój złośliwy język.

Probierczyk. Tem gorzej, że błaznom nie wolno mówić mądrze o tem, co mądrzy po błazeńsku robią.

Celija. Przyznaję, że wielką masz racyję, bo odkąd odrobinie sensu, którą mieli błazny, milczeć nakazano, odrobina błazeństwa, którą mieli mądrzy, w całym pokazała się blasku.

Szekspir. (p. t. I, str. 92.)

*

„Jeżeli kłamię, niech mnie piorun trzaśnie!"
Tak zaczął kłamca: — wtem zagrzmiało wła-[śnie;
A on czemprędzej dokończając mowy:
„Żem zawsze kłamał i kłamać gotowy."

Aleksander Fredro. (p. t. I, str. 67.)

Przysłowia.

Gdyby kózka nie skakała,
Toby nóżki nie złamała.
Gdyby Francja nie szalała,
Toby teraz nie cierpiała.

—o—

Gdyby mrówki się leniły,
Głodem by się zamorzyły,
Gdyby Włochy się kłóciły,
Toby się nie zjednoczyły.

—o—

Gdyby kura nie grzebała,
Toby ziarna nie zbierała.
Gdyby Anglja próżnowała,
To by złota dziś nie miała.

—o—

Gdyby wół się czego uczył,
Nigdyby się nie utuczył.
Gdyby Niemiec się nie uczył,
Toby Francyi nie dokuczył.

* Wróbla na lep, Niemca na chleb, żyda na dukaty, naszych na magnaty, Francuza na cacko byle strojne, a kozaka na wojnę, a na zazdrość białogłowę, to lada urwiszątko złapać gotowe.

Gawęd. dziad. 67

* *Stare przysłowia ze zmianami stosownemi do obecnych czasów.*

„Własna chwała
U drzwi stała".
Tak mówiono dawniej —
„Wielka blaga
Dziś pomaga."
Prawdaż imci sławni?

—o—

„Ten pan zdaniem mojem,
Kto przestał na swojem."
Ach, cóż to za dzika sentencja!?
„Ten pan w obec ludzi,
Co cudze wyłudzi."
I w tem jest mądrości esencja.

—o—

„Nie z soli, nie z roli,
Lecz z tego co boli."
Powiada bohater wsławiony,
Nie z soli, nie z roli,
Nie z tego co boli.
Bo czas dziś djabelnie zmieniony,

Nie z soli nie z roli
Nie z tego co boli.
Bo taka zasada obrzydła.
Nie z soli, nie z roli
Lecz z tego co goli
Bliźniego czyściutko... bez mydła...

* *Zmiana przysłowia.*

(dawniej mówiono)
Ręka rękę myje, noga nogę wspiera.
(obecnie trzeba mówić)
Ręka rękę drapie, noga nogę kopie.

* *Przysłowia nowoczesne.*

1). Gdzie dyjabeł nie może, tam niemca poszle..
2). Za pan brat niemiec z pastuchem.
3). Co nadto, tego i niemiec niechce jeść...
4). Grzebie się w jedzeniu jak niemiec w talerzu.
5). Niemiec gada, a wiatr niesie.
6). Na pochyłe drzewo to i niemcy skaczą.
7). Wyglądasz, jak niemiec w chomoncie.

* *Przysłowia karnawałowe.*

Gdy chcesz zjeść kolacyję z wszystkimi pospołu,
Zwykle siadaj pierwszy, gdy krzykną: do stołu!

Nie lekceważ grajka, co na bal się stawił,
Bo gdyby on nie grał, tobyś się nie bawił.

Nie tańcz bezustannie mazura i walca,
Ażebyś z kanapy nie pokazał palca.

Gdy mąż jaki w karty gra sobie statecznie,
Nie rozmawiaj z żoną, bo to niebezpiecznie.

Gdy gra Lewandowski, by się bawić raźniej,
Udawaj, że jesteś z nim w wielkiej przyjaźni.

Nigdy waść się nie daj łudzić słówkom masek,
Bo po ich słodyczach poznasz wielki kwasek.

Nigdy moja panno nie bierz męża z tańca,
Bo zamiast rozkoszy, los ci da sztukańca.

Nigdy z damą starą nie leć w kontredanse,
Bo jej się przypomną przebrzmiałe romanse.

Choć z panną posażną czule balansujesz,
Jeśli jesteś goły, nic nie wytańcujesz.

Ze starą damulą nigdy nie tańcz polki,
Bo będziesz miał kłopot, gdy ją zeprą kolki.

Jeśli chcesz się bawić z całego serduszka,
To zamiast iść na bal, połóż się do łóżka.

Z młodziana, co w tańcu zwija się jak fryga
Bardzo często w życiu jest ogromna figa.

* *W starym piecu dyjabeł pali.*

— Oj stare piece, stare piece, bodajże kaci was porwali, dowodzą bowiem wasze hece, że w was na starość dyjabeł pali.

Tak woła dzisiaj każdy prawie, kto do nadużyć nie jest prędki, bo starych pieców dość w Warszawie, które ogniste mają chętki.

Trudno wyliczać wszystkie z rzędu, wszakże je dobrze znacie sami, wiecie, kto skory jest do błędu i kto pozorem cnoty mami.

Więc dyskretności chcąc wam dowieść, gdy żądni nazwisk nie jesteście, kropniemy tylko wam opowieść o pewnej mamie znanej w mieście.

Nie jest ona bardzo młoda, gracik to panie oczywisty, lecz chociaż zwiędła jej uroda, jeszcze z niej piecyk jest ognisty.

Ma ona córkę, istny kwiatek, godny kochania sercem całem, dziewczę dwadzieścia licząc latek, jest już na żonę materyjałem.

Więc pewien młodzian, kształtny, hoży, będąc witany nie ze wstrętem, widząc, że mama się niedroży, stał się córeczki konkurentem.

A że tlał chęcią jaknajszczerszą celibatowi zabić ćwieczka, miłością czułą, szczerą, pierwszą umiłowała go dzieweczka.

Wtem gdy dzień ślubu naznaczono, rzekła do córki dobra mama:

— Ty być nie możesz jego żoną, jeśli nie umiesz cenić sama, jest to bałamut i na boku ma jakiś romans z pewną damą...

A córka rzekła z łezką w oku:

— Lecz ja za niego pójdę, mamo.

— By mieć swą wolę tyś za młoda, porzuć więc głupie komeraże, ja nie zezwolę, bo cię szkoda i tak być musi, jak ja każę. Bo widzisz córko to zamężcie trosk nabawiłoby cię wielu, mogłoby przynieść ci nieszczęście, a ja twe szczęście mam na celu.

— O jakże dobra jesteś mamo, że mnie od cierpień bronisz piekła.

I choć zmartwiona ślubu tamą, dzieweczka męża się wyrzekła.

. . . .

Lecz nie wierzyła sobie sama, czuła się bólem zbyt dotknięta, kiedy spostrzegła to, że mama jej poślubiła konkurenta.

. . . .

Z tego więc prawda wielka świeci, cośmy w tytule napisali, że często kosztem pieców dzieci, dziś w starych piecach dyjabeł pali.

* *Przysłowia zastosowane.*

1) „Nie można opierać się władzy" — rzekła kucharka i pozwoliła się całować żandarmowi.

2) „Powiedz mi, z kim przestajesz, a ja ci powiem, jak on się nazywa."

3) „Tylko śmiało, a wszystko pójdzie na opak," rzekł kogut do robaka i zjadł go.

4) „Lepsze jest nieprzyjacielem dobrego," powiedział złodziej, i zabrał nowy kapelusz, pozostawiwszy swój gorszy.

Przysługa.

Sędzia gminny:

— Macieju! jesteś obwiniony, żeś dopomagał Franciszkowi we wczorajszej kradzieży; czy to prawda?

— No, proszę wielmożnego sędziego, Franciszek służył mi za świadka na mojem weselu, to ja se pomyślałem: jedna przysługa za drugą...

Psota.

Podczas próby opery komicznej pani Favart, zatytułowanej *Fêtes publiques*, panna Sauvage, artystka znana pod imieniem Mamie Babichon, wślizgnąwszy się do orkiestry, pozaczepiała niepostrzeżenie peruki wszystkich symfonistów o małe haczyki, zebrane na jedną nitkę, która była przeprowadzona do loży artystów.

Proszę sobie wyobrazić zdumienie widzów, gdy ci ujrzeli za pierwszem pociągnięciem smyczków peruki muzyków, unoszące się zwolna w górę.

Oburzony dyrektor Wielkiej Opery kazał natychmiast robić ścisłe i surowe poszukiwania, w celu odkrycia winowajcy.

Mamie znalazła się w mgnieniu oka obok niego, udając najbardziej zdziwioną.

Naprózno wszakże — zdemaskowana, wyznaje swą winę i woła:

— Ach, panie dyrektorze! przebacz mi! ja taki nieprzeparty wstręt czuję do peruk!... Mój Boże... doprawdy! pomimo całego szacunku, jaki mam dla ciebie... ja... nawet widoku i twojej znieść nie mogę!..

I po tych słowach, chwytając perukę dyrektora, zmyka z nią za kulisy.

Irytacyja powszechna nie ma granic, obecni w komplecie wołają o pomstę i idą do policyi ze skargą na zuchwałą psotnicę.

Ale przebrzydła trzpiotka potrafiła i tam tak naiwnie i z takim zabawnym wdziękiem opowiedzieć całe zdarzenie, że rozśmieszeni urzędnicy skazali ją na bardzo lekką karę pieniężną.

(*De La Place, Pièces interessantes.*)

Puder.

— Zkąd wracasz mężu o tak późnej porze?
— Byłem na wiście u pana Ludwika.
— Byłeś na wiście? ja to w bajki włożę —
Krzyknęła z gniewem groźna magnifika.
A jako dowód, że mężulek kłamie,
Wskazała pudrem obsypane ramię.

'uzderko.

'laszki z gorzałką w puzderku zamykasz,
ι co minuta odmykasz i łykasz!
łałas sam czynisz: wypito z pod klucza!
ľlucz nie pomoże, gdy gęba dokucza. —
'hcesz-li, by wódki nie ubyło wcale,
aınknij twą gębę kłódką, mój Michale! —

Daniel Bratkowski.

ycha.

Raz przyszła pewna dziewczyna do swego powiednika i mówi:

— Czcigodny ojcze, mam jeden wielki rzech, jestem bardzo pyszna!

— A czy jesteś bogatą?

— Nie.

— No, w takim razie to nic nie szkodzi.

ygmalijon.

Oto wyszedł na przechadzkę
Znany wszędy impresarjo —
Pieśń pod nosem zaczął skoczną,
Lecz zakończył smutną arją.

Darmo bowiem całe życie
Do scenicznej wzdychał chwały —
Gwiazdy jego, po kolei,
Z horyzontu pospadały.

Każda była urodziwą,
Pełną czaru niewieściego —
Ale wszystkie miały głosy
Marne, nikłe, do niczego.

Widzi tedy impresarjo
Klęskę swoją oczywistą —
Nie wie, czem ma teraz zostać...
(Chyba wreszcie nowelistą).

* * *

Idąc dalej, jak rozpaczy
Obraz cichy, a ruchomy,
Na przedmieście zaszedł, kędy
Mali ludzie, małe domy.

I tu nagle głos się ozwał
W mgle wieczornej z jakichś dołów,
Jak słowicza serenada
Lub jak chorał z sfer aniołów.

Impresarjo, śpiew ten słysząc
O metalu czystej wody.
Zaraz doznał niebywałej
W melancholji swej osłody.

„Daj mi córkę na naukę!" —
Rzekł z wymową płomienistą
Do rodzica panny, który
Był flecistą i sznapsistą.

„Wyczaruję z piersi córki
Tremolanda i staccata,
Zrobię z niej boginię sceny,
Zrobię z niej fenomen świata!"

I nazajutrz Katarzynę,
W głos bogatą słodki, tkliwy,
Dał na stancję do matrony,
Gdzie lokował swoje diwy!..

* * *

Jeden tylko miał frasunek:
Ach, istota ta słowicza
Była brzydką, bardzo brzydką
I z figury i z oblicza.

Krępa, tłusta i niezgrabna,
Miała oczy bez wyrazu
I wrażenie wywierała
Na pół klocka, na pół głazu.

Impresarjo już rozpaczał
I wychodził z całej weny,
Snując myśli o występie
Tej Gretcheny i Carmeny.

Siedzącemu bez humoru
Na rozkosznych marzeń tronie,
Szepnął genjusz w głębi duszy:
„Dokaż cudu, Pygmalijonie!"

„A więc szlifuj metal głosu,
Ton i wyraz, dźwięk i dzielność
A zarazem ciosaj klocek —
Tak się bierze nieśmiertelność"...

Więc powierzył Katarzyny
Muzykalne wychowanie
Profesorom w Windobonie
I maestrom w Medjolanie.

Otworzyli Katarzynie
Bramy seraficznych światów —
I sięgnęła do wyżyny
Tremolandów i staccatów.

Rok po roku, coraz więcej,
Głos się diwy wyaniela —
W trzecim roku Katarzyna
Już się zowie Mirabella.

* * *

Wystąpiła. Gdy zabrzmiała
Słodka głosu jej tryląda,
Audytorjum w uniesieniu
Na kolana wszystkie pada.

I z występem każdym rośnie
Melomanów uniesienie —
Była świetną, była wielką
I w Gretchenie i w Carmenie.

I poczęli latać za nią
Gogi z twarzą zapłonioną.—
I wielbili Mirabellę
Recenzenci *unisono.*

* * *

A tymczasem impresarjo,
Pamiętając na zaklęcie,
Które genjusz jemu szepnął,
Ciosał klocka kształt zawzięcie.

Odkrywając po kolei
Wielkie sztuki talizmany,
Zrobił z brzydkiej Katarzyny
Cud piękności niesłychany.

Jej figurę mód mistrzyni
Harmonijnie sztukowała,
A twarz szara — była teraz
Jak z Karary marmur — biała.

W jej zaspanych, martwych oczach,
Tlił się teraz ogień święty,
Zwłaszcza gdy mu podniecały
Blaski, perły i djamenty.

Śpiew czarowny Mirabelli
Oszałamia tłum i mami —
Jeden zaś z poetów młodych
Opiał piękność jej wierszami...

* * *

Impresarjo na nią patrzał
Ciągle okiem wielkiej dumy —
Oszołomion i omamion
Był tak samo, jak i tłumy.

Spoglądając przez trzy lata
Na genjusza swego dzieło,
Wreszcie poznał, że uczucie
W głębi serca pożar wszczęło.

W czarny frak się tedy ubrał,
Przez tę miłość rozzuchwalon,
I rzekł: „Diwo, bądź mi żoną!
Błaga ciebie, twój Pygmalijon!"

* * *

Ledwie tylko głos miłości
W roztęsknionem zginął echu,
Już wylała Mirabella
Z ust kaskadę wielką śmiechu.

„Wiesz ty — rzekła — impresarjo,
Że pochodzę z tego stanu,
Który łączy się czasami
Z książętami gór Bałkanu.

„Żal mi ciebie, Pygmalijonie,
Idę zamąż. On jest hrabia
Niema wprawdzie kapitałów,
Lecz mu imię herb ozdabia.”

* * *

I o dziwo! Mistrz Pygmalijon
Po wyklęciu tem brutalnem,
Chodził ciągle za niewdzięczną
Z ubóstwianiem swem zapalnem.

Czasem targał sobie włosy
W zrozpaczeniu jakiemś dzikiem,
Lecz na wieki został diwy
Impresarjem — niewolnikiem.

Tylko sromał się niezmiernie,
Że się z nim to wszystko stało —
Na weselu z gołym hrabią
Aranżował ucztą całą...

Włodzimierz Stebelski.

Pytanie.

Ach! przyjaciele, radbym się dowiedział;
Bo trzeba wam to wiedzieć, żem ciekawy tro-
[szki,
Który z nich głębiej będzie w piekle siedział:
Czy ten to co proch wynalazł, czyli ten co pro-
[szki.

Kretowicz.

* *Trafne pytanie.*

Syn. Ojcze! tutaj w sieni wisi tabliczka z napisem: „Dr. Kapuściński, lekarz wolnopraktykujący”; czy są także i lekarze prędkopraktykujący?

* *Pytania z odpowiedzią.*

Czemże panny pijają, kiedy świece gaszą?
R. Flaszą.
A któż pannom dodaje, kiedy nikt nie widzi?
R. Żydzi.
A cóż panny winują, gdy dopełnią miary?
R. Czary.
Czymże się na nie leczą? lekarstwem dozna-
[nem
R. Dzbanem.

Wacław Potocki. (p. t. I, str. 13.)

„A quatre mains."

I.

Na cztery ręce-śmy grali
Jakieś przecudne sonaty —
Dźwięki płynęły, jak wietrzyk
Gdy rankiem pozdrawia kwiaty,

—o—

Dźwięki płynęły tak lubo,
W pokoju byliśmy sami...
Wkrótce rąk granie ucichło
I — graliśmy spojrzeniami.

—o—

A potem inne znów granie
Wszczęliśmy wespół tem milej
Jam tulił, ona się wsparła,
Takeśmy sobie gwarzyli.

—o—

O czem? eh... trudno powiedzieć,
Rozmowa była dość pusta:
Jej pierś na piersi mej czułem,
Na moich ustach — jej usta.

—o—

O! niczem wietrzyk wiośniany,
Gdy kwiaty pozdrawia rano,
W obec tej cudnej harmonii
Ciągłego „dolce" i „piano".

II.

W tem nagle pośród tej ciszy
Rozkosznej, a tak głębokiej,
Doszedł nas szelest z daleka...
Jej matki były to kroki.

—o—

Szybko na nowo-śmy wzięli
Na cztery ręce sonaty;
Dźwięki płynęły, jak wietrzyk,
Gdy zrana pozdrawia kwiaty.

—o—



Lecz chociaż graliśmy z taktem,
Matka, gdy weszła, oczyma
Mierząc swą córę pieszczochę,
Rzekła, że *taktu* nic niema.

Querella panieńska.

Płyną czasy, dni mijają,
A ja chudzineczka,
Spodziewając, wyglądając,
Swego kochaneczka,
Łzami kropię łoże swoje,
Cierpiąc w sercu niepokoje.
Bywaj, bywaj, mój najmilszy,
Kochanie moje.

Nie wierz ty temu wszystkiemu,
Co to powiadają,
Abym miała być niedbałą
A wszakże doznają,
Tylko mi nie daj w tęsknicy
Skonać strapionej nędznicy,
Użycz oka łaskawego
Swojej niewolnicy.

Pociesz smutną twarzą chętną,
Bo już umrzeć muszę,
Jeśli hardą twoją wzgardą
Zasmęcisz mą duszę.

Pociesz, pociesz mnie niebogę,
Bo już dalej trwać nie mogę,
Pośpiesz do mnie mój najmilszy
W szczęśliwą tę drogę,

A jesteś ty nieużyty,
Nie dasz się zniewolić,
Abyś ze mną na wzajemną
Miłość miał pozwolić —

Naraj kogo z swojej ręki,
Niech nie cierpię już tej męki,
Bo mi się już w tym to wianku,
Chodzić nie chce i przezdzieku (?)
Raj starego, raj młodego,
Nie będę przebierać,
Tylko mi nie daj, mój Panie,
W tym wieńcu umierać.
Przystojniejsza mi podwika,
Przestrony kabat u letnika,
Jużbym i rada poszła
Za jakiego szpetnika.

Chociaż chromy, chociaż ślepy,
Choć o jednej nodze,
Siła złego, gdy przez niego,
Cóż czynić niebodze.

Pociesz mię szczęściem strapioną,
Niechaj będę z panny żoną,
Czymkolwiek bylem była
W mężu pocieszoną.

Gniewliwego, ani złego
Nie będę się bała,
Miłe fuki, miłe puki,
Bym go tylko miała.

Choćbym brała i po grzbiecie,
Nic to, bym tylko na świecie,
Bez miłego nie tęskniła
I zimie i lecie.

Olbr. Karmanowski.

Questio.

Zadał ktoś: co na świecie pierwszą kreaturą:
Kuraż przed jajem była, czy jaje przed kurą?
Mniej tu widzę potrzebna głęboka dysputa,
Wprzód Pan Bóg stworzył w raju kurę i ko-[guta,
Dopiero kiedy się ci w wspólny związek [sprzęgą,
Jaje niosą, a potym kurczęta się lęgą.
Zadał drugą: co pierwej, młot czyli kowadło?
To prawda, że ma A i B abecadło,
Czemu A przed B chodzi? Podobno to słaba
Racyja, że stworzona po Adamie baba,
Mógł bydź kamień i młotem i kowadłem póty,
Póki się nie ukuły kowadła i młoty.
To mi zgadnij, to bowiem kładę między cudy:
Zkąd najpierwej żelazo wzięło się bez rudy?
Czem Kain ziemię orał? czem zabijał Abla?

Zkąd mu kosztur, siekiera, zkąd się wzięła [szabla?

Wacław Potocki. (p. t. I, str. 31.)

Qui pro quo.

(Stara opowieść.)

W wagonie pasażerskiego pociągu, ruszającego ze stacyi, siedział staruszek z córką, widocznie cierpiącą na ból zębów.

Starzec usiadł w kąciku wagonu i wkrótce zasnął.

— Szanowna pani — odezwał się do panny młody towarzysz podróży — znać cierpi na ból zębów?

— Tak, już od kilku dni.

— Jeżeli pani pozwoli, to ja ją wyleczę w przeciągu kilku minut.

— Uczynisz mi pan wielką łaskę.

— Z przyjemnością. Lecz do tego trzeba, żeby pani uwierzyła w sympatyczne środki. Widzi pani, dostatecznem jest, abym przyłożył usta do zbolałego miejsca, a po kilku sekundach ból stanowczo usuniętym zostanie.

— Ach, nie, nie! Ja nie ufam podobnym środkom! — zawołała młoda dziewczyna.

— I głupstwo robisz — rzekł jej ojciec, obudziwszy się i przecierając oczy. — Panie, bądź pan tak łaskaw spróbować swego środka na mnie, od tak dawna cierpię na... *odciski.*

* *Qui pro quo.*

(Autentyczne.)

Do pana R., dajmy na to adwokata, starał się na dependenta młody człowiek.

Przed kilkuna tedy dniami, nie zastawszy przyszłego pryncypała, zostawił list rekomendacyjny, oświadczając, iż po odpowiedź przyjdzie we środę.

Ponieważ istotnie rekomendacyja była od osoby wpływowej i sam protegowany podobał się z... pięknego pisma, oczekiwano więc na niego z pewnem upragnieniem.

Pan R. przed świętami chcąc odświeżyć mieszkanie, zamówił frotera i wyznaczył mu ranną godzinę; trzeba trafu, że działo się to wszystko także we środę.

Zaledwie uderzyła 8-ma, odezwał się dzwonek i wszedł przyzwoity człowiek z paczką, owiniętą papierem.

— Czy zastałem pana...

Dowcipna służąca, widząc przed sobą przyjemnego młodzieńca, prosiła go siedzieć, a sama pobiegła zameldować państwu.

— Aha! to nasz dependent — mruknął do siebie adwokat — poproś, żeby się zatrzymał w salonie, zaraz wyjdę.

Służąca spełniła rozkaz.

Za chwilę odzywa się znów dzwonek i równie młody, skromnie ubrany mężczyzna także z papierami pod pachą, ukazuje się we drzwiach.

— Czy zastałem pana?.. — pyta sługi.

— Jest, jest! zaraz dam znać.

Na doniesienie sługi, adwokat odpowiada:

— Chwała Bogu, to froter, weź-że go sobie do kuchni, sam mu powiem, co ma robić.

Wprowadzony do kuchni młodzieniec, siadł na krześle i czeka.

Kiedy się to dzieje, adwokat wychodzi reszcie z gabinetu.

— Witam pana — odzywa się do siedzącego w salonie, który mówiąc nawiasem, nie zdjął paletota, ale wyrozumiały jurysta nie przywiązywał do tego wagi, a raczej tłómaczył tę drobną niegrzeczność możliwością kilkorakich przyczyn i rzekł w dalszym ciągu:

— Siadaj pan tu przy biurku, zaraz przyniosę robotę.

Po chwili adwokat daje mu papier, stalówki i atrament.

— Napiszemy malutką apelacyjkę. Pan nigdy jeszcze nie pisałeś?

— Nie, proszę pana...

— To nic, przy mnie wkrótce się pan ze wszystkiem obznajmisz. Najprzód więc zrób pan marginesy.

Kiedy młodzieniec spojrzał na niego wielkiemi oczami, adwokat wziął arkusz i podając, mówi:

— Proszę, pisz pan, tak na trzy palce od góry... do Izby Sądowej... weź-że pan pióro... no umacz-że pan w kałamarzu... no, wielka litera Do... Dla czego pan nie piszesz?

— Bo proszę łaski pana...

— Co takiego?

— Ja... pisać nie umiem.

— Nie umiesz... a starasz się o miejsce mego pomocnika...

— Ja?

— A któż? Przecież to pan przyniosłeś wczoraj list od...

— List? Nie.

— Jakże się pan nazywa?

— Józef Derło.

— To pan nie jesteś Władysławem Prawnickim. Któż pan jesteś do kaduka?

— Froter, proszę W-go pana.

Adwokat się zerwał, gdy oto wchodzi sługa.

— Proszę łaski pana, to jakiś niezdara... powiada, że on froterować nie będzie.

— Bodaj-że cię licho! To tyś mi narobiła takiego ambarasu. Proś-że, proś tego pana... a tego zabierz do siebie.

Mniemany froter z mocnym rumieńcem na twarzy wyszedł z kuchni, a pan... nie miał dość wyrazów na przeproszenie za swą nieuwagę.

* *Niby qui pro quo, a jednak wcale nie qui pro quo.*

Przy ulicy bardzo słodkiej, w domu pod numerem 000, na pierwszem piętrze po prawej stronie, mieszka młody lekarz N., a po lewej stronie młody adwokat N. Młoda wdowa pani X., potrzebująca prawnej porady, przez omyłkę zamiast do adwokata N., udała się do lekarza N. Jednocześnie młoda pani Q., cierpiąca na zdrowiu, także przez omyłkę zamiast do lekarza N., weszła do adwokata N. I... rzecz szczególna! Lekarz N. dał poradę prawną pani X., a adwokat N. wyleczył panią Q.

* *Qui pro quo.*

Pewien jegomość z pod Bełchatowa zaprenumerował „Kuryjera Warszawskiego", a nie wiedząc, że kolumny trzeba czytać po kolei każdą osobno, zaczął czytać dodatek przez całą szerokość, skutkiem czego przyszedł do następujących rezultatów:

Wiersz 1-szy.

Od czasu jak mężczyźni dowiedzieli się, że utrzymanie żony lalki... na pierwszem piętrze od frontu z osobnem wejściem jest każdego czasu... w dobrym stanie do obejrzenia altówka i waltornia... dobrej rasy, młode, jedna z nich na ocieleniu.

Wiersz 2-gi.

Wielce korzystny interes!... Jutro jako w 4-tą bolesną rocznicę odbędzie się... u akuszerki Bracka Nr. 6 z młodym i świeżym pokarmem... dubeltówka znakomitej wartości Lefauché.

Wiersz 3-ci.

Nauczyciel kaligrafji... utrzymujący skład masła, sera i mleka zsiadłego. Dojenie krów odbywa się... W Komitecie Towarzystwa Harmonji.

Wiersz 4-ty.

Handel braci Wróbel... który udziela porady w sprawach cywilnych i rozwodowych... jako też poleca się do froterowania posadzek.

Wiersz 5-ty.

Kasztanowaty buldog... z bardzo porządnej familji, nie dawno z prowincyi przybyły... operuje nagniotki bez użycia ostrych narzędzi... po cenach fabrycznych lub na wypłatę.

Wiersz 6-ty.

Flaki w czwartki i w niedziele, we wtorki kołduny... włosem albo trawą morską wypchane... działające szybko bez boleści... przyczem paznogciom nadaje się piękny kształt i połysk.

Wiersz 7-my.

Bona z dwoma językami... i czarnym płatkiem na grzbiecie... Kaftaniki z wełny sosnowej.

Wiersz 8-my.

R. Chronowski, tancerz teatrów warszawskich, urządził... tartak i młyn wodny... dla emerytów, lubiących porządek i spokojność.

Wiersz 9-ty.

Panienka posiadająca patent... wybiegła w czwartek wieczorem na ulicę... odkrytą została przez dyrektora miejscowego Obserwatoryjum. Kometa ten... łatwy jest do poznania, brakuje mu bowiem dwóch zębów w górnej szczęce.

Wiersz 10-ty.

Sztuczne członki: ręce, nogi i inne wyroby optyczne... przytem mleko niezbierane... związek ten pobłogosławiony... poleca się szczególniej dla dam przybyłych z prowincyi.

etc. etc. i t. d.

* *Niemiłe qui pro quo.*

Pan Henryk młody obywatel, do pohulanki bardzo żwawy, wyrwał się z żonki swej kuratel i przybył do Warszawy.

A chcąc aktorkom zadać szyku, gdy go kusiło nadto licho, poszedł do loży w teatrzyku i usiadł sobie z wielką pychą.

A gdy zobaczył wdzięków blaski, albo też inną rzecz ciekawą, zaczął okrutnie bić oklaski wołał ciągle: — brawo! brawo!

Nagle w aktorek brzydkich rzędzie, zobaczył jedną cudnie ładną i wnet w przyjemnych marzeń pędzie, nie spojrzał więcej już na żadną.

Ale zbyt czuły na głos złego, ceniąc istotny wdzięk niewieści, posłał aktorce przez woźnego skreślony w loży list tej treści:

— Pragnę ci zrobić dziś owacyję, pewny, że serce twe posiędę, więc przyjdź do Stępka na kolacyję, a ja tam nieco później będę.

Gdy widowisko się skończyło, pan Henryk szybciej mknąc od gromu, wypadł z ogródka z wielką siłą i poszedł palto wziąć do domu.

Potem do Stępka nagle wpada, pragn aktorkę sercem opiec, patrzy aż sobie coś z jada bardzo podobny do niej chłopiec.

— Gdzie pańska siostra? — żwawo pyt

— Ja nie mam siostry.

— Co?

— Niestety! Pan tu prosiłeś mnie i kw ta, za to, żem rolę grał kobiety.

— Ciebie?..

— Już zjadłem tu kolacyję, żebyś pa mniejszy miał frasunek, więc gdyś chciał zr bić mi owacyję, zapłać-że teraz mój rach nek.

Pan Henryk z głupią bardzo miną zapłac wszystko, jak go skubli, bo że pił chłopak d bre wino, beknął trzydzieści kilka rubli.

Lecz dzisiaj czuły ten amorek, którem radość była obca, więcej nie szuka już akt rek, żeby nie trafił znów na chłopca.

* *Komiczne qui pro quo.*

Pani L., żona bogatego właściciela kamie nicy, wydawała obiad, na który między inne mi osobami zaprosiła pewnego oficera.

Kartę zapraszającą odebrał oficer w połu dnie i jednocześnie z nią rozkaz od zwierz chnika służbowego, wzywający go na godzin szóstą, o której właśnie zebrać się mieli bie siadnicy w domu gościnnej pani L.

Oficer, który naturalnie wolałby był iś na obiad, niż na służbę, przeklął w duch otrzymany rozkaz, ale robiąc jak mówią fran cuzi: „bonne mine à mauvais jeu", odpisa pani L., dziękując w uprzejmych wyrazach z otrzymane zaproszenie i tłómacząc się, dl czego z niego korzystać nie może.

Wręczył list do odniesienia usługującem chłopakowi i spojrzawszy na zegarek, dodał:

— Późno już, przynieś obiad.

Chłopak puścił się natychmiast w drog na wskazaną ulicę i doręczył list pani L,

Ta, przeczytawszy go, powiedziała, że nie ma odpowiedzi i że może sobie odejść.

Chłopak jednak nie ruszał się z miejsca i na pytanie, czegoby jeszcze chciał, odpowie-

dział, że pan kazał mu zarazem i obiad przynieść.

Pani L. spojrzała ze zdziwieniem na chłopaka, ale widząc jego głupowatą minę, domyśliła się, o co idzie.

Rozkazawszy mu więc poczekać, wyszła z pokoju.

Po niejakim czasie wniesiono kosz, w którym znajdowały się gastronomiczne przysmaki na obiad przeznaczone, w ilości odpowiedniej na jedną osobę i wręczono go chłopcu. Tak obładowany przyszedł do domu i począł to wszystko w obecności swego pana na stół wykładać.

— Cóż to się znaczy — zawołał oficer, który zazwyczaj miewał jedzenie z wcale nie wykwintnej restauracyi, a tu zobaczył na raz kilkanaście talerzyków z różnemi apetycznemi potrawami.

Chłopak uśmiechając się chytrze, wytłómaczył pochodzenie tego wykwintnego obiadu.

— Głupcze jakiś!—krzyknął oficer—niech cię dyjabli...

Szalony śmiech, który go opanował, nie pozwolił mu dokończyć pobożnego życzenia. Rozważywszy, że uprzejmej pani należy oddać „pięknem za nadobne,” kupił wspaniały tort i posłał natychmiast przez tego samego chłopaka, który dostał tym razem od pani L. rubla za fatygę.

Nie tu jeszcze koniec tej sprawy.

Nasz sumienny posłaniec, odebrawszy owego rubla, ogląda go na wszystkie strony, przestępuje z nogi na nogę i w końcu powiada:

— Proszę łaski wielmożnej pani, tort nie rubla, ale trzy kosztuje.

Pani L. wybuchnęła śmiechem i długiego potrzebowała czasu, zanim zdołała wytłómaczyć chłopakowi, że ów rubel nie był przeznaczony dla jego pana, jako zapłata za tort, ale dla niego samego za fatygę.



Rabelais.

Rabelais przybywszy do Lugdunu i nie mając środków na dostanie się do Paryża, tanim kosztem umyślił odbyć tę podróż.

Poprosił właściciela hotelu o obiad w osobnym pokoju i o przysłanie mu chłopca, umiejącego czytać i pisać.

Zanim żądany chłopiec się zjawił, napełnił popiołem kilka papierowych torebek i kazał mu napisać na nich: „Trucizna dla króla, trucizna dla królowej, trucizna dla księcia Orleanu“.

Zalecił malcowi nic nie mówić o tem nikomu, gdyż: „idzie tu o życie twoje i moje,“ potem zamknął starannie walizę.

Dziecko opowiedziało to zaraz matce, ta znowu zawiadomiła prefekta policyi.

Zaaresztowano Rabelais'a z jego walizą.

Jego nędzne ubranie i zakłopotana mina zwiększyły podejrzenia. Gdy przytem oznajmił, że ma ważne rzeczy do powiedzenia królowi, zapakowano go do powozu i wyprawiono pod strażą w drogę do Paryża.

Dostawszy się na miejsce, wytłómaczył, że użył podstępu dla odbycia darmo podróży do Paryża, co króla serdecznie rozśmieszyło.

Rachmistrz.

* *Dzielny rachmistrz.*

— Kumie, cośta wzięni za krowę?

— Jeno siedemnaście rubli i złoty jeden.

— Kiej zydy gadali, co wam dali całe trzydzieści papierków.

— Juści ze dali, ale zem oddał Berkowi za gorzołkę ośmdziesiąt pięć złotych, to mi

się ostało za krowisko jeno siedemnaście papierków.

Rachunek.

Po wesołem śniadaniu w restauracyi u Frères-Provençaux, nawiedzanej tłumnie przez wiedeńczyków podczas wystawy paryzkiej, zażądano rachunku, a jeden z ucztujących przejrzawszy go, rzekł, kiwając głową z niedowierzaniem:

— Ależ to niepodobna, żebyśmy we czterech tyle wina wypili.

— Pan ma zupełną słuszność — odpowiedział garson uprzejmie — ale pan zapomina o trzech, którzy pod stołem leżą.

* *Rachunek sumienia.*

Falstaff. Tak, mój Bardolfie, strasznie się odmieniłem od czasu tej ostatniej awantury. Nieprawdaż, że w oczach niknę, że mnie galopem ubywa? Patrz, skóra na mnie wisi, jak luźny szlafrok na starej pannie, wyschłem jak śliwka suszona. Niema rady, muszę zacząć pokutę i to zaraz, dopóki mam kuraż po temu; czuję, że mnie opuści, a wtedy pokuta będzie nad moje siły. Jeżeli pamiętam, jak kościół wygląda, nazwij mnie ziarnkiem pieprzu, piwowarską szkapą. Kompanije to, złe kompanije przywiodły mnie o zgubę.

Bardolf. Za drażliwy jesteś, sir Dżonie, nie pożyjesz długo.

Falstaff. To też to moje nieszczęście. Zaśpiewaj no mi jaką birbancką piosnkę na rozweselenie. Urodziłem się uczciwie, jak przystoi szlachcicowi; uczciwy też żywot był moim udziałem. Rzadko kiedy przeklinałem, nie grywałem w kości częściej jak siedm razy na tydzień; nie chodziłem do szynkwasu częściej jak raz na kwartał — doby; płaciłem długi zaciągnięte trzy czy cztery razy; słowem—żyłem rządnie i w karbach, a teraz żyję najnierządniej zupełnie rozpasany.

Bardolf. Przy swojej tuszy, sir Dżonie, musisz być rozpasany, w karbach żyćbyś nie mógł, zwłaszcza w przyzwoitych karbach.

Falstaff. Odmień ty barwę twojej twarzy, a ja odmienię mój tryb życia. Tyś nasz admirał, powinienbyś mieć latarnię na tyle okrętu wywieszoną, a masz ją na nosie: jesteś rycerzem gorejącej lampy.

Bardolf. Daj pokój, sir Dżonie, mój nos ci przecie nie zawadza.

Falstaff. Bynajmniej; jest mi owszem na rękę, świadczy mi bowiem taki sam użytek, jak komu innemu trupiaa główka, albo memento mori. Nie spojrzę na twoją twarz, żeby mi zaraz piekło na myśl nie przyszło i ów bogacz, o którym pismo mówi, co to za życia chodził w purpurze i po śmierci także purpurowo wygląda, płonąc jak rozpalony węgiel. Gdybyś miał w sobie najmniejszą żyłkę uczciwości, twarz twoja służyłaby mi za temat do zaklęć, treść ich byłaby: przysięgam na ten ogień! Aleś ty z kretesem niecnota, i gdyby ci się nos nie płomienił, mógłbyś ujść za pierworodnego syna ciemności. Jeżelim cię nie wziął za błędny ognik, za kawał fosforycznego próchna owej nocy, kiedyś to mi na Gadshill szukał konia, to pieniądze te tyle są warte, co plewy. Zaprawdę; jesteś rodzajem nieustającego fajerwerku, chodzącym szmermelem. Oszczędziłeś mi jakie tysiąc marke na świecach i pochodniach, włócząc się ze mną po nocach od knajpy do knajpy; ale za, to coś wypił na karb mojej kieszeni, mógłbym był dwa razy tyle światła nakupić u najpierwszego mydlarza w Europie. Trzydzieści i dwa lata karmię już ogniem tę twoją salamandrę. Chyba mi nieba to odpłacą.

Bardolf. Sir Dżonie, radbym, żebyś moją twarz miał w swym brzuchu.

Falstaff. Panie! chroń mnie od tego! umarłbym w pół sekundy na zapalenie kiszek.

Szekspir. (p. t. I, str. 92.)

* Właściciel oberży w górach do gościa:

— Proszę mi powiedzieć, panie profesorze, po czem poznajecie wzniesienie gór nad powierzchnię morza?

— Zwykle po wysokości hotelowego rachunku.

* *Autentyczny rachunek od szewca.*

Za podzylowanie syna . . .	1
za podszycie ojca	3
za podkucie pana Feliksa . .	k. 40
Za wszystkich trzech panów razem	rs. 4 k. 40

* *O rachunku sumienia.*

Pewny ilekroć chciał się swych grzechów spo-
[wiadać,
Miał zwyczaj żonę pięściami okładać.
Spytany o przyczynę od przyjaciół swoich:
— Mam — rzecze — słabą pamięć i przypo-
[mnieć moich
Grzechów sobie nie mogę; ta zaś gdy pięść
[czuje,
Jak z rejestru me wszystkie występki rachu-
[je.

Nikodem Czeczel.

Racyja.

* *Racyja fizyka.*

— Wojciechu! a czegóż u milijon fur beczek nie każecie naprawić tego mostku? Konie mogą nogi połamać.

— A juści to prawda, ale ze jesce nie wiadomo cy nacelnik będzie tędy jechał, cy nie?

* *Racyja podwójna.*

Pani B. Jak się masz, kochana Walerko czy idziesz na dzisiejszy bal do baronowej?

P. Waleryja. O nie, widzisz, najprzód towarzystwo tam takie... mięszane... a potem nie jestem zaproszona.

* Pan de P. zapytywał biskupa de.... dla czego mając posiadłość ziemską, nigdy w niej nie bywa.

— Widzisz pan — rzekł biskup — człowiek potrzebuje mieć jakieś miejsce, w którem nie bywa, ale wyobraża sobie, że szczęśliwym byłby, gdyby mógł być.

— Czy tak? — odparł pan P. po chwili zastanowienia — teraz rozumiem, dla czego raj ma takie powodzenie.

Chamfort. (p. t. I, str. 35).

* *Ma racyję.*

— Wie pan co — rzekł znany finansista X. — ja życzę temu Kolumbowi, żeby on zmarniał.

— A to dla czego?

— Ja panu co powiem, żeby un nie wynalazł Amerykie, to nasi kantorowicze pływaliby na Saską kępę, gdzie można by ich łatwiej złapić.

* — Pożycz mi pan dziesięć talarów — powiedział gaskończyk do nieznanego pana.

— Ależ panie, nie mam honoru znać go.

— Właśnie dla tego do pana się udaję, bo nikt ze znajomych pożyczyć mi nie chce.

* *Dwie racyje.*

I.

— Czemu to Wojciechu nie posyłacie dzieciaka do szkoły?

— A dyć nie bez co, jeno bez świnie, co ich nie ma komu paść.

— Wstydźcie się tak mówić, czyż to wam świnia milsza niż dziecko?

— Milsa, nie milsa, ale widzi pan, przez nauki to człek zyć moze, a przez okrasy to nie.

II.

— Droga Anielciu! masz do wyboru dwóch konkurentów, obaj uczeni, pierwszy zapalony zbieracz numizmatów, drugi archeolog.

— Jeżeli już mam być żoną mamuta, to wolę pierwszego, boć lepsze stare pieniądze, niż stare skorupy.

* Pewien matematyk kazał obić swojego służącego, lecz gdy się nie poprawił, kazał

mu jeszcze w swojej obecności dodać kilka batów.

Ten, wstając ze stołka, rzekł:

— Wiem, żebyś pan z całą swoją mądrością nie potrafił odjąć tego, coś mi teraz dodać kazał.

„Śmieszek".

* — Zosiu, Zosiu, bój się Boga, za moich czasów żadna mężatka nie przyjmowałaby w domu takiego fircyka. Będą źle mówili o tobie.

— Et, co tam mama mówi! za mamy czasów tańczono walca na *dwa pas*, dziś tańczą na *trzy* i w tem cała różnica.

* — A cóż u kata, dzwonię od godziny, a ty gapiu nie przychodzisz?

— A bo, jaśnie panie, zdawało mi się, że to tak Kaśce w uchu dzwoni...

Rada.

— Powiedz mi, jakimby sposobem uchronić, żeby moi służący nie wypijali mi piwa, które trzymam w beczce w piwnicy?

— Postaw przy niem beczkę wina.

(*„Humorysta Warszawski."*)

* *Rady*

Burka — to okrycie!
Lisy — to podszycie!
Dukat — to mi kwitek!
Miodek — to napitek!
Bigos — to potrawa!
Kulig — to zabawa!

Kiedy zbrojnie — to ze szablą!
Kiedy z miną — to już z dyjablą!
Kiedy strojnie — to we złocie!
Gdy pracować — to już w pocie!
Bankietować — to już szumnie!
Sejmikować — to już tłumnie!

Kiedy spić się — to jak bela!
Kiedy poić — przyjaciela!
Gdy pomagać — to sowicie!
Kiedy bić — to należycie!
Kiedy pościć — to na sucho!
Kiedy palnąć — to już w ucho!

Gdy kto w biedzie — to zaradzić!
Gdy dać słowo — to nie zdradzić.
Stroić żarty — to niewinnie!
Przyjąć kogo — to gościnnie!

Kiedy gardzić — to podłością!
Kiedy mówić — to z szczerością!
Gdy kto oszust — to go łaj!
Gdy poczciwy — rękę daj!
Gdyś pokrzywdzon — to się mścij!
Gdyś obrażon — to się bij!
A gdy rąbniesz — to już w łeb!
Kiedyś stchórzył — toś jest kiep!

Gdy się bratać — to z równymi!
Gdy mieć litość — nad biednymi!
Gdy się modlić — to już szczerze,
Kiedy wytrwać — to w swej wierze!
Kiedy cierpieć — to wytrwale!
Kiedy kochać — to już stale!

Kiedy jeździć — to już sanną!
Kiedy szaleć — to za panną!
Kiedy ładna — romansować!
Gdy zalotna — to figlować!
Gdy uczciwa — to polubić!
Gdy wzajemna — to poślubić!
Gdy rozsądna — to ją cenić!
A gdy mądra — strzeż się żenić!

Kiedy wspierać — to rodaka!
Kiedy tańczyć — krakowiaka!
Sąsiadować — to spokojnie!
Gdy obdarzać — to już hojnie.
Gdy docierać — to z obcesem!
Kiedy zniszczyć — to z kretesem!
Gdy wyśmiewać — to już mody!
Gdy miłować — to swobody!
Kiedy hulać — to z drugimi!
Kiedy umrzeć — to w swej ziemi...

W pojedynku
Wstyd to synku

Ranić rękę!
Zresztą wszędzie
Wolno będzie,
W łeb i szczękę!
W łeb — bo twardy!
W kark — bo hardy!
W pysk — bo śmieszny!
W brzuch — bo grzeszny!

W. Pol.

* Utraciłeś, mówisz, spokój
I moralną równowagę
Dla dziewczęcia pięknych oczu,
Biedny chłopcze, miej odwagę!
Sam najlepiej zawyrokuj,
Czy to warto żyć spokojnie?
W mglistych, czystych snów przezroczu
Kąpać duszę bogobojnie?

Nigdy czoła nie zachmurzyć,
I nie doznać serca bicia,
Żyć bez szaleństw, pragnień, wzru- [szeń,
Pozorami mdłego życia...
Lepiej że się zacznie burzyć
Niepokojem pierś twa młoda;
Tęcza tęsknot, żądz, pokuszeń
Nowych blasków tobie doda!

Na twe troski znajdziem radę,
Tylko śmiało patrz jej w oczy,
Niech ten płomień, co z nich bucha,
Falą ognia cię otoczy,
A gdy w oku ujrzysz zdradę,
Gdy tęsknota wzrośnie w łonie,
Chcąc odzyskać spokój ducha —
Weź i ściśnij drobne dłonie!

Jeśli za to się obruszy,
I gdy twarz jej dotąd biała
Opromieni się różowo,
I gdy pierś jej będzie drżała —
Wtedy ratuj spokój duszy!
Uratujesz, jak Bóg w niebie,
Gdy wymówisz słodkie słowo:
— O najdroższa! kocham ciebie!

Jednak, jednak być to może,
Że ucieknie zapłoniona,
Na ucieczkę ty nie zważaj,
Bo powróci jeszcze ona!
Że powróci, głowę łożę,
Więc ty tylko bądź wytrwały,
Pierwszą próbą się nie zrażaj,
Bądź namiętny, tkliwy, śmiały.

I choć będziesz cierpiał, marzył,
Choć się ogniem pierś zapali,
Spokojności, ach! nie żałuj,
Lecz się jeszcze posuń dalej.
Gdy się będziesz przed nią skarżył,
A ta śmiać się będzie pusta —
Weź za rączkę i pocałuj,
Lecz pocałuj — w same usta!

Asnyk. (p. t. I, str. 4.)

* *Dobra rada.*

Obrońca sądowy, nazwiskiem Masson, został razu pewnego wezwany do trybunału w Portsmouth dla bronienia jakiegoś biedaka, oskarżonego o złodziejstwo; sędzia prosił obrońcy, by przeszedł wraz z obwinionym do bocznego pokoju i wybadawszy go, dał mu jaką dobrą radę.

Po upłynionym kwadransie wszedł pan Masson z najlepszą miną i zasiadł na ławie obrońców.

— I cóż — spytał sędzia — cóż się dzieje z więźniem?

— Uciekł — odrzekł przebiegły obrońca. — Ponieważ pan żądałeś, bym mu dał dobrą radę, uważałem za najlepszą radzić mu ucieczkę, co też niezwłocznie wykonał.

* *Rady nieboszczyka Karłowicza.*

Kiedy cię żona gderaniem przestrasza,
Graj w gerylasza,
Gdy ją z tej wady już nic nie ulecza,
Siądź do kwindecza.
Widząc, że nowa na cię idzie ansa,
Graj w preferansa.

Kiedy ze złości łza jej płynie czysta,
Zmykaj do wista.
Gdy nie rozbroisz zawziętej kobiety,
Siądź do pikiety.
A gdy cię w pasyi wielkiej nazwie gapą,
Znów wist da capo!

* *Rady dla lokatorów, szukających mieszkania przy nadchodzącym kwartale.*

1. Kto chętnie swoją głowę przed lada kim [nagnie,
Dla tego najwłaściwsze mieszkanie na *Ba*[*gnie.*
2. Komu brakuje klepki, kto plecie jak Pie[karski,
Ten już zawsze powinien mieszkać na *Bednarskiej.*
3. Jeżeli komu bardzo do czubków się śpie[szy,
To go *Bonifraterska* ulica pocieszy.
4. Piękne panie, co blanszem lica nacierają,
Niech na *Białoskórniczej* ulicy mieszkają.
5. W czyjem się sercu choćby skra poezyi [mieści,
Najlepiej niech izdebkę najmie na *Boleści.*
6. Ten, kto zuch do butelki i do kufla dziel[ny,
Niech mieszka na *Browarnej*, *Piwnej* albo [*Chmielnej.*
7. Młodzież z mlekiem na wargach, a już ro[mansową,
Przenieśćby należało w ulicę *Brzozową.*
8. Jeżeli w czyjej piersi święty żar zamiera,
To znak, że się na *Zimną* lub *Chłodną* wy[biera.
9. Goły, gdy lubi balet, pojazdy i cugi,
Zazwyczaj początkowo mieści się na *Dłu*[*giej,*
Zkąd zwykle zmianą losów nie bardzo po[cieszną,
Przeprowadza się panicz najczęściej na [*Leszno,*
A gdy jeszcze zbyt hula i grosz marnotra[wi,
Czasem znajdzie przytułek na ulicy *Pa*[*wiej.*
10. Kawaler, gdy o żonę Pana Boga prosi,
Niechaj się przedewszystkiem na *Kłopot* [wynosi,
Bo chociaż z nią przepędzi pierwszy czas [godowy
W sutym apartamencie ulicy *Miodowej*,
To potem, kiedy z tuzin przybędzie mu [dziecek,
Będzie biedny uciekał chyba na *Zapiecek.*
11. Panna, która jaśnieje wdzięków całą siłą,
Niechaj się przeprowadza na *Hożą* lub [*Miłą,*
Lecz jeżeli ochoczo nadstawiając ucha,
Słodkich słówek oświadczeń łatwowiernie [słucha,
Które jej podszeptują zdradni zalotnicy,
Niechaj szuka mieszkania na *Gęsiej* ulicy.
12. Panicz, który umyka od pracy jak zając,
Co gra po całych nocach w sztosa lub be[zika,
Z pustem sercem, a pustą jeszcze bardziej [głową,
Powinien zamieszkiwać ulicę *Karową.*
13. Dama, co wielu gachów swem sercem ob[dziela,
Co w jedną stronę wzdycha, w drugą okiem [strzela,
Zuchwała, choć na pozór ma minę potul[nej,
Powinna mieć mieszkanie na ulicy *Wspól*[*nej.*
14. Ten, kogo gwar uliczny męczy albo nudzi,
Kto szuka samotności, ucieka od ludzi,
Którego szczęściem całem, gdy sąsiedzi [milczą,
Niechaj się przeprowadza na *Smutną* lub [*Wilczą.*
15. Mąż, którego bynajmniej nic to nie obcho[dzi,
Że mu przyjaciel żonę zalotną uwodzi,
Mąż, u którego rogi widać z pod szlafmy[cy,
Powinien mieszkać stale na *Ślepej* ulicy.

* *Z dziedziny kazuistyki prawnej.*

— Cóż tedy powód ma uczynić powódce?
— Przekąsić coś ostrego.

* *Rada przechwałkowi.*

Przełożony rady lekarskiej do młodego doktora:

— No, jakże tam idzie, kochany kolego?

Doktór. Ach, Boże! dzisiejszej nocy aż pięć razy byłem budzony.

Przełożony. Tak?... Czemuż sobie nie kupisz proszku perskiego?

* *Rady dla obywateli i obywatelek.*

(Bez różnicy płci, wyznania i wieku.)

Skromność niechaj cechuje zawsze postępki wasze i dla tego siadając na ławce w Saskim ogrodzie, nie pokazujcie nigdy ani kawałeczka pończoszki, chyba, że nóżka bardzo zgrabna i pończoszki czyste...

—o—

Symfonicznym koncercie w Dolinie Szwajcarskiej nie ziewajcie, lepiej już przejść się w górnym ogrodzie, zwłaszcza, jeżeli się ma przyjemnego towarzysza lub miłą towarzyszkę do rozmowy i jeżeli jeszcze nie jest bardzo ciemno.

—o—

Gdy dostaniesz kijem przez fizyjognomiję, to nie bacząc, czy to się działo na Krakowskiem Przedmieściu, czy na Nowym Świecie, bądź szczęśliwy, jesli ten wypadek spotkał cię w porze wieczornej i nie rozgłaszaj o tem nigdzie, w przeciwnym razie wszyscy się dowiedzą, żeś oberwał po papie.

* *Rady gospodarskie.*

Z poniedziałku do soboty
Pędzaj chłopa do roboty.

Twoje bydło w każdym czasie
Niech się w cudzej łące pasie!

Zamiast kośby w marnem zielsku,
Załóż ogród po angielsku!

W czas roboczy zwołaj żnieje,
Niechaj czyszczą ci aleje.

Kiedy zboże w polu moknie,
Wżdy barometr miej na oknie!

By nie jadły zboża mole,
Miej dziurawy dach w stodole!

Jabłka, grusze, śliwy, wiśnie,
Mieć w ogrodzie niekorzystnie!
Raczej modzie czyniąc gwoli,
Nasadź morwy i topoli!

Kopek żytnich nie zwoź w deszcze,
To narośnie więcej jeszcze!

Czarne siano zgnój na błoni,
Dla gościnnych zda się koni!

Żnąc twe morgi wiejska dziewa,
Gdy chce wody — niech zaśpiewa!

A przy żniwie zdrowiej plonom,
Gdy ma batóg twój ekonom!

Kiedy szczur ci zboże zjada,
Toć truciznę mieć wypada!
Więc przy snopach wedle nory,
Poetyczne kładź utwory;
Padnie trupem przy truciźnie,
Bo *końcówki* nie ugryźnie!

„*Noworocznik wolnych żartów.*"

* *Rada.*

Jeden przyjaciel do drugiego:

— Co jest nieznośne, to to, że tak żona moja jak i służąca mają jedno imię; jak zawołam: „Zosiu!" to obie zawsze naraz przybiegają.

Przyjaciel. To weź inną służącą.

Pierwszy. Tego nie zrobię, bo to bardzo zręczna i dobra dziewczyna.

Przyjaciel. No, to weź inną żonę.

Pierwszy. Chyba że tak zrobię, żeby tylko można!

Radca.

Pewien nadęty radca miejski, wyniesiony jedynie przez protekcyję na swoje stanowisko, spotkał raz miejscowego proboszcza, jadącego konno.

— Ej, księże proboszczu — zawołał— nie idziesz za przykładem Chrystusa, którego słowa tak brzmiały: „Rozejdźcie się po świecie, a ten, co was prowadzi, nie siedzi na koniu, ale idzie pieszo, lub, co najwyżej, jedzie na ośle...”

— Tak — odpowiedział przyjacielsko duchowny — ale teraz potrzebują tylu osłów na radców miejskich, że niestaje ich dla uczciwych ludzi.

* Dawniejszy radca podobny był do starej strzelby skałkowej— i miał coś krzemiennego w swym charakterze.

Dzisiejszy radca jest jak dubeltówka —sypie radami z dwóch luf: z jednej w zająca, z drugiej w strzelca.

Za lat kilkanaście, z postępem czasu i cywilizacyi, doczekamy się radców mitralijerowych, którzy będą rozrzucać światłe rady w kilkudziesięciu rozmaitych kierunkach.

Te kilka obserwacyj nadesłał nam pewien stary, zbankrutowany puszkarz, który dziś, jak powiada, trudni się rzucaniem grochu na ścianę.

Radziwiłł.

* *Książę Radziwiłł Panie Kochanku.*

Rok 1781 był pamiętny dla Nowogródka: w tym roku bowiem był sejmik bardzo forsowny; kilka tysięcy szlachty zjechało się na wybory pisarza ziemskiego. Po śmierci pana Tadeusza Danejki, książę wojewoda prowadził pana Rejtana, a że zwykle u nas wybory były jednomyślne, nikomu przez myśl nie przeszło, ażeby ktokolwiek mógł z nim o ten urząd emulować. Przecież zrobiło się inaczej. Przykro było JW. Niesiołowskiemu i JW. Jeleńskiemu, jednemu wojewodzie, drugiemu kasztelanowi Nowogrodzkim, że najmniejszych wpływów w sejmikach swojego województwa nie mieli, i że dla zachowania jakiejś powagi, radzi nieradzi, musieli się księciu Radziwiłłowi kłaniać. A że Rejtany z licznymi swoimi koligatami rej wodzili w partyi radziwiłłowskiej, usiłując JW. Niesiołowski ją rozdwoić; namówił pana Kazimierza Haraburdę, męża rodzonej siostry Rejtanów, aby oświadczył się o ten urząd dla siebie, co niemało zgorszenia przyniosło województwu, okazując szwagrów zawziętych, jeden drugiemu szkodzących. Starali się obu stron przyjaciele namówić pana Haraburdę, aby tej krzywdy szwagrowi nie robił, kiedy już tamtego po kilkakrotnie pito zdrowie, jako przyszłego pisarza; że on sam z początku nie był mu przeciwnym, że ta braci niezgoda wszystkich gorszy, a nakoniec, że nie ma podobieństwa, ażeby przeciw panu Michałowi się utrzymał. Wszelka usilność była daremną; gdy obywatele zjechali się w Nowogródku do klasztoru Bernardyńskiego na Porcyunkułę, a między niemi znajdowali się obaj szwagrowie, tam starano się ich pojednać; ale jak zaczął pan Haraburda wyrzucać szwagrowi, to, że go ukrzywdził w wypłacie posagu, to, że prawa nie zna i że jemu przystoi nad kartami siedzieć, a nie mozolić się nad dokumentami. to, że choć pan Michał zausznikiem nieświeżskim, on nie traci nadziei w swoich nikomu niepodległych przyjaciołach, pan Michał porwał się do szabli, i gdyby Bernardyni nie byli wyprowadzili pana Haraburdę, podczas gdy pana Michała mitygowała szlachta, refektarz zostałby skrwawiony. Już tedy nie było podobieństwa ich pogodzić, a czas sejmikowania nadchodził; właśnie wypadła okoliczność, z której JW. wojewoda Nowogrodzki wielką sobie robił nadzieję i która omal nie przyczyniła się do uczynienia twardym pana Horaburdę. A to był postępek księcia wojewody, z wielmożnym

Józefatem Tryzną, strukczaszym nowogrodzkim, który to postępek wielu gorliwych przyjaciół radziwiłłowskich oburzył, z czego zręcznie umiała korzystać partyja księciu Radziwiłłowi przeciwna. Tryzna był ubogim, ale ostatnim potomkiem starożytnego domu, z radziwiłłowskim nawet skoligaconego. Wszakże to Naliboki przez Tryzniankę w dom radziwiłłowski weszły; a większa część funduszów klasztoru żurowieckiego była darem Tryzny, antenata strukczaszego. W kantyczkach żurowieckich jest o nim wzmianka: *Kto nie przyzna, że pan Tryzna był mąż świątobliwy, etc.* Otóż pan strukczaszy, prócz sumy zastawnej na radziwiłłowskim Kołdyczewie, nic nie miał; zastawa była jak może być najtańszą, i kto inny mógłby z niej na szerokie wyleźć dziedzictwo; ale pana Tryzny pieniądz się nie trzymał. (Maciek zarobił, Maciek zjadł), a często więcej zjadł; jak zarobił. Już to tam i moich parę tysięcy na tamten świat z sobą zaniósł, ale na ostatnim sądzie pewnie upominać się nie będę, bo z nim i beczkę soli zjadłem i więcej niż beczkę wina wypiłem. Że on nie miał prócz jedynaczki córki żadnego potomstwa, że na nim dom się kończył, a że panna z urodą i z tak dobrego gniazda nie potrzebowała posagu, aby się w dobrem małżeństwie usadowić, jakoż później za bardzo możnego Witebszczanina Syrucia, starostę Czuchłowskiego, wyszła; więc poniekąd był wymówionym nasz strukczaszy, że się na przyszłość nie oglądał. Pan Tryzna był ludzki, wesoły, ale czasem popędliwy. Razu jednego, w same żniwa, książę wojewoda nie uprzedziwszy go, właśnie jak piorun wpadł z licznem myślistwem, aby spolować lasy kołdyczewskie. Pan Tryzna dawał rozporządzenia podstarościemu, by żniwiarzy naglił do roboty, i sam się w pole wybierał, kiedy wpadli dojeżdżacze księcia, wymagając, by natychmiast obławę do lasu posłał; a że to byli ludzie prości i nieroztropni, jakoś tam cierpko dopominali się u niego, iż go zniecierpliwili. Odmówił im ludzi, ofuknął ich, i miał niby powiedzieć wedle ich relacyi: że kto w czasie żniwa poluje, temu piątej klepki nie dostaje. Jak wrócili dojeżdżacze, a ich relacyja zaczęła biedz po szczeblach dworskich, a ciągle rosnąć, ile, że pan Mikuć, sekretarz księcia, miał żal do pana Tryzny, z powodu, iż konkurując o jego córkę, w jego domu był traktowany harbuzem, więc dogadzając zemście, udał go przed księciem. Książę tak mocno to uczuł, że, jak mnie twierdzili przytomni, przez kilka *Zdrowaś Maryja* mowa mu była odjętą, a potem jak zaczął ryczeć, to się lasy kołdyczewskie zatrzęsły. W niepohamowanym popędzie rozkazał natychmiast odebrać posłuszeństwo panu Tryznie i wypędzić go z majątku. To się natychmiast dopełniło, a nawet z nieludzkością, bo aż lękając się o skórę pan Tryzna uciekł z tem tylko, co miał na sobie; to jeszcze szczęście, że wielmożna strukczaszyna z córką były wyjechały na odpust do Pińska. Zgoła, że piechotą gospodarz umknął, i aż w okolicy Rajców się oparł, a ztamtąd dostawszy podwodę udał się do Nowogródka, gdzie manifest zaniósł przed grodem, a razem i pozew do księcia o irrytacyję kontraktu i ekspulsyję.

Kiedy przyszło do sprawy, musiałem attentować od księcia i przed strukczaszym samym łzami się zalałem, błagając go, że tak powiem, aby mnie odpuścił, że z obowiązku muszę o jego krzywdę się starać, bo znałem dobrze, że nasza sprawa była nic potem, ale cóż? czyj się chleb je, tego bronić trzeba. Jakoż pan strukczaszy nie miał mi tego za złe, i gdy się wszystko skończyło, nie przestał mnie zaszczycać swoją przyjaźnią, a może i podwoił dla mnie szacunku, widząc, jak dla wywiązania się mojemu panu i dobroczyńcy, z własnego przekonania czyniłem ofiarę. A i przekonaniu umiałem zadość uczynić, bo przytomny będąc konferencyi poprzedzającej kroki prawne, odezwałem się przed wielmożnym Radziszewskim, chorążym Starodubowskim, a jeneralnym księcia plenipotentem, że niewiele mam ufności w prawności naszej; jeno, że mnie zaraz zwrócił na drogę, mówiąc:

— Waćpana rzecz attentować i bronić sprawy księcia, a nie jej przyganiać, i za to jesteś płatny; a tem mnie zamknął gębę. Kiedy przyszło do sprawy, nam o to szło, aby ją wprowadzić do ziemiaństwa, bo gród nowogrodzki był juryzdykcyją wojewody, który w nim przez swoich subdelegatów sądził, a jakie takie nadzieje mogliśmy mieć w ziemstwie. Ale nie było sposobu wyrwać ją z grodu, gdyż do niego poszły pozwy powodowe; nakoniec sprawa ekspulsyjna, uczynkowa, w samej rzeczy do juryzdykcyi grodzkiej należy; i lubom stawał na tem, że już została z naszej strony podana illacyja do trybunału *pro determinatione fori*, nie zważając na to sąd grodzki, kazał sprawę wprowadzić. Jam odstąpił, a pan strukczaszy zyskał na księciu Radziwille kondemnatę. Ale cóż?... cieszył się kondemnatą nieborak na bruku osadzony, a książę jak zajął Kołdyczew, tak go trzymał. Na następnej kadencyi, widząc, że nie ma sposobów utrzymania się w zaprzeczeniu *forum*, innego skoku próbowałem. Chcąc zerwać komplet, podałem obmowę na jednego z członków sądu, zadając mu, iż jest krewnym strony powodowej. Pokrewieństwo było dalekie, bo pan Kajetan Uzłowski, sędzia grodzki, na którego podałem obmowę, miał żonę Ancutównę, a nieboszczka krajczyna Tryznina, macocha strukczaszego, *primo voto* była za Ancutą. Jednak takowa obmowa była dostateczną do zerwania kompletu, bo pan sędzia oświadczył: że ponieważ książę wojewoda w nim ufności nie ma, a obok tego nie wypiera się zaszczytu koligacyi jemu zarzuconej, więc sądzić nie będzie, i ustąpił ze swego miejsca; a że już kompletu nie było, sprawa poszła w *non sunt* i kadencyja spełzła. Było trochę krzyku za to na sędziego, i strukczaszy mu na ustępie wymówił, że dla tego uchylił się, bo sędzina chce być na św. Karol w Nieświeżu, ażeby córki produkować. Mówiono także, że pan Leon Borowski ofiarował mu za to szubę rysią; ale pokazało się później, że to była potwarz.

Aż tu nadszedł sejmik na pisarstwo ziemskie, na który książę wojewoda wedle zwyczaju swego zjechał; tem więcej, że chciał utrzymać pana Michała Rejtana, co był Radziwiłłowskim duszą i ciałem. Zjechał książę w kilkanaście pojazdów do klasztoru Bernardyńskiego, którego był syndykiem, i całkowity swoim dworem zajął, oprócz kilku cel, w których jak mogli cisnęli się zakonnicy; bo oprócz księcia, pokotem leżał pan Michał Rejtan, Bukowski szatny, i ojciec Idzi, co był wielkim egzorcystą; a że książę złych duchów się obawiał, wymówił sobie, aby w celi blizko niego spał, i do tego Nepta, ogromna wyżlica, faworyta księcia. Opowiadał nam pan Rejtan, że przez cały czas sejmiku oka nie zmrużył, takie okropne były chrapania księcia, ojca Idziego i Nępty. Szlachta okoliczna, co za księciem piechotą przyszła, spała na dziedzińcu klasztornym, na którym stało kilkadziesiąt fur z krupami, mąką, słoniną i gorzałką; ciągle kurzyły się kotły na dziedzińcu, a w rzeźni codzień dla księcia dwa woły rżnięto. Książę dwa razy na dzień obiadował; raz ze szlachtą okoliczną z kotła zajadał krupnik i fiaki; a potem w refektarzu z obywatelami, których u siebie częstował, albo u jakiego urzędnika, do którego się zaprosił.

Pan Michał, coby rad widział koniec interesu z Tryzną, bo szlachta taki na to krzyczała, a sam nie śmiał przed księciem z tem się odezwać, namówił ojca Idziego, aby przy pomyślnej okoliczności jakoś bąknął księciu, aby się dał przekonać i był sprawiedliwym dla pana Tryzny. Jakoż się wziął do tego Bernardyn, i to co napiszę, jest słowo w słowo, tak jak pan Bukowski szatny opowiedział, będący naocznym wszystkiego świadkiem. — Po odbytych pacierzach, gdy się wszyscy pokładli i czas niejaki panowało milczenie, książę odezwał się: —Ojcze Idzi, niech będzie pochwalony Jezus Chrystus.—Na wieki wieków; co książę rozkaże? — Czy nie słyszysz waszeć, jak moja Nepta warczy? zapewne nieboszczyk Wołodkowicz mnie nawie-

dza. Na to pan Michał Rejtan, przeżegnawszy się: — Co też się marzy waszej książęcej mości? ludzie się szastają po korytarzu, a Nepta warczy na nich, już zaraz ma być pan Wołodkowicz! — Milczałbyś, panie kochanku; że umiesz grać we francuskie karty, to już siebie masz za mędrka. Ja nie do waści mówię, ale do ojca Idziego. — Ojcze Idzi, wszak prawda, że dusze z czyśćca wychodzą, aby krewnych i przyjaciół o ratunek prosić; żeby temu przeczyć, trzeba być księciem biskupem Ignacym, albo Marcinem Lutrem. — Tak jest, JO. książę, bywa to, bywa. — Słyszysz, panie Michale? aż miło spać z teologiem, bo i oświeci i uspokoi. — Ojcze Idzi, zawsze nieboszczyk Wołodkowicz stoi mi w oczach; co to był za przyjaciel! gdybym go mógł wskrzesić, oddałbym, co mam, a sam do was na braciszkabym wstąpił. Za życia nieboszczyka księcia najechałem po pijanemu pana Piotra Kotwicza i dom mu podpaliłem. Pan Kotwicz na mnie namalował sto tysięcy pretensyj i kazał mi oświadczyć, że jeżeli mu ich nie odliczę, to mnie zapozwie. Ja byłem goły, bo nieboszczyk książę był skąpy, a do tego tak groźny, że raz kazał mi dać pięćdziesiąt batogów, chociaż już byłem miecznikiem Litewskim i orderowym panem; a jakby się o takim zbytku dowiedział, możeby mnie był ubił batogami. Co tu było robić? A mój Wołodkowicz dwa folwarki własne zastawił i zagodził Kotwicza. (Tu słychać było, jak książę zaszlochał,) I czy to raz za mnie się poświęcił? Kiedyś to mnie, jakby przeczuwał, że niedługo będziem z sobą, powiedział: — Książę Karolu, ty dłużej odemnie żyć będziesz; jak umrę, pamiętaj o mojej duszy.— Otóż kiedy partyja, którą ten łotr, ten szuler Ignacy prowadził, podstępem i zdradą porwała Wołodkowicza, a potem rozstrzelała go tu w Nowogródku, gdzie tego samego wieczora przybyłem, ale zapóźno, przysiągłem pomścić jego krwi na głowie niegodziwca, i chciałem ruszyć do Wilna, aby mu podziękować na pierwszej sośnie za miastem. Już szedłem ku Wilnu, ale na pierwszym nocleg[u] we śnie pierwszy raz pokazał mi się Wołod[]kowicz, prosząc mnie za łotrem i wyraźni[e] mi powiedział: że jak go powieszą, to mem[u] Wołodkowiczowi będzie gorzej na tamty[m] świecie. — Ojcze Idzi, wszak prawda, że o[n] dotąd w czyśćcu?— A któż to przeniknie Są[]dy Boże, książę panie? I sprawiedliwość i m[i]łosierdzie wielkie u Niego. To tylko wiemy, że jak się dusza rozstanie z ciałem, Bóg natychmiast ją odsyła do nieba, albo do czyśćca, albo do piekła — uchowaj nas od tego Jego miłosierdzie.— Jużci Wołodkowicz do piekła nie poszedł, panie kochanku? Daj Boże wam wszystkim zakonnikom być tak gorliwymi jak on w wierze. To co ja, ojcze Idzi, za spoczynek duszy Wołodkowicza robiłem, toby wystarczyło, aby całkowity czyściec wypróżnić. Grzebałem na Wołoszczyźnie trupy z dżumy poległe, własnemi rękami na jego intencyję, a w rocznicę jego śmierci suszę. Wie[s] dałem dominikanom Wołkowyskim, u których groby Wołodkowiczów; a co mszy, egzekwij, jałmużn, lamp: to tego i pan Michał Rejtan choć wielki rachmistrz, nie policzy; a jednak dusza jego nie przestaje mnie nawiedzać. Moja Nepta tak jego zna, że jak się zbliży, odzywa się na niego jak na grubą zwierzynę. Ojcze Idzi, daj mi na to radę, a ja za to wasz klaszotr gdańską dachówką pokryję. — Niech Bóg odpłaci waszej książęcej mości i jego wspaniałość dla nas; każdy dar jest panu Bogu miły, ale im większa ofiara, tem skuteczniejsza. Niech książę pan zrobi na intencyję nieboszczyka jaką ofiarę z gniewu; naprzykład: niech poda rękę takiemu, co go obraził, a tem najlepiej uwolnisz duszę przyjaciela.— Otóż już do mnie waszeć mówisz językiem księdza Kantembrynga, co całe życie u mnie za lada sprawami patronuje. Tamtego tygodnia najlepsza moja charcica, wiatrówka, zdechła z niepilności Grzesia pisarza; kazałem go był zakuć w łańcuchy; po sprawiedliwemu, warto było ze skóry go obedrzeć a ksiądz Kantembryng, jak zaczął mi prawi[ć]

antyfony, a prosić, a straszyć, a kruszyć; a dyjabli mi nadali, że ktoś wemnie wmówił, że on wielki teolog; to choć powiedziałem: nie odpuszczę, jakem Radziwiłł, — tyle mi nadokuczał, że puściłem chłopca bezkarnie. Ale przynajmniej dobrze złajałem księdza Kantembrynga; onby rad, żeby mnie we własnym domu rozbijali. To już i waszeć tą drogą zachodzisz? To już i bernardyni filutują jak jezuici? Tylko tego przed księdzem Kantembryngiem nie paplaj; ale szczęście, że u mnie furdynga pusta i na nikogo się nie gniewam. —Jabym się odezwał z czemś, ale nie śmiem. —Mów śmiało, mów śmiało, ojcze Idzi; wszak na swoim dziedzińcu i wióry biją, a ja u was na gościnie; mnie o waszą łaskę, nie wam o moją dbać, a potem swemu syndykowi trzeba prawdę mówić. — Kiedy mnie książę pan pozwala tyle śmiałości, to niech wasza książęca mość sobie przypomni, czy kogo nie pokrzywdził? — Ja, panie kochanku, nikogo nie ukrzywdził, mnie wszyscy krzywdzą, a ja im dla miłości Pana Boga odpuszczam. Ja nikogo nie podrapał, chociaż mnie ta małpa poznańska, ton kaszuba Szułkowski nazywa w Warszawie *niedźwiedziem litewskim*; ale podrapię ja go dobrze, jak do Grodna na sejm przyjedzie. Ale to do waszeci, ojcze Idzi, nie należy, bo waszeć nie wielkopolski bernardyn. A w Litwie kogo ja ukrzywdził? Ja pokorny jak dziecko, panie kochanku; ksiądz Kantembryng ciągle mnie z ambony przymawia, a ja się na niego nie krzywię; a pan Leon Borowski mało mi figlów napłatał? A pan Jerzy Białopiotrowicz mało mi się worał w moje grunta? A pan filozof co tu śpi, Michał Rejtak, mało mi niedźwiedzi wybił w Nalibokach i bobrów wyłowił w Łachwie? A ja się nie odzywam; tylko przed panem Bogiem czasem zapłaczę. Na nikogo złości nie mam, na nikogo; mnie wszyscy krzywdzą, ja nikogo. Ojcze Idzi, wystrzeliłeś, aleś spudłował. Słuchaj, bernachu, tobie się podobał mój pas, com go miał wczoraj na sobie; mówiłeś, że byłby z niego ornat, jakiego w zakrystyi katedralnej nie ma; jeżeliż mnie dokażesz, że mam na kogo gniew, rozumie się w Litwie, to ci go dam; a jak nie dokażesz, to dasz sobie pięćdziesiąt dyscyplin na intencyję Wołodkowicza. — Zgoda, książę panie! pas będzie nasz, a ja taki dyscyplinować się będę na intencyję nieboszczyka; tylko się boję odezwać, bo nuż książę pan się obrazi? — Mów śmiało; nie będę się gniewał, jakem Radziwiłł. — Kiedy mnie książę pan ośmielasz, to powiem, że był zacny obywatel, który przed rokiem wiele nam świadczył. Bywało, fury z jego śpichrza idą do klasztoru; a teraz my musimy udzielać mu jałmużny, bo z głoduby umarł, a to dla tego, że książę pan wypędzić go kazał z zastawy, i prawie w jednej koszuli do Nowogródka uciekł. Pozywa się teraz z księciem, a kawałka chleba nie ma pan strukczaszy Tryzna. —Tu mu przerwał książę: — Co ty się wtrącasz klecho nie w swoją rzecz! Ja cały majątek stracę, a na swojem postanowię. On, okryty mojemi dobrodziejstwy, on, co prawie darmo Kołdyczew trzymał, odmówił mi ludzi na obławę, sług moich z błotem zmięszał i mnie głupcem nazwał! Albo ja, albo on z torbą pójdzie. — Już on poszedł z torbą, książę panie; ale niech wasza książęca mość przypomni sobie, że przynajmniej dwa razy na dzień mówisz Panu Bogu: *odpuść nam nasze winy, jako i my odpuszczamy winowajcom naszym*. — Otóż ja odtąd wolę pacierza nie mówić, a taki nie odpuszczę. — Ale, książę... — Cicho mnie zaraz! precz ztąd Bernachu! nie suszyć mi głowy!... — Tu milczenie przez chwil kilka nastąpiło, aż dały się słyszeć kroki. — Wszelki duch Pana Boga chwali!...— I ja go chwalę; to ja, książę panie, wychodzę na rozkaz waszej książęcej mości; a to trepki moje, co z przeproszeniem jego uszu, troszkę hałasu narobiły. — Proszę waszeci, panie kochanku, nie odchodź z celi; śpij ze mną, bo jak do mnie przyjdzie Wołodkowicz, bez ciecie, mój księże, zachoruję z żalu. Ja z tym heretykiem Rejtanem, co z upiorów żartuje, sam na sam nie chcę być w nocy; a Bukowski

śpi jak zabity. Kładź się, ojcze Idzi, i nie gniewaj się. Gdyby się przynajmniej Tryzna upokorzył.. ale taki z tego nic nie będzie. Potem, wedle relacyi p. Bukowskiego, nastąpiła cichość, a zaraz potem zwykły koncert księcia, ojca Idziego i Nepty. Ale pan Bukowski, co znał księcia na pamięć, a dobrze życzył p. strukczaszemu i p. Michał Rejtan, już mieli dla niego dobrą nadzieję; tylko szło o to, aby p. Tryznę namówić, by jakiś krok do księcia zrobił; co nie było łatwo; bo choć podupadły, znał siebie magnatów koligatem, i do naginania się nie był skłonnym. Ale jakoś dobrze sie nakartowało: bo nazajutrz po tej rozmowie, o której pana Tryznę p. Michał Rejtan i podobno sam ojciec Idzi uprzedził, kiedy zagaił sejmik JW. Rodułtowski, chorąży Nowogrodzki (bo JW. Niezabitowski podkomorzy, będąc zapozwanym *de malo gesto officio* przez JW. wojewodę Niesiołowskiego, pod procederem takowego gatunku nie mógł urzędowania dopełniać), — po zagajeniu, zaprosił zwykłym trybem urzędników ziemskich, grodzkich, rycerstwo i szlachtę księztwa Nowogrodzkiego do obierania marszałka sejmiku. Po całym kościele huknęły głosy: „JO. księcia wojewodę prosimy na marszałka! — Zgoda! zgoda" — zaczęła krzyczeć szlachta; aż tu pan Kazimierz Haraburda, przybliżywszy się do koła: — Nie ma zgody! lubo nadto byłbym szczęśliwy przyczynić moim głosem do zaszczycenia województwa tak wielkim i świetnym marszałkiem, jakim jest JO. książę wojewoda, ale sumiennie skłonność własną woli prawa poświęcić muszę; a prawo mówi wyraźnie: że obywatel pod kondemnatą będący żadnego urzędu sprawować nie może. — Na to my wszyscy słudzy i przyjaciele księcia dobyliśmy szabel i bylibyśmy w puch rozbili partyję pana wojewody Nowogrodzkiego; ale pan Jerzy Białopiotrowicz, co był powszechnie szanowany, uprosił nas, aby pochować szable, i ażeby koło rozstrzygnęło zarzut pana Haraburdy. Zaczęliśmy wołać: — Prosimy pana Haraburdę, aby złożył kondemnatę, jaką uzyskał na księciu wojewodzie. — Na to on: — Ja nie otrzymałem kondemnaty, i tegom nigdy nie mówił; ale W. Tryzna, nasz strukczaszy, co w tem kole zasiada, otrzymał ją w grodzie. — Pan Michał Rejtan rozgniewany, odezwał się do pana Haraburdy: — Jeżeli kondemnata do waćpana należy, złóż na nią ustępstwo od W. Tryzny, a jeżeli jego nie masz, z cudzą kondemnatą się nie popisuj i milcz! — Waćpan sam milcz, kiedy ci język nie świerzbi! a nie ucz rozumu tych, co go mają tyle, ile waćpan! Ja z mojego miejsca dopraszam się, aby W. chorąży raczył od pana Tryzny zażądać, aby złożył kondemnatę, jaką ma na księciu. — Tu zaczęliśmy wszyscy krzyczeć, że wniesienie pana Haraburdy niepewne, bo pan Tryzna sam wie, co jemu należy i o swoje upomnieć się potrafi. Książę pomiędzy nami stał mocno poruszony i wąsa do góry nakręcał, aż tu W. Tryzna, który jako strukczaszy w kole zasiadał, a dotąd milczał, powstał i głosem drżącym, w którego dźwięku głęboki żal się okazywał, powiedział te słowa: — Mamci wprawdzie kondemnatę na JO. księciu wojewodzie i tu ją składam; krwawo czuję się być uciśnionym, ale jako obywatel obowiązany jestem moje prywatne uczucia ustąpić dobru publicznemu, a przekonanym będąc, że nic nie może być lepszem dla naszego województwa, jak poruczyć przewodnictwo naszego sejmiku JO. księciu, który go do pomyślnego kresu doprowadzi; na boku zostawując moją krzywdę, i mimo siebie puszczając, ile uciążliwych przewłók dla mnie wyniknąć może, oświadczam się, że JO. księcia wojewodę z otrzymanej nad nim kondemnaty kwituję. —Książę wojewoda przybliżył się do koła i tak był rozczulony, że nie mógł więcej wiedzieć, tylko: — Chociaż żal czuję do W. strukczaszego, ale ten krok jego życzliwości i zaufania będę się starał wywdzięczyć. — Po całym kościele dały się słyszeć licznie powtarzane okrzyki: *Niech żyje książę, marszałek sejmiku! Wiwat Tryzna strukczaszy!* — Książ-

żę rozpoczął swoje urzędowanie, ale że to już było koło pierwszej z południa, więc solwował sesyję do ósmej z rana na dzień jutrzejszy, a sam na obiad poszedł do chorążego Rdułtowskiego, gdzie na dziedzińcu było mnóstwo stołów pozastawianych i liczna szlachta tam się zebrała. Był i pan strukczaszy, i przy kielichach zaczęto godzić go z księciem. Książę powiedział:—Ja pana Józefata kocham, to krew nie woda, panie kochanku; moją prababkę Tryznianka rodzi. Oddaję Kołdyczew, a pretensyje, jakie mieć może za irrytacyję kontraktu, niech przyjaciele rozsądzą. Ale mam żal do niego osobisty. On moich sług zbeształ, i kazał im powiedzieć: że mnie piątej klepki nie dostaje. My obaj szlachta, zatem niech nas szabla rozprawi i to natychmiast. — Napróżno się tłómaczył pan Tryzna, że tego nigdy nie mówił, a pan chorąży i pan sędzia Rewieński perswadowali; musiał dobyć pan Tryzna szabli i bić się zaczęli w naszej przytomności. Panu Tryznie pękła klinga, tak silnie uderzył po niej książę wojewoda; a pan sędzia pana Tryznę rozbrojonego złożył swoją szablą. Książę odezwał się: — Mam zupełną satysfakcyję — i ucałował pana Tryznę; przeglądał szablę i powiedział: — To szabla moja, bo ja ją krwią moją zdobyłem; przyznaj panie Józefacie, że umiem się składać.— Potem dawaj pić na zgodę. Książę był w przecudnym humorze. — Panie Michale — mówił — bądź spokojnym o pisaryję ziemską; ja sam jeden z moją batorówką całą partyja wojewody Niesiołowskiego rozpędzę.—Książę i pan Tryzna zapisali się na kompromis na pana Białopiotrowicza i już tylko sejmikiem byliśmy zajęci.

Szlachta, ucieszona postępkiem księcia, nie mogła do siebie przyjść z radości. Słychać było, jak między sobą rozprawiali: — A co nasz książę, czy nie tęgi rębacz? klingę jak masło przeciął. A i pan Tryzna przecie gracz; dwanaście świec łojowych od jednego zamachu ścina; ale kto naszemu księciu da radę? — Już to trzeba wiedzieć, że pan Tryzna miał szablę turecką z miękiego żelaza, bo bić się nie spodziewał; ale na tym pojedynku źle nie wyszedł, bo książę bardzo go polubił, i bywało zawsze potem powtarzał prześladując, że gdyby nie pan Ignacy Rewieński, byłby mu głowę odciął.

Po obiedzie poszliśmy wszyscy na dziedziniec Bernardynów, gdzie lubo wszyscy byliśmy pod dobrą datą, *de noviter repertis* piliśmy. Już tam była mięszanina. Urzędnicy i szlachta, magnaci i zaścianki, byli brat za brat. Książę, napotkawszy jakiegoś szlachcica w obdartej czapce, zdarł ją z niego, na swoją głowę ją włożył, a oddał mu swoją aksamitną. Na to hasło, zaczęliśmy mieniać między sobą czapki, a pić; ale tak, że w momencie, każdy z nas inną czapkę miał na głowie. Potem książę, dobrze pijany, zaczął się rozbierać, besztając szlachtę z dobrego serca. I tak, jednemu dał swój pas, mówiąc: *daruję ci...*; drugiemu kontusz: *masz...*; temu spinkę brylantową: *trzymaj...*; a innemu żupan: *weź...*; tak, że został w hajdawerach amarantowych i w koszuli, na której wisiał ogromny szkaplerz, i tak wlazł na wóz, na którym była kufa napełniona winem. On siadł na kufie, a wóz szlachta ciągnęła po ulicach Nowogródka. Wóz co kilka kroków zatrzymywał się, a kto chciał, kielich lub garnek nadstawiał; a książę czop od kufy odtykał i perorował, prosząc szlachtę, by mu dopisała, żeby pana Michała Rejtana na Pisaryi utrzymać, a nie dać Radziwiłła na pastwę nieprzyjaciół: — Panie kochanku — mówił — widzicie ten mój szkaplerz; ja go w sukcesyi noszę po moich antenatach. Lizdejko, mój protoplasta, nosił go wprzód jeszcze, nim rewokował Władysław Jagiełło. Sierotka z nim do Betleem chodził. Szkaplerz jest wielki. Ja kocham naszych braci koroniaszów, panie kochanku, ale nie ma jak nasza Litwa. Ja w Koronie mam kawałek ziemi, ale dyjabełby w niej siedział. Tam łatwiej o kuśnierza, niż o dojeżdżacza. Kiedy my niedźwiedzie bijem, to tam z rozjazdem na przepiórki chodzą. U koroniaszów susły to

gruba zwierzyna. To panie, jak zaczął mnie prześladować książę biskup, szwagier wojewody Nowogrodzkiego, który się usadził teraz na nas, aby nie pan Michał Rejtan, ale pan Kazimierz Haraburda dekreta nam pisał, to już z rozpaczy chciałem dla Korony Litwę opuścić, i tam intratne opactwo mnie dawano za to, że wiersze piękne piszę. Ale razu jednego, kiedym się zaczął modlić panu Jezusowi w Boremblu, on się do mnie odezwał: — Radziwille, wracaj na Litwę, bo tu nic nie wskórasz; tu szlachectwo śmierdzące. *Osten de patrem patris*, to wielka filozofija u szlachty tutejszej, nie tak jak w naszej Litwie (bo moja prababka była Litewka) co od dziadów i pradziadów, każdy na swoim gruncie siedzi. Wracaj tedy na Litwę, i kłaniaj szlachcie nowogrodzkiej odemnie. — A ja mu na to, padłszy krzyżem o ziemię: — Panie! a jak powrócę na Litwę, kiedy mnie Twój biskup prześladuje?—A on mnie:—To nie mój biskup, to grzesznik; ale on naprzeciw ciebie nic nie dokaże. Wracaj Radziwile na Litwę, a niech mnie... jeżeli ty nie będziesz Radziwiłłem po dawnemu, a on jak był... tak i będzie... — Otóż, panie kochanku, ośmielony obietnicą Pana mojego, do was wróciłem, i Pan mój nagrodził moją wiarę, bo nigdy nie wątpiłem o Jego słowach; a moich wierszy odstąpiłem księdzu Naruszewiczowi, bo on krew i czeladka radziwiłłowska i za moje wiersze dostal biskupstwo Smoleńskie. — A tu szlachta jak zaczęła się gromadzić, a nadstawiać uszy, a rozdziawiać gęby, ba, nietylko nasza, ale i partyi przeciwnej, nawet zaścianki co samej Worończy dotykają, można było widzieć, że wygrana nasza, i że darmo poszły ekspensa senatorów Nowogrodzkich.

Do dziewiątej w nocy tłumy asystowały księciu, pijąc, hulając po ulicach i śpiewając, że przyjaciele wojewody Nowogrodzkiego bali się, by ich nie podpalono. Ale wszystko odbyło się porządnie i nikt gwałtu nie doświadczył. Odprowadziliśmy księcia, zawsze na kufie, ale już próżnej, do klasztoru, gdzie on jeszcze na dziedzińcu dokazywał; a stanąwszy przy studni, zdjął szkaplerz, zrzucił hajdawery i koszulę, i kazał się zlać wodą. Czem wytrzeźwiwszy się, poszedł do celi, gdzie podkurka zjadłszy i z ojcem Idzim pacierze odmówiwszy, spać się położył, pamiętny, że na ósmą z rana trzeba mu być w kościele.

O samej ósmej nazajutrz zebraliśmy się do sejmikowania, a książę zaprosiwszy wszystkich urzędników ziemskich i grodzkich do koła, zagaił sejmik temi słowy: — JJOO. JJWW. i WW. nasi wielce mościwi panowie i bracia! Z rozkazu waszego objąwszy przewodnictwo sejmiku w celu wyboru pisarza ziemskiego, mam honor was uwiadomić, iż dwóch kandydatów jest wam podanych. Jeden pan Michał Rejtan, szambelan J. K. Mości, niegdyś nasz deputat na trybunale litewskim, drugi pan Kazimierz Haraburda, starosta Wiladymowski. Zatem, panowie bracia, raczcie oświadczyć, którego z nich życzycie sobie na pisarza ziemskiego. — Pana Michała Rejtana prosimy! — odezwali się Odyńcowie, Mickiewicze, Siemiradzcy, Czeczoty i my wszyscy. — Zgoda! zgoda! — odpowiedziała szlachta z wielu zaścianków — pana Rejtana prosimy!—Nie ma zgody! — krzyknęli Jeśmany, Służkowie, Kobylińscy— pana Haraburdę prosimy!—ale głosy były słabsze. Nikt z naszych szabli nie dobył, bo książę wszystkich nas zaklął, aby żaden do gwałtu nie dawał pobudki, chcąc swoje urzędowanie odbyć w największym porządku. Zatem powstawszy, książę powiedział: — Bywał zwyczaj w naszem województwie, że *unanmitate* wszystko się robiło, ale *nemini vox deneganda*; zatem zapraszam panów braci do wotowania. — Szlachta zaczęła głosować, ale wkrótce się upewnił pan Haraburda, że niepodobieństwo się utrzymać i że wszystkie zaścianki go zawiodły; więc nie chcąc objawić słabości swojej partyi, przybliżył się do koła i zabrał głos, w którym oświadczył, iż nie chcąc nikomu być na przeszkodzie, odstępuje. I zaraz wyszedł z kościoła i wyjechał na wieś, nie

bez żalu na JW. wojewodę Nowogrodzkiego, iż go zaryzykował. Ale wkrótce potem tenże wojewoda instrumentował go sędzią grodzkim. Lepszy rydz, jak nic, i tem go ukoił; a pan Michał Rejtan został pisarzem ziemskim.

Jeszcze sześć dni niby trwał sejmik, ale w istocie już była tylko hulanka. Jednak i ta hulanka nie była bez pożytku: więcej albowiem trzydziestu spraw, za namową szczególnie wojewody, poszło pod sądy kompromisarskie, a były niektóre zadawnione i bardzo zawzięte. Większej części superarbitrem był pan Jerzy Białopiotrowicz, istotny pacyfikator województwa.

H. Rzewuski (p. t. I str. 10).

* *Ks. Karol Radziwiłł i dzwon w Mirze.*

Nasz książę panie kochanku jeździł dawniej po cudzych krajach i wojował z poganami; sam to często opowiadał; więc tak mu raz przyszło kuso i niebezpieczno, że różne czynił vota pobożnie, aby cudem Boskim ujść pewnej zguby. Otóż ślubował wtenczas kościołowi mirskiemu taki dzwon, aby gdy w Mirze na rezurekcyję zadzwonią, w Nieświeżu słychać było, a to cztery mile, mój Jegomość!

Więc jak tylko powrócił do Nieświeża, kazał zaraz lać dzwon w Mirze; wyleli jeden, dzwonią na próbę — nie słychać w Nieświeżu. Panie kochanku dodaje złota i srebra do materyjału, każe wylewać drugi większy; znowu leją i znowu dzwonią cały dzień — nie słychać! a trzeba koniecznie wypełnić votum co do joty; leją więc dzwon trzeci...

Tymczasem jednego wieczora, panie kochanku w dobrym będąc humorze, baraszkował sobie między swoimi i łgał na czem świat stoi, bo to już jego taki zwyczaj. At, zwyczajnie panu wielkiemu wszystko wolno. Praw cudactwa i każe wszystkim wierzyć. Kiedy jednak przebrał miarkę, nie dotrzymał pan Michał Chodźko, który był pierwej koniuszym u księcia, kiedy ja byłem masztalerzem, a potem on wyszedł na pana, a ja na furmana i jest zawsze faworytem księcia; powiedział więc: — Mości książę, dzwon mirski słychać! —Wszyscy nadstawili uszy, ale nikt nie słyszał. Książę tylko potakiwał panu Chodźkowi i mówił: — A widzicie waszeć, jaki głośny mój dzwon! Dopełniłem votum regularnie.— A jakże nie ma być głośnym, podchwycił Chodźko, kiedy książę pan cały dzień kłamiesz, zapewne na jego głos i pamiątkę?

Bo Jegomość musisz wiedzieć, że kiedy gdzie dzwony leją, trzeba łgać różne nowiny, gdyby daleko się rozchodziły, to i głos od dzwonów tak rozchodzić się będzie.

Książę nie rozgniewał się jednak, tylko śmiejąc się, powiedział do Chodźki: — Waśan sam taki, panie kochanku!—ale już dzwonu nie przelewał; owszem, ochrzcili go Karolem, zawiesili na dzwonnicy, i książę zawsze powiada: — *Słychać Karola w Nieświeżu!* — A kiedy kto zaprzeczy, to on mówi: — Co ja winien, panie kochanku, że waść nie masz takiego słuchu, jak pan Michał Chodźko? — a prawdę mówiąc, nie kłamie, bo i sam ma imię Karol, a kiedy zacznie huczeć po swojemu, to *słychać Karola w Nieświeżu.*

* *Radziwiłł i Kossowski.*

Kossowski był aktorem teatru nieświeżskiego, a lubo teatr ten bywał tylko w czasie karnawałów i nie trwał stale, Kossowski jednak ciągle rezydował na dworze księcia „Panie Kochanku,” bez żadnego innego obowiązku, jak księcia i licznych zawsze gości dowcipem swym bawić i rozrywać.

Nie był to *trefniś z professyi,* ale niejako *locum tenens* tej *funkcyi.* Nie odstępował on nigdy dworu i wszędzie bywał z księciem.

Zdarzyło się, że raz w Warszawie król dowiedział się o nim; ciekawy jego dowcipu i porównania z własnym podobnymże *egzemplarzem,* zaprosił księcia na obiad, obowiązując, aby w asystencyi swojej miał i Kossowskiego.

Stało się, jak król żądał.

Gdy usiedli do obiadu, dowcipniś królewski chodził koło stołu i jak mógł zdobywał się na koncepta.

Kossowski stał spokojnie i milczał; zagabany nawet przez kolegę, zbywał go niczem. Po obiedzie, król nie kontent z milczenia Kossowskiego:

— Mówiono mi — rzekł doń — żeś dowcipny i wesoły; dla czegożeś dziś tak milczący? powiedz przynajmniej, co myślisz o moim *faceciście*, któregoś tak spokojnie słuchał?

— Nie śmiem, najjaśniejszy panie! — odpowiedział, kłaniając się najpokorniej Kossowski.

— Mów śmiało, proszę.
— Bez ogródek? najjaśniejszy panie!
— Bez ogródek.
A wszyscy zbliżyli się i słuchali.

— On — rzekł Kossowski — większy głupiec, niż błazen.

Kossowski więc znał różnicę prawdziwego dowcipu od śmiałego tylko głupstwa.

Innym razem jakiś możny pan, gość w Nieświeżu, spotkawszy Kossowskiego, rzekł doń:

— Kossowski! bądź u mnie.
— Jakto? z wizytą?
— Nie, na rezydencyi.
— A jakże nas dwóch pomieści się?..

* Pamiętają starzy ludzie różne historyje, które Radziwiłł lubił opowiadać. Jak w pierwszej młodości służył za chłopca u księdza, jak mu usługiwał do mszy, chędożył sutannę, opatrywał konia jego, jak często był bitym. Jak płynąc z Tryjestu do Wenecyi, spotkała go burza, a gdy okręt całkiem na jedną stronę się przewalał, on skoczył w morze, i jak hajduk wywracającą się karetę na okręt barkami swoimi wsparł i ocalił, jak pokazała się na morzu piękna syrena, zakochała się w nim, jak się z nią złączył; z tej koneksyi, panie kochanku — mówił Radziwiłł — porodziły się śledzie, które jemy w poście. Raz opowiadał przed królem, że przewodził bateryjom, szturmującym do Gibraltaru, a gdy się w opowiadaniu do najwyższego stopnia zmyślania posunął, zaczęto się uśmiechać.

— Nieprawda, panie Michale — obróciwszy się do Morawskiego, zapytał — wszak byłeś ze mną?

— Mości książę — odparł Morawski — nie mogę przyświadczyć, gdyż w pierwszym szturmie zabity zostałem.

Niemcewicz.

* — Król sobie w Warszawie — a Radziwiłł w Nieświeżu.

— Trybunał z dekretem, a Radziwiłł z muszkietem.

— U naszego Radziwiłła,
Boćwina się urodziła,
Chleba ani kęsa.

Rafael.

Dwaj kardynałowie, serdeczni przyjaciele Rafaela, zwiedzali jego pracownię, podczas gdy wykończał *Świętego Piotra* i *Świętego Pawła*, który to obraz pozostawił w szkicu nieboszczyk Bartolomeo.

Chcąc z nim zawiązać rozmowę o sztuce, rozpoczęli od uwagi, że ci święci mają zanadto czerwone twarze.

Rafael domyśliwszy się intencyi kardynałów, mających na celu uwydatnienie jego talentu, pragnąc nadto obronić honor kolegi, odpowiedział im z uśmiechem:

— Proszę się temu wcale nie d iwić, apostołowie Piotr i Paweł rumienią się równie silnie w niebie, jak i na tym obrazie, widząc przez jakich to ludzi kościół jest obecnie rządzony.

(*Passavant*, *Raphaël d' Urbin.*)

Raj.

Śniło mi się — żem był w raju,
Moja żona — Ewą była...
Całowałem jej usteczka —
Ona do mnie się tuliła...

Nie wiedziałem, co kłopoty,
Nie pracując w ciągłym znoju,
Nie myśleliśmy o niczem,
O komornem i o... stroju...

Byłem sobie tak... sans façon...
Nie wiedziałem co odzienie,
A na biodra li przepaska —
To caluśkie moje mienie...

Przebudziłem się i..- cudzie!
Sen się spełnił... co się dziejc?..
Pozostałem tak... sans façon,
Bo... okradli mnie złodzieje...

* *W Raju.*

W szkółce żeńskiej.

Egzaminator. Powiedz mi panienko, jakie masz wyobrażenie o raju?

Uczennica. Raj jest miejscem, gdzie są zakazane owoce.

Rajca.

* *O rajcy łakomym.*

Do radziec w jednym mieście, przyszedł mieszczanin prosząc, aby mu plac wymierzono na miejskim gruncie. Przyzwolą wszyscy, tylko jeden, który był pryncypał, między nimi był przeciwko temu, tak, iż onego dnia nic konkludować nie mogli. Nazajutrz on mieszczanin szedł do onego rajce na pokój, przyniósł mu dziesięć talerów, aby przeciwko temu nie był, a swoje votum dał za nim. Wziął chętliwie. Gdy ta rzecz zaś przed radę przyszła, on pan rajca co pieniądze wziął, począł od niego rzecz prawić i prosić, aby jako się onegdaj zezwoliło, plac temu mieszczaninowi wymierzyć. Rajce się dziwują, co mu się stało, a mieszczanin obróciwszy się do sąsiadów, rzecze: „Patrzcie jak brzęczą moje talery.”

Z anegdot XVI w.

Raki.

— Kto się nie zna na kuchni?

— Młode panienki, bo raków nie gotują ale je pieką.

(„Noworocznik wolnych żartów.”)

* Choć doszedłem czwórki z zerem,
Nie straciłem nic na minie;
Byłem dzielnym kawalerem,
Miałem własny dom w Rypinie.
W życium użył już przysmaków,
Nic nie było mi nieznanem,
Tylkom jeszcze nie jadł raków
W gabinecie z fortepianem.

Nigdy mnie nie obchodziły
Szerokiego świata sprawy,
Dla mnie Rypin był zbyt miły,
Bym miał jeździć do Warszawy;
I tylko o niej fakt taki
Widziałem z rozmów z plebanem:
Że tam można jadać raki
W gabinecie z fortepianem.

Byłem też zawsze cnót wzorem,
Gdy naraz ciotka Agata,
Zrobiwszy mię sukcesorem,
Wyniosła się z tego świata.
Po pierwszych żalu oznakach,
Z sercem żałobą złamanem,
Zacząłem marzyć o rakach
W gabinecie z fortepianem.

A gdy za spadkową sprawą
Do Warszawy pojechałem,
Załatawszy wszystko żwawo,
Do Rypina wrócić miałem.
I już rzeczy kładłem w paki,
Już zgodziłem się z furmanem,
Gdy mi na myśl przyszły raki
W gabinecie z fortepianem.

Mam ja wielką tę zaletę,
Że co w myśli to i w czynie,
Sprowadziłem więc karetę
I wnet byłem w Marcelinie.
Tam garson, co nosi raki,
Zwał mię szumnie jaśnie panem;

„Biały sos, czerwone raki
W gabinecie z fortepianem!”

I już wszystko szło nam składnie,
Tak nam prędko schły kieliszki —
Mówię *nam*, bo każdy zgadnie,
Żem nie był bez towarzyszki.
Oj, płonęły jej buziaki,
Gdy trącała się szampanem,
Dzieląc ze mną sos i raki
W gabinecie z fortepianem.

W końcu, robiąc minki płoche,
Rzecze, wdzięcząc się dziewczyna:
— „Jeśli kochasz mnie choć trochę,
Nie odjeżdżaj do Rypina.”
Na takiej czułości znaki
Któżby mógł być siebie panem?
Nazajutrz jedliśmy raki
W gabinecie z fortepianem.

Chociaż listy mię wzywały,
Bym nie siedział już w Warszawie,
Mija dzień, dwa, tydzień cały,
Miesiąc — a ja wciąż się bawię.
Smalę damom koperczaki,
Czy z wieczora, czy nad ranem,
Dla odmiany, jedząc raki
W gabinecie z fortepianem.

Na kolacyjach tych kobietki
Codzień prawie się zmieniały;
Raz blondynki, to brunetki,
A i rude też bywały.
Program tylko był jednaki,
Ułożony wyższym planem:
Biały sos, czerwone raki
W gabinecie z fortepianem.

Rok hulałem tak niestety,
Choć pragnąłem nieraz skrycie
Rzucić raki i kobiety
I inaczej pędzić życie.
Lecz widocznie los mój taki, —
Własnym stałem się tyranem,
I codziennie jadłem raki
W gabinecie z fortepianem.

Wreszcie ze snu się zbudziłem,
Przekonawszy się na jawie,
Że przez rok za dużo żyłem,
Że trza pokój dać zabawie.
Lecz zapóźno! — Pola, krzaki,
I Agatę wraz z jej wianem,
Wszystko, wszystko zjadły raki
W gabinecie z fortepianem.

Pusta kabza, kiepska mina...
W braku lepszej lokomocyi
Pieszom wrócił do Rypina
I osiadłem na dewocyi.
Oj! użyłem ja przysmaków,
Lecz dziś ból mam pod kolanem.
Nie jadajcie nigdy raków
W gabinecie z fortepianem.

Ostryga.

Raport niebezpieczny.

Służący. Podług rozkazu melduję panu porucznikowi, że znalazłem szpilkę od włosów w jego sypialnym pokoju.

Porucznik. Jak jeszcze raz poważysz się znaleźć coś podobnego w moim pokoju sypialnym, pójdziesz na trzy dni do kozy!

* *Raport agenta towarzystwa asekuracyjnego, przesłany zwierzchnikowi tegoż, mieszkającemu w stolicy:*

Opis właściciela ziemskiego Holauera.

Z przodu jest on z kamienia, od tyłu z gliny. Sąsiedzi jego są z cegły, on zaś słomą poszyty. Trzeba go przyjąć na wyżej wymienionych warunkach, inaczej wpadnie do „Dunaju,” który dawno nań czyha.

* *Raport kancelisty, usprawiedliwiający przybycie do biura.*

(Autentyczne.)

Do Wielmożnego Naczelnika Wydziału N. N.

Z powodu śmierci dziecka mej siostry, za-

chodzi przeszkoda do opuszczenia mej zamiłowanej pracy przez dni dwa, dla zajęcia się pogrzebem tegoż.

Z tych przeto powodów widzę się w obowiązku zdać raport W. Naczelnikowi, usprawiedliwiający mą trudność.

Podwładny N. N.

Raut chybiony.

Mąż. Jakże się bawiłaś na wczorajszym raucie, kochana żono?

Żona. Wcale się nie bawiłam! wyobraź sobie, wszyscy a wszyscy znajomi nasi byli obecni, naturalnie nie można było o nikim *nieobecnym* mówić, straszne więc były nudy!

(*Flieg. Blät.*)

* *Z rautu.*

— Nie wiesz pan też, kto to taki
Tamta imość napuszona?
— Która? — No ta, z płaskim nosem!
— A! ta... ta — to moja — żona.
— Ależ nie ta! mówię o tej,
Której nos tak ścięty ostro,
Że jak szpilka mógłby ukłuć...
— A! ta... ta jest moją — siostrą!
— Et, nie o tej przecie myślę!
Widzisz pan? ten nos z ogórka...
— Nie! mój panie, to za wiele,
To jest przecie moja... córka!

* *Na raucie u bankiera.*

— Proszę pana cygaro — kosztuje pół ru- [bla.

— Niech pan łaskaw będzie cygaro — [pół rubla kosztuje.

— Może pan dobrodziej cygaro — pół [rubla kosztuje.

— A pan także cygaro — bardzo proszę.

— A to ile kosztuje? zagadnął gość, zaintrygowany tem, że bankier, dając mu cygaro, nie powiedział, iż pół rubla kosztuje.

— To — odrzekł nieco zmięszany bankier, który widać gościa niżej uważał — to... to kosztuje dwa złote...

— A to ja dopłacam czterdzieści groszy i proszę mi dać za pół rubla cygaro — i gość sięgnął do kieszeni po pieniądze.

Razura w Redakcyi.

(Stara facecyja.)

Redakcyja jednego z pism humorystycznych, wychodzącego przed wielu latami w Krakowie, pod kierunkiem zmarłego już Aleksandra W. znanego z znakomitego dowcipu — znajdowała się przy ulicy Grodzkiej na dole, po lewej stronie sieni wchodowej — na prawo zaś miał razurę i izbę felczerską właściciel tego domu, felczer okręgowy miasta, ś. p. Antoni Kieres.

Szlachcic jakiś galicyjski, przybywszy do Krakowa za interesami, primo impetu chciał się ogolić. Zobaczywszy trzy mosiężne talerzyki nad bramą kamienicy Kieresa — wszedł na lewo do redakcyi i zastał redaktora p. Aleksandra, trzepiącego pędzelkiem mydło, gdyż akurat w tym czasie miał się golić.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus.

— Na wieki wieków amen! — odrzekł redaktor.

— Proszę mnie ogolić!

— Siadaj pan dobrodziej!

Postawiono na środku biura redakcyi stołek — szlachcic siadł, został okryty ręcznikiem — redaktor brodę, twarz, kark, nawet czoło grubo mydłem posmarował, po takiej operacyi zdjął ręcznik — a otworzywszy drzwi do sieni — wskazując na przeciwko, rzekł:

— Panie dobrodzieju! tu tylko mydlą, bo to redakcyja, a na drugiej stronie u pana Kieresa golą — sługa uniżony! Szlachcic wstał, poszedł z uśmiechem do razury — dla dokończenia swej operacyi — a dowiedzia-

wszy się tam o sławnym redaktorze, wziął go za wesoły żarcik na bibę.

Recepta na małżeństwo.

Niedawno ukazała się nowa książka kucharska, zastosowana do potrzeb domowych; dajemy z niej wyjątek pod tytułem: „Potrawa na dwie osoby, zwana Maryjażem."

Bierze się młodego człowieka i młodą pannę. Mężczyzna, najlepiej jeżeli jest trochę niewyrobiony, za to dama powinna być młodą i obytą w świecie. Zaprasza się mężczyznę na obiad i daje mu się butelkę Portweinu, następnie butelkę Klaretu, jeżeli chcemy go zupełnie dobrze usposobić, nie żałujmy też szampańskiego. Jeżeli nie rozgrzewa się dostatecznie, dodajmy jeszcze jedną butelkę. Kiedy się już zaczerwieni, sadza się go w salonie (gdy pora zimowa) przed kominkiem, przy pannie, daje się w rękę porcyję zielonej herbaty (trzy filiżanki na wieczór) do powolnego zawrzenia. Jeżeli pora letnia — stawia się oboje na świeżem powietrzu — wprost okien, ale możliwie jaknajdalej; następnie poobtyka się damę kwiatami, sadza się ją do fortepianu i wstrząsa, dopóki śpiewa — jeżeli mężczyzna wtenczas wzdycha, to dobry znaki Następnie bierze się oboje i sadza w kątku salonu, przy szachownicy, jeżeli ma się ją w domu i zostawia tak cały wieczór w łagodnem wrzeniu. Powtarza się to trzy lub cztery razy, a najważniejsze, aby ogień stale podtrzymywać. Jak długo muszą być na ogniu, uważa się wedle okoliczności. Dobrze jest weń nasypać wiele monet z wizerunkiem królewskim, a pójdzie wszystko daleko prędzej. Prześlicznie też wygląda do tej potrawy półmisek ubrany banknotami. Urządza się go i wydaje; prawdziwe to łakotki dla dwóch osób! Octu nigdy dolewać nie trzeba, gdyż bez niego potrawa będzie trochę kwaskowata.

* *Recepta na homeopatyczne lekarstwo.*

Weź dwa wychudzone gołębie, posadź je na oknie w kuchni, w ten sposób, żeby cień ich padał na garnek, zawierający 10 konewek wody. Gotuj to wolno przez 10 godzin i dolewaj po kropli przez dni 10 do szklanki wody.

* *Recepta dla zalotników.*

Dwa albo trzy umizgi, dwa lub trzy obiady,
Dwie lub trzy pod oknami dane serenady,
Dwa lub trzy z cukierkami pudełeczka małe,
Dwie albo trzy przysięgi, chociaż krótko-trwa-
[łe,
Dwie albo trzy zabawy, na których są tańce,
Dwa albo trzy codziennie wysłani posłańce,
Dwa albo trzy bilety na cienkim papierze,
Dwie albo trzy godziny w loży na operze,
Dwie lub trzy na przechadzkach słodziuchne
[rozmowy,
Dwa lub trzy wierszem listy miłosnej osnowy,
Dwa albo trzy miesiące to czynić należy,
A każdy, czy to stary, czy młody uwierzy,
Że jeśli to recipe kogo nie utrudzi,
Niezawodnie połączy dwoje głupich ludzi.

Ferdynand Chotomski (p. t., I str. 333).

* *Oryginalna recepta małomiasteczkowego felczera.*

Rp. Hyene, sól Fury pół, śkrupuł Sahare albo. Un cyje halbe Machen dy pułwis, na sześć proszki do środka jak Żymniucha ma trzensić, a prycz tego o Lija ryczy na imie le sowie żele dla kobity.

Icek Ananas.

Redaktor.

X *Bazgralski* (wpada do pokoju.) Panie redaktorze, co tu robić... nie mamy świeżych wiadomości z Paryża, a w gazecie wakuje miejsce?..

Redaktor. A jakaż jest wiadomość dawniejsza?

Bazgralski. Wiadomość ostatnia jest taka: (czyta) „Lewica ma interpelować rząd w kwestyi noty wystosowanej do Rzymu..."

Redaktor. Teraz pan napisz tak: „Rząd

francuzki ma być interpelowany przez lewicę o notę, którą wysłał do Rzymu."

Bazgralski. To już napisałem w wiadomościach politycznych...

Redaktor. W takim razie napisz pan: „Ostatnia nota wysłana do Rzymu, spowodowała interpelacyję lewicy" .

Bolesław Prus (p. t. I, str. 178).

* *W Redakcyi.*

— Panie Dreptalski, pan się zaniedbujesz: od kilku dni żadnej sensacyjnej wiadomości, to bardzo źle.

— Ależ panie redaktorze, cóż ja poradzę; wczoraj już byłem pewny artykułu pod tyt.: „Śmierć z głodu," cóż jednak, gdy ten, o którym miałem pisać, wstąpił do restauracyi... i... szubrawiec zjadł aż dwie porcyje flaków.

— Pan masz zawsze wykręty, tu nie ma żartów, nam chodzi o trzymanie pulsu na łonie społeczeństwa!

— Niech się pan redaktor nie gniewa, mam na dzisiaj pyszną rzecz o owacyi, urządzonej przez młodzież dla panny Fifiny cyrkówki.

— To co innego, pisz pan czemprędzej, damy to na artykuł wstępny; niechże zagranicą wiedzą, że i u nas coś się dzieje.

* *Sekretarz.* Panie redaktorze! przyniesiono rachunek od krawca.

Redaktor. Co? od krawca? pisz pan w odpowiedziach od redakcyi: „Nadesłanego manuskryptu z powodu szkodliwej tendencyi zużytkować nie możemy. Można go odebrać w Administracyi."

Reduta i intrygi zapustne.

Nadszedł nakoniec i dzień wtorkowy, zapustny i dnia tego wieczór — dobitka karnawału. *In fine velocior motus*, powiada stare przysłowie: *motus* ten zatrząsł całem miastem i zabrzmiał po całem mieście wszystkiemi tonami hucznej wesołości. Na ten raz światło było po ulicach, a nawet i po uliczkach, bo ze wszystkich, a gęstych szynków rozchodziło się ono szeroko, a szerzej jeszcze odgłos rozmaitych instrumentów rżniętych, dętych i brzęczących; tak bowiem nazwaćby trzeba cymbały, pod któremi pospolita rzesza rzeźwe wybijała hołupce. Wyższe piętra znaczniejszych kamienic i pałaców, rzęsistszemi także pałały ogniami i dobrańszą harmoniją muzyki oznajmiały wewnętrzną tam wesołość. Odzywały się tam i owdzie pieśni śpiewaków i błędne po ulicach szenekatrynek kuranty; a około dziesiątej godziny ruszyły zewsząd kalwakaty na Niemiecką ulicę do pałacu Müllera na redutę.

Jedna z nich z kilkunastu karet i sań złożona, pomykała się powoli od Zamkowej bramy. Na jej przedzie jechała w karecie starościna z córką; a za nią tuż basza turecki i król egipski, w saniach parą siwców ciągnionych. Za nimi dalsza kompanija, która na umówioną godzinę zebrała się licznie do pani starościnej i tam złączona w motye i umaskowana, mieściła się do pojazdów tak, aby mężczyźni, jadący w saniach, byli zaraz za swemi motyami, dla podania im przy wysiadaniu ręki i wejścia razem na salę.

Na Niemieckiej ulicy, gdzie wszystkie zjeżdżały się i rozmijały kalwakaty i pojedyńcze cugi, hałas, zgiełk, tłum i zamięszanie przechodziły wszelkie opisanie. Policyja jako dziś, nie czuwała nad porządkiem i bezpieczeństwem; a tak, porządku nie było, a bezpieczeństwo zależało od zręczności stangretów i otaczających każdy pojazd hajduków, którzy z pochodniami w rękach oświecali drogę, rozpychali tłumy, święcąc je iskrami i wrzeszczeli z całego gardła, przeklinając się wzajemnie, jak potępieńcy wśród smoły i ognia.

— A to czyste piekło tu, panie Lidzki! — odezwał się niecierpliwie porucznik.

— Nie najeżdżaj! Stój! ruszaj do milijona kroćset... Na prawo! na lewo! Gwałt! ratujcie! Bij go! trzymaj go! i tym podobne krzy-

ki wśród trzasków nieustannych ż biczów i gwaru pospólstwa pijańszego w tym dniu nad inne, w nocy i w błocie, nieprzesadzonem czyniły porównanie powyższe Niemieckiej natenczas ulicy do piekła.

Dowlekła się przecie kalwakata starościnej do bramy Müllera, suto lampami oświeconej: kareta weszła, sanie za nią wchodziły... gdy nagle wrzasnął porucznik:

— Co to jest? Gwałt! złodziej! dalibóg złodziej!.. bo ktoś z tyłu porwał mu z głowy turban.

Zerwał się z sań Stelnicki, dostrzegł złodzieja, wyciskającego się między tłumem na na ulicę z turbanem w ręku, skoczył więc za nim...

Król egipski zwrócił się na ten krzyk ku towarzyszowi i nie ujrzał go obok siebie; ale w tejże chwili kareta stanęła przed wschodami. Starościna z córką wysiadły, pośpieszył więc podać rękę motyi i znalazł obok siebie baszę, podającego rękę Elżusi.

— Co to było? — zapytał więc jego.

— Nic — szepnął z cicha basza — omyłka, prowadź pan...

Poszli więc, a za nimi kilkadziesiąt par weszło na salę i wkroczyło w toczący się polonez.

* * *

Tymczasem porucznik pędził za złodziejem, który wyrwał pochodnię z rąk jakiegoś hajduka i biegł z nią, zgniótłszy turban i schowawszy go pod płaszcz. Porucznik toż samo uczynił; schwycił pochodnię i z nią w jednej, a z dobytą szablą w drugiej ręce, leciał za złodziejem, wrzeszcząc co miał tchu:

— Złodziej! trzymajcie! łapajcie!...

Ale ten rzeźwo zmykał, wywijał się zręcznie między pojazdami, w tłum, zastępujący mu, suwał pochodnią w oczy i torował sobie drogę, wrzeszcząc także:

— Trzymajcie! na miłość Boga, trzymajcie! dyjabeł wenecki! dyjabeł wenecki pędzi mnie, zadusi mnie! trzymajcie na miłość Boga, trzymajcie!..

Porucznik tym samym sposobem bronił się od tłumów, to jest pochodnią w oczy i łatwiej nawet ustępowano mu z drogi, postrzegając pałasz w ręku, twarz szkaradną i ubiór dziwaczny. Dostrzegł on, że przestraszał spotykanych; zdarł więc sobie maskę z twarzy, a ta opadłszy na piersi, zrobiła drugą głowę; ktokolwiek więc spojrzał na biegnącego, krzyknął: — Jezus, Maryja, Józef! — i odskakiwał przerażony, lub co gorsza, powtarzał za złodziejem:

— Dyjabeł wenecki! dyjabeł wenecki!...

Tak przebiegli Niemiecką ulicę.

Złodziej obiegł ratusz i puścił się w dół ku Zamkowej bramie: pojazdy nie tak już gęste, dozwalały mu trzymać się środka ulicy, po której brnął w rozmięszanym i wilgotnym śniegu, oglądając się coraz na goniącego porucznika, a brnącego także po kolana bez względu na atłasy i materyje, w które był oszyty i które za każdym krokiem w niwecz się obracały.

— Niech dyjabli biorą atłasy — myślał on — na turbanie tracę kilkaset dukatów!..

A ta myśl podwajała mu siły i kroki.

Niekiedy zlodziej jakby zmordowany, zwalniał biegu. Stelnicki natenczas prawie go dościgając, krzyczał:

— Stój łotrze! oddaj turban, bo ci łeb rozpłatam!!

— Nie doczekasz szatanie! nie doczekasz dyjable wenecki! — odpowiedział złodziej i unosił się żywiej.

Noc była cicha, wilgotna i ciemna, a im bardziej oddalali się oba od środka miasta, tem mniej było świateł: za bramą Zamkową własne im tylko świeciły pochodnie. Porucznik cieszył się w duchu, że złodziej stracił głowę i sam mu wskazuje drogę pogoni: ten obiegł po dwakroć katedrę, żałosnym głosem jęcząc:

— Jezus Maryja! Święty Kazimierzu, ratuj duszę moją! Zgiń, przepadnij, dyjable wenecki!

Porucznikowi tchu nie stawało, krzyczał jednak na odpowiedź.

— Nie! nie! zginiesz z duszą i z ciałem...

Jaki taki podpiły, wlekący się z szynku, słysząc to i widząc latające około kościoła widma, przeżegnał się i zmykał. Z pod katedry złodziej puścił się na Antokol, krocząc między stosami drzewa, któremi cały brzeg Wilji był założony; minął kościół św. Piotra, wzywając jak wprzód patrona Litwy, tak teraz księcia Apostołów opieki i nakoniec dobiegając do dworku państwa Dowiatów, przewrócił pochodnię, wbił ją w śnieg, a sam wpadł na dziedziniec przez furtkę, którą za sobą zamknął z trzaskiem i zaryglował i w którą wnet z całej siły zaczął bić porucznik, wołając:

— Odemknijcie! na miłość Boską, odemknijcie!..

* * *

Poczciwa, tam zgromadzona drużyna, bawiła się wesoło i poufale, racząc się trójniakiem, lipczykiem, lub winem, jak czyja wola i łaska. Matrony w drugim pokoiku traktowały się bakalijami i likierami, dzieląc się z panieństwem, które w alkierzyku, kilku chłopców mając między sobą, swobodną a skromną gruchały chichotkę.

Nakrywano już na wieczerzę i z niespokojnością wyglądano pana Ludwika, który miał wspólnie z siostrą gospodarzyć. Panna Helena jednak, wystarczając za matkę i za brata, pięknie się krzątała, a z figlarnym uśmiechem zaręczała, że jeżeli nie na wieczerzę, to na podkurek brat pewnie wróci.

W takie to grono wpadł naprzód zadyszany i zbłocony z turbanem w ręku, znajomy nam aplikant, pan Łukasz, dyszkant chóru śpiewaków; położył on turban na stole, a cisnąc się w ździwiony i zasypujący go pytaniami tłum, wyrwał od kogoś szklankę, wypił duszkiem i posłyszawszy w tym momencie dobijanie się porucznika.

— Mości panowie — rzekł — miejcie się na ostrożności, ostrzegam... Dyjabeł wenecki tu wpadnie... Może się stać jaki akt wiolencyi, na mojej zwłaszcza osobie.

Wtem wpada raptem turek z pałaszem w ręku!..

Mężczyzni biorąc to za umówioną zapustną zabawkę, nie ulękli się bynajmniej, ale przerażone kobiety pocisnęły się w kąty i zasłaniały się mężami i swoimi i cudzymi.

Nikt jednak nie poznał porucznika.

— Nie lękajcie się, to maska — mówili mężczyźni, ujmując jednak trzciny w ręce.

— Ach! ja nieszczęśliwa! dwie głowy! — krzyknęła któraś imość, nie znająca się na maskach.

Wszystko to działo się w jednem mgnieniu oka, co po kolei opowiadanem być musi i to właśnie główna niedogodność powieścio-psiarstwa.

Porucznik wpadłszy do izby, wrzasnął, gdzie ten złodziej? ale postrzegłszy swój turban, świecący się na stole, porwał go z ukontentowaniem, obejrzał i znalazłszy wszystkie splendory i kosztowności nie tknięte i całe, poznał, że to nie złodziejstwo, ale jakiś figiel. Niemniej jednak obrażony, krzyczał:

— Gdzie ten chłystek, który mój turban tu przyniósł. Czego u kroćset dyjabłów patrzycie na mnie, jak na jaką poczwarę? to ja, Stelnicki! nie bójcie się, ale wydajcie łotra, który mnie tego piekielnego figla wypłatał.

— A dalibóg, wszakci to nasz porucznik— rzekł podszedłszy i przypatrując mu się ze świecą gospodarz domu.

— A czegóż tak się kokoszysz? czapkę tę turecką, czy jak nazywasz turban, wniósł tu i postawił na stole zasapany i obłocony pan Łukasz, którego tu widzisz, a co się to wszystko znaczy, nie wiem. Widać, zmówiliście się na tę komedyję.

— A to ty, szubrawcze, chłystku, łotrze przeklęty!..

— Biorę na świadectwo wszystkich tu obecnych zacnych panów i dobrodziejów — rzekł śmiało pan Łukasz — srogiej *weksy* którą mię znieważa pan Stelnicki, poturczony niewiado-

mo *quali de causa?* a zatem jak widzę *relapsus* od naszej świętej wiary rzymsko-katolickiej.

— Schowaj miecz, miłościwy baszo!—rzekła, przerywając te zapędy Helusia, a podchodząc do porucznika ze szklaneczką mile woniejącego ponczyku, zacukrowaną powabnym uśmiechem i dygiem — schowaj miecz, a przyjm w tęż samą rękę z mojej...

— Co! z twoich rączek, Helusiu? z twoich pięknych miłych rączek? — wykrzyknął udobruchany wnet porucznik — wypiłbym dalibóg i jaką kwaśną lurę, a stałaby mi za nektar niebieski; tembardziej, gdy to jest kordyjał tak potrzebny do pokrzepienia mię po tej niezwyczajnej fatydze. Z Niemieckiej ulicy kłusem aż na Antokol! nie lada kurs. Więc mości Łukaszu czy Matyjaszu, dowiodę ci, że żartować ze mną niebezpieczno. I gdyby nie respekt na ten dom podczaszowstwa dobrodziejów i tę szanowną kompanję...

— A! nie dozwalam gniewać się, panie poruczniku — przerwała znowu Helena — i mieszać nam miłą zabawę; ja wszak mam daleko większy powód do kłótni z panem, a jednak odkładam to na czas dalszy.

— Jak to? za co? mój aniołku!

— Ale jak dobrze udają komedyję!—odezwało się zgromadzenie, w mniemaniu, że ta bachusowa zabawka dla rozweselenia wieczoru tego ułożona. Porucznik jak odrazu i zagniewany i zakochany; a Helenka jaka trusia! Da już wiemy, na czem skończy się! pójdzie do seraju Baszy!

— Alboż to pięknie — mówiła ona, uśmiechając się na domysły kompanji — mości poruczniku? alboż to przystoi taka niestałość? postokrotnie oświadczać się mnie ze swemi afektami, a innej służyć w motyję na redutę.

— Aj! aj! cóżeś mi przypomniała Heluniu! gwałt! cóżeś mi przypomniała! Co tam na reducie pomyśli o mnie starościna? co pocznie bez motyi starościanka?

— Oto możesz być spokojnym, panie poruczniku — rzekł pan Łukasz — jesteś pan tu i jesteś pan na reducie, bo kiedy już mam prawdę powiedzieć, adyster taki sam basza, w tej samej chwili, gdyś pan z bramy na ulicę wyskoczył, podał rękę wysiadającej z karety starościance i poprowadził ją za matką do sali.

— A toż co znowu? jakim sposobem?

Helunia uśmiechała się figlarnie.

— Nawet — mówił dalej Łukasz — z damasceńskim kordem z arsenału pańskiego.

— A!.. — wykrzyknął nakoniec porucznik, uderzając się po czole — jest tu Ludwik?

— Nie ma — odpowiedziano — właśnie z niespokojnością go wyglądamy.

— No, teraz jestem w domu; więc to spisek! a roznmiecież, że to się godzi? że wam młodzieniaszkom wolno ze starym żołnierzem i starym przyjacielem takie psoty dokazywać?..

— To spisek, kochany poruczniku, do któregom i ja należała — rzekła Helusia — bo dwa zawoje uszyłam; więc ze mną najpierwszy pojedynek, a Ludwiś, to wszakże przyjaciel i faworyt pański.

— Hem! prawda, kocham tego chłopca, a bodaj może i dla tego, że ma pewną siostrzyczkę...

Helusia drugą szklanką i drugim zręcznym dygiem uraczyła zagniewanego.

— Niech mię dyjabli porwą! oczaruje mię ta dziewczyna—rzekł on, przyjmując lampkę.

Tymczasem całe towarzystwo, zrozumiawszy, że to nie komedyja, to uwiadomione, to domyślające się całej awantury, obstąpiło rozmiłowanego porucznika, wypiło jego zdrowie, wyściskało jego serdecznie, ciesząc się i dziękując, ze na cały wieczór zostanie w ich szlacheckiej kompanji, nie wyrywając się do pańskich assamblów. Kobiety i dziewczęta rozważały i dziwiły się jego wspaniałemu ubiorowi, upewniając, że mu w nim bardzo do twarzy, a tak udobruchany i rozbrojony rycerz:

— Hej! bracia mili! — zawołał — przy kielichu i fartuszku najtwardsze serce topnieje, jak wosk! a na dowód, że i mnie stopniało,

rzy tym strzelistym ogniu, błyskającym z o-
zek Heluni, wypijmyż jej zdrowie, ale z jej
zewiczka!

Na tę propozycyję Helusia odbiegła do drugiego pokoju, ale porucznik z pomocą młodzieży i tam zawinął się około jej stopek i wnet dobył trzewiczek, do którego wstawiwszy szklankę, spełnił pożądany vivat, powtórzony kolej przez wszystkich. Harmonija zatem wesołość nastąpiła zupełna, a porucznik był jej duszą.

Regestr.

W imię sprawiedliwości.

O pani X. raz krytyk ozwał się obskurny,
Że u niej regestr dolny, lepszy niźli górny.
To nieprawda! — rzekł na to ktoś z członków
[orkiestry,
Bo ta pani ma dzielne obadwa regestry.

Regulacyja.

* *Regulacyja spadku.*

Jan wziąwszy cztery folwarki po dziadku,
Rozpoczął zaraz regulacyję spadku,
A w interesie tym za dependenta
Była mu Józia z corps de balet wzięta —
I tak im dobrze szło to zatrudnienie,
Że wkrótce dyjabli wzięli dziadka mienie.

Reguły.

Przysłowia

jak spamiętał tak napisał

Dudek z pod Pacanowa.

Rubel — to mi kwitek.
Bawar — to napitek.
Flaki — to potrawa.
Kankan — to zabawa.
Kiedy kochać — to rozwódkę.
Chcesz się schlapać — to pij wódkę.
Ożenić się — to już w mieście
Sekret zwierzyć — to niewieście.
Jeździć szybko — to furgonem.
Konwersować — to żargonem.
Brać na kawał — breczkosieja.
A naciągać — dobrodzieja.
Wykwitować — wierzyciela.
A jak zdradzić — przyjaciela,
Wziąść na fis — to już frajera.
Pal artykuł — do Kurjera.
Być wytartym — to na czole.
Szyku zadać — w Ryczywole.
Kiedy bić się — na butelki.
Chcesz zastawić — to już elki.
Dawać koncert — to w Pińczowie.
Być poetą — w Pacanowie.

* *Reguły poetyczne.*

Jeżeli kiedy zniżę się do pracy,
To poetyckie napiszę reguły,
Przewyższające wszystkich reguł grozy.
Jeżeli na nie wieszcz nie będzie czuły,
To jego Muzę wpakuję do kozy —
Ekstraktem myśli okraszę bibuły;
Nazwę swe dzieło: „Longin o pijaństwie"
Czyli: „Poeta królem w rymów państwie."

—o—

Wierzaj w Drydena, Popego, Miltona,
Nie wierz w Wordswortha, Coleridge'a, Sou-
[theya;
Szkapa pierwszego cała rozemdlona,
Southey wodnisty, Coleridge się upija,
Crabbego Muza jest niedościgniona,
Zato niezawsze Campbellowi sprzyja.
Słów Rogersowi nie kradnij z pod pióra
I nie romansuj z Muzą IMci Moora.

—o—

Więc: „nie pożądaj Muzy Subheby'ego,
Ani Pegaza, ani żadnej rzeczy,
Która jego jest; nie mów fałszywego
Świadectwa jak „ktoś", co mi nie zaprzeczy,
Pisać masz wedle przykazania mego,"
To jest krytycyzm. To uczeń na pieczy
Mając, przed rózgą moją niech zna respekt,
Bo na Bóg żywy!... wyrządzę mu despekt.

Byron.

* *Reguły staropolskie.*

(na dzisiejsze czasy przerobione.)

Stówka — to mi kwitek,
Szampan — to napitek.
Nelson — to potrawa,
Szpicbal — to zabawa.
Kiedy zbrojno — to ze szpadą,
Kiedy z miną — to już z bladą.
Zjeść co dobrze — to sam bracie,
Sejmikować — to w rajchsracie.
Kiedy spić się — to za cudze,
Kupić — chyba wódki słudze.
Gdy pomagać — nie ze swego,
Kiedy bić — to bezbronnego.
Kiedy strojno — to we fraczku,
Gdy pracować — to przy maczku.
Gdy kto oszust — to go broń,
A poczciwy — o! to stroń,
Gdy dasz słowo — to je zdradź,
Gdy obrażon — w kieszeń wsadź.
Gdy się bratać — to z panami;
Gdy mieć litość — nad łotrami.
Gdy się modlić — jak lis szczerze,
A gdy zwątpić — o swej wierze.
Kiedy cierpieć — to nie wiele,
Kiedy kochać — dwie niedziele.
Dać się poznać — za granicą,
Gdy szaleć — za baletnicą.
Z każdą panną — popróbować,
Kiedy ładna — romansować,
A obmówić — gdy uczciwa,
A oczernić — gdy cnotliwa,
Bałamucić — jeśli kocha,
A skorzystać — jeśli płocha,
Gdy ma posag — to się żenić,
Prócz gotówki — nic nie cenić.
Gdy się kochać — w cudzej żonie!
Pisać co — to w swej obronie.
Gdy popierać — to gałgana,
Kiedy tańczyć — to kankana!

Rej.

* *Anegdota z XVI-go wieku o sławnym Mikołaju Reju.*

Łukasz z Górki, kasztelan Międzyrzecki, gdy jechał na zaloty do Wojewodziny na Lisko, miał z sobą w towarzystwie Mikołaja Reja, rozumu ciekawego. Tam przyjechawszy do Łęk, wsi jednej pod Krasnem, rzekł Rej chłopu:

— A kto tę wieś trzyma?

Chłop. Ziemia a płoty.

Rej. A któż tu panem?

Chłop. Ten, co ma więcej pieniędzy.

Rej. A któż tu starszym?

Chłop. Jest tu baba, co jej przeszło sto i dziesięć lat, to ta najstarsza.

Rej. Któż wyższym?

Chłop. Lipa najwyższa, bo ją nad kościołem widać.

Rej. Dalekoż południe?

Chłop. Nie szło tędy, panie, nie wiem jak daleko jest.

Rej rozgniewany, rzecze:

— Chłopie! albo to z swoim równym błaznować.

Chłop. Zsiądźcie jeno, panie, z wozu, zmierzywa się, co wiedzieć, jeśliżwa nie równi.

Rej. Widzi mi się, chłopie, weźmiesz w gębę!

Chłop. Nie wezmę, panie, bo ja nie pies, wolę w rękę jako człowiek.

Obaczywszy pan Rej, iż na swego trafił, powiedział.

— Jakom żyw, tak sztuczny chłop na mię nie przychodził.

Gazeta Polska z roku 1827-go

Rekomendacyja.

A. Panie Feinmann, rekomendowałeś mi firmę: „Goldberg et Comp.” i zakredytowałem im 500 rubli, teraz oni ogłosili bankructwo i moje 500 rubli przepadły!

Feinmann. No, za pozwoleniem, jakto ja rekomendowałem! ja tylko powiedziałem, co to *stara firma*, a wiadoma rzecz, że co jest stare, to się prędzej psuje.

* *Balowa rekomendacyja.*

— Julciu, ten pan prosi cię do mazura.

— A któż to jest, proszę mi go zarekomendować.

— Aha, zapomniałem! To jest znajomy pomocnika aptekarskiego, wprowadzonego przez ciotecznego brata kuzynki brata przyjaciela pryncypała, jednego z tutejszych gospodarzy.

— W takim razie, bardzo proszę.

Rekruci.

Płytek. Niech się każdy prezentuje na zawołanie, niech się prezentuje, niech się prezentuje. Obaczmy, gdzie Butwiak.

Butwiak. Jestem, panie, na rozkazy.

Płytek. Co myślisz, sir Dżonie? Chwat doskonale zbudowany, młody, silny, z uczciwej familji.

Falstaff. Imię twoje, Butwiak?

Butwiak. Tak jest, panie, jeżeli łaska.

Falstaff. To wielki czas, by cię użyć.

Płytek. Ha! ha! ha! przewybornie na uczciwość! Zbutwiałych rzeczy trzeba co prędzej używać. Nadzwyczaj doskonale! dobrze powiedziane, sir Dżonie, dobrze powiedziane

Falstaff (do Płytka.) Naszpilkuj go.

Butwiak. Dość ja już byłem kłóty poprzednio, moglibyście zostawić mnie w pokoju. Stara moja matka oszaleje, nim znajdzie kogo, coby się zajął jej gospodarstwem i ciężką robotą. Nie potrzebujecie mnie szpilkować; są tu inni zdolniejsi odemnie do służby.

Falstaff. Stul gębę, Butwiaku, musisz pójść ze mną; czas by cię zużyć.

Butwiak. Zużyć!

Płytek. Cicho, pachołku, cicho! Ustąp na bok. Czy wiesz ty, gdzie jesteś? — A teraz do następującego, sir Dżonie. Obaczmy, Szymon Cień.

Falstaff. O, daj mi go tu, bym w nim usiadł. Chłodny to być musi żołnierz.

Płytek. Gdzie Cień?

Cień. Jestem, panie.

Falstaff. Cieniu, czyim jesteś synem?

Cień. Mojej matki synem, panie.

Falstaff. Twojej matki synem? Wielkie prawdopodobieństwo, a twojego ojca cieniem. Tak to syn samicy jest cieniem samca; często się to zdarza, nie wątpię, bo nie jest ojca substancyją.

Płytek. Jak ci się podoba, sir Dżonie?

Falstaff. Cień przyda się na lato—naszpilkuj go — bo nie mało trzeba nam cieni do skompletowania naszej kontroli.

Płytek. Tomasz Brodawka.

Falstaff. Gdzie on?

Brodawka. Jestem, panie.

Falstaff. Nazywasz się Brodawka?

Brodawka. Tak, panie.

Falstaff. To bardzo obszarpana z ciebie Brodawka.

Płytek. Czy mam go naszpilkować, sir Dżonie?

Falstaff. Byłaby to zbyteczna praca. Wszystko, co posiada, jest na jego grzbiecie zbudowane, a cała jego budowa stoi na dwóch szpilkach; nie szpilkuj go więcej.

Płytek. Ha! ha! ha! znasz się na rzeczach, znasz się na rzeczach, sir Dżonie; przyjmij moje komplementa. Franciszek Słabiak.

Słabiak. Jestem, panie.

Falstaff. Jakie twoje rzemiosło, Słabiaku?

Słabiak. Damski krawiec, panie.

Płytek. Czy mam go naszpilkować?

Falstaff. Możesz, ale gdyby mężkim był krawcem, toby cię on naszpilkował. Bodajeś tyle dziur zrobił w nieprzyjacielskich szeregach, ile ich zrobiłeś w damskich spódnicach!

Słabiak. Zrobię, co mogę, panie; nie możesz żądać więcej.

Falstaff. Dobrze mówisz, dobry damski krawcze! dobrze mówisz, waleczny Słabiaku! Będziesz odważny jak wściekła gołębica, albo jak mysz najwielkomyślniejsza. Naszpilkuj mi dobrze damskiego krawca, panie Płytku, głęboko, panie Płytku.

Słabiak. Pragnąłbym, żeby Brodawka pomaszerował z nami, panie.

Falstaff. A jabym pragnął, żebyś mężkim był krawcem, żebyś go połatał i zrobił zdol-

nym do marszu. Nie mogę robić prostym żołnierzem tego, który tylu tysięcy jest przywódcą. Przestań na tem, najzapalczywszy Słabiaku.

Słabiak. Cóż mam robić, panie?

Falstaff. Wdzięczny ci za to jestem, przewielebny Słabiaku. — Do następującego.

Płytek. Piotr Cielak, z pastewnika.

Falstaff. Obaczmy, obaczmy tego Cielaka.

Cielak. Jestem, panie.

Falstaff. Na uczciwość, urodziwy pachołek. Kolnij mi tego Cielaka, aż ryknie.

Cielak. O! dobry mój panie kapitanie.

Falstaff. Co, już ryczysz, nim cię kolnięto?

Cielak. O! panie, schorzałym jestem człowiekiem.

Falstaff. Cóż to masz za chorobę?

Cielak. Przeklęty katar, panie, kaszel, panie, który dostałem, dzwoniąc w królewskiej służbie w dzień koronacyi.

Falstaff. To dobrze, pójdziesz na wojnę w szlafroku; wyleczymy cię z twojego kataru. Już ja dołożę starania, żeby twoi krewni dla ciebie dzwonili.

Szekspir. (patrz str. 80 T. I.)

Replika.

Lubię święte oburzenie,
Lubię pathos ten dziewiczy,
Co przy każdej śmiesznej scenie,
Swoje *„shocking"* głośne krzyczy,
I tragicznej czeka roli,
By wypłakać się do woli.

Lubię czułość, co się pasie
Wierzb płaczących gorzkim listkiem,
W poetycznym cienkim kwasie
Lubując się przedewszystkiem,
I co w niebo by leciała,
Gdyby tylko skrzydła miała.

Ja to lubię... bo to właśnie
Przypomina mi angielkę,
Co nad książką zanim zaśnie,
Zlewa swoje łzy w butelkę,
Żeby mogła wszystkim dowieść,
Jak ją wzrusza tkliwa powieść.

Tych angielek dziś bez liku
Na wysokich nogach brodzi,
Pełno płaczu, pełno krzyku:
„Słońce zaszło! księżyc wschodzi!"
Dzień się kończy lub zaczyna,
Do łez zawsze jest przyczyna.

Wielkie słowa, małe smutki,
Lecą tędy i owędy,
Czuć kolońskiej zapach wódki,
Dużo piżma i lawendy,
A westchnienia brzmią tak śpiewnie
Że niechcący człowiek ziewnie.

A gdy ziewnie... hałas wielki:
„O bezbożnik! o bluźnierca!
„*Shocking*" — krzyczą te angielki,
„Ach ten człowiek nie ma serca,
„Ziewnął — jest to znak cynizmu
„Trzeba użyć egzorcyzmu."

Więc z kolei po porządku,
Każda zacznie głos podnosić,
I ze łzami od początku
Wszystkie swoje cnoty głosić,
Ile w piersiach ma zapału
I poczucia ideału.

I wypowie bez wytchnienia
Śpiewnym głosem katarynki,
Post, jałmużnę, umartwienia...
Wszystkie dobre swe uczynki,
Całą duszę wyspowiada,
Powiedziawszy — jeszcze gada...

Poetyczne czyste dusze,
Namaszczone muz kapłanki!
Jeszcze raz was zgorszyć muszę
Dusze bielsze od śmietanki,
Gdyż w mych piersiach siedzi szat
Brzydszy jeszcze niż Lewiatan.

Ten, jak każdy duch przeklęty
Na święconą wodę parska,

A znienacka napadnięty
Kiereszuje het z tatarska,
Mając usta śmiechu pełne
Nie obwija słów w bawełnę.

On dziś moim jest suflerem,
Trzyma pióro w koźlich łapach —
Kiedy piszę... nad papierem
Ulatuje siarki zapach,
I mój każdy rym najprostszy
Swoim rogiem szatan ostrzy.

Czyste dusze, wiedzcie przeto,
Że czasami śmiać się można,
Że nie wielką jest zaletą,
Zjadłszy dobrą pieczeń z rożna,
Nad nieszczęściem łzy przelewać
I przy cytrze dumki śpiewać.

Śmiech jest dobry, śmiech jest zdrowy,
Uspokaja słabe nerwy;
Cały Olymp bóstw różowy,
Nie wyjmując i Minerwy
Śmiać się lubi i swawolą
Wszystkie Muzy i Apollo.

W śmiechu szukać trza lekarstwa
Na te spazmy, palpitacyje,
Serc choroby i kuglarstwa,
Które młodą generacyję,
Rozkochaną w ciągłym żalu,
Wiodą prosto do szpitalu.

Odkąd humor i jowialność
Przepędzono precz za bory,
Znikła wszelka naturalność,
Znikło zdrowie i kolory:
Nawet praczka bieląc płótno,
Jak Elektra wzdycha smutno!

Dziś już nie ma lubych psotnic,
Rzucających blask wesoły,
Pełno za to jest suchotnic,
Same duchy i anioły,
W niebo lecą, gdy wychudną,
Więc na ziemi jest tak nudno!

Smutnych cieni cała legija
W ossjanicznych mgłach się chowa,
Co krok stąpisz — jest elegija
Tajemnicza i grobowa;
Chorobliwe wszędzie cnoty,
Nigdzie wdzięku i prostoty.

A z chłopcami większa bieda —
Skończy który lat szesnaście —
Już pozuje na Manfreda,
Idzie błądzić nad przepaście,
Do poświęceń wszystkich zdolny...
Tylko nie do pracy szkolnej.

Dużo uczuć, mało pracy,
Pracą gardzi nasza dziatwa,
W kąt Ilijada, w kąt Horacy!
Bohaterstwo rzecz tak łatwa,
Dosyć wstąpić na koturny,
Mieć wzrok czuły i pochmurny.

Gorszy jeszcze tworzą rodzaj
Nasi wieszcze rozkiełznani,
Na tych wielki jest urodzaj —
Wschodzą — chociaż nie zasiani,
Z bajronicznych wschodzą grządek,
Głusząc piękno i rozsądek.

Bo ich Muzy to nie owe
Helikońskie wdzięczne Muzy,
Ale jakieś ćmy wężowe,
Niby Furyje i Meduzy,
Co im tylko w serce wpadnie,
To poszarpią w lot szkaradnie.

Nad Bachantki, co rozniosły
Orfeusza krwawe członki,
Sroższym jest ten niedorosły
Zastęp zbrojny w dzikie mrzonki,
Gdyż się pastwi wciąż na nowo
Nad ojczystą słodką mową.

Czyż więc można brać na seryjo
Ten Tytanów ród skrzywiony?
Widząc z jaką fanaberyją
Kładzie ossy na Pelijony,

By się gwałtem dostać w wieczność,
Gdzie króluje niedorzeczność.

Asnyk. (p. t. I, str. 4.)

Reporter.

* Reporterzy nie są nowym wynalazkiem, powstali oni wraz z dziennikarstwem i zdaje się, że niejaki Renaudat rozpoczął ten zawód.

Jedną z wybitniejszych osobistości był bez zaprzeczenia Mateusz Donzelot, trochę oryginał, przezwany *Obij-brukiem.*

Miał on zwyczaj rano wstawszy, biedz najprzód do barometru, a następnie wyjrzeć na świat boży przez okienko swej małej izdebki, poczem stosownie do pogody, mniej więcej tego rodzaju prowadził monologi:

— Deszcz! Poślizgnie się dziś i upadnie nie jeden... będzie kilka przejechań.

Albo:

— Na burzę się zanosi! Oj pewnie się przytrafi parę wypadków obłąkania... a może i wścieklizny.

To znów:

— Ciemno! Chmurno! Cudowny czas dla cierpiących *spleen...* dalej w drogę! poszukamy samobójców.

Pewnego dnia, podczas jakiejś ruchawki, zagorzały reporter staje na samym środku placu *du Pantheon* z piórem w ręku i głuchy na łoskot kamieni, przelatujących mimo jego uszów, pisze, notuje.

Próżno go ostrzegają życzliwi... nie słucha nikogo... dobywa zegarek i punktualnie co do minuty — przelewa na papier wszystko, na co patrzy.

Zbiegowisko się wzmaga... nadbiega gwardyja narodowa... żołnierze dają ognia... pierwsza kula karabinowa ugodziła nieopatrznego biedaka.

Uczynny jakiś felczer podbiega, chcąc mu nieść pomoc.

— Zaczekaj! zaczekaj chwileczkę! nie jest to rzeczą najpilniejszą... przedewszystkiem obowiązek... muszę wprzód zanotować wypadki... ale pisać nie mogę... wyręcz mnie proszę cię. Oto masz pióro, a tam jest papier pod spodem dodaj:

„Godzina 3, minut 20 po południu."

„Po pierwszych strzałach gwardzistów spostrzeżono pomiędzy ludem trzech rannych i jednego zabitego..."

— A któż jest zabity? — pyta felczer.

— To ja — odpowiada reporter — co rzekłszy, kona.

Kona na polu bitwy!.. jak Epaminondas!.. jak Turenijusz!.. jak Bayard!

(*Th. Trimm, Petit Journal*).

* Pewnego dnia do gabinetu redaktora jakiegoś poważnego pisma w Ohio, wszedł pan starannie ubrany i w te słowa przemówił:

— Panie, pański dziennik zamieścił w wczorajszym numerze fałszywą wiadomość.

— To niemożliwe, mój panie, wszakże zechciej mi wytłómaczyć o co idzie.

— Dziennik pański podaje do publicznej wiadomości, że niejaki Mauners popełnił czyn nikczemny i został po doraźnym sądzie, złożonym ze współobywateli, powieszony. Otóż ja jestem owym Maunersem i przychodzę żądać byś pan to hańbiące mnie ogłoszenie odwołał.

— Tego zrobić w żaden sposób nie mogę mój panie.

— Pan tego zrobić nie możesz? Dla czegoż to, jeśli łaska? Mówię panu raz jeszcze że to ja jestem owym Maunersem, którego haniebną śmierć pański dziennik rozgłosił, że ja nigdy tej podłości nie popełniłem, a zatem i nie byłem powieszony. Chybaś więc pan rozum stracił, jeśli śmiesz mi odmawiać słusznego zadośćuczynienia.

— Być może, ale ja ogłoszenia nie odwołam stanowczo.

— Mój panie, zaniosę na pana skargę i sąd mi sprawiedliwość wymierzy.

— Wolno panu robić, co mu się podoba. Ja z mojej strony tylko to ustępstwo mogę zrobić, że ogłoszę w wieczornym numerze, iż podczas egzekucyi sznur, na którym pan wi

siałeś, urwał się i pan dzięki zrządzeniu Opatrzności żyjesz i zdrów jesteś. Ja rządzę się zawsze zasadą, by nieprawdziwych wieści nie rozgłaszać, a zatem nie mieć potrzeby odwoływać je. Żegnam pana.

* *Przygoda reportera.*

Smutna to dola reportera. Ciągle na nogach w nieustannych emocyjach, w niekończącej się nigdy działalności. Ani śnieg, ani ulewa, ani huczące pioruny, nie powstrzymują wiatronogiego posła... wielce poczytnego pisma. — To *mechanicy* kręcący bicze z piasku.

Miałem to szczęście należeć do grona czuwającej, wietrzącej, badającej, podchwytującej słówka... braci.

Dzień był fatalny; rano zasępiło się niebo, ołowiane chmury zasunęły firmament, darcie w lewej nodze przepowiadało zmianę powietrza.

Jakoż deszcz lunął jak z cebra. Potem znowu wyjaśniło się, zabrawszy tedy notyskę, idę za zdobyczą.

Na nieszczęście wszystko było w należytym porządku.

Z okien nikt nic nie wylewał na ulicę; dorożkarze z pokorą poddawali się żądaniom publiczności, rynsztoki należycie oczyszczone deszczem, płynęły jak szemrzące ruczaje, nawet żebracy i druciarze pochowali się gdzieś po kątach.

Źle! nic a nic, a tu gwałtem potrzeba conajmniej 120 wierszy!!...

Na Podwalu szedłem za jakimś panem. Nagle przystanął, obmacał kieszenie i zwrócił się do powrotu.

— Pana dobrodzieja okradli? — rzekłem, uchylając kapelusza.

— Aj! gdzie tam, proszę pana, żona dała mi do zaniesienia do reperacyi swoje kalosze i zapomniałem. *Pierwsze pudło.*

Trochę zawstydzony, poszedłem na Krakowskie.

Idę, gapię się, oglądam, posucha... Około poczty mały tłumek, mała gromadka.

— Aha! jest! jest! — pomyślałem uradowany.

Zbliżam się, zebrani rozprawiają gwałtownie, wywijają rękami, huczą.

— Co to takiego?

— Proszę pana, szczur szelma przez trotuar przemaszerował. *Drugie pudło.*

Nie patrząc, nie oglądając się, pobiegłem szybko, aż ku Chłodnej ulicy.

Baczny na siebie, nie rwę się, choć koło sklepiku zebrał się tłum kucharek, mijam go, nie zatrzymując się ani na chwilę; choć dorożkarz z dorożkarzem zawadzili się kołami, — nie patrzę!

Nagle dochodzi mnie krzyk:

— Boże! już go nie ma!

Ażem drgnął cały.

Toż przy kamienicy stoi młode dziewczę, zalane łzami.

Nie wierzę własnym oczom. To złudzenie! To szatańskie figle! Panienka coraz głośniej płacze.

Nie mogę wytrzymać.

— Co ci to, mój aniołku? czego płaczesz?

— Oj, Boże! Boże!

— Powiedz, można zaradzić temu?

— Nie panie, temu nikt nie zaradzi, przepadł już na zawsze!

— Kto taki?

— Ach! panie, Miluś drapnął, a taka śliczna była kocina...

— Niechże cię piorun! — szepnąłem do siebie, podnosząc kołnierz od paltotu, bo deszcz na nowo padać zaczął. *Więc trzecie pudło.*

Wychodzę na Mazowiecką.

Na chodniku nic nie widać. Z boku tylko przy Towarzystwie Kredytowem stoi dwóch panów, pod jednym parasolem rozmawiających żarliwie.

Wtem, z sieni kamienicy, wychyla się śliczna nóżka, ale jaka! Aj! aj! co za nóżka! Potem... bielutka pończoszka, a potem dama w okrytku.

No, moi panowie, podobne zjawiska nie rzadko zdarzają się na tym naszym padole płaczu!

Dama wychyliła, jak powiadam, główkę i znowu weszła do sieni.

Ha! intryga, chowam się tedy do obocznej kamienicy i patrzę, co dalej nastąpi.

Po chwili znowu to samo. Pani wyszła i ukryła się.

W dziesięć minut wyszła aż na trotuar i zaczęła machać chustką ku stronie rozmawiających panów pod Towarzystwem.

Jeden z nich, jakby przerażony, postąpił krok i zasłonił się parasolem.

— Tak robaczku — myślę sobie — kryjesz się, chowasz. Rozumiem.

Śmiało tedy, pomimo deszczu, wysuwam się z bramy i co powiecie, pani wyraźnie zniecierpliwiona, czy też rozgniewana, macha chustką, tupie piękną nóżką.

Jegomość z pod Towarzystwa roześmiał się głośno, a pani poszarpała chusteczkę.

Przystępuję więc do niej.

— Pani — rzekłem — jestem na twoje rozkazy. Widzę, żeś pani w stanie rozdrażnienia... Jakiś zapewne fatalny wypadek... Czy mogę pani służyć?

Pani uśmiechnęła się, a mnie zdawało się, że deszcz ustał i na niebie zajaśniało słońce.

— Nie wiem, czy mogę nadużywać dobroci pana?

— Rozkaż pani.

— A więc dobrze. Racz pan dojść do tamtych panów... i temu tęższemu — tu pokazała różowym paluszkiem mężczyznę, trzymającego parasol. Otóż temu panu, powiedz pan z łaski swojej, żeby mi dał parasol, bo ja się śpieszę, a on gada i gada. To mąż mój, panie.

Było to zatem czwarte i ostatnie pudło.

Tego fatalnego dnia nic nie przyniosłem do redakcyi...

Resursa.

W pewnym klubie, dla dogodności członków, urządzono z wielkim szykiem salon do rozmowy. W razie więc gdy dwóch albo trzech członków pragnie rozmawiać ze sobą, następuje bardzo prosta manipulacyja. Na zwyczajnym papierze robi się podanie do komitetu, po dwóch albo trzech tygodniach, na miesięcznej sesyi, komitet wydaje pozwolenie — pozwolenie składa się w kancelaryi — kancelaryja wydaje klucz od salonu do rozmowy i... *finita la comedia.*

Restauracyja.

* *W restauracyi.*

Kelnerka. Muszę się zapytać, czy pan przypadkiem nie jest przesądny?

Gość. Albo co?

Kelnerka. Bo właśnie podałam panu trzynasty kotlet z tą samą kostką.

*

Garson. Czy pan będzie jadł obiad za dwa złote, czy też za pół rubla?

Gość. A czem się różni jeden od drugiego?..

Garson. Czterdziestoma groszami.

* *Gość.* Teciu! weź tę zupę, na spodzie są dwa robaki.

Tecia. Już co to, to nieprawda, o jednym wiem, ale zkąd się wziął drugi? Pan zawsze grymasi.

Reszka.

Pan Reszka,
Co na górze mieszka,
Patrzy na gwiazdy,
Tyle wie, co każdy.

Wierszyk o Ignacym Reszce, pomocniku profesora astronomii w Wilnie, chodził w przysłowiu między studentami uniwersytetu.

Rewanż.

Pewien człowiek, przechodząc nad rzeką, usłyszał krzyk tonącej kobiety, a że umiał

pływać, wskoczył bez namysłu do wody i wyratował ją. Tymczasem nadbiegł mąż tonącej i pełen wdzięczności chciał obdarzyć wybawcę, gdy zaś ten nagrody żadnej przyjąć nie chciał, rzekł do niego:

— Kiedy pan w szlachetności swojej nie chcesz nic przyjąć odemnie, to przynajmniej dam panu radę, która go może wybawić z niebezpieczeństwa. Oto nie jedz pan nigdy w lecie serdelków, jestem rzeźnikiem i wiem dobrze, jak się takowe przyrządzają.

Rewieński.

Nigdy bez łez nie mogę wspomnieć sobie o ś. p. Ignacym Rewieńskim, co za jednomyślną wolą całej szlachty księztwa Nowogrodzkiego, otrzymał sędztwo ziemskie i był wzorem dobrych urzędników. On przy pewnej oszczędności żył ledwo nie po pańsku. Wystarczały mu dochody i długów nie zostawił, chociaż dom jego przed nikim nie był zamknięty i częste bywały u niego zjazdy, a każdy był nakarmiony, napojony i ugoszczony jak się należy.

Otóż sędzia, przy końcu kadencyi trzechkrólewskiej, powiedział mi po sesyi: — Panie Sewerynie, proszę waćpana na zapusty do Omniewicz, ale przywieź nam i żonkę.—Skłoniłem się sędziemu, dziękując mu, iż raczy o nas pamiętać. Albo to tacy byli sędziowie jak dziś! Tedy z moją Magdusią, bryczką krytą (którą mi W. wojski Jabłoński dał *pro honorario* za odbytą kondescencyję na grun cie z ojcami Dominikanami Nowogrodzkimi) puściłem się do Omniewicz. Trzeba wiedzieć, że w tamtych czasach bryczka kryta nie była rzeczą powszechną i że palestra nasza, choć z obywatelskich synów złożona, ślicznie wózkami ruszała, ale gdy mi bryczkę dano, czemuż miałem jej sobie i żonie żałować?

Sędziego dom nie był pałacem, ale ileż tam mieściło się gości! Dziśby tego nikt umieścić nie potrafił; a jaka uprzejmość, jaka szczerość, jaka wesołość! Ja z żonką stałem na folwarku u dyspozytora, który, jak to wtenczas bywało, nie sługą, ale przyjacielem był pana, nawet miał z nim jakieś powinowactwo. Oprócz nas jeszcze troje małżeństw mieściło się w pokoju, a dwoje w alkierzu z ekonomstwem. A co też tego było we dworze! W sali jadalnej pięć stadeł. Młodzież rostasowała się po chłopach. To codzień zrana W. sędzia wszystkich objechał i każdemu dzień dobry zaniósł, przepraszając za niewygody, chociaż nie było za co przepraszać. Pewnie nikt się nie obudził przed sędzią, bo to u nas był wielki wstyd, żeby gość był wprzód na nogach, niż gospodarz. A W. sędzina wszystkie obywatelki objeżdżała z sędziankami i nie jedną w łóżku zastała, chociaż już i pacierze odbyła i kawę ze śmietanką wszystkim gościom sama porozsyłała. Około dziewiątej z rana wszyscy zbieraliśmy się na pokojach, gdzie już sędzina i sędzianki pou bierane siedziały, ażeby gości bawić, a gospodarz przyjmował ich w sieniach i wprowadzał do żony każdego, nie wchodząc w jego godność. Bo chociaż my niżsi umieli czcić powagę urzędu, znaliśmy dobrze, że jako szlachta, wszyscyśmy byli równi. Otóż ja, co tylko susceptantem byłem, to kiedy mnie W. sędzia, tak majętny i dostojny obywatel, w sieniach witał i nizko kłaniał się i przed sobą do pokoju wprowadzał, umiałem przyjąć jego łaskawą grzeczność i w kolanom go pocałował, a przecie, gdyby mię inaczej przyjął, poczytałbym się za silnie ukrzywdzonego. Zebrawszy się tedy w pokoju bawialnym, pocałowaliśmy rączki wszystkich pań, poczynając od gospodyni i jej córek. Sługa wszedł z gorzałką i zakąskami. W. sędzia odezwał się: — Panowie dobrodzieje, raczcie się rozgościć — odpasał szablę, a my wszyscy poszli za jego przykładem i w kątyśmy je postawili, ale tak, żeby każdy o swojej szabli wiedział, bo jak tylko jaki senator albo wysoki urzędnik przyjeżdżał, trzeba było nam wszystkim szable przypasać, biedz do sieni za gospodarzem dla przyjęcia gościa i wprowadzić go do pokoju, a dopiero odpasać się,

gdy on sam się odpasze. Ale ta grzeczność obowiązywała tylko względem ministrów, dygnitarzy i podkomorzego; a nas palestrę także i względem urzędników sądowych, jako nad nami zwierzchność mających.

W. sędzia, gdy widział wszystkich rozgoszczonych, nalał kieliszek gorzałki, i spełniwszy go oddał wraz z flaszką gościowi, którego uważał być najpierwszym, a ten toż samo zrobił; tak, że każdy z nas z jednego kieliszka pił, i dopiero ostatni wypiwszy, służącemu nalał, który po spełnieniu, odnosił gorzałkę do kredensu, a wszyscy się brali do wędlin. Wiedzieć potrzeba, że jeżeli się znajdował ksiądz, co zawsze bywało, od niego zaczynano wódkę; chyba, że był senator, a i ten jakieś ceremonje z księdzem robil. I to się chwali: bo ksiądz do świata nas wprowadza, i daj Boże, aby ze świata nas wyprowadził; a potem, nie wiecie co to był ksiądz za naszych czasów. To bywało książe Karol Radziwiłł wojewoda Wileński, na którego często patrzałem, a nigdy bez strachu, choć go z serca kochałem, jak i wszyscy co go znali; miał dziewięć tysięcy ludu w swojej milicyi, a że nikt nie jest bez ale, był porywczym, to jak się rozdąsa na kogo, czy to z plotki, jak po wielkich dworach bywa, czy z jakiego widzimisię, wie Bóg jaki rozkaz na niego wyda, i pod ziemię szlachcic nie byłby bezpiecznym; a jak takiemu dać radę? Perswadować, to zamiast jednemu dwom byłaby bieda. Oto udawano się do księdza Katembrynga, proboszcza Nieświeżskiego: — Książę chce mię ukrzywdzić pobudzony przez złych ludzi, ratuj mię! — A on natychmiast po księcia: — Mości książe, czy to się tak godzi? Wszak W. K. M. nie pierwszy ordynat nieświeżski: gdzie się podzieli antenaci jego, tam i książe pójdziesz, a jak się Panu Bogu pokazać, nosząc na sobie płacz ludzki! Zaniechaj książe tych impetów, a w imię Zbawiciela proszę cię, abyś rękę podał struchlałemu nieborakowi, którego gniew W. K. Mości tak przeraził, że nie wie gdzie się podziać. — To książe rad nierad reflektować się musiał, jeszcze chudego pachołka obdarzył, nagradzając mu strach, a wszystko przyzwoicie się kończyło. Po gorzałce zaczynały się zabawy przedobiednie. JW. Jeleński, kasztelan Nowogrodzki, który zaszczycał towarzystwo nasze swoją bytnością, siadał do maryjasza w pulę z gospodarzem i W. Rdułtowskim, chorążym Nowogrodzkim, którego żona była siostrzenicą księcia Radziwiłła, a on sam był orderowy pan. A choć to byli możni ludzie, po złotemu tylko grali; bo to była u nas wielka sromota w karty się zgrywać; nie tak jak teraz, co lada szlachcic, często i nie osiadły, złoto na karty sypie. Prawda, że i za naszych czasów, niektórzy panowie w Warszawie poprzyuczali się szulerki, ale to im się nie chwaliło. Książę biskup Ignacy po całych nocach bywało grywał w swoje francuzkie karty. A w Nieświeżu francuzkich kart dostać na lekarstwo nie można było, bo książę tego towaru srogo żydom zakazywał i za to niemiłosiernie plagami ich karał. Więc panowie maryjaszem, u my niżsi rozmową starszych zajmowali się.

Potem zaczęto mówić o gospodarstwie, do czego i kobiety się mięszały. Pani sędzina zaczęła się popisywać, wynosząc rozmaitych kształtów moteczki i płótna swojego urządzenia. Wszyscyśmy chwalili jej pracę, a ojciec gwardyjan z Iwieńca, co przez ten cały czas trzymając na kolanach małego sędzica, obrazkami go bawił, odezwał się: — *Laus Tibi, Christe*, żeś mnie do Omniewicz przyprowadził. Właśnie nasza zakrystyja obdarła się; w łatanych albach za dobrodziejów Boga prosić przychodzi, a tu piękne lniane płócienka tęsknią do kościoła i same proszą, ażeby ze mną pojechały do Iwieńca. — A sędzina mu na to: — Weź ile chcesz sobie, ojcze gwardyjanie, masz do tego prawo; wszak ja wasza dłużniczka za cebulki tulipanowe, coś mi dał w jesieni. — Pan sędzia odezwał się: — Ale wybierz-że ze wszystkich pół setków najcieńsze; bo jak mi się nie popiszesz, to będę się

skarżył kapitule, że nam takich gwardyjanów przyséła, co się na gospodarstwie nie znają.— Wtem Wawrzyniec kredensarz wszedł z serwetą na plecach i coś sędziemu szepnął, a sędzia wstawszy, powiedział żonie: — Kochanko, proś JW. kasztelana do stołu. — Za przykładem pierwszej pary, my wszyscy wziąwszy kobiety pod rękę, poszliśmy do sali, gdzie stół był zastawiony, a przy nim stołki i ławki. Siedzieliśmy wszyscy za stołem, oprócz samego sędziego, który jako gospodarz, chodził od jednego do drugiego w około stołu, aby usługi z oka nie spuścić. Nadmieniłem o Wawrzyńcu kredensarzu, bo tego sługę znała cała palestra nowogrodzka. On na rękach kiedyś nosił sędziego, a u nieboszczyka wojskiego Rewieńskiego, wielkiego myśliwego był dojeżdżaczem, potem lat kilka furmanem i woził go do Warszawy. Była to kronika żyjąca domu Rewieńskich. Pamiętał kiedy nieboszczka wojska w ciąży chodziła z sędzią, jak cyganka jej wróżyła, że będzie miała syna, co w zaszczytach przejdzie ojca swego; i to często młodemu paniczowi przypominał. Otóż kiedy ten później wybrany został sędzią ziemskim, pierwszą rzecz co zrobił, to, że całą familiję Wawrzyńca od wszelkiej robocizny uwolnił, a jego samego z furmana na kredensarza postąpił. Co kadencyi Wawrzyniec z panem swoim przyjeżdżał do Nowogródka; to my codzień bywało na attencyję do sędziego chodzim, którego choć czasem we dworku nie było. Wawrzyniec nas wszystkich wódką traktował; a sam nie wiem czy jej smak znał, tak był trzeźwy. Lubił on tylko o starych rzeczach gadać, osobliwie o polowaniach nieboszczyka. Za stołem u obiadu stojąc, do dyskursu się mięszał, ile razy o nieboszczyku mówiono: bo sędzia jemu wielkiej do siebie konfidencyi pozwalał, że był bardzo do państwa przywiązany i tęgo znał złużbę. Czasem kilkadziesiąt gości u sędziego podochociło się, a pewnie ani jedna butelka na bok nie poszła. Do tego psy na nosaciznę, a konie na robaki miał sekret leczyć: czego sam kilka razy byłem świadkiem. Przy obiedzie po pierwszych potrawach zaczęto kielichem się bawić. Kielich nie wielki zaczął kolejno obchodzić; jedni winem, drudzy miodem, zdrowia rozmaite pili. Gospodarz zaczął, JW. kasztelan w ręce chorążego Rdnłtowskiego, a wkrótce potem w ręce kasztelana spełnił zdrowie chorążego, następnie kasztelan zdrowie gospodarza, a chorąży gospodyni; gospodarz znowu rozmaitych zasłużonych, a obecnych obywateli; z rąk do rąk kielichy szły, a każdy skrupulatnie swój wychylał, bez wylewania na ziemię, bez domięszywania wody i innych podobnych obłud, jakich później namnożyło się, nim przyszło do tego, że gościa bodaj i najzacniejszego, przyjmuje się bez picia jego zdrowia, co ma być dowodem, że teraz więcej grzeczności, niż za naszych czasów! Po obiedzie zaczynały się pląsy, tańce i mazur, na przemianę. A tak i młodzież i sędziowie bawili się, a kielichy ciągle chodziły aż miło. Zabawy były niewinne, szczere; każdy serce na ustach nosił, bo nie miał potrzeby go zakrywać.

W ostatni poniedziałek z rana, gdyśmy byli zebrani u sędzinej, sędzia wpadł z obliczem uradowanem i powiedział.— Kochanko, baw gości, bo muszę natychmiast konno wyruszać naprzeciw dostojnego gościa, co swoją osobą chce zaszczycić ubogi nasz domek. JO. książę Radziwiłł wojewoda w samo południe tu będzie, zatem na granicy mojego dziedzictwa biegnę go przyjąć. — Ledwie to wyrzekł, prócz JW-go kasztelana Nowogrodzkiego, co jako senator w domu został, i kilku starszych, wszyscyśmy się upomnieli, by W. sędziemu asystować. Niektórym wystarczyło sęzkich koni, reszty zaprzężonego konia uchwyciwszy i okulbaczywszy pierwszem siodłem lub terlicą, na którą napadł w masztarni sędziego, ruszał na spotkanie księcia, a niejeden i oklep: bo choć masztarnia była porządna, gdzieżby wszystkim nastarczyć; więcej niż w pięćdziesiąt koni ruszyliśmy. Droga była kopna, a my ciągnęli

się sznurem; konfederacyję Barską mnie to przypomniało, ile, że biegłem naprzeciw jednego z najgorliwszych jej wodzów. Niedaleko Naci, przy karczmie „Czarnoszczenie” zwanej, z powodu, iż prostota powtarza, jakoby kiedyś dyjablica miała się oszczenić około tej karczny, na tem samem miejscu, gdzie teraz stoi św. Jan Nepomucen, spotkaliśmy pierwsze sanie orszaku księcia, a ostatnich jeszcze okiem dojrzeć nie można było. Więc my ustąpili z drogi, czekając, aż sanie księcia nadejdą. Śniegu koniom było po brzuch; sędzia z urzędnikami stał przodem, a my z tyłu. Gdy się przybliżył sam książę, huknęliśmy wszyscy razem: *Niech żyje nasz książę, ozdoba prowincyi Litewskiej!* i wszyscyśmy pozsiadali z koni, ażeby go powitać. Sędzia z mową wystąpił, aż książę do łez się rozczulił, powtarzając po kilkakrotnie:—Panie kochanku, czy ja wart, żebyście mnie tak przyjmowali — a pomimo nalegań sędziego, wysiadł sam, nie uważając, że śnieg. Witał nas każdego chrzestnem imieniem zowiąc. Więcej godziny witania trwały, aż ucałowawszy się i naściskawszy z bracią szlachtą, książę krzyknął na koniuszego swego, żeby konia wierzchowego podał. A że sędzia nalegał, aby w saniach jechał jak wprzódy, zniecierpliwił się i rzekł: — Taki waćpan przyjaciel, panie Ignacy, kiedy szlachta na koniu, chcesz żeby Radziwiłł na wozie siedział, jak żyd — i lubo był otyły, skoczył na konia jak za dobrych czasów, i zażył go, jakby żadnemu z nas lepiej się nie udało. Potem stępo wedle powagi swojej ciągnął do Omniewicz, ustawicznie coś prawiąc sędziemu i jego otaczającym. Przykro mi było, żem był opodal, bo radbym wszystkiemu się przysłuchał, ile, że co tylko nasz książę powiedział, warte było być rytem na kamieniu. Książę był wzrostu słusznego, otyły: głowa ogromnej wielkości i tak ogolona, że na wierzchu kilka włosów tylko zostawało; wąs duży i zawiesisty, który głaskał gdy był wesoły, a zakręcał do góry, kiedy bywał markotny lub poruszony; płeć biała jak u kobiety, nos długi, oczy jasno-błękitne duże, najczęściej pełne wesołości.

Miał dowcip bystry, łatwo obejmował rzeczy, był obeznany; a nietylko że znał doskonale procedencyję i powinowactwa swojego domu, ale nawet i domów szlacheckich. Szlachcica najuboższego, byle karmazynowego, uważał być sobie równym i obcował z nim poufale. Do ludzi podejrzanego szlachectwa, jako neofitów i niemców, czuł wstręt i do siebie przystępu im nie dawał. Z prawem krajowem był dobrze obeznany, a przewodząc po dwakroć trybunałowi Litewskiemu, w tem urzędowaniu okazał się czynnym, umiarkowanym i w zdaniu raz powziętem niezachwianym. Na obradach publicznych mawiał często, zasze nieprzygotowany, a zawsze do przekonania. W obcowaniu pełen konceptów, a lubiąc z drugich żartować, nigdy się sam nie obrażał, kiedy się mu kto odcinał. Pan dobry i kochający sługi jak dzieci; to też i oni za niego ubićby się dali. A choć był porywczy, że dobre miał serce, byle czem dawał się ubłagać, nie tak jak jego stryj, książę chorąży, co po lat kilkanaście trzymał w łańcuchach wykraczające sługi. Kiedy szlachcic u księcia wojewody służbę dostał, mógł być spokojnym o los swych dzieci. Dla kobiet był tak grzecznym, że każdą z uszanowaniem w rękę całował, choćby żonę dyspozytora, byle szlachciankę. Obserwował pilnie przepisy religijne; codzień z szatnym śpiewał godzinki Niepokalanego Poczęcia, w soboty suszył, a w wielki piątek nawet dyscypliną się chłostał; za co też wielkich od Boga doświadczał błogosławieństw. Pił dużo, i nie łatwo było dotrzymać mu placu. Jednemu tylko Leonowi Borowskiemu nie mógł dać rady; ten zawsze go zwyciężał kielichem; ale z pomiędzy sług i przyjaciół on był jeden, co tego dokazał. Kiedy się kawalkata już do omniewiczowskiego dworu zbliżała, sędzia puścił konia w cwał, żeby księcia przed domem przyjąć; jakoż jego i niektórych gości zastaliśmy przy ganku. Sędzina i wszystkie damy wyszły także na spotkanie gościa. Książę, zsiadłszy z konia

i po kilkakrotnie ucałowawszy znowu gospodarza, wszystkie kobiety, zacząwszy od gospodyni, w rękę pocałował; dostało się i mojej Magdusi. Potem wszedłszy do pokoju, a obaczywszy Wawrzyńca: — Jak się masz waszeć, kumie — powiedział mu. — W istocie przed trzema laty chłopca mu do chrztu trzymał. Wawrzyniec jak długi padł księciu do nóg i rozbeczał się. Książę podniósłszy go, zaczął łaskawie pytać o żonę i o dziecko, a kazawszy sekretarzowi swemu Mikuciowi odliczyć mu sto złotych, dodał: — Zanieś to odemnie twojej żonie. — Wawrzyniec ledwo nie oszalał i cały dzień chodził nabuńczuczony jak indyk.

Książę był ciągle w przedziwnym sosie, animował do kielicha, tak, że sędzia aż płakał z rozrzewnienia. Między inne zdrowia, książę sam wniósł prześwietnej palestry, i każdemu z nas jakąś grzeczność powiedział; a gdy ja z innymi przybliżyłem się do niego, rzekł: — Sewerynie, kolego, wasze był kiedyś *de hajda*, a teraz *de jure*; kiedyś to my nieprzyjacielskie łby płatali, a teraz nieprzyjacielskie lampy.

Wśród zabawy było się trochę zachmurzyło z następnej przyczyny: JW. Jeleński, kasztelan Nowogrodzki, przed kilkoma niedzielami, jako członek nadwornych sądów, był zjechał do Nieświeża na komisyję księcia z kahałem nieświeżskim, i zakończył interes zapewne sprawiedliwie, a przynajmniej wedle przekonania; ale książę jego nie lubił

Książę więc przy kielichu wspominając o świeżo odbytej komisyi, powiedział mu: — Powiedz prawdę, panie kochanku, wiele *rebochem* wziąłeś od żydów? — Na to silnie się obruszył kasztelan, i pomimo próśb gospodarza, chciał natychmiast wyjechać; ale książę, widząc frasunek sędziego, ułagodził kasztelana, mówiąc: — Panie kolego, odpuść mnie to, co żartem powiedziałem — i na tem poprzestał kasztelan. Czyż konfidencyja księcia mogła kogo obrażać? My też wszyscy zrozumieli, że jeśli książę niby się uniżył, więcej to uczynił dla sędziego, niż dla niego samego. Z tego powodu niedługo potem na ustępie wyszturchaliśmy porządnie pana Adamowicza, plenipotenta kasztelana, który po swojemu o tem zdarzeniu rozpowiadał z krzywdą księcia, ale jako o słyszanej rzeczy, bo on z nami w Omniewiczach nie był. Skutkiem tego wypadku kilkunastu nas jurystów pozwano na takty, a na mnie się zmełło. Bo gdy wizyja odkryła, że Adamowiczowi część czupryny wyrwano, zarzucił mi, iż te włosy w mojem ręku zostały; nie śmiałem odprzysiądz się, lubom tego nie pamiętał, bo w zapale być to mogło; skazany więc zostałem na sześć niedziel wieży i zapłacenie tysiąca grzywien. Grzywny chorąży Rdułtowski za mnie zapłacił, a wieżę musiałem odsiedzieć; alem tego nie żałował. Książę pan, pamiętny, żem ucierpiał za jego sławę, kazał mi wypuścić Doktorowicze, ale tak, że gdyby człowiek nie chciał, to majątek sam z siebieby się zrobił. To też przy łasce księcia Jmci (niech go Bóg błogosławi na wieki), a przy pomocy Boskiej, z tego się zrobiło wszystko, co jest. Co się zaś tyczy JW. kasztelana, przeprosiny księcia dały mu się we znaki, bo książę na ich dopełnienie z całym swoim dworem pojechał do Dunajczyc, rezydencyi kasztelana, ktory będąc wielce oszczędnym, niemało w duchu się nafrasował, że trzeba było przez kilka dni okazałego i licznego gościa swoim chlebem przyjmować, a rad nierad musiał się okazywać wesołym. Ja z boku słyszałem, że ta wizyta kosztowała go do trzydziestu tysięcy, bo był pysznym i chciał po pańsku wystąpić. Dobrze tedy opłacił swoją obraźliwość, a nie było kogo żałować, bo był bezdzietny, i oprócz porządnego spadku, miał kilka intratnych królewszczyzn.

Tak więc, gdy chmura rozpędzona została, już nic zabawom naszym nie przeszkadzało, i owszem z powodu zgody, jeszcze gęściej kielichy krążyły; nawet przy końcu wzięli się do kijów szklannych. Był to w dawnym obyczaju najwyższy stopień podochocenia. Kij

szklanny był dęty: gdy napełniwszy go winem przykładano go do ust, trzeba było wypróżnić jednym tchem; inaczej pijący został obryzgany, a za karę wlewano mu za kołnierz kielich wody. Wszyscy popiliśmy się okropnie, gospodarza bez przytomności wynieśli. Książę jeden został przytomny, a nie mając już z kim pić, na znak zwycięztwa jeszcze kielich wypił do Wawrzyńca i jemu go oddał napełniwszy go swoją ręką; o własnej sile poszedł do sędzinej, z nią zmówił litanię do Najświętszej Panny; to wszystko odbywszy, zjadł ogromną misę kapusty kwaszonej i spać się położył, zdrów, jak gdyby nic nie pił.

Nazajutrz, w ostatni wtorek, był z rana obrządek solenny dla gospodarstwa i ich przyjaciół: zaręczyny pana Symeona Mogilnickiego, cześnikowicza Nowogrodzkiego. z panną Agnieszką Hacisk ą, rodzoną siostrzenicą sędziego, a w jego opiece będącą. Jej ojciec, chorąży pancerny, szanowny obywatel, miał piękne dziedzictwo, ale znacznie je odłużył,

Majątek jego okropnie spustoszony został, zgoła, że prawie bez sposobu zostawił żonę z czworgiem drobnych dziatek, a i ta niedługo płacząc, złączyła się z godnym małżonkiem, polecając biedne sieroty pieczy brata swojego, co lubo młody, już najsędziwszych posiadał szacunek. Jakoż się nie zawiodła, bo pewnie o własnych dzieci dobro sędzia więcejby się nie troszczył, jak o siostrzanów. On to posag ich matki wydźwignął, gdyż cały ojczysty majątek poszedł na satysfakcyję wierzycieli; nawet kilkanaście tysięcy spadłych długów własnym funduszem zaspokoił, ażeby duszę szwagra oczyścić, a jego dzieciom dać wychowanie przystojne. Starszy syn, wyćwiczywszy się w palestrze, został rejentem grodzkim Nowogrodzkim; młodszy był pokojowym u księcia wojewody. Starsza córka, Katarzyna, lubo trochę ułomna, wielkie szczęście miała do ludzi. Niejeden majętny kawaler o jej przyjaźń się starał, ale ona najlepszemi postanowieniami wzgardziwszy, Bogu czystość ofiarowała. Sam byłem na jej obłóczynach w klasztorze panien Benedyktynek Nieświeżskich. Sędzia chciał być na nich jako wuj, ale nie mógł dotrwać do końca; bo lubo nie sprzeciwiał się powołaniu Boskiemu, tak go czułość za serce ścisnęła, że aż musiano go wyprowadzić z kościoła. Najmłodsza była panna Agnieszka, dopiero siedmnaście lat mająca, której zaręczyny z W. cześnikowiczem się odbywały. Z rana, gdy wszyscy się zebrali, pan cześnik Mogilnicki oświadczył, iż widząc przywiązanie syna do panny chorążanki, a przekonany będąc, że z nią dożywotni związek największe mu szczęście zapewni, tak z powodu cnót i wychowania chorążanki, jakoteż koligacyi z zacnym w województwie domem: więc dla syna o jej rękę prosi W. sędziego, jako drugiego ojca, a razem księcia wojewodę o wstawienie się, aby raczył wesprzeć dobrem słowem tę prośbę sługi swego. Nie można było bardziej uradować księcia, bo co najlepiej lubił, to kojarzyć małżeństwa. To też natychmiast wstał, i wpół ścisnąwszy sędziego, rzekł: — Panie Ignacy, wybornie się zdarza dla Jagusi; Mogilnickich dobra krew, niech się przyjaciele Radziwiłła łączą. Zezwól, a prędko: bo jak zaskoczy popielec, na czterdzieści dni klamka zapadnie. — Ojciec i syn ucałowali kolana JO. swata za wstawienie się łaskawe, a gdy pan sędzia oświadczył, że i on i żona za zaszczyt poczytują sobie, iż tak zacny obywatel, jak W. cześnik, szuka w ich domu szczęścia dla syna swojego, i w nadziei, że Jagusia wstrętu do tego nie czuje, chętnie błogosławieństwo swoje jako wuj i opiekun daje. Pan cześnikowicz jak długi padł mu do nóg, i toż samo sędzinej. Książę wziął za ręce chorążankę, która drżała jak liść osiny i zapytał ją: — czy zgadza się z wolą wujaszka iść za cześnikowicza? — Chorążanka, w płomieniach, ustami ruszyła, ale nie można było nic usłyszeć. — Książę: — Głośniej, Jagusiu — a ta jeszcze więcej się zmięszała. Książę tedy: — No,

kiedy się tak wstydzisz, powiedz mi na ucho; ja powtórzę głośno, a mnie uwierzą —i wziąwszy ją wpół, ucho do jej ust przyłożył. Po niejakim czasie odważyła się coś szepnąć księciu, dopiero książę wyrzekł: „zezwala". Biedna chorążanka ledwo że nie zemdlała, kiedy cześnikowicz padł jej do nóg. Zaczęto mówić o postanowieniu państwa młodych, a chorążanka wysunęła się z pokoju. Pan cześnik Mogilnicki oświadczył, iż z dwóch wiosek, które posiadał, jednę spuszcza synowi. — Co do mojej siostrzanki — rzekł sędzia— jej posag aktom wiadomy; ma ona swoich dwadzieścia pięć tysięcy złotych, które po zapisaniu ewikcyi panu cześnikowi wręczone zostaną; a ja z afektu wujowskiego wyprawę sprawuję. — Wtenczas książe odezwał się: — Na co pan Karol ma ewikcyą obciążać swój majątek? Ja sumę przyjmuję, a w procencie wieś przyszłej cześnikowiczowej wypuszczę. — Wszyscy się pokornie skłonili; książę powiedział panu Mikuciowi, że jednę ze wsi, które są do wypuszczenia, wypuszcza w zastaw pannie Agnieszce Haciskiej, a jej posag do siebie przyjmuje, dodał: — Niech inwentarz będzie przyjacielski. — Pan Mikuć podał regestr folwarków do puszczenia będących (który to regestr zwykle przy sobie nosił), a gdy pan cześnik wybrał Borewicze, folwark w Słuczyźnie trzydzieści chłopa mający, książę powiedział: — Jaki addytament roczny będzie się należał do mego skarbu, połowę z niego daruję Jagusi, aż do czasu wykupna Borewicz. — Po najpokorniejszych dziękach, pan sędzia wyrzekł: — Wasza książęca mość i wy szanowni goście, raczcie mi pozwolić, abym w ich przytomności sam intercyzę pisał. Rad jestem to własnoręczne moje pismo na pamiątkę mojej Jagusi zostawić— a wziąwszy pióro, od razu zaczął pisać tranzakcyę, wedle zwyczaju poczynającą się od procedencyi państwa młodych. Dziwną łatwość miał sędzia do napisania; nic go rozerwać nie mogło; nieraz pisząc do dyskursu się mięszał, a omyłki nie zrobił. Wszystkie prawa z pamięci przytaczał i dość obszerną intercyzę w pół godziny skończył. Po głośnem jej przeczytaniu, a przez strony podpisaniu, nowy kłopot dla chorążanki. Sędzina wyprowadziła ją z garderoby; trzeba jej było z narzeczonym zamienić pierścionki, klęknąć z nim przed wujowstwem i ojcem, dla przyjęcia błogosławieństwa, a potem przed księciem z intercyzą w ręku, by podziękować mu za szczodrotę i prosić go o podpisanie za świadka, co JO. książę uczynił, naprześladowawszy chorążankę żarcikami. Podpisał się także kasztelan Jeleński i chorąży Rdułtowski. Nie codzień czyta się taka intercyza; bo mieścił się w niej porządny kawał chleba, a zdobiły ją mitry, krzesła i ordery. Zaręczyny się odbyły, a ślub naznaczony został na Wniebowstąpienie Pańskie, z woli sędzinej, pomimo licznych próśb, aby go przyśpieszyć, a to z powodu, iż w dniu tym z mężem przyjęła błogosławieństwo. Ucałowawszy rękę męża, rzekła: — Dzień to szczęśliwy, mój Ignasiu. Już zbliża się rok szesnasty, jak z sobą mieszkamy, a momentu smutku nie doświadczałam. Sędzia rzucił się w jej objęcia i rozpłakał się, my wszyscy się rozrzewnili, i księciu wojewodzie kilka łez na wąs upadło. Jeszcześmy nie odeszli z rozczulenia naszego, gdy pora obiadowa złączyła nas wszystkich za stołem. Już sama wesołość panowała. Pierwsze zdrowie było przyszłego szczęścia państwa młodych; piliśmy także: „niech żyją połączone domy", a gdy przyszło do pląsów, którym książę dał hasło w pierwszą parę, wziąwszy pannę chorążankę, i coraz lepsza ochota nas zagrzewała, piliśmy z trzewika panny Agnieszki, piliśmy także z buta księcia wojewody, i naprzemian szły tańce, mazurki, krakowiaki, przeplatane kielichami. Dopiero w samą północ, na zakończenie zapust, książę wziąwszy panią sędzinę, a każdy z nas damę swoją, poszliśmy drabania, po którym muzyka się rozeszła, a zwykłym natenczas obyczajem, ksiądz gwardyjan Bernardyn miał do nas egzortę.

Ostrzegłszy on nas, że o zabawach trzeba zapomnieć, bo nadszedł dzień pokuty i postu, zaprosił wszystkich do modlitw. Słudzy zaczęli z klatek wypuszczać wróble, a my z księdzem zaczęliśmy śpiewać *Gorzkie żale*, aż się ściany trzęsły. Donośne głosy księcia wojewody i ojca gwardyana nad naszemi wszystkiemi się unosiły. W kilka godzin udaliśmy się za gwardyanem do cerkwi, niedaleko dworu będącej. Tam ojciec gwardyjan miał mszę o czwartej z rana; sędzia służył mu do mszy. Kiedy przyszło do tych słów: *cum jejunatis, nolite fieri sicut Pharisei*, wszyscyśmy do pół szabli z pochew wydobyli, głowy czapkami nakrywszy, a to na znak, iż gotowi jesteśmy orężem walczyć za święte słowa Zbawiciela naszego. Po skończonej mszy, książę wojewoda z JW. kasztelanem Jeleńskim, po nich stan rycerski, urzędnicy wprzódy, dalej my szlachta, potem słudzy, ordynkiem po dwóch postępowali do ołtarza dla przyjęcia popielcu; dopiero po nas kobiety. Kiedyśmy wrócili do dworu, to już było około szóstej z rana. Jako w pierwszy dzień postu, bez żadnego posiłku poszliśmy spoczywać kilka godzin, aż zebraliśmy się w sali obiedniej. Siedliśmy do postnego obiadu, wszystko było na oleju; ale część gości i samo gospodarstwo, mając zwyczaj dzień popielcowy suszyć, grzankami się tylko posilali. Gdyśmy spostrzegli, że książe wojewoda także się od innych pokarmów wstrzymuje, zbudowani pięknym przykładem, nie odważaliśmy się dogadzać żołądkowi; a choć tem małem umartwieniem każdy rad był przysłużyć się Zbawicielowi swojemu. W dniu tym wina nie było widać u stołu, tylko miód i piwo. Po obiedzie wszyscy rozjechali się. Ja, z moją Magdusią, puściliśmy się do Nowogródka, gdzie dość późno stanęliśmy w naszym dworku.

H. Rzewuski. (p. t. I, str. 10.)

Rezolucyja.

* *Rezolucyja siłę może.*

Zjechał się Mazur z Niemcem w ciasnej bar-
[dzo drodze.
— Wara z drogi! — ofuknie Niemca Mazur
[srodze —
Ustępujże pludraku, bo poznasz potkanie.
I co wczoraj drugiemu, wnet się tobie stanie.
Spyta Niemiec zstąpiwszy, bo o sobie zwątpił:
— Co takiego? — Byś nie tchórz, jabym ci
[był zstąpił—
Już-że teraz pan Hanus, niechaj będzie kwita,
Gotowy fryd, gdy trafi serdyt na serdyta.

Rezydenci.

.... Ale odwiedźmy panów poruczników. W jednem skrzydle domu są trzy pokoje, jakby umyślnie dla nich zbudowane, bo każdy z osobnem wejściem. Największy, a raczej najdłuższy, z dwoma oknami i wychodzącemi na ogród drzwiami, należy naturalnie do pana Rąbajły, jako ogrodnika; dwa inne przez ścianę do pana Grzmotajły i Spisy. W każdym jest kominek i piec osobny, postawione umyślnie dla usunięcia nieporozumień; bo w pierwszym roku, kiedy jeden piec ogrzewał wszystkie trzy, a raczej oba pokoje (gdyż Grzmotajle i Spisie jeden tylko pokój rozdzielono przepierzeniem), Grzmotajło, rozgniewawszy się na swoich kolegów, tylko co ich nie zamroził, nie pozwoliwszy przez cały tydzień palić w piecu, który miał drzwiczki w jego izdebce. A prócz tego Rąbajło pragnął mieć zawsze tylko szesnaście stopni ciepła, i dwa termometry trzymał w swoim pokoju; Spisa potrzebował dwadzieścia stopni, a Grzmotajło potniał nawet i wtedy, kiedy oddech stygnął w powietrzu.

Tak obejrzawszy pomieszkanie rezydentów pana półkownika, obaczmy jak też sąsiadują z sobą.

Świta. Z pierwszym brzaskiem ptactwo Rąbajły zaczyna wrzeszczeć w niebogłosy i budzi swojego pana. Ten sięga do stolika po tabakierkę, zażywa, kicha z całej siły, wyraźnie *aczchi* wołając potrzykroć; potem dobywa z pod poduszki swój repetier, przygląda się, dzwoni, nakręca i wstaje nareszcie. Przy-

wdziewa chałat i papucie; zaczyna się przechadzać po pokoju, odmawiając pacierze.

Wrzawa ptasząt, aczchi, chód ciężki i głos pana Rąbajły — budzą pana Spisę. Ten równemi nogami zeskakuje z łóżka, żegna się, czemprędzej do tabakierki. Potem się odziewa, bierze Złoty Ołtarz, klęka przed obrazem i drżącym nosowym głosem wyśpiewuje:

„Zacznijcie wargi nasze...”

W tym momencie w pokoju Grzmotajły daje się słyszeć:

— A żeby ci te wargi spuchły!

Spisa głos podnosi i dalej ciągnie; Grzmotajło nakrywa się z głową, by nie słyszeć miłego śpiewu i jeszcze z godzinkę podrzemać. Puszcza już mimo uszu gwar ptactwa, na aczchi pana Rąbajły tylko burczy pod nosem, „bodajbyś pękł do licha!”, podczas monotonnego marmotania pacierza już zaczyna drzemać; ale ze śpiewem Spisy trudna już sprawa! bo muszę wyznać, że jego głosek bynajmniej do syreny głosu niepodobny. Darmo się więc tuli, darmo pod poduszkę z głową się chowa, Spisa coraz lepiej zawodzi, aż Jeden zrywa się jak wściekły i wyć zaczyna. Grzmotajło, wyprowadzony z cierpliwości, zrywa się z łóżka i wali kułakiem w przepierzenie, aż się tynk sypie. Ale nabożny Spisa bynajmniej na to nie zważa, głos tylko podnosi i ciągnie dalej:

„Tyś niezwyciężonego plastr miodu Samsona!”

Grzmotajło, naśladując jego głos, podrzeźnia:

„Tyś nadzwyczajnego plask w mordę Samso-
[na!”

Spisa niby nie słyszy i ciągnie dalej:

„Przystało, aby cię Syn tak zacny od winy
i t. d.

Grzmotajło znowu grzmota kułakiem, ale napróżno: porywa więc trąbkę i trąbi jak na niedźwiedzia; ale i to nie pomaga, już tchu mu braknie, a Spisa śpiewa. Trzeba dać pokój, ustąpić z placu, na innego wroga uderzyć. Oto Rąbajło już się umywa i za każdym razem, co dłonie do twarzy przykłada, pyrcha jak czwórka koni. Grzmotajło na niego gniew swój obraca:

— A to skaranie boże! — woła stukając pięścią we drzwi zabite — czy tam już stajnię zrobili, czy co?

Rąbajło nic nie odpowiada i dalej się myje po swojemu, a myje się długo, przynajmniej z kwadrans.

Grzmotajło gniewny peroruje:

— Plagi egipskie z tymi sąsiadami! bodajbyście pozdychali, opętańcy przeklęci!... kiedyś obudwu, het precz, minami wysadzę! Ten kicha, pyrcha, stuka, huka, dmie w swoją dudę, klepie po klawiszach; ów beczy, jak nawiedzony, tabacznym pyłem oddech zabija!... a niech was pioruny jasne wystrzelają!...

Tymczasem Spisa, skończywszy godzinki, zbliża się do przepierzenia i wali figą z całej siły, wołając:

— Figa! choćbyś trzy dni trąbił, choćbyś i głową bił w ścianę, ja taki śpiewać będę na chwałę Bożą; a waćpanu figa!

I znowu stuk figą w przepierzenie, aż palec zakrwawi.

A Rąbajło sobie się odzywa:

— Wolnoć Tomku w swoim domku; a waści nic do tego, mój mospaneńku. Chcę kichać, to kicham; chcę chodzić, to chodzę; a chcę się modlić, to się modlę; a chcę grać, to i zagram!

— No, no! — odgraża się Grzmotajło — żebym ja tylko nie zagrał waści po swojemu!

— Strachy na Lachy! — odpowiada Rąbajło i w tejże chwili huczny marsz daje się słyszeć na klawikordzie; a przypomnijmy, że ten klawikord stoi przy drzwiach zabitych, prowadzących do pokoju Grzmotajły.

— A kiedy tak, to obaczymy! — woła Grzmotajło. Porywa pistolet, nabija i staje

naprzeciw drzwi. Rąbajło rąbie dalej swojego marsza; Grzmotajło odwodzi kurek i pali...

— Jezu Nazareński! — wykrzykuje Spisa za przepierzeniem.

— Pudło! — woła Rąbajło z szyderczym śmiechem; ale opuszcza klawikord i bierze się do klarynetu. Wie on, że pierwszy nabój Grzmotajły bywa zwykle lekki, z woskową kulą; ale drugiego nie chce wyzywać, bo raz i ołowiana świsnęła mu nad uchem, o czem dotąd świadczą drzwi przestrzelone. Dmie więc w klarynet z calutkiej siły, stanąwszy za piecem.

Grzmotajło za głowę się bierze, a tu na dobitkę za przepierzeniem coś zaczyna huczeć, jak gdyby żarna, i powietrze gorzknieć, aż oddychać trudno; to Spisa już wziął się do tarcia tabaki.

— Niema ratunku! niema ratunku! —woła Grzmotajło—het precz zamęczą, ukrzyżują przeklętniki! Niema ratunku! pojadę! het precz do antypodów ucieknę; niech was tu pioruny jasne wystrzelają!...

— Panie poruczniku!—odzywa się dźwięczny głosek pode drzwiami—piwo gotowe!

— Nózie całuję, droga sarneczko!—woła Grzmotajło, którego rozognione oblicze natychmiast stygnie i jakiś błogi wyraz przybiera. A w tejże chwili i klarynet ucicha, i turkot za przepierzeniem ustaje, i z kolei słychać:

— Mleko już gotowe!

— Bóg zapłać, rybeńko droga!

— Kawa gotowa!

— Śliczniutkie aciu, mój kanareczku! Tak na sam dźwięk głosu Kostusi w momencie kłótnia ucicha i słodki pokój nastaje. Pierwszy Rąbajło się odzywa do Grzmotajły:

— Dzień dobry panie Józefie!

— Dobry dzień—mruczy niechętny Grzmotajło.

— Cóżto, mój mospaneńku—ciągnie dalej Rąbajło—czy tak się dąsasz, żeś nie zastrzelił kolegi? Wstydź się!

— A może na mnie—odzywa się Spisa za przepierzeniem—za to, żeś mi tynk poobijał i kota przestraszył?

— Kiedy, bo mi spać nie dajesz! — odpowiada udobruchany Grzmotajło.

— Wstydź się, mój mospaneńku — prawi Rąbajło — jak można z tem się odzywać? a przypomnij sobie, ileśmy to razy spali pod odkrytem niebem podczas piorunowej burzy, albo we młynie, co to jak cztery baby tarkocze? a i teraz, czyliż nie nocujesz w puszczy? a dziś ciebie budzi kichanie, a nawet śpiew ptasząt! wstydź się!

— Albo pobożne pieśni—dodaje Spisa.

— To ja żartowałem — odpowiada zawstydzony Grzmotajło—a jeślim wam dokuczył, to przepraszam i zgoda!

— Zgoda! zgoda! — wołają koledzy. — A Spisa dodaje: — „tylko świętych pieśni nie przekręcaj, bo to grzech!"

Adam Pług: *„Zaraza"*.

Reżyser.

* *Z pamiętników starego reżysera.*

Żona która oknem wyskoczyła, to nie była nie-[stety... moja żona.

Dama treflowa nie dopisywała mi nigdy.

Wesołe kumoszki kosztowały mnie bardzo dro-[go.

Walka kobiet toczyła się zawsze przy rozda-[waniu ról głównych.

Przed ślubem... liczyłem na piękny posag.

Po ślubie... spadły mi na kark cztery ciotki.

Stryj przyjechał... lecz nietylko, że mi nic nie dał, jeszcze zgrał się w karty i musiałem mu pożyczyć na zapłacenie hotelu.

O chlebie i wodzie... byłem zwykle na tydzień [przed pensyą.

Czarne djabły... krytykowały straszliwie mo-[ją reżyserską działalność.

Ojciec debiutantki... kupił mi raz śniadanie.

Sto za sto — brał odemnie mój przyjaciel pan Schönl

Pr

Ręka.

Ręka to cały człowiek, przysięga ona Bogu, sędziom, kobiecie. Nią bierzemy i oddajemy uścisk przyjaciołom, a często i nieprzyjaciołom. Ręka, to świat — mówią kabalarze. Ma biegi rzek, planet, łańcuchy gór. Rzeki to linje, góry to maleńkie wyniosłości, planety, to niby światełka szczęścia wśród ciemnych zagłębień.

Linije są tak rozmaite, jak losy ludzkie... Znajdziesz tam liniję życia, sławnie długą u Matuzala; liniję serca, zwykłą blondynom, liniję Wenery, ozdabiającą rękę pięknych ludzi; liniję szczęścia, wydłużaną darami na imieniny i urodziny; a wreszcie liniję małżeństwa, próżno puszukiwaną na ręce starych panien.

Któż nie wie ile poezyi i westchnień zakochani posłali do ukochanej rączki!

Poeci porównywują paluszki do płatków lilijowych, a połysk paznogietków, do blasku konchy perłowej.

A czy jest na świecie coś milszego do ucałowania, jak ta rzecz biała i aksamitna, któ ra wieczorem, jak śpiewne ptaszę, muska klawisze fortepianu...

Pewien jestem, że Adama nie skusiło jabłko, ale rączka, która mu owoc dała do sprobowania!

Tak... tak... ręka kobiety była i jest największem nieszczęściem ludzkości!...

Rękawiczka.

Na wieczorze tańcującym.

— Jakto? Pan bez rękawiczek?

— O, to głupstwo, pani: zaraz po tańcu myję sobie ręce.

Rękawka.

Pogrzebawszy w wnętrznościach moich kilkanaście talerzy szynki i cielęciny, do pięciu łokci kiełbasy, pół kopy jaj i niezliczoną ilość bab i placków, cieszyłem się, że dopełnię narodowego zwyczaju kończąc trzydniowe libacje rozbijaniem jaj, suchych bułek i pomarańczy o głowy niedorostków podgórskich i krakowskich, na tradycyjnym obchodzie Rękawki.

Uciecha moja okazała się przedwczesną, gdyż mróz, deszcz, wiatr i śnieg połączonemi siłami uderzyły na tradcyję i mimo silnej protestacyi ze strony świetnej rady miasta Podgórza przeszkodziły „pokrytemu pleśnią czasów obchodowi.”

Ja z mojej strony dałem za zupełną wygranę, świetna jednak rada miasta Podgórza nie poszła za moim przykładem i dla okazania swojej wyższości nad zbuntowanemi żywiołami, postanowiła odłożyć obchód na dzień 16 kwietnia, ażeby później pokazać niepogodnej aurze fige i powiedziawszy: a widzisz! obliczać z uśmiechem zadowolenia dochody, jakie poczciwa tradycyja przyniosła jej w ofierze.

Nie dziwię ja się bynajmniej pomysłowości rajców podgórskich, ale dziwię się bardzo poczciwej ludności krakowskiej, że daje się tak *brać na kawał* i tłumną wycieczką na górę Lasoty bierze udział w odkładanym obchodzie.

Każdy bowiem tego rodzaju zwyczaj ma racyję bytu tylko w dzień oznaczony przez tradycyję, wszelkie zaś odkładanie jest po prostu lekceważeniem zwyczaju, naciąganiem go do partykularnych interesów osobistości.

Taka „Rękawka” jest niczem innem tylko umożebnieniem sprzedaży panu Bochenkowskiemu starych bułek, panu Głowiźnie zgniłych kiełbas, pani Eiertochterowej wreszszcie cuchnących jajek i kwaśnych pomarańczy.

Zresztą obchód Rękawki w takiej formie, w jakiej się dziś odbywa, obudza tylko wstręt i jest po prostu poniżeniem godności człowieka.

Kto raz widział te gromady podrostków, wydzierających sobie rzuconą bułkę, bijących się o kawałek mięsa, staczających się po stromym pagórku, zmęczonych, odrapanych, nie-

jednokrotnie pokrwawionych; kto widział zezwierzęcone pospólstwo, rozbijające z głośnemi oznakami radości świeże jaja lub zgniłe ochłapy o głowy terminatorów szewckich lub chłopców stolarskich — ten musi z obrzydzeniem wspominać obchód Rękawki i żądać zniesienia go, lub nadania mu form bardziej ludzkich i szlachetnych.

Podanie mówi, ze zwyczaj ten powstał z rozdziału reszty święconego między ubogich.

Czyżby nie można tę formę przywrócić, zastawiwszy na górze Lasoty dla ubogiej ludności skromne święcone, zakupione ze składek zebranych tak na Podgórzu jak i w Krakowie i zasilanych datkami obu magistratów? Za kilkaset reńskich możnaby biednych dopuścić do „święconego,” dopełnić miłosiernego uczynku i takiej samej jak dziś użyć przechadzki.

Dzisiejsza Rękawka tylko zezwierzęca, jest najwstrętniejszą formą udzielania jałmużny; uczy ubogą młodzież rozpusty i lenistwa.

Rękodzielnik.

Pewien rękodzielnik, mający dobry zarobek, kazał zrobić malarzowi swój portret dla narzeczonej.

— Czy pan sobie życzy olejny czy miniaturę?—zapytał malarz.

— Żaden z tych dwóch — odrzekł czeladnik—chciałbym oto taki, żeby można mnie było zawiesić na szyi.

Richelieu.

Książęta i parowie Francyi zebrali się w izbie wyższej, zaciekawieni procesem pani de Saint-Vincent przeciw marszałkowi Richelieu. W chwili zejścia się przed kratkami stron przeciwnych, Richelieu zawołał pokazując na panią Saint-Vincent:

— Czyż można nawet przypuścić, żebym ja ofiarował aż 400,000 fr. za figurę tego rodzaju.

— O, panie! — odpowiedziała dama — wszakże tę sumę ofiarowałeś nie przez wzgląd na moją, lecz na własną figurę.

* Richelieu pytał pana Bautru o zdrowie Balzac'a:

— Ale zkąd on się może mieć dobrze — odparł—mówi nieustannie o sobie i przed każdym się odsłania... to też nie wychodzi z kataru.

Robota.

* *Ręczna robota.*

— Ottonie! masz okropnie podrapan: twarz! Cóż to jest?...

— Aaa... to jest ręczna robota mojej kc chanej Emilji.

Rocznica.

O wpół do szóstej rano Napoleon stał na polu bitwy pod Friedland... Świtało.

— Oto jest to samo słońce, które mi przy świecało pod Austerlitz — rzekł do oficerów wskazując ręką jutrzenkę.

Rodzice.

I rodzice czasem niedowidzą,
Że ich i rysi wzrok w obłęd wprowadzi.
Nie dojrzą, choć już ludzie głośno szydzą,
Kochanki Stasia, lub kochanka Jadzi,
Aż plan, nad którym dziesięć lat się biedzą,
Jakiś nieszczęsny wypadeczek zdradzi,
Matka zawodzi, ojciec klnie na czarty,
Krzycząc: „Nie dzieci!” „Wyrodki!” „Bękar-[ty!”

Byron.

Rodzina liczna.

Piękna to bardzo rzecz: liczna rodzina,
Dopóki ci drzemki zwykłej nie naruszy,
Cóż to za widok, kiedy macierz syna
Karmi! (jeśli to nie szkodzi jej tuszy).

Jak cherucinki dzieci u komina
Plączą się.... (widok co grzesznika skruszy),
A piękna matka między córeczkami
Świeci, jak cekin pomiędzy piastrami.

Byron.

Roederer.

* *Louis Roederer kapelusznikiem.*

Pan Pafcio jest dzieckiem prowincyi.

W miasteczku, gdzie mieszka, od chwili urodzenia, zadaje wielkiego szyku córkom burmistrza, aptekarza, kupca korzennego i wszystkim miejscowym żydkom.

Bo też co prawda, jak nie ma zadawać szyku, skoro ubiera się w Warszawie?

Od czasu do czasu pan Pafcio wyjeżdża do naszego miasta i zaopatruje się w nową garderobę, będącą podziwem całego miasteczka.

Podczas swej ostatniej bytności w Warszawie pan Pafcio nabył cylindrowy kapelusz.

Ponieważ zapytany przez niego przechodzień o firmy kapeluszników nie umiał powiedzieć o Weigcie, Polendrze, Wilfercie, Gorczyckim, a nawet Glancroku, pan Pafcio z jego porady kupił kapelusz na... Pociejowie.

Żydek pociejowski, sprzedając kapelusz chciał zaimponować nabywcy i wlepił w środek kapelusza pierwszą lepszą etykietę, która mu wpadła pod rękę.

Gdy pan Pafcio przybył z powrotem do miasteczka, wszyscy mieszkańcy wołali przez dni kilka z uwielbieniem:

— Ach nasz pan Pafcio, nasz elegant, chluba naszego miasteczka, ma warszawski kapelusz.

Pafcio dumny z tego wrzasku, nic nie robił przez dni kilka, tylko w nowym kapeluszu przechadzał się po mieście. W upłynionym tygodniu spotkał go na ulicy miejscowy kupiec korzenny, mający kilka córek na wydaniu i rzekł:

— Ach panie,zachwycam się pańskim kapeluszem! prześliczny, znać że warszawski!

— Tak panie, ja ubieram się w Warszawie u najpierwszych majstrów i mogę się istotnie pochlubić moim kapeluszem!

— A z czyjej fabryki — jeżeli wolno spytać?

— Patrz pan — rzekł Pafcio z dumą — i odkrywszy głowę, ukazał kupcowi dno kapelusza.

Kupiec oniemiał z podziwienia, wyczytawszy na etykiecie kapelusza:

„Louis Roederer Grand Muss a Reims."

Rogi.

Do Wincentego.

Wincenty! tobie dała dobrotliwość bogów
Bogatą żonę! — świat ci jej zazdrości,
Z nią ci się dostał róg obfitości,
A razem obfitość rogów.

W. Chłędowski.

* *Na Jana.*

Jan nim złą żonę odziedziczył,
Do nierogatych się liczył;
Dziś, gdy jest w rzędzie żonatych,
Już należy do rogatych.

Julian Horain.

* — No i jakżeś zakończyła karnawał?

— Na maskaradzie; spotkałam tam męża i zawołałam: jak się masz rogaczu!

— A on co na to?

— Idź precz, nierogacizno...

* *O kornutach* *) *za żonami.*

Często niewinne żony małżonkowie winią,
Ile im rogi na łbie jak Satyrom czynią.
Lecz każdy niech swej spyta, wiem, tak mu [odpowie:
Niech będzie róg gdzie trzeba, nie będzie na [głowie.

Jan Kochanowski. (p. t. I, str. 14.)

*) Rogaczach.

Rohr.

Rohr, Prozor, Białłozor, Szykier, Ronikier,
[Bury.
Jest tu jeden kiep, tylko niewiadomo któ-
[ry.

Stare przysłowie sejmikowe. Zdaje się, że wymienione w niem nazwiska należą do kandydatów na dwóch posłów i trzech deputatów, wybieranych przez księztwo Żmudzkie aż do roku 1764, w którym ustawa sejmowa liczbę tę zwiększyła. Z podanych sześciu koniecznie jeden spaść musiał, jeżeli wybór ogranicza się na pięciu, i z tego powodu, jakiś szlachcic facetus o tak zwanych czterech literach, puścił dowcipne słówko. Zginęła pamiątka o jego autorze, jak również o wypadku wołów braci szlachty, ale koncept przypadł do smaku i przeszedł w przysłowie.

Rolnictwo.

Mądry Berek.

— Dla czego mój Berku, żydzi niechcą być rolnikami.

— Ny, proszę wielmożnego pana, jakbyśmy byli rolnikami, ktoby był żydem?

Romans.

— Czy pan czytałeś Pawła i Wirginiję?
— A jakże pani, czytałem.
— Czyj to jest romans?
— No... Pawła i Wirginji.

* Jak dawniej na Łysą górę, tak teraz na Parnas kobiety się wybierają; wtenczas przynajmniej jeździły nocą, a dziś dni całe i noce na tej podróży trawią.

Karol Libelt.

* Romanse przez kobiety pisane nietylko są najnędzniejsze, ale i dla moralności najszkodliwsze.

Trętowski.

* *Romans z... kropkami.*

Śliczną była jak majowy
Wpół rozkwitły róży pączek,
Miała długi warkocz płowy,
I śnieżystą białość rączek,
Nózie małe, czarujące,
Kibić jakby utoczoną,
I rozkoszne, falujące
Niby piana morska, łono,
I oczęta, co ściskały
Błyskawicznych iskier snopki,
Na usteczkach uśmiech słodki...
Kropki... kropki... kropki...

—o—

Ach! ten uśmiech! ach te oczy!
Był to raj i piekło razem!
Zda się człowiek w ogień skoczy,
Za spojrzenia jej rozkazem.
A gdym nieraz rozmarzony
W jej anielską patrzył postać,
Byłbym rzucił skarby, trony,
Byle wiecznie z nią pozostać,
Byle patrzeć w serca drżeniu,
I całować drobne stopki,
Szczęście pić w jej uściśnieniu...
Kropki... kropki... kropki...

—o—

Raz siedzieliśmy we dwoje,
Był to wieczór... po nad nami
Zwieszały się bluszczu zwoje,
Przeplatane gwiazdeczkami;
Żaden gwar nie mącił ciszy...
Ja upadłem na kolana
Sądząc, że mnie nikt nie słyszy,
I szepnąłem jej: „kochana.”
Chciała zerwać się spłoniona,
Lecz zawiodły chwiejne stopki,
I upadła w me ramiona...
Kropki... kropki... kropki...

—o—

Odtąd długie jam godziny
Przepędzał w szczęściu bez granic;

Przysiągłem — mojej dziewczyny
Że nie opuszczę już za nic.
Lecz nagle — o chwilo sroga!
Grom upadł na moją głowę:
Raz przyszła do mnie niehoga,
I płacz przerywał jej mowę,
Cóżem usłyszał — o Boże!
Przeklęte grzechu dorobki!
Hańby już ukryć nie może...
Kropki... kropki... kropki...

—o—

Co tu robić? sęk nie lada!
Nic tu sprawy nie rozgmatwa!
Tylko ślub — jedyna rada,
Lecz — iść w jarzmo rzecz nie łatwa!
Zresztą... prysła już ułuda,
I minął już szał omamień,
Pozostała czczość i nuda,
Serce wystygło jak kamień.
Długom zwlekał; lecz nareszcie,
Gdy mi chciała robić szopki,
Rzekłem: — Dyjabli wszystko bierzcie —
I... zemknąłem... kropki... kropki...

* *Romans wschodni.*

— Pies ma ogon, krowa rogi,
A kopyta koń,
Mnie najlepiej przy niebogiej,
Gdy jej trzymam dłoń!
— Świeci słońce w październiku,
W listopadzie też,
Powiedz Janklu, mój chłopczyku,
Co tak bardzo drżysz?
— Co mam niedrżeć jeszli jutro
Już ma być nasz szlub?
— Ja czy sprawię a fajn futro,
Dam gorący bób!
— A ja Sure kupie ładne
Mufkie z kołnierz bóbr
Lecz buziaka czy ukradnę
Bom właszczyciel dóbr!
Będziemy obywatele
I ja i ty też,
Dajmy sobie buży wiele
Kiedy mamy wiesz!

Romantyzm, jako konserwator miłości.

Księżyc się zmieniał, a oni ci sami
Wiecznie czerpali słodycz z życia kruży,
Nigdy gorzkiemi niezaprawną łzami...
A nie była to rozkosz, która nuży,
Bo mieli bujne dusze i zmysłami
Nieskrępowane. Użycie, co burzy
Miłość tak skoro, im się przemieniło
W nektar, podwójną wzmacniający siłą.

O cudne chwile, a rzadkie jak cudne!
To była miłość, w której dusza rada
Stopić się. Czyż to im zabiegi nudne
Świata? intrygi, zawiści sąsiada,
Te namiętności tajne, podłe, brudne,
Te przeniewierstwa męża, żony zdrada?
Gdzie hymen zwiększa tylko ścierek gro-
[no,
Gdzie mąż naiwnie mówi żonie: Żono!..

Ostra to prawda i twarde te słowa...
Dosyć. — Cóż parę w obopólnej wierze
Trzyma i w takiem zakochaniu chowa,
Od zniechęcenia i od nudy strzeże?
Młodość, co dana jest wszystkim. Połowa
Młodych jej nie zna — lecz oni w przymierze
Z nią weszli. Był to romantyzm. Choć chłosz-
[czą
Ludzie tę słabość, wiem, że jej zazdroszczą.

W jednych ta czułość sztucznie jest wy-
[lęgła:
Sen z narkotyku fantazyi, młodości;
U nich przez miłość z naturą się sprzęgła,
Żadna światowa myśl w nich nie zago-
[ści;
Bo ona — wiedzą daleko nie sięgła,
On też był w świątobliwości
Chowany; więc ich pobudki miłosne
Były te, jakie są w ptaszkach na wiosnę.

Byron.

Romanzero.

* *Z kopalnego Romanzero.*

(Aryja: „Na Podolu biały kamień.“)

Z pra-namułu sterczy kamień;
Pra-komórka siedzi na nim;
Łezki lejąc siedzi — siedzi —
Myślą się stroskaną biedzi.

—o—

Przyszedł do niej pra-wymoczek:
— Pra-komórko, szkoda oczek!
Otwórz głąb mi twojej duszy,
Jaki powód twej katuszy?

—o—

— Ach — odpowie pra-komórka,
Zacnej praszczy tkliwa córka —
Srogi ból mi serce gniecie:
Nie masz dla mnie szczęścia w świecie.

—o—

Mżąc, ujrzałam dziś z wieczora
We śnie wieszcza Rymotwora,
Co w lat milijon gędzić będzie
Zapoznany zawsze — wszędzie!

—o—

Na paluszkach licząc zgłoski,
Zwierzał muzom swoje troski,
Płacząc, że go w świata tłumie
Nikt nie kocha — nie rozumie!

—o—

Próżno wpośród świata głuszy
Wzywał wieszcz siostrzanej duszy; —
Mękom jego, kiedy biadał,
Świat szyderstwem odpowiadał.

—o—

Jedna tylko była rzewna
Dusza, całkiem mu pokrewna,
Zdolna odczuć ból poety; —
A tą duszą — jam niestety!

—o—

Miłość jasna, czysta, święta,
Serca nasze tkliwie pęta,
Lecz nas dzieli tysiąc wieków;
Ach, na ból ten nie ma leków!

—o—

Tak to w świata zawierusze
Rwą się wzniosłe dusz sojusze,
Gdy im losy rzuca w drogę
Chrono — albo — ontologiję!

—o—

Gdyby nie to, wnet by skory
Trafił Tass do swej Zenory,
Dante do swej Beatryki,
— I nie byłoby liryki.

Chochlik.

Romeo i Julija.

Dramat współczesny.

Romeo. O luba, jesteś jako elektryczność twój widok rozbudza we mnie drżenie podobne, jakiego doświadczam po spożyciu obiadu za trzydzieści kopiejek w drugorzędnej restauracyi.

Julija. Nie zawracaj głowy, tylko czem prędzej przystawiaj drabinę, starzy gotowi się obudzić i z frajdy nic nie będzie.

Romeo. Frajdy, cudownej, pełnej uroku frajdy! O najdroższa, radość mię przenika na myśl, iż uczucia moje nie są przez ciebie brane na kawał! O najukochańsza, jakże ja ciebie kocham!

Julija. Niedołęgo, prędzej z drabiną, dostanę kataru!

Romeo. Boska Julijo, dla ciebie gotów jestem uczynić wszystko, lecz drabiny nie mam chciałem zastawić jedyny klejnot, tombakową dewizkę, dla nabycia drabiny, okrutni odmówili!

Julija. Golec! (śpiesznie zamyka lufcik.)

Romeo (sam.) Ach losy okrutne, dla braku kilku marnych monet zostałem pozbawiony ziszczenia marzeń!

(Siada na mostku i stawiając kołnierz u palta, zasypia.)

Nie Szekspir.

Romieu.

Romieu sławny ze swej finezyi i żartów pełnych dobrego smaku, otrzymał raz od studenta uniwersytetu rękopism z następującym listem:

„Panie! poddaję pod sąd pański wodewil mego utworu, który upraszam uważnie przeczytać; zawczasu przyjmuję wszelkie poprawki, jakie pan uzna za potrzebne. Tylko chcę być szczerym, uprzedzam, że jestem bardzo drażliwy na punkcie uwag.”

W kilka dni potem autor odbiera swój rękopism z odpowiedzią brzmiącą temi słowy:

„Panie! odczytałem pański rękopism z jaknajwiększą uwagą, pozostawiam panu wybór broni!”

Był to żart czystej krwi Romieu, to też nie pociągnął smutnych następstw za sobą.

Rondo capricioso.

I.

Oj ty aniele, mój ty skrzydlaty,
Co się w twem łonie tajemnie kryje?
Miłości niema, serce nie bije,
Bo pierś twa... z waty...

Oj ty aniele, mój ty jedyny,
Twe oczy dziwnym blaskiem pałają,
Niezwykłe iskry jakieś rzucają,
Od... *atropiny*.

Oj ty aniele, tyś ma kochanka,
Bo ty mnie wdziękiem swoim czarujesz,
Chociaż buziaka sobie malujesz,
Jako... pisanka.

Oj ty aniele pełnej figury,
Porzuć na wieki ten zwyczaj brzydki:
Malować buzię, watować łydki,
No i... tiurniury.

II.

Hej, facecie, facecie
Choć to teraz jest modnie,
Proszę, powiedz mi przecie,
Na co tak wązkie... inexprimable?
Jeszcze w razie wypadku,
Gdy się schylisz nieboże,
Na łydce pęknąć może
Lub co gorzej na... kolanie!

III.

Choć tyś piękna jak Wenus, albo inne dziwo,
Choć słodka jak cukierek, lub *gwiaździste* piwo,
Choć miła jak cherubin, albo butersznity,
Choć oczy za mną krążą, jakby satelity,
Choć głosek twój anielski, jak sap katarynki,
Choć uśmiech miły, nawet kiedy stroisz drwinki,
Już ani twe watówki, ni spódniczka krótka
Nie zwabią mnie do ciebie, artystko z ogródka,
I piękność twoich kształtów już mnie nie zachwyca;
Bo wszystko to już dla mnie jest... nie tajemnica;
Bo serce twoje puste i jak głowa głupie,
Nie wab mnie, bo ci więcej kolacyi nie kupię.

IV.

Czy lubisz, droga, zdala dźwięk muzyki
Żałosny, smętny, lub drżący i dziki?
Lubisz wśród boru te słowicze trele,
Lub głos organów w wioskowym kościele?
Czy lubisz nocą kiedy wśród marzenia
Dolecą zdala harmonijne pienia?
Lub chór orkiestry wspaniały i wielki
Czy lubisz powiedz?
— Ja wolę... serdelki.

V.

Napisałbym ja sonet z straszliwym zacięciem,
By siebie zadowolnić i zarobić grosza,
Lecz cofnę się zawczasu przed mym przedsięwzięciem
Bo i czas dyjabli wezmą i sonet... „do kosza”.

VI.

— Czy lubisz lato, dziewczę kochane?
Lubisz zieloność, ptaszki, zajączki,
Rozkwitających róż polnych pączki,
Czy lubisz kwiatki z zielonej łączki
Jak malowane?...

— Lubię zieloność, ach lubię lato!
Tak jakoś miło w duszy dziecięcej
I serce bije wówczas goręcej!!...
Lecz z wszystkich ptaszków lubię najwięcej...
Kurczę z sałatą!...

VII.

Dawnemi laty, kiedy w sercu miałem
Zapał młodości i uczucia świeże,
Kiedy kobietę raz pierwszy ujrzałem,
Wierzyłem w cnotę... A dziś... w pieniądz [wierzę.

Później, z latami, gdy los mój niemiły,
Dręczył mnie nieraz, jak żyd swoją szkapę,
Nura od niewiast daję co mam siły,
Bo wszystkie zawsze mnie brały *na łapę*.

Dziś, gdy mam pieniądz, to do mnie szturmu- [ją —
Wielka i piękna, uboga i mała,
Daremnie zapas kokieteryi psują,
Dzisiaj i *łapa* na nic się nie zdała!

P. Kośmiński.

Rossini.

Siostrzeniec Meyerbeyera przyszedł razu pewnego do Rossiniego.

— Czego pan sobie życzysz?—spytał maestro.

— Przychodzę prosić, byś pan zechciał wysłuchać marsza, który na śmierć wuja skomponowałem i byś pan mi swoje zdanie o nim powiedział.

Rossini wysłuchał go cierpliwie, a potem rzekł:

— To bardzo ładne. Jednak myślę, że może byłoby lepiej, gdybyś to pan umarł, a pański wuj żałobny marsz skomponował.

Rothschild.

* Pan Agnado umierając, zostawił czterdziesto-miljonową fortunę, ale ponieważ obliczano go na więcej, pan Rothschild powiedział:

— Bieduy ten Agnado, sądziłem, że mu się lepiej działo.

* W lat pięć po bitwie pod Vaterloo, baron Rohtschild spadł z konia tak fatalnie, że życiu jego groziło niebezpieczeństwo.

Przywołano Dupuytrena dla zrobienia bardzo poważnej operacyi, która miała uratować finansistę.

— Trzeba się tylko wystrzegać wszelkich wzruszeń — upominał chirurg.

Zaledwie wyrzekł te słowa, przyniesiono mu list pilny; rozpieczętował go w obecności chorego i wydał okrzyk przerażenia...

— Co się stało? — pyta słabym głosem baron.

Dupuytren, zapominając o własnem zaleceniu, zawołał:

— Przed chwilą zamordowano w Operze księcia de Berry! — i wybiega co tchu.

Usłyszawszy to Rothschild, z twarzą zsiniałą, z głową owiniętą w bandaże, zakrwawiony, straszny, zbiera ostatki sił, siada na łóżku i pociąga za sznur od dzwonka.

Nadbiegają zewsząd.

— Prędzej... wołajcie naczelników mojego biura!.. Książę de Berry zamordowany!.. Trzeba sprzedać!.. Trzeba sprzedać!..

Co wypowiedziawszy, wyczerpany opada ciężko na poduszki.

(*A. Wolf*, *Figaro.*)

Rousseau.

Rousseau przedstawił Voltairowi swoją odę do potomności:

— Nie sądzę — rzekł autor Henriady — aby to pismo doszło pod swoim adresem.

Rozbitki.

Po zatonięciu statku garstka rozbitków dostała się wpław na wysepkę, jak się zdawało wcale nie zamieszkałą, więc gdy włócząc się tu i owdzie, po niejakim czasie napotkano wisielca, jeden z towarzyszy wspólnej niedoli zawołał uradowany:

— A zatem, dzięki niebu, jesteśmy w kraju ucywilizowanym.

(*Choix d'anecdotes.*)

Rozczarowanie.

Hrabia zsiadł z konia, sługi odprawił do domu,
A sam ku ogrodowi ruszył pokryjomu.
Dobiegł wkrótce parkanu, znalazł w nim otwo-
[ry,
I wcisnął się pocichu, jak wilk do obory.
Nieszczęściem, trącił krzaki suchego agrestu:
Ogrodniczka, jak gdyby zlękła się szelestu,
Oglądała się w koło, lecz nic nie spostrzegła;
Przecież ku drugiej stronie ogrodu pobiegła.
A Hrabia bokiem, między wielkie końskie
[szczawie,
Między liście łopuchu, na rękach, po trawie,
Skacząc jak żaba, cicho przyczołgał się blizko,
Wytknął głowę i ujrzał cudne widowisko:
W tej części sadu rosły tu i owdzie wi-
[śnie,
Śród nich zboże w gatunkach zmięszanych
[umyślnie;
Pszenica, kukuruza, bób, jęczmień wąsa-
[ty,
Proso, groszek, a nawet krzewiny i kwia-
[ty.
Domowemu to ptastwu taki ochmistrzyni
Wymyśliła ogródek: sławna gospodyni,
Zwała się Kokosznicka, z domu Jendyko-
[wi-
czówna. Jej wynalazek epokę stanowi
W domowem gospodarstwie; dziś powsze-
[chnie znany,
Lecz w owych czasach jeszcze za nowość
[podany,
Przyjęty pod sekretem od niewielu osób,
Nim go wydał kalendarz, pod tytułem:
[*Sposób*
Na jastrzębie i kanie, albo nowy środek
Wychowywania drobiu — był to ów ogró-
[dek.

Jakoż, zaledwie kogut, co odprawia warty,
Stanie i nieruchomie dzierżąc dziób zadarty,
I głowę grzebieniastą pochyliwszy bokiem,
Aby tem łacniej w niebo mógł celować okiem,
Dostrzeże wiszącego jastrzębia wśród chmu-
[ry;
Krzyknie: — zaraz w ten ogród chowają się
[kury,
Nawet gęsi i pawie, i w nagłym przestrachu
Gołębie, gdy nie mogą schronić się na dachu.

Teraz w niebie żadnego nie widziano
[wroga,
Tylko skwarzyła słońca letniego pożoga...
Od niej ptaki w zbożowym ukryły się la-
[sku;
Tamte leżą w murawie, te kąpią się w pia-
[sku.
Śród ptaszych głów sterczały główki ludz-
[kie małe,
Odkryte; włosy na nich krótkie, jak len
[białe,
Szyje nagie do ramion; a pomiędzy nie-
[mi
Dziewczyna głową wyższa, z włosami
[dłuższemi.
Tuż za dziećmi paw' siedział i piór swych
[obręcze
Szeroko rozprzestrzenił w różnobarwną
[tęczę,
Na której główki białe, jak na tle obraz
[ku,
Rzucone w ciemny błękit nabierały bla-
[sku,
Obrysowane w koło kręgiem powiek oczu,
Jak wiankiem gwiazd, świeciły w zbożu,
[jak w przezroczu,
Pomiędzy kukuruzy złocistemi laski,
I angielską trawicą posrebrzaną w paski,
I szczyrem koralowym i zielonym ślazem,

Których kształty i barwy męszały się ra-
[zem.
Niby krata ze srebra i złota pleciona,
A powiewna od wiatru jak lekka zasło-
[na.
Dziewczyna powiewała podniesioną w ręku
Szarą kitką, podobną do piór strusich pęku;
Nią zdała się oganiać główki niemowlęce
Od złotego motylów deszczu. W drugiej ręce
Coś u niej rogatego, złocistego świeci,
Zdaje się, że naczynie do karmienia dzieci:
Bo je zbliżała dzieciom do ust po kolei;
Miało zaś kształt złotego rogu Amaltei.
Tak zatrudniona, przecież obracała gło-
[wę
Na pamiętne szelestem krzaki agrestowe,
Nie wiedząc, że napastnik już z przeci
[wnej strony
Zbliżył się, czołgając jak wąż przez za-
[gony:
Aż wyskoczył z łopuchu. Spojrzała —
[stał blisko,
O cztery grzędy od niej i kłaniał się ni-
[zko.
Już głowę odwróciła i wzniosła ramiona,
I zrywała się lecieć jak kraska spłoszo-
[na,
I już lekkie jej stopy wionęły nad li-
[ściem,
Kiedy dzieci przelękłe podróżnego wnij-
[ściem
I ucieczką dziewczyny, wrzasnęły okro-
[pnie,
Posłyszała, uczuła, że jest nieroztropnie
Dziatwę małą, przelękłą i samą porzucić:
Wracała wstrzymując się, lecz musiała
[wrócić,
Jak niechętny duch, wróżka przezwany
[zaklęciem.
Przybiegła z najkrzykliwszem bawić się
[dziecięciem,
Siadła przy niem na ziemi, wzięła je na
[łono,
Drugie głaskała ręką i mową pieszczoną;
Aż się uspokoiły, objąwszy w rączęta
Jej kolana i tuląc główki jak pisklęta
Pod skrzydło matki. Ona rzekła: „Czy
[to pięknie
Tak krzyczeć? czy to grzecznie? Ten pan
[was się zlęknie.
Ten pan nie przyszedł straszyć; to nie
[dziad szkaradny,
To gość, dobry pan, patrzcie jaki ładny.”

Sama spojrzała: Hrabia uśmiechnął się mile,
I widocznie był wdzięczen jej za pochwał ty-
[le;
Postrzegła się, umilkła, oczy opuściła,
I jako róży pączek cała się spłoniła.

W istocie był to piękny pan, słusznej uro-
[dy,
Twarz miał pociągłą, blade, lecz świeże
[jagody,
Oczy modre, łagodne, włos długi, biała-
[wy;
Na włosach listki ziela i kosmyki trawy,
Które Hrabia oberwał, pełznąc przez za-
[gony,
Zieleniły się jako wieniec rozpleciony.
— O ty — rzekł — jakiemkolwiek ucz-
[czę cię imieniem,
Bóstwem jesteś czy nimfą, duchem czy
[widzeniem!
Mów: własna-li cię wola na ziemię spro-
[wadza,
Obca-li więzi ciebie na padole władza?
Ach! domyślam się: pewnie wzgardzony
[miłośnik,
Jaki pan możny, albo opiekun-zazdrośnik
W tym cię parku zamkowym jak zaklętą
[strzeże!
Godna, by o cię bronią walczyli rycerze,
Byś została romansów heroiną smutnych!
Odkryj mi, piękna, tajnie twych losów
[okrutnych:
Znajdziesz wybawiciela. Odtąd twem
[skinieniem;
Jak rządzisz sercem mojem, tak rządź
[mem ramieniem. —
Wyciągnął ramię.

Ona z rumieńcem dzie-
[wiczym,
Ale z rozweselonem słuchała obliczem.
Jak dziecię lubi widzieć obrazki jaskra-
[we,
I w liczmanach błyszczących znajduje za-
[bawę,
Nim rozezna ich wartość: tak się słuch jej
[pieści
Z wdzięcznemi słowy, których nie pojęła
[treści.
Nakoniec zapytała: — Zkąd tu pan przy
[chodzi?
I czego tu po grzędach szuka pan dobro-
[dziej? —
Hrabia oczy roztworzył, zmięszany, zdziwio
[ny,
Milczał; wreszcie zniżając swej rozmowy tony:
— Przepraszam — rzekł — panienko! Widzę
[żem pomięszał
Zabawy. Ach, przepraszam; jam właśnie po-
[śpieszał
Na śniadanie; już późno, chciałem na czas
[zdążyć;
Panienka wie, że drogę trzeba wkoło krążyć,
Przez ogród, zdaje mi się, jest do dworu pro-
[ściej... —
Dziewczyna rzekła: — Tędy droga jegomości;
Tylko grząd psuć nie trzeba. Tam między mu-
[rawą
Ścieżka. — W lewo? — zapytał Hrabia — czy
[na prawo?—
Ogrodniczka, podniósłszy błękitne oczęta,
Zdawała się go badać ciekawością zdjęta:
Bo dom o tysiąc kroków widny jak na dłoni,
A Hrabia drogi pyta? Ale Hrabia do niej
Chciał koniecznie coś mówić i szukał powodu
Rozmowy. — Panna mieszka tu? blizko ogro-
[du?
Czy na wsi? Jak to było, żem panny we dwo-
[rze
Nie widział? Czy niedawno tu? przyjezdna
[może?
Dziewczę wstrząsnęło głowę. — Przepraszam,
[panienko,
Czy nie tam pokój panny, gdzie owo okienko?
Myślił zaś w duchu: Jeśli nie jest heroiną
Romansów, jest młodziuchną, prześliczną dzie-
[wczyną.
Zbyt często wielka dusza, myśl wielka pokry-
[ta,
W samotności, jak róża śród lasów rozkwita;
Dosyć ją wynieść na świat, postawić przed
[słońcem,
Aby widzów zdziwiła jasnych barw tysiącem...
Ogrodniczka tymczasem powstała w milczeniu,
Podniosła jedno dziecię zwisłe na ramieniu,
Drugie wzięła za rękę, a kilkoro przodem
Zaganiając jak gąski, szła dalej ogrodem.
Odwróciwszy się rzekła: — Czy też pan nie
[może
Rozbiegłe moje ptastwo, wpędzić nazad w zbo-
[że?
— Ja ptastwo wpędzać? — krzyknął Hrabia
[z zadziwieniem...
Ona tymczasem znikła, zakryta drzew cie-
]niem.
Chwilę jeszcze z szpaleru, przez majowe zwo-
[je,
Przeświecało coś na wskroś jakby oczu dwoje.
Samotny Hrabia długo jeszcze stał w ogro-
[dzie,
Dusza jego, jak ziemia, po słońca zachodzie,
Ostygała powoli, barwy brała ciemne;
Zaczął marzyć, lecz sny miał bardzo nieprzy-
[jemne.
Zbudził się, sam nie wiedział, na kogo się gnie-
[wał:
Niestety mało znalazł! nadto się spodziewał!
Bo gdy zagonem pełznął ku owej pasterce,
Paliło mu się w głowie, skakało w nim serce;
Tyle wdzięków w tajemnej nimfie upatrywał,
W tyle ją cudów ubrał, tyle odgadywał!
Wszystko znalazł inaczej: Prawda, że twarz
[ładną,
Kibić miała wysmukłą, ale jak niezgrabną!
A owa pulchność liców! i rumieńca żywość,
Malująca zbyteczną, prostaczą szczęśliwość!
Znak, że myśl jeszcze drzemie, że serce nie-
[czynne.

I owe odpowiedzi, tak wiejskie, tak gminne!
— Pocóż się łudzić? — krzyknął — zgaduję [po czasie:
Moja nimfa tajemna pono gęsi pasie! —
Z nimfy zniknieniem, całe czarowne przezro [cze
Złote, srebrne, niestety! więc to była słoma?
Hrabia z załamanemi poglądał rękoma
Na snopek uwiązanej trawami mietlicy,
Którą brał za pęk strusich piór w ręku dzie- [wicy.
Nie zapomniał naczynia: złocista konewka,
Ów rożek Amaltei, była to marchewka!
Widział ją w ustach dziecka pożeraną chci [wie:
Więc było po uroku! po czarach! po dziwie!

A. Mickiewicz. (p. t. I, str. 19.)

Rozkaz.

W mieście B. wyszedł rozkaz, zakazujący żydom handlować gałganami. Niezwłocznie zjawił się jakiś żydek w ratuszu, pytając:

— No, więc *kim* będziemy handlować?

Rozkosz.

* *Rozkosze letniego mieszkania.*

(przez autora „Kłopotów Starego Komendanta.")

Działo się to w Warszawie, w naszem mieszkaniu, albowiem wiedz czytelniku, że mam to szczęście być żonatym, — działo się wieczorną porą przy świecy i stoliku zastawionym herbatniemi przyrządami, a w ogóle na wiosnę tego roku. Siedzieliśmy oboje z żoną, bawiąc się przewybornie, jak to zwykle bawią się małżonkowie w ośmnastym roku swego pożycia o tej godzinie, kiedy poetyczna dziatwa zasypia po kątach mieszkania jedno na łóżku, drugie na kanapie, inne w kolebce, inne gdzieś tam za kufrem i t. p. Ja paliłem sobie fajkę zajęty poważną myślą i dociekaniem, dlaczego dym z jednej fajki wychodzący rozdziela się na dwie warstwy sinawego i brunatnego koloru? Żona zaś trzymając w jednej ręce szklankę z niedopitym chińskim napojem, a w drugiej szanownego „Kuryera Warszawskiego", odczytywała go z całą sumiennością od nabożeństw, aż do listy przyjezdnych i odjeżdżających. Po chwili, odsunęła go na bok, spojrzała na mnie przynajmniej tak mówi, że spojrzała, bo ja zajęty puszczaniem kółek z dymu dalibóg tego nie widziałem, dość że westchnęła ciężko i znowu wzięła się do czytania drobniutkich kuryerkowych obwieszczeń.

Zdaje wam się, że to drobnostka nie widzieć spojrzenia żony, nie słyszeć westchnień — tak! drobnostka, ale jak dla kogo, bo dla mnie była i jest powodem tylu kłopotów, kosztów, umartwień i obrazy Boga, że odtąd przysiągłem sobie choćby przez 24 godzin z rzędu bawić żonę, aby tylko obwieszczeń nie czytała, a i wam kochani czytelnicy radzę to samo.

— Słuchaj Tymku — ma się rozumieć, że to ja byłem i jestem owym Tymkiem, mówi nagle przerywając czytanie żoneczka: „trzy pokoje, przedpokój z balkonem i kuchnią wspólną do wynajęcia na letnie miesiące. Wiadomość tam a tam w okolicy Wierzbna..."

— Więc cóż? — pytam zdziwiony, nie pojmując, coby w tem ogłoszeniu miało być tak zajmującego.

— Nie domyślasz się co? nic jeszcze nie rozumiesz. Tymuniu! — odpowiada z takim uśmiechem, że doprawdy będąc młodszym i nie mężem, trochę bym się rozochocił...

— Utnij szyję Weronisiu! nic a nic nie rozumiem.

— A gdybyśmy też najęli, co?

— W imię Ojca i Syna... a to na co? a to dla kogo? Bójże się ty Boga, cóż nam po letniem mieszkaniu, kiedy tu mamy odrazu zimowe i letnie. Wszak każdy pokój w lecie, kiedy się w piecu nie pali, jest letnim...

— Ho! ho! ho! — mój kochanku — mówi pukając mi palcem po czole — nie udawaj franta, nie. Niby to nie rozumiesz, co to jest letnie mieszkanie? jest ogród, są drzewa, owoce, kwiaty, świeże powietrze, piękne trawniki, zapach siana, szmer strumyków, śpiew pta-

szą, dobra woda... a wszystko bez ceromonji. Widzę, że ty żartujesz i śmiejesz się z moich uniesień, ale żart żartami, a ja bardzo bym sobie życzyła mieszkać gdzie za miastem, jakby na wsi; wierz mi, ja tam dopiero oddycham swobodnie, tam żyję, zresztą tyle osób mieszka...

Robię tu uwagę, że żonka moja, jako urodzona Warszawianka, nigdy nie była na wsi, a dotąd chwała Bogu żyje bez pomocy doktorów, zdrowa jak rydz po deszczu i oddycha, jakby zamiast płuc miała organowe miechy. Ja sobie też z początku nic z tej mowy nie robiłem, ot zachcenia kobiece, którym i w zwyczajnym stanie zdrowia nasze damy częstokroć ulegają, lecz widząc, że ona jak pijawka krwi spragniona przyczepiła się do owego Kuryera i czyta i powtarza „trzy pokoje z balkokonem, wspólna kuchnia" i t. d., a nawet szuka ołówka do zanotowania Nru domu, w którym o wynajęciu dowiedzieć się można — struchlałem, zgłupiałem, formalnie zgłupiałem! A niechże się baba uprze, co? — myślę sobie, odsuwając na bok niedopaloną fajkę — i niemogąc jeszcze objąć wszelkich następstw owego wypadku, ot poprostu z przeczucia, zaczynam się bronić o ile mogę, rzucając jedne po drugich najżywotniejsze zarzuty i kwestyje.

— Weronisiu — mówię łagodnie, po mężowsku — to dużo będzie kosztować, bo wiedz o tem, że za letnie mieszkania dobrze płacić trzeba.

— Eh drobnostka! że tyż ty o pieniądzach tylko myślisz! Wstydź się Tymoteuszu takim być materyjalistą; pieniądze bez przyjemności są tylko niepotrzebnym ciężarem.

Piękna mi filozofija, nieprawda? zwłaszcza dla utracyuszów wyrzucających oknem pieniądze.

— Zresztą — mówi dalej pani żona, nie pozwalając mi odpowiadać — nie bój się, nie bój i w tem cię zaspokoję: na wsi wszystko mniej kosztuje, będę tak oszczędzać, zobaczysz jeszcze, co sobie uskładam... Co bądź się zgotuje, ja tam niewybredna w jedzeniu, znasz mię przecie...

— Dobrze to bardzo, moja duszko, ale gdzieby się nie mieszkało, korzonkami i ziołami żyć nie można.

— O, tobie tylko zaraz idzie o jedzenie; wy wszyscy chcielibyście, żeby wam było dobrze, a żona niech tam... I na dokończenie machnęła ironicznie swą ręką.

— Weronisiu nie gniewaj się — przerywam słowiczym głosem, z kocią figlarnością — owszem; owszem, jabym chciał, żebyś jak najlepiej jadła i właśnie dlatego...

— To i cóż, że ty chcesz, kiedy ja nie chcę...

— Dobrze, dobrze, nie chciej, nie jedz, moja duszko.

— Tak, tak, ja wiem, na to się zgodzisz, rozumiem; wybyście chcieli, żeby te żony nie jadły, nie piły, nie ubierały się...

— Ale owszem Weronisiu, zdaje mi się, że przeciwnie: jedz, pij, ubieraj się...

— Tylko na letnie mieszkanie nie wyjeżdżaj — rozumiem ja cię dobrze, rozumiem! Dajesz mi to, czego wiesz, że używać nie będę. Ale co tam napróżno gadać, otóż lepiej powiedz, ile może kosztować wynajęcie takiego lokalu? Może sto, może sto pięćdziesiąt złotych, myślę że nie więcej...

— Choćby i tak — odrzeknę, słabnąc widocznie w oporze — to i to na nasze fundusze za wiele.

— Poczekajże, niech dokończę — widzisz Tymoteuszku, ja ci tak wyrachuję to wszystko, że nic a nic nie dołożysz. Oto zamiast mi kupować kapelusz za 80 zł. — kupisz mi za 40 — a drugie czterdzieści już oszczędzone.

— Za pozwoleniem, Weronisiu kochana — a któż to powiedział, że ja ci mam sprawiać kapelusz za 80 zł., co?

— Nikt nie powiedział, tylko muszę się przecież w coś ubrać na lato.

— A wszakże przeszłego roku dopiero za-

płaciłem dziewięć rubli za kapelusz, więc sądzę i na to lato mógłby wystarczyć.

— Dziwny jesteś doprawdy — odrzekła ze śmiechem wcale nieszczerym, pochylając głowę ku ramieniu. Jeszczem też nie słyszała, żeby jaki mąż nieproszony o to, wtrącał się do toalety żony i dysputował, co dobrze, a co złe w kapeluszu. Mój kochany! czy ja ci co mówię, jak sobie masz sprawiać palto, albo frak, albo czapkę?

Ugryzłem się w język, nie wiedząc jak wyjść zwycięzko z takiego tłumaczenia.

— Ale słuchajno — mówię, zaczynając z innej już beczki, pewny tryumfu — powiedz mi z łaski swojej, dlaczego to ten kapelusz, cobym go miał kupować, nie najmując letniego mieszkania, kosztowałby 80 zł., a w przeciwnym razie 40 zł.? Mnie się zdaje, że dla naszych funduszów najlepiejby było kapelusz sprawić za 40 zł., a siedzieć w Warszawie.

— Kombinujesz nie źle, ale napozór tylko — boś nie pomyślał, że mieszkając na wsi nie trzeba tak eleganckiego kapelusza, jak w mieście.

Wzruszyłem tylko ramionami i puściwszy gęsty kłąb dymu, spojrzałem ku niebu, jakbym miał nadzieję zobaczyć tam gwiazdkę ratunku. Lecz że to było w pokoju, więc zamiast błękitu nieba, ujrzałem małego kupidynka wymalowanego na suficie, który wymierzył strzałę wprost ku mnie, a z poza niego jakąś śmiejącą się postać bożka (zapewne wymysł bujnej fantazyj artysty pokojowego) — pokazywał mi tak wyraźną figę, że doprawdy choć rozgniewany, roześmiać się musiałem. Przez chwilę więc trwało zawieszenie broni: mnie jako mężczyźnie wypadło rozpocząć kroki zaczepne, strzeliłem tedy jakby na wiatr.

— Koniec końców moja Weronisiu, zdaje się, że to nic, a samo przeprowadzenie się...

— Wielka rzecz, wynajmie się wóz Szteinkellera...

— I zapłaci się sześć rubli za dzień...

— Dlaczego za dzień, kiedy ja bardzo mało rzeczy wezmę, na raz zabierze ledwie na połowę wozu, więc wynająć na pół dnia.

— Niech i tak będzie — mówię rejterując się — a teraz dorożki?

— Na co?

— Przecież do bióra muszę jeździć; bo też trudno wymagać, abym na moje lata kłusował codziennie milę tam i milę napowrót.

— Tymoteuszu drogi — rzecze moja połowica, litując się nademną — że też ty musisz we wszystkiem tylko się sprzeczać. Jak tu mieszkamy, kiedy nieraz proszę: zostańże na te parę godzin w domu, to ty zaraz: nie mogę, ja muszę iść do Saskiego ogrodu na spacer, ja tego potrzebuję, to mi dobrze robi, nieprawda? Widzisz, że tylko szukasz łatki, szukasz okazyi. Wszyscy tak samo mówią i doktór i ojciec i stary Kondracki, że dla ciebie tylko ruch, tylko spacer. Proszę cię, co to za wielka rzecz dla mężczyzny przebiedz te kilka wiorst, to prawdziwa przyjemność: słońce nie pali, bo cieniem dojdziesz do samego miasta, skowronki śpiewają, rosa błyszczy dyamentami, wszędzie uroczo, swobodnie, aż miło, aż dusza się raduje. Tak, tak Tymoteuszu. Teraz choćbyś się niewiedzieć jak opierał — nie ustąpię, i musisz chodzić z Wierzbna; dla twego zdrowia tylko, dla zdrowia będę mieszkać i będę.

— A deszcz, a upał popołudniu, co?

— Eh, takie drobnostki ci w głowie siedzą; przecieżeś nie z bibuły, a zresztą od czegoż parasol? Co się tyczy upałów, mogę ci zaręczyć, że ich nie będzie; wszyscy mówią, że to rok mokry, ale to mokry nie dlatego, żeby padały deszcze, tylko że upałów nie będzie. A przytem u rogatek zawsze tyle stoi dorożek, za 40 groszy jesteś w biórze, no spodziewam się, że i urlop dostaniesz na jakie parę tygodni.

Westchnąłem raz, westchnąłem drugi, a i ty poczciwy czytelniku westchnij także litościwie za mną i za wszystkimi mężami, niemającymi znikąd ratunku, dla których zdrowia żony takie ofiary ponoszą. West-

chnąwszy tak, podparłem się w łysinę jako człowiek, któremu już konceptu do dalszej opozycyi zabrakło, gdy Weronisia tymczasem jako wietrzna białogłowa, z tych projektów przeszła już w pewność i zaczęła sobie roić niestworzone przyjemności na letniem mieszkaniu. Będziemy sadzić kwiaty przed domem, pić herbatę, jeść obiad pod odkrytem niebem, spoczywać na miękkiej murawie, robić wycieczki do Czerniakowa, Wilanowa, Natolina, i Królikarni.

Szczebiotała więc i szczebiotała tak z pół godziny, lecz z tak rozkosznem usposobieniem, z taką dziecięcą prawie radością, że i mnie jakoś rozruszała ta jej nieprzymuszona i świeża wesołość, żem wyobraził sobie 16-to letnią trzpiotkę Weronisię, pieszczochę matki, rozkoszną kochankę, a siebie dwudziestotrzechletnim kancelarjuszem, szczęśliwym biedakiem, z pełną nadziei przyszłością, z uczuciem nieograniczonej a ognistej miłości w sercu.

— Więc Tymeczku złoty! pojedziemy jutro, co? pyta nakoniec, siadając mi na kolanach.

Licho nadało, że właśnie usiadła za żywo i na tej nodze, w której cierpiałem atretyzm. Syknąłem tedy jak oparzony, a piękna bańka złotych snów młodości pękła, zostawiając dawny upór i chęć sprzeczki.

— Weronisiu! ja nie mogę na to się zgodzić! — zawołałem nieco żywiej, zesadzając ostrożnie połowicę.

— Dlaczego — odpowie jeszcze głośniej, odskakując na kilka kroków z tak oburzającem zadziwieniem, że na jego widok i ból ustał i energja zginęła.

— Dla tego, że nie mam funduszów, nie mogę chodzić, że nie chcę... no i nie chcę!...

— Doprawdy, nie chcesz!? — odrzekła powoli nachylając głowę i patrząc mi w oczy, a łzy tylko, tylko trzymały się jej powiek. To ty taki jesteś mąż dobry, co? to tak mię kochasz, to tak wypełniasz przyrzeczenie, jakieś dał mamie mojej, że mi szczęście zapewnisz, co? Pamiętaj, pamiętaj! Mój Boże, trudno mu dla sprawienia przyjemności żonie przejść te kilka wiorst, trudno poświęcić parę miesięcy dla zdrowia tej ukochanej żony? co, trudno?

Chciałem ją przeprosić, chciałem przyciągnąć i ucałować, ale gdzie tam, uciekła do drugiego pokoju i w płacz.

Gonię, proszę, zaklinam, błagam, nic i nic, płaczę aż się rozlega, aż służące się patrzą na mnie jak na raroga i słuchają i szepczą.

— Weronisiu — mówię — dobrze, dobrze, pojedziemy, jutro najmniemy, sprowadzimy się, będę chodził. No, no moja duszko, przepraszam cię, ja nie wiedziałem, że ci taką przykrość wyrządzę i t. p.

— Nie chcę już, nie pojadę — odpowiada trzymając uporczywie chustkę przy oczach — za żadne w świecie prośby, za żadne w świecie obietnice, nie pojadę.

Po takich ceregielach, z naturalnego porządku, z proszonego przeszedłem w rolę proszącego; a dobrze i długo i uporczywie, a pięknie musiałem prosić, nim pani żona raczyła przyjąć moją ofiarę i udobruchać się nieco, choć z pewną chmurką żalu i zagniewania.

* *
*

Najęliśmy owe pokoje, z zamiarem odnajęcia jednego dla kawalera z porządnej familii, (tak żona sobie mówiła), któryby przyjechał do Wierzbna celem dokończenia tegoczesnej edukacji.

Pokoje obejrzeliśmy wśród dnia, lecz przy zamkniętych okiennicach, ja czułem wprawdzie jakieś wilgotne zapachy, ale żona stanowczo zapewniła, że tu kataru nie ma, a nic a nic nie czuje. Z tych projektowanych 150 złotych cena urosła do 450, które po odnajęciu owego pokoju miały się znowu pomniejszyć do 250 zł., a oszczędności na ubraniu, trzewikach, taniem jedzeniu i tym podobnych w umyśle poetycznej małżonki zrodzonych drobnostkach jeszcze do 100 złotych obniżyć.

Powiedziałem: „zgoda" — bo cóż mogłem lepszego zrobić? — Jedziemy więc, sprowadzamy graty, ja biegam jak waryjat, to najmować fury, to znosić, rozbijać, zbijać, pakować, pilnować, a przytem nie wyjmuję ręki z kieszeni, boć przecie wiadomo, ile to w Warszawie każda najdrobniejsza przysługa kosztuje. Przed wieczorem powalany i zmęczony jak nieboskie stworzenie, siedząc na tłómoku z pościelą, powitałem przybyłą Weronisię. Wesoła, szczęśliwa, rzuciła mi się na szyję, ucałowała z wdziękiem pięćdziesięcioletnią łysinę moją i rozpatrzywszy się dokoła, rzecze:

— Jakże tu pięknie mój Tymciu!

Nie mogłem podzielić tego uniesienia szanownej połowicy, albowiem w pokoju z malowania obdartym, w pokoju którego ruchoma podłoga przypominała mi fale morskie, a sufit groty stalaktytami porosłe, w pokoju mówię poraz trzeci, do którego przez wszystkie drzwi, okna, kominy i piec, wiatr libertyn wciskał się, świszcząc przeraźliwie, a z każdego kąta wychodził zapach grzybowatej wilgoci, nie może być pięknie.

Po pustelniczej kolacyi, składającej się z suchego kawałka chleba i świeżej krynicznej szklanki wody, zdołałem przecież dopaść jakiegoś posłania, kontent, że sobie będę mógł odpocząć. Zasypiam w najrozkoszniejszych snach o młodości, gdy wtem budzi mię wołanie żony:

— Tymciu, Tymciu, tu okropnie wieje!

Rad nie rad podnoszę się i zaczynam rewizyję szyb w oknach, trzy wybite, w kominie otwór niezatkany, dalej-że więc zbierać manatki, zasłaniać, obtykać, przestawiać, kiedy na zegarku jest już blisko dwunasta. Kładę się tedy, aż znów w parę minut budzi mię przeraźliwy krzyk Weronisi.

— Co takiego? — mówię, zrywając się na równe nogi.

— Coś chodzi po pokoju, mój Tymciu!

Więc znowu szukam świecy przy ogromnym strachu imości dobrodziejki, szukam rozbójników, odważających się zakłócać spokojność mieszkańców letniej rezydencyi.

Nie wiem doprawdy, kto tu był owym rozbójnikiem; czy my płacący zamieszkania, czy niewinne żabki ropuchy kwaterujące w wilgotnych kątach zapewne znacznie od nas wprzódy. Ale, że prawo mocniejszego zawsze jest lepszem, przeto mimo wszelkich protestacyj grzechotającej rzeszy, wyniosłem je z tryumfem na łopacie przy licznych okrzykach zwycięzkich mej żony i dwóch lękających się służących.

Ukończywszy tym sposobem świetną wyprawę owej pierwszej nocy rozkoszy letniego mieszkania, nie mogłem nawet spocząć na zdobytych laurach; bo dzień wielki zajaśniał na niebie, ptastwo zaczęło się drzeć nielitościwie, muchy dokuczać, a służące porządkować w kuchni.

Tydzień już używamy w pełni świeżego powietrza: żona wygląda jak pączek, ale zawiędłej róży, ja znowu jak lilija wodna, albowiem spacerując codziennie wiorst czternaście, mam to szczęście przez kilka godzin być oblanym rzęsistym potem, a na nogach nosić ślady naturalnych wezykatoryj.

Prócz tego, jako przykładny mąż i gospodarz swego domu, pełnię obowiązki objuczonego kolegi z dużemi uszami, którego nazwiska wypisywać tu nie widzę potrzeby, gdyż nie chcąc zobaczyć umierających z głodu siebie, żonę i dwie pracujące służące, noszę im z Warszawy to wszystko, co nasze poczciwe kucharki z za Żelaznej Bramy codziennie w koszykach dźwigają.

Lecz to szczęście nasze opiera się na bardzo niewinnych przyjemnościach: pijemy zimną wodę, chrześcijańskie, bo ochrzczone mleko, otwieramy okna i drzwi, ziewamy od godziny 9-tej z wieczora, słuchamy rozkosznego pienia słowików i przypatrujemy się licznie przechadzającym i dobrze postrojonym paniom, których wymowa szczególniej głoski *r* rodowitych Paryżan znamionuje.

Upływa drugi tydzień: na odnajęcie pokoju nie zgłasza się żaden z młodzieńców dobrej familji, a tymczasem poczciwy trzechdniowy deszczyk zmusza mnie z całą załogą pozostać w domu jak w oblężeniu.

Po całych dniach siedząc w oknie, obserwujemy stan powietrza, ucząc się meteorologji i jak rozbitki na morzu, każdy jaśniejszy połysk wróżący pogodę, witamy z największem upragnieniem i radością.

Mała rzecz, tylko grozi nam śmierć głodowia, albowiem w tak ustronnem miejscu, w jakiem leżało nasze mieszkanie, do restauracyi w Wierzbnie daleko, a u sąsiadów kolonistów, prócz chleba i mleka, nic więcej kupić nie można.

— Oj źle — myślę sobie — trzeba tu, jak bądź wydostać się, chociaż nie na świeże, to przynajmniej na swobodne powietrze, ale w tem sęk, jakim sposobem?

Kiedy się tak zastanawiam, przeklinając tych, co wymyślili letnie mieszkania i same i takich mężów, co jak ja dowolnie za nosy wodzić się dają, pogoda już na dobre zajaśniała na niebie, a z nią pokazuje się pani Weronika z minką jak można najczulszą. Dreszcz mnie przeszedł po ciele; jak rycerz gotowy do boju, mimowolnie sięgnąłem ręką po oręż znajdujący się w pugilarasie, czując, że tym razem jemu największe grozi niebezpieczeństwo.

— Tymciu — rzecze — głaszcząc mię swą piękną ręką pod brodę (mówię piękną, bo dla każdego męża wszystko u żony powinno być pięknem) zrobię ci dzisiaj niespodziankę.

— Wielka nowość — pomyślałem sobie — dla męża od żony niespodzianka to chleb powszedni, boć przecie i sama żona jest niczem więcej, jak prostą niespodzianką, ale przywykły do takich wyrażeń, pytam:

— Jakąż?

— A bardzo będziesz z niej zadowolony? co?

— Naturalnie.

— Mówisz to tak zimno, Tymusiu! że doprawdy odbierasz mi ten dobry humor, z jakim tu przyszłam.

— Weronisiu! zdaje ci się, mów, mów, kochanie; wszakże wiesz, ile każda twoja niespodzianka sprawia mi przyjemności — odpowiadam, spoglądając i zwracając myśl ku pugilaresowi, który w tym komplemencie nie zawsze godzi się ze mną.

— Otóż będę ci towarzyszyć dzisiaj do Warszawy; wieczorkiem, przy tak ładnej pogodzie pospacerujemy sobie aż do domu pieszo, powoli gawędząc o różnych rzeczach, tam przenocujemy, a jutro na obiad wrócimy...

Nie miałem już siły wymówić *dobrze*, a tylko skinąłem głową, jak człowiek koniecznością losu skazany na wieczny przymus i pokorę.

Dla czego zaś nie miałem tej siły, łatwo wytłómaczyć, zobaczywszy dobrą mej połowicy tuszę, a prócz tego chód żółwi, gdy przeciwnie, ja chociaż starszy od niej, lubię iść prędko i swobodnie.

Ale jak mówi niemieckie przysłowie: mus jest to twardy orzech do zgryzienia, a ja moralnych zębów zaraz po ożenieniu pozbyłem się zupełnie, więc też w pół godziny czułem na mojem ramieniu opierającą się bez ceremonji Weronisię i zwalniając szybkość naturalnogo chodu, posuwałem nogę za nogą. Zaraz przy wyjściu spotkał nas żydek, faktor, pytając, czy to u nas jest mieszkanie do odnajęcia?

— Jest, mówię.

— Jeden pokój dla kawalera — dodaje żona — może obejrzysz, bardzo porządny i wesoły, tylko wprzód chcę wiedzieć dla kogo?

— Jeden pokój — odpowiada żydek — ci państwo, co mnie tu przysłali, potrzebują dużo mieszkań, dwa, trzy pokoje z kuchnią...

— A słuchajno, Weronisiu — przerywam prędko bez namysłu i doprawdy bardzo odważnie — możebyśmy odnajęli swoje, co?

Żona spojrzała mi w oczy — o radości! i wcale nie zagniewana... Widzę, namyśla

się, waha, mnie serce tak wali w piersi, że palto z pugilaresem aż podskakuje od tych uderzeń.

— Szkoda Tymoteuszu, prawda?—jeszcześmy nic nie użyli świeżego powietrza, a już się mamy wyprowadzać.

— Eh, moje życie! wszędzie jest świeżego powietrza dosyć — odpowiadam prędko i z szczególniejszym adwokackim zapałem, a tu nudno, pusto, tęskno, jak gdy szczęście minie.

— Chciałabym i nie chciałabym —odpowiada wciąż wahając się, bo i jej te wymarzone wiejskie rozkosze dały się dobrze we znaki.

Już, już ma stanowczą odpowiedź czekającemu żydkowi udzielić, gdy licho nadało, że jakaś wiejska kobieta podsunęła się ku nam, pokazując garnuszek świeżo uzbieranych i pierwszych tego roku poziomek.

Pani Weronika jak sęp rzuciła się ku niej, dalejże targować, dalejże wypytywać kobietę, a kupiwszy, w końcu już i słuchać nie chciała przełożeń moich o odstąpieniu mieszkania.

— Nie! mój Tymku, gniewaj się, jak chcesz, ale kiedy już są poziomki, wyprowadzać się nie myślę. Tobie tak zdrowo na żołądek jeść poziomki, a tu dostaniesz tanio i świeżych.

— Moje życie, przecież i w Warszawie jest ich dosyć...

— Wiem, że są, lecz trzeba przepłacać i to nie świeże, a tu patrz jakie piękne, mój drogi! poniesiesz je w drugiej ręce, będziemy mieli wyborną kolacyję.

Niestety, przeklęte poziomki zniszczyły moje nadzieje.

Zabrawszy tedy ów garnek w drugą rękę, ruszyliśmy ku Warszawie, a ja choć byłem zły jak sam szatan, miałem jednak tyle przytomności, żem na chybił trafił szepnął żydowi, żeby się zgłosił jutro...

Przez długi czas, nie mogłem ani jednej połknąć poziomki, jej smak z przyczyn dopiero opowiedzianych, wydawał mi się nieznośną trucizną, zabijającą pół roku letniego życia Ba, ale to niby koniec moich utrapień! Ledwie żeśmy zdążyli przejść szlaban rogatkowy, chmura jedna, prawdziwa zdrajczyni i oszukanica naszych spostrzeżeń, wcale nie proszona i niewzywana, raczyła się zatoczyć nad nasze małżeńskie głowy, a nawet pozwoliła upuścić kilka pojedyńczych kropelek deszczu.

No poradź-że sobie jak chcesz w takim przypadku: schronić się nie ma gdzie, do domu i z domu daleko, biedz niepodobna, a tu ani parasola, ani dorożki — tylko krzyk mojej Weronisi, otulającej chustką od nosa świeżutkie lilijowe wstążki jedynego kapelusza. Pugilares miał dobre przeczucie, że na nim się wszystko skrupić musi.

Rób co chcesz, głowę utnij, a iść potrzeba ku miastu, chociaż krople deszczu padają coraz częściej i rzęsiściej. Weronisia jęczy, ja z pośpiechu nie wiedząc kogo wprzód ratować czy kapelusz, czy laskę, czy poziomki, upuściłem garnek, żona się nie gniewa, idąc pośpieszniej niż zwykle, gdy wtem słyszymy turkot.

— Dorożka, dorożka! — woła żona z całej siły.

— Gdzie tam dorożka — odpowiadam przyglądając się nadjeżdżającej bryce rzeźniczej, jakiej używają do rozwożenia mięsa po jatkach.

— Stój, przyjacielu! — krzyczy Weronisia zajęta swoim kapeluszem.

Wóz się zatrzymał.

— Mój kochany — rzecze ona do małego woźnicy, cała zafrasowana deszczem — czybyś nas nie odwiózł do Warszawy?

Chłopak się roześmiał na taką zaczepkę i zabierając się dalej jechać, odpowiada:

— Ale gdzież z przeproszeniem pani, chyba pod klapę...

— Czekaj-no, czekaj... a do mnie: — prawda Tymoteuszu, co to szkodzi, gdybyśmy pod klapą usiedli?

— Moje życie, co też ci się zachciewa, tam brudno od mięsa...

— Nic to, nic, podścielę chustki...

— Ale siedzieć nie można, pfe, wstydź się...

— Tak, wstydź się! — krzyknie już rozgniewana — a sprawisz kapelusz? ja wsiadam...

Daremnemi były moje perswazyje, prośby i szyderstwa, daremnemi chichotania chłopaka powożącego, Weronisia wtłoczyła się na furę, ja za nią — klapę nad nami zamknięto, konie ruszyły, a mnie się zdawało, że jestem Dantem, którego wprowadzić mają do piekieł podziemnych.

Bojąc się usiąść, a tembardziej położyć, musiałem podobnie jak czworonożne zwierzęta oprzeć się na rękach i kolanach, co również i żona moja zrobiła.

Zły byłem niedoopisania, a jednak wyznam otwarcie, ile razy spojrzałem na moją Weronisię tuż prawie i w takiej samej pozycyi naprzeciwko ustawioną, nie mogłem się powstrzymać od serdecznego śmiechu, tak dalece, że ubranie na mnie pękło.

Pół biedy było, gdyśmy jechali po drodze bitej, ale gdy chłopak skręcił w ulice brukowane i szkapiny zaciął, jak dwie gumowe piłki skakaliśmy wewnątrz rzeźniczego wozu, bijąc się, tłukąc i szturkając.

Z góry deszcz huczał w wieko nas przykrywające, pod spodem deski drżały jak w febrze, kapelusz, worek rzeźnika i jakiś kawał kija współubiegały się z nami, które wyżej i lepiej skakać potrafi, a przytem turkot, którego w żadnym zakładzie fabrycznym, nawet w hamerni zapewne nigdy nie słyszano.

Po półgodzinnej takiej przejażdżce, albowiem krzyków naszych powożący chłopak wcale nie słyszał, stanęliśmy przecie na miejscu...

Rzeźniczek otwiera wieko, spojrzy i wstrzymać się nie może od śmiechu: ubiór nasz w największym, jaki tylko może być nieładzie, żona na głowie ma worek rzeźniczy, ja zamiast butów kapelusz Weronisi, w którym obie nogi tak uwięzły, że wydobyć je bez podarcia nie można, imości włosy jakby woalką przykryły twarz całą, a kij głowę swoją złożył w mym pogiętym kapeluszu.

— Tymciu, Tymoteuszu ratuj! — krzyknęła żona, gdym ją wysadzał z wozu na ziemię.

Ale utrzymajże tu na rękach kobietę, ważącą zapewne ze 300 funtów! — nie mogłem wytrzymać, puściłem, a piękna koloru mieniącego się suknia jedwabna, nie mówiąc już o samej żonie, ostatek swej świetnej egzystencyi wyzionęła wśród ulicznego błota!

— Mężu mój złoty, Tymonieczku najdroższy — mówi mi żona, rzucając się na szyję gdyśmy się dostali do swego mieszkania — jakie to szczęście, że to w nocy zdarzył się taki wypadek. Jak mamę kocham, gdyby to we dnie, spaliłabym się od wstydu; Tymuniu pisz ogłoszenie do Kuryjera o odnajęcie mieszkania, pisz na miłość Boską, ja tam już więcej nie pojadę!

Dopieroż mi dziękowała, gdym ją zapewnił, że kazałem jutro zgłosić się temu samemu żydowi, jakoż odnajęliśmy przecie owe trzy pokoje nie młodzieńcom dobrej familji, lecz po prostu współwyznawcom żydka faktora, ale co żonę zadowolniło, że przecie *cybulizowanym*.

Naturalnie, że pugilares mój dobrze te wszystkie letnie przyjemności opłacił, bo na mieszkaniu straciliśmy blizko połowę, na zdrowiu, które imość Weronika nadwerężyła, drugie tyle, a na kapeluszu, sukni i innych drobnostkach, które skutkiem owej rzeźniczej jazdy zniszczeniu uległy, trzeci raz tyle.

Ach, prawda! zyskaliśmy też nieco na rozumie, bo pani Weronika, najukochańsza małżonka moja, tak zdecydowała w konkluzyi (o czem z początku samego wiedzieć była powinna), że letnie mieszkania są albo dla chorych na piersi i inne tajemne dolegliwości, albo dla panów i starozakonnych, którzy nie wiedzą już, co robić ze swemi dochodami.

Rozmowa.

Marullus. A wasze, jakież waścine rzemiosło?

Drugi obywatel. Prawdę mówiąc, panie, daleko mi być znakomitym majstrem. Jestem sobie poprostu, jak to mówią, partacz.

Marullus. Ale ja pytam o waści rzemiosło. Wprost odpowiadaj.

Drugi obywatel. Jest to rzemiosło, którem zdaje mi się, iż mogę się ze spokojnem trudnić sumieniem. Łatam, panie, skórę tym, co nie statkują.

Marul. Jakie rzemiosło twoje, gburze, pytam: Jakie rzemiosło?

Dr. ob. Proszę was, panie, nie zaczynajcie ze mną tak z kopyta; bo na kopyto! mógłbym wam łatkę przypiąć.

Marul. Mnie łatkę przypiąć! Co przez to rozumiesz, zuchwalcze?

Dr. ob. Nie chcecie łatki, panie, no, to mógłbym wam dać przyszczepkę.

Marul. To tedy z ciebie naprawiacz obuwia?

Dr. ob. Nieinaczej, panie, z szydła tylko żyję. Nie mieszam się do interesów niczyich, nie wyłączając kobiecych, niczem innem, jak szydłem. Słowem, panie, jestem chirurgiem starych chodaków; jeżeli im wielkie niebezpieczeństwo grozi, robię im operacyję, i mogę się pochlubić, że moja partanina służy niejednemu z owych wielkich panów, co na wołowej skórze chodzą.

Flawijusz. Ale dla czegoś dziś nie przy warsztacie? Dla czego wodzisz po mieście tych ludzi?

Dr. ob. Dla tego, panie, mówiąc między nami, żeby zdarli obuwie i żeby mi się tym sposobem dostała robota.

Szekspir. (p. t. I, str. 92.)

* *Rozmowa między żydem a podróżnym.*

Zajechał pewien podróżny do karczmy; a mając jakieś zmartwienie, gdy wszedł do izby, zaczął się przechadzać w zamysłach, nie mówiąc do nikogo ani słowa. Żyd karczmarz, widząc, że nie każe sobie podawać ani jeść, ani pić, przystąpiwszy do niego, rzecze:

— Niech to będzie bez urazy pańskiej, czy nie możnaby się spytać, co to W. Pan jest, że W. Pan tak chodzi a chodzi, myśli a myśli?

— Poszedł precz, żydzie! co tobie do tego — odpowiedział podróżny.

— Jak ja uważam, rozważam, to ja się domyślam, że W. Pan ma jakieś gryzoty.

— No, i cóż z tego?

— Co z tego? Oto to z tego, że jabym W. panu poradził na te gryzoty.

— Ty?... Głupiś żydzie!

— No! niech ja sobie będę i głupi, co mnie to szkodzi, ale dla tego W. Pan może mnie posłuchać.

— Nie słucham cię, pójź precz!

— No, ja wiem, że W. Pan mnie posłucha, ja W. Panu tylko dwa słowa powiem.

— No gadaj, żydzie.

— Czy W. Pan widzi tę górę, co tam jest niedaleko lasu? Prawda, że ona jest duża?

— Tak, prawda, że duża.

— Ta góra jest duża, a rydel, co tak jest mały, to tę górę rozkopie, a więc rydel jest mocniejszy od góry. Czy prawda, W. Panie?

— No prawda, i cóż dalej?

— Pan powiada, że rydel jest mocniejszy od góry, a włożyć ten rydel w ogień, to on się sam roztopi, a więc ogień jest jeszcze mocniejszy od rydla, czy nie prawda, W Panie?

— Prawda.

— Pan tak powiada, że ogień jest mocniejszy od rydla, a nalać na ogień wody, to ogień zgaśnie, a to dla czego? Oto dla tego, że woda jest mocniejsza od ognia. No, powiedz W. Pan, czy to nie prawda?

— Słusznie mówisz, woda jest mocniejsza od ognia.

— Woda jest mocniejsza, to W. Pan tak powiada, a jak na wodę przyjdzie wiatr, to ona i tak i tak porusza się na wszystkie strony, a porusza się dla tego, że wiatr jest mo-

cniejszy od wody. No, powiedz W. Pan, czy ja kłamię?

— Nie, mówisz prawdę.

— Pan utrzymuje, że ja mówię prawdę, ale pan wie, że jak człowiek zbuduje sobie chałupę, jak się zamknie w tego chałupę, to jemu i wiatr nic nie poradzi, a to dla tego, że człowiek jest mocniejszy od wiatru. No, cóż W. Pan na to?

— Prawda, ani słowa.

— Więc pan mówi, że człowiek jest mocniejszy od wiatru, ale jak na człowieka przyjdzie gryzota, to po nim tak jeździ i po nim tak bryka i tak go zmęczy, że on jak gdyby pałką w łeb dostał. A co, nie prawda W. Panie, że gryzota to jest jeszcze mocniejsza od człowieka?

— Oj, co prawda, to prawda, mój kochany żydku; tak, tak, zgryzota jest mocniejsza od człowieka!

— Pan mówi, że gryzota jest mocniejsza, a ja powiadam, że jak człowiek na gryzotę wypije jeden i drugi kieliszek wódki, to i gryzotę dyjabeł weźmie: a więc gorzałka jest mocniejsza od gryzoty. Ny, ale co ja mówię: kiedy gorzałka pokona gryzotę, to gorzałka jest najmocniejsza. No, powiedz W. Pan sam, czy to nie prawda?

— Zdaje się.

— No, widzi tedy W. Pan, że mu dowiodłem, co to jest gorzałka; a że W. Pan masz gryzotę, a ja mam przednią gorzałkę szabasówkę, przeto życzę W. Panu, abyś się W. Pan napił z parę kieliszków, a ręczę moją poczciwością, że W. Pan gorzałką zabijesz swoją gryzotę.

(„*Śmieszek.*")

* Pewien angielski kupiec przybyły w interesach handlowych do Hong-Kong, znajdował się na obiedzie u chińskiego mandaryna.

Przy pieczystem, które mu wybornie smakowało, przyszła anglikowi myśl, że chińczycy podobno koty jadają, a zatem i to pieczyste może być z kociego mięsa.

Chciał się zapytać o to gospodarza, ale nie umiał ani słowa po chińsku, tak jak chińczyk nie umiał po angielsku. Wskazał zatem palcem na półmisek i spytał:

— Miau, miau?

— Hau, hau — odpowiedział chińczyk, potrząsając głową przecząco.

Rozpacz.

* *Rozpacz w Kogutówce.*

Przed gankiem starego dworu w rozkosznej górskiej wiosce „Wydmy górne", zatrzymała się żółto malowana bryczka.

Bryczkę tę wciągnęły dwie szkapy, które nie zwracałyby na siebie niczyjej uwagi, gdyby nie szczególna budowa ich grzbietów.

Kary naręczny miał grzbiet wyniosły jak u dromadera, bułanek zaś podsobny, wygiętą kością grzbietową przypominał wdzięczny układ szyi łabędzia.

Krócej, a zarazem ściślej wyrażając się, linije przeprowadzone po grzbietach tych szlachetnych zwierząt, utworzyłyby razem matematycznie dokładną elipsę.

Z bryczki wysiadł suchy i mały człeczyna, ubrany w garnitur z żaglowego płótna, który dowodził swym strojem, że jest arcydziełem jakiegoś Chabou z... Łagiewnik lub Odrzywola.

Tak ubrany człowiek pośpieszył w objęcia innego człowieka, który w tej właśnie chwili zjawił się na ganku, w okularach na nosie, z czasopismem illustrowanem w ręku, i ze stereotypowem „witam sąsiada dobrodzieja" na ustach.

Ztąd wnosimy, że niewielki człowiek w garniturze żaglowym był sąsiadem właściciela „Wydm górnych", mającego okulary na nosie, czasopismo w ręku, uśmiech ironiczny na ustach, i — jak mawiali sąsiedzi, dotykając czoła wskazującym palcem prawej ręki: „Ot tego, panie dobrodzieju — w głowie".

Mały człowiek, który wyściskawszy sąsiada, zaraz zwrócił uwagę jego na wielki

upał, był rzeczywistym sąsiadem, właścicielem Kogutówki, zapisanej w hypotece na imię jego żony, Paradoksyi, z domu baronównej von Kropf — Prosperowej Gapińskiej, co nas już zwalnia od legitymowania go, jako nie hypotecznego właściciela Kogutówki.

Jako każe przyzwoitość, weszli dwaj sąsiedzi do pokoju, w którym, oprócz kalendadarza na gwoździu była jeszcze pełna szafa książek, a nadto, owe czasopismo ilustrowane, było ostatnim numerem „Puncha”.

To nam tłómaczy poniekąd uśmiech ironiczny, igrający na ustach gospodarza, a zarazem pozwala domyślać się, dla czego to sąsiedzi, dotykając palcem czoła, mawiali, że pan Roch Górecki z Wydm Górnych ma „ot coś tego, panie dobrodzieju, w głowie”.

Sąsiedzi mówili o polityce.

Był to pod owe czasy suchy przedmiot konwersacyi: pan Gladstone żył bowiem w przyjaźni z panem Derby, a pan Bismark jeszcze nie miał cła w projekcie, lubo Napoleon III już zstąpił z widowni świata.

— Ależ przecie, co tam nowego?— mówił pan Prosper, widząc pewne zakłopotanie na twarzy gospodarza.

— At źle, sąsiedzie dobrodzieju — odrzekł pan Roch, biorąc gazetę do ręki. — Oto w ostatnim numerze jest pewna wiadomość...

— Wiadomość? a jakaż? Gadajże-no sąsiad dobrodziej.

— Bo to widzisz sąsiad, czego to już niemcy nie wymyślą!? Czytam właśnie w ostatniej gazecie, że jakiś tam chemik czy filozof wymyślił olbrzymie aparaty hydrauliczne, któremi...

— A, to pewnie do gorzelni, ale na co nam tych aparatów, kiedy gorzelni tak prawie jakbyśmy już nie mieli!

— Ależ, pozwól sąsiedzie — przerwał, kryjąc uśmiech pan Roch — gorzej jeszcze, bo temi oto aparatami będą pompowali Ocean Atlantycki.

— Zwaryjowali chyba!

— Dałby Bóg, żeby tak było, jak sąsiad mówisz; ale tak nie jest, roboty już rozpoczęte, a wiesz sąsiad na co? Oto, na osuszonem dnie oceanu będą siali rzepaki, pszenicę, a potem jęczmień z koniczyną trzyletnią. Jeżeli pogoda posłuży i nie będzie zbyt mokro, to siewy rozpoczną na przyszły św. Jan. A na takim szlamie to to będą bajeczne urodzaje! Komunikacyja z niemcami łatwa... ani korca ziarna, powiadam sąsiadowi, nikt od nas nie kupi.

Na tak zajmujące nowiny twarz pana Prospera przybrała matową bladość, a z zaciśniętej spazmatycznie krtani wydobył się okrzyk:

— Zginęliśmy!

— Ależ, sąsiedzie — mitygował p. Roch— trzeba coś radzić, możeby do prezesa, boć to przecież ich rzecz... któż będzie mógł wtedy płacić Towarzystwo?

— A! jadę w tej chwili — wyjąknął pan Prosper, wybiegając z pokoju.

— Niechże sąsiad tak nie ucieka, przecież herbatka...

Ale pan Prosper już był na bryczce i pędził do domu; w głowie huczały mu fale pompowanego oceanu, widział łany rzepaku i pszenicy na dnie morskiem, widział Arona cynicznie proponującego mu po 40 groszy za parę i świadczącego się sumieniem, że w Łagiewnikach za taką samą cenę dostawił Ickowi tysiąc par jeden *obiwatel* z Ameryki.

W domu pan Prosper zastał liczne towarzystwo, niestety, z samych dam złożone. On przybył pożegnać się z żoną i jechać na całą noc do miasta gubernialnego, aby dać znać o niebezpieczeństwie prezesowi, kasyjerom wszelkich kas, a nawet miał zamiar zawiadomić o tem dozór kościelny i bóżniczy.

Uznał jednak za stosowne podzielić się wiadomością z żoną i gośćmi swymi i zebranym paniom opowiedział słyszaną od pana Rocha nowinę.

Jakkolwiek wieść ta, w ustach p. Prospera, nabierała potęgi, jeżeli nie piorunu, t

rzynajmniej iskry z butelki lejdejskiej, rzecież nie potrafiła tak obezwładnić wszystkich, żeby już żadnej nie znalazła opozycyi.

— Ale cóż się stanie z wodą? — rzekła edna z pań — przecież ocean...

— At, co tam woda! — wołał p. Prosper. — Na bok pójdzie, pani dobrodziejko, na bok! my zginęliśmy z kretesem.

To rzekłszy, p. Prosper uściskał czule ałżonkę, zapomniał nawet, że wypadało mu hoćby zdaleka ukłonić się damom i siadł na ryczkę w świeże przeprzężoną konie, śpiesząc uwiadomić prezesa o katastrofie, grożącej rolnictwu.

Nie potrzebuję dodawać, że prezes uśmiał się mocno; ale śmiech ten nie wrócił spokoju panu Prosperowi.

Nieraz w nocy przykre sny go trapią, a kiedy żona z troskliwością pyta: „co ci to, duszko?” wówczas miłujący rolnictwo krajowe mąż, budzi się i powiada:

— Jak Jezusa ukrzyżowanego kocham, śniło mi się, że szwaby już pół oceanu wypompowali...

Rozsądek.

Rozsądek winien stać na straży umysłu; zadaniem jego — nie wpuszczać i nie wypuszczać pojęć szkodliwych.

Daniel Stern.

Roztargnienie.

* Pewien, znany z roztargnienia profesor, spytał swego znajomego, co porabia jego ojciec.

— Co porabia mój ojciec? — odrzekł zagadnięty — czyś pan zapomniał, że mój ojciec już od roku umarł?

— Ach tak, to prawda — rzekł roztargniony — nie o to też chciałem pytać, ale o to, czy pański ojciec zawsze jeszcze nie żyje.

G. D. Sarm.

* Pan de Braucas, słynny dystrakt, był kawalerem dworu królowej matki (Anny austryjackiej).

Pewnego razu w kościele zapomina się tak dalece, że biorąc ogromny garb klęczącej i pochylonej królowej za klęcznik, klęka na jej piętach, opiera łokcie na jej wypukłych plecach i zaczyna odmawiać pacierze z takim spokojem, jak gdyby wszystko było w porządku.

Można sobie wyobrazić przerażenie królowej i zdziwienie obecnych, którzy następnie nawyśmiewali się do woli z eleganckiego kawalera.

(Madame, duchesse d'Orléans *Correspondance*).

* Pewnego popołudnia Racan, przemoczony do nitki, wpada do mieszkania pana de Bellegarde i wchodzi do pokoju jego żony, w przekonaniu, że wszedł do siebie.

Pani de Bellegarde wraz z panią de Loges siedziały przed kominkiem, ale on nie spostrzega nikogo, one zaś zachowują się jak najciszej, chcąc zobaczyć, co też będzie robić ten roztargniony marzyciel.

Racan najspokojniej każe lokajowi ściągnąć sobie buty i zabrać je do wysuszenia, następnie zdejmuje skarpetki, które mając zamiar sam sobie wysuszyć, kładzie po jednej na głowie każdej z tych pań, w tem przekonaniu, że je na wilkach zawiesił, poczem zaczyna się wygrzewać przed ogniem.

Obie te panie czas jakiś zagryzały sobie wargi, nie mogąc wszakże wytrwać długo, wybuchły jednocześnie głośnym śmiechem.

(Tallemant de Reaux.)

* Ludwik XV spytał raz pana Gradenigo, ambasadora weneckiego:

— W Wenecyi ilu członków zasiada w „Radzie dziesięciu”?

— Czterdziestu, najjaśniejszy panie — odpowiedział ambasador...

Ale król nie zwrócił uwagi ani na pytanie, ani na odpowiedź. Jego dystrakcyje miały

swe źródło jedynie w nieśmiałości jego charakteru, skutkiem czego czuł się zawsze zażenowanym podczas reprezentacyi.

(*L'Espion dévalisé*)

* Opowiadają o pewnym bankierze, którego dziecko trzymano do chrztu w parafii Saint-Eustache, jakoby miał przez roztargnienie podpisać się na metryce:— *Taki to i Spółka*, jak to zwykł był czynić na wekslach.

(Metra, *Correspon. secrète.*)

* Książę de Laval, piękny bardzo mężczyzna i nadzwyczaj uprzejmy, ale ogromnie roztrzepany, wpadał skutkiem tego częstokroć w kłopotliwe położenia.

Bawiąc w Neapolu jako ambasador, poszedł z kolegą swoim, ambasadorem austryjackim, na galeryję teatru San-Carlo, chcąc zrobić przegląd dam.

— O Boże! — zawołał — ileż my mamy brzydkich kobiet w loży ciała dyplomatycznego!

— Ależ to moja żona, dziś rano przybyła — odpowiada ambasador austryjacki, krzywiąc usta.

— Przecież nie o tej mówię, którą pan wskazujesz, tylko o tej drugiej obok, w białej sukni... jakaż okropna!

— To moja siostra.

— Nie, nie, panie, to jeszcze nie ta, ale ta trzecia... brrr... ta, to dopiero szpetna!

— To moja córka.

— Ach, panie ambasadorze — podchwytuje książę de Laval nie zbity z tropu, tonem najbardziej uprzejmym — ta właśnie jest nad wyraz sympatyczną. Te panie wszystkie trzy są bardzo a bardzo sympatyczne, proszę mi wierzyć... zapewniam... winszuję panu.

(M-me Ancelot, *Un salon de Paris.*)

* Hrabia de Turenne, szambelan Napoleona, był potomkiem znakomitego marszałka tegoż nazwiska; podlegał on dziwnym roztargnieniom, które go nieraz w najzabawniejszem położeniu stawiały.

Pewnego wieczoru, na przyjęciu w Tuileryjach, posłyszał jak anonsowano monsiniora Roquelaure i w tejże chwili ukazał się książę kościoła.

Pan de Roquelaure był arcybiskupem Molines. Nazwisko jego, kapłańska powaga i ubiór zainteresowały pana de Turenne, który sądził, że jest jego obowiązkiem zbliżyć się do dygnitarza i przemówić parę uprzejmych słów.

— Pozwól mi, Ekscelencyjo — powiedział — powinszować sobie nawrócenia. Spędziwszy życie burzliwe, doznawszy tylu przygód, których opisy zawsze mnie mocno zajmowały, nie sądziłem, że skończysz swą karyjerę na łonie kościoła, spełniając święte obowiązki powołania. Po życiu tak bardzo światowem, tembardziej godna pochwały droga, którą obrałeś.

Prałat spojrzał na hrabiego, sądząc, że zwaryjował lub żartuje, widząc jednak, że mówi na seryjo i bierze go za sławnego księcia de Roquelaure, który odznaczył się lekkomyślnem życiem za panowania Ludwika XIV, postanowił odpłacić mu tąż samą monetą i zapytał, udając, że nie wie, z kim ma do czynienia:

— Z kim mam zaszczyt mówić?

— Z hrabią de Turenne.

— Czy być może? W takim razie, pozwól pan sobie również powinszować. Owa kula pod Salzback, która, jak wieść niosła, przecięła pana na dwoje, była najzwyklejszą bajką? Cieszę się, panie marszałku, serdecznie się cieszę.

* *Skutki roztargnienia.*

Uczeń drukarni gazety Augsburgskiej dostał do złożenia ogłoszenie z tytułem: „Komisyja z tyłu nabijanej broni". Gdy pierwsza odbitka gazety była gotowa, spostrzeżono przy korekcie, że uczeń złożył przez roztargnienie: „Broń komisyi nabijanej z tyłu". Po-

lecono mu omyłkę sprostować, lecz ponieważ zaginął manuskrypt, w skłopotanej głowie ucznia pomięszały się wyrazy i to spowodowało następującą liczbę odbitek:

1. Broń komisyi nabijanej z tyłu.
2. Naboje komisyi broniącej z tyłu.
3. Tylna komisyja nabijanej broni.
4. Broń z tyłu nabitej komisyi.
5. Komisyja tyłem nabijanej broni.
6. Nabój tylny komisyi broni.
7. Komisyja nabojów tylnej broni.
8. Tylna komisyja nabojów broni.
9. Broń z tyłu komisyi nabita.
10. Komisyja nabojów dla broni tylnej.
11. Naboje komisyi tylnej broni.
12. Naboje broni tylnej komisyi.
13. Komisja broni nabojów tylnych.
14. Broń komisyi tyłów nabijanych.
15. Naboje komisyi tylnej.
16. Naboje broniące tyłów komisyi.
17. Broń tyłem komisyi nabita.
18. Broń tylna komisowych nabojów.
19. Komisyja nabojów broniących tyłu.
20. Tylna broń komisyi nabojów.

Po 20-tej odbitce wpadł do drukarni sam redaktor i zawołał z wściekłością:

— Do dyjabła! nie umiecie nawet nabić tylnej broni komisyi!... to jest... nie umiecie odbić tyłu komisyi broni!... Tfu, do czarta! ja sam przy was oszaleję! Złóż nareszcie cymbale jakiś: „Komisyja broni z tyłu nabita!"

* Pewien jegomość, znany powszechnie z roztargnienia niepospolitego, był zaproszony na obiad do swego przyjaciela. Idąc zaś na obiad, miał głowę zaprzątniętą chorobą swojej żony i zdawało mu się, że jest u siebie na obiedzie. A ponieważ obiad nie bardzo był wyśmienity, wstaje tedy przy końcu i powiada:

— Przepraszam państwa za ten obiad gałgański, bo moja żona bardzo chora.

Rozum.

* Zakazano w Szwajcaryi w jednym czasie dwie książki: jedną pod tytułem „Rozum", a drugą „Dziewica" Aurelijańska Woltera. Urzędnik w jednym z kantonów po uczynionej rewizyi, napisał do senatu w następujący sposób: „Była w kantonie naszym ścisła rewizyja, lecz ani Rozumu, ani Dziewicy nie znaleźliśmy."

(Milion Żartów r. 1873).

* *Delikatny rozum.*

— Powiedz mi Jankielku, co jest człowiekowi koniecznie potrzebne do utrzymania życia?

— Jedzenie, picie, i...

— I co więcej?

— I handel.

— A powiedz mi Jankielku, na co sowa lata po nocy?

— Bo zapewne trudni się z kontrabandem.

* Mały Ludwik XVII zaczął raz gwizdać przy lekcyi; gdy mu czyniono o to wymówki, nadeszła królowa, która dowiedziawszy się, o co chodzi, dorzuciła i swoich parę.

— Ależ mamo! ja tak źle dzisiaj lekcyję umiałem, że musiałem wygwizdać sam siebie.

Innym razem bawiąc się w ogrodzie, wpadł przez nieostrożność na krzak róży. Lecą za nim, ostrzegają, że mógł był sobie wykłuć oczy, lub twarz skaleczyć. Odwraca się, przybierając postawę pełną godności i z minką pogardliwą odpowiada:

— Ciernista droga prowadzi do chwały.

* Ksiądz Davaux, nauczyciel małego księcia, miał sposobność przekonać się niejednokrotnie o rozumie i tkliwości serca swojego ucznia.

Raz podczas lekcyi historyi, Delfin zrywa się z krzesła, zapala latarnię i udaje, że cze-

goś szuka, poczem zwraca się nagle do swego nauczyciela i pochwyciwszy go za rękę, mówi:

— Jestem szczęśliwszy od Diogenesa, znalazłem człowieka.

* Ucieczka do Varennes przerwała na czas jakiś naukę Delfina; powracając do niej, prosił księdza Davaux w obecności królowej, aby rozpoczęli od gramatyki.

— Bardzo chętnie, odpowiada ksiądz — stanęliśmy zdaje mi się na stopniach porównawczych, ale zapewne wszystko zapomniałeś.

— Bynajmniej—rzecze Delfin; — stopień równy będzie, gdy powiem:—mój ksiądz jest dobry ksiądz! Stopień wyższy będzie, kiedy powiem:—mój ksiądz jest lepszy niż inni księża! A stopień najwyższy, skoro zawołam:—moja mama jest najczulszą, najmilszą z matek.

Rozrzewniona królowa przycisnęła dziecko do serca, a oczy jej zaszły łzami.

* Delfin wychodził codziennie na przechadzkę do małego ogródka, który stanowił część obwodu Tuilerjów.

Zdarzyło się, iż raz przed udaniem na spacer bawił się fuzyjką, więc gdy miał wychodzić, służbowy oficer gwardyi narodowej, poprosił go, aby mu oddał broń.

Ale mały książę zamiast usłuchać, obruszył się!

Obecna tej scenie pani margrabina de Tourzel zaczyna go strofować za tę żywość zupełnie niewłaściwą.

— Gdyby ten pan był powiedział: proszę mi *dać* (*donner*) broń—bardzo dobrze, proszę pani;—ale mu *oddać* (*rendre*)...

(Hue, *Derniéres années de Louis XVI*).

* Uwięziona w Temple rodzina królewska siedziała dnia pewnego u stołu; wierny i nieodstępny sługa Ludwika XVI; wnosi półmisek wyśmienitego ciasta. Delfin połyka ślinkę na widok ulubionego przysmaku i zwracając się do matki, powiada:

— Pani! gdybyś mi dała na to swe pozwolenie, ukryłbym tę wyborną potrawę. Ja znam taką szafę, z której nikt jej nie wydostanie—ręczę za to...

Matka struchlała, obecni spoglądają zdumieni na malca, urzędnicy municypalni, asystujący przy obiedzie, robią wielkie oczy, ciesząc się perspektywą odkrycia nowej tajemnicy;— zdarzyło się to bowiem wkrótce po wyśledzeniu tak zwanej *szafy żelaznej*, zawierającej sekretną korespondencyję.

Nareszcie Maryja Antonina zdobywa się na odwagę i zapytuje syna:

— Moje dziecko, nie widzę tu nigdzie szafy, o której wspominasz?

— Oto jest mateczko— odpowiada uśmiechnięty Delfin, wkładając palec do buzi.

(Nougaret, *Beaux traits de la révolution franç.*)

* *Rozum i nauka.*

Uczony Pitard, mówił do poety Thiophila:

— Jaka szkoda, że mając tyle rozumu, tak mało rzeczy umiesz.

Odpowiedział mu na to poeta:

— Jaka szkoda, że posiadając tyle wiadomości, masz tak mało rozumu.

(*Tallemant de Réaux*).

* *Rozum i rozsądek.*

Prezydent de Montesquieu i milord Chesterfield spotkali się zwiedzając Włochy. Byli jakby stworzeni dla siebie, to też zaprzyjaźnili się szybko.

Celem rozmów pomiędzy nimi były po największej części ich narodowości i uposażenia umysłowe tychże. Milord przyznawał francuzom wyższość pod względem dowcipu, twierdząc natomiast stanowczo, że Anglicy więcej mają od nich rozsądku. Prezydent nie przeczył temu; brakowało im tylko jakiegoś przykładu na poparcie ich zdania.

Miało to miejsce w Wenecyi.

Prezydent ruszał się bardzo, chodził wszędzie, zwiedzał wszystko, badał, przepytywał, a wieczorami pisał notatki.

Gdy tak pracował dnia pewnego o dość spóźnionej porze, zameldowano mu jakiegoś nieznajomego jegomości, który pragnął z nim się rozmówić. Był to francuz dość licho odziany. Na zapytanie, czego żąda—wypowiedział co następuje:

— Panie, jestem twoim współrodakiem. Mieszkam tu od lat dwudziestu, nie przeszkadza mi to wszakże szczerze sprzyjać francuzom i nie raz już zdarzyła mi się sposobność wyświadczać im wielkie przysługi — z czego czuję się dumnym i szczęśliwym. Nie dla czego też innego i dziś do pana przychodzę. W tym kraju wolno, czynić, wszystko co się komu podoba, nie wolno tylko mięszać się do spraw państwa. Jedno nieoględne słowo może pozbawić głowy, a pan wypowiedziałeś takich już co najmniej tysiąc. Inkwizycyja ma na pana oczy zwrócone, szpiegują cię, śledzą, znają każdy twój zamiar i nie wątpią o tem, że pan piszesz. Wiem z bardzo pewnego źródła, że może dziś, może jutro, odbędzie się u pana rewizyja. Proszę dobrze przejrzeć papiery, bacząc na to, że chociaż niewinne czasem, ale źle zrozumiane jakieś zdanie, może kosztować życie. Nic nad to nie miałem do powiedzenia... a teraz mam honor pożegnać cię, panie prezydencie, żądając w zamian za moją przysługę tej jedynie łaski, abyś mię nie poznawał na ulicy, a broń Boże nieszczęścia, abyś o mnie nie wspominał.

To wypowiedziawszy nieznajomy znika, pozostawiając prezydenta w zdumieniu. Idąc za pierwszym popędem, bieży do swego sekretarza, łapie swoje manuskrypty i pali je bezzwłocznie.

Zaledwie dokonał tego dzieła zniszczenia, wchodzi Chesterfield i widząc tak bardzo pomięszanego Montesquieu, pyta go, co mu się stało? Przyjaciel opowiada mu wszystko z najdrobniejszemi szczegółami, poczem dodaje, że ma już konie pocztowe zamówione na godzinę trzecią w nocy.

Wysłuchawszy go ze spokojem, milord rzecze:

— Wszystko to bardzo dobrze, ale roztrząśnijmy na zimno całe to zajście.

— Wolno ci się śmiać—co do mnie trudno, abym miał spokojną głowę, skoro wiem, że ona wisi na włosku, — odpowiada prezydent.

— Bo i cóż to za jeden, ten wspaniałomyślny obdartus, który z narażeniem swojej przychodzi ratować twoją głowę? to nie jest naturalne. Francuz czy nie francuz—albo to ludzie są wogóle tak pohopni do poświęceń i to dla nieznajomych, przecież to nie żaden twój przyjaciel.

— Naturalnie, że nie.

— Jakże on się dowiedział o tem wszystkiem?

— A skąd ja mogę wiedzieć... od inkwizytorów zapewne.

— Żartujesz chyba, wszak to instytucyja najbardziej tajna ze wszystkich, czyż można przypuszczać, aby taki obdartus miał do niej przystęp.

— Może on jest ich szpiegiem.

— Cóż znowu! cudzoziemiec szpiegiem... zresztą szpiegi mają się za co porządnie ubierać, a po drugie nie słyszałem jeszcze o takim szpiegu, któryby w imię patryjotyzmu zdradzał swoich panów, bo bądź co bądź za taką sztuczkę i jego głowa zawieszona na włosku; co do mnie, uważam to wszystko poprostu za jakąś farsę...

— Za farsę!... co... skąd?

Milord wyczerpawszy kwestyję na wszelkie możebne sposoby, kończy temi słowy:

— Poczekaj prezydencie, mój przyjacielu!... czyliż nie jest możebnem... że ten człowiek posłanym był przez... kogoś, kto umie być czasem złośliwym... a komu chodziło o dowód faktyczny... że uncyja rozsądku jest więcej warta, niż sto funtów rozumu... czyliż ten człowiek nie mógł być posłanym przez

niejakiego lorda Chesterfield, naprzykład?

— Figiel zanadto niesmaczny!—wykrzyknął prezydent—a moje papiery, moje manuskrypta popalone!

I nie wybaczył mu tego żartu. Opuścił Wenecyję tej samej nocy, bez pożegnania, bez uściśnienia ręki przyjaciela.

„Ja, dodaje Diderot, z którego czerpiemy tę anegdotę, byłbym mu się rzucił na szyję, ucałował tysiąckrotnie i byłbym mu powiedział: „Oh! mój przyjacielu! dowiodłeś mi, że są w Anglii ludzie rozumni, ale znajdę może i ja z czasem sposobność przekonania cię, że Francyi nie zbywa też na ludziach rozsądnych."

(Diderot, *Lettre á M-elle Voland*, 1762).

* *Chłopski rozum.*

Ludzie podziwiają chłopski rozum.

Mówią, że to rozum najlepszy.

Nie sprzeczam się, choć właściwie nie jest to rozum, tylko dowcip, spryt.

Oto świeży przykład z życia warszawskiego.

Przykład dowcipu, nie rozumu.

Przyjeżdża chłop z furą drzewa do Warszawy, a sprzedawszy ją, staje przed apteką.

Była to godzina trzecia po obiedzie, chłopu się ogniście chciało jeść.

Ogląda się koło siebie, ogląda, nareszcie patrzy bystro we drzwi apteki i zaczyna się drapać po głowie.

Aptekarz spojrzał przypadkiem, nakoniec zdziwiony, zaciekawiony miną Bartosza, wychodzi i pyta:

— A czegoście to chcieli, człowieku?

— Ba, zebym to ja wiedział.

— Jakto?

— A no zabacyłem.

— Czegoście zapomnieli?

— A to wielmozny dziedzic ze dwora kazał mi cegoś kupić w aptyce i psepomniałem, jak się to bestyjstwo nazywo.

— I za dużo pieniędzy mieliście tego kupić?

— Dyć za sto złotych aże...

Aptekarz musnął się po brodzie.

— To chodźcie gospodarzu do apteki, może sobie przypomnicie.

Chłop wszedł do środka, ale jakoś na rozliczne pytania i domysły aptekarza, oraz jego pomocników nic sobie nie przypominał, tylko ciągle odpowiadał:

— Nie, nie to. Ale dajta mi już pokój, bom głodny, trza pojechać na Siulec do zajazdu, to se tam podjem i może potym w tamty aptyce dostanę, bo mi tam w zajeździe psypomną.

Aptekarz nie chcąc chłopa puścić, poczęstował go chlebem, wódką, raz i drugi, a wciąż poddawał mu do głowy różne medykamenta. Chłop tylko głową kiwał przecząco i gębą ruszał jak najęty.

Nareszcie najadł się.

— Może senes? — pyta aptekarz po raz setny.

— Nie, panicku, nie.

— Może aloes?

— Nie i to nie.

— Może...

— Już wiem, już wiem, panicku, niech panicek sobie głowy nie łamie, to smoła.

I wyszedł z apteki, mając kupić smołę na mieście.

Rozumny.

Pewnego rozumnego człowieka, który z prostego adwokata został hrabią i ministrem zapytano, dlaczego nie ma herbów na karecie.

— Z tej prostej przyczyny — odpowiedział — że moja kareta jest starszą od moich herbów.

Rozwód.

— Prosę wielmoznego probosca, a to powiadam, jako ja z Jagatą mieskać nimogę

psysedem prosić o kościelne nas rozwiedze-e...

— Jakto? dopieroś przed tygodniem wziął ub. Masz-że punkt do rozwodu?..

— A ino.

— Namyśl się jeszcze dobrze, może się je-:cze zgodzicie, powód musi być ważny.

-- Prosę księdza probosca, ja się ta na to ie zgodzę... za nic.

— Cóż ona chora?

— E, bogać tam.

— Nie posłuszna ci...

— Ani to, ino...

— Może ją kto obałamucił i uciekła od ebie.

— A tobym ją sprał.

— Więc cóż takiego?

— A no, prosę wielmoznygo probosca, pie-:ynę ma tak krótką, ze do cna gołe po kola-a mom nogi, a tu zima i bez to ino cięgiem ıom zmartwienie.

* *O rozwodzie.*

rzyszedł chłop do biskupa, chcąc się roz-
[wieźć z żoną,
ytają go: — Czemuż tak w oczach twych
[mierzioną? —
.tolim jej nie zastał dziewicą, krze miły! —
. biskup mu zaś powie: — O błażnie opiły!
rzychodzi to na króle i wysokie stany,
. nie przynoszą takich plotek przed kapłany,
. ty chłopie! jeślić się tak dziewice chciało,
logłeś do Kolna jechać, tam ich jest nie ma-
[ło.

Jan Kochanowski (p. t. I, str. 14.)

* *Dobra rada.*

ıynu, abyś w małżeństwie nie doznał zawo-
[du,
żeby ci się w znaki nie dała fatalność,
staraj się zrobić w akcie jakąś nieformalność,
żbyś zawsze miał gotów punkcik do rozwodu.
A gdy się magnifika twoja dowie o tem,
Pożycie wasze będzie rzeczywiście złotem.

Rozyna.

Do Rozyny.

Spojrzyj Rozyno jak świat szeroki
Na ziemię, morze i na obłoki;
Bogów i ludzi, ryby, zwierzęta,
Słodka miłości wabi ponęta.

Jaki błąd próżny wielu z nas łudzi,
Że miłość tylko służy dla ludzi!
Już my się dzisiaj bardzo zepsuli;
Ptaszki, ach! ptaszki kochają czulej.

Czyś nie widziała gołębi dwoje
Jak pyszczki łączą miłośnie swoje?
Czułość wzajemna, co ich upaja,
Zda się, że każde piórko podwaja.

Dlaczego słowik przed słońcem wstaje?
Bo miłość tkliwa spać mu nie daje.
Czemu tak jego przyjemne pienia?
Bo to miłości czułe natchnienia.

I takich istot w naturze siła,
Którym, że uczucia dar odmówiła,
Sama się kochać nie będąc w stanie,
W innych przynajmniej niecą kochanie.

Dla tego strumyk szemrze w swym biegu,
By amant wzdychał przy jego brzegu.
I wonne trawy i miękkie trawy
Są dla miłosnej stworzone sprawy.

Idąc Rozyno za przyrodzeniem,
Żyjmy jedynie miłości tchnieniem;
Związek na wieki słodki i ścisły
Niech nasze spaja serca i zmysły.

K. Węgierski. (p. t. I, str. 182).

Róża.

Co mówiły mi róże.

(Westchnienia karnawałowe.)

Piękną była jak królowa...
Lekko stąpa po salonach,
I na nagich jej ramionach

Spoczywała fala płowa
Cudnych włosów, których sploty
Podtrzymywał dyjadem złoty,
I dwie świeże, wonne, duże
Tkwiły róże.

I młodzieniec cud urody,
Wiotką kibić, jak powoje,
Ujął zręcznie i we dwoje
Pierzchli w tańca korowody...
I w szalonem *pas* w mazurze,
Ona drgnęła cudną głową,
Na podłogę parkietową...
Spadły róże.

Ja podniosłem je z pośpiechem,
I ukryłem na swem łonie,
(Ukraść kwiat toć nie jest grzechem,
Wszak dziś kradną i w salonie),
Lecz jak zwykle czynią tchórze,
Do kącika wnet uciekłem
I tam różom cicho rzekłem:
Mówcie róże!

I pytałem: kto ta cudna,
Ta powabna, słodka, luba,
Ta figlarna, ta ułudna,
Ta, co postać ma cheruba,
Cudne kształty, jak w marmurze
Wyciosały mistrza dłonie,
Czarne oko ogniem płonie?..
Mówcie róże!

Rzekły róże: To jest *matka*,
Co rzuciła śpiące dzieci
Wiedząc, że na bal poleci,
Gdy trafiła jej się gratka.
Nie wierz lica jej purpurze...
Białość ramion to mamidło,
Zmarszczki kryje jej bielidło
No i... róże.

To jest *żona*... co choć w biedzie
Jeść co nie ma... nic nie szkodzi!
Rzuca dzieci, męża zwodzi
I z kochankiem romans wiedzie.
Niby piękna, lecz niestety...
Nie wierz wdzięków jej naturze,
Bo to wata i gorsety —
Rzekły róże.

To *kobieta*... co choć głodna
Często cała jej rodzina,
Jej idea jest jedyna:
Blask fałszywy — suknia modna.
Niech nie ujmie cię swym kształtem
I powagą w swej figurze,
Blaga wszystko jest ryczałtem—
Rzekły róże.

To jest *pani*... na karecie
Piękne herby ma przypięte
Ale powiem ci w sekrecie,
Że my dwie... na kredyt wzięte.
Cały świat ma dziś w pogardzie,
Nie zna co to życia burze,
Honor w zastaw da w lombardzie,
By mieć... róże.

P. Kośmiński.

* *Na uróżowaną brzydotę.*

Szpetnąś była, pókiś się nie umalowała;
Włożywszy na twarz farby, straszniejsząś się [stała. —
I cóż ztąd? — Dokazałaś tego sztuką swoją,
Że gdy cię nie kochają, przynajmniej się bo- [ją.

Józef Dulski.

* *Róże i pocałunki.*

Jak długo kwitną róże na krzaku, tak długo motyl—pocałunek muska kwitnące lica kobiety — pragniesz urwać różę i tęsknisz za pocałunkiem...

Dziwne to, a jednak prawdziwe, że jedną różę zerwawszy, pragniesz drugiej, tej, co się jeszcze chwieje na gałązce; toż samo z pocałunkiem: po ostatnim jeszcze widzimy urok następnego i t. d., kwiat za kwiatem, pocałunek za pocałunkiem pijemy słodycz z czary

miłości. I dopóty się to powtarza, dopóki krzew, przerażony o swoją całość, nie ukłuje cię ostrym cierniem, lub dziewczę mimowolnym przestrachu okrzykiem nie przywiedzie cię do upamiętania.

Różnica.

* Żyd i chrześcijanin odprowadzali na stacyję synów swych, udających się w daleką podróż.

— Postępuj zawsze prosto – mówił chrześcijanin do syna.

— Tak, tak, mój synu, dąż prosto do celu — nauczał żyd swoją latorośl.

* — Co ty się tak wleczesz pomału?

— Bo majstrowa posłała mnie po wodę.

— A ja idę po wódkę dla majstra.

— To też widzisz, że samiec i samica, to zawdy różnica.

* — Daleko prędzej proszę pani doszlibyśmy do stanowczego rozstrzygnięcia tej kwestyi, gdybym wiedział, co pani rzeczywiście rozumie przez lewicę?..

— No, naturalnie żonę lwa...

— A ja osła, nie dojdziemy więc do ładu.

* Inna rzecz czarodziejka, inna czarownica.
Bowiem druga odstręcza, a pierwsza zachwy-[ca,
Lecz to różne działanie jest jednakie w skut-[kach,
Gdyż obie mocy swojej próbują... na dudkach.

* *Różnice stanów.*

(z angielskiego.)

Pytanie. Jaka zachodzi różnica między redaktorem a mężem?

Odpowiedź. Redaktor zna wszystkich swoich współpracowników.

Rubel (ze słowniczka.)

Alfa i omega trosk i kłopotów agronomicznych.

Ruiny.

* *Pamfil przy ruinach Palmyry.*

(Szkic wizytowy.)

Palmyra niegdyś znajdowała się w Syryi. Moja Palmyra znajduje się po dzień dzisiejszy w Warszawie, gdzie jest zameldowana jako stała mieszkanka.

W cyrkule X. ma kamienicę, w pierwszym plac pusty do sprzedania, a nad samą Wisłą nieco nieużytków...

Bogactwo Palmyry jest wielkie.

Mieszka ona jak królowa, stroi się jak baletnica, a z nabożności słynie jak mniszka...

Zacna to i mężna niewiasta, w życiu swojem pogrzebała trzech mężów, z których jeden się otruł, drugiego znaleziono wiszącym na strychu, a trzeci umarł nagłą i niespodziewaną śmiercią na apopleksyję mózgową, skutkiem jakiegoś wrażenia.

Od tej ostatniej katastrofy Palmyra stała się wolnem miastem, a raczej wolną niewiastą. Prowadziła dom otwarty i gościnny, a resztki swych wdzięków wystawiała nader chętnie na loteryjach fantowych, bazarach i kwestach.

Czas, ten figlarz srogi i nieubłagany, czynił z pięknej Palmyry wspaniałe ruiny.

Świetnie też wyglądała w powozie rozparta niedbale na jedwabnych poduszkach, otulona w sobolową szubę od zimnych podmuchów wiatru.

Zdaleka nie zdawała się mieć więcej nad lat trzydzieści.

Na balach puszczała się w pierwszą parę z pewnym miłym człowiekiem, który dla tego, że jest znanym, jest wielkim.

Zresztą w Warszaw..., przepraszam w Kopenhadze łatwiej jest o tytuł wielkiego, aniżeli o posadę kancelisty w jakiej (nieparla-

mentarnej) izbie lub w kantorze jakiego potomka dzielnych Machabeuszów...

Raz podobno człowiek ów chciał udawać poważnego i wyrazić nadobnej Palmyrze słowa miłości, wszakże zamiast uklęknąć przed boginią swych myśli, zatańczył przed nią walczyka, co... przy okrągłości jego brzuszka było bardziej śmiesznem niż wzruszającem.

W ruinach (Palmyry) dał się słyszeć śmiech jakiś złowrogi i szyderczy.

— Cóż na to żona powie? — zapytała tłuścioszka, wdowa po trzech mężach.

— Ach, pardon madame — rzekł zmieszany — zapomniałem, żem żonaty, mais... comme voux le savez, tak ciągle jestem zajęty sprawami publicznemi, że istotnie la... chose... aha, żona! wyszła mi z pamięci...

— Zawsze pan jesteś pełen poświęcenia... prawdziwie chrześcijański mąż z pana...

— Zbytek łaski, pani, zbytek łaski...

— O nie, wierz mi, gdyby ci ludzkość nie postawiła pomnika za życia jeszcze, miałabym świat cały za wielkiego idyjotę... Drogi przyjacielu, widzę już twoją piękną postać wyrzeźbioną z marmuru. Na wielkim piedestale... we fraku... z orderami od kotylijona... podnoszącą jedną nogę do góry... dla dobra ludzkości...

— Pani, gdyby wszyscy ludzie tak sądzili, miłoby było dla dobra ludzkości podnosić nawet obie nogi razem, narażając się na ewentualność uderzenia w posadzkę.. lecz... mais całuję rączki... biegnę... pędzę... lecę...

— Gdzież tak pilno...

— Pracuję na pomnik, jak zawsze, proszony jestem na obiad! będzie, wyobraź pani sobie, zupka z żółwia, pyszna! paszteciki! zwierzyna! kompot! świetne rzeczy! mam nadzieję, że uda mi się zebrać ze trzy łebki od cygar... trzeba, droga pani... ach nędzo, cóż byśmy robili bez ciebie?!

— No, jeszcze przecież masz czas dobroczyńco ludzkości, zostań chwilkę... dam ci śniadanko świetne!

— Droga pani, czego człowiek nie uczyni dla idei...

To mówiąc, pocałował ją w rękę.

— Jesteś poświęcony dla ludzkości jak św. Wincenty, ale pełen galanteryi, jak...

— Jak ja, pani, w tym razie nie może być porównań...

— Masz pan słuszność.

— Dewizą moją jest elegancyja...

— I taniość, masz to w herbie podobno.

— Tak, oprócz korony i piór strusich...

— Dodałabym ci jednak jeszcze coś do twej tarczy rodowej.

— Cóż... cóż? łaskawa pani...

— Jedną z figur mazurowych Mestenhauzera.

— Dobra myśl... postaram się o to... herbu mazur! to dobrze brzmi...

— Zwłaszcza, jeżeli jest ładna muzyka. Lecz cóż na świecie?

— Mnóstwo pracy...

— Ach panie Pamfilu zawsze jesteś niezmordowany...

— Dziś obiad u Gelbgolda, poczciwy człowiek, dziwię się, że jeszcze nie jest baronem...

— Stara się o godność konsula Dahomeju.

— Dopomógłbym mu z przyjemnością i napiszę w tym celu do tamtejszego prezesa łebków od cygar.

— Zawsze jesteś anielskiej dobroci! mógłbyś zdjąć z siebie płaszcz jak św. Marcin...

— Żeby nim okryć ładną kobietę! zawsze.

— O figlarzu! lecz co robicie jutro?

— Oh! jutro?! mamy sesję w kwestyi urządzenia budy emerytalnej dla wysłużonych piesków pokojowych.

— Wybornie... ale była tu ta baba z Pragi, wiesz?

— Nie przyjmuj jej pani, to rozbójnik — kobieta, nienasycony wór! płacimy jej rocznie 2 ruble wsparcia i jeszcze żebrze...

— A to oburzające!

— I wygaduje na nas!?

— Jak ta nędza jest niewdzięczna.

— Odbiorę jej ten fundusz, bo niecierpię malkontentów.

— Masz słuszność, ale jak na wczorajszym balu wyglądała pani Kniks?

— Jak widmo!

— Nie obmawiaj pan.

— Nie obmawiam, ale jeszcze też nigdy u tych Kniksów nie zjadłem przyzwoitego obiadu.

— Już-to kucharza mają... niech Bóg broni, przy pierwszych wyborach postaram się zrucić Kniksa z godności prezesa komitetu ochrypłych kanarków...

— Jesteś sprawiedliwy!

— Ach pani — pereat mundus — fiat justitia.

— Cóż to znaczy, nie rozumiem po grecku.

— Ja znam ten język do gruntu, to znaczy, nie trzeba używać przechodzonych rzeczy.

— Co za śliczne przysłowie, bo też ten Kniks ma frak bardzo zniszczony i wytarty.

— To bezwstydny człowiek, na wczorajszym balu tańczył vis à-vis ze mną...

— A to impertynent! i nie odmówiłeś mu.

— Wczoraj nie mogłem, bo potrzebowałem go... miał wyrobić dla kogoś posadę na kolei...

— Dyplomato! szkoda, że Bismark nie wie o tobie.

Lokaj wchodzi.

— Śniadanie gotowe.

— Służę panu!

— Idę, idę, dni moje upływają w pracy dla ludzkości, zjeść nawet nie ma kiedy...

* *Wspaniała ruina.*

Pani de *** chociaż nie pierwszej już młodości, jest jeszcze w całem znaczeniu tego słowa piękną i majestatyczną kobietą.

Dobrze znany w swoim kole baron de Breteuil, po powrocie z Włoch, powiedział o niej wobec licznego zgromadzenia:

— To zachwycająca kobieta, to istne Koloseum!

Aczkolwiek najpiękniejsza to ruina, wątpimy bardzo, czy takie porównanie pochlebiło pani de ***.

(M-me de Genlis: *Souvenirs de Félicie.*)

Rumieniec.

* *Rumieniec żegna miejsce swojego pobytu.*

Żegnam was, niegdyś piękne i świeże jagody,
Miejsce, gdzie mnie zaszczepił wiek dziecin- [ny, młody,
Gdzie na widok kochanka, lub gdy spojrzał [śmiało,
Szkarłatną moją szatą twarz okryłem całą;
Często gniew oznaczałem, wstyd znaczyłem [nieraz,
Kieliszek wina czasem — skończyło się teraz,
Jejmość nie w kwiecie wieku... już nie ta, co [wprzódy,
Gniewa ją widok męża... lecz bledną jagody...
Wstyd mnie nigdy nie woła! i choć często na [dno
Spojrzy mnogich kieliszków, to policzki bla- [dną!
Czegóż jeszcze, gdym słaby... gdy już ledwo [żyję...
Czekać mam, aż róż z pudrem wiecznie mnie [zakryje,
Uciekam... nie zostawię nawet i poszlaki
Na nosie, gdziem się błąkał na prożbę tabaki;
Pójdę na twarzach dziewic błąkać się swobo- [dnie,
Różu, ty czarta dzieło, zastąpisz mnie godnie!

(*„Humorysta Warszawski."*)

Ryba.

Jegomości, będącemu na obiedzie u jednego z dobrych znajomych, podano ryby; lecz że siedział, jak to mówią, na szarym końcu, dostały mu się więc drobne i w małej liczbie. Gdy je włożył na talerz, wziął jednę z nich

w palce, szeptał do niej dość długo, a potem przyłożył ją do swego ucha i toż samo kilka razy powtórzył.

Gospodyni, zdziwiona takiem postępowaniem zapytała go, co to miało znaczyć?

— Nic to, nic, mościa dobrodziejko — odpowiedział — ja tylko chcę się od tej rybki dowiedzieć, co się z większemi zrobiło, albowiem żadna do mnie nie przypłynęła.»

Rybak.

— Rzecz to jednak dziwna, panie majstrze, jak ryby żyją w morzu?

Pierwszy rybak. Jak ludzie na lądzie; wielkie jedzą małe. Z niczem nie mogę lepiej porównać naszych bogatych skąpców, jak z wielorybem; igra i koziołkuje, pędząc przed sobą biedny drobiazg, który nakoniec jednym kąsem pożera. Słyszałem ja o takich wielorybach na lądzie, które nie zamkną gęby, póki nie połkną całej parafii z kościołem, dzwonnicą, dzwonami i wszystkiem.

Perykles. Piękna moralność.

Trzeci rybak. Ale, panie majstrze, gdybym był dzwonnikiem, tobym tego dnia nie opuścił wieży.

Drugi rybak. A to dla czego?

Trzeci rybak. Bo i mnieby także połknął; a jakbym był w jego brzuchu, tobym tak bił w dzwony, że niby nie miał pilniejszego, jak wypluć dzwony, dzwonnicę, kościół i parafiję.

Szekspir. (p. t. I, str. 92.)

Rycerz.

Jak śmieszny zdaniem.

Ten, co kiedy kobiety w koło niego siedzą,
Kobiety czułe, trwożne, co zaledwie wiedzą,
Że parapet nie czypek, czworobok nie szlarki;
Granat nie kolor wstążki, kartacz nie su[charki.
Rozprawia o swych dziełach, srogie walki to[czy,
Morduje, ręce we krwi aż po łokcie broczy,
I wciąż słysząc, ach! i och! nakoniec uwierzy,
Że jest w samej istocie z najtęższych rycerzy.

Aleksander Fredro. (p. t. I, str. 67.)

Ryło.

Ożenił się Ryło,
Dyjabeł mu po niej było.

Ryj u świni nazywają z ruska ryłem, przenośnie wyraz ten oznacza brzydala i takbym go rozumiał w przysłowiu, zapisanem u Rysińskiego. Ale jest inne, do którego dał powód jakiś porucznik Ryło. Bywał on w domu pewnej wdowy, młodej i hożej kobiety, która już miała córkę dorosłą i zalecał się do obudwu, o czem pierwej, niż one same, opatrzyli się ciekawsi sąsiedzi, ztąd jeden z nich ułożył złośliwą zagadkę, która przeszła w przysłowie:

„Ni w pięć ni w dziewięć,
Ni to mąż, ni zięć,
Cóżby to było?
Pan porucznik Ryło."

Rymarz.

* *Napis na godle rymarza.*

Z opatrzności boskiej dorwałem się chaty,
Za pomierną cenę można dostać baty.

Rymotwórstwo.

* *Nauka rymotwórstwa w parafii.*

(ze starych szpargałów ex bociana).

Organista. W każdym wirsu, powinien być naprzód *sans*, potem *kadancyja* naprzykład—powiedz mi, jak się nazywa to, co się koniom za drabinę kładzie?

Chłopak. Siano.

Organista. Całuj psa w kolano!... Widzis, tu jest sans i kadancyja, bo się na końcu zgadza, rozumies?

Chłopak. Rozumiem.

Organista. No! to się ty mnie znów zapytaj.

Chłopak. Powiedzcie mi, jak się zwie to, co się konie do tego przyprzęga i na końcu naszelniki kładzie?

Organista. Dyszel.

Chłopak. Całujcie psa w nos!

Organista. Ośle!... głupi nie rozumies, tu jest sans, ale kadancyi nie ma!

Rymowicz.

* *Pan Rymowicz.*

Prawda, że mu towarzysze,
Mówili, że on źle pisze,
Lecz on temu nie chciał wierzyć,
Bo i któż zoilów słucha.
Owszem, z przekonaniem mocnem.
Sądził się w pokorze ducha
Najmniej Homerem północnym.

Strachy, powieść.

Pan Rymowicz należy do rzędu tych poetów, którzy są sami sobie czytelnikami; dla czego? bo inni nie chcą jego płodów czytać. Jest to niesprawiedliwość, bo co jest drukowane, to należy czytać, a pan Rymowicz tak umie się naprzykrzać redaktorom wszystkich pism, jak uliczni handlarze lasek i zapałek, iż dla pozbycia się częstych jego wizyt, w niejednem już piśmie czasowem płody jego drukowano. Humorysta nawet zaledwie ogłosił swój prospekt, a już p. Rymowicz zjawił się w jego mieszkaniu z maleńką paczką bito pisanych rękopismów, którą zaledwie mógł objąć pod pachą i sztywnym ukłonem dumy i dobrego rozumienia, a zmierzywszy burem okiem potulnego humorystę, ofiarował mu łaskę swoją i paczkę, pozwalając mu nie oszczędzać jednej i drugiej dla dodania wartości i zjednania sławy nowemu pismu. Odrzucić podobną ofiarę, byłoby to rzucić rękawicę panu Rymowiczowi, który łącząc w sobie odwagę rycerzy wszystkich wieków, które kiedykolwiek opisywał i usprawiedliwiając to zdanie, że:

Po Febie bracia stryjeczni,
Wszyscy są arcy waleczni,
Żaden się dyjabła nie boi,

z zapałem przyjąłby walkę i nie złożył oręża, pókiby nie napisał na obrażającego 1000 wierszy satyry, którejby, jak wyżej powiedziałem, nikt nie czytał. Humorysta musiał więc przyjąć paczkę i łaskę, ale nie chcąc nadużyć jednej ani drugiej, zadekretował je *ad acta*, obmyślając w cichości środki, jakiemiby zasłonić się przeciw gniewowi p. Rymowicza, jeśliby nie mogąc się doczekać umieszczenia swoich płodów w tem nowem pisemku, któremu łaskę swoją ofiarował, przyszedł się dowiedzieć, co się stało z dołączoną do niej paczką.

Nie sądźcie, żeby ta moja ostrożność była niepotrzebną; gniew p. Rymowicza jest niebezpieczny, a zemsta jego straszna. Niedawno napisał on poemat okolicznościowy z *zwykłym swoim talentem* i jak *wszystkie inne* przeznaczony, żeby go nikt nie czytał, chociaż autor niską naznaczył cenę, bo tylko 10 groszy za egzemplarz. Jeszcze prasa jęczała, płaszcząc to, co samo z siebie jest zupełnie płaskiem, a już p. Rymowicz wziąwszy oburącz trąbę sławy, pobiegł do wszystkich pojedyńczo redakcyj pism peryjodycznych, oświadczając, że pozwala im donieść publiczności o mającym wyjść poemacie i nie zabrania dodać kilkunastu wierszy pochwały.

Jeden z redaktorów zapomniał o tem *pozwoleniu* i wcale nie korzystał z niego. — Cóż się dzieje? W kilka dni p. Rymowicz przybywa, niosąc pod każdą ręką zwitek papierów, trzymający około sążnia w obwodzie i zawierający egzemplarze *nie rozprzedane* najnowszego jego poematu, zakładając do redakcyi pretensyję, że nie korzystając z pozwolenia doniesienia o mającem wyjść dziele, naraziła autora na straty, bo nikt nie chce kupo-

wać jego płodu, i grożąc zarazem, że całą furę parokonną *nie rozprzedanych* egzemplarzy za karę złoży w redakcyi, aby wszyscy chłopcy z drukarni czytali je i podziwiali.

Nie jestże to zemsta godna Ugolina? Ale wróćmy się do p. Rymowicza, który

Sam śpiewa i sam rymuje,
Sam czyta i wyrokuje.

Pan Rymowicz nie martwi się tem swojem przeznaczeniem, które przepowiedziała mu jakaś wieszczka, siadłszy w głowach jego kolebki, kiedy nazajutrz po jego urodzeniu sąsiedzi i kumoszki rodziców przyszli winszować im przyjścia na świat dziecięcia i przy częstych kieliszkach nie szczędzili wróżb względem jego losu i przyszłej sławy. Przeznaczenie to, któreby innego przygniotło może swoim ciężarem, wysuszyło zmartwieniem i tęsknotą, przeciwnie zupełnie działa na p. Rymowicza. Dość spojrzeć na jego zaokrągloną figurę, świecące się zadowoleniem tłuste policzki, pośród których wgięty nos wygląda jak blizna na pomarańczy i ukazuje na jednej płaszczyźnie z oczami dwie potężnie rozdęte dziurki. Na szerokiem, ale niskiem i spłaszczonem czole, widać zawsze, że jest kontent z siebie i nie dba o cały świat, a nawet ludzi, co na nim mieszkają, że zawsze i w każdym razie sam sobie wystarcza. Ubranie jego zaniedbane umyślnie ma dowodzić w oczach innych, że p. Rymowicz przejęty wysokiem powołaniem swojem, nie dba o poziome względy, dotykające powierzchowności.

Z rozkoszą i litością spogląda on w kawiarni albo cukierni na gościa, który wziąwszy w rękę dziennik jaki i zobaczywszy podpis jego, kładzie na stół dziennik, nie czytając jego wiersza. Z rozkoszą spogląda, bo myśli sobie:

Twoje wiersze Rymowiczu nie są dla teraźniejszych ludzi, oni nie umieją ocenić ich, nie rozumieją twoich wielkich pomysłów. Ty uprzedziłeś genjuszem swoim kilka wieków, potomność dopiero będzie spierać się o miejsce twego urodzenia, jak niegdyś o Homera, Kopernika albo Kolumba, sto miast dobijać się będzie o sławę liczenia cię między swymi mieszkańcami. Ale aby oszczędzić uczonym mozolnych badań dla dowiedzenia prawdy w tym względzie, p. Rymowicz pisze poemat, którego sam jest bohaterem i w którym jasno i wyraźnie wymienia miejsce urodzenia i okoliczności towarzyszące mu, tudzież wszystkie koleje, jakie przechodził i laury, jakie zbierał. Poema to zamierza on drukować dopiero po swojej śmierci, tym sposobem zatem twór ten mniej będzie od innych szczęśliwy, bo go nawet sam autor w druku czytać nie będzie.

Z litością, jak mówiłem, spogląda na swoich nieczytelników, bo mówi sobie, patrząc na obojętnego, który odrzuca płody jego muzy: „*Biedny*, *tobie nie błysło jeszcze światło alkoranu*, błąkasz się w ciemnościach i odrzucasz latarkę, którą ja chcę cię oświecić. To dobrze, umrzesz nie czytając tego, co jest zanadto szczytne dla ciebie."

Dlaczegóż więc pan Rymowicz pisze wiersze, kiedy uważa ludzi za niegodnych, aby je czytali? zapytacie mię, i będziecie mieli słuszność; ale ja wam na to zaraz odpowiem i także przyznacie, że mam słuszność, chociaż odpowiedź moja będzie w połowie pytaniem:

Pytaj pszczoły, po co lata
Po ogrodach, łąkach, lesie?
Miód z każdego zbiera kwiata
I do ula swego niesie?
Czyli zapyta, co też z tego miodu
Czynią istoty ludzkiego rodu?

Ona ci odpowie, że to do niej nie należy i że natura popędza ją do zbierania miodu nie dla siebie, jakto powiedział Maro.

Spytaj słowika, czemu wśród cienia
Echom powtarza swe czułe pienia,
Gdzie nikt śpiewania jego nie słyszy
Śród ciszy?

Czemu się nie popisze przed licznem ze-
[braniem
Śpiewaniem?

On ci odpowie, że nie idzie mu o to, żeby go słuchano, ale żeby on siebie sam słuchał;

albo:

Spytaj pokrzywy, czemu piękne swe zawoje,
Rozwija śród głuszącej trawy pod murami?
Czemu nie pójdzie godnie pomiędzy różami
Wziąść miejsce swoje?
Powie ci, że się ludzie na wdziękach nie znają
I ją niesłusznie brzydką nazywają!

a zatem nie są godni widzieć ją śród innych kwiatów.

A jednak słowik, pszczoła i pokrzywa — ta rośnie, ta miód robi, a znów tamten śpiewa.

I dlatego też p. Rymowicz rymuje.

Pisanie wierszy jest tak zaraźliwem, jak ziewanie. W szkołach jeszcze p. Rymowicz słyszał, jak jego towarzysze odczytywali sobie wzajemnie poezyje i natychmiast obudziła się w nim wena liryczno-epiczno-satyryczno-erotyczno-tragiczno-idillityczno - elegiczno-klasyczno-romantyczna. Nie sądźcie, żeby płody, jego wieszcze, jak ziarno posiane i pielęgnowane, po kilku miesiącach dojrzałe pod sierp wychodziły. P. Rymowicz udał się krótszą drogą; tworzył on wiersze tak, jak Molduano kwiaty, które w jednej chwili posiane w oczach widzów rosną. Te płody przedstawiał on swoim towarzyszom, którzy je sądzili i wieńczyli, zapewniając im nieśmiertelną sławę. Ten rodzaj asekuracyi wzbudził w p. Rymowiczu dobre o sobie rozumienie, które dziś jest jego główną wadą. Ufa on zdaniu swoich kolegów, i gdyby mu cały świat powiedział, że jego wszystkie wiersze są niedorzeczne, on się tem nie zmartwi, bo one przechodziły przez sąd jego kolegów i otrzymały wieńce, które wiszą w jego przedpokoju.

(*„Humorysta Warszawski”*).

Rymsza.

„Większy Pan Bóg, jak pan Rymsza.”

Tego przysłowia użył Mickiewicz, gdzie razem wspomina o jego początku.

Ryś

Moi rówiennicy, których już niewielu, pamiętają w Nieświeżu sławnego organistę, Rysia, bo po dziś dzień w kościele św. Krzyża co niedzielę i święto dają się słyszeć organy jego roboty. Nazywano go „ordynatem nieświeżskim”, bo on był piątym czy szóstym, syn po ojcu, organistą farnego kościoła, a ta funkcyja niezgorszym kawałkiem chleba była uposażona, bo i półwłócze gruntu ornego, i piękna łąka i sad przy porządnym dworku, i trzysta tynfów, co je wedle fundacyi corocznie od kahału Nieświeżskiego pobierał. A kolendy? Wszakże opłatki, co je pod koniec adwentu rozwoził po familii książęcej, zaczynając od Nieświeża, a kończąc na Kojdanowie, za nielada folwarczek stać były mogły. Ekspensy prawie żadnej, bo w domu organista żył sobie zwyczajnie, jak służka kościelny: co się zjadło, to się na gruncie urodziło, a choćby czasem urodzaj i chybił, od czegóż parafijanie? Synowi sam dyrektorował; jeżeli więc miał jaki wydatek, to jedynie na utrzymanie galowego ubioru, co go w dni świąteczne na siebie nadziewał, bo w dni powszednie i w domu chodził sobie w sierakowej opończy jak okoliczny szlachcic; ale na jego galową suknię warto było popatrzeć, kiedy na szarym końcu za stołem księcia hetmana w niej zasiadał, ile razy wypadała jaka uroczystość czy kościelna, czy familijna.

Książę hetman go lubił, a szczególnie brat jego, książę chorąży, który sam niezgorzej grywał na organach i niemi często się bawił, chwaląc Boga w swojej Kojdanowskiej kaplicy, i zawsze go nazywał, żartując, swoim kolegą. A trzeba o tem wiedzieć, że Rysiowie z dobrego rodu, nawet tym samym her-

bem pieczętowali się, co i Pocieje; że o tem dobrze wiedział nasz Ryś i umiał to cenić, więc czy u książąt paradnie występował, czy w kościele Panu Bogu śpiewał z wtórem, czy koło gospodarstwa się krzątał, zgoła, czy w aksamicie, czy w sieraku, zawsze dość kuso się nosił, by choć trochę przynajmniej dały się widzieć karmazynowe hajdawery. A miał swoje koncepta, któremi i za uczonego i za krotochwilnego uchodził; jakoż nie bez tego, że odbywszy organistowskie wychowanie, mógł być więcej z książkami obeznany, niż ludzie światowi. Razu jednego, kiedy JW. Rejtan, podkomorzy Nowogrodzki, zjechał do Nieświeża, dla rozgraniczenia Rudawki, majątku jezuickiego ze strony ordynacyi, do której sprawy wchodził i Ryś, bo właśnie jego łąka była na samem pograniczu; kilkanaście osób obiadowało u JW. podkomorzego w Polowej karczmie, gdzie był założył swoją juryzdykcyję, i Rysiowi kazał sobie służyć: gospodarz z innymi siedział za stołem, nie omieszkawszy przywdziać swojej doktoratki. Gdy więc, jak to zwykle biesiadując, zwłaszcza po prawniczych mozołach, szukano w dyskursie rozrywki, jakoś zapytał podkomorzy: — Zkąd to, że Wielkanoc raz tego dnia, raz owego, nie tak jak Boże Narodzenie, co regularnie na dzień 25 grudnia przypada? — Wszyscy przytomni brali tę rzecz na rozum, a żaden nie umiał tego objaśnić; nawet umocowany od jezuitów, lubo obcując często z pryncypałami, mógł więcej niż inni być obeznanym z kalendarzowemi statutami; a gdy wszyscy w rozumowaniach się plątali, spostrzegł podkomorzy, że Ryś się nie odzywał, tylko ramionami ruszał. Ku niemu więc obrócił mowę. – A co to szukamy niedźwiedzia po za lasem? to wasana rzecz, panie organisto, bo księdza nie ma między nami; wolałbyś nas oświecić, niż ramionami ruszać, jak półmędrek między żakami. — *Nemo sapiens, nisi patiens*, JW. panie — odpowiedział Ryś, powstawszy i nizko się skłoniwszy—dwa lata trzeba chodzić na teologiję, żeby pojąć, co to jest kalendarz, i to jeszcze daj Boże. — Chociaż my teologii nie umiemy, czemuż po ciwuńsku nie masz rzeczy tłómaczyć? Czy to raz nam wypada mówić babie o prawie, kiedy ma proceder; a choć w palestrze nie była, jakoś umiemy go robić dostępnym do jej mózgownicy. Bo co kto sam zna, tak jak potrzeba, ten łatwo objaśni nieświadomego. – Kiedy wola JW. pana, to więc wyłuszczę całą rzecz: kalendarz przepisuje dla pożytku ziemi, to co Pan Bóg napisał na niebie, bo każda gwiazda jest literą. Podczas oktawy przesilenia dnia z nocą, kanonicy katedralni wraz z JO. pasterzem czytają na niebie, a co wyczytają, to i zapisują; z tego kalendarz i rubrycele, z tego kantyczki, bo wszystko w kościele Bożym, nakręcone jak godzinnik. Kanonicy piszą, plebani czytają, organistowie śpiewają i grają, a wierni wtórują, i tak wszystko się obraca na chwałę Bożą, oraz na pożytek ludzi.—Daj go katu — odpowiedział podkomorzy — wielki z waści mędrzec, jak widzę, panie organisto; z tem wszystkiem winszuję temu, kto waści zrozumie, a jeszcze więcej takiemu, który z tak licznem abecadłem się obezna i w czytaniu się nie pomyli. — I bardzo się mylą JW. panie; Bazylijanie naprzykład, że nie tak umieją czytać jak nasi, to też ich kalendarz nic potem; albo nawet nie trafiaż się, że nie doczytawszy jak się należy niebieskie pismo, obiecują na dzień ten lub owy pogodę, a tymczasem deszcz jakby na złość? Na co daleko szukać? Tego roku, jak zapewniał Kalendarz Wileński, że nam hreczka urodzi, a tymczasem posucha wszystko wysmaliła, że onegdaj na kiermaszu w Stwołowiczach ośminę po trzy tynfy płacono, a to wszystko dla tego, że książę biskup wileński pojechał do Rzymu *ad limina Apostolorum*, a kanonicy bez pasterza lada po jakiemu czytali.

Pan podkomorzy na takowe objaśnienie parsknął od śmiechu, bo był sam uczony, ale niejednemu musiał klina w głowę zabić. I ta dykteryja o Rysiu długo powtarzała się na

dworze Nieświeżskim. Dość, że organista Ryś, dudłając po klawiszach a jeżdżąc po kolendach, uzbierał sobie kilkadziesiąt tysięcy, które spadły na jego syna; ale ten odstąpił ojcowiznę dalszym a uboższym krewnym, gdyż nie dawszy namówić siebie do rzemiosła ojcowskiego, znalazł dostatki w innym zawodzie; czem organy Nieświeżskie wyszły z domu Rysiów, gdzie blizko od półtorasta lat zostawały, i co było powodem desperacyi starego. Trzeba wiedzieć, że wszyscy Rysiowie dotąd żenili się zawsze z córkami organistów, a swe córki za organistowskich synów wydawali; to kiedy naszemu organiście urodził się syn, książę chorąży, co go do chrztu trzymał, przed ceremoniją żartem powiedział: — Ten chłopczyk kantyczkową nutą kwili, bo z miecza jak i z kądzieli samych tylko organistów w genealogii rachuje. — Jednak ten żart w sprawiedliwą wieszczbę nie został obrócony, gdyż wszystkie zabiegi ojca, by z syna mieć pomocnika, a kiedyś następcę, na nic się nie przydały: bo lubo od piątego roku życia już go zaczął poufalić z organami, lubo przez dwa lata może mu jakie tysiąc batogów wsypał, by mu napędzić ochoty do muzyki, ani jednej nuty Karolek nauczyć się nie mógł, co tem więcej martwiło ojca, iż go Bóg dalszem potomstwem nie udarował.

Gdy Karolkowi siódmy rok się kończył, ojciec jego, sporządziwszy pozytywek dla księcia chorążego, któremu imię było Karol, pojechał z synkiem do Kojdanowa na sam dzień św. Karola, by Karolek wręczył go ojcu chrzestnemu jakoby na wiązanie. Ale księcia w zamku nie zastali, bo ten krył się przed swojemi imieninami w Starczycy, gdzie miał domek wiejski, a raczej folwark porządnie zabudowany; a to, że będąc wielce oszezędnym, tych zjazdów u siebie nie lubił. Pojechał więc Ryś do Starczycy, zawsze z synkiem, sam w swoim paradnym ubiorze, a synek z pozytywkiem w ręku, a z pałasikiem u boku. Zajechawszy pod bramę, wysiedli z wózka oba i szli sobie ku folwarkowi. Sam książę siedział za oknem i patrzał na dziedziniec. Gdy chłopczyk za ojcem przybliżał się do ganku, żuraw przyłaskawiony, ale nieco napastliwy, zapędził się za nimi. Wtem Karolek, rzuciwszy pozytywkę, dobył szabelki, i jak palnie żurawia po szyi, obalił go na ziemię; staremu aż mrówki przeszły po sustawach, i nie dziw, bo jeszcze na Litwie taki się nie był narodził, któryby nie drżał przed księciem chorążym, zaczynając od księcia hetmana, luboć ten był starszym od niego bratem i latami i urzędem; ale książę wyszedł na ganek za boki trzymając się od śmiechu: — Zucha przywiozłeś do mnie, panie kolego; dziękuję ci za pozytywek, ale do niego musisz mi dodać ptaszka, co mi go oddał; ja go umieszczę między moimi paziami i posunę go z czasem, że mu nigdy na kęsie chleba nie zabrakuie; bo sam widzisz, że on nie do klawisza stworzony. — I tak stary odjechał sam do nieświeżskich organów, a Karolek został na dworze książęcym. Książę miał czterech paziów, synów majętnych obywateli; ubogie Rysiątko zostało piątym. Tamci od rodziców miewali często i suty grosz, a Karolek okrom ubioru, co go z łaski księcia miał na sobie, ani szeląga przy duszy.

Wkrótce dał sobie radę, że kiedy niekiedy grosiwo kolegów do jego kieszeni się przenosiło, a to tym sposobem: książę chorąży po obiedzie, nieco podochocony, miał zwyczaj parę godzin przesypiać, a paziowie w przedpokoju, pilnując go, grywali sobie w Helbecwelbe, żeby im czas schodził, a jakże Karolkowi z nimi grać bez pieniędzy? Otóż taką grę pustaki wymyślili: paź stawi naprzeciwko Karolka pięć, dziesięć, czy tam wiele tynfów; kiedy wygra, pieniądze jego, a kiedy skrewi, musi księcia pijanego i sennego kartą po nosie uderzyć tyle razy, ile tynfów na kartę postawiono. Czas niejaki mu się udawało, ale jednego razu, gdy książę uderzony się przebudził, sądny dzień zrobił się w Kojdanowie. — Kto ciebie hultaju do takiej zabawy namówił? — zapytał książę Karolka. — Ja sam sie

bie namówił—odpowiedział chłopiec, nie zmięszawszy się. — Kiedy mi tak zuchwale odpowiadasz, obaczymy, czyje będzie na wierzchu.— I natychmiast kazał mu pięćset łóz odliczyć, bo wiadome były porcyje księcia chorążego.

Prawdziwie rysią miał naturę Karolek, że nie skonał z bólu, ale tak się zaciął, że ani jęknął. Książę, który był świadkiem egzekucyi, luboć znany z twardego serca, powiedział: — Jednak to niepospolite chłopię. — A po skończonej kaźni, zapytał go niby łagodniej, ale takowa łagodność u innego uchodziłaby za największe uniesienie. — Z jakiego powodu, łotrze, śmiałeś twojego pana znieważyć?— A ten mu na to: — Cóż miałem robić z biedy? Wszyscy paziowie mają pieniądze, a ja, będąc chrzestnym synem księcia pana, od trzech lat co mu służę wiernie, jeszcze szeląga nie dostałem. — Książę mu natychmiast darował pięćset tynfów, właśnie tyle, ile łoz dostał, i postąpił go na pokojowego, z oznaczeniem pięćset tynfów rocznej laffy, by swój nos nadal od szczutków ochronić. Wyrósłszy Ryś, został dworzaninem, i coraz dalej wzmagał się w łaskę swego pana, dla wierności, odwagi, a szczególniej siły: bo podkowy łamał jak trzcinę, a szablą tak robił, że chyba jeden Wołodkowicz mógł dotrzymać jego zakładu. Pojedynki tu miewał częste, bo był zuchwały. Będąc dworzaninem księcia chorążego, gdy młody książę Karol Radziwiłł, później wojewoda Wileński, a wówczas miecznik Litewski, przy kielichu powiedział mu: — Panie kochanku, pókiś przy ojcu siedział, nazywano ciebie Rysiem, ale odkąd przyłaskawiono ciebie w pańskim dworze, powinieneś nazywać się Kotem, bo kot jest ryś swojski — tak się Ryś oburzył, że ani go to zastanowiło, że sprawa była z synowcem i spadkobiercą swego pana, ale wręcz mu powiedział: — Ja nie waszej książęcej mości chleb jem, ale jego stryja, a moja służba nie rozciąga się do tego, bym od całego domu mego pana miał przegryzki znosić. Ja taki dobry szlachcic, jak i książę; chociaż mój ojciec głośno chwali Pana Boga, książę nie masz prawa przekręcać mego nazwiska, boś mi go nie dał, i proszę natychmiast ze mną się rozprawić. — A książę, lubo przed Bogiem i ludźmi mógł być wymówionym, iż nie przyjął wyzwania od dworzanina swojego stryja, że będąc sam tęgim do korda, rad był się spróbować z graczem, za jakiego uchodził Ryś, ile, że go miał za dobrego szlachcica; pomimo perswazyj swoich sług i przyjaciół, dotrzymał placu z niemałą szkodą swojego zdrowia, bo takie cięcie dostał wyżej łokcia, że kilka niedziel z izby nie wychodził. Nawet książę hetman, lubo srogim był dla syna, tyle to uczuł, że pojechał do Kojdanowa skarżyć się przed bratem, iż jego dworzanin syna mu skaleczył. Jeno książę chorąży odpowiedział: — Niech książę brat da temu pokój: nasz miecznik tak mi jest miły, jak i samemu księciu, bo że dzieci nie mam, on mi jest synem i dla niego pracuję, ale sam się żalisz, iż jest niespokojnego umysłu, a więc jak raz i drugi oberwie za swoje, ażaliż się nie upamięta? A nakoniec, za co mam karać Rysia, kiedy urodziwszy się szlachcicem, postąpił po szlachecku? — I tak ta burda nie zaszkodziła Rysiowi nawet w przyszłości, bo jak książę Karol odziedziczył Nieśwież, jedna z pierwszych jego czynności była, że mundur albański jemu przysłał, i przywiązał go ściśle do swojej osoby. Wkrótce po tym pojedynku, książę chorąży, jakby dla okazania, iż przeciw niemu sierdzistości nie miał, wypuścił mu dożywociem Wilczyznę o pół mili od Kojdanowa, wioseczkę niewielką, ale z dobremi gruntami. Ta wspaniałość księcia tem się wydawała dziwniejszą, że ludzie z większemi i dawniejszemi zasługami nic u niego nie wskórali, gdyż on był z małej liczby Radziwiłłów, co tylko o sobie pamiętali. Ale Ryś nietylko że nie przestawał na dochodach swego folwarku, jeszcze znaczne długi porobił, a wszystko na stroje, bo niczego nie oszczędzał na przyozdobienie swojej osoby. I była tego warta. Kiedym go poznał,

już nie był pierwszej młodości, a jednak tak pięknym, że nie można było na niego się napatrzyć. To też, że wiedział o tem, ledwie nie co dzień co innego było na nim: nikt ani tak litych pasów, ani tak kosztownych spinek, ani tak pięknych aksamitów i lam nie miał, a wszystko dziwnym smakiem zastosować umiał. Nadzwyczajne też miał szczęście do ludzi, bo że zawsze był potrzebnym, ustawicznie prosił o pożyczenie pieniędzy, a zawsze ich dostawał. Każdy, jakby oczarowany, na prośbę dawał, nie pytając o ewikcyję. A co więcej, choć ledwie dwudziesty czwarty rok mu się kończył, choć żadnego, ba! najmniejszego urzędnika nie miał w swojej koligacyi, choć morga ziemi dziedzicznej nie posiadał, a miał długów więcej niż włosów na głowie, przecie został obrany deputatem z województwa Mińskiego na trybunał Litewski, pod laską księcia Karola Radziwiłła, właśnie jakby się narodził książątkiem, lub jaśnie wielmożnego synem. A choć w urzędowaniu więcej pilnował tańców, niż dokumentów, to deputacyja była powodem, iż raptownie został możnym. W Wilnie, gdzie w tym roku agitował się trybunał Litewski, bawiła na opiece u stryja panna Kietliczówna, córka owego sławnego facyjendarza Kietlicza, który prawie z niczego zacząwszy, ogromny majątek zostawił małoletniej swojej jedynaczce. On to w czasie siedmioletniej wojny więcej milijona zarobił, dostarczając żywność Rosyi ciągnącej Litwą do Prus. A ta córka była tak dobrze jak zaręczona panu Łapotowi, któremu silnie sprzyjał opiekun panny. Ale jak ją poznał nasz Ryś, wkrótce ją odkochał, i nie dziw. Bo pan Łapot, acz zacny i godny kawaler, ale jedynak, w możnym domu wychowany, był sobie zwyczajnie papinka. Wszystkiego się obawiał: lada wietrzyk, bywało, nie wyjdzie na podwórze, jako z twarzą w pieluchach; a kiedy w piątek ryby się naje odrobinę, to już nazajutrz kilku doktorów przy łóżku. A panna, *hic mulier*, bo bekasy w lot biła i zające szczuła, co koń może wyskoczyć, istny dragon w spódnicy, a z tem wszystkiem urodziwa. Jakże ją było sprządz z panem Łapotem? Ryś z nią, to była dobrana para. Dla tego też rychło się pokochali, że pomimo najpewniejszych nadziei, pan Łapot od kosza dostał, i wyjechał sobie z Wilna, pomiarkowawszy, że chyba szablą wypadnie pannę zdobywać, co z Rysiem była rzecz nieco ryzykowna. Były jakie takie trudności do przełamania ze strony opiekuna, ale gdy mu bąknął pan Ryś, że czy wola jego, czy nie, a wcześniej czy później panna go nie ominie; a zatem, jeżeli mu będzie nieżyczliwość okazywał, potrafi to odwetować, jak przyjdzie mówić o kalkulacyją z opieki, tak tem pana stryja zbił z tropu, że sam mu został swatem; co mu w istocie po ślubie pan Ryś odwdzięczył, najdelikatniej żonie asystując w zakwitowaniu, które od niej stryj uprosił — gdyż i bez tego ledwo nie pańska fortuna dostała się w ich ręce.

Już książę chorąży nie żył, ale pan Ryś przeniósł swoją wierność i przywiązanie do księcia hetmana, i lubo około dwudziestu folwarków posiadał, nie przestawał siebie liczyć między sługami radziwiłłowskimi. Tytułowano go strażnikiem Mińskim i był powszechnie poważany w całem województwie, bo był gościnnym i uczynnym, ale zawsze burzliwym. On to, mając sprawę z księciem Radziwiłłem żyrmuńskim, starostą Lidzkim, którego syn był potem koniuszym Litewskim, kiedy umocowany księcia, indukując sprawę JO. pryncypała przed ziemstwem Lidzkiem, uszczypnął pana Rysia, robiąc wzmiankę o organach nieświeżskich, tak go tem poruszył, że na wstępie zaczął samemu księciu cierpkie robić wymówki, aż książę, zaufany w swojem imieniu, wyrzucił mu, że tak długo nakarmiwszy się radziwiłłowską pieczenią, winien być umiarkowańszym dla członka tej familii. Ale pan Ryś odważył się odpowiedzieć publicznie: — Byłem i jestem sługą Radziwiłłów, ale orłów, a nie kobuzów; co to książę ze swoją ladajaką mitrą występuje,

jakbyś był coś lepszego odemnie? Radziwiłłów panów, to tylko w nieświeżskiej i trochę w kleckiej znamy, a wy żyrmuńscy zwyczajnie szlachta. Książę chorąży, mój nieboszczyk pan, żadnego z was gołą ręką by nie dotknął, żeby świerzbu nie dostać. – I tym podobnemi przygryzkami tak go jął osypować, że biedny książę ledwie nie uciekł. On z początku miał zwyczaj do korków żony kulami strzelać, ale ona go od tego oduczyła.

Trafiła kosa na kamień, bo razu jednego, gdy w sypialni, porwawszy za pistolet, zabierał się do korków imości, ona, która brzemienną była, odpowiedziała mu: — Jużem cię kilkakrotnie prosiła, żebyś mnie uwolnił od tych twoich popisów: zatem idź sobie do masztarni gwoździe kulami zabijaj, a moich korków nie psuj. – Jeszcze ten raz ostatni, kochanko, pozwól wypróbować moich pistoletów? — Ale ta porwała drugi pistolet na skrzynce leżący, i odwiódłszy kurek: – Słuchaj, Karolku — mówi — jeżeli mi korka wybijesz, to ci natychmiast takim sposobem pas rozwiążę. — Pan strażnik myślał, że żartuje, pal do pięty imości — w sam korek — on z pistoletu ubiłby muchę na nosie niedźwiedzia; ale pani strażnikowa nie wiele myśląc, jak da ognia ze swego, w samej istocie pas mu rozwiązała. Pan strażnik pochwalił zgrabność żony i rączki jej ucałował, ale odtąd rozejm zrobił z jej korkami. Tak dobrane małżeństwo nie mogło się wzajem nie miłować; ich pożycie nawet za dawnych czasów było do przykładu. To kiedy pani strażnikowa pożegnała męża, powiwszy mu jedyną córeczkę, mąż ledwie że nie zupełnie rozum stracił z żalu, i gdyby nie wielka jego wiara, byłby sobie życie odebrał; łbem tłukł o ściany, rady dać sobie nie mógł. Więcej roku, okrom swojego plebana, nikomu się nie dał widzieć; nawet był brodę sobie zapuścił, a tak zaniechał gospodarkę, że gdyby byli takiego sposobu myślenia co dzisiejsi, majątek w puch rozbitymby został. Zgoła tak zdziwaczał, że familija nieboszczki już zabierała się do odezwania względem opieki nad dzieckiem i majątkiem, a majątek był pański, bo już z siebie przestronny, bez wielkiej pracy sam wzrastał. Nakoniec ocknął się pan strażnik ze swej melancholji, testament jak się należy sporządził, opiekunem nad sobą i majątkiem dziecka zrobił pana podkomorzego Rejtana, zostawując sobie sto tysięcy do wolnego rozporządzenia, a sam wstąpił w Wilnie do nowicyjatu jezuitów. Tam, jak mu ogolili brodę i wzięli na refleksyję, jakoś się upamiętał; bo największy żal się umityguje przy prawdziwej pobożności i perswazyi ludzi roztropnych. Wszakże ja sam więcej jeszcze miałem powodu rozpaczać po mojej Magdusi; bośmy z nią doświadczyli pospołu nie małych ucisków, pokądeśmy do dobrego mienia nie przyszli; a wiadomo, że związki serca więcej się ściskają wspólnictwem niedoli, niż pomyślności. Przedsię dusza przepełniona goryczą, znalazła nakoniec tyle siły, by Bogu ofiarować swój pocisk, a tem samem bez jakiejś pociechy nie została odprawioną.

Tak pan Ryś, po gwałtownym żalu, tyle się upamiętał, iż nawet poznał, że nie był powołany do zakonnego żywota, ale, że na świecie wedle woli Bożej miał szukać zbawienia. Jakoż sami ojcowie jezuici przekonali go, że ani zgromadzenie z niego, ani on z surowości reguły pociechy mieć nie będzie. Ba, gdyby tylko w stanie duchownym chrześcijanin mógł być zbawiony, toćby świat za lat kilkanaście się skończył, albo-li odrzec się wypadało obrządku łacińskiego przy piastowaniu świętych obrzędów. Toć dopiero, gdyby bisurmanie napadli, niktby się od jassyru nie uwolnił, bo kim tu się bronić? A nakoniec, że odkąd świat stoi, inaczej się dzieje, więc dowód oczywisty, że wola Pana Boga, aby inaczej się działo. Dość, że pan Ryś, że był wspaniałomyślnego animuszu, stem tysięcy nadawszy nowicyjat Wileński, aby go na świecie modły ojców nie opuszczały, wrócił sobie znów do obszernego majątku; a habit zawiesiwszy na kołku, *de noviter* wdział na siebie kontusz rycerskiego stanu, i do dawnej wykwintności stroju po-

wrócił, ugęszczając dwór nieświeżski, którym już władał książę Karol Radziwiłł, świeżo po śmierci wyniesiony na województwo Wileńskie. I tego pana szczególne a spadkowe łaski uzyskał, nie tylko przyjemnością obcowania, ale daniem dowodów niepospolitej przychylności. Bo wkrótce śmierć króla Sasa nastąpiła, a gdy konfederacyja, w czasie bezkrólewia zawiązana, karząc księcia Karola przychylność dla dworu saskiego, odsądziła go od województwa wileńskiego i od wszelkiej własności, jako nieprzyjaciela kraju, książę po zagranicznych ziemiach się tułając, oprócz kosztownych sprzętów, co je wywiózł na prędce, nie miał innych dostatków, okrom serc swoich przyjaciół. A te go nie zawiodły, bo każdy wedle swej możności o jego potrzebach pamiętał. A pan Ryś był z liczby tych, co się najszczególniej odznaczyli, bo na swoje dobra dwakroć sto tysięcy zaciągnąwszy, całkowitą kwotę odesłał księciu do Włoch, chociaż zbyt śliska była nadzieja odebrania kiedykolwiek swojej należytości. To też książę z biegiem okoliczności, gdy wrócił do obszernego dziedzictwa i do kraju, najściślejszą poufałością wywiązał mu się z tak sowitych dowodów przyjaźni; bo czemże innem mógł swoją wdzięczność okazać możnemu obywatelowi, któremu już wówczas rachowano około dwóchkroć intraty? Dość, że pan strażnik, mając jedynaczkę, a nadto miłując pamięć żony, by w powtórne związki dać się wpętać, sprowadziwszy *madamę*, chociaż francuzkę, ale bardzo roztropną, na nią zdał wychowanie panny strażnikównej: ba, nietylko wychowanie, ale cały dom, a sam ciągle w Nieświeżu bawił, kiedy niekiedy dojeżdżając do rozmaitych swoich dóbr, dla dowiedzenia się naprędce, co się w gospodarce dzieje, szczęśliwie natrafiwszy na sługi, na których mógł się spuścić. A tak sobie hulał z bandą albańską, bądź towarzysząc księciu wojewodzie na łowach, bądź tańcując na często powtarzanych balach zamkowych, bądź wszystkich zadziwiając wykwintnością ubioru. Już za mojej pamięci, bywało, czy wieczory bachusowe, czy na święty Karol, czy na jaką galę, nikt się najprzód dowiedzieć nie może, jak ma pan Ryś wystąpić; a jak wystąpi, zawsze na nim coś nowego i nieprzewidzianego. To dopiero naśladują go wykwintnisie, bo kto z niego nie brał wzoru, tego nasze szlachcianki i panie nie miały za gustownie ubranego; zgoła, on był twórcą mód nieświeżskich. Pinduszki, cośmy wszyscy zaczynając od samego księcia wojewody więcej dwóch lat nosili, były jego wymysłem. Otóż z powodu bierzmowin młodego księcia Hieronima, którego książę wojewoda był bratem i opiekunem, gdy miała być uczta i tańce w Nieświeżu, wszyscy ciekawi byli, jak wystąpi pan Ryś; bo wiedziano z doświadczenia, że w podobnych okolicznościach umiał zawsze coś wymyślić. Modnisie nieświeżscy, jak pp. Michał Rejtan, Leon Borowski, Piotr Wiażewicz i inni, starali się mieć to, co i on na sobie, ale zawsze napróżno, bo wszystko umiał w sekrecie zachować, a nie było sposobu jego szatnego podkupić, raz, że był szczerze przywiązany do swego pana, powtóre, że obawiał się go jak ognia.

Otóż nie wiem jakim sposobem ksiądz Krzysztof Szukiewicz, nauczyciel książęcia Hieronima, dowiedział się, a to w sam dzień bierzmowin, że pan Ryś miał wystąpić na wieczorne tańce w butach z najpiękniejszego żółtego atłasu, które na sprzążeczce miały być ściśnione poniżej kolan, aby mu gładko leżały z pod kusego kontusza. Namówić jego współzalotników w wykwintności, by w podobnem obuwiu wystąpili, było zapóźno, gdyż nie było czasu podobnych sporządzić, ale ksiądz krotofilny robi mu następną psotę: między pokojową szlachtą księcia wojewody, był pan Tadeusz Scypion, ze starożytnego domu, bo aż od dawnych konsulów rzymskich wyprowadzał swoję prozapię, ale tak ubogi, że jego matka żyła na gruncie nieświeżskim z ordynaryi, co jej oznaczył książę, zawsze protektor podupadłej szlachty, — a pan Ta-

deusz utrzymywał się ze szczupłej laffy, co ją jako pokojowy pobierał. A że miał piękną rękę, że jego pismo za istny sztych uchodzić mogło, bywało pisze supliki do księcia od poddanych bojarów, żydów i innych podwładnych, z czego miał siaki taki przychód. Ale grosz grosza nie dopędzał, bo trzeba było codzień odziewać się przyzwoicie, a ubogą matkę czem mógł tem wspierał, gdyż to był całą gębą poczciwy i szlachetny chłopiec. Już od kilku miesięcy szły mu interesa pomyślniej, bo książę, upodobawszy sobie jego pisanie, zlecił mu uczyć księcia Hieronima formować charakter, czem miewał codziennie stosunki z księdzem Szukiewiczem. Nietrudno było nakłonić do figla dziewiętnasto-letniego chłopca, zwłaszcza takiego, co w wesołości celował; z namowy więc księdza, kiedy goście i domownicy zaczęli się zbierać na wieczorne asamble, pan Scypion w przedpokoju między liberyją schowany, uzbrojony kwaczem i garnkiem napełnionym dziegciem, czatował na pana strażnika, jak wyżeł na dubelta. Wchodzi nareszcie pan Ryś z miną gęstą, cały lśniący się od złota i szkarłatu; jedna ręka oparta na karabeli w jaszczur oprawnej, druga przy prawym boku pieszcząca kwast od czapki; łeb do góry zadarty, — a tu przy podwojach pan Scypion kwaczkiem bryzg, bryzg po butach, że natychmiast pstrokatemi zostały. Pan Ryś, nie widząc co się przy nogach dzieje, dalej sobie do sali tak oświeconej, iż jaśniej było niż wśród dnia i wita się w prawo i w lewo, a nizko skłoniwszy się księciu, dawaj koperczaki stroić do dam, zaczynając od sióstr książęcych. Wtem słyszy w około siebie śmiech; nie wie, co to znaczy. Aż JW. generałowa Morawska, siostra księcia wojewody, do której właśnie się wdzięczył, odzywa się:—Mój strażniku, co to koło ciebie dziegieć tak swędzi? czyż tobie na inne perfumy nie wystarczyło? — Pan Ryś zmięszawszy się, spuszcza oczy; ale jak spojrzy na swoje buty, desperacyja! Pobladł ze złości i wstydu, bo o ubiór tyle dbał, ile o skórę własną i tak się zaciął, że słowa jakby skrzepłe z gardła mu wyjść nie mogły; nakoniec odezwał się:—Kto mnie ukrzywdził?—A wszyscy jeszcze w większy śmiech; książę aż płakał ze śmiechu, patrząc na Rysia. Nakoniec tak się rozzłościł, że niech mu Bóg nie pamięta, co wygadywał: — Biada temu, co mnie obraził! Z pod ziemi go wydobędę! Jeśli to się zatai, to jakem *Sodalis*, bodajby cały Nieśwież miał przejść przez moje ręce, z każdym będę się strzelał i rąbał, pokąd nareszcie trafię na dziegciarza — tym podobne niedorzeczności; a co więcej się gniewa, to większy koło niego śmiech, że nakoniec od stóp do głowy trzęsąc się, jakby na niemoc św. Wita zachorował, zniknął z sali, zawsze odgrażając się na wszystkich, czem nietylko iż nie zmięszał kompanii, ale w trójnasób jej wesołość powiększył.

Ale nazajutrz, jak zaczął robić kwerendy, nie wiem jak, ale się dowiedział, że to wszystko była sprawa księdza Szukiewicza i pana Tadeusza Scypiona. Do księdza nie było sposobu czepiać się, bo ksiądz nie dobędzie korda, którego nie nosił, ale za napaść może wystąpić z klątwą, od której ani krzyżową sztuką, ani młyńcem się nie zasłonić; ale całkowitą złość ku panu Tadeuszowi obrócił i na dziedzińcu zamkowym napotkawszy go, w obliczu prawie całego dworu okropne wymówki zaczął mu robić. Pan Tadeusz z początku przyjął je z pokornem sercem i powiedział: — Ja sam znam, że młodszy starszego, a prosty szlachcic urzędnika zbytnią konfidencyją obrażając, podrwiłem głową, i za to najuniżeniej przepraszam, bo cóż więcej mogę uczynić? Nie jest w mojej mocy cofnąć, co już się wykonało. Odpuść-że mi, panie strażniku, swawolę dla miłości Boga, a ja panu uszkodzone buty i odsłużę i odmodlę. — Ale na to pan strażnik zapamiętały: — Mnie nie o buty chodzi, ale o śmiech ludzi, coś na mnie ściągnął; ja twoich modłów i posług nie potrzebuję, na twoją skórę mam chrapkę, a że jej tobie nie wytatarowałem dotąd, to dziękuj mojemu umiarkowaniu, że pod bokiem pierwszego se-

natora naszej prowincyi burdy nie chcę robić; ale życzę ci, gałganie, jaknajdłużej trzymać się klamki książęcego dworu i z Nieświeża nie wyjeżdżać, bo dzień, w którym przestaniesz być sługą księcia wojewody, będzie wigilią tego, w którym pięćset łóz dostaniesz.— Dopiero pan Scypion uczuł, że nie cygańska, ale stara szlachecka krew po jego żyłach krążyła. — Jak ty śmiesz — odezwał się — batogami straszyć szlachcica, co nie twój chleb je? Żeś się wzniósł fartuszkowym majątkiem, to już myślisz, że tobie wszystko wolno? A przypomnij-no sobie, że twój ojciec garbował tobie skórę przy swoich organach, kiedy mój był namiestnikiem kawaleryi narodowej, gdzieby ciebie może na luzaka nie przyjęto. Ażebym ci dowiódł, że twoje pogróżki lekce sobie ważę, to choć kawałka chleba nie mam, zaraz księciu panu podziękuję, i ciebie zmuszę, byś się stawił, jak przystoi temu, co się mieści w stanie rycerskim; a jeżeli nie staniesz, zaniechawszy ostrzyć zęby na moją sławę, toć plac ostrzelam, ogłoszę ciebie po całej Litwie za infamisa, a potem od zaścianka do zaścianka, choć pieszo chodzić będę i powiem szlachcie, że zaufany w pieniądze co Pan Bóg dał, dawniejszemu od siebie szlachcicowi batogami grozisz, chleb mu odebrawszy, i wszyscy pójdą za mną, bo w mojej osobie całą ubogą szlachtę pokrzywdziłeś. — Pan strażnik porwał się do niego, ale my nie dopuścili gwałtu. Pan Tadeusz w istocie poszedł do księcia i tam padłszy mu do nóg, opowiedział mu całą rzecz i podziękował za służbę, tłómacząc się, że dobra sława, która mu składa całkowitą ojcowiznę, nie pozwala mu służyć księciu, póki nie odwetuje swojej krzywdy; o czem nie trudno było przekonać księcia, tak ćwiczonego w szlacheckich prawidłach. Książę się rozczulił, patrząc na tak uczciwy sposób myślenia młodzieńca i na dowód, że jego usługi były mu wdzięczne i pożyteczne, najpiękniejsze mu świadectwo podpisał i kazał mu odliczyć parę tysięcy, jako *de servitu merces*, z zapewnieniem, iż o jego matce pamiętać nie przestanie; a choć przyjął na siebie postać, jakby o niczem nie wiedział, jednak panu Michałowi Rejtanowi, powiedział: — Powiedz, panie kochanku, panu Karolowi, że wiem o wszystkiem i że wolałbym, by się po rycersku nie rozprawiali. Ale niech i tak będzie: kto chce niech wojuje orężem, a Panu Bogu zda liczbę, jeżeli niesłusznie; mnie nic do tego, kto jednak ukrzywdzi Scypiona na sławie, zapomniawszy o jego szlachectwie, ja to za moję własną krzywdę poczytam, bo sam jestem szlachcicem; a jeżeli kto się odwoła do nahajów, dufając że mocny, to i ja nie słaby. — A posławszy po księdza Szukiewicza, powiedział mu: — Waszeć biedy narobił, starajże się to odrobić. Perswazyja pana Michała Rejtana, a zapewne i głos sumienia, przekonały pana strażnika, że zaniechał myśleć o pokrzywdzeniu pana Scypiona, ale z niecierpliwością czekał wyzwania, bo czując się być upokorzonym, okropnie się zawziął. Jakoż niedługo czekał, bo pan Scypion, udawszy się do pana Borejki porucznika chorągwi księcia wojewody, który z jego ojcem kilkanaście lat kolegował, kiedy obaj byli towarzyszami, i przed nim objaśniwszy się do najdrobniejszych szczegółów, uprosił go, by raczył od niego kulkę zanieść panu strażnikowi. A pan porucznik, nie odmawiając kolegi synowi tej posługi, poszedł z poselstwem swojem do niego, a że miał z nim dawną zażyłość, a do tego był człowiekiem dojrzałym, walecznym i w podobnych wypadkach doświadczonym, nie zaniedbał mu przekładać, iżby najprzyzwociej było, by pan Scypion, jako już go raz publicznie przepraszał za psotę, tak i powtórnie swe kroki do pojednania powtórzył, do czego ma nadzieję go nakłonić, byle ze strony swojej pan strażnik dał słowo, że da się przeprosić, przepraszając wzajemnie za czynione mu z uniesienia mocnego nieprzyzwoite wymówki i odgrażania; a że potem uściskają się, nie dopuszczając wspólnego a ciężkiego grzechu, by za buty, chociażby atłasowe, krew chrześcijańska i szlachecka przelewać się miała. Ale

pan strażnik kulę przyjął, a o niczem więcej mówić sobie nie dał. Gdy układali się o czas, miejsce i sposób, w jaki to wszystko miało się odbyć, nadszedł i ksiądz Szukiewicz, którego, lubo z sercem kwaśnem, jednak z powierzchownością dość uprzejmą przyjął pan strażnik; i ten zaczął perswadować, by z niewinnej swawoli, do której sam przyznał, iż był pierwszą sprężyną, nie doprowadził do następstw krwawych, ze zgorszeniem ludzi pobożnych, z obrazą Pana Boga. Ale mu przerwał pan Ryś mowę temi słowy: — Roboczy z waszeci człowiek, iż codzień czytając mszę świętą i odmawiając swoje pacierze, a do tego dozierając księcia hetmanowicza, by się dobrze uczył, a nie swawolił, aby kiedyś miała z niego pociechę rzeczpospolita, jak ją zawsze miała z jego przodków, jeszcze znajdujesz dość czasu, by nademną rozciągać nieproszoną opiekę. Chociaż nie czuję się być winnym zdawać przed waszecią sprawy z moich postępków, jedynie przez grzeczność powiem mu, że mam Scypiona za uczciwego chłopca, choćby dla tego że mnie wyzwał, tak dalece, że gdybym miał syna, cieszyłbym się, widząc go we wszystkiem do niego podobnym, bo co prawda to prawda. Tem samem, że mu staję, dowodzę, że go szacuję; ale żebym się uchylił od pojedynku przeprosinami, tego nie doczeka. Co się powiedziało, czy to było źle, czy dobrze, to do mnie należy; a jako od urodzenia nigdy z bojaźni nie cofnęło się, co już się raz wyrzekło, tak też nowego trybu życia nie przyjmę, kiedy wiek nieco czuprynę przyprószył; a zatem, mój miły księże, wracaj do swego brewiarza, bez obawy, bym ci przeszkadzał go odmawiać mojemi radami. — Panie strażniku dobrodzieju, wybaczaj, że się do tego nie przyznaję, bym w cudzą rzecz się wtrącał, bo nietylko powołanie moje do tego mnie zmusza, ale każdy chrześcijanin powinien ująć się za zniewagę praw kościelnych i boskich; dość pierwszy katechizm otworzyć, a tam znaleźć można, jak Pan Bóg uważa mężobójców. — Tylko proszę, mój księże, nie uczyć mnie katechizmu. Z łaski Pana Boga i świętej pamięci ojca mojego dość jestem nauczony; a więcej roku będąc w nowicyjacie, może dziś jeszczebym i kogoś nauczył. Wiem co kapłanowi, a co człowiekowi rycerskiego stanu przystoi. Bić się na wojnie po żołniersku, albo w pojedynku po szlachecku, to inna, a zdradą kogo kozikiem zakłuć, to znowu inna. Ja dobry katolik, a do tego Sodalis; przy łasce Pana Jezusa i Najświętszej Panny, w czem się należy, nie przeskrobię. Wiem, że nie turczyn, nie żyd, nie pies się pojedynkuje, jako chrześcijanin i szlachcic; zresztą nie ja wyzwałem, ale mnie wyzwano, a zatem ruszaj sobie ze swojemi kazaniami do pana Scypiona, wszak on i pierwej twojej rady słuchał, a jeżeli pozwolisz mi wywzajemnić radą, toć życzę i jemu dać pokój, bo że książę wojewoda waszeci dobrze płaci, toć nie na to, byś nas doglądał. — Więc pan strażnik klątwę za nic sobie ważysz? bo i dzieci wiedzą, że czy kto ofiaruje, czy przyjmuje wyzwanie, ten pod klątwą kościelną. — To już z nowego bicza trzasnąłeś; szczęście, żeś nie na półgłówka natrafił; a wiesz o tem, że ja twojej klątwy się nie obawiam, a co się tyczy kościelnej, z łaski Pana Boga nadto się wywiązałem Kościołowi, by miał mnie od siebie odłączać. Bo gdyby waszeć w chleb kościelny opatrzono, na tyle tylko, ilem Kościołowi wyświadczył, nie miałbyś już bakałarzować, co się nie mówi, jakby się żałowało, co się zrobiło. I owszem, da się jeszcze więcej swojego czasu, ale dla tego, by dowieść, że bredzisz. Na sam nowicyjat wileński, zkąd wychodzili księża z trochę większem zdaniem niż waszecine, sto tysięcy odkazałem i odliczyłem. Nie z fartuszkowego majątku, jak śmiał szczekać ten śmierdziuch Scypion, do którego to nie należy (dam ja jemu fartuszkowy majątek), ale z własnej mojej krwawej pracy. Ex-jezuici mnie nie dadzą zaginąć dla tego, iż nie wierzę, że Pana Boga wola, bym się zbłaźnił; oto pokój! A niech ksiądz pan, czy pan ksiądz, przyjmując moją prośbę, by te nawiedziny ukrócił, bo nie mam

czasu dłużej mu służyć. — I tak księdza odprawił z niczem.

Pan strażnik nie szukał sekundanta na dworze nieświeżskim, bo pomiarkował, że żaden z nas nie był rad pomagać przeciw koledze w istocie pokrzywdzonemu, za którym wiedziano, iż książę nasz pan się oświadczył. Wezwał więc pana Moniuszkę, majora pułku wielkiej buławy Litewskiej, godnego i zasłużonego męża. Ten z panem Borejką umówił plac i warunki pojedynku, który się odbył nazajutrz, na obszernem błoniu między Kleckiem i Dunajczycami. Wielu naszych udało się na to widowisko: bo pan Tadeusz nas wszystkich zaprosił, by być świadkami, jak nasz niegdyś kolega umie swojej krzywdy dochodzić, mimo siebie puszczając, iż sprawa była z takim, co miał i lwie serce i lwią siłę. Wedle umowy mieli walczyć konno, każdy z jednym pistoletem w ręku i z szablą na temblaku; gdyby ogniste bronie zawiodły, szabla miała ostatecznie rzecz rozstrzygnąć. Jak się zjechano, broń ponabijano, a zapastnicy siedli na koń. Jeszcze po raz ostatni usiłowano ich pojednać, ale gdy obaj oświadczyli, że przyjechali na plac bitwy, a nie na plac mowy, sekundanci rozstawili ich o pięćdziesiąt kroków jednego od drugiego. Pan Moniuszko przeżegnawszy się, powiedział: — Protestuję się przed Bogiem i przed wami bracią szlachtą, że nie z powodu jakiej niechęci przeciw panu Scypionowi, ale dla tego pomagam tu W. strażnikowi Rysiowi, iż on zostawszy wyzwanym, a nie będąc wyzywającym, prosił mię o to; jako szlachcic i żołnierz nie mogłem przyjacielowi rycerskiej posługi odmówić; a że chciałem strony do zgody nakłonić, że ku temu żadnej usilności nie zaniedbałem, biorę was wszystkich za świadków. Gdy więc przychodzi do bitwy, do której końca winienem asystować, proszę was wszystkich o przyczynę do Pana Boga, aby nie obciążał sumienia mojego tą krwią, która się dziś przeleje. — A pan Borejko także przeżegnawszy się, do nas tak przemówił: — Lubo jestem obrońcą strony wyzywającej, protestuję się przed Bogiem i wami bracią szlachtą, że wpływając do tego pojedynku, to czynię nie przez brak miłości bliźniego, ale jedynie, aby pomagać synowi nieboszczyka mego kolegi, w przekonaniu, iż został skrzywdzonym. Że jednak nie dopuściłem pojedynku, aż wyczerpawszy wprzód wszelkie środki godziwe do pojednania stron, biorę was także na świadków, i upraszam was wszystkich przytomnych, byście takowe świadectwo mnie przynieśli na ostatnim sądzie, a teraz westchnęli przynajmniej do Pana Boga, aby mojego uczestnictwa za ciężki grzech nie poczytał. — A potem, za danym znakiem, obaj zapastnicy przeżegnawszy się, cwałem na siebie natarli; bitwa i przez jedne *Zdrowaś Maryja* nie trwała, bo gdy pistolety dały ognia bezskutecznie, do pałasza się porwali. Pan strażnik został zadraśnięty po ramieniu, jakby piórkiem; ale jak palnął szablą na odlew po ręku pana Tadeusza, ręka z pałaszem padła na ziemię, a w chwil kilka, z bólu omdlawszy, sam się obalił z konia. My wszyscy pobiegli do ratunku, a mieliśmy z sobą lekarza z Klecka na wszelki wypadek; ledwośmy go ocucili, że trochę przytomności odzyskał; potem zawieźliśmy go do Klecka z obandażowaną ręką, by tam go ulokować u lekarza, który się podjął już nie wrócić ręki, bo ta aż w dzień ostatniego sądu wróconą mu będzie; ale choć przy tak ciężkiem kalectwie życie mu zachować. Ale jako do tej chwili gorszył nas pan strażnik swoją zaciętością, tak nas zbudował potem czułością: załamywał ręce na placu, ukląkłszy przed biednym Tadeuszem i z oczami zalanemi łzami błagał go, by mu odpuścił swoje nieszczęście. Sam osiadł w Klecku u lekarza i pokąd trwała niemoc pana Scypiona, na krok go nie odstąpił, wszelkie posługi mu czyniąc, jakby jaki pachołek.

H. Rzewuski (p. t. I, str. 10).

Rywale.

Dwóch młodych dowcipnisiów, którzy w jednej kochali się pannie, nie przestawali złośli-

wemi dręczyć się ucinkami; jednemu z nich w tańcu spadły okulary, drugi je podniósł i czekał, aż skończyli mazura; natenczas widząc, że jego rywal rozmawia z przedmiotem ich miłości, przystąpił do niego i rzekł z szyderskim uśmiechem, oddając mu okulary:

— Mój przyjacielu, zgubiłeś oczy.

Na co mu tamten pocichu odpowiedział:

— Jeszcze ich nie zgubiłem, kiedy widzę, jaki mi głupiec je podaje.

(*„Humorysta Warszawski.”*)

Rywalizacyja w biedzie.

— A to mię los prześladuje, niech licho porwie — rzecze student do drugiego — nie mam już i zegarka!

— Wielka mi historyja — odpowiada kolega — ja nawet nie mam kamizelki, na którejbym mógł zegarek zawiesić.

(*Flieg. Blät.*)

Rządca.

Pewien niezamożny rządca wysłał syna swego do szkół miejskich, ponosząc wszelkie koszty pieniężne na jego utrzymanie.

Ale syn tak skąpo był żywiony na stancyi, że napisał do ojca z prośbą o podniesienie pensyi, gdyż „te pieniądze nie wystarczają na koszty, ale zaledwie na kosztowanie...”

Rzeczpospolita.

Rzeczpospolita i żona przez dwóch źle bywa rządzona.

Rzemieślnicy.

Krawiec widzący świętych odzianych w ko-[ściele,
Prawi drugim: że wszyscy w niebie nie o wiele
Będziemy, szewc i kuśnierz pewnie chybią nie-[ba:
Święci boso, bez czapek, — krawców im po-[trzeba.

Wacław Potocki. (p. t. I. str. 13.)

Rzeźnik.

* *Wyjątek z listu rzeźnika do swego kolegi.*

„*Nogi* odchodzą jako tako, kupujący najwięcej cisną się do *żeber*, *główki cielęce* jak zwykle dobry odbyt mają, choć nie są w cenie. *Woły* trzymają się ostro, *świnie* mają jednakowe szczęście. *Flaki* z powodu wojny nieźle odchodzą, za to na *ozory* pokup mały. Dobre *polędwice* i *szynki* posiadającym przynoszą piękny rabat, choć przy ogólnym upadku *kiełbas* można się i o tamte produkta obawiać i t. d.



Sachs Hans.

Na jednej z nędznych uliczek Wiednia, w małym i nizkim domku mieszkał w pierwszej połowie bieżącego stulecia szewc, znany pod nazwą „zrzędy.”

Chudy, mały, z latającemi jak żywe srebro oczami, majster Ruprecht był jednym z ludzi, co to wszystko widzą, co się w koło nich dzieje, wszystko ganią, we wszystkiem racyję mieć chcą.

Wiecznie ruchliwy i niespokojny, nieraz dziewczętom, wracającym od studni, wiadra wytrącał i sam jak pudel się oblał, a potem zrzędził, że wody nosić nie umią.

Przy warsztacie tak tratwą wywijał, że raz jednego z pomocników w brzuch uderzył, poczem biedak długi czas chory leżał. Żaden z czeladników dłużej miesiąca u niego nie wytrwał, a choć najlepiej się sprawiał, zawsze był łajany i ganiony.

To mu ściegi były nierówne, to trzewik jeden dłuższy od drugiego, to jeden z obcasów za nizki.

Rano, gdy córka rozpaliła ogień, leciał boso do kuchni, krzycząc:

— Głupia dziewczyno, czy dom chcesz spalić? czy wołu piec będziesz, czy to drzewo darmo dostajesz?

Widząc dziewki, pracujące u studni w dziedzińcu, mruczał:

— To mi dopiero leniuchy, zebrały się na gawędę, a robota ani im w głowie, jak one mydło marnują, a wszystko z próżniactwa, bo im rączek szkoda.

Gdy zobaczył idąc nlicą nowo-budujący się dom:

— To mi to budowanie — wołał — ni to wyschnie, a potem z wilgoci człowiek musi chorować.

Do cieśli krzyczał:

— Nie mądra robota wasza, nie tniecie podług sznura, czy myślicie, że ta belka jest prostą? wszystko to kiedyś na głowę wam się zwali.

Wtem ujrzał wóz wapnem napełniony, więc ku niemu poskoczył:

— Głupi chłopcze — czy ci nie wstyd młode konie do takiego ciężaru zaprzęgać, obaczysz, że ci padną na miejscu.

Gdy wrócił do warsztatu, czeladnik podał mu uszyty but.

— Co u dyjabła — krzyczał — czy sto razy nie mówiłem, że się tak butów nie rozcina. Kto kupi obuwie, w którem nic nie ma, prócz podeszwy.

— To ten sam, który pan majster ukroił — tłómaczył się czeladnik — wczoraj jak pan pobiegł łając krawca z przeciwka i uczyć, jak ma szyć spódnicę, upuścił pan ten but, a ja go podniosłem.

I aniołowie w niebie nie dogodziliby mu nawet.

Pewnej nocy śniło się naszemu majstrowi, że umarł i szedł do nieba.

Przybywszy, zapukał do drzwi. Św. Piotr zobaczywszy go, powiada:

— To wy, panie majstrze; no, wpuszczę was, ale pamiętajcie nie zrzędzić, bo może być źle z wami.

— Zbyteczne ostrzeżenie! — odburknął szewc — czy to ja nie wiem, co gdzie uchodzi. Spodziewam się, że u was wszystko porządnie idzie i że nie będzie co ganić.

Zdjąwszy czapkę, spacerował po niebieskich apartamentach, obejrzał wszystko i nieraz pokiwał głową, ale milczał.

Ujrzał dwóch aniołów niosących belkę wyjętą z oka człowieka, co to widział słomkę w oku bliźniego, nieśli ją wszerz, zamiast wzdłuż.

— Czy widział kto taką głupotę — myślal szewc, jednak milczał. — Co prawda, wszystko mi teraz jedno, jak ją niosą, byle nie potrącili kogo.

Następnie zobaczył dwóch aniołów, czerpiących wodę ze studni i lejących ją na beczkę bez otworu, tak, że spływała po bokach — napawali oni deszczem ziemię.

— Do kata — mruczał — ładną sobie wymyślili zabawę. Zresztą nie dziwię się, że takiemi głupstwami się bawią, bo o ile zauważyłem, same tu mieszkają próżniaki.

Wkrótce potem zobaczył powóz ugrzęzły w rowie.

Nadszedł anioł i zaprzągł dwa konie, na co szewc pomyślał:

— Dwa konie nie wyciągną powozu, tu trzeba co najmniej cztery.

Wtem wszedł drugi anioł, prowadząc dwa konie, które przyprzągł z tyłu.

Tu nasz majster stracił cierpliwość.

— Jesteście do niczego, osły!—zawołał.— Czy kto widział, żeby tak do powozu zaprzęgać? Czy myślicie zarozumialcy, że umiecie co lepiej jak drudzy.

Chciał dalej zrzędzić, ale św. Piotr uchwycił go za kołnierz i w mgnieniu oka wyrzucił za drzwi.

Dojrzał jeszcze tylko, że skrzydlate konie powóz w górę uniosły, poczem drzwi się z trzaskiem zamknęły.

W tej chwili zbudził się.

— Prawdę powiedziawszy — rzekł — nie osobliwie w tem niebie wszystko idzie, trzeba więc nie jedno na ziemi wybaczyć. Ale czy kto widział takie rzeczy, żeby konie z tyłu i z przodu do powozu zaprzęgać. Wprawdzie one miały skrzydła, ale ja ich na razie nie widziałem. *)

Safanduła.

* Napoleon I-szy niezadowolony z listu odebranego z Wiednia, rzekł do Maryi-Ludwiki:

— Twój ojciec jest wielki safanduła.

*) Opowieść ta wyjęta z poematu Hansa Sachsa minesängera XVI stulecia.

Cesarzowa nie znając dobrze języka przybranej swej ojczyzny, nie zrozumiała tego wyrazu, a nie chcąc się z tem wydać przed cesarzem, zapytała poufnie jednego z wyższych urzędników, co to jest safanduła („ganache”), opowiedziawszy przytem, w jakiej okoliczności cesarz użył tego wyrazu.

Tak zagadnięty niespodziewanie dworak, jąkając się, powiada nareszcie, że safanduła, jest to człowiek wysokiej wartości co do rozumu i dobrej rady.

Cesarzowa zachowała w pamięci tak wyraz powyższy, jak i jego mniemane znaczenie, a w kilka dni potem przewodnicząc w radzie państwa, gdy dyskusyje zaczynały być zbyt żywe wbrew jej życzeniu, odezwała się do Cambaceres'a, który siedział obok niej, nie mięszając się do niczego:

— Proszę, przybądź pan na pomoc w tej ważnej kwestyi, objaw swoje zdanie, a przyjmę je jako wyrocznię, gdyż mam pana za pierwszego i najlepszego „safandułę w cesarstwie.”

* *O pochodzeniu i znaczeniu wyrazu „Safanduła”.*

Rzecz naukowo-romantyczna.

Dziś jejmość pani, najdroższa połowa mego życia, a inaczej mówiąc, moja małżonka, powiedziała do mnie te słowa:

— Aniele mój — tyś safanduła.

I roześmiawszy się głosem srebrnym jak dzwon, ruchem wdzięcznej gazeli skoczyła do fortepianu, a puściwszy po klawiaturze najzgrabniejsze w Europie paluszki, zanuciła bogatym kontr-altem.

Bo kontr-alt miała bogaty, o bogaty! tak przynajmniej wmawiał we mnie nauczyciel jej, a zarazem przyjaciel mój.

Zanuciła więc:

W miłości jestem bardzo czuła,
Uczucie me daleko sięga,
Lecz tyś, najdroższy, jest ciemięga,
Aniele mój! tyś safanduła!

Tyś sa-a-a-a-a-a-fan-du-u-u-u-u-ła!..

I ciągnęła tego safandułę w nieskończoność, w wieczność prawie, ciągnęła go jakby za uszy.

Głos drżał, dzwonił i trącał w nos stojącego na kominie amorka, ślizgał się po marmurowych policzkach trzech gracyi, zdobiących konsolę, dotknął główki, romansującej bezwstydnie Psychy z Amorem i zniknął w otwartej gębie szpetnego satyra, który połknąwszy wyraz tak ciężki, skrzywił kosmate policzki do bezecnego uśmiechu...

Gniewała mnie ta bezwstydność nagich, jak prawda, mytologicznych postaci, wobec których czułem się skompromitowanym przez rodzoną żonę...

Gniewało mnie to tem więcej, że miałem się za wielkiego pogromcę serc niewieścich i byłem w ścisłych nawet stosunkach przyjaźni z człowiekiem, któremu raz powiedziała zawoalowana piękność.

— Eskewuzet se selebr Bzkalski?

— Uj! madam uj! że...

— Ebię, si wu wule etr here, siuiwe mua...

I poszedł — i był here i pił xeres i zaszczycał mnie swoją przyjaźnią...

A ja? ja zostałem ośpiewany jako safanduła.

Wkrótce ozwał się dzwonek i wszedł pan Gardziołkiewicz, człowiek wysoko salonowy i nauczyciel śpiewu. Powiadali, że niegdyś wykładał taniec w jakiejś akademji zagranicznej.

Pan Bóg to raczy wiedzieć, co do mnie, uważałem zawsze, że ten człowiek miał ogromne zdolności...

Wyjątkowo bogata natura!

Skłonił się grzecznie mojej pani, wydobył ogromny zwitek nut i krzyknął, a ja widząc, na co się zanosi, cofnąłem się do mego gabinetu.

Tam słyszałem przez dwie grube ściany, jak alt zlewał się z barytonem w jakieś zgodne duo i melodyja pełna harmonji unosiła się w powietrzu.

Niekiedy nuty urywały się i przez chwilkę była pauza, mogłem jednak się domyśleć, że każdy śpiewak choćby najpotężniejszym obdarzony głosem, musi chwilami odpocząć, choćby dla wydobycia chustki lub dla odkalsznięcia.

Pogrążałem się w dumaniach, a wyraz safanduła brzmiał w moich uszach złowrogo... bardzo złowrogo.

Jako pedagog, trudniący się od lat dwudziestu kilku konjugacyjami i deklinacyjami, lubiłem się zastanawiać nad niektóremi wyrazami i nad ich pochodzeniem...

Słodki, łagodny wyraz „safanduła”, wyraz, który tak często słyszałem z różowych usteczek drogiej mojej połowicy, zastanawiał mnie i interesował coraz bardziej.

W salonie śpiewano, ja myślałem.

Myślałem o ważnej rzeczy, a mianowicie o tem, czyby nie można napisać uczonego studyjum o znaczeniu wyrazu safanduła.

Zajmowały mnie z tego powodu rozmaite myśli... przyszedłem do wniosku, że samo pochodzenie tego wyrazu jest brzydkie; nie może się on poszczycić bowiem, że powstał na klasycznej ziemi Romy lub Hellady, że przynieśli go kartagińczycy, lub też że jaki mędrzec chaldejski wysmażył go w tygielku mózgownicy własnej.

Nie, podobnego horrendum nie zna ani biblija, ani stare księgi śpiewaka Ilijady, ani pełne dosadności komedyje greckie, ani nie używał go Virgil, Horacy etc.

Wyraz ten powstał w tatarskiej hordzie w końcu XVIII-go stulecia.

Nie jest więc ani klasycznym i ani starym tak bardzo.

Czuć w nim brzmienie brzydkie, brzmienie, które tylko zbiegiem okoliczności dostać się mogło do naszego języka.

Jeden z chanów krymskich nazywał się Safa'd-Dowla.

Był to człowiek, odznaczający się nietrzeźwością, niepracowitością, niewojowniczością i w wysokiem stopniu rozwiniętem obżarstwem i ospalstwem.

Nie było przykazania, przeciwko któremu ów Safa'd-Dowla by nie zgrzeszył, nie by cnoty, którąby się mógł pochwalić.

Ponieważ w owym czasie naszych prapra dziadków z prapradziadkami dzisiejszych ta tarów łączyły blizkie, a nie zawsze przyjemn stosunki, przeto wieść o Safa'd-Dowli doszł aż nad brzegi Wisły; mawiano o nim dużo ja widać, aż nareszcie nazwiska jego używać za częto, jako synonimu gnuśności, rozlazłoś i niedołęztwa.

Wyraz, przechodząc przez tysiące ust, zmie niał się, dopóki nie nabrał dźwięku właściw szego i bardziej mowie naszej odpowiedniego tym sposobem Safa'd-Dowla przekształcił si na Safadułe, a następnie na Safandułę i takim słyszymy go dzisiaj w ustach naszych żon matek i ciotek....

Nie pierwszy to i nie ostatni przykład zaaklimatyzowania obcego wyrazu w mowie naszej.

Wiele jest tych naturalizowanych przybyszów, których na tem miejscu wyliczać nie będziemy.

Każdy jednak medal ma dwie strony, tak też i pochodzenie wyrazu „safanduła” o ile z jednej strony ma źródło dość brzydkie, bowiem w próżniactwie, niedołęztwie i gnuśności poczerpnięte, o tyle z drugiej znowu daje się odnaleźć w cichem szczęściu i spokojnem zasklepieniu się we własnem ja.

Nie jest to czcze przypuszczenie, ani fantastyczna na niczem nie oparta hypoteza: wyrazy arabskie *Safa-dula — znaczą czystość szczęścia*, a bez kwestyi nazwa owego smutnej pamięci krymskiego chana nie zkądinąd, tylko z owych arabskich wyrazów musiała być wziętą.

Przychodzimy tedy do wniosku, że język nasz nietylko, iż nic nie stracił, przyswajając sobie ów tatarski nabytek, lecz przeciwnie zyskał, zdobywszy wyraz, malujący tak dokładnie człowieka, który jest niedołężny i maz-

gaj, a zarazem posiada tyle głupoty, że może na niej, jak na fundamencie kamiennym wnieść gmach własnego szczęścia, które właśnie w niedołęztwie swojem znajduje...

Jest to niezmierna rozkosz być safandułą.

Spojrzyjcie na twarze tych szczęśliwych wybrańców losu: każdy z nich ma kilka okrągłych podbródków i na pulchnem obliczu rozlany wyraz słodkiego zadowolenia... zadowolenia z siebie.

Otóż to są główne rysy artykułu czy uczonej rozprawy, którą mam zamiar napisać, drogiej małżonce mojej przeczytać, później zaś, jeżeli ona zechce na to pozwolić i drukiem ogłosić.

Te szczegóły, które w tej chwili zgromadzić zdołałem, powinny by być dostatecznemi do uformowania wątku rzeczy...

Lecz zdaje mi się, że ktoś wyszedł... śpiew ustał.

Wchodzę do salonu, lekcyja skończona. Gardziołkiewicz już wyszedł.

Anioł mój rozpromieniony jaśnieje szczególnym wdziękiem, na twarzy jej kwitną róże szczęścia... śpiew ją ożywia widocznie...

Wchodzę i ujmuję jej rączki białości oślepiającej.

— Cóż lekcyja?..

— Znakomicie, jestem zachwycona, a śpiewam coraz lepiej.

I znowu ruchem gazelli lub sarenki swawolnej przyskoczyła do fortepianu, a puściwszy po klawiaturze drobne swoje paluszki w wir szalony, wybębniła czternaście straszliwych pasaży, a potem... potem... zaśpiewała znaną mi już zwrotkę:

W miłości jestem bardzo czuła,
Uczucie me daleko sięga,
Lecz ty, najdroższy! tyś ciemięga,
Aniele mój tyś safanduła.

Sa-a-a a-a-a-tan-d-u-u-u-ła!

Pochwyciłem jej rękę i zawołałem:

— Kobieto stój! nie wiesz, co mówisz! Przeczytam ci moją rozprawę.

— O czem?

— O znaczeniu wyrazu „Safanduła."

— Och! mój drogi, nie fatyguj się, znam cię przecież od lat ośmiu.

Tak znakomite dzieło przerwano w samym zawiązku.

Marquis Pureau de Callamache Noir.

Saint-Simon.

Saint Simon chciał poznać świat artystyczny i postawić go w zetknięciu ze światem uczonym, dla lepszego zbadania obydwóch, oraz dla przekonania się, w jaki sposób oddziaływać na siebie będą te tak dwa odmienne rodzaje zdolności umysłowych.

W celu doprowadzenia do skutku tego filozoficznego doświadczenia, pojął najprzód za żonę panią de Bawr, miłą, piękną kobietę, znaną w literaturze z pełnych dowcipu utworów i z jej pomocą otworzył następnie salony towarzystwu uczonych, literatów i artystów.

Przez rok cały zbierały się w domu jego dwa razy tygodniowo wszystkie wybitne znakomitości Paryża.

Zawsze obecny na tych zgromadzeniach, Saint-Simon mało się mięszał do rozmowy, oddając się głównie obserwacyjom; po upływie dwunastu miesięcy taki z nich wyprowadził wniosek:

„Moi uczeni i moi artyści jedli dużo, a mówili mało. Po obiedzie siadałem zwykle w kącie na kozetce i słuchałem... Niestety, nie dosłuchałem się nigdy niczego prócz banialuków... więc usypiałem. — Całe szczęście, że pani de Saint-Simon umiała czynić honory domu z wielką gracyją i dowcipem. — Doświadczenie moje trwało rok cały, z końcem jego pożegnałem żonę i zamknąłem salony. Wydałem sto tysięcy talarów..."

(*Léon Halévy, La France littéraire.*)

Salon.

25 Grudnia.

Pani L. stała przed kominkiem trochę nachylona naprzód, z ożywionem nerwowo obliczem, z uśmiechem na ustach, a co to za uśmiech! Figurka jej zgrabna, wysmukła, ściśnięta czarnym aksamitnym stanikiem. Białe, okrągłe ramię odbijało jasno od czarności aksamitu, a włoski na karku tworzyły małe loczki, ginące pod ciężkiemi warkoczami, wysoko spiętemi złotym grzebieniem.

Cudną była w tej postawie i tym stroju.

Niema prawdziwych wieczorów bez kobiet pięknie wystrojonych, a nie mając sześćdziesięciu tysięcy franków rocznego dochodu, nie podobna się stroić, ani dekoltować. Jest pewien stopień tutaj, tak jak w genijuszu, do którego dojść trzeba, a z którego ustępować nie wolno. Prawdziwa strojna tualeta—to cały poemat. Znać gust i wybór w każdej wstążeczce atłasowej, w jej dobraniu i przypięciu, w jedwabiach różowych, w delikatnym, srebrzystym blasku atłasu, w blado-lilijowych, we wszystkich tych kolorach tęczy, których blask łagodzą osłony gipiurowych koronek, bufki tiulu i falbanki, drżące za każdem poruszeniem.

Ramiona, policzki i szyja znają ten delikatny różowy odcień, podniesiony jeszcze tem puszystem otoczeniem piórek i koronek. To wszystko, co nam pozostaje z dawnej poezyi i one to rozumieją doskonale! Jaki talent, jaki zmysł do wyszukiwania tego wszystkiego, coby najlepiej w oczy wpadać mogło, pieszcząc je przyjemnie; te staniki białe, tak wpadające do figury, te barwy mieniącego się jedwabiu! Przy oświetleniu niepodobna jest ich wieku określić, białość olśniewająca ramion rzuca blaski na zmarszczki maleńkie twarzy.

Wiedzą one dobrze o tem.

Dwie przyjaciołki siedzą tam obok kominka, (są one może przyjaciołkami, bo odbijają dobrze jedna od drugiej).

Pierwsza o wspaniałych, okazałych kształtach, nadzwyczaj wyciętym staniku, bez nieprzyzwoitości jednak, na głowie dyjadem brylantowy, naszyjnik na piersiach, podobnych do blondynek, wyszłych z pod pendzla Rubensa, ubrana w jasno-żółtą suknię jedwabną oszytą falbankami koronkowemi. Wszystko to porusza się i szeleści za każdem poruszeniem. Światło pada na połyskujące ramiona i pozostaje na nich. Obraca zwolna głowę i wielkiemi swemi oczyma spogląda na ciebie śmiało i zimno.

Jej towarzyszka w aksamitnej sukni, wyciętej w karo na przodzie, jak za czasów Henryka IV-go, z bogatem obszyciem koronkowem okala towarzyszkę, jak starożytną kameę.

Rysy jej przypominają córę Judy z dyjademem czarnych, jak kruk, włosów na głowie; na szyi czarny naszyjnik; nad czołem takie same przepaski; bogate włosy spadają na obnażoną szyję, a oczy czarne błyszczą, jak u hiszpanki Kalderona.

Te wszystkie cudne zjawiska dobre są na chwilę, w przechodzie, nie trzeba się nad niemi zatrzymywać, gdyż inaczej urok staje się za silnym, można się zakochać jak w czasach XVI wieku.

Patrząc na nie, wyobrażałem sobie, co się pod temi osłonami ukrywa. Pierwsza, doskonała pianistka zamęcza swego męża koncertami, gamami, ćwiczeniami na fortepianie. Ja zjadam owoc, on musi gryźć jądro nieco twarde. Druga z tych pań żyje ze swym małżonkiem, jak pies z kotem; widują się raz na dzień przy obiedzie; stroje pani są powodem tej niezgody. Przysiągłbym, że dziś jeszcze kłócili się rano. Mają 60,000 franków rocznego dochodu, a sam rachunek szwaczki 1[illegible] tysięcy franków zeszłego roku wynosił. Mąż musiał użyć spowiednika, by wpłynął na tę rozrzutność żony.

Trzeba brać tych ludzi za to, czem są, aktorami i aktorkami; to najzabawniejsze, że płacą, by nam się przypodobać.

Iluzja ta trwa jednak niezbyt długo; wyobrażasz sobie doskonałość, szczęście; schodzisz

ze schodów z głową pełną marzeń: „Frazesy całe z romansu przychodzą ci na myśl," jak powiada Musset; nagle przez okno karety o północy spostrzegasz pieszych ludzi, brnących po błocie chodników i dziwnego doznajesz uczucia.

Niebo czarne ponad jasnemi płomykami gazowych latarni zdaje się ciężyć nad rzeką, jako wieko nad trumną.

Sznur jasnych latarni po dwóch stronach ulicy rozstawiony równo, przypomina pochodnie koło katafalku.

Rzeka bałwani się cicho, chmurna i ponura.

Na jednej z łódek połyskuje światło i rozlega się stuk uderzanych łopatek o bieliznę. To biedne praczki siedzą w wodzie do północy, by zarobić cztery su więcej.

* * *

Powróciłem tam powtórnie, lubię ten dom, niema za wiele osób, bawię się dobrze, nie sztywnie, ale też wiele się rzeczy na to składa!

Najpierw sto tysięcy franków dochodu, potrzeba tego koniecznie, by życie eleganckie prowadzić.

Zbytek jest tu oddawna, od sześciu generacyi bowiem; to też nic nie przypomina parwenijusza. Niema koteryj, ni ambicyi, uciekam jak od powietrza od tych domów, gdzie trzeba dworować i rodzaj katechizmu powtarzać dla przypodobania się gospodarzom.

Pan L. niema urzędu, nie żąda go, niema nawet dzieci, dla którychby szukał posady. Jest to po prostu epikurejczyk, trochę szyderczy, trochę złośliwy, ale niezły w gruncie i wszystko mu się udaje.

Nie ma jak szczęście, najgorszego człowieka dobrym uczynić może. Oprócz tego, jest to człowiek wykształcony, trochę artysta, amator wszystkiego, co piękne i przyjemne, grzeczny i uprzejmy nad wyraz, umie każdemu coś pochlebnego powiedzieć w najdelikatniejszy sposób. Niema on ani zbyt głębokich myśli, ani krańcowych przekonań, ale posiada gust wyśmienity, nadzwyczajny, sposób wysłowienia się poprawny, wyszukany, możnaby śmiało drukować jego słowa.

Urodził się wielkim panem i stworzonym jest na dworaka.

Chce się tylko bawić, ale lubi się bawić wytwornie, lubi używać wszystkich wytwornych rzeczy umysłem, wyobraźnią, oczami, zmysłami. Kucharz jego jest prawdziwym artystą. Nie jada więcej nad cztery potrawy! Nadmiar jedzenia wskazuje parwenijuszów i parafijanów. Nie trzeba na to pozwolić, by goście o dziewiątej wieczorem byli ociężali, najedzeni, jak tuczone indyki i nie zdolni do zabawy. Dziesięć do dwunastu osób wystarcza zupełnie, by towarzystwo przyjemnem uczynić. Zbytnia liczba osób tworzy nieład, tłok, niepodobna poprowadzić ogólnej rozmowy, a dla mnie rozmowa żywa, dowcipna, ubarwiona, jest najlepszym deserem.

Kilka kobiet, potrzebnych do ubrania stołu, jak piękny bukiet; są to kobiety wielkiego świata, śmiałe, a nie wyzywające, taktowne bez pruderyi, umiejące mówić o literaturze, muzyce, podróżach, tonem lekkim, niewymuszonym, wychowane od dziecka w tej atmosferze zbytku i dobrobytu.

Rozmowa się wiąże, rozpada jednocześnie na dwadzieścia przedmiotów przeróżnych, portrety, anegdotki o ludziach politycznych, o kulisowych historyjach i intrygach świata i teatrów, a pośród tego nieustanne pochlebstwa wzajemnie wymieniane, tonem naturalnym, przekonywającym, a tak przyjemnie, że się nawet o ich fałszu zapomina. Jednem słowem, dobry gust na każdym kroku, oto sztuka i sekret prawdziwych przyjemności.

Takim jest francuz i paryżanin dzisiaj, takim był także w wieku XVIII.

Jest to arystokracyja nie tyle rodowa i tytułowa, ile serca, smaku i rozumu.

Wieczorem Andrzej Zschokke grał ze zwykłą werwą i bogactwem uczuć. Po nim siadła do fortepianu młodziutka kobietka, szczupła i powiewna w swej bladej jedwabnej su-

kni. Zagrała walca i nokturn Chopina. Słuchając jej, myślałem pomimowoli, ile to potrzeba było starań i wysileń, by ten kwiat cieplarniany dojrzał w tak krótkim przeciągu czasu. Jakiejż uprawy nadzwyczajnej potrzebowała ta dwudziesto-dwuletnia wyobraźnia, by pojąć do tego stopnia wszystkie marzenia, ideały fantastyczne i niezrozumiałe mistrza i z taką namiętną miłością je oddawać.

Kobieta ta jest cnotliwa, bogata, wychowana pod skrzydłem matki w nieświadomości zupełnej.

Jakimże cudem pojęła to wszystko od pierwszego razu? Delikatne nerwy tych istot zastępują im doświadczenie i naukę. Domyślają się tego, czego my się uczyć dopiero musimy.

* * *

Nie zapominajmy o mieszkaniu; trzeba koniecznie, by odpowiadało całości i harmonizowało z otoczeniem.

Prawdziwy pałacyk starej daty, umieszczony w cichej ulicy arystokratycznej, gdzie same tylko pałace znajdziesz. Nie ma tu sklepów, ani wystawowych okien, nie widać prawie pieszo idących przechodniów zabłoconych; podobne widoki tworzą plamę na cudnych marzeniach przepychu i wygody, do których to ulica Barbet-de-Jony ma słuszną pretensyję. Za każdym z pałaców ciągną się ogromne ogrody, pełne drzew starych, wieś przypominające.

Zachowano tu wielkie stare schody z XVIII wieku, o poręczy żelaznej, wyrzeźbionej, trzy osoby mogą łatwo wchodzić razem po nich, a suknie strojne podług dzisiejszej mody, roztaczają się wygodniej od ogromnych rogóżek naszych prababek.

Przedpokój ozdobiony rozmaitą bronią, chińskiemi wyrobami i innemi ciekawemi okazami, które pan domu poprzywoził ze swoich podróży. Stal jataganów i karabinów połyskuje od promieni wpadającego oszklonym sufitem słońca, a lokaje w liberyjach, galonach i guzach z herbami trzymają się prosto i poważnie, jak hajducy na przedstawieniu.

Wielka sala ma dwadzieścia stóp wysokości; można przynajmniej w niej oddychać, co się rzadko zdarza w Paryżu, a co więcej, oczy nie bolą. Nie ma tu olśniewających złoceń, jaskrawych malowideł, nagromadzonych statui tak, jak u tego milijonera nowej daty, który szuka piękna, ale tworzy tylko zbytek zabijający dobry smak i nerwy.

Tutaj znajdziesz kilka obrazów starych o poważnej treści, kilka portretów wielkich mężów i znakomitych kobiet; gdzieniegdzie oko spoczywa na łagodnym pejzażu. Wszystko tu jest dla uprzyjemnienia życia, nie zaś dla wystawy; rozmawiając, rzucasz mimowolnie okiem na ścianę i spotykasz się ze wzrokiem cudnej wenecyjanki, otoczonej blademi jedwabiami i przymierzającej naszyjnik pereł przed lustrem; dalej uderza cię rama cudnie rzeźbiona w kwiaty i owoce z ciemnego i czarnego drzewa. To wszystko na tle pąsowem tapetów w wielkie jedwabne kwiaty, okalających łagodną barwą te arcydzieła sztuki.

Za tą salą jest salonik przez panią domu urządzony dla młodych panien i dam do odpoczynku; cały biały, wygląda świeżutko, dziewiczo, cienkie brzeżki złote przerzynają sufit, biegnąc po rogach, sztukateryjach i gzymsach w delikatnych arabeskach. Portyjery bladoróżowe, oszyte koronkami, uśmiechają się wdzięcznie; foteliki jedwabne, nizkie, z wyrytemi ręcznie deseniami, giną prawie w miękkim włosie kobierca i czekają niecierpliwie, by objąć w swe ramiona urocze właścicielki maleńkich nóżek, w atłasowe pantofelki obutych. Gdzieniegdzie po rogach pęki liści zielonych wyrastają ze złoconych podstaw i sięgają do sufitu. Kielichy egzotycznych kwiatów otwierają się jak usta spragnione i zdają się połykać rozmowy, półszeptem wypowiedziane różowemi usteczkami młodziutkich panienek.

Wszystko to jest harmonijne, dobrane; całe towarzystwo tak męzkie jak kobiece, złożo-

ne z osób, u szczytu cywilizacyi będących, należy do wielkiego świata gustem, strojem, urodzeniem i wychowaniem.

Zdaje ci się, że jesteś w cieplarni, gdzie podziwiasz najrzadszych kwiatów okazy, pojąc powonienie ich wonią, której ci szczodrze i bezinteresownie udzielają.

Z wieczoru tego wyszedłszy, wstąpiłem na bal burżuazyi.

Cóż to za kontrast!

Na czwartem piętrze przy ulicy Greffhule, u naczelnika jakiegoś biura, piętnaście tysięcy franków dochodu rocznego.

W tym świecie mieszczańskim kobiety nie są kobietami, nie mają rąk, ale raczej łapy, wyraz twarzy ponury, ordynaryjny, w sukni o krzykliwych barwach i niedobranych wstążkach.

Nie wiedzieć dla czego, oczy masz jakby znużone tym widokiem.

Nie widać żadnej dystynkcyi, żadnej gracyi; ruchy sztywne, niezgrabne, rzekłbyś, maszyny robocze, nic więcej.

Towarzystwo powinno się składać tylko z ludzi, którzy majątkiem swoim są wyżsi od ogółu lub wyższym umysłem się wyniosą. Tacy tylko stanowią wybitniejsze okazy, inni pozostaną zawsze narzędziami pierwszych.

Pół-fortuny mają tylko jedno jedyne wyjście. Niechaj się zamkną w kółku domowem i cnocie.

Ale wada życia paryzkiego i tu przebija. Brak zdrowego rozsądku i chęć pokazania się światu.

U siebie, zamknięci w gronie rodziny, przy lampie, w wygodnych fotelach siedzieliby szczęśliwi i przyjemniejby było na nich spojrzeć; mąż w szlafroku z fajką w ustach i gazetą wieczorną w ręku, żona w białym czepeczku, przewiązanym skromną wstążką, szyjąca pilnie sukienki swym dzieciom. Oto życie, jak go pojmują w Niemczech, zdrowe, rozsądne, czysto flamandzkie.

U nas wolą wyrzucać pieniądze przez okno i stawać się śmiesznymi w dodatku.

Do mojego synowca Anatola Dover.

Mój drogi! wiesz o tem, że mam 80,000 franków rocznego dochodu, chory jestem na wątrobę i nie mam dzieci; jestem więc pewny, że rad moich wysłuchasz z całą uwagą. Prawdopodobnie powiesz mi nawet, że ci się wielce podobają i że jesteś zdumiony ich mądrością; dobrze, przyjmuję wszelkie pochwały od dziesiątej do jedenastej zrana; ale staraj się o ile możności wyrażać się zwięźle.

* * *

Nie radzę ci też naśladować modnego sposobu traktowania lekko starych swych krewnych. Gdybyś np. przychodząc mi winszować, poklepał mię poufale po ramieniu i krzyknął mi nad uchem: „Brawo, kochany stryju!" — mogłyby ztąd wyniknąć pewne niedogodności: — Jakób, mój stary sługus, wyprosił by cię za drzwi, lub jabym cię wyrzucił przez okno na ulicę.

* * *

Na biletach wizytowych możesz umieścić w całości imię i nazwisko swoje. Anatol Dover — albo skrócone A. Dover — albo jeszcze po prostu Dover. Lecz gdyby ci przypadkiem przyszła nierozsądna zachcianka wtrącenia nieznacznie dwóch literek niepotrzebnych, jak „hr." między imieniem a nazwiskiem, możesz się pożegnać z dolarami stryjaszka, tak skrzętnie zebranemi w Ameryce na handlu oliwą i soloną wieprzowiną.

* * *

Muszę ci też powiedzieć, że jadasz zbyt wiele, masz zaledwie lat dwadzieścia-cztery, a wyglądasz na okrąglutkiego czterdziestoletniego tatusia. Może być jednak, że tego rodzaju figury podobają się dzisiaj. Ja się na tem znam; lecz jeżeli kobiety siłą się odtwarzać pokutujące Magdaleny, czemużby mężczyźni nie wpadali w przeciwną ostateczność?

* *
*

Na pierwszem przedstawieniu staraj się mieć zawsze nowe obuwie w cenie najmniej 28 franków, a nawet czterdziestu, jeżeli możesz. Za 40 franków będziesz obuty jak prawdziwy dżentelmen. Szewc ci wyprawi skórę prześlicznie i nada cudowny kształt nodze, a po nogach sądzą o reszcie.

* *
*

Brak włosów z czoła nie szpeci bynajmniej; to znak, że się żyło. Jednak dobrze jest mieć do tego brodę gęstą, policzki rumiane, zęby silne i piękne, minę buńczuczną i hardą; to znak, że się żyje jeszcze. — W roku 1830 wybladły suchotnik był w modzie; dziś go zastąpił wypasiony pozytywista. Nerwy musiały ustąpić muszkułom — panowania swego.

* *
*

Nie spuszczaj się jednak na to zupełnie. Na trzydzieści kobiet w salonie dwadzieścia pięć indyczek ustrojonych w pawie piórka dowcipu i uczoności, lecz znajdzie się pięć prawdziwie sprytnych i te cię osądzić potrafią. Przedwczoraj ujrzałem cię, siedzącego wygodnie na różowym taburecie między dwoma ślicznemi kobietami.

Starałeś się o wywoływanie wrażenia; białą swą ręką, pełną pierścieni, gładziłeś sobie faworyty, głowę przechylałeś to na tę, to na ową stronę i rozprawiałeś zadowolony wielce z własnej wymowy i z uwagi swoich nadobnych słuchaczek; gdyś po chwili poszedł obdzielać inne czarującym uśmiechem i słodkiemi słowami, spojrzały się na siebie i ujrzałem delikatno ironiczny uśmiech, błądzący na cienko wykrojonych usteczkach, a równocześnie ramiona poruszyły nieznacznie koronkami staników.

* *
*

Jeżeli się nudzisz w jakim salonie, trzymaj się dobrze. Nie marszcz czoła, byłoby to niegrzecznie. Nie uśmiechaj się do siebie samego, to oznaka głupoty. Nie poruszaj ustami, jak gdybyś sam do siebie rozmawiał. Nie rozkładaj się w fotelu, jest to nieprzyzwoicie. Nie nachylaj się zanadto naprzód, jak gdybyś się przyglądał swemu obuwiu. Niechaj korpus i nogi tworzą kąt prosty, a wyraz twarzy przybierz zrezygnowany i nic nie mówiący. Możesz także przeglądać album z fotografijami.

* *
*

Człowiek uczciwy zmyśla przynajmniej dziesięć razy dziennie; kobieta uczciwa ze dwadzieścia razy; człowiek światowy sto razy; nie można było dotąd zliczyć, wiele razy kobieta światowa jest w stanie zmyślać dziennie.

* *
*

W każdem małżeństwie jest rana gryząca, jak robak w owocu.

* *
*

Małżonkowie badają się przez trzy tygodnie, kochają się przez trzy miesiące; sprzeczają się przez trzy lata; znoszą się przez trzydzieści lat i dzieci zaczynają „da capo”.

* *
*

Kobieta, idąc za mąż, zdobywa sobie wolność; mężczyzna, żeniąc się, traci ją.

* *
*

Kobieta w świecie szuka koniecznie męża lub kochanka; jeżeli nie dla siebie, to dla drugiej, trzeciej, dziesiątej. Wszystkie jej myśli są na ten punkt zwrócone, jak ujścia rzek do morza.

* *
*

Na pierwszym balu młode dziewczę mówi do siebie:

— Czy też dobrze chodzę? Czy też nie upadnę w tańcu?

Na drugim:

— Czy ładnie wyglądam, czy będę miała powodzenie?

Po trzecim:

— Oświetlenie było przepyszne, muzyka doskonała, tańczyłam nieustannie, jestem oszołomiona, rozmarzona!

Po czwartym:

— Czy też pan Anatol Dover, który ma stryja zbogaconego w Ameryce na handlu oliwą i soloną wieprzowiną, zwrócił uwagę na mnie?

* * *

Bale są pożyteczne.

Pełno słów błahych, na wiatr puszczonych, ale dwoje najciekawszych okazów w świecie zwierzęcym, mężczyzna i kobieta, nieokreśleni, niepojęci dla siebie wzajemnie, zbliżyć się mogą i zapoznać.

* * *

Wiele mamy chorób z powodu nadużycia gorsetów.

Wątłe postacie, wątłe ramiona. Na cztery kobiety, jedna ma kości obiecujące; druga, kość jakąś nieobiecującą; trzecia umrze suchotnicą w Nicei; czwarta w dwudziestym roku życia będzie spędzać dnie całe w szezlongu.

* * *

Z drugiej strony, skoro zobaczysz różowe policzki i naiwne oczęta u swojej przyszłej, nie nazywaj ją zaraz aniołem niewinności. Musiano ją poprostu karmić kotletami i kłaść spać o ósmej.

* * *

Masz różowe paznokcie; to jeszcze nie racyja, żebyś się niemi ciągle drapał po nosie.

* * *

Przyglądałeś się bardzo wczoraj pannie Margarecie S. Ledwo co wróciła z klasztoru; nie śmie oczu podnieść, chyba na matkę; jest pobożną bardzo; owijano ją i ocukrzano od dzieciństwa tak, że wygląda jak karmelek. Miej się na baczności, w karmelkach bywają częste niespodzianki. Na ostatnim balu jedna z przyjaciółek przedstawiła jej znajomego sobie młodzieńca, jako gorliwego katolika, na co się skrzywiła.

— Cóż to, czy ci się niepodoba?

— Nie.

— A to dla czego?

— Nie wiem.

— Musisz przecie mieć przyczynę.

— A więc...

— A więc cóż?

— A więc zdaje mi się, że podobny człowiek musi być trochę ograniczony albo manijak.

Gdzież ona się tego nauczyła? Czy w klasztorze? Niepodobieństwo. Gazet nie czyta. Z książek wycinają jej nożyczkami kartki podejrzane. W rozmowach? Nigdy nie słyszała i nie wymówiła słowa po za obecnością matki, babki lub ciotki, tych trzech argusów nieubłaganych.

Kiedykolwiek na balu ujrzała może w podobnym razie uśmiech na czyichś ustach. To dosyć. Najlżejsza iskierka pada na te główny, jak na beczkę prochu. Skoro jeszcze nic nie wiedzą, już się wszystkiego domyślają.

* * *

W towarzystwie znajduje się cztery rodzaje ludzi.

Zakochani, ambitni, badacze i głupcy.

Najszczęśliwsi są głupcy.

* * *

Widziałem jednak kilku wielkich ludzi, ale ci wogóle nie mają miru; mówię tu o ludziach prawdziwie wielkich. Są nadto pochłonięci myślami i przez to nas pochłaniający. Nie myśl jednak, że ich naśladujesz, gdy połykasz, tak jak wczoraj, dwie filiżanki herbaty, trzy czekolady, mnóstwo ciastek i tartynek.

* * *

Chcąc coś znaczyć w świecie, trzeba mieć koniecznie jakąś specyjalność. Ośmdziesiąt lat temu dosyć było być dobrze ułożonym i elegancko ubranym, dzisiaj podobny człowiek przypominałby kelnera.

Zwyczajni eleganci mówią zwykle o koniach, o wyścigach, etc. Radzę ci jednak za przedmiot rozmowy ekonomiję polityczną, to nadaje pewnej cechy. Przytem wyucz się różnych wierszy okolicznościowych, to często potrzebne, szczególniej na wsi.

H. Taine. „Życie i spostrzeżenia o niem."

Salomon.

* *Z przypowieści młodszego Salomona.*

Wszystko ma swój czas na świecie!
Mówcy, szewcy, wojsko, księża —
Każdy mąż ma swoją chwilę,
Każda chwila swego męża!

—o—

Jest czas siewu i czas zbioru,
Czas miłości i czas wstrętu,
Czas mądrości i czas szału,
Czas radości i lamentu.

—o—

Są oportunizmu czasy,
I czas radykalnych zasad,
Czas rozmyślań katastralnych,
I czas umajonych fasad.

—o—

Jest czas zapust i czas postu,
Czasy *Requiem* i Heidsika,
Czas, kiedy wywożą śmiecie,
I czas, gdy ich nikt nie tyka.

—o—

Jest czas wreszcie tchnień swobodnych,
I czas, gdy pierś oddech traci,
I czas, gdy się weksle pisze,
I czas, gdy się weksle płaci!

—o—

Każda z chwil tych synu miły —
Mówi młodszy kaznodzieja —
Miewa swoich bohaterów,
W których wciela się idea!

—o—

Kiedy szewca but twój woła,
To nie wezwiesz Marsa dziatwy —
Zerem wtedy Napoleon,
Mężem chwili zaś — syn dratwy!

—o—

Gdyć pieniędzy trzeba synu,
To nie poślesz po Hektora, —
Furdą jest *amicus Plato*,
Bowiem nadszedł — czas faktora!

—o—

Kiedy Lwów chce zrobić hecę,
Niczem wtedy Phła i Athor,
Bohaterem dnia jest bowiem
Wówczas — szewcki terminator!

—o—

I tak — mówi kaznodzieja —
Mówcy, szewcy, wojsko, księża,
Każdy mąż ma swoją chwilę,
Każda chwila swego męża!

„Szczutek."

Samobójstwo.

Rodrygo. Jagonie!

Jago. Czego chcesz, zacna duszo?

Rodrygo. Cóż mi teraz czynić pozostaje, jak sądzisz?

Jago. Co? pójść do łóżka i spać.

Rodrygo. Pójdę się natychmiast utopić.

Jago. Jeżeli to uczynisz, przestanę być twoim przyjacielem na zawsze. Jakież ci głupstwo przyszło do głowy?

Rodrygo. Głupstwo żyć, kiedy życie jest męczarnią, a odjęcie go sobie jest receptą, kiedy śmierć ma być lekarstwem.

Jago. O nikczemności! Patrzę na ten świat od siedmiu lat, cztery razy wziętych i odkąd mogę odróżnić dobrodziejstwo od krzywdy, nie spotkałem jeszcze człowieka, któryby umiał być przyjacielem samego siebie. Co do mnie, wolałbym się na człowieczeństwo pomieniać z pawijanem, nimbym powiedział, że się chcę utopić z miłości ku pętarce.

Rodrygo. Cóż mam tedy czynić? Wyznaję, że mi wstyd być tak zakochanym, ale rezygnacyja nie moja to cnota.

Jago. Cnota! Psu na budę! Od nas samych zależy być takimi lub owymi. Nasze jestestwo jest ogrodem, a nasza wola ogrodnikiem: jeżeli chcemy w tym ogrodzie siać pokrzywy lub sałatę sadzić; rozpleniać hyzop, a wyrywać macierzankę; hodować jedno ziele albo pielęgnować różnego rodzaju rośliny; zapuszczać go niedbale lub skrzętnie uprawiać: możność ku temu i środki odpowiednie leżą w woli naszej. Gdyby waga władz naszych nie miała z jednej strony szali rozumu dla zrównoważenia szali zmysłowości z drugiej strony, wtedy krew i ułomność naszej natury doprowadziłaby nas do najhaniebniejszych ostateczności: ale mamy rozum na poskromienie w nas dzikich popędów, cielesnych bodźców i rozkiełznanych chuci; z czego wyprowadzam wniosek, że to, co ty nazywasz miłością, jest poprostu szczepem, ablegrem.

Rodrygo. To być nie może.

Jago. Miłość — jest jedynie krwi chucią i ustępstwem woli. Nuże! Bądź mężem! Utopić się? Top koty i ślepe szczenięta. Mienię się twoim przyjacielem i deklaruję się do ciebie być przywiązanym liną nieprzełomnej wytrwałości: nigdym ci tego nie mógł lepiej dowieść, jak teraz. Naładuj kiesę, udaj się za nią na tę wojnę; przybierz sobie twarz w fałszywą brodę; a kiesę naładuj, powiadam. Ani można przypuścić, żeby Desdemona miała długo kochać tego Murzyna — naładuj kiesę — a on ją nawzajem; był-to gwałtowny przypływ i odpływ taki sam będzie, zobaczysz — naładuj tylko kiesę. Ci murzyni nie są stali w swych sentymentach — miej kiesę dobrze podszytą — łakoć, która mu teraz smakuje przesłodko jak chleb świętojański, wyda mu się wkrótce gorzką, jak dziki ogórek. Jej skłonność musi się zmienić, bo młoda; nasyciwszy się nim, pozna niestosowność swego wyboru. Ona musi zmiany zapragnąć, musi, ani wątpić; dla tego miej kiesę naładowaną. Jeżeli chcesz gwałtem pójść na potępienie, obierz-że przyjemniejszą drogę ku temu, jak utopienie. Weź pieniędzy, co tylko będziesz mógł. Jeżeli trwałość wiary i świętość ślubów afrykańskiego włóczęgi i kuto-przebiegłej Wenecyjanki nie są rzeczą dla mego dowcipu i piekielnych potęg nieprzełomną, to ją posiadać będziesz. Dla tego zaopatrz się w pieniądze. Topić się? Co za myśl dzika! nie tędy droga do celu; raczej ci zostać obwiesiem dopiąwszy swego, niż topielcem nic nie wskórawszy.

Szekspir (patrz str. 80 T. I.)

* *Dla samobójców.*

Z powodu nadmiernej ilości samobójstw, chcąc udogodnić tej warstwie ludzkości w wykonaniu zamachów na własne życie, jako zawsze pierwsi w wiadomościach z dziedziny odkryć i wynalazków podajemy tutaj najnowszy środek i nie kosztowny dla osób, życzących odebrać sobie życie.

Środek ten jest wynalazkiem doktora Emetyka i polega na następującym przepisie:

Rp. Bierze się dwa funty dynamitu w gębę i obraża się cudzy honor, aby być uderzonym w policzek.

Skutek niezawodny.

W razie gdyby nie było wybuchu, to można się machnąć do Wisły.

* *Samobójstwo jest grzechem.*

Zkąd to pochodzi między doktorami,
Że kiedy chorzy, nie leczą się sami?
— Ztąd przyjacielu — rzecze ktoś z uśmie-
[chem —
Że samobójstwo jest grzechem.

W. Chłędowski.

* *Samobójstwo nie niebezpieczne.*

Klara zerwawszy z narzeczonym, przyrzekła rękę innemu, o czem dowiedziawszy się pierwszy, przysłał jej przez posłańca list następującej treści:

„Niewierna a zawsze najdroższa dla mnie Klaro! Boleść moja jest zbyt wielką! znieść mi jej dłużej niepodobna! żyć bez ciebie nie mogę —więc umrę przez ciebie, przez twą złamaną wiarę! gdy te słowa czytać będziesz, ja już żyć przestanę! Ostatniem mojem życzeniem jest — abyś się zajęła moim pogrzebem! Bywaj zdrowa, żegnam cię!”

Odczytawszy list ten nie bez pewnego wzruszenia, Klara spostrzegła, że posłaniec stoi jeszcze.

— Czy macie co jeszcze powiedzieć?—zapytała go.

— Ten pan, proszę pani, kazał mi czekać na odpowiedź.

Sam na sam.

W ogrodzie zoologicznym służące, żołnierze, mieszczanie niższej klasy gromadzą się najczęściej przed wielką klatką małp. Biedne te zwierzęta stały się złośliwszemi, a co gorsza, są chore. Życie przeciwne ich naturze zniszczyło im włos na skórze; widać gdzie niegdzie miejsce łysawe i czerwone, w innych znów futro pożółkło i osiwiało. Przykry widok sprawiają ich głowy pokrzywione i mizdrzące się. Kręcą się w klatce, wykrzywiają, skaczą, piszczą, biją się o jabłko lub sucharek rzucony, wchodzą na najwyższy szczebel drabinki i koziołki przewracają ku wielkiej uciesze publiczności. Śmiechem i słowami zachęty publiczność ta psuje je bezustannie, to też oddają jej zapłatę, plamiąc jej oczy ohydą swoją. A jednak klatka ta jest ulubionem miejscem, możnaby powiedzieć, że bardziej działa tym ludziom na nerwy.

To też małpy dobrze się mają.

Takie samo wrażenie pozostawiają we mnie przedstawienia małych teatrzyków. Aktorzy są małpami udoskonalonemi i zepsutemi, a malowana klatka, w której co wieczór się malują i mizdrzą, gorszą jest stokroć dla ich zdrowia fizycznego i moralnego, niż rotunda kratkowana, w której skaczą ich koleżanki z ogrodu zoologicznego. Podobnie jak tamte ubodzy są oni na ciele i duszy. Podobnie jak tamte bawią publiczność niedokładnościami fizycznemi, jeden długim nosem, drugi głosem piszczącym, inny głupowatą miną, inny jeszcze niezmierną tuszą. Podobnie jak tamte poruszają nerwy nizkich ludzkich skłonności. Podobnie jak tamte wznoszą się do pewnego rodzaju talentu zwierzęcego, składającego się z nieskromności i małpowaniu drugich; jest to wprawdzie parodyja gruba i prosta, w której widzowie niewiele więcej są warci od bufonów samych. Jedna z tych aktorek wczoraj, kończąc każdą strofę swej wesołej piosnki, wydawała z gardła chrapliwą jakąś nutę i w boki podparta, kołysała się na biodrach, jak przekupka jaka. Po trzeciej strofie musiała się zatrzymać i drżącym głosem przeprosić publiczność, gdyż jej sił nie stało w gardle. Odszedłem ztamtąd z niesmakiem w duszy i przechadzałem się długo, by zatrzeć niemiłe wrażenie. Noc była cudowna, księżyc świecił, przechodząc ulicę de l'Orient wstąpiłem do dawnego przyjaciela swego, muzyka. Wilhelm Kittel sam mieszka obecnie. Trzydzieści lat temu kolegowaliśmy na uniwersytecie w Jena i filozofowaliśmy często, sprzeczając się lub godząc w tych małych przedmiejskich ogródkach, pijąc piwo pod altanami z chmielu, przeplatanego różami. Drogi nasze później odmiennie poszły w życiu. Zrobiłem majątek w Ameryce, on żył

z lekcyj dawanych w Berlinie i Paryżu. Jakiś wujaszek umierając, zostawił mu tysiąc talarów rocznego dochodu i odrazu uczuł się bogatym, szczęśliwym nad wyraz z tego tysiąca talarów; nie potrzebował bowiem tracić kilku godzin dziennie na dawanie lekcyj; miał na obiad, mieszkanie i zimowe palto. O sławie nie myślał; charakter miał zamknięty w sobie, trochę nieśmiały. Paryż przejmował go strachem. Wolał się zamknąć u siebie, wygrywać partycyje, chodzić tylko do biblijotek na odczytywanie nowych kompozycyj. Przestał nawet uczęszczać na koncerty i teatry; parodyje wykonywane, wykrzywianie śpiewaków i przekształcenie najpiękniejszych kawałków podług ich woli niecierpliwiły go niezmiernie, hołdy i oklaski, składane aktorom jeszcze więcej; podług niego, operę można tylko przy fortepianie dobrze zrozumieć. Kilku sławnych kompozytorów odwiedza go czasami; szanują w nim artystę i znawcę. Verdi i Gounod cieszą się, gdy im powie: to dobre. Nie żądają więcej od niego, bo wiedzą, że im nic więcej nie umie powiedzieć. Dumny, zimny, flegmatyczny, nigdy nie przyjmuje żadnego zaproszenia, wiedzą też o tem i nie nudzą go więcej. Muzyka, jak powiada, jest rozmową poufną. Dla szklanki herbaty lub kawałka pulardy, nie można otwierać swej duszy i nieznajomym się zwierzać. Przychodzi do mnie czasami piechotą tak, jak ja do niego. Gdy przyjdzie, każę podać jedną tylko potrawę i jedną butelkę wina, gdyż on mnie tem samem przyjmuje i gniewałby się, gdybym go chciał zaćmić. Tym sposobem ja jeszcze dłużnym się mu czuję, gdyż przy obiedzie rozmowa jego jest o wiele przyjemniejszą i bardziej zajmującą od mojej.

Jestem ostatnim jego kolegą; inni poumierali, powyjeżdżali, pożenili się i poznikali nam z oczu, gawędzimy zawsze o dawnych naszych czasach, o pierwszych wrażeniach i obudzeniu ducha pod czarem Beethowena, Schelling'a i Goethe'go?

* * *

— Fryderyku — rzekł do mnie, gdym się na progu ukazał — siadaj w tym fotelu, zapal cygaro i zajmij się herbatą. Mam ochotę przegrać dzisiaj niektóre z tych starych naszych sonat.

Uścisnąłem mu rękę w milczeniu. Usiadł do fortepianu. Jakżeż się czuję dobrze w tym starym jego pokoju. Jest on moim prawie tak, jak i jego, ale wolę go od mego własnego. Kurz nawet na sprzętach podoba mi się tutaj. Wytarty dywan, stare fotele, na których się tyle chwil przesiedziało, biblijoteka, w której wszystkie książki po kilka razy przeczytane były—wszystko to jakoś błogo oddziaływa na umysł. Nie potrzeba się temi rzeczami zachwycać, nie błyszczą dla oka, jak ładne cacka, etażerki bogatych dam naszych, kolory ich wyblakły, służą jak starzy i dobrzy słudzy. Siedzę w wielkim zielonym fotelu o poręczach wygodnych, nie potrzebuję chwalić i klaskać, wyszukiwać słów pochwały, mogę zasłuchać się cały w milczeniu, pogrążyć się w mojem wewnętrznem ja, pozwolić duchowi bujać swobodnie po krańcach piękna. Samowar syczy przy mnie. Opieram nogi na brzegu kominka i patrzę się na małe płomyki różowe i blade, wymykające się z pomiędzy głowni.

Tłum niepotrzebny, myśli paryzkiego świata znikają mi z oczów, a natomiast pojawiają się lekkie mgły senne, poprzedzające marzenie.

— Wilhelmie, musisz mi zagrać teraz sonatę *g* mol. opus 90, wiesz, tę....

Muzyka ma tę ogromną zaletę, że nie przedstawia nam jednej istoty lub rzeczy, ale tworzy całość, nieskończoność, stan duszy naszej, niepojęty, nieokreślony raczej, zawarty cały w uczuciu błogości lub smutku. Zwykłe myśli usuwają się z mózgu, pozostaje istota ludzka, siła niesłychana rozkoszy i cierpień, podnosząca ducha i kojąca stworzenia czułe i nerwowe, wśród niezmierzonych harmonij i waryjacyi tonów.

Rzekłbyś, wielkie państwo jakie, z którego usunięto mieszkańców, granice, role, drzewa. Pozostaje tylko grunt, postać ziemi z górami, rowami, rzekami i dolinami i odwieczna poezyja dnia i nocy, rozciągnięta na wszystkiem.

— Wilhelmie, nie uważałem dosyć, myślą odbiegłem za marzeń rojem, proszę cię, powtórz jeszcze, szczególniej część drugą, w tonie znajomym.

Rozpoczął tę część drugą melodyjną i cichą, jak sen nocy letniej. Gama nut krystalicznych przebiega wśród akordów, powraca, niknie, jak strumyk w dąbrowie. Czasami słychać fujarkę pastuszą, czasami westchnienie miłosne kobiety zakochanej i smutnej.

Nagle te dźwięki ustają; dusza twórcy niespokojna i kapryśna wyrzuca kaskadami nut brylantowych, krocie, skarby złote sypią jak z rogu obfitości.

Znów cisza, szmer drobnych głosów podnosi się zwolna, potem szybko, coraz szybciej przebiega, goni, szum wody wracający do swego łożyska i melodyja pierwsza rozpoczyna się na nowo, głośniejsza i bardziej majestatyczna jeszcze.

— Graj ciągle, Wilhelmie, Beethovena jeszcze, ale długo i co ci pod ręce podpadnie.

Grał tak przeszło godzinę, ale nie patrzałem pewno na zegarek.

Tego dnia był natchniony, a ja niemniej od niego czułem podniesienie ducha. Przegrał mi najpierw dwie czy trzy sonaty całe, następnie urywki z symfonji, fragmenta sonat na fortepijan i skrzypce, aryję z *Fidelio* i kilka innych kawałków, których nie zapamiętałem tytułu. Kilku akordami i pauzami łączył jedno z drugiem tak, jak ten, co otworzył dzieło ulubionego poety i wyszukuje w nim kawałków, które mu najbardziej przypadają do smaku.

Studyjowałem nieruchomą, z oczami zapatrzonemi w ogień twarz mistrza zmarłego, rysowała się przedemną wyraźna i jasna, zachowałem bicie serca tej wielkiej zgasłej duszy; zgasła ona dla siebie tylko samej. Dla nas żyje jeszcze, żyje wyraźnie, znamy ją całą w tych plikach nut zapisanych czarno.

Opinija publiczna nie umie ocenić go podług prawdziwej jego wartości! Uznają go za mistrza w odmalowaniu wielkości cierpienia i na tem kończą jego królestwo, podobne do wielkiej pustyni Dantego, po której rozbijają się huragany i burze. Państwo to należy do niego w całości, nikt inny na świecie doń nie wszedł jeszcze prócz niego, ale on i gdzieindziej też przebywać umie.

Najbogatsze i najbardziej kwieciste łąki, uśmiechnięte doliny i chłodzące ruczaje, najczystsze poranki i zorze należą doń także. Nie umie, tylko wśród nich spokojnie się zachować, a rozkosz wstrząsa nim tak samo, jak cierpienie; uczucia wylewają się zbyt gwałtownie; nie czuć w nich szczęścia, jeno upojenie. Podobny jest do człowieka, który po nocy pełnej goryczy i rozpaczy, oczekując dnia gorszego jeszcze, ujrzy nagle krajobraz wdzięczny i świeży poranku; ręce mu drżą, westchnienie głębokie, swobodnie wstrząsa jego piersią i siły opuszczone powstają w nim napowrót, a wybuch radości potężniejszym jest od jęków.

W każdej radości czuć w nim dawniejszą boleść; szczęście jego przeszywa na wskroś, nie jest łagodnem.

Allegra w sztukach skaczą jak młode źrebięta, puszczone na kwiecistą łąkę.

Presta mają tempa szalone, nagłe urywania, to znowu galopujące przejścia druzgocące fortepian cały.

Często wśród tego wybuchu radości, tragiczność i smutek wpadają napowrót, a wtenczas nie zmienia tempa, idzie na nich gotów do walki porwany szalonym wirem, chce im czoło stawić, a skoki jego i przejścia są tak fantastyczne i mnogie, że zdumiony słuchacz staje przerażony tą dzikością i bogactwem zwrotów, przypominających pyszne, a niezbadane okolice lasów dziewiczych, wiecznie r

dzących na nigdy niezmęczonej, nigdy niewyczerpanej ziemi.

* *
*

— A teraz — rzekł do mnie Wilheim — posłuchaj. I zaczął ostatni kawałek ostatniej sonaty.

Jest to frazes krótki, powolny i smętny niezmiernie powtarzający się bezustannie, jak łkanie bez końca. Wśród niego wloką się tony tłumione; jedne ciągną, się póki drugie nie nastąpią i umierają pod niemi, podobne do jęku stłumionego westchnieniem; a wśród tych łez i westchnień echo pierwszej boleści powtarza się bez końca.

Niema w nim nic strasznego, nie skarży się, nie przeklina, tylko płacze. Serce zdaje się nie narzekać na nieszczęście, powiada tylko, że radość jest mu nieznaną, w rezygnacyi tej jest spokojnem zupełnie.

Jak umierający na puszczy, gdy noc kwiecista nadejdzie, noc ostatnia dla niego, patrzy na niebo wysadzane brylantami i zapomina o swoich cierpieniach, nie usiłuje już nawet powrócić do życia, wielkość nieskończoności pociąga go ku sobie i wyciąga ku niej omdlałe już ramiona. Łzy cierpienia ustają, a płyną teraz słodkie łzy uwielbienia, rozkoszą napełniając duszę.

* *
*

Potęgo niepojęta marzeń i pragnień duszy! Napróżno was przygniatać, powstajecie zawsze w końcu.

Trzydzieści lat spędziłem w handlu, tłumiłem źródło wasze stosami cyfr buchalteryjnych interesów i zajęć; zdawało się, żem was pogrzebał na wieki, aż tu nagle za dotknięciem jednego akordu, źródło wypływa na nowo, wytryska silne jak w pierwszy dzień istnienia, silniejsze nawet, bo stosy kamieni, tamujące go tak długo, pękły i płynąc wód potokiem, powiększają pęd jego.

Dziwnym zbiegiem ujrzałem teraz wspomnienia swoje z Indyj, jedynie może warte zaznaczenia w prozaicznem życiu swojem.

Może być, że siłą kontrastu swego z tą boską muzyką przyszły mi one na pamięć. Gdy wieje wicher, mussonem zwany, mgła czarna spada w obłokach na ziemię i morze; mewy białemi skrzydłami odznaczają się na tem tle ciemnem. Wtenczas to okręty odbijają na szerokie morze.

Ujrzałem w ten sposób pewnego poranku zdaleka wyspy Malediwy, dwanaście tysięcy małych wysepek koralowych na brylantowem morzu; wszystkie są prawie bezludne; woda spoczywa w koło nich, lub je srebrną frendzlą piany otacza.

Słońce rzuca garściami ogniste strzały; na falach zdaje się złoto roztopione płynąć w około. Powierzchnia oceanu spokojna a błyszcząca olśniewającemi strumieniami świateł przeplatana, lub lawą wulkaniczną. Milijony iskier połyskują, jak mozajka kosztowna. Rzekłbyś, cały arsenał bogatego nababa, sztylety i drogie kamienie, jatagany o rękojeściach z masy perłowej, wysadzane turkusami, chełmy szmaragdami i pióropuszem zdobne, pasy turkusowe jedwabne, różnobarwne, wyszywane srebrem i tkane perłami. A to niebo jaskrawe, — do czegóż je przyrównać? Gdy młoda kobieta, promieniejąca wdziękami i życiem, ubiera się do ślubu, kładzie złoty grzebień we włosy, naszyjniki pereł na szyję, rubinowe kolce w uszy; gdy te wszystkie kosztowności podnoszą żywiej różową barwę jej oblicza, jakby zawstydzona, czując się tak piękną, zakrywa się welonem białym, spuszczonym na czoło. Gaza jednak promienieje niebawem cała jej pięknością, a chowając niby nieśmiałą twarzyczkę, nowego jej dodaje wdzięku.

Takiem jest i to morze pod niebem promieniejącem.

Przed niemi przestajesz widzieć, czuć i słyszeć zapatrzony w jego cuda. Jest to chór ogólny żyjących, cieszących się lub skarżą-

cych; jest to dusza wielka, której myślą jesteśmy jedną, jest to natura cała nieustannie drażniona niszczącemi tysiącami istot z jej łona się wydobywających, a ona wyciąga ręce spracowane z nowemi generacyjami, z okrzykiem głuchym, tłumionym, niepojętym, nienasyconego i ciągle nowego pragnienia.

Spojrzałem na Wilhelma; byliśmy w tej chwili w tem samem usposobieniu i pomimowoli zbliżyliśmy się do siebie nawzajem.

O mało co nie rzuciliśmy się sobie w objęcia, wyczytałem to w jego oczach, on w moich i uśmiechnęliśmy się oba; w naszym wieku dosyć będzie, gdy sobie rękę podamy.

Wyszedłem od niego, nie wymówiwszy słowa.

Zdaje mi się, żeśmy tego wieczoru przyrządzali herbatę, ale żaden z nas jej nie pił.

H. Taine. „Życie i spostrzeżenia o niem.”

Samotność.

Wiemy, co jest dyjeta dla ciała, ale jak nazwiemy dyjetę duszy?...

Samotnością...

Samowar. *)

NOWELLA.

Pani Róża była w zachwycającym negliżu.

Z obszernych rękawów batystowych i koronkami obszytych widać było jej ręce jak utoczone, dość masywne (jak na jedną osobę), białe jak alabaster (chociaż to strasznie zwietrzałe porównanie.)

*) Szanowni Czytelnicy! Mógłbym Wam dać zajmujące studyum o herbacie w literaturze; macie już bowiem „Filiżankę Herbaty,” „Szklankę Herbaty,” „Kwiatek Herbaty”. Kolega nasz pisze romans obyczajowy pod tytułem „Imbryk czyli piekło w rodzinie”. Wszakże, zamiast studyum, do garnituru ofiaruję Wam powiastkę o samowarze, z której przekonacie się sami, ile dramatycznego pierwiastku mieści się w tak prostej i mało skomplikowanej maszynie mosiężnej.

Przyp. Aut.

Złote jej włosy w staranuie ułożonem zaniedbaniu spadały na ramiona i na szyję, a z pod długiej, białej spódniczki, garnirowanej suto i ozdobionej ogromnym ogonem, wyglądała ciekawie nóżka w pantofelku z modrego aksamitu, naszywanego złotemi muszkami.

Pani siedziała przy stole, na którym znajdował się elegancki przyrząd herbaciany.

Nie potrzebuję dodawać, że było to jeszcze bardzo raniutko, może w dwie godziny po wschodzie słońca... przy końcu listopada.

Niebawem otworzyły się drzwi i z sąsiedniego pokoju wysunął się pan Jan, w przepysznym tureckim szlafroku, w jedaej mycce na głowie i z papierosem w ustach.

Zbliżył się do żony i pocałował ją w rękę.

Oboje patrzyli na siebie jakoś bardzo nieśmiało, byli jakby zażenowani trochę.

I nic dziwnego — dopiero wczoraj połączeni zostali węzłem małżeńskim i obchodzil pierwszą herbatę familijną... przechodzili z epoki fraka i balowej sukni do ery szlafroków i neglizów... od snów — do rzeczywistości.

Pierwsza herbata po ślubie, to pierwszy wystrzał na wojnie...

Paradoks! powiecie.

To sprobujcie, ożeńcie się i pijcie herbat a zobaczycie...

Samowar gra rolę tyralijera... on też pusz cza się na rekonesans, próbujący sił nieprzy aciela; i tem się różni taktyka wojenna o małżeńskiej, że w pierwszej do rekonensa sów i podjazdów używa się lekkiej bron w drugiej zaś występuje broń tak ciężkieg kalibru jak samowar, który słusznie przez p wnego uczonego nazwany został familijną a matą, tak jak fortepijan mitralijezą czyli ka taczownicą rodzinną.

Przez chwilę trwało milczenie.

Rzecz dziwna, że młoda i szczęśliwa pa w pierwszych chwilach rozkoszy niema o cze mówić ze sobą.

Takiego błogiego stanu duszy, który s najwymowniej przez milczenie wyraża, doz

ją obfici w kształty radcowie, gdy skończą mozolną pracę spożywania dobrego obiadu.

Pierwsza odezwała się pani:

— Jakże szczęśliwą jestem, mój Janeczku, że mogę od dziś dnia całe życie poświęcić na usługi i starania około twoich wygód...

To mówiąc, rzuciła na niego pełne ognia wejrzenie i jednocześnie nalała w filiżankę ukropu.

— Że mogę być twoją opiekunką i przyjaciółką.

Tu nastąpił prawdziwie miodowy uśmiech i w filiżankę wpadło z białej rączki kilka kawałków cukru...

— Chociaż z drugiej strony — ciągnęła dalej, kładąc plasterek cytryny — nie wiem o ile to prawda, ale mówiła mi babcia, że mężczyzna nigdy dostatecznie ocenić nie potrafi szczytnych poświęceń kobiecych. Oto proszę cię Janeczku, jest twoja herbata — rzekła, podsuwając filiżankę mężowi — może pozwolisz sucharka, jedz, jedz mój miły, potrzebujesz teraz bowiem dużo siły do... dźwigania nowych obowiązków.

— Moja droga, posądzasz mnie o zły gust... jakżeż mógłbym jeść sucharek, mając przy sobie pączek, najpiękniejszy zapewne w całej Europie.

To rzekłszy, objął żonę i ucałował ją w buzię, podobną do świeżo upieczonej bułki...

— Jakiż komplemencista z ciebie, więc jestem *podobno* najpiękniejszym pączkiem w Europie?

— Tak, przynajmniej... o ile mi się zdaje...

— O ile!.. podobno!.. zdaje mi się! mój Boże, wolałabym, żeby było na pewno...

— Trudno, nie mogę tego powiedzieć, bo co prawda, nie widziałem jeszcze wszystkich pączków w Europie...

— Ale chciałabym je widzieć.

— No, przy zdarzonej sposobności dla czegóżby nie?..

Pani posmutniała.

— Babcia mówiła prawdę, niestety.

— Cóż ta szanowna babcia mówiła?

— Babcia mówiła, że w miesiąc po ślubie każdy mężczyzna staje się wiarołomcą.

— Podziwiam doświadczenie babci, ale my przecież dopiero pół dnia żyjemy z sobą...

— Ach, tem gorzej! tem gorzej, dopiero pół dnia i... już...

— Ależ jeszcze nie...

— Ale już, już! miałam tego bardzo bolesny dowód przed chwilą.

— Jaki?

— Chciałeś przecie widzieć wszystkie pączki w całej Europie.

— Czyż to grzech?

— Grzeszymy nietylko uczynkiem, ale myślą i mową...

— O, moja pani, jak uważam, jesteś mocno ćwiczona w teologji... ale dajmy pokój dziecinnym sprzeczkom, pogódźmy się... daj buzi...

— Z przyjemnością, mój aniołku, jeśli ci to nie zrobi subjekcyi, tylko mi nie pognieć kaftanika, widzisz jak ślicznie wyrurkowany.

— Więc zgoda z panią?

— Najzupełniejsza.

— Na długo?

— Na całe życie, przyznasz jednak, że herbata u nas wyborna.

— Tak sobie... ujdzie.

— Zapewne za kawalerskich czasów miewałeś lepszą w cukierniach... szkoda, że mnie Pan Bóg nie stworzył Loursem albo Tourem.

— Ach, ja dziękuję Bogu, że dotychczas turem nie jestem.

— Cóż to za dowcip? nie rozumiem go.

— Tem lepiej dla mnie.

— Ale tem gorzej dla mnie.

— Owszem... i dla ciebie lepiej.

— Gorzej... proszę cię, powiedz zaraz co to znaczy?..

— Co ci potem? moja duszko...

— Nie? to mniejsza oto, spytam się babci.

— A propos, powiedz mi moje życie, jak twojej babci na imię.

— Scholastyka.

— Byłem pewny, że Encyklopedyja.

— To właśnie dobrze, że o wszystkiem wie, nie pozwoli się przynajmniej w pole wyprowadzić.

— O, o! już jedenasta, muszę iść.

— Już ci się żona uprzykrzyła... mój Boże, tak prędko.

— Ależ nie, tysiąc razy nie, ale przecież mam obowiązki.

— Obowiązki, obowiązki! przez jeden dzień już ci się żona uprzykrzyła, dom obrzydł... idziesz na miasto szukać nowych rozrywek, nowych wrażeń!

— Moje serce...

— Serce! czy pan masz serce? czy pan zdolny jesteś pojąć, zrozumieć i ocenić całą siłę kobiecego uczucia, moc jej przywiązania, poświęceń... ofiar...

— Zwracam pani uwagę, że jam temu nic nie winien, że podano herbatę o dziesiątej i że godzina jedenasta wzywa mnie do zwykłej pracy codziennej. Wina raczej leży po stronie pani!

— A! więc mi pan żałujesz godziny snu... zaczynasz mnie tyranizować... dobrze... jutro wstanę skoro świt, będę sama dmuchała w ten przebrzydły samowar, o szóstej przyszlę panu herbatę do łóżka, po kawalersku... przez stróża.

— To zbyteczne, każ pani tylko Marysi, żeby przygotowała śniadanie o godzinę wcześniej niż dziś...

— I dziś byłaby wcześniej, tylko to szkaradne samowarzysko nie chciało się zagotować.

Słońce zajrzało przez okno, na pucołowatej, mosiężnej gębie samowara przemknęło coś w guście uśmiechu... uśmiech ten zdawał się mówić: „albo to jeszcze takie tylko sceny widywać będę?..."

— Postaraj się pani oto, żeby się jutro nie spóźnił. Żegnam panią...

— Do widzenia...

— Nie podasz mi pan ręki?...

— Nie, ja z takim tyranem jak pan, nie chcę mieć nic wspólnego.

— Więc cóż będzie dalej?

— Idę do babci i staram się o rozwód.

— Dobrze, ale zdaje mi się, że babcia pani nie jest biskupem...

— To nic nie szkodzi.

— O! i bardzo szkodzi, miałabyś pani trzy rozwody na kwadrans. Więc ja już nie mam po co wracać do domu?

— Najzupełniej... albo nie... wróć pan... ale mnie już tu nie będzie.

— A więc bądź pani zdrowa i szczęśliwa!...

To mówiąc, wziął kapelusz i ruszył ku drzwiom.

— Janeczku! — zawołała pani — czy ty mnie nawet nie pocałujesz, odchodząc?!

Samowładca.

* *Myśl samowładcy.*

W czasie chylącej się do upadku restauracyi, Karol X-ty zwiedzał w Saint-Omer obóz, składający się z przeszło piętnastu tysięcy ludzi. Dobrze przyjęty przez wojsko, król cieszył się nastrojem jego ducha. Uczucie błogiej radości opanowało monarsze serce, więc zwracając się do księcia de Mortemart, powiada:

— W otoczeniu tych dzielnych ludzi można sobie nakazać posłuszeństwo i o wiele ułatwić rządy, nieprawdaż?

— Bezwątpienia — odparł Mortemart — ale w takim razie królowi nie należałoby wcale schodzić z konia, a tymczasem wasza królewska mość już jesteś znużonym.

— To prawda! — westchnął melancholijnie Karol X-ty.

(*Marmont, Mémoires.*)

Sara.

* *Kibić Sary.*

Rzecz, doprawdy, nie do wiary,
Wśród nas takich mamy chmarę,

Mamy młode, mamy stare,
Które chcą mieć kibić Sary.

Więc z nóżkami, jak kafary,
Pani Brumstein, gruba lala,
Silnie pragnie, choćby zdala,
Przypominać kibić Sary.

Panna Lola na swe bary
Wzięła teraz wielką biedę,
Pije ocet i je kredę,
Dla kibici wiotkiej Sary.

Anastazya, gruchot stary,
Co jak śmierć ma takie kości,
Marzy znowu o miłości,
Klnąc się, że ma kibić Sary.

A na domiar niebios kary
Młodsza od radców, Agata,
W bryklach już do magla lata...
I jej w głowie kibić Sary.

Do was mody więc ofiary,
Mówię: myślcie dziś inaczej,
Wiedząc to, że wszystko znaczy
Nie kibić, lecz talent Sary.

* *A propos Sary Bernard.*

Reżyser dramatu wznawia zapomnianą sztukę p. t.: „Noc na cmentarzu, czyli taniec szkieletów.”

Tytułową rolę przedstawi w niej Sara Bernard.

* * *

Krytycy warszawscy oddają się z zapałem studyjom nad *osteologiją.*

Tylko przy dokładnem poznaniu tej nauki będą mogli ocenić gruntownie talent Sary Bernard.

* * *

Urządzenie sypialni powierzono znanemu „Przedsiębiorstwu” pana Korpaczewskiego...

* * *

Kilku artystów zamierza malować portret Sary Bernard w naturalnej... cienkości.

W tym celu, zamiast na blejtramie, rozpinają płótno na... żerdzi.

Sarmatyzm.

A K T I.

SCENA I.

GURONOS, SKARBIMIR.

GURONOS.

Jakem Guronos szlachcic, z naddziadów pod-[czaszy,
Wkrótce dam znać Żegocie, że mnie nie zje [w kaszy.
Dom mój miałby pierwszeństwo dać jego do-[mowi?
Mnie dyjabli wezmą, albo tego, kto tak powie!

SKARBIMIR.

Ależ...

GURONOS.

Niech każdy odda co należy komu!
Ja pytam: ta impreza zkąd Żegotów domu?
Kościół, mówią dla wszystkich.., Nie zawsze! [nie wszędzie!
Czemuż prosty kanona klechę nie posiędzie?
Wszystko ma swoje szczeble; jest dalej, jest [bliżej.
Niech kto wart się wzniesie, kto niewart, [niech zniży.
Przecież żona Żegoty, o co z nami zwada,
Zawsze mi moją imość w kościele podsiada.

SKARBIMIR.

Czyż....

GURONOS (*przerywając*).

Trzeba byśmy się lepiej zrozumieli.

Co stanowi lustr domów? — Dawność paran-
[teli!
Bo znowu tej dowodzi? Metryki, herbarze,
Manzolea. Dość naszych nie w jednej jest
[farze.
Domowi Guronosów applauzy przyznawa,
Nie setnem, nie tysiącznem okażę to licem!

SKARBIMIR.

Któż wątpi? Jesteś waćpan jak trzeba szlach-
[cicem.
Masz świetne antenaty, jasne ich wywody;
Lecz czyż to do sąsiedzkiej ma przeszkadzać
[zgody?
Czemu nie ważyć przyczyn?

GURONOS.

To też to, sąsiedzie!
W tem kozera! Kto z nas krwi świetniejszej
dowiedzie,
Ten pierwszy.

SKARBIMIR.

Dom waćpana w zacne męże plen-
[ny.
Starożytny...

GURONOS.

Dodajmy, dom wielki, wojenny,
A co najrzadsza, równie z kądzieli jak z mie-
[cza.

SKARBIMIR.

Wszystko to dawną jego świetność zabezpie-
[cza.

GURONOS.

Jeżeli sławne gdzieś tam imię Fabijuszów,
I naszych nam niemało Tatarzyn wziął uszów.
Nie pomnę w którym roku, lecz rzecz oczy-
[wista,
Że w tej klęsce poległo Guronosów trzysta.

SKARBIMIR.

Słyszałem tyle razy od waćpana...

GURONOS.

To mi
Dom! — Szczęściem, został jeden Guronos
[Bartłomiej,
Gdyż był lactens w kolebce. — Doszedłszy
[lat pory
(Po naszym Sędziwojów wonczas był dom
[wtóry,
I już schodził) — otóż w nim wziął sociam vi-
[tae
Dobrosławę Gertrudę Jadwigę Brygidę,
Ostatnią z Sędziwojów herbu Koziej-głowy.
Alluzyja, jak wiemy z kroniki domowej.
Twardych rogów do Marsa, a koziej osady
Do dziedzicznej domowi Sędziwojów Swady.

SKARBIMIR.

I to słyszałem.

GURONOS.

Otóż z tego Bartłomieja
I Brygidy, gasnąca dwóch domów nadzieja
Wskrzesiła się na Mieszku, jedynym ich synie,
Który Mieszko, pojąwszy Gryszkę na Myślinie,
Spłodził Andrzeja, Marka, Piotra, Matyjasza,
Protazego, Łukasza i Malachiasza.
Z których jeden był tylko sterilis Protazy.

SKARBIMIR.

Już i o tem słyszałem po tyle kroć razy!
To cóż...?

GURONOS (*przerywając*).

Aby się tamta dowiedziała strona,
Że dom mój nie wyleciał sroce z pod ogona,
I że żona Żegoty...

SKARBIMIR (*przerywa*)

Może mniej roztropna.

GURONOS (*kończąc swą genealogię*).

Z tych Andrzej, pierworodny, wziął Różę z
[Konopna.

SKARBIMIR (*znudzony i niecierpliwy*).

Zacny panie podczaszy; wiem w jakiej jest [cenie,
A w jakiej być powinno domów pochodzenie,
Wiem, że i wasze w wiekach brały wzrost ol [brzymi,
Lecz gdy zdrobniawszy, ledwie że są dojrza- [nymi.
Gdy nas małych i wielkich, nędza dziś przy- [ciska:
Co z tego przodkowania? Rzecz do pośmie- [wiska!

GURONOS.

Mój dom, lecz nie Żegotów. — Proszę do ko- [ściołów!
Na popis monumentów, grobsztynów, mauzo [łów.
Proszę do przywilejów!

SKARBIMIR.

A jabym chętniejszy
Wziął za sędziego rozum, nad wszystko da- [wniejszy.
By przez te śmiechu warte domów waszych [wojny,
Nie cierpiał cały dotąd powiat nasz spokojny.
Ile kiedy nieszczęściem drobiazg naszej braci.
Nawykły służyć dumie, co swe zyski płaci,
Nie omieszka, jak nieraz, z małej dość iskier- [ki
Wzniecić pożar ogólny, stronnictwa, rozterki,
Przystałożby to na dom waćpana tak stary.
Sławny jassyrem uszu wziętych przez Tatary,
Ażebyś je! wetując w pokoleniu setnem,
Równą klęskę gotował swojskim i szlachetnym?

GURONOS.

Krwi niczyjej nie chciałbym przelewać.

SKARBIMIR.

Lecz przecież...

GURONOS.

Próżne mi waszeć jaspan terefery pleciesz.
Jeden jest dla Żegoty środek, mieć się skro- [mniej,
A nie? to ten kord cenzor mores mu przypo- [mni.

SKARBIMIR

Więc rada przyjacielska...

GURONOS (*junacko*).

Przyjaciel i rada
Ten kord, co nie jak waćpan, bije choć nie [gada.

SKARBIMIR.

A prawo na napastnych?

GURONOS.

O gdyby też nie te,
Bałamutne te prawa! Bassateremtete!
Do tysiąc set kop djabłów, albo jeszcze go- [rzej...

SKARBIMIR.

Miałem honor już mówić: Jespan podkomo- [rzy
Tyle się tem zasmuca, wstydzi, gniewa wresz- [cie...

GURONOS.

Czy dla mnie podkomorzy to, co burmistrz w [mieście?
Czy mnie na ratusz wsadzi? Szlachcic na za- [grodzie...

SKARBIMIR (*przerywając*).

Wiem to, że dawniej bywał równy wojewo- [dzie.
Aleź pan podkomorzy nie imperative,
Lecz jak braterskie radzi, jak serce życzliwe,
Naszym się opiekując szczególniej powiatem,
Jako jest przodkującym starszych braci bra- [tem,
Pisał do mnie dwa razy, znać w nadzieję ła- [ski

Waszeć jespana dla mnie, bym wszedł w ich [niesnaski,
I starał się je zgodzić dając znać w przypi- [sie,
Że już o tem stolica i wie i gorszy się.
Wiadomo waszeć panu, jednakże u dworu
Takie burdy..-

GURONOS.

Burdyż to interes honoru?
To mnie będzie lada kto szarpał? krzywdził? [a ja
Mam się przy mężnem sercu stroić na mazga- [ja?

SKARBIMIR.

Toż to jest rzecz honoru, aby z fraszki lada,
Zbrojno brat brata, sąsiad nachodził sąsiada?
Ażeby chlubne męztwa miał czynić popisy
Przez szczerby drugim dane, albo wzięte kre- [sy?

GURONOS.

Otóż te polityzmy, te grzeczności wasze!
Modne rozumowania, sensa! — Na pałasze,
Dobrodzieju! to rozum był w dawnym Sarma- [cie!
Teraz tylko piszecie pięknie, rozprawiacie,
A gdy przyjdzie krzyżową machnąć kiedy [sztuką,
Stary popr aw! Studenty, żaki z tą nauką!

AKT V.

SCENA X.

GURONOS, BURZYWOJ, SKARBIMIR. REJENT ŻEGOTA RADOMIR.

SKARBIMIR.

Gościa pożądanego!

ŻEGOTA (*w koło ukłon z parafialną niezgrabną nadętością*).

Najniższy, najniższy!

SKARBIMIR (*znudzony wielomówstwem i komplementami*).

Nie wspominając przyczyn waćpanów niechę- [ci,
Wszystkim się trafić może...

Ludzieśmy nie święci.
Tkliwość, niezrozumienie, poszepty, złość, plo- [tki,
Zdarza się, że nam trują pokój życia słodki.
Przyjaźń, obejrzenie się na własne ztąd szko- [dy.
Czas nakoniec, stęsknionych przywodzą do [zgody.

GURONOS (*do Burzywoja, umyślnie aby był słyszany*).

Jak mądrze, pięknie mówi!

BURZYWOJ (*ciszej odpowiada*).

Lecz niezrozumianie
I coś górno!

ŻEGOTA (*do rejenta*).

Marmuru, cedru godne zdanie!

SKARBIMIR.

Zacny nasz podkomorzy z wiadomego wzglę- [du
Braterstwa, uprzejmości, z pierwszeństwa u- [rzędu,
Jako *nobilitatis princeps* prymas ziemi,
Zasmucony wieściami coraz zwiększonemi...

ŻEGOTA (*przeszkadzając*).

Znamy my duszę pana tego popularną...

GURONOS (*takoż przeszkodny komplemencista*).

Ale też nie na płonną rolę rzuca ziarno.

SKARBIMIR.

Owóż pan podkomorzy, przyjmując najsmu- [tniej
Tę wieść zdawna trwających we wsi naszej [kłótni,

Ile że ona biorąc polot coraz sporszy,
Lekkomyślących bawi, a rozsądnych gorszy —
Co się nie tak w pamięci ludzkiej łacno zatrze,
Bo już nią i Warszawę bawią na teatrze.

BURZYWOJ (*z nienacka*).

A to jak?

GURONOS (*nieukontentowany*).

Czy podobna?

ŻEGOTA.

To wcale nic po tem.

Jakże to?

SKARBIMIR.

Komedyą napisano o tem.

BURZYWOJ (*do Guronosa z przegryską*).

Wujaszku, gdybym wiedział; kto to pisze ta[ki?

GURONOS.

Studenty, mój siostrzanku! pacholęta, żaki.

BURZYWOJ.

Lecz w Warszawie gdzie tylu...

GURONOS.

W Warszawie jak wszędzie
Czy myślisz, że rozumny śmieszków bawić [będzie?

BURZYWOJ.

Co za uczciwość cudzą zabawiać się sławą?

GURONOS.

Otóż tak jest, idźże się z całą bij Warszawą!

SKARBIMIR.

Najlepiej poprawmy się-

BURZYWOJ.

Aby ta szkarada...

SKARBIMIR.

Skoro się odmienimy, wstyd na nas nie spa[da.

(*Skracając nudy parafiańskie*).

Otóż pan podkomorzy, jespana rejenta
I mnie...

ŻEGOTA.

Znamy waćpanów piękne sentymenta,
Obywatelstwo...

SKARBIMIR (*rwąc dyskurs*).

Żąda, abym zawsze zwrotnie,
Do woli waszeć panów...

GURONOS.

Z serca i ochotnie...

SKARBIMIR.

Podawszy pierwej zgodne do tego projekta...

GURONOS.

Tak zacne, tak dostojne, tak górne subjekta...

SKARBIMIR (*przerywa*).

Gdy zobopólnym chęciom dogodzę waćpa[nów...

ŻEGOTA

Nie wątpię, że dogodzą.

GURONOS.

Pisz! wyrokuj! stanów.

SKARBIMIR.

Poprzednie interesu przez strony objęcie,
Mniemam, że go ułacni, mospanie rejencie.
Racz nam przeczytać projekt, co w sobie za[wiera.

REJENT (*dobywszy kopii projektu*).

Feria...

SKARBIMIR.

Opuść, waćpan!

REJENT.

Ano...

SKARBIMIR (*przerywa*).

Et cetera.

REJENT

Między ichmość panami, Chrzcicielem Żegotą
A...

GURONOS (*wrzaskliwie*).

Protestor, rzecz cało rozbija się o to,
Ja mam być pierwej...

REJENT.

Zaraz!

ŻEGOTA (*do Guronosa*).

Zkąd te przywileje?
Zkąd masz prawo?

GURONOS (*junacko*).

Pokażę!

SKARBIMIR (*łagodząc*)

Mości dobrodzieje!

REJENT

Wszystko to się nłatwi, lecz sens nieskończo-
[ny.

(*czyta projekt*)

Między panem Żegotą Janem z jednej strony,
A takąż na odwrót, między jegomością panem
Markiem Guronos z jednej, a Żegotą Janem
Z drugiej strony, czyniącym, stroną i powo-
[dem...

SKARBIMIR.

... każdy z waćpanów i górą i spodem.

BURZYWOJ (*rad temu*).

Trudno mówić, zwrot piękny, szczęśliwego
[pióra.
W jakich formach te głowy odlewa natura?
Bo to chytro i mądrze, dowcipnie i składnie,
Jak kot; rzuć go łbem z góry, on na nogi
[padnie.
Znać nie darmo jadł w szkołach pan Widy-
[mus kaszę.

GURONOS (*niespokojny*).

Za cóż mają tę kolej mieć imiona nasze?

ŻEGOTA.

Tak jest, jak być powinno!

GURONOS (*groźnie*).

Mylisz się mospanie!

ŻEGOTA.

Zkądże to waszeć pana rodu przodkowanie?

GURONOS.

Zkąd? zkąd nie waszeć pana! Z naszych za-
[sług źródła!

REJENT.

A mojaż to krew ma być, mówisz waszmość,
[podła?
Nie ma swoich pamiątek?

GURONOS.

Od dwóch lub najwięcej
Lat trzechset!

ŻEGOTA.

Wasz zapewne ma od dwóch tysię-
[cy.
Szkoda, że tej dawności archiwa przepadły
W on czas, gdy nam Popiela króla myszy zja-
[dły.

GURONOS.

Wujaszku, nie znoś!

GURONOS (*podburzony do Żegoty*).

Co? Jak?

ŻEGOTA (*junacko*).

To, tak!

GURONOS.

Słuchajże ty!

ŻEGOTA.

Ty sam ty! ty!

GURONOS (*przyskakując do Żegoty*).

Rozumiesz!

ŻEGOTA (*uskakując*).

Burdy! Szarapety!

Nauczę was!

REJENT.

Panowie!

GURONOS.

Kto to burda?

BURZYWOJ

Kto to

Szerepeta? Komu to śmiesz mówić, hołoto?

SKARBIMIR.

Panowie! po tak pięknym wstępie do przyja-
[źni...

GURONOS.

Niechże nas nie znieważa!

ŻEGOTA.

Niechże mnie nie drażni!

BURZYWOJ.

Niech nam pod nos nie kiwa!

SKARBIMIR.

Jespan podkomorzy!

GURONOS.

Gdyby też nie przez ten wzgląd...

ŻEGOTA.

Jeśli co uczynię,
Nie z inego, lecz z tego powodu jedynie.

BURZYWOJ.

Ani jabym darował; lecz że obaj z wujem,
I osobę kochamy, i urząd szanujem,
Więc i zemstę kiełznamy, i krócimy męztwo.

SKARBIMIR.

Tak, krócić namiętności największe zwycięz-
[two.
A gdy to pochop bierze szczególniej ze wzglę-
[du
Miłości dla osoby, a czci dla urzędu!
Niech na uzupełnienie świadczonej mu łaski,
Padną dzisiaj ofiarą domów ich niesnaski!

(*Do Guronosa*).

Waszeć pan piękną córkę,

(*Do Żegoty*).

Jegomość ma syna,
Niechże dzieło przyjaźni związek ich zaczyna.

SCENA XI.

GURONOS, BURZYWOJ, ŻEGOTA,
SKARBIMIR, REJENT, RADOMIR,
RYKSA, WALENTY.

RYKSA (*prowadząc gwałtownie Walentego*).

Pójdź, szkarado!

WALENTY (*mocno wleczony*).

A cóż to za łapy niedźwiedzie?

RYKSA.

Pójdź, łotrze!

WALENTY.

Gdzież mię pani z takim gwałtem
[wiedzie?

RYKSA.

Pod miecz katowski pójdziesz!

WALENTY (*krzywiąc się wpół z płaczem*).

Biedoż moja, biedo!

GURONOS (*postrzegłszy żonę dość pijaną*).

Potrzebnaś tu nam waszeć tak, jak Piłat
[w *Credo*.
Już zgoda jak skończona; nie wczas te hała-
[sy.

RYKSA (*popuściwszy Walentego*).

O wyrodne potomstwo! o bezbożne czasy!
Piękna twoja Aniela! dyjabeł ci to z piekła!

GURONOS.

Cóż zrobiła?

RYKSA.

Nic nie wiesz? nic nie wiesz? ucie-
[kła!
Syn Żegoty...

GURONOS.

I ojciec i syn, patrz, są oba!

RYKSA (*dopiero postrzegając*).

Mospanie! córka moja?

ZEGOTA.

To mi się podoba!
Czy się do niej przyznaję?

RYKSA (*do Radomira*).

A ty jak, młodziku,
Ważyłeś się?

BURZYWOJ (*chce ją uspokoić*).

Cioteczko!

RYKSA (*do Burzywoja*).

Tchórzu! nikczemniku!

SKARBIMIR.

Mościa pani Markowa!

RYKSA (*do Skarbimira*).

Ludzi bałamucie!

REJENT.

Pani!

RYKSA.

Cóż ci do mojej córki? patrz w statucie!

GURONOS.

Rysiu! Rysiu! obacz się.

RYKSA.

I ty, capie stary!

GURONOS.

Wszak się można i napić, a nie przebrać mia-
[ry.

RYKSA (*płacząc jak pijana*).

Zamiast cobyś miał pomstą nastąpić surową!
Za cóżem jeszcze matką?.. Czemu już nie wdo-
[wą?

GURONOS (*do Skarbimira.*)

Nad wszystkie trunki wódka upaja ją syta,
I zawsze chłysta! chłysta!... przeklęta kobie-
[ta!

SCENA XII.

GURONOS, BURZYWOJ, ŻEGOTA, SKARBIMIR, REJENT, RADOMIR, RYKSA, WALENTY, BOGUMIŁA.

BOGUMIŁA.

ż miło, kiedy tylu ludzi wraz zobaczę!
cioteczka tu czegoś smutna? czego płacze?
óż to, wujaszku, ciotce?

GURONOS.

Płacze na Anielę,
na wszystkich.

BOGUMIŁA.

Zaraz ja ciotkę rozweselę.
Posłuchaj mnie cioteczko!

RYKSA.

Dziewczyna ladaco!
Jak to w tych czasach rychło panienki wstyd [tracą!
Dziewczyna ledwie, że ma lat dwadzieścia [cztery,
Pięknież to? czas-że to jest znać się w kawa- [lery?
Ja trzydzieści lat mając do ślubu szłam z wian- [ku!
Niech mi Maruś przeświadczy! nieprawdaż, [kochanku?

GURONOS (*wstydząc się niebacznej mowy.*)

Prawda!

RYKSA

Po ślubie ledwie w miesiąc mnie za- [wito!
Lecz po jak długich sporach!

GURONOS.

O papko kobieto!

RYKSA.

A tu panna przed ślubem, jedna, samo-pasem...

GURONOS.

Toć jej nie zje? nareszcie, co zrobisz hałasem?

RYKSA.

Nie będzie z niej pociechy! pociechy nie bę- [dzie!

GURONOS.

A przecież choć raz w swojej uspokój się zrzę- [dzie.

RYKSA.

Łzy ją matki pobiją.

BOGUMIŁA.

Ale za co przecie?

GURONOS (*cicho do Bogumiły*).

Ot baba się upiła i nie wie, co plecie.

BOGUMIŁA.

Cioteczko! posłuchaj mnie, to co powiem, aliż
Przekona cię, że darmo na córkę się żalisz.

RYKSA.

Nie darmo! mam ja rozum lepszy od waszeci
I miałam i wiem, jak mam w ryzie trzymać [dzieci.

BOGUMIŁA.

Niechże powiem co myślę, podoba się czy nie...

RYKSA (*swoje zawsze*).

Czy można, czy przystoi tak młodej dziewczy- [nie?

BOGUMIŁA.

Niechże coś powiem: — „Kiedy wiek nasz po- [chylony,

Po za nas uniósł wiosnę, przed nas rzuca szro-
[ny,
Jak kiedy drzewo trwaniem zbawione wigoru,
Czeka tylko spróchnienia, lub razów toporu;
Natura gdy czas życia początki w nim zmię-
[sza,
Niosąc reszty w konary, jeszcze drzewo wskrze-
[sza..."
Są to świętej pamięci słowa mojej matki;
Nie byłoby nic smutniej nad życia ostatki,
Gdyby się nie tą ludzie cieszyli nadzieją,
Że choć w sobie zamierzchną, w dziejach za-
[jaśnieją!
Jakoż to jej najwięcej sprawiało goryczy,
Że umierała, patrząc na mój stan dziewiczy;
Że mniej oczu nad zgonem jak płakało, że jej
Z życiem wszystkie gasnęły promienie na-
[dziei.
Za cóż tedy, co inni w poczet szczęścia kładą,
Cioteczka to występkiem mieni i szkaradą?
Tembardziej, że Aniela, nie płocha, bez braku,
Lecz za wodzą rozsądku, za skazówką sma-
[ku,
W zacnym zewszech miar synu jespana Że-
[goty,
Młodzieńcu wychowania pięknego i cnoty,
Położywszy tę ufność, która serca klei;
Powziętych nie zawodzi o sobie nadziei.

RYKSA.

Uciekła rozpustnica! cały ród nasz plami.

BOGUMIŁA.

Nie uciekła, jest blizko, jest pomiędzy nami.

GURONOS.

Cóż tu ona porabia?

WALENTY.

Codzienne mozoły
Wykurzyły nas z domu, jak dym z ula pszczo-
[ły.
(wskazując Skarbmira.)
Wie to najlepiej sam pan.

SKARBIMIR.

Rzecz się więc wyświeca;
Schronienie, a ucieczka, jak wielka różnica.
Pan Radomir...

RYKSA (*rwąc dyskurs*).

Nic z tego!

GURONOS.

Dosłuchajże żono!

RYKSA (*wskazując Burzywoja*)

Aniela dla sampana już jest przeznaczoną.

BURZYWOJ.

Uniżenie dziękuję za podobne łaski!
Skoro do serca wkradł się paniczek warsza-
[wski,
Moja odtąd kochanka i oblubienica
Pałasz, fajka, butelka, kapciuch i rusznica.
A do tego pięćdziesiąt lat z górą wagusa
Nie rozum ożeniłby, lecz dyjabeł pokusa.

GURONOS.

Zbliżmyż się już do rzeczy.

SKARBIMIR (*wskazuje Radomirowi, aby szedł po Anielę*).

Panie Radomirze!

GURONOS.

Cóż sąsiedzie Żegoto?

ŻEGOTA.

Cieszyłbym się szczerze.

SKARBIMIR.

Otóż panna Aniela!

F. Zabłocki.

Satyra.

* *Z „Satyr" Opalińskiego.*

Z Satyry: Na tych, co się w zeszłym wieku żenią.

I tobie się też bzdyku chce żony? Oszalał
Chudzina stary, licząc siemdziesiąt lat wieku,
Młodziusieneczką żonę pojmuje, nie sobie.
„Alem chory, trzeba mi coby opatrzyła
Starego i oprała." — To upewniam będzie,
Że cię dobrze opierze, gdy jej wlezie mucha
W nos. Przyrzekam, że poznasz, co to młoda [żonka,
Staremu, jak Włoch mówi, karoca do nieba.

Powiadają, że raz śmierć spała z Kupi- [dynem,
Na jednym miejscu, wytchnąć sobie chcąc po [pracach.
Śmierć łuk swój i z strzałami tamże porzuciła
Kupido także łuczek i strzałki położył,
W tym obaj ocknąwszy się sajdaki trafun- [kiem
Jakoś pozamieniali, że śmierć wzięła łuczek
I strzałki Kupidyna, a Kupido śmierci.
Idą w świat strzelać ludzie. Kupido obaczy
Młodego, wymierzywszy ugodzi go w serce,
Aż tu młody umiera miasto o.......
Bo strzałą śmierci chudak postrzelony został.
Śmierć też zoczywszy kędyś starego, wymie- [rzy
I ugodzi go w serce, aż stary szaleje,
Do zalotów się bierze, młodziuchne o......
Śmierć się dziwuje. Nie dziw, bo był ugo- [dzony
Strzałką Kupidynową, i nią zapalony.
Cóż ztąd jednak za korzyść? Taka jaką [w Litwie
Ktoś napisał, że sobie żoneczki chowają
Poteszytelów, których .... vocant.
Tak i starego młoda małżonka upewniam
Bez nich się nie obejdzie. Wolałaby jedno
Oko tylko mieć w głowie i rękę i nogę
I ucho, niż się jednym mężem kontentować.
Cóż na to odpowiadasz? — Wziąłem dobry [posag
A przytym młode lata, za co mi to stoi? —
Wytchnieć upewniam tego, gdy coraz wymów- [ki
Potykać cię więc będą: żeś ustał chudzina,
Że śmierdzisz trupem zgniłym, i żeć z nosa [ciecze,
Że oczy oparzyste ustawicznie płaczą,
Że zębów w gębie nie masz, żeś grzyb na pół [zgniły,
Żeś w miłości oziębły. Więc i tym podobne,
Których tak długo będzie, że też zbrzydniesz [cale
Zaczym ci w poleweczkę miasto cukru, albo
Czego słodkiego, wsypią trąbkę arszeniku.
I tak przypłacisz żonki, przypłacisz posagu.
Bowiem i to coś zebrał, żoneczka pobierze
Po twej śmierci, i tym się za kogoś wyrai,
Moja rada: gdyś stary, dajże żonie pokój,
Lepiejć tak w stanie wdowskim, albo i mło- [dzieńskim
Kończyć lata zgrzybiałe i w wianeczku u- [mrzeć.

Powiedziałem o dziadach. O babach co [powiem?
Dwa razy w tym są gorsze. O jak owo śmie- [szna,
Gdy się babuś wymuszcze, gdy brwi ufarbu- [je.
Lecz hebanowych ząbków ufarbować trudno,
I owych zmarsków ująć, które poorały
Szpetną twarz. Przecię jednak suknią nad- [dawają,
Co natura ujęła. Stroi się babusia,
Postawę też formuje, i chód, i spojrzenie,
Aż się tam ktoś odważy z młokosów, prze- [czuwszy
O pieniążkach u babki. Zmyśla zakochanie
I za to brać poczyna, a do młodszych nosi;

---

*) Krysztof Opaliński wydał w r. 1650: Satyry albo Przestrogi do Naprawy Rządu i Obyczajów w Polsce należące, na pięć ksiąg rozdzielone. Opaliński jest najznakomitszym satyrykiem do czasów Krasickiego.

Wzdycha, chwali rozsądek, obyczaje, mą-
[drość,
Dostatek i animusz. Baba temu wierzy,
I rozumię, że grzeczna, że piękna i wdzięczna.
Już się i sama stara o niego, i prosi.
Który wnetże pieniądze, nie babę pojmuje.
Bo któżby staroduba życzył mieć za żonę.
Ślub się tedy odprawi, i obiad weselny,
Po którym w taniec idąc, zagrać piosnkę ka-
[że:
„Ma snadź baba pieniądze, ma pieniądze w le-
[sie,
Kijemże tedy babę, aza je przyniesie" —
Wszystko się to wywróży. Wnet babę z pie-
[niędzy
Obiorą, jako owę kawkę z cudzych piórek.
I obrawszy każą jej do dyjabła z domu.

Sawantka.

Pani Dafnicka Sybilla,
Która umiała już język francuzki,
Gadając, piekła raka albo gila;
Choć mówią, że ją król szanował pruski
Z dowcipu. Jakoż raz (o! krotochwila)
Książę dowodził jej, że polskie kluski
Zowią się wszędzie z drugiej Renu strony
Po towarzystwach wyższych: pedenony.
Z czego ją wtrącił w taki gniew, że
[z miny
Piorunem była, a ze wzroku furyją;
Bo to już wzięła za wyraźne drwiny —
Nie za dowcipu różę, lecz nasturyą.
Kluski nazwała larmami z faryny,
A księcia błaznem... bo sprowadził z gór
[ją
Wyższego tonu, i tonem Polaka,
Przymusił zawsze bladą — upiec raka.

Tę panią zawsze wielkie myśli pasły
I książkowe ją napełniały strawy.
Ksiądz ją spowiadał chudy, mąż opasły
Nie miał z nią bardzo dawno żadnej sprawy;
Zwykle chodziła jak wulkan zagasły,
Mając na głowie wielkie sople z lawy,
Których dostarczał ognisty Wezuwijusz;
Synka jednego mając, nazwała go... Ful
[wijusz.

J. Słowacki (p. t. I, str. 87).

Sąd.

* Jedna kobieta, mająca proces, udała się z prośbą o względy do prezesa sądu, lecz ów urzędnik nie przyjął jej, jak się spodziewała wychodząc z pokoju, rzekła dość głośno:

— Do pioruna! a to stara małpa.

Nazajutrz sprawa jej była wprowadzoną i wyrok zapadł na jej stronę.

Dowiedziawszy się o tem, zaraz pośpieszyła podziękować prezesowi, który za całą zemstę poprzestał na następujących wyrazach:

— Przekonaj się pani, że i stara małpa może się przysłużyć koczkodanowi.

* *W sądzie pokoju.*

Assesor. Jak się pan nazywasz?

Oskarżony (wstając.) Józef Gustaw Artycha.

Assesor. Ile pan masz lat?

Oskarżony. No, jak też się panu zdaje?

Assesor. Tylko bez dowcipów. Pytam się, w jakim pan jesteś wieku?

Oskarżony. W trzydziestym...

Assesor. W trzydziestym?

Oskarżony. Mówię, że w trzydziestym roku się urodziłem — mam więc akurat 46 lat.

Assesor. Z czego pan żyjesz?

Oskarżony. Ah Boże! człowiek je i pije, co mu wpadnie pod rękę!

Assesor. Nie o to mi idzie. Chciałbym wiedzieć, jaka jest pańska profesyja?

Oskarżony. Miałem ja kiedyś paszport, tam było napisane: „Szewc," ale ja temu stanowczo nie wierzę.

Assesor. Co pan chcesz przez to powiedzieć?

Oskarżony. Niby to uważa pan, że nie przypominam sobie, abym kiedykolwiek terminował u szewca; być może jednak że to brat,

mój uczył się szewctwa, choć co prawda, to on jest rzeźnikiem...

(*Zatacza się i przewraca kałamarz.*)

Assesor. Cóż to! Jak pan śmiesz w takim stanie zjawiać się tutaj. Pan jesteś pijany!

Oskarżony. Pijany?.. (*zataczając się*) Ja nigdy nie piję!

Assesor. Nie możesz pan się utrzymać na nogach!

Oskarżony. Utrzymać na nogach? Co też pan mówisz! I to tak z pijaństwa? Ja też powiadam panu, panie assesorze, odzwyczaj się pan od picia, bo to brzydki nałóg! fuj!

Assesor. Zostałeś pan oskarżony przez swego gospodarza o pobicie, co pan możesz przytoczyć na swą obronę?

Oskarżony. Rzecz się ma tak. Wróciłem kiedyś do domu późną godziną, chcąc się kropnąć na łóżko, aż tu wchodzi mój gospodarz i mówi: — Panie Artycho, jesteś pan mi winien za dwa kwartały, albo mi pan natychmiast zapłać, albo się wyprowadzaj zaraz! — Iiii — odrzekłem — sześć miesięcy mieszkam wszystkiego, a już mam być winien za dwa kwartały? I chcesz mnie pan za to wyrzucić? W takim razie jesteś pan ordynusem! Ośle jeden — przemawiam dalej — wynoś się, bo jak się nie wyniesiesz, to ci żebra poprzetrącam! Durniu ty jeden — nie gospodarzu! O wymysłach jednakże nie było wcale mowy. Aż ten wrzeszczy: — Co, jeszcze mi pan wymyślasz? Płać komorne, w przeciwnym bowiem razie, każę pana wygnać na cztery wiatry! Na takie gadanie sięgnąłem ręką do kieszeni... i dałem mu...

Assesor. Komorne?

Oskarżony. Nie, kułaka! Przyzna pan assesor, że mu coś dać musiałem! A teraz, pomyśl pan tylko sobie, że w tydzień potem dostaję wezwanie o złożenie wizyty w sądzie, gdzie mnie posądzają o pobicie. Przepraszam, żem z wizytą przyszedł nie we fraku, ale...

Assesor. Jednakże sam pan przyznałeś się, żeś go bił.

Oskarżony. No, jeżeli pan kułak biciem nazywasz, to ja nie mam już tu co robić. W każdym razie jednak, jeżeli pan tak człowiekowi słowa w ustach przekręcasz, to się może źle skończyć dla pana...

Assesor. Skazuję pana na 10 rs. kary, a niezależnie od tego na 4 tygodnie aresztu.

Oskarżony. Dziesięć rubli i jeszcze 4 tygodnie do tego? Powiedz no pan, czyby tego taniej załatwić nie można?

Assesor. Proszę mi głowy nie zawracać.

Oskarżony. Aha... to pana samego więcej zapewne kosztuje...

Assesor. Woźny, odprowadzić oskarżonego...

Oskarżony. Niech się pan na koszta nie naraża, ja się sam odprowadzę (*przy odejściu mruczy do siebie.*) No, no, ktoby to się spodziewał. Więc nie powinienem był mu nadwerężać kości!.. (*wracając się.*) Ale, ale, panie assesorze — jedno drugiemu nie przeszkadza. Tak jak mnie pan tu widzisz, jestem najpoczciwszym człowiekiem w świecie, a chociaż pan mnie kazałeś wsadzić do kozy — to daj pan jednak buzi, ja się na pana nie gniewam...

(*Odprowadzają go do aresztu.*)

* *Sąd honorowy.*

Komedyja autentyczna w trzech obrazach.

opowiedziana przez

Nielubowskiego.

Trzy obrazy w samej rzeczy złożyły się na komedyję, którą wam chcę opowiedzieć, a jednakże komedyja ta nie składa się wcale z trzech obrazów, tylko — niestety — z trzech *obraz.*

Są bowiem obrazy i obrazy, a różnica między niemi ogromna.

Oto naprzykład hrabia... dajmy na to Radost, zobaczył u pana aptekarza stary obraz. Był to Murillo czy Rubens, już nie wiem; dość, że hrabia Radost, wielki miłośnik obrazów, zdumiony, że takie arcydzieło znalazło się

między emetykiem i szarą maścią, ofiarował aptekarzowi bez namysłu pięćset rubli za malowidło zakopcone, poczerniałe, na którem było widać pół oka, ćwierć nosa i kawałek palca u lewej nogi.

Aptekarz zwąchał pismo nosem i odpowiedział, że się namyśli.

Nie szło mu o namysł, ale o zyskanie czasu, potrzebnego do przekonania się o wartości posiadanego skarbu.

Aptekarz nie ufał sobie, bo z całej sztuki malarskiej znał tylko dwie farby: indygo, jako niezbędny czynnik prania i cynober, jako skuteczny środek w pewnych dolegliwościach. Sprowadził przeto z trzech okolicznych miasteczek swoich przyjaciół i wytrawnych znawców: lakiernika, który niedawno odświeżył mu szafy apteczne, zaściankowego kolegę Matejki, oddającego się ze specyjalnem zamiłowaniem malowaniu szyldów i również zaściankowego Siemiradzkiego, który kilka parafij zaopatrywał w bohomazy.

Tryjumwirat rzeczoznawców orzekł, że wprawdzie obraz nie wart trzech groszy, ale skoro hrabia Radost daje zań pięćset rubli, to musi być wart „na amatora" pięćdziesiąt tysięcy.

Aptekarz się oblizał.

Dla większej jednak pewności poszedł po radę do proboszcza.

Proboszcz w wielu razach był dobrym doradcą, ale w kwestyi malarstwa miał tę wadę, że liczył lat 87 i nie używał okularów, bo już na nicby mu się nie przydały; prawda, że mszał i brewijarz umiał na pamięć.

— Obraz? hm! może on i dobry, kiedy hrabia go się napiera... ale pięćdziesiąt tysięcy, to za grubo. Weź aspan tysiąc i dziękuj panu Bogu za taką gratkę.

Rada była nie zła; ale aptekarz się skrzywił. Stuknął w palce i wpadł na myśl, jak sądził, genijalną.

— Tu tysiąc, tam pięćdziesiąt... przetnę na połowę... krakowskim targiem.

I gdy hrabia Radost przyszedł powtórnie aptekarz rzekł słodziutko:

— Dwadzieścia pięć tysięcy rubli, panie hrabio dobrodzieju.

— Pan żartujesz! dam pięćset, sześćset... drugie tyle kosztować będzie restauracyja...

— A na co panu hrabiemu restauracyja Mamy wyborną w miasteczku... robią tam schab wyśmienity...

— Obraz nie jada schabu... dam sześćset...

— Nie mogę odstąpić ani grosza — odpa aptekarz, myśląc ciągle o tem, co ma lub ni ma wspólnego rastauracyja z obrazem, a obra ze schabem.

Hrabia się targował, przekonywał, aptekarz, wiedzący, kiedy trzeba drzeć łyko, ar grosza opuścić nie chciał.

Hrabia był prędki, a w gniewie nie dobierał wyrażeń i gdy po dwóch godzinach ni mógł pokonać koźlego uporu aptekarza, zapalał się coraz bardziej i wypadł mu z ust wyraz — Bogiem a prawdą dość trafny, ale... ni salonowy. Zerwał się, nacisnął czapkę na głowę i krzyknął:

— A to kpem trzeba być, mosanie!

Trzasnął drzwiami i wyszedł.

Była to pierwsza obraza i pierwszy obra komedyi.

Obrażony właściciel obrazu posłał hrabie mu wyzwanie przez dwóch swoich przyjaciół Hrabia z początku się roześmiał, mówiąc, że szanse nierówne, bo on nie umie używać jalapy zamiast prochu i pigułek zamiast kul,—ale gdy sekundanci zaczęli ostro nalegać, wpadł w pasyję i zawołał: — że utrze „tego kpa" na proszek w jego własnym moździerzu, ale strzelać się z nim nie będzie.

To była druga obraza.

Odmowa ta narobiła dosyć hałasu w okolicy, bo aptekarz miał podobno uzasadnione pretensyje do herbu, więc zdaniem ogółu, Radost mógł stanąć do walki bez ujmy dla swego tytułu.

Zwołano walną naradę, do której należało kilku herbowych przyjaciół hrabiego i kilku takichże przyjaciół aptekarza i uchwaliło większością głosów, aby sąd honorowy rozstrzygnął tę sprawę.

Przekonany przez swych przyjaciół, hrabia zgodził się na to.

Obie obrazy były jawne, tembardziej, że hrabia wcale się słów swoich nie zapierał.

Wyrok więc nie mógł być wątpliwy: uradzono, że hrabia powinien przeprosić aptekarza.

Gdy mu przeczytano tę uchwałę, hrabia rzekł:

— Dobrze, zgadzam się... ale pod warunkiem, że się to odbędzie w aptece i że wszyscy będziecie temu obecni.

Nazajutrz, o godzinie naznaczonej, sekundanci i sędziowie siedzieli rzędem pod ścianą, a za stołem stał aptekarz, rozpromieniony nadzieją tryumfu.

Drzwi się otworzyły i wszedł hrabia Radost. Zbliżył się do stołu i obojętnym tonem człowieka, przychodzącego z interesem, odezwał się:

— Przepraszam pana, proszę powidełek senesowych za trzy grosze.

To była trzecia obraza i najdotkliwsza ze wszystkich.

Uśmiechnięta twarz aptekarza zbladła, odskoczył jak oparzony i bąknął:

— Ja... jakto?

— Proszę powidełek senesowych za trzy grosze — powtórzył grubym głosem hrabia.

— Ale... ale... pan hrabia miałeś powiedzieć co innego...

— Już powiedziałem. Wszak panowie słyszeliście?—dodał, obracając się do świadków.

— Słyszeliśmy — zabrzmiała chórem odpowiedź.

— Ale z tym dodatkiem, to ma całkiem inne znaczenie...

— Ma to znaczenie — odparł hrabia poważnie — że jestem słaby i proszę o lekarstwo.

Położył miedziaka na stole, wziął papierek z senesem i wyszedł.

Sędziowie wybuchnęli śmiechem.

— A to nas złapał! Ale ma racyję; powiedział „przepraszam pana," tak niby jak się mówi „za pozwoleniem," albo „dzień dobry," ale powiedział wyraźnie.

I aptekarz został z nosem na kwintę, z trzema obrazami hrabiego i z czwartym własnym w dodatku.

Była to nauczka za chciwość, a co najgorsza, te dwa wyrazy przyczepiły się do niego jak kleszczami; zapomniano o jego prawdziwem nazwisku.

Chory obywatel naprzykład, wyprawiając Grzelę do miasteczka, dawał mu taką dyspozycyję:

— Masz tu receptę, jedź do apteki i przywieź mi *duchem* lekarstwo.

— A do *chtórnej* mom jechać?

— Do „przepraszam pana."

* *Z izby sądowej w X.*

Adwokat cywilista broniący w sprawie karnej: Wysoki Sądzie, powiadają, że Berek przywłaszczył sobie gęś. Jakim sposobem? Cóż to, czy to gęś ma hypotekę, czy ma na plecach przylepiony dział II-gi? Zkąd że mógł wiedzieć, czyją jest własnością? a gdzie niema wiedzy, tam niema winy!

Sąd wskutek powyższej obrony uwolnił podsądnego... po odsiedzeniu czteromiesięcznego więzienia.

* *W sądzie gminnym.*

— Dlaczego to Jacenty ściąłeś sosnę w cudzym lesie?

— Gdzie zaś prześwietny sądzie, jabym się takiego grzechu dopuścił? Jeno jechałem bez las i zawadziłem osią, sośnisko było spruchniałe, przewaliło mi się na furę i tylo, a juzem nie zdejmował, bo nie mogłem dać rady,

* *Sędzia.* Bartłomieju, za obelgi czynne skazany zostałeś na ośm dni kozy. Czy się kontentujesz tym wyrokiem?

Bartłomiej. Z wyroku proszę prześwietnego sądu tom kontent, jeno z kozy przez urazy wielmożnego sędziego, to nie.

* *W sądzie.*

— Podsądny Klawisz, już trzeci raz stajesz tu przedemną oskarżony o kradzież... Patrz, gdzie cię to próżniactwo i włóczęgostwo przyprowadziło.

— Przepraszam pana sędziego, ale mnie tutaj przyprowadziła policyja.

* — Oskarżony jesteś Michale o obelgi czynne względem Bartłomieja Kozicy, co masz na swoją obronę?

— Ja tam prześwietny sądzie, Bartkowi żadnych obelgów nie robił, ino dałem mu dwa razy kłonicą bez plecy i tylo wszystkiego.

* — Podsądny, jesteś skazany na powieszenie; czy masz może jakie ostatnie żądanie?

— Owszem, panie sędzio, chciałbym się uczyć po angielsku.

* — Podsądny, co ty masz jeszcze do tej sprawy dołożyć?

— Proszę prześwietnego sądu, panu jadwokatowi dałem już ośm rubli, panu sekrytarzowi trzy, panu kurjirowi 18 ceskich i Jabramkowi dwajścia rubli, to tyż juz dołozyć nic nie mogę, bo chyba będzie dość i tego.

* *Sędzia.* Jesteś pani wdowa, mężatka czy też wolna?

Świadek. Mężatka, panie sędzio, ale jeżeli pan sędzia wie o jakiej dobrej partyi, to mogę się rozwieść...

* *Sędzia.* Oskarżony! zabiłeś człowieka i cóż na to odpowiesz?

Oskarżony. Niech się panu sędziemu zdaje, że wówczas byłem... doktorem...

* *Sędzia (do złodzieja.)* Zdaje mi się, że się już znamy oddawna?

Złodziej. To się rozumie, że się znamy! Ja odrazu pana sędziego poznałem, choć pan sędzia utył trochę... A jakże się tam pani dobrodziejka miewa... co?

* *Prezydujący.* Czy przyznajesz się podsądny, że namawiałeś świadków do udziału w rabunku?

Obwiniony. Namawiać to i namawiałem ale nie nalegałem wcale, bo prawdę powiedziawszy, fizyjonomije ich nie budziły we mnie wielkiego zaufania.

* *Sędzia.* Moje kobiety, radziłbym wam żebyście się pogodziły; podczas kłótni byłyście obie pijane, a teraz jako trzeźwe, przeproście się.

Wojciechowa. Jabym jej wszystko darowała, bo że mnie nazwała szelmą i burą suką, to bajki, ale że mi nawymyślała od gubernantek, tego darować nie mogę.

* W miasteczku Erreux we Francyi stanął przed sądem młody człowiek, zapozywając niewierną narzeczonę o zwrot kosztów starania się, wynoszących około 1,500 franków. Przedstawił sędziom olbrzymi rachunek, w którym między innemi pozycyjami było: za ośm wizyt oddanych cnotliwej dziewicy po $1^1/_2$ franka, 6 dłuższych wizyt po 2 franki 4 wizyty jeszcze dłuższe po 4 franki, dalej koszta obiadów u rodziców narzeczonej i dostarczane przezeń: garniec wina, 4 flaszki wódki, pieprz, ser, czosnek i rozmaite inne przyprawy, dalej: pokaźna summa za zniszczone bieganiem obuwie, i za niespane noce. Koniec końców, musiał ustąpić ze swoich pretensyi i zadowolnić się przyznanemi mu przez sąd 465 frankami.

* *Sędzia.* Żądasz więc odroczenia z powodu choroby obrońcy? Przecież na gorącym uczynku pozostałeś schwytany i przyznajesz się do kradzieży, nie wiem więc, coby obrońca mógł na twą korzyść powiedzieć?

Oskarżony. Właśnie tego i ja jestem ciekawy.

* *Sędzia.* Jesteś pan podejrzany jako człowiek nieznany nikomu, wałęsający się w tych stronach; czy możesz się pan wylegitymować w jaki sposób, wskazać rodzaj zajęcia, lub jakie pewne środki utrzymania?

Obwiniony. Pewne środki utrzymania? a to na co potrzebne? Aha! może pan sędzia ma córkę na wydaniu. A wiele ona dostanie posagu?

* — Jak mogłeś popełnić czyn podobny? — mówi Sędzia do obwinionego.

— Panie sędzio — mówi więzień — wilk gdy jest głodny, idzie szukać żeru.

— Nie, po sto razy nie — woła sędzia oburzony. — Wilk, gdy jest głodny, pracuje i zarabia na chleb w pocie czoła.

* — Czy masz ojca i matkę? — pyta sędzia oskarżonego.

— Hm — mówi tenże zakłopotany, drapiąc się w ucho — tego na pewno nie wiem.

— Co znowu, musisz przecie o tem wiedzieć.

— Bo to widzi pan, rzecz tak się ma: najprzód umarł mi ojciec i matka wyszła za mąż; potem umarła matka i nowy ojciec się ożenił po raz drugi. Otóż nie wiem napewno, czy mam rodziców, czy ten ojciec jest moim ojcem i czy ta matka jest moją matką.

* — Szymonie Cornkopf — mówi głosem pełnym namaszczenia sędzia do delikwenta— sąd skazał cię na śmierć. Mam nadzieję, że ci to jako przestroga na przyszłość posłuży.

* — Uznajesz się winnym, tak lub nie? — mówi sędzia do stojącego przed nim więźnia.

— E, co tam mam daremnie gadać, — odpowiada więzień — po to pan tu jesteś, żebyś winę wynalazł.

* Sądzono sprawę w Newgate; chodziło o rabunek jubilerskiego sklepu. Ze śledztwa okazało się, że złodziej przebił w murze taki tylko otwór, przez który mógł wślizgnąć się zaledwie do połowy i sięgając ręką, opróżnić witrynę.

Adwokat broni swego klijenta w oryginalny sposób, opierając się na literze prawa, które kara przestępców za całkowite wtargnięcie, a o połowicznem nie czyni wzmianki, co ma właśnie miejsce w tym wypadku.

Przysięgli po chwilowym namyśle oznajmiają, że de facto sam biust złodzieja zawinił, a druga połowa jego ciała jest niewinną.

Sędzia z równą powagą i flegmą iście bretońską skazuje biust winowajcy na rok ciężkich robót, pozostawiając mu swobodę zostawienia lub zabrania z sobą swojej niewinnej reszty.

(*International.*)

* W Nowym Orleanie stała przed sądem kobieta, którą oskarżono o to, że przechodniowi wylała na głowę garnek ukropu.

— Mój Boże — mówiła, usprawiedliwiając się — musicie mnie panowie uniewinnić, bo ja tego człowieka wzięłam za mego męża.

* *Poszkodowany.* Prześwietny sądzie! jestem artystą obuwia damskiego. W niedzielę wieczorem o godzinie 10-tej, wracając z familijnej herbatki, napadnięty zostałem przez tego oto człowieka, który jedną ręką schwycił mnie za gardło, drugą zaś wyciągnął z kieszeni portmonetkę z pieniędzmi i korzystając z mego osłupienia, uciekł. Poznaję go doskonale, bo czyn rozboju popełniony został w pobliżu latarni.

Sędzia. Podsądny, czy przyznajesz się do winy?

Rzezimieszek. Jako żywo, prześwietny sądzie, jestem spokojnym obywatelem, żyjącym z własnych funduszów, oskarżenie podsądnego jest niegodnym fałszem, wymyślonym dla zgubienia mnie w opinji. Jakżeby on mógł kogokolwiek poznać, skoro był pijany jak bela.

Sędzia. Więc byłeś na miejscu i widziałeś poszkodowanego?

Rzezimieszek. Bóg, który zna moją niewinność, jest mi świadkiem, że wtedy nie byłem nawet w Warszawie.

Sędzia. Zkąd-że wiesz, że skarżący był pijany?

Rzezimieszek. Przecie sam to powiedział.

Sędzia. Jakto?

Rzezimieszek. Powiedział, że to było w niedzielę, o godzinie 10-tej wieczór i że jest szewcem.

* — Więc pani zeznajesz, pani Smith — mówi sędzia policyjny — żeś z tym oto obwinionym ośm lat przeżyła? Z tego więc wnoszę, że od ośmiu lat jesteście poślubieni.

— Tak, panie sędzio.

— Czy masz jakie świadectwo ślubu?

— Mam trzy, panie sędzio, dwie dziewczynki i jednego chłopca.

* — Oskarżony — mówi sędzia do stojącego przed nim delikwenta — wdowa Dikson oskarża cię o kradzież jej cielęcia.

— To prawda, panie sędzio, nie mogę temu zaprzeczyć.

— Cóżeś z niem zrobił? — pyta sędzia dalej.

— Zarżnąłem je.

— A potem?

— Zjadłem.

— I nie czujesz wyrzutów sumienia? Skoro dzień ostateczny nadejdzie i znajdziesz się wobec wdowy Dikson i jej cielęcia, cóż wtenczas poczniesz?

— Przepraszam pana sędziego, czy i cielę stawi się w dniu ostatniego sądu?

— Bezwątpienia.

— Jeśli tak, to powiem wtedy wdowie Dikson: oto jest pani cielę.

Trudno było na to dać odpowiedź.

Słuchacze rozśmieli się, a sędzia wydał wyrok możliwie lekki.

* *Sędzia* (do oskarżonego:) Nie możecie się zapierać, udział wasz w tej kradzieży z włamaniem jest dowiedziony; uciekając po dokonanym czynie, zostawiliście w pośpiechu pod oknem te buty i one was zdradziły.

Oskarżony. Mój Boże! tego się nigdy nie spodziewałem po moich butach!

* *Prezydujący.* Jak żeście mogli podać rewirowemu fałszywe nazwisko?

Oskarżony. To tak ze strachu, wielmożny panie, zapomniałem na razie mojego własnego.

* *Inkwirent.* Panie Krzemień, jesteś pan obwiniony, iż w następstwie kłótni z sąsiadem swoim panem Schmidt, nadałeś podobną nazwę własnemu psu i irytując rzeczonego sąsiada, ciągle przywołujesz psa tą nazwą!

Obwiniony. Niech pan sędzia wybaczy, ale to oskarżenie jest tylko bezzasadną przyczepką ze strony mego sąsiada; bo jakkolwiek nazwałem mego psa Szmit, to przecież sąsiada nazwisko pisze się przez S-c-h-m-i-d-t, a mój pies pisze się wprost przez sz i t, a to wielka różnica!

* *Sąd przy wódce.*

Urząd wiejski siadł za ławą,
Będą sądzić, będzie prawo.
Wójt ogłosił wyrok krótki:
„Biłeś Bartku — każ dać wódki.

„Maciek zaczął, choć był zbity,
„Niech da kwartę okowity,
„A świadkowie bez wymówki,
„Dadzą garniec anyżówki.”

Koniec sprawy wójt obwołał,
Sam pić zaczął i częstował.
A gdy wszystko wypróżnili,
Oskarżeni wójta zbili.

Wódka silna razem z ławą,
Wyrzuciła oknem prawo.

Strzeżcie się nasi wójtowie,
Gdy sądzicie, mieć szmer w głowie.

Wódka sprawy nie złagodzi,
Bo niezgoda wraz z nią chodzi.

* *Formalizm legalny.*

W Anglji litera prawa stanowi wszystko. ewien kupiec korzenny, pociągnięty do odowiedzialności za mięszanie jakichś liści do /toniu, wygrał sprawę, skoro dowiódł, że tem, co sprzedawał, tytoniu nie było wcale.

* *Szlachetny złodziej.*

Sędzia. Oskarżony pan jesteś o ukradzeie całusa pannie Z.

Oskarżony. Prawda, panie sędzio, przynaję się do winy i gotów jestem w tej chwili wrócić pannie Z. ukradzionego jej całusa.

* *Sąd à la Dumas syn.*

Sędzia. X. jesteś oskarżony o skradzenie iendla gotowanych raków i spożycie takoych, zasługujesz na karę według artykułu 83 ustawy gminnej. Co masz na swoje uprawiedliwienie?

Oskarżony. Powiem tyle panu sędziemu obrodziejowi, że działo się to w Eldorado po rugim akcie „Pana Alfonsa.”

Sędzia. Nie rozumiem tego usprawiedliwienia; jedno z drugiem nie ma żadnej styczości.

Oskarżony (z deklamacyją.) „Jestem stworzenie Boże, istota żyjąca, myśląca, która ipada, cierpi, żałuje swej winy, błaga o liość... i jakim-że prawem można mnie karać!!!” Tak panie sędzio dobrodzieju, sam pan Dunas powiedział.

Sędzia (zamyślony do siebie.) A prawda, wczoraj w Eldorado na własne oczy słyszaem (przykłada palec do czoła, po chwili namysłu, rozstawiając ręce.) Ha! skoro tak powiedział, nie ma co!.. (do pisarza:) Zdeponować akta! (Oskarżony chce odchodzić.)

Pisarz (czyta.) Tenże sam X. oskarżony jest o skradzenie tamże kufla piwa bawarskiego i spożycie onego, nadto służącą, która mu takowy odebrać usiłowała, silnie potrącił.

Sędzia. Zatem druga wina. Oskarżony, co masz na usprawiedliwienie?

Oskarżony (z zapałem.) Ja kocham piwo!

Sędzia (kładąc mu rękę na ramieniu z uniesieniem.) „Ty kochasz piwo!.. posiadłeś je, zdobyłeś — chciano ci je wydrzeć, to podłość, której dopuścić się nie byli powinni — broniłeś swojej zdobyczy i słusznie! Jesteś pijakiem, dobrym pijakiem... a więc jesteś nietykalną świętością!”

Oskarżony. To także pan Dumas powiedział, panie sędzio dobrodzieju! To tak ten kapitan mówił w tym sensie do żony.

Sędzia. Tak! (do pisarza) Zdeponować akta (do oskarżonego) Idź z Bogiem! (oskarżony wychodzi śpiesznie — sędzia zamyślony do siebie:) O serce ludzkie zmienne, jak ocean, niezbadane jak niebo, tajemnicze jak nieskończoność!

Dumas wielki filozof!

* *Doraźny sąd małżeński.*

I.

O cztery czy pięć mil od Warszawy, na trakcie krakowskim, a pod miasteczkiem, którego nazwiska już i nie pamiętam, można zobaczyć gromadkę podstarzałych budynków, tulących się tak gwałtownie do siebie, jak stado owiec przed napaścią drapieżnego wilka.

Mały czworobok, istny karebatalijon, ogrodzony wysokim parkanem uzbrojonym w podwójne rzędy bagnetów z tarniny, broni doń wejścia; bo prócz jedynej bramy i małej obok furteczki, wiecznie zamkniętych, do których aby się dostać, potrzeba kołatając w deski, poobijać sobie ręce ze skóry, żadną szparą się nie wśliźniesz.

Kiedym był w tych stronach przed pięciu laty, nazwano mi wówczas tę osadę, jakby dla

żartu, Nowym Folwarkiem, chociaż, Bóg widzi, począwszy od samych właścicieli, aż do ostatniego ćwieczka, wbitego pod obrazek św. Magdaleny, patronki gospodyni, nie było tam nic tak nowego, coby sobie mniej jak lat 50 liczyć mogło.

Otóż w owym czasie gospodarzyło tu stare małżeństwo, które rozdawszy dzieciom dostatnią kiedyś fortunę, wyraźnie w kontrakcie ekscypowało sobie ten folwarczek na dożywocie, wraz z 30 morgami okolicznej ziemi.

Państwo Mateuszowie Beczulscy była to sobie poczciwa i bardzo przykładna para małżeńska, tak dalece dobrana, że kiedy stanęli oboje, to ani jeden włosek siwej czupryny pana Mateusza, ani jedna kokarda staroświeckiego czepka pani Mateuszowej, nie wyglądały ponad ostatnim kantem czerwono-malowanej szafki kredensowej, której wysokość, żeby tak powiedzieć prawdę a szumnie, wynosiła aż pół sążnia polskiego.

Nie dziwcie się tu moi czytelnicy, że tak obszernie się rozgadałem o wzroście moich znajomych, bo trzeba wam wiedzieć, że ten wzrost częstokroć był przyczyną ciężkich bardzo utrapień obojga, z powodu złośliwej nazwy „Małych Krucic z Nowego folwarku,” jaką im okoliczni mieszkańcy nadali.

Powszechna wieść niesie, że wszyscy wielcy ludzie, pomimo ich umysłowej wartości, mają swe drobne upodobania i wady, częstokroć bardzo dziwaczne lub śmieszne.

A cóż dopiero powiedzieć o poczciwych, którzy bardzo rzadko bywają wielkimi!?

Więc też i nasze małżeństwo, nie wyjawiając tego przed nikim, nawet przed sobą, w duchu jednak wstydziło się tak małego wzrostu, jakim ich niedobra natura obdarzyła, i w miarę możności usiłowało sztucznemi sposoby, korkami u butów, piórem u kapelusza sama imość, a jegomość ułańską formą zrobionym kaszkietem choć odrobinkę nadstawić zbyt nizkie persony.

Z samego początku osiedlenia się naszego małżeństwa w rzeczonym folwarku nie tak jakoś obchodziły ich złośliwe uwagi sąsiadów; lecz kiedy pewnego razu pan Mateusz niechcący podsłuchał rozmowę jednej ze sług swoich, w tym rodzaju prowadzoną z przyszłym konkurentem, taką uniósł się złością, że pomimo proźb, groźb, błagań i gniewów pani Mateuszowej, (której, powiedziawszy nawiasem, bał się jak ognia), wypędził ją natychmiast, nie pisnąwszy nikomu ani słówka o przyczynie tak gwałtownego postępku. Od tej chwili, kiedy potrzeba było przyjmować nową sługę, wybierał najmniejszą wzrostem, i do tego stopnia posunął ostrożność, że kiedy miał się godzić z nowo-przybyłą, tak zgrabnie ją przesuwał po pokoju, że ta nie wiedząc o tem, musiała zbliżyć się do owej szafki, a gdy była o głowę wyższą od niej, stanowczo nie przyjmował.

Pani matka, jak ją mąż nazywał, instynktownie odgadywała wszystkie te manewry, i skrupulatnie śledząc każdy pomysł mężowski, powiększenie wzrostu na celu mający, natychmiast zastosowywała go do własnej osoby.

I tak: niech-no pan Mateusz kazał cichaczem szewcowi zrobić sobie wyższe obcasy, już i pani Mateuszowa musiała mieć jeszcze wyższe. Przewracała się nieraz biedaczka, zdążając po nierównym dziedzińcu do stajen lub obór, kaleczyła nogi, wszelako nie porzuciła trzewików z korkami i nie poskarżyła się przed mężem.

Trzeba było widzieć miny obojga, gdy prowadząc się pod ręce w jaki dzień świąteczny, maszerowali poważnie środkiem ulicy, zdążając ku kościołowi.

Pan Mateusz, prócz tego, że mały, ale do tego jeszcze pękaty, z czubem zadartym, nosem zadartym, wąsem zadartym, brodą zadartą i oczami nawet zadartemi, bo i brwi biegły ku górze, przebierał szybko drobnemi nóżkami, stąpając na palcach, wyciągając osiadłą szyję opatrzoną dwoma białemi a potężnemi rogami kołnierzyka.

Szaraczkowy surdut, długi po kostki i z tyłu nierozcinany, szarawary wąziutkie, obcisłe, i nadto długie dla zakrycia przeraźliwej wysokości korków, czapka granatowa kształtem ułańskiego kaszkietu zbudowana i z fantazyją na prawy bok siwej głowy zarzucona—dopełniała ubioru szanownego posiadacza Nowego Folwarku.

Pani znowu, istna przekora powierzchowności mężowskiej, szczupła, wysmukła, z obu stron płaska, jak gruba deska wyheblowana; z twarzą pociągłą, nosem pociągłym a ciekawskim, co się tam pod nim dzieje, brodą również śpiczastą i oczkami trochę jeszcze czarnemi, przytem ubrana czarno i długo, nie mogła nadążyć mężowi, przydeptując suknię, od czego potrząsane czarne pióro, prawie na wierzchu również czarnego kapelusza osadzone, powiewało uroczyście.

Nie dziw więc, że śmiano się z szanownej pary, wyglądającej razem jak liczba 10, bo imość stanowiła jednostkę, a jegomość zero, którem też był rzeczywiście.

Śmiano się i z prowadzenia pod ręce, albowiem trzeba wam wiedzieć, szanowni warszawscy czytelnicy, że w oczach prowincyjonalistów tak dziwnem się to wydaje, iż nawet mąż, drugiego dnia po ślubie, nie odważy się prowadzić żony pod rękę, dla uniknienia pewnych i niezbyt delikatnych żarcików najmodniejszej miasteczkowej młodzieży.

Otóż pewnego razu, tak coś około Zielonych Świątek, nie wiem z jakiego powodu zachciało się panu Mateuszowi kapelusza.

— Co tu zrobić w tak ciężkiej potrzebie? — myślał sobie nieborak, czując, że tu szanowna połowica stanie mu na zawadzie, raz dla tego, że dostrzeże w tem widoczny cel podwyższenia sobie wzrostu, powtóre, że nie miał przy swej duszy ani jednego szeląga, siedząc już od niepamiętnych czasów w jej kieszeni. Ale od czegóż medytacyja? Jak zaczął myśleć i przemyśliwać nad tem, coś przez parę tygodni, zdołał wreszcie pomimo bystrej przezorności pani Mateuszowej, pożyczyć od pana prezydenta dwadzieścia dwa złote groszy dziesięć i uradowany wielce, choć nie bez pewnego strachu, oddał je żydkowi, jadącemu do Warszawy, z poleceniem kupienia najwyższego jaki tylko będzie, kapelusza.

Szanowna małżonka, dostrzegając ową tajemniczość zadumek pana Mateusza, kręciła niespokojnie główką, przeczuwając, że on tu coś musi przygotowywać na jej nieszczęście. Prożby, groźby, dopytywania i jego i sług, tym razem nie odniosły pożądanego skutku; więc łatwo możecie sobie wyobrazić jej zadziwienie, gniew i przerażenie, gdy pewnego dnia, przechodząc koło okna mężowskiego pokoju, dostrzegła, jak uszczęśliwiony pan Mateusz, z całą powagą przeglądając się w zwierciadle, przymierzał niezwykłych rozmiarów kapelusz!

— Ha, jest! — krzyknęła, klasnąwszy w dłonie! — No, i nie zdrajca to, nie marnotrawnik? nie mówiłam, nie przeczuwałam? o, poczekaj-no ojczyku! ja ci to zapłacę, poczekaj!..

I wpadłszy do kuchni, cała zarumieniona od gniewu, dalej-że wymyślać przed sługą na biednego męża, bez wyrażenia wszakże przyczyny tej nienawiści.

— No i widziałaś też ty coś podobnego, słyszałaś o takich rzeczach, żeby rodzony mąż stawał na zdradzie własnej swej żonie!

— A cóż to się stało, proszę pani? — zapytała maluśka sługa, a jej faworyta.

— Straszne rzeczy, moja Hanko! Powiadam ci, koniec świata: Mateusz zdrajca, jak Pana Boga kocham, zdrajca od siedmiu boleści! A jaki to nurek, dusił i dusił w sobie, a pytałam co ci? czego ty tak myślisz? czego się ty trapisz? — Nic mi — powiada — tak sobie. — Oho! nie daruję, nie daruję, choćby mi tu do nóg upadł, choćby mię krajał na kawałki, nie daruję! Co to żonę na wstyd narażać! a coby to całe miasto powiedziało? No... no... i to po trzydziestu pięciu latach pożycia...

Oniemiała Hanka, patrząc na tak dziwne rozdrażnienie i niezwykły gniew pani gospodyni, stanęła z wytrzeszczonemi oczami, nie mogąc odgadnąć, co się tu święci, a nie śmiejąc się zapytać powtórnie.

Tymczasem babinka wyskakując po kuchni i trzęsąc złośliwie pękiem kluczyków trzymanych w zaciśniętej dłoni, szeptała sobie to ciszej, to głośniej, jakby układała stosowny planik zemsty.

Czepek się jej trochę zbakierował, chusteczka opadła z szyi, fartuszek z kieszonkami odwiązał, a ona choć tyle dbająca o ubiór, tym razem nie zwróciła na to uwagi.

— Biegnij-no Hanka do śpiżarni i przynieś moje pudełko z kapeluszem, ale zaraz! — przemówiła do sługi więcej rozkazująco niż zwykle.

Dziewczyna rzuciła się ku drzwiom z całą skwapliwością i za chwilę ów historyczny kapelusz z czarnem piórem, wirował na ręce pani Mateuszowej, lustrowany na wszystkie strony.

— No, i jakże ja się tu wydam przy nim — mówiła, zabierając się do płaczu. — Gdzie to, moi ludzie, ani do połowy nie dostanie. To pióro za nizko. Hanko, dajno noża. Choć podniosę na wierzch, co to znaczy; Matko Boska Częstochowska, dodaj mi tu świętej cierpliwości, żebym mu oczu nie wydrapała! A daj-że ostrego, oślico jakaś! — krzyknęła tupając korkiem i odrzucając na bok tępe nożysko. Gdzież ty masz oczy? czy to bułkę przekrajać? Ale nie ten, nie ten, mazgaju! Ten z białą rączką, co tam leży na komodzie, pod moją książką od nabożeństwa; a prędzejże dawaj!

Pękata Hanka, jak fryga biegała to z kuchni do pokoju, to z pokoju do kuchni, znosząc różne instrumenty: igły, nitki, nożyczki, wstążki, pudełka; pani się spieszyła z robotą, jakby już za chwilę miała wychodzić z mężem do kościoła.

— Spojrzyj-no Hanka — odezwała się z igłą w ustach przymierzając kapelusz, którego pióro czarne jak kita na kasku wojskowym sterczało prawie na pół łokcia w górę. Jakże to, będzie dobrze teraz?

— Bardzo ładnie, proszę pani.

— Ale nie za nizko?

— Nie — odrzekła przekręciwszy głowę — tylko zdaje mi się, trochę krzywo...

— Bo to uważasz — mówiła już tem zadowolona — czy to nie będzie niżej od męzkiego kapelusza, jakby np. pan się w niego ubrał?

— Ale daleko niżej — odrzekła Hanka sięgając ręką dla naprostowania skrzywionego pióra.

— Nie ruszaj temi paskudnemi palcami! — krzyknęła gniewnie pani Mateuszowa, dając jej potężnego klapsa w rękę. — Nie mówiłam, że niżej będzie, nie mówiłam. O zdrajca, zdrajca! I jakże ja tu na Zielone Świątki wyjdę w tem czupiradle — mówiła dalej, rzucając nim o ziemię. — A tu imieniny prezydentowej, a tu majówka; mój Boże, mój Boże, co ja tu zrobię nieszczęśliwa kobieta, zgubi mię! o, zgubi!

— Mateczko! a ja kawy jeszcze nie piłem! — dał się słyszeć głos pana Mateusza w sąsiednim pokoju.

— I nie będziesz pił, zdrajco — odpowiedziała rozgniewana połowica, prostując owe pióro.

— Moja mateczko dobrodziejko, bo mi się już niedobrze robi z głodu...

— Nie tę, mówię ci raz, oślico! Małą dzisiaj; czy ty nie widzisz, żem zła na pana! — zawołała z całą furyją, odstawiając dużą szlifowaną szklankę, w której wedle zwyczaju dawano kawę panu Mateuszowi. — Ja się tu, widzę, przy was zagryzę, jak Pana Boga kocham, to feralny dzień na mnie. No, słyszałaś, małą!

Lecz przy tych wyrazach i stosownie rozkazującym ruchu, nagięła zbyt mocno łokciem ręki owe pióro, które nie będąc w stanie wytrzymać tyle silnego ciśnienia, pękło w najniefortunniejszem miejscu.

— Masz tobie! cóż ja też tu teraz pocznę? a zkąd-że tu pióra? a nieszczęście moje ten kapelusz! Nie pójdę do kościoła, nie pójdę na imieniny. Ale — mówiła po chwili, uderzając pięścią w pięść — kiedy ja nie pójdę, to i on nie pójdzie... spalę, spalę!..

I przy tych słowach wybiegła do sieni, ztamtąd chyłkiem koło okna do drugiej sieni, otworzyła cichutko drzwi i wcisnąwszy się do kancelaryi mężowskiej, zaczęła wertować po po całym pokoju, szukając skwapliwie nowego kapelusza, jako sprawcy wszystkich jej nieszczęść.

Ale widać pan Mateusz przeczuł ową rewizyję, gdyż pomimo najtroskliwszych przerzucań różnych skrytek, szufladek, zaglądania nawet pod poduszki i materace, w piecu i na piecu, w kominie, kapelusza wcale nie było.

— Chyba mi się przywidziało — myślała z desperacką miną, wracając tą samą drogą do kuchni—ale nie; na moje własne oczy widziałam, jak przymierzał; ma niezawodnie, ale gdzie onby go schował? No i ja teraz już nie mam nawet co włożyć na głowę, zkąd tu wziąć nowego kapelusza?

I z taką medytacyją weszła do sąsiedniego pokoju, w którym pan Mateusz nieco skrzywiony, dokończał śniadania, przyglądając się z pewną obawą małej szklaneczce.

Wybrawszy resztki bułki, odsunął krzesło od stolika, usta obtarł ręką i spojrzał ku żonie, siedzącej ponuro na przeciwległej sofce, z widocznym zamiarem rozpoczęcia kłótni.

Upłynęło parę minut, pan Mateusz się nie odzywał, tylko wyjąwszy okrągłą tabakierkę, z przeraźliwym odgłosem rozpoczął ranne zażywanie.

— Czego ty tak sznupasz i sznupasz nieznośnie! — zagadnęła małżonka, nie patrząc w jego stronę.

— Bo widzisz, mateczko, ja to pasyjami lubię; jabym ci cały dzień siedział w tabakierce.

— Toby było najlepiej, żonie byś nie dokuczał.

— Nie, nie — odrzekł kiwając przecząco głową—to widzisz, mateczko kochana, na mózgu osiada, a potem choć łyżkami wybieraj z głowy. Żeby to jeszcze nie mieszać, ale tu holenderka z francuzką, albanka z...

— Cicho byś był lepiej, niewdzięczniku! Myślisz tylko o sobie, jakbyś sam jeden był na świecie; a ja jak ostatnia wyrobnica pracuję i pracuję, że mi już nóg nie starczy. I za to wszystko płacisz mi zgryzotami...

— Moje życie, moja mateczko kochana — mówił pan Mateusz, siadając przy niej z zamiarem pocałowania.

— Idź-że sobie odemnie, brzydalu jakiś! —zawołała gniewnie, uciekając z sofy.—Sam by się stroił, pysznił, a ja to poczciwego kapelusza nie mam na głowę.

— Masz tobie! — szepnął mężulko — a toć ona wie o wszystkiem. Zjesz licha, panie Mateuszu teraz, ale trzymajmy się ostro. No — przemówił głośniej, zbliżając się ku niej — i cóż ci przeszkadza sprawić sobie nowy?

— Powiadam ci, idź-że sobie odemnie!

— Ależ duszko moja...

— Ja nie twoja duszka!

— No, to mateczko kochana.

— Ładna mi mateczka, co ją ludzie palcami będą wytykać po ulicach, co jej się burmistrzowa naurąga, co do kościoła pójść nie może, bo nie ma czem okryć grzesznego ciała; a mój ojczyk się elegantuje na starość, chce się jeszcze podobać innym.

— Czekajno, moje dziecko, ty nic nie wiesz, kochanie...

— Wiem, wiem wszystko, widziałam jakeś przymierzał! Nie bój się, nie taka ja głupia, abym się na tem nie poznała. Chcesz mię zadręczyć ojczyku do reszty; jużem ci się sprzykrzyła po trzydziestu pięciu latach pożycia. Nie bój się, nie znajdziesz drugiej takiej, nie, nie, poznają się na takiem ziółku!..

— Co też ty gadasz, kobieto?

— Ja wiem, co gadam i prawdę gadam—krzyczała dalej cała zaperzona, machając mu rękami przed nosem. — Ale to napróżno, oj-

czyku, ja ci na złość nie umrę tak prędko, a co ci nadokuczam, to mię popamiętasz!!!

I zakręciwszy się żwawo, wybiegła do kuchni, trzasnąwszy drzwiami, że wszystkie szyby w oknach zabrzękły.

— Masz tobie raz! — powiedział pan Mateusz wziąwszy się oburącz za głowę. — Będę ja tu miał piekło dopiero; kaci mię skusili do tego kapelusza. Ale jak ona to mogła zobaczyć? Oczywiście, Hanka jej musiała powiedzieć. No, no, już szpiegi w domu, to pięknie, wypędzę zaraz... Ale zresztą, pal cię sześć... rób co chcesz, a ja, taki, będę chodził w kapeluszu i basta!

II.

Przeszło tym sposobem całe dopołudnie; pani Mateuszowa unikała spotkania się z mężem, nie przemówiła do niego ani słówka, nie zapytała się, czy obiad smakował, chociaż Bogiem a prawdą, był tego dnia tak kusy, że i nie było czem się rozkoszować.

Pan Mateusz, jak to mówią, położywszy uszy po sobie, z największą cierpliwością znosił te wszystkie utrapienia i rzecz szczególna, pierwszy raz w życiu nie ustąpił mateczce, i nie przepraszał, jak to się zwykle zdarzało.

Popołudniu już szanowna małżonka widząc, że te fochy żadnego skutku nie przynoszą i że on gotów w przyszłą niedzielę ustroić się w nowy kapelusz, zaczęła na seryjo rozmyślać nad tą ostatecznością.

— Koniec końcem — pomyślała — nie ma innej rady, jak i dla siebie kupić coś podobnego, ale gdzie i przez kogo? nie wiedziała.

W miasteczku magazynu nie było, do Warszawy prócz żydków handlarzy nikt jechać nie zamyślał, samej oddalać się od gospodarstwa ani sposób, więc zdecydowała się wreszcie nagiąć nieco małżeńskiego karku i poprosić pana męża, aby jej osobiście ten interes załatwił.

W dopełnieniu więc owego postanowienia kazała Hance przynieść z piwnicy starą butelkę wiśniaku, który pan Mateusz lubił nadzwyczajnie; sama ustawiła go na tacy, wytarła lampeczkę i wysłała do pokoju mężowskiego.

Pan Mateusz, zobaczywszy butelkę, aż skoczył z radości, rzucając czytanie ulubionego kalendarza, a domyślając się, co to ma oznaczać, wyprężył się tryjumfalnie, że tym razem mateczka dobrodziejka sama z przeprosinami występuje.

Nalał sobie jedną lampkę, podniósł do słońca, popatrzył, skosztował z uśmiechem prawdziwego smakosza i przechyliwszy, odetchnął z tak głośnym mlaskiem, że pani Mateuszowa usłyszawszy go w kuchni, osądziła za rzecz właściwą pokazać się w tej chwili.

— A niech-że cię też ukoronuję, mateczko dobrodziejko! — zawołał pan Mateusz, przyskakując do niej z pewną gracyją zeszłego wieku i całując ją w rękę.

— Aha! widzisz niewdzięczniku, jaka ja jestem. Patrzaj, czyby to inna tak zrobiła na mojem miejscu!?

— Bo też, moje życie, tyś trochę za ostra.

— A ty znów za wielki elegant.

— Eh, to głupstwo, mateczko, wielka racyja kapelusz, jeżeli mię stać na niego.

— A dlaczegożeś to o mnie nie pomyślał, co? Czyby to się i mnie nowy nie należał?

— To też, mateczko dobrodziejko, kup sobie, ja ci nie bronię, widzisz tylko... ja sobie... ot tak...

I znów mlasnął ją w rączkę, ale jeszcze ogniściej.

— Daj-no już pokój tym całusom, mój stary, niech-no by kto obaczył, powiedzieliby, że my się tak kochamy jak młode gołąbki. No, idź-no sobie.

— Co prawda, to prawda, mateczko, ja nie wiem czy to tak każdy, ale jabym cię teraz zjadł z miłości.

— A niech-że mię Pan Bóg zachowa i broni od takich karesów! Ot, zamiast mię zjapać, to zrób mi małą łaskę.

— Całem sercem, mateczko dobrodziejko, całem...

— Mój ojczyku kochany — mówiła, patrząc mu w oczy z pewnem odbiciem przedtrzydziestoletniej lubości — jedź ty do Warszawy...

— Gdzie? — zapytał trwożliwie.

— Do Warszawy...

— Eh, moja mateczko, żartujesz?

— Mówię najprawdziwszą prawdę! I ty pojedziesz, mój stary; dlaczegóżbyś miał nie jechać, kiedy cię tak bardzo żona prosi, prawda? — ciągnęła słodziutko pani Mateuszowa, głaszcząc go czule po twarzy?

— Ale bo to widzisz, mateczko...

— Co ty tam widzisz, ot bajdurzysz, aby bajdurzyć, sprawunków tyle się nazbierało i kapelusza nie mam, a tu Zielone Świątki, imieniny prezydentowej, majówka...

— Aha! to tu o kapelusz idzie! — zawołał radośnie.

— No, choćby i tak, cóż w tem złego? Sam się stroisz, a ja mam być gorsza, czy co? Dotąd jam ci zawsze kupowała wszystko, więc zróbże mi ty choć raz tę dogodność.

— Tak, tak, kupowałaś, niestety! — powtórzył westchnąwszy.

— No?.. jakże, ojczyku, pojedziasz? co?— pytała, trącając go po ramieniu.

Pan Mateusz myślał, trąc siwą czupryne, ecz naglony i miękczony taką dobrotliwocią jejmości, wyrzekł wreszcie z rezygnacyją:

— A i cóż robić? to pojadę!

— Bóg ci zapłać, moje serce — zawołała uradowana. — Wszystko ci przygotuję co potrzeba, nie turbuj się, niczego ci nie zabranie, bo jak ja chcę być dobrą, to potrafię być obrą.

Za chwilę potem, już cały dom był w ruhu.

Pawełek pojechał z końmi do kowala, wyoczono starą krytą brykę; oboje państwo oejrzeli każdy niemal ćwieczek, czy zajdzie, zy się nie zepsuje, czy nie przemoknie, czy ie utrzęsie, poznoszono walizy, poroztwierao kufry i znowu narada, ile wziąć bielizny, które suknie, gdzie stanąć, gdzie popasać i t. p.

W kuchni tymczasem jak na jakiem pobojowisku tarzało się kilka ubitych kurcząt, kapłon i kaczka bez głów leżąc na ziemi, jeszcze się poruszały konwulsyjnie, dwa niewinne gołąbki już odzierano z pierza, pełna rynka bigosu aż dygotała na ogniu, parkocząc zajadle, imbryki z kawą wrzały na kominie, kilka garnuszków śmietanki odymało pieniste kożuchy, a zafrasowana Hanka, trzęsąc się z całą zapalczywością, czyściła jęczmieniem z wodą trzy duże butelki.

W pokoju znowu, na dużym arkuszu papieru, otwarto listę sprawunków. Co chwila wpadała pani Mateuszowa, dopisując sążnistemi kulasami: imbiru za 20 groszy, szafranu świeżego za 10 groszy, cykaty za dwa złote, kiełbasek, które lubię, za złoty i t. p. Pan Mateusz zaś podchodząc nieznacznie do swego wiśniaku, łykał lampkę za lampką, chrząkał coraz głośniej i zażywał tabakę.

Przy tak gwałtownych przygotowaniach, ma się rozumieć, że nie pomyślano o wyznaczeniu dnia do podróży. Dopiero około jedenastej wieczór, kiedy już pełne koszyki różnych materklasów obłożonych sianem, wniesiono do sypialnego pokoju samej jejmości, gdy i tłomoki zapięto, a konotatkę sprawunków na złp. 81 gr. 17 zesumowano, pan Mateusz zapytał niedbale:

— A słyszysz ty, mateczko, kiedyż ja to pojadę?

— Jutro, ma się rozumieć.

— Jakto? przecie jutro niedziela.

— At masz tobie; na śmierć o tem zapomniałam. Tak, w niedzielę grzech, nie można. Ale to nic, wyniesie się do piwnicy, tam zimno, to się jeszcze nie zepsuje... Tylko, ojczyku kochany, nie włożysz ty jutro nowego kapelusza?

— Nie włożę, nie włożę, mateczko, dopiero na Zielone Świątki.

— Tak, tak, najlepiej będzie.

Całą noc prawie Pawełek rznął sieczkę, żeby święta nie pogwałcić, w niedzielę wydano mu trzy worki obroku, nową sukmanę, nową czapkę i nowe buty; Hanka przygotowała sypełek z żywnością, a państwo mówiąc wieczorny pacierz, już się modlili gorąco o pomyślność jutrzejszej podróży. Ale gdzie tu igrać z nieszczęściem, kiedy się ono do człowieka przyczepi! Licho tam nadało, że panu Mateuszowi już po pacierzu przyszła chętka zajrzeć do ulubionego kalendarza i potrzeba szczególniejszego trafu, żeby właśnie dzień jutrzejszy był grubo atramentem podkreślony.

— Mateczko, mateczko!—zawołał, wbiegając do jej pokoju. Nie będzie nic z jutrzejszej jazdy, ani myśleć, moja duszko.

— Co takiego? co się stało? gadajże prędzej!

— Jutro dzień feralny!—wyrzekł z desperacką miną, podając jej kalendarz.

— To być nie może.

— A patrzajże sama, podkreślony przecie.

— Możeś się ty omylił?

— Ale gdzietam! mateczko, ja co rok akuratnie przenoszę z przeszłego kalendarza: z pewnością feralny. Widocznie się nie darzy, możeby nie jechać, co?

— Gdzież znowu, co to znaczy? przecie ludzie mówią, że to bajki, i ksiądz nieboszczyk...

— Dajno pokój, mateczko, ja ci tam za żadne pieniądze jutrobym nie pojechał. Niech oni tam mówią, co chcą, ja w to wierzę i basta!

— A no to we wtorek, wyrzekła z bolesną rezygnacyą małżonka.

— Chyba, że tak — dodał pan Mateusz i poszedł do siebie.

Łatwo sobie wyobrazić, jak to pani Mateuszowej długim się wydał ów feralny poniedziałek. Biedaczka już ze sześć razy wyjmowała i pakowała do kosza podróżne zapasy: to masło było za stare, to serek niedobrze oczyszczony, to znów coś sobie przypomniała ze sprawunków, to drugą butelkę wiśniaku wstawiła: jednem słowem, jak mogła, tak wynajdywała sobie zajęcia, aby tylko zepchnąć prędzej dzień Boży.

We wtorek, rychło świt, już była na nogach; pobudziła służbę i męża, kazała zaprzęgać, pakować, smarować, kawę grzać, dość, że już o 5-ej wszystko było gotowe. Odliczyła potem mężowi pieniądze osobno na sprawunki, które w bocznej kieszeni surduta zaszyła naprędce, osobno znów w woreczku na drogę i koszta podróży, usłano wysokie siedzenie, napojono konie i dopiero zaczęły się pożegnania. Ile ich tam było, nie chcę wam już powtarzać; a za każdem jakaś przestroga, jakaś rada: to nie jedźcie prędko, to tu stańcie, tu przygrzejesz kawę, tu zjesz kapłona, tam kurczę, tam chleba z masłem, a pamiętaj o rzeczach, a niech ci też piernata nie ukradną; koniec końców, że wreszcie pan Mateusz wsiadł do bryki, przeprowadzony płaczem całego żeńskiego legijonu z Nowego Folwarku.

Pawełek obcierając jeszcze rękawem usta po śniadaniu, cały spocony, zawijając resztki chleba, zrobił znak krzyża biczyskiem przed końmi, i już miał wsiadać na kozieł, gdy pani wziąwszy go na bok, szepnęła mu do ucha:

— Pamiętaj też uważać na pana, czy tam nie będzie rozmawiał na drodze albo w Warszawie z jakiemi młodemi kobietami, tak... tak... rozumiesz?

Chłopak kiwnął znacząco głową.

— A jak przyjedziecie, to mi powiesz; ja ci dam co za to, tylko panu nie wspominaj o tem.

Pan Mateusz ze swej strony znowu mrugnął na Hankę i gdy ta się zbliżyła do bryczki, powiedział:

— Moja Hanusiu! przywiozę ci gościńca z Warszawy, tylko, dobrodziejko, miej też tu oko na panią, i powiesz mi, czy tu kto nie był: dobrze?

— Dobrze, proszę pana.

Wreszcie i ruszono powoli za bramę; pani Mateuszowa czas niejaki jeszcze patrzyła za

odjeżdżającym, życząc szczęśliwej podróży, aż tu wypada Hanka z pokoju, krzycząc:

— Chustki od nosa jegomość zapomniał!

— Stój, stój! — wołają wszyscy, machając rękami.

Pawełek usłyszał z daleka, przystanął, Hanka biegnie co siły, a pan Mateusz niespokojnie wygląda z swej budy, co się tam przytrafiło. Odebrał wreszcie chustkę i ruszyli dalej.

— Słuchajno Hanka! co ci pan mówił na wyjezdnem? — zapytała jejmość, łapiąc ją przed domem.

— Eh, nic, proszę pani!

— Mów zaraz, oślico; co to, zmowy były? Ja ci tu dam!

— To proszę pani, jegomość kazali mi tu patrzyć, czy tu jaki mężczyzna nie przyjdzie.

— A, jaki zazdrośnik, filut! — szepnęła sobie uśmiechnięta pani Mateuszowa. — No, no, idź do roboty: nie bój się...

Pan Mateusz znowu, ujechawszy tak daleko, że kominy Nowego Folwarku znikły mu z przed oczu, szarpnął za kapotę Pawełka, pytając tajemniczo:

— A o co ci się to pani pytała, jakeśmy odjeżdżali?

— Eh, nic, proszę jegomości, żeby oto koni pilnować.

— Nie zmyślaj, chłopcze, nie zmyślaj; było tam coś innego. A pamiętaj, że ci ani pokosztować nie dam kminkówki.

— Eh, gadała ta jesce — odrzekł połykając ślinkę — żeby powiedzieć, cy tam jegomość nie będzie się wdawał z jakiemi kobietami po drodze?

— A, zazdrośnica, a podejrzliwa mateczka! — szepnął sobie także uradowany i podumał trochę.

Jechali sobie zwolna noga za nogą, bo brykę przeładowano, nawieszawszy po obu stronach kilka opałek, maźniczek i wiązek siana, a pan Mateusz znowu jako wielki gospodarz i miłośnik koni, zaraz strofowawał Pawełka, gdy ten poważył się skrobnąć naręczną. Gorąco dopiekało, więc roznegliżowawszy się zupełnie, dumał to o tem, to o owem, zwyczajnie jak w drodze. Koło południa wstąpiono do karczemki na popas, a że nasz Mateusz od samego wyjazdu ciągle się popasał, wydłubując potrochu z koszyka co tam było z brzegu, więc nie zsiadając z bryki, przycupnął w siedzeniu i zasnął.

Po popasie ruszono dalej, a że już było bliżej do Warszawy, więc przyszedł mu też na myśl i ubiór, w jakim się ma pokazać w stolicy. Zaczął od czapki, surduta, kamizelki, zeszedł na buty i dopiero wtedy spostrzegł, że siedzi w zwyczajnych pantoflach, których z powodu licznych odcisków używał po domu.

— Pawełek! — odezwał się przeto, szarpiąc go za ramię — a masz ty buty?

— Mam, proszę pana.

— No to dobrze, jedźmy.

Była może już druga po południu, gdy się pokazała zdala rogatka Jerozolimska; pan Mateusz wtedy uznał za stosowne przebrać się po miastowemu. Kazawszy więc przystanąć, wydobył tłomok, powyjmował potrzebną garderobę, i obracając się do Pawełka, przemówił:

— A dajno mi te buty.

— A jakże ja, proszę jegomości, na bosaka pojadę?

— Przecież, mazgaju, twoich nie potrzebuję: daj moje.

— Kaj ja nie mam jegomościnych.

— Jakto, nie dali ci?

— A nie dali.

— To i czemuś mi gadał że masz, gdym się o to pytał?

— Bo ja myślał, że jegomość pyta o moje.

— O, do kaduka! źle, panie Mateuszu! Poszukajno, może są w tłomoku?

Ale pomimo najskrupulatniejszych przetrząsań Pawełka po wszystkich zakątkach bryki, butów wcale nie było.

— To zawracaj do domu! — wyrzekł wcale obojętnie pan Mateusz, i wskutek tego brycz-

ka znowu potoczyła się napowrót ku Radomiowi.

Późno już było w nocy, gdy wrócili; na folwarku hałas, krzyk, przestrach, kto to? po co to? zkąd to? wreszcie poznano Pawełka i dowiedziano się, że wrócili po buty. Gniew pani Mateuszowej tym razem już nie mógł się powstrzymać, dostało się wszystkim za swoje, i Hance i Pawełkowi, tylko samego pana Mateusza oszczędzono, bo jeszcze sprawunków nie porobił.

Na drugi dzień, to jest we środę, ani sposób jechać. Najprzód, że pan zdrożony, zgryziony (jak mówiła jejmość), spał do południa, konie musiały wypocząć, a powtóre, że wszystkie zapasy żywności już cuchnąć poczynały; więc trzeba było nowe przyrządzać, pomimo protestacyi samego jegomości, który już i bez nich gotów był udać się powtórnie w drogę. Ale któż w stanie jest wytłumaczyć to starej kobiecie, przywykłej oddawna do tego? Ona wolałaby nie mieć już kapelusza i sprawunków, niżeli ustąpić choćby na jotę od tradycyjonalnie robionych przygotowań. Zresztą pan Mateusz, jako nieodrodny mężczyzna, nie wiele dbając o porządną rewizyję kuferków, pomieszał w nich wszystko jak groch z kapustą; więc dopiero około południa we czwartek zdołano naprawić wszelkie szkody nieszczęśliwem zapomnieniem butów spowodowane, i znowu po zwykłych pożegnaniach i płaczach ruszono ku Warszawie.

Dla pośpiechu sama jejmość kazała przyprządz trzeciego siwosza, rozporządziła nocleg w połowie drogi, do którego pan Mateusz trzymając już obok siebie parę butów, nieomieszkał się zastosować.

Jeszcze o dniu ani się śniło, gdy zerwał się z noclegu Pawełek, zaprzągł konie po omacku, rozbudził pana Mateusza i ruszyli dalej. Ujechał może dobrą milę, zanim się rozwidniło, aż tu jegomość przypatrując się biegnącym konikom, zapytał nagle:

— Pewełek! a mnie się zdaje, że my trójką z domu wyjechali?

— A i mnie się zdaje, proszę jegomości... tak, tak, rychtyk: siwego niema. Bodajże cię wciornasy zatratowali, toć on się widzę w karczmie został.

— Więc wracać! — zawołał z desperacką miną pan Mateusz.

I w godzinę zaledwie wrócono na miejsce noclegu. Konia karczmarz jako znalezionego już odprowadził do wójta, musiał tedy pan Mateusz chodzić do wsi, tłumaczyć, prosić, i ledwie późnym wieczorem wjechali do miasta.

Wedle danej sobie instrukcyi, stanęli na Podwalu w hotelu Słowiańskim; wybrano najtańszy numer, także wedle instrukcyi, i nazajutrz, po długich ceregielach i strojeniu się do miasta, jak mawiał pan Mateusz, wyjął ową konotatkę, z zamiarem kolejnego załatwiania sprawunków.

Najprzód, ma się rozumieć, wielkiemi literami i z potrójnem podkreśleniem stał kapelusz, więc musnąwszy po raz ostatni siwą czuprynę, pan Mateusz w Imię Boże wyszedł na ulicę. A kilka lat już podobno upłynęło od ostatniej jego bytności w Warszawie, więc też postępując zwolna, nie mógł się wydziwić zmianom, jakie się od tego czasu porobiły. Co spotkał jakiego opalonego wąsacza, zaraz mu się zdawało, że to znajomy, i już biegł uśmiechnięty na drugą stronę ulicy, obcierając usta do pocałowania, lecz przybliżywszy się, poznawał, że to nieznajomy, przepraszał a spluwał i szedł dalej, mrucząc:

— Jak raz podobny do Łączyckiego; kaduk nadał z takiem podobieństwem.

Doszedł już do Krakowskiego - Przedmieścia, spojrzał po szyldach, aż strach co tu magazynierek. W głowie mu się wszystko pomąciło na samą myśl, gdzie tu wstąpić.

Więc rozpatrując się w szyldach i sądząc, że tam tak muszą robić jak te, co są pomalowane, wybrał sobie jeden z najgustowniejszych, wstąpił do sklepu, a zobaczywszy młodą panienkę, siedzącą pod oknem, skłonił się jej głęboko, pytając:

— Czy tu fundują się kapelusze dla starszych osób?

Na to głośne zapytanie wybiegło kilka znowu dziewcząłek z sąsiedniego pokoju i dalejże dopytywać się, czego żąda.

— Zaraz, moje panienki dobrodziejki, zaraz, ja tu mam zakonotowane — mówił, patrząc im figlarnie w oczy.

Potem wyjął pęk różnych karteczek, zaczął szukać, przebierać, macać, wreszcie trafił na jedną, rozwinął, ale przeczytać nie może. Więc dalejże do okularów, okularów jak na złość niema.

— Eh! widzicie panienki kochane, ja tu nie przeczytam, rozpatrzcie-no tu się same — i podał karteczkę najstarszej.

„Dnia 17 Aprilis wiśniowa jałówka...

Nie to, nie to; ta będzie pewno — i podał drugą.

„Najlepsze lekarstwo na katar...

— Eh, i nie to! Ha, widać niema, musiała się zawieruszyć; no, to ja tu opowiem: Ma być kapelusz taki wysoki, zdaje mi się, że czarny... kaduk wie, czy czarny — szepnął, machając ręką.

— Dla jakiejże osoby? — spytała panna.

— Ma się rozumieć dla baby...

— Wiem o tem, że nie dla dziada, tylko czy dla starszej, czy młodej... mężatki...

— Skoro dla baby mówię, to nie dla takiej jagódki jak waćpanna.

— Ale czy wysokiej, nizkiej?

— Tak, niebardzo wysokiej, ale też i nie nizkiej; oto tego co ja wzrostu.

— No, to dla małej.

— Niezupełnie, moja panienko dobrodziejko... przecież ja znów nie tak mały.

Dziewczęta parsknęły śmiechem, a jedna z nich znów spytała:

— Z jakiemże ubraniem?

— Ot to i w tem sęk, a w sęku dziura — odrzekł, drapiąc się po głowie, pan Mateusz. — Mówiłać ona mi to wprawdzie jak, ale ja nie pamiętam, kartki niema; więc niech to tam będzie coś wysokiego, z różnemi piórami, facecyjami, szykanami, ot tak... tak... — dokończył, pokazując kulistość rękami.

— Nie wiem, o co idzie — przemówiła, śmiejąc się dziewczyna — my tu takich nie robimy.

— To upadam do nóżek moim pannom dobrodziejkom, upadam, poszukam gdzieindziej!

I wyszedł zagniewany, że tu poważono się naśmiewać z jego małego wzrostu. Zaledwie postąpił kilka kroków, patrzy, zbliża się doń jakiś obywatel dobrego wzrostu i tuszy. Twarz znajoma, ale kto to jest, przypomnieć sobie nie może. W tem nadeszli na siebie, a że i tamten widać go poznał, więc dalejże uściski serdeczne: „a jak się pan dobrodziej miewa? a pan dobrodziej, a żona zdrowa? a dzieci zdrowe? co tu pan dobrodziej porabia?” Słowem wziąwszy się pod ręce z najszczerszą radością, idą po trotoarze. Na reszcie po zwykłych przywitaniach, pan Mateusz jeszcze nie mogąc sobie przypomnieć nazwiska spotkanego przyjaciela, zapytuje:

— A jakże się tam miewa nasz poczciwy Chudzyński?

— Jaki Chudzyński? nie znam.

— A ten, ten z pod Wielunia!

— Ja tam nigdy nie byłem pod Wieluniem, i nie wiem o kogo pan pytasz — odpowiada obywatel, spoglądając uważniej na pana Mateusza. — Może to pomyłka jaka — dodaje wahająco i wysuwa rękę z pod jego ręki.

— A! przepraszam pana dobrodzieja, ale bo ja nie wiem, czy pan dobrodziej jesteś sam pan dobrodziej, czy brat pana dobrodzieja? bo takie podob...

— Brat pana dobrodzieja — odpowiada zadziwiony obywatel.

— Ale przepraszam najmocniej, bo ja myślałem...

— Ale z kimże ja mam honor mówienia? — zapytuje obywatel.

— Jestem Mateusz Beczulski, do usług pana dobrodzieja.

— A ja Klemens Fajkowski.

— Aaaa... rychtyk, rychtyk! krzyknął uradowany pan Mateusz. — O! Fajkowski, brat, brat; ale proszę, osobliwość, jakie podobieństwo... A toż ja sąsiaduję z panem Antonim bratem, ale żeśmy się od czterech lat nie widzieli... no, no... patrzajcie, patrzajcie państwo, kropla w kroplę...

— A i pan dobrodziej—przerwał mu Fajkowski — tyle mi przypominasz dawnego kolegę ze szkół, że to dalibóg jak on sam.

— No — odzywa się pan Mateusz — skorośmy się poznali wzajemnie, to nie zawadzi i dalej się znać, i gdybyś pan dobrodziej kiedy zajrzał w naszą okolicę to proszę, bardzo proszę.

— Właśnie też dziś mam jechać do brata kuryjerką.

— A to na co! Ja przyjechałem swemi końmi, zabiorę pana dobrodzieja, odeślę i basta. No, co, zgoda?

— Bardzo dziękuję, bardzo, tylko że ja tu będę miał trochę pakuneczków; ot myślę i żonie brata kupić jaki czepek...

— Wybornie! doskonale! i ja też także mam kupić kapelusz; pójdźmy tedy razem to jakoś łatwiej pójdzie, bo oto i konotatkę zgubiłem... więc sobie poradzimy.

I wziąwszy się pod ręce jakby odwieczni przyjaciele, zamówili sprawunki, radząc wspólnie, a pan Fajkowski zaproponował przekąskę; pan Mateusz choć mając domowe zapasy, jakoś nie odrzucił, więc wypili jedną węgrzyna, przyszła ochota na drugą; ażeby nie być mniej grzecznym, pan Mateusz z wielkiemi całusami i wynurzeniami zaproponował znowu dwie i obiadek, słowem, do południa ululali się porządnie, nic oprócz kapelusza nie zamówiwszy, bo nasz dobry pan Mateusz nie mając innego funduszu, odpruł kieszeń i tłumacząc sobie jak mogąc, że i w miasteczku tego samego dostanie taniej może, że to nie warto wozić z sobą takiej drobnostki, puścił całą kwotkę z nowo-odkrytym przyjacielem.

O piątej przyniesiono z magazynu pudełka, konie się wystały, więc dalejże do domu. Uszczęśliwiony pan Mateusz z tak miłego towarzysza i chcąc się dawnym zwyczajem pochwalić z końmi, kazał jechać dość prędko, nie zważając, że te dobrze już się pogrzały; a w miarę jak drogi ubywało, różowy humor obydwóch się powiększał, do czego przyczyniły się bardzo dwie butelki zapomnianego wczoraj wiśniaku.

III.

Może już była druga po północy, gdy nasi przyjaciele zajechali przed wrota Nowego Folwarku. Pan Mateusz obaczywszy swoją siedzibę, jakoś się odrazu wytrzeźwił i dalejże w lamenta, że prócz kapelusza, którego i nie widział jeszcze, innych nie porobił sprawunków. Kolega spał najsmaczniej w siedzeniu, więc kazawszy Pawełkowi pukać bardzo ostrożnie i cicho, żeby jejmości nie zbudzić, sam westchnął boleśnie szepcąc:

— Zmyje też głowę dobrodziejka jutro,— oh zmyje!

Nareszcie po półgodzinnem czekaniu, Hanka otworzyła bramę i bryczka cichutko wtoczyła się w dziedziniec. Pan Mateusz chodząc prawie na palcach, rozbudził przyjaciela, zabrał pudełka i kazawszy bryczkę jak jest zostawić na podwórzu, wprowadził go drugiemi drzwiami wprost do swego pokoiku. Tu po krótkich jeszcze a serdecznych przywitaniach i zapewnieniu dozgonnej przyjaźni, pan Mateusz z wielką attentacyją ułożył go na swojem łóżku, sam zaś jako gospodarz, przycupnął gdzieś na sofie i po chwili zabrzmiał chrapliwy, a różnotonny duet naszych pomęczonych przyjaciół.

Jużto najoczywiściej nieszczęście mieć chciało, że Pawełek nie idąc za przykładem jegomości, zazbyt hałaśliwie oznajmił całej kuchni swoje przybycie, pukając przeraźliwie nowemi butami i szeleszcząc uprzężą, tak że pani Mateuszowa, której pokoik sąsiadował z kuchnią, zmuszoną była się przebudzić.

— A kto? co? czy nie pan? — zapytała Hanki.

— Tak, jegomość przyjechał, ale już śpi, bo świeca zgaszona.

— A nie uważałaś? pudełko przywiózł jakie?

— Było ta pono, bo znosili i znosili...

— Wstać czy nie wstać — myślała przez chwilkę pani Mateuszowa, przecierając oczy. —Biedny ojczyk zmęczony, zdrożony, dać mu pokój.

Więc położyła napowrót głowę na poduszce z zamiarem uśnięcia. Ale czy to słychana rzecz w świecie, aby ciekawość kobieca mogła kiedy usnąć?! To też pomimo wszelkich względów i zbyt spóźnionej pory, pani Mateuszowej koniecznie się zachciało zobaczyć nowy kapelusz; podniosła się zatem z łóżka, zapaliła świecę, i tak sobie w negliżyku, na palcach i po ciemku, przeszła przez pokój jadalny, potem bawialny, uchyliła lekko drzwi do mężowskiej kancelaryi, a spostrzegłszy stojące przy drzwiach pudełko, porwała je skwapliwie, wracając do siebie.

Sznurki jak nitki pękały pod nożyczkami zaciekawionej kobiety, otworzyła wieko; odrzuciła z gorączkową żywością zwierzchnią bibułę, i o zgrozo! zamiast kapelusza, widzi mały, elegancki wprawdzie czepeczek, ale skromniutko przybrany. Wyrwać go, pomiąć i nogą przydeptać, było dziełem jednej chwili.

— A to zdrajca! a to nikczemnik! a to oszust, moi ludzie! Hanka! wstawajno, pójdźno zobaczyć, co mi ten niecnota narobił! A złośliwa dusza! oho, już tego to nie daruję, żeby mi tu krwawemi łzami płakał, u nóg się włóczył, zaraz idę, lecę... Ale nie tak — szepnęła sobie, wracając do kuchni — te krzyki na nic się nie zdadzą; to zanadto, trzeba się wziąść do dawnych rzeczy; sprawię łaźnię: o, poczekaj stary zdrajco! Hanka! — krzyknęła jej nad uchem, poruszając śpiącą — wstawaj mi zaraz! słyszysz, gdzie tu miotła?

— A tam w kącie, proszę imości — odpowiedziała sapiąc i ubierając się naprędce.

— O zbiję, o skatuję!... żebym miała zasiekać, to zasiekam. Nie, ta gruba — mówiła probując suchego kijka, — skórębym mu poprzecinała; o! ja mu i tą dogodzę — dogadywała dalej, wyciągając cieniutką i giętką rózeczkę ze starej miotły.—No, pójdź ze mną do pana; ty zaraz poduszkę mu na głowę, i trzymaj z całej siły, choćby nie wiedzieć jak krzyczał, bo to mocna sztuka, a zły jak jędza...

— Ale proszę pani, ja się boję...

— Pójdź mi zaraz, bo ja ci tu dam! Co to się bać, kiedy ja, pani twoja rozkazuję! A trzymaj dobrze, bo zobaczysz, na tobie dokończę!

Więc z rozczochraną głową, gniewem nie do opisania i rózgą trzymaną w zaciśniętej dłoni, po omacku sunęły się obiedwie znaną nam już drogą przez pokój bawialny. Drzwi lekko uchyliły, i dalejże do łóżka. Hanka, jak ów zbir rzymski krzepka i tłusta, silną dłonią przykryła głowę śpiącego poduszką, a sama jejmość sumiennie dopełniła egzekucyi.

— Dość! — zawołała po chwili. — Masz, zdrajco! Nie oszukuj ludzi, nie gub żony! pójdźmy Hanko.

I nim pan Fajkowski (gdyż to on był rzeczywiście), zdołał poodrzucać gniotące go poduszki, już nikogo nie było w pokoju.

— Co to jest? kto tu był! — krzyknął zrywając się równemi nogami.

Ale pan Mateusz czy spał istotnie, czy tylko udawał, dość, że nic się nie odezwał.

— Panie Beczkowski! — zawołał głośniej nad uchem śpiącego.

— No, a co to? — odrzekł przecierając oczy.

— Ktoś tu był w pokoju, czy nie złodziej, bo wystaw sobie, przydusił mię poduszką i czułem jakieś bicie rózgą czy czem innem...

— Ale to być nie może, musiało ci się przyśnić...

— Bogać się tam przyśniło, kiedy mię boli.

— To chyba zmora, bo powiadam ci, dobrodzieju, zeszłego roku jak mię jednym razem przyparło, tom gwałtu krzyczał, a nikt nie słyszał.

— Jakto? krzyczałeś?

— To jest zdawało mi się.

— Chyba, ale mnie się nie zdawało przed chwilą, bo mię dusiło, a biło porządnie.

— Eh, śpij lepiej, już dzień niedługo, to się dowiemy jutro...

I tą perswazyją wraz z resztującym szumem wiśniaku jakoś uspokoił gościa; obadwaj wkrótce usnęli i nad rankiem dopiero, kiedy zaczęto wypędzać bydło na pole, pan Mateusz zerwał się jak oparzony, pochwycił stojące pudełko i marsz do jejmości.

— Mateczko dobrodziejko! dzień dobry ci, kochanie: ot masz sprawunek.

Pani żona dopiero co się przebudziła i to z większym niż w nocy gniewem; zobaczywszy męża i pudełko, nie wiedziała co tu myśleć.

— Jakto? kapelusz?

— A kapelusz, mateczko i jaki — mówił wyjmując prawdziwe arcydzieło warszawskie z ogromnem piórem.

— No i patrzajże, ojczyku, jaka ja głupia stara baba! — mówiła, bijąc się potężnie w czoło.— Potrzebna mi to była ta złość i ta kara dla ciebie, tak poczciwego, dobrego, serdecznego mojego ojczyka? No, nie gniewaj się, nie; to już ostatni raz będzie: ja cienki badylek wybrałam, i choćbyś zasłużył kiedy, to ci już daruję, jak Pana Boga kocham, daruję... — dokończyła, całując go serdecznie w czoło.

— Ale za cóż ty przepraszasz, mateczko dobrodziejko, za co? Ot, wiedzieć jabym powinien....

— Poczciwy, dobry, mój ojczyk — przerwała mu z czułym uśmiechem.—Ale musiało cię trochę boleć, bo to w złości człek się nie miarkuje...

— Wiesz co, mateczko, ja nie a nic z tego nierozumiem.

— Jakto, nie pamiętasz?

— Nie pamiętam.... może to przeszłego roku...

— Dobry sobie; nie czuł, no, a przecież to dziś w nocy... ja tam byłam, i przyznam ci się, ręki nie żałowałam.

— Aaaa... – zawołał pan Mateusz wytrzeszczywszy oczy — cóżeś ty zrobiła najlepszego! A to tyś pewnie wybiła pana Fajkowskiego, brata naszego sąsiada Antoniego.

— Jakim sposobem?

— Bo on przyjechał ze mną i spał na mojem łóżku.

— Żartujesz, ojczyku!

— Jak Pana Boga kocham; on to jest... Nie darmo mię też budził w nocy i pytał...

— O rany Boskie! to ja się chyba w ziemię zakryję ze wstydu! — krzyknęła przerażona kobieta, wyskakując z łóżka i chowając się za piec.

— Ojczyku kochany, ojczyku dobrodzieju! ratuj mię! powiedz, że mnie niema, żem chora, żem pojechała, bo bo... doprawdy, że niewiem co sobie zrobię! Ale powiedz mi ty— mówiła po chwili, kuląc się za piecem — co to był za czepek w pudełku, bo ja w nocy przyniosłam i myślałam żeś mię oszukał.

— Właśnie to on kupił dla pani Antoniowej.

— Masz tobie! i jam go podarła w kawałki. Atoż widoczna kara, to dopiero nieszczęście! Oj głupi, głupi mój rozum! Co tu począć teraz, co tu począć?!

— No, nie turbuj się, nie, mateczko, on nie wie, co to było; trzeba utaić wszystko: powiemy, że czepek zginął... ot, daj nam lepiej kawę — zakończył pan Mateusz, szczęśliwy, że mu się upieką inne nieporobione sprawunki.

W istocie tak się też stało, że w Fajkowskiego wmówiono zmorę, czépka choć żałował trochę, ale się uspokoił i rozweselił, gdy pani Mateuszowa wystąpiła z takim obiadem, jakiego już od wesela ostatniej córki i sam małżonek nie widział. Pan Mateusz tylko,

czując się tego dnia górą w domu, dogadywał co mógł mateczce dobrodziejce, śledził jej uchybienia i zakończył bardzo dwuznacznie, dając gościowi wyobrażenie o swoim rozumie; bo gdy postawiono stół na środku pokoju, a nie zdjęto klatki z kanarkiem u góry wiszącej, i gdy ten pozwolił sobie nieco naprószyć do wazy z rosołem tuż pod nim ustawionej: pan Mateusz uradowany wielce tą nieostrożnością małżonki, powiedział:

— Widzisz, mateczko — mówi, wskazując palcem na wazę — żebym ja to tak zrobił jak kanarek, tobyś mi głowę oskubała ze szczętem.

W parę tygodni potem, niewiadomo jakim sposobem się stało, dość że cała okolica wiedziała już o niefortunnym wypadku Fajkowskiego, lecz, że starszym ludzie jakoś ich wady przebaczają, więc też i tu nikt, nawet sam delikwent, za czepek nie rościł sobie pretensyi i nie okazał żadnego gniewu; ale co do facecyjki o doraźnym sądzie pani Mateuszowej, to ta poszła sobie w świat jak wiele innych, a ja ją, kochani czytelnicy, dla dłuższej trwałości i waszej pociechy, niniejszym drukiem ogłaszam.

A. Wilczyński (p. t. I str. 197).

* *Sąd trafny.*

— Czy czytałeś pan Heloizę J. J. Rousseau?
— Czytałem.
— I cóż?
— Wolę dzieła jego brata.
— Brata? którego?
— Jana Baptysty Rousseau.

* *W sądzie poprawczym.*

Delikwent. Zapierać się nie będę, ukradłem proszę wielmożnego sędziego bochenek chleba, ale dalibóg to z głodu.

Młody Asesor. Tak z głodu! ja także codzień przed obiadem jestem głodny, a dla tego nie kradnę.

Sąsiadka.

— Śliczna sąsiadeczko! — mówił pan L. z cicha — daj mi buziaka, sprobuję jedynie z ciekawości, czyj będzie słodszy, twój, czy mojej żony.

— Niech pan sobie oszczędzi trudu — odparła drwiąco kobieta — lepiej niech pan zapyta się mego męża, zdaje się, że on już kilkakrotnie przekonywał się o tem.

Sąsiedzi.

* *Między sąsiadami.*

(Rozmowa podsłuchana na wsi).
Coś u sąsiada rzadka mina!
Czego to sąsiad tak się biedzi?
— Ach! dorosłego mam już syna,
A bez zajęcia w domu siedzi!
— I cóż ten smutek tu pomoże,
Trzeba praktycznym być sąsiedzie!
Czego się martwisz; wielki Boże,
Wszak kto smaruje, ten i jedzie!
— Nie wiem jak, sąsiad to rozumie,
Mój synek puścił się na opak,
Nic się nie uczył, nic nie umie
I mówiąc prawdę — głupi chłopak!
Sąsiedzie! furda dziś nauka,
A nad rozumu całą furą
Jest górą dziś kłaniania sztuka
I protekcyjka tylko górą!
Zresztą Bóg tworząc świata szranki,
Jakby znał twego syna głowę.
Wydział krajowy stworzył, banki,
I towarzystwo finansowe.
Ot i poradzić mości panie,
Można dziś sobie z naszą dziatwą,
Bo gdzie nie idzie smarowanie,
Tam protekcyjka działa łatwo.
Tak, tak sąsiedzie! chcesz do banku
Dać syna — smaruj doskonale!
Użyj protekcyi zaś kochanku,
Gdy pragniesz mieć go przy Wydziale,
— Masz racyję! żal do aktów złożę,
Będę praktycznym mój sąsiedzie,

Gdzie protekcyjka nie pomoże,
To posmaruję... syn pojedzie!
L. Dziubiński.

Schadzka.

Tak zadumany ledwie zrobił kroków parę,
Gdy mu coś drogę zaszło; spojrzał: widzi ma-
[rę
Całą w bieliźnie, długą, wysmukłą i cienką.
Suwała się ku niemu z wyciągniętą ręką,
Od której odbijał się drżący blask miesięcz-
[ny,
I przystąpiwszy, cicho jęknęła: „Niewdzięcz-
[ny!
Szukałeś wzroku mego, teraz go unikasz;
Szukałeś rozmów ze mną, dziś uszy zamykasz,
Jakby w słowach, we wzroku mym, była tru-
[cizna!
Dobrze mi tak, wiedziałam, kto jesteś: męż-
[czyzna!
Nie znając kokieteryi, nie chciałam cię drę-
[czyć,
Uszczęśliwiłam; takżeś umiał mnie zawdzię-
[czyć!
Tryumf nad miękkiem sercem serce twe za-
[twardził;
Żeś je zdobył zbyt łacno, zbyt prędkoś niem
[wzgardził!
Dobrze mi tak! Lecz straszną nauczona pró-
[bą,
Wierz mi, iż więcej niż ty gardzę sama sobą!"
„Telimeno, Tadeusz rzekł, dalibóg nietwar-
[de
Mam serce, ani ciebie unikam przez wzgardę;
Ale uważ-no sama, wszak nas widzą, śledzą:
Czyż można tak otwarcie? cóż ludzie powie-
[dzą?
Wszak to nieprzyzwoicie, to dalbóg jest
[grzechem..."
Grzechem! — odpowiedziała mu z gorzkim
[uśmiechem —
Niewiniątko! baranek!... Ja będąc kobietą,
Jeśli z miłości nie dbam, choćby mnie odkry-
[to,
Choćby mnie osławiono; a ty, ty mężczyzna?
Cóż szkodzi z was któremu chociaż się i przy-
[zna,
Że ma romans z dziesięciu razem kochanka-
[mi?
Mów prawdę, chcesz mnie rzucić!?" Zalała się
[łzami...
„Telimeno, cóżby świat mówił o człowieku,
Rzekł Tadeusz, któryby teraz w moim wie-
[ku,
Zdrów, żył na wsi, kochał się: kiedy tyle mło-
[dzi,
Tylu żonatych, od żon, od dzieci uchodzi
Za granicę, pod znaki narodowe bieży?
Choćbym chciał zostać, czy to odemnie zależy?
Ojciec mnie testamentem kazał, abym służył
W wojsku polskiem; teraz stryj ten rozkaz
[powtórzył:
Jutro jadę, zrobiłem już postanowienie,
I dalbóg Telimeno, już go nie odmienię,"
„Ja, rzekła Telimena, niechcę ci zagradzać
Drogi do sławy, szczęściu twojemu przeszka-
[dzać!
Jesteś mężczyzną, znajdziesz bogatszą, pię-
[kniejszą!
Tylko dla mej pociechy niech wiem przed roz-
[staniem,
Że twoja skłonność była prawdziwem kocha-
[niem,
Że to nie był żart tylko, nie rozpusta płocha-
Lecz miłość; niech wiem, że mnie mój Tade,
[usz kocha!
Niech słowo „kocham" jeszcze raz z ust twych
[usłyszę,
Niech je w sercu wyryję, i w myśli zapiszę.
Przebaczę łacniej, chociaż przestaniesz mnie
[kochać,
Pomnąc, jakieś mnie kochał!" I zaczęła szlo-
[chać!
Tadeusz, widząc, że tak płacze i tak błaga
Czule, i tylko takiej drobnostki wymaga,
Wzruszył się, przejęły go szczery żal i litość,
I jeżeliby badał serca swego skrytość,
Możeby się w tej chwili i sam niedowiedział,
Czyli ją kochał, czy nie. Więc żywo powie-
[dział:

„Telimeno, bogdaj mnie jasny piorun ubił,
Jeśli nie prawda, żem cię dalbóg bardzo lubił,
Czy kochał. Krótkie z sobą spędziliśmy chwi-
[le;
Ale one mnie przeszły tak słodko, tak mile,
Że będą długo, zawsze myśli mej przytomne,
I dalibóg, że nigdy ciebie nie zapomnę."
Telimena skoczywszy padła mu na szyję:
„Tegom się spodziewała! Kochasz mnie, więc
[żyję!
Bo dzisiaj miałam dni me własną ręką skró-
[cić...
Gdy mnie kochasz mój drogi, czyż możesz
[mnie rzucić?
Tobie oddałam serce: oddam ci majątek,
Pójdę za tobą wszędzie; każdy świata kątek
Będzie mnie z tobą miły; z najdzikszej pusty
[ni
Miłość, wierzaj mi, ogród rozkoszy uczyni."
Tadeusz, wydarłszy się z objęcia przemocą:
„Jakto? — rzekł — czyś z rozumu obrana? gdzie?
[po co?
Jechać za mną? Ja, będąc sam prostym żołnie-
[rzem,
Włóczyć, czy markietankę?!... „To my się
[pobierzem,"
Rzekła mu Telimena. „Nie, nigdy! zawoła
Tadeusz. Ja żenić się nie mam teraz zgoła
Zamiaru, ni kochać się... Fraszki! dajmy po-
[kój!
Proszę cię moja droga, rozmyśl się! uspokój!
Ja jestem tobie wdzięczen; ale niepodobna
Żenić się. Kochajmy się: ale tak — z osobna.
Zostać dłużej nie mogę; nie, nie, jechać mu-
[szę.
Bądź zdrowa, Telimeno moja; jutro ruszę."
Rzekł, nasunął kapelusz, odwracał się bokiem,
Chcąc iść; lecz go wstrzymała Telimena okiem
I twarzą, jak Meduzy głową. Musiał zostać
Mimowolnie; poglądał z trwogą na jej postać:
Stała blada, bez ruchu, bez tchu i bez życia;
Aż wyciągając rękę, jak miecz do przebicia,
Z palcem zmierzonym prosto w Tadeusza
[oczy:
„Tego chciałam! krzyknęła, ha, języku smo-
[czy!
Serce jaszczurcze! To nic, żem tobą zajęta
Wzgardziła Assesora, Hrabię i Rejenta,
Żeś mnie uwiódł i teraz porzucił sierotę;
To nic! jesteś mężczyzną: znam waszą niecno-
[tę,
Wiem, że jak inni tak ty mógłbyś wiarę zła-
[mać,
Lecz nie wiedziałam, że tak podle umiesz
[kłamać!
Słuchałam pode drzwiami stryja... Więc to
[dziecko,
Zosia wpadła ci w oko, i na nią zdradzie-
[cko
Dybiesz?... Zaledwieś jedną nieszczęsną oszu-
[kał,
A jużeś pod jej okiem nowych ofiar szukał!
Uciekaj, lecz cię moje dosięgną przekleń-
[stwa;
Lub zostań, wydam światu twoje bezeceń-
[stwa:
Twe sztuki już nie zwiodą innych, jak mnie
[zwiodły!
Precz! gardzę tobą! jesteś kłamca, człowiek
[podły!"
Na obelgę śmiertelną dla uszu szlachcica,
I której żaden nigdy nie słyszał Soplica,
Zadrżał Tadeusz, twarz mu pobladła jak tru-
[pia,
Tupnąwszy nogą, usta przyciąwszy, rzekł:
[„Głupia!"

A. Mickiewicz. „Pan Tadeusz" (p. t. I, str. 19.)

Scheffel.

Poeta niemiecki Scheffel, podczas pobytu swego we Włoszech odebrał od przyjaciela list niefrankowany, zawierający następnych słów kilka: „Jestem zdrów. Twój przyjaciel X. X." Scheffel za list zapłacił, ale postanowił oddać wet za wet figlarzowi. Kazał zapakować w skrzynię ogromny kamień i posłał do Niemiec pod adresem przyjaciela. Ten przekonany, że posyłka zawiera przedmiot wielkiej wartości, chętnie znaczne zapła-

cił koszta, ale jakież było jego rozczarowanie-kiedy po otworzeniu skrzyni, znalazł w niej tylko ogromny kamień z następującym listem: „Po odebraniu wiadomości, żeś, zdrów ten oto kamień spadł mi z serca!"

Scherzo.

Siedzi w oknie cały ranek,
Do wieczora siedzi,
Siedzi ciągle smutny Janek,
Czeka odpowiedzi.

Do swej lubej list wyprawił,
Na odpowiedź czeka,
Sześć miesięcy w oknie strawił,
Wzdycha i narzeka.

List wyprawił przez gołębia,
Gołąb nie powrócił —
Może spotkał gdzie jastrzębia
Co mu drogę skrócił.

Wodzi okiem wciąż po niebie,
Na posłańca czeka,
Patrzy w górę, znów przed siebie...
Pies na niego szczeka.

Pytaniami wszystkich nudzi,
I zaczepia co dnia
Ptaki, chmury, nawet ludzi,
Każdego przechodnia.

Wszyscy się już z niego śmieją
Szczerze lub obłudnie —
On się żywi wciąż nadzieją,
Coraz bardziej chudnie.

Dziś znów patrzy w jedną stronę
I wzdycha okropnie —
Słońce poszło spać znudzone.
Zrobiło roztropnie.

Księżyc wyszedł już z gospody,
Po niebie się toczy,
Zrumienione ma jagody
I nabrzękłe oczy;

Podpił sobie starowina,
Tacza się wśród drogi,
I do gwiazd się brać zaczyna,
A te przed nim w nogi.

Więc niechętnie idzie dalej,
Gorzko się uśmiecha,
Mrucząc: „Dyjabli to nadali
Starość nie uciecha!"

„Oj te gwiazdy! ród zdradliwy,
Każda z nich jest płocha,
Dziś dla tego, żem już siwy,
Żadna mnie nie kocha."

„Młodość za to miałem sławną —
Kochały mnie więcej,
A to temu tak niedawno,
Lat coś sześć tysięcy."

Kiedy ujrzał smutny Janek
Starego na niebie,
Wychylił się z za firanek,
Wzywa go do siebie:

„O mój stary przyjacielu,
Zbiegłeś drogi tyle,
Siadaj u mnie na fotelu,
Spocznij choć na chwilę."

„Musisz być zmęczony pewnie
Dzisiejszą podróżą..."
Księżyc na to mruknął gniewnie:
„Nogi mi nie służą!

„A tu trzeba spacerować
I świecić latarką
Wszystkim, co chcą romansować
Księżnom, czy kucharkom."

„I tych samych klątw, uniesień,
Słychać wciąż od ludzi,
Czy to wiosna, czy to jesień,
To mnie djablo nudzi!"

„Każdy myśli z tych młodzików,
Że on tylko jeden

Pełną piersią wykrzykników
Odkrył nowy eden."

„Że on pierwszy z swoją miłą
Między gwiazdy zalazł,
I że przedtem nic nie było —
On miłość wynalazł!"

„Gdy go zdradzi ładne dziecię,
Wtedy znowu mniema,
Że na całym bożym świecie
Nieszczęśliwszych nie ma."

„I dziwuje się bez końca
Utraciwszy zdradną,
Że księżyc, gwiazdy i słońca,
Na nos mu nie spadną."

Janek przerwie: „Srebrny panie
Jesteś w złym humorze,
Lecz na moje zapytanie
Odpowiesz mi może."

„Nie będziesz się na mnie srożył
Za pospólstwa winy,
Wszak wiesz, że mnie Pan Bóg stworzył
Z innej całkiem gliny."

„Moja miłość — to nie zwykłe
Śmiertelnych mamidła
To nie zmysłów cacko nikłe!
To nie bańka z mydła!"

„Moja miłość — ta wyrosła
Ponad poziom ziemi,
W niebo czysty skarb uniosła
Skrzydłami swojemi."

„Nic wspólnego nie ma z zmienną
Ludzkich uczuć nędzą,
Gdyż oplotła świat promienną,
Idealną przędzą."

„Ona wyższą nad egoizm
I nad serca klęski...
Moja miłość — to heroizm
Dumny i zwycięzki!"

„Ja nie pragnę nic dla siebie,
Dla szczęścia własnego,
Bo w miłości mojej niebie
Nie ma nic ziemskiego;"

„Nic nie pragnę, nic nie żądam,
Jak niczego więcej,
Oprócz wieści, co wyglądam
Od sześciu miesięcy."

„Chciałbym tylko wiedzieć tyle
O moim aniele,
Jak przepędza smutne chwile?
Czy nie cierpi wiele?

„List posłałem przez gołębia,
Nie mam w zamian wieści —
Więc niepokój mnie przygnębia,
Usycham z boleści."

„W twoje serce los mój składam,
Powiedz, że jest żywą,
Oddam wszystko, co posiadam
Za tę wieść szczęśliwą."

Księżyc odparł: „Jesteś hojny,
Bo posiadasz mało —
Lecz gdy jesteś niespokojny,
Powiem prawdę całą:"

„Jest mi miło, że cię mogę
Tak łatwo pocieszyć."
Powiem krótko, bo mi w drogę,
Czas się już pośpieszyć."

„Byłem właśnie mimochodem
W tamtej stronie zrana,
I widziałem jak ogrodem
Szła twa ukochana."

„Przy niej ładny szedł chłopaczek,
Patrzała nań słodko,
I nie jeden spiekła raczek
Bawiąc się stokrotką;"

„Potem list twój wydobyła
Z kieszonki fartuszka,

I o tobie coś mówiła
Tamtemu do uszka."

„I usiadła z nim pod drzewem
Z śmiechem list podarła..."
Na to Janek krzyknie z gniewem:
„Bodajby umarła!

„O niegodna! o zdradliwa!
Tak mnie zwieść szkaradnie —
Co mi z tego, że jest żywa...
A niechaj przepadnie!"

Księżyc zaczął śmiać się głośno,
Ramionami wstrząsał,
Słysząc furyję tę miłosną —
Janek wciąż się dąsał.

Aż staremu się znudziło
Słuchać jak się żali,
I wyklina swoją miłą —
Chciał wędrować dalej.

Spostrzegł Janek, że staruszek
Zaczyna się zżymać,
Chciał go schwycić za kożuszek,
Żeby go przytrzymać.

Ale księżyc w mig się sprawił
Przewidziawszy łapkę,
W ręku Janka pozostawił,
Tylko lisią czapkę.
A. Asnyk. (p. t. I, str. 4.)

* *Muzyczne scherzo.*

Graliśmy sobie na cztery ręce
Walczyka,
Co duszę jakąś dziwną ekstazą
Przenika...
Lecz podczas pauzy straszna mnie wzięła
Pokusa...
I skradłem lubej mojej pianistce
Całusa...
Wziąłem jej rączkę białą jak śniegi
I drugą,
Pauza tedy trwała coś długo,
Oj! długo...
Wreszcie mi rzekła wpośród całusów
Mych aktu:
— Pauza długa!... jesteś mosanie!...
Bez taktu!...
. . . .
W tem ojciec zoczył, gniewnie się patrzy
I rzecze:
— Grasz, mosterdzieju, jak jaki Szuman
Nie przeczę,
Lecz kiedy pauza była, mosanie,
Tak długą, —
Radzę ci kości ocal najprędzej
Już,.. *fugą...*

* *Popielcowe scherzo.*

Było małe to, figlarne
I psotne,—
Miała cudne oczki czarne,
Zalotne...

Miała pereł ząbki białe
Dwa sznury,
Cudnych ramion okazałe
Marmury,—

Kibić jakby nić pajęczą,
Jak osy;
Hebanowe lśniły tęczą
Jej włosy,

I ust kontur drobny, mały,
Różany,
Fale łona udawały,
Wód piany!

Miała... dosyć!.. nie nie głoście
Me usta,
Inne wdzięki... to pieśń w poście
Za tłusta...

Jeszcze bowiem zkąd usłyszę:
„Wisielec!
„Takie tłuste wiersze pisze
W popielec..."

Sejm.

* *Alec sejm nadchodzi.*

Już też szczerze i pilnie wejrzejmy w ten nie-
[rząd
Podskarbiego nie widzieć. Zachorzał chu-
[dzina
A na jakąż chorobę? *Comitialem* ją
Morbum ci teraźniejsi doktorowie zowią
Która ku konkluzyi sejmu opuściła
Chwała Bogu chudzinę. Przyjeżdżą, wołają:
Crucifige, bij, zabij, tego franta, co to
Kradnie Rzeczpospolitą. Nazajutrz poproszą
Na bankiet zawołany wszystkich panów po-
[słów
Abo wżdy co gębatszych. Bankiet szumny,
[piją
Za zdrowie podskarbiego, który dziś trzeci
[dzień
Frantem był i oszustem, i zdrajcą złodziejem;
Nie słychać między winem takich głosów, ani
Przegróżek, tylko vivat, vivat, nasz podskarbi!
K. Opaliński (p. str. 419 T. III).

* Na sejmie lubelskim 1569 roku, kiedy byli panowie litewscy przed skończeniem unij cicho ujechali, między inszemi żarty i których było nie mało, te dwa wierszyki na ścianie było napisano:

Litwa z nami unią uczyniła strojną
Uciekli, zostawiwszy Haraburdę z Wojną.

A to natenczas byli dwaj pisarze, którzy byli przy kancelaryi zostali — jakoby miasto unji, burda i wojna.
W. Kochowski (p. str. 49 T. I).

Sekutnica.

Dzień dobry, Kasiu, bo tak, jak słyszałem,
Zowią Waćpannę.

Katarzyna

Dobrześ Waćpan słyszał,
Ale masz w uszach skrzywione bębenki;
Kto o mnie mówi, zwie mię Katarzyną.

Petrycy.

Kłamiesz Waćpanna, bo wiem, że poprostu
Zowią cię Kasią, krotofilną Kasią,
Niekiedy i złą Kasią, ale zawsze
Kasią najmilszą w chrześcijańskim świecie.
A zatem Kasiu, Kasieńko, Kasiuniu,
Pieszczoto moja, bo w Kasi, Kasieńce,
Jest w każdym razie coś pieszczotliwego,
Następujące czynięć oświadczenie:
Słysząc, jak cały świat chwali twą słodycz,
Głosi twe cnoty, wdzięki twe wynosi,
Nie tyle jednak, ile tego warte;
Takem wieściami temi był wzruszony,
Że zapragnąłem pojąć cię za żonę.

Katarzyna.

Wzruszony? proszę! Skoro o ruch idzie,
To ruszaj sobie Waćpan, zkąd przyszedłeś.
Jużem ja zaraz na wstępie poznała,
Że Waćpan jesteś ruchomością.

Petrycy.

Jaką?

Katarzyna.

Butem.

Petrycy.

Wybornie! wzuj mnie, moja Kasiu.

Katarzyna.

Kobiety butów nie noszą.

Petrycy.

I owszem.

Katarzyna.

Nie takie przynajmniej, jak Waćpan.

Petrycy.

Nie będę cię naciskał, luba Kasiu;
Bo wiedząc, żeś jest tak młodą; lekką—

Katarzyna.

Tak lekką, że mię taki cap nie złapie,
Dość jednak ważną w rzeczy samej.

Petrycy.

Ważną
Będziesz dopiero, zostawszy poważną.

Katarzyna.

Powagi pewnie nie nada mi taki
Raróg jak Waćpan.

Petrycy.

Jeżelim ja raróg,
To cię ułowię, moja turkaweczko.

Katarzyna.

Turkawka grucha, strzeżże się mnie Waćpan,
Bo mogę gruchnąć tak, żeć uszy spuchną.

Petrycy.

Idź, oso, widzę, żeś jest złą nad miarę.

Katarzyna.

Jeżelim osa, to radzę Waćpanu
Lękać się mego żądła.

Petrycy.

Przeciw żądłu
Najlepszym środkiem jest jego wyrwanie.

Katarzyna.

Tak, tylko głupcy nie wiedzą, gdzie ono.

Petrycy.

Gdzie osy mają żądło, to nie sekret.

Katarzyna.

Gdzież więc?

Petrycy.

Nie w pyszczku.

Katarzyna.

To zapewne w łapkach.

(uderza go)

Petrycy.

Kasiu, uprzedzam cię, że jestem szlachcic;
Szlachcica bić nie wolno, a kto bije,
Ten bywa bity.

Katarzyna.

Tak?

Petrycy.

Tak mój klejnocie.

Katarzyna.

Tobyś się Waćpan targnął na swój klejnot,
Gdybyś mię obił i zakał byś przyniósł
Swemu szlachectwu.

Petrycy.

Heraldyczką jesteś?
Umieść że moją tarczę w swojem polu.

Katarzyna.

Jakiż herb pański? Bałwan?

Petrycy.

Bałwan wodny
Co będzie szparki okręt twój kołysał.

Katarzyna.

Długo się będzie tłukł, nim mię dosięże.

Petrycy.

Ejże, Kasieńko, nie bądź mi tak kwaśną.

Katarzyna.

Taką ja zawsze jestem, kiedy patrzę
Na kapuściane głowy.

Petrycy.

Tu ich niema.

Katarzyna.

I owszem.

Petrycy.

Pokaż, gdzie?

Katarzyna.

Nie mam zwierciadła.

Petrycy.

Czyliżby moja?

Katarzyna.

Proszę, co za dowcip
W tak młodym wieku!

Petrycy.

Prawdęś powiedziała,
Za młody jestem dla cię.

Katarzyna.

A już zwiędły.

Petrycy.

Skutkiem trosk.

Katarzyna.

O to wcale się nie troszczę.

(chce odejść.)

Petrycy.

Zaczekaj, Kasiu, tak mi się nie wymkniesz.

Katarzyna.

Rozgniewałabym pana dłużej bawiąc,
Proszę mnie puścić.

Petrycy.

Bynajmniej, bynajmniej:
Owszem, znajdując ze wszech miar przyjemną.
Mówiono, żeś jest szorstką, prędką, cierpką,
Istna to potwarz, jasno widzę teraz:
Boś ty wesoła, żartobliwa, grzeczna,
Nie popędliwa w mowie, raczej słodka,
Jak kwiat wiosenny; ty nie jesteś zdolna
Gniewać się, marsa stawiać, krzywo patrzeć;
Ty nie masz w sobie ducha przeciwieństwa;
Uprzejmą jesteś dla swych konkurentów,
Łatwą w obejściu, skromną i potulną.
Co ludzie prawią, że Kasia kuleje?
O, złe języki! Kasia jest tak prostą,
Smukłą i zgrabną, jak pręt leszczynowy;
Brunatnej cery, jak laskowy orzech,
A dwakroć słodszą niż orzecha jądro.
Przejdźno się; wszak nie chromasz?

Katarzyna.

Idź, błaźnie;
Rozkazuj takim, jakeś sam.

Petrycy.

Czyż kiedy
Chód Djany w lesie wydał się tak pięknym,
Jak w tym pokoju królewski chód Kasi?
O, bądź ty Djaną, a jej daj być Kasią!
Niech wtedy Kasia będzie nieprzystępną,
A Djana zmięknie.

Katarzyna.

Gdzieżeś się to Waćpan
Tej praktycznej nauczył oracyi?

Petrycy.

Ot, ułożyłem ją tak, ex tempore:
Mam dowcip z matki.

Katarzyna.

O, dowcipna matko
Niedowcipnego syna.

Petrycy.

Czy rozumiesz,
Że ja mam tępe objęcie?

Katarzyna.

Tak ostre,
Jak bicz furmański.

Petrycy.

Sprawdzisz to Kasieńko,
Gdy w mem objęciu spoczniesz, i dla tego,
Czczą gadaninę odkładając na bok,
Oświadczam pani krótko, węzłowato,
Że mi jej ojciec daje ją za żonę:
Co do posagu rzecz już ułożona,
Będziesz więc moją, chcesz czy nie chcesz.—
[Ejże!
Jam jest mąż, właśnie dla ciebie, Kasieńko,
I na to światło, przy którem twa piękność
Tak się uroczo przedstawia mym oczom,
Nikt twym nie będzie mężem, tylko ja.
Jam jest stworzony, Kasiu, nie kto inny,
Do ugłaskania cię, do przerobienia
Z lwicy na kotkę, taką jak i inne
Obłaskawione kotki.—No, koteczko,
Twój ojciec idzie; nie bądź że mi krzywą:
Chcę cię za żonę pojąć, taki muszę.

Szekspir (p. str. 92 T. I).

Semester.

Marynia do kuzynka studenta: Karolu, tak często mówisz o semestrach; co znaczy ten wyraz?

Karol: Jest to nieprzyjemna przerwa w wakacyjach.

Sen.

* *W szkole elementarnej.*

Wizytujący. Posłuchaj chłopcze. Jeżeliś w polu ojcu pomagał przy robocie, ojciec z cie-

bie zadowolony,—czy śpisz wtedy spokojnie gdy się położysz?

Chłopiec. (namyślając się) Nie...

Wizytujący. Jeżeli umiesz dobrze, co ci pan nauczyciel zadał, rad jest z ciebie, chwali cię i obiecuje o twej pilności powiedzieć rodzicom--czyś wtedy kontent z siebie, czy śpisz spokojnie?

Chłopiec. Nie...

Wizytujący. Jeżeli za jaką robotę dostałeś kilka groszy, i z tych część dałeś ubogiemu, czy położywszy się, śpisz spokojnie?

Chłopiec. Nie.

Wizytujący. (z gniewem) Dla czegóż nie?

Chłopiec. (prawie z płaczem) Bo u nas dużo pcheł i spać mi nie dają...

* *Sposób na sen.*

N. nie mogąc spać, budzi towarzysza o północy: „Słuchaj! Co ja mam robić? Nie mogę oka zmrużyć z tego kłopotu; mam jutro płacić terminowy dług 600 rubli Hirszowi, a nie mam na to ani kopiejki?"

Towarzysz. „Ja ci poradzę, ubierz się, idź do Hirsza, obudź go i powiedz, że mu zapłacić nie możesz, wtedy on się będzie kłopotał, a ty pozbywszy się troski, wrócisz i uśniesz spokojnie."

* *Sen nocy jesiennej.*

(Powieść współczesna ale nie Wielm. Szekspira.)

Si finis bonus laudabile totum.

Stara gadka.

.... tamże z powodu wyjazdu, jest do odstąpienia dwa kołnierzyki, butelka siejbowłosu i t. d.

Dod. do Kur. War. z tego roku.

Może nie wiecie szanowni czytelnicy i powabne czytelniczki, że ja się kocham?

A jakże! i to na zabój!

Ale luba moja dziwne ma wybryki.

Oto naprzykład wymaga koniecznie, ażebym miał wąsy....

No i cóż ja nieszczęśliwy mężczyzna pocznę, jeżeli *maman* natura nie raczyła mnie, w niewyczerpanej łasce swojej obdarzyć podnosowym krzewiem?

Używałem siejbowłosu, smarując nim górną wargę według przepisu imć pana Rokossowskiego i, chociaż mi nos spuchł, jak piramida egipska, a wąsowe pole oblazło ze skóry, ale za to, co prawda, wyrósł mi jeden gruby i długi włos, który jeszcze nie mógł stanowić wąsów. Czemprędzej pobiegłem do mojej anielicy pochwalić się nowym nabytkiem, ale ona odrzekła mi, że to dla niej zamało.

Rozpacz moja przechodziła granicę, nie zatrzymując się nawet na komorze!

Poradzono mi, że za rogatkami Wolskiemi jest pewna znachorka, która z pewnością da mi skuteczny środek na wydobycie z głębin mojej skóry bujnego futra.

Udałem się do niej i w godzinę wracałem z lekarstwem w ręku.

Babinka zmieszała trochę krowiego mleka z koźlim łojem, dosypując do tego szczyptę jakiegoś żółtego proszku podejrzanego zapachu i zagotowawszy wszystko razem w garnuszku, kazała mi miksturą tą na noc smarować sobie pięty, wystawiając takowe kończyny na operację promieni księżycowych.

Po tygodniu tych badań medyczno-astronomicznych, ani jeden włos więcej mi nie wyrosł.

Nie było rady, trzeba się było pogodzić z losem, który swym żelaznym palcem tak srogo mnie doświadczał.

Doszedłem do wniosku, że usiłowania moje nad wydobyciem zarostu są bezskuteczne, postanowiłem przeto zaniechać wszelkich sposobów i czekać. Do bogdanki mojej wystylizowałem czterowiersz tej treści:

„Żegnam cię na wieki, moja Bogumiło!
„Twój obraz ryje siła mojej wieszczej kielni,
„Lecz pomyśl tylko luba: wszyscyśmy śmiertelni,
„A jest co będzie i będzie co było!"...

Musiałem ją okropnie rozczulić mojem natchnieniem, bo mi nic nie odpisała, najwyraźniej z żalu pióra w ręku utrzymać nie mogła...

Czekałem tedy, aż mi wąsy wyrosną....

Różne mi czarne i popielate myśli przychodziły nieraz do głowy... aż minęło tak miesięcy parę, a na obliczu mojem nie pokazał się ani jeden pożądany włosek.

Pewnej jesiennej nocy siedziałem na wieszczym moim trójnogu, (stołku, od którego czwarta noga użytą została na podpałkę do pieca) i opisywałem niedolę moją w czarnych jak heban sonetach...

Marzyłem.... marzyłem, aż wreszcie zasnąłem.

I śniło mi się, że luba moja jest tuż przy mnie i że przyciskam ją do falującego łona i okrywam jej rumiane policzki niezliczonemi miljardy pocałunków, gorących jak zapałki. Ona chyliła się na moje ramię, tuliła do rozpalonej mojej kamizelki swoją jasnowłosą główkę i rączkami muskała moje długie, czarne jak twarz negra... wąsy!

O radości!

I zdawało mi się, że już jest moją żoną... że już...

Wtem... rrrum!

Przebudziłem się!

Leżałem na ziemi, a około mnie mój wieszczy trójnóg, który trzymałem w objęciach i przyciskałem z całej siły do bijącego, jak bijem serca. Pod nosem uczułem jakąś dziwną przeszkodę i wilgoć...

Zerwałem się, spojrzałem w lustro i... !...!..

— Wąsy!! wąsy!!! krzyknąłem na całe gardło...

W istocie podczas chwilowej drzemki wyrosły mi bujne wąsy i broda ciemno sinego koloru, ale tak gęste, że aż pokryły mi koniec nosa i policzki...

Jeszcze więc raz chciałem się nalubować tym pysznym widokiem!

Jeszcze więc raz spojrzałem w lustro!...

Pęknij stalówko moja, bym nie mógł dokończyć opisu rozczarowania mego, które niewiem, jakim sposobem przeżyłem!

Podczas drzemki, na gołowąsą moją fizjognomię wylałem sobie całe naczynie galasu, który zaczernił mi, jakby na urągowisko właśnie te miejsca, które są przeznaczone do zarostu... O losie!...

Przykry sen nocy jesiennej pamiętać będę dotąd, dopóki... nie zapomnę.

P. Kośmiński. (p. t. I, str. 349.)

* *Sen Maćka.*

Z legend ludu.

Ciemno było na dworze i psów tylko wycie,
Letniej, przyjemnej nocy przerywa milczenie
I cicho było wszędzie; tylko coś tam w życie
Poruszało się, często wydając westchnienie.
Ni to pies, ni to zając, ni inna zwierzyna,
Bo tak ciężko coś wzdycha i płacze załośnie,
Pewno żebrak nieboga zbłąkał się chudzina
I poszedł się tam zdrzemnąć, kędy żyto rośnie.
Oj, nie pies ci, to nie pies, a nie co innego,
Ino się tam wylega ze wsi Maciek głupi,
A płacze ci on chudziak, nie wiedzieć dlaczego,
A wzdycha tak siarczyście, że aż słoma chrupi.
Że będzie gospodarzem, Maćkowi się śniło,
Że z Magdą się ożeni, dzieci będzie kupa
I wieprzaków też kilka, a tłustych aż miło
I krowa ze przychówkiem i chlew i chałupa,
„Oj bandę gospodazem, jeno się obzenię,
A jak się już obzenie, to wnet bandę inny,
Miedzioków bandę nosił pełniuśkie kiesenie
Jak po wojskowym spisie, nas pon pisorz gminny!"
Tak śnił se głupi Maciek różne dziwne mary.
Chlew, wieprzaki i krowę, Magdę i zaloty,
W tem go zdzielił palicą przez łeb niemiec stary
„A wstawaj du verfluchter, bo szas do roboty!"

P. Kośmiński. (p. t. I, str. 349).

* *Sen i kabała.*

I.

Morfeuszu! sklej mi oczy,
Niechaj jaki kraj uroczy
Zobaczę!
Siedzi sobie po nad Nilem
Ptaszek, zwany krokodylem
I płacze.

Bieży sobie ciche jagnię,
Co się wody napić pragnie,
I pyta:
— „Krokodylku! co to znaczy?
Na twym dziobku łza rozpaczy
Tak świta?"

— „Synu owcy i barana!
Twemu sercu litość znana,
Daj uszko.
W mej boleści ulżę może,
Gdy do głębi ci otworzę
Serduszko!"

I baranek dał skok chyży,
Ze współczuciem doń się zbliży,
I rzecze:
— „Ulżyj sercu, co pod głazem,
Pozwól, niechaj z tobą razem
Zabeczę."

I poufnie uszko schyla,
Aż się paszcza krokodyla
Zaśmieje.
Klapnął paszczą — bez zachodu
Pożarł baraniego rodu
Nadzieję!

II.

Stara babka sny tłómaczy:
— „Powiedz, babko, co się znaczy
Sen taki?"
Babka na stół kładzie karty
I zażywa po raz czwarty
Tabaki.

— „Dzwonka! czerwień!... sen się splata
Że nie z sercem idź do świata,
Lecz z wiedzą;
Zamknij serce, niech się studzi,
A unikaj czułych ludzi,
Bo zjedzą.

Tuz... król... kralka... dama... walet...
Kto chciał szukać z serca zalet,
Był skaran!
Krew serdeczną wyssą tobie,
I napiszą na twym grobie:
Żeś baran!"

W. Syrokomla. (p. t. I, str. 128.)

Senator.

* *Na wjazd do Warszawy Senatora Szydłowskiego w roku 1778.*

Nie chlub się swoją wspaniałością Rzymie,
Kiedy do ciebie wjeżdżał władca świata:
Coś piękniejszego opowiem w mym rymie,
Wjazd pana z panów do nas tego lata.
Więcej ludzkości znajdziesz w tym pośpiechu,
August nabawił płaczu, a ten śmiechu.

Rok minął, jako pożegnał stolicę,
Zabrawszy z sobą powagę senatu,
By nią zaszczycał dalsze okolice;
Mądrość swą poznać dał całemu światu.
I gdy tu wszystko znikczemniało prawie
Gust, piękność z sobą przywrócił Warszawie.

Pięknyż to widok, gdy głowa w kołpaku
Sobolim, wzgląda z poszóstnej karocy,
Z rzewnego, chociaż głodnego orszaku,
Harcuje każdy z całą resztą mocy,
Pilnie swą scenę pełniąc w owym czasie,
Jak miał zlecono sobie na popasie.

Niespracowany senator choć w drodze,
Dźwiga na sobie swej godności znaki:
Wstęgi na piersiach, ledwie nie na nodze,
Opończa nawet wydaje kto taki,
U której gwiazda świeci się na boku;
Z tejże go poznać w nocy choć w szlafroku.

Że życie jego ojczyźnie należy,
Baczny pan pierwej ponad mostem stawa,
A wprzód wierzchowiec tam i sam przebieży,
Doświadczy czyli bezpieczna przeprawa.
Czekać też trzeba było z pół godziny
Nim nadciągnęły z mażami słoniny.

Gdy tak pozbierał swoje karawany,
I napasł oczy ludzkie z tamtej strony,
Jedzie na drugą w powagę przybrany,
Noga za nogą, dla zdrowia ochrony.
Aby zaś konie poważnego kroku
Nie rwały, trzy dni nie jadły obroku.

Wielka rzecz umieć łączyć gust z wygodą:
Tak pan nasz obrał poczet z bisurmanów,
Dzidki z jeżami niewidzianą modą
Noszący, czego żaden nie miał z panów.
I gdy pod górę końskie mdlały nogi,
Jeże służyły na miejsce ostrogi.

Najpierwsze w szczęściu Krakowskie Przed-
[mieście,
Co oglądało takiej pompy dziwy;
Pan nie chcąc czynić krzywdy ludzi reszcie,
Na Nowe Miasto wiedzie krok leniwy;
Ztamtąd na Leszno, aż też cztery rogi
Zwiedziwszy miasta, zawitał w swe progi.

Księżna małżonka, przykład płci niewieściej,
Co sama jedna męża uczcić umie,
Z gronem potomstwa na najpierwsze wieści
Spieszy spotykać go tam, gdzie rozumie;
Lecz krążącego nim schwytała w łapkę,
Długo musiała grać z nim w ciuciubabkę.

Cała Warszawa byłaby się zbiegła
Z powinszowaniem uczcić przyjazd miły,
Lecz pańska skromność w tem była przebie-
[gła,
Że bryki, maże przystęp zawaliły.
Uwielbiaj i ty Muzo w skromnej mowie,
Wstęgi na brzuchu, a kołpak na głowie!

K. Węgierski (p. t. I, str. 189).

* *Senator łysy.*

Jeden Senator łysy w swojej dotknął mowie:
— Że ma długów Korona, jak włosów na
[głowie.
Nie mógł wytrwać podskarbi, siedząc tamże
[trzeci;
„Daleko, rzecze, więcej niźli u waszeci."

Wacław Potocki (p. t. I, str. 13).

Serce.

* Pewien fircyk, który obraził oficera, i był przez tegoż wyzwany, przed samym pojedynkiem prosił o przebaczenie, usprawiedliwiając się w ten sposób: „To jest moje nieszczęście, że mam zawsze serce na języku"…. „Tak" przerwał mu sekundant „można to zauważyć, że nie jest ono we właściwem miejscu".

* *Toaleta serca!*

Do przystrojenia serca potrzebne są piękne i kosztowne szczegóły — znajdujemy tam naprzykład wstęgę drogocenną miłości i przyjaźni, złoty łańcuch obowiązków, przezroczy welon skromności, opaskę wstydu, płaszcz miłości bliźniego, perłę cnoty, szczery kryształ uczucia i cenny kruszec jedynie nas uszczęśliwiającej religii.

* *Co robi serce?*

Pewien zapalony jeździec opowiada, że serce mu się śmieje w piersi, gdy widzi pięknego konia — mściwemu serce w łonie się odwraca, gdy zobaczy nieprzyjaciela. Litościwemu serce z żalu pęka, tchórzowi ze strachu zamiera. Zazdrosnemu serce się krwawi, jeśli komuś dobrze idzie. Nerwowemu dygoce, złośnikowi się trzęsie, przerażonemu serce bić przestaje, uszczęśliwionemu serce rośnie, stęsknionemu serce omdlewa, wesołemu skacze, smutnemu się rozdziera, tkliwemu serce się rozpływa. O nieuczynnym człowieku mówią, że ma twarde serce, o takim, którego nic nie obchodzi, mówią, że nie ma serca, o łatwo się smucącym opowiadają, że ma obszer-

ne serce, z zakochanego śmieją się, że podarował swe serce.

Serce! moje serce, czegóż chcesz więcej?

* *O sercu.*

Serce kobiety jest jak mimoza, im wrażliwsze, tem łatwiej się zamyka, serce mężczyzny jest jak atak apoplektyczny, im wrażliwsze, tem pewniejszy paraliż. Serce dziewicy jest jak wiadro drewniane, pierwszy raz napełnione, nie utrzyma nic wewnątrz, dopiero po kilkakrotnem napełnieniu zawartość nie zmarnieje. Z miłością dziewcząt to tak jak z kichaniem; kiedy pierwszy raz pokocha, wszyscy wołają „Szczęść Boże,” a później.... i sto razy można kichać — nikt się nie odezwie... Pierwsza miłość w małżeństwie, to los siana pod rynną, każda burza tak często trafiająca się w życiu ludzkiem spłynie z falą tamtędy...

Więc... porównajmy jeszcze serce dziewczęcia do imbryczka z herbatą: żeby pierwszy raz naciągnęła, trzeba wielkiego płomienia i wielkiego gorąca, jak się raz zagotuje, to już wrze i kipi na spirytusowym płomyku. Fałszywe mniemanie, że kobieta po pierwszej nieszczęśliwej miłości jest trudna do zdobycia — o nie! takie serce zatli się od ognia, jak świeżo zdmuchnięta świeca.... Kiedy mówią o niedostępnem lodowatem sercu kobiety, zaraz sobie myślę: „dobrze! tam się lód gromadzi, dlaczego?.. dlatego ażeby w tej lodowni zakonserwować dłużej — kochanka!”

* Serca niektórych kobiet podobne są do róż — każdy kochanek dostaje po listku, mężowi zaś zostają ciernie.

Dawniej serce kobiety było twierdzą, którą długiem oblężeniem trzeba było zdobywać; dziś nie uważają ją za miejsce obronne, ale za miejsce kaźni — dla mężczyzn..

„Moje serce.” Od tego wyrazu zaczyna się zwykle kłótnia między mężczyzną a kobietą!

Serce jest siedliskiem życia i najszlachetniejszą częścią człowieka, jeżeli mu się jednak ma na coś przydać w świecie, musi być, jak dobrze przyrządzone jajko, nie za miękkie i nie za twarde!

Ci ludzie zwykle dużo dają serca, którzy z konieczności muszą robić oszczędność na żołądku!

Do historyi wszystkich serc ludzkich można zastosować jeden rym.

U zbyt wesołych — to tylko żart,
U kochających — to bólu hart,
A u bogaczów — to złota czart.

* *Lekkie serce.*

Serce mężczyzny waży przecięciowo 9 uncyi, a serce kobiety tylko 8, pierwsze powinno z wiekiem robić się cięższem, drugie lżejszem! Kobiety więc niepowinny obawiać się późniejszego wieku, gdyż serce ich lekkiem a nawet lżejszem zawsze zostanie.

Saphir (p. t. I, str. 1).

* *Serce i pieczeń.*

(Elegija).

Powietrzna niestałość ludzkiego gatunku!
Co chwila to smak się nasz mieni:
W młodości marzymy o słodkim całunku,
Na starość o tłustej pieczeni.

— O boski nektarze, usteczka rumiane!
Wykrzyka młodzieniec w zapędzie,
Za pierwszy całunek dawajcie w zamianę
Choć Paktol — nic z tego nie będzie.

Gdy dziewczę mi szyję rączkami oplecie,
A usta z ustami jej spoję,
To co mi po skarbach i co mi po świecie?
O żywot, o wieczność nie stoję! —

— O dzieło rąk bożych, mój kruchy baranie!
Szepleni staruszek pod nosem,
Niech w kąt się schowają i panny i panie,
Com kochał, gdy byłem młokosem.

Ten udziec duszony tak usta rozczula,
Jak żadne niewieście czułości;

A zwłaszcza, że octem zalana cebula
Pomaga trawieniu tłustości.

Powiedzcie mi młodzi, powiedzcie mi starzy
W obliczu sumienia i słońca:
Czy lepszy całunek, co ogniem się żarzy,
Czy pieczeń na stole dymiąca? —

Sesyja

* *Sesyja sejmikowa.*

Pan wojewoda rozesłał już po mnie na wszystkie strony; lecz gdym stanął przed nim i opowiedział racyję mojej nieobecności gdy jeszcze ukazał się za mną i pan Stanisław, uścisnął nas obu i winszował *wiktoryi*.

Trafiliśmy na same *consilium bellicum*. Był już pan podwojewodzi *Korsak*, pan *Rudomina*, pan *Szyryn*, pan *Podwiński* i kilku innych wojewodzińskich. Po wczorajszym zwłaszcza *excessie*, gdy podobne *periculum* powtórzyć się mogło, zdanie było wojewody i niektórych panów zgromadzonych na radę, aby rozłożyć milicyję na cmentarzu około kościoła, i postawić szyldwachy przy drzwiach.

Już nawet rzekł do mnie wojewoda: — Ojcze święty: biegaj do Piekarskiego, niech w pięknym moderunku wprowadza wojsko do miasta.... kapelia na przedzie.

— A któż będzie sejmikować? — odezwał się pan Podwiński — bo, mości wojewodo, ani pan podkomorzy, ani ktokolwiek ze szlachty jego partyi, ani nawet ja sam nie wstąpię nogą do kościoła, gdy ten wojskiem otoczony będzie. Choćbyś więc JWPan zagaił sejmik i obrał posłów, to nie będzie ani legalnie, ani z honorem pańskim: a rumor nieżyczliwy, który już i tak się szerzy pomiędzy szlachtą, że JWPan chcesz *oppresive* działać, zweryfikuje się *plenissime*, i już potem nie naprawić tego.

— Więc cóż robić, ojcze święty?

— Działać, mości wojewodo dobrodzieju, jak na zacnego senatora i przewodnika województwa przystoi, a łazem nie zaniedbać i ostrożności. Wprawdzie zawziętość przeciwników jest wielka, ale jednakże wczorajszy strzał nie jest bynajmniej z ich *insynuacyi*, bo obywatele zacni i uczciwi do takiej akcyi wcale nie zdolni, i krzywdę im czyni, kto taką *suppozycyą* na nich chowa; a w ogólności, u naszej poczciwej szlachty i u panów chrześcijańskich więcej wrzasku niż złości...

— Cóż w konkluzyi? ojcze święty!

— W konkluzyi idź pan śmiało do kościoła i zasiądź swoje senatorskie *stallum*; przywołaj do boku swego urzędników ziemskich i zagajaj sejmik. Dobrani i doświadczeni przyjaciele otoczą pana, a tak niczego lękać się nie będzie potrzeba.

Przystali wszyscy na tę mądrą radę pana pisarza, a zatem rzekł do nas z panem Stanisławem wojewoda: — Ojcowie święci! wybierzcie sto szabel dowodnych i trzeźwych i zasadźcie od wielkiego ołtarza; a gdy rozporządzicie wszystko, wasan, panie Stanisławie, zostań dla komendy, a waść, ojcze święty, powracaj tu do mojej assystencyi.

Poszliśmy więc z panem Stanisławem do księdza przeora Dominikanów, w ich bowiem kościele miał się odbywać sejmik i udawszy się z nim do kościoła, wynieśliśmy ztamtąd z należytą *adoracyą Sanctissimum* do klasztornej kaplicy; potem *in ordine* braci klasztornych stuknąwszy na śniadanie *crematum*, szliśmy wybierać gwardyję dla wojewody, klucze kościelne zabrawszy z sobą.

— Panie bracie! Panie Michale — rzekł do mnie pan Stanisław — po co darmo mamy włóczyć się? Mam pod moją *manudukcyją* pięćdziesięciu *Porczyńskich*, cała okolica; chłopy jak dęby; zajmę z nimi *prezbiterium*; ręczam, że dotrzymają *Zapończykom*, i że nikt, oprócz wojewody i urzędników, ani nosa za kratki nie potknie.

Dictum—factum. Zaczekałem z pół godziny na cmentarzu i ujrzałem pana Stanisława, prowadzącego swoich *gracialistów*. Gorący hultajski bigos, którego na śniadanie cały kocioł zjedli i miód grzany, którym sowito

zaleli, zaczerwienił ich twarze i nosy; idąc poważnie, ocierali tylko tłuste wąsy i spotniałe czupryny.

Przeciwnicy nasi, wyskakując z dworków, wołali: Swiebodczuki! a dokąd? Swiebodczuki! — Porczyńscy poglądali z pode łba, jak niedźwiedzie i ciągnęli spokojnie: ale wara do nich podstąpić!... lub dać zaczepkę!... bo jakby płatnął który!...

Zasadziwszy więc ich, podług instrukcyi pana wojewody, od wielkiego ołtarza, otworzyłem nawściąż drzwi kościoła, a zamknąłem furtkę od zakrystyi i schowałem klucz za nadrę, aby na wszelki przypadek mieć wolną drogę do *rejterady*. Pan Stanisław został na komendzie, a ja poszedłem uwiadomić wojewodę.

Zatem ruszyliśmy do kościoła.

—o—

Pan wojewoda *magnificenter* wystąpił i dalipan po pańsku. Kontusz granatowy z sajety jak atłas, ze sznurami i kutasami złotemi; żupan materyalny, spięty karbunkułem na szyi, którego gdyby brat szlachcic dostał, miałby chleba na całe życie; pas bogaty w karpią łuskę, a złoto ciekło z frenzlów; nakoniec wstęga błękitna Orla Białego, a gwiazda na piersiach i pałasz w jaszczur i blachy złociste oprawny. Wszystko to do pięknej figury pana wojewody raźnie przypadało. Pan to sudanny, ale nie suchy, białego lica, włosy nosi podstrzyżone, ale mu brzytwa koło łba nie chodzi: bo i fryzury i łby golone wychodzą już z mody; oko błękitne, wąsy z węgierska, suknie wszelkie nosi krótko, but jak oblany. A kiedy tak wystrojony i w dobrym humorze, podsunie się gracko do jakiej kobietki, to rośnie jak na drożdżach dobrodzika, a pani wojewodzina bez ustanku tabakę zażywa.

Za panem wojewodą szli nasi przyjaciele i urzędnicy ziemscy; ja tuż za nimi prowadziłem *circiter* trzysta szlachty, którym, jako i Swiebodczukom, po bigosie i palonym krupniczku *) z łysin się kurzyło. Uspokajałem jak mogłem ich hałasy, gromiłem przechwałki; i słuchali mnie, bo znając prawie każdego *de nomine et cognomine* i sustentując ich hojnie, zjednałem sobie między nimi wielką *konsyderacyję*.

Podchodząc pod kościół, usłyszeliśmy okrutną tam wrzawę; a nakoniec, gdyśmy wchodzić mieli, Junosza, znajomy nam zapończyk, wrzasnął na całe gardło:

-- Kiedy nas wasz Twardowski (tak oni przezwali pana Stanisława, podrażniając jego chromotę) nie puszcza za kratki, to my was do kościoła nie wpuścim i zamkniem drzwi przed nosem.

Jakoż zatrzasnął drzwi kościelne i drągiem zewnątrz zawalił.

W kościele do większej jeszcze przychodziło wrzawy. Lękaliśmy się, aby nie okrwawiono domu Bożego. Ale nie domyślali się panowie Zapończyki, że ja mam w kieszeni sposób wejścia do kościoła i bez ich łaski; podałem więc klucz od zakrystyi wojewodzie.

— Ojcze święty masz rozum -- rzekł on. — Chciałem mu przypomnieć *infimę*, alem właśnie postrzegł, że byłem w paliowym atłasowym żupanie.

Raptem więc ukazaliśmy się w kościele między naszą Swiebodzińską gromadką. Zapończyki *obstupuerunt*, ujrzawszy nas jak z nieba spadłych. — Zdrada! zdrada! — krzyczał pijany Junosza -- Twardowskiemu dyjabeł sekunduje!

— A ty, heretyku przeklęty! — krzyknąłem, przystępując doń impetycznie — w domu Bożym o dyjable tobie wspominać! Czekaj! idę wraz do Dominikanów i donoszę im twoje bluźnierstwa. Oni ciebie wyklną, a my upieczem na stosie, jak raka. A toż, mości panowie, sklepienie kościelne na nas zapadnie, kiedy będziemy między sobą chować tego

*) Krupniczek — wódka palona z miodem i różnemi korzennemi zaprawami.

niedowiarka. Precz z domu Bożego! precz I śmiało przeszedłszy kościół, odsunąłem drąg i otworzyłem drzwi, jakby dla wywleczenia Junoszy, ale on od swoich nawet łajany, opuścił uszy i schował się gdzieś pod ambonę; a tymczasem przez otwarte drzwi wwalili się hurmem nasi, i wśród nich wetowani bez miłosierdzia panowie Sieliccy, Norniccy i ich adherenci, którzy trafili pod kościół wtenczas, gdy przede drzwiami stała rozgniewana nasza szlachta, obwiniająca ich o promotorstwo w uczynku Junoszy, lubo ich i obecnych nie było.

—o—

Otóż to zaczął się hałas i kweres, kiedy się kościół już napełnił. Boże zlituj się! Myślałem, że nie trafim już do końca.

Nie czekając *reassumpcyi* sejmiku, podkomorscy krzyczeli: — Prosimy na posłów pana *Sielickiego* i pana *Reuta*! Wiwat pan *Sielicki* i pan *Reut*! — Nasi wrzeszczeli: — Wiwat pan *Sulistrowski* i pan *Brzostowski*! Posłowie województwa Połockiego.

— A gdzież on? ten pan Sulistrowski? — zapytywali jedni.

— W antypodach! — z przygryzkiem odpowiadali inni.

Wtem pan Stanisław ukazał się znagła na kratkach i wrzasnął okrutnie: — Prosimy naprzód spalić heretyka *Junoszę*! kto w Boga wierzy *pal*! bo kiedy heretyków żywić będziemy, sami marnie poginiem.

Więc wszyscy Poroczyńscy krzyknęli: — Palić heretyka! palić!

Spojrzałem w oczy panu Stanisławowi. — *Stemus simul* — rzekł on do mnie — popieraj moją propozycyję, panie bracie!

I znowu zaczął perorować: — Kto z kim poprzestaje, takim się sam staje: więc i my mości panowie, mając społeczeństwo z heretykiem, nie ujdziem herezyi. Do niczego zatem nie przystępuję, nim ta materyja skonkludowaną nie będzie. To materyja *status*, gdzie idzie o zbawienie duszy!

Znowu więc wrzask: — Spalić Junoszę!

Zrozumiałem ja, o co idzie panu Stanisławowi, więc krzyknąłem: — Nie pozwalam! Junosza nie tylko heretyk, ale i czarownik. Sam byłem świadkiem, jak raz wypił trzy garnce tęgiego trojniaku i nie upił się. To nie w swój duch! to czary! to nie żarty! Ale po sprawiedliwości, trzeba aby był wprzód *jure victus*; a zatem spławić go należy. Ja znam cały *proceder* tej operacyi, bo już cztery baby pławiłem; proszę zatem o *exhibicyję* osoby czarownika, a ja go *ex nunc solita praxi* spławię na...

— Jeżeli potonie, to i wyciągać nie trzeba, bo heretyk; a jeżeli pływać będzie po wierzchu, to czarownik. I na to *spectaculum* wszystkich panów braci szlachtę i dobrodziejów zapraszam.

— Niema zgody! — krzyczał Swieboda i Swiebodzińscy — Na co te ceremonije z hetykami? *Pal*! kto w Boga wierzy, *pal*!

— Pławić! — krzyczałem ja i dawałem znak moim wojewodzińskim, którzy ryknęli, że aż kościół zatrząsł się. — Pławić czarownika Junoszę! po świętej sprawiedliwości, pławić!

Panowie urzędnicy patrzyli na nas z podziwieniem. — Ojcowie święci! —rzekł wojewoda — czyście poszaleli?

— Nie bój się pan — szepnął mu pan Stanisław — nie spalim, tylko wykurzym tego burdę i opoja. A krzyczał głośno: — Czy palić, czy pławić, zawsze naprzód prosimy o *extradycyję* Junoszy.... a kto go bronić będzie, ten sam potępieniec!

A ja krzyczałem: — Zapraszam panów braci na pławienie.

Junosza coś wrzeszczał i dąsał się pod amboną, ale nikt go nie słyszał; a gdy jeszcze któryś z jego sąsiadów Zapokończyków krzyknął:

— To ciekawe *spectaculum* pławienie czarownika! na życiu mojem tego nie widziałem. Wiecie co? mości panowie! dajmy Junoszę na próbę.

Widząc on zatem, że gotowi dla samej ciekawości wydać go na *stracenie*, chyłkiem po za filary wycisnął się z tłumu i uciekł z kościoła.

—o—

Tymczasem pan Podwiński pisał a pisał. Pan wojewoda chociaż po kilka razy wstawał i zaczynał swoje. ojcowie święci!... ale zagłuszony zawsze naszym wrzaskiem, usiadał znowu i czekał, aż pan Podwiński dał znak głową, że już skończył. Wtenczas powstał pan wojewoda dla *reassumpcyi* sejmiku; a że Jezuici nie wyśpieszyli oracyi, chociaż dwa razy do nich do Połocka posyłano, a *elokwencyja* pana wojewody *ex abrupto* niezawołana, przeto powtórzywszy znowu: — Ojcowie święci! panowie bracia i dobrodzieje! — dodał tylko — pokornie suplikuję wysłuchać *reassumpcyi* naszego poselskiego sejmiku, zapisanej przez godnego urzędnika ziemskiego wielmożnego pisarza Podwińskiego, *cum laudo circa securitatem publicam*, na które rozumiem, iż zajdzie zgoda całego prześwietnego województwa.

— Co za *laudum?* jakie *laudum?* — odezwali się Siellicy. — Na żadne niema zgody.

— Otóż wysłuchajcie naprzód jakie *laudum* — rzekł powstając pan pisarz — bo teraz krzyczycie, nie wiedząc o co.

Promotor ich wszystkich podkomorzy, konsyderując pisarza, równie jako i wojewoda, a rozumiejąc go być swoim, tak jak rozumieliśmy go być naszym, skinął ręką na swoich, to i cicho.

Odczytał zatem spokojnie pan pisarz swoję *reassumpcyję* i *laudum*, w którym wyrażał: aby każdy, ktoby *in tractu* obrad w kościele dobył szabli, uznanym był *tanquam contumax* i jako taki wnet z koła sejmujących był wyłączonym.

— Jakto? — wrzasnęli Zapończyki — a nacóż u licha szabla, gdy jej wyjmować nie można? Panie pisarzu! przyczep sobie łuczywkę do boku. Panie wojewodo! każ kurki poodkręcać od muszkietów u swoich żołnierzy, to my wtenczas szable odpaszem. Pan Podwiński *skorumpowany*! niema zgody!

A więc znowu sprzeczki między starszyzną za kratkami, a zwady i krzyki po całym kościele.... gdy nagle odgłos trąbki pocztarskiej rozległ się przed kościołem.... Umilkła wrzawa, wszyscy zdumieni obrócili oczy na drzwi, w których wnet ukazał się pan Aloizy *Sulistrowski*, pisarz wielki Litewski.

Szlachta nasza połocka jego nie znała: bo on *de radice* oszmiańczuk; ma tam swoje dobra, *Szemetowszczyznę*, *Wiszniew*, *Czurlonie*, do których zawsze zajeżdżamy z panem wojewodą, jadąc do Wilna. Lecz że tak wypadło z wyższych *intencyi*, aby z Oszmiańskiego posłami byli pan *Kociełł* i pan *Bieńkuński*, więc pan pisarz wielki litewski, mający w Połockiem województwie jakiś folwark, postanowił ztąd posłować i napisał wcześnie o tem do wojewody.

Wielki *rumor* się zrobił na jego widok. Zostawiono mu szeroką lukę aż do kratek, wśród której postępując, kłaniał się on na wszystkie strony. A wiadomość kto on jest, rozbiegła się wnet po kościele, jak równie, że przybywa prosto z Warszawy.

Nie wysoka to kreatura *Sulistrowski*, ależ głowa! mądra, że na bok i nasz pan *Podwiński*. Niema on i nie stara się o popularność między szlachtą, a nawet go szlachta oszmiańska nie lubi, bo jak pokaże się na sejmikach, to już i po sejmikach. Bez *oracyjów*, bez *argumentów* i *traktamentów*, to wszystko pięknie na osobnych z każdym kandydatem *konferencyjach* ukartuje, że ani się postrzegą, jak zawziętość zniknie, pokój święty następuje, a *stalla* i urzęda biorą jednomyślnie ambijenci, o których przed sejmikami sam tylko pan Sulistrowski wiedział, a szlachtom ani się śniło! Powracają więc potem spuściwszy nosy na kwintę do domów i przeklinają Sulistrowskiego, że ten intrygant i *farmazon* skończył *insperate* sejmiki, a ich przed czasem od szabli i miodu do sochy i wody

odprawił. Przyszedłszy do stołu, pan Sulistrowski uścisnął poufale pana wojewodę, przywitał się grzecznie ze wszystkimi, i wyjął z zanadry list, zapieczętowany wielką białą pieczęcią, oddał go panu wojewodzie mówiąc: „*Od Króla Jego Mości.*"

Pan wojewoda, dostawszy listu z koperty i przebiegłszy go — Ojcowie święci, panowie bracia i dobrodzieje! — rzekł — ponieważ pismo Miłościwego Pana bardziej się tycze całego naszego województwa, aniżeli mnie samego, przeto odczytam je głośno.

Ciekawie wszyscy nadstawili uszy, i z owego krzykliwego zgiełku nastało milczenie, jakby anioł przeleciał. Czytał zatem głośno pan wojewoda *ut sequitur*, bom zaraz sobie ten list *copiatim* przepisał. To nie żart! list od *koronata!*

„Wielmożny uprzejmie nam miły!

„Nadchodzi czas wyboru posłów ziemskich na sejm przyszły, prawem oznaczony. Prześwietne województwo Połockie posiada zapewne w gronie swojem mężów, których światło i miłość dobra publicznego odpowiedzieć godnie może oczekiwaniu i troskliwości Naszej królewskiej; lecz dogodziłoby się życzeniom naszym, aby z tego województwa W. Aloizy Sulistrowski pisarz wielki litewski i urodzony Michał Brzostowski, posłami obranymi byli. Oświadcz Uprzejmość Wasza to życzenie Nasze prześwietnemu województwu Połockiemu, na sejmik zgromadzonemu i razem łaskę naszą królewską. Dobrego przytem zdrowia Uprzejmości Waszej od Boga życzymy."

Po odczytaniu znowu było milczenie, aż ktoś z ławek odezwał się: — Łaska pańska na pstrym koniu jeździ! — A tem jakby pobudzony powstał pan podkomorzy Sielicki, zabrał głos i rzekł:

— *Salvo respectu* pismu Najjaśniejszego Pana; uważam jednak, że takowe jest *in praejudicium* prerogatywy naszej szlacheckiej, obierania urzędników po naszej woli. Gdy ja z ojców, dziadów i pradziadów moich, odwieczny *civis et servus* tego prześwietnego województwa i każdego z braci szlachty, *ausus sum* funkcyją poselską na przyszły da Bóg sejm piastować i o takową dopraszam się; przeto pokładając nadzieję w waszych braterskich *affektach*, (tu kłaniał się na wszystkie strony), nie odstępuję *ambijencyi*, i godnego ze wszech miar JW. pisarza litewskiego, acz przez majestat *promowowanego*, na wota proszę.

Pan *Sulistrowski* stał spokojnie, nic nie odpowiadał, tylko pokręcał wąsiki; a szlachta krzyczała: — Prosimy pana *Sielickiego!*

Wrzawę przerwał pan Stanisław, wrzasnąwszy: — Oto *Reverendissimus Reut* z kazaniem! — Bo też zjawił się na ambonie pan Reut. Obrócili się wszyscy do ambony, a pan Reut tak perorował:

— Bracia szlachta! ja wasz brat szlachcic! a szlachcic na ogrodzie, równy wojewodzie! to wszystkim wiadomo; a co do króla Jegomości, to on w Warszawie, a my w Uszaczu. Pan kasztelanic senatorowicz, a ja łowczyc z Amtorowicz, (tak się nazywa folwarczek pana *Reuta*), i kto z nas nie będzie posłem, to niech p.... zje w kaszy, a zostanie tym, co zostanie. *Dixi.*

— Brawo! — krzyknęła szlachta — brawo! Wiwat pan *Reut! wiwat* pan łowczyc poseł nasz! *wiwat!*

— Prosimy pana wojewodę o wota, Kandydaci wiadomi - odezwała się przeciwna nam starszyzna. I moment był krytyczny: bo nasi także przebąkiwali, szczególniej przeciw panu Sulistrowskiemu: — Na co nam oszmiańczuka, kiedy mamy własnych?

Poznał on, na co się zanosi; szepnął więc na ucho panu wojewodzie, a ten się odezwał: Ojcowie święci! spóźniona pora, sejmik jest *reassumowanym*; odwołuję więc sessyję na jutro.

— Nie ma zgody! — krzyknęli *ex opposito* -- nie ma zgody! *Pluralitas* widoczna — dodał pan *Sielicki*; więc albo niech panowie współambijęci nasi dobrowolnie odstąpią, albo,

mości wojewodo, prosimy przystąpić do wotowania.

Zawrzało wtenczas jak w garnku. Nasi krzyczeli, że sesyja odwołana do jutra. Głuszyli nas przeciwnicy, wrzeszcząc: — Panie wojewodo dawaj *kałkuły*. Wiwat pan *Sielicki* i pan *Reut!*

Rady już żadnej nie było. Znowu rzekł pan wojewoda: — Ojcowie święci! odwoławszy sesyję, nie mam tu nic do czynienia — I zabierał się do wyjścia tędy, kędy i wszedł, to jest, przez zakrystyję.

Pan *Sielicki* oświadczył zatem, że w takim razie obiorą sobie marszałka, lub sam, jako podkomorzy, kontynuować będzie obrady.

— *Quo jure?* ojcze święty!... — Bliziuteńką już zwadę przerwał pan *Sulistrowski*; zbliżył się on do pana *Sielickiego* i rzekł po swojemu, to jest, zcicha i skromnie:

— Racz, Mości podkomorzy, zgodzić się na okład sesyi do jutra; dogodzić się przez to może życzeniom Najjaśniejszego pana, który przeze mnie samego teraz przysyła panu dowód swej łaski pańskiej i nagrodę obywatelskich jego zasług.

— Cóż takiego? — zapytał podkomorzy.

— Nie czas to, ani miejsce tłómaczenia rzeczy ważnej, wśród takiego tłumu; ale proszę mi ufać, a nie pożałujesz pan tego.

Sielicki zaczął miękczeć i konferować ze swoimi. Szlachta niewiedząca o niczem, wrzeszczała jednak....

Aż pan Stanisław znowu zjawił się na kratkach i krzyknął z całego gardła: — *Panie Mateuszu! a prowadź waszeć!* — I wnet znowu w tłum się schował.

— Na jakiego Mateusza wołasz? — zapytałem.

— Na każdego, który tu jest, panie bracie! Obaczysz skutku.

Jakoż zrobił się wnet ruch między szlachtą. Z pięciu czy więcej się znalazło się Mateuszów, a każdy rozumiejąc, że to na niego wołano, i że tem samem uważanym jest *promotorem* swojej gromady, chciał dotrzymać takowej *preponderancyi;* zwoływał więc, gromadził popychał, gospodarzył, a nakoniec któryś, z nich podjąwszy czapkę w górę, zawołał: — Na obiad! Mości panowie! na krupnik i na pieczenie! mości panowie!

Podobała się propozycyja. — Na pieczenie, na pieczenie! — huknęła ochotnie bracia szlachta, zapomniawszy sejmikowych kłótni: i *Mateusze* wraz większą połowę tłumu wyprowadzili z kościoła.

— Ojcowie święci! — rzekł wojewoda — piszę się na ten projekt, i zacnego naszego gościa, a przy nim i całe koło prześwietnych urzędników na obiadek pokornie proszę.

Ciekawy obiecanych dla siebie łask królewskich, zgodził się po niejakiej *molestacyi* i podkomorzy; więc wszyscy hurmem wyszliśmy z kościoła i wnet cały Uszacz zajadał pieczenie.

L. Chodźko (p. t. I., str. 188.)

Seymik.

Z seymiku chłopiec powrócił z Kościoła,
A Pan się pyta co się dzieje zgoła?
Komu tam, chłopcze, więcej przypisują?
Mieszku, Mospanie, więcej adorują.
Kto dobrze mówił? mieszek Mościpanie.
Na czym stanęło? po mieszku się stanie.
Który tam mądrze rzeczy proponował?
Mieszek, Mospanie, dobrze dystyngwował.
Komu tam, chłopcze, głupstwo przypisano?
W łatach rzekł jeden, głupim go nazwano.
Kto jest Marszałkiem? krewny Dyrektora,
Są już poborcy? są Mospanie wczora:
Lecz ich, Mospanie, jeszcze nie mianują,
Dlatego, mówią, że nic nie darują.
U nas, Mospanie, tak się widzę, dzieje;
W zakrytym garnku kucharz wie co tleje,
Poseł, Deputat, w gospodzie zostanie:
Wie dyabeł dyabła, wiesz Poborce Panie,
Przeto nie wszyscy ten pokarm przyjmują,
Gdy pod nakryciem, prywatnie gotują.

Daniel Bratkowski.

Sędzia.

Sędzia pokoju. Oskarżony jesteś o skradzenie cybucha twemu koledze Birhuberowi...

Student. Skradzenie?... Gdzież tam! strzeliłem w niego fajką... to prawda!

Sędzia. A czy wykupiłeś bilet wolnego polowania?

Student. Na co mi bilet polowania!? Niewykupiłem!

Sędzia. Pisz! panie aktuaryjuszu!—Oskarżony za bezprawny strzał z fajki na gruncie polowania, skazany zostaje na karę 25 guldenów i wykup biletu myśliwskiego.

Saphir (p. t. I, str. 1).

* *Sędzia.* Jakie zajęcie?

Elegancki młodzieniec. Artysta od włosów.

Sędzia. Mów pan wyraźnie fryzjer, czy szczotkarz?

Saphir (p. t. I, str. 1).

* *O sędzim co go dwaj darowali.*

Wiedli prawo czas niemały dwaj szlachciców, jeden który sprawiedliwną miał, aby mógł mieć prędszą odprawę, darował sędziemu wielki rydwan. Adwersarz jego, obaczywszy, to darował sędziemu parę koni dobrych. Rozpierając się prawem wskazał sędzia za onym, co mu konie darował. On co rydwan dał rzecze sędziemu: „Panie sędzio, źleście mój rydwan nakierowali.” Rzecze sędzia: „Nie dziwuj się, konie go nakierowały; jako konie ciągnęły, tak rydwan musiał iść.” Pospolita przypowieść: Kto lepiej nasmaruje, temu lepiej skrzypi. Panie sędzia

Pomni na mary,
Nie sądź za dary.

Przypowieść z końca XVI w.

Sidła.

* *We własne sidła.*

Do pewnego adwokata przychodzi starać się o służbę człowiek, w którym tenże poznaje przestępcę, niedawno uwięzionego za złodziejstwo.

— Jak możesz starać się o służbę u mnie — rzecze doń adwokat — kiedy niedawno z taką biedą uwolniłem cię od dalszego więzienia?

— Właśnie też — odpowiada złodziej — pan adwokat tyle wtedy dobrego mówił o mnie, że spodziewałem się być łatwo przyjętym.

Sidorowicz.

* *Gieb łapkes Sidorowicz.*

Znany był w Wilnie z dowcipu kancelista Orłowski. Spostrzegłszy na maskaradzie urzędnika Sidorowicza, którego rysy miały typ wschodni, rzekł z żydowska:

Z brzucha wielorybiego wylazł wielki Jonas,
Gieb łapkes Sidorowicz, ty należysz do nas.

Odtąd Sidorowicza przezwano: „Giep łapkes”, a każdego przechrztę podobnież mianowano. Sidorowicz w rzeczy samej był synem neofity, wychrzczonego między latami 1790 i 94.

Sierotka.

* *Książę „Sierotka.”*

Uniżyłem się do kolan J. O. księcia, a on, podniósłszy mnie z ziemi, ucałował w oba policzki i pytał o żonę i dzieci moje uprzejmie, a rozpytawszy się o wszystko, rzekł: „Panie kochanku” (było to przysłowie, które po ojcu swoim J. O. książę odziedziczył i zapewne je w domu swoim zostawi do późnych wieków w puściźnie z mnogiemi dobrami, jakie posiadał) „panie kochanku, cóż myślisz o mojej peregrynacyi?” — „Jeszcze nie zaczęta, J. O. książę,” odpowiedziałem, „a ja się lękam, aby to wszystko nie było snem i wizyją, albowiem Jazon, kiedy się po złote runo wybierał, to nie miał tyle baranów, co J. O. książę, więc miał po co jeździć, a świętej pamięci Godfryd z Bullijonu...” „W moim domu robią bulijon z niedźwiedzi,” przerwał książę, „a kto się go napije, to jak lew. Patrz, pan Armider, co tuczony bulijonem z niedźwiedzi, czy nie straszny? Ja myślę, panie kochanku, pobić

Turków i wziąć Jerozolimę, abym tam wypędził Żydów z Polski, — mój Josiel arendarz jedzie ze mną i weźmie dolinę Józefata w arendę i będzie płacił koszerne. — Że mój pradziad z królem Stefanem węgierskim nie poszedł na krucyjatę, to też masz — wnuk jego biedny sierotka musi iść na goły łeb z Turkami — inaczej dyjabli wezmą ród jego! — To nie są sny, Najświętsza Panna mi się pokazała trzy razy — a zawsze mi powtarza to samo, aż mnie uszy bolą, panie kochanku — jak nie posłucham, to będzie źle — a jednak jeszcze poradzę się Najświętszej Panny Poczajewskiej, bo mówią, że w koroniarzach serce na języku, to mnie ich Najświętsza Panna nie oszuka." — „Ale J. O. książę," rzekłem, „musisz mieć inne jakie ważniejsze powody, które go skłaniają ku tej peregrynacyi" — „Ja? panie kochanku, żadnych nie mam powodów... tylko, że mię świerzbi gdzieś, to chcę użyć przejażdżki — chcę zobaczyć, czy wiele durniów na świecie. Bo że Jerozolima w ręku Turków, to, jak mówi ksiądz Ryłło Jezuita, nawet dobrze, a wiesz dla czego?" — „A dla czego J. O. książę?" — Bo, panie kochanku, gdyby chrześcijanie katolicy grzeszyli w ziemi, gdzie Chrystus Pan poniósł mękę na krzyżu, toby się Bóg gniewał — a że Turcy grzeszą, to się nie gniewa... exemplum panie kochanku.. jak pies podejmie nogę czwartą w pańskim pokoju, to się pan wojewoda nie obrazi — lecz gdyby człowiek jaki, choćby koligat, popełnił taką niegrzeczność, tobym ja mu sam kazał wylizać podłogę. Czy rozumiesz parabolę, panie kochanku? Turcy to psy!" — „Ksiądz Ryłło, ma racyją, J. O książę, ma słuszną racyją" — „Ksiądz Ryłło nie wie, co gada, a ja wolę księdza gwardyjana, co tu ze mną pił przez godzinę, choć ma reumatyzm. Ksiądz Ryłło kiedym mu pokazywał Najświętszą Pannę na księżycu, to jej nie spostrzegł; ślepy mój żóraw widział Najświętszą Pannę na księżycu i nie zadał mi kłamstwa przed ludźmi. Ksiądz Ryłło ma przysłowie: wolno wierzyć, wolno nie, a to gorsze dla moich uszu, niż kiedy Skorubski mówi: Bóg mój, wszystko moje, oprócz —, a i to także kłamstwo, bo Nieśwież nie jego, ale Radziwiłłów" — „To też właśnie książę panie — Skorubski mówi: oprócz Nieświeża" — „Może to być, panie kochanku — więc pan Skorubski ma racyją, a nie ksiądz Ryłło. A tymczasem gotuj się w drogę i zrób testament — a furmanów moich ucz geografii, aby mię nie zawieźli do Moskwy, zamiast do Rzymu, bo ja zwykle, jak w powozie to śpię i nie widzę. — Gadałbym z tobą dłużej, ale mi ksiądz Ryłło zadał pokutę, a już późno. Jeśli chcesz odprawić rekolekcyją w klasztorze, to powiedz k-ężom, niech ci dadzą celę i dyscyplinę, a jeżeli nie chcesz, to ruszaj stąd prędko, bo cię dyjabli porwą, jak się przestaniesz trzymać mego pasa."

J. Słowacki. „Peregrynacyja Radziwiłła do Ziemi Świętej."

Skandal.

* *Nie, to skandal jakich mało!*
— Nie, to skandal jakich mało!
— Cóż się stało, mój kochany?
— Zmarzłem jak kość — to się stało.
A to dopiero bałwany!
Wystaw sobie, jestem w mieście,
Mróz, na niebie ani chmury,
Aż tu narodu ze dwieście
Stoi i patrzy do góry.
Patrzę i ja — na kominy,
Na dachy, precz do okoła,
Patrzę z jakie pół godziny,
No, i nic nie widzę zgoła —
Więc pytam się najbliższego
Tuż obok siebie sąsiada,
Co to się stało takiego?
Nie wiem, sucho odpowiada.
Pytam drugiego — nic — cicho,
Pytam babę — i ta nie wie.
Myślę sobie, pal ich licho!
Pójdę, bo już byłem w gniewie —
Albo nie — ludzie się stoją,

Poczekam chwileczkę małą,
Przecież, jak głupcy nie stoją.
Oto co się pokazało:
Jacyś dwaj się założyli,
Że gdy kto stanie przed bramą,
I spojrzy w górę, po chwili
Sto ludzi zrobi to samo.
I proszę cię, trzy godziny
Tłum stał tak na środku drogi,
Z łbem do góry, bez przyczyny.
Najbardziej mi zmarzły nogi,
Choć tłukłem jednę o drugą.
Bodaj ich dyjabli porwali!
— Dla czegożeś stał tak długo?
— A dla czego oni stali?

M. Rodoć. (p. t. I, str. 125.)

Skarga.

* *Skarga męża.*

Przed ślubem aż wspomnieć miło,
Serce Laury dla mnie biło,
Po ślubie ku mej udręce
Serce nie bije lecz *ręce.*

Legatowicz

* Nie skarż się, że potomków nie masz ani dzieci,
Umrzyj, a do puścizny moc się tego zleci.

W. Kochowski (p. t. I str. 49).

Skazaniec.

W pewnem towarzystwie opowiadał znany dowcipniś historyję o ścięciu złoczyńcy. „Bo widzicie panowie, kat był tak zręczny, że ściął głowę w ten sposób, iż pozostała przy tułowiu, pomimo, że żelazo przeszło przez całą szyję. Powiadam wam, że delikwent się nawet nie spostrzegł i pyta „a kiedyż tam będzie koniec?" i dopiero kiedy kat kazał mu potrząsnąć głową, głowa spadła.

Wszyscy zaczęli się śmiać serdecznie, ale śmiech doszedł wtedy do zenitu, kiedy młody wiejski gap, należący do towarzystwa, zapytał zdumiony: „Proszę pana! czy to może być prawdziwe?"

Saphir (p. t. I, str. 1).

Skąpiec.

* Pewnemu skąpcowi przyjaciel jego dał do przeczytania wyborne dzieło o dobroczynności; przy odebraniu tej książki zapytał go, jak też mu się podobała.

— Ach! — odpowiedział skąpiec — tak mię wzruszyła i przekonała, że miałem silny popęd zostać żebrakiem.

(*„Humorysta Warszawski"*)

* Gdy od pewnego skąpca, który stracił żonę, przedsiębiorca pogrzebowy zażądał 3,000 franków, wykrzyknął przygnębiony:

— Co! trzy tysiące franków, ależ w takim razie wolałbym, żeby była wcale nie umierała!

* Markiz d'Aligre, znany sknera, który miał zwyczaj zamykać muchę w cukiernicy dla przekonania się, czy mu kto cukru nie rusza, podróżując raz, zatrzymał się w jakiejś oberży i zażądał cetli.

— A co u was kosztuje cały obiad? — pyta posługacza.

— Trzy franki—odpowiada ucieszony nadzieją zarobku.

— Drogo;—a śniadanie?

— Półtora franka.

— Zatem proszę cię, podaj mi śniadanie... zadysponował markiz, nie zważając na zegar wskazujący godzinę siódmą wieczorem.

(*Liberté*).

* *Hojność skąpca.*

Skąpiec do gościa: A może pan pali?
Gość. O tak, nawet dużo!
Skąpiec do służącego. Janie! podaj temu panu zapałki.

Flieg Blät.

Skąpstwo.

Swift'owi znanemu ze skąpstwa, przysłał jeden z przyjaciół rybę morską. Posłaniec, który razy kilka spełniał już był takie zlecenia, nic w nagrodę nie otrzymawszy, za przybyciem odezwał się szorstko do obdarowanego:

— Pan mój oto rybę przysyła.

— Nie umiesz grzecznie przemawiać — strofował go Swift — słuchaj przyjacielu, zamienimy się na role, nauczę cię uprzejmego obejścia —to mówiąc, zbliżył się z uszanowaniem do siedzącego w fotelu sługi i rzekł głosem słodkim: — Pan mój uprasza o łaskawe przyjęcie tej ryby.

— Chętnie bardzo — odparł sprytny sługa — a ty mój człowieku za twoje trudy masz tu trzy franki na piwo odemnie...

Swift co rychlej pożegnał pojętnego ucznia.

Skromność.

Skromność jest prawdziwem światłem czyni umysł przystępnym, a serce powolnem prawdzie.

Guizot.

* — Po kiego licha panienka nosi taką gęstą woalkę?

— Przez skromność — żeby na gołych nie patrzeć...

Skrócenia.

* Włościanin mający proces, udał się do parlamentu w Bordeaux, by osobiście podać prośbę piśmienną prezydentowi—i przez trzy godziny czekał na niego w przedpokoju. Nareszcie ukazuje się wielki urzędnik, podchodzi do interesanta, a widząc go bacznie przyglądającego się portretowi, pod którym były wydrukowane cztery wielkie *P*, oznaczające:

Piotr Pontac, pierwszy prezydent

pyta:

— Jak sądzisz przyjacielu, co wyrażają te cztery litery?

— Jaśnie wielmożny panie — odpowiada wieśniak — a toć po trzech godzinach oczekiwania, nie trudno zrozumieć, co one znaczą:

Poczekaj, poczekaj, prezydent przyjdzie.

(*Paysaniana*)

* Ksiądz Pellegrin wkrótce po przedstawieniu tragedyi swej *Pélopée*, spacerując po ogrodzie Luksemburgskim z jednym ze swych przyjaciół, podjął fruwającą ćwiartkę papieru, która była cała zapisana literą P. Towarzysz jego, spojrzawszy na nią, zapytuje z uśmiechem:

— Czy odgadniesz, jakie znaczenie mają te litery?

-- Jest to zapewne porwana przez wiatr lekcyja kaligrafii jakiegoś ucznia.

— Mylisz się przyjacielu, ja ci wytłomaczę, co chcą wyrazić te przewlekłe skrócenia. *Pélopée, praca pospolita, pisana przez poetę Pellegrina proboszcza prowensalskiego.*

(*Panckoucke.*)

Skrzetuski.

Teraz więc oto wracając z Krymu po pomyślnem rzeczy załatwieniu, p. Skrzetuski podśpiewywał sobie wesoło i czwanił koniem jadąc obok pana Longinusa, który siedząc na ogromnej inflanckiej kobyle, strapiony był i smutny jak zawsze. Wozy poselstwa, karałasze i eskorta, zostały znacznie za nimi.

— Jegomość poseł cudów mi naprawił o swojej Wołoszczyznie, aż i ustał. Jam też słuchał z ciekawością. Nie ma co! kraj bogaty, klima przednie, złota, wina, bakalijów i bydła dostatek. Pomyślałem sobie tedy, że nasz książę rodzi się z Mohilanki, i że ma takie dobre prawo do hospodarskiego tronu, jak kto inny, których praw, przecie książę Michał dochodził. Nie nowina to naszym paniętom Wołoszczyzna. Bijali już tam i turków i tatarów i wołochów i siedmiogrodzian...

— Ale lud tam miększy niż u nas, o czem mi i pan Zagłoba w Czechrynie opowiadał, rzekł pan Longinus, a gdybym jemu nie wie-

rzył, to wtedy w książkach od nabożeństwa potwierdzenie tej prawdy się znajduje.

— Jakto w książkach?

— Ja sam mam taką i mogę ją waszmości pokazać, bo ją zawsze wożę ze sobą.

To rzekłszy, odpiął troki przy terlicy i wydobywszy niewielką książeczkę, starannie w ciele oprawioną, naprzód ucałował ją pobożnie potem przewróciwszy kilkanaście kartek, rzekł:

— Czytaj waść.

Pan Skrzetuski rozpoczął:

— „Pod twoją obronę uciekamy się Święta Boża Rodzicielko"... Gdzież zaś tu jest o wołochach? co waść mówisz! - to antyfona!

— Czytaj waść dalej.

— „...Abyśmy się stali godni obietnic pana Chrystusowych. Amen."

— No, a teraz pytanie:

Skrzetuski czytał:

„Pytanie: Dla czego jazda wołoska zowie się lekką? Odpowiedź: Bo lekko ucieka. Amen". — Hm! prawda! Wszelako w tej książce dziwne jest materyi pomięszanie.

— Bo to jest książka żołnierska, gdzie obok modlitw, rozmaite instructiones militares są przyłączone, z których nauczysz się waść o wszystkich nacyjach, która z nich znaczniejsza, która podła, co do wołochów zaś, to się pokazuje, iż tchórzliwe z nich pachołki, a przytem zdrajcy wielcy.

— Że to zdrajcy to pewno, bo pokazuje się to z przygód księcia Michała. Co prawda, to i ja słyszałem, iż to żołnierz z przyrodzenia nieszczególny. Ma przecie książę jegomość chorągiew wołoską bardzo przednią, w której pan Bychowiec porucznikuje, ale stricte, to w owej chorągwi nie wiem czy dwudziestu wołochów się znajduje.

— Jak też waszmość myślisz panie namiestniku, siła książę ma ludzi pod bronią?

— Będzie z osm tysięcy, nie licząc kozaków, co po polankach stoją. Ale powiadał mi pan Wachowski, ze teraz nowe zaciągi są czynione.

— To może Bóg da jaką wyprawę pod księciem panem?

— Tak mówią, że wielka wojna z turczynem się gotuje, i że sam król z całą potęgą Rzeczypospolitej ma ruszyć. Wiem też, że upominki tatarom są wstrzymane, którzy przecie od strachu nię śmią zagonów ruszyć. O tem słyszałem i w Krymie, gdzie bodaj dla tego przyjmowano mnie tak honeste, bo jest wieść, że gdy król z hetmany pociągnie, książę ma na Krym uderzyć i całkiem tatarów zetrzeć. Jakoż to jest pewna, że takowej imprezy innemu nie powierzą.

Pan Longinus podniósł do góry ręce i oczy.

— Dajże Boże miłosierny, daj takową świętą wojnę, na chwałę chrześcijaństwu i naszemu narodowi, a mnie grzesznemu pozwól w niej wota moje spełnić, abym in luctu mógł być pocieszony, albo też śmierć chwalebną znaleźć.

— To waść ślub wedle wojny uczynił?

— Tak zacnemu kawalerowi wszystkie arkana duszy mojej otworzę, choć siła mówić, ale gdy waćpan ucha chętnego skłaniasz, przeto incipiam: Wiesz waszmość, że herb mój zwie się Zerwikaptur, co z takowej przyczyny pochodzi, że gdy jeszcze pod Grunwaldem przodek mój, Stowejko Podbipięta, ujrzał trzech rycerzy w mniszych kapturach, w szeregu jadących, zajechawszy ich, ściął wszystkich trzech od razu, o którym to sławnym czynie stare kroniki piszą, z wielką dla przodka mego chwałą...

— Nie lżejszą miał on przodek od waści rękę, ale i szłusznie Zerwikapturem go nazwali.

— Któremu też król herb nadał, a w nim trzy kozie głowy w srebrnym polu, na pamiątkę owych rycerzy, gdyż takie same głowy były na ich tarczach wyobrażone. Ten herb wraz z tym tu oto mieczem, przodek mój Stowejko Podbipięta przekazał potomkom swoim z zaleceniem, by starali się splendor rodu i miecza podtrzymać

— Nie ma co mówić! z grzecznego rodu waszmość pochodzisz.

Tu pan Longinus zaczął wzdychać rzewnie, a gdy nakoniec ulżyło mu trochę, tak mówił dalej:

— Będąc tedy z rodu ostatni, ślubowałem w Trokach Najświętszej Pannie żyć w czystości i nie prędzej stanąć na ślubnym kobiercu, póki za sławnym przykładem przodka mego Stowejki Podbipięty, trzech głów tymże samym mieczem od jednego zamachu nie zetnę. O Boże miłosierny widzisz, żem wszystko uczynił, co było w mocy mojej: Czystości dochowałem do dnia dzisiejszego, sercu czułemu milczeć kazałem, wojny szukałem i walczyłem, ale szczęścia nie miałem.

Porucznik uśmiechnął się pod wąsem.

— I nie ściąłeś waćpan trzech głów?

— Ot! nie zdarzyło się! Szczęścia niema! Po dwie nieraz bywało, ale trzech nigdy. Nie udało się zajechać, a trudno prosić wrogów, by się ustawili równo do cięcia. Bóg jeden widzi moje smutki: siła w kościach jest, fortuna jest... ale adolescentia uchodzi, czterdziestu pięciu lat dobiegam, serce do afektów się wyrywa, ród ginie, a trzech głów jak niema, tak niema!... Taki i Zerwikaptur ze mnie. Pośmiewisko dla ludzi, jak słusznie mówi pan Zagłoba, co wszystko cierpliwie znoszę i panu Jezusowi ofiaruję.

Litwin począł znowu tak wzdychać, że aż jego inflancka kobyła, widać ze współczucia dla swego pana, jęła stękać i chrapać żałośnie.

— To tylko mogę waszmości powiedzieć — rzekł namiestnik — iż jeśli pod księciem Jeremim nie znajdziesz okazyi, to chyba nigdy.

— Daj Boże! — odparł pan Longinus — dla tego jadę prosić o łaskę księcia pana.

Dalszą rozmowę przerwał im nadzwyczajny łopot skrzydeł. Jako się rzekło, zimy tej ptactwo nie szło za morza, rzeki nie zamarzały, przeto szczególniej wodnego ptactwa wszędzie było pełno nad błotami. Właśnie w tej chwili porucznik z panem Longinem zbliżyli się do brzegu Kahamliku, gdy nagle zaszumiało im nad głowami całe stado żórawi, które przeciągały tak nizko, że możnaby niemal kijem do nich dorzucić. Stado leciało z wrzaskiem okrutnym i zamiast zapaść w oczerety, podniosło się niespodziewanie w górę.

— Mkną, jakby gonione — rzekł pan Skrzetuski.

— A o! widzisz waść — rzekł pan Longinus, ukazując na białego ptaka, który tuż w powietrze ukośnym lotem, starał się podlecieć pod stado.

— Raróg, raróg! przeszkadza im zapaść! wołał namiestnik. Poseł ma rarogi — musiał puścić.

W tej chwili pan Rozwan Ursu nadjechał pędem na czarnym anatolskim dziance, a za nim kilku karałaszów służbowych.

— Panie poruczniku, proszę na zabawę — rzekł.

— Czy to raróg waszej części?

— Tak jest, i zacny bardzo, zobacz waść...

Popędzili naprzód we trzech, a za wołoch sokolniczy z obręczą, który utkwiwszy oczy w ptaki, krzyczał z całych sił, zachęcając raroga do walki.

Dzielny ptak zmusił już tymczasem stado do podniesienia się w górę; potem sam wzbił się jak błyskawica, jeszcze wyżej i zawisł nad niem. Żórawie zbiły się w jeden ogromny wir, szumiący jak burza skrzydłami. Groźne wrzaski napełniały powietrze. Ptaki powyciągały szyje, powytykały ku górze dzioby jak włócznie i czekały ataku.

Raróg tymczasem krążył nad niem. To zniżał się, to podnosił, jak gdyby wahał się runąć na dół, gdzie na pierś jego czekało ostrych dziobów. Jego białe pióra, oświecone słońcem, błyszczały, jak samo słońce na pogodnym błękicie nieba.

Nagle, zamiast rzucić się na stado, pomknął jak strzała w dal i wkrótce zniknął za kępami drzew i oczeretów.

Pierwszy Skrzetuski ruszył za nim z

pyta. Poseł, sokolnik i pan Longinus poszli za jego przykładem.

W tem na skręcie drogi namiestnik wstrzymał konia, gdyż nowy a dziwny widok uderzył jego oczy. W pośrodku gościńca leżała na boku kolaska ze złamaną osią. Odprzężone konie trzymało dwóch kozaczków. Woźnicy nie było wcale, widocznie odjechał w celu szukania pomocy. Przy kolasce stały dwie niewiasty, jedna ubrana w lisi tołub i takąż czapkę z okrągłem dnem, twarzy surowej, męzkiej; druga była to młoda panna, wzrostu wyniosłego, rysów pańskich i bardzo foremnych. Na ramieniu tej młodej pani siedział spokojnie raróg i rozstrzępiwszy pióra na piersiach, muskał je dziobem.

Namiestnik osadził konia, aż kopyta wryły się w piasek gościńca, i rękę podniósł do czapki zmieszany i nie wiedzący co ma mówić, czy witać, czy o raroga się dopominać. Zmieszany był jeszcze i dlatego, że z pod kuniego kapturka spojrzały nań takie oczy, jakich jak życie swoje nie widział, czarne, aksamitne a łzawe, a mieniące się, a ogniste, przy których oczy Anusi Borzobohatej zgasłyby, jak świeczki przy pochodniach. Nad temi oczami, jedwabne ciemne brwi rysowały się dwoma delikatnemi łukami, zarumienione policzki kwitnęły, jak kwiat najpiękniejszy, przez malinowe wargi trochę otwarte, widniały ząbki, jak perły, z pod kapturka spływały bujne czarne warkocze. „Czy Juno we własnej osobie, czy inne jakoweś bóstwo?“—pomyślał namiestnik, widząc ten wzrost strzelisty, pierś wypukłą i tego białego sokoła na ramieniu. Stał tedy nasz porucznik bez czapki i zapatrzył się, jak w cudowny obraz, i tylko oczy mu się świeciły, a za serce chwytało go coś, jak ręką. I już miał rozpocząć mowę od słów „Jeśli jest śmiertelną istotą, a nie bóstwem“... gdy w tej chwili nadjechał poseł i pan Longinus, a z nimi sokolnik z obręczą. Co widząc, bogini nadstawiła rarogowi rękę, na której ten zaraz, zszedłszy z ramienia, usadowił się, przestępując z nogi na nogę. Namiestnik, uprzedzając sokolniczego, chciał zdjąć ptaka, gdy nagle stał się dziwny omen. Oto raróg, postawiwszy jedną nogę na ręku panny, drugą chwycił się namiestnikowej dłoni i zamiast przesiąść się, począł kwilić radośnie i przyciągać te ręce ku sobie tak silne, że się musiały zetknąć. Po namiestniku mrowie przeszło, raróg zaś dopiero wtedy dał się przenieść na obręcz, gdy sokolnik nałożył mu kaptur na głowę. A w tem starsza pani poczęła wyrzekać:

— Rycerze! — mówiła — ktokolwiek jesteście, nie odmawiajcie pomocy białogłowom, które zostawszy na drodze bez pomocy, same nie wiedzą, co począć. Do domu nam już nie dalej, jak trzy mile, ale w kolasce osie popękały i chyba nam nocować w polu przyjdzie; woźnicę posłałam do synów, by nam choć wóz przysłali, ale nim woźnica dojedzie i wróci, ciemno będzie, a na tem uroczysku strach zostać, bo tu w pobliżu mogiły.

Stara szlachcianka mówiła prędko i głosem tak grubym, że namiestnik aż się zadziwił, wszelako odrzekł grzecznie:

— Nie dopuszczaj-że jejmość tej myśli, byśmy panią i nadobną jej córkę mieli bez pomocy zostawić. Jedziemy do Łubniów, gdyż żołnierzami w służbie J. O. księcia Jeremiego jesteśmy, i podobno nam droga w jedną stronę wypada, a choćby też nie, to zboczymy chętnie, byleby się nasza assystencyja nie uprzykrzyła. Co zaś do wozów, to ich nie mam, bo z towarzyszami po żołniersku komunikiem idę, ale pan poseł ma, i tuszę, że jako uprzejmy kawaler, chętnie niemi pani i jejmościance służyć będzie.

Poseł uchylił sobolowego kołpaka, gdyż znając mowę polską, zrozumiał, o co idzie i zaraz z pięknym komplimentem, jako grzeczny bojar, wystąpił, poczem rozkazał sokolniczemu skoczyć po wozy, które były znacznie z tyłu zostały. Przez ten czas namiestnik patrzył na pannę, która pożerczego wzroku jego znieść nie mogąc, opuściła oczy na ziemię, a dama o kozackiem obliczu tak mówiła dalej:

— Niech Bóg zapłaci imć panom za pomoc. A że do Łubniów droga jeszcze daleka, nie pogardzicie moim i moich synów dachem, pod którym radzi wam będziem. My z Rozłogów-Siromachów, ja wdowa po kniaziu Kurcewiczu-Bułyże, a to nie jest moja córka, jeno córka po starszym Kurcewiczu, bracie mego męża, który sierotę swą nam pod opiekę oddał. Synowie moi teraz w domu, a ja wracam z Czerkas, gdziem się do ołtarza Swiętej-Przeczystej ofiarowała. Aż oto w powrocie spotkał nas ten wypadek, i gdyby nie polityka waszmościów, chybaby na drodze nocować przyszło.

Kniaziowa mówiłaby jeszcze dłużej, ale w tem zdala pokazały się wozy, nadjeżdżające kłusem wśród gromady karałaszów poselskich i żołnierzy p. Skrzetuskiego.

— To jejmość pani wdowa po kniaziu Wasilu Kurcewiczu? — spytał namiestnik.

- Nie! — zaprzeczyła żywo i jakby gniewliwie kniahini. — Jam wdowa po Konstantynie, a to jest córka Wasila, Helena — rzekła, wskazując na pannę.

— O kniaziu Wasilu wiele w Łubniach rozpowiadają. Był-to żołnierz wielki i nieboszczyka księcia Michała zaufany.

— W Łubniach nie byłam — rzekła z pewną wyniosłością Kurcewiczowa — i o jego żołnierstwie nie wiem, a o późniejszych postępkach niema co wspominać, gdyż i tak wszyscy o nich wiedzą.

Słysząc to, kniaziówna Helena zwiesiła głowę na piersi, jak kwiat podcięty kosą, a namiestnik odparł żywo:

— Tego waćpani nie mów. Kniaź Wasil, przez straszliwy error sprawiedliwości ludzkiej skazany na utratę gardła i mienia, musiał się ucieczką salwować, ale później wykryła się jego niewinność, którą też promulgowano, i do sławy go, jako cnotliwego męża, przywrócono; a sława tem większa być powinna, im większą była krzywda.

Kniahini spojrzała bystro na namiestnika, a w jej nieprzyjemnem, ostrem obliczu, gniew odbił się wyraźnie. Ale pan Skrzetuski, choć człowiek młody, tyle miał w sobie jasne wejrzenie, że mu zaoponować nie śmiała, natomiast zwróciła się do kniaziówny Heleny:

— Waćpannie tego słuchać nie przystoi. Idź oto dopilnuj, aby toboły z kolaski były przełożone na wozy, na których z pozwoleniem ichmościów siedzieć będziem.

— Pozwolisz jejmość panna pomódz sobie — rzekł namiestnik.

Poszli oboje ku kolasce, ale skoro tylko stanęli naprzeciw siebie po obu stronach jej drzwiczek, jedwabne frendzle oczu kniaziówny podniosły się i wzrok jej padł na twarz porucznika, jakoby jasny, ciepły promień słoneczny.

— Jakże mam waszmości panu dziękować — rzekła głosem, który namiestnikowi wydał się tak słodką muzyką, jak dźwięczenie lutni i fletów — jakże mam dziękować, żeś się za sławą ojca mego ujął i za tę krzywdę, która go od najbliższych krewnych spotyka.

— Mościa panno!—odpowiedział namiestnik, a czuł, że serce tak mu taje, jak śnieg na wiosnę. — Tak mi Pan Bóg dopomóż, jakobym dla takiej podzięki w ogień skoczyć gotowy, albo zgoła krew przelać, ale gdy ochota tak wielka, przeto zasługa mniejsza, dla której małości nie godzi się mi się dziękczynnego żołdu z ust imć panny przyjmować.

— Jeżeli waszmość pan nim pogardzasz, to jako uboga sierota, nie mam jak inaczej wdzięczności mojej okazać.

— Nie pogardzam ja nim—mówił ze wzrastającą siłą namiestnik—ale na tak wielki fawor zarobić długą i wierną służbą pragnę, i oto tylko proszę, abyś mnie imć panna przyjąć na ową służbę raczyła.

Kniaziówna, słysząc te słowa, zapłoniła się, zmieszała, potem przybladła nagle i ręce do twarzy podnosząc, odrzekła żałosnym głosem:

— Nieszczęścieby chyba waćpanu taka służba przynieść mogła.

A namiestnik przechylił się przez drzwiczki kolaski i tak mówił z cicha a tkliwie:

— Przyniesie co Bóg da, a choćby też i ból, przeciem ja do nóg waćpanny upaść i prosić o nią gotowy.

— Nie może to być rycerzu, abyś waćpan dopiero mnie ujrzawszy, tak wielką do onej służby miał ochotę.

— Ledwiem cię ujrzał, jużem o sobie zgoła zapomniał i widzę, że wolnemu dotąd żołnierzowi chyba w niewolnika zmienić się przyjdzie, ale taka widać wola Boża. Afekt jest jako strzała, która niespodzianie pierś przeszywa, i oto czuję jej grot, choć wczoraj sambym nie wierzył, gdyby mi kto powiadał.

— Jeślibyś waszmość wczoraj nie wierzył, jakże ja uwierzyć dzisiaj mogę?

— Czas o tem najlepiej waćpannę przekona, a szczerości, choćby zaraz, nietylko w słowach, ale i w obliczu dopatrzeć się możesz.

I znowu jedwabne zasłony oczu kniaziówny podniosły się, a wzrok jej napotkał męzkie i szlachetne oblicze młodego żołnierza i spojrzenie tak pełne zachwytu, że ciemny rumieniec pokrył jej twarz. Ale nie spuszczała już wzroku ku ziemi i przez chwilę on pił słodycz jej cudnych oczu. I tak patrzyli na siebie, jak dwie istoty, które spotkawszy się choćby na gościńcu, na stepie, czują, że się wybrały odrazu i których dusze zaczynają zaraz lecieć wzajemnie ku sobie, jak dwa gołębie.

Aż tę chwilę zachwytu przerwał im ostry głos kniahini Konstantowej, wołający na kniaziównę. Wozy nadeszły. Karałasze poczęli przenosić na nie pakunki z kolaski i za chwilę wszystko było gotowe.

Pan Rozwan Ursu, grzeczny bojar, ustąpił obydwom niewiastom własnej kolaski — namiestnik siadł na koń, ruszono w drogę.

Dzień też miał się ku spoczynkowi. Rozlane wody Kahamliku świeciły złotem od zachodzącego słońca i purpury zorzy. Wysoko na niebie ułożyły się stada lekkich chmurek, które czerwieniejąc, stopniowo zsuwały się zwolna ku krańcom widnokręgu, jakby zmęczone lataniem po niebie, szły spać gdzieś do nieznanej koleby. Pan Skrzetuski jechał po stronie kniaziówny, ale nie zabawiał jej rozmową, bo tak z nią mówić, jak przed chwilą przy obcych nie mógł, a błahe słowa nie chciały mu się przez usta przecisnąć. W sercu tylko czuł błogość, a w głowie szumiało mu coś, jak wino.

Cała karawana poruszyła się raźno naprzód, a ciszę przerywało tylko parskanie koni, lub brzęk strzemienia o strzemię. Potem karałasze poczęli na tylnych wozach smutną pieśń wołoską, wkrótce jednak ustali, a natomiast rozległ się nosowy głos pana Longina, śpiewającego pobożnie: „J a m s p r a w i ł a n a n i e b i e, a b y w s c h o d z i ł a ś w i a t ł o ś ć n i e u s t a j ą c a i j a k o m g ł a — p o k r y ł a m w s z y s t k ą z i e m i ę.” Tymczasem zciemniało. Gwiazdki zamigotały na niebie, a z wilgotnych łąk powstały białe tumany, jako morza bez końca.

Wjechali w las, ale zaledwie ujechali kilka staj, gdy dał się słyszeć tętent koni i pięciu jeźdźców ukazało się przed karawaną. Byli to młodzi kniaziowie, którzy zawiadomieni przez woźnicę o wypadku, jaki spotkał matkę, śpieszyli na jej spotkanie, prowadząc z sobą wóz zaprzężony w cztery konie.

— Czy to wy, synkowie? — wołała stara kniahini.

Jeźdzcy przybliżyli się do wozów.

— My, matko!

— Bywajcie! Dzięki tym oto ichmościom, nie potrzebuję już pomocy. To moi synkowie, których polecam łasce MM. panów: Symeon, Jur, Andrzej, i Mikołaj — a to kto piąty? — rzekła, przypatrując się pilniej — hej! jeśli stare oczy widzą po ciemku, to Bohun — co?

Kniaziówna cofnęła się nagle w głąb kolaski.

— Czołem wam, kniahini, i wam, kniaziówno Heleno, — rzekł piąty jeździec.

— Bohun! — mówiła stara. — Od pułku przybyłeś, sokole? A z teorbanem? Witajże, witaj! Hej, synkowie! Prosiłam już I. M. panów na nocleg do Rozłogów, a teraz wy im się pokłońcie! Gość w dom, Bóg w dom! Bądźcież ichmościowie na nasz dom łaskawi.

Bułychowie uchylili czapek.

— Prosimy pokornie waszmościów w nizkie progi.

— Już mi też obiecali, i jego wysokość pan poseł, i Imć pan namiestnik. Zacnych kawalerów będziemy, przyjmować tylko że przywykłym do specyjałów na dworach, nie wiem, czyli będzie smakowała nasza uboga pasza.

— Na żołnierskim my chlebie, nie na dworskim chowani — rzekł pan Skrzetuski.

A pan Rozwan Ursu dodał:

— Probowałem ja już gościnnego chleba w szlacheckich domach i wiem, że i dworski mu nie wyrówna.

Wozy ruszyły naprzód, a stara kniahini mówiła dalej:

— Dawno to, dawno już minęły lepsze dla nas czasy. Na Wołyniu i na Litwie są jeszcze Kurcewicze, którzy poczty trzymają i wcale po pańsku żyją, ale ci biedniejszych krewnych znać nie chcą, za co niech ich Bóg skarze. U nas prawie kozacza bieda, którą nam waszmościowie musicie wybaczyć i szczerem sercem przyjąć to, co szczerze ofiarujemy. Ja i pięciu synów siedzimy na jednej wiosce i kilkunastu słobodach, a z nami i ta jeszcze jejmościanka na opiece.

Namiestnika zdziwiły te słowa, gdyż słyszał w Łubniach, że Rozłogi były niemałą fortuną szlachecką, a powtóre, że należały ongi do kniazia Wasila, ojca Heleny. Nie zdało mu się jednak rzeczą stosowną pytać, jakim sposobem przeszły w ręce Konstantyna i jego wdowy.

— To jejmość pani pięciu masz synów? — zagadnął pan Rozwan Ursu.

— Miałam pięciu, jak lwów — rzecze kniahini — ale najstarszemu Wasilowi poganie w Białogrodzie oczy wypalili pochodniami, od czego mu też i rozum się nadwerężył. Gdy młodzi pójdą na wyprawę, ja sama w domu zostaję, z nim tylko i z jejmościanką, z którą większa bieda niż pociecha.

Pogardliwy ton, z jakim stara kniahini mówiła o swej synowicy, tak był widoczny, że nie uszedł uwagi porucznika. Pierś mu zawrzała gniewem i o mało nie zaklął szpetnie, ale słowa zamarły mu na ustach, gdy spojrzawszy na kniaziównę, ujrzał przy świetle księżyca oczy jej zalane łzami.

— Co waćpannie jest? czego płaczesz? — spytał z cicha.

Kniaziówna milczała.

— Ja nie mogę znieść łez waćpanny — mówił pan Skrzetuski, i pochylił się ku niej, a widząc, że stara kniahini rozprawia z p. Rozwanem Ursu i nie patrzy w tę stronę, nalegał dalej: — Na Boga, przemów choć słowo, bo Bóg widzi, że i krew i zdrowiebym oddał, byle ciebie pocieszyć.

Nagle uczuł, że jeden z jeźdźców napiera go tak silnie, że aż konie poczynają się trzeć bokami.

Rozmowa z kniaziówną była przerwana, więc pan Skrzetuski zdziwiony, ale i rozgniewany, zwrócił się ku śmiałkowi.

Przy świetle księżyca ujrzał dwoje oczu, które patrzyły na niego zuchwale, wyzywająco i szyderczo zarazem.

Straszne te oczy świeciły, jak ślepie wilka w ciemnym borze.

— Co u kaduka — pomyślał namiestnik — bies czy co? — i z kolei zajrzawszy zblizka w te pałające źrenice, spytał:

— A czego to waść tak koniem najeżdżasz i oczyma we mnie wiercisz?

Jeździec nie odpowiedział nic, ale patrzył wciąż równie uporczywie i zuchwale.

— Jeślić ciemno, to mogę ognia skrzesać, a jeślić gościniec zaciasny, to hajda w step! — rzekł już podniesionym głosem namiestnik.

— A ty odlitaj, laszku, od kolaski, koły step baczysz — odparł jeździec.

Namiestnik, jako był człowiek do czynu skory, zamiast odpowiedzieć, uderzył tak silnie nogą w brzuch konia napastnika, że rumak jęknął i w jednym szczupaku znalazł się na samym brzegu gościńca.

Jeździec osadził go na miejscu i przez chwilę zdawało się, że pragnie rzucić się na namiestnika, ale wtem zabrzmiał ostry, rozkazujący głos starej kniahini.

— Bohun, szczo z toboju!

Słowa te miały natychmiastowy skutek. Jeździec zwrócił konia młyńcem i przejechał na drugą stronę kolaski do kniahini, która mówiła dalej:

— Szczo z toboju? Ej ty nie w Perejasławiu, ani w Krymie, ale w Rozłogach — bacz na to. A teraz skocz mi naprzód i prowadź wozy, bo jar zaraz a w jarze ciemno. Hodi Siromacha.

Pan Skrzetuski równie był zdziwiony, jak rozgniewany. Ten Bohun widocznie szukał okazyi, i byłby ją znalazł; ale dla czego szukał? zkąd ta niespodziewana napaść?

Przez głowę namiestnika przeleciała myśl że tu kniaziówna wchodziła do gry, i utwierdził się w tej myśli, gdy spojrzawszy na twarz jej, ujrzał mimo mroków nocnych, że twarz ta była blada i że widocznie malowało się na niej przerażenie.

Tymczasem Bohun ruszył z kopyta naprzód, wedle rozkazu kniahini, która spoglądając za nim, rzekła wpół do siebie, wpół do namiestnika:

— To szalona głowa i bies kozaczy.

— Widać nie spełna rozumu — odpowiedział pogardliwie p. Skrzetuski. — Czy to kozak w służbie synów imć pani?

Stara kniahini rzuciła się w tył kolaski:

— Co waćpan mówisz, to jest Bohun podpułkownik, przesławny junak, synom moim druh, a mnie jak szósty syn przybrany. Nie może też to być, abyś waszmość o nazwisku jego nie słyszał, bo wszyscy o nim wiedzą.

I rzeczywiście panu Skrzetuskiemu dobrze było znane to nazwisko. Z pośród imion różnych pułkowników i atamanów kozackich, wypłynęło ono na wierzch i było na wszystkich ustach, po obu stronach Dniepru. Ślepcy śpiewali o Bohunie pieśni po jarmarkach i karczmach, na wieczornicach opowiadano dziwy o młodym watażce. Kto on był, zkąd się wziął, nikt nie wiedział. To pewna, że kolebką były mu stepy, Dniepr, Porohy i Czertomelik ze swoim labiryntem cieśnin, zatok, kołbani, wysp, skał, jarów i oczeretów. Od wyrostka zżył się i zespolił z tym dzikim światem.

Czasu pokoju chodził z innymi „za rybą i zwierzem", tłukł się po zakrętach dnieprowych, brodził po bagniskach i oczeretach wraz z gromadą półnagich towarzyszów — to znów całe miesiące spędzał w głębinach leśnych. Szkołą były mu wycieczki na Dzikie pola po trzody i tabuny tatarskie, zasadzki, bitwy, wyprawy, przeciw brzegowym ułusom, do Białogrodu, na Wołoszczyznę, lub czajkami na Czarne morze. Innych dni nieznał, jak na koniu, innych nocy, jak przy ognisku na stepie. Wcześnie stał się ulubieńcem całego Niżu, wcześnie zaczął sam wodzić innych; i wkrótce odwagą wszystkich przewyższył. Gotów był w sto koni iść choćby do Bakczyseraju i samemu chanowi zaświecić w oczy pożogą; palił ułusy i miasteczka, wycinał w pień mieszkańców, schwytanych murzów rozdzierał końmi, spadał jak burza, przechodził jak śmierć. Na morzu rzucał się jak wściekły na galery tureckie. Zapuszczał się w środek Budziaku, właził, jak mówiono, w paszczękę lwa. Niektóre jego wyprawy były wprost szalone. Mniej odważni, mniej ryzykowni, konali na palach

w Stambule, lub gnili przy wiosłach na tureckich galerach—on zawsze wychodził zdrowo i z łupem obfitym. Mówiono, że zebrał skarby ogromne i że trzyma je ukryte po dnieprowych komyszach, ale też nieraz go widziano, jak deptał zabłoconemi nogami po złotogłowiach i lamach, koniom słał kobierce pod kopyta, albo jak ubrany w adamaszki, kąpał się w dziegciu, umyślnie kozaczą pogardę dla onych wspaniałych tkanin i ubiorów okazując. Miejsca długo nigdzie nie zagrzał. Czynami jego powodowała fantazyja. Czasem, przybywszy do Czehryna, Czerkas, lub Perejasławia, hulał na śmierć z innymi zaporożcami, czasem żył jak mnich, do ludzi nie gadał, w stepy uciekał. To znów otaczał się ślepcami, których grania i pieśni po całych dniach słuchał, a samych złotem obrzucał. Między szlachtą umiał być dwornym kawalerem, między kozakami najdzikszym kozakiem, między rycerzami rycerzem, między łupieżcami łupieżcą. Niektórzy mieli go za szalonego, bo też i była to dusza nieokiełznana i rozszalała. Dlaczego na świecie żył, czego chciał, dokąd dążył, komu służył — sam nie wiedział. Służył stepom, wichrom, wojnie, miłości i własnej fantazyi. Ta właśnie fantazyja wyróżniała go od innych watażków grubijanów i od całej rzeszy rozbójniczej, która tylko grabież miała na celu i której zajedno było grabić tatarów, czy swoich. Bohun brał łup, ale wolał wojnę od zdobyczy, kochał się w niebezpieczeństwach dla własnego ich uroku; złotem za pieśni płacił, za sławą gonił, o resztę nie dbał.

Ze wszystkich watażków, on jeden najlepiej uosabiał kozaka rycerza, dlatego też pieśń wybrała go sobie na kochanka, a imię jego rozsławiło się na całej Ukrainie.

W ostatnich czasach został podpułkownikiem perejasławskim, ale pułkownikowską władzę sprawował, bo stary Łoboda słabo już trzymał buławę krzepnącą dłonią.

Pan Skrzetuski dobrze tedy wiedział, kto był Bohun, a jeśli pytał starej kniahini, czy to kozak w służbie jej synów, to czynił to przez umyślną pogardę, bo przeczuł w nim wroga, a mimo całej sławy watażki, wzburzyła się krew w namiestniku, że kozak poczynał sobie z nim tak zuchwale.

Domyślał się też, że skoro się zaczęło, to się na byle czem nie skończy. Ale cięty to był jak osa człowiek pan Skrzetuski, dufny aż nadto w siebie i również nie cofający się przed niczem, a na niebezpieczeństwa chciwy prawie. Gotów był choćby i zaraz wypuścić konia za Bohunem, ale jechał przy boku kniaziówny. Zresztą wozy minęły już jar i zdala ukazały się światła w Rozłogach.

H. Sienkiewicz (patrz t. I str. 29).

Skrzydło.

* *Z poezyi pana Steinerkopf.*

— Rabi—pytał się bachur mełameda w szkół-
[ce,
Za co, Pan Bóg dał skrzydło wronie i jaskół-
[ce,
A żyd chociaż wybrany, musi wciąż piechotą
Na ulicach i drogach czarne deptać błoto?
Za co, o Rabi mądry, jest porządek taki,
Że od żyda daleko szczęśliwsze są ptaki?—

Rabi palce wychudłe wsadził w brodę ryżą
Jakby z niej chciał wydobyć myśl mądrą
[a świeżą
I przewracając księgę z końca do początku
Rzekł:
— Wszak droga przez błoto wiedzie do ma-
[jątku...

Skutek.

* *Skutki złego charakteru.*

(Rzecz się dzieje w teatrzyku ogródkowym).

— Cóż to, słyszałem, że cię wysykano?

— Nie wierz temu, było to przeznaczone dla Szekspira, który w życiu nie umiał zyskać przyjaciół...

Ślub.

* Dziesiąta godzina wieczór. Panna młoda już ubrana zajęła z matką stanowisko przy drzwiach wchodowych wielkiego salonu. Kilku bliższych krewnych już przybyło: lokaje powkładali rękawiczki i stoją gotowi do oznajmiania gości.

Znam od dawna ten dom, ale dziś go poznać nie mogę; przemieniono go zupełnie: przez dwa dni z rzędu tapicerowie zmieniali wszystko w każdym kącie. Mały salonik odnowiono, gabinet ojca przemieniono na trzeci salon; dwa pokoje sypialne oddano też do użytku. Łóżka przykryte jedwabnemi kapami, ładnie wyglądają naszyte koronkami. Fotele miękkie stoją po wszystkich kątach. Będę mógł w nich ziewać do woli.

Wystawa kompletna i zupełnie w porządku. Co prawda, jest to ładny maryaż. 28,000 franków dochodu na początek, a później drugie tyle. Dobre domy, piękne stosunki, należą go burżuazyi bogatej: narzeczony jeździ dobrze konno; ma długą brodę, wioskę na prowincyi, jest członkiem rady generalnej i myśli o izbie deputowanych. Ładnie się kłania, stoi obok przyszłego teścia, przyjmuje wchodzących mężczyzn. Niepodobna być bardziej na swoim miejscu. Co dziesięć minut zbliża się do swej narzeczonej i zamienia z nią słów parę, ani nadto nadskakujący, ani za sztywny, z uśmiechem na ustach, nachylony naprzód wysuwa ramię do wchodzących dam i prowadzi je do małego saloniku, gdzie stary notaryjusz czerwony i majestatyczny i jego dependent sztywny, jakby kij połknął, podaje pióro do podpisania kontraktu.

Powozy zajeżdżają co chwila, słychać ich turkot daleko, następnie zatrzymują się nagle przed domem, szyby brzęczą, stangreci krzyczą, chodniki błyszczą śród ciemnej nocy oświetlone gazem latarni. Panie owinięte wchodzą jedna po drugiej, układając fałdy sukien. W przedpokoju przeglądają się w lustrze, każda przybiera minę odpowiednią uroczystości.

Pani S. uśmiecha się błogo. Pani B. posuwa się majestatycznie, jakby w tempie marsza. Mała Ludwika zbliża się nieśmiało przy boku swej matki. Jedne zdają się iść do szturmu, inne, podobne do żołnierzy po odniesionem zwycięztwie. Kto ma dobre oczy, może w nich poznać cały ich charakter.

Życzenia i całusy bez końca. Narzeczona i jej matka muszą dygać co chwila. Salony zapełniają się powoli. Narzeczony i teść powtarzają po dziewięćdziesiąty raz: „Jakiś pan łaskaw, żeś o nas nie zapomniał”. Narzeczony słyszy po dziewięćdziesiąty raz: „Winszuję ci, mój drogi — jesteś szczęśliwym śmiertelnikiem”; uściski dłoni bez końca. Z drugiego pokoju dochodzi zgrzyt pióra podpisujących kontrakt. Przyjaciółki wchodzą do drugiej sypialni, gdzie wystawione są biżuteryje narzeczonej na białym aksamicie. Gorąco się robi, ja myślę o lodach.

Ojciec mówi do siebie w myśli: 1,500 franków na wieczór i obiad, mam ciasne buty i daleko przyjemniej spędzałbym ten wieczór w klubie, ale dzisiaj jest dzień, w którym mam się pokazać. Pokazuję moich przyjaciół, mam tutaj trzech, zdobnych w krzyże dziesięciu komandorów, jednego marszałka Francyi, dwóch pierwszych prezesów, sześciu hrabiów i margrabiów autentycznych. Wszystko to należy do posagu mej córki; jestem człowiekiem z wysokiem stanowiskiem, daję tego dowód. Gdy mój zięć będzie potrzebował posady, lub gdy będę chciał zostać administratorem jakiego towarzystwa, nie zabraknie mi wpływów. Joanna jest zanadto ściśniętą. Ach Boże, za mało jest grzeczna dla prezydentowej. Joasiu, moje serce, przecież tu chodzi o stanowisko twego męża; jeszcze mi nie przynoszą lodów... Joasiu, rozdarłaś rękawiczkę... dobryś... jedna lampa filuje... Joasiu, nie masz miny dosyć wesołej; Joasiu, masz minę nadto wesołą... Zdaje mi się, że mi stanik pękł w plecach.

Chór ogólny młodych panien: (półgłosem) Jabym wolała blondyna. Co do mnie, nigdy-

bym tak nieśmiała rozmawiać z moim narzeczonym. Ładnie mu z tą czerwoną wstążeczką. Tak, ale ma tylko jedną, a mój brat ma aż trzy dekoracyje: żółtą, czerwoną i mieszaną. Czy ona też pierwsza kontrakt podpisze: to przynosi szczęście, podobno jest wtedy panią swego domu. Ach, mój Boże! prawdziwe brylanty, cudowny krzyżyk! przepyszne kolczyki!

Ma ładną figurę, ale wolę kolor moich włosów. Ładny jest ten perłowy kolor na sukniach, rękawy są za wązkie. Czy też będzie w czwartek przyjmować? Joasiu, moja droga, pozwól, niech cię uściskam.

* * *

Jestem starym przyjacielem domu, Joasia zaprezentowała mi swego męża, przypatrywałem się jej, jest prawdziwą paryżanką i damą wielkiego świata.

To jest u niej wrodzone, a wychowanie powiększyło tylko te zalety. Najpiękniejsza pozycyja wyścigowego konia jest wtenczas, gdy parska i lekko staje dęba pod uzdą. Wdzięczna mięszanina skromności i pewności siebie. Nie można powiedzieć, by była mądrą; cały jej rozum zasadza się w układzie sukni, w pozach, jakie przybiera, w wyborze bladych gałązek, wplecionych w pukle warkoczy. Zresztą, nie przystoi jej mieć za wiele rozumu; kobieta wielkiego świata może mieć dopiero rozum, gdy jest mężatką i to około lat trzydziestu. Umie rozmawiać, przyjmować salon pełen gości, rzucać od niechcenia małe źrenice, które podtrzymują rozmowę. Nie trzeba szukać rozumu w rozmowie światowej, doskonałość jej zasadza się na tem, aby nie była zupełnie czczą, ale prawie czczą. Dowcip, genijusz, głębokość zdań, raziłyby tutaj nieprzyjemnie i niezrozumiale. Mógłbym przysiądz, że z dwunastu osób, zebranych tu przez trzy godziny, ani jedna nie wymówiła słowa, które warto napisać. Cały urok polega na sposobie prowadzenia tej rozmowy, wdzięku z jakim płyną słowa, zniżaniu i podnoszeniu lekkiem głosu, w przyjemnej woni komplementów, któremi się nawzajem okadzają wszyscy. Joasia rzekła mi na pożegnanie „dobranoc"; nie potrzeba na to wielkiego natężenia umysłu, ale głos jest tak słodki, jak gra na fleciku, ukłon tak nizki, gdy się zagłębia w bufiastą spódniczkę i tak gracyjny, że to mi zupełnie wystarcza i nie myślę jej się pytać o głębsze jakie myśli. Któż żąda głębokiego sensu w balecie?

Z drugiej strony w tym świecie przykro często się robi, gdy nie dostrzegasz nic poważnego, nic głębszego. Joasia rozmawia wesoło, spokojnie z człowiekiem, który ma być jutro jej mężem; robi honory domu wraz z nim i zdają się być pobrani od dwóch lat przynajmniej. Nie potrzebuje się zmuszać ani usuwać tej wesołości, wstępuje ona w stan małżeński, tak jak wchodzi do powozu na przejażdżkę po lasku. Nie ma innego uczucia, prócz zadowolenia z tego, że wszystkie przyjemności świata staną jej otworem, podług wszystkich możliwych konwenansów, gdyż będzie miała męża, że mąż ten dobrze się prezentuje, dobrze ubiera, z dobrej rodziny, dobrze jeździ konno, jest dla niej nadskakujący i uprzejmy, spędzać będą cztery miesiące w Paryżu, ośm miesięcy w cudownej willi na wsi, będą wydawać mnóstwo bali, pokaże wszystkie swe toalety, otrzymane w prezentach przedślubnych za 20,000 franków. Niepokój czegoś oczekiwanego a nieznanego, milczenie pełne uroczych myśli i marzeń, mysl o życiu domowem i odosobnionem od świata, we dwoje, z ukochanym, nie przejdzie jej nawet przez tę ładną główkę. Pyta mi się, czy jej dobrze w tem uczesaniu i który najlepszy hotel w Nicei.

Wytworna lalka, łatwa do prowadzenia, honor ci zrobi w świecie swą twarzyczką, ułożeniem, tualetą; to też wszystko, czego żąda narzeczony i z pewnością bardzoby był zmięszanym, gdyby w niej coś głębszego znalazł.

* * *

W kościele wszystkie pozapalano światła. Szwajcar czerwony chodzi, uderzając laską; ołtarz połyskuje od złota i kwiatów, ubranie księdza tak naszyte blaszkami, że świeci od samego wejścia. Przed ołtarzem na aksamitnych pąsowych fotelach siedzą rodzice, krewni, wśród nich panna młoda, jak białe zjawisko, obok matki przybranej w koronki i brylanty królewskie. Organy odzywają się w oddali.

Pyszna wystawa, rzekłbyś „Robert dyjabeł” w piątym akcie, tylko że „Robert dyjabeł” ma cechę bardziej religijną. W Paryżu, w wielkim świecie szczególniej, wszystko polega tylko na pięknej wystawie.

Kazanie wypowiada jeden z pierwszych kaznodziei. Pali naturalnie komplimenty matce, ojcu, państwu młodym, główniejszym osobistościom obecnym. Po skończonej mowie, jeden z mych sąsiadów, opowiadając tę mowę spóźnionemu gościowi, dodał: „mówił z wielkiem powodzeniem.”

* * *

Chłopczyk i dziewczynka, ślicznie ubrani, chodzą kwestując, wszyscy się do nich uśmiechają, kładąc pieniądze na tacy. Dobry sposób na podniesienie miłosiernych uczuć.

Rozmowy w kościele: — Joasia ładna, ale pan młody zanadto poważny. — Przybrał solenną minę, to dobre dla głupców. — Chciałbym cię też widzieć w tym przypadku, jakąbyś miał minę. — Czy masz półfrankówki? Pożycz mi jedną. — Nie należę do rodziny, a nie mam drobnych przy sobie. — Dzień dobry. Witam panią! — Ach! i pan tutaj! Dla kogo? dla panny młodej, czy dla pana młodego?—Dla pana młodego, narzeczona milutka. — Co do mnie, nie idę dalej, przynajmniej tutaj ścisku niema. — Jak ci się te freski podobają? Jak się masz Bernardzie, dla czego tak późno? — Ach, nie mów mi o tem; ten pułkownik mój, to prawdziwe bydlę, nigdy żadnego pozwolenia dać nam nie chce. — Panna młoda czyta modlitwę z książki, żeby mieć jakieś zajęcie. — Aha! będą śpiewać solo; ślub za tysiąc dwieście franków zapewne. — Za tysiąc pięćset, bo dywany wielkie rozpostarto. — Czy słyszałeś panią Lagrange? — Dobra śpiewaczka, ale ma minę lalki porcelanowej. — Ja tylko przejdę do zakrystyi, uścisnę rękę ojcu i uciekam. — Idźmy za drugimi, bum, bum, buf! — Trzeba iść gęsiego, jak w teatrze. — Czyś mówił o mnie twemu naczelnikowi? — Nie jeszcze; osioł nie powrócił dotąd. — Gdzież jest ojciec? — Ot, tam na prawo, gdzie tyle rąk wyciągniętych. — Tysiączne życzenia, kochany panie, winszujemy panu. — Dziękuję, dziekuję bardzo. — Czyś skończył Bernardzie? — Ja już odchodzę. — (Szwajcar głośno). Tędy proszę panów, na lewo się idzie. — Pif, paf. Proszę pań naprzód, naprzód, panowie w tamtą stronę. Pif, paf, bum! Ach, oddycham przecież świeżem powietrzem; dzięki Ci Boże, że to już koniec.—Biedna mała, stopięćdziesiąt dygów i pięćdziesiąt całusów rozdanych. — Czekaj, niech zapnę palto. — Żebraki, lokaje, rzęd powozów, rzekłbyś, że wychodzimy z Wielkiej Opery.

H. Taine.

Sława.

* *Smutna sława.*

Doktór wezwany do młodego człowieka, który zniszczył zdrowie, żyjąc za prędko, wyrzekł kiwając głową:

— Zaledwie 20 lat życia, a już tyle zdziałałeś dla... śmiertelności!

Flieg. Blät.

* *Sławkowa sława.*

Za czasów istnienia Krzemienieckiego Liceum, w liczbie uczni był niejaki Sławek, wielki kiep, ale strasznie zarozumiały. Żył on w przyjaźni z jakimś garbatym kolegą, który zmarł i na pogrzebie jego Sławek miał mowę tak głupią, że weszła nietylko w Krze-

mieńcu, ale i w okolicy tamtej w przysłowie. Na krzyżu wystawionym na grobie garbusa, ktoś napisał wiersz taki:

Tu leży garbus, z garbu sławny a nie z gło-
[wy,
Sławę jego sławnemi Sławek sławił słowy,
Zrzekłbym się chętnie życia mojego połowy,
Byle na mym pogrzebie Sławek nie miał mo-
[wy.

Wiersz ten utrwalił pamięć tej mowy, a słowami: „Sławkowa sława” wyrażano odtąd wypadki, w których się mówi: „Cave me Domine ab amico, ab inimico vero ipse me cavebo.”

Słodycz.

* *Słodycze życia.*

Słodko jest, gdy schodzi
Z księżycem bladym noc na sine morze...
Śpiew słychać dźwięczny z gondolera łodzi
I wioseł plusk, jak rybek plusk w jeziorze;
Słodko jest patrzeć, jak się gwiazda rodzi
W niebie i słuchać wiatru, co gra w borze;
Słodko jest, gdy się przegnie na niebiosa
W morzu kąpana tęcza krasnowłosa.
Słodko jest słyszeć kundysa szczekanie
Zacne, jak w skowyt radosny się mieni;
Słodko jest widzieć, że ktoś na spotka-
[nie
Wyjdzie i oko mu się rozpromieni.
Słodko, gdy ptaszki zbudzą na śniada-
[nie.
A uśpi burza. Słodko, gdy szepleni
Pierwsze wyrazy dziecko, kiedy pszczoły
Brzęczą, gdy słychać dziewcząt śmiech
[wesoły;
Słodkie jest winobranie, gdy się śmieją
Bachusowego soku pełne grona
Błękitne; słodko przed miejskich zawieją
Uciech rzucić się naturze w ramiona;
Słodko biednemu cieszyć się nadzieją,
A ojcu pierwsze przycisnąć do łona
Dziecię; żołdactwu bardzo słodkie łupy,
Kobiecie zemsta, korsarzom okupy.
Słodki jest spadek, a nadzwyczaj słod-
[ka
Rzecz, gdy się z liczby żyjących wymaże
Siedemdziesięcio-letni wuj lub ciotka,
Która „nam młodym” długo czekać ka-
[że
Na wieś, a nie da też zajrzeć do środka
Skrzyni, a sama żyje jak Łazarze,
Gdy nas tu żydów opadają burmy
Wołając: „Zapłać, bo pójdziesz do tur
[my...”
Słodko laurowe zyskiwać wianeczki
Krwią lub inkaustem; słodko gdy ostudzi
Serce swe gniewy; słodko miewać sprzeczki
Z nieznośnym gościem, kiedy nazbyt nudzi;
Słodkie jest wino z flaszek, piwo z beczki;
Miło, gdy słabą istotę z rąk ludzi
Wyrwiesz; gdy szkolne celki uprzytomnisz,
Co już nie pomną cię, choć ty je pomnisz.
Lecz stokroć słodsza dla duszy i ciała
Pierwsza, namiętna miłość. Jak Ewa
Po pierwszym grzechu większych nie za-
[znała
Rozkoszy, tak gdy z wiadomości drzewa
Uszczkniesz i wszystko już poznasz —
[bez mała
Dusza milszego nic się nie spodziewa
Nad ów niebiański grzech, co tak jest
[mytem
Jak baśń o ogniu z nieba wydobytym.
Byron.

* *Słodycz marzeń.*

Nim zaświta los szczęśliwszy
Jeden balsam na ranę: —
Mądre myśli porzuciwszy,
Puszczać bańki mydlane.
Z niemi zgodnie, niezawodnie
Słodka myśl się rozhula.
Wlazł na gruszkę, rwał pietruszkę,
O jak słodka cebula!
Los zawistny pędzi, gniecie
Nieszczęśliwy ród ziemian;
Gromy, burze i zamiecie
Uderzają naprzemian;
Lecz coś klei myśl nadziei

I pod skrzydła przytula.
Wlazł na gruszkę, rwał pietruszkę,
O jak słodka cebula!

O witajcie myśli puste,
Lube zamki w obłoku!
Człekby skwaśniał na kapustę
Bez waszego uroku,
Przez was miłe nasze chwile
Lecą szybko jak kula.
Wlazł na gruszkę, rwał pietruszkę
O jak słodka cebula!

Gdy mi serce cierń oplata,
Chmury ciężą u głowy, —
Niedowolen z tego świata
Tworzę sobie świat nowy.
Świat mój zgodny i niegłodny,
Jakby pszczółki wśród ula.
Wlazł na gruszkę, rwał pietruszkę
O jak słodka cebula!

Wszędzie kwiaty, wszędzie kłosy:
Owoc pokrył aż liście,
Słychać pląsy i odgłosy,
Lud się kocha ogniście;
Z dobrej woli na swej roli
I pracuje i hula.
Wlazł na gruszkę, rwał pietruszkę,
O jak słodka cebula!

O! ten nie zna szczęścia dosyć,
Kto nie umie radośnie
Na topieli gmachów wznosić,
Zrywać gruszek na sośnie!
To rozkosze, wierzcie, proszę,
Jak to bawi, rozczula!
Wlazł na gruszkę, rwał pietruszkę
O jak słodka cebula!

Syrokomla. (p. t. I, str. 128.)

* *Naiwność.*

Zakochany. O, pani jedyna, którą uwielbiam, ubóstwiam — pozwól, niech usłyszę z ust twoich choćby jeden słodki wyraz.

Panna. Syrop...

Słoń.

* *Słoń i żółw.*

Bajka

Czując pragnienie w dobie wielkiej spieki,
Słoń nad brzegiem stanął rzeki
I nim trąbę w niej umoczył,
Żółwia zoczył.
— Czego mącisz mi wodę, poczwaro! zawoła.
Żółw podniósł czoła:
— Czyż mącę?.. zresztą moją siedzibą zdrój [rzeczny,
Mógłbyś o ile wielki, o tyle być grzeczny
Że jestem mniejszy, słabszy niźli słonie,
Ja pić z rzeki ci nie bronię!...
Słonia to oburzyło, iż żółw gada wrogo,
Fuknął trąbą i karła zaczął deptać nogą
Przycisnął mocno olbrzym z całej siły ducha,
I czy żółw żyje — słucha.
Wreszcie przestał, żółw żyje, depcze poraz [wtóry,
Nogę podnosi do góry
Bije jak młotem,
Aż się cały oblał potem;
Poczem zmęczony pełną trąbą wodę pije,
Spojrzał, żółw się porusza, idzie, a więc żyje
I choć go wściekłość przez to coraz większa [bodzie.
Żółw, drwiąc z słonia, spokojnie zanurzył się [w wodzie.

J. Waśniewski. (p. t. I, str. 30).

Słońce.

* *Oda do słońca.*

Słońce! ty pochwał oczekujesz może?
Racz mi tej pracy oszczędzić!
Jestem dzisiaj w złym humorze,
Muszę na ciebie pozrzędzić.
Prawda, mówią, w oczy kole:
Lecz ten mądry, kto jej słucha,
Tak nas nauczali w szkole....
Proszę więc nadstawić ucha!

Lubo błyszczysz jak brylanty;
My się na tym blasku znamy!
Trafił frant na większe franty;
Masz i waszeć swoje plamy.
O świcie wylazłeś z domu
I uwziąłeś się koniecznie,
Nie dać się wyspać nikomu,
A to jest bardzo niegrzecznie!
Źle kto z damami bój toczy,
Jest to wychowania wadą:
Ty, gdy zajrzysz której w oczy,
Odchodzi z twarzyczką śniadą.
Skromnego udajesz niby,
A gdy posłuży zdarzenie,
Wkradasz się milczkiem przez szyby,
Gdzie płeć piękna ma spocznienie.
Jesteś niezmiernie łakomy,
Bo w południowych godzinach
Lustrujesz koleją domy,
I zaglądasz po kominach.

I to też także na świecie,
Wiele twojej szkodzi sławie
Że nam tak dopiekasz w lecie,
Jak kucharz w rądlu potrawie.

Słowem, ciągłe figle płatasz,
Masz passyjkę do wędrówki,
I jak kot z pęcherzem latasz! —
O... tu mi brakło końcówki.

Czas się ustatkować Febie!
Czas już grać rolę sensata,
Bo się ludzie śmieją z ciebie,
Że szalejesz w stare lata.

I za światło dziękczynienia
Nie złożę także waszeci,
Bo, kiedy piszę te pienia,
Świeczka łojowa mi świeci.

Ferdynand Chotomski (p. t. I, str. 333).

KONIEC TOMU TRZECIEGO.